Ursula K.

Le Guin

Ziemiomorze

Prószyński i S-ka

Ziemiomorze
Rubieże Północne
HOGEN
Wyspy Wielorybie
Komokome
Chemish
Sort
Lef
Borth
UDRATH
Enwas Płn.
Enwas Płd.
Allernoty
ROGM
BERESWEK
Ferrins
Archipelag Kargadzki
HUR AT-HUR
ATNINI
ATUAN
Sorresk
Norst
OSSKIL
FINLAND
ANDRAD
Orandrad
Perregal
HILLE
EBOSSKIL
ORANEA
DERHEMEN
NARVEDUEN
SEMEL
GONT
Speyr
KAREGO-AT
SELIDOR
Onon
PALN
HAVNOR
Barnisk
TORHEVEN
Eskel
Torykle
DŁONIE
Otrad
VENWAY
Vemish
Sallins
Yor
SMOCZY SZLAK
Risk
Usidero
INGAT
ONTUEGO
Rubieże Zachodnie
Pendor
HOSK
WAY
Waymarsh
SNEG
Perilane
IFFISH
Tok
Holp
Inmer
Toły Daleka
KOPPISH
KALTUEL
SIMLY
Arrins
Kaltuel
Bliski
Falluel
KORP
Kopp
Apso
Rubieże Wschodnie
OBB
WATHORT
SODERS
ROLAMENY
Gale
Pelimer
Gosk
JESSAGE
LORBANERY
NAMIEN
Kornaj
Astowdell
OBEHOL
ROOD
WELLOGY
Długa Wydma
Rubieże Południowe
TOOM
WYSPA UCHA
Daleki Sorr
Morze Otwarte
Mile 100 200 300 400
N
W
E
S

Ursula K. Le Guin

Ziemiomorze

Prószyński i S-ka

Copyright © by The Inter-Vivos Trust for The Le Guin Children
A WIZARD OF EARTHSEA 1968, 1996
THE TOMBS OF ATUAN 1970, 1971
THE FARTHEST SHORE 1972
TEHANU 1990
TALES FROM EARTHSEA 2001
THE OTHER WIND 2001

Projekt okładki
Dark Crayon/Piotr Cieśliński

Ilustracja na okładce
© lynea/Fotolia.com
© incomible/Fotolia.com

Redaktorzy prowadzący
Katarzyna Rudzka
Anna Czech

Redakcja
Agnieszka Rosłan

Korekta
Elżbieta Kobyłecka

ISBN 978-83-7961-567-4

Warszawa 2013

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Do moich polskich Czytelników

Czarnoksiężnik z Archipelagu w przekładzie znakomitego poety Stanisława Barańczaka był moją pierwszą powieścią wydaną po polsku. Ukazał się ponad trzydzieści lat temu. Od tej pory trwa mój długi i szczęśliwy związek z polskimi Czytelnikami, z wielką zatem radością przedstawiam Wam cały cykl o Ziemiomorzu zebrany w jednym tomie.

Potrzebowałam sześciu książek i trzydziestu lat życia, by opowiedzieć historię Geda i Tenar. W tym czasie nieustannie dowiadywałam się czegoś nowego o krainach i ludach Ziemiomorza – bo wszystkie przygody i odkrycia bohaterów były też moimi przygodami i odkryciami. Kiedy zaczynałam, wiedziałam o życiu i magii równie mało jak chłopiec Duny na początku opowieści. Nie miałam też pojęcia, jak się ona zakończy, póki sama nie dotarłam do końca.

I oto wreszcie macie przed sobą ukończoną historię. Oby lektura sprawiła Wam równie wielką przyjemność, jak mnie jej pisanie!

Z pozdrowieniami
Ursula K. Le Guin
wrzesień 2013

Ursula K.
LeGuin

Czarnoksiężnik z Archipelagu

Przełożył
Stanisław Barańczak

Tylko w milczeniu słowo,
tylko w ciemności światło,
tylko w umieraniu życie –
na pustym niebie
jasny jest lot sokoła.

Pieśń o stworzeniu Ea
przełożył Stanisław Barańczak

1

Wojownicy we mgle

Wyspa Gont, samotna góra wznosząca swój wierzchołek o milę ponad poziomem umęczonego przez sztormy Morza Północno-Wschodniego, jest krainą sławną z czarnoksiężników. Z miast ukrytych w jej wysoko położonych dolinach i z portów usadowionych w ciemnych, wąskich zatokach wyszedł już niejeden Gontyjczyk, aby służyć władcom Archipelagu w ich stolicach jako czarodziej lub czarnoksiężnik albo też żeby w poszukiwaniu przygód wędrować ze swoimi czarami od wyspy do wyspy po całym Ziemiomorzu.

Powiadają niektórzy, że największy z nich – a z pewnością był największym podróżnikiem – to człowiek zwany Krogulcem, który w dniach szczytu swej potęgi stał się zarazem Władcą Smoków i Arcymagiem. O życiu jego opowiadają *Czyny Geda* i liczne pieśni, ale nasza opowieść dotyczy czasów, kiedy nie narodziła się jeszcze jego sława, a pieśni nie zostały ułożone.

Urodził się w odludnej wiosce zwanej Dziesięć Olch, tkwiącej wysoko na zboczu góry, tam gdzie zaczyna się Dolina Północna. Poniżej wioski spadają ku morzu skośnymi tarasami pastwiska i grunty orne doliny, inne zaś miasteczka leżą na krętych brzegach rzeki Ar; ponad wioską wznoszą się już tylko jeden za drugim porośnięte lasami grzbiety górskie aż do skał i śniegów na wyniosłych szczytach.

Imię, które nosił jako dziecko, Duny, nadała mu matka; to imię i życie były wszystkim, co mogła mu ofiarować, zmarła bowiem, zanim ukończył rok. Ojciec, wiejski kowal brązownik, był ponurym milczkiem, a ponieważ z sześciu braci Duny'ego, znacznie od niego starszych, jeden po drugim wyprowadzał się z domu, aby uprawiać ziemię, żeglować po morzu lub pracować jako kowal w innych miasteczkach Doliny Północnej, nie było nikogo, kto by mógł wychować dziecko w atmosferze czułości.

Duny rósł dziko jak wybujałe ziele – wysoki, zapalczywy chłopak, krzykliwy, hardy i pełen gniewu. Wraz z gromadką innych wiejskich dzieci pasał kozy na spadzistych łąkach ponad rzecznymi źródłami; a gdy był już wystarczająco silny, aby poruszać miechami kowalskimi, ojciec zatrudnił go jako pomocnika w kuźni, płacąc szczodrze szturchańcami i chłostą.

Niewiele było pożytku z Duny'ego. Przebywał zawsze z dala od domu; zapuszczał się w głąb lasu, pływał w rozlewiskach rzeki Ar, bystro toczącej swoje zimne wody jak wszystkie gontyjskie rzeki, albo wspinał się po żlebach i urwiskach ku szczytom ponad lasem, skąd mógł widzieć morze, rozległy północny ocean, na którym poza Perregalem nie było już wysp.

W wiosce mieszkała siostra jego zmarłej matki. Troszczyła się niegdyś o jego niemowlęce potrzeby, ale odkąd umiał sam o siebie zadbać, nie poświęcała mu więcej uwagi. Któregoś dnia jednak, gdy chłopiec miał siedem lat i, przez nikogo nieuczony, nic jeszcze nie wiedział o umiejętnościach i mocach, jakie istnieją w świecie, zdarzyło mu się usłyszeć, jak ciotka wykrzykuje jakieś słowa w stronę kozy, która wskoczyła na strzechę chaty i nie chciała zejść; zeskoczyła jednak, gdy ciotka przywołała ją pewnym wierszykiem.

Pasąc nazajutrz długowłose kozy na łąkach Wysokiego Zbocza, Duny wykrzyknął w ich stronę zasłyszane słowa, choć nie znał ich zastosowania ani znaczenia i nie wiedział nawet, co to za wyrazy:

Noth hierth malk man
hiolk han merth han!

Wykrzyczał wierszyk na całe gardło i kozy zbliżyły się do niego. Podbiegły bardzo prędko, wszystkie naraz, całkiem bezgłośnie. Spoglądały na niego z głębi ciemnych szczelin pośrodku swoich żółtych oczu.

Duny się zaśmiał i znów powtórzył głośno wierszyk, ten wierszyk, który dał mu władzę nad stadem. Kozy podeszły bliżej, tłocząc się i przepychając wokół niego.

Nagle poczuł lęk przed ich grubymi, pręgowanymi rogami, przed ich dziwnymi oczami i dziwnym milczeniem. Usiłował wyrwać się spomiędzy nich i uciec. Kozy spieszyły wraz z nim, wciąż gęsto zbite dookoła, aż wreszcie zbiegli w ten sposób na łeb, na szyję do wioski – kozy pędziły stłoczone, jak gdyby obwiązywał je ciasno jakiś sznur, a chłopiec pośrodku nich z wrzaskiem zalewał się łzami. Wieśniacy wybiegli z domów, obrzucając przekleństwami kozy i śmiejąc się z chłopca. Wraz z nimi nadeszła jego ciotka, która się nie śmiała. Powiedziała kozom jakieś słowo i zwierzęta zaczęły beczeć, rozchodzić się i skubać trawę, uwolnione spod działania uroku.

– Chodź ze mną – powiedziała ciotka do Duny'ego.

Zabrała go do chaty, w której mieszkała samotnie. Zwykle nie pozwalała do niej wchodzić żadnemu dziecku i dzieci bały się tego miejsca.

Chata była niska i mroczna, pozbawiona okien, pełna woni ziół, które suszyły się zawieszone na poprzecznej żerdzi dachu – mięta, czosnek, smagliczka i tymianek, krwawnik i tatarak, królewnik, czarcie kopytko, wrotycz i liście laurowe. Ciotka usiadła ze skrzyżowanymi nogami przy palenisku i patrząc z ukosa na chłopca przez plątaninę swoich czarnych włosów, spytała go, co powiedział kozom i czy wie, czym jest ten wierszyk. Gdy przekonała się, że Duny nic nie wie, a jednak umiał rzucić urok na kozy, zrozumiała, że chłopiec ma zapewne w sobie zadatki na czarnoksiężnika.

Jako siostrzeniec Duny był dla niej nikim, ale teraz spoglądała na niego innym okiem. Pochwaliła go i powiedziała, że mogłaby nauczyć go wierszyków, które bardziej mu się spodobają, na przykład słów, które zmuszą ślimaka, żeby wyjrzał ze skorupki, albo imienia, którym można przywołać krążącego po niebie sokoła.

– Tak, naucz mnie tego imienia! – zawołał Duny, wolny już od przerażenia, w które wpędziły go kozy, i dumny, że ciotka pochwaliła jego zdolności.

Czarownica odparła:

– Ale jeśli nauczę cię tego słowa, nie powtórzysz go nigdy innym dzieciom.

– Przyrzekam.

Jego chętna niewiedza rozbawiła ją.

– Dobrze, zgoda. Ale nie pozwolę ci złamać przyrzeczenia. Twój język pozostanie niemy, dopóki sama nie zechcę go rozwiązać, i nawet wtedy, mimo że będziesz mógł mówić, nie będziesz zdolny do wypowiedzenia słowa, którego cię nauczę, w obecności kogoś postronnego. Musimy strzec tajemnic naszego rzemiosła.

– Dobrze – zgodził się chłopiec; w istocie nie miał wcale ochoty zdradzać tajemnicy swoim towarzyszom zabaw, chciał bowiem wiedzieć i robić to, czego oni nie znali i nie potrafili.

Siedział bez ruchu, podczas gdy ciotka związała z tyłu swoje potargane włosy, ściągnęła rzemień przepasujący suknię i znów usiadła ze skrzyżowanymi nogami, ciskając na palenisko garście liści, póki ścielący się dym nie napełnił mrocznego wnętrza chaty. Zaczęła śpiewać. Jej głos co chwila opadał lub wznosił się, jak gdyby poprzez nią śpiewał czyjś cudzy głos; śpiew trwał aż do momentu, gdy chłopiec nie wiedział już, czy jeszcze czuwa, czy już śpi, a przez cały ten czas stary czarny pies czarownicy, który nigdy nie szczekał, siedział przy nim z oczami zaczerwienionymi od dymu. Potem czarownica przemówiła do Duny'ego językiem, którego nie rozumiał, i kazała mu powtarzać jakieś wierszyki i słowa, dopóki na chłopca nie spłynął urok, który go zmusił do milczenia.

– Przemów! – rozkazała, aby sprawdzić, czy czary działają.

Duny nie mógł mówić, ale się roześmiał. Jego siła przestraszyła trochę ciotkę, bo przecież rzuciła nań mocny urok; usiłowała nie tylko zyskać władzę nad jego mową i milczeniem, ale jednocześnie zaczarować go, aby jej służył w magicznym rzemiośle. A jednak nawet pod działaniem uroku śmiał się głośno. Czarownica nie powiedziała nic. Spryskała ogień czystą wodą, aż dym się rozwiał, i napoiła chłopca, a gdy powietrze było czyste i Duny mógł znowu

mówić, nauczyła go prawdziwego sokolego imienia, na którego dźwięk ptak ten musi się zjawić.

Był to pierwszy krok Duny'ego na drodze, którą miał kroczyć całe życie, na drodze magii – na drodze, która doprowadziła go w końcu aż na mroczne wybrzeża królestwa śmierci, dokąd zapędził się w pogoni za cieniem padającym na ląd i morze. Lecz przy tych pierwszych krokach droga zdawała się szerokim, jasnym gościńcem. Gdy się przekonał, że dzikie sokoły spadają ku niemu z wyżyn wiatru, kiedy przywołuje je po imieniu, i z szumem skrzydeł siadają na jego przegubie niczym myśliwskie ptaki księcia, zapragnął poznać więcej takich imion; przyszedł więc do ciotki uprosić ją, aby go nauczyła imienia krogulca i rybołowa, i orła. Aby posiąść te obdarzone władzą słowa, robił wszystko, czego czarownica zażądała, i chłonął wszystko, czego go uczyła, choć nie wszystko było przyjemnie wiedzieć albo robić.

Na wyspie Gont istnieje porzekadło: „Słaby jak babskie czary", i jest też drugie porzekadło: „Złośliwy jak babskie czary". Czarownica z Dziesięciu Olch nie uprawiała właściwie czarnej magii ani nie wtykała nigdy nosa w wyższą sztukę wykorzystywania Starych Mocy; ale będąc ciemną kobietą pośród ciemnego ludu, często używała swoich umiejętności do celów nierozsądnych i dwuznacznych. Nie wiedziała nic o Wielkiej Równowadze i o Wzorcu, który zna i któremu służy prawdziwy czarnoksiężnik, i który pozwala mu użyć zaklęć tylko w wypadku rzeczywistej potrzeby. Znała zaklęcia na każdą okoliczność i wiecznie rzucała uroki. Znaczną część jej wiedzy stanowiły zwyczajne głupstwa i oszukaństwa, nie umiała też odróżnić prawdziwych zaklęć od fałszywych. Znała wiele klątw i zapewne łatwiej jej przychodziło wywoływanie chorób niż ich leczenie. Potrafiła warzyć lubczyk jak żadna wiejska czarownica, ale zdarzało jej się też sporządzać inne, groźniejsze odwary, wywołujące u mężczyzn zazdrość i nienawiść. Takie praktyki ukrywała jednak przed swoim młodym terminatorem i w miarę swych możliwości uczyła go uczciwego rzemiosła.

Z początku całą przyjemność płynącą ze sztuk magicznych widział Duny po dziecinnemu we władzy, jaką dzięki nim posiadał nad ptactwem i zwierzyną, i w wiedzy, jaką zdobył na ich temat.

W istocie ta przyjemność pozostała mu na całe życie. Widząc go często na górskich pastwiskach z drapieżnym ptakiem krążącym dookoła, inne dzieci nazywały go Krogulcem i tak zdobył sobie imię, które zachował w późniejszym życiu jako swoje imię użytkowe, podczas gdy prawdziwego nikt nie znał.

Ponieważ czarownica opowiadała mu wciąż o sławie, bogactwach i wielkiej władzy nad ludźmi, jaką może zyskać czarownik, Duny zabrał się do zgłębiania bardziej użytecznej wiedzy. Radził sobie z tym wcale nieźle. Czarownica chwaliła go, a dzieci ze wsi zaczynały się go bać, on sam zaś był pewny, że już wkrótce stanie się kimś większym niż inni ludzie. Brnął więc dalej wraz z czarownicą od słowa do słowa i od zaklęcia do zaklęcia, aż wreszcie, ukończywszy dwanaście lat, posiadł wielką część jej wiedzy, nie tak dużej, ale wystarczającej jak na czarownicę z małej wioski i więcej niż wystarczającej jak na dwunastoletniego chłopca. Ciotka przekazała mu wszystkie swoje wiadomości o zielarstwie i znachorstwie oraz wszystko, co wiedziała o sztuce znajdowania, związywania, naprawiania, otwierania i odsłaniania. Śpiewała mu wszystkie, jakie znała, opowieści bardów i pieśni o wielkich czynach, nauczyła też Duny'ego wszystkich słów Prawdziwej Mowy, które wpoił jej niegdyś dawny nauczyciel czarownik. A od zaklinaczy pogody i wędrownych kuglarzy, którzy podróżowali po miasteczkach Doliny Północnej i Wschodniego Lasu, Duny nauczył się rozmaitych sztuczek i żartów – zaklęć wywołujących złudzenia. Właśnie jednym z takich błahych zaklęć po raz pierwszy wypróbował wielką moc, która w nim tkwiła.

W owych czasach Imperium Kargadu było silne. Kargad to cztery wielkie wyspy leżące pomiędzy Rubieżami Północnymi a Wschodnimi: Karego-At, Atuan, Hur-at-Hur, Atnini. Język, którym tam mówią, nie przypomina żadnego z języków używanych na Archipelagu albo na innych Rubieżach; mieszkańcy wysp to barbarzyńcy o białej skórze i żółtych włosach, dzicy, rozmiłowani w widoku krwi i swądzie płonących miast. Poprzedniego roku urządzili inwazję na Torykle i na silną wyspę Torheven, napadając na nie potężnymi flotyllami okrętów o czerwonych żaglach. Wieści o tym doszły na północ do wyspy Gont, ale władcy Gontu, zajęci

korsarstwem, nie poświęcali wiele uwagi niedolom innych krain. Potem uległa Kargom wyspa Spevy – została splądrowana i spustoszona, a jej mieszkańcy dostali się do niewoli, tak że aż do dziś jest ruiną. Ogarnięci żądzą podboju Kargowie popłynęli z kolei ku wyspie Gont; przybyli całą armią, na trzydziestu wielkich, długich okrętach, do Portu Wschodniego. Przedarli się przez to miasto, zdobyli je i spalili; pozostawiwszy okręty pod strażą u ujścia rzeki Ar, ruszyli w górę doliny, niszcząc i plądrując wszystko, rżnąc bydło i ludzi. W trakcie pochodu podzielili się na bandy i każda z tych band grabiła wedle swego wyboru. Uciekinierzy ostrzegali wyżej położone wioski. Wkrótce mieszkańcy Dziesięciu Olch ujrzeli, jak dym zaciemnia niebo na wschodzie, i tej nocy ci, którzy wspięli się na Wysokie Zbocze, spoglądali w dół na dolinę całą we mgle i czerwonych pręgach płomieni, na jej dojrzałe do żniw pola wydane na pastwę ognia, na spalone sady z owocami piekącymi się na płonących gałęziach, na tlące się ruiny stodół i zagród.

Niektórzy wieśniacy uciekli w górę wąwozów i skryli się w lesie, inni szykowali się do walki o życie, jeszcze inni potrafili tylko stać i lamentować. Czarownica należała to tych, którzy uciekli; ukryła się samotnie w jaskini na urwisku Kapperding, a wylot jaskini zamknęła szczelnie za pomocą zaklęć. Ojciec Duny'ego, kowal brązownik, był wśród tych, którzy pozostali, nie umiałby bowiem porzucić swej kuźni i paleniska do wytapiania, przy którym trudził się od pięćdziesięciu lat. Całą tę noc mozolił się, wykuwając ze swego zapasu gotowego metalu groty włóczni; inni pracowali wraz z nim, przywiązując groty do trzonków motyk i grabi, nie było bowiem czasu, aby sporządzić oprawki i osadzić w nich drzewca jak należy. W wiosce nie było broni oprócz łuków myśliwskich i krótkich noży, jako że górale z Gontu nie mają wojowniczego usposobienia; i nie wojownicy są ich tytułem do sławy, ale złodzieje kóz, korsarze oraz czarnoksiężnicy.

Wraz ze wschodem słońca pojawiła się gęsta biała mgła, jak to często bywa w jesienne poranki w górnych partiach wyspy. Wieśniacy stali pomiędzy chatami i domkami rozrzuconymi z rzadka wzdłuż długiej ulicy wioski Dziesięciu Olch; czekali z łukami myśliwskimi i świeżo wykutymi włóczniami, nie wiedząc, czy Kargowie są daleko, czy już bardzo blisko – wszyscy milczący,

wszyscy wpatrzeni w mgłę, która ukrywała przed ich oczami kształty, odległości i niebezpieczeństwa.

Wśród nich był Duny. Trudził się całą noc przy miechach kowalskich, ciągnąc i pchając dwa długie rękawy z koźlej skóry, podsycające płomień podmuchami powietrza. Ramiona miał teraz tak obolałe i drżące od tej pracy, że nie mógł utrzymać włóczni, którą sobie wybrał. Nie miał pojęcia, czy będzie w stanie walczyć albo przynieść jakikolwiek pożytek sobie lub wieśniakom. Dręczyła go myśl, że zginie nadziany na kargijską pikę, mimo że jest jeszcze chłopcem; że wkroczy w krainę ciemności, nie poznawszy nawet własnego imienia, prawdziwego imienia mężczyzny. Spojrzał na swe chude ramiona, mokre od rosy, i poczuł gniew na własną słabość – znał przecież swoją siłę. Byłaby w nim moc, gdyby wiedział, jak jej użyć; spróbował odnaleźć pośród znanych sobie czarów jakiś fortel, który mógłby dać jemu i jego towarzyszom przewagę albo chociaż szansę. Ale sama tylko potrzeba to za mało, aby dać ujście mocy – potrzebna jest wiedza.

Mgła przerzedzała się już pod żarem słońca, które świeciło niczym nieprzesłonięte pod pułapem jasnego nieba. Gdy lotne opary podzieliły się na wielkie smugi i dymne wstęgi, wieśniacy dostrzegli zgraję wojowników wstępującą na zbocze góry. Napastnicy mieli na sobie brązowe hełmy i nagolenniki oraz napierśniki z grubej skóry, nieśli tarcze z drewna i brązu; ich uzbrojenie stanowiły miecze i długie kargijskie piki. Maszerując wzdłuż krętego, urwistego brzegu rzeki Ar, przybliżali się pobrzękującym, rozciągniętym rzędem przyozdobionym pióropuszami; byli już na tyle blisko, że dało się dostrzec ich białe twarze i usłyszeć słowa, którymi pokrzykiwali jeden na drugiego w swojej niezrozumiałej mowie. Cała ta zgraja, część hordy najeźdźców, liczyła około stu ludzi, co nie jest wiele; ale w wiosce było wszystkiego osiemnastu mężczyzn i chłopców.

W tej chwili potrzeba przywołała na pomoc wiedzę. Duny, widząc, że zasłona mgły zwisająca w poprzek ścieżki, którą maszerują Kargowie, rozwiewa się i rzednie, przypomniał sobie zaklęcie mogące mu pomóc. Stary zaklinacz pogody z doliny, starając się pozyskać sobie chłopca na ucznia, nauczył go kiedyś kilku czarów. Jedna z tych sztuczek zwała się tkaniem mgły: było to zaklęcie, które

gromadzi przez jakiś czas opary w jednym miejscu; za jego pomocą ktoś wprawny w iluzji może nadać mgle kształt jasnych, widmowych widziadeł, które trwają chwilę i znikają. Chłopiec nie miał w tym wprawy, ale jego zamiar polegał na czym innym, i Duny miał w sobie dość mocy, aby użyć zaklęcia do własnych celów. Szybko i na cały głos wymówił nazwy ulic i opłotków wioski, po czym wypowiedział zaklęcie tkające mgłę, wplatając w nie słowa zaklęcia służącego do ukrycia się; na końcu wykrzyknął słowo, które wprawiało czar w działanie.

Gdy to uczynił, ojciec podbiegł doń z tyłu i uderzył go silnie w skroń, powalając na ziemię.

– Cicho bądź, głupcze! Przestań mleć językiem i schowaj się gdzieś, jeśli nie potrafisz walczyć!

Duny upadł mu do stóp. Mógł już słyszeć Kargów na końcu wioski, tam gdzie stoi wielki cis rosnący koło garbarni. Ich głosy były wyraźne, podobnie jak szczękanie i skrzypienie ich skórzanego oporządzenia i broni, ale nie można było ich dojrzeć. Mgła zwarła się i zgęstniała nad wioską, nadając światu szarą barwę, zacierając wszystko, aż w końcu ledwie można było dostrzec przed sobą własne ręce.

– Ukryłem nas wszystkich – powiedział Duny, markotny, gdyż bolała go głowa po uderzeniu ojca, a rzucenie podwójnego zaklęcia wyczerpało jego siły. – Utrzymam tę mgłę, jak długo będę mógł. Zgromadź wszystkich i poprowadź ich na Wysokie Zbocze.

Kowal wytrzeszczył oczy na syna, który stał jak widmo w tej niesamowitej, ociekającej wilgocią mgle. Dopiero po chwili zrozumiał, o co chodzi Duny'emu, lecz kiedy wreszcie pojął, pobiegł natychmiast bezszelestnie – znał w wiosce każdy płot i zakręt – aby odnaleźć pozostałych i powiedzieć im, co mają robić. W tym momencie w szarej mgle zakwitła plama czerwieni: to Kargowie podpalili strzechę domu. Wciąż jeszcze nie weszli do wioski, lecz czekali u jej niżej położonego krańca, aż mgła się podniesie, obnażając ich łup i zdobycz.

Garbarz, którego dom właśnie podpalono, posłał paru chłopaków, którzy kręcili się tuż pod nosem Kargów, urągając im, wrzeszcząc i znów znikając jak dym rozpływający się w dymie. Tymczasem starsi

mężczyźni, pełznąc za płotami i przebiegając od domu do domu, podeszli blisko z drugiej strony i spuścili grad strzał i włóczni na wojowników, którzy stali zbici w gromadę. Jeden z Kargów upadł, wijąc się pod ciosem włóczni, która, wciąż jeszcze ciepła od kucia, przeszła na wylot przez jego ciało. Innych trafiały strzały; wszyscy Kargowie wpadli we wściekłość. Rzucili się do ataku, by powalić słabych napastników, ale wokoło była tylko pełna głosów mgła. Ścigali te głosy, dźgając mgłę przed sobą wielkimi, upierzonymi, zbroczonymi krwią pikami. Rycząc, przemierzali całą długość ulicy; nie wiedzieli nawet, że przebiegli przez całą wieś, jako że puste chaty i domy wyłaniały się i znikały znowu w wijących się pasmach szarej mgły. Wieśniacy pędzili w rozsypce; większość z nich, znając teren, odbiegła daleko naprzód, ale niektórzy, chłopcy lub starcy, uciekali za wolno. Natykając się na nich, Kargowie wbijali w nich piki albo rąbali mieczami, wydając przy tym swój przenikliwy okrzyk wojenny złożony z imion Białych Braci Boga z Atuanu:

– *Wuluah! Atwah!*

Niektórzy ze zgrai wrogów zatrzymali się, gdy poczuli, że ziemia pod nogami stała się nierówna, ale pozostali wciąż pędzili naprzód, szukając widmowej wioski, ścigając niewyraźne, chwiejne kształty, które umykały tuż przed nimi. Cała mgła była jakby żywą istotą, pełną tych pierzchających postaci, które wymykały się, migały i znikały ze wszystkich stron naraz. Część Kargów pognała w ślad za widmami prosto na Wysokie Zbocze, ku krawędzi urwiska nad źródłami rzeki Ar; ścigane przez nich kształty wymknęły się i rozpłynęły w rzednącym tumanie, ścigający zaś runęli z wrzaskiem poprzez mgłę i nagły blask słońca trzydzieści metrów pionowo w dół, prosto w płytkie rozlewiska pomiędzy głazami. Ci natomiast, którzy biegli za nimi i nie spadli, stali na krawędzi urwiska, nasłuchując.

Trwoga napełniła teraz serca Kargów; zaczęli szukać w niesamowitej mgle już nie wieśniaków, lecz siebie nawzajem. Zgromadzili się na stoku, widma i upiorne postacie wciąż jednak były wokół nich, inne zaś kształty podbiegały od tyłu, dźgając ich włócznią lub nożem i znowu znikając. Kargowie, wszyscy naraz, rzucili się pędem w dół zbocza, potykając się, bez słowa, póki nie wyrwali się z szarej, ślepej mgły i nie ujrzeli rzeki oraz parowów

poniżej wioski, odsłoniętych i jasnych w porannym świetle. Wtedy się zatrzymali, zebrali w gromadę i obejrzeli za siebie. Ściana płynnej, falującej szarości zalegała nietknięta w poprzek ścieżki, skrywając wszystko, co leżało za nią. Paru maruderów wypadło jeszcze stamtąd, wyrywając się naprzód i potykając, długie piki podrygiwały im na ramionach. Żaden Karg nie obejrzał się więcej niż ten jeden raz. Wszyscy pospieszyli w dół, jak najdalej od zaczarowanego miejsca.

W dalszej drodze w dół Doliny Północnej kargijscy wojownicy zaznali walki aż nadto. Miasteczka Lasu Wschodniego, od Ovarku aż do wybrzeża, zebrały swoich mężczyzn i wysłały ich przeciw najeźdźcom. Hordy, jedna po drugiej, zstępowały ze wzgórz i w ciągu tego samego dnia oraz nazajutrz Kargowie, nękani przez Gontyjczyków, zostali zepchnięci na plaże przy Porcie Wschodnim, gdzie znaleźli swoje okręty spalone; walczyli więc, mając morze za plecami, aż wszyscy polegli, a piaski wokół ujścia rzeki były brunatne od krwi aż do najbliższego przypływu.

Ale owego ranka w wiosce Dziesięć Olch i ponad nią, na Wysokim Zboczu wilgotna szara mgła wisiała jeszcze jakiś czas, po czym nagle się rozwiała, rozpłynęła i ulotniła. Ten i ów wieśniak podniósł się w wietrznej jasności poranku i rozglądał ze zdumieniem. Tu leżał martwy Karg o żółtych włosach, długich, rozpuszczonych i skrwawionych; ówdzie wiejski garbarz, który poległ w bitwie królewską śmiercią.

W dole wioski podpalony dom wciąż jeszcze płonął. Wieśniacy pobiegli gasić ogień, albowiem ich bitwa była wygrana. Na ulicy, pod wielkim cisem, znaleźli Duny'ego, syna kowala; chłopiec stał o własnych siłach i nie odniósł ran, ale był niemy i oszołomiony jak od ogłuszenia. Wiedzieli dobrze, co zdziałał; zaprowadzili go do domu jego ojca i poszli wywołać z jaskini czarownicę, aby uzdrowiła chłopca, który uratował ich życie i majątek – jeśli nie liczyć czterech ludzi zabitych przez Kargów i jednego spalonego domu.

Chłopcu nie zadano żadnej rany bronią, nie mógł jednak mówić ani jeść, ani spać; zdawało się, że nie słyszy, co się do niego mówi, ani nie widzi tych, którzy go odwiedzają. Nie było w tych stronach czarnoksiężnika, który potrafiłby uleczyć jego dolegliwość. Ciotka

Duny'ego powiedziała: „Nadużył swojej mocy", ale nie znała sztuk, które mogłyby mu pomóc.

Kiedy tak leżał posępny i niemy, historia chłopca, który utkał mgłę i kłębowiskiem widm odstraszył kargijskich wojowników, opowiadana była w całej Dolinie Północnej i we Wschodnim Lesie, a także wysoko w górach i po drugiej stronie gór, nawet w Wielkim Porcie wyspy Gont. Zdarzyło się więc, że na piąty dzień po rzezi u ujścia rzeki Ar zjawił się w wiosce Dziesięć Olch nieznajomy człowiek, ani stary, ani młody, który przybył okryty płaszczem i z gołą głową, niosąc lekko wielką dębową laskę długości równej jego wzrostowi. Nie szedł w górę rzeki Ar jak większość ludzi, lecz w dół, z lasów rosnących na wyższym zboczu góry. Wiejskie gospodynie od razu rozpoznały w nim czarnoksiężnika i kiedy oznajmił im, że jest uzdrowicielem, zaprowadziły go wprost do domu kowala. Nieznajomy kazał wyjść wszystkim z wyjątkiem ojca i ciotki chłopca, po czym schylił się nad posłaniem, na którym leżał wpatrzony w ciemność Duny, i zrobił tylko tyle, że położył mu dłoń na czole i dotknął raz jego ust.

Duny usiadł powoli i rozejrzał się. Po małej chwili przemówił, a siła i głód zaczęły weń powracać. Dano mu trochę pić i jeść; położył się znowu, wciąż obserwując nieznajomego ciemnymi, zdziwionymi oczami.

Kowal zwrócił się do nieznajomego:

– Nie jesteś zwykłym człowiekiem.

– Ten chłopiec też nim nie będzie – odparł przybysz. – Opowieść o tym, co uczynił z mgłą, doszła do Re Albi, gdzie mieszkam. Przybyłem tu, aby nadać mu imię, jeśli to prawda, co mówią, że nie odbył jeszcze dotąd swojego przejścia w wiek męski.

– Bracie – szepnęła czarownica do kowala – to z pewnością musi być mag z Re Albi, Ogion Milczący, ten sam, co to powstrzymał trzęsienie ziemi...

– Panie – rzekł kowal, który nie dał się zastraszyć wielkim imieniem – mój syn skończy trzynaście lat w przyszłym miesiącu, ale chcieliśmy urządzić obrzęd jego przejścia dopiero zimą, w czasie święta Powrotu Słońca.

– Niech otrzyma imię jak najwcześniej – odpowiedział mag – albowiem potrzebuje imienia. Mam teraz inne sprawy, lecz wrócę tutaj w dzień, który wybierzesz. Jeśli uznasz to za słuszne, zabiorę go ze sobą, kiedy potem stąd odejdę. A jeśli okaże się zdolny, zatrzymam go jako ucznia albo dopilnuję, aby go kształcono stosownie do jego uzdolnień. Bo niebezpieczną jest rzeczą utrzymywać w ciemności umysł kogoś zrodzonego do czarów.

Ogion mówił bardzo łagodnie, ale stanowczo, i nawet uparty kowal musiał przystać na wszystko, co mag powiedział. W dniu, w którym chłopiec ukończył trzynaście lat, gdy trwał wczesny przepych jesieni, a na drzewach pełno jeszcze było jaskrawych liści, Ogion powrócił do wioski z wędrówek po górze Gont i odbył się obrzęd przejścia. Czarownica odebrała chłopcu imię Duny, imię, które nadała mu matka jako niemowlęciu. Bez imienia, nagi wchodził w zimne źródła rzeki Ar tryskające pośród głazów pod wysokimi urwiskami. Gdy wstąpił w wodę, chmury przesłoniły twarz słońca, wielkie cienie spłynęły i zmieszały się wokół niego na powierzchni rozlewiska. Chłopiec przeszedł do odległego brzegu; drżał z zimna, lecz kroczył powoli, wyprostowany, tak jak należało, poprzez lodowatą, bystrą wodę. Gdy dobrnął do brzegu, czekający nań Ogion wyciągnął rękę i ściskając ramię chłopca, szepnął mu jego prawdziwe imię: Ged.

Tak więc nadał mu imię ktoś, kto znał się dobrze na użyciu czarnoksięskiej mocy.

Uczta świąteczna trwała w najlepsze i wszyscy wieśniacy weselili się, jedząc obficie, pijąc piwo i słuchając barda z doliny, śpiewającego *Czyny Władców Smoków*, kiedy mag odezwał się do Geda ze spokojem:

– Chodź, chłopcze. Pożegnaj swych braci i odejdź, niech biesiadują dalej.

Ged przyniósł to, co miał zabrać ze sobą, a co składało się z wykutego dlań przez ojca dobrego noża z brązu, ze skórzanego płaszcza, który skroiła na jego miarę wdowa po garbarzu, i z olchowej laski, którą zaczarowała dla niego ciotka; to było wszystko, co posiadał, oprócz koszuli i spodni. Pożegnał wieśniaków, jedynych ludzi, których znał w całym świecie, i raz jeszcze rozejrzał się po wiosce rozproszonej i stłoczonej pod urwiskami, nad źródłami

rzeki. Potem wraz ze swym nowym mistrzem ruszył w drogę poprzez lasy porastające strome zbocza górzystej wyspy, poprzez liście i cienie jasnej jesieni.

2

„Cień”

Ged sądził najpierw, że jako uczeń wielkiego maga dostąpi od razu wtajemniczenia i od razu osiągnie biegłość w czarnoksięskiej mocy. Myślał, że będzie rozumieć język zwierząt i mowę liści w lesie, że swoim słowem będzie poruszał wiatry i nauczy się przeistaczać siebie w każdy kształt, w jaki zapragnie; że być może obaj z mistrzem pobiegną obok siebie pod postacią jeleni lub pofruną do Re Albi ponad górą na orlich skrzydłach.

Ale wcale tak nie było. Wędrowali najpierw w dół doliny, a potem coraz bardziej na południe i zachód naokoło góry, szukając noclegu w małych wioskach albo spędzając noc na bezludziu jak ubodzy najemni czarownicy, wędrowni rzemieślnicy albo żebracy. Nie wkroczyli w żadną tajemniczą dziedzinę. Nic się nie zdarzyło. Dębowa laska maga, którą Ged oglądał po raz pierwszy z pełną entuzjazmu trwogą, była tylko grubą laską do podpierania się w marszu. Minęły trzy dni i cztery dni, a wciąż jeszcze Ogion nie wypowiedział ani jednego zaklęcia w obecności Geda ani też nie nauczył go niczego o imionach, runach lub czarach.

Mimo że małomówny, Ogion był bardzo łagodny i spokojny. Ged wkrótce przestał się go lękać, a dzień czy dwa później ośmielił się już na tyle, że spytał swego mistrza:

– Kiedy zacznie się moja nauka, panie?

– Już się zaczęła – odpowiedział Ogion.

Zapadło milczenie, jak gdyby Ged starał się powstrzymać coś, co musiał powiedzieć. Wreszcie wyrwało mu się:

– Ale ja się jeszcze niczego nie nauczyłem!

– Bo nie zdałeś sobie jeszcze sprawy, czego uczę – odparł mag, stąpając dalej miarowym, długonogim krokiem po drodze, która wiodła przez wysoką przełęcz między Ovark i Wiss. Jak większość Gontyjczyków, miał skórę śniadą, miedzianobrązową o ciemnym odcieniu; był siwowłosy, szczupły i żylasty jak chart, niestrudzony. Odzywał się rzadko, jadł mało, spał jeszcze mniej. Wzrok i słuch miał bardzo wyostrzone, a na jego twarzy często pojawiał się wyraz zasłuchania.

Ged nie odpowiedział mu. Nie zawsze jest łatwo odpowiedzieć magowi.

– Chcesz czynić czary – powiedział Ogion po chwili, krocząc naprzód. – Zbyt wiele wody czerpałeś z owej studni. Czekaj. Dojrzałość to cierpliwość. Biegłość to cierpliwość dziesięciokrotna. Co to za ziele przy ścieżce?

– Słomianka.

– A tamto?

– Nie wiem.

– Czworolistek, tak to nazywają.

Ogion przystanął, stawiając tuż przy roślince okuty miedzią koniec swej laski; Ged przyjrzał się więc chwastowi z bliska, oderwał od niego uschnięty strączek i wreszcie, ponieważ Ogion nie powiedział nic więcej, zapytał:

– Jaki jest z niego pożytek, mistrzu?

– Żaden, o ile wiem.

Ged trzymał przez chwilę strączek, potem odrzucił go na bok.

– Gdy poznasz czworolistek we wszystkich porach roku, jego korzeń, liść i kwiat, gdy poznasz go po wyglądzie, zapachu i nasieniu, wtedy będziesz mógł nauczyć się jego prawdziwego imienia, bo będziesz znał jego istotę; a to więcej niż pożytek. Ostatecznie jaki jest pożytek z ciebie? Albo ze mnie? Czy góra Gont jest użyteczna? Albo Morze Otwarte?

Uszli chyba z pół mili, zanim Ogion odezwał się znowu:

– Aby słyszeć, należy milczeć.

Chłopiec się nachmurzył. Nie podobało mu się, że traktowano go jak głupca. Zataił jednak urazę i zniecierpliwienie; starał się być posłuszny, tak aby Ogion zgodził się w końcu nauczyć go czegoś. Albowiem Ged łaknął nauki, pragnął posiąść moc. Co prawda zaczynało mu się wydawać, że nauczyłby się więcej, towarzysząc jakiemuś zbieraczowi ziół czy wiejskiemu czarownikowi, i gdy okrążając górę, szli na zachód w odludne lasy za Wiss, zastanawiał się coraz bardziej, na czym polega potęga i magia tego wielkiego Ogiona. Gdy bowiem padało, Ogion nie próbował nawet odegnać ulewy zaklęciem znanym każdemu zaklinaczowi pogody. W kraju takim jak Gont czy Enlady, gdzie gęsto od czarowników, można nieraz widzieć chmurę deszczową błądzącą wolno z miejsca na miejsce w różnych kierunkach, przetaczaną przez jedno zaklęcie ku następnemu, aż wreszcie zostanie wypchnięta nad morze, gdzie może się spokojnie wypadać. Natomiast Ogion pozwalał deszczowi padać tam, gdzie padał. Znajdował grubą jodłę i układał się pod nią. Ged przykucał wśród ociekających wodą krzaków, mokry i markotny, zadając sobie pytanie, co za pożytek z posiadania mocy, jeśli jest się zbyt mądrym, aby z niej korzystać; żałował, że nie poszedł terminować do owego starego zaklinacza pogody z doliny, u którego przynajmniej można byłoby spać w suchym odzieniu. Nie wypowiadał na głos żadnej ze swych myśli. Nie mówił ani słowa. Jego mistrz uśmiechał się i wśród deszczu zapadał w sen.

Gdy zbliżał się Powrót Słońca i pierwsze obfite śniegi zaczynały padać na wyżynach wyspy Gont, przybyli do Re Albi, miejsca zamieszkania Ogiona. Re Albi to miasteczko na wysokim skalistym grzbiecie Overfell, a nazwa jego oznacza Sokole Gniazdo. Można z niego ujrzeć daleko w dole głęboką przystań i wieże Portu Gont oraz statki wpływające i wypływające zeń pomiędzy Zbrojnymi Urwiskami, stanowiącymi wejście do zatoki; a daleko na zachodzie dają się dostrzec ponad morzem błękitne wzgórza wyspy Oranea, najdalej wysuniętej na wschód spośród Wysp Wewnętrznych.

Dom maga, choć obszerny i zbudowany z tęgich bali, mający wewnątrz nie palenisko, lecz kominek i dymnik, przypominał raczej chaty z wioski Dziesięć Olch: stanowił cały jedną izbę, z dobudowaną z boku komórką dla kóz. W zachodniej ścianie izby była alkowa,

w której sypiał Ged. Nad jego legowiskiem znajdowało się okno z widokiem na morze, ale najczęściej okiennice musiały być zamknięte, bo przez całą zimę silne wichry dęły z zachodu i północy. W mrocznym cieple tego domu Ged spędził zimę, słysząc na dworze szum deszczu i wiatru albo ciszę padającego śniegu oraz ucząc się pisania i czytania Sześciuset Runów Hardyckich. Rad był bardzo, że zgłębia tę wiedzę, albowiem bez niej samo tylko zwyczajne uczenie się na pamięć czarów i zaklęć nie pozwala nikomu osiągnąć prawdziwej biegłości w czarnoksięstwie. Hardyckie narzecze Archipelagu nie ma wprawdzie w sobie więcej magicznej mocy niż jakikolwiek inny język ludzki, ale swymi korzeniami sięga Dawnej Mowy, owego języka, w którym rzeczy nazywa się ich prawdziwymi imionami, a droga wiodąca do zrozumienia tej mowy zaczyna się od runów, które zapisano, gdy wyspy świata po raz pierwszy wynurzyły się z morza.

Nie zdarzały się jednak żadne cuda ani czary. Przez całą zimę nie było niczego poza odwracaniem ciężkich stronic Księgi runów, poza deszczem i śniegiem; a Ogion wchodził do izby, wracając z włóczęgi po lodowatych lasach albo od doglądania kóz, tupał, aby otrząsnąć śnieg z butów, i siadał w milczeniu przy ogniu. I długie, zasłuchane milczenie maga napełniało izbę, napełniało myśli Geda, aż zdawało się czasami, że zapomniał, jak brzmią słowa; i gdy Ogion odzywał się wreszcie, było tak, jak gdyby właśnie w tym momencie i po raz pierwszy wynalazł mowę. Mimo to słowa, które wymawiał, nie dotyczyły wielkich spraw, lecz obracały się jedynie wokół prostych rzeczy – chleba i wody, pogody i snu.

Gdy nadeszła rychła i pełna światła wiosna, Ogion często wysyłał Geda na zbieranie ziół na łąkach ponad Re Albi i pozwalał mu zajmować się tym, jak długo miał ochotę; Ged mógł swobodnie spędzać cały dzień na wędrowaniu brzegiem wezbranych od deszczu potoków, poprzez las, po wilgotnych zielonych polach skąpanych w słońcu. Za każdym razem szedł z radością i zostawał na dworze do późnego wieczora; lecz nie zapomniał całkiem i o ziołach. Wypatrywał ich, gdy się wspinał, włóczył, brnął przez potoki i zagłębiał w gąszcze, i nigdy nie powracał z pustymi rękami.

Kiedyś trafił na łąkę pomiędzy dwoma strumieniami, gdzie rósł gęsto kwiat zwany białym świątkiem, a ponieważ kwiecie to jest rzadkie i cenione przez znachorów, powrócił tam następnego dnia. Na łące był już ktoś inny, dziewczyna, którą znał z widzenia jako córkę starego władcy Re Albi. Nie odezwałby się do niej, ale dziewczyna podeszła doń i pozdrowiła go miło:

– Znam ciebie, jesteś Krogulec, uczeń naszego maga. Opowiedz mi o czarach, dobrze?

Patrzył w dół na białe kwiaty, które muskały jej białą spódnicę, i z początku, onieśmielony i pochmurny, ledwie odpowiadał. Ona mówiła jednak dalej, w otwarty, beztroski i kapryśny sposób, który po trochu pozwolił mu wyzbyć się skrępowania. Była wysoką dziewczyną mniej więcej w jego wieku, bardzo bladą, o skórze niemal białej; jej matka, jak mówiono w wiosce, pochodziła z Osskil czy z innej obcej krainy. Włosy dziewczyny, długie i proste, spadały jak czarny wodospad. Ged uważał, że jest bardzo brzydka, ale czuł pragnienie podobania się jej, zyskania jej podziwu, i pragnienie to narastało w nim w trakcie rozmowy. Dziewczyna skłoniła go, aby opowiedział całą historię swoich sztuczek z mgłą, która pokonała kargijskich wojowników, i słuchała go chyba pełna zdumienia i podziwu, ale nie pochwaliła ani słowem. A zaraz potem skierowała rozmowę na inne tory, pytając:

– Czy potrafisz przywołać do siebie ptaki i zwierzęta?

– Potrafię – odpowiedział Ged.

Wiedział, że w urwisku nad łąką kryje się gniazdo sokoła, i przywołał ptaka po imieniu. Sokół przyfrunął, ale nie chciał usiąść na przegubie Geda, zapewne spłoszony obecnością dziewczyny. Skwirzył i bił powietrze szerokimi pręgowanymi skrzydłami, po czym wzbił się w górę w podmuchach wiatru.

– Jak się nazywa ten rodzaj czarów, który każe przyfrunąć sokołowi?

– Zaklęcie Przywołania.

– A czy potrafisz też przywołać do siebie duchy zmarłych?

Pomyślał, że tym pytaniem dziewczyna natrząsa się z niego, ponieważ sokół nie był w pełni posłuszny jego wezwaniom. Nie zamierzał pozwolić jej na drwiny.

– Mógłbym, gdybym zechciał – odparł spokojnie.

– Czy przywołanie ducha nie jest bardzo trudne, bardzo niebezpieczne?

– Trudne, owszem. Niebezpieczne? – Wzruszył ramionami. Tym razem był prawie pewien, że w jej oczach jest podziw.

– A czy umiesz rzucać uroki miłosne?

– Do tego nie trzeba wielkiej biegłości.

– To prawda – zgodziła się – każda wiejska czarownica to umie. A czy potrafisz czynić czary Przemiany? Czy umiesz odmienić swą własną postać, jak to podobno czynią czarnoksiężnicy?

Znowu nie był całkiem pewien, czy dziewczyna nie naigrawa się zeń tym pytaniem, odpowiedział więc ponownie:

– Mógłbym to zrobić, gdybym zechciał.

Zaczęła go usilnie prosić, aby przeistoczył się w cokolwiek zechce – w jastrzębia, w byka, w ogień, w drzewo. Zbył ją kilkoma tajemniczymi słowami, jakich używał jego mistrz, ale nie umiał odmówić stanowczo, kiedy zaczęła się doń przymilać; zresztą nie wiedział, czy sam wierzy w swoje przechwałki, czy też nie. Pożegnał się z nią, mówiąc, że mag, jego mistrz, czeka na niego w domu, nazajutrz zaś nie powrócił na łąkę. Ale dzień później przyszedł znowu, mówiąc sobie, że powinien narwać więcej kwiatów, póki jeszcze kwitną. Dziewczyna była na łące; wspólnie brnęli na bosaka przez podmokłą trawę, rwąc ciężkie kwiaty białego świątka. Świeciło wiosenne słońce i dziewczyna rozmawiała z Gedem wesoło jak pierwsza lepsza młoda pasterka z jego rodzinnej wsi. Pytała go znów o czary i słuchała z szeroko otwartymi oczami wszystkiego, co opowiadał, tak że ponownie zaczął się przechwalać. Wtedy spytała go, czy nie uczyniłby czaru Przemiany, a gdy próbował ją zbyć, spojrzała na niego, odgarniając z twarzy czarne włosy, i zapytała:

– Boisz się to zrobić?

– Nie, nie boję się.

Uśmiechnęła się z odrobiną lekceważenia.

– Jesteś chyba za młody.

Tego już nie mógł ścierpieć. Postanowił, że pokaże jej, co jest wart. Powiedział dziewczynie, aby przyszła jutro znowu na łąkę, jeśli

ma ochotę, w ten sposób pożegnał się z nią i wrócił do domu, w którym jego mistrza jeszcze nie było. Ged podszedł wprost do półki i zdjął z niej dwie Księgi Wiedzy, których Ogion nigdy jeszcze nie otworzył w jego obecności.

Poszukiwał zaklęcia Samoprzemienienia, ale ponieważ czytanie runów szło mu jeszcze wolno i mało co rozumiał, nie mógł znaleźć tego, czego szukał. Księgi te były bardzo stare. Ogion odziedziczył je po swoim mistrzu Helecie Proroku, a Heleth po swoim mistrzu – magu z Perregalu, i tak dalej wstecz aż do mitycznych czasów. Pismo było drobne i osobliwe; między wierszami tłoczyły się dopiski poczynione przez liczne ręce, które teraz wszystkie były prochem. Mimo to Ged rozumiał gdzieniegdzie coś z tego, co usiłował czytać, i mając wciąż w pamięci pytania i szyderstwa dziewczyny, zatrzymał się na stronicy, która zawierała zaklęcie przywołujące duchy zmarłych.

Gdy czytał, odcyfrowując jeden po drugim runy i znaki, opanowywała go trwoga. Utkwił oczy w stronicy i nie był w stanie ich podnieść, dopóki nie przeczytał całego zaklęcia do końca.

Potem, podnosząc głowę, ujrzał, że w domu jest ciemno. Czytał przed chwilą bez żadnego światła, w ciemności. Teraz zaś nie mógł odczytać runów, gdy spuścił wzrok na księgę. Trwoga wciąż w nim rosła; nie mógł wstać z krzesła, jak gdyby strach go spętał. Było mu zimno. Oglądając się przez ramię, dostrzegł, że obok zamkniętych drzwi coś się kuli, jakaś bezkształtna bryła cienia ciemniejszego niż ciemność. Zdawało mu się, że cień sięga w jego stronę, że szepcze, że szeptem coś do niego woła; nie mógł jednak zrozumieć słów.

Nagle drzwi rozwarły się na oścież. Pojawił się w nich człowiek otoczony jaskrawym białym światłem, wielka jasna postać, która przemówiła głośno, gwałtownie i niespodziewanie. Ciemność się rozwiała, szepty ustały.

Trwoga opuściła Geda, ale wciąż jeszcze był śmiertelnie wylękniony, albowiem to mag Ogion stał w drzwiach otoczony jasnością, a dębowa laska w jego dłoni płonęła białym blaskiem.

Nie mówiąc ani słowa, mag przeszedł obok Geda, zapalił lampę i odłożył księgi na półkę. Potem obrócił się do chłopca i rzekł:

– Nie wolno ci nigdy używać tego zaklęcia, chyba żeby ci groziła utrata mocy i życia. Czy to dla tego zaklęcia otwarłeś księgi?

– Nie, mistrzu – wymamrotał chłopak i pełen wstydu opowiedział Ogionowi, czego i z jakiej przyczyny poszukiwał.

– Czy nie pamiętasz, co ci mówiłem – że matka tej dziewczyny, małżonka władcy, jest czarownicą?

W istocie, Ogion kiedyś to powiedział, ale Ged nie zwrócił wtedy na to uwagi, choć od obecnej chwili wiedział już, że Ogion nigdy nie mówi mu niczego, jeśli nie ma po temu istotnego powodu.

– Sama dziewczyna jest już na wpół czarownicą. Być może to matka przysłała ją, aby z tobą porozmawiała. Być może to ona otwarła księgę na stronicy, którą czytałeś. Moce, którym ona służy, nie są tymi, którym służę ja; nie znam jej zamiarów, ale wiem, że nie życzy mi dobrze. Ged, posłuchaj mnie teraz. Czy nigdy nie pomyślałeś, że tak jak cień musi otaczać światło, tak samo niebezpieczeństwo musi otaczać czarnoksięską moc? Te czary to nie gra, w którą się bawimy dla przyjemności albo własnej chwały. Pomyśl o tym, że każde słowo, każde działanie naszej sztuki wypowiadamy i wprowadzamy w ruch na korzyść albo dobra, albo zła. Zanim przemówisz albo uczynisz cokolwiek, musisz znać cenę, jaką trzeba zapłacić.

Zdjęty wstydem Ged zakrzyknął:

– Jakże mam znać te sprawy, skoro mnie niczego nie uczysz? Od czasu, gdy żyję przy tobie, niczego nie zrobiłem, nie zobaczyłem...

– Teraz coś zobaczyłeś – odparł mag. – Przy drzwiach, w ciemności, wtedy gdy wszedłem.

Ged milczał.

Ogion ukląkł, ułożył drwa w kominku i rozniecił ogień, gdyż w domu było zimno. Potem, wciąż klęcząc, rzekł swym spokojnym tonem:

– Gedzie, mój młody sokole, nikt cię nie zmusza, abyś przebywał ze mną lub mi służył. Nie ty przyszedłeś do mnie, lecz ja do ciebie. Jesteś bardzo młody jak na taki wybór, ale nie mogę go uczynić za ciebie. Jeśli sobie życzysz, wyślę cię na wyspę Roke, gdzie nauczają wszystkich wysokich kunsztów. Nauczysz się każdego

kunsztu, jakiego się podejmiesz, gdyż twoja moc jest wielka. Większa nawet, mam nadzieję, niż twoja pycha. Zatrzymałem cię tu przy sobie, posiadam bowiem to, czego tobie brakuje, ale nie będę cię zatrzymywał wbrew twej woli. Wybieraj więc teraz między Re Albi a Roke.

Ged stał bez słowa, serce tłukło mu się w piersi. Zdążył już przecież pokochać Ogiona, tego wyzbytego gniewu człowieka, który uzdrowił go dotknięciem; kochał go i aż do tej pory nie wiedział o tym. Spojrzał na dębową laskę opartą w kącie przy kominku, przypominając sobie jej blask, który wypłoszył z mroku złego ducha, i zapragnął pozostać z Ogionem, aby iść wraz z nim przez lasy w długiej i dalekiej wędrówce, ucząc się sztuki milczenia. Jednakże odzywały się w nim inne pragnienia, które nie dawały się uciszyć: żądza sławy, chęć czynu. Pozostanie z Ogionem oznaczało długą drogę ku czarnoksięskiemu mistrzostwu, powolny marsz bocznymi ścieżkami, a przecież mógł pożeglować z morskim wiatrem wprost na Morze Najgłębsze, na Wyspę Mędrców, gdzie powietrze rozświetlają czary i gdzie Arcymag przechadza się pośród cudów.

– Mistrzu – powiedział Ged – popłynę na Roke.

Tak więc parę dni później, w słoneczny wiosenny poranek, Ogion schodził wraz z nim spadzistą drogą wiodącą z Overfell do odległego o piętnaście mil Wielkiego Portu Gont. Tam, przy bramie strzeżonej z obu stron przez rzeźbione smoki, strażnicy z miasta Gont na widok maga przyklękli z obnażonymi mieczami w dłoniach i pozdrowili go. Znali Ogiona i oddawali mu cześć na rozkaz księcia oraz z własnej woli, gdyż dziesięć lat wstecz Ogion uratował miasto przed trzęsieniem ziemi, które mogło obalić w gruzy wieże należące do zamożnych mieszkańców i zasypać lawiną kanał pomiędzy Zbrojnymi Urwiskami. Ogion przemówił wtedy do góry Gont, uciszając ją, i uśmierzył dygoczące przepaście Overfell, tak jak uspokaja się przerażone zwierzę. Ged słyszał niegdyś opowieści o tym zdarzeniu i wspominał je teraz, patrząc z podziwem, jak uzbrojeni strażnicy klękają przed jego łagodnym mistrzem. Podniósł wzrok prawie ze strachem na tego człowieka, który powstrzymał trzęsienie ziemi, ale twarz Ogiona była łagodna jak zawsze.

Zeszli na nabrzeże, gdzie zarządca portu zjawił się pospiesznie na przywitanie Ogiona i zapytał, czym może mu służyć. Mag wyjaśnił mu, w czym rzecz, zarządca zaś od razu wymienił mający wyruszyć na Morze Najgłębsze statek, na którego pokładzie Ged mógł płynąć jako pasażer.

– Lub też wezmą go jako wywoływacza wiatru – dodał – jeśli posiada tę umiejętność. Nie mają na pokładzie zaklinacza pogody.

– Chłopak ma trochę wprawy, jeżeli chodzi o mgłę, ale nie zna się na wiatrach morskich – odpowiedział mag, kładąc lekko dłoń na ramieniu Geda. – Nie próbuj żadnych sztuczek z morzem i morskimi wiatrami, Krogulcze; jesteś jeszcze szczurem lądowym. Jak nazywa się ten okręt, zarządco?

– „Cień", płynie z Andradów do miasta Hort z ładunkiem futer i wyrobów z kości słoniowej. To dobry statek, mistrzu Ogionie.

Twarz maga pociemniała na dźwięk nazwy statku, ale rzekł:

– Niech tak będzie. Oddaj to pismo przełożonemu szkoły na wyspie Roke, Krogulcze. Pomyślnych wiatrów. Żegnaj!

Takie było ich rozstanie. Mag się odwrócił i krocząc w górę ulicy, odszedł z nadbrzeża. Ged stał samotnie i spoglądał za odchodzącym mistrzem.

– Chodź ze mną, chłopcze – odezwał się zarządca portu i poprowadził go przez opadające ku morzu nadbrzeże do mola, przy którym „Cień" przysposabiał się do rejsu.

Mogłoby wydawać się dziwne, że na wyspie szerokości pięćdziesięciu mil, w wiosce u stóp urwisk wiecznie wpatrzonych w morze, dziecko może dorosnąć do wieku męskiego, nie stanąwszy nigdy w łodzi i ani razu nie zanurzywszy palca w słonej wodzie – ale tak bywa. Rolnik, pasterz kóz czy bydła, myśliwy albo rzemieślnik – mieszkaniec lądu patrzy na ocean jak na słony, rozkołysany obszar, który nie ma z nim w ogóle nic wspólnego. Wioska oddalona od jego wsi o dwa dni marszu jest obcym krajem, wyspa zaś odległa o dzień żeglugi od jego wyspy to już tylko legenda, mgliste wzgórza widoczne za wodą, nie stały ląd, po którym on sam stąpa.

Tak też i dla Geda, który nigdy dotąd nie zszedł z wyżyn górskich, Port Gont był miejscem groźnym i cudownym – wielkie domy i wieże z ciosanego kamienia, nadbrzeże, na które składały się mola, doki,

baseny i miejsca do cumowania, przystań, gdzie pół setki łodzi i galer kołysało się przy brzegu, leżało na nim do góry dnem do naprawy albo stało zakotwiczone na redzie ze zwiniętymi żaglami i zamkniętymi otworami na wiosła; żeglarze pokrzykiwali w dziwnych narzeczach, objuczeni robotnicy portowi spieszyli pomiędzy baryłkami, skrzyniami, zwojami lin i ułożonymi w kozły wiosłami, brodaci kupcy w podbitych futrem szatach rozmawiali półgłosem i stąpali ostrożnie po śliskich nadbrzeżnych kamieniach, rybacy wyładowywali swój połów, bednarze wyklepywali obręcze; byli też walący młotami szkutnicy i śpiewający sprzedawcy małżów, i wydzierający się szyprowie, a poza tym wszystkim cicha, jaśniejąca zatoka. Mając oczy, uszy i myśli pełne oszołomienia, Ged zmierzał w ślad za zarządcą portu do obszernego doku, gdzie przycumowany był „Cień". Zarządca przyprowadził go do kapitana statku.

Nie mówiąc wiele, kapitan zgodził się zabrać Geda jako pasażera na wyspę Roke, jako że prosił o to sam mag; zarządca portu zostawił więc chłopca u niego. Kapitan „Cienia" był mężczyzną dużym i grubym, odzianym w czerwony płaszcz oblamowany futrem z pellawi, taki jakie noszą kupcy z Wysp Andradzkich. Nie spojrzał ani razu na Geda, ale zapytał go władczym tonem:

– Czy potrafisz zaklinać pogodę, chłopcze?

– Potrafię.

– A wywoływać wiatr?

Musiał się przyznać, że nie umie, po czym kapitan przykazał mu, żeby znalazł sobie jakieś miejsce na uboczu i nie ruszał się stamtąd.

Wioślarze wchodzili właśnie na pokład, gdyż statek miał wypłynąć na redę przed zapadnięciem zmierzchu i pożeglować z odpływem, gdy zacznie się świt. Żadnego miejsca na uboczu nie było, ale Ged wspiął się jak umiał na obwiązany linami, przymocowany do pokładu i przykryty skórami ładunek na rufie statku i przylgnąwszy do niego, przyglądał się wszystkiemu, co działo się naokoło. Na pokład wskakiwali wioślarze, silni mężczyźni o potężnych ramionach, podczas gdy robotnicy portowi napełniali dok łoskotem przetaczanych baryłek z wodą, które ustawiali pod ławkami wioślarzy. Kształtny statek osiadł nisko, objuczony ciężarem; gotów do drogi, kołysał się lekko na chlupoczących przybrzeżnych falach.

Sternik zajął miejsce na rufie, po prawej stronie stewy, czekając na kapitana, który stał na desce wpuszczonej w spojenie stępki z dziobnicą wyrzeźbioną w kształt Starego Węża Andradzkiego. Kapitan potężnym rykiem wydawał rozkazy; „Cień" został odcumowany i wypłynął daleko z doków, holowany z mozołem przez dwie łodzie wiosłowe. Wtedy ryk szypra oznajmił: „Otworzyć luki!" – i wysunęły się ze stukotem wielkie wiosła, po piętnaście z każdej burty. Wioślarze pochylali swoje mocne plecy do taktu wybijanego na bębnie przez chłopaka, który siedział na górze obok kapitana. Statek sunął teraz lekko jak mewa wiosłująca skrzydłami, a szum i harmider miasta ustały nagle gdzieś z tyłu. Wypłynęli w ciszę wód zatoki, a ponad nimi wznosił się wysoki wierzchołek góry, jak gdyby wiszący ponad morzem. W płytkiej zatoczce po zawietrznej stronie południowego Zbrojnego Urwiska zarzucili kotwicę i stali tam przez noc.

Z siedemdziesięciu członków załogi statku niektórzy byli, tak jak Ged, bardzo młodzi, choć wszyscy odbyli już swoje przejście w wiek męski. Chłopcy ci przywołali Geda, aby podzielić się z nim jadłem i napojem; odnosili się doń przyjaźnie, choć szorstko i z mnóstwem żartów i kpinek. Przezwali go oczywiście Kozim Pastuchem, bo pochodził z Gontu, ale nie pozwalali sobie na więcej. Ged był wysoki i silny jak na piętnastolatka oraz równie skory do rewanżowania się dobrym słowem, jak drwiną; przyjął się więc wśród nich i już tej pierwszej nocy zaczął żyć ich życiem, ucząc się ich pracy. Odpowiadało to oficerom statku, na pokładzie nie było bowiem miejsca dla bezczynnych pasażerów.

Miejsca ledwie starczyło dla załogi i nie było zupełnie wygód na tej pozbawionej ozdób galerze, zapchanej ludźmi, sprzętami i ładunkiem; lecz cóż znaczyły wygody dla Geda? Leżał tej nocy między obwiązanymi powrozem zwojami skór z północnych wysp, przyglądał się wiosennym gwiazdom ponad wodami portu i żółtym światełkom miasta za rufą; zasnął i obudził się znowu, pełen zachwytu. Przed świtem zaczął się odpływ. Podnieśli kotwicę i wypłynęli, wiosłując lekko pomiędzy Zbrojnymi Urwiskami. Gdy wschód słońca zarumienił górę Gont za nimi, podnieśli wielki żagiel i pomknęli po Morzu Gontyjskim w kierunku południowo-zachodnim.

Przepłynęli z lekkim wiatrem pomiędzy wyspami Barnisk i Torheven i na drugi dzień w zasięgu ich wzroku ukazał się Havnor, Wielka Wyspa, serce Archipelagu. Przez trzy dni widzieli na horyzoncie zielone wzgórza Havnoru, przesuwając się wzdłuż jego wschodniego wybrzeża, ale nie przybijając do brzegu. Wiele lat miało jeszcze upłynąć, zanim Ged postawi stopę na tym lądzie i zanim ujrzy białe wieże Wielkiego Portu Havnoru wznoszące się w samym środku świata.

Stanęli na jedną noc w Ujściu Kember, północnym porcie wyspy Way, następnej nocy zarzucili kotwicę koło miasteczka u wejścia do zatoki Felkway, nazajutrz zaś minęli północny przylądek wyspy O i wpłynęli do cieśniny Ebavnor. Tam zwinęli żagiel i powiosłowali, mając stale ląd z obu boków, a w zasięgu głosu wciąż inne statki, wielkie i małe, należące do bogatych kupców i drobnych handlarzy, niektóre płynące z Zewnętrznych Rubieży z egzotycznym ładunkiem po trwającym całe lata rejsie, i inne, które przeskakiwały jak wróble z wyspy na wyspę Morza Najgłębszego. Wypływając z zatłoczonej cieśniny i skręcając na południe, zostawili za rufą Havnor i pożeglowali pomiędzy dwiema pięknymi wyspami Ark i Ilien, upstrzonymi wieżami i tarasami miast, a potem zaczęli, poprzez deszcz i coraz silniejszy wiatr, przebijać się Morzem Najgłębszym w stronę wyspy Roke.

W nocy, gdy wiatr pochłodniał i nastał sztorm, spuścili zarówno żagiel, jak i maszt i nazajutrz przez cały dzień wiosłowali. Długi statek leżał pewnie na falach i dzielnie sunął przed siebie, ale sternik przy długim wiośle sterowym na rufie wpatrywał się w deszcz siekący morze i nie widział nic prócz deszczu. Płynęli na południowy zachód za wskazówką kompasu, wiedząc, w jakim kierunku płyną, ale nie wiedząc, przez jakie wody. Ged słyszał, jak ludzie mówią o mieliznach na północ od Roke i Skałach Borylskich na wschodzie; inni utrzymywali, że statek mógł przez ten czas znacznie zboczyć z kursu i zbłądzić na puste wody na południe od wyspy Kamery. Wiatr wciąż się nasilał, rozrywając grzbiety wielkich fal w lotne strzępy piany, a oni niezmiennie wiosłowali z wiatrem na południowy zachód. Czas pracy jednej zmiany przy wiosłach został skrócony, bo robota była bardzo ciężka; młodszych chłopaków posadzono

po dwu przy jednym wiośle i Ged wykonywał swoją część pracy wraz z innymi, tak jak to czynił, odkąd opuścił Gont. Kiedy nie pracowali przy wiosłach, wylewali czerpakami wodę, bałwany bowiem załamywały się całym ciężarem na statku. Tak sunęli z trudem pośród fal, które wiatr pędził jak dymiące góry, podczas gdy ostry, zimny deszcz siekł plecy wioślarzy, a łoskot bębna niósł się przez szum sztormu jak bicie serca.

Jeden z mężczyzn podszedł, aby zmienić Geda przy wiośle, i posłał go do kapitana na dziób. Woda deszczowa ściekała z oblamowania płaszcza kapitana, ale on mimo to stał, przysadzisty jak beczka wina, na swoim kawałku pokładu; spoglądając z góry na Geda, spytał:

– Czy potrafisz uśmierzyć ten wiatr, chłopcze?

– Nie, panie.

– Czy znasz się na sztukach z żelazem?

Chciał w ten sposób spytać, czy Ged mógłby zmusić igłę kompasu, aby wskazywała im drogę ku Roke, czyniąc tak, że magnes kierowałby się nie ku północy, ale wedle ich potrzeby. Ta umiejętność jest tajemnicą mistrzów morskich, więc Ged znów musiał odpowiedzieć przecząco.

– W takim razie – ryknął kapitan przez wiatr i deszcz – musisz znaleźć jakiś statek, który cię zabierze na Roke z miasta Hort. Roke jest teraz pewnie na zachód od nas i tylko czary mogłyby nas tam zaprowadzić poprzez to morze. Musimy trzymać kurs na południe.

Gedowi nie spodobało się to, słyszał bowiem opowieści żeglarzy o Hort jako mieście bezprawia i zła; chwytano tam często ludzi i sprzedawano w niewolę na Południowe Rubieże. Powróciwszy do pracy przy wiośle, ciągnął je z całych sił wraz ze swym towarzyszem, krzepkim chłopakiem z Andradów, słyszał wybijający rytm bęben i widział zawieszoną na rufie latarnię, jak huśtała się i mrugała, gdy wiatr szarpał ją na wszystkie strony, udręczoną plamkę światła w chłostanym przez deszcz zmierzchu. Spoglądał wciąż na zachód, tak często, jak mu na to pozwalał ciężki rytm ciągnięcia wiosła. I gdy statek podniósł się na wzbierającej wysoko fali, Ged ujrzał przez chwilę nad ciemną, dymiącą wodą światło między chmurami, jak gdyby ostatni błysk zachodzącego słońca; ale było to jasne światło, nie czerwone.

Jego sąsiad przy wiośle tego nie dostrzegł, lecz Ged zawołał na cały głos, że widzi światło. Sternik wypatrywał go teraz przy każdym spiętrzeniu się wielkich fal i dostrzegł światło, w chwili gdy Ged ujrzał je znowu, ale odkrzyknął, że to tylko zachodzące słońce. Wtedy Ged zawołał jednego z chłopaków, który czerpał i wylewał wodę, aby zajął na chwilę jego miejsce przy wiośle, a sam znów pobrnął naprzód zatarasowanym przejściem między ławami i, chwytając za rzeźbiony dziób, aby nie zostać zmytym za burtę, wykrzyknął do szypra:

– Kapitanie! To światło na zachodzie to wyspa Roke!

– Nie widziałem żadnego światła! – ryknął szyper, ale właśnie gdy to mówił, Ged wyrzucił przed siebie ramię wskazującym ruchem i wszyscy ujrzeli światło migoczące jasno na zachodzie ponad falującym pędem i tumultem morza.

Nie przez wzgląd na swego pasażera, lecz aby uratować statek przed niebezpieczeństwem sztormu, kapitan natychmiast rozkazał sternikowi brać kurs na zachód, w stronę światła. Rzekł jednak do Geda:

– Chłopcze, gadasz niczym mistrz morski, ale powiadam ci, jeśli wskazujesz nam w tej niepogodzie złą drogę, wyrzucę cię za burtę, abyś sam płynął na Roke!

Zamiast uciekać przed sztormem, musieli teraz wiosłować w poprzek kierunku wiatru. Było to trudne; fale, bijąc w trawersujący statek, spychały go wciąż na południe z nowo obranego kursu, rzucały statkiem i napełniały go wodą, toteż czerpać trzeba było bez ustanku, a wioślarze musieli uważać, żeby przy bocznym kołysaniu statku pociągnięcia wiosłami nie wynurzały ich z wody i w ten sposób nie rzucały ich między ławy. Pod burzowymi chmurami było prawie ciemno, ale od czasu do czasu dostrzegali na zachodzie światło, dość wyraźne, aby brać na nie kurs, i tak borykali się dalej. Nareszcie wiatr osłabł trochę i światło przed nimi rozrosło się wszerz. Wiosłowali wciąż, gdy, jakby przechodząc przez zasłonę, pomiędzy jednym a drugim pociągnięciem wioseł, przepłynęli ze strefy sztormu w czyste powietrze, gdzie poświata po zachodzie słońca jarzyła się na niebie i morzu. Ponad zwieńczonymi pianą falami ujrzeli w niezbyt wielkiej odległości wysokie, okrągłe i zielone wzgórze, a pod nim

miasto rozłożone na brzegu zatoczki, w której stały na kotwicy łodzie, wszystkie nieporuszone.

Sternik, wsparty o swoje długie wiosło, pokręcił głową i zawołał:

– Kapitanie! Czy to prawdziwy ląd, czy sztuczka czarownika?

– Trzymaj kurs, tępa pało! Wiosłować, wy mięczaki, synowie niewolników! To zatoka Thwil i Pagórek Roke, każdy dureń by je poznał! Wiosłować!

I tak przy biciu bębna powiosłowali, znużeni, w głąb zatoki. Było tam tak cicho, że mogli słyszeć głosy ludzi w mieście i dźwięk dzwonu, a tylko gdzieś hen, daleko, świst i huk sztormu. Ciemne chmury wisiały na północy, na wschodzie, na południu, wokół całej wyspy, oddalone o milę od brzegów. Ale nad Roke jedna po drugiej wschodziły gwiazdy na jasnym i spokojnym niebie.

3

Szkoła czarnoksiężników

Ged spał tej nocy na pokładzie „Cienia”; wczesnym rankiem rozstał się ze swymi pierwszymi w życiu towarzyszami żeglugi, a oni życzyli mu powodzenia, wołając wesoło w ślad za nim, gdy szedł w górę portu. Miasteczko Thwil nie jest duże, jego wysokie domy tłoczą się ponad kilkoma spadzistymi, wąskimi uliczkami. Gedowi jednak wydawało się wielkim miastem; nie wiedząc, dokąd pójść, zapytał pierwszego napotkanego mieszkańca Thwil, gdzie można znaleźć przełożonego szkoły na wyspie Roke. Człowiek popatrzył nań przez chwilę z ukosa i odparł: „Mądrzy nie muszą pytać, głupiec pyta na próżno” – po czym ruszył dalej ulicą. Ged poszedł pod górę, aż wreszcie znalazł się na placu obramowanym z trzech stron przez domy o spadzistych łupkowatych dachach, a z czwartej przez ścianę wielkiego budynku, którego nieliczne i małe okna znajdowały się wyżej niż szczyty kominów na domach; robiło to wrażenie fortecy lub zamku zbudowanego z potężnych szarych bloków kamiennych. Na placu u stóp budynku rozstawione były targowe stragany, wokół których kręciło się trochę ludzi. Ged zadał swoje pytanie starej kobiecie z koszem pełnym małżów, a ona odparła: „Nie zawsze można znaleźć przełożonego tam, gdzie jest, ale czasem znajduje się go tam, gdzie go nie ma” – i dalej zachwalała krzykiem swoje małże.

W wielkim budynku, tuż przy jednym z węgłów, widniały skromne drewniane drzwiczki. Ged podszedł do nich i głośno zastukał.

Starcowi, który otworzył drzwi, powiedział:

– Mam list od maga Ogiona z Gontu do przełożonego szkoły na tej wyspie. Chcę znaleźć przełożonego, ale nie mam już zamiaru słuchać zagadek i kpin!

– To właśnie jest szkoła – odparł starzec łagodnie. – Jestem odźwiernym. Wejdź, jeśli potrafisz.

Ged zrobił krok naprzód. Wydawało mu się, że przeszedł próg; jednakże stał wciąż na chodniku na dworze, tam gdzie przedtem.

Raz jeszcze uczynił krok naprzód i raz jeszcze pozostał przed drzwiami. Odźwierny, stojąc wewnątrz, przyglądał mu się łagodnymi oczami.

Ged był nie tyle zmieszany, ile wściekły, bo wyglądało to na dalsze naigrawanie się z niego. Głosem i gestem uczynił zaklęcie Otwierania, którego kiedyś, dawno temu, nauczyła go ciotka; z całego jej zasobu uroków ten był najcenniejszy i Ged wykonał go teraz jak należy. Lecz była to sztuczka wiejskiej czarownicy i moc, która ogarniała wejście szkoły, pozostała nieporuszona.

Kiedy zaklęcie zawiodło, Ged stał długą chwilę na chodniku. Wreszcie spojrzał na starca, który czekał w środku.

– Nie mogę wejść – powiedział niechętnie – chyba że mi pomożesz.

Odźwierny odparł:

– Wymów swoje imię.

Ged znów stał przez chwilę bez ruchu, albowiem mężczyzna nigdy nie wymawia głośno swego imienia, dopóki nic nie zagraża jego życiu.

– Jestem Ged – powiedział głośno. Potem, robiąc krok naprzód, wszedł w otwarte drzwi. Zdawało mu się tylko, że choć światło miał za sobą, cień, podążając za nim, kładł się z tyłu.

Zobaczył też, gdy się obejrzał, że odrzwia, przez które wszedł, nie były ze zwykłego drewna, jak przedtem myślał, ale z kości pozbawionej spoin czy styków; wyrzezano je, jak się później dowiedział, z zęba wielkiego smoka. Drzwi, które starzec za nim zamknął, były z polerowanego rogu, przez który mętnie przeświecało światło dzienne, a na ich wewnętrznej płaszczyźnie wyrzeźbione było Tysiąclistne Drzewo.

– Witaj w tym domu, chłopcze – rzekł odźwierny i, nie mówiąc nic więcej, poprowadził go przez przedsionki i korytarze na otwarty dziedziniec daleko w głębi budynku. Dziedziniec był po części wyłożony kamieniem, lecz nie miał dachu; na trawniku pod młodymi drzewkami szemrała w słońcu fontanna. Tutaj Ged czekał samotnie przez jakiś czas. Stał bez ruchu i serce biło mu mocno, zdawało mu się bowiem, że czuje działające niewidocznie wokół niego istoty i moce, i wiedział, że dom ten zbudowano nie tylko z kamienia, ale i z magii mocniejszej niż kamień. Stał w najskrytszym pomieszczeniu Domu Mędrców i pomieszczenie to otwierało się ku niebu. Wtedy nagle zdał sobie sprawę, że jakiś ubrany na biało człowiek obserwuje go przez spadającą wodę fontanny.

Gdy ich oczy się spotkały, ptak zaśpiewał głośno w gałęziach drzewa. W tym momencie Ged zrozumiał śpiew ptaka, język wody spadającej do zbiornika fontanny, kształt chmury, początek i koniec wiatru poruszającego liśćmi; wydało mu się, że on sam jest słowem wypowiedzianym przez blask słońca.

Potem ów moment minął; i Ged, i świat byli tacy sami jak przedtem albo prawie tacy sami. Postąpił naprzód, aby uklęknąć przed Arcymagiem i wręczyć mu list napisany przez Ogiona.

Arcymag Nemmerle, przełożony z Roke, był stary, starszy – powiadano – niż jakikolwiek żyjący wtedy człowiek. Jego głos drżał jak głos ptaka, gdy odezwał się, witając życzliwie Geda. Włosy, broda i szata Arcymaga były białe; sprawiał wrażenie, jak gdyby powolne działanie lat wypłukało zeń całą ciemność i ciężar, tak iż stał się biały i lekki jak unoszone przez morze drewno, które sto lat kołysało się na falach.

– Mam stare oczy, nie mogę przeczytać, co pisze twój mistrz – powiedział drżącym głosem. – Przeczytaj mi ten list, chłopcze.

Ged odcyfrował więc i przeczytał na głos pismo, które złożone było z runów hardyckich i oznajmiało tylko tyle: „Nemmerle, Panie mój! Posyłam ci kogoś, kto będzie największym z czarnoksiężników gontyjskich, jeśli świst wiatru mówi prawdę”. List był podpisany przez Ogiona, ale nie jego prawdziwym imieniem, którego Ged nie poznał, lecz runą Ogiona, Zamkniętymi Ustami.

– Przysłał cię tutaj ten, kto utrzymuje w ryzach trzęsienia ziemi, bądź przeto podwójnie pozdrowiony. Młody Ogion był bliski memu sercu, gdy przybył tu z wyspy Gont. Opowiedz mi teraz o morzach i o dziwach twej podróży, chłopcze.

– Nie najgorsza podróż, panie, jeśli nie liczyć wczorajszego sztormu.

– Jaki statek przywiózł cię tutaj?

– „Cień", wiozący towary z Andradów.

– Czyja wola cię tu przysłała?

– Moja własna.

Arcymag spojrzał na Geda i odwrócił wzrok; zaczął mówić niezrozumiałym językiem, mamrocząc tak, jak czyni to bardzo stary człowiek, którego rozum błąka się pośród lat i wysp. Mimo to w jego mamrotaniu dawały się rozróżnić słowa mówiące o tym samym, o czym śpiewał ptak i o czym mówiła spadająca woda. Arcymag nie wypowiadał żadnego zaklęcia, a jednak była w jego głosie moc, która tak bardzo poruszyła duszę Geda, że chłopiec czuł się oszołomiony i przez moment zdawało mu się, iż widzi siebie stojącego na dziwnym, rozległym pustkowiu, samego pośród cieni. A jednak przez cały czas znajdował się na rozsłonecznionym dziedzińcu i słyszał plusk fontanny.

Wielki czarny ptak, kruk z Osskil, podszedł do nich, drepcząc po kamiennym tarasie i po trawie. Zbliżył się do rąbka szaty Arcymaga i stał tam, cały czarny, z dziobem jak sztylet i agatowymi oczami wpatrzonymi z ukosa w Geda. Dziobnął trzy razy w białą laskę, na której wsparty był Nemmerle. Stary czarnoksiężnik uśmiechnął się i przerwał swoje mamrotanie.

– Pobiegaj sobie i pobaw się, chłopcze – powiedział wreszcie jak do małego dziecka.

Ged przykląkł znów przed nim na jedno kolano. Gdy się podniósł, Arcymag już znikł. Tylko kruk stał nadal, przyglądając się Gedowi, z dziobem wyciągniętym, jakby chciał dziobnąć laskę, która znikła.

Wtem kruk przemówił; odezwał się mową, która wedle przypuszczeń Geda mogła być językiem Osskil.

– *Terrenon ussbuk!* – wykrakał. – *Terrenon ussbuk orrek!* – I odmaszerował wyniośle, tak jak przybył.

Ged się odwrócił, aby opuścić dziedziniec; zastanawiał się, dokąd powinien pójść. Pod arkadą natknął się na wysokiego młodzieńca, który pozdrowił go bardzo grzecznie, chyląc głowę:

– Jestem Jasper, syn Enwita z księstwa Eolg na wyspie Havnor. Jestem dziś na twe usługi; mam ci pokazać cały Wielki Dom i odpowiedzieć, jak tylko potrafię, na twe pytania. Jak mam cię zwać, mój panie?

Gedowi, wieśniakowi z gór, który nigdy przedtem nie przebywał wśród synów bogatych kupców i panów wielkiego rodu, wydawało się, że ten chłopak kpi z niego swoimi „usługami", swoim „mój panie", swoimi ukłonami i szuraniem nogami. Odparł krótko:

– Nazywają mnie Krogulcem.

Tamten odczekał chwilę, zapewne spodziewając się jakiejś układniejszej odpowiedzi; nie otrzymawszy żadnej, wyprostował się trochę i odchylił. Był dwa lub trzy lata starszy od Geda, bardzo wysoki; nosił się i poruszał ze sztywną gracją, przybierając (jak sądził Ged) pozy tancerza. Miał na sobie szary płaszcz z odrzuconym w tył kołnierzem. Pierwszym pomieszczeniem, do którego zaprowadził Geda, była garderoba, gdzie jako uczeń szkoły, Ged mógł znaleźć dla siebie podobny płaszcz na swoją miarę, a także wszelką inną odzież, jakiej by potrzebował. Wdział wybrany przez siebie ciemnoszary płaszcz, a Jasper powiedział:

– Teraz jesteś jednym z nas.

Jasper miał zwyczaj przy mówieniu ledwie widocznie się uśmiechać, w sposób, który sprawiał, że Ged doszukiwał się w jego uprzejmych słowach ukrytej drwiny.

– Czy szaty czynią z nas magów? – odparł ponuro.

– Nie – odpowiedział starszy chłopak. – Choć słyszałem, że dobre wychowanie czyni z nas ludzi. Dokąd teraz?

– Dokąd zechcesz. Nie znam tego domu.

Jasper powiódł go korytarzami Wielkiego Domu, pokazując mu otwarte podwórce i kryte dachem sale, Komnatę Półek, gdzie przechowywano Księgi Wiedzy i tomy runów, wielką Salę Kominkową, w której cała szkoła gromadziła się w dni świąteczne, i wreszcie na górze, w wieżach i na poddaszach, małe cele, gdzie spali uczniowie i mistrzowie. Cela Geda znajdowała się w Wieży

Południowej; miała okno wyglądające w dół, na spadające ku morzu strome dachy miasteczka Thwil. Podobnie jak inne sypialnie, była pozbawiona mebli, jeśli nie liczyć siennika w kącie.

– Żyjemy tu bardzo skromnie – powiedział Jasper. – Ale spodziewam się, że nie będzie ci to przeszkadzać.

– Jestem do tego przyzwyczajony. – I zaraz, próbując dorównać temu uprzejmemu i wyniosłemu młodzieńcowi, Ged dodał: – Tyś chyba nie był przyzwyczajony, kiedy zjawiłeś się tu po raz pierwszy.

Jasper spojrzał na niego, a jego spojrzenie mówiło bez słów: „Cóż ty w ogóle możesz wiedzieć o tym, do czego ja, syn władcy Księstwa Eolg na wyspie Havnor, jestem czy też nie jestem przyzwyczajony?". To, co Jasper rzekł na głos, brzmiało po prostu:

– Chodź dalej tędy.

Gdy byli na piętrze, zabrzmiał gong, zeszli więc na dół, aby spożyć południowy posiłek przy Długim Stole w refektarzu, wraz z setką lub więcej chłopców i młodzieńców. Każdy obsługiwał się sam, żartując z kucharzami przez wychodzące na refektarz okienka kuchni, ładując na swój talerz jedzenie z wielkich mis parujących na parapetach, siadając, gdzie się komu podobało, przy Długim Stole.

– Mówi się – powiedział Gedowi Jasper – że choćby nie wiem ilu siadło przy tym stole, pozostaje zawsze dosyć miejsca.

Z pewnością było tu dość miejsca zarówno dla licznych hałaśliwych, gadających i jedzących obficie grup chłopców, jak i dla starszych, ubranych w srebrne płaszcze spięte srebrną klamrą pod szyją, którzy siedzieli spokojnie, parami lub pojedynczo, z poważnymi, zadumanymi twarzami, jak gdyby mieli wiele do przemyślenia. Jasper i Ged usiedli wraz z krępym chłopakiem o imieniu Vetch, który po przedstawieniu się nie powiedział nic więcej, tylko z zapałem pakował sobie jedzenie do ust. Miał akcent ze Wschodnich Rubieży i był ciemnoskóry, nie czerwonobrązowy, jak Ged i Jasper oraz większość mieszkańców Archipelagu, lecz ciemnobrązowy. Był to prosty chłopak i jego obyczajom brakło ogłady. Posarkał trochę na obiad, kiedy skończył jeść, ale potem, zwracając się do Geda, rzekł:

– Przynajmniej nie jest złudzeniem jak tyle rzeczy tutaj naokoło, trzyma się to żeber.

Ged nie wiedział, co Vetch miał na myśli, ale poczuł do niego niejaką sympatię i rad był, kiedy po posiłku Vetch został z nimi.

Zeszli do miasta, aby Ged mógł się w nim zorientować. Uliczki Thwil były wprawdzie nieliczne i krótkie, ale kręciły się i wiły dziwacznie pomiędzy domami o wysokich dachach, toteż łatwo było zgubić drogę. Było to dziwne miasto i dziwni byli też jego mieszkańcy, rybacy, robotnicy i rzemieślnicy niczym się niewyróżniający, ale tak przyzwyczajeni do czarów, które są na porządku dziennym na Wyspie Mędrców, że sami zdawali się na wpół czarownikami. Rozmawiali (jak się już Ged wcześniej przekonał) zagadkami i żaden z nich nie mrugnąłby okiem, gdyby ujrzał chłopca przemieniającego się w rybę albo dom wzlatujący w powietrze, ale wiedząc, że to tylko figiel uczniaka, dalej łatałby buty lub siekał baraninę nieporuszony.

Mijając tylne drzwi i idąc przez ogrody dookoła Wielkiego Domu, trzej chłopcy przeszli następnie po drewnianym moście ponad czystym nurtem rzeki Thwilburn i maszerowali dalej na północ pomiędzy laskami i pastwiskami. Ścieżka wiła się i pięła w górę. Mijali dąbrowy, w których mimo całej jasności słońca leżały gęste cienie. Był jeden zagajnik, niezbyt daleko po lewej stronie, którego Ged ani razu nie mógł ujrzeć całkiem wyraźnie. Ścieżka nigdy do tego gaju nie dochodziła, choć wciąż się zdawało, że zaraz doń zaprowadzi. Ged nie potrafił nawet rozpoznać gatunku drzew. Vetch, widząc, jak Ged się wpatruje, powiedział łagodnie:

– To Wewnętrzny Gaj. Nie możemy do niego wejść... na razie...

Na gorących, skąpanych w słońcu pastwiskach kwitły żółte kwiaty.

– Iskiernik – powiedział Jasper. – Rośnie tam, gdzie wiatr rzucił popioły płonącego Ilien, gdy Erreth-Akbe obronił Wyspy Wewnętrzne przed Ognistym Władcą. – Dmuchnął w wyschniętą koronę kwiatu i nasiona wzbiły się z wiatrem, szybując w słońcu jak ogniste iskry.

Ścieżka powiodła ich w górę, okrążając podnóże wielkiego zielonego wzgórza, krągłego i pozbawionego drzew, wzgórza, które Ged widział ze statku, gdy wpływali na zaklęte wody wyspy Roke. Na zboczu Jasper przystanął.

– W domu na Havnor słyszałem wiele o gontyjskiej sztuce czarnoksięskiej i zawsze ją chwalono, toteż czekałem długi czas, aby zobaczyć, na czym polega. Teraz mamy tu Gontyjczyka i stoimy na stokach Pagórka Roke, którego korzenie zagłębiają się aż do środka ziemi. Wszystkie czary mają tu szczególną moc. Uczyń dla nas jakąś sztuczkę, Krogulcze. Pokaż nam swój styl.

Ged, zmieszany i zaskoczony, milczał.

– Później, Jasper – rzekł prosto Vetch. – Daj mu na razie spokój.

– Posiada albo umiejętności, albo moc, inaczej odźwierny by go nie wpuścił. Czemu nie miałby nam tego pokazać, równie dobrze teraz jak później? Prawda, Krogulcze?

– Posiadam i umiejętność, i moc – powiedział Ged. – Pokaż mi, o czym mówisz.

– O złudzeniach oczywiście – o sztuczkach, grze pozorów. Na przykład o tym!

Wskazując palcem, Jasper wymówił parę dziwnych słów i tam, gdzie wskazywał, na zboczu wzgórza, pociekła pomiędzy zielonymi trawami niteczka wody; po chwili urosła i już tryskało źródło, a woda zaczęła spływać ze wzgórza wartkim strumieniem. Ged zanurzył rękę w nurt i poczuł wilgoć, napił się wody i poczuł jej chłód. Mimo to woda nie gasiła pragnienia – była tylko złudzeniem. Jasper za pomocą innego słowa zatrzymał wodę i w słońcu zafalowała sucha trawa.

– Teraz ty, Vetch – powiedział ze swoim chłodnym uśmiechem.

Vetch podrapał się w głowę i spojrzał posępnie, ale wziął w dłoń grudkę ziemi i zaczął śpiewać nad nią niemelodyjnie, urabiając ją swymi ciemnymi palcami, kształtując ją, ugniatając, wygładzając; i nagle grudka stała się małym stworzeniem, jakby trzmielem czy włochatą muchą, która uleciała z bzykiem nad Pagórek Roke i znikła.

Ged stał zapatrzony i zbity z tropu. Cóż on znał oprócz pospolitych wiejskich guseł, zaklęć przywołujących kozy, leczących brodawki, przesuwających ciężary albo naprawiających garnki?

– Ja nie robię żadnych sztuczek w tym rodzaju. – Była to wystarczająca odpowiedź dla Vetcha, który chciał już przystąpić do dalszej zabawy, ale Jasper zapytał:

– Dlaczego nie?

– Czary to nie zabawa. My, Gontyjczycy, nie czynimy ich dla przyjemności ani dla pochwały – odparł Ged hardo.

– Po co zatem je czynicie? – dopytywał się Jasper. – Dla pieniędzy?

– Nie! – Ale Ged nie umiał wymyślić jakiejś innej odpowiedzi, która ukryłaby jego niewiedzę i ocaliła dumę.

Jasper zaśmiał się, nie tracąc humoru, i ruszył dalej, prowadząc ich wokół Pagórka Roke. I Ged poszedł za nim, markotny i z urazą w sercu, wiedząc, że zachował się jak głupiec, i winiąc za to Jaspera.

Tej nocy, gdy leżał owinięty w płaszcz na sienniku w swojej zimnej, nieoświetlonej kamiennej celi, w zupełnej ciszy Wielkiego Domu na Roke, osobliwość tego miejsca i myśli o wszystkich zaklęciach i czarach, które tu czyniono, poczęła stopniowo opanowywać go i nękać. Otaczała go ciemność, wypełniał go lęk. Pragnął być gdziekolwiek, byle nie na Roke. Wtem do drzwi celi podszedł Vetch z małą niebieską kulą błędnego ognika, która unosiła się nad jego głową i oświetlała mu drogę, i spytał, czy może wejść i chwilę porozmawiać. Wypytywał Geda o wyspę Gont, a potem mówił z czułością o swoich rodzinnych wyspach na Wschodnich Rubieżach, opowiadając, jak dym z wiejskich palenisk snuje się wieczorem ponad spokojnym morzem, pomiędzy wysepkami o zabawnych nazwach: Korp, Kopp i Holp, Venway i Vemish, Iffish, Koppish i Sneg. Kiedy szkicował palcem zarysy tych lądów na kamieniach posadzki, aby pokazać Gedowi ich położenie, linie, które rysował, świeciły blado przez chwilę, jakby nakreślone srebrnym pręcikiem, po czym gasły. Vetch przebywał w szkole trzy lata i wkrótce miał być pasowany na czarodzieja. Wykonywaniu pomniejszych sztuk magicznych poświęcał niewiele więcej uwagi, niż ptak poświęca lataniu. Posiadł przy tym jeszcze większą, niewyuczoną umiejętność: była nią sztuka dobroci. Tej nocy, odtąd już na zawsze, ofiarował Gedowi swoją przyjaźń, niezawodną i szczerą przyjaźń, której Ged nie mógł się oprzeć i którą musiał odwzajemnić.

A jednak Vetch był tak samo przyjazny wobec Jaspera, który ośmieszył Geda owego pierwszego dnia na Pagórku Roke. Ged nie zapomniał o tym, podobnie chyba jak Jasper, który zawsze zwracał się do niego uprzejmym tonem i z drwiącym uśmiechem. Ambicja

Geda nie cierpiała lekceważenia i nie zadowalała się byle czym. Poprzysiągł, że udowodni Jasperowi i całej reszcie chłopaków, pomiędzy którymi Jasper był kimś w rodzaju przywódcy, jak wielka jest naprawdę jego moc – któregoś dnia. Albowiem żaden z nich, mimo wszystkich ich sprytnych sztuczek, nie ocalił wsi za pomocą czarów. O żadnym z nich nie napisał Ogion, że będzie największym czarnoksiężnikiem gontyjskim.

Tak podsycając swoją dumę, skoncentrował całą siłę woli na pracy, którą mu wyznaczono, na lekcjach, na kunsztach, opowieściach i umiejętnościach, których nauczali przyodziani w szare płaszcze mistrzowie z Roke, zwani Dziewięcioma Mistrzami.

Przez część każdego dnia uczył się u Mistrza Pieśni, gdzie poznał *Czyny Bohaterów* i *Pieśni Mądrości*, poczynając od najstarszej ze wszystkich pieśni, *Stworzenie Ea*. Potem wraz z tuzinem innych chłopaków ćwiczył u Mistrza Wiatrów sztuki związane z wiatrem i pogodą. Wiosną i wczesnym latem spędzali całe dnie w zatoce Roke na pokładzie lekkich jednomasztowców, ćwicząc sterowanie za pomocą słowa, uśmierzanie fal, zaklinanie wiatru naturalnego i wywoływanie magicznego. Są to umiejętności bardzo zawiłe; Ged nieraz obrywał po głowie rozhuśtaną reją, gdy łódź, w której się znajdował, stawała dęba w wietrze nagle dmuchającym wstecz lub gdy zderzała się z inną łodzią, choć miała na żeglowanie całą zatokę, albo też gdy wszyscy trzej chłopcy w jego żaglówce znajdowali się nieoczekiwanie po szyję w wodzie, ponieważ na łódź spadała ogromna, niechcący wywołana fala. Były też inne dni, spokojniejsze wyprawy na lądzie, z Mistrzem Ziół, który opowiadał im o właściwościach wszystkiego, co rośnie; a Mistrz Sztuk nauczał sztuczek magicznych, kuglarstwa i pomniejszych sztuk Przemieniania.

We wszystkich tych dziedzinach nauki Ged okazywał swoją pojętność; po miesiącu prześcignął już chłopaków, którzy przebywali w szkole o rok dłużej. Szczególnie sztuczki iluzyjne przychodziły mu tak łatwo, że zdawało się, iż urodził się już z ich znajomością i teraz musiał je sobie tylko przypomnieć. Mistrz Sztuk był łagodnym i niefrasobliwym starcem, znajdującym nieskończoną uciechę w dowcipie i pięknie kunsztów, których uczył; Ged wkrótce nie czuł

już przed nim lęku, ale zapytywał go o to czy tamto zaklęcie, a mistrz zawsze uśmiechał się i pokazywał, czego sobie Ged życzył. Pewnego dnia jednak, myśląc stale o tym, aby wreszcie zawstydzić Jaspera, Ged zwrócił się do mistrza, gdy przebywali na Podwórcu Pozorów:

– Panie, wszystkie te czary są prawie takie same; znając jeden, zna się wszystkie. I gdy tylko działanie uroku ustaje, złudzenie znika. Jeśli zaś teraz zrobię z kamyka diament – i zrobił to za pomocą zaklęcia i szybkiego ruchu nadgarstka – co mam uczynić, aby zmusić ten diament do pozostania diamentem? W jaki sposób można unieruchomić czar Przemiany i doprowadzić go do końca?

Mistrz Sztuk spojrzał na klejnot błyszczący na dłoni Geda, jasny jak zdobycz wyniesiona ze smoczego skarbca. Mruknął jedno słowo: *tolk* – i na dłoni leżał znów kamyk, nie drogi kamień, ale chropowaty, szary okruch skały. Mistrz wziął go i położył na swojej dłoni.

– To jest skała; *tolk* w Prawdziwej Mowie – powiedział, podnosząc na Geda łagodne oczy. – Okruch kamienia, z którego składa się wyspa Roke, maleńki odłamek suchego lądu, na którym żyją ludzie. Jest samym sobą. Jest częścią świata. Dzięki złudnej przemianie możesz sprawić, aby wyglądał jak diament – albo kwiat, albo mucha, albo oko, albo płomień... – Kamień błyskawicznie zmieniał postacie, gdy mistrz je wymieniał, aż wreszcie powrócił do postaci kamienia. – Ale to tylko pozory. Złudzenie mami zmysły patrzącego; każe mu widzieć, słyszeć i czuć, że rzecz się zmieniła. Nie zmienia jednak samej rzeczy. Aby zmienić tę skałę w diament, musisz zmienić jej prawdziwe imię. A uczynić to, mój synu, nawet wobec tak małego ułamka świata, oznacza zmienić świat. To da się zrobić. Tak jest, to się da zrobić. Jest to sztuka Mistrza Przemian i nauczysz się jej, gdy będziesz gotów do jej poznania. Ale nie wolno ci zmieniać ani jednej rzeczy, ani jednego kamyka, ani jednego ziarnka piasku, dopóki nie będziesz wiedział, jakie dobro i zło wywoła ten czyn. Świat jest w Wielkiej Równowadze. Czarnoksięska moc Przemieniania i Przywoływania może zakłócić równowagę świata. Niebezpieczna to moc. Najbardziej ryzykowna. Musi być poprzedzona wiedzą i służyć potrzebie. Zapalić świecę znaczy rzucić cień... – Spojrzał znów na kamyk. – A poza tym skała jest niezłą rzeczą, wiesz? – rzekł

mniej uroczystym tonem. – Gdyby wyspy Ziemiomorza były całe z diamentu, wiedlibyśmy na nich ciężki żywot. Ciesz się złudzeniami, chłopcze, i pozwól, aby skały były skałami. – Uśmiechnął się, lecz Ged odszedł niezadowolony. Gdy próbuje się wydobyć z maga jego tajemnice, on mówi zawsze, tak jak Ogion, o Równowadze, o niebezpieczeństwie, o mroku. Ale czarnoksiężnik, taki który wyszedł już poza te dziecinne sztuczki ze złudzeniami i posiadł prawdziwy kunszt Przywoływania i Przemieniania, jest z pewnością dość potężny, aby czynić, co mu się podoba, nadawać światu równowagę, jaka jemu zdaje się najlepsza, i przeganiać ciemność swoim własnym światłem.

Na korytarzu spotkał Jaspera; odkąd talenty Geda zaczęto chwalić w całej szkole, Jasper zwracał się doń w sposób, który zdawał się przyjazny, ale w istocie był kpiący.

– Wyglądasz na przygnębionego, Krogulcze – powiedział tym razem. – Czyżby nie udawały ci się twoje kuglarskie czary?

Próbując jak zawsze dorównać Jasperowi, Ged odpowiedział na pytanie, ignorując jego ironiczny ton.

– Mam już dość kuglarstwa – rzekł – dość tych sztuczek ze złudzeniami, zdatnych jedynie do zabawiania gnuśnych władców w ich zamkach i księstwach. Jedyna prawdziwa magia, jakiej mnie dotąd nauczono na Roke, to wytwarzanie błędnych ogników i trochę zaklinania pogody. Reszta to zwykłe głupstwa.

– Nawet głupstwo jest niebezpieczne – zauważył Jasper – w rękach głupca.

Na te słowa Ged szarpnął się, jakby go spoliczkowano, i zrobił krok w kierunku Jaspera, ale starszy chłopak uśmiechnął się, jak gdyby nie zamierzał był nikogo obrazić, skinął głową na swój sztywny, pełen gracji sposób i ruszył dalej.

Stojąc z wściekłością w sercu i spoglądając w ślad za nim, Ged przysięgał sobie, że prześcignie swego rywala, i to nie w jakimś zwyczajnym współzawodnictwie na złudzenia, ale w próbie mocy. Sprawdzi siebie samego i upokorzy Jaspera. Nie pozwoli, aby tamten spoglądał nań z góry, pełen gracji, lekceważenia i nienawiści.

Nie przestawał rozmyślać o przyczynach, dla których Jasper mógł go nienawidzić. Wiedział tylko, dlaczego sam nienawidzi Jaspera.

Inni uczniowie rychło się przekonali, że rzadko kiedy mogą dorównać Gedowi, zarówno we współzawodnictwie dla zabawy, jak i w poważnej rywalizacji, i powiadali o nim, jedni tonem pochwały, inni niechętnie: „To urodzony czarnoksiężnik, nigdy nie da się pobić". Jeden tylko Jasper ani go nie chwalił, ani nie unikał, lecz po prostu spoglądał nań z góry, z lekkim uśmieszkiem. I dlatego właśnie Jasper był jego jedynym rywalem, którego należało zawstydzić.

Ged nie widział albo nie chciał widzieć, że w tej rywalizacji, przy której trwał i którą podsycał jako składnik swej własnej ambicji, było coś z niebezpieczeństwa, z ciemności, przed którą łagodnie go ostrzegał Mistrz Sztuk.

Kiedy nie powodowała nim czysta wściekłość, Ged wiedział doskonale, że na razie nie jest jeszcze godnym przeciwnikiem Jaspera ani któregokolwiek ze starszych chłopców, toteż pracował wytrwale i kontynuował zwykłą naukę. Pod koniec lata praca straciła nieco na intensywności, było zatem więcej czasu na rozrywki: regaty poruszanych czarami łodzi w porcie, pokazy złudzeń na podwórcach Wielkiego Domu, a w długie wieczory, w zagajnikach, zapamiętałe zabawy w chowanego, gdzie ci, co się chowali, i ten, co szukał, byli w równej mierze niewidzialni i tylko głosy krążyły ze śmiechem i nawoływaniami pośród drzew, w uliczce, w pogoni za szybkimi, ledwie widocznymi błędnymi ognikami. Potem, gdy nadeszła jesień, uczniowie zabrali się na nowo do swych zadań, ćwicząc dalsze sztuki magiczne. Tak więc pierwsze miesiące Geda na Roke minęły szybko, pełne gwałtownych namiętności i nadprzyrodzonych zdarzeń.

W zimie było inaczej. Ged został wysłany wraz z siedmioma chłopcami na najdalej wysunięty na północ przylądek wyspy Roke, gdzie stała Wieża Osobna. Mieszkał tutaj samotnie Mistrz Imion, którego nazywano imieniem nieposiadającym znaczenia w żadnym języku: Kurremkarmerruk. W promieniu całych mil od Wieży nie było żadnej zagrody ani domu mieszkalnego. Groźnie wznosiła się Wieża ponad północnymi urwiskami, szare były chmury nad zimowym morzem, nieskończone spisy, szeregi i ciągi imion, których musiało się uczyć ośmiu uczniów mistrza. Pomiędzy nimi w wysokiej komnacie Wieży siedział na wysokim zydlu Kurremkarmerruk, spisując listy imion, których trzeba się było nauczyć, zanim atrament

zblaknie o północy, pozostawiając znów czysty pergamin. Było zimno, panowały półmrok i wieczna cisza, jeśli nie liczyć skrzypienia mistrzowego pióra i wzdychania – zapewne jednego z uczniów, który musiał przed północą wyuczyć się imion każdego przylądka, cypla, zatoki, cieśniny, przystani, kanału, portu, mielizny, rafy i skały na wybrzeżach Lossow, małej wysepki na Morzu Pelnijskim. Gdyby uczeń się skarżył, mistrz mógłby nic nie powiedzieć, ale wydłużyłby listę albo rzekł: „Kto chce być mistrzem morskim, musi znać prawdziwe imię każdej kropli wody w morzu".

Ged wzdychał czasami, ale się nie skarżył. Widział, że w tym nudnym i niezgłębionym przedmiocie, polegającym na uczeniu się prawdziwych imion każdego miejsca, rzeczy i stworzenia, moc, której pragnął, leży jak klejnot na dnie wyschniętej studni. Albowiem magia zawiera się w tym właśnie, w prawdziwym nazywaniu rzeczy. Tak powiedział im Kurremkarmerruk pierwszej nocy, którą spędzili w Wieży; nigdy tego nie powtórzył, ale Ged nie zapomniał jego słów.

– Wielu magów o wielkiej mocy – powiedział wtedy mistrz – spędziło całe życie na odkrywaniu imienia jednej tylko rzeczy – jednego tylko zgubionego albo ukrytego imienia. A wciąż jeszcze spisy nie są zakończone. I nie będą aż do końca świata. Posłuchajcie, a zrozumiecie dlaczego. W tym świecie pod słońcem i w tym innym świecie, który nie ma słońca, jest wiele rzeczy, co nie mają nic wspólnego z ludźmi i ludzką mową, i są moce przekraczające naszą moc. Ale magia, prawdziwa magia, jest dziełem tylko tych istot, które mówią hardyckim narzeczem Ziemiomorza albo też Dawną Mową, z której to narzecze wyrosło.

Dawna Mowa to język, którym mówią smoki, język, którym mówił Segoy, ten, co stworzył wyspy świata, język naszych ballad i pieśni, zaklęć, czarów i wezwań. Jego słowa spoczywają, ukryte i zmienione, pomiędzy naszymi hardyckimi słowami. Nazywamy pianę fal *sukien*; to słowo utworzone jest z dwóch słów Dawnej Mowy, *suk*, pióropusz, i *inien*, morze. Pióropusz morza – to piana. Ale nie można zaczarować piany, nazywając ją *sukien*; trzeba użyć jej prawdziwego imienia w Dawnej Mowie, to prawdziwe imię brzmi *essa*. Każda czarownica zna parę słów w Dawnej Mowie, a mag zna ich wiele. Ale jest ich o wiele więcej, niektóre zaginęły w ciągu

wieków, inne ukryły się, inne znów znane są tylko smokom i Dawnym Mocom Ziemi, a jeszcze innych nie zna żadne stworzenie żyjące; i żaden człowiek nie mógłby nauczyć się ich wszystkich. Albowiem ten język nie ma końca.

A to dlaczego. Nazwa morza brzmi *inien* – zgoda. Ale to, co nazywamy Morzem Najgłębszym, ma również swoje własne imię w Dawnej Mowie. Jako że żadna rzecz nie może mieć dwu prawdziwych imion, *inien* może znaczyć tylko „całe morze z wyjątkiem Morza Najgłębszego". I oczywiście nie znaczy to nawet tyle, jest bowiem bez liku mórz i zatok, i cieśnin, które noszą własne imiona. Toteż gdyby jakiś mistrz morski był na tyle szalony, aby usiłować wzburzyć lub uciszyć czarami cały ocean, jego zaklęcie musi zawierać nie tylko ów wyraz *inien*, ale imię każdego obszaru, każdego skrawka, każdej odrobiny morza na przestrzeni całego Archipelagu i całych Zewnętrznych Rubieży, i jeszcze dalej, aż do miejsca, w którym imiona mają swój kres. W ten sposób to, co daje nam moc czynienia czarów, ustanawia zarazem granice tej mocy. Mag może panować tylko nad tym, co jest w jego pobliżu, co potrafi nazwać dokładnie i całkowicie. I tak jest dobrze. Gdyby tak nie było, nikczemność kogoś potężnego albo szaleństwo mędrca już dawno temu mogłyby usiłować zmienić to, czego zmienić się nie da, i Wielka Równowaga zostałaby zachwiana. Wytrącone z równowagi morze zalałoby wyspy, na których w ciągłym zagrożeniu mieszkamy, i w wiecznej ciszy zaginęłyby głosy i wszystkie imiona.

Ged rozmyślał długo nad tymi słowami i zapadły one głęboko w jego świadomość. Mimo to powaga zadania nie była w stanie w ciągu długiego roku w Wieży Osobnej uczynić pracy mniej ciężką i żmudną; pod koniec zaś owego roku Kurremkarmerruk powiedział mu: „Zrobiłeś dobry początek". Ale nic poza tym. Czarnoksiężnicy mówią prawdę i prawdą było, że cała biegłość w dziedzinie imion, którą Ged z takim mozołem zdobywał w ciągu roku, była tylko początkiem tego, czego będzie musiał uczyć się dalej przez całe życie. Został zwolniony z Wieży Osobnej wcześniej niż ci, którzy przybyli wraz z nim, uczył się bowiem szybciej od nich; ale była to jedyna pochwała, jaką otrzymał.

Szedł przez wyspę na południe, sam wśród wczesnej zimy, pustymi drogami omijającymi miasta. Gdy zapadła noc, zaczęło padać. Nie wypowiedział zaklęcia, które by odpędziło od niego deszcz, pogoda na Roke była bowiem w rękach Mistrza Wiatrów i nie wolno się było do niej wtrącać. Schronił się pod wielkim drzewem pendiku i leżąc tam, zawinięty w płaszcz, myślał o swoim dawnym mistrzu Ogionie, który zapewne wciąż jeszcze odbywał swe jesienne wędrówki po szczytach Gontu, nocując na dworze i mając bezlistne gałęzie za dach, a padający deszcz za ściany domu. To sprawiło, że Ged uśmiechnął się, zdał sobie bowiem sprawę, iż myśl o Ogionie jest dla niego zawsze otuchą. Zasnął ze spokojnym sercem, w zimnej ciemności pełnej szeptu wody. O świcie, budząc się, podniósł głowę; deszcz ustał. Ged ujrzał schowane w fałdach płaszcza skulone, śpiące zwierzątko, które wpełzło tam w poszukiwaniu ciepła. Zdumiał się na jego widok, gdyż był to otak, zwierzę rzadkie i osobliwe.

Stworzenia te spotyka się jedynie na czterech południowych wyspach Archipelagu; na Roke, Ensmer, Pody i Wathort. Są małe i gładkie, z szerokimi pyszczkami, z futrem ciemnobrązowym lub cętkowanym i wielkimi jasnymi oczami. Ich zęby są ostre, a usposobienie dzikie, toteż otaków się nie oswaja i nie pieści. Niezdolne są wołać, krzyczeć ani wydawać z siebie głosu. Ged pogłaskał zwierzątko, a ono obudziło się i ziewnęło, ukazując brązowy języczek i białe zęby, ale nie zdradzając przestrachu.

– Otak – powiedział Ged, a potem, mając w pamięci tysiąc imion zwierzęcych, których nauczył się w Wieży, nazwał otaka jego prawdziwym imieniem w Dawnej Mowie: – Hoeg! Chcesz pójść ze mną?

Otak usadowił się na jego rozwartej dłoni i zaczął myć swoje futerko.

Ged umieścił go na ramieniu w fałdach kaptura i otak odbywał tam podróż. Niekiedy w ciągu dnia zeskakiwał i umykał do lasu, ale zawsze powracał do Geda, raz nawet ze złapaną leśną myszą. Ged zaśmiał się i kazał mu zjeść mysz, sam bowiem pościł: tej nocy wypadało święto Powrotu Słońca. Nareszcie minął w wilgotnym zmierzchu Pagórek Roke i ujrzał jasne błędne ogniki igrające w deszczu nad dachami Wielkiego Domu; wszedł w jego progi

i został przywitany przez swoich mistrzów i kolegów w oświetlonej ogniem sali.

Dla Geda, który nie miał domu, dokąd mógłby kiedykolwiek wrócić, było to właśnie jak powrót do domu. Rad był, że widzi tak wiele znajomych twarzy, a najbardziej rad, że widzi Vetcha zbliżającego się na przywitanie z szerokim uśmiechem na ciemnym obliczu. Tęsknił przez ten rok za przyjacielem bardzo. Vetch tej jesieni został pasowany na czarodzieja i nie był już nowicjuszem, ale nie wytworzyło to pomiędzy nimi dystansu. Rozgadali się natychmiast i Gedowi zdawało się, że powiedział Vetchowi w ciągu tej pierwszej godziny więcej, niż wypowiedział był przez cały długi rok w Wieży Osobnej.

Otak wciąż siedział na jego ramieniu, usadowiony w fałdzie kaptura, gdy zasiedli do obiadu przy długich stołach, ustawionych z racji święta w Sali Kominkowej. Vetch podziwiał stworzonko i raz podniósł nawet rękę, aby je pogłaskać, ale otak kłapnął na niego ostrymi zębami. Vetch się zaśmiał.

– Powiadają, Krogulcze, że człowiek darzony względami przez dzikie zwierzęta jest tym, do którego Dawne Moce kamieni i źródeł przemawiać będą ludzkim głosem.

– Podobno gontyjscy czarnoksiężnicy często żyją w zażyłości ze zwierzętami – odezwał się Jasper, który siedział po drugiej stronie Vetcha. – Nasz mistrz Nemmerle ma kruka, a pieśni opowiadają, że Czerwony Mag z Ark wodził za sobą odyńca na złotym łańcuchu. Lecz nie słyszałem nigdy, aby czarnoksiężnik trzymał w kapturze szczura!

Wszyscy roześmiali się na to i Ged zaśmiał się wraz z nimi. Była to wesoła noc i radował się, że przebywa tutaj, w cieple i uciesze, obchodząc święto wspólnie z kolegami. Ale ten żart rozdrażnił go – jak wszystko, co mówił doń Jasper.

Tego wieczoru gościem szkoły był władca wyspy O, czarodziej o wielkiej sławie. Był niegdyś uczniem Arcymaga i powracał czasami do Roke na Święto Zimowe albo na Długi Taniec w lecie. Była z nim jego małżonka, smukła i młoda, promieniejąca jak nowy pieniążek, o czarnych włosach przyozdobionych opalami. Rzadko się zdarzało, aby jakaś kobieta zasiadała w salach Wielkiego Domu, toteż

niektórzy z mistrzów spoglądali na nią z ukosa, nieprzychylnie. Za to młodzi wlepili w nią oczy z zachwytem.

– Dla takiej – powiedział Vetch Gedowi – potrafiłbym czynić czary, jakim nic nie dorówna... – Westchnął i zaśmiał się.

– To tylko kobieta – sprzeciwił się Ged.

– Księżniczka Elfarran była tylko kobietą – rzekł Vetch – a z jej powodu spustoszono cały Enlad, poległ bohaterski mag z Havnoru i wyspa Solea pogrążyła się w morzu.

– Stare baśnie – odpowiedział Ged. Ale od tej chwili on również zaczął przyglądać się pani z O, zastanawiając się, czy istotnie ma przed sobą taką zabójczą piękność, o jakiej opowiadają stare baśnie.

Mistrz Pieśni odśpiewał *Czyny Młodego Króla* i wszyscy razem zaśpiewali *Zimową kolędę*. Potem, gdy nastąpiła mała pauza przed powstaniem od stołów, Jasper podniósł się, podszedł do stojącego najbliżej kominka stołu, przy którym siedzieli Arcymag, goście i mistrzowie, i przemówił do pani z O. Jasper nie był już chłopcem, lecz młodym mężczyzną, wysokim i urodziwym, w płaszczu spiętym pod szyją srebrem; i on bowiem został tego roku pasowany na czarodzieja, czego znakiem była właśnie srebrna klamra. Pani uśmiechnęła się na to, co powiedział, i opale błysnęły promiennie w jej czarnych włosach. Potem, gdy mistrzowie skinęli głowami na znak życzliwego przyzwolenia, Jasper uczynił dla niej iluzyjną sztukę magiczną. Białe drzewo, które stworzył, wystrzeliło z kamiennej posadzki. Jego konary dotykały wysokiego belkowania stropu sali, a na każdej gałązce każdego konara lśniło złote jabłko, każde jak słońce – było to bowiem Drzewo Roku. Pośród gałęzi przeleciał nagle ptak, cały biały, z ogonem jak świeżo spadły śnieg, a złote jabłka, znikając, przemieniły się w nasiona, każde jak kryształowa kropla. Nasiona opadły z drzewa z szelestem deszczu, wydzielając jednocześnie słodki aromat, drzewo zaś, kołysząc się, puściło liście z różowego ognia i białe kwiaty podobne do gwiazd. Wtedy złudzenie się rozwiało. Pani z O wydała okrzyk zachwytu i skłoniła swą promienną głowę przed młodym adeptem magii na znak uznania dla jego kunsztu.

– Jedź z nami, zamieszkaj z nami w O-Tokne; czy on nie może pojechać, mój panie? – zapytała dziecinnie swego surowego męża.

Ale Jasper rzekł tylko:

– Kiedy już wyuczę się sztuk godnych tych oto moich mistrzów i godnych twej pochwały, pani, wówczas chętnie przybędę i zawsze z ochotą będę ci służył.

W ten sposób spodobał się wszystkim, z wyjątkiem Geda. Ged przyłączył się do pochwał głosem, ale nie sercem. Umiałbym to zrobić lepiej, powiedział sam do siebie w gorzkiej zawiści; i wszystko to przyćmiło już w jego oczach całą dotychczasową radość wieczoru.

4

Uwolniony cień

Tej wiosny Ged niewiele widywał zarówno Vetcha, jak i Jaspera, jako czarodzieje bowiem uczyli się oni teraz u Mistrza Wzorów w tajemniczych gąszczach Wewnętrznego Gaju, gdzie nowicjusze nie mieli wstępu. Ged pozostał w Wielkim Domu, pracując pod kierunkiem mistrzów nad wszelkimi sztukami praktykowanymi przez czarodziejów, tych którzy dokonują sztuk magicznych, ale nie noszą lasek: nad wywoływaniem wiatru, zaklinaniem pogody, znajdowaniem przedmiotów i magią związywania, a także nad kunsztem magicznego kowalstwa i ciesielstwa, opowiadania legend i baśni, leczenia i zielarstwa. Nocą, sam w celi służącej mu za sypialnię, przy małej kuli błędnego ognika, płonącej nad księgą zamiast lampy czy świecy, Ged uczył się Dodatkowych Runów i Runów z Ea, których używa się w Wielkich Zaklęciach. Wszystkie te umiejętności przychodziły mu łatwo i wśród uczniów niosła się fama, jakoby ten czy ów mistrz powiedział, iż chłopak z Gontu jest najbystrzejszym uczniem, jaki kiedykolwiek przebywał na Roke; urastały legendy na temat otaka, o którym mówiono, że jest zamaskowanym duchem wszeptującym wiedzę do ucha Geda; powiadano nawet, że kruk Arcymaga pozdrowił Geda w dniu jego przybycia jako „przyszłego Arcymaga”. Niezależnie od tego, czy wierzyli w takie historie, czy też nie, i czy lubili bądź nie lubili Geda, podziwiali go i chętnie go słuchali – wtedy gdy opanowywał go

niecodzienny nastrój podniecenia i Ged włączał się do ich zabaw podczas coraz dłuższych wiosennych wieczorów. Przeważnie jednak istaniały dlań tylko praca, ambicja i opanowanie i na ogół trzymał się na osobności. Pośród wszystkich kolegów nie miał – w czasie nieobecności Vetcha – przyjaciela i nigdy nie czuł, że chciałby go mieć.

Dopiero skończył lat piętnaście, był więc bardzo młody jak na naukę któregoś z Wyższych Kunsztów czarnoksiężników lub magów, którzy noszą laskę; ale tak prędko uczył się wszelkich sztuk iluzyjnych, że Mistrz Przemian, sam człowiek młody, wkrótce zaczął nauczać go w odosobnieniu od innych i opowiadać mu o prawdziwych Zaklęciach Nadawania Kształtu. Wyjaśniał Gedowi, w jaki sposób rzecz, która ma być naprawdę przeobrażona w inną, musi zostać przemianowana na tak długo, jak długo trwa działanie czarów, i opowiadał, jak oddziałuje to na imiona i istotne właściwości przedmiotów, które znajdują się w pobliżu przeistoczonej rzeczy. Mówił o związanych z przemianami niebezpieczeństwach – wtedy przede wszystkim, kiedy czarnoksiężnik przeistacza swoją postać i w ten sposób naraża się na to, że zostanie usidlony przez własne zaklęcie. Stopniowo zachęcony tym, że chłopiec rozumie wszystko niezawodnie, młody mistrz zaczął nie tylko opowiadać mu o tych tajemnicach. Nauczył go pierwszego, a potem następnego z Wielkich Zaklęć Przemiany i dał mu do przestudiowania *Księgę Nadawania Kształtów*. Uczynił to bez wiedzy Arcymaga i postąpił nieroztropnie, choć działał w dobrej wierze.

Ged pracował obecnie także pod kierunkiem Mistrza Przywołań, ten mistrz jednak był człowiekiem surowym, postarzałym i zahartowanym przez głębię i posępność sztuki czarnoksięskiej, której nauczał. Nie zajmował się złudzeniami, lecz wyłącznie prawdziwą magią, przywoływaniem takich energii, jak światło, gorąco, siła przyciągająca magnesy i te siły, które ludzie odbierają jako ciężar, kształt, barwę, dźwięk; przywoływał prawdziwe moce czerpane z niezmiernych, bezdennych zasobów energii wszechświata, których żadne ludzkie zaklęcia lub spożytkowania nie byłyby w stanie wyczerpać ani wytrącić z równowagi. Używane przez zaklinaczy pogody lub mistrzów morskich wezwania wiatru i wody

były to umiejętności, które uczniowie już znali, ale dopiero Mistrz Przywołań wskazał im, dlaczego prawdziwy czarnoksiężnik używa takich zaklęć tylko w potrzebie; jako że przywoływać takie siły ziemskie oznacza zmienić świat, którego część one stanowią.

– Deszcz na Roke może być posuchą w Osskil – powiadał – a cisza morska na Wschodnich Rubieżach może być burzą i zniszczeniem na Zachodzie, jeśli się nie wie, co się czyni.

Co do wzywania prawdziwych rzeczy i żyjących ludzi, wskrzeszania duchów zmarłych i zwracania się do Świata Niewidzialnego, a więc tych zaklęć, które są szczytem sztuki Przywoływania i mocy wyobrażania – o tym mistrz ledwo im wspomniał. Raz czy dwa Ged próbował skłonić go, aby powiedział coś o tego rodzaju tajemnicach, ale mistrz milczał, spoglądając nań srogo, przeciągle, póki Ged nie poczuł się nieswojo i nie zamilkł.

Czasami w istocie było mu nieswojo, kiedy czynił nawet te pomniejsze czary, jakich go uczył Mistrz Przywołań. Były pewne runy na niektórych stronicach Księgi Wiedzy, które zdawały mu się znajome, choć nie pamiętał, w jakiej księdze mógł je widzieć wcześniej. Były pewne zdania, które trzeba wypowiadać w zaklęciach Przywoływania, a których wypowiadać nie lubił. Nasuwały mu na mgnienie oka myśli o cieniach w mrocznej izbie, o zamkniętych drzwiach, o cieniach próbujących go dosięgnąć z kąta obok drzwi. Pospiesznie odsuwał na bok takie myśli czy wspomnienia i dalej robił swoje. Te chwile grozy i ciemności, mówił sobie, były jedynie cieniami jego niewiedzy. Im więcej się uczy, tym mniej będzie musiał się bać, aż w końcu, mając jako czarnoksiężnik pełną władzę, nie będzie musiał lękać się niczego w świecie, zupełnie niczego.

Gdy nastał drugi miesiąc tego lata, cała szkoła zgromadziła się znów w Wielkim Domu, aby święcić Noc Księżyca i Długi Taniec – oba święta tego roku zbiegły się w jedno, trwające dwie noce, co nie zdarza się częściej niż raz na pięćdziesiąt dwa lata. Całą pierwszą noc, najkrótszą w roku noc pełni księżycowej, grały wśród pól piszczałki, wąskie uliczki Thwil pełne były bębnów i pochodni, a śpiewy niosły się ponad oświetlonymi przez księżyc wodami zatoki. Gdy nazajutrz wzeszło słońce, kantorzy z Roke zaczęli śpiewać długie *Czyny Erreth-Akbego*, opowieść o tym, jak zbudowano białe wieże

Havnoru i jak Erreth-Akbe podróżował ze Starej Wyspy poprzez cały Archipelag wraz z Rubieżami, aż w końcu na najdalszej Zachodniej Rubieży, na skraju Morza Otwartego, spotkał smoka Orma; i kości bohatera leżą w potrzaskanej zbroi między kośćmi smoka na brzegu odludnego Selidoru, ale jego miecz umieszczony na szczycie najwyższej wieży Havnoru wciąż płonie czerwono, gdy słońce zachodzi ponad Morzem Najgłębszym. Kiedy śpiew się skończył, rozpoczął się Długi Taniec. Mieszczanie, mistrzowie, uczniowie i chłopi, wszyscy razem, mężczyźni wraz z kobietami, ruszyli, tańcząc, w ciepłym zmierzchu i w tumanach kurzu wszystkimi drogami wyspy w dół ku plażom, w rytmie bębnów i przy zawodzeniu fujarek i piszczałek. W świetle księżyca, który zeszłej nocy był w pełni, dotarli, tańcząc, aż do samego morza i muzyka zginęła w szumie przyboju. Gdy rozjaśniło się na wschodzie, wrócili, idąc pod górę plażami i drogami; bębny zamilkły i tylko piszczałki grały cicho, przenikliwie. Tak działo się tej nocy na każdej wyspie Archipelagu: ten sam taniec, ta sama muzyka wiązały ze sobą lądy rozdzielone przez morze.

Gdy Długi Taniec się skończył, większość ludzi przespała cały dzień i wszyscy zeszli się znów wieczorem, aby jeść i pić. Gromadka młodzieży, uczniów i czarodziejów wyniosła swą wieczerzę z refektarza, aby urządzić własną ucztę na dziedzińcu Wielkiego Domu; byli tam Vetch, Jasper i Ged oraz sześciu czy siedmiu innych, a także paru młodzików zwolnionych na krótko z Wieży Osobnej, to święto bowiem wywabiło z niej nawet Kurremkarmerruka. Wszyscy jedli, śmiali się i z czystej swawoli wyprawiali sztuczki, które mogły zadziwić królewski dwór. Jeden z chłopców oświetlił podwórzec setką gwiazd utworzonych z błędnych ogników, barwnych jak drogie kamienie; ich rozkołysana sieć przesuwała się powoli pomiędzy biesiadnikami a prawdziwymi gwiazdami. Paru chłopców grało kulami z zielonego płomienia i kręglami, które podrygiwały i odskakiwały, gdy kula się zbliżała. Vetch, jedząc pieczone kurczę, siedział cały ten czas ze skrzyżowanymi nogami, zawieszony ponad kolegami w powietrzu. Jeden z młodszych chłopców usiłował ściągnąć go na ziemię, ale Vetch uniósł się tylko trochę wyżej, poza jego zasięg, i uśmiechając się spokojnie, nadal siedział nad ich głowami.

Od czasu do czasu odrzucał na bok kość kurczęcia, która zamieniała się w sowę i latała, pohukując, w sieci gwiezdnych świateł. Ged strzelał do sów strzałami utworzonymi z okruchów chleba i strącał ptaki, a gdy dotykały ziemi, leżały na niej tylko kości i okruchy – całe złudzenie się rozwiewało. Ged próbował też zasiąść obok Vetcha w powietrzu, nie mając jednak klucza do zaklęcia, musiał trzepotać ramionami, aby utrzymać się w górze, i wszyscy śmiali się z jego wzlotów, trzepotań i nagłych upadków. Wygłupiał się dalej, aby wzbudzić śmiech, i śmiał się razem z nimi, gdyż po dwu nocach tańca, światła księżycowego, muzyki i magii był w nastroju szalonym i nieokiełznanym, gotów na przyjęcie wszystkiego, cokolwiek się stanie.

Nareszcie zeskoczył lekko na ziemię obok Jaspera, a Jasper, który nigdy nie śmiał się głośno, odsunął się ze słowami:

– Krogulec, który nie umie latać...

– A czy Jasper nie oznacza Jaspis? – odciął się Ged, szczerząc zęby. – O, klejnocie pośród czarodziejów, o, drogocenny kamieniu z Havnoru, zabłyśnij dla nas!

Chłopak, który wprawił w ruch światła ponad nimi, zmusił jedno z nich, aby spłynęło w dół i pląsając, rzucało blaski wokół głowy Jaspera. Nie całkiem tak opanowany jak zwykle, marszcząc się gniewnie, Jasper zmiótł i zgasił światło jednym ruchem ręki.

– Mam już dość tych chłopców z ich hałaśliwością i pustotą – rzekł.

– Wchodzisz w wiek średni, bracie – rzucił z góry Vetch.

– Jeśli cisza i ponurość są przedmiotem twoich pragnień – wtrącił się jeden z młodszych chłopców – zawsze możesz wrócić do Wieży.

– Zatem cóż jest przedmiotem twoich pragnień, Jasper? – zapytał Ged.

– Pragnę towarzystwa ludzi mnie równych – odparł Jasper. – Chodź, Vetch. Zostaw uczniaków z ich zabawkami.

Ged obrócił się, aby stanąć twarzą w twarz z Jasperem.

– Cóż takiego mają czarodzieje, czego brakuje uczniom? – zapytał. Jego głos był spokojny, ale wszyscy pozostali chłopcy nagle ucichli, zarówno bowiem w tonie Geda, jak i w tonie Jaspera ich wzajemna

niechęć pobrzmiewała teraz jasno i wyraźnie niczym stalowa klinga wysuwająca się z pochwy.

– Moc – odparł Jasper.

– Dorównam twej mocy we wszystkim, cokolwiek uczynisz.

– Rzucasz mi wyzwanie?

– Rzucam ci wyzwanie.

Vetch opadł już przedtem na ziemię, a teraz wkroczył pomiędzy nich ze stanowczym wyrazem twarzy.

– Pojedynki na czary są nam wzbronione i dobrze o tym wiecie. Koniec z tym!

I Ged, i Jasper stali w milczeniu, bo prawdą było, że znali prawo Roke, i wiedzieli także, że Vetchem powoduje miłość, a ich obydwu popycha nienawiść. Mimo to ich gniew został tylko okiełznany, ale nie ochłódł. Zaraz też Jasper, odsuwając się trochę na bok, jak gdyby chciał być słyszany jedynie przez Vetcha, odezwał się ze swym chłodnym uśmiechem:

– Byłoby chyba lepiej, gdybyś ponownie przypomniał swemu przyjacielowi pastuchowi o prawie, które go chroni. Wygląda na nadąsanego. Czy on naprawdę myślał, że przyjmę jego wyzwanie? Jegomość, którego czuć kozami, uczniak, który nie zna nawet Pierwszej Przemiany?

– Jasper – powiedział Ged – cóż ty wiesz o tym, co ja znam?

Na mgnienie, nie wymawiając żadnego słyszalnego słowa, Ged zniknął sprzed ich oczu, a na jego miejscu zawisł w powietrzu wielki sokół otwierający swój haczykowaty dziób, jakby chciał zaskwirzyć; trwało to jedno mgnienie, po czym Ged znów stał w migoczącym świetle pochodni, z mrocznym spojrzeniem utkwionym w Jaspera.

Jasper cofnął się o krok, zdumiony, ale zaraz wzruszył ramionami i wyrzekł jedno słowo:

– Złudzenie.

Inni zaszemrali.

– To nie było złudzenie – powiedział Vetch. – To była prawdziwa przemiana. Dość już, Jasper, posłuchaj...

– Dość, aby udowodnić, że za plecami mistrza zapuścił żurawia w *Księgę Nadawania Kształtów*. Co z tego? Dalej, kozi pastuchu. Podoba mi się ta pułapka, którą sam na siebie zastawiasz. Im

bardziej usiłujesz dowieść sobie, że jesteś mi równy, tym bardziej okazujesz się tym, czym jesteś w istocie.

Na te słowa Vetch odwrócił się od Jaspera i powiedział bardzo łagodnie do Geda:

– Krogulcze, bądź mężczyzną i daj spokój, chodź ze mną...

Ged spojrzał na przyjaciela i uśmiechnął się, ale rzekł tylko:

– Potrzymaj mi przez chwilkę Hoega, dobrze?

Włożył w dłonie Vetcha małego otaka, który jak zwykle siedział na jego ramieniu. Otak nie pozwalał nigdy dotykać się nikomu oprócz Geda, ale teraz poszedł do Vetcha i wspiąwszy się po jego ręce, skulił mu się na ramieniu, wielkie jasne oczy kierując wciąż na swego pana.

– No – zwrócił się Ged do Jaspera, spokojnie jak poprzednio – co uczynisz, aby mi dowieść swojej wyższości?

– Nie muszę nic czynić, pastuchu. Mimo to uczynię. Dam ci szansę – dogodną sposobność. Zawiść zżera cię jak robak jabłko. Wypuścimy tego robaka. Chełpiłeś się niegdyś przy Pagórku Roke, że gontyjscy czarnoksiężnicy nie bawią się w sztuczki. Chodź teraz na Pagórek Roke i pokaż nam, co takiego robią w zamian. A potem, być może, ja ci pokażę troszkę czarów.

– Tak, chętnie to zobaczę – odpowiedział Ged.

Młodsi chłopcy, przyzwyczajeni do jego gniewu wybuchającego przy najmniejszym cieniu lekceważenia albo zniewagi, wpatrywali się weń zdumieni jego obecnym opanowaniem. Vetch spoglądał na Geda nie ze zdumieniem, lecz z rosnącą trwogą. Spróbował znowu wmieszać się w spór, ale Jasper rzekł:

– Ty, Vetch, nie wtrącaj się. Co uczynisz z szansą, jaką ci dałem, pastuchu? Pokażesz nam jakieś złudzenie, kulisty piorun, zaklęcie, które leczy kozy z parchów?

– Co chciałbyś, żebym uczynił, Jasper?

Starszy chłopak wzruszył ramionami.

– Jeśli o mnie chodzi, możesz przywołać ducha zmarłego!

– Zrobię to.

– Nie zrobisz. – Jasper spoglądał wprost na niego; wściekłość nagle przebiła się przez jego pogardę. – Nie zrobisz. Nie potrafisz. Przechwalasz się i przechwalasz...

– Klnę się, że to zrobię!

Wszyscy stali przez chwilę całkiem bez ruchu.

Wyrywając się Vetchowi, który starał się go powstrzymać ze wszystkich sił, Ged wyszedł wielkimi krokami z dziedzińca, nie oglądając się za siebie. Pląsające nad głowami błędne ogniki wygasły, opadając. Jasper sekundę się wahał, potem podążył za Gedem. A reszta ruszyła bezwładną gromadą z tyłu w milczeniu, z ciekawością i przestrachem.

***

Pagórek Roke wznosił swe ciemne zbocza w mrok letniej nocy czekającej na wschód księżyca. Obecność tego wzgórza, na którym dokonano tylu cudów, ciążyła chłopcom jak wiszące w powietrzu brzemię. Gdy zbliżali się do stoku wzgórza, myśleli o tym, jak głęboko, głębiej od dna morskiego tkwią jego korzenie, sięgające w dół aż do odwiecznych, niewidzialnych, tajemnych ogni w jądrze świata. Zatrzymali się na zboczu wschodnim. Gwiazdy wisiały nad czarną trawą, która porastała widniejący wyżej wierzchołek wzgórza. Nie było wiatru.

Ged wspiął się na parę kroków w górę zbocza, oddalając się od pozostałych, po czym odwracając się, powiedział czystym głosem:

– Jasper! Czyjego ducha mam przywołać?

– Wołaj, kogo chcesz. Nikt cię nie wysłucha. – Głos Jaspera zadrżał trochę, zapewne od gniewu.

– Boisz się? – zapytał Ged łagodnie i drwiąco,

Nie słuchał nawet odpowiedzi Jaspera, jeśli ten cokolwiek odpowiedział. Nie obchodził go już Jasper. Teraz, gdy stali na Pagórku Roke, nienawiść i wściekłość znikły, zastąpiła je całkowita pewność. Nie musiał nikomu zazdrościć. Wiedział, że tej nocy, na tym ciemnym zaczarowanym obszarze jego moc jest wielka jak nigdy dotąd; wypełniała go tak, że aż zadrżał od poczucia siły ledwie utrzymywanej w ryzach. Wiedział teraz, że Jasper ustępuje mu znacznie, że został przysłany przez los zapewne tylko po to, aby

go tu dzisiaj sprowadzić – nie rywal, lecz zwykły sługa przeznaczenia. Pod stopami czuł korzenie wzgórza zagłębiające się w mrok, a nad głową widział suche, dalekie ognie gwiazd. Pośrodku – wszystko czekało na jego władzę, jego rozkazy. Stał w centrum świata.

– Nie bój się – powiedział z uśmiechem. – Przywołam ducha kobiety. Kobiety nie musisz się lękać. Przywołam Elfarran, piękną panią z *Czynów Enladzkich*.

– Zmarła przed tysiącem lat, jej kości leżą w głębi Morza Ea, a zresztą taka kobieta może nigdy nie istniała.

– Czyżby lata i odległość znaczyły cokolwiek dla zmarłych? Czyżby pieśni kłamały? – zapytał Ged z tą samą uprzejmą drwiną, a potem mówiąc: – Obserwujcie powietrze między moimi dłońmi – odwrócił się od reszty chłopców i stanął bez ruchu.

Szerokim, powolnym gestem rozpostarł ramiona, gestem przywitania, który rozpoczyna inwokację. Zaczął mówić.

Czytał niegdyś runy zaklęcia Przywołania w księdze Ogiona, przeszło dwa lata temu, i od owego czasu ani razu ich nie widział. Wtedy czytał je w ciemności. W ciemności, która go teraz otaczała, było tak, jak gdyby czytał je na nowo na stronicy otwartej przed nim wśród nocy. Ale teraz rozumiał, co czyta, wymawiając na głos słowo po słowie, i widział oznaczenia wskazujące, jak należy tworzyć zaklęcia dźwiękiem głosu oraz poruszeniami ciała i rąk.

Inni chłopcy stali zapatrzeni, bez słowa i bez ruchu, drżąc tylko z lekka, wielkie było bowiem to zaklęcie, które zaczynało swoje działanie. Głos Geda brzmiał wciąż łagodnie, ale zmienił się, miał w sobie głęboki zaśpiew, a słowa, które wymawiał, nie były chłopcom znane. Nagle Ged zamilkł. Znienacka podniósł się wiatr i zaszumiał w trawie. Ged opadł na kolana i zawołał wielkim głosem. Potem upadł przed siebie, jakby chciał wziąć ziemię w objęcia rozpostartych ramion, a gdy się podniósł, trzymał w naprężonych dłoniach i ramionach coś ciemnego, coś tak ciężkiego, że dygotał z wysiłku, stając na nogi. Gorący wiatr zawodził w czarnych, falujących trawach na wzgórzu. Jeśli nawet świeciły gwiazdy, nikt ich teraz nie widział.

Ged wciąż mamrotał słowa zaklęcia, aż wreszcie wykrzyknął głośno i wyraźnie:

– Elfarran!

Znowu wykrzyknął to imię:

– Elfarran!

I po raz trzeci:

– Elfarran!

Bezkształtna bryła mroku, którą był podźwignął, oderwała się od niego. Odłączyła się i pomiędzy jego rozwartymi ramionami zajaśniało blade wrzeciono światła, mglisty owal – sięgający od ziemi na wysokość jego uniesionych rąk. W świetlistym owalu przez chwilę poruszał się jakiś kształt, ludzka postać – smukła kobieta spoglądająca w tył przez ramię. Jej twarz była piękna, pełna smutku i trwogi.

Duch jaśniał w tym miejscu tylko przez chwilę. Potem żółtawy owal pomiędzy ramionami Geda zabłysnął silniej. Rozszerzył się i rozprzestrzenił jak rozdarcie w ciemności ziemi i nieba, rozprucie w tkaninie świata. Poprzez nie buchnęła straszliwa jasność. A poprzez jasną, niekształtną wyrwę wygramoliło się coś jak gruda czarnego cienia, szybka i ohydna, i to coś skoczyło wprost w twarz Geda.

Cofnąwszy się chwiejnie pod ciężarem owego cienia, Ged krzyknął krótko, chraplie. Mały otak patrzący z ramienia Vetcha, zwierzę pozbawione głosu, także wydał głośny krzyk i skoczył jak gdyby do walki.

Ged upadł, szamocząc się i wykręcając, podczas gdy ponad nim rozszerzało się i rozciągało jasne rozprucie w ciemności świata. Chłopcy, którzy się przyglądali, uciekli, Jasper zaś zgiął się ku ziemi, osłaniając oczy przed straszliwym światłem. Jedynie Vetch wybiegł naprzód ku przyjacielowi. Toteż tylko on widział bryłę cienia, która wpiła się w Geda, rwąc jego ciało. Było to jakby czarne zwierzę, wielkości małego dziecka, choć zdawało się, że puchnie, to znów się kurczy; nie miało głowy ani twarzy, jedynie cztery łapy z pazurami, którymi wpijało się w Geda i szarpało go. Vetch zaszlochał ze zgrozy, mimo to jednak wyciągnął ręce, chcąc odciągnąć owego potwora od Geda. Wszakże coś go unieruchomiło; zastygł jak skała.

Nieznośna jasność przygasła i stopniowo krawędzie rozdartego świata zrosły się z powrotem. Opodal przemawiał jakiś głos tonem łagodnym jak szmer drzewa albo tryskanie źródła.

Gwiazdy zabłysły na nowo, trawy na zboczu pobieliło światło wschodzącego właśnie księżyca. Noc została uzdrowiona. Światło i ciemność trwały w przywróconej i stałej równowadze. Zwierz-cień zniknął. Ged leżał na wznak jak długi, z ramionami rozrzuconymi, jak gdyby zachowującymi jeszcze szeroki gest przywitania i inwokacji. Jego twarz pociemniała od krwi, a na koszuli widniały wielkie czarne plamy. Mały otak skulił się przy jego barku, drżąc jak listek. A ponad Gedem stał starzec, którego płaszcz jaśniał blado we wschodzącym księżycu – Arcymag Nemmerle.

Koniec laski Nemmerlego uniósł się srebrnym błyskiem nad piersią Geda. Dotknął delikatnie okolicy jego serca, potem warg, podczas gdy Nemmerle coś szeptał. Ged drgnął, a jego wargi rozchyliły się, łapiąc oddech. Wtedy stary Arcymag podniósł laskę, postawił ją na ziemi i wsparł się na niej ciężko, ze schyloną głową, jak gdyby ledwie starczyło mu sił, aby ustać.

Vetch poczuł, że może się swobodnie poruszać. Rozglądając się wokół, dostrzegł, że byli tu już inni, Mistrz Przywołań i Mistrz Przemian. Akt wielkiego czarnoksięstwa nie może nie obudzić takich ludzi; mieli oni sposoby, aby zjawić się bardzo szybko, gdy wzywała ich potrzeba, choć żaden nie był tak szybki jak Arcymag. Posłano teraz po pomoc i część z tych, którzy się zjawili, odprowadziła Arcymaga, inni zaś, wśród nich Vetch, zanieśli Geda do komnat Mistrza Ziół.

Całą noc Mistrz Przywołań pozostał na Pagórku Roke, czuwając na straży. Nic się nie poruszało na zboczu wzgórza, tam gdzie materia świata rozdarła się na oścież. Żaden cień nie przepełzł poprzez światło księżycowe, szukając rozdarcia, przez które mógłby wgramolić się z powrotem do swojego królestwa. Cień uciekł był przed Nemmerlem i przed potężnymi ścianami czarów, które otaczają i chronią wyspę Roke, ale teraz przebywał w świecie. I gdzieś w świecie się ukrył. Gdyby Ged umarł tej nocy, cień mógłby próbować odnaleźć wejście, które przedtem otworzył, i wstąpić za Gedem w królestwo śmierci, wśliznąć się z powrotem w owo

miejsce, z którego przybył; właśnie dlatego Mistrz Przywołań czekał na Pagórku Roke. Ale Ged żył.

Położono go do łóżka w izbie uzdrowień i Mistrz Ziół zajął się opatrywaniem ran, które Ged miał na twarzy, szyi i ramieniu. Były to głębokie, poszarpane i złośliwe rany. Płynąca z nich czarna krew nie dawała się zatamować, tryskając nawet mimo działania czarów i owiniętych w pajęczynę liści perriotu, które przykładano na rany. Ged, niewidomy i niemy, leżał w gorączce jak patyk w tlącym się ogniu i nie było zaklęcia, które mogłoby ochłodzić to, co go spalało.

Nieopodal, na otwartym podwórcu, gdzie tryskała fontanna, leżał Arcymag, również nieruchomy, lecz zimny, bardzo zimny; tylko jego oczy żyły, obserwując spadanie oświetlonej księżycem wody i poruszanie się oświetlonych księżycem liści. Ci, którzy byli z nim, nie wypowiadali zaklęć i nie czynili uzdrawiających czarów. Od czasu do czasu mówili coś spokojnie między sobą, po czym zwracali wzrok na Arcymaga, a on leżał bez ruchu, księżyc bielił jego orli nos, wysokie czoło i siwe włosy, nadając im barwę kości. Aby opanować rozpętane czary i odpędzić cień od Geda, Nemmerle zużył całą swoją moc, a wraz z nią odeszła także jego siła cielesna. Leżał w agonii. Ale śmierć wielkiego maga, który w swym życiu wiele razy przechadzał się po wyschłych, spadzistych wzgórzach królestwa śmierci, jest zjawiskiem osobliwym, umierający bowiem, znający już drogę, odchodzi nie po omacku, lecz pewnie. Gdy Nemmerle spoglądał w górę poprzez liście drzewa, ci, co go otaczali, nie wiedzieli, czy patrzy na letnie gwiazdy blednące w świetle brzasku, czy też na tamte inne gwiazdy, które nigdy nie gasną nad wzgórzami nieznającymi świtu.

Kruk z Osskil, który był jego ulubieńcem przez trzydzieści lat, znikł. Nikt nie widział, dokąd odleciał.

– Kruk leci przed nim – rzekł Mistrz Wzorów, gdy czuwali przy Arcymagu.

Dzień nastał ciepły i jasny. W Wielkim Domu i na uliczkach Thwil panowała cisza. Nikt nie podnosił głosu, póki koło południa nie odezwały się głośnym, ostrym tonem żelazne dzwony na Wieży Śpiewów.

Nazajutrz Dziewięciu Mistrzów z Roke zebrało się w miejscu ukrytym gdzieś pod ciemnymi drzewami Wewnętrznego Gaju. Nawet tam ustawili naokoło siebie dziewięć ścian ciszy, toteż żaden człowiek ani żadna moc nie mogły przemówić do nich ani ich usłyszeć, gdy wybierali spośród magów całego Ziemiomorza tego, który miał być nowym Arcymagiem. Wybór padł na Genshera z wyspy Way. Natychmiast wysłano przez Morze Najgłębsze na wyspę Way statek, aby przywiózł Arcymaga na Roke. Mistrz Wiatrów stanął na rufie i zbudził magiczny wiatr, który dął w żagiel; statek szybko wypłynął z portu i zniknął w oddali.

O wydarzeniach tych Ged nic nie wiedział. Przez cztery tygodnie tego gorącego lata leżał ślepy, głuchy i niemy, choć czasami jęczał i krzyczał jak zwierzę. Nareszcie, gdy cierpliwe umiejętności Mistrza Ziół wywarły nań swoje uzdrawiające działanie, rany Geda zaczęły się zasklepiać i opuściła go gorączka. Po trochu zaczął sprawiać wrażenie, że znów słyszy, choć nigdy się nie odzywał. Pewnego pogodnego jesiennego dnia Mistrz Ziół otworzył okiennice izby. Od czasu ciemności tamtej nocy na Pagórku Roke Ged znał tylko ciemność. Teraz ujrzał światło dzienne i blask słońca. Schował w dłoniach pokrytą bliznami twarz i zapłakał.

Kiedy nadeszła zima, potrafił mówić, tylko zająkując się nieco. Mistrz Ziół wciąż trzymał go w izbie uzdrowień, próbując stopniowo przywrócić siłę jego ciału i umysłowi. Była wczesna wiosna, kiedy wreszcie mistrz go wypuścił, poleciwszy mu, aby najpierw złożył hołd Arcymagowi Gensherowi. Poprzednio bowiem Ged nie był w stanie wraz z resztą szkoły spełnić tej powinności, kiedy Gensher przybył na Roke.

Żadnemu z kolegów Geda nie pozwalano odwiedzić go w miesiącach choroby i teraz, gdy przechodził mimo, niektórzy z nich zapytywali się wzajemnie: „Kto to taki?”. Dawniej był zwinny, gibki i mocny. Teraz, złamany przez cierpienie, szedł niepewnie i nie podnosił twarzy, której lewa strona była biała od blizn. Unikał znajomych i nieznajomych, kierując się prosto na Podwórzec Fontanny. Tam, w miejscu gdzie on sam niegdyś oczekiwał Nemmerlego, teraz oczekiwał go Gensher.

Jak poprzedni Arcymag, tak i nowy był odziany w biały płaszcz; ale, jak większość ludzi z Way i ze Wschodnich Rubieży, Gensher był ciemnoskóry i ciemne było jego spojrzenie spod gęstych brwi.

Ged ukląkł, złożył mu hołd i przysiągł posłuszeństwo. Gensher milczał przez chwilę.

– Wiem, co uczyniłeś – powiedział wreszcie – ale nie wiem, kim jesteś. Nie mogę przyjąć twojego hołdu.

Ged powstał i wsparł się dłonią o pień rosnącego koło fontanny drzewka, aby utrzymać równowagę. Wciąż jeszcze znajdowanie słów przychodziło mu z trudem.

– Czy mam opuścić Roke, mój panie?

– Czy chcesz opuścić Roke?

– Nie.

– A czego chcesz?

– Zostać. Uczyć się. Przemóc... zło...

– Sam Nemmerle nie umiał tego zrobić. Nie, nie pozwolę ci odejść z Roke. Nic cię nie chroni oprócz mocy tutejszych mistrzów i wzniesionych wokół tej wyspy obwarowań, które nie dopuszczają złych istot. Gdybyś teraz odjechał, to coś, co spuściłeś z uwięzi, znalazłoby cię natychmiast, weszło w ciebie i wzięło cię w posiadanie. Byłby z ciebie nie człowiek, lecz gebbeth, kukiełka spełniająca wolę tego złego cienia, którego podźwignąłeś w światło dnia. Musisz tu zostać, póki nie nabędziesz dosyć siły i mądrości, aby móc samemu się przed nim bronić – jeśli będziesz kiedyś do tego zmuszony. Nawet teraz to coś czeka na ciebie. Niechybnie czeka. Czy widziałeś to od czasu tamtej nocy?

– W snach, mój panie. – Po chwili Ged ciągnął dalej, mówiąc z bólem i wstydem: – Mistrzu Gensherze, nie wiem, co to było – to coś, co wydostało się z czarów i wpiło we mnie...

– Ja również nie wiem. To nie ma imienia. Masz w sobie wielką wrodzoną moc i użyłeś tej mocy niewłaściwie. Rzuciłeś zaklęcie, nad którym nie panowałeś, nie wiedząc, jak to zaklęcie wpływa na równowagę światła i mroku, życia i śmierci, dobra i zła. A do tego postępku przywiodły cię pycha i nienawiść. Czy można się dziwić, że skutek był opłakany? Wywołałeś ducha z ciała zmarłej, ale wraz z tym duchem zjawiła się jedna z Mocy Przeciw-Życia. Przybyła bez

wezwania stamtąd, gdzie nie ma imion. Będąc złem, chce czynić zło za twoim pośrednictwem. Władza, która pozwoliła ci ją przywołać, daje jej władzę nad tobą. Jesteście powiązani. To cień twojej buty, cień twojej niewiedzy, cień, który rzucasz. Czyż cień ma imię?

Ged milczał, stał chory i zmizerniały. Wreszcie rzekł:

– Byłoby lepiej, gdybym wtedy umarł.

– Kim jesteś, aby orzekać, ty, za którego Nemmerle oddał życie? Jesteś tu bezpieczny. Będziesz tu mieszkał i dalej się kształcił. Mówiono mi, że byłeś zdolny. Dalej więc, zabierz się do pracy. Wykonuj ją jak należy. To wszystko, co możesz zrobić.

Na tym Gensher zakończył i nagle zniknął, jak to jest w zwyczaju magów. Fontanna podskakiwała w słońcu; Ged przyglądał się jej przez chwilę i słuchał jej głosu, myśląc o Nemmerlem. Niegdyś na tym dziedzińcu poczuł się słowem wymówionym przez światło słoneczne. Teraz odezwała się ciemność – wymówiła słowo, którego nie można było cofnąć.

Opuścił dziedziniec, zmierzając do swej dawnej izby w Wieży Południowej; izbę tę trzymano dla niego pustą. Pozostał tam w samotności. Gdy usłyszał gong obwieszczający kolację, poszedł na dół, ale niemal nie odzywał się do innych chłopców przy Długim Stole i nie podnosił ku nim twarzy, nawet ku tym, którzy pozdrawiali go najoględniej. Toteż po paru dniach wszyscy zostawili go w spokoju. Pragnął samotności, lękał się bowiem zła, które mógłby spowodować uczynkiem lub słowem, nie zdając sobie z tego sprawy.

W szkole nie było ani Vetcha, ani Jaspera i Ged nie pytał o nich. Chłopcy, którym poprzednio przewodził i nad którymi górował, teraz wszyscy go wyprzedzili z przyczyny miesięcy, które utracił; tej wiosny i lata uczył się więc z chłopcami młodszymi od siebie. Nie błyszczał też wśród nich, ponieważ słowa każdego zaklęcia, nawet najprostszej sztuki iluzyjnej, wychodziły z jego ust z wahaniem, a jego ręce nie były pewne w swoim kunszcie.

Na jesieni miał udać się raz jeszcze do Wieży Osobnej na naukę u Mistrza Imion. Obowiązek ten, którego niegdyś się obawiał, teraz odpowiadał mu, gdyż tym, czego szukał, była cisza – a także długa nauka, przy której nie czyni się zaklęć i podczas której ta moc,

o której wiedział, że wciąż w nim jest, nie musi być ani razu przywołana do działania.

W nocy poprzedzającej przeprowadzkę Geda do Wieży Osobnej odwiedził jego izbę człowiek ubrany w brązowy płaszcz podróżny i trzymający dębową laskę okutą żelazem. Ged podniósł się na widok laski czarnoksiężnika.

– Krogulcze...

Na dźwięk głosu Ged podniósł oczy. To Vetch stał przed nim, krępy i kwadratowy jak zawsze; jego ciemna, szczera twarz stała się starsza, ale uśmiech się nie zmienił. Na ramieniu Vetcha kuliło się zwierzątko o cętkowanym futerku i jasnych oczach.

– Został u mnie, gdy byłeś chory, i teraz przykro mi się z nim rozstawać. A jeszcze bardziej przykro rozstawać z tobą, Krogulcze. Ale jadę do domu. Dalej, Hoeg! Idź do swojego prawdziwego pana! – Vetch poklepał otaka i posadził na podłodze.

Zwierzątko ruszyło przed siebie, usiadło na sienniku Geda i zaczęło myć swoje futerko suchym brązowym językiem podobnym do listka. Ged schylił się, głaszcząc otaka, aby ukryć twarz.

– Myślałem, że nie przyjdziesz do mnie, Vetch – powiedział.

Nie miał zamiaru robić mu wymówek, ale Vetch odparł:

– Nie mogłem. Mistrz Ziół zabronił mi; a od zimy przebywałem z nim zamknięty w Gaju. Nie byłem wolny, póki nie zdobyłem swojej laski. Posłuchaj, gdy też będziesz wolny, przyjedź na Wschodnie Rubieże. Będę na ciebie czekał. W tamtejszych miasteczkach wesoło się żyje, a czarnoksiężnicy są mile widziani.

– Wolny... – mruknął Ged i wzruszył odrobinę ramionami, próbując się uśmiechnąć.

Vetch patrzył na niego, nie całkiem tak jak zwykle: z nie mniejszą miłością, ale zapewne z większą czarnoksięską wiedzą.

– Nie pozostaniesz na zawsze na Roke – powiedział miękko.

– Cóż... miałem nadzieję, że będę mógł pójść na naukę do Mistrza w Wieży, aby zostać jednym z tych, którzy szukają w księgach i gwiazdach zgubionych imion, i w ten sposób... w ten sposób nie czynić przynajmniej nic złego, jeśli już nic dobrego nie mogę...

– Zapewne – przytaknął Vetch. – Nie jestem jasnowidzem, ale widzę przed tobą nie komnaty i księgi, lecz dalekie morza, ognie

smoków, wieże miast i wszystko to, co widzi sokół, gdy leci wysoko i daleko.

– A za mną? Co widzisz za mną? – spytał Ged i powstał, tak że błędny ognik, który płonął pośrodku nad ich głowami, rzucił jego cień w tył, na ścianę i podłogę. Ged zwrócił twarz w bok i rzekł, zająkując się: – Ale opowiedz mi, dokąd ty się udasz, co ty będziesz robił.

– Pojadę do domu odwiedzić braci i siostrę, o której ci nieraz mówiłem. Zostawiłem ją jako małe dziecko, a wkrótce będzie obchodziła swoje święto nadania imienia – dziwnie jest o tym pomyśleć! A potem znajdę sobie zajęcie jako czarnoksiężnik gdzieś wśród małych wysp. Och, zostałbym dłużej i pogadał z tobą, ale nie mogę, mój statek wyrusza w rejs dziś wieczorem i przypływ już się zaczął. Krogulcze, jeśli kiedykolwiek twoja droga powiedzie na wschód, odwiedź mnie. A jeśli będziesz mnie kiedykolwiek potrzebował, sprowadź mnie, wezwij mnie moim imieniem: Estarriol.

Na te słowa Ged podniósł swoją pokrytą bliznami twarz; ich spojrzenia się spotkały.

– Estarriol... mam na imię Ged.

Potem w milczeniu pożegnali się ze sobą; Vetch odwrócił się i zszedł do kamiennej sieni, po czym opuścił Roke.

Ged stał przez chwilę bez ruchu, jak ktoś, kto dowiedział się wielkich nowin i musi rozszerzyć swą duszę, aby je przyjąć. Wspaniałym darem było to, co ofiarował mu Vetch: znajomość jego prawdziwego imienia.

Prawdziwego imienia mężczyzny nie zna nikt prócz niego samego i tego, kto mu je nadał. Mężczyzna może się w ostateczności zdecydować, aby zdradzić je swemu bratu, żonie czy przyjacielowi, jednakże nawet ci nieliczni nie używają nigdy owego imienia tam, gdzie może je usłyszeć ktoś trzeci. W obecności innych ludzi będą, tak jak inni, nazywać mężczyznę jego imieniem użytkowym, jego przydomkiem – jak na przykład Krogulec, Vetch, co znaczy Wyka, albo Ogion, co znaczy Szyszka Jodłowa. Jeśli zaś prości ludzie ukrywają swoje prawdziwe imię przed wszystkimi oprócz tych paru, których kochają i którym ufają bezgranicznie, tym bardziej muszą tak czynić ludzie zajmujący się czarnoksięstwem – bardziej niebezpieczni

i bardziej narażeni na niebezpieczeństwo. Kto zna imię człowieka, ten ma w swojej mocy jego życie. I właśnie Gedowi, który utracił wiarę w siebie, Vetch ofiarował ten dar, na który stać tylko przyjaciela – dowód niezachwianego, niedającego się zachwiać zaufania.

Ged usiadł na sienniku i pozwolił zgasnąć kuli błędnego ognika, od której, gdy znikła, doleciał słaby zapach bagiennego gazu. Pogłaskał otaka, który przeciągnął się rozkosznie i ułożył do snu na jego kolanach, jak gdyby nigdy nie sypiał gdzie indziej. W Wielkim Domu panowała cisza. Ged zdał sobie sprawę, że jest to przeddzień rocznicy jego przejścia, dnia, w którym Ogion nadał mu imię. Od owego dnia minęły cztery lata. Wspomniał chłód górskiego źródła, przez które brodził nagi i pozbawiony imienia. Pogrążył się w rozmyślaniach o innych lśniących rozlewiskach rzeki Ar, gdzie zwykle pływał; o wiosce Dziesięć Olch pod wielkimi, porastającymi zbocze góry lasami; o cieniach poranku padających w poprzek zakurzonej długiej ulicy, o ogniu podrywającym się pod podmuchem miechów na kowalskim palenisku w zimowe popołudnie, o ciemnej i wonnej chacie czarownicy, gdzie powietrze było ciężkie od dymu i kłębiących się zaklęć. Nie myślał o tym już od dawna. Wspomnienia powróciły doń teraz, w nocy, w której kończył siedemnaście lat. Wszystkie lata i miejsca, w których spędził swoje krótkie, rozbite na części życie, znalazły się w zasięgu umysłu i na powrót utworzyły całość. Nareszcie, po tym długim, gorzkim, zmarnowanym okresie, wiedział raz jeszcze, kim jest i gdzie się znajduje.

Ale dokąd ma się udać w nadchodzących latach – tego nie potrafił dostrzec; i bał się ujrzeć.

Nazajutrz rano wyruszył w drogę przez wyspę, niosąc jak zwykle na ramieniu otaka. Tym razem dotarcie do Wieży Osobnej zajęło mu trzy, nie dwa dni. Był śmiertelnie znużony, gdy w dali wreszcie zobaczył Wieżę wznoszącą się ponad prychające, syczące wody północnego przylądka. Wewnątrz Wieży było ciemno, tak jak pamiętał, i chłodno, tak jak pamiętał, a Kurremkarmerruk siedział na wysokim zydlu, spisując listy imion. Rzucił okiem na Geda i rzekł bez przywitania, jak gdyby chłopak nigdy się nie oddalał:

– Idź do łóżka; kto zmęczony, ten głupi. Jutro możesz otworzyć *Księgę Przedsięwzięć Stwórców* i wyuczyć się zawartych w niej imion.

Pod koniec zimy Ged powrócił do Wielkiego Domu. Był już wtedy pasowany na czarodzieja i Arcymag Gensher tym razem przyjął jego hołd. Odtąd Ged zgłębiał wyższe sztuki i czary, porzucając sztuki iluzyjne na rzecz dzieł prawdziwej magii i ucząc się tego, co musiał wiedzieć, aby zasłużyć na swą laskę czarnoksiężnika. Trudność, jaką sprawiało mu poprzednio wymawianie zaklęć, znikła po paru miesiącach, a w jego ręce powróciła zręczność; mimo to nie spieszył się do nauki tak jak dawniej – strach udzielił mu brutalnej i niezapomnianej lekcji. Jego czary nie wywoływały zresztą żadnych groźnych mocy ani konfliktów, nawet gdy wymawiał Wielkie Zaklęcia Stworzenia i Nadawania Kształtu, które są najbardziej ryzykowne. Nieraz zadawał sobie pytanie, czy uwolniony przezeń wówczas cień nie osłabł tymczasem albo jakimś sposobem umknął ze świata, nie nawiedzał go bowiem już więcej w snach. Ale w głębi serca wiedział, że taka nadzieja jest nierozumna.

Od mistrzów i ze starodawnych Ksiąg Wiedzy uczył się, czego mógł, o istotach takich jak ów cień, który wtenczas uwolnił; niewiele jednak można się było o tym nauczyć. O żadnym takim stworzeniu nie pisało się ani nie mówiło wprost. W najlepszym razie trafiały się tu i ówdzie w starych księgach wzmianki o czymś, co mogło przypominać owego zwierza-cień. Nie był to duch człowieka i nie było to coś stworzonego przez Dawne Moce Ziemi, a mimo to sprawiało wrażenie, że ma z tym wszystkim jakieś powiązanie. W *Rzeczy o Smokach*, którą Ged przeczytał bardzo dokładnie, znajdowała się opowieść o starożytnym Władcy Smoków, który dostał się pod władanie jednej z Dawnych Mocy – Mówiącego Kamienia spoczywającego w dalekim północnym kraju.

Księga głosiła: „Na rozkaz Kamienia przemówił, aby wywołać ducha z królestwa zmarłych, lecz jego czarnoksięstwo wypaczone zostało przez wolę Kamienia i wraz z duchem zjawiło się nieprzywołane, które wywabiło Władcę z jego powłoki i w niej chodziło po świecie, ludzi zabijając". Księga nie mówiła jednak, czym było to nieprzywołane, ani też nie zdradzała zakończenia opowieści. Mistrzowie zaś nie wiedzieli, skąd mógł przybyć taki cień: z Przeciw-

Życia, powiedział Arcymag; ze złej strony świata, rzekł Mistrz Przemian, a Mistrz Przywołań powiedział: „Nie wiem”. Mistrz Przywołań przychodził dawniej często, aby posiedzieć przy Gedzie w czasie jego choroby. Był srogi i poważny jak zawsze, ale Ged czuł teraz jego współczucie i kochał go bardzo.

– Nie wiem. Wiem tylko, że przywołać zwierza-cień mogła jedynie wielka moc, i to być może tylko jedna moc – tylko jeden głos – twój głos. Ale co to z kolei znaczy, nie wiem. Ty to odkryjesz. Musisz to odkryć albo umrzeć, gorzej niż umrzeć... – Mistrz mówił cicho i jego oczy były posępne, gdy spoglądał na Geda. – Myślałeś, będąc chłopcem, że mag to ktoś, kto potrafi uczynić wszystko. Tak i ja niegdyś myślałem. Tak myśleliśmy wszyscy. A prawda jest taka, że im bardziej rośnie prawdziwa moc człowieka, im bardziej poszerza się jego wiedza, tym bardziej zwęża się droga, którą może on kroczyć, aż wreszcie niczego już nie wybiera, lecz czyni tylko i wyłącznie to, co czynić musi...

Gdy Ged ukończył osiemnaście lat, Arcymag wysłał go na naukę do Mistrza Wzorów. O tym, co jest przedmiotem nauki w Wewnętrznym Gaju, nie mówi się wiele poza jego obrębem. Podobno nie czyni się tam wcale czarów, a mimo to miejsce to samo w sobie jest zaczarowane. Czasami drzewa Gaju są widoczne, czasami zaś nie są i nie zawsze znajdują się w tym samym miejscu i w tej samej części wyspy Roke. Podobno już same drzewa Gaju mają w sobie mądrość czarnoksięską. Podobno Mistrz Wzorów uczy się swej najwyższej magii tam, w Gaju; gdy tylko drzewa obumrą, jego wiedza czarnoksięska obumrze również, a wówczas wody podniosą się i zatopią wyspy Ziemiomorza, które Segoy wydźwignął z głębin w przedmitycznych czasach, zatopią wszystkie lądy, na których żyją ludzie i smoki.

Ale to tylko pogłoska, a od czarnoksiężników nie można się o tym niczego dowiedzieć.

Upływały miesiące, aż wreszcie pewnego wiosennego dnia Ged powrócił do Wielkiego Domu, nie mając pojęcia, czego odeń teraz zażądają. Przy drzwiach, które wychodzą na ścieżkę wiodącą przez pola do Pagórka Roke, natknął się na starca oczekującego u wejścia. Z początku Ged go nie poznał, ale po namyśle przypomniał go sobie

jako tego, który wpuścił go do szkoły w dniu przybycia, pięć lat temu.

Starzec uśmiechnął się, pozdrawiając go po imieniu, i zapytał:

– Czy wiesz, kim jestem?

Ged myślał właśnie przed chwilą o tym, że zawsze mówiło się: Dziewięciu Mistrzów z Roke, a on znał tylko ośmiu – Mistrz Wiatrów, Sztuki, Ziół, Pieśni, Przemian, Przywołań, Imion, Wzorów. Zdawało się, że o Arcymagu mówi się jako o dziewiątym. A przecież gdy wybierano nowego Arcymaga, w sprawie jego wyboru zebrało się Dziewięciu Mistrzów.

– Myślę, że jesteś Mistrzem Odźwiernym – powiedział Ged.

– Owszem. Gedzie, zdobyłeś prawo wejścia do Roke, wymawiając swoje imię. Teraz możesz zdobyć prawo odejścia stąd, wymawiając moje. – Tak rzekł starzec, uśmiechając się, i czekał.

Ged stał bez słowa. Znał oczywiście tysiące sposobów, sztuk i środków dowiadywania się imion rzeczy i ludzi; umiejętność taka wchodziła w skład nauki na Roke, bez niej bowiem magia na niewiele by się przydała. Ale odkryć imię maga i mistrza – to była inna sprawa. Imię maga jest ukryte lepiej niż śledź w morzu, lepiej strzeżone niż jaskinia smoka. Zaklęcie podpatrujące natknie się na silniejsze zaklęcie, misterne fortele zawiodą, dociekanie będzie okrężnie udaremnione, a przemoc zostanie zwrócona zgubnie przeciw samej sobie.

– Wąskie są drzwi, które otwierasz, mistrzu – powiedział wreszcie Ged. – Muszę chyba usiąść tu, wśród pól, i pościć, póki nie schudnę na tyle, aby się prześliznąć.

– Jak długo zechcesz – odparł Mistrz Odźwierny z uśmiechem.

Tak więc Ged oddalił się trochę i usiadł pod olchą na brzegu Thwilburn; wypuścił otaka, który zbiegł nad wodę, aby igrać w strumieniu i przetrząsać błotniste brzegi w poszukiwaniu krabów. Słońce zniżało się, późne i jasne, wiosna bowiem była w pełni. Światła latarń i błędnych ogników zajaśniały w oknach Wielkiego Domu, a u stóp wzgórza uliczki miasta Thwil napełniły się mrokiem. Nad dachami pohukiwały sowy i nietoperze przelatywały w zmierzchu ponad strumieniem, a Ged wciąż siedział, rozmyślając nad tym, jak mógłby – przemocą, podstępem albo czarami – poznać

imię Mistrza Odźwiernego. Im więcej dumał, tym mniej był w stanie dostrzec pośród wszystkich sztuk czarnoksięskich, jakich się wyuczył przez te pięć lat na Roke, tę jedną, która pozwoliłaby wydrzeć taką tajemnicę magowi.

Położył się w polu i zasnął pod gwiazdami, wraz z otakiem, który umościł się w jego kieszeni. Gdy słońce wstało, podszedł, wciąż z pustym żołądkiem, do drzwi i zapukał. Mistrz Odźwierny otworzył.

– Mistrzu – rzekł Ged – nie potrafię wydobyć z ciebie twego imienia siłą, nie będąc dostatecznie silnym, i nie potrafię wydobyć go podstępem, nie będąc dostatecznie mądrym. Toteż wystarczy mi, że zostanę tutaj, aby się uczyć lub służyć, cokolwiek sobie życzysz – chyba że przypadkiem odpowiesz mi na jedno pytanie.

– Zapytaj.

– Jakie jest twoje imię?

Mistrz Odźwierny uśmiechnął się i wymówił swoje imię; i Ged, powtarzając je, wkroczył po raz ostatni w progi Wielkiego Domu.

Kiedy zeń na powrót wyszedł, miał na sobie ciężki ciemnobłękitny płaszcz, podarunek od mieszkańców Low Torning, dokąd się udawał, gdyż potrzebowano tam czarnoksiężnika. Niósł także laskę równą swemu wzrostowi, wyrzezaną z drzewa cisowego i okutą brązem. Mistrz Odźwierny życzył mu szczęśliwej drogi, otwierając przed nim tylne drzwi Wielkiego Domu, drzwi z rogu i kości smoczej, i Ged zszedł uliczkami Thwil do statku, który czekał nań na jasnych porannych falach.

5

Smok z wyspy Pendor

Na zachód od Roke, pomiędzy dwoma wielkimi lądami Hosk i Ensmer, leży stłoczona gromada Dziewięćdziesięciu Wysp. Najbliższa Roke jest wyspa Serd, a najdalsza to Seppish, która znajduje się już niemal na Morzu Pelnijskim; czy jest ich w sumie dziewięćdziesiąt – to pytanie nigdy nie rozstrzygnięte, ponieważ jeśli liczyć tylko wyspy mające źródła słodkiej wody, można ich naliczyć siedemdziesiąt, jeśli natomiast brać pod uwagę każdą skałę, można się doliczyć stu i więcej; a w dodatku przypływy zmieniałyby wynik. Kanały pomiędzy wysepkami są wąskie, toteż umiarkowane przypływy i odpływy Morza Najgłębszego, napotykając tu ścieśnienia i przegrody, wznoszą się wysoko i opadają nisko; wskutek tego w miejscu, gdzie podczas przypływu mogły być trzy wyspy, w czasie odpływu bywa jedna. Mimo zresztą wszystkich niebezpieczeństw związanych z przypływami, każde dziecko umiejące chodzić potrafi tu wiosłować i ma swoją łódkę; gospodynie przepływają łodziami przez kanał, aby wypić z sąsiadką filiżankę ziółek; domokrążcy zachwalają swoje towary w rytm uderzeń wioseł. Wszystkie tutejsze drogi to słona woda, którą przegradzają jedynie sieci rozciągnięte od domu do domu w poprzek cieśnin dla połowu rybek zwanych turbikami – wytwarzany z nich olej jest bogactwem Dziewięćdziesięciu Wysp. Jest na wyspach parę mostów, nie ma zaś ani jednego większego miasta. Na każdej wysepce tłoczą się zagrody

i domy rybaków; od dziesięciu do dwunastu wysepek tworzy wspólną gminę. Jedną z takich gmin był Low Torning, obszar wysunięty najdalej na zachód, otwierający się nie na Morze Najgłębsze, ale na zewnątrz, ku pustemu oceanowi, temu odludnemu skrajowi Archipelagu, gdzie znajduje się już tylko Pendor, wyspa spustoszona przez smoki, a poza nim rozciągają się niegościnne wody Zachodnich Rubieży.

Dom dla nowego czarnoksiężnika był już przygotowany. Stał na wzgórzu pośród zielonych pól jęczmienia, osłonięty od zachodniego wiatru przez pendikowy zagajnik, którego drzewa tonęły właśnie w czerwonych kwiatach. Od drzwi roztaczał się widok na inne strzechy, zagajniki i ogrody, na inne wyspy pełne strzech, gajów i ogrodów oraz na wijące się pomiędzy nimi niezliczone błyszczące kanały morskie. Dom był skromny, pozbawiony okien, z glinianą podłogą, a mimo to lepszy niż ten, w którym Ged się urodził. Naczelnicy wysp z gminy Low Torning, czując lęk wobec czarnoksiężnika z Roke, prosili, aby im wybaczył ubóstwo domostwa. „Brak nam kamienia do budowy", powiedział jeden z nich. „Nikt z nas nie jest bogaty, choć nikt nie głoduje", dorzucił drugi, a trzeci: „Będzie tu przynajmniej sucho, panie, bo ja sam doglądałem krycia strzechą". W oczach Geda dom był nie gorszy od pałacu. Podziękował szczerze naczelnikom wysp, tak że cała ich osiemnastka powróciła, aby oznajmić rybakom i gospodyniom, że nowy czarnoksiężnik to dziwny, posępny młodzieniec, który mówi mało, ale grzecznie i bez wyniosłości.

Zapewne niewiele było powodów do wyniosłości na tej pierwszej posadzie maga, jaką Ged objął. Czarnoksiężnicy kształceni na Roke udawali się zwykle do miast lub zamków, aby służyć wielkim władcom, którzy gościli ich w wielkich domach. Ci rybacy z Low Torning normalną koleją rzeczy mieliby u siebie co najwyżej czarownicę albo prostego guślarza, który rzucałby urok na sieci, śpiewał nad nowymi łodziami oraz leczył ludzkie i zwierzęce dolegliwości. Ale w ostatnich latach Stary Smok z wyspy Pendor wodził młode – i podobno dziesięć smoków miało teraz legowisko w ruinie wież Władców Morskich z Pendoru, wlokło pokryte łuską brzuchy w górę i w dół po marmurowych schodach i przez rozwalone

bramy zamku. Potrzebując pożywienia na tej martwej wyspie, smoki wyleciały z niej któregoś roku, gdy podrosły i zaczął im doskwierać głód. Widziano już cztery smoki lecące nad południowo-zachodnimi wybrzeżami wyspy Hosk; nie siadały na ziemi, ale wypatrywały stajen, owczarni i osiedli ludzkich. Głód smoka budzi się powoli, lecz nasycić go trudno. Toteż naczelnicy wysp z gminy Low Torning posłali na Roke prośbę o czarnoksiężnika, który ochroniłby ich lud przed tym, co zagrażało mu spoza zachodniego horyzontu – i Arcymag osądził, że ich obawa jest całkiem uzasadniona.

– Nie ma tam wygód – mówił Arcymag Gedowi tego dnia, kiedy pasował go na czarnoksiężnika – nie ma sławy, nie ma bogactwa, zapewne nie ma też niebezpieczeństw. Pojedziesz?

– Pojadę – odparł Ged, nie tylko z posłuszeństwa. Od owej nocy na Pagórku Roke pragnął uniknąć popisywania się i sławy tak usilnie, jak usilnie przedtem do nich dążył. Teraz już bezustannie powątpiewał w swą siłę i lękał się wystawiać na próbę swą moc. Z drugiej strony wieści o smokach zaciekawiły go ogromnie. Na wyspie Gont nie było smoków od wielu setek lat, podobnie też żaden smok nie przelatywał w zasięgu węchu, wzroku albo zaklęcia mieszkańców Roke, toteż i tam są one tylko tematem legend i pieśni, czymś opiewanym, ale nie widzianym. W szkole Ged nauczył się o smokach wszystkiego, czego mógł, lecz co innego czytać o smokach, a co innego je spotkać. Dogodna sposobność otwierała się przed nim jasno, więc i ze szczerą ochotą odpowiedział:

– Pojadę.

Arcymag Gensher skinął wówczas głową, ale z mrocznym wyrazem twarzy.

– Powiedz mi – odezwał się wreszcie – czy lękasz się opuścić Roke? Czy też pragniesz stąd odejść?

– I jedno, i drugie, mistrzu.

Gensher znów skinął głową.

– Nie wiem, czy postępuję słusznie, wyprawiając cię stąd, gdzie jesteś bezpieczny – powiedział bardzo cicho. – Nie umiem ujrzeć twojej drogi. Kryje się cała w ciemności. Na Północy zaś istnieje jakaś moc, coś, co mogłoby cię zniszczyć, ale co to jest i gdzie się znajduje – czy na twojej przeszłej, czy przyszłej drodze – nie potrafię

powiedzieć, wszystko okryte jest cieniem. Gdy przybyli tu ludzie z Low Torning, pomyślałem zaraz o tobie, bo gmina ta wydała mi się bezpieczną i na uboczu położoną okolicą, gdzie mógłbyś mieć czas na nabranie sił. Nie wiem jednak, czy jakiekolwiek miejsce jest dla ciebie bezpieczne ani też dokąd prowadzi twoja droga. Nie chciałbym wyprawiać cię w głąb mroku...

Dom pod kwitnącymi drzewami wydał się jednak z początku Gedowi miejscem wystarczająco jasnym. Młodzieniec mieszkał w nim, przyglądał się często niebu na zachodzie i nastawiał swoje ucho czarnoksiężnika na szum łuskowatych skrzydeł. Ale żaden smok się nie zjawiał. Ged łowił na nabrzeżu ryby i pielęgnował grządki w ogrodzie. Całe dnie spędzał na rozważaniu stronicy, linijki albo słowa z *Ksiąg Wiedzy*, które przywiózł z Roke, na przesiadywaniu na dworze, w letnim powietrzu pod drzewami pendikowymi; otak spał wtedy obok niego albo wyprawiał się na łowienie myszy w gąszczu traw i stokrotek. Ponadto Ged służył ludziom z Low Torning jako uzdrowiciel i zaklinacz pogody, ilekroć go o to poprosili. Nie przychodziło mu do głowy, że czarnoksiężnik miałby prawo czuć się upokorzony wykonywaniem tak prostych sztuk; bawił się przecież niegdyś jako dziecko gusłami pośród ludu uboższego niż ten. Ludzie z Low Torning rzadko go zresztą o coś prosili, obawiając się go, po części dlatego, że był czarnoksiężnikiem z Wyspy Mędrców, po części z racji jego milczenia i pokrytej bliznami twarzy. Choć tak młody, było w nim coś, co sprawiało, że w jego towarzystwie czuli się nieswojo.

Mimo to Ged znalazł przyjaciela – budowniczego łodzi, który mieszkał na najbliższej od wschodu wyspie. Nazywał się Pechvarry. Spotkali się po raz pierwszy na jego nadbrzeżu, gdzie Ged przystanął, aby przyjrzeć się, jak Pechvarry stawia maszt na małej żaglówce. Cieśla, szczerząc zęby, podniósł oczy na czarnoksiężnika i powiedział:

– Cały miesiąc trwała ta robota, dopiero teraz zbliżam się do końca. Myślę sobie, że ty umiałbyś to zrobić w jednej chwili za pomocą słowa, co, panie?

– Mógłbym – rzekł Ged – ale zatonęłaby najpewniej w następnej chwili, gdybym nie podtrzymywał zaklęć. Lecz jeśli chcesz... – urwał.

– Tak, panie?

– To taka sobie zabawna sztuczka. Tej łodzi niczego nie brakuje. Ale jeśli chcesz, mógłbym rzucić zaklęcie związujące, które chroniłoby ją przed uszkodzeniem, albo zaklęcie znajdujące, które pomogłoby jej wrócić z morza do domu.

Mówił z wahaniem, nie chcąc urazić rzemieślnika, lecz Pechvarry się rozpromienił.

– To łódka dla mojego syna, panie, jeśli zechciałbyś tak ją zaczarować, byłby to dowód wielkiej dobroci i życzliwości. – I wspiął się na nabrzeże, aby od razu uścisnąć Gedowi dłoń i mu podziękować.

Po tym wydarzeniu często pracowali razem; Ged dołączał swoją sztukę czarnoksięską do pracy ręcznej Pechvarry'ego przy budowie lub reperowaniu łodzi, w zamian zaś uczył się od rzemieślnika, jak łódź jest skonstruowana, a także jak nią sterować bez pomocy magii; ta bowiem umiejętność zwykłego żeglowania była na Roke czymś w rodzaju uświęconego tabu. Często Ged i Pechvarry oraz jego synek Ioeth wypływali na kanały i laguny, żeglując i wiosłując na tej czy innej łodzi, póki Ged nie stał się niezłym żeglarzem, a przyjaźń pomiędzy nim a Pechvarrym nie okrzepła ostatecznie.

Pewnego razu, późną jesienią, syn budowniczego łodzi zachorował. Matka sprowadziła z wyspy Tesk czarownicę, która była dobrą znachorką, i przez parę dni zdawało się, że wszystko idzie ku dobremu. Potem, wśród burzliwej nocy, zjawił się Pechvarry, waląc w drzwi Geda i błagając go, aby przyszedł uratować dziecko. Ged popędził wraz z nim do łodzi i wiosłowali pospiesznie, płynąc przez ciemność i deszcz do domu rzemieślnika. Tam Ged ujrzał leżące na wyrku dziecko, przykucniętą przy nim w milczeniu matkę oraz czarownicę, która kadziła dymem z korzenia corly i śpiewała *Pieśń Nagiańską*, co było najlepszym ze znanych jej środków leczniczych. Wyszeptała jednak do Geda:

– Czarnoksiężniku, ta gorączka to chyba róża i dziecko pewnie umrze tej nocy.

Gdy Ged ukląkł i położył dłonie na dziecku, pomyślał to samo i cofnął się na moment. W końcowych miesiącach jego choroby Mistrz Ziół przekazał mu wiele z wiedzy uzdrowicielskiej, a pierwsze

i ostatnie przykazanie tej wiedzy brzmiało: „Uzdrawiaj ranę i lecz chorobę, ale umierającemu duchowi pozwól odejść”.

Matka dostrzegła ruch Geda i zrozumiała jego znaczenie; zapłakała głośno z rozpaczy. Pechvarry schylił się nad nią, mówiąc:

– Nasz czarnoksiężnik Krogulec uratuje go, żono. Nie trzeba płakać! On jest teraz z nami. Potrafi to zrobić.

Słysząc matczyny lament i widząc ufność, jaką w nim pokładał Pechvarry, Ged poczuł, że nie może ich zawieść. Zwątpił we własne rozeznanie i pomyślał, że może dałoby się uratować dziecko, gdyby można było obniżyć gorączkę. Powiedział:

– Zrobię, co będę mógł.

Przystąpił do kąpania chłopca w zimnej deszczówce, którą, świeżo spadłą, przynieśli ze dworu, i zaczął wypowiadać jedno z zaklęć powstrzymujących gorączkę. Zaklęcie nie podziałało jeszcze i nie dobiegło do końca, gdy nagle Ged zdał sobie sprawę, że dziecko umiera w jego ramionach.

Przywołując całą swoją moc naraz i nie myśląc o sobie samym, wysłał swego ducha w pogoń za duchem dziecka, aby sprowadzić go z powrotem do domu. Wykrzyknął imię dziecka: „Ioeth!”. Czując, że jakaś nikła odpowiedź dotarła do jego wewnętrznego słuchu, puścił się w dalszą pogoń i zawołał raz jeszcze. Wtedy ujrzał chłopczyka zbiegającego szybko, daleko przed nim, po ciemnej pochyłości, po zboczu jakiegoś ogromnego wzgórza. Żaden dźwięk nie mącił ciszy. Gwiazdy nad wzgórzem były takie, jakich oczy Geda nigdy dotąd nie oglądały. Mimo to znał nazwy konstelacji: Snop, Drzwi, Ten Co Się Obraca, Drzewo. Były to gwiazdy, które nigdy nie zachodzą, nigdy nie bledną przy nadejściu dnia. W pogoni za umierającym dzieckiem Ged zapędził się za daleko.

Wiedząc to, zdał sobie sprawę, że pozostał sam na ciemnym zboczu wzgórza. Zawrócić z drogi było trudno, bardzo trudno.

Zawrócił powoli. Powoli postawił przed sobą jedną stopę, aby wspiąć się z powrotem na wzgórze, potem drugą. Szedł krok za krokiem, przymuszając się do każdego stąpnięcia. I każdy krok był trudniejszy niż poprzedni.

Gwiazdy nie drgnęły. Ponad suchym spadzistym obszarem ani razu nie powiał wiatr. W całym niezmierzonym królestwie mroku tylko Ged

się poruszał, powoli wspinając pod górę. Dotarł do szczytu wzgórza i ujrzał tam niski kamienny mur. Za murem, naprzeciwko niego, był cień.

Cień nie miał postaci człowieka ani zwierzęcia. Był bezkształtny, ledwie widoczny, lecz szeptał coś do Geda, choć w tym szepcie nie było słów, i sięgał w jego stronę. I to bezkształtne zło stało po stronie życia, a Ged po stronie śmierci.

Musiał albo zejść ze wzgórza w pustynne krainy i bezświetlne miasta zmarłych, albo powrócić ku życiu, przekraczając mur, za którym cień czaił się na niego.

Magiczna laska tkwiła w dłoni Geda; podniósł ją wysoko. Wraz z tym poruszeniem napłynęła weń siła. Gdy zbierał się do skoku przez niski kamienny mur wprost na cień, laska nagle zapłonęła białym światłem, które w tej ciemnej przestrzeni jaśniało oślepiająco. Skoczył; poczuł, że pada, i przestał widzieć.

Tymczasem Pechvarry, jego żona oraz czarownica widzieli, co następuje: młody czarnoksiężnik urwał w połowie zaklęcia i przez chwilę trzymał dziecko bez ruchu. Potem łagodnie złożył małego Ioetha na sienniku i stanął bez słowa, z laską w dłoni. Naraz podniósł wysoko laskę; ta zapłonęła białym ogniem, jak gdyby trzymał w garści błyskawicę, i wszystkie sprzęty w chacie wyłoniły się na moment z półmroku, dziwne i jaskrawe w tym krótkotrwałym świetle. Gdy z oczu patrzących ustąpiło olśnienie, ujrzeli, że młodzieniec leży skulony, twarzą do glinianej podłogi, obok siennika, na którym leżało martwe dziecko.

Pechvarry'emu wydawało się, że czarnoksiężnik też nie żyje. Miał w głowie zupełny zamęt. Matka płakała w głos. Czarownica posiadała jednak trochę zasłyszanej wiedzy dotyczącej magii i sposobów postępowania prawdziwych czarnoksiężników; wiedziała przy tym, że Ged, choć leży zimny i bez życia, nie sprawia wrażenia człowieka martwego, lecz raczej kogoś chorego czy będącego w stanie odrętwienia. Zaniesiono go do domu i pozostawiono przy nim staruchę, aby miała nań baczenie i dostrzegła, czy zasnął, aby się obudzić, czy też zasnął na zawsze.

Mały otak ukrywał się wciąż w krokwiach domu od chwili, gdy ujrzał nieznajomych ludzi. Pozostał tam nadal, podczas gdy deszcz

bił o ściany, a ogień przygasał; noc mijała powoli, toteż starucha zdrzemnęła się wreszcie przy kominku. Wtedy otak spełznął z góry i zbliżył się do Geda leżącego sztywno i nieruchomo na łóżku. Zaczął lizać jego dłonie i przeguby, długo i cierpliwie, swoim suchym, brązowym jak liść języczkiem. Przycupnięty przy głowie Geda, lizał jego skroń, pokryty bliznami policzek i delikatnie muskał językiem jego zamknięte oczy. Pod tym miękkim dotknięciem Ged bardzo powoli zaczął się budzić. Ocknął się, nie wiedząc, gdzie był przedtem ani gdzie jest teraz, ani też co to za blade, szare światło wokół niego – światło, które było spływającym na świat porannym brzaskiem. Wówczas otak zwinął się jak zwykle w kłębek przy ramieniu Geda i ułożył do snu.

Później, kiedy Ged wracał myślą do owej nocy, wiedział, że gdyby nikt go nie dotknął wtedy, kiedy leżał tak bez ducha, gdyby nikt w żaden sposób nie przywołał go z powrotem – byłby zapewne zgubiony na zawsze. Była to tylko niema, instynktowna mądrość zwierzęcia, które liże swojego zranionego towarzysza, aby dodać mu otuchy, a jednak w tej mądrości Ged widział coś pokrewnego własnej mocy, coś, co sięgało tak głęboko, jak czarnoksięstwo. Od owego czasu wierzył, że człowiek mądry to taki, który nigdy nie stroni od innych żywych stworzeń, niezależnie od tego, czy posiadają mowę, czy też nie; i później długo starał się nauczyć tego, czego można się nauczyć w milczeniu z oczu zwierząt, z lotu ptaków, z wielkich powolnych poruszeń drzew.

Po raz pierwszy udało mu się przebyć bez szwanku tam i z powrotem tę drogę, którą tylko czarnoksiężnik może przebyć z otwartymi oczami i której nawet największy mag nie może przebyć bez ryzyka. Ale droga powrotna przywiodła go do żalu i trwogi. Żal dotyczył jego przyjaciela Pechvarry'ego, trwoga – jego samego. Nie wiedział, dlaczego Arcymag lękał się wyprawić go w świat i co zaciemniało mroczną chmurą nawet przewidywania maga co do jego przyszłości. Oczekiwała bowiem Geda właśnie ciemność, ta istota bez nazwy, istota nienależąca do świata, ten cień przez niego uwolniony czy stworzony. Przy murze granicznym, który oddzielał śmierć od życia, cień przez te długie lata czekał na Geda. Znalazł go tam nareszcie. Teraz będzie na jego tropie, będzie

usiłował zbliżyć się do niego, przejąć w siebie jego siłę, wyssać zeń życie i oblec się w jego ciało.

Wkrótce potem Ged miał sen; przyśniło mu się stworzenie podobne do niedźwiadka, bez głowy, bez pyska. Zdawało mu się, że krążyło wokół domu, obmacując ściany w poszukiwaniu drzwi. Nie przyśniło mu się dotąd nic takiego od czasu uleczenia ran, które stwór niegdyś mu zadał. Gdy Ged się obudził, był słaby i czuł zimno, a blizny na jego twarzy i ramieniu ściągnęły się i bolały.

Odtąd zaczął się zły czas. Kiedy Ged widział w snach cień albo gdy choćby tylko o nim pomyślał, czuł zawsze to samo zimne przerażenie; rozum i moc odpływały zeń, pozostawiając go bezmyślnym i zagubionym. Wściekał się na swoje tchórzostwo, ale to nic nie pomagało. Poszukiwał jakiejś obrony, lecz żadnej nie mógł znaleźć: ten stwór nie miał ciała, nie był istotą żywą, nie był duchem, nie miał imienia, nie posiadał innego istnienia prócz tego, które sam Ged mu nadał – był straszliwą mocą poza prawami słonecznego świata. Ged wiedział o tym stworzeniu tylko to, że coś przyciąga je ku niemu i że będzie próbowało spełniać swą wolę poprzez niego, jako że jest jego tworem. Ale w jakiej postaci może nadejść, skoro nie ma jak na razie własnego realnego kształtu, i w jaki sposób nadejdzie, i kiedy nadejdzie – tego Ged nie wiedział.

Wzniósł wszelkie możliwe czarnoksięskie zapory wokół swego domu i wokół wyspy, na której mieszkał. Takie ściany z czarów muszą być wciąż odnawiane, wkrótce więc Ged spostrzegł, że gdyby roztrwonił całą swoją siłę na te umocnienia, mieszkańcy wyspy nie mieliby zeń żadnego pożytku. Co mógłby uczynić pomiędzy dwoma wrogami, gdyby smok przybył z wyspy Pendor?

Znów miał sen, ale tym razem śniło mu się, że mroczna zjawa jest wewnątrz domu, obok drzwi, i że sięga ku niemu poprzez mrok, szepcząc niezrozumiasłe słowa. Obudził się przerażony i posłał przez powietrze błędny ognik, który póty oświetlał swym płomieniem każdy kąt domku, póki Ged się nie przekonał, że cienia nigdzie nie ma. Potem ułożył na węglach w kominku świeże drwa i siedział w blasku ognia; dumał tak długo, słysząc, jak jesienny wiatr szeleści słomą strzechy i zawodzi w wielkich, ogołoconych z liści koronach drzew. Dawny gniew obudził się w jego sercu. Nie mógł ścierpieć

tego bezradnego czekania, tego siedzenia w pułapce na małej wyspie i mamrotania bezużytecznych zaklęć, które miały go odgrodzić i ochronić. Jednakże nie umiał po prostu wymknąć się z potrzasku; uczynić tak znaczyłoby zawieść zaufanie mieszkańców wysp i zostawić ich bezbronnych na pastwę zagrażającego smoka. Pozostawała tylko jedna droga.

Nazajutrz rano Ged zszedł w tłum rybaków na głównej przystani Low Torning i znalazłszy tam starostę gminy, powiedział doń:

– Muszę stąd odejść. Jestem w niebezpieczeństwie i narażam was na niebezpieczeństwo. Muszę sobie pójść. Dlatego też proszę cię o pozwolenie na wyjazd i zniszczenie smoków na Pendorze, tak abym zakończył zadanie, jakiego się dla was podjąłem, i mógł odejść bez przeszkód. Jeśli zaś mi się nie uda, to nie udałoby mi się również, gdyby smoki tu się zjawiły, lepiej więc wiedzieć to teraz niż później.

Starosta słuchał z otwartą gębą.

– Krogulcze, panie mój – odezwał się – tam jest dziesięć smoków!

– Osiem z nich to podobno młode.

– Ale stary...

– Powiadam ci, muszę stąd odejść. Proszę cię o pozwolenie, abym mógł, jeśli potrafię, uwolnić was przedtem od groźby smoków.

– Jak sobie życzysz, panie – przystał starosta ponuro.

Wszyscy, którzy słuchali tej rozmowy, uważali, że młody czarnoksiężnik pozwala sobie na szaleństwo albo akt wariackiej odwagi, toteż z markotnymi minami spoglądali na odjazd Geda, nie spodziewając się już wieści o nim. Niektórzy napomykali, że Ged ma zamiar po prostu popłynąć z powrotem przez Hosk na Morze Najgłębsze, pozostawiając ich własnemu losowi; inni, wśród nich Pechvarry, utrzymywali, że oszalał i że szuka śmierci.

W ciągu życia czterech pokoleń wszystkie statki brały kurs omijający z daleka wybrzeża wyspy Pendor. Nie przybył na nią nigdy żaden mag, aby stoczyć bój ze smokiem, wyspa bowiem leżała na nieuczęszczanym szlaku morskim, a jej władcy byli piratami, łowcami niewolników, sprawcami wojen, znienawidzonymi przez całą ludność południowo-zachodnich obszarów Ziemiomorza. Z tej przyczyny nikt nie próbował pomścić władcy Pendoru, odkąd smok

napadł nagle z zachodu na niego i na jego ludzi, gdy siedzieli w wieży przy uczcie, odkąd zalał ich płomieniami buchającymi z paszczy i wpędził do morza całą wrzeszczącą ludność miasta. Niepomszczony, Pendor został wydany na pastwę smoka wraz ze wszystkimi kośćmi zmarłych, z wieżami i z kosztownościami, które zrabowano dawno nieżyjącym książętom z wybrzeży wysp Paln i Hosk.

Wszystko to Ged dobrze wiedział, i nie tylko to, odkąd bowiem przybył do Low Torning, stale miał w pamięci i przemyśliwał wszystko, czego się dotąd uczył o smokach. Gdy prowadził swoją małą łódź na zachód – nie wiosłując tym razem ani nie używając marynarskich umiejętności, których go nauczył Pechvarry, lecz żeglując czarnoksięsko z magicznym wiatrem dmącym w żagiel i zaklęciem rzuconym na dziób i stępkę, aby utrzymać łódź w kursie – wypatrywał martwej wyspy wznoszącej się ponad linię morskiego horyzontu. Chciał płynąć szybko, dlatego też użył magicznego wiatru, gdyż bardziej obawiał się tego, co było za nim, niż tego, co przed nim. Lecz gdy dzień upłynął, niecierpliwość Geda przeistoczyła się z trwogi w jakąś radosną zawziętość. Szukał tego niebezpieczeństwa z własnej woli; im bardziej się do niego zbliżał, tym pewniejszy był, że w tej godzinie, być może przedśmiertnej, nareszcie jest wolny. Cień nie odważył się podążyć za nim w paszczę smoka. Fale, białe na wierzchołkach, sunęły po szarym morzu, szare chmury niosły się po niebie w północnym wietrze. Ged płynął na zachód z szybkim magicznym wiatrem w żaglu i wkrótce w zasięgu jego wzroku znalazły się skały Pendoru, wymarłe ulice miasta i wypalone, chylące się ku upadkowi wieże.

U wejścia do portu, w płytkiej półokrągłej zatoce, uśmierzył wywołany zaklęciem wiatr i powstrzymał płynącą łódkę, tak że leżała, kołysząc się na falach. Wtedy przywołał smoka:

– Uzurpatorze z Pendoru, chodź bronić swojego skarbu!

Jego głos przepadł w szumie fal bijących w wybrzeża barwy popiołu, ale smoki mają dobry słuch. Już po chwili jeden z nich, jak olbrzymi czarny nietoperz o cienkich skrzydłach i kolczastym grzbiecie, wyfrunął z jakichś pozbawionych dachu miejskich ruin

i zbliżał się, zataczając koła w północnym wietrze. W Gedzie serce urosło na widok stwora, który był takim mitem dla jego ludu.

– Wracaj i powiedz Staremu, żeby tu się zjawił, ty latający robaczku! – krzyknął ze śmiechem.

Był to bowiem jeden z młodych smoków, zrodzonych tutaj przed laty przez samicę z Rubieży Zachodnich, która złożyła swoje wielkie skórzaste jaja w jakiejś słonecznej, zburzonej komnacie wieży i – jak podobno lubią to robić samice smocze – odleciała, pozostawiając Starego Smoka z Pendoru, aby strzegł młodych, gdy już wypełzną z pękniętych błon jak złowieszcze jaszczurki.

Młody smok nic nie odpowiedział. Nie był duży jak na swój gatunek; mógł mieć długość czterdziestowiosłowego statku i był chudy jak robak mimo wielkiej rozpiętości swych czarnych błoniastych skrzydeł. Nie osiągnął jeszcze dostatecznego wzrostu ani głosu, brak mu też było smoczej chytrości. Pomknął wprost na Geda stojącego w chybotliwej łódce i rozwierając długie, zębate szczęki, spadł z nieba lotem strzały; toteż Gedowi wystarczyło jednym sprytnym zaklęciem unieruchomić i usztywnić jego skrzydła i członki. Smok gruchnął w wodę jak spadający kamień. Szare morze zamknęło się nad nim.

Dwa podobne smoki wzleciały z podstawy najwyższej wieży. Tak jak pierwszy, zbliżyły się szybkim lotem wprost ku Gedowi, lecz mimo to złowił obydwa, strącił je i utopił; a nawet nie podniósł jeszcze swojej czarnoksięskiej laski.

Nie minęło wiele czasu, gdy nadleciały z wyspy trzy następne. Jeden z nich był znacznie większy i jego paszczęka rzygała kłębiącym się ogniem. Dwa smoki pofrunęły ku Gedowi, plaskając skrzydłami, ale trzeci, ten większy, zbliżył się kolistym lotem z tyłu, bardzo chyżo, aby ognistym oddechem spalić wroga wraz z łodzią. Żadne zaklęcie unieruchamiające nie ogarnęłoby wszystkich trzech, dwa nadleciały z północy, a jeden z południa. Gdy Ged to zrozumiał, w mgnieniu oka uczynił czar Przemiany i pomiędzy jednym a drugim oddechem wzleciał z łodzi pod postacią smoka.

Rozpościerając szerokie skrzydła i wyciągając przed siebie szpony, starł się z dwoma smokami i spopielił je ogniem, a potem zwrócił się ku trzeciemu, większemu niż on sam i też uzbrojonemu w ogień.

W wietrze wiejącym nad szarymi falami miotali się w gwałtownych skrętach, kłapali zębami, spadali nagle i rzucali się na siebie, aż powietrze wokół nich zamącił dym, czerwono prześwietlony żarem ich ognistych paszcz. Ged wzleciał nagle w górę, a smok, który pozostał niżej, rzucił się za nim w pogoń. W połowie lotu Ged zawisł w powietrzu i z wyciągniętymi w dół szponami rzucił się jak jastrząb na przeciwnika, uderzając w jego szyję i bok. Czarne skrzydła zatrzepotały w popłochu i czarna smocza krew zaczęła kapać wielkimi kroplami w morze. Smok z wyspy Pendor wyrwał się prześladowcy i pofrunął niskim, niezdarnym lotem ku wyspie, gdzie ukrył się, wpełzając w jakąś studnię czy jamę w miejskich ruinach.

Natychmiast Ged przybrał swą zwykłą postać i powrócił do łodzi, było bowiem niezmiernym ryzykiem pozostawanie pod postacią smoka dłużej, niż tego wymagała potrzeba. Ręce miał czarne od parzącej smoczej krwi, głowę osmaloną ogniem, ale nie dbał o to. Poczekał tylko, aż mógł na nowo zaczerpnąć tchu, po czym zawołał:

– Widziałem sześć, zabiłem pięć, mówiono mi o dziesięciu... wyłaźcie, robaki!

Przez długą chwilę na wyspie nie poruszyło się żadne stworzenie ani nie odezwał żaden głos; tylko fale biły z hukiem o brzeg. Potem Ged uświadomił sobie, że najwyższa wieża z wolna zmienia kształt, wybrzuszając się z jednej strony, jakby wyrastało jej ramię. Poczuł obawę przed smoczą magią, stare smoki bowiem władają ogromną mocą i przebiegłością w czarach podobnych i niepodobnych do czarów ludzkich; po chwili jednak zrozumiał, że nie była to sztuczka smoka, lecz złudzenie jego własnych oczu. To, co wziął za część wieży, było ramieniem smoka z Pendoru, który rozprostowywał swoje cielsko i powoli dźwigał się w górę. Jego pokryty łuskami łeb, uwieńczony kolcami i ze zwisającym potrójnym jęzorem, wyrósł ponad zburzoną wieżę, a szponiaste przednie łapy wsparły się na leżących niżej gruzach miasta. Łuski smoka były szaroczarne; odbijały światło dzienne jak rozłupany kamień.

Smok był chudy jak ogar i wielki jak pagórek. Ged wpatrywał się weń, przejęty grozą. Nie było takiej pieśni ani opowieści, która mogłaby przygotować umysł na ten widok. Ged omal nie zapatrzył się w oczy smoka i nie został usidlony; człowiek bowiem nie może

spoglądać w smocze źrenice. Umknął wzrokiem przed lepkim, zielonym spojrzeniem, które go obserwowało, i wystawił przed siebie laskę wyglądającą w tej chwili jak drzazga, jak cienka gałązka.

– Ośmiu miałem synów, mały czarnoksiężniku – rozległ się potężny oschły głos smoka. – Pięciu zginęło, jeden umiera. Wystarczy. Zabijając ich, nie zdobędziesz mojego skarbu.

– Nie chcę twojego skarbu.

Żółty dym wydobył się z sykiem z nozdrzy potwora – był to smoczy śmiech.

– Nie chciałbyś zejść na brzeg i obejrzeć go, mały czarnoksiężniku? Jest wart obejrzenia.

– Nie, smoku.

Smoki są spokrewnione z wiatrem i ogniem, niechętnie zaś walczą ponad morzem. W tym kryła się jak na razie przewaga Geda, której nie chciał stracić; ale pas wody morskiej pomiędzy nim a wielkimi szarymi szponami nie wydawał się już teraz dostateczną ochroną.

Trudno było ustrzec się spojrzenia w głąb zielonych bacznych oczu.

– Bardzo młody z ciebie czarnoksiężnik – rzekł smok. – Nie wiedziałem, że są ludzie, którzy swoją moc osiągają w tak młodym wieku.

Mówił, tak jak i Ged, Dawną Mową, bo ona właśnie jest do tej pory językiem smoków. Choć używanie Dawnej Mowy zmusza człowieka do mówienia prawdy – smoków to nie dotyczy. Jest to ich własny język, toteż mogą w nim kłamać, naginając prawdziwe słowa do fałszywych celów, chwytając niebacznego słuchacza w labirynt słów-luster, z których każde odbija prawdę, ale donikąd nie prowadzi. Ostrzegano przed tym często Geda i gdy smok przemówił, czarnoksiężnik słuchał go nieufnie, gotów do powątpiewania we wszystko. Ale słowa zdawały się proste i jasne:

– Czy przybyłeś tutaj, aby prosić mnie o pomoc, mały czarnoksiężniku?

– Nie, smoku.

– A jednak mógłbym ci pomóc. Będziesz potrzebował wkrótce pomocy w walce przeciwko temu, co ściga cię w ciemności.

Ged stał oniemiały.

– Czym jest to, co cię ściga? Powiedz mi jego imię.

– Gdybym mógł to nazwać... – Ged się zawahał.

Żółty dym zakłębił się nad długim łbem smoka, wydobywając się z nozdrzy, z dwu okrągłych ognistych jam.

– Gdybyś mógł to nazwać, mógłbyś to zapewne ujarzmić, mały czarnoksiężniku. Może będę umiał zdradzić ci jego imię, kiedy ujrzę to z bliska. A to się zbliży, jeśli zaczekasz u brzegów mojej wyspy. To się zjawi wszędzie tam, dokąd ty przybędziesz. Jeśli nie chcesz, aby to się zbliżyło, musisz przed tym uciekać, uciekać, bez przerwy uciekać. I mimo wszystko będzie to szło w ślad za tobą. Czy chciałbyś znać jego imię?

Ged znów stał w milczeniu. Nie umiał odgadnąć, skąd smok dowiedział się o uwolnionym przezeń cieniu, ani też skąd może znać imię cienia. Arcymag powiedział kiedyś, że cień nie ma imienia. Lecz smoki mają swoją własną mądrość i stanowią gatunek starszy niźli człowiek. Niewielu ludzi potrafi się domyślić, co smok wie i skąd się tego dowiedział; ci nieliczni – to Władcy Smoków. Dla Geda tylko jedno było pewne: choć smok mógł rzeczywiście mówić prawdę, choć byłby zdolny wyjawić istotę i imię owego cienia i w ten sposób dać Gedowi władzę nad nim – nawet wówczas, nawet jeśli mówił prawdę, czynił to wyłącznie dla swych własnych celów.

– Bardzo rzadko się zdarza – powiedział wreszcie młodzieniec – aby smoki chciały wyświadczyć ludziom przysługę.

– Ale jest rzeczą bardzo zwyczajną – odparł smok – że koty bawią się myszami, zanim je zabiją.

– Ja jednak nie przybyłem tu, aby się bawić czy też być czyjąś zabawką. Przybyłem, aby dobić z tobą targu.

Szpic smoczego ogona, ostry jak miecz, ale pięciokrotnie od miecza dłuższy, wygiął się łukowato ku górze jak ogon skorpiona ponad pokrytym łuską niczym kolczugą grzbietem smoka, wznosząc się wyżej niźli wieża. Smok przemówił oschle:

– Ja nie dobijam z nikim targu. Ja biorę. Co takiego możesz mi zaofiarować, czego nie potrafiłbym odebrać ci, kiedy tylko zechcę?

– Bezpieczeństwo. Twoje bezpieczeństwo. Przysięgnij, że nigdy nie polecisz na wschód od Pendoru, a ja przysięgnę, że pozostawię cię

bez szwanku.

Smok uniósł się wyżej, wyłaniając się spoza ruin. Zgrzytliwy odgłos wydobył się z jego gardzieli, jakby gdzieś daleko z łoskotem spadła kamienna lawina. Ogień tańczył po jego rozszczepionym na troje języku.

– Ofiarujesz mi bezpieczeństwo? Grozisz mi? Czym?

– Twoim imieniem, Yevaud.

Głos Gedowi zadrżał przy wymawianiu tego imienia, lecz wypowiedział je wyraźnie i głośno. Stary Smok zamarł w bezruchu. Minęła chwila, potem następna; wreszcie Ged, stojąc w swojej małej jak łupina, rozkołysanej łodzi, uśmiechnął się. Zaryzykował życie, stawiając je na przypuszczenie zaczerpnięte ze starych historii o smoczej wiedzy, jakich uczył się na Roke, przypuszczenie, że smok z Pendoru jest tym samym, który ograbił zachodni Osskil w czasach Elfarran i Morreda, a potem został stamtąd przepędzony przez Elta, czarnoksiężnika znającego się na imionach. Przypuszczenie to okazało się trafne.

– Nasze siły są równe, Yevaudzie. Ty masz swoją moc, ja znam twoje imię. Zawrzesz ze mną układ?

Smok wciąż jeszcze nie odpowiadał. Przez wiele lat wylegiwał się na wyspie, gdzie napierśniki i szmaragdy walały się rozsypane w pyle pośród cegieł i kości; przyglądał się swojej czarnej, jaszczurczej dziatwie igrającej między zmurszałymi domami i wypróbowującej skrzydła w lotach z urwisk; sypiał długo w słońcu i nie budził go nigdy głos ani żagiel. Zestarzał się. Trudno było teraz się ruszać, stawić czoło temu niedorosłemu magowi, temu wątłemu przeciwnikowi, którego laska wywoływała grymas pogardy na paszczy Yevauda.

– Możesz wybrać dziewięć drogich kamieni z mojego skarbu – odezwał się wreszcie smok głosem syczącym i skomlącym w długiej paszczęce. – Dziewięć najlepszych. Wybieraj. Potem odejdź!

– Nie chcę twoich klejnotów.

– Gdzie się podziała ludzka chciwość? W dawnych czasach na północy ludzie kochali błyszczące kamienie... Wiem, czego chcesz, czarnoksiężniku. Ja także mogę ofiarować ci bezpieczeństwo,

bo wiem, co może cię ocalić. Znam to jedno, co może cię ocalić. Okropność idzie twoim śladem. Zdradzę ci jej imię.

Serce Gedowi zabiło mocniej; zacisnął w dłoni laskę, stojąc równie nieruchomo jak smok. Przez chwilę walczył z nagłą, wstrząsającą nim nadzieją.

Nie o własne życie się targował. Mógł mieć nad smokiem jedną, i tylko jedną przewagę. Odsunął nadzieję i uczynił to, co uczynić musiał.

– Nie tego żądam, Yevaudzie.

Gdy wymawiał imię smoka, było to, jakby trzymał olbrzymiego potwora na delikatnej, cienkiej smyczy, zaciskając ją na jego gardzieli. Mógł wyczuć odwieczną złośliwość i znajomość ludzi w smoczym spojrzeniu, które na nim spoczywało, mógł widzieć stalowe szpony, każdy długości ludzkiego przedramienia, twardą jak kamień skórę, niszczący ogień, który czaił się w smoczej gardzieli; a jednak smycz wciąż się zaciskała.

Ged znów przemówił:

– Yevaudzie! Przysięgnij na swoje imię, że ani ty, ani twoi synowie nie zjawicie się na Archipelagu.

Płomienie buchnęły nagle jasno i głośno ze smoczej paszczy.

– Przysięgam na swoje imię!

Cisza zapadła na wyspie. Yevaud spuścił swój wielki łeb.

Gdy podniósł go znowu, czarnoksiężnika już nie było, a żagiel jego łodzi jawił się białą plamką ponad falami na wschodzie, plamką sterującą ku żyznym i obsypanym klejnotami wyspom wewnętrznych mórz. Wtedy Stary Smok z Pendoru dźwignął się w ataku wściekłości, burząc wieżę skrętem wijącego się cielska i bijąc skrzydłami, które sięgały na całą szerokość zrujnowanego miasta. Lecz był związany przysięgą – więc nie poleciał ani wtedy, ani nigdy później w kierunku Archipelagu.

6

Ścigany

Gdy tylko wyspa Pendor pogrążyła się za linią horyzontu, Ged, spoglądając na wschód, poczuł, że w jego serce znowu wpełza lęk przed cieniem; trudno było odwrócić się od jaskrawej grozy smoka ku owej bezkształtnej okropności, niepozostawiającej żadnej nadziei. Ged pozwolił ucichnąć magicznemu wiatrowi i żeglował dalej z wiatrem naturalnym, teraz bowiem nie pragnął szybkości. Nie miał nawet wyraźnego planu, co powinien uczynić. Musiał uciekać, jak to powiedział smok; ale dokąd? Na Roke, pomyślał, tam miałbym przynajmniej ochronę, a u mędrców znajdę dobrą radę.

Najpierw wszakże musiał udać się raz jeszcze do Low Torning i opowiedzieć wszystko naczelnikom wysp. Kiedy rozeszła się wieść, że po pięciu dniach Ged powrócił, naczelnicy wraz z połową ludności gminy przypłynęli i przybiegli, aby zebrać się wokół niego, wlepiać weń oczy i słuchać. Opowiedział im swoją historię, po czym jeden z ludzi zabrał głos:

– Ale kto widział ten cud uśmiercenia smoków i udaremnienia ich zamiarów? A jeśli on...

– Cicho bądź! – rzekł szorstko starosta gminy; wiedział, jak większość słuchaczy, że czarnoksiężnik może mówić prawdę okrężnymi drogami i może zatrzymywać ją dla siebie, ale jeśli już coś mówi, to rzecz przedstawia się właśnie tak, jak mówi. Na tym bowiem polega jego sztuka. Toteż wszyscy, pełni podziwu, zaczęli

zdawać sobie sprawę, że zdjęto z nich brzemię strachu; i wtedy poczęli się weselić. Stłoczyli się wokół swego młodego czarnoksiężnika i poprosili go o powtórzenie opowieści. Przybyli następni mieszkańcy wysp i znów prosili o to samo. Gdy zapadł zmrok, Ged nie musiał już powtarzać tej historii. Mieszkańcy potrafili uczynić to lepiej niż on. Wiejscy bardowie przystosowali już opowieść do starej melodii i śpiewali *Pieśń o Krogulcu*. Ogniska płonęły na znak radości nie tylko na wyspach Low Torning, ale i w dalszych gminach na południu i na wschodzie. Rybacy wykrzykiwali wieść z łodzi do łodzi i tak przedostawała się ona z wyspy na wyspę: „Niebezpieczeństwo zostało zażegnane, smoki nigdy nie przylecą z Pendoru!”.

Ta noc, ta jedna noc, była radosna dla Geda. Żaden cień nie mógł się doń przybliżyć poprzez jasność dziękczynnych ogni płonących na każdym pagórku i plaży, poprzez kręgi roześmianych tancerzy, które otaczały Geda, śpiewając na jego cześć i wymachując pochodniami w wietrznej jesiennej nocy, tak że snopy jasnych iskier wzlatywały na mgnienie z wiatrem.

Nazajutrz Ged spotkał się z Pechvarrym, który zwrócił się doń:

– Nie wiedziałem, że jesteś tak potężny, panie.

Był w tym zdaniu lęk, ponieważ Pechvarry odważył się niegdyś zawrzeć z Gedem przyjaźń, ale był też i wyrzut. Ged nie uratował dziecka, choć uśmiercił smoki. Po tej rozmowie Ged na nowo odczuł niepokój i niecierpliwość, które zagnały go przedtem na Pendor, a teraz wypędzały z Low Torning. Następnego dnia, choć mieszkańcy zatrzymaliby go z ochotą na resztę jego życia, aby go sławić i chełpić się nim, opuścił dom na wzgórzu, nie mając żadnego bagażu prócz ksiąg, laski i otaka siedzącego mu na ramieniu.

Odpłynął łodzią wiosłową z paroma młodymi rybakami z Low Torning, którzy ubiegali się o zaszczyt zostania jego załogą. Przez cały czas, gdy wiosłowali pomiędzy statkami stłoczonymi w wiodących na wschód kanałach Dziewięćdziesięciu Wysp, pod wychylającymi się ponad wodą oknami i balkonami domów, wzdłuż nabrzeży wyspy Nesh, dżdżystych pastwisk wyspy Dromgan, cuchnących poletek naftowych wyspy Geath – przez cały ten czas słowo o bohaterskim czynie Geda ich wyprzedzało. Ludzie

pogwizdywali *Pieśń o Krogulcu*, gdy przepływał obok, współzawodniczyli w ubieganiu się o przenocowanie go i wysłuchanie opowieści młodzieńca o smokach. Kiedy wreszcie przybył na wyspę Serd, poprosił kapitana o przewiezienie go na Roke, a ten skłonił się, odpowiadając:

– To dla mnie zaszczyt, panie, i honor dla mojego statku!

Tak więc Ged pozostawił Dziewięćdziesiąt Wysp za swymi plecami; ale zaledwie statek wypłynął z Wewnętrznego Portu wyspy Serd i podniósł żagle, zadął silny, przeciwny wiatr ze wschodu. Było to dziwne zjawisko, gdyż zimowe niebo jaśniało, a pogoda zdawała się tego ranka ładna i ustalona. Od wyspy Roke dzieliło Serd tylko trzydzieści mil, żeglowali więc dalej i mimo że wiatr wciąż się wzmagał, nie przerywali żeglugi. Niewielki statek miał – podobnie jak większość statków handlowych z Morza Najgłębszego – wysoki sztaksel, którym można tak manewrować, aby złapać przeciwny wiatr, kapitan zaś był żeglarzem zręcznym i dumnym ze swych umiejętności. Toteż zmierzali w kierunku wschodnim, halsując to na północ, to na południe. Chmury i deszcz nadciągnęły z wiatrem, który zmieniał kierunek w dzikich porywach, tak że istniało poważne niebezpieczeństwo, iż statek stanie dęba.

– Krogulcze, panie mój – odezwał się kapitan do młodzieńca, którego usadowił obok siebie na honorowym miejscu na rufie; niełatwo było jednak zachować godność w tym wichrze i deszczu, który moczył ich tak, że ich ciała w nasiąkniętych wodą płaszczach stały się dokuczliwie śliskie. – Krogulcze, czy mógłbyś rzec jakieś słowo temu wichrowi?

– Jak daleko jeszcze do Roke?

– Więcej niż połowa drogi. Ale przez ostatnią godzinę nie posunęliśmy się naprzód, panie.

Ged mówił do wiatru, który stracił nieco na sile i przez jakiś czas płynęło im się nie najgorzej. Potem jednak nagłe podmuchy wionęły ze świstem z południa; zderzenie z nimi odepchnęło ich z powrotem na zachód. Chmury na niebie rwały się i kłębiły; kapitan ryknął z wściekłością:

– Ten durny wicher dmie we wszystkich kierunkach naraz! Tylko magiczny wiatr, panie, pomoże nam przebić się przez tę pogodę.

Ged sposępniał, ale statkowi wraz z załogą groziło przecież niebezpieczeństwo z jego powodu; wzbudził więc magiczny wiatr, który zadął w żagiel. Natychmiast statek zaczął pruć fale wprost ku wschodowi, a kapitan znowu się rozpogodził. Stopniowo jednak, choć Ged podtrzymywał zaklęcie, magiczny wiatr przycichał, stawał się coraz wątlejszy, aż wreszcie zdawało się przez chwilę, że statek znieruchomiał na falach, z żaglem obwisłym mimo nawałnicy deszczu i wichru. W tym momencie rozhuśtany bom z ogłuszającym trzaskiem zatoczył półkole; statek podał żagiel na wiatr i jak spłoszony kot dał susa na północ.

Ged złapał się mocno belki pokładowej, bo statek leżał nieomal na burcie, i wykrzyknął:

– Zawracaj na Serd, kapitanie!

Kapitan zaklął i odkrzyknął, że tego nie zrobi.

– Czarnoksiężnik na pokładzie i ja, najlepszy żeglarz floty handlowej, i ten statek, najzgrabniejszy, na jakim pływałem – i mamy zawrócić?

W tej samej chwili statek znów się okręcił, niemal tak, jakby jego kil dostał się w wir wodny; kapitan także chwycił się tylnej stewy, aby utrzymać się na pokładzie, a Ged zwrócił się doń:

– Zostaw mnie na wyspie Serd i płyń, dokąd zechcesz. To nie przeciw twojemu statkowi wieje ten wiatr, lecz przeciw mnie.

– Przeciw tobie, czarnoksiężniku z Roke?

– Czy nigdy nie słyszałeś o wietrze z Roke, kapitanie?

– No tak, ten wiatr nie dopuszcza złych mocy na Wyspę Mędrców, ale co to ma wspólnego z tobą, Pogromcą Smoków?

– To sprawa między mną a moim cieniem – odparł Ged krótko, jak przystało czarnoksiężnikowi; i nie powiedział nic więcej, gdy wracali przez morze na wyspę Serd, chyżo, z silnym wiatrem i pod przejaśniającym się niebem.

W sercu czuł ciężar i lęk, gdy szedł w stronę miasta z nadbrzeży. Dni ku zimie były coraz krótsze zmierzch zapadał wcześnie. O zmierzchu niepokój Geda zawsze wzrastał, toteż zakręt każdej uliczki wydawał się teraz groźny. Młodzieniec musiał uzbroić się w męstwo, aby nie oglądać się stale przez ramię na to, co mogło podążać za nim. Udał się do Domu Morskiego, gdzie podróżni i kupcy

spożywali razem dobre jadło dostarczane przez okolicznych mieszkańców i gdzie mogli spać w podłużnej sali o belkowanym pułapie; taka jest gościnność dobrze prosperujących wysp Morza Najgłębszego.

Ged odłożył z obiadu kawałek mięsa i później przy kominku wywabił otaka z fałdu swego kaptura, w którym zwierzątko kuliło się przez cały dzień; próbował skłonić go do jedzenia głaskaniem i pieszczotliwym szeptem: „Hoeg, Hoeg, mój mały, mój cichutki”... Ale zwierzątko nie chciało jeść i wpełzło do kieszeni. Po zachowaniu się otaka, po własnej posępnej niepewności, po samym wyglądzie ciemności zalegającej w kątach wielkiej izby Ged poznał, że cień jest niedaleko.

Nikt w tym domu nie znał Geda; byli tu podróżni z innych wysp, którzy nie słyszeli jeszcze *Pieśni o Krogulcu*. Nikt się do niego nie odezwał. Ged wybrał sobie wreszcie siennik i położył się, ale całą noc leżał z otwartymi oczami w tej sali pod belkowanym pułapem, otoczony snem obcych ludzi. Całą noc próbował wybrać swą drogę, przemyśleć, dokąd powinien się udać, co czynić; ale każdy wybór, każdy zamiar tamowało przeczucie zguby. Na każdej drodze, którą mógł się udać, czyhał cień. Tylko wyspa Roke była odeń wolna; i właśnie na Roke nie mógł popłynąć – zabraniały mu tego potężne, uczynione w dawnych czasach czary, które zapewniały bezpieczeństwo zagrożonej wyspie. To, że podniósł się przeciw niemu wiatr z Roke, było dowodem, że stwór jest teraz bardzo blisko.

Ów bezcielesny stwór, ślepy na blask słońca, był istotą ze sfery pozbawionej światła, przestrzeni i czasu. Musiał iść po omacku za Gedem poprzez dni i morza świata oświetlonego słońcem, a widzialny kształt mógł przybierać tylko we śnie i w mroku. Nie miał jak dotąd żadnej substancji ani formy istnienia, która mogłaby pojawić się w świetle dziennym; tak opiewają to *Czyny Hode'a*: „Świt stwarza wszelką ziemię i morze, z cienia wywołuje kształt, zapędza sen w mroczne królestwo”. Ale gdyby cień dogonił wreszcie Geda, mógłby wyssać zeń jego moc, zabrać mu nawet ciężar, ciepło i życie jego ciała oraz wolę, która nim rządzi.

Oto była zguba, którą Ged widział przed sobą czyhającą na każdej drodze. I wiedział, że może być pchnięty ku tej zgubie podstępem; albowiem cień, urastający w siłę, ilekroć się do Geda zbliżał, miał zapewne w tej chwili dość owej siły, aby użyć złych mocy lub złych ludzi do własnych celów – ukazując Gedowi fałszywe znaki albo przemawiając czyimś głosem. W jednym z ludzi, którzy spali owej nocy w tym czy tamtym kącie izby Domu Morskiego, czaił się mroczny stwór, co znalazł w ciemnej duszy oparcie i czekał tam, obserwując Geda i żerując, już teraz, na jego słabości, jego niepewności, jego trwodze.

To było nie do wytrzymania. Ged musiał zaufać losowi i uciekać tam, gdzie go los poniesie. Przy pierwszym zimnym błysku świtu wstał i pospieszył pod blednącymi gwiazdami na nabrzeża wyspy, zdecydowany wsiąść na pierwszy odpływający z Serd statek, który go przyjmie. Jakaś galera ładowała tran; miała odpłynąć o wschodzie słońca w kierunku Wielkiego Portu na wyspie Havnor. Ged poprosił kapitana, aby go tam zabrał. Laska czarnoksiężnika jest przepustką na większości statków; nikt nie wymaga zapłaty. Wzięto go chętnie na pokład i w niespełna godzinę statek ruszył w rejs. Nastrój Gedowi się poprawił, gdy tylko po raz pierwszy podniesiono czterdzieści długich wioseł, a utrzymujące rytm wiosłowania bicie w bęben brzmiało w jego uszach jak dziarska muzyka.

Nie wiedział, co będzie robił na wyspie Havnor i dokąd z niej odpłynie. Kierunek na północ był równie dobry jak wszystkie inne. Ged pochodził z północy; może udałoby mu się znaleźć jakiś statek, który zabrałby go z Havnoru na wyspę Gont, i mógłby wtedy znowu ujrzeć Ogiona. Lub mógłby też znaleźć statek płynący daleko w kierunku Rubieży, tak daleko, że cień zgubiłby go i zaprzestał pościgu. Oprócz tego rodzaju mglistych pomysłów Ged nie miał żadnego określonego zamiaru i nie widział sposobu postępowania, którego należałoby się trzymać. Pozostawała tylko ucieczka

Czterdzieści wioseł przeniosło statek sto pięćdziesiąt mil dalej po zimowym morzu, zanim jeszcze nastał zmierzch kończący drugi dzień podróży z Serd. Zawinęli do portu Orrimy na wschodnim wybrzeżu wielkiej wyspy Hosk, gdyż galery handlowe Morza Najgłębszego trzymają się blisko brzegów i stają na noc w portach,

gdy tylko się da. Ged zszedł na ląd, było bowiem jeszcze jasno, i pogrążony w zadumie włóczył się bez celu po spadzistych uliczkach portowego miasta.

Orrimy to stare miasteczko zbudowane solidnie z kamienia i cegły, otoczone murami dla obrony przed bezprawiem władców z głębi wyspy; składy w dokach przypominają fortece, a domy kupców mają wieże i obwarowania. Mimo to Gedowi błąkającemu się po ulicach te masywne siedziby zdawały się li tylko zasłonami, za którymi zalegał pusty mrok, a mijający go, pochłonięci swymi sprawami ludzie wydawali się nie rzeczywistymi ludźmi, lecz bezgłośnymi ludzkimi cieniami. Gdy słońce zaszło, zszedł z powrotem na nadbrzeże i nawet tam, w rozległym czerwonym blasku i wietrze kończącego się dnia, morze i ląd zdawały się, podobnie jak sam Ged, przygasłe i milczące.

– Dokąd droga prowadzi, czarnoksiężniku?

Tak zagadnął go nagle ktoś z tyłu. Odwracając się, Ged ujrzał mężczyznę w szarym stroju, dzierżącego laskę z ciężkiego drewna; nie była to laska czarnoksiężnika. Twarz nieznajomego osłaniał przed czerwonym światłem kaptur, ale Ged poczuł, że niewidoczne oczy spotykają się z jego oczami. Wzdrygając się i cofając nieco, wzniósł swą własną cisową laskę przed sobą.

Nieznajomy zapytał łagodnie:

– Czego się lękasz?

– Tego, co idzie za mną.

– Tak? Ale ja nie jestem twoim cieniem.

Ged stał w milczeniu. Wiedział, że ten człowiek, kimkolwiek był, nie jest tym, czego się lęka; nie był ani cieniem, ani upiorem, ani też stworzeniem zwanym gebbeth. Pośród jałowej ciszy i zmroku, który zstąpił na świat, nieznajomy nawet się wyróżniał głosem i pewną materialnością. Odrzucił teraz kaptur. Miał dziwną, pokrytą bliznami łysą głowę i pobrużdżoną twarz. Choć podeszły wiek nie dawał znać o sobie w brzmieniu jego głosu, wyglądał na człowieka starego.

– Nie znam cię – powiedział – a jednak sądzę, że spotykamy się nieprzypadkowo. Słyszałem niegdyś opowieść o młodzieńcu z bliznami na twarzy, który wędrując poprzez ciemność, posiadł wielką władzę, równą królewskiej. Nie wiem, czy to opowieść

o tobie. Ale powiem ci jedno: udaj się na Dwór Terrenon, jeśli potrzebujesz miecza do walki z cieniami. Laska z cisowego drewna nie posłuży ci w tej potrzebie.

Nadzieja walczyła w myślach Geda z nieufnością. Człowiek o czarnoksięskich zdolnościach wcześnie się uczy, że w gruncie rzeczy niewiele z jego spotkań ma przypadkowy charakter, niezależnie od tego, czy prowadzą do dobrego, czy do złego.

– W jakiej krainie jest ów Dwór Terrenon?

– Na wyspie Osskil.

Na dźwięk tej nazwy Ged ujrzał przez moment, dzięki kaprysowi pamięci, czarnego kruka na zielonej trawie, który spoglądał nań w górę, z ukosa, okiem jak wygładzony kamyk, i mówił; ale słów Ged nie pamiętał.

– Nazwa tej krainy ma w sobie coś mrocznego – rzekł, spoglądając wciąż na szaro odzianego mężczyznę i próbując ocenić, co to za człowiek. Było coś w jego sposobie bycia, co dawało do zrozumienia, że jest to czarownik, nawet czarnoksiężnik; i mimo że tak śmiało zwracał się do Geda, była w nim jakaś dziwna pokora, wyglądał niemal na kogoś chorego albo też więźnia czy niewolnika.

– Jesteś z Roke – powiedział Gedowi. – Czarnoksiężnicy z Roke nadają mroczne imiona czarom innym niż ich własne.

– Kim ty jesteś?

– Podróżnym; pośrednikiem kupca z wyspy Osskil; mam tu interesy – odparł człowiek w szarym odzieniu. Gdy Ged nie zapytał o nic więcej, mężczyzna spokojnie życzył mu dobrej nocy i odszedł w górę wąskiej, pociętej stopniami uliczki ponad nadbrzeżem.

Ged odwrócił się niezdecydowany, czy wziąć pod uwagę ten znak, czy też nie, i spojrzał na północ. Czerwona poświata szybko spełzała ze wzgórz i z wietrznego morza. Nadchodził już szary zmierzch, a tuż za nim noc.

Zdecydowawszy się nagle, Ged ruszył pospiesznie nadbrzeżem w stronę rybaka, który składał sieci w swej płaskodennej łodzi, i zapytał go:

– Czy znacie jakiś statek w tym porcie, który by płynął na północ, na wyspę Semel albo na Enlady?

– Tamten długi statek jest z Osskil, możliwe, że zatrzyma się na Enladach.

Wciąż tak samo pospiesznie Ged poszedł dalej, do wielkiego statku, który wskazał mu rybak; był to długi statek o sześćdziesięciu wiosłach, wysmukły jak wąż, z wysokim, wygiętym dziobem rzeźbionym i inkrustowanym krążkami muszel loto, z malowanymi na czerwono pokrywami na otwory wiosłowe; runy Sifl nakreślone były na każdej z nich czarną farbą. Statek wyglądał na groźny i szybki, był gotowy do rejsu i z całą załogą na pokładzie. Ged odszukał kapitana i poprosił go o zabranie na wyspę Osskil.

– Masz czym zapłacić?

– Znam się trochę na wiatrach.

– Ja sam jestem zaklinaczem pogody. Nic nie masz? Żadnych pieniędzy?

W Low Torning naczelnicy wysp zapłacili Gedowi, jak mogli najlepiej, kawałkami kości używanymi przez handlarzy na Archipelagu; wziął tylko dziesięć kawałków, choć chcieli dać mu więcej. Ged zaproponował je teraz Osskilczykowi, ale ten potrząsnął głową.

– My nie używamy tych liczmanów. Jeśli nie masz czym zapłacić, nie mam dla ciebie miejsca na pokładzie.

– Czy nie potrzeba ci rąk do pracy? Wiosłowałem kiedyś na galerze.

– Owszem, brakuje mi dwu ludzi. Znajdź sobie zatem ławę – powiedział kapitan i nie zwracał więcej uwagi na Geda.

I tak, złożywszy swoją laskę i worek z księgami pod wioślarską ławę, Ged stał się na dziesięć przykrych dni zimowych wioślarzem na statku z północy. Wypłynęli z Orrimy o świcie; tego dnia Ged myślał, że nie będzie w stanie wytrwać przy pracy. Jego lewe ramię było nieco ułomne na skutek zastarzałych ran barku, całe zaś jego wiosłowanie po kanałach Low Torning nie zaprawiło go do nieubłaganego, nieprzerwanego ciągnięcia długiego wiosła galery w takt uderzeń bębna. Jedna zmiana przy wiosłach trwała od dwóch do trzech godzin, potem na ławach siedziała druga grupa wioślarzy, ale wydawało się, że odpoczynek trwa akurat tyle, aby wszystkie mięśnie Geda zdążyły zesztywnieć, po czym znów trzeba było wracać

do wioseł. A drugi dzień pracy był jeszcze gorszy; po nim jednak Ged uodpornił się na mozół i radził sobie wcale dobrze.

Wśród załogi nie było takiego koleżeństwa, jakie Ged zastał na pokładzie „Cienia", gdy po raz pierwszy płynął na Roke. Członkowie załóg statków andradzkich i gontyjskich są wspólnikami handlowymi, pracują razem, by osiągnąć wspólny zysk; natomiast handlarze z Osskil używają niewolników lub wynajmują ludzi do wiosłowania, płacąc im drobnymi złotymi monetami. Złoto jest w wielkiej cenie na wyspie Osskil. Ale nie jest tam ono źródłem braterstwa, podobnie jak wśród smoków, które także wysoko cenią złoto. Ponieważ połowa obecnej załogi składała się z niewolników zmuszonych do pracy, oficerowie statku byli właściwie ich nadzorcami, i to surowymi. Ich bicze nie lądowały nigdy na plecach wioślarza, który pracował dla zapłaty albo w zamian za przejazd; trudno wszakże o wzajemną życzliwość wśród załogi, z której jedni są chłostani, a inni nie. Towarzysze Geda niewiele się odzywali do siebie nawzajem, a jeszcze mniej do niego. Byli to przeważnie ludzie z wyspy Osskil, mówiący nie hardyckim językiem Archipelagu, ale swoim własnym narzeczem – srodzy mężczyźni o bladej cerze, czarnych obwisłych wąsach i prostych włosach. Kelub, Czerwony – tak przezwali Geda. Choć wiedzieli, że jest czarnoksiężnikiem, nie okazywali mu względów, lecz raczej coś w rodzaju powściągliwej niechęci. On sam też nie miał nastroju do nawiązywania przyjaźni. Nawet na swej ławie, ogarnięty przemożnym rytmem wiosłowania, spośród sześćdziesięciu wioślarzy na statku mknącym po pustych, szarych wodach, czuł się wydany na łup, bezbronny. Gdy zawijali o zmroku do obcych portów i gdy otulał się płaszczem, chcąc spać, mimo zmęczenia śnił, budził się i śnił znowu; miał złe sny, których nie potrafił sobie przypomnieć po przebudzeniu, choć odnosił wrażenie, że dotyczyły statku i ludzi ze statku; toteż nie ufał nikomu z nich.

Wszyscy wolni Osskilczycy nosili u bioder długie noże; pewnego dnia, gdy cała zmiana spożywała wspólnie południowy posiłek, jeden z tych ludzi spytał Geda:

– Jesteś niewolnikiem albo krzywoprzysięzcą, Kelub?

– Ani jednym, ani drugim.

– To czemu nie masz noża? Boisz się walczyć? – pytał drwiąco ów człowiek, Skiorh.

– Nie.

– Twój piesek walczy za ciebie?

– Otak – odezwał się inny, który się przysłuchiwał. – To nie pies, tylko otak. – Ipowiedział w języku osskilskim coś, co sprawiło, że Skiorh spojrzał spode łba i odszedł.

W chwili gdy się odwracał, Ged dostrzegł jakąś zmianę na jego twarzy, jakieś zamazanie i przesunięcie rysów, jak gdyby na moment coś go zmieniło, posłużyło się nim, wyglądając z ukosa poprzez jego oczy na Geda. Ale już po chwili Ged ujrzał Skiorha obróconego doń twarzą; wyglądał jak zwykle, toteż młodzieniec powiedział sobie, że to, co widział przedtem, było jego własnym strachem, jego własną trwogą odbitą w cudzych oczach. Jednakże w nocy, gdy stali w porcie Esen, Gedowi przyśniło się coś i we śnie tym pojawił się Skiorh. Odtąd Ged unikał tego człowieka, jak tylko mógł, i zdawało się też, że Skiorh trzyma się odeń z dala; nie zamienili już z sobą ani słowa.

Ośnieżone szczyty Havnoru znikły za nimi na południu, zasnute mgłami wczesnej zimy. Wiosłowali dalej, mijając wylot Morza Ea, w którym dawno temu utopiła się Elfarren, a potem przepłynęli obok Enladów. Stali dwa dni w porcie Berila, Mieście Kości, bielejącym ponad zatoką w zachodniej części legendarnej wyspy Enlad. We wszystkich portach, do których zawijali, załoga musiała pozostawać na pokładzie statku i nie schodziła na ląd. Potem, gdy wstało czerwone słońce, wypłynęli na Morze Osskilskie, w północno-wschodnie wiatry, które dmą bez przeszkód z pozbawionego wysp przestworu Rubieży Północnych. Przez to nieprzyjemne morze przewieźli bezpiecznie swój ładunek, na drugi dzień po wypłynięciu z Berili docierając do portu Neshum, głównego ośrodka handlowego Wschodniego Osskilu.

Ged ujrzał niskie wybrzeże smagane przez słony wiatr, szare miasteczko przycupnięte za długimi kamiennymi falochronami tworzącymi przystań, a za miastem bezdrzewne wzgórza pod zaćmionym przez śnieg niebem. Daleko odpłynęli od słonecznego Morza Najgłębszego.

Robotnicy portowi z Cechu Morskiego portu Neshum weszli na pokład, aby wyładować towar – złoto, srebro, klejnoty, cienkie jedwabie i gobeliny z południa, owe drogocenne wyroby, które władcy wyspy Osskil gromadzili w skarbcach – i wolnych członków załogi odprawiono. Ged zatrzymał jednego z nich, aby zapytać o drogę; aż do tej chwili podejrzliwość, jaką żywił wobec nich wszystkich, nie pozwalała mu wyjaśnić, dokąd zmierza, ale teraz, sam w obcym kraju i zmuszony iść pieszo, musiał poprosić o wskazówkę. Zapytany człowiek szedł dalej niecierpliwie, odpowiadając, że nie wie, ale Skiorh, który podsłuchał pytanie, odezwał się:

– Dwór Terrenon? Na Wrzosowiskach Keksmet. Idę tą samą drogą.

Skiorh nie był towarzyszem, którego Ged byłby sobie wybrał, ale nie znając ani języka, ani drogi, nie miał wielkiego wyboru. Zresztą przybycie tutaj nie było wynikiem jego własnej decyzji. Był kierowany i obecnie coś kierowało nim w dalszym ciągu. Naciągnął kaptur na głowę, wziął swoją laskę i worek i ruszył za Osskilczykiem ulicami miasteczka, a potem pod górę, stokami zaśnieżonych wzgórz. Mały otak nie chciał siedzieć na jego ramieniu, ukrył się w kieszeni tuniki z baraniej skóry, którą Ged nosił pod płaszczem; zawsze to robił w zimną pogodę. Wzgórza rozciągnęły się niegościnnie, faliste wrzosowiska sięgające tak daleko, jak sięgał wzrok. Szli w milczeniu. Cisza zimy spoczywała na całej okolicy.

– Jak daleko jeszcze? – zapytał Ged, gdy uszli już kilka mil; nigdzie wokoło nie widział ani śladu wioski czy zagrody i pomyślał właśnie o tym, że nie mają żywności. Skiorh odwrócił na chwilę głowę, naciągając kaptur, i odparł:

– Niedaleko.

Miał szpetną twarz, bladą, z gruba ciosaną i okrutną, ale Ged nie lękał się żadnego człowieka, choć mógł się lękać, tam gdzie jego przewodnikiem był taki człowiek. Skinął głową i poszli dalej. Droga, którą szli, była tylko rysą na bezmiarze pokrytym cienką warstwą śniegu i bezlistnymi krzakami. Od czasu do czasu inne ścieżki krzyżowały się z tą drogą albo od niej odgałęziały. Teraz, gdy dym z kominów Neshum skrył się za wzgórzami w zmierzchającym popołudniu, nic już nie wskazywało szlaku, którym mieli iść albo

który przeszli. Tylko wiatr dął niezmiennie ze wschodu. I gdy maszerowali już kilka godzin, Gedowi wydało się, że daleko na wzgórzach w kierunku północno-zachodnim, w którym wiodła ich droga, widzi na tle nieba maleńką kreseczkę bielejącą jak ząb. Ale światło krótkiego dnia szarzało i gdy droga znów się podniosła, Ged nie mógł dostrzec wyraźniej niż poprzednio tej wieży, drzewa czy cokolwiek to było.

– Czy idziemy tam? – zapytał, wskazując to coś w dali.

Skiorh nie odpowiedział, lecz stąpał ciężko dalej, zakutany w swój pospolity płaszcz ze spiczastym osskilskim kapturem o futrzanym podbiciu. Ged w dalszym ciągu kroczył obok. Zaszli już daleko; czuł senność na skutek miarowego kroku, jakim maszerowali, i długotrwałego znużenia w ciągu trudnych dni i nocy spędzonych na statku. Zaczęło mu się wydawać, że szedł tak zawsze i będzie szedł wiecznie obok tej milczącej istoty, przez milczącą, pogrążającą się w ciemności krainę. Jego czujność i uwaga uległy przytępieniu. Kroczył jak w długim, długim śnie, w którym podąża się donikąd.

Otak poruszył się w kieszeni, a nieznaczna, nieuchwytna trwoga również zbudziła się i poruszyła w sercu młodzieńca. Ged zmusił się, aby przemówić:

– Coraz ciemniej i śnieg pada. Jak daleko jeszcze, Skiorh?

Po chwili milczenia jego towarzysz odpowiedział, nie odwracając się:

– Niedaleko.

Jego głos brzmiał jednak nie jak głos człowieka, lecz tak, jakby to zwierz próbował mówić, chrapliwie i gardłowo.

Ged się zatrzymał. Wszędzie naokoło w późnym, zmierzchającym świetle ciągnęły się wzgórza. Rzadki śnieg wirował z lekka, opadając.

– Skiorh! – zawołał Ged. Tamten przystanął i odwrócił się. Pod spiczastym kapturem nie było twarzy.

Zanim Ged zdążył wymówić swoje zaklęcie lub przywołać moc, gebbeth odezwał się swym chrapliwym głosem:

– Ged!

W tym momencie młodzieniec nie był w stanie dokonać żadnego przeistoczenia; został unieruchomiony w swej prawdziwej naturze, musiał zatem stawić czoło cieniowi bezbronny. Nie mógł też wezwać

pomocy w tym obcym kraju, gdzie nic nie było mu znane i nikt nie przybyłby na jego wezwanie. Stał jedynie odgrodzony od swego przeciwnika cisową laską.

Stwór, który pochłonął umysł Skiorha i wziął w posiadanie jego ciało, zmusił je, aby postąpiło krok; ramiona wysunęły się ku Gedowi po omacku. Wściekłość i trwoga ogarnęły czarnoksiężnika; zamachnął się i ze świstem uderzył laską w kaptur skrywający ów cień w miejscu twarzy. Kaptur i płaszcz pod tym zajadłym ciosem osunęły się niemal do samej ziemi, jak gdyby nic w nich nie było prócz wiatru, a potem, skręcając się i trzepocząc, podniosły się znowu. Ciało stwora, odsączone z rzeczywistej substancji, jest czymś niby powłoka lub opar w kształcie człowieka, nierealnym ciałem odziewającym cień, który jest realny. Szarpiąc się i falując jakby w podmuchach wiatru, cień rozpostarł ramiona i postąpił ku Gedowi, próbując dostać go w swe ręce, tak jak niegdyś pochwycił go na Pagórku Roke; i gdyby to uczynił, byłby odrzucił powłokę Skiorha i wszedł w Geda, pochłaniając go od wewnątrz, biorąc go w posiadanie – to właśnie było pragnieniem cienia. Ged uderzył weń znowu ciężką, dymiącą laską, odpierając go tym ciosem, ale cień powrócił; Ged uderzył raz jeszcze, a potem rzucił laskę, która płonęła i tliła się, parząc jego dłoń. Cofnął się, odwrócił i zaczął uciekać.

Biegł, a gebbeth pędził równie szybko tuż za nim, nie mogąc go wyprzedzić, ale też nie zostając w tyle. Ged nie obejrzał się ani razu. Biegł, wciąż przez tę niezmierzoną północną krainę, gdzie nie można było znaleźć kryjówki. Gebbeth raz jeszcze zawołał nań po imieniu ochrypłym, świszczącym głosem, lecz choć poprzednio pozbawił go w ten sposób czarnoksięskiej mocy, nie mógł zawładnąć jego siłą cielesną i zmusić do zatrzymania się. Ged biegł.

Noc gęstniała wokół ścigającego i ściganego, a cienka warstwa śniegu zawiała ścieżkę, która stała się niewidoczna. Ged czuł w skroniach łomot tętna, dyszał ciężko, płuca mu płonęły przy każdym oddechu. Właściwie już nie biegł, ale potykając się i słaniając, brnął naprzód, a jednak niezmordowany prześladowca najwyraźniej nie był w stanie go schwytać, choć postępował wciąż tuż za nim. Cień zaczął szeptać i mruczeć coś do niego, nawoływać

go! Ged wiedział, że przez całe jego życie ten szept tkwił w jego uszach, tuż przed progiem słyszalności, teraz jednak mógł go słyszeć wyraźnie i musiał się poddać, musiał ulec, musiał się zatrzymać. Mimo to mozolił się dalej, z wysiłkiem wspinając się po długim, skrytym w ciemności zboczu. Zdało mu się nagle, że gdzieś przed nim widać światło i że przed sobą, gdzieś w górze, słyszy głos wołający: „Chodź! Chodź!".

Usiłował odpowiedzieć, ale nie mógł. Blade światło stało się wyraźniejsze, jaśniało teraz z bramy, która otwierała się tuż przed nim; nie mógł dojrzeć murów, ale widział bramę. Na jej widok zawahał się, gebbeth zaś pochwycił jego płaszcz, usiłując złapać go z tyłu. Ostatkiem sił Ged rzucił się w to blado jaśniejące wejście. Spróbował odwrócić się, aby zamknąć bramę za sobą i nie wpuścić cienia, ale nie mógł utrzymać się na nogach. Słaniał się, szukając rękami jakiejś podpory. Światła migały i kręciły mu się przed oczami. Poczuł, że pada, i poczuł się schwytany w chwili, gdy upadł; ale jego świadomość w krańcowym wyczerpaniu ześliznęła się w mrok.

7

Lot sokoła

Ged się obudził; przez długi czas leżał świadom tylko tego, że przyjemnie jest się obudzić – nie oczekiwał bowiem, że obudzi się znowu – i bardzo przyjemnie widzieć światło, obfite, zwyczajne światło dnia otaczające go zewsząd. Miał uczucie, jak gdyby pływał w tym świetle albo był niesiony w łodzi przez prąd po bardzo spokojnych wodach. Wreszcie zdał sobie sprawę, że leży w łóżku, ale nie w takim, w jakich dotąd sypiał. Było to łoże spoczywające na ramie, którą podtrzymywały cztery smukłe rzeźbione nogi; materace były wielkimi jedwabnymi worami puchu – to dlatego Gedowi zdawało się, że pływa – a nad tym wszystkim zwisał purpurowy baldachim osłaniający przed przeciągami. Zasłona po obu bokach była podwiązana i rozsunięta, toteż Ged miał widok na komnatę o kamiennych ścianach i kamiennej posadzce. Przez trzy wysokie okna widział gołe, brunatne wrzosowisko, z łatami śniegu tu i ówdzie, oświetlone łagodnym zimowym słońcem. Komnata musiała znajdować się wysoko nad ziemią, gdyż rozpościerał się z niej rozległy widok na okolicę.

Kołdra z wypchanego puchem atłasu ześliznęła się na bok, gdy Ged usiadł; zobaczył, że jest odziany po wielkopańsku, w tunikę z jedwabiu i materii tkanej ze srebrnych nici. Na krześle obok łoża leżały, czekając na niego, wysokie buty z miękkiej skóry i płaszcz oblamowany futrem pellawi. Ged siedział przez chwilę spokojny

i otępiały jak ktoś pod działaniem uroku. Wreszcie powstał, sięgając po laskę. Ale laski nie było.

Jego prawa ręka, choć natarta maścią i obwiązana, miała poparzenia na dłoni i palcach. Ged poczuł teraz ból od oparzeń i obolałość całego ciała.

Stał przez chwilę bez ruchu. Potem szepnął, niegłośno i z niewielką nadzieją: „Hoeg... Hoeg...” – albowiem wierne, waleczne stworzonko też zniknęło, ta mała, milcząca dusza, która niegdyś wyprowadziła go z powrotem z królestwa śmierci. Czy otak był wciąż przy nim tej nocy w czasie ucieczki? Czy było to ostatniej nocy, czy wiele nocy temu? Ged nie wiedział. W jego myślach wszystko było mgliste i niezrozumiałe – gebbeth, płonąca laska, bieg, szept, brama. Nic z tego nie przypominało mu się teraz wyraźnie. Nic w tej chwili nie było jasne. Wyszeptał imię zwierzątka raz jeszcze, lecz nie mając nadziei na odpowiedź, i łzy wezbrały w jego oczach.

Gdzieś z oddali doniósł się dźwięk dzwoneczka. Drugi dzwoneczek zabrzmiał miłym dźwiękiem tuż zza ścian komnaty. Za Gedem, po drugiej stronie pokoju, otwarły się drzwi i weszła jakaś kobieta.

– Witaj, Krogulcze – powiedziała z uśmiechem.

Była młoda i wysoka, odziana w białe i srebrne szaty; srebrna siateczka wieńczyła włosy, które opadały prosto w dół jak czarny wodospad.

– Nie pamiętasz mnie chyba.

Ged skłonił się sztywno.

– Ciebie, pani?

Nigdy przedtem nie widział pięknej kobiety, ubranej stosownie do swej urody, poza jednym w życiu wypadkiem: poza ową panią z O, która przybyła u boku swego władcy na wyspę Roke w święto Powrotu Słońca. Tamta była jak wiotki, jasny płomień świecy, ta natomiast – jak biały księżyc w nowiu.

– Przypuszczałam, że nie będziesz pamiętał. Ale choć tak łatwo zapominasz, witam cię tu jak starego przyjaciela.

– Co to za dom? – spytał Ged, wciąż sztywny, wymawiając z trudem słowa. Czuł, że trudno mu jest mówić do niej i trudno odwrócić od niej wzrok. W książęcych szatach, które miał na sobie,

czuł się nieswojo, kamienie, na których stał, były obce, nawet powietrze, którym oddychał, było odmienne; nie był sobą, nie był tym, kim był przedtem.

– Ta warownia to Dwór Terrenon, mój pan, Benderesk, jest władcą udzielnym tej krainy od północnego skraju Wrzosowisk Keksemt aż do gór Os i strażnikiem drogocennego kamienia zwanego Terrenon. Co do mnie, tu na wyspie Osskil zwą mnie Serret, Srebro w ich języku. A ty, jak wiem, nosisz niekiedy imię Krogulca i pasowano cię na czarnoksiężnika na Wyspie Mędrców.

Ged spuścił wzrok na swą poparzoną dłoń i powiedział po chwili:

– Nie wiem, kim jestem. Posiadałem moc – niegdyś. Teraz chyba ją utraciłem.

– Nie! Nie straciłeś jej; odzyskasz ją dziesięćkroć większą. Jesteś tu bezpieczny przed tym, co cię tu przygnało, przyjacielu. Tę wieżę otaczają potężne mury, nie tylko kamienne. Tutaj możesz odpocząć, nabierając na nowo sił. Tutaj możesz też znaleźć odmienną siłę i laskę, która nie spali się na popiół w twoich rękach. Zła droga może w końcu prowadzić do dobrego celu. Chodź teraz ze mną, pokażę ci naszą posiadłość.

Mówiła tak słodko, że Ged ledwie słyszał słowa, pobudzany raczej przez samą obietnicę zawartą w jej głosie. Poszedł za Serret.

Jego komnata znajdowała się istotnie wysoko na wieży, która jak ostry ząb wyrastała z wierzchołka wzgórza. Zszedł za Serret krętymi schodami z marmuru; szli przez wspaniałe komnaty i sale, mijali wysokie okna wyglądające na północ, zachód, południe, wschód, ponad niskimi brunatnymi wzgórzami, które ciągnęły się, pozbawione domostw i drzew, niezmienne, aż do skraju zimowego nieba zalanego słońcem. Jedynie daleko na północy odcinały się ostro od błękitnego tła niewielkie białe szczyty, a w kierunku południowym można było się domyślić lśnienia morza.

Słudzy otwierali drzwi przed Gedem i panią, po czym odsuwali się na bok; byli to wszystko bladzi Osskilczycy o srogim wyglądzie. Serret miała jasną cerę, ale w przeciwieństwie do służby mówiła dobrze po hardycku, nawet, jak się zdawało Gedowi, z gontyjskim akcentem. Później tego samego dnia zaprowadziła go przed oblicze swego małżonka Bendereska, władcy Terrenonu. Trzykrotnie od niej

starszy, biały i chudy jak kość, o chmurnych oczach, władca Benderesk pozdrowił Geda z surową, chłodną uprzejmością, prosząc go, aby został w gościnie tak długo, jak zechce. Potem nie miał do powiedzenia wiele więcej; nie zapytał Geda o nic, co by dotyczyło jego podróży lub wroga, przed którym tutaj uciekł; podobnie i Serret nie zadała ani jednego pytania na ten temat.

Jeśli nawet było to dziwne, stanowiło tylko część dziwności, jaka cechowała to miejsce i jego, Geda, w nim obecność. Wciąż chyba nie myślał całkiem jasno. Znalazł się w tej warownej wieży przypadkiem, a jednak w przypadku była jakaś celowość; albo też dostał się tu celowo, a mimo to cała celowość objawiła się jedynie dzięki przypadkowi. Wybrał się był w drogę na północ; nieznajomy w Orrimy poradził mu szukać tu pomocy; czekał na niego osskilski statek; za przewodnika posłużył Skiorh. Jak wiele z tego było dziełem cienia, który Geda ścigał? A może nic tu nie było dziełem cienia; może obaj, Ged i jego prześladowca, zostali tu przyciągnięci przez jakąś inną moc, może Ged szedł za tą przynętą, a cień szedł za nim i zawładnął Skiorhem, czyniąc zeń swoją broń, kiedy nadeszła właściwa chwila? Musiało tak być, z pewnością bowiem cień, jak powiedziała Serret, nie miał dostępu do Dworu Terrenon. Ged nie czuł żadnej oznaki ani groźby jego przyczajonej obecności, odkąd obudził się w tej wieży. W takim razie co przywiodło go tutaj? Nie było to wszak miejsce, do którego trafia się przez przypadek; Ged zaczynał to rozumieć mimo całej ospałości swych myśli. Żaden inny przybysz nie podchodził do tych bram. Wieża stała na pustkowiu, odosobniona, zwrócona tyłem ku drodze prowadzącej do Neshum, które było najbliżej położonym miastem. Nikt nie przybywał do warowni, nikt jej nie opuszczał. Okna spoglądały z góry na pustkowie.

Z owych okien wyglądał Ged, gdy spędzał samotnie dzień po dniu w swojej komnacie u szczytu wieży, otępiały, przybity i zziębnięty. W wieży było wciąż zimno mimo wielu dywanów, gobelinowych obić, bogatych okryć futrzanych i szerokich marmurowych kominków. Było to zimno przenikające do kości, do szpiku, zimno, którego nie można się było pozbyć. A i w sercu Geda zagnieździł się zimny wstyd i nie dawał się usunąć, gdy młodzieniec myślał wciąż o tym, jak zmierzył

się ze swym wrogiem, poniósł porażkę i uciekł. W jego myślach zbierali się wszyscy mistrzowie z Roke, z chmurnym Arcymagiem Gensherem pośrodku, byli też z nimi Nemmerle i Ogion, i nawet czarownica, która nauczyła Geda pierwszego zaklęcia; wszyscy wpatrywali się w niego, a on wiedział, że zawiódł ich zaufanie. Usprawiedliwiał się, mówiąc: „Gdybym wtedy nie uciekł, cień wziąłby mnie w posiadanie; miał już całą siłę Skiorha i część mojej, znał moje imię, nie mogłem go więc pokonać. Pozostała mi ucieczka. Gebbeth-czarnoksiężnik byłby straszną siłą wywołującą zło i zniszczenie. Musiałem uciekać". Ale nikt z tych, którzy słuchali w jego myślach, nie odpowiadał. Ged wpatrywał się w śnieg, rzadki i nieustanny, padający nad widocznym z okna pustowiem, i czuł, jak rośnie w nim ospałe zimno, aż zdawało mu się, że poza czymś w rodzaju znużenia nie pozostało w nim żadne uczucie.

Tak przeżył wiele dni, w poczuciu własnego nieszczęścia unikając ludzi. Kiedy wreszcie wyszedł ze swej komnaty i zjawił się na dole, był milczący i skrępowany. Piękność pani zamku przyprawiała go o zmieszanie, a w tym bogatym, zadbanym, uporządkowanym, dziwnym dworze czuł się z krwi i kości wiejskim pastuchem.

Zostawiono go w spokoju, kiedy chciał być sam, a kiedy nie mógł już znieść rozmyślań i wpatrywania się w padający śnieg, Serret spotykała się z nim często w jednej z półkolistych sal obwieszonej gobelinami i oświetlonej ogniem z kominka, na niższym piętrze wieży, i tam rozmawiali. Nie było wesołości w pani zamku; nigdy się nie śmiała, choć często się uśmiechała; a jednak umiała sprawić niemalże jednym uśmiechem, że Ged pozbywał się skrępowania. W jej towarzystwie zapominał o swej sztywności i swojej hańbie. Niebawem zaczęli spotykać się codziennie, aby długo, spokojnie i leniwie rozmawiać przy kominku albo pod oknem którejś z wysokich komnat wieży, z dala od służek, które zawsze dotrzymywały Serret towarzystwa.

Stary władca przebywał na ogół we własnych komnatach, wychodząc z nich tylko rano; spacerował wtedy tam i z powrotem po zaśnieżonych wewnętrznych podwórcach warownego zamku, jak stary czarownik, który spędził całą noc na przygotowaniu uroków. Gdy wraz z Gedem i Serret jadł wieczerzę, siedział w milczeniu,

ogarniając czasem swą młodą żonę zimnym, zawistnym spojrzeniem. Wtedy Ged jej współczuł. Była jak zamknięta w klatce biała łania, jak biały ptak o podciętych skrzydłach, jak srebrny pierścień na palcu starca. Była jedną z kosztowności w skarbcu Bendereska. Gdy pan zamku ich opuszczał, Ged zostawał z nią, próbując dodać Serret otuchy w jej osamotnieniu, podobnie jak ona dodawała otuchy jemu.

– Co to za drogi kamień, od którego pochodzi nazwa waszego zamku? – spytał, gdy siedzieli, rozmawiając, nad opróżnionymi złotymi talerzami i pucharami w przepaścistej, oświetlonej blaskiem świec sali jadalnej.

– Nie słyszałeś o nim? To coś bardzo sławnego.

– Nie słyszałem. Wiem tylko, że władcy Osskil posiadają sławne skarby.

– Ach, ten klejnot przyćmiewa wszystkie. Chodź, chcesz go zobaczyć?

Uśmiechnęła się z miną kpiącą i śmiałą, jak gdyby lekko przestraszona tym, co robi, i wyszła wraz z młodzieńcem z sali; poprowadziła go przez wąskie korytarze w podstawie wieży, a potem schodami w podziemie, do zamkniętych drzwi, których Ged nie widział nigdy przedtem. Drzwi te otworzyła srebrnym kluczem, podnosząc przy tym oczy na Geda z tym samym uśmiechem, jakby ośmielała go, aby szedł z nią dalej. Za tymi drzwiami był krótki korytarzyk i następne drzwi, które otworzyła złotym kluczem, a za nimi kolejne, trzecie drzwi, które otworzyła jednym z Wielkich Słów – zaklęć rozwiązujących. Za tymi ostatnimi drzwiami blask świecy ukazał im małe pomieszczenie podobne do więziennego lochu. Posadzka, ściany, sufit całe były z nieociosanego kamienia, bez sprzętów, nagie.

– Widzisz go? – spytała Serret.

Gdy Ged rozglądał się po pomieszczeniu, jego oko czarnoksiężnika dostrzegło jeden kamień spośród tych, które tworzyły posadzkę. Był chropowaty i wilgotny jak pozostałe – ciężki, niekształtny brukowiec; a jednak Ged poczuł jego moc, jak gdyby kamień przemówił doń na głos. Zaparło mu dech i przez chwilę ogarnęły go mdłości. To był kamień węgielny wieży. To było centrum – i było w nim zimno, przejmująco zimno; nic nie byłoby w stanie ogrzać tego małego

pomieszczenia. Niezmiernie stary i straszliwy duch tkwił uwięziony w tej bryle kamienia. Ged nie odpowiedział Serret twierdząco ani przecząco, lecz stał bez ruchu; po chwili Serret, rzucając nań szybkie, ciekawe spojrzenie, wskazała kamień.

– Oto Terrenon. Czy cię dziwi, że trzymamy tak drogocenny kamień schowany pod kluczem w naszym najgłębszym skarbcu?

Ged wciąż nie odpowiadał. Stał niemy, kierowała nim przezorność. Było całkiem możliwe, że poddawała go próbie; pomyślał jednak, że Serret nie ma pojęcia o właściwościach kamienia, jeśli mówi o nim tak lekko. Nie wiedziała o kamieniu dostatecznie wiele, aby się go lękać.

– Opowiedz mi o jego mocach – powiedział wreszcie.

– Terrenon powstał, zanim jeszcze Segoy wydźwignął wyspy świata z Morza Otwartego. Powstał wtedy, kiedy powstawał sam świat, i przetrwa aż do końca świata. Czas nic dla niego nie znaczy. Jeśli położysz na nim dłoń i zadasz mu pytanie, on odpowie zależnie od mocy, która tkwi w tobie. Ma głos, jeśli umie się go słuchać. Będzie mówił o tym, co było, jest i będzie. Zapowiedział twoje przybycie na długo przedtem, zanim zjawiłeś się w tej krainie. Czy zadasz mu teraz jakieś pytanie?

– Nie.

– Odpowie ci.

– Nie ma takiego pytania, które chciałbym mu zadać.

– Mógłby ci powiedzieć – rzekła Serret swym łagodnym głosem – jak masz pokonać swojego wroga.

Ged milczał.

– Czyżbyś lękał się kamienia? – zapytała, jakby z niedowierzaniem, a on odpowiedział:

– Tak.

W nieubłaganym zimnie i ciszy lochu otoczonego kolejnymi ścianami czarów i ścianami z kamienia, w świetle jednej świecy, którą trzymała w dłoni, Serret obrzuciła Geda spojrzeniem iskrzących się oczu.

– Krogulcze, ty się nie boisz.

– Ale nie będę rozmawiał z tym duchem – odparł Ged i patrząc jej wprost w twarz, mówił poważnie i śmiało: – Ten duch, pani, jest

zamknięty w kamieniu, kamień zaś otaczają zaklęcia wiążące, zaklęcia oślepiające, czary zamykające i ochronne, a wreszcie potrójne warowne mury stojące na pustkowiu – nie dlatego, że kamień jest drogocenny, ale że może zdziałać wiele zła. Nie wiem, co ci powiedziano o tym kamieniu, gdy tu przybyłaś. Lecz ty, tak młoda i tak szlachetnego serca, nie powinnaś nigdy go dotykać ani nawet na niego patrzeć. To nie przyniesie ci nic dobrego.

– Dotykałam go już. Mówiłam do niego i słyszałam jego mowę. On nie czyni mi krzywdy.

Odwróciła się; wyszli przez drzwi i korytarze, póki w świetle pochodni na szerokich schodach wieży Serret nie zdmuchnęła świecy. Nie mówiąc wiele, rozstali się.

Tej nocy Ged spał mało. To nie myśl o cieniu nie dawała mu zasnąć; przeciwnie, myśl tę wyparł nieomal z jego umysłu powracający wciąż obraz kamienia, na którym spoczywała wieża, i wizja twarzy Serret, zwróconej ku niemu i okrywającej się w blasku świecy to jasnością, to cieniem. Wciąż na nowo Ged czuł na sobie jej wzrok i usiłował rozstrzygnąć, jakie było spojrzenie pani zamku, gdy odmówił dotknięcia kamienia – pogardliwe czy urażone. Gdy wreszcie ułożył się do snu, jedwabna pościel łoża była zimna jak lód i raz po raz budziły go mroczne myśli o kamieniu i o oczach Serret.

Nazajutrz znalazł ją w półkolistej sali z szarego marmuru, oświetlonej właśnie przez zachodzące słońce; tutaj często spędzała popołudnia z dwórkami przy grach lub przy krosnach. Zwrócił się do niej:

– Pani, obraziłem cię. Żałuję tego.

– Nie – zaprzeczyła w zadumie i powtórzyła: – Nie... – Odprawiła towarzyszące jej służki i gdy zostali sami, odwróciła się ku Gedowi. – Mój gościu, mój przyjacielu – powiedziała – wzrok masz bardzo bystry, lecz chyba nie dostrzegasz wszystkiego, co należy. Na wyspie Gont, na wyspie Roke uczą wysokich kunsztów czarnoksięskich. Nie uczą jednak wszystkich kunsztów. Tu jest Osskil, Kraina Kruków. To nie kraina hardycka: magowie ani nią nie rządzą, ani nie mają o niej wielkiego pojęcia. Zdarzają się tu sprawy, z którymi nie mieli do czynienia uczeni mistrzowie z południa, i istnieją tu rzeczy niewymienione w spisach Mistrzów Imion. Czego człowiek nie zna,

tego się lęka. Lecz ty nie masz czego się lękać tu, na Dworze Terrenon. Ktoś słabszy istotnie mógłby się lękać. Nie ty. Ty przyszedłeś na świat z mocą zdolną zapanować nad tym, co tkwi w zamkniętym na cztery spusty lochu. To pewne. Właśnie dlatego jesteś tu teraz.

– Nie rozumiem.

– Mój pan Benderesk nie był z tobą całkowicie szczery. Ja będę szczera. Chodź, usiądź tu przy mnie.

Usiadł obok niej w głębokiej, wyścielanej poduszkami niszy okiennej. Gasnący blask słońca padał poziomo przez okno, zalewając ich jasnością, w której nie było ciepła; na wrzosowiskach w dole leżał, pogrążając się już w cieniu, niestopniały śnieg, który spadł ostatniej nocy – przyćmiony biały całun przykrywający ziemię.

Serret mówiła teraz bardzo cicho:

– Benderesk to władca i spadkobierca Terrenonu, ale nie umie zrobić z niego użytku, nie potrafi go zmusić, aby w pełni służył jego woli. Ja też nie potrafię, ani sama, ani wspólnie z nim. Żadne z nas dwojga nie posiada jednocześnie i umiejętności, i mocy. Ty masz jedno i drugie.

– Skąd to wiesz?

– Od samego kamienia! Mówiłam ci, że przepowiedział twoje przybycie. On, kamień, zna swojego pana. Czekał na ciebie. Zanim jeszcze się urodziłeś, on czekał już na ciebie, na kogoś, kto umie nim władać. A ten, kto potrafi zmusić Terrenon, aby odpowiadał na jego pytania i spełniał jego życzenia, posiada władzę nad swym własnym przeznaczeniem; siłę, którą zmiażdży każdego wroga, czy to śmiertelnego, czy z tamtego świata; posiada dar jasnowidzenia, wiedzę, bogactwo, władzę i ma na swoje rozkazy sztukę czarnoksięską, która mogłaby upokorzyć samego Arcymaga! Cokolwiek z tego zechcesz wybrać, wiele lub mało – możesz mieć za darmo.

Raz jeszcze podniosła ku niemu swoje dziwne jasne oczy i jej spojrzenie wpiło się weń tak, że zadrżał, jakby przeniknięty zimnem. Mimo to był w jej twarzy lęk; może szukała jego pomocy, ale była zbyt dumna, by o nią prosić. Położyła dłoń na jego ręce. Jej

dotknięcie było lekkie, dłoń wydała się wąska i biała na ciemnej, mocnej dłoni Geda.

– Serret, nie posiadam takiej mocy, jak sądzisz – powiedział tonem usprawiedliwienia. – To, co miałem niegdyś, zmarnowałem. Nie mogę ci pomóc, na nic ci się nie przydam. Ale wiem jedno: Stare Moce Ziemi nie są przeznaczone do ludzkiego użytku. Nie zostały nigdy oddane w nasze ręce; w naszych rękach mogą czynić tylko zniszczenie. Złe środki wiodą do złego celu. Nic mnie tu nie przyciągnęło, natomiast zostałem przygnany i siła, która mnie gnała, działa na moją zgubę. Nie mogę ci pomóc.

– Ten, kto trwoni swoją moc, jest nieraz pełen wielekroć większej mocy. – Uśmiechnęła się, jak gdyby jego lęki i skrupuły wydawały jej się dziecinne. – Wiem może więcej od ciebie o tym, co cię tu przywiodło. Czy na ulicach Orrimy nie zwracał się do ciebie pewien człowiek? To był posłaniec, sługa Terrenonu. On sam był niegdyś czarnoksiężnikiem, ale odrzucił laskę, aby służyć potędze większej niż moc jakiegokolwiek maga. A ty przybyłeś na Osskil i na wrzosowiskach próbowałeś walczyć z cieniem swoją drewnianą laską; już prawie nie byliśmy w stanie cię uratować, gdyż ten stwór, co cię ściga, jest przebieglejszy, niż sądziliśmy, i zdążył ci odebrać wiele siły... Tylko cień może zwalczyć cień. Tylko ciemność może pokonać mrok. Posłuchaj, Krogulcze! Czego zatem potrzebujesz, aby pokonać ów cień, który czeka na ciebie za tymi murami?

– Potrzebuję czegoś, czego nie mogę znać. Jego imienia.

– Terrenon, który zna wszystkie narodziny i zgony, wszystkie istnienia przed i po śmierci, a także to, co nienarodzone i nieśmiertelne, który zna świat jasności i świat mroku, powie ci to imię.

– A cena?

– Nie trzeba nic płacić. Powiadam, że będzie ci posłuszny, będzie ci służył jak niewolnik.

Wstrząśnięty i udręczony, Ged nie odpowiedział. Serret trzymała teraz jego rękę w obu dłoniach, spoglądając mu w twarz. Słońce zapadło w mgły, które szarzały na horyzoncie, i powietrze również zszarzało, ale twarz Serret jaśniała aprobatą i triumfem, w miarę jak

przypatrywała się Gedowi, dostrzegając słabnącą w nim wolę. Szepnęła cicho:

– Będziesz potężniejszy niż wszyscy ludzie, będziesz królem pośród nich. Będziesz panował, a ja będę panowała z tobą...

Nagle Ged powstał i postępując kilka kroków naprzód, stanął w miejscu, skąd mógł widzieć, tuż za wycięciem długiej ściany komnaty, obok drzwi, władcę Terrenonu, który przysłuchiwał się i uśmiechał z lekka.

Oczy Geda przejrzały; jego umysł także. Popatrzył z góry na Serret.

– Pokonać mrok może światło – powiedział, zająkując się – tylko światło.

Gdy to mówił, zrozumiał – tak jasno, jakby jego słowa były ukazującym mu to światłem – jak w samej rzeczy został tu przyciągnięty, zwabiony, jak wykorzystywali jego lęk, aby wieść go dalej, i jak, mając go już tutaj, zatrzymaliby go na zawsze. Ocalili go przed cieniem, istotnie, ponieważ nie chcieli oddać go cieniowi w posiadanie, dopóki Ged nie stanie się niewolnikiem kamienia. Z chwilą gdy moc kamienia zawładnęłaby wolą Geda, wpuściliby cień w obręb murów, ponieważ gebbeth jest lepszym niewolnikiem niż człowiek. Gdyby raz dotknął kamienia albo doń przemówił, byłby ostatecznie zgubiony. Jednakże, podobnie jak cień nie całkiem był w stanie doścignąć go i nim zawładnąć, tak i kamień nie był w stanie go wykorzystać do końca. Ged prawie już ustąpił, ale nie całkiem. Nie zgodził się na to. Bardzo trudno jest złu pojmać duszę, która się na to nie zgadza.

Stał teraz pomiędzy dwojgiem tych, którzy ustąpili, którzy się zgodzili, i spoglądał to na jedno z nich, to na drugie, gdy Benderesk podszedł bliżej.

– Mówiłem ci – rzekł suchym głosem do swej żony – że on wyśliźnie się z twoich rąk, Serret. Sprytne błazny z tych waszych gontyjskich czarowników. A i ty zbłaźniłaś się, kobieto z Gontu, zamierzając oszukać i jego, i mnie, zamierzając rządzić nami obydwoma za pomocą swej piękności i wykorzystać Terrenon do swych własnych celów. Ale ja jestem Władcą Kamienia, ja, i oto co czynię wiarołomnej żonie: *Ekavroe ai oelwantar*...

Było to zaklęcie Przemiany; długie ręce Bendereska podniosły się, aby przeobrazić skuloną kobietę w coś szkaradnego, w świnię, psa albo śliniącą się wiedźmę. Ged postąpił naprzód i zmusił do opuszczenia uniesione ręce władcy uderzeniem własnych rąk, wypowiadając przy tym tylko krótkie słowo. I choć nie miał laski, choć stał na obcym terenie, na złym terenie, w królestwie mocy ciemności – jego wola wzięła jednak górę. Benderesk stał nieruchomo, z posępnymi i niewidzącymi oczami utkwionymi nienawistnie w żonie.

– Chodź – powiedziała Serret drżącym głosem – Krogulcze, chodź prędko, zanim on przywoła sługi kamienia...

Jakby odbrzmiewając echem, poprzez wieżę, przez kamienie posadzki i ścian dobiegł szept – suchy drżący pomruk. Czyżby sama ziemia miała przemówić?

Serret chwyciła dłoń Geda i popędzili razem przez korytarze i sale, a potem zbiegli długimi kręconymi schodami. Wyszli na podwórzec, gdzie ostatnie srebrzyste światło dnia unosiło się jeszcze ponad zabrudzonym, zdeptanym śniegiem. Trzej słudzy zamkowi zastąpili im drogę z ponurym, badawczym wejrzeniem; pewnie podejrzewali jakąś intrygę tych dwojga przeciw swemu panu.

– Robi się ciemno, pani – rzekł jeden, a drugi dodał: – Nie możesz, pani, teraz wyjeżdżać.

– Precz z mojej drogi, plugastwo! – krzyknęła Serret.

Przemówiła w syczącym języku osskilskim. Mężczyźni odskoczyli od niej i wijąc się, przypadli do ziemi; jeden z nich zawył w głos.

– Musisz wyjść przez bramę – mówiła niecierpliwie – nie ma innego wyjścia na zewnątrz. Czy możesz dostrzec bramę? Czy możesz ją znaleźć, Krogulcze?

Szarpała go za rękę, jednak Ged się wahał.

– Jaki urok rzuciłaś na tych ludzi?

– Nalałam w szpik ich kości gorącego ołowiu; umrą od tego. Prędzej, mówię ci, on wypuści sługi kamienia, a ja sama nie mogę znaleźć bramy – jest zamaskowana potężnymi czarami. Szybko!

Ged nie wiedział, o co chodzi Serret, on sam bowiem widział zaczarowaną bramę tak wyraźnie, jak kamienne sklepione wyjście z podworca, poprzez które ją oglądał. Poprowadził Serret przez

to wyjście, potem po nietkniętym stopą śniegu zewnętrznego dziedzińca i wreszcie, wymawiając zaklęcie Otwarcia, przeprowadził ją przez bramę w magicznym murze.

W chwili gdy wydostali się sklepionym wyjściem ze srebrzystego półmroku Dworu Terrenon, Serret się zmieniła. Nie była mniej piękna w posępnym świetle wrzosowisk, ale jej urodę skaził wygląd zawziętej czarownicy i Ged poznał ją nareszcie – córkę władcy z Re Albi, córkę czarodziejki z Osskil, tę, która naigrawała się zeń na zielonych łąkach ponad domem Ogiona, dawno temu, i wysłała go, aby przeczytał zaklęcie wyzwalające cień. Nie zaprzątał sobie tym jednak myśli, rozglądał się bowiem teraz naokoło, ze wszystkimi zmysłami w pogotowiu, szukając swego wroga, cienia, który miał czekać na niego gdzieś poza obrębem magicznych murów. To mógł być wciąż jeszcze gebbeth przyodziany w zwłoki Skiorha albo też ów cień mógł się ukrywać w gęstniejącej ciemności, czekając, aż dopadnie Geda i stopi swą bezkształtność z jego żywym ciałem. Ged wyczuwał bliskość wroga, lecz go nie widział. Dostrzegł jednak o kilka kroków od bramy coś małego i ciemnego, na wpół zagrzebanego w śniegu. Nachylił się, a potem delikatnie podniósł to w obu dłoniach. Był to otak; gładkie, krótkowłose futerko miał całe zlepione krwią, a drobne ciałko leżało lekkie, sztywne i zimne w rękach Geda.

– Zmień swą postać! Zmień postać, to one! – krzyknęła przeraźliwie Serret, chwytając go za ramię i wskazując wieżę, która sterczała za nimi w zmierzchu jak smukły biały ząb. Z wąskich niby szczeliny okien przy podstawie wieży wypełzły ciemne stwory; trzepotały długimi skrzydłami, powoli machały nimi i zatoczywszy krąg nad murami, nadlatywały w stronę Geda i Serret, którzy stali bezbronni na zboczu wzgórza. Rzężący szept, który słyszeli przedtem wewnątrz zamku, przybrał na sile, przeszedł w drganie i pojękiwanie ziemi pod ich stopami.

Gniew wytrysnął w sercu Geda, gorąca furia nienawiści do wszystkich tych okrutnych, trupich stworów, które wciąż oszukiwały go, chwytały w pułapki, dościgały.

– Zmień postać! – krzyknęła doń Serret i sama, jednym tchem wypowiadając zaklęcie, pomniejszyła się i przeobraziła w szarą

mewę, po czym pofrunęła. Ale Ged pochylił się i zerwał źdźbło dzikiej trawy, które sterczało wyschnięte i kruche ze śniegu w miejscu, gdzie leżał martwy otak. Podniósł to źdźbło i gdy przemówił do niego głośno w Prawdziwej Mowie, wydłużyło się i zgrubiało; gdy skończył mówić, trzymał w dłoni wielką laskę – laskę czarnoksiężnika. Tym razem nie zapłonęła czerwonojadowitym ogniem na całej swej długości, gdy czarne, trzepoczące się stwory z Dworu Terrenon rzuciły się na Geda, a on bił je laską po skrzydłach; rozjarzyła się jedynie białym ogniem magicznym, który nie parzy, tylko przepędza mrok.

Stwory natarły ponownie; niezdarne bestie, wywodzące się z epok, kiedy nie było jeszcze ptaków, smoków ani ludzi, od dawna już zapomniane przez światło dzienne, lecz na powrót przywołane przez odwieczną, złośliwą, nieskłonną do zapomnienia moc kamienia. Nękały Geda, rzucając się nań z góry. Czuł wokół siebie ich szpony machające jak kosy i mdlił go trupi odór. Zawzięcie parował ciosy i sam uderzał, odpierając stwory gorejącą laską, którą uczynił ze swego gniewu i ze źdźbła dzikiej trawy. I nagle sługi kamienia wzbiły się w górę jak kruki odstraszone od padliny, zatoczyły koło i, trzepocząc w milczeniu skrzydłami, pomknęły w kierunku, w którym odleciała przeistoczona w mewę Serret. Ruchy ich olbrzymich skrzydeł wydawały się powolne, ale stwory leciały szybko; każde uderzenie skrzydeł popychało je daleko przez powietrze. Żadna mewa nie wytrzymałaby długo ucieczki przed tym potężnym pędem.

Szybko, jak to kiedyś uczynił na Roke, Ged przybrał postać wielkiego sokoła; nie krogulca, którym go nazwano, ale sokoła pielgrzyma latającego jak strzała, jak myśl. Pofrunął na pręgowanych, mocnych skrzydłach, ścigając swych prześladowców. Ściemniło się, a pomiędzy chmurami świeciły coraz jaśniejsze gwiazdy. Dostrzegł przed sobą czarne, strzępiaste stado mknące w dół, ku jednemu punktowi ponad ziemią. Dalej za tą czarną chmarą leżało morze, blado rozjaśnione ostatnim szarym błyskiem dnia. Ged rzucił się prostym i chyżym sokolim lotem w stronę służących kamieniowi stworów, a one rozprysły się, gdy wpadł pomiędzy nie, jak krople wody rozpryskują się od rzuconego kamyka. Schwytały jednak już przedtem swą ofiarę. Krew była

na dziobie jednego ze stworów, a białe pierze przylgnęło do szponów innego, i żadna mewa nie szybowała przed nimi ponad bladym morzem.

Stwory znów zamierzały zaatakować Geda, zbliżając się szybko i niezdarnie, z wyciągniętymi, rozdziawionymi dziobami z żelaza. Ged zatoczył ponad nimi koło, wydał z siebie wyzywający i wściekły krzyk sokoła, a potem pomknął w poprzek niskich plaż wyspy Osskil, ponad łamiącymi się o brzeg falami, nad pełne morze.

Sługi kamienia kołowały przez chwilę, kracząc, po czym jeden za drugim, bijąc ociężale skrzydłami, zaczęły wracać ponad wrzosowiskami w głąb lądu. Stare Moce nie mogą przeprawiać się przez morze, każda z nich jest bowiem przywiązana do jakiejś wyspy, do określonego miejsca, jaskini, kamienia czy tryskającego źródła. Czarne zjawy poszybowały z powrotem do warownej wieży, gdzie Benderesk, władca Terrenonu, może płakał, widząc ich powrót, a może się śmiał. Ale Ged leciał dalej na skrzydłach sokoła i szalony jak sokół; leciał jak niespadająca nigdy strzała, jak niedająca się zapomnieć myśl, ponad Morzem Osskilskim na wschód, w zimowy wicher i w noc.

***

Ogion Milczący późno powrócił do Re Albi ze swych jesiennych wędrówek. Z upływem lat stał się jeszcze większym niż dotąd milczkiem i samotnikiem. Nowy władca Gontu z miasta leżącego w dole nigdy nie wydostał z Ogiona ani słowa, choć wspiął się aż do samego Sokolego Gniazda, szukając pomocy maga w pewnej pirackiej wyprawie na Andrady. Ogion, który przemawiał do pająków tkających sieci i którego widywano, jak uprzejmie pozdrawiał drzewa, nie odezwał się ani słowem do władcy wyspy, który odszedł rozgoryczony. Zapewne i w sercu Ogiona tkwiła jakaś gorycz czy niepokój, spędził bowiem całe lato i jesień sam na szczycie góry i dopiero teraz, gdy zbliżał się Powrót Słońca, zjawił się znowu w swoim domostwie.

Nazajutrz rano po powrocie wstał późno i chcąc wypić kubek naparu z ziół, wyszedł, aby przynieść wody ze źródła, z którego sączyła się strużka po zboczu wzgórza, o parę kroków od domu. Krawędzie małej sadzawki utworzonej przez bijące źródło były zamarznięte, a uschnięty mech między skałami poznaczyły kwiaty mrozu. Był już jasny dzień, ale słońce jeszcze przez godzinę nie będzie oświetlać potężnej grani górskiej – cały zachodni Gont, od plaż morskich aż do szczytu, był bezsłoneczny, cichy i wyraźnie widoczny w zimowym poranku. Gdy mag stał przy źródle, spoglądając w dal ponad obniżającymi się połaciami lądu, ponad portem i szarym morskim przestworzem, zatrzepotały nad nim skrzydła. Spojrzał w górę i uniósł jedno ramię. Wielki sokół zniżył się z głośnym trzepotem skrzydeł i usiadł na przegubie Ogiona. Wczepił się weń jak ptak przyuczony do polowań, nie miał jednak na sobie żadnej zerwanej linki, żadnej obrączki ani dzwonka. Szpony wbiły się mocno w przegub Ogiona, pręgowane skrzydła drżały, okrągłe złote oko było zmętniałe i dzikie.

– Przynosisz wieści czy sam jesteś wieścią? – spytał łagodnie mag. – Chodź ze mną... – Gdy mówił, sokół spoglądał na niego. Ogion milczał przez chwilę. – Zdaje się, że nadałem ci kiedyś imię – powiedział. Poszedł do domu, wciąż niosąc ptaka na przegubie. Postawił sokoła przy kominku, w cieple ognia, i podsunął mu wodę. Ptak nie chciał pić. Wtedy Ogion zaczął czynić zaklęcie, bardzo cicho, tkając pajęczynę magii bardziej dłońmi niż słowami. Gdy zaklęcie zostało w całości utkane, cicho, nie patrząc na sokoła, rzekł: – Ged. – Czekał jakiś czas, potem obrócił się i podszedł do młodzieńca, który stał przed ogniem drżący i ze zmętniałymi oczami.

Ged był ubrany w bogaty cudzoziemski strój z futra, jedwabiu i srebra, ale szaty były podarte i sztywne od morskiej soli. Stał wycieńczony i zgarbiony; włosy spływały wokół jego pokrytej bliznami twarzy.

Ogion zdjął zabrudzony płaszcz książęcy z ramion Geda, zaprowadził go do alkowy, gdzie jego uczeń niegdyś sypiał, i zmusił młodzieńca, aby się tam położył na sienniku; zamruczał jeszcze usypiające zaklęcie i odszedł. Nie odezwał się ani słowem, wiedząc, że Ged nie włada teraz ludzką mową.

Jako chłopiec Ogion myślał, jak wszyscy chłopcy, że bardzo przyjemną igraszką byłoby przybieranie za pomocą sztuki magicznej dowolnego kształtu, postaci człowieka czy zwierzęcia, drzewa lub chmury, i bawienie się w ten sposób w tysiące różnych istnień. Lecz jako czarnoksiężnik poznał cenę tej igraszki, cenę, jaką jest ryzyko utraty własnego ja, przegrania prawdziwego istnienia. Im dłużej człowiek pozostaje w cudzej postaci, tym większe jest ryzyko. Każdy uczeń czarownika uczy się opowieści o czarnoksiężniku Bordgerze z wyspy Way, który znajdował przyjemność w przybieraniu postaci niedźwiedzia i czynił to coraz częściej, póki niedźwiedź nie urósł w nim, a człowiek nie zanikł; Bordger stał się niedźwiedziem, zabił w lasach swego synka, po czym schwytano go i uśmiercono. Nikt też nie wie, jak wiele delfinów pląsających w wodach Morza Najgłębszego było niegdyś ludźmi, mądrymi ludźmi, którzy zapomnieli swej mądrości i swojego imienia, radując się wiecznie niespokojnym morzem.

Ged przybrał postać sokoła, nękany rozpaczą i wściekłością; gdy odlatywał z wyspy Osskil, miał w głowie tylko jedną myśl: nie dać się doścignąć zarówno kamieniowi, jak cieniowi, uciec z zimnej zdradliwej krainy, powrócić do domu. Gniew i dzikość sokoła były jak jego własna dzikość i gniew, uczucia te stały się jego własnymi, a jego wola lotu stała się wolą sokoła. Tak więc przeleciał nad wyspą Enlad, zniżając lot, aby napić się z samotnego leśnego jeziorka, ale potem natychmiast znów zerwał się do lotu, gnany lękiem przed ścigającym go cieniem. Tak też przeleciał nad wielkim szlakiem morskim zwanym Paszczą Enladu i leciał dalej i dalej na południowy wschód, mając po prawej stronie majaczące daleko wzgórza wyspy Oranea, po lewej jeszcze słabiej widoczne wzgórza wyspy Andrad, a przed sobą jedynie morze – póki wreszcie w dali przed nim nie wyrosła z fal jedna zastygła fala, wznosząca się coraz wyżej – biały szczyt Gont. Przez słoneczne dni i mroczne noce tego wielkiego lotu Ged unosił się na sokolich skrzydłach, spoglądając sokolimi oczami i, zapominając swoje własne myśli, znał w końcu tylko to, co zna sokół: głód, wiatr, szlak, którym leci.

Przyleciał do właściwej przystani. Niewielu było ludzi na Roke, a tylko jeden na wyspie Gont, który mógł przywrócić mu postać

ludzką.

Ged był oszołomiony i milczący, gdy się obudził. Ogion nie odzywał się do niego, lecz karmił go mięsem i poił wodą, pozwalał mu siedzieć zgarbionemu przy ogniu, ponuremu jak wielki, zmęczony, posępny sokół. Z nadejściem nocy Ged zasnął. Trzeciego dnia z rana podszedł do kominka, przy którym siedział zapatrzony w płomienie mag, i odezwał się:

– Mistrzu...

– Witaj, chłopcze – powiedział Ogion.

– Wróciłem do ciebie tak samo, jak cię opuściłem: jako głupiec – powiedział młodzieniec głosem szorstkim i ochrypłym.

Mag uśmiechnął się z lekka, dał znak Gedowi, aby usiadł po drugiej stronie kominka, a sam zabrał się do parzenia ziół dla nich obu.

Padał śnieg, pierwszy śnieg, który tej zimy pojawił się na niższych zboczach góry Gont. Okna Ogiona były szczelnie zamknięte okiennicami, ale mogli słyszeć miękkie spadanie mokrego śniegu na dach i głęboką ciszę śniegu wszędzie wokół domu. Długi czas siedzieli przy ogniu i Ged opowiadał swemu dawnemu mistrzowi o latach, które minęły, odkąd odpłynął z wyspy Gont na pokładzie „Cienia". Ogion nie zadawał pytań i gdy Ged skończył, mag milczał jeszcze długo, cichy, zadumany. Potem podniósł się, postawił na stole chleb, ser i wino i spożyli razem posiłek. Gdy skończyli i uprzątnęli izbę, Ogion przemówił.

– Dotkliwe są twoje blizny, chłopcze.

– Brak mi siły do walki przeciw temu stworowi – odpowiedział Ged.

Ogion potrząsnął głową, ale przez jakiś czas milczał.

– Dziwne – rzekł wreszcie. – Miałeś dość siły, aby pokonać zaklęciem czarownika na jego własnym terenie, tam, na wyspie Osskil. Miałeś dość siły, aby oprzeć się pokusom i odparować natarcie sług Starej Mocy Ziemskiej. A na wyspie Pendor miałeś dość siły, aby stawić czoło smokowi.

– Na Osskil miałem szczęście, nie siłę. – Ged zadrżał znowu, gdy wspomniał koszmarne, trupie zimno Dworu Terrenon. – Co zaś

do smoka, znałem jego imię. Ten zły stwór, ten cień, który mnie ściga, nie ma imienia.

– Wszystko ma imię – stwierdził Ogion z taką pewnością, że Ged nie śmiał powtórzyć tego, co mówił mu Arcymag Gensher: że złe siły jak ta, którą wyzwolił, są bezimienne. Smok z Pendoru w samej rzeczy proponował, że zdradzi mu imię cienia, ale Ged nie ufał zbytnio rzetelności tej propozycji ani też nie wierzył obietnicy Serret, że kamień powie mu to, co najbardziej pragnie wiedzieć.

– Jeśli cień ma imię – powiedział w końcu – nie sądzę, aby zatrzymał się i zdradził mi je...

– Nie – odparł Ogion. – Ty też nie zatrzymałeś się i nie zdradziłeś mu swojego imienia. A jednak cień je znał. Na osskilskich wrzosowiskach zawołał cię po imieniu, wymówił imię, które ci nadałem. To dziwne, dziwne...

Pogrążył się znów w rozmyślaniach. Wreszcie Ged się odezwał:

– Przybyłem tu po radę, nie po schronienie, mistrzu. Nie chciałbym sprowadzać tego cienia na ciebie, lecz on wkrótce tu się zjawi, jeśli zostanę. Niegdyś przegnałeś go właśnie z tej izby...

– Nie; to było tylko jego przeczucie, cień cienia. Teraz nie potrafiłbym go odegnać. Tylko ty mógłbyś to zrobić.

– Ale ja jestem na razie bezsilny. Czy jest gdzieś miejsce, gdzie... – Jego głos zamarł.

– Nie ma bezpiecznego miejsca – powiedział łagodnie Ogion. – Nie przeistaczaj się ponownie, Ged. Cień usiłuje zniszczyć twoją prawdziwą istotę. Omal tego nie uczynił, gdy wpędził cię w postać sokoła. Nie, nie wiem, dokąd powinieneś się udać. Jednakże wiem coś o tym, co powinieneś zrobić. Trudno mówić o tym.

W milczeniu Geda było żądanie prawdy, więc Ogion powiedział w końcu:

– Musisz zawrócić.

– Zawrócić?

– Jeśli będziesz szedł przed siebie, jeśli nie przerwiesz ucieczki, dokądkolwiek uciekniesz, wszędzie napotkasz niebezpieczeństwo i zło, ono bowiem cię popycha, ono wybiera dla ciebie drogę. Wybierać musisz ty. Ty musisz poszukać tego, co ciebie szuka. Musisz ścigać to, co ściga ciebie.

Ged nic nie powiedział.

– Nadałem ci imię u źródeł rzeki Ar – mówił mag – nad strumieniem, który spływa z gór do morza. Człowiek może poznać cel, do którego zmierza – ale nie potrafi go poznać, jeśli się nie odwróci, jeśli nie powróci do swego początku i nie zawrze tego początku w swoim istnieniu. Jeśli nie chce być patykiem porwanym przez wir i pochłoniętym przez prąd, musi być samym owym prądem, całym, od źródła aż do pogrążenia się w morzu. Wróciłeś na wyspę Gont, wróciłeś do mnie, Gedzie. Teraz zawróć już zupełnie z drogi, szukaj swego źródła i tego, co leży przed źródłem. Tam spoczywa twoja nadzieja na odzyskanie siły.

– Tam, mistrzu? – odezwał się Ged z trwogą w głosie. – Gdzie?

Ogion nie odpowiedział.

– Jeśli zawrócę – rzekł Ged, gdy upłynęło kilka chwil – jeśli, jak mówiłeś, zacznę ścigać ścigającego, pościg zapewne nie potrwa długo. Wróg tylko tego pragnie, by spotkać się ze mną twarzą w twarz. Dwa razy tak uczynił i dwa razy mnie pokonał.

– Do trzech razy sztuka – powiedział Ogion.

Ged chodził po izbie tam i z powrotem, od kominka do drzwi, od drzwi do kominka.

– A jeśli pokona mnie całkowicie – rzekł, spierając się może z Ogionem, a może z sobą samym – wtedy odbierze mi wiedzę i moc i będzie czynić z nich użytek. Teraz zagraża tylko mnie. Lecz jeśli weźmie mnie w posiadanie, będzie poprzez mnie czynić wiele złego.

– To prawda. Jeśli cię pokona.

– Lecz jeśli będę uciekać, znów mnie z pewnością znajdzie... A ucieczka pochłonęła już całą moją siłę. – Ged nagle odwrócił się i klęknął przed magiem. – Przebywałem wśród wielkich czarnoksiężników i byłem na Wyspie Mędrców, ale moim prawdziwym mistrzem jesteś ty, Ogionie. – Mówił tonem pełnym miłości i radosnym mimo przygnębienia.

– Zgoda – rzekł Ogion. – Teraz już to wiesz. Lepiej późno niż wcale. Ale to ty będziesz moim mistrzem w końcu. – Podniósł się, podsycił ogień, aż buchnął mocnym płomieniem, zawiesił nad nim kociołek do gotowania, a potem, wciągając na siebie kożuch, rzekł: – Muszę doglądać kóz. Popilnuj mi kociołka, chłopcze.

Gdy wszedł z powrotem, cały oprószony śniegiem, otrząsając tupnięciem śnieg z butów z koźlej skóry, niósł długi, nieobrobiony drąg z cisowego drewna. Przez całe to krótkie popołudnie i potem znowu po wieczerzy siedział przy świetle lampy, obrabiając drąg nożem, kamieniem do polerowania i zaklęciami. Wielokrotnie przesuwał dłonie wzdłuż drewna, sprawdzając, czy nie ma żadnej skazy. Pracując, często podśpiewywał cicho. Ged, wciąż zmęczony, słuchał, a gdy naszła go senność, poczuł się jak dziecko w chacie czarownicy z wioski Dziesięć Olch, w rozświetlonym przez ogień mroku śnieżnej nocy, w powietrzu ciężkim od dymu i zapachu ziół; jego myśli unosiły się na falach marzeń, gdy słuchał długiego i cichego śpiewu o czarach i o czynach bohaterów, którzy walczyli z ciemnymi mocami i zwyciężali lub przegrywali na odległych wyspach, w dawnych czasach.

– To dla ciebie – powiedział Ogion i wręczył mu wykończoną laskę. – Arcymag dał ci laskę z drewna cisowego; dobry to był wybór, więc trzymałem się go i ja. Chciałem zrobić z tego drąga łuk, ale tak jest lepiej. Dobranoc, synu.

Gdy Ged, nie mogąc znaleźć słów podzięki, odszedł do swej alkowy, Ogion spojrzał w ślad za nim i rzekł, zbyt cicho, aby jego uczeń mógł usłyszeć:

– Szczęśliwego lotu, mój młody sokole!

O chłodnym świcie, gdy Ogion się zbudził, Geda już nie było. Pozostawił tylko, jak to robią czarnoksiężnicy, wiadomość nagryzmoloną na kamieniu paleniska srebrzystymi runami, które gasły w momencie, gdy Ogion je czytał: „Mistrzu, ruszam w pościg”.

8

Pościg

W zimowym mroku, przed wschodem słońca, Ged wyruszył drogą wiodącą w dół z Re Albi; nim nastało południe, przybył do Portu Gont. Ogion dał mu porządne gontyjskie pludry, koszulę i kaftan ze skóry i płótna, mające zastąpić strojny osskilski przyodziewek, ale Ged zatrzymał na tę zimową wędrówkę swój wielkopański płaszcz oblamowany futrem pellawi. Okryty nim, nie mając w rękach nic prócz ciemnej laski równej jego wzrostowi, podszedł do miejskiej bramy; żołnierze przechadzający się tam na tle jej rzeźbionych smoków nie musieli spoglądać dwa razy, aby rozpoznać w nim czarnoksiężnika. Odsunęli swoje włócznie na bok i pozwolili mu wejść bez zastrzeżeń, a potem spoglądali w ślad za nim, gdy dalej szedł wiodącą w dół ulicą.

Na nadbrzeżach i w Domu Cechu Morskiego Ged zapytywał o statki wypływające na północ lub zachód, do wysp Enlad, Andrad lub Oranei. Wszyscy odpowiadali mu, że żaden statek nie wyruszy z Portu Gont teraz, tak blisko święta Powrotu Słońca, a w Cechu Morskim powiedziano, że nawet łodzie rybackie nie pływają pomiędzy Zbrojnymi Urwiskami w czasie niepewnej pogody.

W jadłodajni Cechu Morskiego zaproszono Geda na obiad – czarnoksiężnicy rzadko kiedy muszą prosić o posiłek. Siedział przez chwilę z robotnikami portowymi, cieślami okrętowymi i zaklinaczami pogody, znajdując przyjemność w słuchaniu ich powolnej, często

przerywanej milczeniem pogawędki, ich pomrukującej mowy gontyjskiej. Było w nim wielkie pragnienie, aby pozostać tu, na wyspie Gont, i zrzekając się wszelkich czarodziejskich sztuk i ryzykownych przedsięwzięć, zapominając o wszelkich mocach i okropnościach, żyć w spokoju, jak każdy człowiek na znanej, bliskiej ziemi rodzinnego kraju. Takie było jego pragnienie – ale jego wola była inna. Nie pozostał długo w Cechu Morskim ani w mieście, gdy już się dowiedział, że żaden statek nie wypłynie z portu. Wyruszył na piechotę brzegiem zatoki, aż dotarł do pierwszej z małych wiosek leżących na północ od miasta Gont. Tam pytał wśród rybaków, póki nie znalazł jednego, który miał do sprzedania łódź.

Rybak był starcem o ponurym wyglądzie. Jego łódź, zbita z nakładających się jedna na drugą desek, była tak spaczona i wykrzywiona, że ledwo nadawała się do żeglugi; mimo to rybak żądał za nią wysokiej ceny: zaklęcia, które na rok zapewniłoby bezpieczeństwo na morzu jego własnej łodzi, jemu i jego synowi. Gontyjscy rybacy bowiem nie lękają się niczego, nawet czarnoksiężników; lękają się tylko morza.

To zaklęcie zapewniające bezpieczeństwo na morzu, zaklęcie, do którego przywiązuje się wielką wagę w północnej części Archipelagu, nigdy nie uchroniło człowieka przed wichurą lub sztormową falą, ale rzucone przez kogoś, kto zna okoliczne wody, szlaki łodzi i umiejętności żeglarza, roztacza jednak wokół rybaka aurę jakiegoś codziennego bezpieczeństwa. Ged uczynił czar dobrze i uczciwie, pracując nad nim całą noc i następny dzień, nie zaniedbując niczego, staranny i cierpliwy, choć przez cały ten czas miał nerwy napięte od lęku; myślami błądził po ciemnych ścieżkach, usiłując wyobrazić sobie, w jaki sposób tym razem pojawi się przed nim cień oraz kiedy i gdzie to się stanie. Gdy zaklęcie zostało ukończone i wypowiedziane w całości, Ged był bardzo znużony. Spał tej nocy w chacie rybaka, w hamaku splecionym ze sznurów z wielorybich jelit; wstał o świcie, zalatując suszonym śledziem, i zszedł do zatoczki nad urwiskiem Cutnorth, gdzie przycumowana była jego nowa łódź.

Brnąc po dnie, wypchnął ją na spokojne morze; woda natychmiast zaczęła przesiąkać po trochu do wnętrza łodzi. Wstąpiwszy w nią lekko jak kot, Ged zaczął naprawiać wypaczone deski i przegniłe szpunty, używając zarówno narzędzi, jak i śpiewnych zaklęć, podobnie jak to nieraz czynił wraz z Pechvarrym w Low Torning. Mieszkańcy wioski zgromadzili się w milczeniu, nie za blisko, obserwując szybkie ręce Geda i słuchając jego cichego głosu. Również i tę robotę wykonał solidnie i cierpliwie, póki nie została ukończona i póki łódź nie była uszczelniona i zdatna do użytku. Potem wziął laskę, którą zrobił dlań Ogion, ustawił ją jako maszt, umocnił zaklęciami i w poprzek przytwierdził tęgą drewnianą reję. Utkał też z wiatru zwisający z tej rei żagiel, kwadratowy i biały jak śniegi na wznoszącym się ponad zatoką wierzchołku góry Gont. W tym momencie przyglądające się kobiety westchnęły z zazdrością. Stojąc przy maszcie, Ged wzbudził lekki magiczny wiatr. Łódź popłynęła po wodzie, kierując się przez wielką zatokę w stronę Zbrojnych Urwisk. Gdy przyglądający się w milczeniu rybacy ujrzeli tę dziurawą łódź wiosłową, jak sunie pod żaglem, szybka i zgrabna niczym mewa zrywająca się do lotu, podnieśli radosną wrzawę, uśmiechając się szeroko i tupiąc w zimnym wietrze na plaży; a Ged, oglądając się na chwilę, ujrzał, jak dodają mu otuchy tymi wiwatami pod ciemnym, szczerbatym masywem urwiska Cutnorth, ponad którym wznosiły się ku chmurom śnieżne połacie góry.

Przepłynął przez zatokę i wydostał się pomiędzy Zbrojnymi Urwiskami na Morze Gontyjskie; tutaj obrał kurs na północny zachód, aby minąć od północy wyspę Oranea, powracając szlakiem, którym niegdyś przybył. Nie miał w tym żadnego zamysłu czy planu działania; chciał tylko powtórzyć uprzedni szlak. Cień, który sunął całymi dniami poprzez wicher w ślad za jego sokolim lotem z Osskil, mógł błądzić, ale mógł też dążyć prostą drogą; tego nie dało się odgadnąć. Lecz jeśli nie wycofał się znowu całkowicie w królestwo snu, nie powinien przeoczyć Geda zbliżającego się wprost, po otwartym morzu, na jego spotkanie.

Ged pragnął spotkać cień na morzu, jeśli już musiał go spotkać. Nie był pewien, dlaczego tak jest, ale przerażała go myśl o ponownym spotkaniu z cieniem na suchym lądzie. Z morza

podnoszą się burze i potwory, ale nie złe moce; zło pochodzi z ziemi. W tej zaś mrocznej krainie, do której Ged niegdyś się udał, nie ma morza, nie toczy tam swoich wód żadna rzeka ani nie tryska źródło. Królestwo śmierci jest suche. Choć właśnie morze było dla Geda niebezpieczne przy często o tej porze roku burzliwej pogodzie, jednak to niebezpieczeństwo, ta zmienność i niestałość wydawały mu się ochroną i dogodną szansą. Myślał tak: Gdy napotkam cień u ostatecznego kresu swej szalonej wyprawy, może przynajmniej będę mógł pochwycić stwora w tym samym momencie, w którym on mnie pochwyci, i wciągnąć go ciężarem swego ciała i ciężarem swej śmierci w mrok głębin morskich, skąd, trzymany w ten sposób, cień nie będzie mógł już się podnieść. Wtedy moja śmierć położyłaby kres złu, które za życia rozpętałem.

Żeglował przez wzburzone, przewalające się morze, ponad którym nawisłe chmury pędziły jak olbrzymie żałobne welony. Nie wzbudzał teraz magicznego wiatru, lecz posługiwał się wiatrem naturalnym, który dął, przenikliwy, z północnego zachodu; a ponieważ Ged szeptanym co chwila słowem nie pozwalał się rozwijać materii utkanego zaklęciem żagla, żagiel sam się ustawiał i obracał, aby złapać wiatr. Gdyby Ged nie użył tej sztuki magicznej, nie mógłby utrzymać wywrotnej łódki w takim kursie, na tak wzburzonym morzu. Płynął i wciąż rozglądał się bacznie na wszystkie strony. Żona rybaka dała mu dwa bochenki chleba i dzban wody, po kilku więc godzinach, gdy w zasięgu wzroku znalazła się Skała Kameber, jedyna wysepka pomiędzy Gontem a Oraneą, posilił się i napił, myśląc z wdzięcznością o milczącej Gontyjce, która zaopatrzyła go w żywność. Żeglował dalej, mijając majaczący w przelocie ląd; od tej chwili wziął kurs bardziej na zachód, płynąc w nikłej, wilgotnej mżawce, która ponad lądem zmieniała się zapewne w lekki śnieg. Nie było słychać zupełnie nic prócz poskrzypywania łodzi i lekkiego plaskania fal o jej dziób. Ani razu nie przemknęła obok żadna inna łódź albo ptak. Nic się nie poruszyło oprócz wiecznie ruchliwej wody i sunących chmur, chmur, które pamiętał mgliście, jak opływały go zewsząd, gdy pod postacią sokoła leciał na wschód tym samym szlakiem, którym teraz płynął na zachód; wtedy spoglądał w dół na szare morze, teraz podnosił wzrok w szare niebo.

Nic nie pojawiło się przed nim, gdy spoglądał przed siebie. Powstał, zziębnięty; znużyło go to wpatrywanie się i przebijanie wzrokiem szkaradnej pustki.

– Chodźże – mruknął – dalej, cieniu, na co czekasz? – Nie było odpowiedzi, nie było żadnego ciemniejszego poruszenia pośród ciemnych mgieł i fal. A jednak wiedział teraz z coraz większą pewnością, że stwór jest niedaleko, że podąża ślepo jego zimnym śladem. I znienacka wykrzyknął głośno: – Jestem tutaj, ja, Ged Krogulec, i wzywam mój cień!

Łódź zaskrzypiała, zacmokały fale, wiatr zaświstał w białym żaglu. Mijały chwile. Ged wciąż czekał, z jedną ręką na cisowym maszcie łodzi, ze wzrokiem utkwionym w lodowatą mżawkę, która poszarpanymi kreskami zacinała morze od północy. Mijały chwile. Wreszcie, w oddali, w deszczu ponad wodą Ged ujrzał zbliżający się cień.

Cień porzucił już ciało osskilskiego wioślarza Skiorha i nie jako gebbeth ścigał Geda przez wiatry i po morzu. Nie był też przyodziany w ową postać zwierza, w której Ged widział go na pagórku Roke, a później widywał w snach. A jednak i teraz miał jakiś kształt, nawet w świetle dziennym. W gonitwie za Gedem i w walce z nim na wrzosowiskach wyssał z niego moc i wchłonął ją w siebie; i możliwe było, że Ged przez przywołanie cienia, na głos i w świetle dnia, nadał mu albo wymusił na nim jakąś formę. Z pewnością cień zdradzał teraz niejakie podobieństwo do człowieka, choć nie rzucał cienia, sam będąc cieniem. Tak właśnie nadszedł po morzu, idąc od Paszczy Enladu w stronę wyspy Gont – niewyraźny, niezdarny stwór kroczący niepewnie po falach, wyłaniający się z wiatru; zimny deszcz siekł przezeń na wskroś.

Ponieważ cień był na wpół oślepiony światłem dziennym i ponieważ został przez Geda przywołany, Ged ujrzał go wcześniej, niż cień ujrzał jego. Ged rozpoznawał cień, podobnie jak on rozpoznawał Geda, spośród wszystkich istot, wszystkich cieni.

W straszliwym osamotnieniu zimowego morza Ged obserwował stwora, którego się lękał. Wiatr zdawał się podmuchami odsuwać go od łodzi, a fale biegły pod nim, łudząc oko Geda, a jednak cień zdawał się być coraz bliżej. Ged nie mógł określić, czy cień się

porusza, czy też nie. Teraz już cień go widział. Choć w myślach Geda nie było nic prócz przerażenia i lęku przed dotknięciem cienia, przed zimnym czarnym bólem, który wysysał życie – jednak młodzieniec czekał nieporuszony. Potem znienacka odzywając się na głos, przywołał silny, nagły wiatr magiczny, który zadął w biały żagiel, i łódź skoczyła przez szare fale prosto ku chylącemu się i unoszącemu na wietrze stworowi.

Zachwiawszy się, cień w całkowitej ciszy odwrócił się raptem i pierzchnął.

Mknął pod wiatr, ku północy. Pod wiatr mknęła za nim łódź Geda, umiejętność maga walczyła z chyżością cienia, a deszczowe porywy wiatru przeciwstawiały się im obu. Młodzieniec krzyknął na swoją łódź, na żagiel i wiatr, i fale – jak łowca krzykiem pogania ogary, gdy przed nimi pędzi wyraźnie widoczny wilk – i w swój utkany zaklęciami żagiel posłał wiatr, który rozdarłby każdy żagiel z płótna; pognało to jego łódź po morzu jak zdmuchniętą pianę, coraz bliżej ku uciekającemu stworowi.

W tym momencie cień się obrócił, zataczając półkole, i – nagle jak gdyby bardziej rozchwiany i niewyraźny, mniej podobny do człowieka, bardziej do zwykłego dymu niesionego przez wiatr – skręcił w przeciwnym kierunku i pomknął z porywistym wiatrem, kierując się ku wyspie Gont.

Ręką i zaklęciem Ged zawrócił łódź, która kołysząc się, wyskoczyła jak delfin z wody przy tym szybkim zwrocie. Rzucił się w pogoń szybciej niż poprzednio, ale cień stawał się w jego oczach coraz bardziej mglisty. Deszcz zmieszany ze śniegiem i gradem siekł dokuczliwie plecy i lewy policzek Geda, który już nie widział nic przed sobą dalej niż na sto kroków. Niebawem, gdy sztorm przybrał na sile, cień zniknął. Mimo to Ged był pewien tego szlaku, jak gdyby szedł za pozostawionym na śniegu tropem zwierzęcia, a nie za uciekającym ponad wodą widmem. Choć wiatr mu teraz sprzyjał, Ged nadal utrzymywał w żaglu świszczący wiatr magiczny i płaty piany leciały spod tępego dziobu łodzi, gdy w pędzie plaskała o powierzchnię wody.

Przez długi czas ścigany i ścigający gnali wciąż z tą samą niesamowitą chyżością. Wkrótce zapadł zmierzch. Ged wiedział,

że przy wielkiej szybkości, z jaką mknął w ciągu minionych godzin, powinien być teraz na południe od wyspy Gont i zapewne kieruje się obok niej w stronę Spevy lub Torheven, albo nawet mijając te wyspy, wypływa na otwarte Rubieże. Nie potrafił tego określić. Było mu wszystko jedno. Ścigał, gonił, a to, co go trwożyło, uciekało przed nim.

Naraz przez krótką chwilę dostrzegł cień w niewielkiej odległości od siebie. Naturalny wiatr osłabł, a zacinający w sztormie śnieg z deszczem ustąpił miejsca lodowatej, strzępiastej, gęstniejącej mgle. Poprzez tę mgłę w przelocie ujrzał cień pierzchający w prawo od kierunku pogoni. Ged przemówił do wiatru i żagla, obrócił rumpel i rzucił się w pościg, choć znowu był to pościg po omacku; mgła gęstniała szybko, kipiąc i rwąc się w strzępy przy zetknięciu z magicznym wiatrem, zwierając się wokół łodzi jednostajną bladością przyćmiewającą światło i przytępiającą wzrok. W momencie kiedy Ged wypowiedział pierwsze słowo zaklęcia rozjaśniającego, ujrzał cień znowu – był wciąż na prawo od kursu łodzi, ale bardzo blisko, i posuwał się powoli. Mgła wiała przez pozbawioną twarzy, niewyraźnie majaczącą głowę stwora, miał on jednak kształt ludzki, tyle że jego zarys deformował się i zmieniał na podobieństwo cienia rzucanego przez człowieka. Ged obrócił łódź raz jeszcze, myśląc, że zagnał swego wroga na mieliznę; w tej sekundzie cień zniknął, a na mieliźnie osiadła łódź, uderzając o podwodne skały, które ulotna mgła ukryła przed jego wzrokiem. Ged omal nie został wyrzucony za burtę, ale chwycił się zrobionego z laski masztu, zanim uderzyła następna fala przyboju. Była to wielka fala, która wyrzuciła z wody w górę małą łódź i cisnęła nią o skałę, tak jak człowiek podnosi i rozgniata o ziemię skorupkę ślimaka.

Mocna i zaczarowana była laska, którą wyrzeźbił Ogion. Nie złamała się i, lekka jak sucha kłoda, utrzymywała się na powierzchni fal. Ściskając ją wciąż, Ged został porwany wstecz przez cofające się od przybrzeżnych skał fale, aż znalazł się w głębokiej wodzie, ocalony aż do następnego przyboju przed pogruchotaniem się o skały. Oślepiony morską solą, dławiąc się, usiłował trzymać głowę nad powierzchnią i przemóc ogromną siłę morza. Trochę w bok od skał była piaszczysta plaża; dostrzegł ją parę razy, gdy starał się

płynąć przed wezbraniem następnego przyboju. Wspomagany przez moc zawartą w lasce, próbował ze wszystkich sił przebić się przez fale w stronę tej plaży. Nie mógł się do niej zbliżyć. Przypływające i cofające się bałwany miotały nim jak łachmanem tam i z powrotem, a ciepło jego ciała szybko odpłynęło w chłód morskiej głębiny, co osłabiało go tak, że wkrótce nie był już w stanie poruszać ramionami. Stracił z oczu zarówno skały, jak i plażę i nie miał pojęcia, w którą stronę się zwraca. Był tylko zamęt wód wokół niego, pod nim, nad nim, oślepiający, dławiący, zatapiający.

Fala wzbierająca pod postrzępioną mgłą porwała go, przeturlała parę razy i wyrzuciła na piasek jak bezwładny kawał drewna.

Wciąż jeszcze ściskał obiema dłońmi cisową laskę. Pomniejsze fale podsuwały się ku niemu, próbując na nowo ściągnąć go z piasku swym powrotnym prądem; mgła rozrywała się nad nim i zwierała, a później zaczął go siec deszcz zmieszany ze śniegiem.

Po upływie długiego czasu Ged się poruszył. Na czworakach zaczął powoli pełznąć w górę plaży, aby oddalić się od krawędzi wody. Była teraz ciemna noc, ale szepnął lasce zaklęcie i przylgnął do niej mały błędny ognik. Prowadzony jego światłem, Ged z mozołem, krok po kroku, wlókł się pod górę w kierunku wydm. Był tak potłuczony, rozbity i zmarznięty, że to czołganie się przez mokry piasek w ciemności pełnej świstu i łoskotu morza było najtrudniejszym zadaniem w życiu. Raz czy dwa zdawało mu się, że potężny szum morza i wiatru ścichł całkiem, że mokry piasek staje się sypki pod jego dłońmi, i poczuł nieruchome spojrzenie nieznanych gwiazd na swoich plecach; nie podniósł jednak głowy i pełzł dalej, a po chwili posłyszał własny urywany oddech i poczuł dokuczliwy wiatr siekący deszczem w jego twarz.

Ruch nieco go rozgrzał wreszcie. Kiedy już Ged wpełzł między wydmy, gdzie porywy deszczowego wiatru docierały z mniejszą siłą, zdołał stanąć na nogi. Zaklęciem wywołał z laski silniejsze światło, gdyż wokół panowała całkowita czerń, a potem, wsparty na lasce, szedł dalej, potykając się i przystając, jakieś pół mili w głąb lądu. Wtedy na wzniesieniu wydmy usłyszał morze, znów głośniejsze, nie za sobą, lecz przed sobą – wydmy znów opadały ku innemu

brzegowi. Nie na wyspie się znajdował, lecz na zwykłej rafie, na garstce piasku pośrodku oceanu.

Był zbyt wyczerpany, aby rozpaczać, ale wydał z siebie jakby szloch i oszołomiony, wsparty na lasce, stał w miejscu przez długi czas. Potem, zacisnąwszy zęby, obrócił się w lewo, tak aby mieć przynajmniej wiatr z tyłu, i powłócząc nogami, zaczął schodzić z wysokiej wydmy. Wypatrywał w oblodzonej, uginającej się trawie morskiej jakiegoś zagłębienia, gdzie mógłby znaleźć choć trochę osłony. Gdy podniósł laskę, aby widzieć, co ma przed sobą, dostrzegł nikły odblask u najdalszego skraju kręgu błękitnego światła. Była to ściana ze zmoczonego deszczem drewna.

Ujrzał chatę czy szopę, małą i chwiejącą się, jakby zbudowało ją dziecko. Zastukał laską do niskich drzwi. Nikt nie otworzył. Rozwarł drzwi pchnięciem i wszedł; aby wejść, musiał się niemal zgiąć wpół. We wnętrzu chaty nie mógł się wyprostować. Na palenisku czerwieniły się węgle i w ich przyćmionym blasku zobaczył mężczyznę o długich białych włosach, który kulił się w przerażeniu pod przeciwległą ścianą, oraz jeszcze kogoś – nie mógł odróżnić, czy to mężczyzna, czy kobieta – wyzierającego z leżącej na podłodze sterty gałganów czy skór.

– Nie zrobię wam nic złego – wyszeptał.

Nie odezwali się. Spoglądał to na jedno, to na drugie. Ich oczy były ślepe z przerażenia. Gdy Ged położył laskę na ziemi, tamten schował się pod kupą szmat ze skomleniem. Ged zdjął płaszcz, ciężki od wody i lodu, rozebrał się do naga i skulił nad paleniskiem.

– Dajcie mi coś, w co mógłbym się owinąć – powiedział.

Ledwie mógł mówić z powodu szczękania zębami i uporczywych dreszczy, które nim trzęsły. Jeśli go nawet słyszeli, żadne z dwojga starych nie odpowiedziało. Ged wyciągnął rękę i wziął jakiś łachman ze służącej za posłanie sterty; przed laty była to zapewne koźla skóra, a teraz – gałgan cały w strzępach i tłustych czarnych plamach. Ten pod stertą szmat jęknął ze strachu, ale Ged nie zważał na to. Wytarł się do sucha, a potem wyszeptał:

– Czy macie drewno? Dorzuć trochę do ognia, starcze. Przyszedłem do was w potrzebie, nie chcę wam zrobić nic złego.

Starzec nie poruszył się, wpatrzony weń w trwożnym osłupieniu.

– Rozumiesz mnie? Nie mówisz po hardycku? – Ged przerwał na chwilę, po czym spytał: – Kargad?

Białowłosy starzec znienacka skinął głową, raz tylko, jak smutna kukiełka poruszana sznurkami. Lecz ponieważ było to jedyne znane Gedowi słowo kargijskie, na tym skończyła się ich rozmowa. Ged znalazł pod ścianą ułożone w stos drwa, sam dorzucił do ognia, a potem gestami poprosił o wodę, gdyż przedtem mdliło go od połkniętej wody morskiej, a teraz usychał z pragnienia. Kuląc się ze strachu, starzec wskazał wielką skorupę zawierającą wodę i pchnął w stronę ognia drugą skorupę, w której były paski wędzonej ryby. Siedząc ze skrzyżowanymi nogami tuż przy ogniu, Ged napił się i zjadł trochę, a gdy siły i przytomność zaczęły weń pomału wracać, zadał sobie pytanie, gdzie się znajduje. Nawet z pomocą wiatru magicznego nie mógł dopłynąć aż do Wysp Kargadzkich. Ta wysepka musiała leżeć na Rubieżach, na wschód od Gontu, ale wciąż jeszcze na zachód od wyspy Karego-At. Wydawało się dziwne, że ludzie żyją na tak małym i opuszczonym skrawku lądu, na zwykłej ławicy piasku; może byli rozbitkami, ale Ged był zbyt znużony, aby w tej chwili łamać sobie nad nimi głowę.

W dalszym ciągu trzymał przy ognisku swój płaszcz. Srebrzyste futro z pellawi schło szybko i gdy tylko wełniany wierzch stał się ciepły, choć jeszcze nie suchy, Ged owinął się w płaszcz i wyciągnął przy palenisku.

– Idźcie spać, biedacy – rzekł do swych milczących gospodarzy, złożył głowę na piaskowym klepisku i zasnął.

Spędził na bezimiennej wyspie trzy doby, gdyż pierwszego ranka, kiedy się obudził, miał obolałe wszystkie mięśnie, gorączkował i był chory. Cały ten dzień i noc przeleżał w chacie przy ogniu jak kłoda wyrzucona przez morze. Następnego dnia obudził się wciąż jeszcze zesztywniały i obolały, ale czuł się już lepiej. Włożył ponownie swoje sztywne od soli odzienie, nie było bowiem dosyć wody, aby je wyprać, i wyszedłszy na dwór w szary, wietrzny poranek, obejrzał sobie miejsce, do którego cień podstępnie go zwabił.

Była to skalista ławica piaskowa, mająca milę w najszerszym miejscu i nieco ponad milę długa, obramowana ze wszystkich stron rafami i skałami. Brak na niej było drzew czy krzaków oraz wszelkich

roślin poza pochyloną trawą morską. Chata stała we wgłębieniu wydm, a starzec i starucha mieszkali w niej sami pośród zupełnego pustkowia otwartego morza. Była zbudowana, czy raczej sklecona z wyrzuconych przez fale grubych desek i konarów drzew. Woda pochodziła z małej słonawej studzienki obok chaty; pożywienie stanowiły ryby i mięczaki, świeże albo suszone, oraz wodorosty porastające skały. Postrzępione skóry w chacie, niewielki zapas kościanych igieł i haczyków na ryby oraz ścięgna służące do rozpalania ognia i jako linki do łowienia ryb nie pochodziły z kóz, jak zrazu pomyślał Ged, ale z cętkowanych fok; istotnie było to jedno z tych miejsc, do których udają się foki, aby w lecie dać podrosnąć swoim młodym. Nikt jednak do takich miejsc nie przybywa. Oboje starzy bali się Geda nie dlatego, że brali go za ducha ani że był czarnoksiężnikiem, ale tylko dlatego, że był człowiekiem. Zapomnieli już, że prócz nich istnieją na świecie inni ludzie.

Ponura obawa starca nie malała ani na chwilę. Gdy zdawało mu się, że Ged zbliża się na tyle blisko, aby mógł go dotknąć, odbiegał, kuśtykając i zerkając za siebie trwożnie. Starucha z początku skomliła i chowała się pod stertą szmat za każdym poruszeniem Geda, gdy jednak leżał w ciemnej chacie, drzemiąc w gorączce, widział ją, jak siedzi w kucki i wpatruje się weń z dziwnym, otępiałym, tęsknym wyrazem twarzy; po chwili przyniosła mu wody do picia. Kiedy usiadł, aby wziąć od niej skorupę, przeraziła się i upuściła ją, rozlewając całą wodę, a potem płakała i ocierała oczy swymi białoszarymi długimi włosami.

Teraz przyglądała się Gedowi, gdy pracował w dole na plaży – z wyrzuconego przez fale drewna i zniesionych na brzeg desek ze swojej łodzi formował nową łódź, posługując się niewygładzonym kamiennym toporem starca i zaklęciem związującym. Nie była to ani naprawa, ani budowanie łodzi, nie miał bowiem dostatecznej ilości odpowiedniego drewna i to, czego brakowało, musiał uzupełnić czystą magią. Jednakże stara kobieta przyglądała się nie tyle jego czarodziejskiej pracy, ile jemu samemu, wciąż z tym samym tęsknym wyrazem twarzy. Po jakimś czasie odeszła i niebawem powróciła z podarunkiem – garścią małżów, które zebrała na skałach. Gdy mu je wręczyła, Ged zjadł małże, wilgotne i słone od wody morskiej,

i podziękował starej. Jakby ośmielona, poszła do chaty i wróciła znowu, trzymając w dłoniach zawiniątko związane w gałganek. Bojaźliwie, wpatrując się stale w jego twarz, rozwinęła je i podniosła, aby mógł obejrzeć.

Była to sukienka małego dziecka uszyta z jedwabnego brokatu, sztywna od drobnych pereł, poplamiona solą morską, pożółkła od upływu lat. Perły na staniczku wyszyte były we wzór znany Gedowi: w kształt podwójnej strzały Boskich Braci z Imperium Kargadu, uwieńczonej królewską koroną.

Stara kobieta, pokryta zmarszczkami, brudna, odziana w licho uszyty worek z foczej skóry, wskazała jedwabną sukieneczkę i siebie i uśmiechnęła się – słodkim, bezmyślnym uśmiechem niemowlęcia. Z jakiegoś schowka wszytego w spódniczkę sukienki wyjęła drobny przedmiot i podsunęła go Gedowi. Był to kawałek ciemnego metalu, zapewne odłamek pękniętej ozdoby, połówka złamanego pierścienia. Ged spojrzał na ten przedmiot, ale starucha pokazała gestem, żeby go wziął, i nie była zadowolona, dopóki tego nie zrobił; wtedy skinęła głową i uśmiechnęła się znowu: zrobiła mu prezent. Ale sukienkę zawinęła troskliwie w przetłuszczoną ochronną szmatę i powlokła się z powrotem do chaty, aby ukryć w niej swoje cacko.

Ged włożył złamany pierścień do kieszeni tuniki niemal tak samo troskliwie, jego serce było bowiem pełne litości. Domyślał się teraz, że tych dwoje mogło być dziećmi któregoś z królewskich domów Imperium Kargadu; jakiś tyran lub uzurpator, który bał się przelać krew królewską, zesłał ich, aby jako rozbitkowie żyli lub umarli na tej nienaniesionej na mapy wysepce, daleko od brzegów Karego-At. Starzec mógł być wtedy chłopcem ośmio- albo dziesięcioletnim, ona – tłuściutkim niemowlęciem, maleńką księżniczką w sukience z jedwabiu i pereł; i tak żyli samotnie przez czterdzieści, pięćdziesiąt lat na skale pośród oceanu – książę i księżniczka pustkowia.

Lecz przypuszczenia tego Ged nie mógł na razie potwierdzić; sprawdził je dopiero wtedy, gdy wiele lat później poszukiwanie Pierścienia Erreth-Akbego zawiodło go na Wyspy Kargadzkie i do Grobowców Atuanu.

Trzecią noc, którą Ged spędził na wyspie, rozjaśnił spokojny, blady brzask. Był to dzień Powrotu Słońca, najkrótszy dzień roku. Mała

łódź, zbudowana z drewna i magii, z obrzynków desek i z zaklęć, była gotowa. Geda próbował powiedzieć starym, że zabierze ich na dowolną wyspę, Gont, Spevy czy Torykle; mógłby ich nawet wysadzić na jakimś odludnym brzegu Karego-At, gdyby tego żądali, choć wody kargijskie nie były na tyle bezpieczne, aby mógł się na nie zapuszczać mieszkaniec Archipelagu. Starzy nie chcieli jednak opuścić swojej jałowej wyspy. Kobieta zdawała się nie rozumieć, co Ged chce powiedzieć swymi gestami i łagodnymi słowami; starzec zrozumiał i odmówił. Cała jego pamięć o innych lądach i innych ludziach była wyniesionym z dzieciństwa koszmarem pełnym krwi, olbrzymów i wrzasku – Ged widział to w twarzy starca, który nie przestawał potrząsać przecząco głową.

Tak więc tego rana Ged napełnił wodą ze studzienki bukłak z foczej skóry i – jako że nie mógł podziękować starym za ogień i pożywienie ani też nie miał prezentu, którym chciał się odwdzięczyć kobiecie – uczynił, co mógł: rzucił urok na to słone i zawodne źródło. Woda trysnęła poprzez piasek tak słodka i czysta jak któreś z górskich źródeł na wyżynach wyspy Gont, i podobnie jak one pociekła nigdy niewysychającym strumieniem. Z tej to przyczyny ów spłacheć piasku i skał znajduje się obecnie na mapach i ma swoją nazwę – żeglarze nazywają go Wyspą Źródlanej Wody. Ale chaty już nie ma, a sztormy wielu zim nie pozostawiły ani śladu po tych dwojgu, którzy dokonali tu swego żywota i umarli samotnie.

Oboje pozostali ukryci w chacie, jakby bali się przyglądać, gdy Ged odpływał swą łodzią z piaszczystego południowego krańca wyspy. Pozwolił, aby naturalny wiatr, wiejący równomiernie z północy, napełnił jego żagiel z wyczarowanego zaklęciem płótna, po czym pomknął naprzód po morzu.

Obecna morska pogoń Geda była czymś osobliwym, gdyż wiedział dobrze, że jest ścigającym, który nie wie, co ściga ani gdzie tego szukać na obszarze całego Ziemiomorza. Musiał ścigać za pomocą domysłu, przeczucia, trafu, tak samo jak cień jego niegdyś ścigał. Byli nawzajem ślepi na swoje istnienia – Geda tak samo wywodziły w pole nieuchwytne cienie, jak cień bywał zbijany z tropu przez światło dzienne i przedmioty materialne. Jedną tylko miał Ged pewność: że był teraz rzeczywiście ścigającym, a nie ściganym.

Podstępnie zwabiony przez cień na skały, był przecież zdany na jego łaskę i niełaskę przez cały ten czas, gdy leżał półżywy na brzegu, a potem błądził w ciemności i burzy po wydmach; a jednak cień nie czekał na tę sposobność. Wywiódł go w pole i natychmiast uciekł, nie odważając się z nim zmierzyć. Po tym Ged poznał, że Ogion ma rację; cień nie mógł wyssać zeń jego mocy, dopóki Ged zwracał się przeciw niemu. Musiał więc nadal przeciw niemu się zwracać, nadal go ścigać, chociaż ślady cienia na tych rozległych morzach już ostygły i Ged nie miał się czym kierować prócz pomyślnego trafu – naturalnego wiatru wiejącego na południe oraz mglistego domysłu czy wrażenia, że południe albo wschód są właściwymi kierunkami pogoni.

Przed nastaniem nocy ujrzał w oddali po lewej ręce długi, ledwie widoczny zarys brzegu wielkiego lądu. Z pewnością była to wyspa Karego-At. Ged znalazł się w samym centrum szlaków morskich barbarzyńskiego białego ludu. Z bacznie natężoną uwagą wypatrywał jakiegoś kargijskiego statku czy galery; żeglując przez purpurę wieczoru, wspomniał tamten poranek ze swoich chłopięcych czasów w wiosce Dziesięć Olch – wojowników z pióropuszami, ogień, mgłę. I myśląc o tym dniu, pojął naraz z niepokojem w sercu, że cień wywiódł go w pole jego własnym fortelem, rozsnuwając wokół niego na morzu ową mgłę, jakby wysnutą z przeszłości Geda, czyniąc go ślepym na niebezpieczeństwo i prowadząc go, okpionego, prosto w śmierć.

Nadal trzymał kurs na południowy wschód; ląd zniknął z jego oczu, gdy noc spłynęła na wschodni skraj świata. Zagłębienia fal napełniały się już mrokiem, podczas gdy grzebienie błyszczały jeszcze jasnoczerwonym odblaskiem zachodu. Zaśpiewał głośno *Zimową kolędę* i te pieśni z *Czynów Młodego Króla*, które pamiętał – pieśni te bowiem śpiewa się w dniu święta Powrotu Słońca. Głos młodzieńca był czysty, ale ginął w ogromnej ciszy morza. Wkrótce nastała ciemność i zjawiły się zimowe gwiazdy.

Przez całą tę najdłuższą noc w roku Ged czuwał, patrząc na gwiazdy wschodzące po lewej ręce, przesuwające się koliście nad głową i tonące w dalekich czarnych wodach po prawej, gdy tymczasem przeciągły wiatr zimowy niósł go nieprzerwanie

na południe po niewidocznym morzu. Mógł spać tylko po parę chwil od czasu do czasu, budząc się gwałtownie za każdym razem. Łódź, w której płynął, nie była w rzeczywistości łodzią, lecz czymś złożonym co najmniej w połowie z czarów i magii, w pozostałej zaś części ze zwykłych desek i wyrzuconego przez morze drewna; gdyby pozwolił rozluźnić się zaklęciom kształtującym i zaklęciu związującemu to wszystko, łódź niezadługo straciłaby równowagę, rozsypała się i odpłynęła w różne strony, unosząc się na falach w postaci wiązki szczątków. Także żagiel, utkany z magii i powietrza, nie przetrwałby długo na wietrze, gdyby Ged zasnął, lecz sam stałby się podmuchem wiatru. Zaklęcia były skuteczne i silne, ale kiedy takie zaklęcia dotyczą niewielkiej rzeczy, moc, która utrzymuje je w działaniu, musi być co chwila odnawiana; toteż Ged nie spał tej nocy. Mknąłby łatwiej i szybciej jako sokół lub delfin, ale Ogion doradził mu, aby nie zmieniał postaci, a Ged wiedział, ile jest warta rada Ogiona. Tak więc płynął na południe pod sunącymi na zachód gwiazdami i długa noc mijała powoli, póki wreszcie pierwszy dzień nowego roku nie rozjaśnił morza naokoło.

Wkrótce po wschodzie słońca Ged ujrzał przed sobą ląd, lecz wiatr naturalny przycichł wraz ze świtem. Ged wzbudził lekki wiatr magiczny, który zadął w żagiel i popchnął łódź w kierunku lądu. Na ten widok znów ogarnęła go trwoga, omdlewający strach, który namawiał do zawrócenia i ucieczki. I Ged popłynął za tym lękiem, jak myśliwy idzie za śladami, za szerokimi, niezgrabnymi, pazurzystymi tropami niedźwiedzia, mogącego w każdej chwili wypaść na łowcę z gąszczy. Teraz bowiem był blisko – i wiedział to.

Dziwacznie wyglądał ten ląd, w miarę podpływania wynurzający się coraz bardziej ponad morze. To, co z dala wydawało się jedną pionową ścianą górską, rozszczepiło się na kilka długich, stromych grzbietów, być może oddzielnych wysp, pomiędzy którymi na wąskich cieśninach czy kanałach lśniło morze. W swoim czasie Ged ślęczał w Wieży Mistrza Imion na Roke nad wieloma mapami mórz i lądów, ale mapy te obejmowały przeważnie Archipelag i morza wewnętrzne. Teraz wypłynął na Wschodnie Rubieże i nie wiedział, co to może być za wyspa. Nie był zresztą w stanie wiele o tym myśleć. To strach leżał przed nim, to strach czyhał, ukrywając

się lub czekając na niego wśród stoków górskich i lasów wyspy; i wprost ku niemu Ged sterował.

Ciemne, zwieńczone lasem urwiska zamajaczyły mrocznie, wznosząc się wysoko nad łodzią, a pył wodny z fal rozbijających się o skaliste cyple spryskał jej żagiel; tymczasem magiczny wiatr niósł Geda pomiędzy dwoma wielkimi przylądkami do cieśniny, w głąb fiordu, który wcinał się przed nim głęboko w wyspę, nie szerszy niż długość dwu galer. Wtłoczone w cieśninę morze było niespokojne i burzyło się przy urwistych brzegach. Nie było na nich plaż – urwiska opadały pionowo w wodę ciemną od zimnego odbicia ich wyniosłości. Było bezwietrznie i bardzo cicho.

Cień zwabił już Geda podstępem na wrzosowiska osskilskie, a potem podstępnie skierował go we mgle na skały; czyżby teraz miał to być trzeci podstęp? Czy cień został tu przez Geda zagnany, czy też sam wciągnął go tu jak w pułapkę? Ged nie wiedział. Czuł tylko udrękę strachu i pewność, że musi płynąć naprzód i uczynić to, co sobie postawił jako cel: musi dopaść zło, ścigać swój strach aż do jego źródła. Sterował bardzo czujnie, rozglądając się bacznie wokoło oraz mierząc wzrokiem urwiska u góry i u dołu po obu stronach. Światło nowego dnia pozostawił za sobą na otwartym morzu. Tutaj wszystko tonęło w mroku. Otwierający się pomiędzy cyplami wylot cieśniny wydał się odległą jasną bramą, gdy Ged zerkał do tyłu. Coraz wyżej wznosiły się nad jego głową urwiska, gdy zbliżał się do podstawy góry, z której wyrastały, a dróżka wodna stawała się coraz węższa. Zapuścił wzrok w ciemniejącą przed nim rozpadlinę, a potem podniósł oczy na lewo i prawo, na wielkie, podziurawione grotami, usypane okrąglakami zbocza, na których rosły przycupnięte drzewa z korzeniami do połowy w powietrzu. Nic się nie poruszało. Dopłynął już do końca fiordu, do wysokiej, ostrej, pofałdowanej bryły skalnej, o którą pluskały słabo, zwężone do szerokości małej zatoczki, ostatnie fale morskie. Zwalone głazy, spróchniałe pnie i korzenie wykrzywionych drzew pozostawiały żeglarzowi jedynie ciasne przejścia. Pułapka, mroczna pułapka u podstawy milczącej góry i on, Ged, znalazł się w tej pułapce. Nic nie poruszało się przed nim ani ponad nim. Wokół panowała grobowa cisza. Dalej już nie mógł płynąć.

Zawrócił łódź, obracając ją starannie wkoło zaklęciem i naprędce skleconym wiosłem, aby nie natknęła się na podwodne skały lub nie zaplątała się w wystające korzenie i gałęzie; nareszcie zwróciła się znowu dziobem ku wyjściu i Ged miał już wzbudzić wiatr, aby wrócić drogą, którą przybył, gdy nagle słowa zaklęcia zamarły na jego ustach, a serce w nim zlodowaciało. Obejrzał się przez ramię. W łodzi za nim stał cień.

Gdyby Ged stracił choć chwilę, sam byłby stracony; był jednak przygotowany na to i zrobił gwałtowny ruch, aby uchwycić i przytrzymać stwora, który chwiał się i drżał w zasięgu ręki. Nie mogła już teraz posłużyć Gedowi żadna sztuka czarnoksięska, jedynie jego własne ciało, samo jego życie ścierające się ze swym przeciwieństwem. Nie wymówił ani słowa, lecz rzucił się do ataku; łódź zanurzyła się i zakołysała od jego nagłego obrotu i wypadu. Ból przebiegł ku barkom, wnikał w pierś, odbierając oddech, Geda wypełniło lodowate zimno i przestał widzieć, mimo to w jego rękach, które pochwyciły cień, nie było nic – ciemność, powietrze.

Potknął się i złapał za maszt przed sobą, aby nie upaść; przeszywające światło powróciło do jego oczu. Ujrzał, że cień, wzdrygając się, cofa się odeń i kurczy, i zaraz rozdyma potężnie, urastając ponad niego i ponad żagiel. Potem, jak czarny dym w porywach wiatru, cień szarpnął się i umknął bezkształtny po wodzie, w stronę jasnej bramy między urwiskami.

Ged osunął się na kolana. Mała, połatana zaklęciami łódź kołysała na niespokojnych falach. Skulił się w niej, zdrętwiały, bezmyślny, łapiąc z trudem oddech, póki nareszcie zimna woda tryskająca spod dłoni nie ostrzegła go, że musi zadbać o swą łódź, bo związujące ją zaklęcia coraz bardziej słabły. Powstał, trzymając się laski, która tworzyła maszt, i na nowo, najlepiej jak potrafił, utkał zaklęcie związujące. Był zziębnięty i znużony; ręce i ramiona bolały go okrutnie, nie było w nim ani krzty mocy. Miał ochotę pozostać w tym ciemnym zakątku, w którym morze spotykało się z górą, i spać, spać na nieznającej spoczynku, rozkołysanej wodzie.

Nie potrafił określić, czy to znużenie było urokiem rzuconym nań przez cień w momencie ucieczki, czy pochodziło z przenikliwego zimna, jakie odczuł przy jego dotknięciu, czy też brało się

ze zwykłego głodu, wyczerpania i potrzeby snu; przemógł się jednak i wzbudził lekki wiatr magiczny, który – dmąc w żagiel – poniósł łódź ciemnym szlakiem wodnym, szlakiem ucieczki cienia.

Wszelkie przerażenie znikło. Wszelka radość znikła. To już nie była pogoń. Nie był teraz ani ściganym, ani ścigającym. Po raz trzeci spotkali się i dotknęli – Ged z własnej woli zwrócił się ku cieniowi, usiłując przytrzymać go żywymi rękami. Nie przytrzymał, ale wykuł między sobą a nim więź, ogniwo bez słabego punktu. Teraz nie było już potrzeby doścignąć stwora ani go tropić; ucieczka też na nic się zdać nie mogła. Żaden z nich nie mógł uciec. Gdy dojdą już do czasu i miejsca swego ostatniego spotkania – spotkają się.

Ale aż do czasu owego spotkania i wszędzie poza miejscem, w którym ono nastąpi, Ged nie znajdzie odpoczynku ani spokoju, w dzień czy w nocy, na ziemi czy na morzu. Wiedział teraz – i trudna to była wiedza – że jego zadanie nie polegało nigdy na tym, aby przekreślić to, co uczynił, lecz na tym, aby skończyć, co zaczął.

Wypłynął spomiędzy ciemnych urwisk. Na morzu roztaczał się jasny poranek, a z północy dął sprzyjający wiatr.

Ged wypił wodę, jaka mu jeszcze pozostała w bukłaku z foczej skóry, i posterował naokoło najbardziej na wschód wysuniętego cypla, póki nie wpłynął w obszerną cieśninę, która dzieliła cypel od drugiej wyspy leżącej na zachód. Wtedy rozpoznał okolicę, przypominając sobie mapy morskie Wschodnich Rubieży. To były Dłonie, para samotnych wysp, które wysuwają swoje górzyste palce na północ w stronę Wysp Kargadzkich. Popłynął dalej pomiędzy dwiema wyspami i gdy popołudnie pociemniało od nadciągających z północy burzowych chmur, przybił do południowego brzegu zachodniej wyspy. Widział, że ponad plażą jest tam mała wioska, ze strumieniem spływającym kaskadą ku morzu; nie troszczył się wiele o przyjęcie, jakiego dozna, byle tylko mógł znaleźć we wsi wodę, ciepło ognia i sen.

Wieśniacy okazali się bojaźliwymi prostakami lękającymi się laski czarnoksiężnika; nieufni wobec obcej twarzy, byli jednak gościnni dla kogoś, kto zjawił się sam, a przypłynął morzem i tuż przed burzą. Nakarmili Geda obficie mięsem i napoili, dodali mu otuchy ogniem na kominku i ludzkimi głosami, które mówiły jego własnym

hardyckim narzeczem, wreszcie, co najlepsze, dali mu gorącej wody, aby obmył z siebie chłód i sól morza, i wskazali łóżko, w którym mógł się przespać.

9

Iffish

Ged spędził trzy dni w tej wiosce na Dłoni Zachodniej, nabierając sił i przygotowując do drogi łódź – łódź zbudowaną już nie z zaklęć i morskich odpadów, lecz z tęgiego drewna dobrze zbitego kołkami i uszczelnionego, z grubym masztem i własnym żaglem, tak że mógł łatwo żeglować i spać w niej w razie potrzeby. Jak większość łodzi z północy i z Rubieży, była zbita na nakładkę, z deskami zachodzącymi jedna na drugą i mocno dociśniętymi, co dawało jej wytrzymałość na wzburzonym morzu; każda część łodzi była solidna i starannie wykonana. Ged wzmocnił jej deski, wplatając pomiędzy nie zaklęcia, spodziewał się bowiem, że odbędzie na niej długą podróż. Łódź była zbudowana do przewozu dwu lub trzech osób i stary rybak, który był jej właścicielem, mówił, że wraz ze swymi braćmi pływał na niej przez wzburzone morza i w słotną pogodę, a łódź stawiała dzielnie wszystkiemu czoło.

Starzec, pełen lęku i podziwu dla czarnoksięstwa Geda, był gotów nawet podarować mu łódź. Ged zapłacił mu jednak za nią w sposób, w jaki to czynią czarnoksiężnicy: uzdrawiając rybakowi oczy z zaćmy, która stopniowo odbierała mu wzrok. Wtedy uradowany starzec powiedział mu:

– Nazwaliśmy tę łódź „Czajka”, ale ty nazwij ją „Bystre Oko” i namaluj oczy z obu stron dziobu, a moja wdzięczność będzie ci służyć, wyzierając z tego ślepego drewna i chroniąc cię przed

skałami i rafami. Albowiem zapomniałem już, ile jest na świecie światła, póki ty mi go nie zwróciłeś.

Nie tylko tymi pracami zajmował się Ged w czasie swego pobytu w owej wiosce pod porośniętymi lasem zboczami Dłoni, gdy już odzyskał swoją moc. Tutejsi ludzie byli tacy sami jak ci, których znał jako chłopiec w Dolinie Północnej wyspy Gont, choć jeszcze ubożsi. Z nimi czuł się swojsko, tak jak nigdy by się nie czuł na dworach bogaczy, i odgadywał ich potrzeby, nie musząc o nic pytać. Rzucał więc uroki uzdrawiające i ochronne na ułomne lub słabowite dzieci i zaklęcia wzrostu na należące do wieśniaków mierne stadka kóz i owiec; umieszczał runy Simn na wrzecionach i krosnach, na wiosłach łodzi oraz na narzędziach z brązu i kamienia, które mu przynoszono, tak aby mogły wykonywać dobrze swoją pracę; a na krokwiach chat wypisywał runy Pirr, które chronią dom i jego mieszkańców od ognia, wiatru i obłędu.

Gdy jego łódź „Bystre Oko" była gotowa i dobrze zaopatrzona w słodką wodę i suszoną rybę, pozostał w wiosce jeszcze jeden dzień, aby nauczyć miejscowego młodego pieśniarza *Czynów Morreda* i *Pieśni z Havnoru*. Do brzegów Dłoni bardzo rzadko przybijał jakiś statek z Archipelagu; pieśni ułożone przed stu laty były dla tych wieśniaków nowością, łaknęli więc słuchania opowieści o bohaterach. Gdyby Ged był wolny od swego brzemienia, pozostałby tu chętnie tydzień lub miesiąc, aby śpiewać im to, co znał, i aby wspaniałe pieśni poznano na nowej wyspie. Ale wolny nie był – i nazajutrz rano odpłynął w drogę, kierując się wprost na południe po rozległych wodach Rubieży, gdyż właśnie na południe oddalił się cień. Ged nie musiał rzucać zaklęcia odnajdującego, by to wiedzieć – wiedział to z taką pewnością, jakby wiązał go z cieniem cienki, rozwijający się sznur, niezależnie od tego, ile mil, mórz i lądów mogło leżeć między nimi. Toteż pełen pewności, bez pośpiechu i bez nadziei podążał szlakiem, którym musiał podążać, a zimowy wiatr niósł go na południe.

Całą dobę żeglował Ged po odludnym morzu, a na drugi dzień przybił do małej wysepki, która, jak mu powiedziano, nazywała się Vemish. Ludzie w małym porcie spoglądali na Geda krzywo; wkrótce nadszedł pospiesznie ich czarownik. Spojrzał surowo na Geda, potem

skłonił się i rzekł głosem jednocześnie napuszonym i przypochlebnym:

– Czarnoksiężniku, panie mój! Wybacz moją zuchwałość i uczyń nam zaszczyt, przyjmując od nas wszystko, cokolwiek przyda ci się w podróży – jadło, napitek, płótno żaglowe, liny... moja córka niesie właśnie do twej łodzi parę świeżo upieczonych kur – sądzę wszakże, że byłoby roztropnie, gdybyś ruszył stąd dalej w swoją drogę tak prędko, jak ci to będzie dogodne. Ludzie są przerażeni. Niedawno bowiem, przedwczoraj, widziano tu kogoś, kto szedł pieszo przez naszą skromną wysepkę z północy na południe, a nie widziano żadnej łodzi, która by przybyła z nim na pokładzie, ani też żadnej łodzi, która by z nim odpłynęła; nie dostrzeżono również, aby ten ktoś rzucał cień. Ci, którzy go widzieli, powiadają, że zdradzał pewne podobieństwo do ciebie, panie.

Na te słowa Ged skłonił głowę i poszedł z powrotem na przystań, skąd wypłynął, nie oglądając się za siebie. Nie było warto straszyć mieszkańców wyspy ani czynić sobie wroga z ich czarownika. Wolał raczej spać znowu na morzu i zastanowić się nad nowiną, którą mu przekazał czarownik, gdyż dała mu ona wiele do myślenia.

Skończył się dzień i minęła noc; zimny deszcz szemrał ponad morzem przez wszystkie godziny mroku i szarego świtania. Łagodny wiatr północny wciąż niósł „Bystre Oko” naprzód. Po południu deszcz ustał, a mgła się rozwiała i co jakiś czas błyskało słońce; wreszcie pod koniec dnia Ged ujrzał po prawej stronie w poprzek swego kursu niskie, błękitne wzgórza wielkiej wyspy opromienione błędnym, zimowym światłem słonecznym. Dym z kominów snuł się sino nad łupkowymi dachami małych miasteczek leżących pomiędzy wzgórzami – przyjemny widok z niezmiernej jednostajności morza.

Za flotyllą łodzi rybackich Ged wpłynął do portu; idąc pod górę ulicami miasteczka w złotym zimowym wieczorze, znalazł oberżę pod nazwą Harrekki, gdzie rozpalony ogień, piwo i pieczone baranie żeberka rozgrzały mu ciało i duszę. Przy stołach siedziało paru innych podróżnych, kupców ze Wschodnich Rubieży, jednak w większości miejsca okupowali mieszkańcy miasteczka, przybyli tu dla dobrego piwa, nowin i rozmowy. Nie byli to nieokrzesani, nieśmiali ludzie, jak rybacy z Dłoni, lecz prawdziwi mieszczanie,

stateczni i raźni. Z pewnością poznali, że Ged jest czarnoksiężnikiem, ale nie padło na ten temat ani słowo – poza tym, że oberżysta, człowiek rozmowny, napomknął, iż to miasto, Ismay, ma szczęście posiadać na spółkę z innymi miasteczkami wyspy nieoceniony skarb w postaci utalentowanego czarnoksiężnika kształconego w szkole w Roke, który otrzymał swą laskę od samego Arcymaga i który, choć akurat teraz nie ma go w mieście, mieszka w swym domu rodzinnym właśnie w Ismay, więc miasto to nie żywi potrzeby goszczenia nikogo innego, kto praktykuje wysokie kunszty.

– Jak to mówią: Dwie laski w jednym mieście muszą się wdać w bójkę, prawda, panie? – zapytał oberżysta, uśmiechnięty i pogodny.

W ten sposób Ged został powiadomiony, że jako najemny czarnoksiężnik, pragnący się utrzymać z czarów, nie jest tu pożądany. Tak więc odprawiono go już bez osłonek z Vemish i uprzejmie z Ismay – i dziwił się temu, co mu niegdyś mówiono o życzliwym przyjmowaniu na Wschodnich Rubieżach. Ta wyspa nazywała się Iffish; tutaj urodził się jego przyjaciel Vetch. Nie wydawała się tak gościnna, jak to Vetch twierdził.

A jednak naokoło siebie Ged widział w istocie dość życzliwe twarze. Rzecz w tym, że ludzie owi czuli instynktownie to, co – jak wiedział – było prawdą: iż jest od nich oddzielony, odcięty, niesie w sobie zgubny los i dąży za mrocznym stworem. Był jak zimny wiatr wionący przez oświetloną ogniem izbę, jak czarny ptak przygnany burzą z obcych lądów. Im wcześniej ruszy w dalszą drogę, zabierając ze sobą swoje złe przeznaczenie, tym lepiej dla tych ludzi.

– Poszukuję kogoś – powiedział oberżyście i dodał posępnym tonem: – Pozostanę tu tylko na noc lub dwie.

Oberżysta, rzuciwszy okiem na wielką cisową laskę w kącie, nie powiedział już ani słowa, ale napełnił kufel Geda brązowym piwem, aż piana przelała się przez brzeg.

Ged wiedział, że powinien spędzić w Ismay tylko tę jedną noc. Nie był mile widziany ani tu, ani nigdzie indziej. Musiał udać się tam, dokąd wiodła jego droga. Ale zbrzydło mu już zimne, puste morze i cisza, w której nie miał z kim zamienić słowa. Powiedział sobie, że spędzi jeden dzień w Ismay i nazajutrz odpłynie. Zasnął późno;

gdy się zbudził, padał lekki śnieg i Ged wałęsał się bezczynnie po zaułkach i bocznych drogach miasteczka, obserwując ludzi, którzy krzątali się przy swoich zajęciach. Przyglądał się otulonym w futrzane peleryny dzieciom lepiącym bałwany i zamki ze śniegu; słuchał plotek opowiadanych z otwartych drzwi poprzez szerokość ulicy, oglądał przy pracy kowala brązownika z małym pomocnikiem, rumianym i spoconym, poruszającym długie miechy u paleniska; przez okna, o zmierzchu krótkiego dnia prześwietlone od wewnątrz przyćmionym czerwonawym złotem, widział kobiety przy krosnach, odwracające się na chwilę, aby powiedzieć coś albo uśmiechnąć się do dziecka lub męża w cieple domowego wnętrza. Ged widział to wszystko z zewnątrz, odosobniony i sam; serce ciążyło mu bardzo, choć nie chciał przyznać się przed sobą samym, że mu smutno. Kiedy zapadła noc, wciąż jeszcze kontynuował swą wędrówkę ulicami, nie kwapiąc się z powrotem do oberży. Usłyszał mężczyznę i dziewczynę rozmawiających ze sobą wesoło, gdy mijając go, schodzili ulicą w stronę miejskiego placu, i nagle się odwrócił. Znał głos tego mężczyzny.

Pobiegł za nimi i dogonił parę; zbliżył się do nich z boku w późnym zmierzchu rozświetlonym tylko odległymi odblaskami latarni. Dziewczyna się cofnęła, ale mężczyzna wytrzeszczył nań oczy, po czym podrzucił gwałtownie laskę, którą niósł, trzymając ją pomiędzy sobą a Gedem jak zaporę mającą odwrócić groźbę albo działanie zła. To już było nieco więcej, niż Ged mógł znieść. Głos zadrżał mu lekko, gdy powiedział:

– Myślałem, że mnie poznasz, Vetch.

Nawet po tych słowach Vetch wahał się przez chwilę.

– Ależ poznaję cię – powiedział, opuścił laskę, uścisnął dłoń Geda i wziął go w objęcia. – Poznaję! Witaj, przyjacielu, witaj! W jakże przykry sposób cię powitałem, jak gdybyś był zbliżającym się z tyłu duchem, a tak czekałem na twoje przybycie, tak cię szukałem...

– Więc to ty jesteś czarnoksiężnikiem, którym się przechwalają w Ismay? Nie wiedziałem...

– Och, tak, jestem ich czarnoksiężnikiem; ale posłuchaj, pozwól mi powiedzieć, dlaczego cię nie poznałem, bracie. Może zbyt usilnie

cię szukałem. Trzy dni temu... czy byłeś trzy dni temu tu, na wyspie Iffish?

– Przypłynąłem wczoraj.

– Trzy dni temu na ulicy Quor w wiosce leżącej tam wyżej, w górach, ujrzałem ciebie. To znaczy, ujrzałem twój wizerunek czy też coś, co ciebie naśladowało, a może po prostu człowieka, który jest do ciebie podobny. Szedł przede mną, wychodząc z miasteczka, i zniknął za zakrętem drogi właśnie w chwili, gdy go ujrzałem. Zawołałem i nie otrzymałem odpowiedzi, poszedłem za nim i nikogo nie znalazłem; nie było żadnych śladów, ale ziemia była zmarznięta. Było to podejrzane, toteż teraz, widząc, że wyłaniasz się z ciemności w taki sposób, myślałem, że to znowu jakieś przywidzenie. Przepraszam cię, Ged. – Wymówił prawdziwe imię Geda cicho, tak aby nie usłyszała tego dziewczyna, która czekała w pewnym oddaleniu.

Ged także odezwał się półgłosem, aby użyć prawdziwego imienia przyjaciela:

– Nie szkodzi, Estarriolu. Ale to jestem ja i rad jestem, że cię widzę...

Vetch usłyszał zapewne coś więcej niż zwykłą radość w jego głosie. Wciąż jeszcze nie puszczając ramienia Geda, powiedział w Prawdziwej Mowie:

– W strapieniu i z głębi mroku przybywasz, Gedzie, a jednak twoje przybycie mnie raduje. – Potem mówił dalej po hardycku, ze swoim akcentem z Rubieży: – Dalej, chodź z nami, idziemy do domu, czas byłby wejść do jasnej izby z tych ciemności!... Oto moja siostra, najmłodsza z nas, ładniejsza – jak widzisz – ode mnie, ale o wiele mniej rozgarnięta. Ma na imię Yarrow. Yarrow, oto Krogulec, najlepszy z nas i mój przyjaciel.

– Witaj, panie czarnoksiężniku – pozdrowiła go dziewczyna, skromnie chyląc głowę i zakrywając oczy dłońmi, bo tak okazują szacunek kobiety na Wschodnich Rubieżach; jej oczy, gdy ich nie zakrywała, były jasne, nieśmiałe i zaciekawione. Mogła mieć lat czternaście; była ciemna jak jej brat, ale bardzo szczupła i wysmukła. W jej rękaw wczepiał się skrzydlaty i szponiasty smok, nie dłuższy od dłoni.

Ruszyli razem w dół mrocznej ulicy, a Ged zauważył, gdy szli:

– Na wyspie Gont twierdzi się, że tamtejsze kobiety są odważne, ale nie widziałem tam nigdy, aby panna nosiła smoka jako bransoletkę.

Słowa te sprawiły, że Yarrow zaśmiała się i odparła bez namysłu:

– To tylko harrekki, nie macie takich na wyspie Gont? – Po czym zawstydziła się na chwilę i zakryła oczy.

– Nie mamy, podobnie jak smoków. A to stworzenie nie jest smokiem?

– Owszem, małym, który żyje na gałęziach dębu, je osy, robaki i jaja wróbli. Nie wyrasta nigdy większy niż ten. Och, panie, brat opowiadał mi często o twoim dzikim otaku. Czy masz go jeszcze?

– Nie. Już nie.

Vetch obrócił się ku niemu, jakby chcąc zadać pytanie, ale powściągnął język do chwili, gdy znacznie później siedzieli sami przy kamiennym palenisku w jego domu.

Chociaż Vetch był najważniejszym czarnoksiężnikiem na całej wyspie Iffish, osiedlił się w Ismay, małym miasteczku, w którym się urodził, i mieszkał tu ze swym najmłodszym bratem i siostrą. Jego ojciec był w swoim czasie dość zamożnym kupcem morskim; dom był przestronny i wsparty na mocnych belkach, z mnóstwem domowego dobytku w postaci glinianych naczyń, cienkich tkanin oraz naczyń z brązu i mosiądzu na rzeźbionych półkach i skrzyniach. W jednym kącie głównej komnaty stała wielka harfa taonijska, w innym zaś – warsztat Yarrow do tkania gobelinów, z wysoką ramą krosien inkrustowaną kością. Tutaj Vetch, wbrew wszelkim swym prostym i spokojnym obyczajom, był zarazem potężnym czarnoksiężnikiem i panem w swym własnym domu. Było tu dwoje służby, leciwych jak sam dom, i pogodny chłopak, brat Vetcha, oraz Yarrow, zwinna i milcząca jak mała rybka.Dziewczyna podała dwom przyjaciołom wieczerzę i jadła z nimi, słuchając ich rozmowy, a potem wymknęła się do własnej izby. Wszystko tutaj było na swoim miejscu, spokojne i pewne; toteż Ged, rozglądając się po oświetlonej ogniem komnacie, powiedział z westchnieniem:

– Oto jak powinno się żyć.

– Cóż, to tylko jeden z dobrych sposobów – powiedział Vetch. – Są i inne. Teraz, bracie, opowiedz mi, jeśli możesz, co się z tobą działo od czasu, gdy ostatni raz rozmawialiśmy dwa lata temu. I opowiedz mi o swojej obecnej podróży, bo dobrze widzę, że tym razem nie zostaniesz z nami długo.

Ged opowiedział mu, a gdy skończył, Vetch siedział przez dłuższy czas zadumany. Potem oznajmił:

– Pojadę z tobą.

– Nie.

– A jednak pojadę.

– Nie, Estarriolu. To nie twoje zadanie i nie twoje nieszczęście. Rozpocząłem tę złą podróż sam i skończę ją sam, nie chcę, aby kto inny od tego ucierpiał – a już zwłaszcza ty, ty, który próbowałeś powstrzymać przed złym postępkiem moją rękę na samym początku...

– Duma zawsze była panią twojej duszy – rzekł jego przyjaciel, uśmiechając się, jak gdyby rozmawiali o sprawie niewiele ich obu dotyczącej. – Ale pomyśl: to ty prowadzisz poszukiwania, z pewnością; lecz jeśli poszukiwanie skończy się niepowodzeniem, czyż nie powinien być przy tobie ktoś, kto mógłby zanieść ostrzeżenie na Archipelag? Cień stałby się wtedy przecież straszną potęgą. A jeśli go pokonasz, czyż nie powinien być przy tobie ktoś, kto opowie o tym na Archipelagu, tak aby ów czyn mógł być znany i opiewany? Wiem, że mogę ci się na nic nie przydać; mimo to myślę, że powinienem pojechać z tobą.

Tak ubłagany, Ged nie potrafił odmówić przyjacielowi.

– Nie powinienem był pozostawać tu dzisiaj – rzekł. – Wiedziałem o tym, a jednak pozostałem.

– Czarnoksiężnicy nie spotykają się przypadkiem, bracie – stwierdził Vetch. – A poza tym, jak sam powiedziałeś, byłem przy tobie na początku twej podróży. Wypada, abym szedł za tobą aż do jej końca. – Dorzucił drew do ognia i siedzieli wpatrzeni w płomienie.

Po dłuższej chwili odezwał się Gred:

– Jest ktoś, o kim nie słyszałem od tamtej nocy na Pagórku Roke i nie odważyłem się o niego spytać nikogo w szkole. Mam na myśli

Jaspera.

– Nigdy nie zdobył laski. Opuścił Roke tego samego lata i popłynął na wyspę O, aby być czarodziejem na dworze władcy w O-Tokne. Nic poza tym o nim nie wiem.

Znowu milczeli, wpatrując się w ogień i rozkoszując – jako że noc była przejmująco zimna – ciepłem, które biło w ich twarze, gdy siedzieli na szerokim obmurowaniu paleniska, ze stopami niemal w węglach.

Wreszcie Ged powiedział cicho:

– Czegoś się lękam, Estarriolu. Będę się tego lękać bardziej, jeśli będziesz mi towarzyszył w podróży. Tam, na Dłoniach, w samym końcu ślepego fiordu rzuciłem się na cień, był w zasięgu moich rąk, i pochwyciłem go... próbowałem go pochwycić. I nie było nic, co dałoby się wziąć w ręce. Nie mogłem go pokonać. Uciekł, podążyłem za nim. Ale może to się zdarzyć jeszcze kilka razy. Nie mam nad tym stworem władzy. Może nie być ani śmierci, ani triumfu u kresu mojego poszukiwania; niczego, co można by opiewać; żadnego końca. Może być tak, że będę musiał zmarnować całe życie na gonitwie z morza na morze i z lądu na ląd w nieskończonej, bezowocnej próbie sił, w wiecznym poszukiwaniu cienia.

– Niech się to odwróci! – Vetch wykręcił lewą rękę gestem, który odwraca zły los. Wbrew całej posępności swych myśli Ged uśmiechnął się z lekka na ten widok, gdyż jest to raczej zaklęcie dziecka niż czarnoksiężnika; Vetch miał w sobie zawsze coś z naiwnego wieśniaka. Ale był zarazem także bystry, przenikliwy, zdolny do trafienia w sedno sprawy. Mówił teraz: – To ponura myśl i ufam, że fałszywa. Jest chyba raczej tak, że jeśli widziało się początek czegoś, można zobaczyć i koniec. Dowiesz się w jakiś sposób, jaka jest natura cienia, jego istota, czym on jest – i wtedy pochwycisz go, pojmiesz i pokonasz. Chociaż trudne to pytanie: czym on jest... Jest coś, co mnie trapi, nie pojmuję tego. Zdaje się, że cień przybiera teraz twoją postać albo przynajmniej upodobnił się jakoś do ciebie; takiego widziano go na wyspie Vemish i takiego ja go widziałem tu, na Iffish. Jak to możliwe i dlaczego? I czemu cień nigdy tak nie uczynił na Archipelagu?

– Jak to mówią: Na Rubieżach zmieniają się reguły.

– Tak, to trafne przysłowie, zapewniam cię. Są dobre zaklęcia, których uczyłem się na Roke, a które tu tracą moc albo działają całkiem na opak; i są też zaklęcia tutaj stosowane, których nigdy nie poznałem na Roke. Każda kraina ma własne moce i im dalej odpływa się od Wysp Wewnętrznych, tym mniej można odgadnąć, co to za moce i jak władają. Ale nie sądzę, aby tylko to sprawiało, że cień tak się zmienił.

– Ja też nie sądzę. Myślę, że gdy przestałem przed nim uciekać i zwróciłem się przeciw niemu, ten atak mojej woli narzucił mu postać i kształt, choć zarazem ten sam czyn przeszkodził mu w odebraniu mi mojej siły. Wszystkie moje postępki mają w nim swoje echo; jest moim tworem.

– Na wyspie Osskil cień nazwał cię po imieniu i dzięki temu powstrzymał wszelkie czary, których mogłeś przeciw niemu użyć. Dlaczego nie postąpił tak samo na Dłoniach?

– Nie wiem. Być może tylko z mojej słabości cień czerpie siłę, która pozwala mu mówić. Mówi niemal moimi własnymi ustami, bo skąd znał moje imię? Skąd znał moje imię? Łamałem sobie nad tym głowę na wszystkich morzach, odkąd opuściłem Gont, i nie potrafię znaleźć odpowiedzi. Może cień, gdy trwa w swoim kształcie czy bezkształcie, nie umie wcale mówić, mówi tylko pożyczonymi ustami, jako gebbeth. Nie wiem.

– Musisz się zatem strzec, aby nie spotkać go po raz drugi pod postacią gebbetha.

– Myślę – odparł Ged, wyciągając ręce ku żarzącym się węglom, jakby poczuł wewnętrzny ziąb – myślę, że w takiej postaci go nie spotkam. Jest teraz ze mną związany, tak jak ja z nim. Nie może się ode mnie tak dalece uwolnić, aby zawładnąć jakimś innym człowiekiem, aby wyssać zeń wolę i istnienie, jak to czynił ze Skiorhem. Może wziąć w posiadanie mnie. Jeśli tylko osłabnę znowu i spróbuję uciec przed nim, zerwać więź, cień mną zawładnie. A jednak kiedy trzymałem go ze wszystkich sił, stał się czczym oparem i uciekł... I tak zrobi znowu, a mimo to nie może naprawdę uciec, gdyż ja go zawsze odnajdę. Jestem związany z tym ohydnym, okrutnym stworem i będę związany póty, póki nie poznam słowa, które go ujarzmia; jego imienia.

Vetch, pogrążony w myślach, zapytał:

– Czy w królestwie mroku istnieją imiona?

– Arcymag Gensher mówił, że nie. Mój mistrz Ogion mówił co innego.

– „Nieskończone są spory magów" – zacytował Vetch z uśmiechem nieco zasępionym.

– Ta, która służyła Starej Mocy na wyspie Osskil, przysięgała, że kamień zdradzi mi imię cienia, ale na to zbytnio nie liczę. Natomiast był jeszcze smok, który, chcąc się mnie pozbyć, proponował, abym wziął je sobie w zamian za jego imię; w sprawach, o które spierają się magowie, może właśnie smoki są mądre.

– Mądre, lecz nieżyczliwe. Ale jaki znowu smok? Nie mówiłeś mi, że przez te lata spotkałeś się ze smokami.

Wiedli rozmowę długo w noc i choć wciąż powracali do nękającego ich pytania o to, co oczekiwało Geda, przyjemność z przebywania razem przytłumiła wszystko inne; ich wzajemna miłość była bowiem silna i niezachwiana, nienaruszona przez los ani upływ czasu. Rankiem Ged obudził się pod dachem przyjaciela i, jeszcze senny, poczuł się tak dobrze, jakby znajdował się w jakimś miejscu całkowicie chronionym przed złem i niebezpieczeństwem. Później, w ciągu dnia, odrobina tego sennego spokoju wciąż w nim pozostawała i przyjął ją, nie jako dobry znak, ale jako dar. Wydawało mu się prawdopodobne, że opuszczając ten dom, porzuci ostatnią przystań, jaką dane mu było poznać – i dlatego chciał rozkoszować się tym krótkim snem, dopóki trwał.

Mając do załatwienia różne sprawy przed odpłynięciem z Iffish, Vetch wybrał się do innych wiosek wraz z chłopakiem, swym uczniem. Ged pozostał z Yarrow i jej bratem Murrem, który nie wydawał się nikim więcej jak zwykłym chłopcem, nie miał bowiem w sobie daru – czy też dopustu – magicznej mocy; nie wypłynął dotąd ani razu poza wyspy Iffish, Tok i Holp, a jego życie było łatwe i niezmącone. Ged obserwował go z podziwem i niejaką zazdrością, on zaś dokładnie tak samo spoglądał na Geda; każdemu z nich wydawało się bardzo dziwne, że ten drugi, tak odmienny, jednak jest w jego wieku, ma dziewiętnaście lat; Ged nie mógł pojąć, jak ktoś,

kto przeżył dziewiętnaście lat, może być tak beztroski. Podziwiając urodziwą, pogodną twarz Murrego, czuł, że sam jest wychudły i przykry dla oka – i nie domyślał się wcale, że Murre zazdrości mu nawet blizn, które pobruździły jego twarz, że uważa je za ślad smoczych pazurów, za prawdziwe runy i oznakę bohatera.

Dwaj młodzieńcy wskutek tego odnosili się do siebie z pewnym onieśmieleniem, lecz co do Yarrow, pozbyła się ona wkrótce swego lęku przed Gedem – była przecież w swoim domu i była panią tego domu. Ged odnosił się do niej z wielką delikatnością, a Yarrow zadawała mu liczne pytania, bo Vetch, jak mówiła, nigdy jej niczego nie opowiadał. Przez całe te dwa dni była zajęta wypiekaniem suchych podpłomyków z pszennej mąki, które mieli zabrać w podróż, pakowaniem suszonej ryby, mięsa i innego prowiantu, póki Ged nie poprosił, żeby przestała; nie zamierzał przecież płynąć prosto na Selidor bez postoju.

– Gdzie leży Selidor?

– Bardzo daleko stąd, na Zachodnich Rubieżach, gdzie smoki są pospolite jak myszy.

– Najlepiej więc zostań na wschodzie, nasze smoki są małe jak myszy. Proszę, oto mięso; czy jesteś pewien, że wystarczy? Wiesz co, nie rozumiem... ty i mój brat jesteście obaj potężnymi czarnoksiężnikami, machacie ręką i mruczycie pod nosem, i wyczarowujecie coś z niczego. Więc dlaczego bywacie głodni? Kiedy zbliża się pora wieczerzy na morzu, czemu nie powiecie: „Pasztet!" – a wtedy zjawi się pasztet i zjecie go?

– No cóż, moglibyśmy tak zrobić. Ale, jak to się mówi, nie mamy wielkiej ochoty żywić się słowami. „Pasztet" jest ostatecznie tylko słowem. Możemy je uczynić pachnącym i smakowitym, nawet sycącym, ale pozostaje słowem. Oszukuje żołądek i głodnemu nie dodaje sił.

– Zresztą czarnoksiężnicy to nie kucharze – odezwał się Murre, który siedział naprzeciw Geda po drugiej stronie kuchennego paleniska, rzeźbiąc z gładkiego drewna wieczko szkatułki; był snycerzem, choć niezbyt zapalonym.

– Ani też kucharze nie są czarnoksiężnikami, niestety. – Yarrow uklękła, aby zobaczyć, czy ostatnia partia podpłomyków piekąca się

na cegłach paleniska już brązowieje. – Ale ja wciąż nie rozumiem, Krogulcze. Widziałam, jak mój brat czy jego uczeń zapalali światło w ciemności, wymawiając tylko jedno słowo, i światło świeci, jest jasne, nie jest słowem, ale światłem, które można widzieć na swojej drodze!

– Owszem – potwierdził Ged. – Światło to moc. Wielka moc, dzięki której istniejemy, ale która istnieje poza naszymi potrzebami, sama dla siebie. Światło słońca i gwiazd to czas, a czas to światło. W świetle słońca, w ciągu dni i lat, trwa życie. W ciemności życie może przywołać światło, nazywając je po imieniu. Ale na ogół, kiedy widzisz czarnoksiężnika nazywającego albo wzywającego jakiś przedmiot, który ma się zjawić, to nie jest to samo; czarnoksiężnik nie przywołuje mocy większej niż on sam i to, co się zjawia, jest tylko złudzeniem. Przywołać rzecz, której w danym miejscu wcale nie ma, zawołać na nią, wymawiając jej prawdziwe imię, to wielka sztuka, której nie można nadużywać. W każdym razie nie dla zaspokojenia pospolitego głodu. Yarrow, twój mały smok ukradł podpłomyk.

Dziewczyna, wpatrzona w Geda, tak się zasłuchała, że nie zauważyła, jak harrekki zsunął się ze swego ciepłego miejsca na drążku do zawieszania kociołka nad paleniskiem i porwał podpłomyk większy niż on sam. Wzięła na kolana małe, pokryte łuskami stworzenie i karmiła je okruchami i drobinami ciasta, rozważając to, co Ged jej powiedział.

– Tak więc nie przywołałbyś prawdziwego pasztetu, żeby nie zniszczyć tego, o czym zawsze mówi mój brat... zapomniałam, jak to się nazywa...

– Równowagi – odpowiedział Ged rzeczowo, Yarrow bowiem była bardzo poważna.

– Tak. Ale kiedy rozbiłeś się o skały, odpłynąłeś stamtąd w łodzi utworzonej głównie z zaklęć, a łódź nie przepuszczała wody. Czy to było złudzenie?

– No cóż, po części było to złudzenie; czuję się nieswojo, kiedy przez wielkie dziury w łodzi widzę morze, załatałem ją więc, żeby to jakoś wyglądało. Ale wytrzymałość łodzi nie brała się ze złudzenia ani z przywołania, lecz wytworzona była sztuką innego rodzaju,

zaklęciem związującym. Drewno zostało powiązane w całość, w jedną niepodzielną rzecz – w łódź. Czymże jest łódź, jeśli nie rzeczą, która nie przepuszcza wody?

– Nieraz już wylewałem wodę z takich, które przepuszczają – odezwał się Murre.

– Moja też przeciekała, jeśli nie pilnowałem ustawicznie zaklęcia. – Ged wychylił się z kąta, w którym siedział, i wziął z cegieł podpłomyk, podrzucając go w rękach. – Ja też ukradłem podpłomyk.

– I poparzyłeś sobie palce. A gdy będziesz głodował na wodnym pustkowiu pomiędzy dalekimi wyspami, pomyślisz o tym podpłomyku i powiesz sobie: „Ach! Gdybym go wtedy nie ukradł, mógłbym teraz go zjeść, niestety!”... Ja zjem podpłomyk mojego brata, żeby mógł głodować razem z tobą.

– W ten sposób Wielka Równowaga została zachowana – zauważył Ged, podczas gdy Yarrow zaczęła chrupać gorący, tylko co upieczony podpłomyk; słowa te sprawiły, że poczęła chichotać i krztusić się. Lecz po chwili, znów poważniejąc, powiedziała:

– Chciałabym móc naprawdę zrozumieć to, co mi opowiadasz. Jestem za głupia.

– Siostrzyczko – odparł Ged – to ja nie mam wprawy w wyjaśnianiu. Gdybyśmy mieli więcej czasu...

– Będziemy mieli więcej czasu. Gdy mój brat wróci do domu, wrócisz razem z nim przynajmniej na jakiś czas, dobrze?

– Jeśli będę mógł – odpowiedział łagodnie.

Na chwilę zapadło milczenie; po czym Yarrow, patrząc, jak harrekki wspina się z powrotem na swoje miejsce na drążku, spytała:

– Powiedz mi tylko tyle, jeśli to nie tajemnica: jakie są jeszcze wielkie moce oprócz światła?

– To nie tajemnica. Wszelka moc jest chyba tym samym u źródła i u kresu. Lata i odległości, gwiazdy i świece, woda, wiatr i czary, zręczność rąk ludzkich i mądrość korzeni drzewa: wszystko to powstaje razem. Moje imię i twoje, i prawdziwe imię słońca, źródła albo nienarodzonego dziecka – wszystkie są sylabami wielkiego słowa, które wypowiadane jest bardzo powoli blaskiem gwiazd. Nie ma innej mocy. Innego imienia.

Wstrzymując swój nóż na rzeźbionym drewnie, Murre spytał:

– A śmierć?

Dziewczyna słuchała, pochylając lśniącą czarną głowę.

– Aby słowo mogło być wymówione – odpowiedział powoli Ged – potrzebne jest milczenie. Przedtem i potem. – Nagle podniósł się. – Nie mam prawa mówić o tym wszystkim. Słowo, które ja miałem powiedzieć, powiedziałem źle. Lepiej, abym milczał; nie odezwę się już. Być może nie ma prawdziwej mocy prócz ciemności. – I wyszedł z ciepłej kuchni, narzucając na siebie płaszcz i oddalając się samotnie w chłodny zimowy deszcz.

– Ciąży na nim klątwa – powiedział Murre, patrząc w ślad za Gedem z domieszką trwogi.

– Myślę, że ta jego podróż doprowadzi go do śmierci – odezwała się dziewczyna – a on lęka się tego, ale wyruszy. – Podniosła głowę, jakby przez czerwone płomienie paleniska wpatrywała się w szlak łodzi, która przybyła samotnie przez zimowe morza i wypływała dalej w pusty ocean. Potem jej oczy napełniły się na moment łzami, ale nic nie powiedziała.

Vetch powrócił nazajutrz i pożegnał się z dostojnikami z Ismay, którzy nader niechętnie pozwolili mu wypłynąć na morze w pełni zimy, w pogoni na śmierć i życie, która nawet nie była jego sprawą; lecz chociaż mogli robić mu wymówki, nie byli w stanie w żaden sposób go zatrzymać. Coraz bardziej znużony gderaniem starców, oświadczył:

– Jestem wasz z pochodzenia, z przyzwyczajenia i przez obowiązki, jakich się względem was podjąłem. Jestem waszym czarnoksiężnikiem. Ale pora, abyście sobie przypomnieli, że choć jestem sługą, to nie waszym. Gdy będę już mógł powrócić, powrócę; do tego czasu żegnajcie.

O brzasku, gdy szare światło trysnęło z morza na wschodzie, dwaj młodzieńcy wypłynęli „Bystrym Okiem” z portu Ismay, stawiając na północny wiatr brunatny żagiel z mocnego płótna. Na przystani stała Yarrow i patrzyła za nimi – tak stoją na wszystkich brzegach całego Ziemiomorza żony i siostry żeglarzy, patrząc w ślad za mężczyznami wypływającymi w morze, i nie machają ani nie nawołują głośno, lecz w szarych lub brązowych płaszczach

z kapturami stoją nieruchomo na brzegu, który widziany z łodzi coraz bardziej maleje, gdy tymczasem połać wody pośrodku rozszerza się coraz bardziej.

10

Morze Otwarte

Port zniknął już z zasięgu wzroku i wymalowane na łodzi oczy, omywane falami, spoglądały naprzód na coraz szersze i coraz bardziej odludne morze. Przez dwie doby towarzysze podróży przeprawili się z Iffish na wyspę Soders, przebywając sto mil burzliwych wód i przeciwnych wiatrów. Zatrzymali się w porcie na krótko jedynie: na tyle, aby uzupełnić zapas wody w bukłakach i kupić nasmołowane płótno żaglowe, które by ochroniło choć część ekwipunku w pozbawionej pokładu łodzi przed wodą morską i deszczem. Nie przewidzieli tego wcześniej, zazwyczaj bowiem czarnoksiężnik zapewnia sobie takie małe udogodnienia za pomocą czarów – tych najmniejszych i najzwyklejszych, gdyż doprawdy nie trzeba szczególnej magii, aby zmienić wodę morską w słodką i w ten sposób oszczędzić sobie trudu wożenia jej zapasu. Ale Ged sprawiał wrażenie, że zupełnie nie ma ochoty posłużyć się swoim kunsztem albo pozwolić Vetchowi, aby posłużył się swoim. Powiedział tylko: „Lepiej nie", a jego przyjaciel nie pytał o nic ani się nie spierał. Gdy bowiem wiatr po raz pierwszy wydął żagiel, ogarnęło ich przykre przeczucie złego, zimne jak ów zimowy wiatr. Port, przystań, spokój, bezpieczeństwo zostały za nimi. Odwrócili się od tego. Podążali teraz szlakiem, na którym wszystkie przypadki były niebezpieczne i żaden czyn nie był pozbawiony znaczenia. W trakcie tej podróży wypowiedzenie najmniejszego zaklęcia mogło zmienić bieg losu

i naruszyć równowagę mocy i przeznaczenia; płynęli bowiem teraz w samo centrum tej równowagi, w miejsce, gdzie stykają się światło i ciemność. Ci, którzy są w takiej podróży, nie mówią ani słowa nierozważnie.

Wypływając znów z portu i żeglując wokół brzegów wyspy Soders, której białe połacie śniegu nikły we mgle na wzgórzach, Ged skierował łódź ponownie na południe. Wpłynęli teraz na wody, gdzie nie pojawiają się nigdy wielkie statki handlowe z Archipelagu, na najdalsze peryferie Rubieży.

Vetch nie zadał jednego pytania na temat kursu, wiedząc, że Ged nie wybierał go, lecz popłynął tak, jak musiał płynąć. Gdy wyspa Soders zmalała i zbladła za ich plecami, gdy fale syczały i plaskały pod dziobem, a wielka szara równina wodna otoczyła ich ze wszystkich stron aż po skraj horyzontu, Ged zapytał:

– Jakie lądy leżą na tym kursie?

– Na południe od Soders nie powinno być w ogóle żadnych lądów. Na południowy wschód płynie się bardzo długo i znajduje niewiele: Pelimer, Kornay, Gosk i Astowell, nazwany także Ostatnim Lądem. Za nimi – Morze Otwarte.

– A na południowy zachód?

– Rolomeny, jedna z wysp naszych Wschodnich Rubieży, i kilka małych wysepek wokół niej; potem nic, póki się nie wypłynie na Południowe Rubieże. Tam są wyspy Rood i Toom, a także Wyspa Ucha, na którą ludzie nie płyną.

– My możemy – powiedział Ged kwaśno.

– Wolałbym nie. To podobno nieprzyjemne miejsce, pełne kości i złych znaków. Żeglarze powiadają, że z wód koło Wyspy Ucha i Far Sorr widoczne są gwiazdy, których nie można ujrzeć nigdzie indziej i którym nigdy nie nadano imion.

– Owszem, na statku, który przywiózł mnie po raz pierwszy na Roke, pewien żeglarz o tym mówił. Opowiadał też historie o mieszkańcach tratw daleko na Południowych Rubieżach, którzy nie częściej niż raz do roku przybijają do lądu, aby naciąć wielkich kłód na swoje tratwy, a przez resztę roku, całymi dniami i miesiącami, niewidoczni z lądu, dają się nieść prądom oceanu. Chciałbym zobaczyć te osiedla na tratwach.

– Ja nie. – Vetch szczerzył zęby w uśmiechu. – Ja wolę ląd i mieszkańców lądu; morze niech śpi w swoich brzegach, a ja w moim łóżku...

– Gdybym tak mógł ujrzeć wszystkie miasta Archipelagu – powiedział Ged, który trzymał się liny żaglowej i spoglądał bacznie na rozciągające się przed nimi szare pustkowia. – Havnor w samym środku świata, Ea, gdzie narodziły się mity, i Shelieth, Miasto Wodotrysków na wyspie Way; wszystkie miasta i wszystkie wielkie lądy. A także małe lądy, dziwne wyspy Zewnętrznych Rubieży. Pożeglować wprost na archipelag Smocze Stado, daleko na zachodzie. Albo popłynąć na północ, w kry lodowe, aż do samego Lądu Hogen. Niektórzy mówią, że to ląd większy niż cały Archipelag, a inni, że to tylko połączone lodem rafy i skały; nikt tego nie wie. Chciałbym zobaczyć wieloryby w północnych morzach... Ale nie mogę. Muszę płynąć tam, dokąd wiedzie mnie mój szlak, i odwrócić się plecami do jasnych brzegów. Zbyt mi się spieszyło, a teraz nie mam już czasu. Przehandlowałem całe światło słoneczne, wszystkie miasta i odległe lądy za garść mocy, za cień, za ciemność. – I tak Ged, podobnie jak by to uczynił prawdziwy mag, przetworzył swoją trwogę i żal w pieśń, w krótki, na wpół śpiewany lament, nie tylko dla niego samego przeznaczony; a jego przyjaciel w odpowiedzi powtórzył słowa bohatera *Czynów Erreth-Akbego*:

– O, gdybym mógł raz jeszcze ujrzeć jasne domowe ognisko świata, białe wieże Havnoru...

Tak żeglowali dalej wąską drogą pośród szerokich wodnych pustkowi. Wszystko, co tego dnia widzieli, to była ławica srebrnych rybek pannies płynąca na południe; ani razu nie wyskoczył z wody delfin, ani też szarego powietrza nie przeciął lot mewy, ptaka murre albo rybołówki. Gdy na wschodzie ściemniało się, a zachód poczerwieniał, Vetch wyciągnął jadło, podzielił je między Geda i siebie, i rzekł:

– Mamy i piwo w naszych zapasach. Piję zdrowie tej, która nie zapomniała załadować do łodzi baryłki dla spragnionych i zziębniętych mężczyzn. Zdrowie mojej siostry Yarrow!

Sprawiło to, że Ged porzucił niewesołe myśli, przestał wpatrywać się przed siebie w morze i wzniósł zdrowie Yarrow chyba z jeszcze

większym przekonaniem niż Vetch. Wspomnienie dziewczyny pozwoliło odczuć na nowo jej mądrą i dziecinną słodycz. Nie przypominała nikogo ze znanych mu osób. (Czy znał w ogóle dotąd jakąś młodą dziewczynę? Ale o tym wcale nie pomyślał).

– Ona jest jak mała rybka, jak płotka, która pływa w czystym strumieniu – powiedział – bezbronna, ale nie można jej złapać.

Słysząc to, Vetch spojrzał mu prosto w oczy z uśmiechem.

– Urodzony mag z ciebie – rzekł. – Jej prawdziwe imię brzmi Kest.

W Dawnej Mowie *kest*, jak Ged dobrze wiedział, oznacza płotkę i mile pogłaskało to jego serce. Po chwili powiedział jednak ściszonym głosem:

– Nie powinieneś był chyba zdradzać mi jej imienia.

Ale Vetch, który nie uczynił tego lekkomyślnie, odparł:

– Jej imię jest u ciebie bezpieczne, tak jak i moje. Zresztą znałeś je już, zanim ci je zdradziłem...

Czerwień na zachodzie pogrążyła się w popiołach, a szarość popiołu w czerni. Całe morze i niebo były zupełnie ciemne. Ged wyciągnął się do snu na dnie łodzi, zawinięty w swój płaszcz z wełny i futra. Vetch, trzymając się liny żaglowej, śpiewał cicho urywek z *Czynów Enladzkich*, ten, który opowiada, jak mag Morred Biały opuścił Havnor w swoim długim statku bez wioseł i jak przybywszy na wyspę Solea, ujrzał w wiosennych sadach Elfarran. Ged usnął, zanim pieśń doszła do smutnego końca ich miłości, do śmierci Morreda, zburzenia Enladu, do pochłonięcia sadów wyspy Solea przez olbrzymie i zajadłe fale morskie. Przed północą obudził się i czuwał znowu, podczas gdy Vetch spał. Mała łódź sunęła spiesznie po lekko wzburzonym morzu, pierzchając przed silnym wiatrem, który dął na oślep przez nocny mrok, napotykając opór w jej żaglu. Ale rozerwały się już chmury zasłaniające niebo i zanim nastał świt, cienki księżyc rzucał słabe światło na morze, jaśniejąc pomiędzy brunatnymi na brzegach obłokami.

– Księżyca ubywa, niedługo będzie nów – zamruczał Vetch, obudzony o brzasku, gdy na chwilę ustał zimny wiatr.

Ged podniósł oczy na biały sierp ponad blednącymi na wschodzie wodami, ale nic nie powiedział. Pierwszy nów księżyca, który następuje po święcie Powrotu Słońca, nosi nazwę Odłogów i jest

przeciwnym biegunem letnich świąt księżyca i Długiego Tańca. Jest to czas niefortunny dla podróżników i dla chorych; podczas Odłogów nie nadaje się dzieciom ich prawdziwego imienia, nie śpiewa się o wielkich czynach, nie ostrzy mieczy ani narzędzi, nie składa przysiąg. Jest to ciemny biegun roku – wszystko, co się w tym czasie robi, jest zrobione źle.

W trzy dni po odpłynięciu z Soders przybyli, kierując się za ptactwem morskim i przybrzeżnymi wodorostami, do Pelimeru, małej wyspy wznoszącej się wysokim garbem ponad powierzchnią burzliwego, szarego morza. Mieszkańcy wyspy mówili po hardycku, lecz na swoją własną modłę, dziwną nawet dla uszu Vetcha. Młodzieńcy zeszli na brzeg, aby nabrać słodkiej wody i odpocząć od morza. Z początku przyjęto ich dobrze, z podziwem i ożywieniem. W głównym mieście wyspy przebywał czarownik, ale był obłąkany. Chciał rozmawiać wyłącznie o wielkim wężu, który podgryza podwaliny Pelimeru, tak że wkrótce wyspa będzie musiała popłynąć z prądem jak łódź, której przecięto cumę, i ześliznąć się poza krawędź świata. Z początku przywitał uprzejmie młodych czarnoksiężników, ale mówiąc o wężu, zaczął patrzeć z ukosa na Geda; a potem począł im złorzeczyć na ulicy, wołając, że są szpiegami i sługami Morskiego Węża. Mieszkańcy Pelimeru spoglądali na nich od tej chwili ponuro, jako że tamten, choć obłąkany, był jednak ich czarownikiem. Toteż Ged i Vetch nie zatrzymali się długo na wyspie, lecz przed zmrokiem znów wyruszyli w drogę, płynąc wciąż na południowy wschód.

W ciągu tych dni i nocy żeglugi Ged ani razu nie wspomniał o cieniu ani też nie mówił wprost o swoich poszukiwaniach; Vetch zaś tylko raz – gdy tak płynęli tym samym kursem, coraz dalej przed siebie i coraz dalej od znajomych lądów Ziemiomorza – zadał coś w rodzaju pytania: „Jesteś pewien?”. Ged odpowiedział na to tylko: „Czy żelazo jest pewne, gdzie leży magnes?”. Vetch skinął głową i płynęli dalej; żaden z nich nie rzekł nic więcej. Od czasu do czasu rozmawiali jednak o sztukach i fortelach, którymi posługiwali się dawni magowie, aby odkrywać tajemne imiona zgubnych mocy i istot: o tym, jak Nereger z wyspy Paln poznał imię Czarnego Maga, podsłuchawszy rozmowę smoków, i jak Morred ujrzał imię swego

wroga wypisane spadającymi kroplami deszczu w kurzu pola bitwy na Równinach Enladzkich. Mówili o zaklęciach znajdujących, o inwokacjach i o owych Pytaniach Mających Swą Odpowiedź, które potrafi zadawać jedynie Mistrz Wzorów z Roke. Lecz często Ged kończył rozmowę, mrucząc słowa, które dawno temu, jesienią, powiedział mu Ogion na zboczach góry Gont: „Aby słyszeć, należy milczeć". Po czym zapadał w milczenie i dumał całymi godzinami, wciąż wpatrując się w morze przed dziobem łodzi. Czasami zdawało się Vetchowi, że jego przyjaciel poprzez fale, poprzez odległości, poprzez szare dni mające dopiero nadejść widzi ciemny kres ich podróży.

Przepłynęli w złej pogodzie pomiędzy wyspami Kornay i Gosk, nie widząc żadnej z nich we mgle i deszczu i o tym, że je minęli, dowiadując się dopiero nazajutrz, kiedy przed sobą ujrzeli sterczące spiczaste urwiska wyspy, ponad którymi ogromnymi chmarami kołowały mewy; ich piskliwą wrzawę można było usłyszeć już z daleka na morzu.

– To mi wygląda na Astowell, Ostatni Ląd – powiedział Vetch. – Na wschód i na południe od niego mapy są puste.

– Jednakże ci, co tu mieszkają, mogą coś wiedzieć o dalszych lądach – sprzeciwił się Ged.

– Dlaczego mówisz w ten sposób? – spytał Vetch, gdyż Ged był niespokojny; a jego odpowiedź na pytanie też była wahająca i dziwna:

– Nie tam – rzekł, wpatrując się w widniejącą przed nim wyspę i poza nią, i poprzez nią. – Nie tam. Nie na morzu. Nie na morzu, lecz na suchym lądzie... na jakim lądzie? Przed źródłami Morza Otwartego, poza początkami, za bramami dziennego światła...

Potem zamilkł, a kiedy znów się odezwał, mówił zwyczajnym głosem, jakby uwolnił się od uroku czy przywidzenia i niezbyt jasno je pamiętał.

Port Astowell, ujście rzeczki pomiędzy skalistymi wzniesieniami, leżał na północnym wybrzeżu wyspy, a wszystkie chaty osiedla zwracały się ku północy i zachodowi; było to, jak gdyby wyspa obracała swą twarz, choć z tak daleka, wciąż w stronę Ziemiomorza, w stronę ludzkości.

Podniecenie i przerażenie towarzyszyło zjawieniu się przybyszów o tej porze roku, kiedy żadna łódź nie odważyła się wpłynąć na morze wokół Astowell. Wszystkie kobiety pozostały w lepiankach i gdy nieznajomi zbliżyli się od strony plaży, wyglądały zza drzwi, chowając dzieci za spódnicami i wycofując się trwożliwie w ciemność chałup. Mężczyźni, chuderlawi osobnicy w podszytych wiatrem łachmanach, zebrali się uroczystym kręgiem wokół Vetcha i Geda, a każdy dzierżył kamienny topór albo nóż z muszli. Gdy jednak minął ich lęk, powitali przybyszów bardzo życzliwie, a ich pytaniom nie było końca. Rzadko zawijał do nich jakiś statek, nawet z Soders czy Rolomeny, jako że nie mieli nic do wymiany za brąz albo wytworne wyroby; nie mieli nawet drewna. Jako łodzie służyły im czółna uplecione z trzciny i dzielnym żeglarzem był ten, kto w takim statku zapuszczał się choćby do wysp Gosk lub Kornay. Tutaj, na skraju wszelkich map, mieszkali całkiem sami. Nie mieli czarownicy ani czarownika i najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy, czym są laski młodych czarnoksiężników; podziwiali wyłącznie drogocenny materiał, z jakiego były wykonane – drewno. Ich przywódca czy też naczelnik wyspy był bardzo stary i on jeden z całego ludu widział już w swoim życiu człowieka pochodzącego z Archipelagu. Ged był więc dla mieszkańców wyspy kimś niezwykłym; mężczyźni przyprowadzili swoich małych synków, aby przyjrzeli się człowiekowi z Archipelagu i mogli go pamiętać, gdy już będą starzy. Mieszkańcy Astowell nigdy nie słyszeli o wyspie Gont, jedynie o Havnorze i Ea, toteż wzięli Geda za władcę Havnoru. Starał się, jak mógł najlepiej, odpowiadać na ich pytania o białe miasto, którego nigdy nie widział. W miarę jak wieczór upływał, Ged stawał się jednak niespokojny; wreszcie, kiedy siedzieli stłoczeni wokół paleniska w szałasie, w dymiącym cieple płonącego koziego łajna i wiązek jałowca, które były całym ich opałem, zwrócił się do mężczyzn z wioski:

– Co leży na wschód od waszego lądu?

Milczeli, jedni uśmiechnięci, inni ponurzy.

Stary naczelnik wyspy odpowiedział:

– Morze.

– A za nim nie ma lądu?

– Tu jest Ostatni Ląd. Za nim nie ma nic prócz wody aż do końca świata.

– To są mądrzy ludzie, ojcze – rzekł jakiś młodszy mężczyzna – żeglarze, podróżnicy. Może wiedzą coś o lądzie, o którym my nic nie wiemy.

– Nie ma żadnego lądu na wschód od tej wyspy – rzekł starzec, spojrzał przeciągle na Geda i nie odezwał się już do niego.

Dwaj towarzysze podróży spali tej nocy w zadymionym cieple szałasu. Przed świtem Ged zbudził przyjaciela, szepcząc:

– Estarriol, obudź się. Nie możemy tu zostać, musimy odejść.

– Czemu tak wcześnie? – spytał zaspany Vetch.

– Nie wcześnie – późno. Ścigałem go zbyt powoli. Znalazł sposób, aby mi umknąć, i przez to skazać mnie na zgubę. Nie mogę mu dać uciec; muszę go ścigać, choćby zawędrował nie wiem jak daleko. Jeśli go zgubię, sam jestem zgubiony.

– Dokąd się za nim udamy?

– Na wschód. Chodź. Napełniłem już wodą bukłaki.

Tak więc opuścili szałas, zanim zbudził się ktokolwiek w wiosce, jeśli nie liczyć niemowlęcia, które zapłakało w ciemności jednej z chat i ucichło znowu. Przy nikłym świetle gwiazd znaleźli drogę prowadzącą w dół do ujścia rzeczki, odcumowali łódź od kopca kamieni, do którego była mocno uwiązana, i wypchnęli ją na czarną wodę. I tak pierwszego dnia Odłogów, przed wschodem słońca, wypłynęli z Astowell w kierunku wschodnim, na Morze Otwarte.

Mieli ładną pogodę. Wiatr naturalny wiał z północnego wschodu, zimny i porywisty, Ged wzbudził jednak wiatr magiczny – był to pierwszy akt magii, który wykonał od chwili odpłynięcia z Dłoni. Sunęli bardzo szybko wprost na wschód. Łódź wzdrygała się, uderzana w pędzie przez wielkie, dymiące, oświetlone słońcem fale, ale płynęła dzielnie, jak obiecał jej budowniczy, poddając się magicznemu wiatrowi tak dokładnie, jak któryś z zaczarowanych statków z wyspy Roke.

Ged tego ranka w ogóle się nie odzywał, ponawiał tylko czasem moc zaklęcia wywołującego wiatr albo podtrzymywał zaczarowaną siłę tkwiącą w żaglu; Vetch dokończył więc snu na rufie łodzi, choć spał niespokojnie. W południe zjedli posiłek. Ged wydzielił

pożywienie oszczędnie i była w tym wyraźna zapowiedź czegoś złego, ale obaj żuli swoją małą porcję podpłomyka i solonej ryby i żaden nie powiedział ani słowa.

Całe popołudnie trzymali stale kurs na wschód, nie zmieniając kierunku ani nie zmniejszając szybkości. Raz jeden Ged przerwał milczenie pytaniem:

– Czy podzielasz zdanie tych, co sądzą, że świat za Zewnętrznymi Rubieżami to tylko morze bez lądów, czy też tych, którzy wyobrażają sobie, że po drugiej stronie świata są inne archipelagi albo olbrzymie nieodkryte ziemie?

– Jak dotąd – odparł Vetch – podzielam zdanie tych, którzy uważają, że świat ma tylko jedną stronę i że ten, kto płynie za daleko, wypadnie poza jego krawędź.

Ged uśmiechnął się krzywo, nie było w nim już ani śladu wesołości.

– Kto wie, co może tam spotkać człowieka? Nie my, którzy trzymamy się stale lądów i wybrzeży.

– Niektórzy usiłowali się dowiedzieć i nie wrócili. Nie przybył też do nas nigdy żaden statek z lądów, których nie znamy.

Ged nie odpowiedział.

Cały ten dzień i całą noc płynęli pędzeni potężnym magicznym wiatrem po wielkich bałwanach oceanu na wschód. Ged czuwał na straży od zmierzchu aż do świtu; w ciemności wzmacniała się jeszcze bardziej ta siła, która go ciągnęła czy też pchała. Wpatrywał się wciąż przed siebie, choć w bezksiężycowej nocy nie mógł dostrzec nic więcej niż malowane oczy po obu stronach ślepego dziobu łodzi. O brzasku jego ciemna twarz poszarzała ze znużenia; był tak zdrętwiały z zimna, że ledwie mógł wyciągnąć się do odpoczynku.

– Podtrzymuj wiatr magiczny z zachodu – wyszeptał i zasnął.

Słońce nie wzeszło i wkrótce deszcz idący z północnego wschodu zaczął siec o dziób łodzi. Nie był to sztorm, tylko przeciągłe, zimne wiatry i deszcz zimy. Niebawem wszystko w otwartej łodzi było przemoczone mimo kupionego niedawno przykrycia z żaglowego płótna; Vetch czuł się, jakby sam też był przemoknięty do szpiku kości; śpiący Ged miał dreszcze. Litując się nad przyjacielem,

a zapewne i nad sobą, Vetch spróbował zmienić nieco kierunek tego gwałtownego i nieustannego wiatru, który przyniósł im deszcz. Lecz choć zgodnie z wolą Geda mógł utrzymywać silny i stały wiatr magiczny, jednak jego zaklinanie pogody tutaj, tak daleko od lądu, miało niewielką moc i wiatr Morza Otwartego go nie słuchał.

A przy tym ogarnęła Vetcha niejaka obawa, gdy zaczął się zastanawiać, jak wiele mocy czarodziejskiej pozostanie jemu i Gedowi, jeśli będą tak płynąć i płynąć, oddalając się od lądów, na których sądzono żyć ludziom.

Ged czuwał znowu tej nocy i przez cały czas trzymał łódź na wschodnim kursie. Gdy nastał dzień, wiatr naturalny osłabł nieco i od czasu do czasu świeciło kapryśne słońce; wielkie bałwany wznosiły się jednak tak wysoko, że „Bystre Oko" musiało odchylać się i wspinać na nie jak na wzgórza, zawisać na wierzchołku i pogrążać się nagle, a potem znów wspinać na następną falę i znów na następną, bez końca.

Wieczorem tego dnia Vetch przerwał długie milczenie.

– Przyjacielu, mówiłeś jakiś czas temu, jakoby było pewne, że wreszcie przybijemy do jakiegoś lądu. Nie chcę podawać twojego przeczucia w wątpliwość, ale mogła to być pułapka, podstęp uczyniony przez tego, kogo ścigasz, aby zwabić cię w głąb oceanu dalej, niż może dopłynąć człowiek. Nasza moc bowiem może odmienić się i osłabnąć na obcych morzach. Cień zaś się nie nuży, nie cierpi głodu, nie może utonąć.

Siedzieli obok siebie na poprzecznej ławce w łodzi, a mimo to Ged spojrzał teraz na niego jakby z dali, poprzez szeroką przepaść. Oczy miał udręczone i zwlekał z odpowiedzią.

Nareszcie powiedział:

– Estarriol, zbliżamy się.

Słysząc jego słowa, przyjaciel poznał, że są prawdziwe. Poczuł lęk. Położył jednak dłoń na ramieniu Geda i rzekł tylko:

– A więc cóż, dobrze; to dobrze.

Tej nocy Ged znowu czuwał, nie mógł zasnąć w ciemności. Nie spał też, gdy nastał trzeci dzień. Mknęli wciąż po morzu z tą bezustanną, lekką, straszliwą chyżością i Vetch zdumiewał się mocą Geda, która była w stanie całymi godzinami utrzymywać tak

silny wiatr magiczny; utrzymywać go tutaj, na Morzu Otwartym, gdzie Vetch czuł, że jego własna moc całkiem zagubiła się i osłabła. Płynęli, wciąż płynęli, aż zdawało się Vetchowi, że to, co mówił Ged, stanie się prawdą, że płyną istotnie poza źródła morza i za bramy światła dziennego na wschodzie. Ged tkwił na przodzie łodzi, patrząc jak zawsze przed siebie. Teraz jednak nie wpatrywał się w ocean, w każdym razie nie w ocean, który widział Vetch, w bezmiar falującej wody sięgający aż do obrzeża nieba. W oczach Geda była ciemna wizja, która zasłaniała szare morze i szare niebo. Ciemność ta stawała się coraz większa, zasłona gęstniała. Nic z tego nie było widoczne dla Vetcha, chyba że patrzył w twarz przyjaciela; wtedy i on widział przez chwilę ciemność. Płynęli, wciąż płynęli. I choć ten sam wiatr pchał ich obu w tej samej łodzi, było tak, jak gdyby Vetch płynął na wschód przez zwykłe morze, Ged zaś tymczasem dążył samotnie w strefę, gdzie nie ma wschodu ani zachodu, nie ma wschodzącego i zachodzącego słońca i gwiazd.

Nagle Ged na dziobie powstał i przemówił głośno. Magiczny wiatr ustał. „Bystre Oko" przestało sunąc naprzód; wznosiło się i opadało na ogromnych falach jak drewniany wiór. Choć wiatr naturalny wiał wciąż tak samo mocno, dmąc teraz prosto z północy, brunatny żagiel zwisł luźno, bez najlżejszego poruszenia. Łódź stanęła na falach, kołysana ich wielkim, powolnym kołysaniem, ale nie płynąc w żadnym kierunku.

– Zwiń żagiel – rozkazał Ged i Vetch uczynił to pospiesznie, podczas gdy jego przyjaciel odwiązał wiosła, umieścił je w dulkach i z pochylonymi plecami zabrał się do wiosłowania.

Widząc tylko fale, wznoszące się i opadające aż do linii widnokręgu, Vetch nie mógł pojąć, dlaczego posługują się teraz wiosłami; poczekał jednak i niebawem uświadomił sobie, że wiatr naturalny słabnie, a bałwany maleją. Wspinający się i pogrążający ruch łodzi coraz bardziej malał, aż wreszcie zdawało się, że łódź, pchana mocnymi uderzeniami wioseł Geda, płynie naprzód po wodzie nieomal nieruchomej, jak w otoczonej lądem zatoce. I choć Vetch nie mógł widzieć tego, co widział Ged, kiedy pomiędzy uderzeniami wioseł oglądał się co jakiś czas przez ramię na coś, co leżało na szlaku łodzi – choć Vetch nie mógł widzieć ciemnych

zboczy pod nieruchomymi gwiazdami, jednak zaczynał dostrzegać swym okiem czarnoksiężnika ciemność, która wzbierała we wklęsłościach fal naokoło łodzi, i widział, jak bałwany zniżają się i tracą rozpęd, dławione przez piasek.

Jeśli wyczarowało to złudzenie, siła jego działania była niewiarygodna: sprawić, aby Morze Otwarte wydawało się lądem! Usiłując zdobyć się na rozsądek i odwagę, Vetch wypowiedział zaklęcie ujawniające, pomiędzy jednym a drugim wolno sylabizowanym słowem oczekując jakiejś zmiany albo drgnięcia tego złudzenia, które tak przedziwnie wysuszyło i spłyciło otchłań oceanu. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Być może zaklęcie, choć powinno oddziaływać tylko na widzenie Vetcha, a nie na magię działającą wokół nich, nie miało tu żadnej mocy. Albo może wcale nie było złudzenia i dotarli rzeczywiście do krańca świata.

Ged, niewzruszony, wiosłował coraz wolniej, oglądając się przez ramię, wynajdując drogę wśród kanałów czy też raf i mielizn, które jedynie on mógł dostrzec. Łódź wzdrygnęła się, szurając stępką o dno. Pod tą stępką leżały niezmierzone głębie oceanu – a jednak osiedli na stałym lądzie. Ged podciągnął wiosła, które zastukotały w dulkach; hałas ten był straszliwy, nie słyszało się bowiem żadnego innego dźwięku. Wszystkie odgłosy wody, wiatru, drewna, żagla znikły, zginęły w olbrzymiej, przepaścistej ciszy, która mogła pozostać na zawsze niezakłócona. Łódź spoczywała bez ruchu. Nie dobiegało najmniejsze tchnienie wiatru. Morze przeobraziło się w piasek, ciemny i nietknięty. Nic nawet nie drgnęło w ciemnym niebie ani na suchym nierzeczywistym lądzie, który rozciągał się w gęstniejącą ciemność wokół łodzi tak daleko, jak sięgał wzrok.

Ged podniósł się, wziął laskę i lekko przekroczył burtę łodzi. Vetch sądził, że ujrzy, jak przyjaciel pada i tonie w morzu, w morzu, które z pewnością było tam, za tą suchą, ciemną zasłoną zakrywającą wodę, niebo i światło. Lecz morza już nie było. Ged odszedł od łodzi. Ciemny piasek ukazywał ślady, tam gdzie Ged przeszedł, i skrzypiał lekko pod jego stopami.

Laska Geda zaczęła lśnić, nie błędnym światłem, lecz czystym białym żarem, który wkrótce stał się tak jasny, że zaczerwienił jego palce w miejscach, gdzie ściskały jarzące się drewno.

Ged kroczył naprzód, oddalając się od łodzi, ale nie idąc w żadnym kierunku. Tu nie było kierunków, nie było północy, południa, wschodu czy zachodu – tylko zbliżanie się i oddalanie.

Zapatrzonemu Vetchowi światło, które niósł Ged, wydawało się podobne do wielkiej, powolnej gwiazdy sunącej przez ciemność. A ciemność wokół gęstniała, czerniała, ściągała się. Widział to także Ged, patrzący wciąż przed siebie poprzez krąg światła. Po chwili na ledwie widocznym, najodleglejszym skraju tego kręgu dostrzegł cień, który zbliżał się ku niemu po piasku.

Zrazu cień był bezkształtny, ale gdy nadciągnął bliżej, przybrał wygląd człowieka. Wydał się podchodzącym w stronę Geda szarym i ponurym starcem; ale właśnie w chwili, gdy Ged rozpoznał w tej postaci swego ojca, kowala, ujrzał, że nie jest to starzec, lecz człowiek młody. Był to Jasper: wyniosła, przystojna, młoda twarz Jaspera, szary płaszcz spięty srebrną klamrą, sztywny krok. Pełen nienawiści był wzrok, który utkwił w Gedzie poprzez dzielący ich półmrok. Ged nie zatrzymał się, ale zwolnił kroku i idąc naprzód, podniósł swą laskę nieco wyżej. Laska rozjarzyła się i w jej świetle wygląd Jaspera opadł z postaci, która nadchodziła coraz bliżej – stała się Pechvarrym. Lecz Pechvarry miał twarz nabrzmiałą i bladą jak twarz topielca i wyciągał dziwnie rękę gestem jak gdyby przywołującym. Ged wciąż się nie zatrzymywał; szedł naprzód, choć pomiędzy nimi pozostało teraz już tylko parę kroków. Wtedy to, co było naprzeciw niego, przeobraziło się całkowicie: rozciągnęło się z obu stron, jakby rozwierając ogromne cienkie skrzydła, zwinęło się, urosło i skurczyło znowu. Ged dostrzegł na moment w sylwetce stwora białą twarz Skiorha, później parę zasępionych, patrzących surowo oczu, a potem nagle strwożoną twarz, której nie znał, twarz człowieka lub potwora, z wykrzywionymi wargami i z oczami, które były jak jamy wgłębiające się w czarną próżnię.

W tym momencie Ged podniósł laskę wysoko w górę, a ona rozjarzyła się oślepiająco, płonąc tak białym i potężnym światłem, że zniewoliło ono i poskromiło nawet tę odwieczną ciemność. W blasku tym wszelki ludzki kształt spełzł ze stwora, który zbliżał się ku Gedowi. Zjawa ściągnęła się, skurczyła i sczerniała, pełznąc dalej po piasku czterema krótkimi szponiastymi łapami. Ale sunęła wciąż

naprzód, podnosząc ku Gedowi ślepy, niekształtny pysk bez warg, uszu i oczu. Gdy ostatecznie zbliżyli się do siebie, stwór stał się zupełnie czarny w białym magicznym promieniowaniu. Człowiek i cień w milczeniu spotkali się twarzą w twarz i zatrzymali.

Głośno i wyraźnie, naruszając odwieczną ciszę, Ged wymówił imię cienia i w tej samej chwili cień przemówił bez warg i bez języka, wypowiadając to samo słowo: „Ged". I dwa głosy były jednym głosem.

Ged wyciągnął przed siebie ręce, upuszczając laskę, i objął swój cień, swoje czarne ja, które jednocześnie sięgnęło ku niemu. Światło i ciemność zetknęły się i połączyły, stając się jednością.

Ale Vetchowi, który ze zgrozą przyglądał się z daleka poprzez ciemniejący ponad piaskiem zmrok, zdawało się, że Ged został pokonany; widział bowiem, jak jasny blask niknie i gaśnie. Ogarnęły go wściekłość i rozpacz; wyskoczył na piasek, aby wspomóc przyjaciela albo wraz z nim umrzeć, i popędził w stronę tego maleńkiego promyka, który gasł w pustym zmroku suchego obszaru. Lecz gdy biegł, piasek zapadał się pod jego stopami i Vetch zaczął szamotać się z nim jak w bagnie, wyrywać się zeń jak z zalewającej go ciężkiej fali, aż wreszcie w ogłuszającym szumie, w olśniewającym blasku dnia, w przenikliwym chłodzie zimy i w gorzkim smaku soli świat został mu przywrócony i Vetch pogrążył się w nagłym, prawdziwym, żywym morzu.

W pobliżu na szarych falach kołysała się pusta łódź. Vetch nie mógł dojrzeć na wodzie nic poza tym; walące się na niego wierzchołki fal zalewały mu oczy, oślepiały go. Nie będąc dobrym pływakiem, przedarł się z mozołem do łodzi i wciągnął przez burtę do środka. Kaszląc i starając się obetrzeć wodę, która spływała strumieniami z jego włosów, rozejrzał się rozpaczliwie wokoło, nie wiedząc, w którą stronę ma teraz patrzeć. W końcu dostrzegł wśród fal coś ciemnego, oddzielonego od siebie znaczną przestrzenią tego, co przed chwilą było piaskiem, a teraz wzburzoną wodą. Rzucił się do wioseł i z całej siły powiosłował ku przyjacielowi; chwytając Geda za ramiona, podtrzymał go i wciągnął przez burtę do łodzi.

Ged był oszołomiony i jego oczy spoglądały w przestrzeń, jakby nic nie widziały, ale nie było na nim widać żadnej rany. Blask jego

laski z czarnego cisowego drewna zgasł całkiem; Ged ściskał ją w prawej dłoni i nie dał jej sobie odebrać. Nie mówił ani słowa. Wyczerpany, przemoczony i trzęsący się, leżał pod masztem zwinięty w kłębek, nie spoglądając ani razu na Vetcha, który podniósł żagiel i obrócił łódź, aby złapać północno-wschodni wiatr. Ged nie widział nic z tego, co było naokoło, dopóki na wprost przed dziobem płynącej łodzi, na niebie, które pociemniało po zachodzie słońca, w wyrwie jasnobłękitnego światła pomiędzy długimi chmurami nie zajaśniał księżyc w nowiu – pierścień z kości, obrączka z rogu, odbite światło słońca po drugiej stronie oceanu mroku.

Ged uniósł twarz i wpatrzył się w ten odległy półksiężyc jaśniejący na zachodzie.

Wpatrywał się długo, a potem podniósł się i wyprostował, trzymając w obu dłoniach laskę, jak wojownik trzyma długi miecz. Popatrzył wokół – na niebo, na morze, na brązowy wydęty żagiel nad głową, na twarz przyjaciela.

– Estarriolu, spójrz, już po wszystkim – powiedział. – Skończone. – Zaśmiał się. – Rana uleczona. Jestem zdrów, jestem wolny. – Potem pochylił się i ukrył twarz w dłoniach, płacząc jak mały chłopiec.

Aż do tej chwili Vetch obserwował go z pełnym napięcia lękiem, nie był bowiem pewien, co zdarzyło się tam, w ciemnej krainie. Nie wiedział, czy to Ged jest z nim w łodzi. Przez całe godziny gotowy był chwycić za kotwicę, wybić dziurę w deskach i raczej zatopić łódź tu, na pełnym morzu, niż zawieźć z powrotem do portów Ziemiomorza owego złego stwora, który, jak Vetch się obawiał, mógł przybrać wygląd i postać Geda. Teraz, gdy widział przyjaciela i słyszał jego słowa, wątpliwości znikły. I Vetch zaczynał rozumieć prawdę: Ged ani nie został pokonany, ani nie zwyciężył, lecz nazywając cień swej śmierci własnym imieniem, uczynił siebie całością – człowiekiem; kimś, kto znając swoje całe, prawdziwe ja, nie może zostać wykorzystany ani zawładnięty przez żadną inną moc poza samym sobą, i kto przeżywa dzięki temu swoje życie w imię życia – a nigdy w służbie zniszczenia, cierpienia, nienawiści lub ciemności. W *Stworzeniu Ea*, będącym najstarszą pieśnią, powiedziane jest: „Tylko w milczeniu słowo, tylko w ciemności

światło, tylko w umieraniu życie – na pustym niebie jasny jest lot sokoła". Tę pieśń Vetch śpiewał teraz na głos, sterując na zachód i płynąc z chłodnym wiatrem zimowej nocy, który dął im w plecy z bezmiaru Morza Otwartego.

Płynęli osiem dni i jeszcze osiem, zanim ujrzeli na horyzoncie ląd. Wiele razy musieli napełniać bukłaki morską wodą, zmienianą czarami w wodę słodką; łowili ryby, ale nawet gdy przywoływali na pomoc czary rybackie, łapali bardzo niewiele, gdyż ryby Morza Otwartego nie znają swoich imion i nie zważają na czary. Gdy nie zostało im już nic do jedzenia poza paroma paskami wędzonego mięsa, Ged przypomniał sobie, co powiedziała Yarrow, kiedy ukradł z paleniska podpłomyk – że będzie żałował swej kradzieży, gdy zgłodnieje na morzu; ale mimo że był tak głodny, wspomnienie to sprawiło mu przyjemność. Albowiem Yarrow powiedziała również, że on, wraz z jej bratem, powróci do domu.

Magiczny wiatr niósł ich poprzednio na wschód przez zaledwie trzy dni, teraz jednakże powrót na zachód zajął im szesnaście dni żeglugi. Nikt dotąd nie powrócił z tak dalekiej wyprawy na Morze Otwarte, jaką młodzi czarnoksiężnicy Estarriol i Ged podjęli w dni zimowych Odłogów w otwartej rybackiej łodzi. Nie napotkali większych sztormów i sterowali prawie bez zmian, kierując się kompasem oraz gwiazdą Tolbergen i biorąc kurs nieco na północ od swojego poprzedniego szlaku. Wskutek tego nie powrócili na wyspę Astowell, ale wymijając Far Toly i Sneg, tak że pozostały poza widnokręgiem, po raz pierwszy ujrzeli ląd opodal najbardziej wysuniętego na południe przylądka wyspy Koppish. Ponad falami zobaczyli kamienne urwiska wznoszące się jak wielka twierdza. Ptactwo morskie kwiliło, kołując nad przybojem, a w wietrze snuł się błękitny dym z wioskowych kominów.

Z tego miejsca podróż do Iffish nie trwała długo. Wpłynęli do portu Ismay w cichy, ciemny wieczór. Wkrótce zaczął padać śnieg. Przycumowali łódź „Bystre Oko", która zaniosła ich do wybrzeży królestwa śmierci i z powrotem, a potem poszli pod górę wąskimi uliczkami do domu czarnoksiężnika. Ich serca były bardzo lekkie, gdy weszli w światło i ciepło ognia płonącego pod tym dachem, a Yarrow wybiegła im na spotkanie, płacząc z radości.

***

Jeśli nawet Estarriol z wyspy Iffish dotrzymał obietnicy i ułożył pieśń o owym pierwszym wielkim czynie Geda, to pieśń ta zaginęła. Istnieje opowiadana na Wschodnich Rubieżach legenda o łodzi, która osiadła na suchym lądzie, choć znajdowała się nad otchłanią oceanu i całe dnie drogi dzieliły ją od najbliższych wybrzeży. Na wyspie Iffish mówi się, że Estarriol płynął tą łodzią, lecz na wyspie Tok powiadają, że byli to dwaj rybacy zagnani przez sztorm daleko na Morze Otwarte; a znów na wyspie Holp legenda opowiada o rybaku holpijskim i głosi, że nie umiał on ruszyć swej łodzi z niewidzialnych piasków, na których osiadła i do dziś jeszcze po nich się błąka. Tak więc z *Pieśni o cieniu* pozostało tylko parę urywków baśni, niesionych przez długie lata od wyspy do wyspy jak drewno unoszące się na falach. Natomiast w *Czynach Geda* nie ma ani słowa o tej wyprawie, o spotkaniu Geda z cieniem – o tym wszystkim, co się wydarzyło, zanim jeszcze Ged przepłynął bez szwanku przez Smocze Stado, zanim odniósł Pierścień Erreth-Akbego z Grobowców Atuanu na Havnor i zanim w końcu zjawił się raz jeszcze na Roke jako Arcymag wszystkich wysp świata.

Ursula K. LeGuin

Grobowce Atuanu

Przełożył
Piotr W. Cholewa

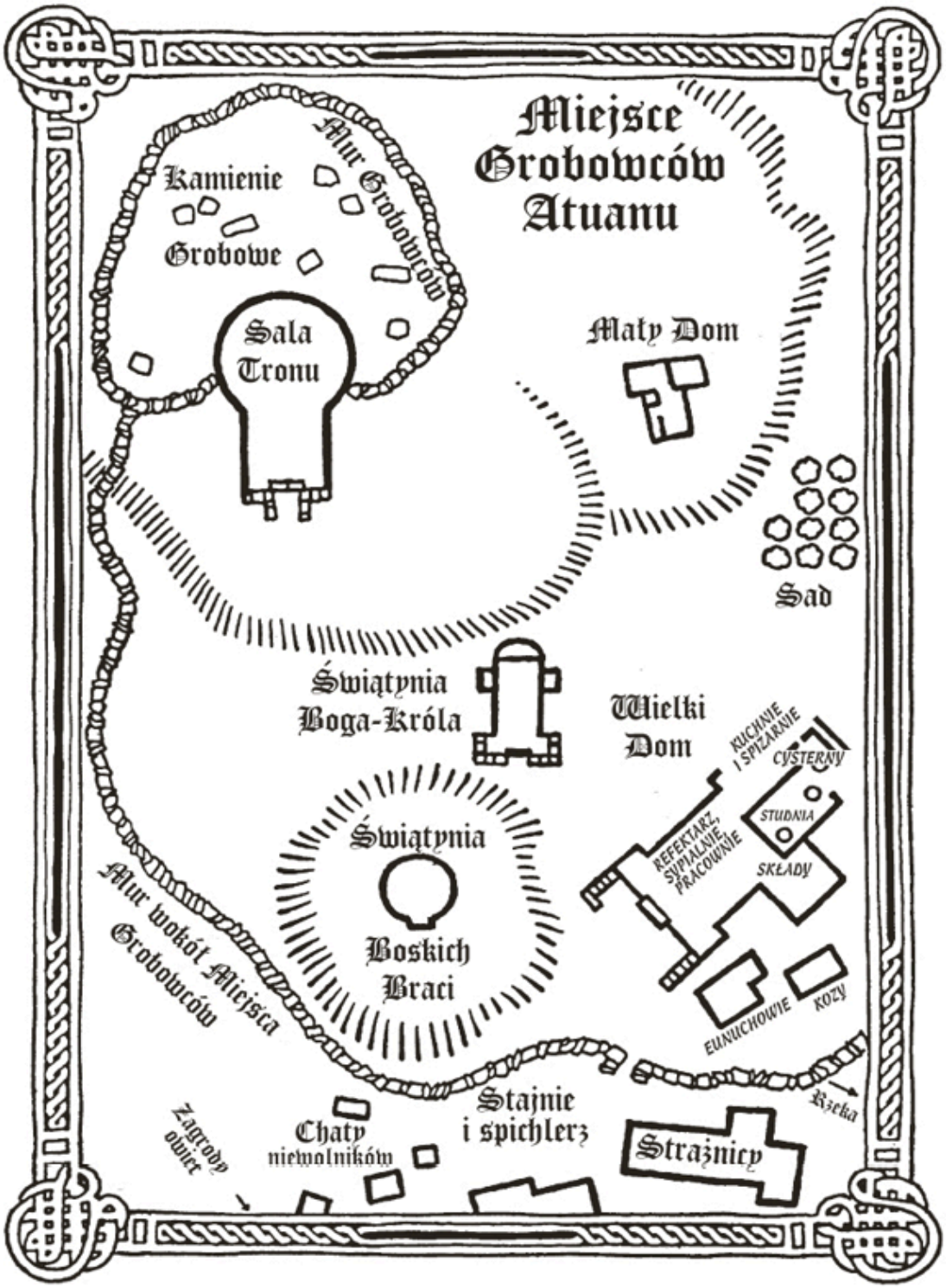
Miejsce Grobowców Atuanu
Kamienie Grobowe
Mur Grobowców
Sala Tronu
Mały Dom
Sad
Świątynia Boga-Króla
Wielki Dom
KUCHNIE I SPIŻARNIE
CYSTERNY
STUDNIA
REFEKTARZ, SYPIALNIE, PRACOWNIE
SKŁADY
Świątynia Boskich Braci
Mur wokół Miejsca Grobowców
EUNUCHOWIE
KOZY
Rzeka
Stajnie i spichlerz
Strażnicy
Chaty niewolników
Zagrody owiec

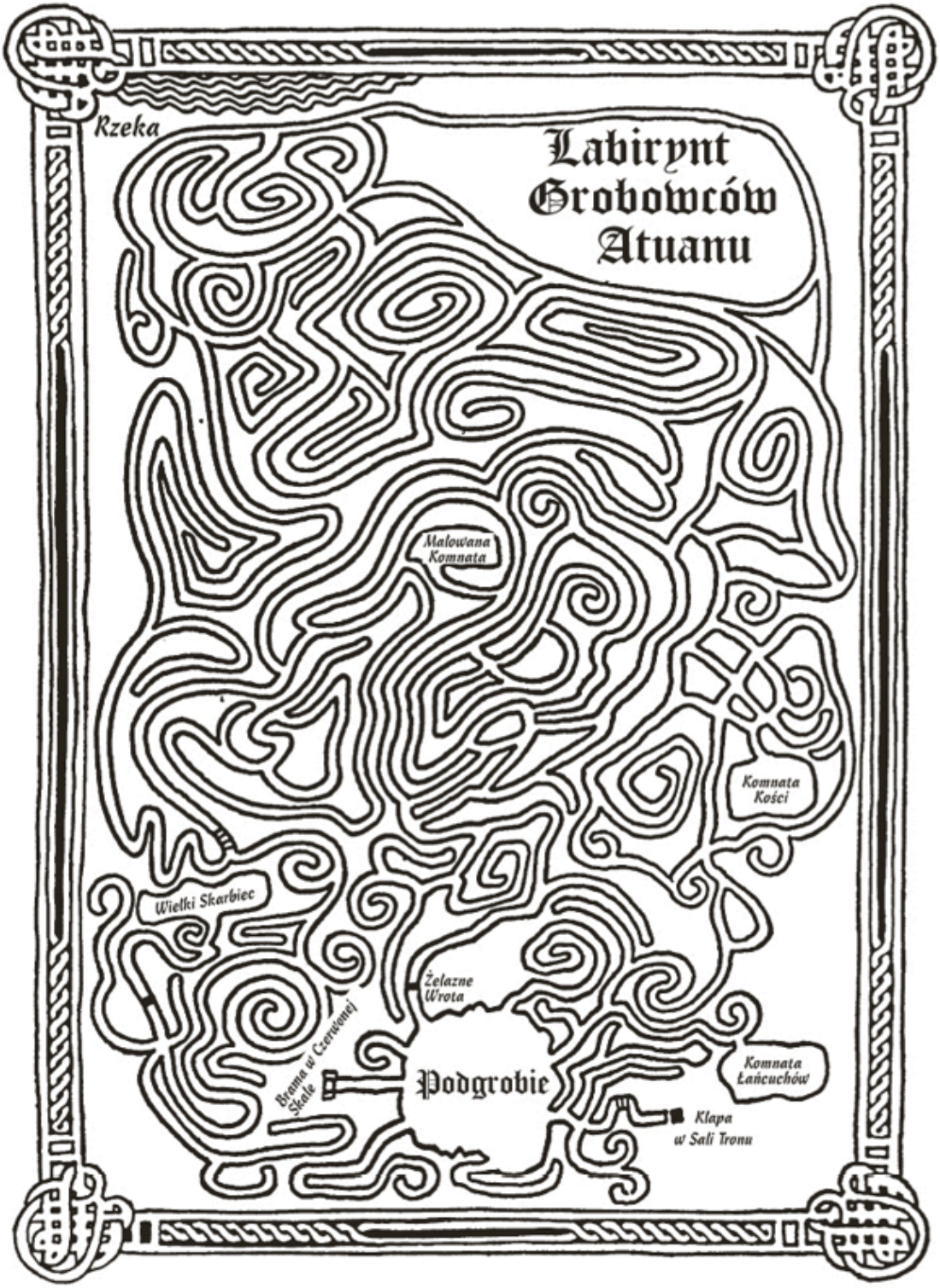
Rzeka
Labirynt Grobowców Atuanu
Malowana Komnata
Komnata Kości
Wielki Skarbiec
Żelazne Wrota
Brama w Czerwonej Skale
Podgrobie
Komnata Łańcuchów
Klapa w Sali Tronu

Prolog

– Do domu, Tenar! Do domu!

Dolinę spowił półmrok; jabłonie miały wkrótce zakwitnąć. Tu i tam, w cieniu wśród gałęzi, błyszczał jak maleńka gwiazdka nazbyt wcześnie rozkwitły pąk, różowy i biały. Między drzewami, po świeżej, gęstej, wilgotnej trawie biegła mała dziewczynka. Biegła dla czystej radości biegu. Słysząc wołanie, nie zatrzymała się, lecz szerokim łukiem zawróciła w stronę domu. Matka czekała w drzwiach chaty – ciemna sylwetka na tle padającego z wnętrza blasku ognia. Przyglądała się podskakującej figurce, podobnej do puszka dmuchawca niesionego wiatrem ponad ciemniejącą wśród drzew trawą.

U węgła ojciec oskrobywał z ziemi zabłoconą motykę.

– Dlaczego tak kochasz to dziecko? – zapytał. – W przyszłym miesiącu przyjdą, żeby ją zabrać. Na dobre. Lepiej zapomniałabyś o niej i tyle. Co ci z tego, że tak lgniesz do kogoś, kogo i tak musisz stracić? Z niej nie będziemy mieli pożytku. Żeby chociaż zapłacili, to byłoby coś. Ale nie. Zabiorą ją i koniec.

Kobieta milczała. Patrzyła na dziecko; zatrzymało się właśnie, by poprzez korony drzew spojrzeć w niebo. Ponad sadem, ponad szczytami gór czystym blaskiem lśniła gwiazda wieczorna.

– Ona nie należy do nas. Nigdy nie należała, odkąd przyszli i powiedzieli, że ma być Jedyną Kapłanką przy Grobowcach. Czemu nie chcesz tego zrozumieć? – Głos mężczyzny był szorstki, pełen goryczy. – Masz jeszcze czworo. Zostaną z nami, a ona nie. Nie przywiązuj się do niej. Daj jej odejść.

– Gdy nadejdzie czas – odrzekła – pozwolę jej odejść.

Dziewczynka podbiegła, stawiając małe, bose stópki na błotnistej ziemi. Matka schyliła się, by ją objąć, a kiedy wchodziły do chaty,

pocałowała czarne włosy córki. Jej włosy w migocącym blasku ognia były jasne.

Mężczyzna pozostał na zewnątrz. Czuł, jak marzną mu bose stopy; widział, jak ciemnieje nad nim czyste, wiosenne niebo. Jego twarz pełna była żalu – tak ślepego, tępego, złego żalu, że nie umiałby znaleźć słów, by go wypowiedzieć. W końcu wzruszył ramionami i wszedł za żoną do zalanej blaskiem ognia izby, gdzie rozbrzmiewały głosy dzieci.

1

Pożarta

Wysoki ton rogu przeszył powietrze i umilkł. Ciszę zakłócał tylko odgłos kroków stawianych w powolnym rytmie wybijanym przez bęben – w równym rytmie uderzeń serca. Poprzez szczeliny w dachu Sali Tronu, przez wyrwy między kolumnami, gdzie runęły całe odcinki muru, wpadały migotliwe, ukośne promienie słońca. Powietrze było nieruchome i mroźne. Szron pokrywał martwe liście chwastów przeciskających się między płytami marmuru; trzeszczały cicho, czepiając się czarnych szat kapłanek.

A one szły czwórkami przez ogromną salę, pomiędzy podwójnymi rzędami kolumn. Głucho rozbrzmiewał bęben. Nie było słychać niczyich głosów, niczyje oczy nie oglądały tej procesji. Płomienie pochodni w dłoniach dziewcząt okrytych czernią zdawały się czerwienieć w snopach słonecznego światła, by zaraz rozbłysnąć jasno w pasmach cienia między nimi. Na zewnątrz, na stopniach Sali Tronu, zostali mężczyźni – strażnicy, trębacze, dobosze. Wielkie wrota przekroczyły tylko kobiety w ciemnych strojach, w kapturach, idące wolno, czwórkami, w kierunku Pustego Tronu.

Na przedzie szły dwie – wysokie, spowite w czerń; jedna wyprostowana i sztywna, druga ociężała, kołysząca się lekko. Między nimi maszerowała sześcioletnia dziewczynka w prostej białej tunice. Głowę, ramiona i nogi miała odsłonięte. Była bosa.

Dwie kobiety zatrzymały się u stopni wiodących do tronu i lekko pchnęły dziecko do przodu. Pozostałe czekały, ustawione w równe ciemne szeregi.

Zdawało się, że stojący na wysokim postumencie tron okrywają zasłony czerni zwisające z ponurego półmroku pod stropem. Czy to rzeczywiście zasłony, czy tylko gęstniejące cienie, nie sposób było stwierdzić. Tron był także czarny; klejnoty i złocenia oparcia i poręczy rzucały posępne błyski. I był olbrzymi. Człowiek, który by na nim zasiadł, zdawałby się karłem – tron był ponad ludzkie wymiary.

Stał pusty. Zajmowały go tylko cienie.

Dziecko samotnie weszło na czwarty z siedmiu stopni z czerwono żyłkowanego marmuru. Były tak szerokie i wysokie, że musiało na każdym postawić obie stopy, zanim wspięło się na następny. Na czwartym, środkowym, na wprost tronu, stał duży, nierówny, wyżłobiony u góry kloc drzewa. Dziewczynka uklękła i ułożyła głowę w zagłębieniu, przekręcając ją lekko w bok. W tej pozycji znieruchomiała.

Nagle z cienia po prawej stronie tronu wynurzyła się postać o zamaskowanej twarzy, okryta białą wełnianą togą. W ręku trzymała długi miecz z polerowanej stali. W milczeniu, bez wahania, podniosła go oburącz nad szyją dziewczynki. Bęben umilkł.

Ostrze zamarło na chwilę. Wtem z lewej strony tronu wyskoczyła postać w czerni, zbiegła w dół i chwyciła szczupłymi rękami ramię ofiarnika. Miecz lśnił w półmroku. Przez chwilę biała postać i czarna, obie bez twarzy, jak tancerze balansowały nad nieruchomym dzieckiem, którego jasną szyję odsłaniały rozdzielone pasma czarnych włosów.

W absolutnej ciszy postacie odskoczyły od siebie i rozeszły się, znikając w ciemności za olbrzymim tronem. Jedna z kapłanek podeszła do stopni i wylała na nie czarę jakiegoś płynu, który w półmroku wydawał się czarny.

Dziewczynka wstała i z trudem zeszła na dół, gdzie dwie wysokie kobiety odziały ją w czarną szatę i płaszcz z kapturem. Potem odwróciły ją, by spojrzała na stopnie, na ciemną plamę, na tron.

– Niech Bezimienni przyjmą ofiarowane im dziewczę, jedyne, jakie kiedykolwiek zrodziło się bezimiennym. Niech przyjmą jej życie, wszystkie lata aż do śmierci, która również do nich należy. Niech ją uznają za godną tej ofiary. Niech będzie pożarta!

Inne głosy, chrapliwe i przenikliwe jak głosy trąb, odpowiedziały:

– Została pożarta! Została pożarta!

Dziewczynka spojrzała spod czarnego kaptura w górę, na tron. Kurz pokrywał klejnoty na ciężkich poręczach zdobionych rzeźbionymi pazurami, z rzeźb oparcia zwisały pajęczyny; widać było białawe plamy sowich odchodów. Na trzech stopniach powyżej miejsca, gdzie klęczała, nie stanęła nigdy stopa śmiertelnika. Kurz zalegał na nich warstwą tak grubą, że wyglądały jak jedna ukośna płaszczyzna; żyłkowany marmur całkowicie skrywała nieporuszona, nietknięta pokrywa tylu już lat, tylu stuleci...

– Została pożarta! Została pożarta!

Znowu odezwał się bęben, tym razem w szybszym rytmie.

W ciszy, powoli, nowo uformowana procesja ruszyła na wschód, ku dalekiemu jasnemu kwadratowi wyjścia. Po obu stronach sali szerokie podwójne kolumny ginęły w mroku pod pułapem. Między kapłankami szła dziewczynka, teraz cała w czerni, jak one. Jej bose stopy deptały zamarznięte liście i lodowate kamienie; nie podnosiła wzroku, kiedy błyskały przed nią promienie słońca przebijające zniszczony dach.

Strażnicy trzymali wrota szeroko otwarte. Czarna procesja wysunęła się na zewnątrz, na chłodny wiatr i blade światło poranka. Słońce oślepiało, płynąc nad bezmiarem pustki na wschodzie. Ku zachodowi góry stały w jego blasku i jaśniała fasada Sali Tronu. Inne budynki, niżej na wzgórzu, pogrążone były jeszcze w purpurowym cieniu. Tylko na niewielkim wzgórku za drogą błyszczał w glorii niedawno złocony dach Świątyni Boskich Braci. Czarna kolumna kapłanek czwórkami rozpoczęła marsz w dół Wzgórza Grobowców. Idąc, podjęły cichy śpiew. Prosta melodia składała się z trzech tylko tonów, a raz po raz powtarzane słowo było tak starożytne, że utraciło już znaczenie. Było jak kamień milowy tkwiący ciągle w miejscu, gdzie od dawna nie ma już drogi. Kobiety wciąż na nowo powtarzały to puste słowo. Ich cichy śpiew jak

niemilknący, monotonny szum wypełniał cały ten dzień, Dzień Odrodzenia Kapłanki.

Dziewczynka przechodziła z sali do sali, ze świątyni do świątyni. W jednym miejscu kładziono jej sól na język; w innym klęczała twarzą ku zachodowi, gdy obcinano jej włosy i namaszczano głowę olejkiem i octem winnym; w jeszcze innym leżała twarzą w dół na płycie z czarnego marmuru, a za ołtarzem przenikliwe głosy wyśpiewywały modlitwę za zmarłych. Przez cały dzień nie jadła nic i nie piła – ani ona, ani żadna z kapłanek.

Kiedy zapłonęła gwiazda wieczorna, dziewczynkę położono do łoża – nagą, okrytą owczymi skórami, w komnacie, gdzie nie była nigdy dotąd, w budynku, który przez całe lata stał zamknięty i dopiero dziś go otworzono. Bardzo wysoka komnata nie miała okien, a w powietrzu unosił się stęchły zapach. Tam, w ciemności, pozostawiły ją milczące kobiety.

Nie poruszała się. Z szeroko otwartymi oczami leżała w pozycji, w jakiej ułożyły ją kapłanki. Trwała tak bardzo długo.

Potem zobaczyła światło, nikły odblask na ścianie. Ktoś nadchodził cicho korytarzem. Osłaniał świecę, by dawała nie więcej blasku niż świetlik.

– Hej, Tenar, jesteś tam? – usłyszała ochrypły szept.

Milczała.

Do wnętrza komnaty wsunęła się głowa – bezwłosa, o barwie żółtawej jak obrany ziemniak. Maleńkie brązowe oczy także przypominały oczka ziemniaka. Nos zdawał się karłowaty przy wielkich płaskich policzkach, usta przypominały pozbawioną warg szczelinę. Dziewczynka wpatrywała się w tę twarz wielkimi ciemnymi oczami.

– Więc jesteś, Tenar, mała pszczółko! – Głos był szorstki i wysoki, jakby kobiecy, lecz nie należał do kobiety. – Nie powinienem tu przychodzić, moje miejsce jest za drzwiami, na ganku; właśnie tam idę. Ale musiałem zobaczyć, jak się czuje moja mała Tenar po tym długim, ciężkim dniu. Tak, tak, jak tam moja biedna, mała pszczółka?

Bezszelestnie ruszył w jej stronę, wyciągając rękę, jakby chciał ją pogłaskać.

– Nie jestem już Tenar – powiedziała dziewczynka, patrząc wprost na niego.

Wyciągnięta ręka opadła; nie dotknął jej.

– Nie – szepnął po chwili. – Wiem, wiem. Teraz jesteś maleńką Pożartą. Ale ja...

Milczała.

– To był ciężki dzień dla mojej maleńkiej – powiedział w końcu mężczyzna. Odsunął się. Nikłe światełko migotało w jego szerokiej żółtej dłoni.

– Nie powinieneś przychodzić do tego domu, Manan.

– Nie... Wiem, że nie. No cóż, dobrej nocy, maleńka... Dobrej nocy.

Dziecko milczało. Manan odwrócił się wolno i odszedł. Świetlne błyski znikły z wysokich ścian. Dziewczynka, której jedynym imieniem było teraz Arha, Pożarta, leżała na plecach i nieruchomym wzrokiem wpatrywała się w ciemność.

2

Mur wokół Miejsca Grobowców

Nie zdawała sobie z tego sprawy, ale w miarę dorastania zapominała matkę. Przynależała tutaj, do Miejsca Grobowców; zawsze tu była. Tylko czasem, w długie sierpniowe wieczory, kiedy patrzyła na góry na zachodzie, wysuszone i płowe w blasku słońca, wspominała ogień, który dawno temu płonął na kominku, rzucając takie samo żółte światło. Wtedy wracała pamięć o tym, jak ją przytulano – niezwykła, gdyż tutaj mało kto jej dotykał. I wspomnienia przyjemnego zapachu, aromatu włosów świeżo umytych i płukanych w wodzie z szałwią – długich jasnych włosów o barwie ognia i słońca tuż nad horyzontem. Tylko tyle jej pozostało.

Naturalnie, wiedziała więcej, niż pamiętała, gdyż opowiedziano jej całą historię. Kiedy miała sześć czy siedem lat i zaczynała się zastanawiać, kim jest ta osoba, którą nazywają Arhą, poszła do swego opiekuna, dozorcy Manana.

– Opowiedz mi, jak zostałam wybrana – poprosiła.

– Przecież wiesz, maleńka.

Rzeczywiście wiedziała. Wysoka kapłanka Thar powtarzała jej to swym oschłym głosem, dopóki nie nauczyła się słów na pamięć.

– Wiem – przyznała i zaczęła recytować: – Po śmierci Jedynej Kapłanki Grobowców Atuanu ceremonie pogrzebu i oczyszczenia kończą się z upływem jednego miesiąca kalendarza księżycowego. Potem wybrane kapłanki i strażnicy Miejsca Grobowców ruszają

przez pustynię do miasteczek i wiosek Atuanu, by szukać i rozpytywać. Poszukują dziewczynki urodzonej w noc śmierci Jedynej Kapłanki. Kiedy ją znajdą, czekają i obserwują. Dziecko musi być zdrowe na ciele i umyśle, a rosnąc, nie może chorować na krzywicę czy ospę, nie może zdradzać żadnych deformacji ani oślepnąć. Kiedy bez skazy osiągnie wiek pięciu lat, wtedy wiadomo, że istotnie jest ono nowym wcieleniem Jedynej Kapłanki, która umarła. Wieść o tym zanosi się do Boga-Króla w Awabath, a ją samą przewozi do świątyni, gdzie przez rok pobiera nauki. Kiedy ten rok dobiegnie końca, prowadzi się ją do Sali Tronu, a jej imię oddane zostaje na powrót tym, którzy są jej władcami, Bezimiennymi, jako że sama jest bezimienną, Kapłanką Wiecznie Odradzaną.

Tak mówiła jej Thar, słowo w słowo, a ona nigdy nie ośmieliła się prosić o więcej. Chuda kapłanka nie była okrutna, tylko zimna od życia w żelaznej dyscyplinie. Arha bała się jej. Za to Manana nie bała się ani trochę i mogła mu rozkazywać.

– A teraz opowiedz, jak zostałam wybrana!

Wiedziała, że znowu ustąpi.

– Wyruszyliśmy stąd na północ i zachód, trzeciego dnia pierwszej kwadry, gdyż Arha-która-była umarła trzeciego dnia ostatniego księżyca. Najpierw udaliśmy się do Tenacbach, które jest wielkim miastem, choć wobec Awabath jest niczym pchła przy krowie. Tak przynajmniej mówią ci, którzy widzieli je oba. Ale dla mnie jest wystarczająco duże, stoi tam chyba z tysiąc domów. I sprawdziliśmy w Gar. Ale nikt w tych dwóch miastach nie miał córki urodzonej trzeciego dnia księżyca zeszłego miesiąca. Znaleźliśmy kilku chłopców, ale chłopcy się nie nadają. Ruszyliśmy więc w góry, na północ od Gar, do miasteczek i wiosek. To moja kraina. Nie urodziłem się na tej pustyni, ale tam, gdzie płyną potoki i ziemia jest zielona. – Matowy głos Manana zawsze wtedy brzmiał dziwnie, a jego małe oczka kryły się zupełnie; przerywał na chwilę, nim zaczynał opowiadać dalej. – Odszukaliśmy i rozmawialiśmy ze wszystkimi, którzy byli rodzicami dzieci urodzonych w ostatnich miesiącach. Niektórzy próbowali kłamać: „Tak, oczywiście, nasza córka urodziła się trzeciego dnia księżyca!”. Ci biedni ludzie, musisz wiedzieć, często są zadowoleni, gdy mogą się pozbyć córek. Byli też

inni, ubodzy i mieszkający w samotnych chatach, w dolinach wśród gór, którzy nie liczyli czasu i rzadko potrafili rozróżnić dni, więc nie umieli określić z całą pewnością, w jakim wieku są ich dzieci. Ale pytając dostatecznie długo, zawsze potrafiliśmy dojść do prawdy. Wreszcie znaleźliśmy – w wiosce liczącej dziesięć chatek, w dolinie sadów na zachód od Entat. Dziewczynka miała osiem miesięcy. Tak długo trwały nasze poszukiwania. Ale urodziła się tej nocy, gdy zmarła Kapłanka Grobowców, w godzinie jej śmierci. Piękne to było dziecko. Siedziała na kolanach matki i patrzyła na nas błyszczącymi oczkami, kiedy jak nietoperze do jaskini wciskaliśmy się do jedynej izby domu. Jej ojciec był biednym człowiekiem. Doglądał jabłoni w sadzie bogacza i nie miał nic własnego prócz pięciorga dzieci i kozy. Nawet chata nie należała do niego. Tam więc stanęliśmy wszyscy i po tym, jak kapłanki patrzyły na małą i szeptały między sobą, można było poznać, że ich zdaniem wreszcie znalazły Odrodzoną. Matka też to poznała. Tuliła dziecko i nie odzywała się ani słowem. No więc wróciliśmy następnego dnia. I proszę, dziecko leży w wiklinowym łóżeczku, krzyczy i płacze, a na całym ciele ma pręgi i czerwone plamy z gorączki! A matka płacze jeszcze głośniej: „Och! Och! Moją malutką złapały Palce Wiedźmy!”. Tak właśnie mówiła. Miała na myśli ospę. W mojej wsi też mówiliśmy na nią Palce Wiedźmy. Ale Kossil, która jest teraz Najwyższą Kapłanką Boga-Króla, podeszła do kołyski i wyjęła dziecko. Wszyscy inni cofnęli się, a ja razem z nimi; nie cenię swego życia zbyt wysoko, ale kto wchodzi do domu, gdzie jest ospa? Lecz Kossil nie bała się ani trochę... Nie, nie ona. Wzięła dziecko i mówi: „Ona nie ma gorączki”. Potem pośliniła palec i potarła... czerwone plamy zniknęły. To był tylko sok z jagód. Biedna, głupia matka myślała, że nas oszuka i zatrzyma dziecko! – Manan śmiał się z tego serdecznie; żółta twarz prawie się nie zmieniała, ale brzuch trząsł mu się mocno. – No więc mąż ją zbił, bo bał się gniewu kapłanek. Niedługo potem wróciliśmy na pustynię, ale co roku ktoś z Grobowców Atuanu wracał do wioski wśród jabłkowych sadów i sprawdzał, jak dziewczynka dorasta. Tak minęło pięć lat, a wtedy Kossil i Thar ruszyły w podróż ze strażą świątyni i żołnierzami w czerwonych hełmach, przysłanych przez Boga-Króla jako eskorta. Przywieźli tu dziecko, ponieważ była to

w istocie odrodzona Kapłanka Grobowców i tu powinna się znaleźć. A kto był tym dzieckiem, maleńka? No kto?

– Ja – odpowiadała Arha, patrząc w dal, jakby chciała zobaczyć coś, czego nie mogła dostrzec, co zginęło poza widnokręgiem.

Kiedyś spytała:

– A co zrobiła... matka, kiedy przyszli zabrać jej córkę?

Tego Manan nie wiedział; nie pojechał z kapłankami na ostatnią wyprawę.

A ona nie pamiętała. Zresztą po co pamiętać? Co przeszło, minęło. Przybyła tu, gdzie musiała przybyć. Z całego świata znała tylko jedno miejsce: Grobowce Atuanu.

Przez pierwszy rok sypiała w dużej sali razem z innymi nowicjuszkami, dziewczętami w wieku od czterech do czternastu lat. Już wtedy jednak Manan został wybrany spośród Dziesięciu Dozorców na jej osobistego opiekuna. Jej łóżko stało w maleńkiej alkowie, częściowo odgrodzone od długiej, nisko sklepionej sali Wielkiego Domu, gdzie dziewczęta chichotały między sobą i szeptały, zanim zasnęły, a w szarym blasku poranka, ziewając, zaplatały sobie włosy. Kiedy odebrano jej imię i stała się Arhą, spała samotnie w Małym Domu, w łóżku i pokoju, które miały być jej łóżkiem i pokojem przez resztę życia. Ten dom należał do niej, był Domem Jedynej Kapłanki i nikt nie miał prawa tu wejść bez jej pozwolenia. Gdy była jeszcze mała, bawiło ją, gdy ludzie stukali pokornie do drzwi, a ona mówiła: „Możesz wejść”. Irytowało ją też, że obie Najwyższe Kapłanki, Kossil i Thar, uznawały jej pozwolenie za rzecz naturalną i wchodziły bez pukania.

Mijały dni i lata, wszystkie podobne do siebie. Dziewczęta w Miejscu Grobowców spędzały czas na lekcjach i ćwiczeniach. Nie bawiły się. Nie miały czasu na zabawę. Uczyły się świętych pieśni i świętych tańców, historii Wysp Kargadu i sekretów bogów, którym służyły: Boga-Króla, panującego w Awabath, albo Boskich Braci, Atwaha i Wuluaha. Z nich wszystkich jedynie Arha poznawała rytuały Bezimiennych, nauczana przez Thar, Najwyższą Kapłankę Bliźniaczych Bóstw. To zmuszało ją do rozstawania się z innymi na godzinę lub więcej dziennie, lecz resztę czasu, podobnie jak pozostałe dziewczęta, poświęcała na proste zajęcia. Uczyły się zwijać

i tkać wełnę, sadzić, zbierać i szykować do spożycia to, co same jadały: soczewicę, kukurydzę mieloną grubo na płatki i drobno na mąkę do pieczenia chleba, cebulę, kapustę, kozi ser, jabłka i miód.

Najlepsze, co mogło się przydarzyć, to wyprawa na ryby nad mętną zieloną rzekę płynącą przez pustkowie o pół mili na północny wschód od Grobowców Atuanu. Brała ze sobą jabłko albo kawałek chleba jako drugie śniadanie, a potem siedziała w słońcu wśród trzcin, wpatrując się w powolny ruch wody albo cienie chmur zmieniające kształty na górskich zboczach. A kiedy piszczała z radości, patrząc, jak napina się linka i w chwilę później płaska, migotliwa ryba podskakuje na brzegu i topi się w powietrzu, Mebbeth syczała jak żmija:

– Uspokój się, idiotko, nie wrzeszcz!

Mebbeth, która służyła w świątyni Boga-Króla, była smagłą kobietą, młodą jeszcze, lecz twardą i ostrą jak obsydian. Łowienie było jej pasją. Arha musiała uważać i siedzieć cichuteńko, inaczej Mebbeth nigdy już nie wzięłaby jej ze sobą na ryby. A wtedy Arha nie mogłaby chodzić nad rzekę, najwyżej po wodę latem, kiedy wysychały studnie. To nie było przyjemne: brnąć pół mili przez palący żar, napełniać dwa wiadra na nosidłach, potem jak najszybciej wracać pod górę. Pierwsze pięćdziesiąt kroków było łatwe, ale potem wiadra stawały się coraz cięższe, nosidła parzyły ramiona jak rozpalone żelazo, a każdy oddech był męką. W końcu docierała do cienia na tyłach Wielkiego Domu, obok grządki jarzyn, i z pluskiem wylewała wodę do wielkiej cysterny. Tylko po to, by zawrócić i pokonywać tę drogę znowu, i znowu, i znowu.

W obrębie Miejsca – nie potrzebowało i nie miało innej nazwy, gdyż było najświętszym i najstarszym ze wszystkich miejsc Czterech Wysp Imperium Kargadu – mieszkało kilkuset ludzi i stały liczne budynki: trzy świątynie, Wielki i Mały Dom, kwatery eunuchów dozorców, a zaraz za murem koszary straży i chaty niewolników, magazyny, budynki gospodarcze, zagrody owiec i kóz. Z daleka przypominało to małe miasteczko. Z daleka, to znaczy z suchych pagórków na zachodzie, gdzie rosła tylko szałwia, kępki trawy i pustynne zioła. Ale nawet z odległych równin na wschodzie można

było dostrzec złoty dach Świątyni Bliźniaczych Bóstw, połyskujący niczym kawałek miki w skale.

Sama świątynia była kamiennym sześcianem otynkowanym na biało, bez okien, z gankiem przed niskimi drzwiami. Bardziej efektowna i o całe wieki młodsza była stojąca trochę niżej Świątynia Boga--Króla z wysokim portalem i rzędem grubych białych kolumn z wymalowanymi symbolami. Kolumny zrobiono z wielkich cedrowych pni sprowadzonych statkiem z Hur-at-Hur, gdzie rosły lasy. Dwudziestu niewolników z wysiłkiem przeciągało je po nagich równinach aż do Miejsca. Podróżny zbliżający się ze wschodu widział złoty dach i białe kolumny o wiele wcześniej, nim dostrzegał stojącą wyżej na wzgórzu najstarszą świątynię, zniszczoną i brązową jak sama pustynia, ogromną, niską Salę Tronu o łatanych ścianach, z płaską, sypiącą się kopułą.

Za Salą Tronu ciągnął się otaczający cały szczyt wzgórza masywny mur, wzniesiony bez zaprawy, z kamieni, które w wielu miejscach już wypadły. W jego kręgu niby olbrzymie palce sterczało z ziemi kilka wysokich czarnych głazów. Kto raz je zobaczył, stale wracał do nich myślą. Stały pełne niewysłowionych znaczeń. Było ich dziewięć. Jeden trzymał się prosto, inne pochylały się mniej lub bardziej, dwa były przewrócone. Porastał je szary i pomarańczowy mech, podobny do plam farby – wszystkie prócz jednego, czarnego i lśniącego matowo. Był gładki w dotyku, lecz na innych można było zobaczyć albo wyczuć palcami pod pokrywą mchu niewyraźne rzeźbienia, jakieś kształty czy znaki. Te kamienie były Grobowcami Atuanu. Stały tu, jak powiadano, od czasu pierwszych ludzi, od kiedy powstało Ziemiomorze. Ustawiono je w ciemnościach, gdy ziemie wynurzyły się z głębin oceanu. Starsze były o wiele od Bogów-Królów Kargadu, starsze niż Bliźniacze Bóstwa, starsze niż światło. Były grobowcami władców świata sprzed czasu ludzi – władców, którym nie nadawano imion. Ta, która im służyła, także nie miała imienia.

Nieczęsto wchodziła między Kamienie Grobowe. Nikt inny nie śmiałby dotknąć stopą gruntu, z którego wyrastały na szczycie, wewnątrz kamiennego muru za Salą Tronu. Dwa razy do roku, o pełni księżyca najbliższej wiosennemu i jesiennemu zrównaniu dnia

z nocą, przed Pustym Tronem składano ofiarę. Arha wychodziła wtedy przez niskie drzwiczki z tyłu Sali Tronu, niosąc wielką misę pełną dymiącej krwi koźlęcia. Połowę jej musiała wylać u stóp pionowego czarnego głazu, połowę na jeden z leżących kamieni, pogrążonych w skalistej ziemi, ze śladami krwi ofiarowywanej tu od wieków.

Czasami wczesnym rankiem przychodziła tu sama. Spacerowała wśród Kamieni Grobowych, próbując rozpoznać niewyraźne rzeźbienia, lepiej widoczne w świetle nisko stojącego słońca. Albo siedziała tylko, spoglądając na góry po zachodniej stronie, lub w dół, na dachy i mury Miejsca Grobowców, na pierwsze oznaki krzątaniny wokół Wielkiego Domu i baraków straży, na stada kóz i owiec podążające ku skąpym pastwiskom nad rzeką. Między Kamieniami Grobowymi nigdy nie było nic do roboty. Przychodziła tu tylko dlatego, że było jej wolno i że nic tu nie zakłócało samotności. Było to posępne miejsce. Chłód panował nawet w upalne letnie południa. Czasem wiatr gwizdał między dwoma Kamieniami stojącymi najbliżej siebie i pochylonymi tak, jakby powierzały sobie jakieś tajemnice. Ale żadna tajemnica nie została wypowiedziana.

Z Murem Grobowców łączył się inny, niższy, zataczający nieregularne półkole wokół wzgórza i ciągnący się dalej na północ, ku rzece. Nie tyle chronił on Miejsce Grobowców, ile rozcinał je na dwie części: po jednej stronie świątynie, domy kapłanek i dozorców, po drugiej kwatery straży i niewolników, którzy uprawiali ziemię, paśli owce i kozy, zdobywali żywność. Żaden z nich nigdy nie przekraczał muru. Jedynie podczas niektórych, najważniejszych świąt strażnicy, dobosze i trębacze towarzyszyli procesjom kapłanek. Nie wchodzili jednak do świątyń. Żaden inny mężczyzna nie miał prawa postawić stopy wewnątrz Miejsca. Kiedyś docierały tu pielgrzymki, kiedyś królowie i wodzowie z Czterech Wysp przybywali pokłonić się bogom; półtora wieku temu przybył pierwszy Bóg-Król, by ustanowić ceremonie w swej własnej świątyni. Ale nawet on nie mógł wejść pomiędzy Kamienie Grobowców, nawet on musiał jeść i spać po zewnętrznej stronie muru otaczającego Miejsce.

Wejście na mur nie było trudne – palce łatwo znajdowały szczeliny między kamieniami. Pewnego wiosennego popołudnia Pożarta

i dziewczynka zwana Penthe siedziały na jego szczycie. Obie miały po dwanaście lat. Powinny być w Wielkim Domu, w ogromnej kamiennej sali tkalni; powinny stać przy krosnach, zawsze załadowanych szorstką czarną wełną, i tkać materiał na szaty. Wymknęły się, by łyknąć wody ze studni na dziedzińcu, a potem Arha powiedziała „Chodźmy!" i poprowadziła towarzyszkę do muru – dołem, by nie widziano ich z Wielkiego Domu. Teraz siedziały na szczycie, wysoko nad ziemią, spoglądając na nagie równiny ciągnące się bez końca od wschodu i północy.

– Chciałabym zobaczyć morze – powiedziała Penthe.

– Po co? – zdziwiła się Arha. Żuła gorzką łodygę jakiejś rośliny, którą znalazła między kamieniami.

Dobiegał właśnie końca czas kwitnienia na tej jałowej ziemi. Wszystkie pustynne kwiatki, żółte, różowe i białe, skarlałe i szybko przekwitające, zaczynały wysiew, rozrzucając na wiatr białe jak popiół piórka i parasolki, upuszczając zbrojne w haczyki nasiona. Ziemię pod jabłoniami w sadzie okrywał biało-różowy dywan z płatków. Gałęzie były zielone – jedyne zielone drzewa w promieniu wielu mil od Miejsca. Wszystko inne, od horyzontu po horyzont, miało matowe, wypłowiałe barwy pustyni – z wyjątkiem srebrzystobłękitnych gór, gdzie pojawiły się pierwsze pączki szałwii.

– Och, nie wiem po co. Po prostu chciałabym zobaczyć coś innego. Tu jest zawsze tak samo. Nic się nie dzieje.

– Wszystko, co dzieje się gdziekolwiek, tutaj ma swój początek – oświadczyła Arha.

– Wiem... Ale chciałabym widzieć, jak się dzieje.

Penthe się uśmiechnęła. Była pulchną, miłą dziewczyną. Potarła podeszwami stóp rozgrzane słońcem kamienie.

– Widzisz... – mówiła dalej. – Kiedy byłam mała, mieszkałam nad morzem. Nasza wioska stała zaraz za pasem wydm i czasem bawiliśmy się na plaży. Raz, pamiętam, zobaczyliśmy daleko od brzegu całą flotę statków. Pobiegliśmy powiedzieć o tym w wiosce i wszyscy przyszli popatrzeć. Statki wyglądały jak smoki z czerwonymi skrzydłami. Niektóre miały prawdziwe szyje ze smoczymi łbami. Przepływały w pobliżu Atuanu, ale to nie były kargijskie statki. Przybyły z zachodu, z Wewnętrznych Krain. Tak

mówił wójt. Wszyscy poszli, żeby popatrzeć. Chyba się bali, że wylądują. Ale one przepłynęły i nikt nie wiedział, dokąd zmierzają. Może napaść na Karego-At. Ale pomyśl tylko, naprawdę przybyły z wysp czarodziejów, gdzie wszyscy ludzie są koloru ziemi i mogą rzucić na ciebie czar równie łatwo, jak mrugnąć.

– Nie na mnie – oświadczyła z gniewem Arha. – Ja bym nie patrzyła na ich statki. To źli, przeklęci czarownicy. Jak śmieli przepływać tak blisko Świętej Ziemi?

– Wiesz, przypuszczam, że Bóg-Król podbije ich kiedyś i zrobi z nich niewolników. Ale chciałabym znowu zobaczyć morze. W kałużach na plaży znajdowaliśmy małe ośmiornice, a jak się na nie krzyknęło „buu!", robiły się zupełnie białe. O, tam idzie stary Manan. Pewnie cię szuka.

Opiekun i sługa Arhy zbliżał się wolno wzdłuż muru. Pochylił się, by zerwać dziką cebulę, której zebrał już cały pęczek, potem wyprostował się i rozejrzał. Przytył z wiekiem, a jego żółta skóra błyszczała w słońcu.

– Schowamy się po stronie mężczyzn – syknęła Arha.

Dziewczynki zsunęły się zwinnie jak jaszczurki i przylgnęły do muru tuż pod jego szczytem, niewidoczne od wewnętrznej strony. Słyszały coraz bliższe kroki Manana.

– Hej! Hej, ziemniaczana głowo! – Kpiący głos Arhy był cichy jak wiatr wśród traw.

Ciężkie kroki ucichły.

– Jest tam kto? – odezwał się niepewnie Manan. – Maleńka? Arha?

Cisza.

Manan ruszył dalej.

– Hej! Ziemniaczana głowo!

– Hej, ziemniaczany brzuchu! – naśladowała Arhę Penthe i aż jęknęła, usiłując stłumić chichot.

– Jest tam kto?

Cisza.

– Dobrze, dobrze, dobrze – westchnął eunuch i odszedł powoli.

Kiedy zniknął za wzgórzem, dziewczęta wspięły się z powrotem na mur; Penthe zaczerwieniona i spocona ze śmiechu, Arha wściekła.

– Stary tryk, łazi za mną wszędzie!

– Musi – zauważyła rozsądnie Penthe. – To jego praca. Ma cię pilnować.

– Pilnują mnie ci, którym służę. Dla nich się staram i dla nikogo więcej nie muszę. Te stare kobiety i półmężczyźni powinni mnie zostawić w spokoju. Jestem Jedyną Kapłanką!

Penthe spojrzała na nią zaskoczona.

– Wiem – powiedziała drżącym głosem. – Wiem, Arho...

– Więc powinni dać mi spokój, a nie rozkazywać przez cały czas!

Penthe westchnęła ciężko. Machała pulchnymi nogami, wpatrzona w pustą, piaszczystą ziemię i daleki, wysoki horyzont.

– Niedługo sama będziesz wydawać rozkazy – odezwała się w końcu cichutko. – Za dwa lata przestaniemy być dziećmi. Skończymy czternaście lat. Ja odejdę do świątyni Boga-Króla i pewnie nic się dla mnie nie zmieni. Ale ty naprawdę staniesz się Najwyższą Kapłanką. Nawet Kossil i Thar będą musiały cię słuchać.

Pożarta nie odpowiedziała. Na jej zawziętej twarzy pod czarnymi brwiami migotały oczy, odbijając blask jasnego nieba.

– Powinnyśmy już wracać – stwierdziła Penthe.

– Nie.

– Ale dozorczyni tkalni może się poskarżyć Thar. Niedługo już pora na Dziewięć Psalmów.

– Zostaję tutaj. I ty też.

– Ciebie nie ukarzą; mnie tak – poskarżyła się Penthe, choć bez wyrzutu.

Arha milczała. Penthe westchnęła i została przy niej. Słońce zapadało w mgiełkę ponad równiną. Z daleka słychać było dzwonki owiec i beczenie jagniąt. Podmuchy suchego wiosennego wiatru niosły słodkie zapachy.

Kiedy dziewczęta wróciły do Wielkiego Domu, Dziewięć Psalmów prawie się kończyło. Mebbeth zobaczyła, że siedzą na Murze Mężczyzn, i doniosła o tym swojej zwierzchniczce, Kossil, Najwyższej Kapłance Boga-Króla.

Ciężko zbudowana Kossil przemówiła do dziewcząt bez śladu emocji. Nakazała im iść za sobą. Poprowadziła je korytarzami Wielkiego Domu, przez frontowe drzwi, w górę do świątyni Atwaha

i Wuluaha. Tam opowiedziała o wszystkim Najwyższej Kapłance tej świątyni, Thar, wysokiej, suchej i chudej jak kość.

– Zdejmij szatę – poleciła Kossil Penthe.

Potem wychłostała dziewczynkę trzcinową rózgą, lekko nacinającą skórę. Penthe zniosła to w milczeniu, połykając łzy. Została odesłana do tkalni bez kolacji, z zapowiedzią, że następnego dnia także nie dostanie nic do jedzenia.

– Jeśli jeszcze raz zostaniesz przyłapana na Murze Mężczyzn, czeka cię coś o wiele gorszego. Zrozumiałaś? – Głos Kossil był cichy, lecz wcale nie łagodny.

Penthe odpowiedziała: „Tak" i wyszła, drżąc i kuląc się, gdy ciężka szata ocierała rany na plecach.

Arha stała obok Thar, obserwując chłostę. Teraz przyglądała się, jak Kossil płucze trzcinową rózgę.

– Nie uchodzi, by widziano cię wspinającą się i biegającą z innymi dziewczętami. Jesteś Arhą.

Arha spuściła głowę i milczała ponuro.

– Lepiej żebyś robiła tylko to, co robić powinnaś. Jesteś Arhą.

Dziewczynka na chwilę podniosła wzrok, spoglądając w twarz Thar, potem Kossil. W jej spojrzeniu była nienawiść albo wściekłość tak głęboka, że aż straszna. Lecz chuda kapłanka nie przejęła się tym; raczej podrażniła ją jeszcze bardziej, pochylając się, by rzucić szeptem:

– Jesteś Arhą! Nic już nie pozostało. Wszystko jest pożarte.

– Wszystko jest pożarte – powtórzyła dziewczynka tak, jak powtarzała codziennie, przez wszystkie dni życia, odkąd ukończyła sześć lat.

Thar pochyliła głowę; Kossil także, odkładając na bok rózgę. Dziewczynka odwróciła się z pokorą i wyszła.

Po kolacji złożonej z ziemniaków i zielonej cebuli, które zjadła w wąskim, ciemnym refektarzu, po odśpiewaniu wieczornych hymnów i umieszczeniu świętych znaków na drzwiach, po krótkim Rytuale Niewypowiedzianego, praca wyznaczona na ten dzień została wykonana. Dziewczęta mogły teraz iść do sypialni i bawić się kośćmi lub patyczkami, póki nie wypali się świeca z trzcinowym knotem. Potem, leżąc już w łóżkach, mogły szeptać do siebie w ciemności.

Arha, jak to czyniła co wieczór, ruszyła przez podwórza i dróżki Miejsca do Małego Domu, gdzie spała samotnie.

Wiosenny wiatr niósł słodkie zapachy. Gwiazdy błyszczały jasno jak pęki stokrotek na wiosennej łące, jak światła na morzu w kwietniu. Lecz dziewczynka nie pamiętała łąk ani morza. Nie patrzyła w górę.

– Hej, maleńka!

– Manan... – rzuciła obojętnie.

Wielki cień zrównał się z nią. Gwiazdy odbijały się w bezwłosej czaszce eunucha.

– Ukarały cię?

– Nie można mnie karać.

– Nie. To prawda.

– Nie mogły mnie ukarać. Nie ośmieliły się.

Stał ze zwieszonymi rękami, tęgi i słabo widoczny w mroku. Czuła zapach dzikiej cebuli, woń potu i szałwii wydzielaną przez jego starą czarną szatę, rozdartą na skraju i za krótką na niego.

– Nie mogą mnie dotknąć. Jestem Arhą – oświadczyła piskliwie i wyzywająco. A potem się rozpłakała.

Wielkie dłonie przytuliły ją, ściskały delikatnie i gładziły jej splecione włosy.

– Już dobrze, dobrze, mała pszczółko, moja malutka.

Usłyszała chrapliwy pomruk w głębi jego piersi. Przylgnęła do Manana. Łzy wyschły szybko, lecz nie wypuszczała go z objęć, jakby nie potrafiła ustać samodzielnie.

– Biedna maleńka – szepnął, biorąc dziecko na ręce. Zaniósł je aż do drzwi domu, gdzie spało samotnie. Tam postawił na ziemi. – Już dobrze, maleńka?

Kiwnęła głową, odwróciła się od niego i weszła do ciemnego wnętrza.

3

Więźniowie

Równe i ciężkie kroki Kossil odbijały się echem w korytarzu Małego Domu. Jej wysoka, tęga sylwetka przesłoniła otwór drzwi, zmalała, gdy kapłanka pokłoniła się, przyklękając na jedno kolano, urosła na powrót, kiedy się wyprostowała.

– Pani...

– O co chodzi, Kossil?

– Doglądanie niektórych spraw dotyczących dziedziny Bezimiennych do dziś dnia było moim obowiązkiem. Jeśli sobie życzysz, to nadszedł właśnie czas, byś się przyjrzała, nauczyła i przejęła ode mnie zadania, jakich w tym życiu jeszcze nie poznałaś.

Dziewczynka siedziała w pozbawionym okien pokoju. Powinna medytować, lecz właściwie nie robiła nic i nic prawie nie myślała. Chwila minęła, nim jej twarz straciła chłodny, wyniosły i obojętny wyraz. Straciła go jednak, choć starała się to ukryć.

– Labirynt? – spytała z pozorną niedbałością.

– Nie wejdziesz do Labiryntu. Konieczne jest jednak przejście przez Podgrobie.

W głosie Kossil zabrzmiał dziwny ton, jakby lęk, prawdziwy lub może udawany, by przerazić Arhę. Dziewczynka wstała bez pośpiechu.

– Dobrze – rzuciła obojętnie. Lecz podążając za wysoką, tęgą kapłanką Boga-Króla, krzyczała w duchu z radości: Nareszcie!

Nareszcie! Zobaczę w końcu moją własną dziedzinę!

Miała piętnaście lat. Minął ponad rok, odkąd stała się kobietą i równocześnie osiągnęła pełnię władzy jako Jedyna Kapłanka Grobowców Atuanu, najwyższa ze wszystkich kapłanek Wysp Kargadu, której nawet sam Bóg-Król nie ma prawa rozkazywać. Wszyscy teraz zginali przed nią kolano, nawet posępne Kossil i Thar. Wszyscy odzywali się z wyuczonym szacunkiem. Ale poza tym nic się nie zmieniło. Nic się nie stało. Kiedy dobiegły końca ceremonie konsekracji, dni mijały tak jak dotąd. Trzeba było zwijać wełnę, tkać czarny materiał, mielić mąkę, dopełniać rytuałów; co wieczór musiała odśpiewać Dziewięć Psalmów, pobłogosławić drzwi, dwa razy w roku nakarmić Kamienie Grobowe krwią koźlęcia, wykonać przed Pustym Tronem taniec nowiu księżyca. Tak przeminął rok, taki sam jak wszystkie poprzednie. Czy tak ma minąć całe jej życie?

Nuda wzbierała w niej tak mocno, że czasem odczuwała ją jak grozę dławiącą w gardle. Jakiś czas temu poczuła, że musi komuś o tym opowiedzieć, inaczej popadnie w obłęd. Mogła rozmawiać tylko z Mananem. Duma nie pozwalała jej zwierzać się innym dziewczętom, a ostrożność – starszym kobietom. Lecz Manan był nikim, tylko wiernym głupcem. Nie miało znaczenia, co mu powie. Ku jej zdziwieniu, zawsze miał dla niej odpowiedź.

– Dawno temu – powiedział kiedyś – wiesz, maleńka, zanim cztery nasze wyspy połączyły się w jedno imperium, zanim Bóg-Król zapanował nad nami wszystkimi, rządziło tu wielu pomniejszych królów, książąt i wodzów. Zawsze kłócili się między sobą. I przychodzili tutaj, by rozstrzygnąć swoje spory. Tak właśnie było; przybywali z naszego Atuanu, z Karego-At i Atnini, nawet z Hur-at-Hur... wszyscy ci książęta i wodzowie ze swoją służbą i wojskiem. I pytali cię, co mają robić. A ty stawałaś przed Pustym Tronem, a potem przekazywałaś im rady Bezimiennych. Tak było dawno temu. Po pewnym czasie Królowie-Kapłani zaczęli rządzić Atuanem, a teraz, od czterech czy pięciu pokoleń, Bogowie-Królowie władają wszystkimi czterema wyspami, z których stworzyli imperium. Wiele się zmieniło. Bóg-Król potrafi poskromić niepokornych wodzów i sam rozwiązuje ich spory. A że jest bogiem, rozumiesz, nie musi tak często radzić się Bezimiennych.

Arha zastanowiła się nad tym. Czas niewiele znaczył w tej pustynnej krainie, pod niezmiennymi Kamieniami Grobowymi, w życiu płynącym tak samo od początku świata. Nie potrafiła się pogodzić z myślą o zmianie, o upadku dawnych obyczajów i powstawaniu nowych. Nie podobał się jej taki punkt widzenia.

– Moc Boga-Króla jest o wiele mniejsza od mocy tych, którym ja służę – stwierdziła, marszcząc brwi.

– Z pewnością... Ale trudno to powiedzieć bogu, mała pszczółko. Albo jego kapłance.

Patrząc w małe brązowe oczka Manana, pomyślała o Kossil, Najwyższej Kapłance Boga-Króla, której bała się od samego początku, odkąd przybyła do Miejsca. Wiedziała, o czym mówi eunuch.

– Ale Bóg-Król i jego lud zaniedbują wiarę Grobowców. Nikt już tu nie przychodzi.

– No cóż, przysyłają więźniów na ofiary. Tego nie zaniedbują. Nie zapominają też o darach należnych Bezimiennym.

– Dary! Świątynię Boga-Króla malują co roku, cetnar złota leży na ołtarzu, w lampach palą różanym olejkiem! A spójrz na Salę Tronu: dziurawy dach, popękana kopuła, w ścianach żyją myszy, sowy i nietoperze... ale i tak przetrwa wszystkich Bogów-Królów i wszystkie ich świątynie. Istniała przed nimi, a kiedy odejdą, nadal będzie tu stała. To jest środek wszechrzeczy.

– To jest środek wszechrzeczy.

– Są tam bogactwa; Thar opowiada czasem o nich. Dość, by dziesięciokrotnie zasypać świątynię Boga-Króla. Złoto i klejnoty ofiarowane całe wieki, setki pokoleń temu... Kto wie, jak dawno. Wszystko leży zamknięte w grotach i skarbcach, pod ziemią. Nie chcą mnie jeszcze tam zabrać; każą mi czekać i czekać. Ale wiem, jak tam jest. Pod wzgórzem są komnaty, pod całym Miejscem, także tu, gdzie teraz stoimy. Tam jest ogromna sieć korytarzy, Labirynt, jak wielkie, ciemne, podziemne miasto. Pełne złota, mieczy dawnych bohaterów, starych koron i kości, i lat, i ciszy.

Mówiła jak w transie. Manan przyglądał się jej z niepokojem. Jego tłusta twarz nigdy nie wyrażała niczego prócz smutku. Teraz była smutniejsza niż zwykle.

– To prawda. A ty jesteś panią tego wszystkiego – powiedział. – Ciszy i ciemności.

– Tak. A one nie chcą mi nic pokazać, tylko pomieszczenia na powierzchni ziemi, za Tronem. Nie pokazały mi nawet wejścia do podziemi; mamroczą tylko czasem na ten temat. Nie wpuszczają mnie do mojej dziedziny! Dlaczego każą mi czekać i czekać?

– Jesteś młoda – odparł chrapliwym altem Manan. – A może... może po prostu się boją, maleńka. Przecież to nie ich dziedzina. Twoja. Kiedy tam wchodzą, grozi im niebezpieczeństwo. Każdy śmiertelnik lęka się Bezimiennych.

Arha milczała, lecz oczy jej rozbłysły. Jeszcze raz Manan ukazał jej nowy sposób widzenia pewnych spraw. Tak wspaniałe, zimne, potężne wydawały jej się zawsze Thar i Kossil, że nie wyobrażała sobie, by mogły się czegoś bać. Lecz eunuch miał rację. Lękały się tamtych miejsc i sił, których Arha była kapłanką. Bały się wejść w ciemność, by nie zostały pożarte.

Teraz, gdy schodziła wraz z Kossil schodami od drzwi Małego Domu, a potem wspinała się stromą ścieżką w stronę Sali Tronu, wspominała tamtą rozmowę z Mananem i czuła radość. Nieważne, gdzie ją zabiorą i co pokażą, nie przestraszy się. Będzie wiedziała, co robić.

– Jednym z zadań, jakie wykonywałam w imieniu mojej pani, jak jej wiadomo – odezwała się Kossil idąca nieco z tyłu – było składanie w ofierze więźniów, przestępców szlachetnie urodzonych, którzy świętokradztwem lub zdradą zgrzeszyli przeciw naszemu panu, Bogu-Królowi.

– Albo przeciwko Bezimiennym – dodała Arha.

– W istocie. Nie jest właściwe, by Pożarta spełniała te obowiązki, będąc jeszcze dzieckiem. Lecz pani moja już dzieckiem nie jest. Więźniowie czekają w Komnacie Łańcuchów, przysłani tu z łaski pana naszego, Boga-Króla, z jego miasta Awabath.

– Nikt mi nie mówił, że przybyli więźniowie. Dlaczego?

– Więźniów sprowadza się nocą, sekretnie, albowiem tak nakazuje pradawny rytuał Grobowców. To tajemna droga, na którą pani moja wkroczy, gdy wejdzie na ścieżkę biegnącą obok muru.

Arha skręciła wzdłuż wysokiego muru otaczającego Grobowce. Kamienie, z których go zbudowano, były masywne; najmniejszy cięższy był od człowieka, największe miały wielkość wozu. Choć bezkształtne, zostały starannie ułożone i dopasowane. Mimo to w niektórych miejscach mur się rozsypywał, a odłamki leżały stosami na ziemi. Jedynie czas mógł tego dokonać, całe wieki gorących dni i mroźnych nocy, ruchy gruntu mierzone w tysiącleciach.

– Nietrudno się wspiąć na mur Grobowców – zauważyła Arha.

– Nie mamy dość ludzi, by go odbudować – odparła Kossil.

– Ale dość, by go strzegli.

– To tylko niewolnicy. Nie można im ufać.

– Można, jeśli będą się bali. Niech kara dla nich będzie taka sama jak dla obcego, który postawi stopę na świętej ziemi za murem.

– Jaka to kara? – Kossil pytała nie po to, by się dowiedzieć. Dawno temu sama nauczyła Arhę odpowiedzi na to pytanie.

– Ścięcie głowy przed Pustym Tronem.

– Czy pani moja pragnie, by postawiono straże przy murze?

– Tak – potwierdziła dziewczyna.

Zaciskała w podnieceniu ukryte w długich rękawach palce. Wiedziała, że Kossil nie chce marnować niewolników na pilnowanie muru. I rzeczywiście, wcale nie było to potrzebne, gdyż jacy obcy tu przybywali? Nie wierzyła, by ktokolwiek niezauważony, przypadkiem lub celowo, znalazł się w promieniu mili od Miejsca Grobowców, a już na pewno nie dostałby się w pobliże. Ale straż sprawi, że będą uhonorowane. Kossil nie może spierać się z nią w tym względzie. Musi być posłuszna.

– To tutaj – odezwał się zimny głos kapłanki.

Arha się zatrzymała. Często spacerowała ścieżką pod Murem Grobowców i znała ją, jak znała każdy skrawek Miejsca, każdy kamień, cierń i oset. Wysoki na trzech ludzi potężny mur wznosił się po jej lewej ręce. Po prawej zbocze opadało w płytką, jałową dolinę. Kawałek dalej teren wznosił się znowu ku wzgórzom na zachodzie. Rozejrzała się uważnie, lecz nie zobaczyła niczego, czego nie widziałaby już przedtem.

– Pod czerwoną skałą, pani.

Nieco poniżej ścieżki język czerwonej lawy tworzył stopień czy maleńkie urwisko. Zeszła tam i stojąc twarzą do skał, spostrzegła, że tworzą jakby bramę.

– Co trzeba uczynić?

Już dawno nauczyła się, że w świętych miejscach nie należy otwierać drzwi, póki się nie wie, jak należy to robić.

– Pani moja posiada wszystkie klucze do miejsc ciemności.

Od rytuału dojrzałości Arha nosiła u pasa żelazne kółko, na którym wisiał mały sztylet i trzynaście kluczy; niektóre długie i ciężkie, inne małe jak haczyki na ryby.

– To ten – wskazała Kossil, po czym przytknęła swój gruby palec do szczeliny między dwiema nierównymi powierzchniami czerwonego kamienia.

Długi klucz z dwoma ozdobnymi piórami wsunął się między skały. Arha chwyciła go oburącz i przekręciła gładko, choć z trudem.

– Co teraz?

– Razem...

Wspólnie naparły na kamienną powierzchnię na lewo od dziurki od klucza. Powoli, lecz płynnie i prawie bez hałasu odsunęła się nierówna płyta czerwonej skały, odsłaniając wąską szczelinę. Wewnątrz panowała ciemność.

Arha pochyliła się i zagłębiła w mrok.

Kossil, tęga kobieta w grubych szatach, musiała się przeciskać przez wąskie przejście. Gdy tylko znalazła się wewnątrz, oparła plecy o kamienne odrzwia i zamknęła je z wysiłkiem.

Nic tu nie rozpraszało absolutnego mroku. Niby mokry filc zdawał się przylegać do otwartych oczu.

Kossil i Arha zginały się niemal wpół, tak niski był korytarz, a tak wąski, że Arha wyciągniętymi rękami dotykała szorstkiej skały po lewej i po prawej stronie równocześnie.

– Przyniosłaś światło?

Zapytała szeptem, tak jak się mówi w ciemności.

– Nie – odparła z tyłu Kossil. Mówiła głosem zniżonym, lecz brzmiącym dziwnie, jak gdyby się uśmiechała. A przecież Kossil nigdy się nie uśmiechała. Serce Arhy podskoczyło gwałtownie, czuła

uderzenia krwi w krtani. Z uporem powtarzała sobie: To mój teren, nie będę się bała!

Nie powiedziała ani słowa. Ruszyła przed siebie; była tylko jedna droga. Prowadziła do wnętrza wzgórza i w dół.

Kossil szła za nią, oddychając z wysiłkiem. Jej szaty szeleściły, czepiając się skał i piachu.

Nagle sklepienie się uniosło; Arha mogła już stanąć wyprostowana, a wyciągnąwszy ręce na boki, nie sięgała ścian. Stęchłe dotąd i pachnące ziemią powietrze teraz muskało jej twarz wilgotnym chłodem, a jego drobne poruszenia wywoływały wrażenie rozległej przestrzeni. Arha ostrożnie postąpiła kilka kroków w absolutną ciemność. Spod jej sandałów wyśliznął się kamyk, uderzył w inny i cichy stuk zbudził echo... wiele ech, delikatnych, dalekich, jeszcze dalszych. Grota musiała być ogromna, wysoka i szeroka, lecz nie pusta. Coś w mroku, powierzchnie niewidocznych obiektów lub ścian, rozbijały echa na tysiące fragmentów.

– Musimy być teraz pod Kamieniami Grobowymi – szepnęła, a jej głos pomknął w czarną pustkę, rozdzielony na pajęcze nici odbić, długo jeszcze lgnące do uszu.

– Tak, to Podgrobie. Idźmy. Ja nie mogę tu zostać. Trzymaj się ściany po lewej ręce, aż miniesz trzy przejścia.

Kossil syczała raczej niż szeptała, a delikatne echa syczały wraz z nią. Nie czuła się dobrze tutaj, wśród Bezimiennych, w ich grobowcach, ich grotach, w ciemności.

– Przyjdę tu z pochodnią – oznajmiła Arha, dotykając palcami ściany, która ją prowadziła.

Zdumiewały ją niezwykłe kształty, jakie wyczuwała: wgłębienia i wybrzuszenia, delikatne krzywe krawędzie, tu szorstkie jak koronki, ówdzie gładkie jak mosiądz. Na pewno zostały wyrzeźbione. Może cała ta grota była dziełem rzeźbiarzy z dawnych dni...

– Światło w tym miejscu jest zakazane – odparła ostro Kossil. Nim jeszcze to powiedziała, Arha pojęła, że tak właśnie być musi. Znalazła się w domu ciemności, w najgłębszym ośrodku nocy.

Trzy razy palce Arhy pokonały pustkę rozwierającą się w kamiennej czerni. Za czwartym razem jej ręce odkryły przejście. Weszła, a Kossil podążała za nią.

W tunelu, wznoszącym się lekko w górę, minęły otwór korytarza po lewej stronie. Potem, przy rozwidleniu, skręciły w prawo; wszystko na dotyk. Niczym ślepe wymacywały drogę w ciszy panującej we wnętrzu ziemi. W takim tunelu trzeba było niemal bez przerwy dotykać ścian, by nie pominąć jakiegoś korytarza, którego wylot miał być policzony. Dotyk był jedynym przewodnikiem. Idący nie widział drogi, lecz trzymał ją w dłoniach.

– Czy to Labirynt?

– Nie. To mniejsza sieć, pod Tronem.

– A gdzie jest wejście do Labiryntu? – Dziewczynie podobała się ta wędrówka przez ciemność, ale pragnęła stanąć wobec większej zagadki.

– Drugi korytarz, jaki minęłyśmy w Podgrobiu. Szukaj teraz drzwi po prawej stronie. Drewnianych drzwi. Może już zaszłyśmy za daleko.

Arha słyszała, jak Kossil nerwowo obmacuje ścianę, skrobiąc o kamienie. Sama lekko muskała je czubkami palców i po chwili wyczuła gładką powierzchnię drewna. Pchnęła. Drzwi zgrzytnęły i otworzyły się bez oporu. Znieruchomiała na moment, oślepiona blaskiem.

Po chwili obie weszły do dużego, niskiego, wykutego w skale pomieszczenia oświetlonego zwisającą na łańcuchu pojedynczą pochodnią. Cuchnęło tu dymem, który nie miał ujścia. Oczy Arhy piekły i łzawiły.

– Gdzie są więźniowie?

– Tam.

Wtedy zrozumiała, że trzy niewyraźne wzgórki po drugiej stronie komory to ludzie.

– Drzwi nie były zamknięte? Nie ma straży?

– Nie ma potrzeby.

Weszła dalej, niepewnie wytężając wzrok w zadymionej przestrzeni. Więźniowie byli przykuci za obie kostki i jedną rękę do wielkich, wbitych w skałę pierścieni. Gdyby któryś chciał się położyć, jego ręka zwisałaby na łańcuchu podniesiona w górę. Cienie i splątane w jedną masę brody i włosy więźniów skrywały ich twarze.

Jeden z nich na wpół leżał, dwaj pozostali siedzieli, a może raczej kucali. Byli nadzy. Odór ich ciał przebijał się nawet przez swąd dymu.

Zdawało się jej, że któryś patrzy na nią; dostrzegła chyba błysk oczu, lecz nie była pewna. Pozostali nie poruszyli się ani nie podnieśli głów.

Odwróciła się.

– Nie są już ludźmi – stwierdziła.

– Nigdy nie byli ludźmi. To demony, bestie spiskujące przeciw błogosławionemu życiu Boga-Króla! – Oczy Kossil płonęły czerwonym blaskiem pochodni.

Arha spojrzała na więźniów, zalękniona i ciekawa.

– Jak człowiek może atakować boga? Ty powiedz: jak śmiałeś podnieść rękę na żywego boga?

Jeden z mężczyzn spojrzał na nią przez czarną plątaninę włosów, lecz milczał.

– Przed odjazdem z Awabath wyrwano im języki – wyjaśniła Kossil. – Nie mów do nich, pani. To robactwo. Należą do ciebie, ale nie po to, byś z nimi rozmawiała, patrzyła na nich czy o nich myślała. Należą do ciebie, byś oddała ich Bezimiennym.

– Jak ma się to dokonać?

Arha nie patrzyła na więźniów. Wpatrywała się w Kossil, czerpiąc siłę z jej chłodu, z widoku jej masywnego ciała. Kręciło jej się w głowie, a smród dymu i brudu przyprawiał o mdłości. Mimo to Kossil zachowywała absolutny spokój. Czy wiele razy robiła już coś takiego?

– Kapłanka Grobowców wie najlepiej, jaki rodzaj śmierci zadowoli jej władców. Sama powinna wybrać. Jest wiele sposobów.

– Niech Gobar, kapitan straży, odrąbie im głowy. A krew zostanie wylana przed Tronem.

– Jakby byli kozłami ofiarnymi? – Miała wrażenie, że Kossil naśmiewa się z jej braku wyobraźni. Milczała oszołomiona, a kapłanka mówiła dalej: – Poza tym Gobar jest mężczyzną. Mężczyzna nie może wejść w mrok Grobowców. Z pewnością pani moja pamięta o tym? Jeśli mężczyzna tu wejdzie, nie może wyjść...

– A kto ich tu przyprowadził? Kto ich karmi?

– Dozorcy, słudzy mojej świątyni, Duby i Uahto. Są eunuchami i mogą tu wejść w służbie Bezimiennych, jak i ja mogę. Żołnierze Boga-Króla zostawili więźniów związanych pod murem, a ja i dozorcy przenieśliśmy ich przez Wrota Więźniów, te drzwi w czerwonej skale. Tak jest zawsze. Wodę i pożywienie spuszcza się im przez klapę w jednej z komnat za Tronem.

Arha obok łańcucha, na którym wisiała pochodnia, dostrzegła drewnianą klapę wpasowaną w kamienny strop. Była o wiele za mała, by człowiek zdołał przecisnąć się przez otwór, lecz spuszczona tamtędy lina opadłaby akurat w zasięgu rąk środkowego więźnia.

– Niech zatem nie dają im więcej jedzenia i wody. Niech wypali się pochodnia.

Kossil skłoniła głowę.

– A co z ciałami, gdy już umrą?

– Niech Duby i Uahto zakopią je w wielkiej grocie, przez którą przechodziłyśmy. W Podgrobiu. – Arha mówiła szybko i piskliwie. – Moi władcy je pożrą.

– Tak się stanie.

– Dobrze zrobiłam, Kossil?

– Dobrze, pani.

– Chodźmy więc.

Arha odwróciła się i ruszyła do drzwi, by jak najszybciej wyjść z Komnaty Łańcuchów i znaleźć się w mroku korytarza. Wydawał się teraz przyjazny i spokojny jak bezgwiezdna noc, cichy, bez światła, bez życia. Rzuciła się w czystą ciemność, rozgarniając ją jak pływak wodę. Kossil spieszyła za nią zdyszana i zmęczona, coraz bardziej zostając z tyłu. Arha bez wahania mijała wyloty jednych korytarzy i skręcała w inne, powtarzając przebytą drogę. Przebiegła skrajem ogromnego, pełnego ech Podgrobia, weszła w długi tunel wiodący do zamkniętych drzwi w skale. Znalazła je, lecz nie potrafiła odszukać dziurki od klucza. W niewidocznej skalnej płycie nie zajaśniał żaden świetlny punkcik. Obmacywała kamień, szukając zamka, rygla czy klamki. Bez skutku. Gdzie włożyć klucz? Jak można się stąd wydostać?

– Pani!

Wzmocniony echem głos Kossil huczał za plecami.

– Pani, te drzwi nie otwierają się od wewnątrz. Nie ma wyjścia. Nie można wrócić.

Arha przykucnęła obok skały. Milczała.

– Arho!

– Tu jestem.

– Chodź!

Ruszyła, pełzając na czworakach jak pies do spódnic Kossil.

– Na prawo! Szybko! Nie wolno mi zwlekać. To nie jest moje miejsce. Idź za mną.

Arha wstała, trzymając się szaty Kossil. Bardzo długo szły szybko wzdłuż rzeźbionej ściany groty po prawej ręce. Potem skręciły w pustkę pośród czerni. Teraz szły w górę, najpierw tunelem, później schodami. Dziewczyna nie wypuszczała z dłoni szat kapłanki. Oczy miała zamknięte.

Pojawiło się światło, czerwone poprzez zamknięte powieki. Myślała, że to blask pochodni w tamtej zadymionej grocie, i nie otwierała oczu. Lecz powietrze pachniało słodkawo: suche, lekko stęchłe, znajome. Stąpała po stopniach stromych jak drabina. Puściła Kossil i spojrzała. Nad głową dostrzegła otwartą klapę. Przecisnęła się za kapłanką do znajomej izdebki – małej kamiennej komórki, w której stało kilka skrzyń i żelaznych szkatułek. Była w jednym z pomieszczeń na tyłach Sali Tronu. W korytarzu za drzwiami jaśniało szare światło dnia.

– Tamte drzwi, Wrota Więźniów, prowadzą jedynie do tuneli. Nie prowadzą na zewnątrz. To jest jedyne wyjście. Może istnieje inne, lecz ja o nim nie wiem. Thar także nie. Jeśli je znajdziesz, sama musisz o nim pamiętać. Ale nie wierzę, by takie było. – Kossil nadal mówiła szeptem, w którym jednak brzmiała złośliwość. Pod czarnym kapturem jej otyła twarz była blada i mokra od potu.

– Nie pamiętam, gdzie trzeba skręcić, by tu dojść.

– Powiem ci. Raz. Potem musisz pamiętać. Nigdy więcej z tobą nie pójdę. To nie jest moje miejsce. Musisz chodzić sama.

Dziewczyna skinęła głową. Spojrzała na kapłankę, myśląc, jak dziwnie wygląda jej twarz: blada, z wyrazem ledwie skrywanego

strachu, a jednak triumfująca – jak gdyby Kossil cieszyła się jej słabością.

– Będę chodziła sama – powiedziała Arha i odwracając się, poczuła, że nogi się pod nią uginają, a pokój wiruje dookoła. Zemdlała i jak mały czarny wzgórek legła u stóp kapłanki.

– Nauczysz się – mruknęła Kossil. Stała bez ruchu i dyszała ciężko. – Nauczysz.

4

Sny i opowieści

Przez kilka dni Arha nie czuła się dobrze. Miała gorączkę. Leżała w łóżku albo odpoczywała na ganku Małego Domu, grzejąc się w łagodnym jesiennym słońcu i spoglądając na zachodnie wzgórza. Była słaba i oszołomiona. Wciąż na nowo nawiedzały ją te same myśli. Wstydziła się swojego omdlenia.

Nie ustawiono straży wzdłuż Muru Grobowców, lecz teraz już nie ośmieli się prosić o to Kossil. Nie chciała jej więcej widzieć. Nigdy. Albowiem było jej wstyd.

Często za dnia planowała, jak się zachowa, gdy znów wejdzie w ciemność pod wzgórzem. I wiele razy zastanawiała się, jaką śmierć powinna wyznaczyć następnej grupie więźniów: bardziej wymyślną, lepiej odpowiadającą rytuałom Pustego Tronu.

Każdej nocy budziła się w ciemnościach z krzykiem:

– Jeszcze nie umarli! Oni wciąż umierają!

Wiele śniła. Śniła o tym, że musi gotować jedzenie; wielkie kotły pełne pożywnej owsianki, które wylewała do dziury w ziemi. Śniła, że musi nieść pełen dzban wody; głęboki, mosiężny dzban dla kogoś, kto był spragniony. Nigdy do niego nie docierała. Budziła się i sama czuła pragnienie, ale nie wstawała, by się napić. Leżała rozbudzona, z otwartymi szeroko oczami, w pokoju bez okien.

Pewnego ranka Penthe przyszła się z nią zobaczyć. Arha widziała z ganku, jak zbliża się do Małego Domu – na pozór niedbale

i obojętnie, jak gdyby znalazła się tutaj zupełnie przypadkowo. Gdyby Arha się nie odezwała, poszłaby dalej. Ale Arha czuła się samotna i ją zawołała.

Penthe skłoniła się głęboko, jak każdy, kto podchodził do Kapłanki Grobowców, po czym energicznie usiadła na schodach, wydając z siebie dźwięk brzmiący jak „fiuf!". Była wysoka i pulchna; czerwieniła się przy najmniejszym wysiłku. Teraz też była zarumieniona po spacerze.

– Słyszałam, że jesteś chora. Przyniosłam ci parę jabłek. – Spod obszernej czarnej szaty wyjęła wiklinowy koszyk, w którym leżało sześć czy osiem doskonale żółtych owoców. Penthe została konsekrowana do służby Bogu-Królowi i teraz pod komendą Kossil pomagała w jego świątyni. Nie była jeszcze kapłanką, więc uczyła się i pracowała razem z nowicjuszkami. – W tym roku z Poppe przebierałyśmy jabłka, więc schowałam te najlepsze. Zawsze je suszą. Oczywiście, w ten sposób się nie psują, ale jednak szkoda. Czy nie są śliczne?

Arha dotknęła bladozłotych aksamitnych skórek, spojrzała na ogonki, których jeszcze trzymały się liście.

– Tak, są śliczne.

– Zjedz jedno – zachęciła Penthe.

– Nie teraz. Ale ty zjedz.

Penthe z grzeczności wybrała najmniejsze i zjadła je w dziesięciu soczystych, umiejętnych, smakowitych kęsach.

– Mogłabym jeść cały dzień – wyznała. – Nigdy nie mam dość. Szkoda, że nie jestem kucharką. Gotowałabym lepiej niż ta chuda Nathabba, a poza tym mogłabym wylizywać garnki. Słyszałaś o Munith? Miała wypolerować te mosiężne dzbanki, w których trzymają olejek różany, no wiesz, te wysokie i wąskie, z korkami. A ona myślała, że od środka też ma je wyczyścić, więc wsadziła rękę ze szmatką, wiesz, i potem nie mogła wyjąć. Ciągnęła z całej siły, aż spuchł jej nadgarstek, wiesz, tak że naprawdę wpadła. Biegała po wszystkich sypialniach i wrzeszczała: „Nie mogę wyciągnąć ręki! Nie mogę wyciągnąć ręki!". A Punti jest głuchy i myślał, że to pożar, więc zaczął poganiać innych dozorców, żeby ratowali nowicjuszki. Uahto był akurat przy dojeniu, wyleciał z zagrody i zostawił otwartą bramę,

więc wszystkie kozy wybiegły i wpadły na dziedziniec, prosto na Punti, dozorców i te małe. A Munith ciągle wymachiwała dzbankiem na ręce i dostała histerii. Wszyscy biegali w kółko. Kossil akurat wychodziła ze świątyni, no i pyta: „Co to ma znaczyć? Co to ma znaczyć?”.

Jasna, okrągła buzia Penthe przybrała odpychający wyraz, wcale niepodobny do lodowatej miny Kossil, lecz jednocześnie tak przypominający kapłankę, że Arha parsknęła śmiechem, niemal przestraszona.

– „Co to ma znaczyć? Co to ma znaczyć?”, pyta Kossil, i wtedy... wtedy ta brązowa koza... ubodła ją! – Penthe śmiała się tak, że łzy stanęły jej w oczach. – A M-Munith walnęła tę... tę kozę dz-dz-dzbankiem...

Dziewczęta kołysały się w spazmatycznym chichocie, obejmowały kolana ramionami i krztusiły się ze śmiechu.

– Kossil odwróciła się i powiedziała: „Co to ma znaczyć? Co to ma znaczyć?”, do... do... do... kozy... – Zakończenie historii utonęło w wybuchach śmiechu. Wreszcie Penthe wytarła oczy i nos, po czym z roztargnieniem wyjęła z koszyka następne jabłko.

Śmiech sprawił, że Arha drżała jeszcze przez chwilę.

– Jak tu trafiłaś, Penthe? – spytała po chwili, gdy się wreszcie uspokoiła.

– Och, byłam szóstą córką, jaką mieli moja mama i tato. Po prostu nie mogli wychować nas tylu i powydawać za mąż. Więc kiedy skończyłam siedem lat, zaprowadzili mnie do świątyni i poświęcili Bogu-Królowi. To było w Ossawie. Mieli tam chyba za dużo nowicjuszek, bo wkrótce potem przysłali mnie tutaj. A może myśleli, że będę wyjątkowo dobrą kapłanką albo co... Ale się pomylili. – Penthe z zabawnie żałosną miną ugryzła jabłko.

– Wolałabyś nie być kapłanką?

– Czy bym wolała? Oczywiście. Wolałabym raczej wyjść za świniopasa i mieszkać w chlewie, niż do końca swoich dni tkwić pogrzebana za życia z tą kupą kobiet na pustyni, gdzie nikt nigdy nie przyjeżdża. Ale co mi z tego, że bym wolała, kiedy zostałam konsekrowana i wpadłam na dobre. Mam tylko nadzieję, że w następnym życiu będę tancerką w Awabath. Zasłużyłam na to.

Arha patrzyła na nią posępnie. Nie rozumiała. Miała wrażenie, że nigdy dotąd nie widziała Penthe, nigdy się jej nie przyglądała, nie dostrzegała jej, tak soczystej i pełnej życia jak jedno z tych złotych jabłek, na które przyjemnie było spojrzeć.

– Czy świątynia nic dla ciebie nie znaczy? – zapytała dość szorstkim tonem.

Zawsze pokorna i łatwa do zastraszenia Penthe tym razem nie straciła rezonu.

– Och, wiem, że twoi władcy są dla ciebie ważni – odparła z obojętnością, która Arhę zaszokowała. – To oczywiste, skoro jesteś ich jedyną, wyjątkową służką. Nie byłaś zwyczajnie konsekrowana, ale specjalnie po to się urodziłaś. Ale spójrz na mnie. Czy mam odczuwać lęk, szacunek i tak dalej dla Boga-Króla? W końcu to tylko człowiek, nawet jeśli mieszka w Awabath, w pałacu rozległym na dziesięć mil dookoła i ze złotymi dachami. Ma jakieś pięćdziesiąt lat i jest łysy. Widać to na wszystkich jego posągach. Założę się, że tak jak wszyscy musi sobie obcinać paznokcie. Wiem dobrze, że jest też bogiem. Ale moim zdaniem po śmierci nabierze dużo więcej boskości.

Arha przyznawała Penthe rację, w głębi duszy bowiem sama uważała samozwańczych Świątobliwych Imperatorów Kargadu za oszustów, fałszywych bogów próbujących odebrać cześć należną prawdziwym i wiecznym potęgom. W słowach dziewczyny pobrzmiewało jednak coś takiego, z czym nie mogła się pogodzić, coś całkowicie obcego, budzącego lęk. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo ludzie różnią się od siebie, w jak różny sposób patrzą na życie. Miała uczucie, że spostrzegła całkiem nową planetę, wielką i zaludnioną, która nagle zawisła tuż za oknem – zupełnie obcy świat, w którym bogowie nie mają znaczenia. Siła niewiary Penthe ją przeraziła. I przerażona Arha zaatakowała.

– To prawda. Moi władcy są martwi od bardzo dawna. I nigdy nie byli ludźmi... Wiesz, Penthe, mogłabym cię powołać do służby Grobowcom... – Mówiła uprzejmie, jakby proponowała przyjaciółce przysługę.

Rumieniec zniknął z policzków Penthe.

– Tak – odparła. – Mogłabyś. Ale ja... Ja nie służyłabym dobrze.

– Dlaczego?

– Boję się ciemności – szepnęła Penthe.

Arha prychnęła z pogardą, była jednak zadowolona. Udowodniła swój punkt widzenia. Penthe mogła nie wierzyć w bogów, ale bała się nienazwanych sił ciemności – tak samo jak wszyscy śmiertelni.

– Wiesz, że nie zrobiłabym tego, gdybyś sama nie chciała – zapewniła.

Milczały przez długą chwilę.

– Coraz bardziej przypominasz Thar – odezwała się wreszcie Penthe w zamyśleniu. – Dzięki bogom, nie robisz się podobna do Kossil. Ale jesteś silna. Chciałabym być taka silna. A ja tylko lubię jeść...

– Nie krępuj się – zachęciła ją Arha, po czym z poczuciem wyższości i z rozbawieniem obserwowała, jak Penthe powoli zjada trzecie jabłko.

Kilka dni później niekończące się obowiązki rytuałów wyrwały Arhę z odosobnienia. Jedna z kóz urodziła dwa młode poza sezonem i obyczaj nakazywał ofiarować je Bliźniaczym Boskim Braciom – to ważna ceremonia, na której Pierwsza Kapłanka musiała być obecna. Potem wypadła pora nowiu i trzeba było dopełnić rytuału ciemności przed Pustym Tronem. Arha wdychała oszałamiające opary ziół płonących w płaskich misach z brązu i tańczyła samotnie u stóp Tronu. Tańczyła dla niewidzialnych duchów umarłych i nienarodzonych, i w miarę tańca te duchy zbierały się w powietrzu wokół niej, powtarzając skręty i przesunięcia stóp, wolne i pewne ruchy ramion. Śpiewała pieśń, której słów żaden człowiek nie rozumiał, a której sylaba po sylabie nauczyła się od Thar. Chór kapłanek ukrytych w mroku za podwójnym szeregiem kolumn recytował za nią obce słowa, a powietrze w ogromnej, zrujnowanej sali rozbrzmiewało głosami, jak gdyby stłoczone wokół duchy także powtarzały pieśń, znowu i znowu.

***

Bóg-Król w Awabath nie przysyłał kolejnych więźniów i Arha przestała śnić o tamtych trzech, teraz już dawno martwych i pogrzebanych w płytkich mogiłach w wielkiej grocie pod Kamieniami Grobowymi.

Musiała przywołać na pomoc całą swoją odwagę, by wrócić do tej groty. Musiała wrócić – Jedyna Kapłanka nie mogła się lękać wejścia do swej dziedziny.

Pierwsze zejście przez klapę było trudne, lecz nie tak trudne, jak się obawiała. Przygotowała się dobrze i czuła taką determinację, by wkroczyć tam i nie tracić spokoju, że kiedy to nastąpiło, była niemal rozczarowana, że nie ma się czego bać. Były tam groby, ale nie widziała ich; nie widziała niczego. Panowała ciemność. I cisza. Nic więcej.

Dzień po dniu zstępowała pod ziemię, zawsze przez klapę w pokoju za Tronem, aż poznała przedziwnie rzeźbione ściany groty tak dokładnie, jak można poznać to, czego się nie da zobaczyć. Nigdy nie odstępowała tych ścian, gdyż ruszając na przełaj przez wielką pustkę, wśród czerni łatwo mogła stracić poczucie kierunku i dotknąwszy w końcu ściany, nie wiedzieć, gdzie się znajduje. Już za pierwszym razem nauczyła się bowiem, że najważniejsza w ciemności jest wiedza, które korytarze i rozwidlenia już minęła, a jakie są jeszcze przed nią. W tym celu musiała je liczyć, gdyż w dotyku wszystkie zdawały się identyczne. Wyćwiczona pamięć bez trudu opanowała odnajdywanie drogi za pomocą rąk i numeracji zamiast wzroku i orientacji w terenie. Wkrótce poznała wszystkie przejścia otwierające się do Podgrobia, mniejszego obszaru pod Salą Tronu i szczytem wzgórza. Tylko do jednego korytarza nie weszła nigdy – drugiego po lewej stronie, licząc od wejścia przez bramę w czerwonej skale. Gdyby tam skręciła, biorąc go za jeden z poznanych już tuneli, mogłaby nigdy nie znaleźć drogi powrotnej. Lecz coraz bardziej narastało w niej pragnienie, by go zbadać, by wejść do Labiryntu. Powstrzymywała się do chwili, gdy dowie się wszystkiego, czego mogła się dowiedzieć na powierzchni ziemi.

Thar nie wiedziała zbyt wiele. Jedynie nazwy niektórych komnat i listę wskazań, w które korytarze skręcać, a które omijać. Powtarzała je na prośbę Arhy, lecz nigdy nie chciała wyrysować drogi

na piasku ani nawet opisać jej gestem ręki. Nigdy nie była w Labiryncie, nigdy nie przeszła tych dróg. Gdy jednak Arha pytała: „Jak dojść od stojących otworem żelaznych wrót do Malowanej Komnaty?" albo „Jak biegnie droga z Komnaty Kości do tunelu przy rzece?", Thar milkła na chwilę, po czym recytowała wskazówki, których nauczyła się od Arhy-która-odeszła: minąć tyle a tyle korytarzy, tyle a tyle razy skręcić i tak dalej, i tak dalej. Instrukcji tych Arha uczyła się na pamięć, jak dawniej Thar, i często znała je już po pierwszym wysłuchaniu. Nocą, leżąc w łóżku, powtarzała je w myślach, próbując wyobrazić sobie te komnaty i rozwidlenia.

Thar pokazała jej wiele otworów, przez które można było zajrzeć do podziemi. Były wszędzie, w każdym budynku i świątyni, a nawet na dworze, pod kamieniami. Pajęcza sieć kamiennych tuneli oplatała całe Miejsce Grobowców, sięgając nawet poza mury; na dole, w ciemnościach, korytarze ciągnęły się całymi milami. Nikt prócz niej, dwóch Najwyższych Kapłanek i ich wybranych sług – eunuchów Manana, Duby'ego i Uahto – nie miał pojęcia o istnieniu Labiryntu, nad którym mieszkali. Krążyły tylko plotki; wszyscy wiedzieli o grotach czy jakichś komnatach pod Kamieniami Grobowymi. Nikt jednak nie interesował się przesadnie tym, co miało związek z Bezimiennymi i ich świętymi miejscami. Chyba uważano, że im mniej się wie, tym lepiej. Arha, naturalnie, była bardzo ciekawa; wiedząc, że istnieją, wszędzie szukała wizjerów pozwalających zajrzeć do Labiryntu. Były jednak dobrze ukryte. Dopóki Thar jej nie pokazała, nie znalazła nawet tego, który znajdował się w jej własnym Małym Domu.

Pewnej nocy wczesną wiosną wzięła latarnię i zeszła w dół. Nie zapalając światła, minęła Podgrobie i skręciła w drugi korytarz w lewo, licząc od bramy w czerwonej skale.

Po trzydziestu krokach minęła umocowaną w skale żelazną ramę wrót, do tego dnia najdalszą granicę jej wypraw. Za żelaznymi wrotami ruszyła tunelem, a kiedy zaczął skręcać w prawo, zapaliła świecę w latarni i rozejrzała się dookoła. Tutaj światło było dozwolone. Opuściła Podgrobie. Znalazła się w miejscu może nie tak świętym, lecz chyba straszniejszym – w Labiryncie.

Surowe nagie ściany, strop i skała pod nogami otaczały ją w niewielkiej sferze rozjaśnionej światłem latarni. Powietrze zdawało się martwe. Przed nią i z tyłu korytarz ginął w ciemności.

Wszystkie tunele były podobne, krzyżowały się i rozwidlały. Liczyła starannie zakręty i ominięte wyloty, wciąż powtarzając sobie w pamięci wskazówki Thar, mimo że znała je doskonale. Nie byłoby dobrze zgubić się w Labiryncie. W Podgrobiu i krótkich korytarzach wokół niego Kossil lub Thar potrafiłyby ją odnaleźć; mógłby przyjść Manan, gdyż kilka razy zabrała go ze sobą. Lecz Labiryntu nie odwiedziło nigdy żadne z nich; tylko ona. Niewiele by pomogło, gdyby zeszli do Podgrobia i wołali ją, zagubioną w jakimś krętym tunelu o pół mili od nich. Wyobraziła sobie, że słyszy echo ich krzyków odbijające się we wszystkich przejściach, i siebie, jak stara się znaleźć drogę i gubi ją coraz bardziej. Widziała wszystko tak wyraźnie, że stanęła w miejscu – zdawało jej się, że słyszy dalekie wołanie. Ale to było złudzenie. Ona nie mogła się zgubić. Uważała bardzo, a tu była jej domena. Moce ciemności, Bezimienni, pokierują jej krokami, tak jak doprowadzą do zguby każdego innego śmiertelnika, który ośmieli się wejść do Labiryntu Grobowców.

Za pierwszym razem nie doszła zbyt daleko, wystarczająco jednak, by wzmocniło się dziwne, gorzkie, lecz przyjemne wrażenie, że jest tutaj całkowicie samotna i niezależna od nikogo. To uczucie kazało jej wracać tu znowu i znowu, za każdym razem dalej. Dotarła do Malowanej Komnaty, do Sześciu Dróg, przeszła długim Najdalszym Tunelem i pokonała splątane korytarze wiodące do Komnaty Kości.

– Kiedy powstał Labirynt? – spytała kiedyś Thar, a chuda, surowa kapłanka odpowiedziała:

– Nie wiem, pani. Nikt tego nie wie.

– W jakim celu go zbudowano?

– By ukryć skarby Grobowców i by karać tych, którzy chcą te skarby ukraść.

– Wszystkie skarby, jakie widziałam, schowane są w pomieszczeniach za Tronem i w piwnicach pod nim. Co jest w Labiryncie?

– Daleko większy i starszy skarb. Czy chcesz go zobaczyć?

– Tak.

– Nikt prócz ciebie nie ma prawa wejść do Skarbca Grobowców. Możesz zabierać swe sługi do Labiryntu, ale nigdy do Skarbca. Choćby to był tylko Manan, zbudzi gniew ciemności i nie zdoła opuścić Labiryntu żywy. Musisz chodzić zawsze sama. Wiem, gdzie leży Wielki Skarb. Nauczyłaś mnie tej drogi piętnaście lat temu, zanim umarłaś, bym pamiętała i powtórzyła ci po powrocie. Wytłumaczę ci, jaką drogą masz iść przez Labirynt poza Malowaną Komnatą. Klucz do Skarbca to ten srebrny w twoim pęku, z symbolem smoka na piórze. Ale musisz iść sama.

– Mów, jak wiedzie droga.

Thar powiedziała, a Arha słuchała uważnie, by dobrze zapamiętać. Ale nie poszła popatrzeć na Wielki Skarb Grobowców. Powstrzymało ją przeczucie, że jej wola lub wiedza nie są jeszcze dostateczne. A może chciała po prostu zachować coś w rezerwie; coś, na co mogłaby się cieszyć, wędrując w mroku przez skomplikowaną sieć tuneli kończących się zawsze ślepą ścianą lub pustą, zakurzoną komorą. Postanowiła zaczekać z oglądaniem swych skarbów.

W końcu czyż nie widziała ich przedtem?

Wciąż czuła pewien niepokój, gdy Kossil i Thar mówiły jej o tym, co zobaczyła lub powiedziała, zanim umarła. Wiedziała, że naprawdę umarła i odrodziła się w nowym ciele, w godzinę śmierci starego. Nie tylko raz, piętnaście lat temu, lecz także pięćdziesiąt lat temu, i przedtem, i jeszcze przedtem, dziesiątki i setki lat wcześniej, pokolenie przed pokoleniem aż do początków czasu, kiedy wykopano Labirynt i ustawiono Kamienie Grobowe, a Pierwsza Kapłanka Bezimiennych zamieszkała w Miejscu Grobowców i tańczyła przed Pustym Tronem. Były jedną istotą, one wszystkie i ona, Pierwsza Kapłanka. Wszyscy ludzie się odradzają, ale tylko Arha zawsze odradzała się we własnej postaci. Setki razy poznawała rozwidlenia i zakręty Labiryntu, by dojść wreszcie do tajemnej komory.

Czasem zdawało jej się, że pamięta. Mroczne przejścia i komory pod wzgórzem wydawały się tak znajome, jakby były nie tylko jej dziedziną, ale domem. Kiedy wdychała oszałamiające opary, by tańczyć o nowiu księżyca, głowa stawała się lekka, a ciało nie

należało już do niej; tańczyła wtedy poprzez wieki, bosa, w czarnych szatach, wiedząc, że ten taniec nigdy nie ustawał.

Mimo to dziwnie się czuła, gdy Thar mówiła: „Powiedziałaś mi, zanim umarłaś”...

***

– Kim byli ludzie, którzy chcieli okraść Grobowce? – spytała kiedyś. – Czy w ogóle ktoś tego próbował?

Myśl o złodziejach uznała za podniecającą, lecz mało prawdopodobną. Jak ktokolwiek mógł w tajemnicy zbliżyć się do Grobowców Atuanu? Pielgrzymi przybywali rzadko, rzadziej nawet niż więźniowie. Od czasu do czasu z pomniejszych świątyń Czterech Wysp przysyłano nowicjuszki lub niewolników, czasem zjawiała się niewielka grupa ludzi, by złożyć w ofierze złoto lub cenne kadzidło. To wszystko. Nikt nie przybywał przypadkiem ani żeby coś sprzedać lub kupić, ani oglądać, ani kraść. Zjawiali się tylko ci, którym rozkazano. Arha nie wiedziała nawet, jak daleko jest do najbliższego miasteczka, dwadzieścia mil czy więcej. A najbliższe miasteczko było bardzo małe. Pustka i samotność strzegły Grobowców. Ktokolwiek próbowałby przekroczyć otaczającą je pustynię, byłby widoczny jak czarna owca na śniegu.

Tego dnia była z Thar i Kossil, z którymi spędzała większość czasu, gdy nie przebywała w Małym Domu ani pod wzgórzem. Kwietniowa noc była burzliwa i zimna. Siedziały przy ogniu płonącym na kominku w pokoju za świątynią Boga-Króla, pokoju Kossil. Za drzwiami Manan i Duby grali w patyczki – podrzucali do góry pęk patyczków i starali się jak najwięcej złapać na grzbiet dłoni. Manan i Arha często grali w tajemnicy w tę grę na wewnętrznym dziedzińcu Małego Domu. Gdy trzy kapłanki milkły, słychać było jedynie stuk spadających patyczków, pomruki graczy i cichy trzask ognia. Za ścianami trwała głęboka cisza pustynnej nocy. Od czasu do czasu dobiegał szum krótkotrwałego, rzęsistego deszczu.

– Dawno temu wielu tu przybywało, by okraść Grobowce. Nikomu jednak się to nie udało – rzekła Thar. Choć milkliwa, lubiła czasem opowiedzieć jakąś historię i traktowała to jako naukę dla Arhy. Tej nocy sprawiała wrażenie, że da się namówić.

– Jak ktoś mógł się ośmielić?

– Oni mieli dość śmiałości – odparła Kossil. – To czarownicy, magowie z Wewnętrznych Krain. Działo się to, zanim Bóg-Król objął władzę na Wyspach Kargadu; wtedy nie byliśmy jeszcze tak potężni. Magowie przypływali z zachodu do Karego-At i Atuanu, by plądrować nasze nadbrzeżne miasta i napadać na farmy. Podchodzili nawet pod mury Świętego Miasta Awabath. Twierdzili, że przybywają zabijać smoki, ale zostawali rabować wioski i świątynie.

– A ich bohaterowie przypływali, by wypróbować tu swoje miecze – wtrąciła Thar. – I rzucać bezbożne zaklęcia. Jeden z nich, potężny czarownik i pan smoków, największy ze wszystkich, poniósł tu klęskę. Działo się to dawno, bardzo dawno temu, ale ta historia nie poszła w zapomnienie, i to nie tylko tutaj. Czarownik nazywał się Erreth-Akbe. Był królem i magiem na Zachodzie. Zjawił się na naszej ziemi, by w Awabath dołączyć do zbuntowanych kargijskich książąt. Tam walczył o władzę nad miastem z Najwyższym Kapłanem Wewnętrznej Świątyni Bliźniaczych Bóstw. Długo walczyli, czary obcego przeciw błyskawicom bogów, aż świątynia wokół nich została zupełnie zniszczona. W końcu Najwyższy Kapłan złamał magiczną laskę czarownika, przełamał na pół amulet jego mocy i pokonał go. Mag uciekł z miasta, z Wysp Kargadu, uciekał przez całe Ziemiomorze aż na najdalszy zachód, i tam zabił go smok, gdyż czarownik utracił swą siłę. Od owego dnia potęga i moc Wewnętrznych Krain wciąż maleje. Najwyższy Kapłan zaś, Intathin, był pierwszym z rodu Tarb, i on... gdy wypełniły się przepowiednie i stulecia... wydał Królów-Kapłanów Karego-At, od których pochodzą Bogowie-Królowie całego Kargadu. Tak więc od dni Intathina wciąż rośnie potęga i moc kargijskich wysp. Ci, którzy próbowali okraść Grobowce, byli czarownikami, raz po raz próbującymi odzyskać połówkę amuletu Erreth-Akbego. Ale on ciągle leży tam, gdzie ukrył go Najwyższy Kapłan. Tam, gdzie ich kości... – Thar wskazała ziemię pod swymi stopami. – A druga połowa zaginęła na zawsze.

– Jak zaginęła? – spytała Arha.

– Jedna połowa została w ręku Intathina, który ofiarował ją Skarbcowi Grobowców, gdzie winna spoczywać bezpieczna przez wieczność. Drugą wydarł czarownik, lecz zanim uciekł, podarował ją drobnemu władcy, jednemu z buntowników, Thoregowi z Hupun. Nie wiem, czemu to zrobił.

– By doprowadzić do zamieszek, by wzbudzić w Thoregu pychę – oświadczyła Kossil. – I osiągnął swój cel. Następcy Thorega zbuntowali się znowu, gdy władał ród Tarb. Jeszcze raz chwycili za broń przeciw pierwszemu Bogu-Królowi, gdyż nie chcieli uznać go ani za boga, ani za króla. Byli przeklętym, zaklętym rodem. Żaden z nich już nie żyje.

Thar kiwnęła głową.

– Ojciec naszego obecnego Boga-Króla, Władca-Co-Powstał, zmiażdżył rodzinę Hupun i zburzył ich pałace. Gdy tego dokonał, zaginęła połówka amuletu, którą przechowywali od dni Erreth-Akbego i Intathina. Nikt nie wie, co się z nią stało. A działo się to w młodości minionego pokolenia.

– Na pewno wyrzucono ją jak śmieć – oświadczyła Kossil. – Mówią, że ten Pierścień Erreth-Akbego był całkiem bezwartościowy. Niech będzie przeklęty on i wszystkie rzeczy tego ludu magików! – Kossil splunęła w ogień.

– Oglądałaś kiedyś tę połowę, co leży tutaj? – Arha zwróciła się do Thar.

Stara kapłanka pokręciła głową.

– Jest w Skarbcu, gdzie nie może wejść nikt prócz Jedynej Kapłanki. Być może jest najwspanialszym skarbem tam złożonym. Nie wiem. Myślę, że tak. Od setek lat Wyspy Wewnętrzne przysyłają tu złodziei i magów, by próbowali go odzyskać, a oni przechodzą obojętnie obok otwartych skrzyń pełnych złota. Szukają tylko jednego. Wiele czasu minęło od dni Erreth-Akbego i Intathina, lecz tę opowieść znają i powtarzają tutaj i na zachodzie. Większość rzeczy starzeje się i znika, w miarę jak płyną wieki. Niewiele cennych przedmiotów pozostaje cennymi i niewiele historii się pamięta.

Arha się zadumała.

– Musieli być bardzo odważni – odezwała się po chwili. – Albo bardzo głupi, by wkroczyć na teren Grobowców. Czy nie znają potęgi Bezimiennych?

– Nie – odparła swym zimnym głosem Kossil. – Nie mają bogów. Czynią czary i uważają, że sami są bogami. Ale to nieprawda. Kiedy umierają, nie odradzają się znowu. Rozsypują się ich kości, a duchy rozpaczają przez krótki czas, dopóki nie rozwieje ich wiatr. Nie mają duszy nieśmiertelnej.

– A jak działają te ich czary? – spytała zasłuchana Arha. Nie pamiętała już, jak kiedyś zapewniała, że nawet by nie popatrzyła na statki z Wysp Wewnętrznych. – Jak oni to robią? I jak to działa?

– Sztuczki, oszustwa i kuglarstwo – orzekła Kossil.

– Coś więcej, jeśli dawne opowieści są choć w części prawdziwe – zaprotestowała Thar. – Magowie Zachodu potrafią zbudzić lub uciszyć wiatr, lub każą mu wiać, gdzie zapragną. To potwierdzają wszyscy i wszyscy powtarzają te opowieści. Dlatego właśnie czarownicy są tak wspaniałymi żeglarzami. Potrafią wypełnić żagle czarodziejskim wiatrem, płynąć, gdzie zechcą, uciszać sztormy. Mówi się też, że umieją stworzyć światło i ciemność, zmieniać kamienie w diamenty i ołów w złoto; że w jednej chwili mogą zbudować wielki pałac, a nawet całe miasto, przynajmniej na pozór; że mogą się zmieniać w niedźwiedzie, ryby, smoki... w co tylko im się podoba.

– Nie wierzę – oświadczyła Kossil. – Są niebezpieczni, pełni subtelnych sztuczek, śliscy jak węgorze... To owszem. Ale mówią, że czarownik traci swoją moc, kiedy zabrać mu drewnianą laskę. Zapewne na tych laskach wyryte są straszne runy.

Thar znowu pokręciła głową.

– Istotnie mają laski, ale to tylko narzędzia mocy, którą noszą w sobie.

– A skąd się bierze ta moc? – spytała Arha. – Skąd pochodzi?

– Z kłamstwa – odparła Kossil.

– Ze słów – wyjaśniła Thar. – Tak opowiadał mi ktoś, kto widział wielkiego czarownika z Wysp Wewnętrznych, maga, jak ich nazywają. Przywieźli go jako jeńca z wyprawy na zachód. Pokazał im suchy kij, wyrzekł słowo i nagle kij rozkwitł. Wyrzekł inne słowo i kij zrodził czerwone jabłka. Potem wyrzekł jeszcze jedno słowo i kij,

kwiaty, jabłka, wszystko zniknęło, a razem z nimi czarownik. Z jednym słowem rozpłynął się jak tęcza, jak błysk, bez śladu. Nigdy go nie znaleźli na tej wyspie. Czy to zwykłe kuglarstwo?

– Łatwo jest ogłupić głupców – stwierdziła Kossil.

Thar zamilkła, by uniknąć kłótni. Arha jednak nie chciała porzucać tematu.

– Jak wygląda ten lud czarowników? – zapytała. – Czy naprawdę są cali czarni i mają białe oczy?

– Są czarni i ohydni. Nigdy żadnego nie widziałam – oświadczyła z satysfakcją Kossil. Pochyliła swe ciężkie ciało, wyciągając dłonie do ognia.

– Niech Boscy Bracia trzymają ich z dala od nas – szepnęła Thar.

– Nigdy więcej nie przyjdą – rzekła Kossil.

Trzasnęły płomienie, zastukały o dach krople deszczu, a w mrocznym korytarzu Manan krzyknął przenikliwie: „Ha! Połowa dla mnie! Połowa!”.

5

Światło pod wzgórzem

Kolejny rok chylił się ku zimie. Umarła Thar. Latem zapadła na jakąś chorobę; zawsze chuda, teraz przypominała szkielet; zawsze małomówna, teraz przestała się odzywać. Tylko z Arhą rozmawiała czasem, gdy były same. Potem zaprzestała nawet tego i w milczeniu odeszła w ciemność. Arha tęskniła za nią bardzo. Thar była wprawdzie surowa, lecz nigdy okrutna. Uczyła Arhę dumy, nie strachu.

Teraz pozostała tylko Kossil.

Wiosną miała przybyć z Awabath nowa Najwyższa Kapłanka Świątyni Bliźniaczych Bóstw, a do tego czasu Arha i Kossil wspólnie zarządzały Miejscem Grobowców. Stara kapłanka zwracała się do dziewczyny „pani" i była posłuszna jej rozkazom, lecz Arha nauczyła się, by rozkazów nie wydawać. Miała do tego prawo, ale brakowało jej siły, a potrzebowałaby wiele sił, by sprzeciwić się Kossil i jej zazdrości o wyższą godność, jej nienawiści do wszystkiego, czego nie mogła kontrolować.

Odkąd – dzięki pokornej Penthe – Arha poznała niewiarę i pogodziła się z jej istnieniem, potrafiła spokojnie i ze zrozumieniem przyglądać się Kossil. W głębi serca Kossil nie żywiła czci ani dla Bezimiennych, ani dla bogów. Niczego nie poważała prócz władzy. Tę władzę dzierżył imperator Wysp Kargadu, był więc w jej oczach prawdziwym Bogiem-Królem i służyła mu dobrze. Świątynie były dla

niej jedynie czymś na pokaz, Kamienie Grobowe odłamkami skały, Grobowce Atuanu ciemnymi dziurami w ziemi – strasznymi, lecz pustymi. Gdyby mogła, zakazałaby składania hołdów przed Pustym Tronem. Gdyby się odważyła, pozbyłaby się Pierwszej Kapłanki.

Nawet to Arha przyjmowała ze spokojem. Może dzięki Thar, choć ona nigdy niczego nie powiedziała wprost. W pierwszym stadium swej choroby, zanim umilkła ostatecznie, prosiła Arhę, by odwiedzała ją co kilka dni. Rozmawiały wtedy, a Thar mówiła o czynach Boga-Króla i jego poprzedników, o życiu w Awabath – o sprawach, które Arha powinna znać jako wysoko postawiona kapłanka, lecz które rzadko były pochlebne dla Boga-Króla i jego dworu. Opowiadała też o własnym życiu i o tym, jak wyglądała i co robiła Arha przed śmiercią. Czasem wspominała też o sprawach mogących jej zagrażać lub sprawiać trudności w obecnym życiu. Ani razu nie wymieniła imienia Kossil. Arha jednak była uczennicą Thar od jedenastu lat i wystarczyło jej napomknienie czy zmiana tonu, by zrozumiała i zapamiętała.

Kiedy dobiegły końca posępne ceremonie żałoby, Arha starała się unikać Kossil. Po wykonaniu codziennych obowiązków i dopełnieniu rytuałów wracała do swej samotnej siedziby. Gdy tylko pozwalał jej czas, szła do komory za Pustym Tronem, otwierała klapę w podłodze i schodziła w ciemność. Dniem czy nocą – na dole nie było między nimi różnicy – prowadziła systematyczne badania swej domeny. Do Podgrobia mogły wchodzić jedynie kapłanki i ich najbardziej zaufani słudzy. Każdy inny mężczyzna czy kobieta, którzy by tu trafili, zginęliby z pewnością rażeni gniewem Bezimiennych. Lecz wśród reguł, które poznała, żadna nie zakazywała wkraczania do Labiryntu. Nie było potrzeby. Można było tam wejść jedynie przez Podgrobie; zresztą czy muchy potrzebują prawa, które by im zakazywało wlatywać w pajęczą sieć?

W bliskie rejony Labiryntu często zabierała Manana, by poznał ważniejsze drogi. Szedł bez entuzjazmu, ale nie protestował. Arha upewniła się też, że słudzy Kossil, Duby i Uahto, wiedzą, jak dotrzeć do Komnaty Łańcuchów, i potrafią wyjść z Podgrobia. Nic więcej. Nigdy nie brała ich do Labiryntu. Nie chciała, by ktokolwiek poza całkowicie jej oddanym Mananem poznał te tajemne korytarze.

Należały bowiem do niej i tylko do niej, na zawsze. Zaczęła dokładne badania Labiryntu. Wiele jesiennych dni spędziła, chodząc po niemających końca tunelach, a wciąż istniały regiony, do których nigdy nie dotarła. Była zmęczona śledzeniem ogromnej, bezsensownej pajęczyny dróg; nogi ją bolały i znużenie ogarniało umysł, wciąż zajęty liczeniem zakrętów i wylotów, które ominęła i które miała przed sobą. Labirynt był cudem – wytyczony w skale jak wielkie miasto, stworzony jednak, by męczyć i nużyć chodzących po nim śmiertelników. Nawet jego kapłanka musiała wyczuwać, że to jedynie wielka pułapka.

Tak więc, w miarę jak upływała zima, zajęła się dokładnym badaniem samej Sali Tronu, ołtarzy, komór za i pod ołtarzami, pokoi pełnych skrzyń i puzder, zawartości tych skrzyń i puzder, przejść i schowków, pełnych kurzu miejsc pod kopułą, gdzie setkami gnieździły się nietoperze, piwnic i podpiwniczeń będących przedpokojami korytarzy ciemności.

Z dłońmi i rękawami uperfumowanymi suchą słodyczą mchu, który rozsypał się w pył nieruszany od ośmiu stuleci, z czołem umazanym lepkim brudem pajęczyn, klęczała czasem godzinami, studiując rzeźby na pięknym, nadgryzionym zębem czasu kufrze z cedrowego drewna – darze dla Bezimiennych Mocy Grobowców od jakiegoś króla sprzed wieków. Przedstawiono tam samego króla: maleńką, wyprostowaną postać z wielkim nosem, oraz Salę Tronu ze spłaszczoną kopułą i kolumnami przed bramą, wszystko wyryte delikatnie przez artystę od setek lat będącego tylko pyłem. Na płaskorzeźbie widziała Jedyną Kapłankę, jak wdycha oszałamiające opary z brązowych mis i przepowiada albo doradza królowi, którego nos odłamał się na tym fragmencie wieka. Twarz Jedynej Kapłanki była zbyt mała, by rozróżnić rysy, lecz Arha wyobrażała sobie, że to jej oblicze. Zastanawiała się, co powiedziała wtedy królowi i czy był jej wdzięczny.

Miała w Sali Tronu swoje ulubione miejsca, jak inne dziecko mogłoby je mieć w domu zalanym słońcem. Często wracała na mały stryszek ponad jedną z komnat służących za garderoby w tylnej części sali. Złożono tu dawne szaty i kostiumy, pozostałe z czasów, gdy wielcy królowie i książęta przybywali składać hołdy w Miejscu

Grobowców Atuanu, uznając potęgę większą niż ich własna i jakiegokolwiek śmiertelnika. Czasami ich córki, księżniczki, wkładały te białe jedwabie zdobione topazami i ciemnymi ametystami, by tańczyć z Jedyną Kapłanką. Znalazła małe, malowane stoliki z kości słoniowej, gdzie przedstawiono taki taniec, a także książąt i królów czekających przed bramą, gdyż ani wtedy, ani teraz żaden mężczyzna nie mógł postawić stopy na ziemi Grobowców. Jednak dziewice, odziane w biały jedwab, mogły wejść i tańczyć z Jedyną Kapłanką. Sama kapłanka zawsze, wtedy i teraz, nosiła szorstką, czarną, ręcznie tkaną szatę. Arha lubiła jednak przychodzić tu i dotykać miękkiego, zetlałego już materiału i klejnotów odrywających się od tkaniny pod własnym niewielkim ciężarem. Z tych skrzyń unosił się zapach różny od woni mchu i kadzidła świątyń, bardziej świeży i delikatny – aromat młodości.

W skarbcach spędzała czasem całą noc, klejnot po klejnocie poznając zawartość jakiejś skrzyni, przerdzewiałą zbroję, połamany pióropusz hełmu, klamry, szpile i brosze z brązu, kutego srebra lub litego złota.

Sowy siedziały na krokwiach, mrużąc żółte oczy. Nie bały się kapłanki. Światło gwiazd wślizgiwało się przez dachówki; często sypał śnieg, delikatny i zimny jak te stare jedwabie rozpadające się w nicość pod dotknięciem ręki.

Pewnej nocy stwierdziła, że w Sali Tronu jest zbyt zimno. Poszła do klapy, podniosła ją i zamknęła nad sobą. Potem ruszyła wśród ciszy dobrze już poznaną drogą do Podgrobia. Tam, naturalnie, nigdy nie paliła światła. Jeśli miała latarnię, czy to idąc do Labiryntu, czy też aby nocą nie potykać się na drodze nad podziemiami, gasiła ją, zanim zbliżyła się do wielkiej groty. Nigdy jej nie oglądała, nigdy, przez wszystkie generacje swego kapłaństwa. Teraz także zdmuchnęła świecę i nie zwalniając kroku, szła przez czerń, zwinna jak ryba w ciemnych wodach. Tutaj, zimą czy latem, nie istniało zimno ni gorąco; niezmiennie panował ten sam chłód i lekka wilgoć. Na górze lodowate wichry dmuchały śniegiem przez pustynię. Tu nie było wiatru, nie było pór roku. Grota trwała zamknięta, nieruchoma, bezpieczna.

Arha zmierzała do Malowanej Komnaty. Od czasu do czasu lubiła tam chodzić i przyglądać się niezwykłym ściennym malowidłom, które blask lampy wydobywał z ciemności. Przedstawiały ludzi z wielkimi skrzydłami, poważnych i smutnych. Nikt nie mógł jej wyjaśnić, kim byli, gdyż nigdzie indziej w Miejscu Grobowców nie było takich obrazów. Sądziła jednak, że to duchy przeklętych, którzy nie mogą się odrodzić. Malowana Komnata leżała w głębi Labiryntu, więc Arha musiała najpierw przejść przez wielką grotę pod Kamieniami Grobowymi. A kiedy zbliżała się do niej opadającym w dół korytarzem, dostrzegła nagle, że w mroku rozkwita delikatna szarość, jakby wspomnienie blasku, echo echa odległego światła.

Sądziła, że to złudzenie, częste w absolutnej ciemności. Zamknęła oczy i poblask zniknął. Otworzyła – i pojawił się znowu.

Zatrzymała się i stanęła nieruchomo. Szarość, nie czerń... Ślad światła tam, gdzie nic nie mogło być widoczne, gdzie mogła istnieć tylko ciemność.

Postąpiła kilka kroków przed siebie i wysunęła rękę za skręt ściany tunelu. Co prawda niewyraźnie, widziała jednak kontury swej dłoni.

Szła dalej. Zjawisko było tak niezwykłe, że nie budziło lęku – ów wykwit światła tam, gdzie nigdy go nie było, w najgłębszym grobowcu ciemności. Szła bezgłośnie, bosa, w czarnej szacie. Zatrzymała się przed ostatnim zakrętem, potem wolno zrobiła jeszcze jeden krok... i zobaczyła.

Zobaczyła to, czego nie widziała nigdy, choć żyła już tysiące razy – wielką sklepioną grotę pod Kamieniami Grobowymi, nie ludzką ręką stworzoną, lecz Dawnymi Mocami Ziemi. Zdobiły ją klejnoty kryształów i ornamenty stalaktytów, koronki siarki tam, gdzie całe epoki temu działała woda. Grota była olbrzymia. Strop i ściany migotały, skrzyły się delikatnymi, zawiłymi wzorami; pałac diamentów, dom ametystów i kryształu, z którego gloria blasku przegnała pradawną ciemność.

Światło, które zdziałało ten cud, nie było zbyt jasne, oślepiało jednak przyzwyczajone do mroku źrenice. Było delikatnym lśnieniem, błędnym ognikiem płynącym wolno przez grotę, budzącym tysięczne rozbłyski w klejnotach sklepienia, poruszającym na ścianach tysiące fantastycznych cieni.

Światło płonęło na czubku drewnianej laski – bez dymu, nie spalając drewna. Laska tkwiła w ludzkiej dłoni. Arha dostrzegła twarz tego człowieka... ciemną twarz... twarz mężczyzny.

Nie poruszyła się.

Człowiek bardzo długo przechadzał się tam i z powrotem, jak gdyby czegoś szukał. Zaglądał za koronkowe katarakty kamieni, przyglądał się wylotom kilku korytarzy. Nie wchodził w nie jednak. A Jedyna Kapłanka Grobowców nadal stała bez ruchu w ciemnym kącie tunelu. Czekała.

Najtrudniej było uświadomić sobie, że patrzy na obcego. Bardzo rzadko widywała obcych. Zdawało jej się, że to jeden z dozorców... nie, któryś z mężczyzn zza muru, pastuch, strażnik czy niewolnik. I że przyszedł odkryć tajemnice Bezimiennych, może okraść Grobowce...

Ukraść coś. Obrabować Moce Ciemności. Świętokradztwo – słowo to z wolna pojawiło się w myślach Arhy. Był mężczyzną, a żaden mężczyzna nie mógł dotykać ziemi Świętego Miejsca. A jednak wszedł tutaj, do groty będącej sercem Grobowców. Wkroczył do wnętrza. Zapalił światło tam, gdzie było zakazane, gdzie nie istniało od początku świata. Dlaczego Bezimienni go nie porazili?

Stał teraz i patrzył na nierówne, kamieniste podłoże. Widać było wyraźnie, że kopano tutaj, a dół zasypano na powrót. Nie udeptano wszystkich grud ziemi wydobytych na wierzch przy kopaniu grobów.

Władcy pożarli tamtych trzech. Dlaczego nie pożerają tego? Na co czekają?

Na ręce, by działały... Na język, by przemówił...

– Idź! Odejdź! Przepadnij! – krzyknęła nagle.

Echa zahuczały przenikliwie i zdawało się jej, że drżenie zamazuje rysy tej smagłej twarzy zwróconej z zaskoczeniem w jej stronę. Przez jedną chwilę intruz spoglądał poprzez poruszoną dźwiękiem wspaniałość groty... i zobaczył ją. Wtedy zgasło światło. Zniknęło oszałamiające piękno. Pozostała jedynie ciemność. I cisza.

Znów potrafiła myśleć. Złamała czar blasku.

Musiał tu wejść przez drzwi w czerwonej skale, Wrota Więźniów, i pewnie tamtędy spróbuje uciekać. Szybka i cicha jak miękkoskrzydła sowa, przebiegła połowę obwodu groty do tunelu

prowadzącego do tamtych wrót, otwierających się tylko z zewnątrz. Nie czuła żadnego powiewu, więc nie zostawił bramy otwartej. Zamknęła się za nim i teraz, jeśli tylko wszedł do tunelu, znalazł się w pułapce.

Ale nie wszedł. Była tego pewna. Tak blisko, w tak ciasnym korytarzu słyszałaby jego oddech, czuła ciepło, puls jego życia. Nie było nikogo. Stała wyprostowana i nasłuchiwała. Gdzie poszedł?

Ciemność napierała na oczy jak bandaż. Widok Podgrobia wytrącił ją z równowagi; nie potrafiła skupić myśli. Znała tę grotę wyłącznie jako obszar określany słuchem, dotykiem palców, powiewem chłodnego powietrza w mroku; jako przestrzeń, tajemnicę nieprzeznaczoną do oglądania. Zobaczyła ją i sekret ustąpił miejsca nie grozie, ale pięknu, tajemnicy głębszej jeszcze niż ciemność.

Wolno, niepewnie ruszyła przed siebie. Dotykając ściany, poszła w lewo, do drugiego korytarza, który prowadził do Labiryntu. Tu zatrzymała się, nasłuchując.

Uszy mówiły jej niewiele więcej niż oczy. Lecz kiedy tak stała, dotykając rękami obu ścian kamiennego łuku, wyczuła słabą, delikatną wibrację skały, a w chłodnym, zastałym powietrzu ślad zapachu, który nie należał do tych podziemi: woń dzikiej szałwii rosnącej na pagórkach pustyni, nad głową, pod otwartym niebem.

Powoli i w ciszy przesuwała się wzdłuż tunelu, podążając za węchem.

Przeszła może sto kroków, gdy go usłyszała. Był niemal równie cichy jak ona, lecz nie poruszał się w ciemności tak pewnie. Dobiegło do niej ledwie słyszalne szurnięcie, jak gdyby potknął się na nierównej powierzchni i natychmiast odzyskał równowagę. Nic więcej. Odczekała chwilę, nim ruszyła dalej, powoli, muskając ścianę palcami prawej dłoni. W końcu wyczuła pod nimi okrągły metalowy pręt. Zatrzymała się, przesunęła rękę do góry i wysoko, prawie na granicy możliwości, dotknęła wystającej żelaznej dźwigni. Wtedy chwyciła ją i pociągnęła z całej siły.

Rozległ się przeraźliwy zgrzyt i huk, strzelił deszcz błękitnych iskier. Za jej plecami w korytarzu powoli i opornie cichły echa. Wyciągnęła ręce i tuż przed twarzą natrafiła na powgniataną powierzchnię żelaznych wrót.

Odetchnęła wolno.

Potem wróciła tunelem do Podgrobia i idąc tak, by ściana znajdowała się po jej prawej ręce, dotarła do klapy w Sali Tronu. Nie spieszyła się i zachowywała ciszę, choć nie było to już potrzebne. Schwytała złodzieja. Wrota, przez które przeszedł, były jedynym wejściem i wyjściem z Labiryntu. I dawały się otworzyć tylko z zewnątrz.

Został teraz uwięziony w ciemności podziemi, nigdy już nie wróci na powierzchnię.

Powoli i statecznie przeszła obok Pustego Tronu do długiej, ozdobionej kolumnami sali. Przy wazie stojącej na brązowym trójnogu, wypełnionej po brzegi czerwonym żarem węgla drzewnego, zawróciła i zbliżyła się do siedmiu prowadzących do Tronu stopni.

Przyklęknęła na najniższym z nich i pochyliła czoło, dotykając zimnego, zakurzonego głazu zasypanego kośćmi myszy, zrzucanych tu przez żerujące sowy.

– Wybaczcie mi, że widziałam zmącony spokój waszego mroku – szepnęła. – Wybaczcie, że widziałam wasze groby zbezczeszczone. Będziecie pomszczeni. Władcy moi, śmierć wyda go w wasze ręce, by nigdy się nie odrodził.

Lecz nawet w chwili modlitwy widziała oczami duszy migotliwy blask rozjaśnionej groty, życie w miejscu należnym tylko śmierci. I zamiast odczuwać lęk przed świętokradztwem i wściekłość na złodzieja, myślała tylko, jak niezwykłe było to wszystko, jakie dziwne...

Co powinnam powiedzieć Kossil? – pytała samą siebie, gdy wyszła już z Sali Tronu i otuliła się płaszczem, a zimowy wicher uderzył w nią z całą siłą. Nic nie powiem. Jeszcze nie. To ja jestem panią Labiryntu. Bóg-Król nie ma tu władzy. Powiem jej może, gdy złodziej będzie już martwy. Jak mam go zabić? Powinnam sprowadzić Kossil, by patrzyła, jak umiera. Ona lubi śmierć. Czego mógł tu szukać? Na pewno jest szalony. Jak się tam dostał? Tylko Kossil i ja mamy klucze do wrót w czerwonej skale i do klapy. Musiał przejść przez czerwoną skałę. Tylko czarownik mógłby otworzyć te drzwi. Czarownik...

Stanęła nagle, choć wiatr niemal ją przewrócił.

On jest czarownikiem, magiem z Wewnętrznych Krain! Szuka amuletu Erreth-Akbego!

Ta myśl była równocześnie odrażająca i wspaniała, aż Arha poczuła, że wśród lodowatego wichru ogarnia ją ciepło. Zaśmiała się głośno. Grobowce Atuanu i otaczającą je pustynię okrywała czerń i cisza, zakłócana tylko wyciem wichury. Żadne światło nie świeciło w Wielkim Domu. Dookoła fruwały niesione wichrem drobne, niewidoczne płatki śniegu.

Jeśli czarami otworzył wrota w czerwonej skale, to może otworzyć inne, pomyślała. Może uciec.

Ta myśl wzbudziła w niej nagły dreszcz, lecz na chwilę tylko. Nie wierzyła w tę możliwość. Bezimienni pozwolili mu wejść. Dlaczego nie? Nie mógł wyrządzić szkody. Jak może zaszkodzić złodziej, który nie zdoła wynieść łupu? Na pewno wspomagają go zaklęcia i złe moce, bez wątpienia potężne, skoro dotarł tak daleko; ale dalej już mu się nie uda. Żaden czar rzucony przez śmiertelnika nie może być silniejszy od woli Bezimiennych obecnych w Grobowcach... Woli Królów, których Tron stoi pusty.

Przyspieszyła kroku, by się o tym upewnić. Tuż za drzwiami Małego Domu spał Manan, owinięty w płaszcz i wyleniałe futro będące jego zimowym łożem. Weszła cicho, by go nie obudzić. Nie zapalała lampy. Otworzyła zamknięte na zamek drzwi do małego pokoiku, zwykłej komórki na końcu korytarza. Tam skrzesała iskrę, uderzając o krzemień, i znalazła pewien punkt na podłodze. Potem uklękła i podważyła jeden kafelek. Pod nim leżał skrawek grubego, brudnego materiału. Odsunęła go na bok. I cofnęła się zaskoczona, gdyż z dołu wystrzelił jej prosto w twarz promień światła.

Po chwili bardzo ostrożnie zajrzała do otworu. Zapomniała, że na końcu swej laski złodziej niósł magiczne światło. Sądziła, że w najlepszym razie tylko usłyszy go w ciemności. Zapomniała o świetle. Ale złodziej był tam, gdzie się go spodziewała – dokładnie pod wizjerem, przy żelaznych wrotach blokujących mu drogę ucieczki z Labiryntu.

Stał z ręką wspartą na biodrze. W drugiej trzymał wysoką jak on sam laskę, do której czubka przylgnął delikatny błędny ognik. Głowę,

którą oglądała z góry, pochylił lekko w bok. Ubrany był jak każdy wędrujący lub pielgrzymujący podczas zimy: w krótki, ciężki płaszcz, skórzaną tunikę, wełniane spodnie i sznurowane sandały. Na plecach miał lekki pakunek z przyczepioną manierką, za pasem nóż. Stał nieruchomy jak posąg, rozluźniony i zamyślony.

Po chwili oderwał laskę od ziemi i wysunął jej płonący koniec przed siebie, w stronę wrót, których przez wąski otwór Arha nie mogła zobaczyć. Lśnienie zmieniło się, stało bardziej skoncentrowane i jaskrawe, wreszcie rozbłysło intensywnym blaskiem. Złodziej przemówił. Arha nie znała języka, którego użył, lecz bardziej od słów zdziwił ją głos – głęboki i dźwięczny.

Światło laski pojaśniało, zamigotało, przygasło. Na chwilę zapadła ciemność.

Potem bladofioletowy błędny ognik zapłonął znowu i zobaczyła, jak złodziej odwraca się od drzwi. Jego czar otwierania zawiódł. Moc, która tkwiła w zamku tych wrót, była silniejsza od jego magii.

Rozejrzał się wokół siebie, jakby myśląc: Co teraz?

Tunel czy korytarz, w którym się znalazł, był wąski i bardzo wysoki. Ściany zbudowano z kamieni nie spojonych zaprawą, lecz tak ściśle dopasowanych, że z trudem dało się wcisnąć między nie czubek noża. Te ściany pochylały się ku sobie, tworząc łuk.

Nie było tu nic, tylko skalne podłoże, wysoki strop i kamienne ściany.

Ruszył przed siebie. Jeden krok wystarczył, by Arha straciła go z oczu. Światło zgasło. Już miała odłożyć na miejsce skrawek tkaniny i kafelek, gdy raz jeszcze z otworu błysnął świetlny promień. Złodziej wracał do wrót. Pewnie zdał sobie sprawę, że gdy wkroczy w labirynt korytarzy, nie zdoła już odnaleźć wyjścia.

Cichym głosem wymówił tylko jedno słowo:

– *Emmen.* – A potem jeszcze raz, głośniej. – *Emmen!*

Żelazne wrota zadygotały na zawiasach, niskie echo dudniło w tunelu jak grom. Arha miała wrażenie, że zadrżała podłoga.

Ale drzwi pozostały zamknięte.

Wtedy roześmiał się krótko, jak człowiek, który myśli: Ależ durnia z siebie zrobiłem! Raz jeszcze przyjrzał się ścianom, a kiedy podniósł głowę, Arha dostrzegła uśmiech na jego smagłej twarzy. Potem

usiadł, zdjął worek z pleców, wyjął kawałek suchego chleba i zaczął jeść. Odkorkował skórzaną manierkę, potrząsnął nią. Wydawała się lekka, jakby prawie pusta. Zatkał ją, nie pijąc. Wsadził worek pod głowę jak poduszkę, otulił się płaszczem i położył. Wciąż trzymał laskę w prawej dłoni. Kiedy leżał, mały ognik czy kulka światła spłynęła z laski i zawisła przy jego głowie jak lampka. Lewą dłoń położył na piersi, zaciskając w palcach coś, co zwisało mu z szyi na grubym łańcuchu. Leżał tam całkiem wygodnie, z nogami skrzyżowanymi w kostkach. Przesunął spojrzeniem po stropie, koło otworu. Westchnął i zamknął oczy. Światełko przygasało powoli. Zasnął.

Zaciśnięte palce lewej dłoni rozprostowały się i ręka zsunęła z piersi na ziemię. Wtedy Arha zobaczyła, jaki amulet czarownik nosi na łańcuchu: kawałek metalu w kształcie półksiężyca. Tak jej się wydawało.

Delikatny blask jego magii zniknął. Obcy leżał w ciszy i mroku.

Arha odłożyła na miejsce materiał i kafelek, po czym cichutko przemknęła do swojego pokoju. Długo nie mogła zasnąć w ciemności pełnej wycia wichury. Wciąż widziała przed sobą kryształową jasność błyszczącą w domu śmierci, delikatny chłodny płomyk, kamienne ściany tunelu i spokojną twarz śpiącego mężczyzny.

6

Pułapka

Następnego dnia, gdy tylko wykonała swoje obowiązki w różnych świątyniach i skończyła lekcję świętych tańców dla nowicjuszek, przemknęła do Małego Domu i zaciemniwszy pokój, odsłoniła otwór w podłodze. Zajrzała. Na dole nie było światła. Złodziej odszedł. Nie wierzyła, by został tak długo pod opornymi drzwiami, ale tylko tu mogła go szukać. Jak go teraz znajdzie, gdy zniknął?

Tunele Labiryntu, według szacunków Thar i jej własnych doświadczeń, ciągnęły się ponad dwadzieścia mil; były pełne zakrętów, rozgałęzień, spiral i ślepych zaułków. Długi, ślepy korytarz, leżący najdalej od Grobowców, oddalony był od nich może o milę w linii prostej. Ale pod ziemią nic nie biegło prosto. Wszystkie tunele dzieliły się, łączyły, rozwidlały, krzyżowały, zataczały kręgi, przebiegały po skomplikowanych krzywych, by wrócić do punktu, gdzie się zaczęły. Można było iść, iść i iść, nigdzie nie dochodząc, ponieważ nie było gdzie dojść. Nie istniało centrum, serce Labiryntu. A po zamknięciu wrót nie istniał też koniec. Żaden kierunek nie był prawidłowy.

Arha pamiętała dobrze wszystkie drogi i trasy do różnych komnat, ale nawet ona zabierała na swe wyprawy kłębek cienkiej włóczki. Rozwijała go za sobą i wracając, zwijała. Wystarczyło bowiem, by przeoczyła choć jeden zakręt, który miała policzyć, a mogłaby zgubić drogę. Światło nie pomagało, ponieważ nie było żadnych znaków

orientacyjnych. Wszystkie korytarze, przejścia i wyloty były do siebie podobne.

Złodziej mógł wędrować całe mile, a mimo to nie oddalić się więcej niż na czterdzieści kroków od wrót, przez które tu wszedł.

Pobiegła do Sali Tronu, do świątyni Bliźniaczych Bóstw i do kuchennej piwnicy. Gdy tylko zostawała sama, zaglądała przez wizjery w chłodną, gęstą ciemność. Kiedy nadeszła lodowata, lśniąca gwiazdami noc, odwiedzała pewne miejsca na wzgórzu, podnosiła niektóre kamienie, zmiatała ziemię i zaglądała znowu w bezgwiezdną ciemność podziemi.

Był tam. Musiał być. A jednak jej uciekł. Umrze z pragnienia, zanim go odnajdzie. Gdy tylko zyska pewność, że nie żyje, będzie musiała posłać do Labiryntu Manana, by go odszukał. Nie mogła znieść tej myśli. Klęczała w świetle gwiazd na twardym zboczu wzgórza i czuła pod powiekami łzy bezsilnej złości.

Wróciła do ścieżki biegnącej w dół zbocza do świątyni Boga-Króla. W blasku gwiazd rzeźbione kolumny lśniły bielą szronu niczym filary z kości. Zastukała do tylnych drzwi i Kossil wpuściła ją do środka.

– Co sprowadza moją panią? – spytała zimno i nieufnie.

– Kapłanko, w Labiryncie jest mężczyzna.

Te słowa zaskoczyły Kossil zupełnie. Choć raz zdarzyło się coś, czego nie oczekiwała. Stała bez ruchu, wytrzeszczając oczy. Arha pomyślała, że wygląda całkiem jak Penthe udająca Kossil, i poczuła, że wzbiera w niej histeryczny śmiech. Stłumiła go z wysiłkiem.

– Mężczyzna? W Labiryncie? – wydukała stara kapłanka

– Mężczyzna. Obcy. – A kiedy Kossil nadal wpatrywała się w nią z niedowierzaniem, dodała: – Potrafię rozpoznać mężczyznę, choć nie widziałam ich wielu.

Kossil nie zwróciła uwagi na ironię.

– Jak się tam dostał?

– Sądzę, że z pomocą czarów. Ma ciemną skórę. Może pochodzić z Wysp Wewnętrznych. Przybył, by okraść Wielki Skarbiec. Spotkałam go w Podgrobiu, pod samymi Kamieniami Grobowymi. Kiedy mnie zauważył, uciekł do Labiryntu... zupełnie jakby znał drogę. Zamknęłam za nim żelazne wrota. Rzucał zaklęcia, ale nie

zdołał ich otworzyć. Rankiem wszedł w głąb Labiryntu. Nie mogę go znaleźć.

– Czy miał światło?

– Tak.

– Wodę?

– Małą manierkę, niepełną.

– Świeca na pewno już mu się wypaliła – zastanawiała się Kossil. – Jeszcze cztery, pięć dni. Może sześć. Potem poślij moje sługi. Wyciągną ciało. Trzeba wylać jego krew przed Pustym Tronem, a jego...

– Nie. – Arha przerwała jej z nieoczekiwaną stanowczością. – Chcę go odszukać żywego.

Kapłanka spojrzała na nią z góry.

– Dlaczego?

– Żeby... żeby umierał dłużej. Popełnił świętokradztwo wobec Bezimiennych. Światłem skalał Podgrobie. Przybył, by skraść Grobowcom ich skarby. Samotna śmierć w tunelu to zbyt mało.

– Tak... – Kossil zastanawiała się przez chwilę. – Ale jak go schwytasz, pani? To ryzykowne. A w moim planie nie ma ryzyka. Czy nie trafiłaś w Labiryncie na komnatę pełną kości... kości ludzi, którzy tam weszli i nigdy już nie wyszli? Niech Bóstwa Ciemności ukarzą go po swojemu, na swój sposób. Śmierć z pragnienia jest okrutna.

– Wiem – odparła dziewczyna. Odwróciła się i wyszła w noc, naciągając na głowę kaptur dla ochrony przed świszczącym, lodowatym wiatrem.

Przychodząc do Kossil, postąpiła głupio i po dziecinnemu. Nie mogła liczyć na jej pomoc. Kossil sama nic nie wiedziała, znała tylko zimne wyczekiwanie i w końcu śmierć. Nie rozumiała. Nie pojmowała, dlaczego trzeba koniecznie odszukać tego mężczyznę. On nie może skończyć jak tamci. Arha po raz drugi już tego nie wytrzyma. Skoro on musi zginąć, niech jego śmierć będzie szybka, w świetle dnia. Tak, to właściwe, by ten złodziej zginął od miecza. Jako pierwszy od wieków miał dość odwagi, by podjąć próbę obrabowania Grobowców Atuanu. Przecież nie ma nawet duszy nieśmiertelnej i już się nie odrodzi. Jego duch będzie przez wieki

jęczał w korytarzach. Nie można pozwolić, by umarł z pragnienia, samotny, w mroku.

Tej nocy Arha nie spała. Następnego dnia czekało ją wiele obowiązków, wiele ceremonii, w których musiała uczestniczyć. Przez prawie całą noc wędrowała od jednego otworu do drugiego we wszystkich ciemnych budowlach Miejsca Grobowców i na smaganym wiatrem wzgórzu. Wróciła do Małego Domu i położyła się dwie, może trzy godziny przed świtem. Długo nie mogła zasnąć. Późnym popołudniem trzeciego dnia wyszła na pustynię i skierowała się ku niemal wyschniętej zimą rzece. W trzcinach trzeszczał lód. Przypomniała sobie, że kiedyś, jesienią, dotarła do bardzo dalekich tuneli, za Poszóstne Skrzyżowanie, i wzdłuż całej drogi długim, wygiętym w łuk korytarzem słyszała za ścianą płynącą wodę. Gdyby do tego korytarza trafił człowiek cierpiący z pragnienia, na pewno by w nim pozostał. Tam także były wizjery, musiała tylko je odszukać. W zeszłym roku Thar pokazała jej wszystkie, więc nie miała większych problemów. Pamiętała ich położenie jak ślepiec; raczej wyczuwała drogę do kolejnych ukrytych otworów, niż rozglądała się za nimi. W drugim z kolei, gdy naciągnęła kaptur, by zasłonić światło, i przysunęła oko do dziury wywierconej w płaskim kamieniu, dostrzegła słabe migotanie magicznego ognika.

Złodziej tam był, częściowo tylko widoczny. Wizjer ukazywał sam koniec ślepego tunelu. Widziała plecy obcego, zgięty kark i prawe ramię. Siedział w rogu i dłubał między kamieniami nożem, krótkim stalowym sztyletem z rękojeścią wysadzaną klejnotami. Ostrze pękło, odłamany koniec leżał wprost pod wizjerem. Skruszył je, gdy próbował podważyć kamienie ścian tunelu, by dostać się do wody, której plusk słyszał wyraźnie w martwej ciszy podziemia, po drugiej stronie muru.

Poruszał się apatycznie. Po trzech nocach i dniach był całkiem inny niż tamten człowiek, który stał spokojnie u żelaznych wrót i śmiał się z własnej porażki. Jego upór nie zniknął, lecz utracił moc. Czarownik nie umiał rzucić zaklęcia, by rozsunęło te kamienie. Musiał używać złamanego noża. Nawet magiczny płomyk był słaby i przyćmiony. Zamigotał nagle, a czarownik drgnął i upuścił sztylet. Po chwili

jednak zmęczonym ruchem podniósł go i dalej próbował wcisnąć pęknięte ostrze między głazy.

Leżąc między skutymi lodem trzcinami na brzegu, nie do końca zdając sobie sprawę z tego, gdzie jest i co robi, Arha przycisnęła usta do zimnej skały i osłoniła je dłońmi.

– Magu! – zawołała. Jej głos spłynął przez kamienny lejek i chłodnym szeptem odbił się w podziemnym tunelu.

Złodziej drgnął i zerwał się na nogi, opuszczając przy tym jej pole widzenia, bo nie zobaczyła go, kiedy spojrzała znowu. Raz jeszcze przysunęła wargi do otworu.

– Wróć tunelem wzdłuż rzeki do drugiego zakrętu. Najpierw skręć w lewo. Omiń dwa korytarze z prawej, wejdź w trzeci. Omiń jeden z prawej, wejdź w drugi. Potem w lewo; potem w prawo. Dojdziesz do Malowanej Komnaty. Zostań tam.

Odsuwając się, musiała wpuścić do tunelu promień światła, albowiem zobaczyła złodzieja. Podniósł głowę i patrzył prosto w otwór. Wyraźnie widziała jego twarz, poznaczoną bliznami, podnieconą i pełną napięcia. Wargi miał czarne i spękane, oczy mu błyszczały jasno. Cofnęła się przestraszona, przykryła wizjer kamieniem i zasypała ziemią. Szybkim krokiem wróciła do Miejsca Grobowców. Ręce jej drżały, czuła zawroty głowy. Nie wiedziała, co powinna zrobić.

Jeśli on posłucha wskazówek, ruszy w stronę żelaznych wrót i dojdzie do komory z obrazami. Nic tam nie znajdzie, nie było powodu, by go tam kierować. W sklepieniu Malowanej Komnaty był wizjer, wygodny, w skarbcu świątyni Bliźniaczych Bóstw; może właśnie dlatego przyszła jej do głowy ta grota. Po co w ogóle się do niego odezwała?

Może spuścić przez któryś wizjer trochę wody, a potem go tam przywołać. Dzięki temu złodziej pożyje trochę dłużej. Tak długo, jak będzie miała ochotę – gdyby od czasu do czasu podrzucała mu wodę i trochę jedzenia, mówiąc przy tym, gdzie może je znaleźć. Czasem informowałaby go fałszywie, by chodził na próżno. Zawsze jednak musiałby iść. To by go nauczyło, że nie wolno kpić z Bezimiennych, pysznić się swoją głupią męskością w miejscach spoczynku Nieśmiertelnych Martwych!

Tyle że póki on tam jest, sama nie będzie mogła wejść do Labiryntu. Dlaczego nie? – zapytała samą siebie i odpowiedziała: Ponieważ mógłby uciec przez żelazne wrota, które musiałabym zostawiać za sobą otwarte... Jednak mógłby uciec najwyżej do Podgrobia. Rzecz w tym, że bała się stanąć z nim twarzą w twarz. Lękała się jego mocy, sztuki, której użył, by wejść w podziemia, magii płonącej na końcu laski. Czy jednak było się czego obawiać? Władające ciemnością Potęgi stały po jej stronie. W dziedzinie Bezimiennych on wyraźnie nie potrafił zbyt wiele. Nie otworzył żelaznych wrót; nie sprowadził magicznego pożywienia ani nie ściągnął przez ścianę wody; nie przywołał też żadnego straszliwego demona, który zburzyłby mury, choć bała się, że jest do tego zdolny. Po trzech dniach błądzenia nie znalazł nawet drogi do Wielkiego Skarbca, a przecież z pewnością jej szukał. Arha nigdy jeszcze nie skorzystała ze wskazówek Thar, opisujących drogę do tej komnaty. Wciąż odkładała wyprawę, powodowana lękiem, niewyjaśnionym oporem, świadomością, że czas jeszcze nie nadszedł.

Właściwie, pomyślała, czemu nie pozwolić, by pokonał tę drogę zamiast mnie? Niech do woli ogląda skarby Grobowców Atuanu. Dużo mu z tego przyjdzie! A ja będę kpić z niego, doradzać, by jadł złoto i pił diamenty.

Z nerwowym, gorączkowym pośpiechem, który dręczył ją od trzech dni, pobiegła do świątyni Bliźniaczych Bóstw. Otworzyła drzwi do niewielkiego skarbca i odsłoniła dobrze ukryty otwór w podłodze.

Malowana Komnata leżała pod nią w absolutnej ciemności. Złodziej szedł okrężną drogą, dużo dłuższą... Zapomniała o tym. W dodatku był osłabiony i poruszał się wolno. Może źle zapamiętał jej wskazówki i skręcił w złą stronę. A może nawet nie znał jej języka. Jeśli tak, to niech błądzi, dopóki nie padnie, ten dureń, cudzoziemiec, niedowiarek. Niech jego duch jęczy na kamiennych drogach Grobowców Atuanu, póki ciemność nie pożre i jego...

Następnego ranka, bardzo wcześnie, po krótkim śnie pełnym koszmarów, Arha wróciła do wizjera w niewielkiej świątyni. Spojrzała w dół i nie zobaczyła niczego. Tylko czerń. Na łańcuchu opuściła świecę w małej blaszanej latarence. Złodziej był tam, w Malowanej

Komnacie. W blasku świecy zobaczyła jego nogi i zwisającą bezwładnie rękę. Zawołała do otworu, tutaj dużego, wielkości kafla posadzki:

– Magu!

Nie ruszał się. Czyżby nie żył? Czy tylko tyle było w nim mocy? Prychnęła pogardliwie, lecz serce biło jej mocno.

– Magu! – krzyknęła, a jej głos dudnił w pustej podziemnej komorze. Drgnął, usiadł powoli i w oszołomieniu rozejrzał się dookoła. Po chwili podniósł głowę, mrugając w świetle zwisającej ze stropu maleńkiej latarni. Jego twarz wyglądała okropnie, napuchnięta i ciemna jak twarz mumii.

Dotknął dłonią leżącej przy nim laski, lecz drewno nie rozkwitło płomieniem. Moc obcego była wyczerpana.

– Chcesz zobaczyć skarby Grobowców Atuanu, magu?

Spojrzał w górę, mrużąc oczy przed blaskiem świecy. Tylko tę świecę widział. Po chwili, z grymasem, który mógł być uśmiechem, kiwnął głową.

– Wyjdź z tej komnaty i idź w lewo. Wejdź w pierwszy korytarz po lewej... – Bez zatrzymania wyrecytowała długą serię instrukcji. Na końcu dodała: – Tam odnajdziesz skarb, po który tu przybyłeś. I tam, być może, znajdziesz wodę. Co byś wybrał, magu?

Wstał, opierając się na lasce. Spojrzał w górę i choć nie mógł Arhy zobaczyć, wyraźnie próbował jej coś powiedzieć. Jednak miał tak wyschnięte gardło, że nie potrafił wydać głosu. Wzruszył ramionami i wyszedł z Malowanej Komnaty.

Postanowiła nie dawać mu wody. Zresztą i tak nigdy nie znajdzie drogi do Wielkiego Skarbca. Ciąg instrukcji był zbyt długi, by zdołał go zapamiętać. Była też Otchłań, gdyby dotarł tak daleko. Nie miał już światła. Na pewno zgubi drogę, a w końcu przewróci się i umrze gdzieś w wąskich, pustych, suchych korytarzach. I to będzie koniec. Arha z całej siły chwyciła oburącz pokrywę wizjera, a jej skulone ciało kołysało się tam i z powrotem, tam i z powrotem. Zagryzała wargi, jak gdyby walczyła z potwornym bólem. Nie da mu wody. Nie da mu wody. Da mu tylko śmierć, śmierć, śmierć, śmierć, śmierć.

***

W tej mrocznej godzinie przyszła do niej Kossil. Tęga, ciężko wkroczyła do małego skarbczyka w czarnej zimowej szacie.

– Czy złodziej już umarł?

Arha podniosła głowę. W jej oczach nie było łez, nie miała czego ukrywać.

– Chyba tak – odparła, wstając. Otrzepała spódnicę.

– Może udawać. Ci bezduszni bywają sprytni.

– Poczekam jeszcze dzień dla pewności.

– Tak, albo nawet dwa dni. Potem Duby może zejść na dół i go wyciągnąć. Jest silniejszy niż stary Manan.

– Ale Manan jest w służbie Bezimiennych, a Duby nie. Są w Labiryncie miejsca, gdzie Duby nie powinien chodzić. Złodziej znajduje się w jednym z nich.

– Skoro już zostało skalane...

– Jego śmierć je oczyści – oznajmiła Arha. Mina Kossil świadczyła wyraźnie, że jej twarz zdradza coś niezwykłego. – To moja dziedzina, kapłanko. Muszę jej pilnować tak, jak nakazują mi moi władcy. Nie musisz już uczyć mnie śmierci.

Twarz Kossil wsunęła się w kaptur niby pustynny żółw do skorupy; powolny, zimny i wrogi.

– Jak sobie życzysz, pani.

Rozstały się przed ołtarzem Boskich Braci. Już bez pośpiechu Arha odeszła do Małego Domu. Przywołała Manana, by jej towarzyszył. Od rozmowy z Kossil wiedziała, co musi uczynić.

Wraz z Mananem weszli na wzgórze, do Sali Tronu, i dalej w dół, do Podgrobia. Razem napierając na długą dźwignię, otworzyli żelazne wrota Labiryntu. Zapalili latarnię i wkroczyli do jego wnętrza. Arha poprowadziła eunucha do Malowanej Komnaty i stąd ruszyła w stronę Wielkiego Skarbca.

Złodziej nie dotarł daleko. Nie przeszli nawet pięciuset kroków, gdy na niego trafili. Leżał w wąskim tunelu jak stos bezładnie rzuconych

szmat. Zanim upadł, zgubił swoją laskę – leżała w pewnej odległości od niego. Wargi miał zakrwawione, oczy przymknięte.

– Żyje... – Manan przyklęknął przy obcym. Swą wielką żółtą dłoń przyłożył mu do szyi, szukając pulsu. – Mam go udusić, panienko?

– Nie. Potrzebny mi jest żywy. Podnieś go i chodź za mną.

– Żywy? – zdumiał się Manan. – Po co, panienko?

– By został niewolnikiem Grobowców! Nie gadaj, tylko rób, co ci każę.

Twarz Manana stała się jeszcze bardziej melancholijna niż zwykle. Posłuchał jednak, bez wysiłku uniósł młodego człowieka i niczym długi pakunek zarzucił sobie na ramię. Tak obciążony, niepewnym krokiem ruszył za Arhą. W drodze powrotnej zatrzymywali się z dziesięć razy, by eunuch chwilę odpoczął. Korytarz wszędzie był taki sam: szarożółte, dopasowane do siebie kamienie ścian połączonych w górze łukowym sklepieniem, nierówne podłoże, stęchłe powietrze. Manan stękał i oddychał z trudem, obcy leżał nieruchomo, dwie latarnie rzucały krąg mętnego światła niknącego w mroku po obu stronach. Na każdym postoju Arha wlewała w usta czarownika kilka kropli wody z manierki, którą wzięła ze sobą – po trochu, by nie zabiło go gwałtownie powracające życie.

– Do Komnaty Łańcuchów? – spytał Manan, gdy szli korytarzem prowadzącym do żelaznych wrót.

Wtedy po raz pierwszy Arha zastanowiła się, gdzie powinna umieścić jeńca. Nie miała pomysłu.

– Nie, tam nie – odparła, czując mdłości na samo wspomnienie dymu, smrodu, splątanych włosów, milczących ust i niewidzących oczu. Poza tym do Komnaty Łańcuchów mogła trafić Kossil. – On... On musi zostać w Labiryncie, by nie odzyskał swej magicznej mocy. Gdzie jest takie pomieszczenie...

– W Malowanej Komnacie są drzwi, zamek i wizjer, panienko. O ile drzwi go powstrzymają.

– W Labiryncie on nie ma żadnej mocy. Zabierz go tam.

Manan ruszył z powrotem, zbyt zmęczony i zdyszany, by protestować. Gdy wreszcie dotarli do Malowanej Komnaty, Arha rzuciła na ziemię swój długi, ciężki, wełniany zimowy płaszcz.

– Połóż go na tym – poleciła.

Manan patrzył na nią z konsternacją. Pociągnął nosem.

– Panienko...

– Chcę, żeby ten człowiek żył. A może umrzeć z zimna. Spójrz, jak się trzęsie.

– Ale twój strój zostanie skalany. Strój kapłanki. To przecież niewierny. I mężczyzna – wyrzucił z siebie Manan, mrugając małymi oczkami, jakby coś go bolało.

– No więc spalę ten płaszcz i utkam sobie drugi!

Manan schylił się posłusznie i pozwolił, by mężczyzna zsunął mu się z pleców na czarną tkaninę. Obcy leżał nieruchomy jak śmierć, lecz jego puls bił wyraźnie, widoczny na żyłach szyi. Od czasu do czasu dygotał spazmatycznie.

– Powinno się go przykuć – mruknął eunuch.

– Czy wygląda na groźnego? – Arha skrzywiła się pogardliwie.

Lecz kiedy niewolnik pokazał jej wbitą w ścianę żelazną klamrę, do której można było przykuć więźnia, pozwoliła mu przynieść kajdany z Komnaty Łańcuchów. Poczłapał korytarzem, szeptem przypominając sobie drogę; chodził już do Malowanej Komnaty, lecz nigdy samotnie.

W świetle pojedynczej latarni rysunki na ścianach zdawały się poruszać i przesuwać – owe niezwykłe ludzkie postacie ze zwisającymi skrzydłami, przykucnięte lub stojące, pogrążone w ponadczasowym smutku.

Uklękła i po trochu wlewała wodę w usta więźnia. W końcu zakaszlał i drżącymi dłońmi chwycił butelkę. Pozwoliła mu pić do woli. Leżał potem z wilgotną twarzą, wysmarowaną kurzem i krwią. Powiedział coś, jakieś słowo czy dwa, w języku, którego nie rozumiała.

Wreszcie wrócił Manan. Ciągnął długi żelazny łańcuch, wielką kłódkę z kluczem i żelazną obręcz, którą zamocował więźniowi na wysokości pasa.

– Jest za luźna. Może się wyśliznąć – burczał, zatrzaskując klamrę na końcu łańcucha.

– Wcale nie. Popatrz. – Obcy nie przerażał jej już tak bardzo, więc zademonstrowała, że nie potrafi wsunąć dłoni pomiędzy żelazną obręcz a jego żebra. – Chyba żeby głodował jeszcze ze cztery dni.

– Panienko – odezwał się prosząco Manan. – Nie sprzeciwiam się, ale... Jaki pożytek będą mieć Bezimienni z takiego niewolnika? To mężczyzna, maleńka.

– A ty jesteś starym głupcem.Przestań już narzekać.

Więzień obserwował ich lśniącymi, choć znużonymi oczami.

– Gdzie jego laska, Manan? Tam. Zabiorę ją. Są w niej czary. O, jeszcze to; to też zabiorę. – Szybkim ruchem chwyciła srebrny łańcuch widoczny nad kołnierzem tuniki obcego.

Próbował chwycić ją za ramiona i powstrzymać, ale Manan kopnął go w plecy. Arha pomachała talizmanem nad głową, poza zasięgiem więźnia.

– To twój talizman, magu? Jest dla ciebie cenny? Nie wygląda imponująco. Nie stać cię na coś lepszego? Przechowam go dla ciebie.

Założyła łańcuch na szyję, chowając wisiorek pod grubym kołnierzem swej wełnianej szaty.

– Nie wiesz, co z nim zrobić – odezwał się chrapliwie. Mówił po kargijsku z fatalnym akcentem, ale dość wyraźnie.

Ennuch kopnął go znowu. Więzień stęknął z bólu i przymknął oczy.

– Daj spokój, Manan. Idziemy.

I wyszła. Burcząc gniewnie, eunuch ruszył za nią.

Tej nocy, gdy pogasły wszystkie światła, samotnie wspięła się na wzgórze. Napełniła manierkę wodą ze studni w komnacie za Pustym Tronem, a potem zaniosła wodę i duży, płaski bochenek gryczanego chleba na dół, do Malowanej Komnaty w Labiryncie. Położyła je w zasięgu ręki więźnia, obok drzwi. Obcy spał i nawet się nie poruszył. Wróciła do Małego Domu i tej nocy ona także spała długo i głęboko.

Wczesnym popołudniem poszła sama do Labiryntu. Chleb zniknął, manierka była pusta, a obcy siedział oparty o ścianę. Jego brudna i podrapana twarz nadal strasznie wyglądała, lecz patrzył już przytomnie.

Arha stanęła pod przeciwną ścianą, gdzie skrępowany łańcuchem nie mógł jej dosięgnąć. Przyglądał mu się. Coś nie pozwalało jej się odezwać. Serce biło jej mocno, jakby się bała. Ale nie miała powodów do strachu. Obcy był na jej łasce.

– Miło jest znowu mieć światło – powiedział cichym, lecz dźwięcznym głosem, budząc zamęt w jej myślach.

– Jak ci na imię? – spytała groźnym tonem. Własny głos wydał jej się dziwnie cienki i piskliwy.

– No cóż, najczęściej nazywają mnie Krogulcem.

– Krogulcem? To twoje imię?

– Nie.

– Więc jak masz na imię?

– Tego nie mogę ci powiedzieć. Czy jesteś Jedyną Kapłanką Grobowców?

– Tak.

– A jak cię nazywają?

– Mówią na mnie Arha.

– Ta, która została pożarta... To oznacza to słowo? – Jego ciemne oczy wpatrywały się w nią z uwagą. Uśmiechnął się lekko. – A jak masz na imię?

– Nie mam imienia. Nie zadawaj mi pytań. Skąd przybyłeś?

– Z Wysp Wewnętrznych, z zachodu.

– Z Havnoru?

To była jedyna znana jej nazwa miasta czy wyspy spośród Wysp Wewnętrznych.

– Tak, z Havnoru.

– Po co tu przyszedłeś?

– Grobowce Atuanu są sławne wśród mego ludu.

– Przecież jesteś niewiernym, niedowiarkiem.

Pokręcił głową.

– Ależ nie, Jedyna Kapłanko. Wierzę w moce ciemności! Spotkałem już nienazwanych.

– Gdzie ich spotkałeś?

– W Archipelagu, na Wyspach Wewnętrznych są miejsca, które należą do Dawnych Potęg Ziemi. Jak to. Ale żadne z nich nie jest równie wielkie. Nigdzie też nie mają świątyni, kapłanki ani tylu wiernych co tutaj.

– Przybyłeś, by złożyć im hołd? – zakpiła.

– Przybyłem, by je okraść – odparł.

Spojrzała na jego twarz pełną powagi.

– Samochwał!

– Wiedziałem, że nie będzie to łatwe.

– Łatwe?! To niemożliwe! Wiedziałbyś o tym, gdybyś nie był niewiernym. Bezimienni dobrze pilnują tego, co do nich należy.

– To, czego szukam, nie należy do nich.

– Pewnie do ciebie?

– Mam prawo to odebrać.

– Kim niby jesteś? Bogiem? Królem? – Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów; przykutego do ściany, brudnego, wycieńczonego. – Jesteś tylko złodziejem!

Milcząc, spojrzał jej w oczy.

– Nie patrz na mnie! – krzyknęła nerwowo.

– O pani – powiedział. – Nie chciałem cię urazić. Jestem obcym, przybyszem. Nie znam waszych zwyczajów ani honorów należnych Jedynej Kapłance Grobowców. Jestem w twojej mocy i proszę o wybaczenie, jeśli cię dotknąłem.

Stała w milczeniu, czując, jak na policzki wypływa jej gorący, głupi rumieniec. On jednak nie patrzył na nią i nie widział tego. Posłusznie odwrócił swe posępne spojrzenie.

Przez chwilę żadne się nie odzywało. Ze wszystkich stron spoglądały na nich ślepymi oczami malowane postacie.

Przyniosła ze sobą kamienny dzban z wodą. Obcy co chwila zerkał na niego ukradkiem, aż w końcu zezwoliła:

– Pij, jeśli masz ochotę.

Natychmiast chwycił dzban, podniósł go lekko niby kielich wina i pił długo. Potem zwilżył rękaw i starannie oczyścił twarz oraz ręce z brudu, zaschniętej krwi i pajęczyn. Dziewczyna przyglądała się temu w milczeniu. Kiedy skończył, wyglądał znacznie lepiej, lecz ta kocia kąpiel odsłoniła blizny na jego twarzy – stare, wygojone blizny, białawe na tle smagłej skóry – cztery równoległe szramy sięgające od oka aż do szczęki, jakby ślad pazurów wielkiej łapy.

– Od czego te blizny? – spytała.

Nie odpowiedział od razu.

– Smok? – Starała się, by zabrzmiało to szyderczo. Czyż nie przyszła tu, by kpić ze swego więźnia, dręczyć go i napawać się jego bezradnością?

– Nie, to nie smok.

– Więc nie jesteś panem smoków.

– To nie tak – odparł niechętnie. – Jestem panem smoków. Ale te blizny pochodzą z wcześniejszych czasów. Mówiłem ci, że spotykałem się już z Mocami Ciemności... To, co widzisz na mojej twarzy, to znaki pozostawione przez krewniaka Bezimiennych. Lecz on nie jest już bezimienny, albowiem w końcu poznałem jego imię.

– Co masz na myśli? Jakie imię?

– Tego nie mogę ci powiedzieć – odparł i uśmiechnął się, choć jego oczy zachowały wyraz powagi.

– To nonsens, brednie, bluźnierstwo! Oni są Bezimiennymi! Nie wiesz, o czym mówisz...

– Wiem lepiej od ciebie, Jedyna Kapłanko – przerwał, a jego głos nabrał głębi. – Przyjrzyj się! – Odwrócił głowę tak, że musiała patrzeć na cztery straszne ślady na jego policzku.

– Nie wierzę ci – oświadczyła drżącym głosem.

– Kapłanko – odezwał się łagodnie. – Jesteś jeszcze młoda. Zapewne niedługo służysz Mrocznym Bóstwom.

– Długo! Bardzo długo! Jestem Pierwszą Kapłanką Odrodzoną. Służę moim władcom od tysiąca lat, a przedtem jeszcze tysiąca. Jestem ich sługą, ich głosem i ich dłońmi. A także ich zemstą na tych, którzy bezczeszczą Grobowce i patrzą na to, co nie ma być widziane! Zaniechaj swych kłamstw i przechwałek. Czy nie pojmujesz, że wystarczy jedno moje słowo, by przyszli tu strażnicy i cię ścięli? Mogę też stąd wyjść i zamknąć te drzwi. Wtedy nikt już tu nie przyjdzie, nigdy, a ty umrzesz w ciemności. Ci, którym służę, pożrą twoje ciało i duszę, pozostawiając tylko kości wśród kurzu.

W milczeniu pokiwał głową.

Urwała, a nie mając już nic do dodania, wyszła i z hukiem zaryglowała drzwi. Niech myśli, że już nie wróci! Niech się zalewa zimnym potem, niech drży, przeklina i próbuje rzucać te swoje obrzydliwe, bezsensowne czary!

Lecz oczami duszy widziała, jak on wyciąga się na ziemi do snu, tak jak to zrobił pod żelaznymi wrotami – pogodny niczym owca na łące w słoneczny dzień.

Splunęła na zamknięte drzwi, zrobiła dłonią szybki gest chroniący przed nieczystością i niemal biegiem ruszyła w stronę Podgrobia.

A kiedy szła wzdłuż ściany, zmierzając do klapy w Sali Tronu, przesuwając palce po powierzchniach i krawędziach skały niby po lodowej koronce, ogarnęło ją pragnienie, by zapalić latarnię i choć na chwilę znowu zobaczyć rzeźbione przez czas kamienie i cudowne migotanie ścian.

Mocno zacisnęła powieki i przyspieszyła kroku.

7

Wielki Skarbiec

Jeszcze nigdy codzienne obowiązki i ceremonie nie wydawały się tak liczne, tak nieważne i tak długie. Małe zalęknione dziewczynki o bladych twarzach, niespokojne nowicjuszki, spoglądające zimno i surowo kapłanki, których życie było gąszczem skrzętnie ukrywanych zawiści, żalów, małych ambicji i zapomnianych namiętności – te kobiety, wśród których żyła i które były dla niej całym ludzkim światem, teraz wydawały się godne litości i nudne.

Lecz ona, która służyła Wielkim Potęgom, ona, kapłanka posępnej Nocy, wolna była od ich małostkowości. Nie musiała się przejmować ponurą jednostajnością codziennego życia, dni, których jedyną radością było dostać do soczewicy większy kawałek baraniny... Była wolna od dni jako takich. Pod ziemią dni nie istniały. Trwała tylko i zawsze noc.

A wśród tej niemającej końca nocy – więzień. Smagły mężczyzna, adept ciemnych kunsztów, przykuty żelazem do kamienia; czekający, czy przyjdzie, czy nie; czy przyniesie mu wodę, chleb i życie, czy nóż, misę ofiarną i śmierć; co podpowie jej kaprys.

Nie mówiła o tym człowieku nikomu prócz Kossil, a Kossil nikomu nie powtórzyła. Od trzech dni już przebywał w Malowanej Komnacie, a ona wciąż o niego nie pytała. Może uznała, że nie żyje, a Arha i Manan przenieśli ciało do Komnaty Kości. To niepodobne do Kossil, by przyjmować cokolwiek na wiarę, lecz Arha przekonywała samą

siebie, że milczenie starej kapłanki nie jest niczym niezwykłym. Chciała zachować wszystko w tajemnicy i nienawidziła zadawania pytań. A poza tym Arha zakazała jej mieszać się w nie swoje sprawy. Kossil była po prostu posłuszna.

Z drugiej strony, jeśli Kossil sądziła, że złodziej nie żyje, to Arha nie mogła prosić o żywność dla niego. Kradła więc jabłka i cebulę z piwnicy Wielkiego Domu, a oprócz tego starała się obywać bez jedzenia. Poranne i wieczorne posiłki kazała sobie przynosić do Małego Domu pod pozorem, że chce jadać samotnie. Każdej nocy zanosiła do Malowanej Komnaty w Labiryncie wszystko prócz zupy. Przyzwyczajona była do całodziennych, czasem nawet czterodniowych postów, więc nie dbała o to. Człowiek w Labiryncie pochłaniał jej skromne porcje chleba, sera i soczewicy tak, jak żaba połyka muchę: trzask! – i po wszystkim. Wyraźnie zjadłby chętnie pięć albo sześć razy więcej. Zawsze jednak dziękował jej uprzejmie, jakby był gościem przy długim stole, jaki znała z opowieści o ucztach w pałacu Boga-Króla; stole zastawionym pieczonym mięsem, masłem, chlebem i winem w kryształowych pucharach.

– Jak tam jest na Wyspach Wewnętrznych?

Zniosła do Labiryntu mały składany stołeczek z kości, żeby wypytując więźnia, nie stać ani siedzieć na ziemi, na jego poziomie.

– Cóż, jest tam wiele wysp. Mówią, że cztery razy po czterdzieści w samym Archipelagu, a są jeszcze Rubieże. Żaden człowiek nie opłynął jeszcze wszystkich Rubieży ani nie policzył wszystkich skrawków lądu. A każda wyspa różni się od innych. Najpiękniejszą z nich jest chyba Havnor, wielki obszar lądu w środku świata. W sercu Havnoru, nad wielką zatoką pełną statków, leży miasto Havnor. Wieże miasta są z białego marmuru. Dom każdego księcia i kupca ma wieżyczkę, tak że wyrastają jedna ponad drugą. Dachy domów kryje czerwona dachówka, a wszystkie mosty nad kanałami ozdobiono mozaikami: czerwonymi, niebieskimi i zielonymi. Wielobarwne proporce książąt powiewają ze szczytów białych wież. A na najwyższej wieży tkwi miecz Erreth-Akbego, niby iglica sięgający ku niebu. Gdy słońce wschodzi nad Havnorem, promienie odbijają się najpierw w klindze i ostrze lśni jasno. Gdy zachodzi, miecz jest złoty i wznosi się jeszcze chwilę ponad zmierzchem.

– Kim był Erreth-Akbe? – zapytała przebiegle.

Spojrzał na nią z uwagą. Milczał, lecz uśmiechnął się lekko. Potem, jakby po namyśle, powiedział:

– No tak, niewiele możecie tu o nim wiedzieć. Może nic prócz historii o jego pobycie na Wyspach Kargadu. Jak opowiadano ci tę historię?

– Że stracił magiczną laskę i amulet swej mocy, jak ty. Uciekł przed Najwyższym Kapłanem na zachód i smoki go zabiły. Gdyby przyszedł tutaj, do Grobowców Atuanu, smoki nie byłyby potrzebne.

– To prawda – przyznał więzień.

Nie chciała dłużej rozmawiać o Erreth-Akbem. Czuła, że nie jest to bezpieczny temat.

– Mówią, że był panem smoków. Ty twierdzisz, że też nim jesteś. Kto to jest pan smoków?

Zawsze mówiła szyderczym tonem, a on odpowiadał prosto i szczerze, jakby przyjmował jej pytania za dobrą monetę.

– Ktoś, z kim smoki rozmawiają – wyjaśnił. – Nie chodzi o rozkazywanie smokom, jak sądzi większość ludzi. Smoki nie słuchają nikogo. Wszystko ogranicza się do jednego: czy smok będzie z tobą rozmawiał, czy cię pożre? Jeśli możesz liczyć, że zdecyduje się na to pierwsze, wtedy jesteś panem smoków.

– Smoki potrafią mówić?

– Oczywiście! W Najstarszej Mowie, języku, którego my, ludzie, uczymy się z takim trudem i używamy tak niewprawnie, by wypowiadać zaklęcia magii i kształtowania. Nikt nie poznał tego języka nawet w dziesiątej jego części. Nie ma dość czasu, by się go nauczyć. Ale smoki żyją tysiące lat... Domyślasz się chyba, że warto z nimi porozmawiać.

– A czy są jakieś smoki w Atuanie?

– Od wielu wieków już nie, ani na Karego-At. Ale na waszej północnej wyspie, Hur-at-Hur, podobno żyją jeszcze w górach wielkie smoki. I na zachodzie, w dalekiej Zachodniej Rubieży, na wyspach, gdzie nie mieszka nikt z ludzi i niewielu tylko dociera. Kiedy są głodne, ruszają na wschód, ale to zdarza się rzadko. Widziałem wyspę, gdzie przylatują tańczyć. Krążą na swych wielkich skrzydłach, bliżej i dalej od siebie, wciąż wyżej i wyżej ponad zachodnim

morzem, niby wir żółtych liści jesienią... – Jego oczy spoglądały poprzez ciemne rysunki na ścianach, poprzez mury, skałę i ciemność, na otwarte morze pod zachodzącym słońcem i złote smoki w złocistym wietrze.

– Kłamiesz – oświadczyła Arha z irytacją. – Wymyślasz sobie to wszystko.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Czemu miałbym to robić, Arho?

– Żebym się czuła głupia i przestraszona. Żebyś wydawał mi się mądry, odważny, silny, pan smoków i w ogóle. Widziałeś tańczące smoki i wieże Havnoru, i wiesz wszystko o wszystkim. A ja nic nie wiem i nigdzie nie byłam. Ale to, co mówisz, to kłamstwa! Jesteś nikim, tylko złodziejem i więźniem, i nigdy stąd nie wyjdziesz. Nie ma znaczenia, czy istnieją oceany, smoki, białe wieże i cała reszta, bo nigdy już ich nie zobaczysz, nigdy nie ujrzysz słońca. Ja znam tylko ciemność, noc pod ziemią. Tylko to naprawdę istnieje, tylko to się liczy. Cisza i mrok. Ty znasz wszystko, magu. A ja tylko jedno, ale najważniejsze.

Pochylił głowę. Jego wąskie miedzianobrązowe dłonie spoczywały bez ruchu na kolanach. Widziała poczwórną bliznę na jego policzku. Dalej niż ona dotarł przez ciemność; lepiej od niej poznał śmierć. Nawet śmierć... Fala nienawiści ogarnęła ją nagle, odbierając oddech. Dlaczego tu siedzi, taki bezbronny i taki potężny? Dlaczego ona, Jedyna Kapłanka, nie potrafi go pokonać?

– Tylko dlatego pozwalam ci żyć – powiedziała nagle i bez zastanowienia. – Chcę, żebyś mi pokazał, jak wykonuje się magiczne sztuczki. Będziesz żył, dopóki pozostanie ci dość mocy, by mnie zainteresować. Jeśli jej nie masz, jeśli to wszystko tylko bzdury i kłamstwa, skończę z tobą. Rozumiesz?

– Tak.

– Bardzo dobrze. Pokazuj.

Na chwilę ukrył twarz w dłonach. Zmienił pozycję. Żelazna obręcz nie pozwalała mu usiąść wygodnie. Mógł tylko położyć się na wznak.

Wreszcie podniósł głowę.

– Posłuchaj mnie, Arho – oznajmił z powagą. – Jestem magiem, czarnoksiężnikiem. Zdobyłem pewne umiejętności i pewną moc. To

prawda. Lecz prawdą jest także to, że tutaj, w Miejscu Dawnych Mocy, moje siły są nikłe, a sztuka zawodzi. Mógłbym stworzyć dla ciebie iluzje i pokazać różne cuda. To najprostsza część magii. Już jako dziecko potrafiłem tworzyć iluzje; udałoby mi się to nawet tutaj. Jeśli jednak w nie uwierzysz, mogą cię przestraszyć i zechcesz mnie zabić, gdyż lęk wzbudzi twój gniew. Jeśli zaś nie uwierzysz, dostrzeżesz w nich tylko bzdury i kłamstwa, jak to określiłaś, wtedy także stracę życie. A moim głównym celem i pragnieniem jest w tej chwili zachowanie go.

Roześmiała się wtedy.

– Ależ pozostaniesz żywy, przynajmniej przez pewien czas. Nie rozumiesz? Jesteś głupi! No dobrze, pokaż mi te iluzje. Wiem, że nie są prawdziwe, więc się nie przestraszę. Zresztą nie bałabym się także wtedy, gdyby były prawdziwe. Do dzieła. Twoja bezcenna skóra jest bezpieczna, przynajmniej do jutra.

Na to on się roześmiał, jak ona przed chwilą. Przerzucali między sobą jego życie niczym piłkę.

– Co chcesz, żebym ci pokazał?

– A co możesz mi pokazać?

– Co zechcesz.

– Ależ się przechwalasz!

– Nie. – Wyraźnie był urażony. – Wcale nie. Przynajmniej nie świadomie.

– Pokaż mi coś, co uważasz za warte zobaczenia. Cokolwiek.

Pochylił głowę i przez chwilę wpatrywał się w swoje dłonie. Nic się nie działo. Wysoka świeca w latarni paliła się równym płomieniem. Ciemne obrazy na ścianach, ptasioskrzydłe, nielotne postacie o zamglonych, białych i czerwonych oczach wznosiły się nad obojgiem. Panowała cisza. Arha westchnęła rozczarowana i jakby zasmucona. Był słaby; mówił o wspaniałościach świata, ale nic nie miał. Był tylko dobrym kłamcą, nawet nie dobrym złodziejem.

– No cóż – powiedziała w końcu i chwyciła spódnicę, by wstać. Wełna zaszeleściła dziwnie. Arha spojrzała na siebie i zerwała się oszołomiona.

Zniknęła ciężka czerń, jaką nosiła od lat. Teraz jej suknia była z turkusowego jedwabiu, jasna jak wieczorne niebo. Wydymała się

na wysokości bioder, a cały dół wyszywany był srebrnymi nićmi, małymi perełkami i drobnymi okruchami kryształu, tak że materiał migotał niczym krople kwietniowego deszczu.

Spojrzała na czarownika, nie mogąc wydobyć głosu.

– Podoba ci się? – zapytał.

– Skąd...?

– Taką suknię nosiła księżniczka na Balu Powrotu Słońca w Nowym Pałacu w Havnorze – wyjaśnił, patrząc na nią z satysfakcją. – Prosiłaś, bym ci pokazał coś wartego zobaczenia. Pokazałem ciebie.

– Zrób... Zrób, żeby to zniknęło.

– Oddałaś mi swój płaszcz. Czy ja nic nie mogę ci ofiarować? – odparł z wyrzutem. – Ale nie martw się, to tylko iluzja... Widzisz?

Zdawało się, że nie ruszył nawet palcem, z pewnością nie wyrzekł ani słowa, ale błękitne piękno jedwabiu zniknęło i Arha znów miała na sobie szorstką czarną szatę.

Przez chwilę stała nieruchomo.

– Skąd mam wiedzieć, że jesteś tym, kim się wydajesz? – spytała wreszcie.

– Nie wiesz. Ja też nie wiem, kim się tobie wydaję.

Zastanowiła się.

– Możesz sprawić, że będę cię widzieć jako... – urwała, gdyż podniósł dłoń i szybkim, ledwie widocznym gestem wskazał palcem strop. Sądziła, że rzuca czar, i szybko cofnęła się do drzwi. Podążyła jednak wzrokiem w górę i w szarym łukowym sklepieniu dostrzegła niewielki kwadrat – wizjer ze skarbca w świątyni Bliźniaczych Bóstw.

Przez otwór nie wpadała ani odrobina światła; Arha nic nie widziała, nikogo nie słyszała nad głową. Lecz on wskazał otwór i teraz patrzył na nią pytająco.

Na długą chwilę oboje zamarli w bezruchu.

– Twoja magia to zwykłe sztuczki, dobre dla dzieci – powiedziała głośno i wyraźnie. – Oszustwo i kłamstwa. Dość już widziałam. Zostaniesz rzucony na pożarcie Bezimiennym. Nie przyjdę tu więcej.

Chwyciła latarnię, wyszła i z hukiem zatrzasnęła rygle. Stanęła przed drzwiami i zastanowiła się. Co powinna zrobić?

Ile Kossil widziała i słyszała? O czym właściwie rozmawiali? Nie mogła sobie przypomnieć. Zdawało się, że nie potrafi powiedzieć

więźniowi tego, co sobie zaplanowała. Ciągle wytrącał ją z równowagi tymi historiami o smokach, wieżach, nadawaniu imion Bezimiennym, chęci pozostania przy życiu i wdzięczności za płaszcz, na którym leżał. Nigdy nie mówił tego, co powinien. Nie spytała go nawet o talizman wciąż ukryty na piersi.

I bardzo dobrze, skoro Kossil tego słuchała.

Co to zmieniało? Co Kossil mogła zrobić? Arha znała odpowiedź już w chwili, gdy zadawała sobie to pytanie. Łatwo zabić jastrzębia w klatce. Obcy był bezradny, przykuty do ściany swej kamiennej klatki. Kapłanka Boga-Króla musiała tylko posłać Duby'ego, by nocą zadławił więźnia. Albo, jeśli Duby nie znał tak dobrze Labiryntu, wystarczyło przez otwór nad Malowaną Komnatą wdmuchnąć trujący proszek. Miała przecież u siebie pudełka i buteleczki pełne groźnych substancji. Niektóre służyły do zatruwania żywności i wody, inne truły powietrze i zabijały, gdy ktoś oddychał nimi zbyt długo. Rankiem obcy będzie martwy i wszystko się skończy. Już nigdy nie zapłonie światło pod Grobowcami Atuanu.

Arha pospieszyła wąskimi kamiennymi korytarzami ku wejściu do Podgrobia, gdzie czekał na nią Manan, cierpliwy i skulony jak stara ropucha wśród nocy. Niepokoił się, gdy odwiedzała więźnia. Ona jednak nie chciała go ze sobą zabierać. Zgodzili się więc na kompromis. Teraz cieszyła się, że jest pod ręką. Jemu przynajmniej mogła zaufać.

– Słuchaj, Manan. Pójdziesz do Malowanej Komnaty. Natychmiast. Powiedz więźniowi, że zabierasz go do Podgrobia, gdzie będzie pogrzebany żywcem pod Kamieniami. – Oczka Mananowi rozbłysły. –

Powiesz to głośno. Potem otworzysz kłódkę na łańcuchu i zaprowadzisz... – urwała, gdyż nie wymyśliła jeszcze, gdzie najlepiej będzie ukryć przybysza.

– Do Podgrobia – podpowiedział ochoczo Manan.

– Nie, durniu. Kazałam ci to powiedzieć, nie zrobić. Zaczekaj...

Gdzie można go było ukryć przed Kossil i jej szpiegami? Nigdzie prócz najgłębszych podziemi, najświętszych i najbardziej tajemnych obszarów dziedziny Bezimiennych, których ona sama nie odważyła się jeszcze zbadać. Ale czyż Kossil nie odważy się prawie na wszystko? Owszem, boi się ciemności, lecz pokona lęki, by

osiągnąć swe cele. Któż mógł wiedzieć, jak dobrze zna Labirynt, jak wiele nauczyła się od Thar, od Arhy w jej poprzednim życiu, nawet z własnych sekretnych wypraw. Arha podejrzewała, że Kossil wie więcej, niż wyjawia. Istniała jednak droga, której nie mogła poznać, najgłębiej chroniona tajemnica.

– Dostarczysz więźnia tam, gdzie ci wskażę. Musisz to zrobić w ciemności. Potem, kiedy wyprowadzę cię znów tutaj, wykopiesz grób, zrobisz trumnę, włożysz pustą do tego grobu i zasypiesz ziemią tak, by można było ją znaleźć, gdyby ktoś szukał. Głęboki grób. Zrozumiałeś?

– Nie – odparł Manan tonem surowym, choć strapionym. – Panienko, nie popełniaj oszustwa. To nie jest słuszne! Ten mężczyzna nie powinien tu przebywać! Kara czeka...

– Owszem, pewien stary głupiec skończy z wyrwanym językiem! Ośmielasz się mówić mi, co jest słuszne? Wykonuję rozkazy Ciemnych Potęg. Idziemy!

– Wybacz mi, panienko. Przepraszam...

Wrócili do Malowanej Komnaty. Arha została w tunelu, gdy Manan wszedł do środka i otworzył klamrę trzymającą łańcuch.

– Dokąd teraz, Mananie? – usłyszała głęboki głos i szorstką, posępną odpowiedź:

– Będziesz pogrzebany żywcem, jak każe moja pani. Pod Kamieniami Grobowymi. Wstawaj!

Ciężki łańcuch trzasnął jak bicz.

Więzień wyszedł z rękami związanymi za plecami skórzanym pasem Manana. Eunuch szedł z tyłu, prowadząc go na krótkim łańcuchu jak psa na smyczy. Arha zdmuchnęła świecę i bez jednego słowa ruszyła przez mrok. Natychmiast wpadła w powolny, równy rytm, który utrzymywała zwykle, gdy bez światła przemierzała tunele Labiryntu, stale muskając palcami ścianę po jednej lub drugiej stronie. Manan z więźniem szli za nią, nie tak równym krokiem ze względu na łańcuch. Szurali nogami i potykali się w ciemnościach. Nie mogła jednak zapalić światła – nie chciała, by któryś z nich zapamiętał drogę.

Z Malowanej Komnaty skręcić w lewo, minąć jeden korytarz, skręcić w następny w prawo, potem długi łuk zakończony stopniami

prowadzącymi w dół, długimi, śliskimi i o wiele za wąskimi dla ludzkich stóp. Poza te stopnie nigdy jeszcze nie dotarła.

Powietrze było tu gorsze, przesycone jakąś ostrą wonią. Instrukcje wyraźnie rozbrzmiewały jej w pamięci, słyszała nawet ton głosu Thar, gdy je powtarzała. Schodami w dół (z tyłu więzień potknął się w ciemności i syknął z bólu, gdy silnym szarpnięciem łańcucha Manan uratował go od upadku), zaraz za nimi skręcić w lewo. Potem w lewo na dwóch rozwidleniach, na trzecim w prawo i dalej w prawo. Tunele wiły się i skręcały, żaden nie biegł prosto. „Potem musisz przejść obok Otchłani – odezwał się wśród mroków umysłu głos Thar. – A ścieżka jest bardzo wąska".

Arha zwolniła, przykucnęła i ręką sprawdzała podłogę przed sobą. Znaleźli się w długim, prostym odcinku korytarza, stwarzającym złudne poczucie bezpieczeństwa. Zupełnie nagle jej palce, kolistymi ruchami bez ustanku badające drogę, trafiły w próżnię. Kamienna krawędź, a potem już nic... Pustka. Po prawej stronie ściana korytarza opadała pionowo w otchłań. Po lewej był próg, wąska półka, szeroka nie więcej niż na dwie dłonie.

– Tu jest przepaść. Stańcie przodem do ściany po lewej stronie, przyciśnijcie się do niej i idźcie bokiem. Przesuwajcie stopy. Trzymaj mocno łańcuch, Manan... Jesteście na półce? Robi się coraz węższa. Nie wolno się opierać na piętach. No, przeszłam. Daj rękę. Ostrożnie...

Potem tunel biegł krótkimi zakosami, mijając wiele bocznych korytarzy. Z niektórych, gdy je mijali, dobiegało niezwykłe, głuche echo ich kroków, a co dziwniejsze, dało się wyczuć słaby powiew. Te tunele musiały kończyć się przepaściami podobnymi do tej, którą właśnie minęli. Być może pod tą częścią Labiryntu rozciągała się pustka, jaskinia tak głęboka i ogromna, że w porównaniu z nią Podgrobie zdawałoby się nieduże – wielka, czarna, podziemna przestrzeń.

Ponad pustką, tam gdzie się znajdowali, tunele stawały się coraz węższe i niższe, aż wreszcie nawet Arha musiała schylać głowę. Czy ta droga nie miała końca?

Lecz koniec nastąpił: zamknięte drzwi. Idąc z pochyloną głową i nieco szybciej niż zwykle, Arha zderzyła się z nimi, rozbijając czoło

i dłonie. Wymacała dziurkę od klucza, potem znalazła na swoim kółku nigdy nieużywany mały kluczyk z piórem w kształcie smoka. Pasował i przekręcił się bez oporu. Arha otworzyła drzwi Wielkiego Skarbca Grobowców Atuanu. Owiało ją suche, stęchłe, kwaśne powietrze.

– Manan, nie możesz tam wejść. Zaczekaj pod drzwiami.

– Jemu wolno, a mnie nie?

– Jeśli tu wejdziesz, nie wyjdziesz już nigdy. Takie jest prawo dla wszystkich prócz mnie. Poza mną żadna istota śmiertelna nie opuściła żywa tej komnaty. Czy chcesz wejść?

– Zaczekam tutaj – odparł z ciemności głos pełen melancholii. – Panienko, panienko, nie zamykaj drzwi...

Jego strach zirytował ją bardzo, ale zostawiła drzwi otwarte na oścież. W rzeczy samej, to miejsce budziło niewytłumaczalny lęk. W dodatku mimo więzów nie w pełni ufała obcemu. Gdy weszli, zapaliła światło. Ręce jej drżały. Świeca w latarni rozpalała się opornie – powietrze było tu jakby martwe. Żółtawy płomyk po długiej drodze w ciemności zdawał się niezwykle jaskrawy. Komnata skarbca otworzyła się wokół nich, pełna rozkołysanych cieni.

Stało tu sześć wielkich kamiennych skrzyń pokrytych grubą warstwą drobniutkiego kurzu. Nic więcej. Ściany były nierówne, sklepienie niskie. Panował chłód – głęboki, bezwietrzny chłód, który zdawał się zatrzymywać bicie serca. I żadnych pajęczyn, tylko kurz. Nie było tu nic żywego, absolutnie nic, nawet rzadko spotykanych, małych białych pająków Labiryntu. Pył zalegał grubą warstwą, a każde jego ziarenko mogło być dniem, co minął tu, gdzie nie istniał czas ani światło. Dnie, miesiące, lata, stulecia zmienione w pył.

– Oto miejsce, którego szukałeś – oznajmiła Arha. Głos jej nie drżał. – Wielki Skarbiec Grobowców Atuanu. Dotarłeś do niego. I nigdy go nie opuścisz.

Nie powiedział ani słowa, a jego twarz pozostała spokojna, lecz w ciemnych oczach dostrzegła coś, co ją poruszyło: żal; wzrok człowieka, który został zdradzony.

– Mówiłeś, że chcesz zostać żywy. To jedyne miejsce, jakie znam, gdzie jest to możliwe. Kossil by cię zabiła, Krogulcze, albo zmusiła do tego mnie. Tutaj nie może cię dosięgnąć.

Wciąż milczał.

– I tak nie mógłbyś opuścić Grobowców, nie rozumiesz? To żadna różnica. A tak dotarłeś przynajmniej do... do kresu podróży. Tutaj jest to, czego szukałeś.

Usiadł na jednej z wielkich skrzyń. Wyglądał na zmęczonego. Łańcuch brzęknął głośno o kamień. Więzień spojrzał na szare ściany, na cienie. I na nią.

Odwróciła wzrok, przyjrzała się kamiennym skrzyniom. Wcale nie miała ochoty ich otwierać. Nie była ciekawa cudów, jakie gniły w ich wnętrzach.

– Tutaj łańcuch nie będzie już potrzebny. – Podeszła do więźnia i odpięła kłódkę, potem rozwiązała skórzany pas Manana. – Muszę zamknąć drzwi, ale kiedy wrócę, zaufam tobie. Wiesz, że nie możesz, naprawdę nie możesz stąd wyjść? Że nie wolno ci nawet próbować? Ja jestem ich zemstą, narzędziem ich woli; lecz jeśli ich zawiodę... jeśli ty zawiedziesz moje zaufanie... wtedy zemszczą się sami. Nie wolno ci próbować opuścić tej komnaty, ani raniąc mnie, ani oszukując. Musisz mi uwierzyć.

– Zrobię, co mówisz – odpowiedział łagodnie.

– Gdy tylko zdołam, przyniosę jedzenie i wodę. Nie będzie tego wiele. Wody, owszem. Ale jedzenia niedużo, przynajmniej przez pewien czas. Ja też jestem głodna, rozumiesz? Lecz wystarczy tego, żebyś nie umarł z głodu. Chyba nie będę się mogła tu zjawić przez dwa dni, może nawet dłużej. Muszę odwrócić podejrzenia Kossil. Ale przyjdę. Obiecuję. Tu masz manierkę. Oszczędzaj wodę, bo wrócę nieprędko. Ale na pewno wrócę.

Podniósł głowę i spojrzał na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

– Uważaj na siebie, Tenar – powiedział.

8

Imiona

Poprowadziła Manana z powrotem krętą drogą w ciemnościach i pozostawiła w Podgrobiu, by wykopał mogiłę. Trzeba było tak zrobić, by Kossil miała dowód, że złodziej naprawdę poniósł karę. Było już późno, Arha poszła więc prosto do Małego Domu i do łóżka. Zbudziła się nagle wśród nocy; przypomniała sobie, że jej płaszcz został w Malowanej Komnacie. On nie będzie miał się czym okryć w wilgotnej komorze; nie ma nic prócz własnej krótkiej opończy. Zimno, zimno jak w grobie, myślała przejęta litością. Była jednak zbyt zmęczona, by rozbudzić się do końca i po chwili znów zapadła w sen. Wtedy zaczęła śnić. Śniła o duszach umarłych, które przedstawiono na ścianach Malowanej Komnaty, postaciach podobnych do wielkich zmokniętych ptaków o ludzkich dłoniach, stopach i twarzach, skulonych w pyle ciemnych podziemi. Nie potrafiły latać. Ziemia była ich pożywieniem, kurz ich napojem. To były dusze tych, którzy się nie odrodzili, starożytnych i niewiernych, których pochłonęli Bezimienni. Siedziały wokół niej w mroku, a od czasu do czasu dobiegały z ich strony słabe skrzeczenia i piski. Jedna podeszła bardzo blisko. Z początku Arha trochę się bała i próbowała cofnąć, ale nie mogła się ruszyć. Ta postać miała ptasią, nie ludzką twarz, lecz jej włosy lśniły niczym złoto.

– Tenar! – zawołała ją kobiecym głosem, delikatnie i miękko. – Tenar!

Arha się przebudziła. Ziemia zatykała jej usta. Leżała pod ziemią, w kamiennym grobie. Całun krępował jej ręce i nogi, nie mogła się poruszyć ani krzyknąć.

W panice i desperacji skruszyła kamienie niby ptak ognisty, by wzlecieć w światło dnia – szary blask w pozbawionej okien sypialni.

Rozbudzona – tym razem naprawdę – usiadła na posłaniu, zmęczona nocnymi koszmarami i niezbyt jeszcze przytomna. Ubrała się i wyszła do cysterny na ogrodzonym dziedzińcu Małego Domu. Tam zanurzyła w lodowatej wodzie ręce i twarz, a potem całą głowę, aż dygotała z zimna, a krew zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach. Odrzuciła do tyłu mokre włosy i stanęła wyprostowana, spoglądając w poranne niebo.

Słońce wzeszło niedawno. Zapowiadał się pogodny zimowy dzień. Wysoko – tak wysoko, że oświetlały go pierwsze promienie słońca – krążył ptak, jastrząb albo pustynny orzeł. Błyszczał jak złoty punkcik.

– Jestem Tenar – powiedziała niezbyt głośno i zadrżała z zimna, ze zgrozy, z podniecenia pod otwartym, jasnym niebem. – Odzyskałam swoje imię. Jestem Tenar!

Złoty punkcik skręcił na zachód, w stronę gór i zniknął. Słońce błyszczało na okapach Małego Domu. Z zagrody dobiegał dźwięk dzwonków. Lekki wiatr niósł zapach dymu i gryki z kuchennych kominów.

Jestem taka głodna... – uświadomiła sobie. Skąd on wiedział? Skąd znał moje imię? Och, muszę coś zjeść, jestem strasznie głodna...

Naciągnęła kaptur i pobiegła na śniadanie.

Po trzech dniach postu jedzenie sprawiło, że czuła się pewniejsza, bardziej spokojna. Nie była już oszołomiona, przestraszona. Czuła, że po śniadaniu da sobie radę z Kossil.

Wychodząc z jadalni w Wielkim Domu, zbliżyła się do wysokiej, tęgiej kapłanki i oznajmiła cicho:

– Załatwiłam sprawę ze złodziejem... Cóż za piękny dzień!

Spod kaptura spojrzały na nią zimne szare oczy.

– Sądziłam, że po złożeniu ofiary kapłanka musi przez trzy dni powstrzymywać się od jedzenia.

Tak było. Arha zapomniała o tym i wyraz jej twarzy wyraźnie o tym świadczył.

– On jeszcze żyje – stwierdziła w końcu, próbując nadać głosowi ten ton obojętności, który jeszcze przed chwilą przychodził jej bez trudu. – Jest żywcem pogrzebany. Pod Grobowcami. W trumnie. Ma trochę powietrza, bo trumna nie jest szczelna. Drewniana. Będzie umierał powoli. Kiedy umrze, rozpocznę post.

– Skąd będziesz wiedzieć?

Zawahała się znowu, zmieszana.

– Będę. Ja... Moi Władcy mi powiedzą.

– Rozumiem. Gdzie jest grób?

– W Podgrobiu. Kazałam Mananowi wykopać go pod Gładkim Kamieniem. – Nie wolno jej odpowiadać tak pospiesznie, tym głupim, uniżonym tonem. Rozmawiając z Kossil, musi okazywać godność.

– Żywy, w drewnianej trumnie. To ryzykowne posunięcie, gdy ma się do czynienia z czarownikiem. Czy jesteś pewna, że jego usta zostały zakneblowane, by nie mógł wypowiadać zaklęć? Czy ma związane ręce? Oni potrafią rzucać czary ruchem palca, nawet gdy wyrwie się im języki.

– Ta jego magia to zwykłe sztuczki. – Arha podniosła głos. – Został pogrzebany i moi Władcy czekają na jego duszę. A reszta cię nie dotyczy, kapłanko!

Tym razem posunęła się za daleko. Inni słyszeli: Penthe i kilka dziewcząt, Duby i kapłanka Mebbeth. Dziewczęta zmieniły się w słuch, a Kossil wiedziała o tym doskonale.

– Wszystko, co się tu dzieje, jest moją sprawą, pani. Wszystko, co zdarza się w jego dziedzinie, jest sprawą Boga-Króla, Człowieka Nieśmiertelnego, którego jestem sługą. Nawet do podziemi i do serc ludzkich wkracza, a nikt nie broni mu wejścia.

– Ja bronię. Nikt nie wchodzi do Grobowców, jeśli Bezimienni tego zakazują. Istnieli przed twoim Bogiem-Królem i będą istnieć, gdy on odejdzie. Mów o nich cicho, kapłanko. Nie ściągaj na siebie ich zemsty. Wejdą w twoje sny, zajrzą w mroczne zakamarki twego umysłu. Sprowadzą na ciebie obłęd.

Oczy Arhy płonęły. Kossil osłaniał twarz czarnym kapturem. Penthe i inne patrzyły, przestraszone i zasłuchane.

– Są starzy. – Głos Kossil był cichą, świszczącą nicią dźwięku z głębi kaptura. – Bardzo starzy. Wiara w nich przetrwała tylko tutaj. Ich potęga się rozwiała. Są jedynie cieniami. Nie mają żadnej mocy. Nie próbuj mnie zastraszyć, Pożarta. Jesteś Pierwszą Kapłanką; czy nie oznacza to również, że jesteś ostatnią? Nie oszukasz mnie. Ciemność nie ma przede mną tajemnic. Strzeż się, Arho!

Tęga kapłanka odwróciła się i odeszła. Obute w sandały stopy zgniatały oszronione źdźbła trawy na drodze do otoczonej białymi kolumnami świątyni Boga-Króla.

Dziewczyna pozostała jak wmarznięta w ziemię na dziedzińcu Wielkiego Domu. Wszyscy zamarli. Nic się nie poruszało aż do krańców widnokręgu, na podwórcu i koło świątyń, na wzgórzach, w pustyni i w górach.

Jedynie Kossil szła ciężkim, równym krokiem.

– Niech Mroczne Bóstwa pożrą twoją duszę! – zawołała Arha głosem jak krzyk jastrzębia i podniósłszy wyprostowaną sztywno rękę, cisnęła klątwę, gdy Kossil stawiała nogę na stopniach swej świątyni. Kapłanka zachwiała się, ale nie zatrzymała ani nie odwróciła. Szła dalej przez bramę Boga-Króla.

***

Arha do wieczora siedziała na najniższym stopniu Pustego Tronu. Nie śmiała wracać do Labiryntu, nie miała ochoty na towarzystwo innych kapłanek. Ogarnęła ją dziwna ociężałość i nie pozwalała ruszyć się z miejsca. Godzina za godziną mijały w chłodnym półmroku wielkiej sali. Arha patrzyła na szeregi podwójnych, potężnych, jasnych kolumn znikające w cieniu na końcu sali, na skośne promienie światła wpadające przez dziury w dachu, na pasma gęstego dymu z brązowego trójnogu, na którym płonął węgiel drzewny. Na marmurowym stopniu układała wzory z mysich kości. Siedziała z pochyloną głową. Jej umysł pracował, choć w stanie oszołomienia.

Kim jestem? – zapytywała samą siebie i nie otrzymywała odpowiedzi.

Przyszedł Manan. Powłócząc nogami, zbliżał się między podwójnymi szeregami kolumn. Światło dnia nie rozjaśniało już mroku Sali Tronu, a chłód stawał się coraz bardziej przenikliwy. Krągła twarz eunucha wyrażała głęboki smutek. Stanął przed Arhą, zwieszając swe wielkie dłonie. Oddarty skraj rdzawego płaszcza zwisał mu do stóp.

– Panienko...

– Słucham. – Spojrzała na niego z sympatią.

– Maleńka, pozwól mi zrobić to, o czym mówiłaś... co powiedziałaś, że się stało. On musi zginąć, maleńka. Zaczarował cię. Ona się zemści. Jest stara i okrutna, a ty zbyt młoda. Nie masz dość siły.

– Nic mi nie może zrobić.

– Gdyby cię zabiła, nawet otwarcie, na oczach wszystkich, nikt w imperium nie ośmieliłby się jej ukarać. Jest przecież Najwyższą Kapłanką Boga-Króla, a Bóg-Król włada Kargadem. Ale ona nie zabije cię otwarcie. Zrobi to ukradkiem, trucizną, pod osłoną nocy.

– Wtedy odrodzę się na nowo.

Manan zacisnął dłonie.

– Może cię nie zabijać – szepnął.

– Co to znaczy?

– Może cię zamknąć w komnacie w... na dole. Jak ty zamknęłaś jego. Będziesz tam żyła nawet całe lata. Lata... I nie urodzi się nowa Jedyna Kapłanka, bo ty nie umrzesz. Ale nie będzie już Jedynej Kapłanki Grobowców i nikt nie odtańczy tańców o nowiu księżyca, nikt nie złoży ofiary, nie wyleje krwi. Wiara Mrocznych Bóstw zostanie zapomniana na zawsze. Ona i jej pan chcieliby, żeby tak się stało.

– Bogowie mnie uwolnią.

– Nie, jeśli będą się gniewać, panienko – szepnął Manan.

– Gniewać?

– Przez niego... Niepomszczone świętokradztwo. Och, maleńka, maleńka! Oni nie wybaczają!

Siedziała z pochyloną głową w kurzu pokrywającym najniższy stopień. Patrzyła na maleńką czaszkę myszy w swej dłoni. Wśród krokwi ponad Tronem zaczynały się budzić sowy; nadchodziła noc.

– Nie schodź dziś do Labiryntu – odezwał się Manan bardzo cicho. – Wracaj do domu i śpij. Rankiem idź do Kossil i powiedz, że odwołujesz klątwę. To wszystko. Nie musisz się martwić. Pokażę jej dowód.

– Dowód?

– Że czarownik nie żyje.

Siedziała nieruchomo. Wolno zacisnęła palce, a krucha czaszka rozsypała się z trzaskiem. Kiedy otworzyła dłoń, były tam tylko odłamki kości i pył.

– Nie. – Strzepnęła pył z palców.

– On musi umrzeć. Rzucił czar na ciebie. Jesteś zgubiona, Arho!

– Nie rzucił na mnie czaru. Jesteś stary i tchórzliwy, Manan. Boisz się starych kobiet. Jak chcesz do niego trafić i zabić go, by zdobyć swój dowód? Czy pamiętasz drogę do Wielkiego Skarbca, którą przeszedłeś w ciemności poprzedniej nocy? Czy potrafisz odliczać zakręty, dojść do stopni, potem do przepaści i do drzwi? Czy umiesz je otworzyć? Biedny Mananie, na starość tracisz rozum. Ona cię przeraziła. Sam idź do Małego Domu i śpij. Zapomnij o tych sprawach. Nie irytuj mnie więcej opowieściami o śmierci. Ja przyjdę później. Idź już, idź, ty głupcze, stary grubasie. – Wstała i delikatnie pchnęła eunucha w szeroką pierś. Poklepywała go i wypychała do wyjścia. – Dobrej nocy. Dobrej nocy!

Odwrócił się ciężko, niechętnie, pełen złych przeczuć, ale posłuszny. Poczłapał przez ciemną salę pod kolumnami i zniszczonym dachem.

Odprowadziła go spojrzeniem.

A kiedy odszedł, odczekała chwilę, po czym odwróciła się, wyminęła stopnie i zniknęła w mroku za Pustym Tronem.

9

Pierścien Erreth-Akbego

W Wielkim Skarbcu Grobowców Atuanu czas stał w miejscu. Nie było tu światła, nie było życia, nawet najmniejszy pająk nie poruszał się wśród kurzu ani robak w chłodnej ziemi. Były tylko skały, ciemność i czas, który nie płynął.

Wyciągnięty na kamiennej pokrywie wielkiej skrzyni, podobny do rzeźby na sarkofagu, leżał na wznak złodziej z Wysp Wewnętrznych. Nie ruszał się. Wzniecony przez niego pył osiadał mu na ubraniu.

Szczęknął zamek. Otworzyły się drzwi. Światło rozdarło martwą ciemność, świeży powiew poruszył martwym powietrzem. Czarnoksiężnik leżał nieruchomo.

Arha zamknęła drzwi, przekręciła klucz od wewnątrz, postawiła latarnię na skrzyni i wolno podeszła do bezwładnej postaci. Szła nieśmiało, szeroko otwierając oczy o źrenicach wciąż jeszcze rozszerzonych po długiej wędrówce przez ciemność.

– Krogulcze!

Dotknęła jego ramienia i zawołała znowu, i jeszcze raz. Poruszył się, jęknął. Potem usiadł ze ściągniętą twarzą i pustym wzrokiem. Spojrzał na nią nieprzytomnie.

– To ja, Arha... Tenar. Przyniosłam ci wodę. Masz, pij.

Wyciągnął sztywno rękę, chwycił manierkę i wypił kilka łyków.

– Jak długo to trwało? – zapytał, z trudem wymawiając słowa.

– Dwa dni minęły, odkąd tu wszedłeś. Teraz jest trzecia noc. Nie mogłam przyjść wcześniej. Musiałam ukraść jedzenie. Proszę, jedz. – Z przyniesionej sakwy wyjęła płaski, ciemny bochenek, lecz czarnoksiężnik pokręcił głową.

– Nie jestem głodny. Tu... tu jest tylko śmierć. – Siedział nieruchomo z głową wspartą na dłoniach.

– Nie zimno ci? Przyniosłam płaszcz z Malowanej Komnaty.

Milczał.

Odłożyła płaszcz. Drżała, oczy miała ciemne i szeroko otwarte. Nagle padła na kolana. Głęboki szloch wstrząsał jej ciałem, ale nie przynosił łez.

Zesztywniały, zszedł ze skrzyni i pochylił się nad Jedyną Kapłanką.

– Tenar...

– Nie jestem Tenar. Nie jestem Arhą. Bogowie umarli, umarli.

Oparł jej dłonie na głowie, zrzucając kaptur, i przemówił łagodnym tonem. Słowa nie należały do żadnego języka, jaki kiedykolwiek słyszała. Niby krople deszczu zapadały jej w serce. Łkania cichły powoli.

Kiedy była już spokojna, podniósł ją i jak dziecko posadził na skrzyni, gdzie przedtem leżał. Ujął ją za ręce.

– Dlaczego płakałaś, Tenar?

– Powiem ci. Nie ma znaczenia, co usłyszysz. I tak nie możesz nic zrobić. Nie możesz pomóc. Ty też umierasz, prawda? Więc to nie ma znaczenia. Nic nie ma znaczenia. Kossil, kapłanka Boga-Króla, zawsze była okrutna... Chciała mnie zmusić, żebym cię zabiła. Tak jak tamtych. A ja nie chciałam. Nie miała prawa. Ona lekceważyła Bezimiennych i drwiła z nich. Rzuciłam na nią klątwę. I od tego czasu bałam się jej, bo prawdą jest, co mówił Manan, że ona nie wierzy w bogów. Chciałaby, żeby o nich zapomniano... I na pewno zabiłaby mnie we śnie. Więc nie spałam. Nie wróciłam do Małego Domu, ale zostałam w Sali Tronu przez całą noc; w schowku, gdzie są stroje do tańca. Zanim zrobiło się widno, poszłam do Wielkiego Domu i ukradłam trochę jedzenia. Potem wróciłam do Sali Tronu i zostałam tam cały dzień. Starałam się coś wymyślić. A wieczorem... wieczorem byłam taka zmęczona... i pomyślałam, że mogę pójść do świętego miejsca i tam się przespać, bo ona będzie się bała tam

przyjść. Więc zeszłam do Podgrobia. To ta wielka grota, w której pierwszy raz cię zobaczyłam. I... ona tam była. Musiała wejść przez bramę w czerwonej skale. Była tam z latarnią. Rozgrzebywała grób, który wykopał Manan. Chciała sprawdzić, czy jest w nim ciało. Jak szczur cmentarny, wielki, tłusty, czarny szczur grzebała w ziemi. Światło paliło się w świętym miejscu, w dziedzinie ciemności. A Bezimienni nie zrobili nic. Nie zabili jej ani nie sprawili, by oszalała. Są starzy, tak jak mówiła. Umarli. Nie ma ich. Nie jestem już kapłanką.

Słuchał, lekko pochylając głowę. Wciąż trzymał jej dłonie. Wyraz jego twarzy i postawa wskazywały, że siły mu wracają, choć blizny na policzku ciągle były sine, a ubranie i włosy pokryte kurzem.

– Przeszłam obok niej przez Podgrobie. Jej świeca dawała więcej cienia niż światła. Nie usłyszała mnie. Chciałam wejść do Labiryntu, żeby od niej uciec. Ale kiedy już tam byłam, wydało mi się, że idzie za mną. We wszystkich korytarzach słyszałam za sobą czyjeś kroki. Nie wiedziałam, dokąd mam pójść. Pomyślałam, że tutaj będę bezpieczna. Że moi władcy będą mnie chronić i osłaniać. Oni tego nie robią... Nie ma ich, są martwi.

– I dlatego płakałaś? Dlatego, że umarli? Ale oni tu są, Tenar, są tutaj.

– Skąd możesz wiedzieć? – spytała słabym głosem.

– Ponieważ przez cały czas, odkąd wkroczyłem do groty pod Kamieniami Grobowymi, staram się utrzymywać ich w nieświadomości, w spokoju. Używam do tego całej swej sztuki, na to tracę swoją siłę. Oplotłem te tunele nieskończoną siecią czarów: czarów Snu, Spokoju, Ukrycia. A jednak wiedzą, że tu jestem, na wpół śpiący, na wpół tylko czuwający. I mimo to jestem całkowicie wyczerpany stawianiem im oporu. A tutaj jest najstraszniej. Dla jednego człowieka, samotnego, nie ma tu żadnej nadziei. Konałem z pragnienia, kiedy przyniosłaś mi wodę, a przecież nie sama woda mnie ocaliła, lecz moc rąk, które ją podały.

Mówiąc to, na chwilę obrócił jej dłonie wnętrzem do góry i przyjrzał się im uważnie. Potem przeszedł kilka kroków i znowu stanął przed nią.

– Naprawdę myślisz, że są martwi? Twoje serce wie lepiej. Oni nie umierają. Są mroczni i nigdy nie umierają, i nienawidzą światła, przelotnego, jasnego płomyka naszej śmiertelności. Są nieśmiertelni, ale nie są bogami. Nigdy nie byli. Niegodni są czci okazywanej im przez choćby jedną ludzką duszę.

Słuchała z otwartymi szeroko oczami, wpatrzona w migoczący płomyk latarni.

– Tenar, czy dali ci coś kiedykolwiek?

– Nie – szepnęła.

– Nie mają nic do dania. Nie mają mocy tworzenia. Wszystkie ich siły służą zaciemnianiu, niszczeniu. Nie mogą opuścić tych podziemi... Oni są tymi podziemiami i im należy je zostawić. Nie można zaprzeczyć ich istnieniu ani o nich zapomnieć, ale nie wolno ich czcić. Ziemia jest piękna, jasna i dobra, ale jest także straszna, ciemna i okrutna. Ginący królik krzyczy wśród zielonych łąk. Góry zaciskają potężne dłonie pełne ukrytego ognia. W morzu żyją rekiny, w oczach ludzi nienawiść. A gdzie ludzie oddają temu cześć, tam kwitnie zło, powstają miejsca całkowicie oddane tym, których zwiemy Bezimiennymi: pradawnym, potężnym siłom Ziemi sprzed nadejścia Światła, siłom ciemności, zniszczenia i szaleństwa... Myślę, że już dawno pozbawili rozumu tę kapłankę Kossil. Myślę, że wiele razy przeszukiwała te groty, tak jak przeszukuje labirynt własnego umysłu, a teraz nie potrafi już zobaczyć światła dnia. Powiedziała ci, że Bezimienni są martwi... Tylko stracona dusza, stracona dla prawdy, może w to uwierzyć. Oni istnieją. Ale nie są twoimi władcami. Nigdy nie byli. Jesteś wolna, Tenar. Nauczono cię być niewolnicą, lecz wyrwałaś się na swobodę.

Siedziała zasłuchana. Nie powiedział ani słowa więcej. Milczeli, lecz to milczenie było inne niż cisza, jaka panowała w komnacie przed jej przyjściem. Teraz wypełniały ją ich oddechy, szum płynącej w żyłach krwi, skwierczenie świecy w cynowej latarni... Mikroskopijne, żywe dźwięki.

– Jak to się stało, że znasz moje imię?

Krogulec chodził tam i z powrotem. Rozprostowywał ramiona i barki, by strząsnąć z siebie paraliżujący chłód.

– Znać imiona to moje zadanie. Moja sztuka. Rozumiesz, żeby upleść czar wokół czegoś, trzeba znać prawdziwe tego imię. W krajach, skąd przybyłem, przez całe życie ukrywamy nasze imiona przed wszystkimi prócz tych, którym ufamy całkowicie. Wielka bowiem siła i wielkie niebezpieczeństwo tkwi w imieniu. Kiedyś, u zarania czasu, gdy Segoy wydźwignął z głębin oceanu wyspy Ziemiomorza, wszystko nosiło swoje prawdziwe imiona. I wszystkie czary, cała magia, zależą od znajomości, poznania na nowo, pamiętania tej prawdziwej, pradawnej Mowy Tworzenia. Naturalnie, są zaklęcia, których się trzeba nauczyć, są sposoby używania słów. Trzeba też rozumieć ich konsekwencje. Ale mag poświęca swe życie poznawaniu imion i poznawaniu sposobów poznawania imion.

– A jak poznałeś moje?

Patrzył na nią przez chwilę – było to głębokie, czyste spojrzenie poprzez dzielący ich mrok. Wahał się.

– Nie mogę ci tego powiedzieć. Jesteś jak latarnia. Przykryta, schowana w ciemnym miejscu, a jednak światło lśni. Oni nie mogą go zgasić, nie mogą cię ukryć. Kiedy dostrzegłem to światło, kiedy poznałem ciebie, wtedy znałem twoje imię. Więcej nie mogę powiedzieć. Ale ty powiedz, co teraz zrobisz.

– Nie wiem.

– Kossil na pewno już wie, że grób jest pusty. Co zrobi?

– Nie wiem. Jeśli wrócę, może kazać mnie zabić. Dla Najwyższej Kapłanki kłamstwo to śmierć. Jeśli zechce, może złożyć mnie w ofierze na stopniach Pustego Tronu. Tym razem Manan będzie musiał naprawdę uciąć mi głowę, zamiast po prostu podnieść miecz i czekać, aż Czarna Postać go powstrzyma. Tym razem jej nie będzie. Miecz spadnie i odetnie mi głowę.

Mówiła powoli, głuchym głosem. Krogulec zmarszczył brwi.

– Jeżeli zostaniemy tu dłużej, oszalejesz, Tenar. Gniew Bezimiennych ciąży na twoich myślach. Moich także. Teraz jest lepiej... Dużo lepiej, od kiedy przyszłaś. Ale długo byłem sam i zużyłem większą część swojej mocy. Nikt samotny nie zdoła się długo opierać Siłom Ciemności. Są potężne.

Umilkł, jakby stracił nagle wątek. Przesunął dłonią po czole i raz jeszcze napił się z manierki. Potem ułamał kawałek chleba, usiadł

na skrzyni i zaczął jeść.

Mówił prawdę. Czuła jakiś ciężar napierający na jej umysł, zaciemniający, gmatwający każdą myśl, każde uczucie. Mimo to nie bała się tak jak wtedy, gdy samotnie przemierzała korytarze. Jedynie absolutna cisza na zewnątrz komnaty wydawała jej się straszna. Dlaczego? Nigdy przedtem nie lękała się ciszy podziemi. Lecz nigdy przedtem nie była nieposłuszna, nigdy nie sprzeciwiła się Bezimiennym.

Roześmiała się niewesoło.

– Siedzimy tutaj na największym skarbie imperium – powiedziała. – Król-Bóg oddałby wszystkie swoje żony, by móc stąd zabrać choć jedną skrzynię. A my nawet nie uchyliliśmy pokrywy, żeby popatrzeć.

– Ja to zrobiłem – odparł Krogulec, żując chleb.

– Po ciemku?

– Zrobiłem trochę światła. Niby-światła. To było trudne. Byłoby trudne, nawet gdybym miał swoją laskę. Bez niej przypominało rozpalanie ognia z mokrego drzewa w czasie deszczu. W końcu jednak dokonałem tego. I znalazłem to, po co przyszedłem.

Podniosła wolno głowę i spojrzała na niego.

– Pierścień?

– Pół pierścienia. Ty masz drugą połowę.

– Ja? Druga połowa zaginęła...

– I została odnaleziona. Nosiłem ją na łańcuchu na szyi. Zabrałaś mi ją i spytałaś, czy nie stać mnie na lepszy talizman. Jedyny talizman lepszy od połowy Pierścienia Erreth-Akbego to cały Pierścień. Ale cóż, lepszy rydz niż nic, jak powiadają. Teraz więc ty masz moją połowę, a ja twoją.

Posłał jej uśmiech poprzez mrok skarbca.

– Powiedziałeś wtedy, że nie będę wiedziała, co z nim zrobić.

– I tak było.

– A ty wiesz?

Kiwnął głową.

– Powiedz mi – poprosiła. – Powiedz, czym jest ten Pierścień i jak odnalazłeś zagubioną część, i jak dotarłeś tutaj, i dlaczego. Muszę to wiedzieć, a wtedy może dowiem się, co powinnam uczynić.

– Może się dowiesz. Bardzo dobrze. Czym jest Pierścień Erreth-Akbego? No cóż, jak sama widzisz, nie wygląda na cenny i chyba nawet nie jest pierścieniem. Jest za duży. A na bransoletę z kolei za mały. Żaden z ludzi nie wie, dla kogo został zrobiony. Nosiła go Elfarran Piękna, zanim wyspa Solea znikła pod falami morza; już wtedy był stary. W końcu trafił do rąk Erreth-Akbego... Wykuty jest z litego srebra i ma dziewięć otworów. Na zewnętrznej powierzchni wyryte są jakby fale, a wewnątrz dziewięć Runów Mocy. Na tej połowie, która jest u ciebie, są cztery runy i kawałek piątej, na mojej podobnie. Pęknięcie przeszło dokładnie przez symbol i zniszczyło go. Właśnie ten znak nazywano od owego czasu Zaginioną Runą. Pozostałe osiem znane jest magom. Runa Pirr, chroniąca od szaleństwa, wiatru i ognia. Runa Ges, która daje wytrzymałość. I tak dalej. Ale pęknięta runa była tą, która wiązała państwa. To była Runa Więzi, symbol panowania i pokoju. Żaden władca nie mógł rządzić dobrze, jeśli nie rządził pod jej znakiem. Nikt nie wie, jak należy ją pisać. Od kiedy zaginęła, w Havnorze nie było wielkich królów. Byli książęta i tyrani, były kłótnie i wojny między krajami Ziemiomorza. Mądrzy władcy i magowie Archipelagu pragnęli więc Pierścienia Erreth-Akbego, by odtworzyć Zaginioną Runę. W końcu jednak przestali wysyłać ludzi na poszukiwania, gdyż nikt nie potrafił odzyskać jednej części, która spoczywała w Grobowcach Atuanu, a druga, którą Erreth-Akbe podarował kargijskiemu władcy, zaginęła bardzo dawno temu. Twierdzili, że nic dobrego z tych poszukiwań nie wynika. Działo się to setki lat temu.

Zastanowił się.

– Potem ja się pojawiłem. Kiedy byłem tylko trochę starszy niż ty teraz, prowadziłem... pościg, rodzaj łowów na morzu. Ten, którego ścigałem, zwiódł mnie i zostałem wyrzucony na pustą wysepkę, niezbyt odległą od brzegów Karego-At i Atuanu, na południe i na zachód stąd. To była mała wyspa, niewiele większa od ławicy piasku. W środkowej części miała podłużne, porośnięte trawą wydmy, źródło słonawej wody i nic więcej. A jednak żyło tam dwoje starych ludzi, brat z siostrą, jak przypuszczam. Bali się mnie. Nie widzieli twarzy innego człowieka przez... jak długo? Lata, dziesiątki lat. Ale byłem w potrzebie, a oni byli dla mnie dobrzy. Mieli chatę

z drzewa wyrzuconego przez fale i mieli ogień. Staruszka przyniosła mi jedzenie, małże zbierane na skałach w czasie odpływu i suszone mięso morskich ptaków, które zabijali, rzucając w nie kamieniami. Bała się, ale nakarmiła mnie. Potem, kiedy nie robiłem nic, co mogłoby ją wystraszyć, nabrała do mnie zaufania i pokazała swój skarb. Ona także miała swój skarb... To była mała sukienka. Cała z jedwabiu, wyszywana perłami. Sukienka małego dziecka, sukienka księżniczki. Sama miała na sobie niewyprawione focze futro.

Nie mogliśmy rozmawiać. Wtedy nie znałem jeszcze mowy kargijskiej, a oni żadnego spośród języków Archipelagu, zresztą i własny dość słabo. Ktoś musiał ich przywieźć na tę wyspę, gdy byli małymi dziećmi, i zostawić tam na śmierć. Nie wiem dlaczego i wątpię, by oni sami wiedzieli. Znali tylko swą wyspę, wiatr i morze. Ale kiedy odpływałem, ona dała mi prezent. Dała mi zaginioną połowę Pierścienia Erreth-Akbego.

Przerwał na chwilę.

– Nie wiedziałem, co to jest, ani ona nie wiedziała. Najwspanialszy dar tej ery, a dała go głupia kobieta w foczej skórze tępemu prostakowi, który wepchnął go do kieszeni, mruknął: „Dzięki” i odpłynął... Tak więc wyruszyłem i zrobiłem, co miałem do zrobienia. Potem zająłem się innymi sprawami, podążyłem na Smocze Stado, na zachód i jeszcze dalej. Cały czas jednak miałem ten prezent przy sobie. Czułem bowiem wdzięczność dla starej kobiety, która dała mi jedyną rzecz, jaką miała do ofiarowania. Przeciągnąłem łańcuch przez otwór, powiesiłem na szyi i więcej o tym nie myślałem. Aż pewnego dnia, na Selidorze, Najdalszej Wyspie, w krainie, gdzie tocząc bój ze smokiem Ormem, zginął Erreth-Akbe... Otóż na Selidorze rozmawiałem ze smokiem, jednym z rodu Orma. On mi powiedział, co noszę. Wydało mu się bardzo zabawne, że tego nie wiem. Smoki uważają nas za śmiesznych. Ale pamiętają Erreth-Akbego; mówią o nim tak, jakby był smokiem, nie człowiekiem. Kiedy wróciłem na Wyspy Wewnętrzne, trafiłem w końcu do Havnoru. Urodziłem się na Goncie, który leży niezbyt daleko od waszych krain, i sporo wędrowałem od tego czasu. Wreszcie przyszła kolej na Havnor. Zobaczyłem białe wieże, mówiłem z wielkimi ludźmi, kupcami i książętami, władcami pradawnych

dziedzin. Powiedziałem im, co posiadam. Powiedziałem, że jeśli zechcą, wyruszę szukać w Grobowcach Atuanu brakującej części Pierścienia, by znaleźć Zaginioną Runę, klucz do pokoju. Nie skąpili mi pochwał, a jeden z nich dał nawet pieniądze na zaopatrzenie łodzi. Nauczyłem się więc twojego języka i przybyłem na Atuan.

Zamilkł, spoglądając w ciemność.

– Czy ludzie w naszych miastach nie rozpoznali w tobie człowieka Zachodu? – spytał Tenar. – Twoja skóra, twój język...

– Och, łatwo oszukać ludzi – odparł niedbale. – Wystarczy znać odpowiednie sztuczki. Zmieniasz się z pomocą iluzji i za jej zasłoną nie rozpozna cię nikt z wyjątkiem innego maga. A wy tutaj, w krajach Kargadu, nie macie czarnoksiężników ani magów. To dziwne. Wypędziliście ich dawno temu i zakazaliście praktykowania sztuki magii, a teraz prawie w nią nie wierzycie.

– Nauczono mnie w nią nie wierzyć. To przeczy naukom Królów-Kapłanów. Ale wiem, że tylko czary mogły doprowadzić cię do Grobowców i przez bramę w czerwonej skale.

– Nie tylko czary. Także dobra rada. Jak sądzę, częściej od was używamy pisma. Umiesz czytać?

– Nie. Czytanie to jeden z czarnych kunsztów.

Kiwnął głową.

– Ale użyteczny – stwierdził. – Jakiś dawny, pechowy złodziej pozostawił opis Grobowców Atuanu, a także instrukcje dotyczące wejścia, wystarczające dla kogoś, kto potrafi użyć jednego z Wielkich Zaklęć Otwierania. Wszystko było opisane w księdze leżącej w skarbcu księcia Havnoru. Pozwolił mi ją przeczytać. I tak doszedłem aż do wielkiej groty...

– Do Podgrobia.

– Złodziej, który opisał drogę, sądził, że skarb jest właśnie tam, w Podgrobiu. Tam więc szukałem, choć miałem przeczucie, że musi być ukryty lepiej, głębiej wśród korytarzy. Znalazłem wejście do Labiryntu i wszedłem tam, kiedy cię zobaczyłem. Myślałem, że się schowam i poszukam Pierścienia. To był błąd, oczywiście. Bezimienni pochwycili mnie już i zmącili moje myśli. Od tego czasu stawałem się coraz słabszy i coraz głupszy. Nie można się im poddawać, trzeba stawiać opór, by duch pozostawał wciąż silny i pewny. Tego

nauczyłem się już dawno. Ale to trudne tutaj, gdzie są tak potężni. Oni nie są bogami, Tenar, lecz są silniejsi od każdego z ludzi.

Przez długi czas oboje siedzieli w milczeniu.

– Co jeszcze znalazłeś w skrzyniach? – zapytała stłumionym głosem.

– Śmiecie. Złoto, klejnoty, korony, miecze... Nic, do czego miałby prawo ktokolwiek z żywych. Powiedz, Tenar, jak zostałaś wybrana na Kapłankę Grobowców.

– Kiedy umiera Jedyna Kapłanka, w całym Atuanie szuka się dziewczynki urodzonej w dniu jej śmierci. I zawsze znajduje się taka. Albowiem to jest Odrodzona Kapłanka. Kiedy skończy pięć lat, przywożą ją tutaj. Kiedy skończy sześć, zostaje oddana Bezimiennym, a oni pożerają jej duszę. Wtedy już do nich należy, jak należała od zarania dziejów. I nie ma imienia.

– Wierzysz w to?

– Zawsze wierzyłam.

– Czy wierzysz w to teraz?

Nie odpowiedziała. Znów między nimi zapadło milczenie.

– Opowiedz mi... – rzekła po długiej chwili. – Opowiedz mi o smokach na zachodzie.

– Tenar, co zamierzasz uczynić? Nie możemy tu siedzieć, aż wypali się świeca i znowu nastaną ciemności.

– Nie wiem, co robić. Boję się. – Siedziała wyprostowana na kamiennej skrzyni, mocno splatała palce i mówiła głośno jak ktoś, kto cierpi. – Boję się ciemności.

– Musisz dokonać wyboru – powiedział miękko. – Albo mnie zostawisz, zamkniesz drzwi, wrócisz do swoich ołtarzy i oddasz mnie swoim władcom... Wtedy powinnaś pójść do kapłanki Kossil i zawrzeć z nią pokój. To będzie koniec tej historii. Albo musisz otworzyć drzwi i wyjść razem ze mną. Opuścić Grobowce, opuścić Atuan i ruszyć ze mną przez morze. I to będzie dopiero początek. Będziesz Arhą albo będziesz Tenar. Nie możesz być obiema.

Głęboki głos brzmiał życzliwie i pewnie. Spojrzała poprzez mrok na twarz Krogulca, surową i poznaczoną bliznami, w której jednak nie było okrucieństwa ani fałszu.

– Jeżeli porzucę służbę Ciemnych Sił, zabiją mnie. Jeżeli opuszczę Grobowce Atuanu, umrę.

– Ty nie umrzesz. Umrze Arha.

– Nie mogę...

– Aby się odrodzić, trzeba umrzeć, Tenar. To nie takie trudne, gdy na to spojrzeć z drugiej strony.

– Oni nie pozwolą nam wyjść. Nigdy.

– Może nie. Jednak warto spróbować. Ty masz wiedzę, ja umiejętności, a między nami jest...

Przerwał.

– Jest Pierścień Erreth-Akbego – dopowiedziała.

– Tak, on także. Myślałem jednak o czymś innym. Nazwijmy to zaufaniem... To jedna z jego nazw. Choć każde z nas z osobna jest słabe, razem jesteśmy silni, silniejsi od Mocy Ciemności. – Oczy jaśniały mu czystym blaskiem na pooranej bliznami twarzy. – Posłuchaj mnie, Tenar. Przyszedłem tu jako złodziej, wróg, uzbrojony przeciw tobie. Ty okazałaś mi litość i zaufałaś mi. Ja ufałem ci, odkąd pierwszy raz zobaczyłem twoją twarz, przez jedną chwilę, w grocie pod Grobowcami, jakże piękną pośród ciemności. Ty pokazałaś, że mi ufasz. Ja nic w zamian nie uczyniłem. Ofiaruję ci to, co mogę ci ofiarować. Moje prawdziwe imię brzmi Ged. Teraz należy do ciebie.

Wstał i wyciągnął ku niej półokrąg z rzeźbionego srebra.

– Niech Pierścień znów się połączy.

Wzięła kawałek metalu z jego dłoni. Zsunęła z szyi srebrny łańcuch, na którym wisiała druga połowa. Rozpięła go. Trzymała teraz na dłoni obie części. Brzegi pęknięcia stykały się i Pierścień wyglądał, jakby był całością.

Nie podniosła głowy.

– Pójdę z tobą – rzekła.

10

Gniew ciemności

Kiedy to powiedziała, Ged położył dłoń na jej ręce trzymającej pęknięty talizman. Spojrzała zaskoczona i spostrzegła, że uśmiecha się upojony triumfem i życiem. Nagle poczuła się zmieszana i przestraszona.

– Uwolniłaś nas oboje – powiedział. – Samotnie nikt nie wywalczy wolności. Dalej więc, nie marnujmy czasu, jaki nam pozostał. Potrzymaj go jeszcze przez chwilę.

Zamknęła w dłoni oba kawałki srebra, ale na jego prośbę wyciągnęła rękę. Krawędzie złamania się stykały.

Nie wziął Pierścienia, lecz położył na nim palce i wymówił kilka słów. Pot zalał mu twarz. Poczuła, że na jej dłoni coś zadrżało delikatnie, jak gdyby poruszyło się śpiące tam zwierzątko. Ged odetchnął, odprężył się i otarł czoło.

– Już. – Włożył Pierścień Erreth-Akbego na palce jej prawej ręki. Potem przesunął go przez dłoń, na nadgarstek. – Tutaj. – Przyjrzał się z satysfakcją. – Pasuje. To musiała być bransoleta kobiety albo dziecka.

– Będzie się trzymał? – szepnęła nerwowo, czując, jak delikatna i chłodna srebrna obręcz przesuwa się po jej szczupłej ręce.

– Na pewno. Nie mogłem dla Pierścienia Erreth-Akbego wykorzystać zwykłego uroku reperacji, jak wiejska czarownica naprawiająca garnek. Musiałem użyć zaklęcia Wzorców. Teraz jest

cały, jakby nigdy nie był złamany. Tenar, musimy stąd odejść. Przyniosę sakwę i manierkę. Okryj się płaszczem. Coś jeszcze?

Kiedy męczyła się z zamkiem, dodał:

– Szkoda, że nie mam mojej laski.

A ona, wciąż szeptem, odparła:

– Leży zaraz za drzwiami. Przyniosłam ją.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zdziwił się.

– Myślałam, że... że zaprowadzę cię do wyjścia. Że pozwolę ci odejść.

– Tego uczynić nie mogłaś. Mogłaś zatrzymać mnie tu, w niewoli i sama pozostać niewolnicą albo uwolnić mnie i odejść wolna wraz ze mną. Dalej, maleńka, odwagi. Przekręć klucz.

Obróciła klucz z piórem w kształcie smoka i otworzyła drzwi na niski, ciemny korytarz. Potem wyszła ze Skarbca Grobowców Atuanu, niosąc na ręku Pierścień Erreth-Akbego. Ged ruszył za nią.

Drżenie poruszyło skalnymi ścianami, podłogą i sklepieniem. Pogłos był jak odległy grzmot, niski, prawie niesłyszalny.

Tenar włosy zjeżyły się na głowie; bez zastanowienia, bez chwili wahania zdmuchnęła świecę w maleńkiej latarni. Z tyłu, za sobą, usłyszała jego kroki.

– Zostaw latarnię – powiedział ze spokojem głosem. Stał tak blisko, że czuła jego oddech na włosach. – W razie potrzeby będziemy mieli światło. Która godzina jest teraz na górze?

– Kiedy tu przyszłam, północ dawno minęła.

– A więc trzeba iść.

Nie poruszył się jednak. Zrozumiała, że musi go prowadzić. Ona jedna znała drogę do wyjścia z Labiryntu; czekał, by iść za nią. Ruszyła pochylona, gdyż korytarz był bardzo niski. Utrzymywała równe, całkiem dobre tempo. Z niewidocznych odgałęzień tunelu czuła zimne tchnienie – ostry, wilgotny powiew pustki kryjącej się po obu stronach. Potem korytarz stał się wyższy i mogła się wyprostować. Szła teraz trochę wolniej. Liczyła kroki, gdyż zbliżali się do przepaści. Ged podążał tuż za nią, szybkonogi, zważający na wszelkie jej poruszenia. Kiedy się zatrzymała, w tej samej chwili on stanął także.

– Tu jest przepaść – szepnęła. – Nie mogę znaleźć krawędzi. O, jest. Bądź ostrożny, kamienie chwieją się chyba coraz bardziej. Nie, nie, czekaj... Ten się rusza. – Odstąpiła na bezpieczną odległość, gdy kamień zadrżał jej pod stopami. Ged chwycił ją za ramię i przytrzymał. Serce biło jej mocno. – Krawędź nie jest bezpieczna. Kamienie się obluzowały.

– Zrobię trochę światła i obejrzę. Może właściwe słowo zdoła je związać. Nie martw się, maleńka.

Pomyślała, że to dziwne; nazywał ją tak samo jak Manan. A kiedy na końcu swej laski zapalił maleńką iskierkę, podobną do drzazgi próchna albo gwiazdy za mgłą, i wszedł na wąską dróżkę obok czarnej otchłani, zobaczyła jakiś kształt wyłaniający się z ciemności. Wiedziała, że to Manan. Głos zamarł jej w krtani, jakby ściśniętej pętlą. Nie potrafiła krzyknąć.

Kiedy Manan wyciągał ręce, by zepchnąć Geda z niepewnej półki w przepaść, czarnoksiężnik odwrócił głowę, dostrzegł go i z krzykiem zaskoczenia, a może wściekłości, wyciągnął laskę w jego stronę. Na ów krzyk prosto w twarz eunucha rozbłysło białe światło, jaskrawe nie do zniesienia. Manan uniósł dłoń, by osłonić oczy, rozpaczliwie próbował jeszcze pochwycić Geda, chybił i runął w dół.

Nie krzyczał, gdy spadał. Z czarnej otchłani nie doleciał też dźwięk uderzającego o dno ciała. Żaden odgłos oznaczający śmierć, nic. Ged i Tenar klęczeli niebezpiecznie blisko brzegu, tuż przy krawędzi. Nasłuchiwali; nie słyszeli niczego.

Światło zmieniło się w ledwie widoczny szary punkcik.

– Chodź – powiedział Ged, wyciągając rękę. Tenar ja chwyciła.

Trzema szybkimi krokami przeprowadził dziewczynę nad przepaścią i zgasił światło. Znowu ruszyła przodem. Była oszołomiona, nie myślała o niczym. Dopiero po pewnym czasie zastanowiła się: Teraz w prawo czy w lewo?

Zatrzymała się.

– Co się stało? – zapytał cicho, przystając kilka kroków za nią.

– Zgubiłam się. Zapal światło.

– Zgubiłaś?

– Straciłam rachubę zakrętów.

– Ja liczyłem. – Podszedł bliżej. – Zakręt w lewo zaraz za przepaścią, potem w prawo i jeszcze raz w prawo.

– Więc następny znowu będzie w prawo – stwierdziła automatycznie, lecz nie ruszyła się z miejsca. – Zapal światło.

– Światło nie wskaże nam drogi.

– Nic jej nie wskaże. Jesteśmy zgubieni!

Martwa cisza zamknęła w sobie i pochłonęła jej szept.

Nagle Tenar poczuła ruch tuż obok siebie, w lodowatej czerni. Ged odszukał i ujął jej dłoń.

– Idź. Na następnym zakręcie w prawo.

– Zapal światło – poprosiła. – Tunele są takie kręte.

– Nie mogę. Nie mogę tracić siły. Tenar, oni są... Oni wiedzą, że opuściliśmy Skarbiec. Wiedzą, że jesteśmy za przepaścią. Szukają nas, szukają naszej woli, naszego ducha, chcą go stłumić i pochłonąć. Muszę go podtrzymywać; na to zużywam całą swoją moc. Z twoją pomocą muszę ich powstrzymać. Musimy iść dalej.

– Stąd nie ma wyjścia – odpowiedziała, lecz zrobiła krok do przodu, potem następny, z wahaniem, jakby za każdym razem pod jej stopami otwierała się pustka. Czuła na ręce jego dłoń, ciepłą i silną. Szli naprzód.

Po bardzo długim czasie doszli do schodów. Stopnie niewiele szersze od nacięć w skale nigdy przedtem nie wydawały się tak strome. Pokonali je jednak, a potem ruszyli szybciej, gdyż pamiętała, że w tym kolistym korytarzu na długim odcinku nie ma żadnych rozgałęzień. Po chwili palce, dotykające ściany po lewej stronie, natrafiły na otwór – wylot korytarza biegnącego w lewo.

– Tutaj – szepnęła.

On jednak chyba próbował ją powstrzymać, jakby coś w jej ruchach budziło wątpliwości.

– Nie – szepnęła zmieszana. – Nie ten. To następny zakręt w lewo. Nie wiem. Nie potrafię. Stąd nie ma wyjścia.

– Idziemy do Malowanej Komnaty – odezwał się z ciemności jego spokojny głos. – Jak tam trafić?

– Następny zakręt w lewo.

Prowadziła. Za jednym ze ślepych korytarzy zatoczyli długi łuk aż do prawego odgałęzienia wiodącego do Malowanej Komnaty.

– Prosto – szepnęła. Orientować się w ciemności było teraz łatwiej, gdyż znała drogę do żelaznych wrót i setki razy przeliczała jej zakręty. Dziwny ciężar, jaki odczuwała, nie przeszkadzał, póki nie starała się myśleć. Jednak przez cały czas zbliżali się do tego, co jej ciążyło, co przytłaczało. Zmęczone nogi stawały się tak ciężkie, że poruszając nimi, raz czy dwa jęknęła z wysiłku. Idący obok Ged co chwila wstrzymywał oddech jak ktoś, kto dokonuje czynu pochłaniającego całą energię. Czasem ostrym, choć przyciszonym głosem rzucał jakieś słowo czy fragment słowa. Tak dotarli do żelaznych wrót i wtedy z nagłym przerażeniem wyciągnęła przed siebie rękę.

Wrota stały otworem.

– Prędko – powiedziała i przeciągnęła przez nie czarnoksiężnika. Już po drugiej stronie się zatrzymała. – Dlaczego są otwarte? – spytała.

– Ponieważ twoi władcy potrzebują twoich rąk, by je dla nich zamknęły.

– Dochodzimy do... – Głos jej się załamał.

– Do ośrodka ciemności. Wiem. Wyszliśmy jednak z Labiryntu. Gdzie są wyjścia z Podgrobia?

– Jest tylko jedno. Drzwi, przez które tu przyszedłeś, nie otwierają się od wewnątrz. Droga prowadzi przez grotę i w górę, do klapy za Pustym Tronem. W Sali Tronu.

– Więc musimy pójść tamtędy.

– Ale ona tam jest – szepnęła. – Tam, w Podgrobiu. W grocie. Rozkopuje pusty grób. Nie przejdę obok niej, nie potrafię przejść jeszcze raz...

– Na pewno już odeszła.

– Nie mogę tam iść.

– Tenar, w tej chwili podtrzymuję sklepienie nad naszymi głowami. Podtrzymuję ściany, by nie runęły na nas, i grunt, by nie rozstąpił się nam pod nogami. Robię to, odkąd przekroczyliśmy Otchłań, gdzie czekał na nas sługa ciemności. Jeśli ja mogę powstrzymać trzęsienie ziemi, to czy ty lękasz się w mojej obecności spotkać jedną ludzką duszę? Zaufaj mi, Tenar, jak ja ci zaufałem. Chodź ze mną.

Ruszyli.

Nieskończony tunel się rozszerzył. Wyczuli przed sobą większą przestrzeń, głębszą ciemność – weszli do wielkiej groty pod Kamieniami Grobowymi. Zaczęli ją okrążać, trzymając się ściany po prawej ręce. Tenar przeszła tylko kilka kroków i stanęła.

– Co się dzieje? – szepnęła. Słowa z trudem dobywała się z krtani.

W ogromnej, martwej czarnej bańce powietrza powstał jakiś hałas, drżenie, dźwięk słyszany poprzez krew, wyczuwany przez kości. Wyrzeźbione przez czas ściany drżały i wibrowały pod jej palcami.

– Idź! – Męski głos był suchy, pełen napięcia. – Szybciej, Tenar.

Potykając się, szła dalej i krzyczała w głębi swej duszy ciemnej i drżącej jak ta podziemna krypta: Przebaczcie mi. O moi Władcy, o nienazwani, pradawni, wybaczcie mi, wybaczcie!

Nie było odpowiedzi. Nigdy nie było odpowiedzi.

Dotarli do przejścia pod Salą Tronu, wspięli się na schody, podeszli do ostatnich stopni i do klapy. Była zamknięta, zawsze zostawiała ją zamkniętą. Nacisnęła sprężynę zamka. Bez efektu.

– Coś się stało – stwierdziła. – Jest zamknięta.

Czarnoksiężnik wyminął dziewczynę i naparł na klapę ramieniem. Nawet nie drgnęła.

– Nie jest zamknięta, ale przyciśnięta czymś ciężkim.

– Zdołasz ją otworzyć?

– Być może. Myślę, że ona tam czeka. Czy ktoś z nią będzie?

– Duby i Uahto; może jacyś inni dozorcy. Mężczyznom nie wolno tam wchodzić...

– Nie mogę równocześnie rzucać czaru Otwierania, powstrzymywać ludzi, którzy tam czekają, i opierać się woli ciemności – oświadczył spokojnie, rozważając sytuację. – Musimy więc spróbować drugiego wyjścia; tej bramy w skałach, przez którą tu wszedłem. Czy ona wie, że od środka nie można jej otworzyć?

– Wie. Raz dała mi spróbować.

– Mogła ją zatem pominąć. Chodźmy.

Zeszła po schodach, które drżały i wibrowały, jak gdyby w głębinach pod nimi ktoś szarpał cięciwę olbrzymiego łuku.

– Co to jest... te drgania?

– Chodź – odparł głosem tak pełnym siły i pewności, że posłuchała i powlokła się korytarzami z powrotem do budzącej grozę jaskini.

U wejścia przygniótł ją ciężar strasznej, ślepej nienawiści, wielki jak ciężar samej ziemi. Skulona krzyknęła, nie wiedząc nawet, że krzyczy:

– Oni są tutaj! Są tutaj!

– A więc niech wiedzą, że i my tu jesteśmy – powiedział Ged.

Z jego palców i laski trysnęły białe promienie załamujące się na tysiącach diamentów w sklepieniu i w ścianach, jak światło słońca załamuje się na morskiej fali; w tej glorii blasku pędzili na przełaj przez grotę. Ich cienie biegły ku białym ornamentom, jaśniejącym szczelinom, ku pustej, rozkopanej mogile. Przebiegli przez niskie przejście, potem pochyleni wzdłuż tunelu, ona pierwsza, on tuż za nią. Skały kołysały się i dudniły. Wciąż płonęło jaskrawe światło. Kiedy Tenar zobaczyła przed sobą ślepą skalną ścianę, poprzez grzmot ziemi usłyszała, że Ged wypowiada jedno tylko słowo. A gdy osunęła się na kolana, wyciągnął laskę ponad jej głową i uderzył w czerwony głaz zamkniętej bramy. Skały błysnęły bielą, jakby stanęły w ogniu. I rozstąpiły się.

Za nimi było szarzejące przed świtem niebo, na którym lśniło jeszcze kilka zimnych, bladych gwiazd.

Tenar poczuła na twarzy delikatny dotyk wiatru. Nie podniosła się, pozostała skulona na kolanach, podparta na rękach, zawieszona pomiędzy ziemią a niebem.

Czarnoksiężnik – dziwna, ciemna postać rysująca się słabo w szarym blasku przedświtu – ujął jej ramię, by ją podnieść. Twarz miał czarną i wykrzywioną jak demon. Odsunęła się od niego i krzyknęła obcym, grubym głosem, jakby w jej ustach poruszał się martwy język:

– Nie! Nie! Nie dotykaj mnie... Zostaw... Odejdź!

Zaczęła się czołgać – byle dalej od niego, ku rozkruszonej jamie Grobowców.

Silny uścisk jego palców osłabł.

– Na więź, którą nosisz, Tenar, przyzywam cię! – powiedział Ged spokojnym tonem.

W srebrnym pierścieniu na ręce dostrzegła gwiazdy i nie spuszczając z nich wzroku, chwiejnie wstała. Wsunęła palce w dłoń czarnoksiężnika. Nie mogła uciekać. Ruszyli w dół zbocza. Spomiędzy skał, z czarnego otworu, który za sobą zostawili, dobiegło długie, przeciągłe wycie pełne nienawiści i rozpaczy. Wokół osuwały się kamienie, drżała ziemia. Szli dalej, Tenar wciąż wpatrzona w odbicie światła gwiazd na swej ręce.

Dotarli do mrocznej kotliny na zachód od Miejsca Grobowców. Zaczęli wspinać się w górę, kiedy Ged nagle kazał jej się obejrzeć.

– Spójrz...

Odwróciła się i zobaczyła, że są po drugiej stronie kotliny, na poziomie Kamieni Grobowych, dziewięciu wielkich monolitów wznoszących się nad grotą diamentów i mogił. Stojące Kamienie poruszały się, kołysały i kładły powoli jak maszty okrętów. Jeden z nich zatrząsł się i jakby wzniósł do góry, potem zadrżał i runął. Inny upadł na niego. Za nimi kołysał się niski, czarny w żółtym blasku wschodzącego słońca, dach Sali Tronu. Wybrzuszały się ściany. Cała ta wielka masa kamieni zapadała się w siebie, aż wśród huku i deszczu odłamków przechyliła na bok i runęła. Powierzchnia kotliny marszczyła się i drżała; coś jakby fala przepłynęło w górę zbocza. Wśród Kamieni Grobowych, odsłaniając skrytą za nimi czerń, rozwarła się szeroka szczelina, z której niby szary dym wznosiły się kłęby kurzu. Stojące jeszcze Kamienie runęły w nią i zniknęły. Wtedy z hukiem, który zdawał się odbijać echem od samego nieba, zamknęły się czarne brzegi szczeliny. Wzgórze drgnęło raz jeszcze i nastał spokój.

Tenar odwróciła wzrok od grozy trzęsienia ziemi i spojrzała na stojącego obok mężczyznę, którego twarzy nie widziała jeszcze w świetle dnia.

– Ty to zatrzymywałeś – powiedziała. Po ogłuszającym wyciu i ryku ziemi jej głos był cichy jak wiatr wśród trzcin. – Powstrzymywałeś trzęsienie ziemi, gniew ciemności.

– Musimy iść dalej – odparł, odwracając się od wschodzącego słońca i leżących w gruzach Grobowców Atuanu. – Jestem zmęczony... Zimno mi...

Potknął się, więc wzięła go za rękę. Zdolni byli jedynie wolno powłóczyć nogami. Jak dwa małe pająki na wysokim murze, z mozołem pokonali szerokie zbocze. Stanęli na wierzchołku ozłoconym promieniami wschodzącego słońca i przecinanym rzadkimi pasmami cienia rzucanego przez rosnącą tu bylicę. Przed nimi wznosiły się zachodnie góry ze stopami w purpurze i szczytami w złocie. Po chwili oboje przekroczyli grzbiet i zniknęli.

11

Zachodnie góry

Tenar z całych sił wyrywała się z nocnego koszmaru, z miejsc, po których chodziła tak długo, że opadło z niej ciało i widziała podwójne kości swych ramion połyskujące słabo w mroku. Otworzyła oczy i poczuła silny zapach ziół. Ogarnęło ją dziwnie słodkie uczucie, rozkosz wolno i całkowicie wypełniająca umysł, aż w końcu się przelała i Tenar usiadła, wyciągając ramiona w czarnych rękawach. Rozejrzała się dookoła z wszechogarniającym zachwytem.

Był wieczór. Słońce kryło się za górami, które wyrastały wysokie i bliskie, lecz poświata rozjaśniała jeszcze ziemię i niebo – nieskończone zimowe niebo i nieskończony, nagi, złocisty kraj szczytów i szerokich dolin. Wiatr zamarł. Panował chłód i absolutna cisza. Nic się nie poruszało. Liście niskich zarośli były wyschnięte i szare, źdźbła drobnych, wysuszonych ziół kłuły jej dłoń. Niepojęty, milczący majestat światła płonął na każdej gałązce, pomarszczonym liściu i łodyżce, na wzgórzach i w powietrzu.

Spojrzała w lewo. Czarnoksiężnik leżał na ziemi owinięty płaszczem, z ramieniem pod głową. Spał mocno. Jego twarz we śnie była surowa, niemal gniewna; lewa dłoń spoczywała na ziemi obok małego ostu, wciąż przybranego w podartą opończę szarego puszku, wciąż jeżącego swą żałosną osłonę kolców i cierni. Człowiek i maleńki pustynny oset; oset i śpiący człowiek...

Jego moc należała do tego rodzaju i była równie wielka jak potęga Pradawnych Sił Ziemi; to on był tym, który rozmawiał ze smokami i słowem wstrzymywał trzęsienia ziemi. Teraz leżał uśpiony, a przy jego dłoni rósł mały oset. To niezwykłe. Normalne życie okazało się czymś o wiele wspanialszym i bardziej zdumiewającym, niż mogła sobie wyobrazić. Przepych nieba dotknął jego zakurzonych włosów i na chwilę przemienił oset w złoto.

W miarę jak światło dnia gasło, chłód stawał się coraz bardziej przenikliwy. Tenar wstała i zaczęła zbierać suche krzewy, podnosić opadłe gałązki i odłamywać twarde pędy drzewek, które w swojej skali wyrosły sękate i masywne jak dęby.

Zatrzymali się tutaj około południa, gdy było jeszcze ciepło. Zmęczenie nie pozwoliło im iść dalej. Kilka skarłowaciałych jałowców i zachodni stok grzbietu, z którego zeszli, dawały wystarczającą osłonę przed wiatrem. Wypili trochę wody z manierki, położyli się i usnęli.

Pod niskimi drzewami leżały grubsze gałęzie. Zebrała kilka, wygrzebała niewielką jamę między przysypanymi ziemią kamieniami, ułożyła drewno i skrzesała iskrę. Wyschnięte liście i chrust zajęły się od razu. Potem suche gałęzie rozkwitły jasnym płomieniem. Zapachniało żywicą. Zdawało się, że dalej od ognia jest już zupełnie ciemno; na przepastnym niebie znowu pojawiły się gwiazdy.

Trzaski płomieni przebudziły Geda. Usiadł, przetarł rękami brudną twarz, potem wstał sztywno i podszedł do ognia.

– Nie jestem pewien... – zaczął sennie.

– Wiem, ale bez ognia nie przetrwamy nocy. Jest za zimno. – A po chwili dodała: – Chyba że znasz jakieś czary, które by nas ogrzały albo ukryły płomienie...

Usiadł tuż przy ogniu i splótł ręce na kolanach.

– Brr! – Zadrżał. – Ogień jest o wiele lepszy od czarów. Stworzyłem dookoła drobną iluzję; gdyby ktoś tędy przechodził, wydamy mu się patykami i kamieniami. Jak sądzisz, będą nas ścigać?

– Boję się tego, ale nie przypuszczam, by próbowali. Nikt prócz Kossil i Manana nie wiedział o twojej obecności. Oboje nie żyją. Ona z pewnością była w Sali Tronu, gdy wszystko runęło. Czekała przy klapie. A inni myślą pewnie, że byłam w Sali Tronu albo przy

Kamieniach Grobowych i zginęłam podczas trzęsienia ziemi. – Także objęła ramionami kolana i zadrżała. – Mam nadzieję, że inne budynki ocalały. Ze wzgórza trudno było coś zobaczyć w tym kurzu. Na pewno nie wszystkie domy i świątynie są zniszczone. W Wielkim Domu sypiały dziewczęta.

– Chyba tylko Grobowce pochłonęły same siebie. Kiedy odchodziliśmy, zauważyłem złoty dach jakiejś świątyni. Stała jeszcze. A na wzgórzu widziałem uciekających ludzi.

– Co powiedzą, co sobie pomyślą?... Biedna Penthe! Pewnie zostanie teraz Najwyższą Kapłanką Boga-Króla. A przecież to ona zawsze chciała stąd uciec, nie ja. Może teraz ucieknie... – Tenar uśmiechnęła się. Była pełna radości, której nie mogła przytłumić żadna myśl smutna czy ponura; tej samej radości, którą odczuła, budząc się w złotym blasku. Otworzyła sakwę i wyjęła dwa małe, płaskie bochenki. Jeden podała Gedowi, w drugi wgryzła się sama. Chleb był twardy, kwaśny i bardzo smaczny.

Przez chwilę żuli w milczeniu.

– Jak daleko jesteśmy od morza?

– Dwa dni i dwie noce trwało, zanim tu dotarłem. Powrót zajmie nam więcej czasu.

– Jestem silna – oświadczyła.

– Tak. I dzielna. Ale twój towarzysz podróży jest zmęczony – odparł z uśmiechem. – I nie mamy już chleba.

– Czy znajdziemy wodę?

– Jutro, w górach.

– A czy możesz zdobyć dla nas jedzenie? – spytała nieśmiało.

– Polowanie wymaga czasu. I broni.

– Myślałam, wiesz, że czarami...

– Mógłbym przywołać królika – mruknął, grzebiąc w ognisku krzywą gałęzią jałowca. – Wszędzie wokół nas króliki wychodzą teraz ze swoich jam. Wieczór to ich pora. Gdybym zawołał któregoś jego imieniem, przyjdzie. Ale czy potrafiłabyś zabić, obedrzeć ze skóry i ugotować królika, którego przywołałaś w ten sposób? Mnie wydaje się to nadużyciem zaufania.

– Owszem. Myślałam, że mógłbyś po prostu...

– Sprowadzić kolację? – dokończył. – Och, mógłbym. Na złotych półmiskach, jeśli masz ochotę. Ale to iluzja, a jedząc iluzje, człowiek kończy bardziej głodny, niż kiedy zaczynał. To równie posilne jak jedzenie własnych słów. – Widziała, jak w mroku błysnęły jego białe zęby.

– Dziwna jest twoja magia – stwierdziła z godnością, należną w rozmowie między równymi sobie, gdy kapłanka przemawia do maga. – Można odnieść wrażenie, że nadaje się tylko do wielkich spraw.

Dołożył drewna do ognia i płomienie rozbłysły pachnącymi jałowcem fajerwerkami iskier i trzasków.

– Naprawdę potrafisz przywołać królika? – spytała nagle Tenar.

– Chcesz, żebym to zrobił?

Kiwnęła głową.

Odwrócił się plecami do ognia i zawołał cicho w niezmierzony, rozświetlony gwiazdami mrok:

– *Kebbo... O kebbo...*

Cisza. Żadnego dźwięku. Żadnego ruchu. Ale po chwili, na samym skraju kręgu światła ogniska, zobaczyła tuż przy ziemi okrągłe oko jak czarny kamyk, krzywiznę kosmatego grzbietu, ucho – długie, uniesione, czujne.

Ged przemówił znowu. Ucho drgnęło, nagle z cienia wynurzyło się drugie. Tenar przez moment widziała zwierzątko w całości, gdy odwracało się, by cichym, zgrabnym susem powrócić do swoich nocnych spraw.

– Ojej! – zawołała, wypuszczając oddech. – Jaki śliczny! Czy ja też mogłabym to zrobić?

– Cóż...

– To pewnie sekret – domyśliła się.

– Sekretem jest imię królika. A przynajmniej nie należy się nim posługiwać bez powodu. Ale moc przywoływania nie jest tajemnicą. Raczej darem czy może talentem.

– Aha. I ty ją posiadasz. Wiem! – W jej głosie brzmiała pasja, źle skrywana pod udawaną ironią.

Ged nie odpowiedział.

Naprawdę był jeszcze bardzo zmęczony starciem z Bezimiennymi; zużył swe siły w dygocących tunelach. Zwyciężył wprawdzie, ale nie miał ochoty na radość. Po chwili zwinął się znowu jak najbliżej ogniska i zasnął.

Tenar dokładała do ognia i wpatrywała się w lśnienie jaśniejących od horyzontu po horyzont zimowych gwiazdozbiorów. Wreszcie zmożona wspaniałością nieba i ciszy zapadła w sen.

Zbudzili się oboje. Ogień zgasł. Konstelacje, które przed snem widziała nad horyzontem, teraz lśniły ponad szczytami gór, a nowe wznosiły się od wschodu. Obudził ich chłód pustynnej nocy, wiatr zimny niby lodowe ostrze. Z południowego zachodu nadciągała zasłona chmur.

Drewno wypaliło się niemal do końca.

– Chodźmy – rzekł Ged. – Wkrótce będzie świtać.

Szczękał zębami tak, że z trudem go rozumiała. Ruszyli, wspinając się długim zboczem ku zachodowi. Krzaki i kamienie były czarne w świetle gwiazd i szło się łatwo jak w dzień. Po chwili, rozgrzani marszem, przestali dygotać. Szli z większą swobodą. O wschodzie słońca stanęli u podnóża gór, które do tej chwili niby mur zamykały życie Tenar.

Zatrzymali się w zagajniku drzew, których drżące złote liście wciąż lgnęły do gałęzi. Ged powiedział, że to osiki. Dotąd znała tylko jałowce i słabowite topole rosnące przy źródłach rzeki, i jeszcze czterdzieści jabłoni z sadu Miejsca Grobowców. Jakiś ptaszek wśród gałęzi wołał cienko: „dii, dii!”. Pod drzewami płynął wąski, lecz bystry strumyk, szumiący, przelewający się po kamieniach i progach zbyt szybko, by zamarznąć. Tenar niemal się go bała. Przyzwyczaiła się do pustyni, gdzie wszystko było wielkie i poruszało się wolno – leniwe rzeki, cienie chmur, krążące w górze sępy.

Na śniadanie podzielili między siebie resztki chleba i ostatni, wyschnięty kawałek sera. Odpoczęli chwilę i ruszyli dalej.

Wieczorem byli już wysoko. Chmury zasnuły niebo, wiał wiatr i było zimno. Na noc zatrzymali się w dolinie innego strumienia, gdzie było dość drzewa. Tym razem rozpalili duże ognisko, przy którym mogli się grzać aż do rana.

Tenar była szczęśliwa. Znalazła zapasy wiewiórki odsłonięte upadkiem drzewa, w którym była dziupla: kilka garści orzechów o gładkich skorupkach, które Ged – nie znając kargijskiego słowa – nazywał *ubir*. Rozbijała je na płaskim kamieniu i podawała mu co drugi.

– Chciałabym, żebyśmy tu zostali – oznajmiła, spoglądając na krętą, pogrążoną w mroku kotlinę. – Podoba mi się tutaj.

– To dobre miejsce – przyznał.

– Ludzie nigdy tu nie przychodzą?

– Nieczęsto... Urodziłem się w górach – powiedział. – Na górze Gont. Miniemy ją, płynąc do Havnoru, jeśli wybierzemy szlak północny. Zimą jest piękna, biała od śniegu; wyrasta z morza niby wielka fala. Moja wioska leżała nad takim właśnie strumieniem. A ty, Tenar, gdzie się urodziłaś?

– W północnej części Atuanu, w Entat. Tak sądzę. Nie pamiętam.

– Byłaś taka mała, kiedy cię zabrali?

– Miałam pięć lat. Pamiętam ogień w palenisku i... i nic więcej.

Potarł dłonią szczękę, na której pojawiły się zaczątki rzadkiej brody. Cóż, przynajmniej był czysty; mimo zimna oboje myli się w górskich potokach. Patrzył na nią w zamyśleniu i z powagą. A ona przyglądała mu się, wiedząc, że nigdy nie zdołałaby wypowiedzieć tego, co miała w sercu – tutaj, gdy siedziała obok niego w blasku ogniska, o zmierzchu wśród gór.

– Co będziesz robić w Havnorze? – spytał, zwracając się do ognia, nie do niej. – Jesteś naprawdę odrodzona, zmieniłaś się bardziej, niż oczekiwałem.

Skinęła głową z lekkim uśmiechem. Czuła się jak narodzona na nowo.

– Powinnaś nauczyć się języka.

– Twojego języka?

– Tak.

– Chciałabym.

– Dobrze. To jest *kabat*. – Rzucił jej na kolana mały kamyk.

– *Kabat*. Czy to w smoczej mowie?

– Nie, nie. Przecież nie chcesz rzucać zaklęć, tylko rozmawiać z ludźmi.

– Jak się nazywa kamyk w mowie smoków?

– *Tolk* – odparł. – Ale nie chcę z ciebie robić początkującego czarnoksiężnika. Uczę cię mowy, jakiej używają w Archipelagu, na Wyspach Wewnętrznych. Ja też musiałem poznać twój język, zanim tu przybyłem.

– W dziwny sposób go używasz.

– Na pewno. Teraz *arkemmi kabat.* – Wyciągnął rękę, by podała mu kamyk.

– Czy muszę płynąć do Havnoru?

– Gdzie jeszcze mogłabyś pójść, Tenar?

Zawahała się.

– Havnor to piękne miasto – zapewnił. – A ty przyniesiesz mu Pierścień Erreth-Akbego, znak pokoju. Powitają cię tam jak księżniczkę. Będą cię szanować z wdzięczności za wspaniały dar, jaki im ofiarujesz, będą cię witać i gościć. Mieszkają tam ludzie szlachetni i wielkoduszni. Z powodu twojej jasnej skóry nazwą cię Białą Panią i będą kochać jeszcze bardziej, albowiem jesteś tak młoda. I tak piękna. Dostaniesz setki sukni podobnych do tej, którą ci pokazałem w iluzji, tyle że prawdziwych. Czeka cię szacunek, wdzięczność i miłość. Ciebie, która znałaś jedynie samotność, zazdrość i mrok.

– Był przecież Manan – zaprotestowała i wargi jej zadrżały. – Kochał mnie i zawsze był dla mnie dobry. Chronił mnie najlepiej, jak potrafił, a ja go zabiłam; spadł w czarną otchłań. Nie chcę płynąć do Havnoru. Ani nigdzie. Chcę zostać tutaj.

– Tutaj? Na Atuanie?

– W górach. Tu, gdzie jesteśmy.

– Dobrze – powiedział swym poważnym, spokojnym głosem. – Zostaniemy, jeśli chcesz. Nie mam noża, a jeśli spadnie śnieg, będzie ciężko. Ale dopóki można znaleźć coś do jedzenia...

– Nie. Wiem, że nie możemy zostać. Jestem głupia. – Wstała, rozrzucając skorupki orzechów. Dołożyła drew do ogniska i stanęła wyprostowana, szczupła w swej podartej, brudnej szacie i czarnym płaszczu. – Wszystko, co wiem, na nic mi się już nie przyda. A niczego innego nie potrafię. Spróbuję się nauczyć.

Ged odwrócił głowę i skrzywił się jakby z bólu.

***

Następnego dnia przekroczyli grzbiet górskiego pasma. Wiatr dął mocno, niosąc kłujące zimnem, oślepiające płatki śniegu. Dopiero gdy zeszli w dół po przeciwnej stronie, z dala od śnieżnych chmur wokół szczytów, Tenar po raz pierwszy zobaczyła ziemię poza ścianą gór. Była zielona zielenią sosen, trawiastych równin, pól i łąk. Nawet w środku zimy, gdy gąszcze stały nagie, a w lesie królowały szare gałęzie, była to kraina zielona, łagodna i przyjazna. Przyglądali się jej z wysoka, stojąc na stromym, skalistym zboczu. Ged bez słowa wyciągnął rękę na zachód, gdzie za kłębowiskiem chmur opadało słońce. Nie było go widać, lecz na horyzoncie dostrzegła jakiś blask, podobny trochę do oślepiającego lśnienia kryształowych ścian Podgrobia – radosne migotanie na skraju świata.

– Co to jest? – spytała.

– Morze.

Wkrótce miała zobaczyć je z bliska, już nie tak piękne, lecz jak na jej oczekiwania wystarczająco wspaniałe.

Dotarli do drogi, która doprowadziła ich do wioski – dziesięciu czy dwunastu chatek stojących przy szlaku. Tenar spojrzała na swego towarzysza z lękiem, zdała sobie bowiem sprawę, że wchodzą pomiędzy ludzi. Obok niej, w ubraniu Geda, w jego butach, jego krokiem szedł inny mężczyzna. Nie miał zarostu, a jego skóra była biała. Kiedy na nią popatrzył, zauważyła, że ma niebieskie oczy. Mrugnął porozumiewawczo.

– Uda się ich oszukać? Co powiesz na swoje ubranie?

Zorientowała się, że ma na sobie brązową spódnicę i bluzę wieśniaczki, a do tego szeroki, wełniany czerwony szal.

– Och! – zawołała zdumiona. – Ty jesteś... jesteś Ged!

I kiedy wypowiedziała jego imię, zobaczyła go wyraźnie: ciemną, poznaczoną bliznami, znajomą twarz, ciemne oczy... A jednak obok stał obcy o skórze jak mleko.

– Nie wymawiaj przy ludziach mego prawdziwego imienia. Ja nie wypowiem twojego. Jesteśmy bratem i siostrą. Przybywamy

z Tenacbah. Kiedy spotkamy kogoś życzliwego, poproszę o kolację.

Wziął ją za rękę i razem weszli do wioski.

Rankiem poszli dalej z pełnymi brzuchami i wypoczęci po nocy spędzonej na stryszku.

– Czy magowie często żebrzą? – zapytała Tenar.

Droga wiodła między zielonymi łąkami, gdzie pasły się kozy i małe łaciate krowy.

– Czemu pytasz?

– Zdawało mi się, że masz wprawę w żebraniu. Prawdę mówiąc, szło ci to całkiem dobrze.

– Właściwie tak. Jeśli spojrzeć na to od tej strony, żebrałem przez całe życie. Magowie nie posiadają wiele. Podczas wędrówki praktycznie nic prócz swojej laski i ubrania. Większość ludzi przyjmuje ich chętnie i karmi. Zwykle dają coś w zamian.

– Co?

– No, na przykład tej kobiecie we wsi wyleczyłem kozy.

– A co im było?

– Obie miały zakażone wymiona. Pasałem kozy, gdy byłem małym chłopcem.

– Powiedziałeś jej, że je wyleczyłeś?

– Nie. Jak mógłbym? I po co?

– Widzę – stwierdziła po chwili milczenia – że twoja magia nadaje się nie tylko do spraw wielkich.

– Gościnność, uprzejmość okazana obcemu to wielka sprawa. Naturalnie, wystarczyłoby podziękować. Ale żal mi było kóz.

Po południu dotarli do sporego miasteczka. Zbudowane było z cegły i otoczone murem na sposób kargijski, z przewieszonymi blankami, wieżami strażniczymi w czterech rogach i jedną tylko bramą, przez którą poganiacze przepędzali duże stado owiec. Czerwone dachy stu lub więcej domów wystawały zza murów z żółtawej cegły. Przy bramie stało dwóch strażników w hełmach z czerwonymi pióropuszami sług Boga-Króla. Ludzi w takich hełmach Tenar widywała raz do roku, gdy eskortowali niewolników lub złoto składane w darze dla świątyni Boga-Króla. Powiedziała o tym Gedowi.

– Ja też ich widziałem jako chłopiec – odparł. – Przybyli do mojej wsi, by ją splądrować. Odpędzono ich. Potem była bitwa pod Armouth; wielu ludzi zginęło, podobno setki. Cóż, może teraz, gdy Pierścień Erreth-Akbego jest cały i Zaginiona Runa odtworzona, nie będzie już wojen między Imperium Kargadu a Wyspami Wewnętrznymi.

– Byłoby głupio, gdyby takie napady ciągle się powtarzały – stwierdziła Tenar. – Zresztą co mógłby zrobić Bóg-Król z taką masą niewolników?

Jej towarzysz zastanawiał się przez chwilę.

– To znaczy, gdyby Wyspy Kargadu podbiły Archipelag?

Przytaknęła.

– Nie sądzę, by to mogło się zdarzyć – rzekł z powątpiewaniem.

– Ale popatrz tylko, jak potężne jest imperium, jak wielkie to miasto za murami. Czy twoje ziemie mogłyby się obronić, gdyby zostały zaatakowane?

– To nie jest bardzo duże miasto – powiedział ostrożnie i delikatnie. – Mnie też wydało się olbrzymie wtedy, kiedy dopiero co zszedłem ze swojej góry. Ale w Ziemiomorzu jest wiele, wiele miast, przy których to jest zaledwie mieściną. Jest wiele, bardzo wiele wysp. Zobaczysz je, Tenar.

Nie odpowiadała. Szła sztywno, z zaciśniętymi ustami.

– To wspaniały widok, gdy nowe wyspy wynurzają się z morza, a twoja łódź zbliża się do nich. Stopniowo zaczynasz widzieć pola i lasy, miasta z portami i pałacami, targi, gdzie sprzedają towary z całego świata.

Skinęła głową. Wiedziała, że chce jej dodać odwagi, ale cała jej radość pozostała w górach, w tamtej cienistej dolince nad strumieniem. Teraz czuła lęk narastający z każdą chwilą. Czekało ją nieznane. Znała tylko pustynię i Grobowce. Pamiętała zakręty w zrujnowanym Labiryncie, tańce przed ołtarzem, który runął. Nie wiedziała nic o lesie, miastach, o sercach mężczyzn.

– Czy zostaniesz tam ze mną? – spytała nagle.

Nie patrzyła na niego. Nie chciała go widzieć w iluzorycznym przebraniu wieśniaka. Lecz jego głos pozostał taki sam jak wtedy, w ciemnościach Labiryntu.

Odpowiedział nie od razu.

– Tenar, idę tam, gdzie zostałem posłany. Podążam za głosem, który mnie wzywa. Nie pozwolił mi jeszcze pozostać na długo w jednym miejscu. Rozumiesz? Robię to, co muszę robić. Tam, gdzie idę, muszę iść sam. Zostanę przy tobie w Havnorze, dopóki będę ci potrzebny. Jeśli potem będziesz mnie kiedyś potrzebować, zawołaj. Przybędę. Choćbym miał wstać z grobu, przyjdę na twoje wezwanie. Ale zostać z tobą nie mogę.

Milczała.

– Niedługo przestanę ci być potrzebny – stwierdził po chwili. – Będziesz tam bardzo szczęśliwa.

Kwinęła głową, pogodzona z losem i milcząca.

Ramię przy ramieniu szli w stronę morza.

12

Podróż

Ukrył łódź w jaskini na brzegu skalistego cypla, zwanego Chmurnym Przylądkiem przez miejscowych, z których jeden dał im na kolację miskę duszonej ryby. Jaskinia była wąską szczeliną sięgającą jakieś dwadzieścia kroków w głąb skały, wysypaną piaskiem – wilgotnym, gdyż dno leżało tuż powyżej poziomu przypływu. Wylot jaskini był widoczny z morza i Ged uznał, że nie powinni palić ognia, by rybacy w swoich małych łódkach nie zainteresowali się nimi. Leżeli więc na piasku, miękkim pod palcami, lecz dla zmęczonego ciała twardym jak kamień. Tenar słuchała, jak morze huczy i pluszcze wśród kamieni u wylotu jaskini, jak grzmi wzdłuż rozległej plaży. Raz za razem powtarzały się te same, a jednak nie takie same odgłosy. Morze nigdy nie odpoczywało. U wszystkich brzegów wszystkich wysp na całym świecie wznosiło się niespokojną falą, nigdy nieustającą, zawsze w ruchu. Pustynia i góry trwały nieruchome, milczące. Morze zaś mówiło bez przerwy, lecz jego język był dla niej obcy. Nie rozumiała go.

Przebudziła się z niespokojnego snu o pierwszym szarym brzasku dnia i zobaczyła, że czarnoksiężnik wychodzi z jaskini. Patrzyła, jak idzie na brzeg: bosy, w płaszczu spiętym pasem, pomiędzy głazy porośnięte czarnym włosem mchu. Szukał czegoś. Po chwili wrócił i stanął w wejściu, rzucając cień na jaskinię.

– Proszę. – Podał jej garść mokrych, oślizłych muszli podobnych do purpurowych kamieni o pomarańczowych wargach.

– Co to jest?

– Małże, zebrałem je na skałach. A te dwie to ostrygi, jeszcze lepsze. Popatrz, trzeba tak... – Podważył muszlę małym sztyletem z jej kółka na klucze i zjadł pomarańczowego małża w sosie z morskiej wody.

– Nawet ich nie gotujesz? Zjadłeś go żywcem!

Nie mogła patrzeć, jak – zakłopotany, lecz nie zniechęcony – jedną po drugiej otwiera muszle i wyjada mięczaki.

Kiedy skończył, wszedł do groty i zajął się łodzią. Leżała dziobem na zewnątrz, podtrzymywana przez kilka wyrzuconych przez fale kloców. Tenar przyjrzała się jej poprzedniego dnia, nieufnie i bez zrozumienia. Łódź była o wiele większa, niż jej zdaniem być powinna, długości potrojonego wzrostu Tenar. Pełno w niej było przedmiotów, o których zastosowaniu dziewczyna nie miała pojęcia. I wyglądała groźnie. Po obu stronach przedniej części (Ged nazywał ją dziobem) wymalowano oko i śpiąc niespokojnie, cały czas miała wrażenie, że łódź na nią patrzy.

Ged poszperał w łodzi i po chwili wrócił, niosąc paczkę twardego chleba zapakowanego szczelnie, by nie zamókł. Podał jej spory kawałek.

– Nie jestem głodna.

Spojrzał na jej ponurą twarz.

Odłożył chleb, zawijając go równie dokładnie, po czym siadł u wylotu jaskini.

– Mamy jeszcze dwie godziny do najwyższego przypływu – stwierdził. – Potem możemy odbijać. Nie wyspałaś się w nocy, więc może teraz się zdrzemniesz?

– Nie jestem śpiąca.

Nie odpowiedział. Siedział bokiem do niej, ze skrzyżowanymi nogami pod ciemnym łukiem skały; za nim było lśniące kołysanie i ruch morza, które obserwowała z głębi jaskini. Nie poruszał się. Był jak skała. Spokój promieniował od niego niby koliste fale od kamyka rzuconego w wodę. Jego milczenie wydawało się nie zwyczajnym

brakiem słów, lecz czymś, co istnieje samo w sobie, jak milczenie pustyni.

Po długim czasie Tenar wstała i zbliżyła się do wylotu groty. Nie drgnął nawet. Spojrzała mu w twarz. Była jak odlana z miedzi – sztywna, ciemne oczy otwarte, wzrok wbity w ziemię, zaciśnięte usta.

Był równie nieosiągalny jak morze.

Gdzie teraz przebywał, którą drogą podążał jego duch? Nigdy nie będzie mogła z nim wyruszyć.

A jednak zmusił ją, by za nim poszła. Zawołał ją jej imieniem i wybiegła do jego ręki, jak ten dziki pustynny królik, który wyszedł z ciemności. Teraz miał już Pierścień Erreth-Akbego, Grobowce Atuanu leżały w gruzach, a ich kapłanka została przeklęta na wieki. Teraz już jej nie potrzebował i odszedł tam, gdzie ona nie może za nim podążyć. Oszukał ją i zostawi samą.

Wyciągnęła rękę i szybkim ruchem wysunęła zza jego pasa mały stalowy sztylet, który mu dała. Ged pozostał nieruchomy, niby okryty szatami posąg.

Ostry z jednej strony sztylecik był miniaturą noża ofiarnego. Stanowił część stroju Kapłanki Grobowców i musiała go nosić razem z kółkiem na klucze, pasem z końskiego włosia i innymi przedmiotami; nikt nie wiedział, do czego służą niektóre z nich. Używała sztyletu wyłącznie podczas jednego z tańców, jakie wykonywała przed Pustym Tronem o nowiu; podrzucała go do góry i chwytała. Lubiła ten taniec, dziki rytm wybijany stopami o podłogę. Z początku kaleczyła sobie palce i dopiero po pewnym czasie nauczyła się chwytać zawsze za rękojeść. Niewielka klinga była dość ostra, by przeciąć ciało aż do kości albo otworzyć arterie szyjne. Może jeszcze posłużyć swym Władcom, choć ją zdradzili i porzucili. Pokierują jej dłonią w tym ostatnim dziele ciemności. Przyjmą ofiarę.

Stanęła przed czarnoksiężnikiem. Wtedy on wolno podniósł głowę. Wyglądał jak ktoś, kto wrócił z daleka i widział rzeczy straszne. Jego twarz pozostała spokojna, choć malował się na niej ból. Zdawało się, że z wolna odzyskuje świadomość.

– Tenar – powiedział w końcu, jakby na powitanie, wyciągnął rękę i dotknął obręczy rzeźbionego srebra na jej nadgarstku. Zrobił to,

jakby chciał się uspokoić... Ufnie. Jakby nie widział sztyletu w jej dłoni. Potem odwrócił wzrok ku falom kołyszącym się między skałami w dole. – Czas nadszedł – rzekł z wysiłkiem. – Pora ruszać.

Gniew ją opuścił. Czuła już tylko lęk.

– Zostawiasz ich, Tenar. Odchodzisz na wolność. – Wstał z nieoczekiwanym wigorem. Przeciągnął się i spiął płaszcz pasem. – Pomożesz mi przy łodzi. Stoi na klocach, posłużą za rolki. O tak, pchaj... Jeszcze raz. Już, już, wystarczy. Bądź gotowa wskoczyć do środka, kiedy tylko zawołam. Nie jest łatwo z tego miejsca spuścić łódź na wodę. Teraz uwaga! Wskakuj! – Skoczył zaraz za nią, przytrzymał, by nie straciła równowagi, i usadził ją na dnie. Sam stanął przy wiosłach i mocnymi pchnięciami wyprowadził łódź na grzbiecie fali odpływu ponad skałami poza ryczący, spieniony pas wód, na morze.

Kiedy znaleźli się daleko od przybrzeżnej płycizny, wciągnął wiosła i postawił maszt. Teraz, gdy Tenar była w środku, a morze dookoła, łódź wydawała się bardzo mała.

Ged wciągnął żagiel. Osprzętu używano najwyraźniej od dawna i w ciężkich warunkach, choć czerwony żagiel połatano z wielką starannością, a łódź była czysta i oporządzona. Przypominała swego pana; podróżowała daleko i po trudnych wodach.

– No, odpłynęliśmy – odezwał się Ged. – Odeszliśmy, nie ma nas tam, Tenar. Czujesz to?

Czuła. Mroczna dłoń zwolniła uchwyt, w którym więziła ją przez całe życie. Tenar jednak nie odczuwała takiej radości jak wtedy, w górach. Ukryła twarz w dłoniach i zapłakała; jej policzki były mokre i słone. Płakała nad latami, które zmarnowała, służąc bezużytecznemu złu. Płakała z bólu, ponieważ była wolna.

Zaczynała dopiero poznawać ciężar swobody. Wolność to wielkie brzemię, niezwykłe i trudne do zrozumienia dla ducha. Nie jest łatwa. Nie jest darem otrzymanym, lecz dokonanym wyborem. I ten wybór wcale nie jest prosty. Droga wiedzie w górę, do światła, lecz zmęczony podróżnik może nigdy nie dotrzeć do jej końca.

Ged pozwolił jej płakać i nie próbował pocieszać. Kiedy łzy obeschły, zapatrzyła się na niski błękitny ląd Atuanu. Wtedy także się

nie odezwał. Twarz miał czujną i surową, jakby był tu sam; pilnował żagla i steru, poruszał się szybko i cicho.

Kiedy minęło południe, wskazał dłonią trochę na prawo od słońca, ku któremu teraz płynęli.

– To jest Karego-At – oznajmił.

Tenar podążyła wzrokiem za jego ręką. Dostrzegła w dali wzgórza falujące niczym chmury na wielkiej wyspie Boga-Króla. Stracili już z oczu Atuan. Czuła dziwny ciężar na sercu. Słońce biło jej w oczy jak złoty młot.

Na kolację zjedli suchy chleb i suszoną wędzoną rybę, która Tenar wydała się obrzydliwa. Wodę pili z beczułki; Ged napełnił ją poprzedniego wieczoru ze strumyka na Chmurnym Przylądku. Zimowa, chłodna noc zapadła szybko. Daleko na północy widzieli drobne światełka, żółte ogniki w odległych nadbrzeżnych wioskach Karego-At. Zniknęły we mgle. Pozostali sami wśród bezgwiezdnej nocy nad głębiną wód.

Skuliła się na rufie; Ged leżał na dziobie, mając za poduszkę beczułkę z wodą. Łódź płynęła spokojnie, niewielkie fale uderzały o burty, choć wiatr stał się tylko lekkim tchnieniem z południa. Tutaj, z dala od skalistych brzegów, morze także ucichło; jedynie dotykając łodzi, szemrało delikatnie.

– Jeśli wiatr wieje z południa – odezwała się Tenar szeptem, gdyż morze także szeptało – czy łódź nie powinna płynąć na północ?

– Tak, chyba żebyśmy halsowali. Ale wypełniłem żagiel magicznym wiatrem wiejącym na zachód. Jutro rano powinniśmy opuścić wody Kargadu. Wtedy pozwolę jej płynąć ze zwykłym wiatrem.

– Ona sama steruje?

– Tak – odparł z powagą Ged. – Jeśli otrzyma właściwe instrukcje. Nie potrzebuje ich wiele. Była już na otwartym morzu, poza najdalszą wyspą Wschodniej Rubieży; była na Selidorze, gdzie zginął Erreth-Akbe, na najdalszym Zachodzie. To mądra, piękna łódź, moje „Bystre Oko”. Możesz jej zaufać.

Dziewczyna leżała nieruchomo w popychanej magią łodzi i wpatrywała się w ciemność ponad niezmierzoną głębiną. Przez całe życie wpatrywała się w ciemność, lecz ta noc na oceanie była potężniejsza. Nie miała kresu. Nie miała granic. Sięgała dalej niż

gwiazdy. Nie kierowały nią żadne ziemskie Potęgi. Istniała przed światłem i będzie istniała po nim. Trwała, zanim powstało życie, i będzie trwała, gdy ono się skończy. Była ponad wszelkie zło.

Tenar przemówiła z mroku:

– Ta mała wysepka, gdzie dano ci talizman... leży na tym morzu?

– Tak – odpowiedział z mroku. – Gdzieś. Może na południu. Nie mogłem jej odnaleźć.

– Wiem, kim była kobieta, która dała ci Pierścień.

– Wiesz?

– Znam tę historię. To część wiedzy Pierwszej Kapłanki. Thar mi ją opowiedziała, najpierw przy Kossil, a potem, dokładniej, kiedy jej nie było. Wtedy rozmawiała ze mną ostatni raz; potem umarła. W Hupun żył szlachetny ród walczący przeciwko władzy Najwyższych Kapłanów w Awabath. Założycielem rodu był król Thoreg, a wśród skarbów, jakie pozostawił spadkobiercom, znajdowała się połowa pierścienia, którą podarował mu Erreth-Akbe.

– Rzeczywiście, tak właśnie jest powiedziane w *Czynach Erreth-Akbego*. Mówi się tam... W twoim języku mówi się: „Kiedy Pierścień został złamany, połowa została w rękach Najwyższego Kapłana Intathina, połowa w dłoni bohatera. Najwyższy Kapłan posłał odłamaną część Bezimiennym, Pradawnym tej ziemi, na Atuan, gdzie zniknęła w ciemności, w zapomnieniu. Lecz Erreth-Akbe włożył swoją część w ręce Tiarath, córki mądrego króla, mówiąc: Niech pozostanie w jasności, w posagu panieńskim, niech pozostanie w tej ziemi, póki znów się nie połączy. Tak przemówił bohater, zanim odpłynął na zachód".

– Tę połowę Pierścienia dziedziczyły córki królewskiego rodu. Nie zaginęła, jak sądzono. Potem Najwyżsi Kapłani zmienili się w Kapłanów-Królów, a Kapłani-Królowie stworzyli imperium i zaczęli nazywać się Bogami-Królami... A przez cały ten czas ród Thorega stawał się coraz biedniejszy i słabszy. W końcu, jak opowiadała mi Thar, pozostało tylko dwoje potomków Thorega, chłopiec i dziewczynka. Bóg-Król w Awabath był ojcem tego, który rządzi dzisiaj. Kazał wykraść dzieci z pałacu w Hupun. Lękał się, gdyż przepowiednia mówiła, że jeden ze spadkobierców Thorega spowoduje upadek imperium. Porwał dzieci i przewiózł je

na samotną wyspę gdzieś na środku morza. Tam je porzucił. Zostawił im tylko ubrania, które nosiły, i odrobinę żywności. Bał się je zabijać czy to nożem, czy przez uduszenie, czy trucizną; pochodziły z królewskiego rodu, a królobójstwo ściąga klątwę nawet na bogów. Byli to Ensar i Anthil. I Anthil dała ci połowę złamanego Pierścienia.

Milczał przez długą chwilę.

– I tak historia staje się całością – powiedział w końcu. – Tak jak stał się całością Pierścień. Ale to okrutna historia, Tenar. Małe dzieci, ta wysepka, stary mężczyzna i kobieta, których widziałem... Prawie nie znali ludzkiej mowy.

– Chcę cię o coś prosić.

– Proś.

– Nie chcę płynąć do Wysp Wewnętrznych, do Havnoru. Nie tam jest moje miejsce, nie w wielkich miastach wśród obcych ludzi. W żadnym kraju nie ma dla mnie miejsca. Zdradziłam swój lud i teraz nie należę do żadnego. I uczyniłam coś bardzo złego. Zostaw mnie na wyspie, jak zostawiono dzieci króla, na samotnej wyspie, gdzie nie ma żadnych ludzi... nikogo. Zostaw mnie i zabierz Pierścień do Havnoru. Należy do ciebie, nie do mnie. Ze mną nie ma nic wspólnego. Tak jak twój lud. Zostaw mnie samą!

Powoli i stopniowo, lecz zaskakując ją mimo to, pośród czerni niby mały księżyc zajaśniało światło – magiczne światło płonące na jego rozkaz. Lśniło na końcu laski, którą trzymał pionowo, siedząc na dziobie. Oświetlało srebrzystym blaskiem dolną krawędź żagla, deski nadburcia i jego twarz. Patrzył prosto na nią.

– Jakie zło uczyniłaś, Tenar?

– Rozkazałam zamknąć trzech ludzi w komnacie pod Pustym Tronem, by zginęli. Umarli z głodu i pragnienia. Umarli i zostali pochowani w Podgrobiu. Kamienie Grobowe runęły na ich mogiły.

Umilkła.

– Czy jeszcze coś? – zapytał cicho.

– Manan.

– Ta śmierć obciąża moją duszę.

– Nie. Zginął, ponieważ mnie kochał i był wierny. Myślał, że mnie chroni. Trzymał miecz nad moją głową. Kiedy byłam mała, zawsze był dobry... Kiedy płakałam... – Przerwała, bo łzy wezbrały w jej

oczach, a nie chciała więcej płakać. Zaciskała dłonie na czarnych fałdach swej szaty. – Nigdy nie byłam dla niego dobra – powiedziała. – Nie popłynę do Havnoru. Nie chcę płynąć z tobą. Znajdź jakąś wyspę, gdzie nikt nie mieszka, wysadź mnie na niej i zostaw. Muszę zapłacić za zło. Nie jestem wolna.

Między nimi migotał szary od morskiej mgły delikatny brzask.

– Posłuchaj uważnie, Tenar. Byłaś naczyniem zła, lecz zło zostało wylane. Już go nie ma. Leży we własnym grobie. Nie zostałaś stworzona do okrucieństw i mroku; istniejesz, by przechowywać światło, jak latarnia przechowuje je i oddaje. Odszukałem tę latarnię zgaszoną i nie zostawię jej na jakiejś pustej wyspie niczym coś, co się znajduje i wyrzuca. Zabiorę cię do Havnoru i powiem książętom Ziemiomorza: „Patrzcie! W siedlisku ciemności odnalazłem światło: jej duszę. Dzięki niej pradawne zło zmieniło się w nicość. Dzięki niej wyszedłem z grobu. Dzięki niej złamane stało się całością, a tam, gdzie była nienawiść, zapanuje pokój".

– Nie – odparła z bólem Tenar. – Nie mogę. To nieprawda!

– A potem – mówił dalej – zabiorę cię od książąt i bogatych panów, gdyż to prawda, że nie ma tam dla ciebie miejsca. Jesteś zbyt młoda i zbyt mądra. Zabiorę cię do mojego kraju, na Gont, gdzie się urodziłem, do mojego dawnego mistrza Ogiona. Jest już starcem, wielkim magiem i człowiekiem spokojnego serca. Nazywają go Milczącym. Mieszka w małym domku na urwiskach Re Albi, wysoko ponad falami. Trzyma kilka kóz i ma niewielki ogródek. Jesienią wędruje samotnie po wyspie, po lesie i górach, wzdłuż dolin rzek. Mieszkałem z nim kiedyś, gdy byłem młodszy niż ty teraz. Nie zostałem długo... Nie miałem dość rozumu, by tam zostać. Wyruszyłem na poszukiwanie zła i znalazłem je, oczywiście... Ale ty przybywasz, uciekając przed złem; szukasz wolności; szukasz ciszy potrzebnej ci, póki nie znajdziesz własnej drogi. Tam czeka cię spokój i cisza, Tenar. Tam latarnia może się palić z dala od wichrów. Pojedziesz tam?

– Tak – westchnęła. I po chwili dodała: – Och, chciałabym jak najszybciej... Żebyśmy mogli od razu tam płynąć...

– To nie potrwa długo, maleńka.

– Odwiedzisz mnie kiedyś?

– Gdy tylko będę mógł.

Światło zgasło; wokół nich zaległa ciemność.

Po wielu wschodach i zachodach, po spokojnych dniach i lodowatych wichrach zimowej podróży dotarli w końcu na Morze Wewnętrzne. Wśród wielkich statków przepłynęli zatłoczonymi kanałami aż do Cieśniny Ebavnor, do zatoki leżącej w samym sercu wyspy i przez nią do Wielkiego Portu Havnoru. Zobaczyli białe wieże i całe miasto białe, lśniące od śniegu. Białe płatki okrywały okapy nad mostami i czerwone dachy domów, w zimowym słońcu połyskiwały lodem olinowania setki statków w porcie. Wieści o ich przybyciu obiegły całe miasto, gdyż połatany czerwony żagiel „Bystrego Oka" znany był dobrze na tych wodach. Tłum zebrał się na ośnieżonym nabrzeżu, kolorowe proporce trzepotały nad głowami na czystym, zimnym wietrze.

Tenar siedziała wyprostowana w swym wystrzępionym czarnym płaszczu. Z powagą spoglądała na Pierścień Erreth-Akbego. Potem przeniosła wzrok na zatłoczony, wielobarwny brzeg, na pałace i wysokie wieże. Podniosła prawe ramię i słońce błysnęło w srebrze Pierścienia. Rozległy się radosne okrzyki, zimnym wiatrem niesione nad wodą. Ged podpłynął do brzegu. Rzucił cumę i setka rąk wyciągnęła się po nią. Zeskoczył na molo i odwrócił się.

– Chodź – powiedział z uśmiechem, a ona wstała i z powagą poszła białymi ulicami Portu Havnor, trzymając go za rękę, jak dziecko wracające do domu.

Ursula K. LeGuin

Najdalszy brzeg

Przełożyła
Paulina Braiter

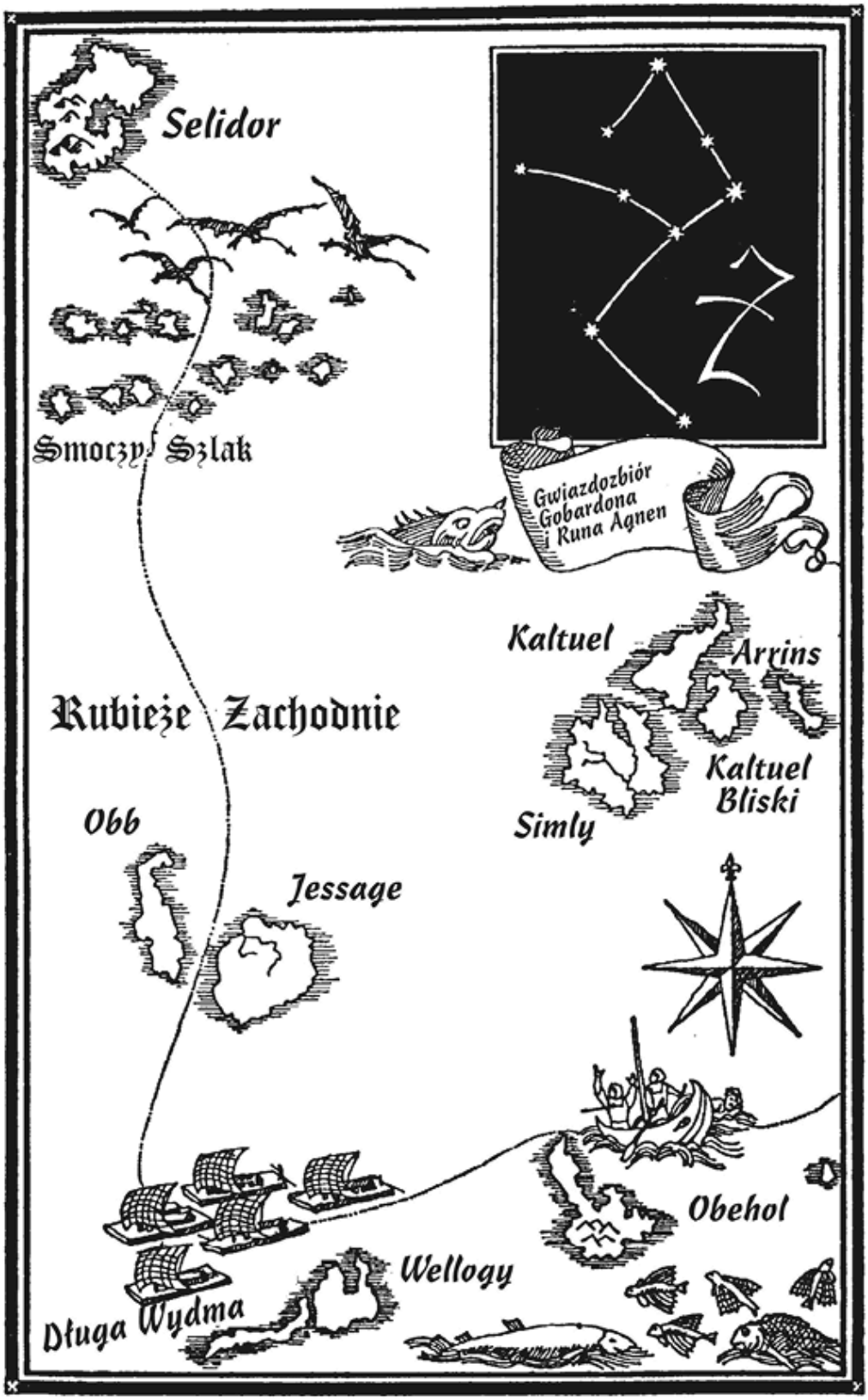
Selidor
Smoczy Szlak
Gwiazdozbiór
Gobardona
Runa Agnen
Kaltuel
Arrins
Kaltuel
Bliski
Simly
Rubieże Zachodnie
Obb
Jessage
Obehol
Wellogy
Długa Wydma

1

Jarzębina

Na Podwórcu Fontanny promienie marcowego słońca muskały młodziutkie listki jesionów i wiązów; krople wody opadały w dół, migocząc w jasnym świetle pośród roztańczonych cieni. Pozbawiony dachu dziedziniec otaczały cztery wysokie kamienne ściany, za którymi rozciągały się komnaty i podwórce, przejścia, korytarze, wieże i wreszcie grube zewnętrzne mury Wielkiego Domu Roke, zdolne oprzeć się atakowi ludzi, ziemi, a nawet samego morza, ponieważ wzniesiono je nie tylko z kamienia, ale też z potężnych czarów. Roke bowiem to Wyspa Mędrców, gdzie naucza się czarnoksięskich sztuk, Wielki Dom zaś jest szkołą i ośrodkiem magii; natomiast serce Domu mieści się na tym niewielkim dziedzińcu, skrytym głęboko za murami, gdzie szemrze fontanna, a drzewa stoją niewzruszone, nie zważając na słońce, gwiazdy czy deszcz.

Najbliżej fontanny rośnie wielka jarzębina; jej korzenie uniosły i rozsadziły marmurowe płyty. W szczelinach, sięgających aż do otaczającego wodotrysk wąskiego trawnika, zielenił się jasny mech. Na jednym z omszałych marmurowych garbów przysiadł chłopak zapatrzony w bijący w górę strumień wody. Choć osiągnął już niemal wiek męski, nadal był jeszcze dzieckiem – szczupłym, bogato odzianym. Jego twarz, nieruchoma, o delikatnie rzeźbionych rysach, przypominała maskę odlaną ze złocistego brązu.

Za plecami młodzieńca, jakieś sześć kroków dalej, w cieniu drzew po drugiej stronie niewielkiego spłachetka zieleni stał – czy może zdawał się stać – mężczyzna; trudno było stwierdzić to z całą pewnością w ciągłym migotaniu cieni i plam ciepłego światła. Niewątpliwie jednak był tam: mężczyzna w bieli, czujny i nieruchomy. Chłopak przyglądał się fontannie, mężczyzna – chłopcu. Wokół panowała cisza, przerywana jedynie dźwięcznym śpiewem spadającej wody i szmerem młodych liści.

Mężczyzna wyszedł z cienia. Wiatr zakołysał gałęziami jarzębiny, świeżo otwarte listki zaszumiały. Zaskoczony chłopiec błyskawicznie zerwał się i skłonił przed przybyszem.

– Panie mój, Arcymagu...

Mężczyzna stanął tuż przed nim – niska, zręczna, prosta jak struna postać w białym wełnianym płaszczu. Ponad fałdami odrzuconego na plecy kaptura widniała czerwonobrązowa twarz o orlim nosie; jeden policzek znaczyły stare blizny. Przenikliwe oczy lśniły groźnie, lecz głos zabrzmiał nadspodziewanie łagodnie.

– Miło jest posiedzieć na Podwórcu Fontanny – rzekł Arcymag, uprzedzając przeprosiny chłopca. – Przyjechałeś z daleka i nie miałeś okazji odpocząć. Usiądź.

Sam Arcymag ukląkł na białej krawędzi basenu i wyciągnął rękę ku pierścieniowi migotliwych kropel ściekających z wyższego okrągłego zbiornika, pozwalając, by woda przeciekała mu przez palce. Chłopiec przycupnął ponownie na wybrzuszonych płytach. Przez jakąś minutę obaj milczeli.

– Jesteś synem księcia Enladu i Enlad – odezwał się wreszcie mężczyzna w bieli – dziedzicem księstwa Morreda. W całym Ziemiomorzu nie znajdziesz starszego i szlachetniejszego rodu. Widziałem kiedyś kwitnące wiosną sady Enladu i złote dachy Berili... Jak cię zwą?

– Arren.

– To słowo z dialektu twoich stron rodzinnych. Co oznacza we Wspólnej Mowie?

– Miecz – odparł chłopiec.

Arcymag przytaknął. Ponownie zapadła cisza, aż wreszcie chłopiec rzekł śmiało, bez uniżoności w głosie:

– Sądziłem, że Arcymag zna wszystkie języki...

Mężczyzna potrząsnął głową, obserwując fontannę.

– ...I wszystkie imiona... – ciągnął Arren.

– Wszystkie? Jedynie Segoy, który wymówił Pierwsze Słowo i wydźwignął wyspy z morskich głębin, znał wszystkie imiona. Niewątpliwie gdybym potrzebował twego prawdziwego imienia, poznałbym je. – Bystre, groźne oczy spojrzały wprost na Arrena. – Nie ma jednak takiej konieczności. Będę nazywał cię Arrenem. Ja zaś jestem Krogulec. Jaką miałeś podróż?

– Zbyt długą.

– Wiatry nie dopisały?

– Dopisały, lecz przynoszę ze sobą złe wieści, panie mój, Krogulcze.

– Mów zatem – rzekł z powagą Arcymag jak ktoś, kto ustępuje zachciance dziecka; a kiedy Arren opowiadał swą historię, czarnoksiężnik przyglądał się kryształowej zasłonie kropel opadających z górnego zbiornika fontanny, zasłuchany nie tylko w słowa.

– Wiesz chyba, panie, że książę, mój ojciec, zna się nieco na sztuce magicznej. Pochodzi w końcu z rodu Morreda, w młodości zaś spędził tu, na Roke, cały rok. Dysponuje pewną mocą, a także wiedzą, choć rzadko jej używa, zajęty kierowaniem państwem, problemami miast i sprawami natury handlowej. Flotylle statków z naszej wyspy żeglują na zachód, docierając nawet do Zachodnich Rubieży w poszukiwaniu szafirów, wolich skór i cyny. Wczesną zimą pewien kapitan powrócił do Berili, przynosząc z sobą dziwną opowieść. Wkrótce dotarła ona do uszu mojego ojca, który posłał po tego człowieka i kazał powtórzyć sobie dokładnie całą historię.

Chłopak mówił szybko i pewnie. Pobierał nauki u wytrawnych dworskich mówców i obca mu była właściwa jego wiekowi nieśmiałość.

– Kapitan oznajmił, że na wyspie Narveduen, leżącej jakieś pięćset mil na zachód od nas, nie ma już magii. Zaklęciom brak mocy, stwierdził, a czarnoksięskie słowa poszły w zapomnienie. Ojciec spytał go, czy stało się tak dlatego, że wszyscy czarodzieje i czarownice opuścili wyspę, kapitan zaś odpowiedział: „Nie; są tam

wciąż ludzie, którzy niegdyś parali się magią, lecz nie rzucają już żadnych zaklęć, nawet uroków reperujących garnki czy znajdujących zgubioną igłę". „Czy ludzie z Narveduen nie popadli w rozpacz?" – zapytał ojciec. Kapitan odrzekł: „Nie, zupełnie o to nie dbają. Choć sami wciąż niedomagają, a jesienne plony były bardzo mizerne, zdają się tym nie przejmować". Powiedział – byłem przy tej rozmowie: – „Przypominali ludzi dotkniętych chorobą, jak ktoś, kto usłyszał, że pozostał mu jeszcze tylko rok życia, i powtarza sobie: To nieprawda, będę żył wiecznie. Krążą wokół swych domów, nie oglądając się na świat". Inni żeglarze potwierdzili jego słowa. Narveduen stała się biedną krainą, pozbawioną sztuki czarnoksięskiej. Jednakże wszystko to były tylko opowieści z Rubieży, gdzie zawsze dzieje się coś dziwnego, i jedynie mój ojciec przywiązywał do nich wagę. Lecz potem, w dzień Nowego Roku, podczas Święta Jagniąt obchodzonego w Enladzie, kiedy to żony pasterzy przybywają do miasta, przynosząc z sobą pierwsze młode owce, ojciec wyznaczył maga Korzenia, aby odmówił nad jagniętami zaklęcia wzrostu. Korzeń jednak wrócił do naszego dworu poruszony i odłożył laskę, mówiąc: „Panie mój, nie potrafię rzucić zaklęcia". Ojciec zaczął go wypytywać, ale mag rzekł jedynie: „Zapomniałem słów i wzorów". Mój ojciec poszedł zatem na rynek i sam wymówił zaklęcia, dopełniając święta. Ja jednak widziałem, jak wracał do pałacu tego wieczoru, mamrocząc pod nosem: „Wypowiedziałem słowa, ale nie wiem, czy miały jakieś znaczenie". I rzeczywiście tej wiosny nasze stada dotknęła seria nieszczęść. Jagnięta padają, wiele rodzi się martwych, a niektóre są... zdeformowane. – Arren się skrzywił; jego pełen zapału głos gwałtownie opadł przy ostatnim słowie. – Widziałem parę z nich – dodał.

Zapadła cisza.

– Ojciec wierzy, że w naszej części świata działa jakaś zła siła. Prosi mędrców o radę.

– Fakt, że przysłał z tym ciebie, dowodzi, jak wielki musi być jego niepokój – stwierdził Arcymag. – Jesteś jego jedynym synem, a podróż z Enladu na Roke trwa wiele dni. Czy masz mi jeszcze coś do powiedzenia?

– Tylko historie powtarzane przez stare kobiety ze wzgórz.

– Cóż więc mówią stare kobiety?

– Że znaki, odczytywane przez czarownice w dymie i kałużach, zapowiadają nadchodzące nieszczęścia, a napoje miłosne przestały działać. Ale tym ludziom brak prawdziwej mocy.

– Przepowiadanie przyszłości i uroki miłosne nie znaczą zbyt wiele, jednakże warto czasem wysłuchać opowieści starych kobiet. Cóż, mistrzowie Roke rozważą twoje słowa. Nie wiem jednak, Arrenie, jakiej rady mogliby udzielić twemu ojcu, Enlad bowiem nie jest pierwszą krainą, z jakiej przychodzą podobne wieści.

Podróż na północ, na Roke, szlakiem mijającym wielką wyspę Havnor i przecinającym Morze Wewnętrzne, stanowiła pierwszą większą wyprawę w życiu Arrena. Dopiero w ciągu ostatnich kilku tygodni ujrzał inne krainy poza swoją ojczyzną, pojął znaczenie dzielących je różnic i odległości i zrozumiał, że poza łagodnymi wzgórzami Enladu rozciąga się ogromny, pełen ludzi świat. Chłopak nie przywykł do obejmowania myślą szerszej perspektywy, toteż dopiero po chwili pojął znaczenie słów Arcymaga.

– Gdzie jeszcze? – spytał zalękniony, miał bowiem nadzieję, że przywiezie do domu lek na wszystkie kłopoty.

– Najpierw na Południowych Rubieżach. Ostatnio nawet na południe od Archipelagu. Ludzie mówią, że na wyspie Wathort nie ma już magii. Trudno stwierdzić to z całą pewnością. Wathort zawsze była ojczyzną niepokojów, od dawna obrali ją sobie za siedzibę piraci. Powiada się, że każdy kupiec z południa to kłamca. Niemniej historia brzmi zawsze tak samo: źródła magii wyschły.

– Ale tu, na Roke...

– Tu, na Roke, nie odczuliśmy nic podobnego. Nasze mury chronią przed sztormem, zmianą i złym losem. Może aż za dobrze spełniają swoje zadanie. Książę, co poczniesz teraz?

– Wrócę na Enlad, kiedy tylko będę mógł zanieść ojcu wieść o naturze niebezpieczeństwa i o tym, jak mu zapobiec.

Raz jeszcze Arcymag spojrzał na niego i tym razem, mimo całej swej dworskiej ogłady, Arren odwrócił wzrok. Sam nie wiedział czemu, albowiem w owych ciemnych oczach nie dostrzegł wrogości. Patrzyły na niego spokojne, obojętne, współczujące.

Cały Enlad darzył szacunkiem jego ojca, a z nim i dziedzica tytułu. Nikt dotąd nie spoglądał tak na niego – nie jako na Arrena, księcia Enladu, syna panującego księcia, lecz jego samego. Nie chciał przyznać nawet przed sobą, że obawia się wzroku Arcymaga, ale nie potrafił spojrzeć mu prosto w twarz. Wzrok ów zdawał się dodawać jeszcze ogromu światu, tak że nie tylko Enlad stał się nieważną wysepką, lecz i on, Arren, zmalał do rozmiarów maleńkiej postaci zagubionej pośród oblanych morzem lądów, okrytych płaszczem ciemności.

Chłopak siedział tak, skubiąc jaskrawozielony mech porastający szczeliny w marmurowych płytach dziedzińca. Nagle odezwał się, a jego głos, który dopiero w ciągu ostatnich paru lat nabrał głębszych tonów, zabrzmiał słabo i ochryple:

– Zrobię to, co rozkażesz.

– Winieneś posłuszeństwo ojcu, nie mnie – odparł Arcymag.

Nadal nie spuszczał oczu z Arrena i tym razem chłopak uniósł wzrok. Oddawszy się we władanie tego mężczyzny, zapomniał o sobie i po raz pierwszy naprawdę ujrzał Arcymaga: najpotężniejszego czarnoksiężnika Ziemiomorza, człowieka, który zamknął Czarną Studnię Fundaura, wydostał Pierścień Erreth-Akbego z Grobowców Atuanu i wzniósł potężną tamę w Nepp; żeglarza znającego morza od Astowell po Selidor, jedynego żyjącego Władcę Smoków. Widział go przed sobą, klęczącego przy fontannie – niskiego, niemłodego mężczyznę o cichym głosie i oczach głębokich niczym wieczorne niebo.

Zerwał się z ziemi i padł na kolana przed Arcymagiem.

– Panie mój – wyjąkał – pozwól, bym ci służył!

Jego pewność siebie zniknęła, policzki zarumieniły się, głos drżał.

U biodra miał przypasany miecz w nowej skórzanej pochwie barwionej złotem i purpurą; jednakże sama broń była prosta, pozbawiona ozdób. Arren dobył jej pospiesznie i ofiarował Arcymagowi wysłużoną posrebrzaną rękojeścią naprzód, niczym lennik swemu panu.

Czarnoksiężnik nie sięgnął po miecz. Powiódł jedynie wzrokiem od klingi do Arrena.

– To ostrze należy do ciebie, nie do mnie – rzekł. – A ty nie jesteś niczyim sługą.

– Ale ojciec powiedział, że mogę zostać na Roke, póki nie dowiem się, jaka moc nam zagraża, i nie poznam... nie mam żadnych umiejętności, nie sądzę też, abym dysponował mocą, choć wśród moich przodków było wielu magów. Jeśli jednak mógłbym nauczyć się, jak ci pomóc, panie...

– Zanim twoi przodkowie stali się magami – odparł Krogulec – byli już królami.

Wstał, podszedł szybko do Arrena i ujął jego dłoń, pomagając mu wstać.

– Dziękuję ci za tę ofertę i choć na razie nie przyjmuję jej, może uczynię to później, gdy naradzimy się już nad tą kwestią. Nie powinno się odrzucać podobnie szczodrego daru. Nie należy też lekką ręką odtrącać miecza syna Morreda! A teraz idź. Chłopak, który cię tu przyprowadził, dopilnuje, abyś coś zjadł, wykąpał się i odpoczął. No dalej! – Pchnął lekko Arrena między łopatki poufałym gestem, na jaki dotąd nikt obcy sobie nie pozwolił; w normalnych okolicznościach młody książę zareagowałby gwałtowną niechęcią, teraz jednak dotknięcie Arcymaga wzbudziło w nim dreszcz zachwytu. Arren bowiem pokochał tego człowieka.

Zawsze był żywym chłopcem, chętnie uczestniczącym w zabawach, dumnym ze swego zręcznego ciała i umysłu, godnie wypełniającym obowiązki następcy władcy, choć nie były proste ani łatwe.

Jednak nigdy dotąd nie oddał się czemuś ani komuś bez reszty. Wszystko przychodziło mu łatwo, bez trudu; było tylko zabawą, radosną rozrywką. Teraz otwarła się w nim nowa głębia – nie dokonały tego gry czy marzenia, ale honor, niebezpieczeństwo i mądrość, zryta bliznami twarz, cichy głos i ciemna dłoń dzierżąca cisową laskę ozdobioną obok uchwytu srebrnym znakiem osadzonym w czarnym drewnie – Zaginioną Runą Królów.

I tak Arren bez namysłu uczynił pierwszy krok poza granicę dzieciństwa – zapalczywie, nie oglądając się za siebie, nie skrywając niczego.

Zapominając o dworskich pożegnaniach, pospieszył w stronę drzwi – niezręczny, posłuszny, rozpromieniony. A Arcymag Ged odprowadził go wzrokiem.

***

Jakiś czas Ged stał bez ruchu pod jarzębiną. Wreszcie uniósł twarz ku rozsłonecznionemu niebu.

– Miły posłaniec przynoszący złe wieści – rzekł półgłosem, jakby zwracał się do fontanny, ona jednak nie zważała na jego słowa, szemrząc bezustannie w swym własnym srebrzystym języku. Przez chwilę trwał tak, zasłuchany, aż w końcu skierował się do innych drzwi, których Arren nie dostrzegł; niewielu tylko mogło je zobaczyć, choćby bardzo usilnie ich szukali.

– Mistrzu Odźwierny – powiedział.

Niespodziewanie pojawił się przed nim niski mężczyzna. Nie dałoby się określić jego wieku – nie był młody, można więc było nazwać go starym, tyle że to słowo jakoś doń nie pasowało. Jego pociągłe oblicze miało barwę kości; kiedy się uśmiechał, policzki przecinały dwie głębokie bruzdy.

– O co chodzi, Gedzie? – spytał.

Byli bowiem sami, on zaś należał do grona siedmiu osób, które znały prawdziwe imię Arcymaga. Pozostali to Mistrz Imion z Roke; Ogion Milczący, który dawno temu w górach wyspy Gont nadał Gedowi to imię; Biała Pani z Gontu, Tenar od Pierścienia; Veth, czarnoksiężnik z Iffish; Yarrow, żona stolarza, także pochodząca z Iffish, matka trzech córek, nieznająca się na czarach, lecz mądra na swój sposób; i wreszcie, po drugiej stronie Ziemiomorza, na najdalszym zachodzie, dwa smoki, Orm Embar i Kalessin.

– Powinniśmy spotkać się dziś wieczorem – odparł Arcymag. – Sam pójdę do Mistrza Wzorów. Poślę też słowo Kurremkarmerrukowi, aby odłożył na bok swe spisy, pozwolił uczniom odpocząć przez jeden wieczór i przybył do nas, choćby bezcielesny. Czy zechcesz zająć się pozostałymi?

– Owszem – rzekł Mistrz Odźwierny z uśmiechem i zniknął.

Arcymag także odszedł i tylko fontanna szeptała coś do siebie, pogodna i niestrudzona we wczesnowiosennym słońcu.

***

Gdzieś na zachód od Wielkiego Domu Roke, a czasem nieco na południe, można zazwyczaj dostrzec Wewnętrzny Gaj. Nie ma go na żadnej mapie i nie da się znaleźć prowadzącej do niego drogi, chyba że ktoś sam zdoła ją poznać. Lecz nawet nowicjusze, mieszczanie i rolnicy widują go nieraz, zawsze z pewnej odległości – zagajnik wysokich drzew, których zielone liście nawet wiosną mają lekko złotawy odcień. Ci nowicjusze, mieszczanie, kmiecie uważają, że Gaj przemieszcza się w tajemniczy sposób. Mylą się jednak, Gaj tkwi bez ruchu. Jego korzenie to korzenie świata. Porusza się wszystko inne.

Ged szedł przez pola, oddalając się od Wielkiego Domu. Zdjął swój biały płaszcz, gdyż południowe słońce zaczęło mocno przygrzewać. Rolnik orzący brązowe zbocze wzgórza pozdrowił go uniesieniem dłoni i Ged odpowiedział mu tym samym gestem. Małe ptaszki śmigały w powietrzu, rozśpiewane. Porastający pobocza dróg i ugory iskiernik zaczynał właśnie kwitnąć. Hen, w górze, sokół zatoczył na niebie szeroki krąg. Ged zerknął na niego i ponownie uniósł rękę. Ptak śmignął w dół i przy wtórze szumu poruszanych w pędzie piór wylądował na nadstawionym nadgarstku, obejmując przegub Geda żółtymi szponami. Nie był to zwykły krogulec, ale wielki sokół pielgrzym z Roke, brązowo-biały pręgowany rybołów. Przyglądał się uważnie Arcymagowi jednym okrągłym złotym okiem; nagle zamknął zakrzywiony dziób i przekręcił głowę, aby móc uważniej obejrzeć człowieka.

– Nieulękły – powiedział do niego Arcymag w Mowie Tworzenia.

Ptak załopotał skrzydłami i mocniej zacisnął szpony.

– Leć już, nieulękły bracie mój.

Pracujący na wzgórzu w jasnych promieniach słońca kmieć przystanął, obserwując odległą sylwetkę. Już kiedyś zeszłej jesieni widział, jak Arcymag wezwał do siebie dzikiego ptaka; po chwili zniknął, a dwa sokoły poszybowały w górę, unoszone wiatrem.

Tym razem jednak rozstali się, nie zmieniając postaci; ptak uleciał w niebo, człowiek ruszył naprzód przez błotniste pola.

W końcu dotarł do dróżki prowadzącej do Wewnętrznego Gaju. Ścieżka ta zawsze wiodła prosto, choć świat i czas wokół niej ani na moment nie ustawały w biegu. Wkrótce Ged znalazł się w cieniu drzew.

Pnie niektórych z nich były niezwykle szerokie; na ich widok można było uwierzyć, że Gaj nigdy się nie porusza. Tkwiły tam niczym starożytne wieże, poszarzałe od upływu lat; ich korzenie przypominały korzenie gór. A przecież wśród owych najstarszych drzew można było dostrzec przerzedzone, na wpół obumarłe korony, nagie suche gałęzie. Drzewa nie były nieśmiertelne. Między starcami panoszyły się młode, wysokie i pełne wigoru, zwieńczone gęstwą zielonych liści, i małe roczne drzewka, cienkie jak patyki, nie wyższe niż młode dziewczyny.

Ziemia wokół pni była miękka i żyzna dzięki warstwom gnijących liści. Rosły na niej paprocie i drobne leśne krzewinki, ale nigdy nie pojawił się żaden gatunek drzew oprócz tego jednego, który nie ma nazwy w hardyckiej mowie Ziemiomorza. W powietrzu unosiła się świeża woń ziemi, pozostawiająca w ustach miły posmak, niczym orzeźwiająca źródlana woda.

Na polanie, powstałej wiele lat wcześniej dzięki upadkowi gigantycznego drzewa, Ged spotkał Mistrza Wzorów, który mieszkał w głębi Gaju i niemal nigdy go nie opuszczał. Jego włosy miały kolor żółty niczym masło; nie pochodził z Archipelagu. Od czasu odzyskania Pierścienia Erreth-Akbego barbarzyńcy z Kargadu zaprzestali swych łupieżczych wypraw, zawierając liczne umowy handlowe z Wyspami Wewnętrznymi. Nie byli jednak przyjaźnie nastawieni i trzymali się z daleka. Lecz czasem młody wojownik bądź kupiecki syn samotnie wyruszał na zachód, złakniony przygód albo spragniony czarnoksięskiej wiedzy. Tak też było i z Mistrzem Wzorów – dziesięć lat wcześniej młody dzikus z Karego-At, z mieczem u pasa

i hełmem ozdobionym czerwonym pióropuszem, przybył deszczowego ranka na Roke i stanął przed Mistrzem Odźwiernym, oznajmiając władczym, chropawym hardyckim:

– Przybywam, aby się uczyć!

Teraz zaś stał pod drzewami, skąpany w złocistozielonym blasku, wysoki, piękny mężczyzna o jasnych włosach i dziwnych zielonych oczach, Mistrz Wzorów Ziemiomorza.

Możliwe, że on także znał imię Geda, ale jeśli nawet – nigdy nie wypowiedział go głośno. Przywitali się w milczeniu.

– Na co tak patrzysz? – spytał Arcymag, a jego towarzysz odparł:

– Na pająka.

Pomiędzy dwoma wysokimi źdźbłami trawy na polanie pająk pracowicie utkał swoją sieć, delikatne, wiszące w powietrzu połączone koła. Srebrzysta nić połyskiwała w słońcu. Sam tkacz czekał cierpliwie pośrodku – szaro-czarna istota, nie większa niż źrenica oka.

– On także jest mistrzem wzorów – zauważył Ged, przyglądając się misternej sieci.

– Czym jest zło? – spytał młody mistrz.

Srebrzysty krąg z czarnym punkcikiem pośrodku zdawał się obserwować ich obu.

– Pajęczyną, którą tkamy my, ludzie – odparł Ged.

W tym lesie nie śpiewał żaden ptak. Wokół panowała cisza i południowy skwar. Otaczały ich drzewa i cienie.

– Przyszły wieści z Narveduen i Enladu; to samo.

– Południe, południowy zachód. Północ, północny zachód. – Mistrz Wzorów ani na moment nie odrywał wzroku od okrągłej pajęczej sieci.

– Przyjdziemy tu dziś wieczór. To najlepsze miejsce na naradę.

– Nie mam dla nas żadnej rady. – Mistrz Wzorów uniósł wzrok. Jego zielone oczy były zimne. – Boję się – rzekł. – Wyczuwam strach. Czuję strach u korzeni.

– Owszem – przytaknął Ged – sądzę, że musimy wejrzeć w najgłębsze źródła. Zbyt długo cieszyliśmy się słońcem i pokojem, który przyniosła naprawa Pierścienia Erreth-Akbego. Zajmowaliśmy się błahostkami, łowiąc ryby na płyciznach. Dziś wieczór musimy

sięgnąć do głębin. – Po tych słowach zostawił Mistrza Wzorów samego; jasnowłosy mag nadal obserwował pająka pośród rozsłonecznionej trawy.

Na skraju lasu, tam gdzie gałęzie potężnych drzew rzucają cień na ziemię, Ged usiadł, wsparty plecami o ogromny korzeń. Laskę złożył na kolanach. Przymknął oczy, jakby spał, i posłał swego ducha ponad wzgórzami i polami Roke na północ, ku nękanemu burzami cyplowi, na którym stoi Wieża Osobna.

– Kurremkarmerruku – powiedział duch Geda.

Mistrz Imion podniósł wzrok znad grubej księgi zawierającej spisy nazw korzeni, ziół, liści, nasion i płatków, którą czytał swoim uczniom, i rzekł:

– Jestem, panie.

Następnie zaczął słuchać – rosły, chudy mężczyzna o siwych włosach skrytych pod kapturem płaszcza. Siedzący przy pulpitach uczniowie spoglądali po sobie w milczeniu.

– Będę tam – oznajmił Kurremkarmerruk i ponownie pochylił się nad księgą. – A zatem płatek kwiatu dzikiego czosnku ma własną nazwę, która brzmi *iebera*. Podobnie jest z działką kielicha, *partonath*, łodygą, liśćmi i korzeniami – wszystko ma własne nazwy...

Tymczasem Arcymag Ged, który znał wszystkie nazwy dzikiego czosnku, przywołał z powrotem swego posłańca i wyciągnąwszy wygodnie nogi, zamknął oczy i zapadł w drzemkę wśród złocistozielonych roztańczonych plam.

2

Mistrzowie Roke

Szkoła na Roke to miejsce, do którego wszystkie Krainy Wewnętrzne Ziemiomorza przysyłają chłopców wykazujących zaczątki czarnoksięskiego talentu, aby poznali najwyższą sztukę magiczną. Tu właśnie wprawiają się w różnych rodzajach czarów, uczą imion i run, doskonalą zdolności i zaklęcia, dowiadują się też, co powinni robić, a czego nie i dlaczego. Tu wreszcie, po długiej nauce, jeśli ich dłoń, umysł i duch sprostają wyzwaniu, kandydaci mogą zyskać miano czarnoksiężników i otrzymać laskę stanowiącą symbol ich władzy. Prawdziwych czarnoksiężników kształci się tylko na Roke.

Ponieważ na wszystkich wyspach można znaleźć czarowników i czarownice, ich mieszkańcom zaś magia potrzebna jest jak chleb, a jej użycie przynosi radość niczym muzyka, Szkołę Czarnoksiężników otacza powszechny szacunek. Dziewięciu Mistrzów traktowanych jest na równi z wielkimi książętami Archipelagu. Ich przełożony, Strażnik Roke, Arcymag, nie odpowiada przed nikim poza Królem Wszystkich Wysp, a i to jedynie z własnej nieprzymuszonej woli, nawet król bowiem nie mógłby go zmusić, by służył wspólnemu prawu, jeśli wielki mag zapragnąłby postąpić inaczej. Niemniej nawet przez trwające stulecia bezkrólewie arcymagowie z Roke dochowywali wiary tradycji, przestrzegając nakazów prawa. Na Roke wszystko odbywało się tak jak przed wiekami; wyspa stała się miejscem bezpiecznym od wszelkich kłopotów; śmiech chłopców

rozbrzmiewał echem w szerokich zimnych korytarzach Wielkiego Domu.

Przewodnikiem Arrena po szkole został przysadzisty chłopak w płaszczu spiętym pod szyją srebrną klamrą oznaczającą, że jej właściciel pomyślnie przeszedł nowicjat i zasłużył na miano czarodzieja, studiującego dalej, by otrzymać laskę. Na imię miał Hazard, „ponieważ – jak wyjaśnił – moi rodzice mieli sześć córek i, jak stwierdził ojciec, siódme dziecko to czysty hazard, igraszka z losem". Hazard okazał się miłym kompanem o ciętym języku. W innych okolicznościach Arren radowałby się dowcipami swego towarzysza, jednakże dziś jego umysł zaprzątały ważniejsze sprawy. W istocie nie zwracał najmniejszej uwagi na swego przewodnika, Hazard zaś, pragnąc – co naturalne – aby go dostrzeżono, zaczął wykorzystywać roztargnienie gościa. Opowiadał mu osobliwe prawdy o szkole, później równie osobliwe kłamstwa, na co Arren odpowiadał niezmiennie: „Ach tak" albo „Rozumiem", póki Hazard nie uznał go za wysoko urodzonego idiotę.

– Oczywiście tak naprawdę nikt tu nie gotuje – opowiadał, pokazując Arrenowi ogromne kamienne kuchnie pełne błysków rzucanych przez miedziane rondle, szczęku noży i szczypiącej w oczy woni cebuli. – To tylko na pokaz. Kiedy zbieramy się w refektarzu, każdy wyczarowuje to, na co ma ochotę. Dzięki temu nie trzeba zmywać.

– Rozumiem – odparł uprzejmie Arren.

– Rzecz jasna nowicjusze, którzy nie poznali jeszcze odpowiednich zaklęć, często sporo tracą na wadze przez pierwsze miesiące; w końcu jednak i oni się uczą. Mamy tu pewnego chłopaka z Havnoru, który próbuje wyczarować pieczone kurczę, ale zawsze wychodzi mu mamałyga. Wczoraj zdołał przywołać do niej suszonego łupacza. – Hazard ochrypł już niemal, usiłując wzbudzić w końcu niedowierzanie gościa. Wreszcie zrezygnował i umilkł.

– Skąd... z jakiej wyspy pochodzi Arcymag? – spytał nagle przybysz, nie zwracając uwagi na potężną galerię, którą właśnie mijali. Na jej ścianie i wysklepionym suficie wyrzeźbiono Tysiąclistne Drzewo.

– Z Gontu – odparł Hazard. – Był tam wioskowym pasterzem kóz.

Dopiero ten prosty, powszechnie znany fakt sprawił, że chłopak z Enladu odwrócił się i spojrzał na Hazarda z niedowierzaniem.

– Pasał kozy?

– Tym właśnie trudni się większość Gontyjczyków, o ile nie zajmują się piractwem bądź czarami. Nie powiedziałem przecież, że nadal nim jest!

– Ale jak zwykły pastuch mógł zostać Arcymagiem?

– Tak samo jak książę! Przybywając na Roke i zadziwiając wszystkich mistrzów, kradnąc pierścień z Atuanu, żeglując Smoczym Szlakiem, zyskując miano najpotężniejszego czarnoksiężnika od czasów Erreth-Akbego – jakżeby inaczej?

Wyszli z galerii północnymi drzwiami. Ciepłe i jasne promienie późnopopołudniowego słońca padały na zryte bruzdami wzgórza, łupkowe dachy miasta Thwil i rozciągającą się za nimi zatokę. Po chwili chłopcy przystanęli, nie przerywając rozmowy.

– Wszystko to działo się dawno temu – wyjaśnił Hazard. – Odkąd został Arcymagiem, niewiele zdziałał. Oni nigdy nic nie robią. Po prostu siedzą na Roke, strzegąc Wielkiej Równowagi. Poza tym jest już dość stary.

– Stary? Ile ma lat?

– Och, czterdzieści czy pięćdziesiąt.

– Widziałeś go?

– Oczywiście, że go widziałem – odparł ostro Hazard. Wysoko urodzony dureń okazał się także wyjątkowym snobem.

– Często go spotykasz?

– Nie. Arcymag unika towarzystwa, ale kiedy przybyłem na Roke, widziałem się z nim na Podwórcu Fontanny.

– Ja także dziś tam z nim mówiłem – rzekł Arren.

Ton jego głosu sprawił, że Hazard spojrzał uważniej na przybysza.

– Przyjechałem tu trzy lata temu – zaczął opowiadać. – Tak bardzo się bałem, że w ogóle na niego nie patrzyłem. Byłem wtedy jeszcze młody, ale w tamtym miejscu trudno dostrzec cokolwiek wyraźnie. Pamiętam tylko jego głos i szmer wody. – Po chwili dodał: – Rzeczywiście ma gontyjski akcent.

– Gdybym potrafił rozmawiać ze smokami w ich własnej mowie – stwierdził Arren – nie przejmowałbym się moim akcentem.

Hazard skinął głową z aprobatą i spytał:

– Czy przybyłeś tu, aby wstąpić do szkoły, książę?

– Nie. Przywiozłem Arcymagowi wiadomość od mego ojca.

– Enlad to jedno z Księstw Królewskich, prawda?

– Enlad, Ilien i Way. Kiedyś do tego grona zaliczały się także Havnor i Ea, jednakże w owych krainach wygasła już linia królów. Władcy Ilien wywodzą się od Gemala w Morzu Zrodzonego, poprzez Mahariona, który był Królem Wszystkich Wysp. Władcy Way – od Akambara i rodu Shelietha. Enlad, najstarszy z nich, rządzony jest przez potomków Morreda i jego syna Serriadha. – Arren recytował te genealogie dziwnie rozmarzonym głosem niczym uczony, którego myśli krążą wokół zupełnie innych spraw.

– Czy sądzisz, że za naszego życia ujrzymy króla na tronie w Havnorze?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

– W Arku, skąd pochodzę, ludzie często o tym mówią. Odkąd nastał pokój, należymy do księstwa Ilien. Ile to już lat minęło? Siedemnaście, osiemnaście, od czasu gdy pierścień Runy Królewskiej powrócił na szczyt Wieży Królów w Havnorze. Przez jakiś czas wszystko zdawało się iść ku lepszemu, teraz jednak jest gorzej niż kiedykolwiek. Pora już, by na tronie Ziemiomiorza znów zasiadł król dzierżący w dłoni Znak Pokoju. Ludzie są zmęczeni wojnami, najazdami, kupcami zawyżającymi ceny i książętami wyciskającymi z nich podatki, całym tym nieładem i zamieszaniem. Roke przewodzi światu, ale nie może nim rządzić. To miejsce Wielkiej Równowagi, władza natomiast powinna spoczywać w rękach króla.

Hazard mówił szczerze, pozbywszy się dziecinnej pozy, i Arren w końcu zainteresował się jego opinią.

– Enlad to kraina bogata i spokojna – odparł wolno. – Nigdy nie uczestniczył w rywalizacji innych. Słyszymy tylko o niepokojach w sąsiednich krainach. Lecz na tronie w Havnorze nie zasiadł żaden król od dnia śmierci Mahariona, a było to osiemset lat temu. Czy Ziemiomorze uznałoby jego następcę?

– Gdyby przybył w pokoju, potężny; jeśli Roke i Havnor pochylą przed nim głowy.

– Jest też proroctwo, które musi wypełnić. Pamiętasz? Maharion przepowiedział, że następny król będzie także magiem.

– Mistrz Pieśni pochodzi z Havnoru i ciekawią go te sprawy. Od trzech lat wbija nam do głów słowa przepowiedni. Maharion rzekł: „Ten, który zasiądzie po mnie na mym tronie, przemierzy wcześniej żyw Mroczną Krainę i dotrze do odległych brzegów dnia".

– Czyli musi być magiem.

– Owszem, jedynie czarnoksiężnik lub mag może wkroczyć do mrocznej krainy zmarłych i powrócić. Choć żaden z nich jej nie przemierza. Zawsze gdy opowiadają o tej krainie, twierdzą, że ma ona tylko jedną granicę, za którą rozciąga się bez końca suche pustkowie. Co zatem oznaczają „odległe brzegi dnia"? Tak jednak brzmi przepowiednia Ostatniego Króla, więc kiedyś urodzi się ktoś, kto ją wypełni. A Roke uzna go, floty zaś, armie i narody złożą mu hołd. W centrum świata, na Wieży Królów, znów zasiądzie władca. Z radością poszedłbym do kogoś takiego; całym sercem i duszą służyłbym prawdziwemu królowi, oddając mu moją sztukę – stwierdził Hazard, po czym roześmiał się, wzruszając ramionami, by Arren nie uznał, że poniosły go emocje. Jednakże Enladczyk spojrzał przyjaźnie na swego towarzysza, myśląc: Czuje do króla to, co ja do Arcymaga.

– Król potrzebowałby takich jak ty – rzekł.

Przez chwilę stali bez ruchu, każdy zatopiony we własnych myślach, a jednak dziwnie sobie bliscy, aż wreszcie gdzieś w Wielkim Domu, za ich plecami, zadźwięczał donośny gong.

– No proszę. – Hazard otrząsnął się z zamyślenia. – Dziś mamy zupę groszkowo-cebulową.

– Mówiłeś chyba, że tu się nie gotuje? – zauważył z roztargnieniem Arren, podążając za nim.

– Och, czasami, przez pomyłkę...

Kolacja nie miała nic wspólnego z magią, była za to bardzo treściwa. Po posiłku wyszli na pola pogrążone w błękitnym półcieniu zmierzchu.

– Oto Pagórek Roke – powiedział Hazard, gdy zaczęli wspinać się na okrągłe wzgórze. Mokra od rosy trawa ocierała się im o nogi. W dole, na mokradłach Thwilburn, żaby wznosiły chóralną pieśń

na powitanie pierwszych ciepłych dni i coraz krótszych gwiaździstych nocy.

W ziemi pod ich stopami kryła się jakaś tajemnica. Hazard powiedział cicho:

– To wzgórze pierwsze wyłoniło się znad wód, kiedy wypowiedziano Pierwsze Słowo.

– A kiedy dojdzie do kresu stworzenia, ono ostatnie zatonie – dodał Arren.

– Więc jest tu niewątpliwie bezpiecznie – stwierdził Hazard wesoło. Po chwili wykrzyknął z przejęciem: – Spójrz! Popatrz na Gaj!

Na południe od Pagórka Roke rozbłysła jasna zorza. Przypominała wschód księżyca, tyle że prawdziwy cienki sierp niknął już za szczytem na zachodzie. Owa niezwykła łuna migotała lekko, niczym poruszane wiatrem liście.

– Co to za światło?

– Bije od strony Gaju. Muszą tam być mistrzowie. Podobno zagajnik płonął jasnym, niemal księżycowym blaskiem przez całą noc, kiedy zebrali się pięć lat temu, aby wybrać nowego Arcymaga. Czemu jednak spotykają się teraz? Czy chodzi o wieści, które przywiozłeś?

– Możliwe – rzekł Arren.

Hazard, podniecony i niespokojny, chciał jak najszybciej wrócić do Wielkiego Domu, aby wysłuchać plotek o tym, co wróży narada mistrzów. Arren poszedł za nim, często jednak oglądał się za siebie na ową dziwną zorzę, póki nie skryły jej zbocza Pagórka Roke i na niebie nie pozostał jedynie zachodzący księżyc w otoczeniu wiosennych gwiazd.

Samotny w mroku kamiennej celi, którą przydzielono mu jako sypialnię, leżał bez ruchu z otwartymi oczami. Przez całe życie sypiał na łóżku, pod miękkimi ciepłymi futrami; nawet na dwudziestowiosłowej galerze, którą przybył z Enladu na Roke, zapewniono księciu więcej wygód, niż miał teraz – tu dano mu tylko siennik ze słomy leżący na kamiennej posadzce i sprany filcowy koc. Jednakże Arren nie zważał na to. Oto znalazłem się w centrum świata, pomyślał. Mistrzowie rozmawiają w świętym miejscu. Co uczynią? Czy magią spróbują uratować magię? Czy to możliwe, że

sztuka czarnoksięska ginie? I niebezpieczeństwo to zagraża nawet Roke? Zostanę tu. Nie wrócę do domu. Wolę zamiatać jego komnaty, niż być księciem Enladu. Czy przyjmie mnie na nowicjusza? Ale może nikt już nie będzie uczył magicznej sztuki, prawdziwych imion wszystkiego. Mój ojciec ma dar, ja nie mam; może istotnie coś umiera w świecie. A jednak zostałbym obok niego, nawet gdyby utracił swą moc i kunszt, gdybym nigdy wcześniej się z nim nie widział. Mógłby nawet nie odezwać się już do mnie.

Żarliwa wyobraźnia sprawiła, że po chwili ujrzał samego siebie naprzeciwko Arcymaga. Raz jeszcze znajdowali się na dziedzińcu pod jarzębiną, lecz niebo było ciemne, drzewo pozbawione liści, fontanna milczała. Arren rzekł: „Panie, nadeszła burza, ja jednak zostanę przy tobie i będę ci służył", a Arcymag się uśmiechnął... Tutaj wyobraźnia zawiodła, Arren bowiem ani razu nie widział uśmiechu na tej ciemnej twarzy.

Rankiem wstał, czując, że poprzedniego dnia był jeszcze dzieckiem, dziś natomiast stał się mężczyzną. Gotów na wszystko, dał się jednak zaskoczyć przyniesionej wiadomości.

– Arcymag pragnie z tobą pomówić, książę Arrenie – oznajmił niski nowicjusz, stając w drzwiach. Odbiegł, zanim Arren zdołał pozbierać myśli i cokolwiek odpowiedzieć.

Książę ruszył w dół po schodach wieży, potem długimi korytarzami. Nie wiedząc, gdzie powinien pójść, skierował się wprost na Podwórzec Fontanny. W jednym z korytarzy spotkał starego mężczyznę, który uśmiechał się tak szeroko, że na jego policzkach wystąpiły głębokie bruzdy sięgające od nosa po podbródek. Był to ten sam człowiek, który wczoraj przyjął go przy drzwiach Wielkiego Domu, kiedy Arren zszedł z nabrzeża. Starzec zażądał wówczas, aby zanim wejdzie do środka, podał mu swoje prawdziwe imię.

– Chodź tędy – polecił teraz Mistrz Odźwierny.

W salach i korytarzach tej części budynku panowała cisza, niezakłócana szybkimi krokami i krzykami chłopców, które ożywiały resztę szkoły. Tu czuło się prawdziwy wiek murów; niemal namacalne zaklęcia i uroki wzmacniały i chroniły te pradawne ściany. W jednakowych odstępach wyryto na nich kamienne runy; niektóre inkrustowano srebrem. Arren nauczył się od ojca run hardyckich,

tych jednak nie rozpoznawał, choć niektóre wydały mu się dziwnie znajome. Miał wrażenie, że wiedział kiedyś, co oznaczają, ale nie mógł sobie przypomnieć.

– Proszę, chłopcze – rzekł Mistrz Odźwierny. Nie obchodziły go tytuły, takie jak „pan” czy „książę”.

Arren wszedł za nim do długiej niskiej sali. Na kamiennym kominku wesoło trzaskał ogień, jego płomienie odbijały się w błyszczącej dębowej posadzce. Po przeciwnej stronie łukowato sklepione okna wpuszczały do środka zimne miękkie światło mglistego dnia. Przed kominkiem stała grupa ludzi. Kiedy Arren wszedł, wszyscy spojrzeli na niego, jednak on dostrzegł tylko Arcymaga. Zatrzymał się, ukłonił i znieruchomiał, oniemiały z wrażenia.

– To są mistrzowie Roke, Arrenie – oznajmił Arcymag – siedmiu z dziewięciu. Mistrz Wzorów nie opuszcza Gaju, Mistrz Imion zaś przebywa nadal w swojej północnej wieży, trzydzieści mil stąd. Wszyscy wiemy, z czym tu przybyłeś. Panowie, to jest syn Morreda.

Słowa te nie wzbudziły w Arrenie dumy, lecz dziwną grozę. Zawsze szczycił się swoim pochodzeniem, jednakże myślał o sobie jedynie jak o następcy księcia, potomku rodu władców Enladu. Morred, od którego wywodził się ów ród, nie żył od dwóch tysięcy lat. Jego czyny przeszły do legendy, nie dotyczyły współczesnego świata. Zupełnie jakby Arcymag nazwał go synem postaci z mitu, dziedzicem marzeń i snów.

Nie śmiał unieść wzroku ku twarzom ośmiu czernoksiężników. Wpatrywał się w okuty stalą koniec laski Arcymaga. W uszach tętniła mu krew.

– Chodźcie, zjedzmy razem śniadanie – rzekł Arcymag i poprowadził wszystkich do suto zastawionego stołu. Czekały na nim mleko i kwaśne piwo, chleb, świeże masło i ser. Arren usiadł razem z nimi i zabrał się do jedzenia.

Całe swe życie spędził na dworze ojca w Berili, w otoczeniu szlachty, bogaczy i kupców; ludzi o wielkich majątkach, handlujących z całym światem, bogatych w dobra doczesne. Jadali mięso, pili wino i przemawiali donośnym głosem; wielu toczyło zaciekłe spory, inni obsypywali się pochlebstwami, większość pragnęła zyskać coś dla

siebie. Mimo swego młodego wieku Arren wiedział sporo o zachowaniu ludzi i maskach, jakie przywdziewają. Nigdy jednak nie spotkał kogoś takiego jak mistrzowie Roke. Jedli chleb, nie mówiąc zbyt wiele, ich twarze były pogodne i spokojne. Jeśli nawet czegoś pragnęli, to z pewnością nie dla siebie. A przecież ludzie ci dysponowali ogromną mocą; Arren poznał to natychmiast.

Arcymag Krogulec siedział u szczytu stołu. Zdawał się słuchać każdego słowa, sam zachowywał milczenie i nikt nie zwracał się wprost do niego. Arrena także pozostawiono w spokoju, dając mu czas, aby pozbierał myśli. Po jego lewej ręce siedział Mistrz Odźwierny, po prawej – siwowłosy mężczyzna o łagodnym obliczu, który po jakimś czasie odezwał się cicho:

– Jesteśmy rodakami, książę Arrenie. Urodziłem się we wschodnim Enladzie, w pobliżu lasu Aol.

– Często polowałem w tym lesie – odparł Arren.

Przez jakiś czas rozmawiali o puszczach i miastach Wyspy Legend, póki Arren z powrotem nie nabrał otuchy.

Kiedy posiłek dobiegł końca, raz jeszcze zebrali się przed kominkiem. Niektórzy usiedli, inni stali w swobodnych pozach. Przez jakiś czas w sali panowała cisza.

– Wczoraj wieczorem – zaczął wreszcie Arcymag – spotkaliśmy się, by omówić pewne sprawy. Długo rozmawialiśmy, lecz nie doszliśmy do niczego. Chciałbym teraz, w blasku poranka, usłyszeć, czy podtrzymujecie swe wczorajsze opinie.

– Fakt, że nie doszliśmy do niczego – rzekł Mistrz Ziół, przysadzisty ciemnoskóry mężczyzna o spokojnych oczach – sam w sobie stanowi pewien osąd. W Gaju znajdują się wszelkie wzorce, my jednak nie znaleźliśmy niczego poza niezgodą.

– Tylko dlatego, że nie dostrzegamy prawdziwego wzorca – odparł siwowłosy mag z Enladu, Mistrz Przemian. – Zbyt mało wiemy. Plotki z Wathort, nowiny z Enladu... Dziwne to wieści i powinniśmy je sprawdzić. Nie należy jednak wznosić wielkiego gmachu obaw na tak nikłych podstawach. To, że kilku czarowników zapomniało swoich zaklęć, nie zagraża jeszcze naszej mocy.

– Zgadzam się – wtrącił szczupły, bystrooki Mistrz Wiatrów. – Czyż nie mamy wciąż pełni naszych mocy? Czyż drzewa w Wewnętrznym

Gaju nie rosną i nie wypuszczają liści? Czy burze przestały słuchać naszych rozkazów? Kto mógłby lękać się o los magii, najstarszej ze sztuk znanych ludzkości?

– Nikt – stwierdził głębokim głosem Mistrz Przywołań, wysoki młody mężczyzna o ciemnej szlachetnej twarzy. – Żaden człek ani siła nie zdoła ujarzmić sztuki czarnoksięstwa, nie zdoła uciszyć słów mocy. Są to bowiem słowa w Mowie Tworzenia i ten, kto mógłby sprawić, by umilkły, potrafiłby zniszczyć świat.

– Owszem, a jeśli znalazłby się ktoś taki, nie kryłby się na Wathort ani Narveduen – wtrącił Mistrz Przemian. – Stałby teraz u bram Roke, zwiastując nadejście końca świata. Do tego jednak jeszcze daleko.

– Ale coś jest nie tak – stwierdził kolejny mistrz i wszyscy spojrzeli na niego. Człek o szerokiej piersi, krzepki niczym dębowa beczułka, siedział przy oknie, a jego miękki głos rozbrzmiewał niczym potężny dzwon. Był to Mistrz Pieśni. – Gdzie jest król, który powinien zasiadać w Havnorze? Roke nie leży w sercu świata; tym centrum jest wieża, na której osadzono miecz Erreth-Akbego i w której wnętrzu stoi tron Serriadha, Akambara, Mahariona. Przez osiemset lat serce świata pozostawało puste. Mamy koronę, brak jednak króla, który mógłby ją przywdziać. Odzyskaliśmy Zaginioną Runę, Runę Królewską, Runę Pokoju, czyż jednak ucichły wojny? Niechaj na tronie zasiądzie król, a zapanuje spokój i nawet na najdalszych Rubieżach czarownicy będą mogli bez przeszkód uprawiać swą sztukę. Wówczas dopiero nastanie radość i nadejdzie właściwa pora dla wszystkich rzeczy.

– Owszem – dodał Mistrz Sztuk, drobny zręczny mężczyzna, skromny, lecz bystry i spostrzegawczy. – Zgadzam się z Mistrzem Pieśni. Cóż w tym dziwnego, że czary zawodzą, skoro zawodzi wszystko inne? Jeśli całe stado zbacza z drogi, czy nasza czarna owca pozostanie na szlaku?

Po tych słowach Mistrz Odźwierny roześmiał się, nic jednak nie powiedział.

– Zatem według was wszystkich nic wielkiego się nie dzieje – rzekł Arcymag – a jeśli nawet, wszystko sprowadza się do tego, że nasze ziemie są niestrzeżone, czy też źle strzeżone, toteż sztuki i dawne

ludzkie rzemiosła cierpią zaniedbane. Zgadzam się z tym. Południe zamknęło się dla pokojowego handlu – dlatego musimy polegać na pogłoskach; kto zaś usłyszał choć słowo z Zachodnich Rubieży poza Narveduen? Gdyby statki bezpiecznie żeglowały tam i z powrotem, jak za dawnych czasów, gdyby wyspy Ziemiomorza połączyły się jak kiedyś, wiedzielibyśmy, jak się rzeczy mają w najodleglejszych ziemiach i moglibyśmy działać. A sądzę, że działać powinniśmy, ponieważ, moi panowie, kiedy książę Enladu twierdzi, że wygłaszając zaklęcie i wymawiając słowa w Mowie Tworzenia, nie wiedział, czy mają jeszcze jakikolwiek sens; kiedy Mistrz Wzorów ostrzega, że czuje strach u korzeni, i nie mówi nic więcej... czy to nikła podstawa do niepokoju? Na początku burzy widać tylko niewielki obłok na horyzoncie.

– Masz talent do wyczuwania mrocznych sekretów, Krogulcze – powiedział Mistrz Odźwierny. – Zawsze go miałeś. Jak sądzisz zatem, co się dzieje?

– Nie wiem. Ale moc słabnie. Światu brak ostrości. Słońce przygasa. Mam wrażenie, panowie, jakbyśmy my wszyscy, którzy tu siedzimy, odnieśli śmiertelne rany i podczas gdy rozmawiamy bez końca, nasza krew powoli wycieka z żył...

– A ty chciałbyś temu zaradzić?

– I uczynię to – rzekł Arcymag.

– Cóż – mruknął Mistrz Odźwierny – czy sowa zdoła powstrzymać sokoła przed lotem?

– Gdzie jednak się udasz? – spytał Mistrz Przemian, a Mistrz Pieśni odpowiedział mu:

– Na poszukiwania! Aby odnaleźć króla i osadzić go na tronie!

Arcymag spojrzał bystro na Mistrza Pieśni, odparł jednak tylko:

– Popłynę tam, skąd dochodzą wieści o kłopotach.

– Na południe albo zachód – wtrącił Mistrz Wiatrów.

– A także północ i wschód, jeśli trzeba – dokończył Mistrz Odźwierny.

– Ależ panie, jesteś potrzebny tutaj – zaprotestował Mistrz Przemian. – Zamiast krążyć na ślepo po obcych morzach, wśród nieprzyjaznych ludzi, czy nie mądrzej byłoby zostać tu, gdzie magia

wciąż ma dawną siłę, i za pomocą czarów dowiedzieć się, jaka zła moc zaczęła działać?

– Moja sztuka na nic się tu nie zda. – W głosie Arcymaga zabrzmiał nowy ton, który sprawił, że wszyscy spojrzeli na niego niespokojnie. – Jestem Strażnikiem Roke. Nie opuszczam jej z błahych powodów. Żałuję, że macie w tej materii inne zdanie, lecz w tej chwili nic na to nie poradzimy. Decyzja należy do mnie. Muszę jechać.

– Chylimy czoło przed twoją decyzją – rzekł cicho Mistrz Przywołań.

– Co więcej, pojadę sam. Jesteście Radą Roke, której nie wolno rozbić. Ale wezmę ze sobą jednego towarzysza, jeśli zgodzi się płynąć ze mną. – Arcymag spojrzał na Arrena. – Wczoraj ofiarowałeś mi swe usługi. Zeszłej nocy Mistrz Wzorów rzekł: „Nie przypadkiem ludzie przybywają na Roke i nie przypadkiem to właśnie syn Morreda przyniósł nam wieści". Poza tym przez całą noc nie odezwał się ani razu. Pytam cię zatem, Arrenie, czy pojedziesz ze mną?

– Tak, mój panie – odparł Arren, czując suchość w gardle.

– Książę, twój ojciec z pewnością nie pozwoliłby ci na tak niebezpieczną wyprawę – powiedział ostro Mistrz Przemian, po czym dodał, zwracając się do Arcymaga: – Chłopak jest młody i niekształcony w magii.

– Lat i zaklęć wystarczy mi za dwóch – stwierdził cierpko Krogulec. – Arrenie, co zdecydowałby twój ojciec?

– Pozwoliłby mi.

– Skąd możesz wiedzieć? – spytał Mistrz Przywołań.

Arren nie miał pojęcia, dokąd ma się udać, kiedy ani dlaczego. Onieśmielony i oszołomiony, spoglądał na tych poważnych, szczerych, przerażających ludzi. Gdyby dali mu chwilę na zastanowienie, nie zdołałby nic powiedzieć. Nie miał jej jednak, Arcymag zaś spytał: „Czy pojedziesz ze mną?".

– Kiedy ojciec przysłał mnie tutaj, rzekł: „Lękam się, że naszemu światu zagraża ciemność, że nadchodzi niebezpieczny czas. Toteż posyłam ciebie, nie zaś zwykłego posłańca, ty bowiem potrafisz osądzić, czy powinniśmy prosić w tej sprawie o pomoc Wyspy

Mędrców, czy też zaofiarować im wsparcie Enladu". Jeśli zatem potrzebujesz mnie, panie, oto jestem.

Arcymag uśmiechnął się nagle. Jego uśmiech, choć trwał tylko chwilę, był pełen słodyczy.

– Widzicie? – rzekł do pozostałych siedmiu czarnoksiężników. – Czy wiek bądź czary mogłyby jeszcze coś do tego dodać?

Arren poczuł, że zebrani spoglądają na niego z aprobatą, lecz w ich wzroku dostrzegł także niewypowiedziane pytanie. Po chwili odezwał się Mistrz Przywołań, marszcząc wygięte w łuki brwi.

– Nie pojmuję cię, panie. Rozumiem, że pragniesz jechać – od pięciu lat tkwisz tu jak w klatce. Lecz zawsze dotąd działałeś sam. Czemu zatem teraz pragniesz towarzysza?

– Nigdy wcześniej nie potrzebowałem pomocy. – W głosie Krogulca kryła się nuta ironii, a może groźby. – Poza tym znalazłem sobie wreszcie odpowiedniego kompana.

Wysoki Mistrz Przywołań nie pytał o nic więcej, ale nadal marszczył czoło niespokojnie.

Jednakże Mistrz Ziół, spokojny i ciemnoskóry, mądry, cierpliwy i masywny niczym wół roboczy, podniósł się ze swego krzesła, górując nad resztą towarzyszy.

– Jedź, mój panie – rzekł. – I zabierz ze sobą chłopca. Pokładamy w tobie wszystkie nadzieje.

Po kolei mistrzowie cicho wyrażali zgodę i pojedynczo bądź dwójkami wycofywali się z sali, aż w końcu z całej siódemki pozostał tylko Mistrz Przywołań.

– Krogulcze – powiedział – nie zamierzam kwestionować twojej decyzji. Jeśli jednak masz rację, jeżeli Równowaga została naruszona i światu zagraża wielkie zło, wówczas podróż na Wathort, na Zachodnie Rubieże czy nawet na koniec świata może okazać się zbyt krótka. Jeśli wydarzy się najgorsze, czy możesz zabrać tam ze sobą młodego księcia i czy powinieneś to uczynić?

Stali z boku, z dala od Arrena. Mistrz Przywołań zniżył głos, lecz Arcymag odparł zwykłym tonem:

– Powinienem.

– Nie mówisz mi wszystkiego, co wiesz – stwierdził Mistrz Przywołań.

– Gdybym znał prawdę, podzieliłbym się z tobą. Nic nie wiem. Ale wiele zgaduję.

– Pozwól mi jechać z wami.

– Ktoś musi strzec bram.

– To zadanie Odźwiernego...

– Nie tylko bram Roke. Zostań tu. Zostań i obserwuj wschód słońca, bacząc, czy jest dość jasny. Patrz na kamienny mur, sprawdzając, kto go przekracza i gdzie zwracają się twarze. Coś pękło, Thorionie; w materii świata jest jakaś rana, jakieś rozdarcie, i tego szukam. Jeśli zginę, może ty je odnajdziesz. Tymczasem czekaj. Proszę, abyś zaczekał na mnie. – Arcymag przemawiał teraz w Starej Mowie, Mowie Tworzenia, w której rzuca się wszystkie prawdziwe zaklęcia i na której opiera się magia. Rzadko jednak bywa używana w rozmowach, chyba że wśród smoków. Mistrz Przywołań nie protestował już więcej. Skłonił się jedynie przed Arcymagiem i Arrenem i odszedł.

Drwa z trzaskiem płonęły na kominku. Poza tym w sali panowała głęboka cisza. Za oknami na szyby napierała mroczna bezkształtna mgła. Arcymag wpatrywał się w płomienie, jakby zapomniał o obecności Arrena. Chłopak stał bez ruchu niepewny, czy powinien wyjść z sali, czy też zaczekać, aż czarnoksiężnik go odprawi. Znów czuł się jak maleńka istota w nieograniczonej mrocznej przestrzeni.

– Najpierw udamy się do miasta Hort – oznajmił Krogulec, odwracając się plecami do paleniska. – Tam docierają wszystkie wieści z Południowych Rubieży. Może natrafimy na jakiś ślad. Wasz statek nadal czeka przy brzegu. Pomów z kapitanem, niech zaniesie słowo twojemu ojcu. Wyruszymy jak najwcześniej. Jutro o świcie. Spotkamy się na stopniach przystani.

– Panie mój, czego... – Głos chłopca załamał się lekko. – Czego właściwie szukasz?

– Sam nie wiem, Arrenie.

– A zatem...

– Zatem jak to znajdę? Tego także nie wiem. Może to coś znajdzie mnie. – Krogulec uśmiechnął się lekko do Arrena; jego twarz w szarym dziennym świetle wyglądała jak odlana z żelaza.

– Panie – rzekł Arren pewnym już głosem – to prawda, że pochodzę z rodu Morreda, jeśli da się w ogóle prześledzić równie stare dziedzictwo. Fakt zaś, że mogę ci służyć, uważam za największą szansę i zaszczyt mojego życia. Nie zamieniłbym go na nic innego. Obawiam się jednak, że bierzesz mnie za kogoś, kim nie jestem.

– Możliwe – odparł Arcymag.

– Nie mam żadnych zdolności ani talentów. Potrafię walczyć zwykłym i dwuręcznym mieczem. Umiem sterować łodzią. Znam tańce dworskie i wiejskie. Potrafię zażegnywać spory między dworakami. Jestem niezłym zapaśnikiem i kiepskim łucznikiem. Dobrze sobie radzę w grze w piłkę. Umiem też śpiewać, grać na harfie i lutni. To wszystko. Nie znam się na niczym więcej. Na co mógłbym ci się przydać? Mistrz Przywołań ma rację...

– A zatem dostrzegłeś to? Jest zazdrosny. Uważa, że powinienem wybrać jego ze względu na dłuższą znajomość.

– I większe zdolności, mój panie.

– Wolałbyś zatem wrócić do domu i pozwolić, by to on pojechał ze mną?

– Nie! Ale boję się...

– Czego?

Do oczu chłopca napłynęły łzy.

– Że cię zawiodę – powiedział.

Arcymag ponownie odwrócił się do ognia.

– Usiądź, Arrenie – polecił i chłopiec podszedł do kamiennej ławy obok kominka. – Nie uważam cię za czarodzieja, wojownika czy kogoś ukształtowanego ostatecznie i do końca. Nie wiem, kim jesteś, choć cieszę się, że potrafisz sterować łodzią. Kim zaś się staniesz, tego nie wie nikt. Jedno jest pewne: pochodzisz z rodu Morreda i Serriadha.

Arren milczał przez chwilę.

– To prawda, panie – rzekł wreszcie. – Ale... – Arcymag nie zareagował, więc chłopiec sam musiał dokończyć zdanie. – Ale nie jestem Morredem. Tylko sobą.

– Czyż nie szczycisz się swoim pochodzeniem?

– Owszem, jestem z niego dumny, ponieważ dzięki niemu stałem się księciem. To wielka odpowiedzialność, wyzwanie, któremu trzeba sprostać.

Arcymag gwałtownie skinął głową.

– To właśnie miałem na myśli. Odrzucić przeszłość to zrezygnować z przyszłości. Człowiek nie tworzy swego losu. Akceptuje go bądź odtrąca. Jeśli jarzębina zbyt płytko zapuści korzenie, nie wyda owoców. – Na te słowa Arren drgnął zdumiony, jego prawdziwe imię bowiem, Lebannen, oznaczało jarzębinę. Lecz Arcymag nie wymówił tego imienia. – Twoje korzenie sięgają głęboko – ciągnął dalej. – Nie brak ci sił, ale musisz mieć dość przestrzeni, by wyrosnąć. Zamiast spokojnej podróży do domu ofiaruję ci zatem niebezpieczną wyprawę do niewiadomego celu. Znużyły mnie bowiem bezpieczne dni, dach nad głową i otaczające mnie mury...

Urwał gwałtownie, rozglądając się wokół przeszywającym, niewidzącym spojrzeniem. Arren dostrzegł skryte w duszy Arcymaga pokłady niepokoju i przeraziło go to odkrycie. Jednakże nie uległ obawom, z gwałtownie bijącym sercem oświadczył:

– Panie, pojadę z tobą.

Opuścił Wielki Dom przepełniony dziwnym podnieceniem. Wyobrażał sobie, że jest szczęśliwy, lecz słowo to nie oddawało jego nastroju. Przypomniał sobie, że Arcymag nazwał go człowiekiem silnym, który potrafi zmierzyć się z przeciwnościami losu. Cieszyły go te pochwały, jednakże nie czuł dumy. Czemu nie? Najpotężniejszy czarnoksiężnik świata oznajmił: „Jutro pożeglujemy ku granicy zagłady", a on skinął głową i poszedł w ślad za nim. Czyż nie powinien się szczycić swoją odwagą? A nie czuł dumy, jedynie zdumienie.

Idąc w dół stromymi uliczkami Thwil, znalazł w końcu na nabrzeżu kapitana swego statku i powiedział:

– Jutro pożegluję z Arcymagiem na Wathort i dalej, ku Południowym Rubieżom. Powiedz księciu, mojemu ojcu, że kiedy wypełnię swą misję, powrócę do domu, do Berili.

Kapitan słuchał z ponurą miną. Wiedział, że książę Enladu nie będzie rad posłańcowi przynoszącemu podobne wieści.

– Muszę dostać list pisany twoją ręką, panie – rzekł.

Dostrzegając zasadność jego obaw, Arren pospieszył – miał wrażenie, że wszystko musi załatwić natychmiast – do miasta i znalazł mały osobliwy sklepik, w którym kupił tusz w kamieniu, pędzelek i kawałek miękkiego papieru, grubego niczym filc. Następnie szybkim krokiem wrócił do przystani i przysiadł na nabrzeżu, aby napisać do swych rodziców. Kiedy pomyślał o matce trzymającej w dłoniach ten skrawek papieru i czytającej napisane na nim słowa, ogarnął go nagle wielki smutek. Była pogodną, cierpliwą kobietą, lecz Arren wiedział, że pragnęła, by wrócił jak najszybciej. W żaden sposób nie zdołałby jej pocieszyć listem. Dlatego napisał sucho i krótko. Podpisał wiadomość runą oznaczającą miecz, zapieczętował papier kroplą smoły ze stojącego w pobliżu kotła, skąd czerpano materiał do uszczelnienia statków, po czym zaniósł go kapitanowi. Nagle coś przyszło mu do głowy.

– Zaczekaj! – rzucił, jakby statek już miał odpływać, i pobiegł z powrotem brukowanymi uliczkami do sklepiku. Z początku nie mógł go znaleźć, ulice Thwil bowiem miały w sobie coś dziwnego, jakby nieustannie zmieniały swój bieg. Wreszcie trafił we właściwy zaułek i wpadł do sklepu, roztrącając sznury czerwonych glinianych paciorków ozdabiające wejście. Kupując tusz i papier, zauważył leżącą na tacy pełnej zapinek srebrną broszę w kształcie dzikiej róży, a jego matkę nazywano Różą.

– Kupuję to – oznajmił wyniosłym książęcym tonem.

– Stara robota z Wyspy O. Widzę, młodzieńcze, że znasz się na dawnym rzemiośle – odparł sklepikarz, spoglądając na rękojeść – nie zaś ozdobną pochwę – miecza Arrena. – Cztery kawałki kości.

Arren bez żadnych targów zapłacił dość wygórowaną cenę. Jego sakiewka wprost pękała od kościanych płytek służących za pieniądze w Krainach Wewnętrznych. Pomysł podarunku dla matki ucieszył go, podobnie jak sam akt jego kupienia. Wychodząc ze sklepu, położył dłoń na rękojeści miecza, buńczucznie unosząc głowę.

Ojciec dał Arrenowi ten miecz w przeddzień jego wyjazdu z Enladu. Chłopiec przyjął broń z powagą i nosił nawet na statku, jakby czuł, że to jego obowiązek. Wiszący u pasa ciężar i związane z nim brzemię lat napawały go dumą, ostrze to bowiem należało kiedyś do Serriadha, syna Morreda i Elfarran; na całym świecie nie

było starszego oręża, prócz jednego miecza Erreth-Akbego, osadzonego na szczycie Wieży Królów w Havnorze. Serriadh nigdy swego miecza nie odłożył, nie ukrył go też w skarbcu, lecz zawsze nosił przy sobie. Choć nieużywane przez wieki, ostrze nie osłabło, ponieważ po wykuciu rzucono na nie potężny czar. Legenda głosiła, że nigdy nie dobyto go – więcej: nikt nie zdołałby tego uczynić – chyba że w grę wchodziło czyjeś życie. Miecz nie pozwalał, by władał nim ktoś, kto kierował się żądzą krwi, zemsty bądź bogactwa, w wojnie prowadzonej dla zysku. Właśnie od niego, wielkiego rodzinnego skarbu, Arren otrzymał swe użytkowe imię. W dzieciństwie zwano go Arrendek, Mieczyk.

Nigdy dotąd nie użył tej broni, podobnie jak jego ojciec i dziad. Na Enladzie od dawna panował pokój.

Teraz zaś, na ulicach niezwykłego miasta Wyspy Czarnoksiężników, rękojeść pod palcami wydała się Arrenowi dziwnie obca. Zimny metal nie pasował do dłoni, miecz przeszkadzał w marszu, ciążył nieznośnie, zdumienie i podniecenie zaś, jakie czuł Arren, nie opuściły go, lecz stopniowo ochłodły. Wrócił do portu i oddał broszę kapitanowi z prośbą, aby przekazał ją jego matce, po czym pożegnał się, życząc mu bezpiecznej podróży do domu. Odwróciwszy się, zasłonił płaszczem pochwę kryjącą w sobie starą niezłomną broń, śmiercionośne narzędzie odziedziczone po przodkach. Dawna buńczuczna pewność siebie zniknęła. Co ja właściwie robię? – powiedział do siebie Arren, wspinając się wąskimi alejkami, tym razem już bez pośpiechu, w stronę górującego nad miastem Wielkiego Domu przypominającego niezdobytą fortecę. Dlaczego nie wracam z nimi? Czemu szukam czegoś, czego nie pojmuję, z człowiekiem, którego nawet nie znam?

Nie potrafił odpowiedzieć na te pytania.

3

Hort

W ciemności przed świtem Arren narzucił na siebie strój, który mu przyniesiono, ubiór marynarza – znoszony, lecz czysty – i pospieszył milczącymi korytarzami Wielkiego Domu do wschodnich drzwi, wyrzezanych w rogu i smoczym zębie. Tam Mistrz Odźwierny wypuścił go na zewnątrz i z lekkim uśmiechem wskazał kierunek. Chłopak ruszył stromą uliczką, po czym skręcił w ścieżkę prowadzącą do szkolnej przystani, na południe od głównego portu Thwil. Z trudem przenikał wzrokiem ciemność. Drzewa, dachy, wzgórza tworzyły niewyraźne czarne plamy w mroku. Zimnym nocnym powietrzem nie poruszał nawet najmniejszy powiew. Wszystko trwało w bezruchu, uśpione i obce. Tylko nad czarnymi wodami na wschodzie dostrzegł słabą jaśniejszą linię: horyzont kryjący za sobą wciąż jeszcze niewidoczne słońce.

W końcu dotarł do stopni przystani. Nie zastał tam nikogo; nie dostrzegł też żadnego ruchu. Choć gruby marynarski płaszcz i wełniana czapka chroniły go przed chłodem, zadrżał, stojąc na kamiennych stopniach w ciemności, czekając na przybycie swego towarzysza.

Ciemne bryły szop wznosiły się nad mroczną morską tonią. Nagle z wnętrza jednej z nich dobiegł głuchy huk, donośny łoskot, który powtórzył się trzy razy. Arrenowi włosy zjeżyły się na głowie. Na gładkiej tafli pojawił się długi bezszelestny cień. To była łódź,

która po minucie przybiła do nabrzeża. Arren zbiegł w dół po stopniach i wskoczył do środka.

– Weź rumpel – polecił Arcymag, smukła czarna sylwetka na dziobie – i steruj prosto, póki nie postawię żagla.

Kierowali się w stronę wyjścia z zatoki. Zwisający na maszcie żagiel rozwinął się niczym białe skrzydło, połyskując w pierwszym brzasku dnia.

– Zachodni wiatr oszczędzi nam wiosłowania przy wyjściu z portu. Bez wątpienia to pożegnalny prezent od Mistrza Wiatrów. Uważaj, chłopcze, łódź jest bardzo zwrotna. Steruj nią lekko. Tak to zatem wygląda – zachodni wiatr i czyste niebo wiosennego dnia zrównania.

– Czy to jest „Bystre Oko”? – Arren słyszał wiele pieśni i legend o łodzi Arcymaga.

– Tak – odparł Krogulec krzątający się przy linach. Wiatr powiał mocniej i łódź przechyliła się gwałtownie; Arren zacisnął zęby, próbując opanować ster.

– Rzeczywiście jest zwrotna, ale też dość kapryśna, panie.

Arcymag roześmiał się głośno.

– Niech sobie kaprysi. Jej także nie brak rozumu. Posłuchaj, Arrenie – dodał, klękając na ławce naprzeciw chłopca. – Nie jestem już panem ani ty księciem. Od tej chwili nazywaj mnie Jastrzębiem. Jestem kupcem, a ty moim bratankiem. Żeglujesz ze mną, aby nauczyć się fachu. Zowią cię Arren, obaj bowiem pochodzimy z Enladu. Z jakiego miasta? Wybierz spore, na wypadek gdybyśmy spotkali rodaka.

– Temere na południowym wybrzeżu? Tamtejsi mieszkańcy handlują z całymi Rubieżami.

Arcymag skinął głową.

– Ale – zagadnął ostrożnie Arren – nie mówisz jak Enladczyk.

– Wiem. Mam akcent gontyjski. – Krogulec spoglądał na jaśniejącą na wschodzie łunę. – Myślę jednak, że zdołam pożyczyć od ciebie wszystko, czego mi trzeba. A zatem wyruszyliśmy z Temere naszą łodzią, „Delfinem”, ja zaś nie jestem panem, magiem ani Krogulcem, tylko... jak mnie zwą?

– Jastrząb, panie... – Arren ugryzł się w język.

– Przyzwyczajaj się, bratanku – poradził Arcymag. – Wszystko wymaga ćwiczeń. Zawsze byłeś tylko księciem, podczas gdy ja wcielałem się w różnych ludzi. Arcymag jest z nich ostatni i być może najmniej ważny... Podróżujemy na południe w poszukiwaniu emmelu, błękitnego kamienia, z którego rzeźbi się talizmany. Wiem, jak cenią go mieszkańcy Enladu. Wierzą, że chroni przed zwichnięciami, reumatyzmem, sztywnością karku i przejęzyczeniami.

Arren roześmiał się, a kiedy uniósł głowę, łódź dźwignęła się w górę na grzbiecie długiej fali i ujrzał krawędź słonecznej tarczy – wynurzający się zza oceanu nagły przebłysk złota wprost przed nimi.

Krogulec stał wsparty jedną ręką o maszt, łódka bowiem podskakiwała na falach. Spoglądając na wschód słońca w święto wiosenego zrównania dnia z nocą, zaśpiewał. Arren nie znał Starej Mowy, języka magów i smoków, jednakże w słowach pieśni wyczuł radość i podziw; krył się w nich miarowy rytm przypominający wznoszenie i opadanie morza albo następowanie po sobie dni i nocy, niezmienne do końca świata. W górze krzyczały mewy śmigające bystro z wiatrem, wybrzeża zatoki Thwil pozostawały w tyle, aż w końcu łódź wypłynęła na szerokie świetliste wody Morza Najgłębszego.

Podróż z Roke do Hort to zaledwie krótka wycieczka, mimo to spędzili na morzu trzy noce. Arcymagowi spieszno było opuścić wyspę, kiedy jednak ruszyli w drogę, okazał się nader cierpliwy. Gdy tylko oddalili się od kręgu zaczarowanej pogody Roke, wiatry zwróciły się przeciwko nim, lecz on nie wezwał magicznego podmuchu, jak uczyniłby każdy zwykły zaklinacz. Zamiast tego przez całe godziny uczył Arrena, jak kierować łodzią w silnym wietrze, omijając skały, którymi naszpikowane było morze na wschód od Issel. Drugiej nocy spadł deszcz, zimna marcowa ulewa, lecz Krogulec nie uczynił nic, aby go odegnać. Następnej nocy, gdy czekali przy wejściu do portu Hort w chłodnej, mglistej ciemności, Arren uświadomił sobie, że przez ten krótki czas, kiedy się znali, Arcymag ani razu nie użył swej mocy.

Był jednak niezrównanym żeglarzem. W ciągu trzech dni podróży Arren nauczył się od niego więcej niż przez dziesięć lat pływania

łodzią i wyścigów żaglowych w zatoce Berili. Mag i żeglarz są zresztą niemal jak bracia – obaj mają do czynienia z mocami nieba i morza, i sztuką własnych dłoni ujarzmiają potężne wiatry, zbliżając to, co zwykle pozostaje w oddali. Arcymag i kupiec Jastrząb byli tym samym człowiekiem.

Człowiekiem milczącym, choć pogodnym. Nie irytowała go niezręczność Arrena; chłopak myślał często, że nie mógłby znaleźć lepszego kompana. Jednakże czasem Arcymag, zatopiony we własnych rozmyślaniach, milczał całymi godzinami, a kiedy się odzywał, jego głos brzmiał szorstko, oczy zaś zdawały się przenikać Arrena na wylot. Nie osłabiło to bynajmniej miłości, jaką darzył go chłopiec, choć może zmniejszyło nieco sympatię, którą do niego żywił; czasami milczący towarzysz budził w Arrenie grozę. Możliwe, że Krogulec wyczuł to, tej mglistej nocy bowiem u wybrzeży Wathort zaczął z wahaniem opowiadać chłopcu o sobie.

– Nie chcę jutro znaleźć się między ludźmi. Udawałem, że jestem wolny... że w świecie nie dzieje się nic złego. Że nie jestem Arcymagiem ani nawet czarnoksiężnikiem, tylko Jastrzębiem z Temere, pozbawionym przywilejów i obowiązków, niemającym długu wobec nikogo... – urwał, po czym po chwili podjął dalej: – Kiedy stanie przed tobą wielki wybór, Arrenie, spróbuj mądrze podjąć decyzję. Gdy ja byłem młody, musiałem wybrać pomiędzy trwaniem a działaniem i zachłannie rzuciłem się na przygodę niczym pstrąg skaczący za muchą. Jednakże każdy dokonany czyn, każda załatwiona sprawa wiążą cię z sobą i ze swymi konsekwencjami, zmusza do dalszego działania. Aż w końcu rzadko zdarza się chwila taka jak teraz, moment wytchnienia pomiędzy jednym czynem a drugim, kiedy można po prostu być albo zastanawiać się, kim tak naprawdę jesteś.

Jak ktoś tak potężny jak Arcymag może wątpić, kim i czym jest? – zastanawiał się Arren. Zawsze sądził, że podobne wątpliwości dręczą tylko młodych ludzi, którzy niczego jeszcze nie dokonali.

Łódź kołysała się w bezkresnym chłodnym mroku.

– Dlatego właśnie lubię morze – dobiegł z ciemności głos Krogulca.

Arren rozumiał go, lecz jego własne myśli pędziły naprzód, tak jak czyniły to przez trzy dni i noce, zmierzając do celu ich wyprawy. Ponieważ zaś jego towarzysz był najwyraźniej w nastroju do rozmowy, chłopak spytał:

– Czy sądzisz, że w Hort znajdziemy to, czego szukamy?

Krogulec potrząsnął głową. Może miało to oznaczać „nie", a może „nie wiem".

– Czy to możliwe, żeby pojawiła się nowa zaraza, choroba wędrująca z wyspy na wyspę, niszcząca plony, stada i ducha ludzi?

– Zaraza to element Wielkiej Równowagi, my jednak mamy do czynienia z czymś innym. Kryje się w tym zło. Kiedy świat wraca do stanu równowagi, możemy cierpieć, ale nie tracimy nadziei, nie porzucamy sztuk, nie zapominamy Mowy Tworzenia. Natura nie bywa nienaturalna. Teraz jednak nastąpiło zachwianie Równowagi, a tego może dokonać tylko jedno stworzenie.

– Człowiek? – podsunął z wahaniem Arren.

– My, ludzie.

– Jak?

– Poprzez niepohamowane pragnienie życia.

– Życia? Czyż źle jest chcieć żyć?

– Nie. Lecz kiedy pożądamy władzy nad życiem – nieskończonych bogactw, absolutnego bezpieczeństwa, nieśmiertelności – wówczas pragnienie przeradza się w chciwość. A jeśli z chciwością połączy się wiedza, powstaje zło, które narusza Równowagę świata, wyrządzając ogromne szkody.

Arren rozważał przez chwilę te słowa, aż wreszcie rzekł:

– Sądzisz zatem, że szukamy człowieka?

– Człowieka i czarnoksiężnika. Owszem, tak uważam.

– Myślałem jednak, z tego co mi opowiadali ojciec i nauczyciele, że najwyższa sztuka magii zależy od owej Równowagi i nie można wykorzystać jej do czynienia zła.

– Nie jest to takie proste – odparł dość cierpko Krogulec. – Nieskończone są spory magów... Każda kraina Ziemiomorza zna czarownice, które rzucają nieczyste zaklęcia, czarnoksiężników używających swej sztuki dla zdobycia bogactwa. A jest jeszcze coś więcej. Władca Ognia, który próbował na zawsze odegnać ciemność

i zatrzymać słońce na niebie, był wielkim magiem; nawet Erreth-Akbe pokonał go z najwyższym trudem. Podobnie Nieprzyjaciel Morreda. Gdziekolwiek się zjawiał, klękały przed nim całe miasta; nieprzeliczone armie walczyły w jego sprawie. Zaklęcie, które rzucił na Morreda, było tak potężne, że nawet po śmierci maga nie dało się powstrzymać jego działania i morze pochłonęło wyspę Solea, a wraz z nią wszystko, co na niej żyło. Oto ludzie, którzy oddali swą potęgę i wiedzę w służbę złu, napawając się nim. Nie wiemy, czy magia służąca lepszej sprawie zawsze musi zwyciężyć. Mamy taką nadzieję.

To dość ponure doświadczenie – odkryć nadzieję w miejscu, gdzie oczekiwało się niezłomnej pewności. Arren miał dość rozmów na tak wzniosłe tematy. Po chwili milczenia rzekł:

– Chyba rozumiem, czemu twierdzisz, że tylko ludzie czynią zło. Nawet rekiny są niewinne; zabijają, ponieważ muszą.

– Dlatego właśnie nic nie może nam się oprzeć. Tylko jedna istota na świecie potrafi powstrzymać człowieka o złym sercu – inny człowiek. W naszej hańbie kryje się chwała. Tylko nasz duch, zdolny do zadawania zła, może je także pokonać.

– A smoki? – wtrącił Arren. – Czyż nie czynią wielkiego zła? One także są niewinne?

– Smoki! Smoki to istoty chytre, nienasycone, zdradzieckie, pozbawione litości i współczucia. Ale czy są złe? Kimże jestem, aby osądzać postępki smoków? Mądrością swą przewyższają ludzi. Przypominają nieco sny, Arrenie. My, ludzie, śnimy, władamy magią, czynimy dobro albo zło. Smoki nie śnią; one same są snami. Nie używają magii: z niej powstały, to ich istota. Nie muszą działać; po prostu są.

– W Serilune – rzekł Arren – przechowuje się skórę Bar Otha zabitego przez Keora, księcia Enladu, trzysta lat temu. Od tamtego dnia żaden smok nie zjawił się na naszej wyspie. Widziałem skórę Bar Otha. Jest ciężka jak żelazo i tak wielka, że gdyby ją rozłożyć, przykryłaby cały miejski rynek, tak powiadają ludzie. Jego zęby są długie jak moje przedramię. A przecież Bar Oth był młodym, jeszcze niedorosłym smokiem.

– Wyczuwam w tobie pragnienie ujrzenia smoków – zauważył Krogulec.

– Chcę je zobaczyć!

– Ich krew jest zimna i trująca. Nie wolno ci spojrzeć im w oczy. Są starsze niż ludzkość... – Arcymag umilkł, po czym dodał: – A jednak, gdybym miał zapomnieć wszystko, czego dokonałem, chciałbym pamiętać choć tyle, że kiedyś oglądałem smoki szybujące w powietrzu o zachodzie słońca nad wyspami Zachodu; i radowałoby mnie to wspomnienie.

Zapadła cisza, Arren słyszał tylko szept wody wokół łodzi. Nigdzie nie błyszczało żadne światło. Wreszcie, unosząc się na głębokim morzu, zasnęli.

***

W jasnym blasku poranka wpłynęli do przystani Hort, gdzie cumowały setki statków i łodzi. Niektóre z nich akurat wyruszały w morze – łodzie rybackie na połowy ryb i krabów, statki handlowe, dwie dwudziestowiosłowe galery, jedna wielka, sześćdziesięciowiosłowa i kilka smukłych długich żaglowców o wysokich masztach, na których pyszniły się trójkątne żagle chwytające ciepłe wiatry Rubieży Południowych.

– Czy to okręt wojenny? – spytał Arren, gdy mijali jedną z mniejszych galer.

– Sądząc po pierścieniach na łańcuchy, raczej statek do przewozu niewolników. Na Południowych Rubieżach sprzedaje się ludzi.

Arren przez minutę zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Wreszcie przeszedł do skrzynki z zapasami i wyjął swój miecz, który rankiem w dniu odjazdu okrył dokładnie chustą i schował głęboko. Teraz odwinął go i stał bez ruchu, niezdecydowany.

– Nie jest to broń kupiecka – stwierdził. – Ma zbyt elegancką pochwę.

Krogulec, zajęty przy sterze, posłał mu bystre spojrzenie.

– Zabierz go, jeśli chcesz.

– Pomyślałem, że tak byłoby mądrzej.

– Wśród mieczy twój wyróżnia się mądrością – odparł Arcymag, ostrożnie manewrując przy wejściu do zatłoczonej zatoki. – Jak się zdaje, nie lubi, kiedy się go używa?

Arren przytaknął.

– Tak mówią. A jednak zabijał ludzi. – Spojrzał na smukłą wytartą rękojeść. – On tak, ale ja nie. Sprawia, że czuję się jak głupiec. Jest znacznie starszy ode mnie... Wezmę nóż – zakończył i ponownie owinąwszy miecz, wepchnął go głęboko między zapasy. Twarz miał gniewną.

Krogulec nie odzywał się przez chwilę, w końcu poprosił:

– Weź wiosło, chłopcze. Kierujemy się do przystani obok schodów.

Miasto Hort, jeden z Siedmiu Wielkich Portów Archipelagu, wznosiło się nad ruchliwym nabrzeżem, pokrywając zbocza trzech stromych wzgórz mieszaniną pstrokatych kolorów. Ściany glinianych domów otynkowano na czerwono, żółto, pomarańczowo lub biało; wieńczyły je rzędy purpurowych dachówek. Kwitnące drzewa pendik tworzyły ciemnoczerwone szpalery wzdłuż górnych ulic miasta. Zadaszenia z tkanin w wielobarwne pasy ochraniały małe targowiska. Skąpana w słońcu przystań lśniła, uliczki biegnące między domami przypominały wąskie czarne szczeliny, dobiegał stamtąd gwar.

Gdy zacumowali łódź, Krogulec schylił się obok Arrena, jakby chciał sprawdzić węzeł, i rzekł:

– Arrenie, w Wathort znalazłoby się sporo ludzi, którzy znają mnie całkiem dobrze, toteż patrz, abyś umiał mnie potem rozpoznać. – Kiedy się wyprostował, na jego twarzy nie pozostał nawet ślad po bliznach. Włosy miał niemal zupełnie siwe, nos gruby i nieco zadarty; zamiast cisowej laski swego wzrostu trzymał w dłoni kościaną różdżkę, którą zaraz schował za pazuchę. – Nie poznajesz mnie? – spytał Arrena z wyraźnym enladzkim akcentem, uśmiechając się szeroko. – Czyżbyś nigdy dotąd nie widział swego stryja?

Arren nieraz był świadkiem, jak czarnoksiężnicy na dworze w Berili odmieniali swe twarze, przedstawiając *Czyny Morreda*, i wiedział, że to tylko złudzenie, zdołał zatem zachować spokój.

– Ależ poznaję, stryju Jastrzębiu.

Kiedy jednak mag zaczął targować się ze strażnikiem portowym, ustalając wysokość zapłaty za cumowanie i pilnowanie łodzi, Arren

zerkał na niego co chwila, by upewnić się, że go nie zgubi. W miarę upływu czasu przemiana niepokoiła go coraz bardziej. Była zbyt całkowita. Nie widział już przed sobą Arcymaga, mądrego przywódcy i przewodnika... Strażnik podał wysoką cenę i Krogulec zapłacił niechętnie, gderając pod nosem. Odchodząc, narzekał nadal.

– Też mi coś! – mruczał do siebie. – Mam płacić temu grubemu złodziejowi, żeby pilnował mojej łodzi, kiedy byle zaklęcie spisałoby się znacznie lepiej? Cóż, taka jest cena przebrania... Zapomniałem właściwego akcentu, prawda, bratanku?

Wędrowali zatłoczoną cuchnącą ulicą pełną rozmaitych sklepików i kramów, których właściciele stali w drzwiach pośród stosów towarów, głośno zachwalając urodę oraz niskie ceny swych rondli, pończoch, kapeluszy, łopat, szpilek, sakiewek, kociołków, koszyków, pogrzebaczy, noży, lin, materiałów, prześcieradeł i wszelkich możliwych dóbr.

– Czy to targ?

– Co takiego? – spytał Jastrząb, chyląc siwą głowę.

– Czy to targ, stryju?

– Targ? Nie, nie. Tu handluje się cały rok. Zabierz swoje rybne placki, dobrodziejko, jadłem już śniadanie.

Arren usiłował uwolnić się od mężczyzny dźwigającego tacę z niewielkimi mosiężnymi flakonami, który snuł się za nim jak cień, jęcząc:

– Kup, spróbuj, młody panie. Nie zawiodą cię. Oddech słodki niczym róże Numimy oczaruje kobiety. Wypróbuj je, młody paniczu, książę...

Krogulec natychmiast znalazł się między Arrenem a handlarzem.

– Co to za uroki?

– Żadne uroki! – żachnął się handlarz, odskakując w przestrachu. – Nie sprzedaję żadnych uroków, panie, tylko syropy osładzające oddech cuchnący trunkiem albo korzeniem hazi. Tylko syropy, wielki książę!... – Skulił się na środku brukowanej ulicy, flakony na tacy podskakiwały i kołysały się z brzękiem. Parę wywróciło się i wyciekły z nich krople lepkiego różowego bądź fioletowego płynu.

Krogulec obrócił się bez słowa i ruszył dalej. Arren szedł za nim krok w krok. Wkrótce tłum przerzedził się i sklepy wyraźnie

zbiedniały. Skromni handlarze wystawiali swoje ubogie towary – garść pogiętych gwoździ, złamany tłuczek, stare zgrzebło. Bieda ta budziła w Arrenie mniejszy niesmak niż poprzednie bogactwo. Na zamożniejszym końcu ulicy czuł się przygnieciony ciężarem sprzedawanych rzeczy i głosami zachęcającymi, by kupować, kupować, kupować. Zachowanie handlarza syropów wstrząsnęło nim. Pomyślał o chłodnych jasnych ulicach swego miasta na północy. Żaden człowiek w Berili nie płaszczyłby się tak przed obcymi.

– Co za okropni ludzie! – rzekł.

– Tędy, bratanku – odparł jedynie Jastrząb.

Skręcili w przejście między wysokimi, pozbawionymi okien murami domów. Uliczka biegła wzdłuż zbocza, pod łukiem ustrojonym spłowiałymi wstęgami. Po chwili wyszli z powrotem na słoneczny plac. Kolejne targowisko, pełne budek i kramów. Wszędzie aż roiło się od ludzi, wielkimi chmarami fruwały muchy.

Na skraju placu Arren dostrzegł sporą grupę siedzącą pod ścianą. Niektórzy półleżeli w bezruchu, spoglądając w przestrzeń. Ich usta miały dziwne czarniawy odcień, jakby pokrywały je siniaki. Po twarzach nieszczęśników pełzały muchy przypominające zeschnięte czarne jagody.

– Tak wielu – rzekł Krogulec własnym głosem; najwyraźniej nim także wstrząsnął ów widok.

Arren obejrzał się i zobaczył szorstką obojętną twarz poczciwego kupca Jastrzębia.

– Co dolega tym ludziom?

– Hazia. Ten korzeń uspokaja i wywołuje otępienie, pozwalając, by ciało uwolniło się od umysłu, który swobodnie wędruje po świecie. Kiedy jednak powraca do ciała, potrzebuje więcej hazi... Stopniowo dręczący ich głód narasta; życie tych ludzi jest krótkie, korzeń ten bowiem to trucizna. Najpierw pojawiają się drgawki, potem paraliż, wreszcie śmierć.

Arren spojrzał na kobietę wspartą plecami o rozgrzany słońcem mur. Uniosła rękę, chcąc odegnać muchy z twarzy, jednakże dłoń kreśliła drobne kręgi w powietrzu, jakby dotknięta paraliżem właścicielka zupełnie o niej zapomniała, jakby ręką rządziły

przypadkowe skurcze mięśni. Gest ten przypominał bezwolne odczynianie uroku, zaklęcie pozbawione znaczenia.

Jastrząb przyglądał się jej z twarzą bez wyrazu.

– Chodź już – polecił.

Poprowadził Arrena na drugą stronę placu, do kramu osłoniętego barwnym daszkiem. Pasma słonecznego światła, zabarwione zielenią, żółcią, oranżem, szkarłatem i lazurem, padały na sztuki jedwabiu, szale i tkane pasy; migotały wielobarwną tęczą w maleńkich lusterkach ozdabiających wysoki pierzasty diadem stojącej w głębi kobiety. Rosła kramarka krzyczała śpiewnie:

– Jedwabie, satyny, płótna, futra, filc, wełna, koce z Gontu, gaza z Sowl, jedwabie z Lorbanery! Hej, wy, przybysze z północy, zdejmijcie te grube płaszcze; nie widzicie, że wyszło słońce? Co powiecie na prezent dla dziewczyny w Havnorze? Spójrzcie tylko, prawdziwy jedwab z południa, cienki jak skrzydło motyla! – Zręcznie odwinęła belę zwiewnego różowego materiału przetykanego srebrną nitką.

– Nie, dobrodziejko, nie poślubiliśmy królowych – odparł Jastrząb.

Głos kobiety uniósł się gwałtownie.

– W co zatem ubieracie swoje panie? W zgrzebne płótno? Jutowe worki? Skąpcy, żałujecie swoim żonom, dygoczącym z zimna w wiecznych północnych śniegach, kawałka jedwabiu! Co zatem powiecie na to? Gontyjski filcowy pled, który ogrzeje je w zimowe noce! – Rzuciła na ladę wielki kwadrat kraciastej kremowo-brązowej materii utkanej z jedwabistej sierści kóz z północno-wschodnich wysp.

Fałszywy kupiec wyciągnął rękę, pomacał pled.

– Czyżbyś pochodził z Gontu? – Poruszone skinieniem głowy lusterka rozsiały wokół nowy deszcz wielobarwnych iskier.

– To andradeńska robota; widzisz? Ma tylko cztery nitki osnowy na szerokość palca. Na Goncie używa się co najmniej sześciu. Powiedz mi jednak, czemu porzuciłaś magię i zajęłaś się sprzedażą fatałaszków? Kiedy byłem tu parę lat temu, widziałem, jak wyciągałaś płomyki z uszu gawiedzi, a potem sprawiałaś, by zamieniły się w ptaki i złote dzwonki. To lepsze zajęcie niż handel.

– To żadne zajęcie – odparła wysoka kobieta i przez chwilę Arren dostrzegł jej oczy, twarde niczym agaty, spoglądające na niego i Jastrzębia spomiędzy błysków rzucanych przez kołyszące się wśród piór lusterka.

– Ładne było wyciąganie ogników z uszu – ciągnął Jastrząb z poczciwym uporem. – Myślałem, że pokażę to mojemu bratankowi.

– Posłuchaj no – odparła kobieta nieco mniej szorstko, wspierając na ladzie szerokie brązowe ramiona i ciężki tors. – Nie robimy już podobnych sztuczek. Ludzie ich nie chcą. Przejrzeli na oczy. Chodzi ci o lusterka, prawda? Widzę, że zapamiętałeś moje lusterka. – To mówiąc, odrzuciła głowę tak, że wokół niej zawirowała oślepiająca aureola świateł. – Cóż, błysk lusterek potrafi oszukać ludzki umysł, podobnie słowa i inne sztuczki, których ci nie zdradzę, aż w końcu ludzie zaczną myśleć, że widzą coś, czego nie ma, co nie istnieje; tak jak płomyki i złote dzwonki albo stroje, którymi okrywałam żeglarzy – płaszcze ze złotogłowiu ozdobione diamentami wielkości moreli. A oni odchodzili, dumni niczym Królowie Wszystkich Wysp... Ale to tylko głupstwa, zwykłe sztuczki. Można oszukać ludzi, bo są jak kury zahipnotyzowane przez węża lub unieruchomione uniesionym palcem. Ludzie przypominają kury. Kiedy jednak w końcu orientują się, że ich nabrałeś i zauroczyłeś, wpadają w złość i już nie bawią ich podobne igraszki. Toteż zajęłam się handlem. Może nie wszystkie moje jedwabie są do końca prawdziwe, a pledy nie pochodzą z Gontu, ale przynajmniej da się je nosić, i to jak! Są prawdziwe, a to coś więcej niż kłamstwa i ułudy, widmowe stroje ze złotogłowiu.

– No, no – rzekł Jastrząb. – A zatem w całym Hort nie został nikt, kto wyciągałby ognie z uszu lub czynił magiczne sztuczki?

Kramarka zmarszczyła brwi, wyprostowała się i zaczęła starannie składać pled.

– Ci, którzy pragną kłamstw i wizji, żują hazię. Pomów z nimi, jeśli chcesz. – Skinęła głową w stronę nieruchomych postaci siedzących wokół placu.

– Ale przecież mieliście też czarowników; zaklinali wiatry na statkach i rzucali szczęśliwe uroki na ładunki. Czyżby wszyscy zmienili zajęcie?

Nagle kramarka wpadła w furię.

– Jeśli chcesz, jest tu mag, i to potężny; prawdziwy czarnoksiężnik z laską i tak dalej. Żeglował z samym Egrem, wzbudzając wiatry i wyszukując tłuste galery, a przynajmniej tak twierdził. Ale wszystko to były kłamstwa i kapitan Egre odpłacił mu w końcu; odciął mu prawą dłoń. Teraz siedzi tam, widzisz go? Z gębą pełną hazi, w brzuchu ma tylko powietrze. Powietrze i kłamstwa! Powietrze i kłamstwa! Oto twoja magia, kapitanie koźle!

– Ależ dobrodziejko! – zaprotestował Jastrząb z łagodnym uporem. – Tylko pytałem.

Kobieta odwróciła się do niego plecami, siejąc wokół kolorowe zwierciadlane skry, i Arcymag zawrócił. Arren podążał w ślad za nim.

Jego pozornie bezładny marsz miał jednak swój cel. Doprowadził ich w pobliże wskazanego przez kramarkę mężczyzny. Nieznajomy siedział oparty o mur, spoglądając przed siebie nic niewidzącym wzrokiem. Kiedyś jego ciemna brodata twarz musiała być bardzo piękna. Pomarszczony kikut spoczywał w słońcu na rozpalonym bruku, bezwstydny i wstrętny.

Wśród kramów za nimi wybuchło zamieszanie, jednakże Arren nie mógł oderwać wzroku od tego człowieka. Przypatrywał mu się z obrzydzeniem i fascynacją.

– Czy naprawdę był czarnoksiężnikiem? – spytał cicho.

– Możliwe, że to człowiek zwany Zającem, dawny zaklinacz pogody u pirata Egrego. Kiedyś byli słynnymi złodziejami... odsuń się, Arrenie!

Zza najbliższych bud wynurzył się mężczyzna, niemal wpadając na nich. Wkrótce za nim pojawił się następny, dźwigający z wysiłkiem ciemną składaną tacę załadowaną linkami, sznurkami i koronkami. Z donośnym trzaskiem runął jeden z kramów; z sąsiednich zerwano płócienne daszki albo składano je pospiesznie. Grupki ludzi przepychały się przez tłum, podniesione głosy przeradzały się w krzyki i wrzaski. Wszystko jednak zagłuszał wściekły ryk kobiety w zwierciadlanym diademie. Arren dostrzegł, jak walczyła z kilkoma mężczyznami, używając długiego słupka czy może kija. Szerokimi zamachami odpędzała przeciwników. Trudno było stwierdzić, czy całe to zajście zapoczątkowała zwykła niewinna kłótnia, która stopniowo rozszerzyła się i przerodziła w zamieszki;

a może zaczątkiem stał się atak bandy złodziei albo walka między dwiema rywalizującymi ze sobą grupami handlarzy. Ludzie przebiegali obok nich, unosząc naręcza towarów – być może złupionych, być może własnych, chronionych przed napastnikami. Wokół rozgrywały się walki na noże, bójki i przepychanki.

– Tędy! – rzucił Arren, wskazując otwierającą się w pobliżu boczną uliczkę.

Ruszył w jej stronę, uznawszy, że lepiej będzie, jeśli wydostaną się stamtąd jak najprędzej, lecz Jastrząb złapał go za rękę. Arren obejrzał się i zobaczył, że Zając z trudem dźwiga się na nogi. Kiedy w końcu zdołał się wyprostować, przez moment stał, kołysząc się w przód i w tył, po czym nie oglądając się na boki, ruszył naprzód, obchodząc plac. Jedną ręką dotykał muru, jakby szukał podpory bądź usiłował odnaleźć drogę.

– Nie spuszczaj z niego oczu – polecił Krogulec i poszli za jednorękim. Na szczęście nikt ich nie zaczepiał. Po minucie zostawili za sobą plac i zaczęli schodzić w dół cichą, krętą, wąską ulicą.

Nad ich głowami dachy domów niemal się stykały, przesłaniając słońce; kamienie pod stopami były śliskie od wody i odpadków. Zając szedł dość szybko, choć nadal przesuwał dłonią po murze niczym ślepiec. Musieli trzymać się blisko niego, aby nie zgubić go na skrzyżowaniach. Nagle Arrena ogarnęło podniecenie towarzyszące zwykle pościgowi; znał to uczucie. Doznał czegoś podobnego podczas polowania na jelenie w lasach Enladu. Jego zmysły się wyostrzyły, wyraźnie dostrzegał każdą mijaną twarz, wciągając w nozdrza słodki zaduch miasta, woń śmieci, kadzideł, truchła i kwiatów. Przeciskając się przez tłum wypełniający szeroką aleję, usłyszał łoskot bębna i dostrzegł kątem oka szereg nagich mężczyzn i kobiet, skutych razem łańcuchami zatrzaśniętymi na nadgarstkach. Splątane włosy zasłaniały im twarze. Jedno zerknięcie i zniknęli, gdy śmignął schodami za Zającem i znalazł się na niewielkim, niemal pustym placu. Kilka starszych kobiet plotkowało przy fontannie.

Po chwili Krogulec doścignął Zająca i położył mu dłoń na ramieniu. Mężczyzna podskoczył jak oparzony; wzdrygnął się gwałtownie, szukając schronienia w masywnych drzwiach budynku. Stał tam,

dygocząc i spoglądając w dal niewidzącym wzrokiem ściganego zwierza.

– Czy to ciebie nazywają Zającem? – spytał Krogulec; mówił teraz własnym głosem, szorstkim, lecz jednocześnie łagodnym. Mężczyzna nie odpowiedział, zupełnie jakby nie słyszał pytania. – Chcę czegoś od ciebie – ciągnął Krogulec. Tamten nie zareagował. – Zapłacę.

Po chwili wahania Zając spytał:

– Kośćmi czy złotem?

– Złotem.

– Jak wiele?

– Czarnoksiężnik wie, ile warte są zaklęcia.

Twarz Zająca wykrzywiła się, przez moment jakby ożyła, tak szybko, że wydawało się to niemal złudzeniem. Po sekundzie okryła ją maska obojętności.

– To już minęło. Wszystko minęło. – Zgiął się w nagłym ataku kaszlu, spluwając czarną śliną. Kiedy paroksyzm minął, Zając stanął bez ruchu, wstrząsany dreszczami, jakby zapomniał, o czym przed chwilą rozmawiali.

Arren obserwował go zafascynowany. Jednoręki stał pomiędzy dwiema olbrzymimi postaciami, rzeźbami, których karki uginały się pod ciężarem masywnego frontonu, muskularne ciała zaś tylko częściowo wystawały ze ściany, jakby kiedyś walczyły o to, by się uwolnić, i poniosły klęskę. Drzwi, których strzegły, już dawno przegniły na zawiasach. Niegdysiejszy pałac popadł w ruinę. Ponure twarze olbrzymów były poobijane i pokryte plamami porostów. Skryta w ich cieniu sylwetka Zająca wydawała się mała i bezbronna. Jego oczy były równie ciemne jak okna pustego domu. Uniósł okaleczoną rękę, jakby chciał obronić się przed Krogulcem, i jęknął:

– Wspomóż, panie, biednego kalekę...

Mag skrzywił się, nie wiadomo – z bólu czy ze wstydu. Arren miał wrażenie, że przez moment dojrzał jego prawdziwe oblicze. Krogulec ponownie położył dłoń na ramieniu Zająca i powiedział kilka słów w czarodziejskiej mowie, której Arren nie rozumiał.

Ale Zając ją znał. Zdrową ręką pochwycił Krogulca i wyjąkał:

– Nadal potrafisz mówić... mówić... Chodź ze mną, chodź.

Mag zerknął na Arrena, po czym skinął głową.

Stromymi ulicami zeszli w głąb jednej z dolin rozdzielających trzy wzgórza miasta Hort. W miarę schodzenia uliczki stawały się coraz węższe, ciemniejsze i spokojniejsze. Pomiędzy dachami widać było tylko blady skrawek nieba, ściany po obu stronach ociekały wilgocią. Na dnie jaru płynął strumień cuchnący niczym miejski rynsztok; stłoczone na dole domy przycupnęły pomiędzy łukami mostów. Zając skręcił w mroczne wejście jednego z tych budynków i zniknął niczym zdmuchnięty płomień świecy. Podążyli w ślad za nim.

Pogrążone w półmroku schody trzeszczały i uginały się pod ich stopami. Na szczycie Zając pchnął drzwi i znaleźli się w pustym pokoju z leżącym w kącie siennikiem. Małe, pozbawione szyby okno z zatrzaśniętą okiennicą wpuszczało do środka zaledwie odrobinę mglistego światła.

Zając odwrócił się do Krogulca i ponownie złapał go za rękę. Jego wargi poruszyły się, wreszcie wyjąkał:

– Smok... smok...

Krogulec nie odpowiedział, spoglądając mu prosto w oczy.

– Nie potrafię już mówić – rzekł Zając i wypuściwszy rękę przybysza, skulił się na nagiej podłodze, płacząc.

Mag ukląkł obok niego i powiedział coś cicho w Starej Mowie. Arren czuwał przy zamkniętych drzwiach, z dłonią na rękojeści sztyletu. Szare światło, zakurzony pokój, dwie klęczące postaci, dziwny łagodny głos czarnoksiężnika przemawiającego w języku smoków – wszystko to razem połączyło się niczym sen, niezwiązany z tym, co działo się na zewnątrz, niepomny upływającego czasu.

Powoli Zając wstał, zdrową ręką otrzepał kolana i ukrywając kikut za plecami, rozejrzał się wokół. Spojrzał na Arrena; teraz już widział to, na co patrzył. Po chwili odwrócił się i usiadł na sienniku. Arren pozostał na swym posterunku przy drzwiach, natomiast Krogulec, z prostotą człowieka, który przeżył dzieciństwo bez żadnych zbędnych sprzętów, usiadł na gołej podłodze, krzyżując nogi.

– Opowiedz mi, jak straciłeś swą sztukę i słowa, które nią rządzą – poprosił.

Przez jakiś czas Zając nie odpowiadał. Zaczął uderzać kikutem okaleczonej ręki o udo, wybijając niespokojny, szarpany rytm. Wreszcie z jego ust buchnął gwałtowny potok słów:

– Obcięli mi rękę. Nie mogę tkać zaklęć. Obcięli mi rękę. Krew wypłynęła, zaschła.

– Ale to musiało się stać już po tym, jak straciłeś moc, Zajęcu. W przeciwnym razie nie zdołaliby tego zrobić.

– Moc...

– Władzę nad wiatrami, falami i ludźmi. Nazywałeś rzeczy ich prawdziwym imieniem, a one były ci posłuszne.

– Owszem, pamiętam czasy, kiedy żyłem – rzekł Zając cichym ochrypłym głosem. – Wówczas znałem słowa i imiona...

– Czy teraz jesteś martwy?

– Nie. Żywy. Żywy. Tyle że kiedyś byłem smokiem... Nie jestem martwy. Czasami sypiam. Wszyscy wiedzą, że sen to prawie śmierć. Martwi przychodzą we śnie, każdy to wie. Przychodzą do ciebie niczym żywi ludzie i mówią. Przenikają ze śmierci w sen. Istnieje przejście. A jeśli dojdziesz dostatecznie daleko, znajdziesz powrotną drogę. Prawdziwą drogę. Możesz ją znaleźć, jeśli będziesz wiedział, gdzie szukać. I jeśli zgodzisz się zapłacić cenę.

– Jaka to cena? – Głos Krogulca unosił się w mrocznym powietrzu niczym cień opadającego liścia.

– Życie – cóż innego? Czym możesz okupić życie, jeśli nie życiem? – Zając zakołysał się na sienniku. W jego oczach zapłonął przebiegły, nieprzyjemny błysk. – Widzisz? Obcięli mi rękę. Mogą mi obciąć głowę, to nieważne. Potrafię znaleźć drogę powrotną. Wiem, gdzie należy szukać. Tylko ludzie obdarzeni mocą mogą tam dotrzeć.

– Chodzi ci o czarnoksiężników?

– Tak. – Zając się zawahał; kilka razy próbował wymówić to słowo, ale nie potrafił. – Ludzie obdarzeni mocą – powtórzył. – Więc muszą z niej zrezygnować, zapłacić.

Nagle sposępniał, jakby słowo „zapłacić” przywołało jakieś skojarzenia. Najwyraźniej uświadomił sobie, że zamiast sprzedawać informacje, oddaje je za darmo. Nic więcej nie zdołali z niego wydobyć. Żadnych nowych aluzji ani półsłówek dotyczących „powrotnej drogi”, która wyraźnie zainteresowała Krogulca. Po krótkim czasie mag wstał.

– Cóż, niepełna odpowiedź jest lepsza niż żadna – rzekł. – I to samo dotyczy zapłaty. – Zręcznie niczym sztukmistrz wyciągnął skądś

sztukę złota i rzucił na siennik.

Zając podniósł ją i gwałtownie przeniósł wzrok z monety na Krogulca, potem na Arrena.

– Zaczekaj – wyjąkał. Teraz rozpaczliwie szukał właściwych słów. – Dziś wieczór – powiedział w końcu. – Zaczekaj. Dziś wieczór. Mam hazię.

– Nie potrzebuję jej.

– Żeby ci pokazać... pokazać ci drogę. Wieczorem. Zabiorę cię. Pokażę ci. Możesz tam dojść, ponieważ jesteś... jesteś... – Zmagał się z sobą, póki Krogulec nie dokończył:

– Jestem czarnoksiężnikiem.

– Tak! Więc możemy tam dotrzeć... aż do drogi. Kiedy zasnę. We śnie. Rozumiesz? Zabiorę cię. Pójdziesz ze mną... aż do drogi.

Krogulec stał zamyślony pośrodku ciemnego pokoju.

– Może – stwierdził wreszcie. – Jeśli przyjdziemy, zjawimy się o zmroku. – Odwrócił się do Arrena, który natychmiast otworzył drzwi i z ulgą opuścił skromną izbę.

Po sypialni Zająca wilgotna, mroczna ulica wydawała się piękna niczym ogród. Najkrótszą drogą – stromymi kamiennymi schodami pomiędzy porośniętymi bluszczem murami domów – wspięli się do wyższej części miasta. Arren odetchnął głęboko niczym morski lew.

– Brrr! Naprawdę zamierzasz tam wrócić?

– Cóż, zrobię to, jeśli nie zdołam dowiedzieć się czegoś z mniej niebezpiecznego źródła. Myślę, że Zając zastawi na nas pułapkę.

– Ale czy nie jesteś chroniony przed złodziejami i tak dalej?

– Chroniony? – spytał Krogulec. – Co masz na myśli? Uważasz, że chodzę po świecie spowity w zaklęcia niczym stara kobieta lękająca się reumatyzmu? Nie mam na to czasu. Odmieniam swoją twarz, aby ukryć przed innymi cel naszej wyprawy. To wszystko. Możemy pilnować się nawzajem, niemniej jednak podczas tej podróży nie zawsze zdołamy uniknąć niebezpieczeństwa.

– Oczywiście, że nie – odparł sztywno Arren. Słowa Arcymaga boleśnie zraniły jego dumę. – Nie miałem takiego zamiaru.

– Całe szczęście – odparł mag niewzruszony.

W jego głosie zabrzmiała jednak weselsza nuta, która złagodziła gniew chłopca. Arrena zdumiał własny gniew. Nigdy nie sądził, że ośmieliłby się odezwać do Arcymaga takim tonem. Ale też człowiek obok był i jednocześnie nie był Arcymagiem – ów Jastrząb o zadartym nosie i nieogolonych policzkach, którego głos należał czasem do jednego mężczyzny, a czasem do drugiego. Kogoś obcego, komu nie można ufać.

– Czy to, co ci powiedział, ma jakiś sens? – spytał Arren, nie zachwycała go bowiem perspektywa powrotu do owego mrocznego pomieszczenia nad cuchnącą rzeką. – Cała ta gadanina o życiu i śmierci, o powrocie nawet z obciętą głową.

– Nie wiem, czy kryje się w tym głębsze znaczenie. Chciałem pomówić z czarnoksiężnikiem, który utracił swą moc. On jednak twierdzi, że jej nie stracił, ale oddał. Przehandlował. W zamian za co? Życie za życie, powiedział, moc za moc. Nie. Nie rozumiem tego, ale uważam, że warto go wysłuchać.

Niezłomny rozsądek Krogulca jeszcze bardziej zawstydził Arrena. Chłopca ogarnęła skrucha i dziecinne podenerwowanie. Zając fascynował go, teraz jednak, gdy ów czar został złamany, czuł niesmak i obrzydzenie, jakby zjadł coś wstrętnego. Postanowił się nie odzywać, póki nie opanuje złości. Chwilę później potknął się na śliskich stopniach i o mało nie upadł, w ostatnim momencie odzyskał równowagę, boleśnie ocierając obie dłonie.

– Co za przeklęte miasto! – wykrzyknął w gniewie, mag zaś odparł sucho:

– I to bardziej niż myślisz.

Istotnie, w Hort było coś nie tak. Jakieś zło kryło się w powietrzu, naprawdę można było pomyśleć, iż obłożono je klątwą. A jednak nie wyczuwali obecności czegoś, raczej nieobecność; ogólne osłabienie przypominające chorobę, która wkrótce dotyka ducha każdego nowego gościa. Nawet ciepło południowego słońca było dziwnie niezdrowe, zbyt mocne jak na marzec. Na placach i ulicach roiło się od kupujących i sprzedających, a jednak brakowało atmosfery dobrobytu. Towary były mizerne, ceny wysokie, rynki zaś niebezpieczne – zarówno dla kupców, jak i dla klientów. Wszędzie krążyli złodzieje i bandy rzezimieszków. Na ulicach widziało się

niewiele kobiet, a i te nieliczne chodziły w większych grupkach. Znaleźli się w mieście bez praw i władzy. Rozmawiając z ludźmi, Arren i Krogulec odkryli wkrótce, że w Hort nie pozostał żaden radca, burmistrz czy też władca. Część ludzi, niegdyś kierujących miastem, umarła, inni zrezygnowali, jeszcze inni zostali zamordowani. Poszczególnymi dzielnicami rządzili drobni wodzowie, strażnicy portowi kierowali przystanią, napychając przy okazji kieszenie, i tak dalej.

Miasto utraciło swoje serce. Ludzie krzątali się wokół bez celu. Rzemieślnikom brakło woli, by dobrze pracować. Nawet rabusie kradli tylko dlatego, że nie umieli inaczej zarobić na życie. Pozornie w Hort pozostały piękno i awanturniczy duch wielkiego portowego miasta, jednakże po bokach kryli się siedzący bez ruchu zjadacze hazi. Pod powierzchnią pogodnej iluzji zaś wszystko zdawało się dziwnie nierzeczywiste, nawet twarze, dźwięki, zapachy. Podczas tego długiego ciepłego popołudnia, kiedy Krogulec i Arren wędrowali po ulicach Hort i rozmawiali z coraz to nowymi ludźmi, wszystko wokół nieraz bladło nagle. Następowało to bardzo szybko. Pasiaste płócienne dachy, brudny bruk, barwne ściany i ożywiony tłum znikały, pozostawiając senne miasto, puste i przerażające w migotliwych promieniach słońca.

Dopiero na szczycie najwyższego ze wzgórz, gdzie odpoczęli późnym popołudniem, zdołali otrząsnąć się z niemiłego sennego nastroju.

– Nie jest to miasto, w którym można liczyć na łut szczęścia – orzekł Krogulec parę godzin wcześniej, a teraz, po całym dniu bezcelowej wędrówki i bezowocnych rozmów z nieznajomymi wyglądał na zmęczonego i przygnębionego. Iluzja, jaką utkał wokół siebie, nieco osłabła – spod pogodnej twarzy kupca wyzierało mroczne, zasępione oblicze.

Arren nie potrafił otrząsnąć się z porannego podenerwowania. Usiedli obok siebie na szorstkiej trawie w cieniu pendikowego zagajnika. Nad ich głowami szumiały ciemne liście, wśród których rozkwitały krwiste pąki. Z tego miejsca nie widzieli samego miasta, jedynie łupkowe dachy opadające rzędami w stronę morza. Zatoka szeroko rozwierała ramiona, błękitna niczym farbka, okryta welonem

lekkiej wiosennej mgiełki. Hen, w dali, wody łączyły się z powietrzem. Nie widzieli żadnych wyraźnych linii, żadnych granic. Trwali bez ruchu, spoglądając w nieskończoną błękitną przestrzeń. Umysł Arrena pojaśniał, otwierając się na spotkanie świata.

Kiedy poszli zaczerpnąć wody z niewielkiej strugi spływającej po brązowych kamieniach ze źródła ukrytego w ogrodzie na wzgórzu, Arren pociągnął głęboki łyk, po czym wsunął głowę w lodowaty nurt. Wyprostowawszy się, wydeklamował fragment *Czynów Morreda*:

Chwała fontannom z Shelieth, srebrzystej harfie wód,
Lecz błogosławiony na wieki pragnienie gaszący strumień!

Krogulec roześmiał się i chłopak także odpowiedział śmiechem. Potrząsnął głową niczym pies; deszcz kropel zamigotał w ostatnich promieniach słońca.

Musieli opuścić zagajnik i znów zagłębić się w plątaninę ulic. A kiedy przystanęli przy kramie z tłustymi rybimi plackami, w powietrzu czuło się już noc. W wąskich zaułkach zalegały pokłady ciemności.

– Lepiej już chodźmy, chłopcze – powiedział Krogulec.

– Do łodzi? – spytał Arren. Wiedział jednak, że nie wracają na przystań, lecz do domu nad rzeką i pustego, zakurzonego, przerażającego pokoju.

Zając czekał na nich w drzwiach.

Zapalił lampę olejną, przyświecając im podczas wspinaczki po czarnych skrzypiących schodach. Mały płomyk drżał bezustannie, rzucając na ściany wielkie niespokojne cienie.

Okaleczony mag przygotował dla swych gości drugi siennik, jednakże Arren nie skorzystał z zaproszenia, zajął miejsce na podłodze przy drzwiach. Drzwi otwierały się na zewnątrz i aby ich strzec, powinien właściwie usiąść w korytarzu, jednak nie zniósłby wszechogarniających ciemności. Poza tym pragnął mieć oko na Zająca. Uwaga Krogulca, a zapewne też i moc miały się skupić na tym, co pokaże mu kaleka. Arren musiał uważać, czy nie kryje się w tym jakiś podstęp.

Zając trzymał się prosto, prawie nie dygotał; wyczyścił usta i zęby. Z początku przemawiał całkiem sensownie, choć z jego słów przebijało podniecenie. Oczy w blasku lampy miał tak ciemne, że przypominały niemal oczy zwierząt, zupełnie pozbawione białek. Usilnie namawiał Krogulca do zażycia hazi.

– Chcę cię zabrać. Zabrać ze sobą. Musimy pójść tą samą drogą. Wkrótce wyruszam, czy będziesz gotowy, czy nie. Musisz żuć hazię, aby mnie nie zgubić.

– Sądzę, że zdołam pójść za tobą.

– Nie tam, dokąd idę. To nie jest... rzucanie zaklęć. – Zając zdawał się niezdolny do wymówienia słów „magia" bądź „czary". – Wiem, że potrafisz dotrzeć do... no, wiesz, muru. Ale to nie tam. Wybierzemy inną drogę.

– Jeśli ty pójdziesz, ja podążę za tobą.

Zając potrząsnął głową. Na jego niegdyś przystojną, wyniszczoną twarz wypłynął niezdrowy rumieniec. Często oglądał się na Arrena, jakby chciał podkreślić, że wie o jego obecności.

– Istnieją dwa rodzaje ludzi, prawda? My i pozostali. Smoki i inni. Ludzie pozbawieni mocy żyją tylko połowicznie. Oni się nie liczą. Nie wiedzą, o czym śnią, lękają się ciemności. Ale my, władcy ludzi, nie boimy się mroku. Mamy przecież siłę.

– Tak długo, jak długo znamy imiona wszystkiego.

– Ale tam imiona nie są ważne. O to właśnie chodzi! Tam nie potrzebujesz tego, co robisz, czego się nauczyłeś. Zaklęcia nie zdają się na nic. Musisz zapomnieć o wszystkim, uwolnić się. Po to właśnie żujemy hazię. Pomaga nam zapomnieć imiona, odrzucić zewnętrzne formy rzeczy i ujrzeć je takie, jakie są w swej istocie. Wkrótce wyruszam. Jeśli chcesz dowiedzieć się dokąd, powinieneś posłuchać mej rady. Mówię to, co on każe. Trzeba być władcą ludzi, aby zapanować nad życiem. Musisz odkryć tajemnicę. Mógłbym zdradzić ci jej imię, ale czymże jest imię? Ułudą; nie jest prawdziwe, prawdziwe na wieki. Smoki nie mogą tam pójść. Smoki umierają. Wszyscy umierają. Zażyłem dziś wieczór tak wiele, że nigdy mnie nie dościgniesz. Nie dasz rady. Jeśli zabłądzę, ty mnie poprowadzisz. Pamiętasz tajemnicę? Pamiętasz? Nie ma śmierci. Nie ma, nie! Koniec z przepoconą pościelą i gnijącą trumną, już nigdy więcej.

Krew rozsypuje się w pył niczym sucha rzeka i znika. Nie ma strachu. Nie ma śmierci. Imiona odeszły, podobnie świat i strach. Pokieruj mną, jeśli się zgubię, wskaż mi drogę, panie...

I tak dalej, i tak dalej... z jego ust wylewał się chaotyczny potok słów przypominający śpiewne zaklęcia, jednakże oderwane wyrazy nie łączyły się w całość, nie było w nich sensu. Arren słuchał, wytężając umysł, usiłując zrozumieć. Gdyby tylko potrafił pojąć, co się dzieje! Krogulec powinien posłuchać Zająca i ten jeden raz zażyć korzeń, aby poznać tajemnicę, której tamten człowiek nie potrafił opisać. W końcu po to tu przybyli. Choć z drugiej strony (Arren przeniósł wzrok z ekstatycznie uśmiechniętej twarzy Zająca na profil swego towarzysza) możliwe, że czarnoksiężnik już wiedział. Jego oblicze było twarde jak kamień. Gdzie się podział zadarty nos, poczciwa obojętna mina? Kupiec Jastrząb zniknął. W nędznej izbie siedział czarnoksiężnik, Arcymag.

Zając mamrotał śpiewnie; siedząc ze skrzyżowanymi nogami, kołysał się monotonnie w przód i w tył. Jego twarz przecinały głębokie bruzdy, szczęka opadła w bezmyślnym grymasie. Czuwający naprzeciw niego mag, oświetlony jasnym płomyczkiem lampy olejnej postawionej na podłodze między nimi, nie odezwał się ani słowem, lecz wyciągnął rękę i ujął dłoń Zająca. Arren widział splecione dłonie, choć moment, gdy się zetknęły, umknął jego uwagi. W rozgrywającym się przed nim widowisku pojawiały się przerwy, plamy nieistnienia – zapewne sprawiła to senność. Z pewnością minęło już wiele godzin, odkąd przybyli do tego domu; zbliżała się północ. Gdyby zasnął, czy i on mógłby podążyć w ślad za Zającem w głąb jego snu i dotrzeć do miejsca, gdzie czekała tajemnica? Możliwe. W tej chwili wydawało mu się to całkiem prawdopodobne. Ale jego zadaniem było strzec drzwi. Choć nie rozmawiali o tym z Krogulcem, obaj zdawali sobie sprawę, że Zając, umawiając się z nimi na wieczór, mógł zaplanować zasadzkę. Był kiedyś piratem i znał miejscowych rabusiów. Arren wiedział, że musi stać na straży, bo gdy mag wyruszył w dziwną podróż do świata duchów, stał się zupełnie bezbronny. Chłopak wyrzucał sobie, że jak głupiec zostawił miecz w łodzi. Na co zdałby się nóż, gdyby drzwi nagle otwarły się za jego plecami? Ale do tego nie dojdzie, pocieszał się, nasłuchując.

Zając skończył już swoją tyradę. Obaj mężczyźni milczeli. W całym domu panowała cisza. Nikt nie zdołałby wspiąć się po skrzypiących schodach, nie czyniąc przy tym hałasu. Usłyszawszy coś podejrzanego, Arren mógł podnieść alarm, wykrzyknąć coś głośno, wyrywając Krogulca z transu, a wówczas mag obroniłby ich siłą potężnej magii... Kiedy usiadł przy drzwiach, Krogulec zerknął na niego z aprobatą. Aprobatą i ufnością. Arren był ich strażnikiem. Póki pełnił wartę, nie groziło im żadne niebezpieczeństwo. Trudno jednak było obserwować te dwie twarze i jasną perłę płomyka lampy połyskującą nad podłogą. Obaj mężczyźni milczeli; trwali nieruchomo z otwartymi oczami, które nie widziały światła, brudnej izby, prawdziwego świata, ale krainę snów albo śmierci... trudno było na nich patrzeć i nie pójść w ich ślady.

Gdzieś w głębi rozległej suchej ciemności pojawiła się postać wzywająca go gestem. Chodź, powiedział wysoki władca cieni. W dłoni trzymał maleńki płomyczek, nie większy niż perła. Wyciągnął go do Arrena, ofiarowując mu życie, i chłopiec powoli ruszył w jego stronę.

4

Magiczne światło

Suchość, w ustach czuł suchość. I kurz, duszący pylisty smak. Jego wargi pokrywał pył.

Nie unosząc głowy z podłogi, obserwował grę cieni. Widział wielkie ciemne plamy śmigające wokół i zatrzymujące się nagle, rosnące i malejące. Ich słabsi pobratymcy tańczyli po suficie, jakby szydząc z przybyszów. W rogu spoczywał kolejny cień i jeszcze jeden na środku podłogi; żaden z tych dwóch się nie poruszał.

Arren poczuł ból w potylicy. Równocześnie jednak w nagłym przebłysku pojął, co widzi, jakby świat na sekundę zamarł przed jego oczami: Zając skulony w kącie z głową na kolanach, Krogulec rozciągnięty na plecach, klęczący nad nim mężczyzna wrzucający do torby sztuki złota. Inny napastnik w jednej dłoni trzymał latarnię, a w drugiej długi nóż – sztylet Arrena.

Jeśli nawet coś mówili, on ich nie słyszał. Skupił się na swych myślach, które natychmiast, bez najmniejszego wahania, podpowiedziały mu, co ma robić. Usłuchał bez zastanowienia. Bardzo wolno popełzł naprzód, gwałtownie wysunął lewą rękę i złapał torbę z łupem, po czym zerwał się na nogi i z ochrypłym wrzaskiem skoczył w stronę schodów. Popędził w dół w oślepiającej ciemności, ani na moment nie tracąc równowagi. Nie czuł nawet stopni pod nogami, zupełnie jakby unosił się w powietrzu. Wypadł na ulicę i pobiegł w mrok.

Wokół wznosiły się masywne bryły domów, czarne na tle nocnego nieba. Po prawej stronie wody rzeki połyskiwały słabo w blasku gwiazd. Choć nie wiedział, dokąd prowadzą ulice, dostrzegł skrzyżowanie, skręcił więc, gwałtownie przyspieszając kroku. Ścigali go. Słyszał ich za sobą, niedaleko. Biegli boso i ich oddechy były głośniejsze niż tupot stóp. Roześmiałby się, gdyby starczyło mu na to czasu. Wiedział wreszcie, jak to jest być ściganym, a nie myśliwym; ofiarą, a nie przywódcą pościgu. Oznaczało to wolność i swobodę. Ostro skręcił w prawo i schylony śmignął przez wysoki most. Wśliznął się w boczną uliczkę, zawrócił w stronę rzeki i pobiegł wzdłuż jej brzegu, aż do kolejnego mostu. Jego buty z donośnym łoskotem uderzały o bruk. Był to jedyny dźwięk, jaki rozlegał się w milczącym mieście. Arren przystanął przy filarze mostu, usiłując rozwiązać sznurówki, jednakże węzły były mocno zaciągnięte, a pościg nadal podążał jego tropem. Przez moment na falach rzeki rozbłysło światło latarni, towarzyszył mu miękki ciężki tupot bosych stop. Arren nie mógł zgubić swoich prześladowców. Pozostawało mu jedynie ich prześcignąć; biec naprzód, ciągle naprzód, odciągając ich coraz dalej od nędznej cichej izby...

Wcześniej, oprócz sztyletu, odebrali mu także płaszcz, toteż Arren został w samej koszuli. Było mu lekko i gorąco, w głowie wirowały rozproszone myśli, ból w tyle czaszki dawał o sobie znać ostrym ukłuciem przy każdym kroku. Arren biegł... Niesiona w ręce torba przeszkadzała mu coraz bardziej. Nagle cisnął ją za siebie. Z worka wyleciała sztuka złota i z dźwięcznym brzękiem upadła na kamienie.

– Weźcie sobie wasze pieniądze! – ryknął ochryple, zdyszany. Biegł dalej. I nagle ulica się skończyła. Nie dostrzegł żadnego skrzyżowania, żadnych gwiazd przed sobą, jedynie ślepy zaułek. Nie zastanawiając się, zawrócił i popędził w przeciwną stronę. Przed jego oczami zakołysała się latarnia. Chłopak krzyknął coś wyzywająco i wpadł na swych prześladowców.

***

Lampa kołysała się miarowo – słaba iskierka światła w rozległej ruchomej szarości. Obserwował ją przez dłuższy czas. Stopniowo słabła, aż wreszcie padł na nią cień, a kiedy zniknął, światło odeszło wraz z nim. Arren żałował go przez jakiś czas, a może żal mu było samego siebie, albowiem wiedział, że musi się ocknąć.

Zgaszona lampa nadal wisiała na maszcie, do którego ją przymocowano. Wszędzie wokół morze jaśniało w promieniach wschodzącego słońca. Miarowo huczał bęben. Wiosła skrzypiały nisko, rytmicznie, drewniane poszycie statku jęczało, szepcząc tysiącem cichych głosów. Człowiek na dziobie zawołał coś do pozostałych marynarzy. Skuci ludzie milczeli. Talię każdego opasywała żelazna obręcz, przeguby obejmowały kajdany. Więzy te były połączone krótkim ciężkim łańcuchem z więzami następnego nieszczęśnika; każdy pas zamocowano także do uchwytu w pokładzie, toteż więźniowie mogli siedzieć bądź kucać, ale nie wstać. Byli zanadto stłoczeni, by leżeć, upchnięci w niewielkiej ładowni. Arren tkwił w kącie przy lewej burcie. Kiedy wysoko unosił głowę, jego oczy spoglądały na wąski kawałek pokładu pomiędzy ładownią a relingiem.

Nie pamiętał zdarzeń ostatniej nocy, oprócz pościgu i ślepego zaułka. Walczył, został ogłuszony, skrępowany i zawleczony do jakiejś kryjówki. Jak przez mgłę słyszał niesamowity świszczący szept; znajdowali się w miejscu przypominającym kuźnię, ogień na palenisku zapłonął nagłą czerwienią... Nie mógł sobie nic więcej przypomnieć. Wiedział tylko, że trafił na statek niewolników i wiozą go gdzieś na sprzedaż.

Niewiele go to obchodziło. Był zanadto spragniony. Ciało miał obolałe, w głowie tętnił tępy ból. Jaskrawy blask wschodzącego słońca raził w oczy.

Późnym rankiem więźniom podano chleb, ćwiartkę bochenka każdemu. Do tego pozwolono im pociągnąć długi łyk ze skórzanego bukłaka trzymanego przez mężczyznę o ostrej twardej twarzy. Jego szyję obejmował szczelnie szeroki skórzany pas nabity ćwiekami, przypominający psią obrożę, a kiedy nieznajomy coś powiedział, Arren natychmiast rozpoznał ów słaby, świszczący głos.

Woda i chleb dodały mu nieco sił i rozjaśniły umysł. Po raz pierwszy spojrzał na twarze swych współtowarzyszy, trzech w tym samym rzędzie i czterech tuż za nimi. Niektórzy siedzieli z głowami wspartymi na uniesionych kolanach, jeden kulił się, chory bądź nieprzytomny. Najbliższy sąsiad Arrena miał najwyżej dwadzieścia lat i okrągłą płaską twarz.

– Dokąd nas zabierają? – spytał Arren.

Młodzieniec wzruszył ramionami. Z początku Arren sądził, że ma to oznaczać, iż nie wie, po chwili jednak tamten szarpnął swymi skutymi rękami i szeroko otworzył usta, ukazując poczerniały szczątek języka.

– Pewnie do Showl – odparł więzień siedzący za plecami Arrena.

Jego sąsiad dodał:

– Albo na targowisko w Amrun.

Nagle mężczyzna w obroży, który zdawał się wszechobecny, nachylił się nad włazem ładowni i syknął:

– Milczeć, jeśli nie chcecie stać się strawą dla rekinów.

Zapadła cisza.

Arren usiłował wyobrazić sobie Showl i targowisko w Amrun. Sprzedawali tam niewolników. Zapewne ustawiano ich przed grupką kupujących niczym krowy bądź barany na jarmarku w Berili. Będzie tam stał, zakuty w łańcuchy, ktoś go kupi, zaprowadzi do domu i wyda mu rozkaz, on zaś wysłucha bądź odmówi jego wykonania albo też spróbuje uciec. Tak czy inaczej w końcu zginie. Jego dusza nie buntowała się nawet na myśl o niewoli, był na to zbyt obolały i oszołomiony. Po prostu wiedział, że nie zdoła tego znieść, że w ciągu tygodnia lub dwóch umrze lub zostanie zabity. I choć akceptował ten fakt, sama myśl jednak przerażała go, porzucił zatem rozważania na temat własnej przyszłości. Spuścił wzrok na brudne czarne poszycie ładowni pomiędzy stopami. Na nagich ramionach czuł palące dotknięcie słońca. Ślina w ustach zaschła, gardło znów powoli zaciskało się z pragnienia.

Wreszcie słońce zaszło. Nastała pogodna zimna noc. Na niebie pojawiły się białe iskierki gwiazd. Bęben dudnił niczym znużone serce, narzucając rytm wioślarzom. Powietrzem nie poruszał nawet najmniejszy powiew wiatru. Teraz chłód stał się najgorszym wrogiem

więźniów. Na szczęście plecy Arrena rozgrzały się nieco od podkurczonych nóg siedzącego za nim mężczyzny, lewy bok osłaniał mu niemowa, który zgarbiony mamrotał rytmicznie na jedną nutę. Wioślarze się zmienili, bęben huczał dalej. Arren tęsknił za ciemnością, ale nie mógł spać. Bolały go kości, lecz nie zdołał zmienić pozycji. Siedział zdrętwiały, spoglądał w gwiazdy, które z każdym uderzeniem wioseł drgały na niebie, przesuwały się na nowe miejsca i zamierały, po czym wszystko powtarzało się od początku...

Człowiek w obroży i jeszcze jeden mężczyzna stali pomiędzy lukiem ładowni a masztem; mała rozkołysana latarnia rzucała promienie światła na pokład i oświetlała zarys ich postaci.

– Mgła, ty świński pęcherzu! – syknął słaby nienawistny głos mężczyzny w obroży. – Co robi mgła o tej porze w Południowych Cieśninach? Przeklęty pech!

Bęben dudnił, gwiazdy podskakiwały, przesuwały się i nieruchomiały. Obok Arrena pozbawiony języka więzień zadrżał nagle i unosząc głowę, wydał z siebie koszmarny nieartykułowany krzyk.

– Cisza tam! – ryknął drugi mężczyzna spod masztu. Niemowa zadrżał ponownie i ucichł, zaciskając szczęki.

Powoli szara nicość pochłonęła gwiazdy. Maszt rozmył się i zniknął. Zimny szary płaszcz mgły opadł na plecy Arrena. Bęben zamilkł na moment, po czym niepewnie podjął przerwany rytm.

– Gęsta jak zsiadłe mleko – powiedział szorstki głos w górze. – Nie zwalniać tempa! W promieniu dwudziestu mil nie ma żadnej mielizny. – Z mgły wynurzyła się zrogowaciała, pokryta bliznami stopa, która zamarła o włos od twarzy Arrena, po czym zniknęła.

Szara zasłona sprawiła, że stracili wrażenie poruszania się do przodu, pozostały jedynie kołysanie i szarpnięcia wioseł. Łoskot bębna zdawał się dochodzić z ogromnej odległości. Było przejmująco zimno. Woda, skraplająca się na włosach Arrena, zaczęła ściekać mu do oczu. Usiłował pochwycić krople językiem, wciągał w usta wilgotne powietrze, próbując zaspokoić pragnienie. Cały czas szczękał zębami. Lodowaty rozkołysany łańcuch muskał mu udo,

paląc jak ogień za każdym dotknięciem. Bęben dudnił coraz wolniej, aż wreszcie zamilkł zupełnie.

Zapadła cisza.

– Nie przestawać! Co jest?! – ryknął świszczący głos z dziobu.

Nikt nie odpowiedział. Statek sunął jeszcze przez chwilę na nieruchomym morzu. Za niewyraźnymi relingami rozciągała się nicość, pustka. Coś zgrzytnęło o boki galery. Dźwięk zabrzmiał ogłuszająco w martwej niesamowitej ciszy i mroku.

– Wpadliśmy na mieliznę – szepnął jeden z więźniów, ale zaraz umilkł, oszołomiony ciszą.

Nagle mgła pojaśniała, jakby rozkwitło w niej światło. Arren ujrzał głowy pozostałych więźniów, w ich włosach połyskiwały kropelki wilgoci. Statek ponownie się zakołysał i chłopak wyprostował się na tyle, na ile pozwalały mu łańcuchy, wyciągając szyję, by dojrzeć, co dzieje się na pokładzie. Mgła jarzyła się wokół zimnym blaskiem niczym księżyc za cienką warstwą chmur. Wioślarze tkwili bez ruchu jak wyrzeźbieni z kamienia. Marynarze zastygli, ich oczy połyskiwały. Tuż przy lewej burcie stał mężczyzna i z niego właśnie promieniowało światło, z jego twarzy, rąk i laski płonącej niczym rozżarzone srebro.

U stóp jaśniejącej postaci przycupnął cień, skulony ciemny kształt.

Arren usiłował coś powiedzieć, nie mógł jednak wykrztusić ani słowa. Arcymag w majestacie światła podszedł do niego, ukląkł na deskach. Chłopiec poczuł dotknięcie jego ręki i usłyszał głos. Rozpadły się metalowe kajdany i łańcuchy, w całej ładowni rozległ się ogłuszający łoskot metalu, ale nikt się nie poruszył. Tylko Arren usiłował wstać, był jednak zanadto odrętwiały po długim siedzeniu bez ruchu. Mocna dłoń Arcymaga zacisnęła się na ramieniu chłopca, który wsparty na silnej męskiej ręce wyczołgał się w końcu z ładowni i przykucnął na pokładzie.

Arcymag odszedł od niego. Mglista poświata oświetliła nieruchome twarze wioślarzy. W końcu czarnoksiężnik przystanął obok mężczyzny skulonego przy lewym relingu.

– Nie przybywam tu, by karać – oznajmił twardy czysty głos, zimny jak magiczne światło we mgle. – Aby jednak sprawiedliwości

stało się zadość, Egre, odbieram ci dar mowy do dnia, póki nie znajdziesz słowa wartego wypowiedzenia.

Czarnoksiężnik wrócił do Arrena i pomógł mu wstać.

– Chodź, chłopcze – rzekł.

Z jego pomocą Arren zdołał pokuśtykać naprzód i na wpół zsunąć się, na wpół wpaść do łodzi kołyszącej się tuż przy burcie statku. To było „Bystre Oko", jego żagiel przypominał we mgle aksamitne skrzydło ćmy.

W tej samej martwej ciszy światło przygasło i łódź odłączyła się od burty statku. Niemal natychmiast potężna sylwetka galery ze słabą latarnią na maszcie i nieruchomymi wioślarzami zniknęła bez śladu. Arrenowi wydawało się, że słyszy odległe krzyki, jednakże wkrótce dźwięk rozpłynął się w mroku. Po jakimś czasie mgła zaczęła rzednąć i rwać się na długie pasma, odsłaniając niebo. Wypłynęli na morze pod gwiazdami. „Bystre Oko", ciche jak ćma, śmigało naprzód w pogodną noc.

Krogulec okrył Arrena kocami i dał mu wody; usiadł obok, a kiedy chłopiec rozpłakał się nagle, położył mu dłoń na ramieniu. Nie odezwał się ani słowem, lecz w dotknięciu jego ręki kryły się troska i pociecha. Wkrótce Arren poczuł się lepiej. Sprawiły to ciepło, łagodny ruch łodzi i spokój wlewający się do serca.

Spojrzał na Arcymaga. Ciemna twarz nie promieniała już nieziemskim światłem, ledwie dostrzegał jej rysy na tle gwiaździstego nieba.

Łódź pędziła naprzód, wiedziona zaklęciem. Zdumione fale szeptały wokół niej.

– Kim jest ten człowiek w obroży?

– Leż spokojnie. To morski rabuś, Egre. Nosi ją, aby ukryć bliznę. Kiedyś poderżnięto mu gardło. Wygląda na to, że zaniechał piractwa i zajął się handlem niewolnikami, jednakże tym razem trafiło mu się wilcze szczenię. – W suchym spokojnym głosie zabrzmiała lekka nutka satysfakcji.

– Jak mnie znalazłeś?

– Czarami, przekupstwem... Traciłem tylko czas. Nie chciałem, aby ludzie wiedzieli, że Arcymag, Strażnik Roke, węszy w ubogiej dzielnicy miasta Hort. Żałuję, że odrzuciłem przebranie. Musiałem

jednak odszukać parę osób, a kiedy wreszcie odkryłem, że galera z niewolnikami wypłynęła z portu przed świtem, straciłem cierpliwość. Wezwałem „Bystre Oko” i w martwej ciszy przemówiłem do wiatru w jego żaglu. Unieruchomiłem też wiosła wszystkich okrętów w zatoce – na jakiś czas. Ich problem, jak to wyjaśnią, skoro czary to tylko kłamstwa i czcze sztuczki. Jednakże w pośpiechu i gniewie wypłynąłem za daleko, wyprzedzając statek Egrego, który popłynął na południowy wschód, aby ominąć mielizny. Przez cały dzień wszystko szło mi jak najgorzej. W Hort nikomu nie dopisuje szczęście... No cóż, wreszcie rzuciłem zaklęcie Odnajdywania i w ciemności dotarłem do statku. Czy nie powinieneś się przespać?

– Nie jestem śpiący. Czuję się już znacznie lepiej. – Lekka gorączka zastąpiła niedawne dreszcze i Arren istotnie poczuł się lepiej. Choć ciało miał nadal słabe i ociężałe, jego umysł się ożywił; myśli wirowały szaleńczo. – Jak szybko się ocknąłeś? Co się stało z Zającem?

– Obudziłem się o świcie. Na szczęście moja czaszka jest bardzo twarda. Za uchem mam ranę i guz jak ogórek. Kiedy odchodziłem, Zając leżał pogrążony w narkotycznym śnie.

– Zawiodłem cię...

– Ale nie dlatego, że zasnąłeś.

– Nie. – Arren zawahał się. – Ja tylko...

– Poszedłeś przede mną. Widziałem cię – odparł niezrozumiale Krogulec. – Oni zaś podkradli się i ogłuszyli nas niczym jagnięta w rzeźni. Zabrali złoto, okrycia i niewolnika, którego mogli sprzedać z zyskiem, po czym odeszli. O ciebie im chodziło, chłopcze. Na targowisku w Amrun dostaliby za ciebie równowartość sporej farmy.

– Nie uderzyli mnie dość mocno. Ocknąłem się i uciekłem. Rozsypałem też po ulicy cały ich łup, zanim mnie schwytali. – Oczy Arrenowi rozbłysły.

– Odzyskałeś przytomność, gdy tam byli, i uciekłeś? Dlaczego?

– Aby ich odciągnąć. – Zdumienie w głosie Krogulca uraziło dumę Arrena. – Sądziłem, że chodzi im o ciebie. Obawiałem się, że cię zabiją. Złapałem więc ich torbę, aby za mną pobiegli, po czym krzyknąłem i uciekłem. I rzeczywiście ruszyli w pościg.

– Rozumiem – mruknął Krogulec; z jego ust nie padło żadne słowo pochwały. Przez jakiś czas siedział pogrążony w myślach. Wreszcie rzekł: – Czy nie przyszło ci do głowy, że mogłem już nie żyć?

– Nie.

– Najpierw zabić, potem kraść – oto najbezpieczniejszy sposób.

– Nie myślałem o tym. Chciałem tylko odciągnąć ich jak najdalej.

– Czemu?

– Bo ty mógłbyś obronić nas obu, wydostać z kłopotów, gdybyś miał czas oprzytomnieć. Albo przynajmniej uciec beze mnie. Ja miałem cię strzec, ale zawiodłem. Usiłowałem to naprawić. Liczysz się tylko ty. Ja jestem tu po to, aby trzymać wartę albo uczynić, cokolwiek zechcesz; ale to ty nas prowadzisz, ty potrafisz dotrzeć tam, gdzie musimy się znaleźć, i naprawić zło, które wyrządzono.

– Naprawdę? – spytał mag. – Do wczoraj sam tak sądziłem. Uważałem, że wiozę ze sobą pomocnika, ale w istocie to ja poszedłem za tobą, mój chłopcze. – Jego głos był chłodny, pobrzmiewał w nim ton ironii.

Arren nie wiedział, co rzec. Był całkowicie zagubiony. Dotąd uważał, że jedynie odciągając rabusiów od Krogulca, zdoła naprawić swą winę. W końcu zasnął na warcie, a może zapadł w trans. Teraz wyglądało na to, że ów bohaterski czyn był w istocie głupotą, natomiast zapadnięcie w sen w nieodpowiedniej chwili stanowiło oznakę sprytu.

– Przykro mi, panie, że cię zawiodłem – powiedział w końcu sztywno, z trudem opanowując chęć płaczu. – Ty zaś ocaliłeś mi życie...

– Możliwe, że ty moje również – odparł szorstko mag. – Kto wie? Po wszystkim mogli poderżnąć mi gardło. Skończmy już z tym, Arrenie. Cieszę się, że jesteś ze mną.

Podszedł do skrzyni z zapasami, wyjął z niej maleńką kuchenkę na węgiel drzewny i zakrzątnął się przy niej. Arren leżał bez ruchu, obserwując gwiazdy. Stopniowo jego emocje opadły, myśli przestały krążyć jak oszalałe. Wreszcie pojął, że Krogulec nie chce osądzać jego postępków. Uczynił to, co uczynił, a czarnoksiężnik zaakceptował dokonany przez niego wybór. „Nie przybywam tu, by karać”, rzekł zimnym tonem do Egrego; podobnie też nie nagradzał.

A jednak przybył po Arrena w pośpiechu, pokonując morze, uwalniając dla niego całą moc swoich czarów. W razie potrzeby uczyniłby to ponownie. Można na nim polegać.

Wart był całej miłości, jaką żywił doń Arren, i całego zaufania. On także ufał Arrenowi.

Wkrótce czarnoksiężnik powrócił, podając chłopcu kubek grzanego wina.

– Może to cię uśpi. Uważaj, jeszcze oparzysz sobie język.

– Skąd wziąłeś wino? Na pokładzie nie widziałem bukłaka...

– „Bystre Oko" kryje w sobie więcej, niż można dostrzec – odparł Krogulec, siadając obok niego i Arren usłyszał w ciemności ciche parsknięcie śmiechem.

On także usiadł, aby wypić parujący trunek. Napój dodał mu sił, odświeżając ciało i umysł.

– Dokąd teraz płyniemy?

– Na zachód.

– Gdzie zaprowadził cię Zając?

– W mrok. Ani na moment nie straciłem go z oczu, on jednak zgubił drogę. Błąkał się w pobliżu najdalszych granic, na nieskończonych pustkowiach obłędu i koszmaru. W owych straszliwych krainach jego dusza zawodziła niczym ptak, jak mewa szybująca nad morzem. Słaby z niego przewodnik. Nawet kiedy dysponował jeszcze prawdziwą mocą, nigdy nie dostrzegał drogi przed sobą. Widział jedynie siebie.

Arren nie pojmował znaczenia słów czarnoksiężnika, ale też nie pragnął ich rozumieć. Na krótko zagłębił się w ciemność, o której wspominał mag, i nie chciał o tym pamiętać. To go nie dotyczyło. W istocie wolał nie spać, bał się bowiem, że we śnie znowu ujrzy ową mroczną postać, cień trzymający w dłoni perłę, szepczący „chodź ze mną".

– Panie – rzekł, gwałtownie zmieniając temat. – Czemu...

– Śpij – westchnął z rezygnacją Krogulec.

– Nie mogę, panie. Czemu nie uwolniłeś pozostałych niewolników?

– Uczyniłem to. Na statku nie pozostał nikt w więzach.

– Ale ludzie Egrego mieli broń. Gdybyś ich skrępował...

– Tak, i co wówczas? Było ich tylko sześciu. Wioślarze nie należeli do załogi; także byli niewolnikami. W tej chwili Egre i jego ludzie mogą już nie żyć albo są zakuci w kajdany i czeka ich los, jaki szykowali swoim ofiarom. Ale pozostawiłem ich wolnych, by mogli walczyć bądź dobić z nimi targu. Nie jestem łowcą niewolników.

– Wiedziałeś jednak, że to źli ludzie...

– Czy zatem miałem stać się taki jak oni? Pozwolić, by ich czyny kierowały moimi? Nie podejmę za nich decyzji, nie zgodzę się też, by to oni decydowali za mnie!

Arren zamilkł, rozważając znaczenie tych słów. Po jakimś czasie mag przemówił łagodnie:

– Zrozum, Arrenie, żaden czyn nie jest aktem samym w sobie, jak sądzą naiwni młodzieńcy. Kiedy podnosisz kamień i rzucasz nim, trafiając lub chybiając celu, nie jest to koniec całej historii. Gdy podnosisz kamień, ziemia staje się lżejsza, a twoja dłoń cięższa. Kiedy nim ciskasz, gwiazdy reagują w swym biegu. W miejscu upadku odmienia się wszechświat. Na równowagę całości składają się pojedyncze zdarzenia. Wiatry i morza, moce wód, ziemi i światła, rośliny i zwierzęta działają w obrębie Wielkiej Równowagi i to, co czynią, jest słuszne i potrzebne. Od huraganów i śpiewów wielorybów po upadek suchego liścia i lot komara – wszystko stanowi element całości. My jednak, dysponując władzą nad światem i nad sobą nawzajem, musimy uczyć się tego, co liść, wieloryb i wiatr wiedzą z natury. Musimy zachować równowagę. Ponieważ mamy rozum, nie wolno nam ulegać ignorancji. Dokonując wyboru, powinniśmy pamiętać o ciążącej na nas odpowiedzialności. Kimże jestem – choć mam stosowną moc – aby karać i nagradzać? Igrać z przeznaczeniem ludzi?

Chłopiec zmarszczył brwi.

– A zatem czy mamy utrzymywać Równowagę, nie robiąc niczego? Z pewnością człowiek musi działać, nawet jeśli nie zna wszystkich konsekwencji swych czynów.

– Nie lękaj się. Ludziom znacznie łatwiej przychodzi działanie, niż powstrzymywanie się od niego. Nadal będziemy czynić dobro i zło... Jednakże gdyby na tronie w Havnorze zasiadł król i jak za dawnych czasów poprosił o radę maga, a ja byłbym owym magiem, rzekłbym

mu: Panie mój, nie rób nic dlatego, że jest to słuszne, godne pochwały bądź uznania. Nie rób nic, nawet jeśli sądzisz, że wyniknie z tego dobro. Czyń tylko to, czego naprawdę nie zdołasz uniknąć.

W jego głosie zabrzmiały tony, które sprawiły, że Arren podniósł wzrok. Wydało mu się, że twarz Krogulca znów jaśnieje srebrzystym blaskiem. Dostrzegł orli nos, pokryty bliznami policzek, ciemne surowe oczy. Arren patrzył na niego z miłością, ale też z lękiem, myśląc: Tak bardzo nade mną góruje. Jednak w miarę jak przyglądał się magowi, zrozumiał, że jego oblicza nie oświetla magiczna poświata, że to nie chłodny czarodziejski blask podkreśla każdy rys twarzy, lecz czyni to brzask, poranna jutrzenka, zwykłe światło dnia. Istniała potęga większa niż moc Arcymaga, lata zaś nie potraktowały Krogulca łagodniej niż innych. Jego oblicze pokrywały głębokie bruzdy wieku i znużenia. Ziewnął...

I tak zatopiony w myślach Arren zapadł w końcu w spokojny sen. A Krogulec siedział obok niego, oglądając wschód słońca jak ktoś, kto bada skarb, szukając w nim błędu, wypatruje skazy w klejnocie, choroby w dziecku.

5

Morskie sny

Później tego samego ranka Krogulec uciszył wypełniający żagiel łodzi magiczny powiew i pozwolił jej płynąć z prawdziwym wiatrem, wiejącym łagodnie na południowy zachód. Daleko po prawej stronie zniknęły za horyzontem wzgórza wyspy Wathort, odległe i błękitne niczym zamglone fale nad falami.

Arren się obudził. Morze pławiło się w gorących promieniach południowego słońca, nieskończona tafla lśniła w blasku nieskończonego światła. Krogulec, siedzący u steru, był niemal nagi – miał na sobie tylko przepaskę i rodzaj turbanu z płótna żaglowego. Nucił coś cicho, uderzając dłońmi w ławkę niczym w bęben, wybijając lekki monotonny rytm. Pieśń, którą śpiewał, nie przypominała czarodziejskich zaklęć ani historii czynów bohaterów i królów. Była to jedynie rytmiczna zaśpiewka złożona z nonsensownych słów. Coś takiego mógł nucić chłopiec pasący samotnie kozy w letnie popołudnie w wysokich górach wyspy Gont.

Z wody wyskoczyła ryba i poszybowała daleko na sztywnych półprzejrzystych płetwach przypominających skrzydła ważki.

– Jesteśmy na Południowych Rubieżach – powiedział Krogulec, dokończywszy pieśń. – Mówią, że to dziwna część świata, gdzie ryby latają, a delfiny wtórują im śpiewem. Jednakże woda jest tu miła i orzeźwiająca, ja zaś zawarłem przymierze z rekinami. Zmyj z siebie dotknięcie łowców niewolników.

Z początku Arren nie miał ochoty się ruszać. Bolały go wszystkie mięśnie, a zresztą nie był zbyt sprawnym pływakiem, morza oblewające Enlady bowiem są groźne i pełne prądów, toteż człowiek, zamiast w nich pływać, musi walczyć z rwącym nurtem i wkrótce wyczerpuje swe siły. Tutejsze błękitne wody z początku wydawały się chłodne, ale potem przepełniały ciało rozkoszą. Ból zniknął, zmyty przez fale. Arren chlapał się przy burcie „Bystrego Oka" niczym młody wąż morski, wzbijając fontanny kropel. Wkrótce Krogulec dołączył do niego. Jego ruchy były pewniejsze, mocniejsze. Spokojna i bezpieczna łódź czekała na nich, rozpościerając białe skrzydła nad migotliwą taflą wody. W powietrzu śmignęła kolejna ryba; Arren rzucił się za nią; stworzenie zanurkowało i ponownie wyprysnęło w górę, płynąc w powietrzu, szybując w morzu, umykając przed intruzem.

Dobrze zbudowany złocistoskóry chłopiec igrał beztrosko, nurzając się w wodzie i świetle, póki słońce nie dotknęło horyzontu. Natomiast mężczyzna, ciemny i szczupły, rozważnie szafujący przychodzącą z wiekiem siłą, pływał, utrzymywał łódź na kursie, reperował żagiel i obserwował z jednaką czułością chłopca i latające ryby.

– Dokąd płyniemy? – spytał Arren, kiedy zapadł już zmrok, a oni posilili się solonym mięsem i twardym chlebem. Czuł, jak ogarnia go senność.

– Do Lorbanery – odpowiedział Krogulec.

Tworzące to słowo miękkie sylaby były ostatnimi dźwiękami, jakie Arren usłyszał tej nocy, nic dziwnego zatem, że dały zaczątek jego pierwszym snom. Śnił, że wędruje po stosach miękkich bladych tkanin, depcząc po wstęgach różu, złota i błękitu, ogarnięty bezrozumną radością. Ktoś powiedział mu: „Oto jedwabne pola Lorbanery, gdzie nigdy nie zapada mrok". Później, u kresu nocy, gdy gwiazdy jesieni zalśniły na wiosennym niebie, Arrenowi przyśnił się zrujnowany dom. Wszystko wokół pokrywał kurz i brudne poszarpane pajęczyny. Nogi chłopca zaplątały się w pajęcze sieci, które spowiły także jego usta i nos, zapierając dech. Najstraszniejsze zaś było to, że rozpoznał ową wysoką opuszczoną komnatę – to była sala, w której śniadał niegdyś z mistrzami w Wielkim Domu na Roke.

Obudził się przerażony, serce waliło mu w piersi, zdrętwiałe nogi napierały na ławkę. Usiadł, próbując otrząsnąć się z koszmarnego snu. Na wschodzie nie jaśniała jeszcze poranna zorza, jedynie ciemność tuż nad horyzontem była jakby nieco mniej gęsta. Maszt trzeszczał; żagiel, nadal wydęty północno-wschodnim wiatrem, przypominał biały cień. Na rufie Krogulec spał spokojnie, cicho. Po chwili Arren także się położył i zdrzemnął, póki nie obudził go jasny dzień.

Tego ranka morze było błękitniejsze i spokojniejsze, niż Arren potrafił to sobie wyobrazić. Czysta ciepła woda sprawiała, że pływanie w niej przypominało szybowanie w powietrzu – było to dziwne, nierzeczywiste uczucie.

Około południa spytał:

– Czy czarnoksiężnicy przykładają wielką wagę do snów?

Krogulec łowił ryby. Czujnie obserwował linkę. Po długiej chwili rzekł:

– Czemu pytasz?

– Zastanawiałem się, czy sny kiedykolwiek mówią prawdę.

– Oczywiście.

– I przepowiadają przyszłość?

W tym momencie ryba połknęła przynętę. A gdy mag wyłowił ich obiad – wspaniałego srebrzystobłękitnego morskiego okonia, najwyraźniej zapomniał o pytaniu chłopca.

Po południu, kiedy wylegiwali się w cieniu rozciągniętego nad głowami płótna chroniącego przed palącym słońcem, Arren spytał:

– Czego szukamy w Lorbanery?

– Tego, czego szukamy – odparł Krogulec.

– W Enladzie – powiedział chłopak po chwili – opowiada się historię chłopca, którego nauczycielem był kamień.

– Ach, tak? I czegóż go nauczył?

– Nie zadawać pytań.

Krogulec prychnął, jakby z trudem powstrzymywał się od śmiechu, po czym usiadł.

– Zgoda, choć wolę zachować słowa na dzień, kiedy będę wiedział, o czym mówię. Czemu w Hort, na Narveduen i może całych

Rubieżach nie ma już magii? Tego chcemy się dowiedzieć, nieprawdaż?

– Owszem.

– Czy znasz stare powiedzenie „Na Rubieżach zmieniają się reguły”? Często powtarzają je żeglarze, w istocie jednak to przysłowie czarnoksiężników. Przypomina nam ono, że cała magia zależy od miejsca. Zaklęcie prawdziwe na Roke może być na Iffish jedynie zwykłymi słowami. Nie wszędzie pamięta się Mowę Tworzenia. Czasami gdzieś pozostaje z niej jeden wyraz, gdzie indziej – zupełnie inny. Słowa zaklęcia łączą się z ziemią, wodą, wiatrami i światłem w miejscu, gdzie chcemy go użyć. Kiedyś pożeglowałem daleko na wschód, tak daleko, że wiatr ani woda nie słuchały już moich poleceń, nieświadome własnych prawdziwych imion. Bardziej jednak prawdopodobne jest, że to ja ich nie znałem.

Świat jest ogromny, Morze Otwarte sięga dalej niż myśl sama; dalej zaś jeszcze znajdują się kolejne światy. Wątpię, by jakiekolwiek słowo, które da się wypowiedzieć, zdołało przenieść nas przez otchłań przestrzeni i czasu, wszędzie i na zawsze – nieważne, jak wielka kryłaby się w nim moc. Chyba że byłoby to Pierwsze Słowo, jakie wymówił Segoy, dźwigając wyspy z głębiny, albo Słowo Ostatnie, które wypowiedziane zostanie, kiedy wszystko znajdzie swój kres... Nawet nasz świat, nasze Ziemiomorze, małe wysepki, które dotąd poznaliśmy, kryją w sobie liczne niezbadane tajemnice. Miejscem zaś najmniej poznanym i najbardziej tajemniczym są Rubieże Południowe. Niewielu czarnoksiężników z Wysp Wewnętrznych trafiło między tutejszych ludzi. Miejscowi niechętnie witają przybyszów, ponieważ, jak wierzy się powszechnie, parają się własnym rodzajem magii. Jednakże pogłoski na ten temat nie są zbyt pewne i możliwe, że po prostu na południu nigdy do końca nie poznano i nie zrozumiano magicznych kunsztów. Jeśli zaś tak jest w istocie, ktoś, kto chciałby je zniszczyć, zdołałby dokonać tego tutaj z większą łatwością niż na przesiąkniętych czarami Wyspach Wewnętrznych. Wówczas dotarłyby do nas wieści o zniknięciu magii z południa.

Dyscyplina bowiem jest niczym kanał, głębokie koryto skupiające nasze czyny; tam gdzie nie ma kierunku, uczynki ludzi błądzą i giną

bez śladu. Dlatego kobieta z lusterkami utraciła swą sztukę i uważa, że nigdy jej nie posiadała. Dlatego Zając żuje hazię i wierzy, że dotarł dalej niż najwięksi z magów, choć postąpił zaledwie krok w stronę krain snu, a już zgubił drogę... Dokąd jednak wędruje w myślach? Czego szuka? Dlaczego odrzucił swą moc? Myślę, że obaj mieliśmy już dość miasta Hort, więc płyniemy dalej na południe, do Lorbanery, aby się przekonać, co robią tamtejsi czarnoksiężnicy, i odkryć to, czego musimy się dowiedzieć... Czy to odpowiedź na twoje pytanie?

– Tak, ale...

– Niech zatem kamień na jakiś czas zamilknie! – rzekł mag.

Siedział wyprostowany, bez ruchu obok masztu w żółtawym cieniu rzucanym przez zaimprowizowany daszek i spoglądał ku zachodowi, podczas gdy łódź żeglowała spokojnie, unoszona popołudniową bryzą. Mijały godziny. Arren wykąpał się parę razy, wślizgując się cicho w wodę z rufy łodzi, nie chciał bowiem znaleźć się w polu zainteresowania ciemnych oczu spoglądających na zachód ponad morzem i zdających się sięgać poza jasną linię horyzontu, poza błękit powietrza i granice światła.

Wreszcie Krogulec otrząsnął się z zamyślenia i przemówił, choć z jego ust padło zaledwie jedno słowo. Odebrane przez Arrena dworskie wychowanie sprawiło, że chłopak potrafił wyczuć prawdziwy nastrój ukryty pod maską uprzejmości i rezerwy, wiedział zatem, że jego towarzyszowi ciąży coś na sercu.

– Czy przeszkodziłoby ci, gdybym zaśpiewał?

Siląc się na żart, Krogulec odparł:

– To zależy od twego śpiewu.

Arren, oparty plecami o maszt, zaśpiewał. Jego głos nie był już słodki i wysoki jak wtedy, gdy mistrz muzyki w pałacu w Berili szkolił go parę lat temu, wygrywając wdzięczne harmonie na strunach wysokiej harfy; teraz w wyższych rejestrach pobrzmiewał matowo, a w niższych osiągał głębię wioli, niską i czystą. Zaintonował *Tren dla Białego Czaroksiężnika*, pieśń napisaną przez Elfarran, gdy księżniczka usłyszała o śmierci Morreda i czekała na własną. Ludzie nie śpiewają jej często i nigdy z lekkim sercem. Krogulec słuchał młodego głosu, silnego, pewnego i smutnego jednocześnie,

rozbrzmiewającego pomiędzy krwistym niebem a morzem. Oślepiły go łzy.

Po zakończeniu pieśni Arren milczał przez chwilę, po czym przerzucił się na lżejsze, mniej posępne melodie, które rzucały urok na wielką monotonię nieruchomego powietrza, rozkołysanego morza i gasnącego światła. Powoli zapadała noc.

Kiedy w końcu umilkł, nastała cisza. Drobne fale poruszały się bezszelestnie, drewno i liny od czasu do czasu lekko poskrzypywały. Nad sennym morzem powoli zapalały się gwiazdy. Nagle na południu rozbłysło jaskrawe żółte światło, rzucając snop złotych iskier na nieruchomą taflę.

– Spójrz! Latarnia! – Po chwili chłopak dodał: – Czy to może być gwiazda?

Krogulec jakiś czas spoglądał przed siebie, wreszcie rzekł:

– Myślę, że to musi być gwiazda Gobardon. Widać ją tylko na Rubieżach Południowych. Gobardon oznacza koronę. Kurremkarmerruk uczył nas, że kiedy żegluje się daleko na południe, nad horyzontem pojawia się stopniowo jeszcze osiem gwiazd pod Gobardonem, tworząc wielką konstelację. Niektórzy ją zwą Biegaczem, a inni Runą Agnen. Runą Końca.

Przez chwilę obserwowali jasną iskrę światła nad niespokojnym horyzontem.

– Śpiewałeś pieśń Elfarran – zagadnął Krogulec – jakbyś znał jej ból, i sprawiłeś, że ja także go poczułem... Ze wszystkich historii Ziemiomorza ta zawsze poruszała mnie najbardziej. Wielka odwaga Morreda w obliczu klęski; i Seriadh, łagodny król, który urodził się wbrew rozpaczy, oraz ona, Elfarran. Kiedy uczyniłem największe zło w moim życiu, wydawało mi się, że robię to dla jej urody; i ujrzałem ją... przez moment widziałem Elfarran.

Po plecach Arrena przebiegł lodowaty dreszcz. Chłopak przełknął ślinę i milczał, wpatrując się we wspaniałą i groźną topazowożółtą gwiazdę.

– Którego z bohaterów najbardziej sobie cenisz? – spytał mag.

– Erreth-Akbego – odpowiedział Arren z lekkim wahaniem.

– Ponieważ był z nich największy?

– Ponieważ mógł władać całym Ziemiomorzem, ale zdecydował inaczej. Wyruszył samotnie w podróż i zginął, walcząc ze smokiem Ormem na wybrzeżu Selidoru.

Przez dłuższą chwilę milczeli, każdy pogrążony we własnych myślach. W końcu Arren odezwał się, nadal nie spuszczając wzroku z jaśniejącego Gobardona.

– Czy naprawdę mag może przywołać zmarłych i sprawić, aby przemówili do tych, którzy żyją?

– Owszem, za pomocą zaklęć Przywołania. Leży to w naszej mocy. Jednakże rzadko to czynimy i wątpię, czy kiedykolwiek z mądrych pobudek. W tym przynajmniej zgadzamy się z Mistrzem Przywołań. Nie naucza on Kunsztów Palneńskich, w których zawarto podobne zaklęcia. Największe z nich tysiąc lat temu stworzył człek zwany Szarym Magiem z Palnu. Ponoć wzywał duchy bohaterów i czarnoksiężników, nawet Erreth-Akbego, aby doradzali władcom Palnu, jak najlepiej rządzić. Jednakże rada zmarłych na nic nie zda się żywym. W Palnie nastały niedobre czasy i Szary Mag został wygnany z ojczyzny; zmarł bezimienny.

– Czy zatem takie przywołania to coś złego?

– Nazwałbym je raczej pomyłką. Złym rozumieniem życia. Śmierć i życie to jest to samo, są jak dwie strony mojej ręki, grzbiet i wnętrze dłoni. A jednocześnie wnętrze dłoni i jej grzbiet nie są przecież takie same; nie da się ich ani rozdzielić, ani połączyć.

– Nikt więc obecnie nie używa owych zaklęć?

– Znałem tylko jednego człowieka, który korzystał z nich do woli, nie zważając na ryzyko. Są bowiem groźne, niebezpieczne bardziej niż jakakolwiek inna magia. Jak już powiedziałem, śmierć i życie są niczym dwie strony mojej ręki. Tak naprawdę jednak nie wiemy, czym dokładnie są. Narzucanie swej woli czemuś, czego się nie rozumie, trudno nazwać mądrym, a jego efekt często bywa zły.

– Kim był człowiek, który przywoływał zmarłych? – spytał Arren.

Po raz pierwszy Krogulec chętnie odpowiadał na jego pytania – zapewne przyczynił się do tego spokojny, pełen zadumy nastrój maga. Obu radowała ta rozmowa, choć dotyczyła spraw mrocznych i dalekich.

– Żył w Havnorze. Tamtejsi ludzie uważali go za zwykłego czarownika, w istocie jednak dysponował mocą dorównującą wielkim magom. Wykorzystywał swą sztukę dla pieniędzy, ukazując każdemu, kto zapłacił, duchy, jakich tylko kto zapragnął: umarłą żonę, męża czy dziecko, napełniając domy ciekawskich niespokojnymi cieniami sprzed wieków, pięknymi niewiastami z epoki królów. Widziałem, jak jedynie gwoli uciechy gawiedzi przywołał z Suchej Krainy mojego starego mistrza, który za czasów mojej młodości był Arcymagiem Ziemiomorza, Nemmerlego. I ów wielki duch przybył na jego wezwanie niczym posłuszny pies. Rozgniewało mnie to i rzuciłem mu wyzwanie – nie byłem wtedy jeszcze Arcymagiem – mówiąc: „Skoro przywołujesz zmarłych do twego domu, czy pójdziesz wraz ze mną do ich siedziby?". I zmusiłem go, by mi towarzyszył do Suchej Krainy, choć walczył z całych sił, zmieniał swą postać i płakał w głos, gdy jego wysiłki nie zdały się na nic.

– A zatem go zabiłeś? – szepnął Arren, oczarowany opowieścią.

– Nie! Przymusiłem go, by odwiedził wraz ze mną krainę zmarłych i powrócił z niej do naszego świata. Bał się. Ten, który tak łatwo wzywał do siebie umarłych, lękał się śmierci – swojej własnej śmierci – bardziej niż jakikolwiek znany mi człowiek. Przy kamiennym murze... Ale zdradzam ci więcej, niż powinien wiedzieć uczeń na Roke, ty zaś nie jesteś nawet nowicjuszem. – Bystre oczy przeniknęły mrok, ich spojrzenie onieśmieliło chłopca. – Nieważne – rzekł w końcu Arcymag. – U kresu wszelkiego życia wznosi się mur z kamienia. Po śmierci duch go przekracza. Może to także uczynić żyjący człowiek i powrócić bezpiecznie, jeśli jest magiem... Tamten nieszczęśnik przycupnął obok muru po stronie żyjących i bezskutecznie próbował oprzeć się mej woli. Przywierał rękami do kamieni, wykrzykując przekleństwa. Nigdy nie widziałem podobnego strachu; wzbudził we mnie obrzydzenie. Powinienem był wówczas zrozumieć, że źle czynię, jednakże zawładnęły mną gniew i próżność, człek ów bowiem był bardzo silny, a ja pragnąłem mu udowodnić, że przewyższam go mocą.

– Co zrobił potem, kiedy wróciliście?

– Ukorzył się przede mną i przysiągł już nigdy nie używać Kunsztów Palneńskich. Ucałował moją rękę, ale gdyby śmiał, chętnie by mnie zabił. Opuścił Havnor, żeglując na zachód, może nawet do samego Palnu. Wiele lat później słyszałem, że zmarł. Kiedy go poznałem, był już siwy, choć mocny i zręczny niczym zapaśnik. Czemu w ogóle o nim mówię? Nie potrafię nawet przypomnieć sobie jego imienia.

– Prawdziwego imienia?

– Nie! To pamiętam... – Arcymag urwał i milczał przez czas równy trzem uderzeniom serca. – W Havnorze nazywali go Cob – dokończył zmienionym, ostrożnym głosem.

Na dworze było zbyt ciemno, by dało się dostrzec wyraz twarzy Arcymaga. Arren widział jedynie, jak Krogulec odwraca głowę, spoglądając na żółtą gwiazdę, teraz wznoszącą się wyżej ponad falami i rzucającą na nie porwany złoty szlak, cienki jak pajęcza nić. Po długiej chwili mag dodał:

– Nie tylko we snach stawiamy czoło temu, co dopiero nadejdzie albo co już dawno zostało zapomniane, oraz wspominamy coś, co wydaje się błahostką jedynie dlatego, że nie potrafimy dostrzec jego znaczenia.

6

Lorbanery

Widziane z odległości dziesięciu mil ponad taflą błyszczącej wody Lorbanery było zielone niczym jasny mech otaczający fontannę na Roke. Kiedy się zbliżyli, jednolita zieleń rozpadła się na liście, pnie drzew i cienie, drogi i budynki, twarze i stroje ludzi, kurz i wszystko, co składa się na obraz zamieszkanej krainy. A jednak w sumie wyspa nadal była zielona, każdy jej skrawek bowiem, niezabudowany i niewybrukowany, porastały niskie hurbowce o okrągłych koronach, których liśćmi karmią się robaczki przędące jedwab, bo właśnie zbieraniem i tkaniem jedwabiu zajmują się mężczyźni, kobiety i dzieci Lorbanery. O zmierzchu tamtejsze powietrze wypełnia się stadami niewielkich szarych nietoperzy żywiących się wyłącznie jedwabnikami. Pożerają ich mnóstwo, lecz hodowcy jedwabiu pozwalają im na to; więcej, uważają zabicie szaroskrzydłego nietoperza za bardzo złą wróżbę. Twierdzą bowiem, że jeśli ludzie żyją z robaków, małe nietoperze także mają do tego prawo.

Tamtejsze domy są dość osobliwe. Wyróżniają się licznymi okienkami, rozmieszczonymi chaotycznie na ścianach, i strzechami z gałązek hurbowców, zielonymi od porostów i mchu. Sama wyspa, jak na Rubieże, jest bardzo bogata. Świadczą o tym starannie pomalowane i dobrze umeblowane domy, wielkie kołowrotki i warsztaty tkackie w chatach i szopach, kamienne nabrzeża w małym porcie Sosara, gdzie może cumować jednocześnie

kilkanaście galer handlowych. Jednakże obecnie port stał pusty. Farba pokrywająca domy wyblakła, nie widać było żadnych nowych mebli, większość zaś kołowrotków i warsztatów porastała kurzem. Między pedałami a ramami zwisały smętne pajęczyny.

– Czarownicy? – powtórzył sołtys wioski Sosara, niski mężczyzna o twarzy równie twardej i brązowej co podeszwy jego bosych stóp. – W Lorbanery nie ma żadnych czarowników. Nigdy ich nie było.

– Kto by pomyślał? – rzekł Krogulec z podziwem. Siedział wraz z ośmioma czy dziewięcioma wieśniakami, popijając wino z jagód hurbowca – gorzki słaby trunek. Z konieczności powiedział tutejszym mieszkańcom, że przybył na Południowe Rubieże w poszukiwaniu emmelu, w żaden jednak sposób nie odmienił swojego oblicza ani też twarzy chłopaka, tyle że Arren jak zwykle ukrył miecz w łodzi, a jeśli Krogulec miał nawet ze sobą laskę, nie można jej było dostrzec. Z początku wieśniacy przyjęli ich wrogo i nieufnie, a i teraz w każdej chwili mogli ponownie zwrócić się przeciwko przybyszom. Jedynie zręczność i zdolności przekonywania Krogulca zmusiły ich do niechętnej akceptacji gości.

– Musicie tu mieć wspaniałych ogrodników – zauważył mag. – Co robią, kiedy sady zaatakuje nagły mróz?

– Nic – odparł chudy mężczyzna na końcu szeregu wieśniaków. Wszyscy siedzieli obok siebie, wsparci plecami o mur gospody, skryci pod gęstą strzechą. Tuż obok równego rzędu bosych stóp o ziemię uderzały wielkie ciepłe krople kwietniowego deszczu.

– Nie mróz jest najgorszy, tylko deszcz – wtrącił sołtys. – Gniją od niego kokony. Nikt nie zdoła powstrzymać deszczu. Nikt tego nie potrafił. – Kiedy wspominał o magii i czarownikach, w jego głosie rozbrzmiewał gniew i oburzenie. Natomiast część jego ziomków mówiła o nich z dziwnym, niemal tęsknym żalem.

– Kiedy żył stary – powiedział jeden z nich – nigdy nie padało o tej porze roku.

– Kto? Stary Mildi? Cóż, on już nie żyje. Umarł – odparł sołtys.

– Nazywaliśmy go Sadownikiem – dodał chudy wieśniak.

– O tak, Sadownikiem – potwierdził kolejny.

Zapadła cisza, wszechobecna niczym deszcz. Arren schronił się wewnątrz jedynej izby gospody. Już wcześniej dostrzegł wiszącą

na ścianie starą lutnię, trzystrunowy instrument o długim gryfie; takich używano na Jedwabnej Wyspie. Teraz pobrzękiwał cicho, usiłując wydobyć z niej jakąś melodię. Struny szemrały niewiele głośniej niż krople deszczu uderzające o dach.

– Na targowiskach Hort – rzekł Krogulec – widziałem materie zachwalane jako jedwabie z Lorbanery. Część z nich rzeczywiście była jedwabiami, ale żadna nie pochodziła z Lorbanery.

– Ostatnie lata były dla nas bardzo nieprzychylne – wyjaśnił chudy wieśniak. – Ile to już trwa? Cztery... nie, pięć lat.

– Pięć lat od dnia Święta Zasiewów – wtrącił starszy mężczyzna bełkotliwym, zadowolonym z siebie głosem. – Wtedy właśnie umarł stary Mildi. O tak, umarł, choć młodszy był ode mnie. Zmarł w samo Święto Zasiewów.

– Nieurodzaj podnosi ceny – stwierdził sołtys. – Dziś za jedną belę błękitnego jedwabiu średniej klasy dostajemy tyle co kiedyś za trzy.

– Jeśli w ogóle ktoś zechce go kupić. Gdzie się podziały statki? Nasz błękit jest fałszywy – oznajmił chudy wieśniak, prowokując półgodzinną dyskusję dotyczącą jakości barwników używanych w wielkich warsztatach.

– Kto przygotowuje barwniki? – spytał Krogulec, wywołując tym nową sprzeczkę. W końcu się dowiedział, że cały proces farbowania nadzorowała rodzina, której członkowie nazywali się czarownikami. Jeśli nawet kiedyś nimi byli, utracili swój kunszt i nikt inny go nie poznał, jak dodał kwaśno chudy wieśniak. Wszyscy bowiem, oprócz sołtysa, zgodzili się, że słynne błękity z Lorbanery i niezrównany szkarłat „smoczy ogień", noszony przez królowe w Havnorze, nie są już takie jak kiedyś. Czegoś im brakuje. Wyspiarze obarczali winą przychodzące nie w porę deszcze, barwiące glinki albo farbiarzy.

– Czy wreszcie – stwierdził chudzielec – oczy ludzi, którzy nie potrafią odróżnić prawdziwego błękitu od niebieskiego błota. – Po tych słowach spojrzał gniewnie na sołtysa, który jednak nie podjął kłótni. I znów wszyscy zamilkli.

Cienkie wino jedynie pogorszyło ich humory i wieśniacy siedzieli bez ruchu z ponurymi minami. Wokół słychać było tylko szmer deszczu na niezliczonych liściach sadów w dolinie, szept morza na końcu ulicy i pobrzękiwanie lutni w mrocznej izbie za oknem.

– Czy twój bratanek potrafi śpiewać? – spytał sołtys.

– O tak, potrafi. Arrenie! Zaśpiewaj nam coś, chłopcze.

– Nie mogę zmusić tej lutni, aby zagrała weselszą melodię – rzekł siedzący w oknie Arren, uśmiechając się lekko. – Najwyraźniej pragnie płakać. Co chcielibyście usłyszeć, zacni gospodarze?

– Coś nowego – warknął sołtys.

Lutnia zadźwięczała cicho, Arren zręcznie przebiegł palcami po strunach.

– To może być tu nowe – rzekł, po czym zaśpiewał:

Na białe brzegi Solei
i ciężkie czerwone gałęzie
obsypujące kwiatami
jej pochyloną twarz, w smutku
po utraconym kochanku,
na te gałęzie czerwone
i białe, na żal niezgłębiony
przysięgam, ja, Serriadh,
syn matki mej i Morreda,
zapamiętać wyrządzone zło
na zawsze, na wieki.

Wieśniacy o twarzach pełnych goryczy i złośliwego sprytu, o spracowanych rękach, siedzieli w milczeniu, pogrążeni w ciepłym, deszczowym zmroku i słuchali pieśni przywodzącej na myśl krzyk szarego łabędzia z zimnych mórz Ea – żałosny, wytęskniony. Gdy melodia dobiegła końca, milczeli jeszcze przez chwilę.

– Dziwaczna muzyka – powiedział jeden z nich niepewnie.

Jego sąsiad wierzący niezłomnie w to, że wyspa Lorbanery stanowi pępek świata, czasu i przestrzeni, rzekł:

– Cudzoziemska muzyka zawsze brzmi dziwnie i ponuro.

– Uraczcie nas zatem swoją – zaproponował Krogulec. – Chętnie posłuchałbym wesołej śpiewki. Chłopak ma w głowie tylko martwych bohaterów.

– Zgoda – odparł jeden, odchrząknął parę razy, po czym zaintonował piosenkę o starej jarej beczułce wina, hej-ho i wszyscy razem! Jednak nikt nie dołączył do chóru i po ostatnim „hej-ho" wieśniak umilkł. – Nikt już nie umie porządnie śpiewać – stwierdził z urazą. – To przez młodych. Zawsze mieszają się do wszystkiego i zmieniają dawne tradycje, zapominają o starych pieśniach.

– To nie tak – wtrącił chudzielec. – Wszystko się pokręciło, nic już nie układa się tak, jak powinno.

– Owszem – wysapał najstarszy wieśniak. – Szczęście się wyczerpało. To dlatego. Brakuje nam szczęścia.

Po tych słowach nie zostało już nic do powiedzenia. Miejscowi oddalili się dwójkami i trójkami, aż Krogulec został sam po jednej stronie okna, a Arren po drugiej. Wówczas czarnoksiężnik roześmiał się wreszcie, lecz bez wesołości.

Żona karczmarza rozłożyła im posłania na podłodze, po czym odeszła i obaj udali się spać. Wkrótce okazało się, że wysokie sklepienie izby daje schronienie nietoperzom. Całą noc małe stworzenia wlatywały przez otwarte okno i wylatywały, wydając z siebie wysokie, przenikliwe piski. Dopiero o świcie wróciły wszystkie do swojej siedziby i zasnęły, starannie skulone, zwisając z belek głowami w dół.

Może to nietoperze sprawiły, że Arren spał niespokojnie. Od dawna już nie nocował na stałym lądzie; jego odwykłe od bezruchu ziemi ciało wmawiało mu z uporem, że nadal kołysze się, kołysze... a potem świat uciekał spod niego i chłopak budził się nagle. Kiedy wreszcie zapadł w głębszy sen, przyśniło mu się, że znów siedzi w ładowni statku niewolników, zakuty w ciężkie łańcuchy. Byli z nim jeszcze inni ludzie, ale wszyscy nie żyli. Kilka razy budził się, usiłując się uwolnić od natrętnej wizji, jednakże powracała, gdy tylko zamknął oczy. Aż wreszcie przyśniło mu się, że został sam na galerze, lecz nadal nie mógł pozbyć się krępujących ciało więzów. Nagle usłyszał tuż przy uchu dziwny, powolny głos: „Zrzuć kajdany, zrzuć kajdany". Wówczas spróbował się ruszyć i powiodło mu się; wstał. Odkrył, że znalazł się na rozległym mrocznym pustkowiu pod ciężkim ciemnym niebem. W ziemi i w powietrzu kryła się groza, wszechogarniający lęk. Trafił do królestwa strachu, z którego nie

było ucieczki. Wiedział, że musi znaleźć drogę, ale wokół nie dostrzegał nawet najlżejszych śladów stóp. Był mały i bezbronny jak dziecko, jak mrówka, a miejsce, w którym się znalazł, porażało swym ogromem. Próbował iść naprzód, potknął się i obudził.

Teraz, na jawie, strach nie osaczał go już; skrył się w głębi jego duszy, jednakże przez to nie stał się słabszy i mniej dotkliwy. Nieprzenikniona ciemność izby dławiła Arrena. Desperacko spojrzał w mroczny prostokąt okna, poszukując gwiazd, ale choć deszcz przestał już padać, niebo wciąż pokrywały chmury. Leżał tak długo, zalękniony, a nietoperze wlatywały i wylatywały na bezszelestnych skórzastych skrzydłach. Czasami, na granicy słuchu, dobiegały go cieniutkie, świdrujące piski.

Nastał pogodny ranek. Obaj wstali bardzo wcześnie i Krogulec zaczął wypytywać wyspiarzy o emmel. Choć żaden z wieśniaków nie wiedział, jak wygląda ów kamień, każdy miał na ten temat własną teorię, toteż wykłócali się bezustannie, a mag słuchał uważnie każdego słowa, poszukując w nich nowin o czymś jeszcze poza niebieską skałą. Wreszcie ruszyli z Arrenem w stronę wskazaną im przez sołtysa, ku kopalniom, gdzie wydobywano błękitną glinkę. Po drodze jednak Krogulec skręcił ze szlaku.

– To ten dom – stwierdził. – Ludzie mówili, że rodzina farbiarzy i podupadłych czarowników mieszka przy drodze do kopalni.

– Czy rozmowa z nimi ma jakiś sens? – spytał Arren pełen obaw; zbyt dobrze jeszcze pamiętał Zająca.

– Całe nieszczęście promieniuje z jednego źródła – odparł szorstko mag. – Istnieje miejsce, przez które szczęście ucieka. Potrzebuję przewodnika, aby mnie tam zaprowadził! – Ani na moment nie zwolnił kroku i Arren podążał za nim.

Dom stał na uboczu, pośrodku sadu. Kamienne ściany wznosiły się dumnie, jednakże otaczające je drzewa były całkiem zaniedbane. Z suchych gałęzi zwisały spłowiałe, niezebrane kokony. Ziemię pod nimi pokrywały szeleszczące truchła gąsienic i motyli. W pobliżu domu, wśród gęsto rosnących drzew, unosił się odór rozkładu. I kiedy się zbliżyli, Arren przypomniał sobie nagle koszmar, który dręczył go przez całą noc.

Nie zdążyli jeszcze dotrzeć do drzwi, a już otwarły się gwałtownie. Ze środka wybiegła siwowłosa kobieta, mierząc ich wściekłym spojrzeniem przekrwionych oczu.

– Wynocha stąd! Przeklęci złodzieje, oszczercy, durnie, kłamcy, szubrawcy i głupcy! Uciekajcie! Bo szczęście odwróci się od was na zawsze!

Krogulec przystanął zaskoczony i szybko uniósł dłoń w dziwnym geście. Głośno rzekł:

– Niech się to odwróci!

Słysząc te słowa, kobieta przestała wrzeszczeć. Przez moment wpatrywała się w przybysza.

– Czemu tak powiedziałeś?

– Żeby odwrócić bieg klątwy.

Zastanawiała się przez chwilę, po czym zapytała cicho:

– Cudzoziemcy?

– Z północy.

Podeszła do nich. Z początku Arrena rozbawił widok staruchy przeklinającej u drzwi, kiedy jednak znalazł się bliżej, poczuł jedynie litość. Była brudna, odziana w łachmany; jej oddech cuchnął, z oczu wyzierał przejmujący ból.

– Nie mam mocy, by rzucić klątwę – rzekła. – To już minęło, odeszło. – Powtórzyła gest Krogulca. – Czy tam, skąd przybywacie, nadal robi się takie rzeczy?

Skinął głową, nie spuszczając z niej wzroku, a ona odpowiedziała mu przeciągłym spojrzeniem. Po chwili wyraz jej twarzy zmienił się gwałtownie.

– Gdzie masz laskę? – spytała.

– Nie pokazuję jej tu, siostro.

– I nie powinieneś. Tu magia się zatraca. Straciłam całą moją wiedzę, zapomniałam wszystkie słowa i imiona. Opuściły mnie powoli, wysnuwając się niczym pajęczyny z moich oczu i ust. W materii świata zieje rozdarcie. Wypływa nim światło, a słowa podążają za nim. Wiedziałeś o tym? Mój syn całymi dniami wpatruje się w mrok, szukając owego rozdarcia. Twierdzi, że widziałby lepiej, gdyby był ślepy. Utracił swą farbiarską sztukę. Kiedyś byliśmy znanymi farbiarzami z Lorbanery. Spójrzcie! – Potrząsnęła im przed

oczami szczupłymi silnymi rękami, aż po łokcie pokrytymi słabymi smugami najróżniejszych odcieni błękitu. – Plamy nigdy nie schodzą ze skóry, natomiast umysł da się wytrzeć do czysta. Wszystkie barwy wyblakły. Kim jesteś?

Krogulec nie odpowiedział. Ponownie spojrzał wprost w oczy kobiety. Arren, stojący z boku, obserwował ich niespokojnie.

Nagle nieznajoma zadrżała i szepnęła cicho:

– Znam cię...

– Owszem. Swój pozna swego, siostro.

Dziwnie było patrzeć, jak przestraszona odskoczyła od maga, szykując się do ucieczki, a jednocześnie wyraźnie pragnęła jego towarzystwa; jeszcze chwila, a uklękłaby u jego stóp.

Krogulec ujął jej dłoń i uścisnął.

– Czy chciałabyś odzyskać swą moc, zaklęcia, imiona? Mogę ci to dać.

– Jesteś potęgą – szepnęła. – Królem Cieni, Władcą Mrocznej Krainy...

– Nie, nie jestem królem, tylko człowiekiem, śmiertelnikiem. Twoim bratem i pobratymcem.

– Ale nie umrzesz?

– Umrę.

– Wrócisz jednak i będziesz żył wiecznie?

– Nie. Nikt nie zdoła tego dokonać.

– Zatem nie jesteś potęgą ciemności – stwierdziła, marszcząc brwi i patrząc na niego z ukosa. Jej lęk wyraźnie osłabł. – Ale przecież też jesteś potęgą. Czyżby były dwie? Jak brzmi twoje imię?

Surowa twarz Krogulca przez moment złagodniała.

– Tego nie mogę ci powiedzieć – rzekł miękko.

– Zdradzę ci sekret. – Stała teraz wyprostowana naprzeciw niego. W jej głosie i postawie Arren po raz pierwszy dostrzegł ślady dawnej godności. – Wcale nie chcę żyć wiecznie. Wolałabym odzyskać prawdziwe imiona wszystkiego. Ale odeszły. Słowa już się nie liczą. Nie istnieją żadne tajemnice. Chciałbyś wiedzieć, jak mam na imię? – Oczy jej rozbłysły, pięści zacisnęła mocno. Nachyliła się naprzód i szepnęła: – Nazywam się Akaren. – Nagle krzyknęła głośno: – Akaren! Akaren! Mam na imię Akaren! Teraz wszyscy znają moje

tajemne imię, moje prawdziwe imię, i nie istnieją już żadne sekrety, prawda ani śmierć – śmierć – śmierć! – Ostatnie słowo przerodziło się w szloch; kobieta się zakrztusiła, rozpryskując wokoło deszcz śliny.

– Zamilcz, Akaren!

Posłusznie ucichła. Po jej brudnej, skrytej za gąszczem siwych włosów twarzy spływały łzy.

Krogulec ujął w dłonie to pomarszczone, mokre od łez oblicze i bardzo lekko, czule ucałował powieki kobiety. Ona zaś stała bez ruchu z zamkniętymi oczami. Następnie, zbliżając usta do jej ucha, mag przemówił w Starej Mowie, ucałował ją ponownie i wypuścił.

Stara kobieta otwarła jasne oczy i przez chwilę przyglądała mu się zamyślona i zdumiona, tak jak nowo narodzone dziecko patrzy na swą matkę; jak matka spogląda na niemowlę. Powoli odwróciła się i, cały czas milcząc, ruszyła w stronę drzwi; weszła do środka i zamknęła je za sobą, a z jej twarzy nie znikał wyraz zachwytu i zdumienia.

Mag, nie odzywając się ani słowem, ruszył ku drodze. Arren poszedł za nim. Nie śmiał zadawać żadnych pytań. W końcu Krogulec zatrzymał się w zaniedbanym sadzie.

– Odebrałem jej imię i nadałem nowe. W ten sposób w pewnym sensie narodziła się ponownie. Nic innego nie mogłem dla niej zrobić.

W jego stłumionym głosie znać było znużenie.

– Kiedyś miała moc – ciągnął dalej. – Nie była zwykłą czarownicą czy zielarką, ale władała wielkim kunsztem, używając go do tworzenia piękna. Była dumna i pełna godności. A teraz całe jej życie poszło na marne. – Gwałtownie obrócił się na pięcie i skręcił w głąb sadu, zatrzymując się w końcu przy grubym pniu, plecami zwrócony do Arrena.

Chłopak czekał na niego na dróżce skąpanej w gorących promieniach słońca przenikających przez liście. Wiedział, że Krogulec wstydzi się tego, iż obarcza go swymi emocjami; i rzeczywiście, chłopak w żaden sposób nie zdołałby złagodzić jego bólu. Jednakże serce Arrena rwało się ku czarnoksiężnikowi. Pierwszy romantyczny zachwyt i podziw odmieniły się w zetknięciu z cierpieniem, jakby

zrodzone w najgłębszym zakamarku duszy uczucie przerodziło się w niemożliwą do zerwania więź. W miłości bowiem, którą darzył teraz swego pana, kryło się współczucie, bez niego zaś miłość wypala się, jest niepełna i szybko przemija.

Po jakimś czasie Krogulec wrócił do chłopaka, opuszczając zielony cień pod drzewami. Żaden z nich nie odezwał się nawet słowem, gdy wędrowali obok siebie. Było gorąco; po wieczornym deszczu nie zostało nawet śladu i każdy krok wzbijał obłoki kurzu. Rankiem Arrenowi nadchodzący dzień wydawał się bezbarwny i przerażający, jakby skaziło go wspomnienie koszmarnych snów. Teraz radowało go palące gorąco i ulga, jaką przynosił cień. Z zapałem maszerował naprzód, nie myśląc o celu, ku któremu zdążali.

I dobrze, nie osiągnęli bowiem niczego. Całe popołudnie strawili na rozmowach z górnikami, wydobywającymi barwiące glinki, i targach o cenę tego, co na Lorbanery nazywano emmelem. W drodze powrotnej do Sosary, kiedy wieczorne słońce przypalało im karki, Krogulec zauważył:

– Co prawda to niebieski malachit, wątpię jednak, by tutejsi mieszkańcy zauważyli różnicę.

– Tak jest ze wszystkim tutaj – mruknął Arren. – Wygląda na to, że ci ludzie zatracili zdolność dostrzegania różnic. Wczoraj jeden z nich powiedział coś podobnego: „Nie potrafiłbyś odróżnić prawdziwego błękitu od niebieskiego błota”... Narzekają, że nastały złe czasy, ale nie wiedzą, co je zapoczątkowało. Twierdzą, że ich robota pogorszyła się, lecz nie czynią nic, by ją poprawić. Nie dostrzegają różnicy między rzemieślnikiem a czarodziejem, między pracą rąk a magicznym kunsztem. Zupełnie jakby w ich głowach nie pozostały żadne wyraźne granice ani kolory. Wszystko jest dla nich takie samo: szare i monotonne.

– Owszem – odparł mag, pogrążony w myślach. Przez jakiś czas milczał zgarbiony niczym sokół; jak na niskiego mężczyznę szedł całkiem szybko.

– Czego im brak?

Arren odparł bez wahania:

– Radości życia.

– To prawda – potwierdził Krogulec, akceptując słowa Arrena i rozważając je dokładnie. – Cieszę się, że potrafisz myśleć za mnie, chłopcze... Jestem zmęczony i ogłupiały. Od chwili, gdy rozmawialiśmy z tą, która była Akaren, czuję się, jakbym był chory. Mierzi mnie zniszczenie i marnotrawstwo. Nie tęsknię za nieprzyjacielem. Wcale nie chcę go szukać, znaleźć i spotkać oko w oko... Jeśli muszę polować, wolałbym, aby nagrodą był skarb, a nie coś tak wstrętnego.

– Nieprzyjaciel, moj panie? – spytał Arren.

Krogulec przytaknął.

– Czy chodzi o tę potęgę? Króla Cieni...?

Arcymag znowu skinął głową.

– Tak sądzę – rzekł. – Myślę, że musimy dotrzeć nie tylko do miejsca, ale też do osoby. Na tej wyspie dzieje się zło; ich sztuka, radość, duma – wszystko zniknęło bez śladu. To dzieło złej siły. Siła ta nie zważa jednak na nic. Nawet nie dostrzegła Akaren czy Lorbanery. Trop, którym podążamy, przypomina pasmo zniszczeń pozostawione przez wóz, który wyrwał się komuś z rąk i pomknął po zboczu góry, pociągając za sobą lawinę.

– Czy Akaren mogła powiedzieć coś więcej o owym nieprzyjacielu? Kim jest, skąd pochodzi, czym się zajmuje?

– Nie teraz, chłopcze – odparł mag łagodnym, lecz jednocześnie ponurym tonem. – Nie wątpię, że potrafiłaby go opisać. W jej szaleństwie nadal kryła się moc. W istocie z niego właśnie się zrodziła. Nie mogłem jednak zmusić nieszczęsnej kobiety do odpowiedzi. Za bardzo cierpiała.

Szedł dalej, lekko zwieszając głowę, jakby sam także musiał znosić potężny ból i pragnął się od niego uwolnić.

Arren odrócił się nagle, słysząc za plecami tupot nóg. Jakiś mężczyzna pędził za nimi. Dzieliła ich jeszcze spora odległość, nieznajomy jednak szybko się zbliżał. Obłok pyłu sprawiał, że w blasku zachodzącego słońca otoczyła go ognista aureola. Splątane włosy płonęły jaskrawą czerwienią, długi cień podskakiwał fantastycznie na grubych pniach drzew i ścieżkach przecinających sady.

– Słuchajcie! – krzyknął nieznajomy. – Stójcie! Znalazłem ją! Znalazłem!

Po krótkiej chwili doścignął ich. Dłoń Arrena powędrowała najpierw w miejsce, gdzie powinna znajdować się rękojeść miecza, następnie do pasa, za którym nosił utracony sztylet, wreszcie zacisnęła się w pięść. Chłopak skrzywił się groźnie, występując naprzód. Nieznajomy o głowę przewyższał Krogulca, miał silne szerokie ramiona; zdyszany i nieprzytomny, wodził wokół zagubionym wzrokiem szaleńca.

– Znalazłem ją! – powtarzał.

Arren, usiłując onieśmielić go groźnym głosem i postawą, spytał:

– Czego chcesz?

Czerwonowłosy mężczyzna próbował go ominąć i podejść do Krogulca, jednak chłopak nie dopuszczał go do maga.

– Jesteś farbiarzem z Lorbanery? – spytał Arcymag.

Arren poczuł nagle, że zachował się jak głupiec, próbując ochronić swego towarzysza, i cofnął się, ustępując z drogi nieznajomemu. Wystarczyły bowiem cztery słowa czarnoksiężnika, by szaleniec przestał głośno dyszeć i zaciskać wielkie, poplamione barwnikami dłonie. Jego obłąkane spojrzenie się rozjaśniło; skinął głową.

– Kiedyś byłem farbiarzem – przytaknął. – Teraz już nie umiem barwić tkanin. – Spojrzał z ukosa na Krogulca i uśmiechnął się szeroko, potrząsając zakurzoną plątaniną rudych włosów. – Odebrałeś imię mojej matce. Nie znam jej już, a ona nie zna mnie. Nadal mnie kocha, ale odeszła. Jest martwa.

Arrenowi serce ścisnęło się gwałtownie, ujrzał jednak, że Krogulec pokręcił głową.

– Nie, nie jest martwa.

– Ale będzie. Umrze

– Owszem. Taka jest konsekwencja życia – odparł mag.

Farbiarz zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym podszedł wprost do Krogulca, złapał go za ramiona i nachylił się nad nim. Poruszał się tak szybko, że Arren nie zdołał mu przeszkodzić. Kiedy jednak doskoczył do swego towarzysza, usłyszał cichy szept:

– Znalazłem dziurę w ciemności. Stał tam król. Obserwuje ją; ma ją w swej pieczy. W dłoni trzyma niewielki płomyk, maleńką

świeczkę. Zdmuchnął ją i zgasła, dmuchnął ponownie i zapłonęła! Zapłonęła!

Krogulec nie protestował, cierpliwie znosząc wrzaski szaleńca. Spytał po prostu:

– Gdzie byłeś, kiedy to ujrzałeś?

– W łóżku.

– Śniąc?

– Nie.

– Przeszedłeś przez mur?

– Nie – odparł farbiarz zaskakująco przytomnym tonem, jakby pytanie to poruszyło w nim ukrytą strunę. Puścił ramiona maga i cofnął się o krok. – Nie, ja... Nie wiem, gdzie to jest. Znalazłem ją, ale nie wiem gdzie.

– Tego właśnie chciałbym się dowiedzieć – stwierdził Krogulec.

– Mogę ci pomóc.

– Jak?

– Masz łódź. Przypłynąłeś nią tutaj i zamierzasz ruszyć dalej, Czy wybierasz się na zachód? To właściwy kierunek. Droga do miejsca, w którym tamten wydostaje się na świat. Musi istnieć podobne przejście, przejście tutaj, ponieważ on żyje. Nie jest tylko duchem, zjawą, która przenika przez mur; przez mur można przywołać jedynie duszę, on jednak ma także ciało; nieśmiertelną postać. Widziałem, jak dmuchnął i w mroku zajaśniał płomień, który wcześniej zgasł. Widziałem to. – Twarz szaleńca w złocistoczerwonym świetle miała w sobie dziką, nieposkromioną urodę. – Wiem, że zdołał pokonać śmierć. Wiem. Oddałem moją moc, aby to odkryć. Kiedyś byłem czarnoksiężnikiem. Ty także wiesz i dlatego płyniesz w tamtą stronę. Zabierz mnie ze sobą.

To samo światło padało na twarz Krogulca, która jednak pozostawała zamknięta, bez wyrazu.

– Próbuję tam dotrzeć.

– Pozwól mi płynąć z wami!

Arcymag skinął głową.

– Jeśli będziesz gotowy, zanim wypłyniemy – oznajmił równie chłodno jak przedtem.

Farbiarz cofnął się o kolejny krok. Uniesienie na jego twarzy powoli ustępowało miejsca posępnemu grymasowi, zupełnie jakby rozsądek musiał przebijać się przez huragan słów, uczuć i wizji, które mąciły nieszczęśnikowi w głowie. Wreszcie odwrócił się bez słowa i odbiegł. Arren odetchnął z ulgą.

Krogulec także westchnął cicho, ale nie ulżyło to jego znużonemu sercu.

– Cóż, niezwykłe drogi wymagają dziwnych przewodników – stwierdził. – Chodźmy.

Arren szedł tuż za nim.

– Nie zabierzemy go chyba ze sobą? – spytał.

– To zależy od niego.

W nagłym przypływie złości Arren dodał w myślach: Ode mnie także. Nie odezwał się jednak i dalej podążali naprzód w milczeniu.

Mieszkańcy Sosary nie przyjęli ich zbyt ciepło. Na małej wyspie, takiej jak Lorbanery, nic nie ukryje się przed mieszkańcami. Ktoś bez wątpienia dostrzegł, jak przybysze skręcają do domu farbiarzy i rozmawiają z szaleńcem na drodze. Karczmarz obsłużył ich niegrzecznie, jego żona miała śmiertelny lęk w oczach. Wieczorem, kiedy wieśniacy zebrali się wokół gospody, demonstracyjnie unikali cudzoziemców, nie odzywali się do nich, wymieniając między sobą żarty i wesołe historie. Jednakże dowcipu i wesołości nie starczyło im na długo. Wkrótce ucichli i siedzieli w milczeniu, aż wreszcie sołtys spytał Krogulca:

– Znalazłeś swoje błękitne kamienie?

– Jakieś znalazłem – odparł uprzejmie Krogulec.

– Pewnie pokazał ci je Sopli?

– Cha, cha, cha! – roześmieli się pozostali, doceniając ten mistrzowski pokaz ironii.

– Czy Sopli ma rude włosy?

– To szaleniec. Dziś rano odwiedziłeś jego matkę.

– Szukałem czarnoksiężnika – oświadczył Arcymag.

Chudy wieśniak, siedzący najbliżej, splunął w ciemność.

– Po co?

– Sądziłem, że może dowiem się czegoś o tym, po co tu przybyłem.

– Ludzie przypływają na Lorbanery po jedwab – oświadczył sołtys. – Nie po kamienie, uroki, wymachiwanie rękami, bełkot i czarodziejskie sztuczki. Mieszkają tu uczciwi ludzie wykonujący uczciwą pracę.

– Co racja, to racja – przytaknęli pozostali.

– I nie życzymy tu sobie cudzoziemców węszących wokół i wtykających nosy w nasze sprawy.

– Co racja, to racja – odezwał się chór.

– Gdyby na wyspie został jakiś mag, który nie oszalał, dalibyśmy mu uczciwą pracę w warsztacie. Oni jednak nie potrafią pracować.

– Mogliby, gdyby mieli cokolwiek do zrobienia – odrzekł Krogulec. – Wasze warsztaty są puste, sady dziczeją, jedwab w magazynach został utkany parę lat temu. Czym się dziś zajmują ludzie z Lorbanery?

– Doglądaniem własnych spraw – warknął sołtys, lecz chudy wieśniak wtrącił podnieconym tonem:

– Powiedz nam, czemu nie przypływają już statki? Co się dzieje w porcie Hort? Czy to dlatego, że ostatnio nie przykładaliśmy się do pracy?

Przerwały mu gniewne protesty. Wieśniacy zaczęli wrzeszczeć na siebie, skoczyli na równe nogi, sołtys pogroził pięścią Krogulcowi, ktoś dobył noża. Mieszkańcy Lorbanery jakby oszaleli. Arren zerwał się z miejsca i spojrzał na Krogulca, oczekując, że jego postać zapłonie nagle czarodziejskim blaskiem, a sam Arcymag na oczach oszołomionych wieśniaków ukaże pełnię swej mocy. Jednakże Krogulec nic takiego nie uczynił. Siedział na swym miejscu, patrząc spokojnie na rozwścieczonych mężczyzn i wysłuchując ich obelg. I wieśniacy stpniowo umilkli, jakby nie potrafili podsycić własnego gniewu, tak jak wcześniej wesołości. Nóż wrócił do pochwy, groźby zmieniły się w szyderstwa. Powoli uczestnicy bójki rozchodzili się niczym psy po walce; niektórzy chyłkiem, inni z dumnie uniesionymi głowami.

Krogulec wstał, wszedł do gospody i pociągnął długi łyk wody z dzbana przy drzwiach.

– Chodź, chłopcze. Mam dosyć tej wyspy.

– Wracamy do łodzi?

– Tak. – Położył na parapecie dwie sztuki srebra jako zapłatę za nocleg i uniósł z podłogi lekkie zawiniątko.

Arren był zmęczony i senny, lecz gdy w ponurej dusznej izbie zobaczył trzepoczące u powały nietoperze i przypomniał sobie ostatnią noc, z chęcią podążył za czarnoksiężnikiem. A gdy przemierzali jedyną ulicę Sosary, ciemną i pustą, pomyślał też, że w ten sposób wymkną się szaleńcowi Sopliemu. Kiedy jednak dotarli do portu, rudowłosy czekał już na nich.

– Jeśli chcesz płynąć z nami, wsiadaj – rzekł mag.

Sopli bez słowa wskoczył do łodzi i przycupnął obok masztu niczym wielki niechlujny pies. W tym momencie Arren zbuntował się wreszcie.

– Panie mój – rzekł, a Krogulec odwrócił się i stanęli twarzą w twarz na wysokim kamiennym nabrzeżu. – Wszyscy na tej wyspie są szaleni, myślałem jednak dotąd, że ciebie ominęła ta choroba. Po co zabierasz go ze sobą?

– Jako przewodnika.

– Przewodnika? Gdzież ma cię zawieść? Ku nowemu szaleństwu? Doprowadzić do śmierci w morzu, pchnięcia nożem w plecy?

– Do śmierci – owszem; nie wiem jednak, jaka wiedzie ku niej droga.

W słowach Arrena dźwięczał gniew, a choć Krogulec odpowiadał mu spokojnie, w jego głosie zabrzmiała sroga nuta. Arcymag nie przywykł do tego, by podważano jego decyzje. Jednakże Arren od chwili, gdy próbował ochronić go przed atakiem szaleńca na drodze i ujrzał, jak czcze i zbędne są jego wysiłki, czuł dziwną gorycz. Zdawało się, że na jego duszę padł cień. Nie potrafił ochronić Krogulca, nie wolno mu było dokonywać własnych wyborów; nie mógł nawet – albo mu nie pozwalano – pojąć natury ich poszukiwań. Arcymag traktował go jak zbędny balast, jak dziecko. A przecież Arren nie był dzieckiem.

– Nie zamierzam się z tobą kłócić, panie – powiedział najzimniejszym tonem, na jaki mógł się zdobyć – ale to przekracza wszelkie granice.

– Owszem. Tam, dokąd zmierzamy, nie doprowadzi nas zdrowy rozsądek. Pójdziesz ze mną czy nie?

Do oczu chłopca napłynęły łzy gniewu.

– Przyrzekłem, że pojadę z tobą i będę ci służył. Nie łamię raz danego słowa.

– Doskonale – odparł posępnie mag i ruszył do łodzi. Nagle przystanął. – Potrzebuję cię, Arrenie, ty zaś potrzebujesz mnie. Uważam bowiem, że droga, którą podążamy, jest także twoją drogą. Nie ze względu na posłuszeństwo czy dane słowo, ale dlatego, iż przeznaczono ci ją, zanim jeszcze mnie ujrzałeś, zanim postawiłeś stopę na Roke, zanim pożeglowałeś z Enladu. Nie możesz zawrócić.

Jego głos nie złagodniał i Arren odpowiedział równie ponurym tonem:

– Jak miałbym zawrócić, skoro znalazłem się bez własnej łodzi na krańcu świata?

– To ma być kraniec świata? Nie, kraniec jest znacznie dalej. Może jeszcze do niego dotrzemy.

Arren wskoczył do łodzi. Krogulec odwiązał cumę i przemówił do wiatru, wzywając lekki powiew, aby wypełnił żagiel „Bystrego Oka". Powoli odbili od wysokich pustych nabrzeży Lorbanery. Nad morzem wiał chłodny wiatr z mrocznej północy, daleko przed nimi srebrzysty księżyc wynurzył się z gładkich wód i powoli przesuwał na niebie po ich lewej stronie, gdy skręcali na południe, aby okrążyć wyspę.

7

Szaleniec

Szaleniec, farbiarz z Lorbanery, kulił się, wsparty plecami o maszt, oplatając rękami kolana. Schylił głowę; w blasku księżyca jego gęste kręcone włosy nabrały czarnej barwy. Krogulec owinął się kocem i zasnął na rufie łodzi. Arren siedział na dziobie – przysiągł sobie, że będzie trzymał wartę przez całą noc. Mag mógł sobie uważać, że oszalały pasażer ich nie zaatakuje, jednakże Arren sam decydował, w co ma wierzyć i jakie są jego obowiązki.

Noc była bardzo długa i bardzo spokojna. Promienie księżyca zalewały łódź strumieniem niezmiennego blasku. Przycupnięty pod masztem Sopli chrapał cicho, łódź łagodnie płynęła naprzód i równie łagodnie Arren zapadł w sen. Ocknął się gwałtownie i ujrzał, że księżyc zaledwie odrobinę przesunął się na niebie. Po chwili wahania porzucił samowolnie obrany posterunek, usadowił się wygodniej i ponownie zasnął.

I znów nawiedziły go sny, tak jak każdej nocy podczas tej podróży. Z początku wizje były urywkowe, lecz dziwnie słodkie i kuszące. W miejscu masztu „Bystrego Oka” wyrosło drzewo, szeroko rozkładając potężne zielone gałęzie; łabędzie, śmigające na mocnych skrzydłach, wskazywały drogę łodzi; w oddali, nad berylowym morzem, połyskiwały białe wieże wielkiego miasta. Po chwili znalazł się w jednej z owych wież. Wspinał się po spiralnych schodach, wbiegał po stopniach lekko, z zapałem. Owe sceny zmieniały się

i pojawiały na nowo, prowadząc do następnych, które z kolei znikały bez śladu. Nagle znów ujrzał wokół siebie złowrogie mroczne światło wrzosowisk i ogarnęła go groza tak przejmująca, że nie mógł oddychać. Mimo to szedł dalej, ponieważ wiedział, że nie wolno mu się cofnąć. Po długim czasie uświadomił sobie, że tutaj wędrówka naprzód oznaczała krążenie po własnych śladach. A jednak musiał iść dalej, wydostać się stamtąd. Pragnienie to stawało się coraz silniejsze. Zaczął biec, kręgi zaś, które zataczał, stawały się coraz węższe, a grunt pod stopami gwałtownie opadał. Arren biegł w gasnącym świetle, coraz szybciej i szybciej, wokół zapadających się krawędzi otchłani, ogromnego wiru wciągającego wszystko w ciemność; a kiedy to zrozumiał, poślizнął się i runął w dół.

– Co się stało, Arrenie? – Z rufy odezwał się głos Krogulca. Szara łuna świtu rozjaśniła nieruchome morze i niebo.

– Nic.

– Koszmarny sen?

– Nic.

Arren czuł przenikliwy chłód; jego prawa ręka, na której opierał głowę, zdrętwiała i bolała dotkliwie. Zamknął oczy, chroniąc je przed coraz jaśniejszym światłem, i pomyślał: Sugeruje jedynie to czy tamto, ale nigdy nie powie wyraźnie, dokąd zmierzamy, po co i dlaczego powinienem tam dotrzeć. Teraz zaś ciągnie jeszcze z nami tego wariata. Kto jest większym szaleńcem – obłąkany farbiarz czy też ja sam, skoro zgodziłem się wyruszyć w tę podróż? Ci dwaj zapewne rozumieją się całkiem nieźle. Może wszyscy czarnoksiężnicy oszaleli. Mógłbym w tej chwili spać bezpiecznie w domu, we dworze w Berili, w mojej komnacie o rzeźbionych ścianach i posadzce wyścielanej czerwonymi kobiercami. Na kominku płonąłby ogień, ja zaś budziłbym się właśnie, aby wyruszyć na polowanie z ojcem. Po co pojechałem z Arcymagiem? Czemu mnie zabrał? Twierdzi, że takie jest moje przeznaczenie, ale to tylko gadanina czarnoksiężników; wielkie słowa mające nadać zwykłym rzeczom pozory wspaniałości, jednakże ich sens kryje się zawsze gdzie indziej. Jeśli powinienem gdzieś popłynąć, to prosto do domu, a nie tułać się bez sensu po Rubieżach. W domu czekają na mnie obowiązki, nie powinienem ich zaniedbywać. Jeśli on naprawdę uważa, że mamy do czynienia

z nieprzyjacielem dysponującym potężną mocą, czemu wyruszył przeciw niemu sam, tylko ze mną? Mógł wziąć sobie do pomocy innych magów, więcej – całe setki wojowników. Na jego wezwanie stanęłaby armia, ogromna flotylla. Czy tak stawia się czoło wielkiemu niebezpieczeństwu? Wysyłając starca i chłopca? To zwykłe szaleństwo. Zwariował; jest tak, jak mówił: sam szuka śmierci. Pragnie jej i chce zabrać mnie ze sobą, ale ja nie oszalałem, nie jestem też stary; nie umrę, nie pójdę za nim.

Usiadł i podpierając ręką głowę, zapatrzył się wprost przed siebie. Księżyc, który wschodził hen w dali, gdy opuszczali zatokę Sosary, znów błyszczał przed dziobem, zapadając za horyzont. Z tyłu, na wschodzie, jaśniała pierwsza słaba łuna dnia. Na niebie nie było chmur, zasnuwała je słaba przejrzysta mgiełka. Nieco później słońce wstało i zaczęło przygrzewać, lecz jego promienie, przenikające mglistą zasłonę, zdawały się dziwnie bezbarwne i pozbawione blasku.

Przez cały dzień opływali Lorbanery, niską zieloną plamę za prawą burtą. Od strony lądu wiał lekki wietrzyk wypełniający żagiel łodzi. Przed wieczorem minęli ostatni długi przylądek. Bryza ucichła. Krogulec wezwał wówczas magiczny powiew i „Bystre Oko” śmignęło naprzód niczym wypuszczony w powietrze sokół, pozostawiając za sobą Jedwabną Wyspę.

Farbiarz Sopli przez cały dzień kulił się w tym samym miejscu, wyraźnie obawiając się łodzi i morza, nękany chorobą morską, wystraszony i nieszczęśliwy. Teraz odezwał się szorstko:

– Czy płyniemy na zachód?

Dziób łodzi celował prosto w zachodzące słońce, jednakże Krogulec, cierpliwie znoszący nawet najgłupsze pytania pasażera, skinął głową.

– Na Obehol? – zapytał Sopli.

– Obehol leży na zachód od Lorbanery.

– Daleko na zachód. Może tam jest to miejsce.

– Jak ono wygląda?

– Skąd miałbym wiedzieć? Jak mógłbym je zobaczyć? Nie ma go na Lorbanery. Szukam go od lat, czterech, może pięciu, w mroku, nocami, zamykając oczy. On zawsze wzywa mnie: „chodź, chodź”,

ale ja nie mogę. Nie jestem władcą czarnoksiężników, nie potrafię znaleźć drogi w ciemności. Ale istnieje też miejsce, do którego można dotrzeć w świetle, pod słońcem. Tego właśnie nie mogli zrozumieć Mildi i moja matka. Cały czas spoglądali w mrok. Potem stary Mildi umarł, a moja matka straciła rozum. Zapomniała zaklęcia, których używaliśmy przy farbowaniu tkanin, i zaszkodziło jej to na umysł. Pragnęła umrzeć, ale ja powiedziałem, żeby zaczekała, póki nie znajdę tego miejsca. Ono musi istnieć. Skoro martwi mogą ponownie ożyć, na tym świecie musi istnieć miejsce, w którym przekraczają granicę.

– Czyżby martwi ożywali?

– Sądziłem, że o tym wiesz – odparł Sopli po chwili wahania, zerkając z ukosa na Krogulca.

– Pragnę się dowiedzieć.

Sopli nie odpowiedział. Arcymag wbił w niego wzrok surowo, rozkazująco, choć jego głos zabrzmiał dziwnie łagodnie:

– Czy szukasz sposobu na to, aby żyć wiecznie, Sopli?

Przez moment Sopli patrzył na niego w milczeniu; nagle pochylił rozczochraną rudą głowę, garbiąc ramiona i zaciskając dłonie na kostkach nóg, po czym zaczął kołysać się lekko w przód i w tył. Przyjmował tę pozycję za każdym razem, kiedy coś go wystraszyło. Wówczas nie odzywał się ani słowem, nie zwracał też uwagi, kiedy mówiono coś do niego. Arren odwrócił się z niesmakiem. Jak mogli podróżować dalej w małej łodzi w towarzystwie niepoczytalnego szaleńca? Sopli mógł tak się zachowywać całymi dniami, więcej – tygodniami. Zupełnie jakby w zdrowym ciele zamieszkała dodatkowa, dotknięta śmiertelną chorobą dusza...

Krogulec podszedł do siedzącego na dziobie chłopca i ukląkł na ławce, spoglądając na morze oblane nieczystym blaskiem promieni zachodzącego słońca.

– W głębi ducha to łagodny człowiek – rzekł.

Arren nie odpowiedział, tylko spytał zimno:

– Co to jest Obehol? Nigdy o tym nie słyszałem.

– Znam jedynie nazwę tej wyspy i jej położenie na mapach. Spójrz, oto towarzysze Gobardona!

Wielka topazowa gwiazda lśniła nad horyzontem. Poniżej, z półmrocznego oceanu, wyłoniła się biała gwiazda po lewej stronie i jasnobłękitna po prawej. Razem tworzyły wyraźny trójkąt.

– Czy mają jakieś nazwy?

– Mistrz Imion nie wiedział. Możliwe, że ludzie z Obehol i Wellogy jakoś je nazwali. Nie mam pojęcia. Wypływamy na dziwne morza, Arrenie, morza pod Znakiem Końca.

Chłopak nie odpowiedział, spoglądając z nienawiścią na jasne bezimienne gwiazdy świecące nad nieskończonym wodnym pustkowiem.

***

Mijały dni, a oni wciąż żeglowali na zachód. Na Rubieżach panowała ciepła pogodna wiosna, niebo było czyste, bezchmurne. A jednak Arrenowi wydawało się, że słonecznemu światłu brak dawnej jasności, jakby promienie przedostawały się ukosem przez grubą szybę. Pływanie w ciepłym morzu nie przynosiło orzeźwienia. Solona żywność wydawała się pozbawiona smaku. Miał wrażenie, że cały świat stał się nudny i zużyty. Tylko nocą gwiazdy płonęły blaskiem coraz jaśniejszym. Gdy zapadał mrok, Arren kładł się, spoglądając w niebo, póki nie zasnął. A wówczas przychodziły sny, nieodmiennie przynoszące wizję pustkowia, otchłani, doliny otoczonej wysokimi urwiskami, długiej drogi opadającej w dół pod niebem skrytym za ciężką zasłoną chmur. Zawsze też pojawiały się w nich przygaszone światło, przejmująca groza i beznadziejne próby ucieczki.

Nie mówił o tym Krogulcowi. Zresztą w ogóle nie rozmawiali o niczym ważnym, poza drobnymi codziennymi sprawami, mag zaś, już wcześniej małomówny, obecnie zachowywał całkowite milczenie.

Arren dostrzegał teraz, jakim był głupcem, powierzając swe ciało i duszę temu niespokojnemu, skrytemu człowiekowi, który kierował się impulsami i nawet nie usiłował pokierować swoim życiem – więcej, ocalić życia w obliczu zagrożenia. Krogulec bowiem

niewątpliwie szukał śmierci. Pewnie dlatego, uznał Arren, iż nie śmie stawić czoła własnej porażce, upadkowi potęgi magii.

Teraz już wszyscy, którzy poznali pilnie strzeżony sekret, widzieli wyraźnie, że sztuka magiczna, której Krogulec, a przed nim niezliczone pokolenia czarodziejów i magów, zawdzięczał swą sławę i władzę, nie kryje w sobie nic tajemniczego. Opierała się jedynie na wykorzystywaniu wiatrów i pogody, znajomości ziół i zręcznym posługiwaniu się złudzeniami, takimi jak mgły, światła i przemiany kształtów, które mogły oszołomić prostych ludzi, w istocie jednak były tylko zgrabnymi sztuczkami. Rzeczywistość nie ulegała zmianie. Magia nie dawała nikomu władzy nad innymi ludźmi, nie potrafiła też pokonać śmierci. Czarnoksiężnicy nie żyli dłużej niż zwykli mieszkańcy Ziemiomorza. Cała ich moc nie potrafiła opóźnić nawet o godzinę nadejścia śmierci.

Także w mniej istotnych sprawach na magię nie można było liczyć. Krogulec zawsze skąpił swoich sztuczek. Kiedy tylko mogli, żeglowali z prawdziwym wiatrem, sami łowili ryby i oszczędzali wodę jak zwyczajni żeglarze. Po czterech dniach żmudnej żeglugi z kapryśnym przeciwnym wiatrem Arren poprosił Arcymaga, by wezwał magiczny powiew, lecz spotkał się z odmową.

– Czemu nie?

– Nie żądałbym, aby człek dotknięty chorobą uczestniczył w wyścigu – wyjaśnił Krogulec – ani nie złożyłbym kamienia na plecach i tak już obciążonego tragarza.

Nie było jasne, czy miał na myśli siebie, czy cały świat. Niełatwo było zrozumieć jego niechętnie udzielane odpowiedzi. Na tym właśnie, pomyślał Arren, polega podstawowa siła magii – nie mówiąc nic, sugerować istnienie głębszego znaczenia. Sprawiać, że bezczynność zdaje się szczytem mądrości.

Usiłował ignorować Sopliego, to jednak okazało się niemożliwe. Zresztą wkrótce odkrył, że szaleniec jest jego sprzymierzeńcem. Sopli nie był tak obłąkany – przynajmniej w potocznym rozumieniu tego słowa – jak wskazywałyby jego rozczochrane włosy i urywana gadanina. W istocie najwyraźniejszym objawem jego szaleństwa pozostawał śmiertelny strach przed wodą. Samo wejście do łodzi wymagało od niego rozpaczliwej odwagi; nigdy też nie przekroczył

granicy zakreślonej przez strach. Nieustannie pochylał głowę, aby nie widzieć fal kołyszących się wokół. Kiedy wstawał, natychmiast robiło mu się słabo i przywierał do masztu. Za pierwszym razem, gdy Arren postanowił popływać i zanurkował z dziobu łodzi, Sopli krzyknął z przerażenia. Kiedy po chwili chłopak wdrapał się z powrotem, nieszczęśnik niemal zzieleniał ze zgrozy.

– Myślałem, że się utopiłeś – powiedział i Arren nie mógł powstrzymać śmiechu.

Tego popołudnia, gdy Krogulec siedział pogrążony w zamyśleniu, nie widząc i nie słysząc, co się dzieje, Sopli, przekraczając ostrożnie ławki, zbliżył się do Arrena i rzekł, zniżając głos:

– Nie chcesz umrzeć, prawda?

– Oczywiście, że nie.

– On chce – stwierdził Sopli, wskazując maga niemal niedostrzegalnym gestem.

– Czemu tak sądzisz?

Arren mówił wyniośle. W istocie podobny ton przychodził mu zupełnie naturalnie i Sopli zaakceptował to jako coś oczywistego, choć był jakieś dziesięć, piętnaście lat starszy od chłopca. Teraz odparł grzecznie, na swój dziwny urywany sposób:

– Próbuje dotrzeć do tajemnego miejsca, ale nie wiem dlaczego. On nie chce... Nie wierzy w... obietnicę.

– Jaką obietnicę?

Sopli zerknął na niego ostro, w jego oczach błysnął ślad utraconej dojrzałości, jednakże wola Arrena okazała się silniejsza.

– No wiesz, chodzi o życie – odparł bardzo cicho. – Wieczne życie.

Ciałem Arrena wstrząsnął nagły dreszcz. Chłopak przypomniał sobie sny: pustkowie, otchłań, urwiska, przygaszone światło. To była śmierć; groza śmierci. Musiał śmierci uciec, musiał znaleźć drogę, na progu zaś stała postać w cienistej koronie, trzymająca w dłoni światło nie większe niż spora perła – połysk nieśmiertelności.

Po raz pierwszy Arren spojrzał prosto w jasnobrązowe, przejrzyste oczy Sopliego. Pojął wreszcie, że Sopli także o tym wie.

– On – powiedział farbiarz, unosząc podbródek w stronę Krogulca – nie zechce odrzucić swojego imienia. Nikt nie może zabrać imienia na drugą stronę. Brama jest zbyt wąska.

– Widziałeś ją?

– W ciemności, w moim umyśle. To nie wystarczy. Chcę tam dotrzeć; chcę ją zobaczyć na tym świecie, na własne oczy. A gdybym umarł i nie mógł znaleźć bramy? Większość ludzi tego nie potrafi. Nie wiedzą nawet, że istnieje. Tylko niektórzy z nas mają taką moc. Ale to trudne, ponieważ aby tam dotrzeć, trzeba z niej zrezygnować... Koniec ze słowami. Koniec z imionami. Zbyt trudno zachować je w umyśle. A kiedy... umrzesz, twój umysł także... umiera. – Sopli kilkakrotnie się zająknął, wymawiając to słowo. – Chcę wiedzieć, że mogę wrócić. Chcę tam dotrzeć. Po stronie życia. Pragnę żyć, być bezpieczny. Nienawidzę tej wody...

Skulił się niczym spadający pająk i zgarbiony pochylił rudą kędzierzawą głowę, aby nie patrzeć na morze.

Po tej rozmowie Arren przestał unikać towarzystwa szaleńca, wiedząc, że Sopli podziela nie tylko jego wizje, ale też lęk; i że w razie najgorszego mógłby pomóc mu w walce z Krogulcem.

Płynęli dalej, niezmiennie na zachód, mimo okresów ciszy i kapryśnych wiatrów. Krogulec udawał, że kieruje się wskazówkami Sopliego, jednakże Sopli wcale ich nie prowadził; nie znał przecież morza, nigdy nie widział mapy, nie płynął łodzią, a woda budziła w nim przerażenie. Ich prawdziwym przewodnikiem był mag i z rozmysłem pozwolił im zboczyć z kursu. Arren dostrzegł to i pojmował, czemu tak się dzieje. Arcymag wiedział, że on i inni jemu podobni szukają wiecznego życia, że przyrzeczono im je i że mogą je odnaleźć. W swej niepohamowanej czarnoksięskiej dumie lękał się, że im się powiedzie. Zazdrościł im, a jednocześnie bał się, że ktoś może wynieść się ponad niego. Zamierzał zatem wypłynąć na Morze Otwarte, zostawiając za sobą ostatni skrawek ziemi, i błąkać się tam, póki nie zyska pewności, że nigdy nie powrócą do znanego im świata. Umarliby z pragnienia, a on zginąłby razem z nimi tylko po to, by nie pozwolić im żyć wiecznie.

Od czasu do czasu Krogulec rozmawiał z Arrenem, dyskutując o problemach sterowania łodzią, albo też pływał z nim w ciepłym morzu czy życzył mu dobrej nocy pod jasnymi gwiazdami i wówczas wszystkie poprzednie obawy zdawały się chłopcu zupełnie pozbawione sensu. Widząc tę twardą, ostrą, cierpliwą twarz, myślał:

To mój pan i przyjaciel. Wtedy sam nie mógł uwierzyć, że w niego wątpił, później jednak wątpliwości powracały i Arren z Soplim ponownie wymieniali ukradkowe spojrzenia, ostrzegając się przed wspólnym wrogiem.

Każdego dnia na niebie świeciło słońce; gorące, lecz pozbawione blasku. Jego promienie nadawały łagodnie rozkołysanemu morzu dziwnie szklisty połysk. Woda była niebieska, podobnie jak niebo – przestwór niezmiennego, monotonnego błękitu. Lekki powiew pojawiał się i zamierał, oni zaś z trudem chwytali go w żagle, powoli pełznąc naprzód ku nieznanemu celowi.

Pewnego popołudnia zerwał się wreszcie lekki sprzyjający wiatr, Krogulec zaś wskazał ręką w górę tuż ponad tarczę chylącego się ku zachodowi słońca.

– Spójrz.

Wysoko nad masztem przeleciały morskie gęsi; klucz ptaków wyglądał jak czarna runa nakreślona na niebie. Gęsi zmierzały na zachód, podążające w ślad za nimi „Bystre Oko" pomknęło chyżo naprzód. Następnego dnia przed jego dziobem wyrosła wielka wyspa.

– To tu – rzekł Sopli. – To ta ziemia. Musimy tam popłynąć.

– Czy znajdziemy miejsce, którego szukasz?

– Jestem pewien. Musimy dobić do brzegu. Nie możemy dotrzeć dalej.

– Ląd, który widzimy, to Obehol. Za nim, na Południowych Rubieżach, jest jeszcze jedna wyspa, Wellogy. A na Rubieżach Zachodnich znajdziemy wyspy wysunięte dalej na zachód niż nawet Wellogy. Jesteś pewien, Sopli?

Farbiarz z Lorbanery zaczął się denerwować. Jego oczy rozbłysły gniewem, choć głos nadal brzmiał w uszach Arrena tak jak wtedy, gdy poznali się na Jedwabnej Wyspie.

– Tak. Musimy tu wylądować. Dotarliśmy dostatecznie daleko. Tu właśnie znajduje się miejsce, którego szukamy. Jak was o tym przekonać? Czy mam przysiąc na własne imię?

– Nie możesz tego zrobić – odparł Krogulec twardo, spoglądając na Sopliego, który wstał i trzymając się masztu, patrzył przed siebie. – Nawet nie próbuj, Sopli.

Farbiarz wykrzywił się; nie wiadomo – z bólu czy wściekłości. Wpatrując się w odległe błękitne góry wyrastające nad rozkołysaną wodną równiną, rzekł:

– Chcieliście, abym was poprowadził. To jest właściwe miejsce. Musimy tu wylądować.

– I tak zrobimy. Potrzebna nam woda. – Krogulec podszedł do steru.

Sopli ponownie usiadł przy maszcie, mamrocząc coś pod nosem. Arren zasłyszał jedynie powtarzane po wielekroć słowa: „Przysięgam na moje imię. Moje imię". Farbiarz za każdym razem, gdy to mówił, wykrzywiał się w bolesnym grymasie.

Niesieni północnym wiatrem zbliżyli się do wyspy i zaczęli ją opływać, wypatrując stosownej plaży bądź zatoczki. Fale z cichym szumem uderzały o północny brzeg. Zielone zbocza gór piekły się w upalnym słońcu, skryte przed oczami gości pod gęstym płaszczem lasów.

Okrążywszy cypel, ujrzeli w końcu otwierającą się przed nimi głęboką półkolistą zatokę o białych piaszczystych brzegach. Tu fale, wcześniej załamujące się o półwysep, łagodnie muskały piasek, jakby zapraszając do lądowania. Na plaży ani w lesie ponad nią nie widać było śladów ludzkiej obecności. Nie dostrzegli dachów chat, łodzi ani nawet smugi dymu. Lekki wietrzyk ucichł, gdy tylko „Bystre Oko" wpłynęło do zatoki. Wokół panowała cisza, spiekota przytłaczała. Arren usiadł do wioseł, Krogulec sterował. Tylko skrzypienie dulek zakłócało wszechobecną ciszę. Górujące nad zatoką zielone szczyty zbliżały się z każdą chwilą. Błyszcząca w oślepiających promieniach słońca woda przypominała metal rozżarzony do białości. Arren słyszał tętnienie krwi w uszach. Sopli porzucił bezpieczne schronienie pod masztem i przycupnął na dziobie. Przytrzymując się burty, nie spuszczał z oka zbliżającej się wyspy. Ciemna, zryta bliznami twarz Krogulca połyskiwała od potu jak naoliwiona, jego wzrok wędrował nieustannie od pokrytego płatami piany brzegu do wysokich, porośniętych drzewami grani.

– Teraz – powiedział, zwracając się do Arrena i łodzi jednocześnie.

Chłopiec trzykrotnie poruszył wiosłami i „Bystre Oko” lekko osiadło na piasku. Krogulec wyskoczył, aby popchnąć łódź w głąb plaży, wykorzystując zamierający impet fal. Jednakże wyciągając rękę w stronę burty, zachwiał się i omal nie upadł, w ostatniej chwili chwytając się steru. Potężnym szarpnięciem pociągnął łódź z powrotem do wody wraz z cofającą się falą i w ostatniej chwili wskoczył do środka. Łódź jakby zastygła pomiędzy morzem a lądem.

– Wiosłuj! – wykrztusił czarnoksiężnik, skulony na czworakach. Cały ociekał wodą i dyszał, z trudem łapiąc powietrze. W ręku trzymał krótką włócznię o ostrzu wykutym z brązu. Skąd ją wziął? Arren oszołomiony zastygł przy wiosłach. Wtem nad wodą śmignęła kolejna włócznia. Otarła się o ławkę, pozostawiając płytkę bruzdę, i odbita zniknęła w wodzie. Na niskich zboczach ponad plażą pojawiły się liczne przyczajone postaci. W powietrzu słychać było ciche świsty i pogwizdywania. Arren nagle spuścił głowę, zgarbił plecy i zaczął wiosłować co sił. Dwa pchnięcia wioseł wystarczyły, by opuścić płyciznę, trzema kolejnymi obrócił łódź, kierując ją w stronę otwartego morza.

Sopli, nadal siedzący na dziobie za plecami Arrena, zaczął krzyczeć. Nagle pochwycił ramiona chłopca tak gwałtownie, że wiosła wystrzeliły z wody. Koniec jednego z nich uderzył Arrena w brzuch; przez moment chłopakowi zaparło dech, a świat przed oczami pociemniał z bólu.

– Zawróć! Zawróć! – wrzeszczał Sopli.

„Bystre Oko” gwałtownie podskoczyło, zakołysało się. Gdy tylko Arren odzyskał panowanie nad sobą, odwrócił się wściekły. Sopliego nie było w łodzi.

Wokół nich głębokie wody zatoki falowały łagodnie, migocząc w promieniach słońca.

Ogłupiały Arren ponownie obejrzał się za siebie, po czym spojrzał bezradnie na skulonego na rufie Krogulca.

– Tam – powiedział czarnoksiężnik, wskazując na bok. Jednakże w owym miejscu nie było nic, tylko morze i słoneczny blask.

Nadleciała następna włócznia. Nie sięgnęła łodzi; bezszelestnie zagłębiła się w wodę i zniknęła. Arren znów zaczął wiosłować

z całych sił. Po dziesięciu pchnięciach wyprostował się i ponownie spojrzał na Krogulca.

Czarnoksiężnik miał dłonie i lewe przedramię całe we krwi. Przyciskał do ramienia kawał żaglowego płótna. Włócznia o grocie z brązu leżała na dnie łodzi. Kiedy Arren ujrzał ją po raz pierwszy, Krogulec nie trzymał broni w ręku – sterczała z jego ciała, w które wbiła się głęboko. Arcymag przebiegał wzrokiem pasmo wody oddzielające ich od białej plaży, na której podskakiwały małe postacie, wygrażając im w rozedrganym z gorąca powietrzu. Wreszcie rzekł:

– Ruszaj dalej.

– Sopli...

– Nie wypłynął.

– Utonął? – spytał Arren z niedowierzaniem.

Krogulec przytaknął.

Arren wiosłował, póki oddalająca się plaża nie stała się jedynie białą kreską u stóp lasów i wyniosłych zielonych gór. Krogulec siedział przy sterze, nadal przyciskając zwój płótna do ramienia. Poza tym nie zwracał najmniejszej uwagi na swą ranę.

– Czy trafiła go włócznia? – zapytał chłopak.

– Sam skoczył.

– Ale on... nie umiał pływać. Bał się wody!

– Owszem. I to śmiertelnie. Chciał... chciał wrócić na ląd.

– Czemu nas zaatakowali? Kim są?

– Chyba sądzili, że jesteśmy nieprzyjaciółmi. Czy... mógłbyś pomóc mi przez chwilę? – Arren ujrzał, że tkanina pokrywająca ranę przesiąkła jaskrawą czerwienią.

Ostrze z brązu trafiło pomiędzy bark a obojczyk, przebijając jedną z głównych tętnic, toteż rana krwawiła obficie. Posłuszny wskazówkom Krogulca Arren oddarł parę wąskich pasów od płóciennej koszuli. Tak sporządzonymi szarpiami opatrzył ranę najlepiej, jak umiał. Czarnoksiężnik poprosił go o włócznię. Położył ją sobie na kolanach, nakrył prawą dłonią grot z ręcznie kutego brązu, długi i wąski niczym wierzbowy liść. Usiłował coś powiedzieć, po minucie jednak potrząsnął głową.

– Nie mam siły na zaklęcia – rzekł. – Później. Wszystko będzie dobrze. Czy zdołasz wyprowadzić nas z tej zatoki, Arrenie?

Chłopiec w milczeniu powrócił do wioseł. Garbiąc plecy, zabrał się do pracy i wkrótce – jego smukłe ciało kryło bowiem w sobie mnóstwo sił – „Bystre Oko" wypłynęło z półkolistej zatoki na otwarte wody. Wokół panowała upalna cisza Rubieży. Żagiel zwisał smętnie na maszcie. Promienie słońca przebijały delikatny opar mgły, zielone szczyty zdawały się drżeć i migotać w rozedrganym powietrzu. Krogulec wyciągnął się na dnie łodzi, opierając głowę o ławkę. Leżał nieruchomo, z półotwartymi oczami i ustami. Arren wolał nie patrzeć na jego twarz. Spoglądał nieruchomo w dal za rufą łodzi. Lekka mgiełka zasnuwała niebo niczym pajęczyna. Ręce chłopca drżały z wysiłku, mimo to wiosłował dalej.

– Dokąd nas kierujesz? – spytał Krogulec ochrypłym głosem, usiłując usiąść. Obróciwszy się, Arren ponownie ujrzał zielone ramiona wielkiej zatoki wyciągające się ku łodzi, białą plażę w głębi i wznoszące się za nimi góry. Powoli dotarło do niego, że nieświadomie zawrócił.

– Nie mam już sił – powiedział, unosząc wiosła. Przycupnął na dziobie. Cały czas zdawało mu się, że Sopli jak zwykle siedzi przy maszcie. Spędzili razem wiele dni, a jego śmierć była zbyt nagła, zbyt bezsensowna, aby można ją było pojąć. Nic już nie rozumiał.

Łódź unosiła się na wodzie, pusty żagiel wisiał żałośnie. Wzbierający przypływ łagodnie odwrócił „Bystre Oko" i zaczął popychać je w stronę odległej białej linii plaży.

– „Bystre Oko" – szepnął czule mag, dodając parę słów w Dawnej Mowie.

Łódź zakołysała się łagodnie, powoli zawróciła, przecinając cicho morską taflę, coraz dalej i dalej od zdradzieckich ramion zatoki.

Jednakże po niecałej godzinie, równie wolno i łagodnie, zatrzymała się i jej żagiel ponownie opadł. Arren obejrzał się; Krogulec leżał tak jak przedtem z osuniętą bezwładnie głową i zamkniętymi oczami.

Przez cały ten czas chłopiec czuł ogromną przytłaczającą grozę, która ogarniała go coraz bardziej i powstrzymywała od działania, cienkimi nićmi powoli oplatając jego ciało i umysł. Utracił odwagę,

która mogłaby powstrzymać atak przerażenia; jedyną jego reakcją był tępy gniew i wstręt.

Nie powinien pozwolić łodzi zdryfować w stronę skalistych brzegów krainy, której mieszkańcy atakowali przybyszów. Zdawał sobie z tego sprawę, jednak niewiele to znaczyło. Cóż bowiem miał robić? Wiosłować z powrotem na Roke? Był zagubiony, beznadziejnie zagubiony wśród ogromu Rubieży. Nigdy nie zdołałby doprowadzić łodzi do leżących wiele tygodni drogi dalej przyjaznych lądów. Mogła mu w tym pomóc jedynie mądrość maga, Krogulec zaś był ranny i bezradny. Stało się to równie nagle i bezsensownie, jak śmierć Sopliego. Arcymag miał twarz nieruchomą, powleczoną żółtawą bladością. Czyżby umierał? Arren pomyślał, że powinien przenieść go w cień pod płócienny daszek i dać mu wody. Ludzie, którzy stracili dużo krwi, muszą pić. Ale już od paru dni oszczędzali wodę. W beczce widać było dno. Co z tego? Nic już im nie pomoże, nic się nie przyda. Ich szczęście się skończyło.

Mijały godziny, słońce prażyło nieubłaganie. Upał odbierał siły, Aren siedział otępiały, nie robiąc nic.

W końcu jego czoło musnął chłodny powiew. Chłopak uniósł wzrok. Był już wieczór; słońce zaszło, na zachodzie płonęła martwa czerwona łuna. „Bystre Oko” płynęło wolno, unoszone łagodną wschodnią bryzą, za jego burtą przesuwały się strome, porośnięte lasem brzegi Obehol.

Arren podniósł się i zakrzątnął wokół Arcymaga; ułożył go na posłaniu pod daszkiem i dał wody. Wszystko to czynił w pośpiechu, starając się nie patrzeć na bandaż, który domagał się zmiany, rana bowiem nie przestawała krwawić. Krogulec, słaby i wyczerpany, nie odzywał się. Łapczywie wypił parę łyków, po czym powieki mu opadły i ponownie osunął się w sen – najwyraźniej pragnienie odpoczynku okazało się silniejsze. Leżał spokojnie, a kiedy w nocy wiatr ucichł, nie zastąpił go magiczny powiew i łódź ponownie zaczęła dryfować bez celu po łagodnie falującej wodzie. Góry po prawej stronie tworzyły w mroku czarną plamę na tle gwiaździstego nieba. Arren wpatrywał się w nie przez długi czas. Ich kształt wydawał mu się znajomy, jakby oglądał je już kiedyś i znał od urodzenia.

Gdy w końcu położył się spać, zwrócił twarz na południe, gdzie wysoko na niebie, nad gładką taflą morza, płonęła gwiazda Gobardon. Pod nią jaśniały dwie kolejne, tworząc trójkąt, pod nimi zaś wzeszły następne trzy gwiazdy. Z czasem nad wodną równiną, połyskującą czernią i srebrem, pojawiły się jeszcze dwie; żółte niczym Gorbadon, choć wyraźnie mniejsze, chyliły się na ukos w lewo od podstawy trójkąta. Teraz Arren widział przed sobą osiem z dziewięciu gwiazd, które ponoć tworzyły figurę człowieka albo też hardycką runę Agnen. W oczach chłopca ich wzór nie przypominał człowieka, chyba że, jak to bywa z gwiazdozbiorami, osobliwie zniekształconego. Jednakże runa była wyraźnie widoczna. Przekreślony zygzak i zakrzywione ramię. Brakowało jedynie ostatniej poziomej linii, stopy, wyznaczająca ją gwiazda bowiem jeszcze nie wzeszła.

Wpatrując się w nie, Arren zasnął.

Kiedy ocknął się o świcie, fale zniosły „Bystre Oko" daleko od brzegu Obehol. Gęsta mgła skrywała wyspę, zza szarej zasłony wynurzały się jedynie wierzchołki gór. Dalej, na południu, cienki woal przesłaniał fioletowe wody, tłumiąc światło porannych gwiazd.

Krogulec oddychał nieregularnie jak człowiek, którego nęka ból wystarczająco dotkliwy, by zakłócić sen, nie dość mocny jednak, aby przywrócić rannego jawie. W zimnym, nierzucającym cieni świetle jego twarz była pobrużdżona i stara. Arren ujrzał człowieka, któremu nie została już żadna moc, żadna magia, siła ani nawet młodość. Nie ocalił Sopliego, nie odwrócił od siebie włóczni. Naraził ich na niebezpieczeństwo. Teraz Sopli nie żyje, Krogulec umiera, Arrena zaś niewątpliwie czeka to samo. Wszystko to z winy czarnoksiężnika; ich wysiłki poszły na marne, nie zdały się na nic.

Zrozpaczony chłopak nie widział już w Arcymagu nic wyjątkowego. W jego pamięci nie pojawiło się wspomnienie fontanny pod rozłożystą jarzębiną, białego magicznego światła na statku niewolników we mgle ani zaniedbanych sadów wokół domu farbiarzy. Nie ocknęła się w nim duma ani upór. Patrzył, jak nad spokojnym morzem wstaje świt, jak niskie fale odpływają w dal, jasne niczym blady ametyst. Wszystko to przypominało sen: wyblakły, pozbawiony

nawet pozorów rzeczywistości. U podstaw snu i morza zaś nie było nic – ziała jedynie otchłań. Brakowało głębi.

Łódź powoli, z wahaniem sunęła naprzód, posłuszna kaprysom wiatru. Daleko za sobą pozostawiła szczyty Obehol, coraz mniejsze czarne plamki na tle wschodzącego słońca, które przebudziło wiatr unoszący łódź coraz dalej od lądu, od świata, na otwarte morze.

8

Dzieci Morza Otwartego

Koło południa Krogulec poruszył się i poprosił o wodę. Wypiwszy parę łyków, spytał:

– Dokąd płyniemy? – Nad jego głową żagiel napinał się mocno, łódź zaś śmigała po długich falach niczym jaskółka.

– Na zachód albo północny zachód.

– Zimno mi – poskarżył się Krogulec. Słońce płonęło na niebie, jego palące promienie zalewały łódź.

Arren nie odpowiedział.

– Postaraj się sterować na zachód, w stronę Wellogy, sąsiadki Obehol. Wyląduj tam. Potrzebujemy wody.

Chłopiec uparcie spoglądał naprzód, ponad puste morze.

– Co się stało, Arrenie?

Cisza.

Krogulec usiłował usiąść. Wyciągnął rękę w stronę laski leżącej obok skrzyni z zapasami, jednakże kawał cisowego drewna pozostawał poza jego zasięgiem, a kiedy mag ponownie próbował się odezwać, słowa zamarły na jego suchych wargach. Pod przesiąkniętym na wylot, pokrytym rdzawymi plamami bandażem rana znów zaczęła krwawić. Ciemną skórę na piersi przecięła cienka pajęcza nitka szkarłatu. Krogulec odetchnął głęboko i zamknął oczy.

Arren patrzył na niego, nic jednak nie czuł i wkrótce odwrócił wzrok. Przeszedł na dziób łodzi i ponownie przykucnął, spoglądając przed siebie. W ustach czuł przejmującą suchość. Silny wiatr ze wschodu był niczym oddech pustyni. W baryłkach pozostała resztka wody; według Arrena przeznaczona była dla Krogulca, nie dla niego. Nawet nie przyszło mu na myśl, by mógł się napić. Zarzucał linki na ryby, od czasu opuszczenia Lorbanery bowiem przekonał się, że surowa ryba zaspokaja zarówno pragnienie, jak i głód. Jednakże nawet najmniejsza zdobycz nie chwyciła przynęty. Łódź wędrowała po wodnej pustyni. Nad ich głowami, powoli, lecz nieubłaganie sunęło słońce, wygrywając o całą szerokość nieba wyścig ze wschodu na zachód.

Raz wydało się Arrenowi, że dostrzega na południu błękitną plamę; mógł to być ląd albo chmura. „Bystre Oko” od wielu godzin zmierzało na północny zachód. Nie próbował zmieniać kursu, pozwolił łodzi podążać z wiatrem. Ląd mógł okazać się złudą lub rzeczywistością – nieważne. W oczach chłopca cała ta przytłaczająca wspaniałość ognistego wiatru, światła i wody wydawała się ciemna i fałszywa.

Zapadł zmrok, a potem znów świt, zmierzch i ranek niczym kolejne uderzenia w ogromny bęben nieba.

Zanurzył dłoń w wodzie za burtą. Przez sekundę oglądany obraz zaskoczył go swą ostrością. Blada, zielonkawa dłoń pod powierzchnią żyjącego morza. Nachylił się i possał wilgotne palce. Woda była gorzka, boleśnie piekły od niej wargi, jednak uczynił to ponownie. W nagłym ataku mdłości zgiął się wpół, lecz w gardle poczuł jedynie ostry smak żółci. Nie miał już wody, którą mógłby podać Krogulcowi, zresztą bał się podejść do czarnoksiężnika. Położył się na dnie łodzi, dygocząc mimo upału. Wokół rozciągała się rozświetlona słońcem przestrzeń, cicha, sucha i jasna; przerażająco jasna. Przymknął oczy, osłaniając je przed oślepiającym blaskiem.

***

Stali w łodzi – trzej mężczyźni, szczupli i wysocy, o kanciastych rysach i wielkich czarnych oczach. Przypominali ciemne czaple bądź żurawie; ich głosy były wysokie niczym ptasi świergot. Nie rozumiał ich. Jeden ukląkł, dzierżąc w dłoni czarny pęcherz, który przechylił nad ustami Arrena. To była woda. Chłopak łapczywie pociągnął łyk, zakrztusił się i znów zaczął pić, aż do opróżnienia pojemnika. Wówczas rozejrzał się wokół siebie i z trudem dźwignął na nogi.

– Gdzie on jest? Gdzie? – Oprócz niego w „Bystrym Oku" znajdowało się tylko trzech nieznajomych.

Najwyraźniej go nie zrozumieli.

– Ten drugi – wychrypiał; jego suche gardło i pokryte zaschniętą krwią wargi nie nadawały się do formowania kolejnych słów. – Mój przyjaciel...

Jeden z przybyszów pojął niepokój chłopca. Wskazał ręką naprzód.

– Tam – rzekł kojącym tonem.

Arren pobiegł wzrokiem w ślad za gestem nieznajomego i ujrzał na morzu przed łodzią częściowo zebrane w skupiska, częściowo samotne tratwy – tak wiele tratew, że pokrywały powierzchnię morza niczym jesienne liście staw. Każda z nich, niska i solidna, mieściła na swym pokładzie jedną bądź dwie ustawione pośrodku chatki. Tratwy dryfowały, łagodnie wznosząc się i opadając w rytm długich fal Oceanu Zachodniego. Pomiędzy nimi srebrzyła się tafla wody, nad nimi zaś wisiały potężne, fioletowe i złote deszczowe chmury, rzucając cień na świat.

– Tam. – Nieznajomy wskazywał wielką tratwę obok „Bystrego Oka".

– Żyje?

Wszyscy spojrzeli na niego, aż wreszcie jeden zrozumiał.

– Żyje. On żyje.

Słysząc to, Arren zapłakał. Jeden z przybyszów objął silną dłonią przegub chłopca i pociągnął go z łodzi na tratwę, do której ją uwiązano. Tratwa była tak ogromna, że nawet nie poruszyła się pod ich ciężarem. Ktoś sięgnął ciężkim drągiem zakończonym zakrzywionym zębem rekina i przyciągnął bliżej sąsiednie pływające domostwo, tak by mogli na nie przejść. Przewodnik zaprosił Arrena

do chaty; z jednego boku była otwarta, pozostałe osłaniały ręcznie tkane kotary.

– Połóż się – polecił i Arren nie pamiętał już nic więcej.

***

Leżał na plecach, wygodnie rozciągnięty, i wpatrywał się w nierówny zielony sufit nakrapiany iskierkami światła. Wydawało mu się, że trafił do sadu w Semermine, gdzie książęta Enladu spędzają lato, na wzgórzach niedaleko Berili.

Miał wrażenie, że leży umierający w gęstej trawie Semermine. Spoglądał w niebo; widział słoneczne promienie przeświecające przez gałęzie jabłoni. Po jakimś czasie usłyszał chlupot wody pod tratwą i cienkie głosy ludzi morza rozmawiających między sobą w języku, w którym rozpoznał powszechnie używany na Archipelagu hardycki, lecz o tak bardzo odmienionej melodii i akcencie, że trudno go było zrozumieć. Wówczas pojął, dokąd trafił – poza Archipelag, poza Rubieże, poza wszelkie wyspy, hen, na otwarte morze. Nadal jednak nie czuł niepokoju, leżąc wygodnie i słysząc w myślach szmer traw swej ojczyzny.

Po jakimś czasie pomyślał, że powinien wstać, i uczynił to. Wówczas odkrył, że bardzo schudł i spiekł się na słońcu. Nogi mu dygotały, ale poza tym nadawały się do użytku. Odsunął na bok grubą matę tworzącą ściany schronienia i wyszedł. Było już późne popołudnie. Kiedy Arren spał, spadł deszcz i drewniane kłody, z których zbudowano poszycie tratwy – wielkie, gładko obciosane pnie, ciasno związane i uszczelnione – poczerniały od wody. Włosy smukłych półnagich ludzi były czarne i mokre. Ale połowa nieba już się oczyściła, nad zachodnim horyzontem błyszczało słońce, chmury odpływały na północny wschód – nieszkodliwe srebrzyste plamki na firmamencie.

Jeden z mężczyzn podszedł ostrożnie, zatrzymując się kilka kroków przed Arrenem. Był drobny i szczupły, nie wyższy niż dwunastoletni

chłopiec; oczy miał wielkie, podłużne i ciemne. W dłoni dzierżył oszczep o zębatym kościanym grocie.

Widząc go, Arren powiedział:

– Jestem waszym dłużnikiem. Twoim i twojego ludu.

Tubylec skinął głową.

– Czy zechcesz mnie zaprowadzić do mojego towarzysza?

Obróciwszy się, człowiek z tratwy wydał głos, wysoki przenikliwy dźwięk podobny do krzyku morskiego ptaka. Następnie przysiadł na piętach, jakby czekając na odpowiedź, i Arren poszedł w jego ślady.

Wszystkie tratwy miały maszty, choć na tej, na której się znajdowali, nie był on jeszcze osadzony i leżał na pokładzie. Wciągano na nie niewielkie – zwłaszcza w stosunku do szerokości tratwy – żagle uszyte z brązowego materiału; nie płótna czy lnu, ale włóknistej materii sprawiającej wrażenie, jakby nie została utkana, lecz zbita niczym filc. Jedna z tratew powoli postawiła wiszący na poprzeczce brązowy żagiel i leniwie ruszyła naprzód, manewrując wśród innych, których załogi odpychały ją drągami. Wreszcie znalazła się obok tratwy Arrena. Kiedy oba pokłady dzieliła odległość nieco większa niż długość kroku, tubylec wstał i nonszalancko przeskoczył na drugą stronę. Arren też skoczył, lądując niezgrabnie na czworakach; jego nogi nie miały sił, by utrzymać ciężar ciała. Podniósł się szybko i odkrył, że niski mężczyzna patrzy na niego nie z rozbawieniem, lecz z aprobatą. Najwyraźniej opanowanie chłopca wzbudziło jego uznanie.

Ta tratwa była większa i wyższa niż pozostałe, sporządzona z wielkich drewnianych bali, gładkich i poczerniałych od starości. Wokół kilkunastu szałasów, czy raczej małych chat, stały osobliwe drewniane posągi. W czterech rogach tratwy wznosiły się wysokie słupy ozdobione pękami piór morskich ptaków. Przewodnik zaprowadził chłopaka do najmniejszej z kabin, gdzie leżał pogrążony we śnie Krogulec.

Arren usiadł obok maga. Jego przewodnik powrócił na swoją tratwę i nikt nie niepokoił przybyszów. Po jakiejś godzinie jedna z kobiet przyniosła jedzenie – rodzaj zimnego gulaszu z ryby, w którym pływały kawałki przezroczystej zielonej substancji. Potrawa

była słona, ale bardzo dobra. Do tego niewielki kubek wody, lekko zatęchłej, o wyraźnym posmaku smoły. Ze sposobu, w jaki kobieta podała mu wodę, Arren wywnioskował, iż jest to prawdziwy skarb, niezwykle hojny dar. Z szacunkiem opróżnił kubek, nie prosząc o więcej, choć mógłby wypić dziesięć razy tyle.

Krogulec miał ramię starannie zabandażowane. Spał spokojnie i bardzo głęboko. Kiedy ocknął się wreszcie, w jego oczach jaśniał dawny blask. Spojrzał na Arrena i uśmiechnął się słodko, radośnie. Uśmiech ów zawsze zdumiewał chłopca, tak bardzo nie pasował do tej twardej twarzy. Arrenowi znów zachciało się płakać. Nie mówiąc ani słowa, położył dłoń na ręce Krogulca.

Po jakimś czasie zbliżył się do nich jeden z tubylców i przykucnął w cieniu pobliskiej wielkiej budowli, która wyglądała na coś w rodzaju świątyni. Nad jej drzwiami umieszczono kwadratową, niezwykle misterną płaskorzeźbę, po obu bokach zaś wznosiły się kolumny w kształcie ryczących szarych wielorybów. Człowiek ten był niski i szczupły jak wszyscy jego pobratymcy. Z postaci przypominał niedorostka, jednakże jego twarz o ostrych rysach nosiła ślady wielu przeżytych lat. Nie miał nic na sobie poza przepaską biodrową, lecz godność okrywała go niczym płaszcz.

– Potrzeba mu snu – powiedział.

Arren podszedł do niego.

– Jesteś wodzem tego ludu – rzekł, od pierwszego rzutu oka rozpoznając władcę. Stał przed nim, wyprostowany i nieruchomy. Przez moment ich oczy się spotkały.

– Ty także jesteś wodzem – zauważył tamten.

– Tak – odrzekł Arren. Chętnie by się dowiedział, jakim cudem jego rozmówca domyślił się tego, ale zachował obojętność. – Służę jednak memu panu.

Wódz ludu z tratew powiedział coś, czego Arren w ogóle nie zrozumiał; była to seria dziwacznych wyrazów zmienionych nie do poznania oraz nazw, których nigdy nie słyszał. Po chwili spytał:

– Po co przybywacie na Balatran?

– W poszukiwaniu...

Arren nie wiedział, jak wiele wolno mu zdradzić ani jak wyjaśnić sens ich poszukiwań. Wszystko, co dotąd ich spotkało – a także cel

wyprawy – wydawało mu się niezmiernie odległe. Jego myśli krążyły bez celu. Wreszcie rzekł:

– Przypłynęliśmy na Obehol. Kiedy wylądowaliśmy, tamtejsi ludzie nas zaatakowali. Mój pan został ranny.

– A ty?

– Ja nie – odparł Arren. Przydała mu się poza zimnej obojętności, którą nabył na dworze swego ojca. – Później... pojawiło się szaleństwo. Człowiek, który był z nami, utopił się. I strach... – urwał i czekał w milczeniu.

Wódz obserwował go czarnymi, nieodgadnionymi oczami. Wreszcie powiedział:

– Zatem przywiódł was tu przypadek.

– Tak. Czy nadal jesteśmy na Południowych Rubieżach?

– Rubieżach? Nie. Wyspy... – Wódz uniósł smukłą czarną rękę i zatoczył nią łuk od północy na wschód. – Wyspy są tam. Wszystkie wyspy. – Następnie pokazując dłonią cały przestwór wieczornego morza przed nimi, od północy poprzez zachód na południe, dodał: – Ocean.

– Z jakiej wyspy pochodzicie, mój panie?

– Z żadnej. Jesteśmy Dziećmi Morza Otwartego.

Arren rozejrzał się wokół, jakby po raz pierwszy dostrzegając ogromną tratwę ze świątynią i wysokimi posągami bóstw, z których każdy wyrzeźbiony był z pojedynczego pnia drzewa; imponującymi postaciami stanowiącymi połączenie człowieka, delfina, ryby i morskich ptaków. Ujrzał tutejszych ludzi krzątających się przy pracy; tkających, rzeźbiących, łowiących ryby, gotujących na drewnianych platformach, opiekujących się dziećmi. Widział też inne tratwy, jakieś siedemdziesiąt, rozrzucone na wodzie w wielkim kręgu. To było całe miasto; z odległych domów unosiły się smużki dymu, wiatr niósł ze sobą głosy dzieci. To było miasto, choć pod podłogami domów ziała morska otchłań.

– Nigdy nie przybijacie do brzegu? – spytał cicho chłopiec.

– Raz do roku. Płyniemy wówczas na Długą Wydmę. Ścinamy tam drzewa i naprawiamy tratwy. Czynimy to każdej jesieni, a potem podążamy w ślad za szarymi wielorybami na północ. Zimą się rozstajemy, każda tratwa podróżuje samotnie. Wiosną wszyscy

przybywamy na Balatran; wówczas przechodzimy z tratwy na tratwę, zawieramy małżeństwa, urządzamy ceremonię Długiego Tańca. Tu biorą początek Szlaki Balatranu, potężne prądy zmierzające na południe. Latem dryfujemy wraz z nimi, póki nie ujrzymy Olbrzymów, szarych wielorybów zawracających na północ. Wtedy ruszamy za nimi, powracając w końcu na plaże Emahu, Długiej Wydmy, gdzie zatrzymujemy się na krótki czas.

– Nigdy nie słyszałem o ludu podobnym waszemu – rzekł Arren. – Mój dom stoi daleko stąd, a przecież nawet tam, na wyspie Enlad, w noc letniego przesilenia tańczymy Długi Taniec.

– Udeptujecie ziemię, aby czuć się bezpiecznie – odparł cierpko wódz. – My tańczymy nad głębokim morzem. – Po dłuższej chwili spytał: – Jak zwą twojego pana?

– Krogulec – odparł Arren.

Wódz powtórzył za nim, starannie wymawiając sylaby, choć najwyraźniej nie miały one dla niego żadnego znaczenia. I to dopiero, bardziej niż wszystko inne, przekonało Arrena o prawdziwości jego opowieści. Uwierzył w końcu, iż ci ludzie całe życie spędzają na otwartym morzu, z dala od jakiejkolwiek ziemi, poza szlakami lotów ptaków lądowych, poza granicami ludzkiej wiedzy.

– Miał w sobie śmierć – oznajmił wódz. – Teraz musi spać. Wracaj na tratwę Gwiazdy; przyślę po ciebie. – To rzekłszy, wstał. Choć niezwykle pewny siebie, najwyraźniej nie wiedział, co o Arrenie myśleć; czy traktować go jak równego sobie, czy jak chłopca. W tej sytuacji Arren wolałby to drugie, toteż bez sprzeciwu zaakceptował odprawę. Wówczas jednak dostrzegł kolejną trudność. Tratwy powoli dryfowały na boki i rozdzielał je już szeroki pas błyszczącej falującej wody.

Wódz Dzieci Morza Otwartego odezwał się raz jeszcze:

– Płyń – polecił.

Arren ostrożnie zsunął się do wody. Jej chłodne dotknięcie na rozgrzanej słońcem skórze sprawiło mu dziwną przyjemność. Przepłynął na drugą stronę i, wciągnąwszy się na tratwę, z której przybył, ujrzał gromadkę dzieci i młodych ludzi obserwujących go z nieskrywanym zainteresowaniem. Mała dziewczynka zagadnęła:

– Pływasz jak ryba złapana na haczyk.

– A jak powinienem pływać? – spytał. Mimo upokorzenia zachowywał się uprzejmie, ponieważ nie potrafiłby potraktować szorstko tak małej istoty. Wyglądała jak błyszcząca mahoniowa statuetka, delikatna i doskonała w każdym szczególe.

– O tak! – wykrzyknęła i niczym foka zanurkowała w lśniące fale. Dopiero po długiej chwili jej czarna główka wynurzyła się na powierzchnię w niewiarygodnej wręcz odległości od tratwy.

– Chodźcie – polecił chłopak, rówieśnik Arrena, choć z wzrostu przypominał dwunastolatka; miał poważną twarz i wytatuowanego na plecach wielkiego niebieskiego kraba. Zanurkował, a za nim inni, nawet trzylatek. Arren także skoczył do wody, próbując uczynić to możliwie gładko.

– Jak węgorz – rzucił chłopiec, wypływając tuż obok niego.

– Jak delfin – dodała ładna dziewczyna o uroczym uśmiechu i zniknęła w głębinie.

– Jak ja! – pisnął trzylatek, bulgocząc niczym wrzucona do wody pusta butelka.

I tak aż do zmroku, przez cały wieczór, następny długi złocisty dzień i kolejne Arren pływał, rozmawiał i pracował z młodymi ludźmi z tratwy Gwiazdy. Ze wszystkiego, co spotkało go od owego marcowego poranka, kiedy wraz z Krogulcem opuścili Roke, to właśnie wydawało mu się najdziwniejsze, bo zdawało się nie mieć żadnego związku z poprzednimi wydarzeniami tej podróży i całego jego życia – ani z tym, co jeszcze miało nastąpić. Nocami, kładąc się obok innych pod gwiazdami, myślał: Zupełnie jakbym umarł i po śmierci zawędrował do słonecznej krainy poza krawędzią świata, pośród synów i córki morza...

Zanim usnął, spoglądał zawsze na dalekie południe, szukając wzrokiem żółtej gwiazdy i konstelacji Runy Końca. Nieodmiennie dostrzegał Gorbadona i dwie słabsze gwiazdy należące do wielkiego trójkąta. Teraz jednak wschodziły znacznie później i oczy Arrenowi się zamykały, nim zza horyzontu wyłoniła się cała dziewiątka. Dniami i nocami tratwy dryfowały na południe, jednakże otaczające je morze nie zmieniało się, to bowiem, co ulega nieustannym zmianom, tym

samym pozostaje niezmienne. Majowe burze minęły i dni były pogodne, a noce gwiaździste.

Arren wiedział, że życie tych ludzi nie zawsze toczy się w podobnie sennym i łatwym rytmie. Spytał, co porabiają zimą, oni zaś opowiedzieli mu o długich deszczach i ogromnych falach, kiedy to samotne tratwy całymi tygodniami dryfują bez celu, kołysząc się wśród mroku nocy i szarości dnia. Ostatniej zimy, podczas trwającego miesiąc sztormu, widzieli fale tak wielkie, że przypominały burzowe chmury – tak mówili, bo nigdy nie widzieli gór. Z grzbietu jednej fali widać było drugą, ogromną, odległą o kilka mil, pędzącą nieubłaganie naprzód.

– Czy tratwy potrafią przetrwać podobną pogodę? – spytał.

– Owszem, ale nie zawsze. Wiosną, gdy zbieramy się na Szlakach Balatranu, brakuje zawsze dwóch tratew albo trzech, albo sześciu...

Bardzo wcześnie zawierali małżeństwa. Niebieski Krab, chłopiec z wytatuowanym na plecach stworzeniem, od którego wziął imię, i ładna dziewczyna, Albatros, byli mężem i żoną, choć on skończył dopiero siedemnaście lat, a ona nie miała jeszcze piętnastu. Na tratwach było wiele podobnych małżeństw. Wokół raczkowały i gramoliły się liczne dzieci uwiązane długimi linkami do czterech słupów w rogach środkowej chaty. Maluchy pełzały wokół, nie zważając na panujący upał, albo zasypiały w cieniu, kręcąc się niespokojnie. Starsze dzieci doglądały młodszych, mężczyźni i kobiety zaś dzielili między siebie obowiązki. Wszyscy po kolei zbierali wielkie brązowe wodorosty nilgu rosnące na Szlakach Baltranu, strzępiaste niczym paproć i długie na trzydzieści, a nawet pięćdziesiąt kroków. Wspólnie ugniatali je na tkaniny i splatali szorstkie włókna w mocne liny i sieci. Wszyscy po kolei łowili ryby, suszyli je, rzeźbili narzędzia z kości wieloryba i wykonywali mnóstwo innych niezbędnych czynności. Zawsze jednak mieli czas na pływanie i rozmowy. Nigdy nie wyznaczali terminu zakończenia pracy. Nie znali godzin, jedynie całe dni i całe noce. Po kilku dobach Arrenowi zdawało się, że żyje na tratwie od niepamiętnych czasów. Próba przybicia do brzegów Obeholu był jedynie snem, pamiętał też mgliście inne odległe sny; o tym, jak kiedyś w odmiennym świecie żył na lądzie i był księciem Enladu.

W końcu wezwano go na tratwę wodza. Krogulec przyglądał mu się przez chwilę, po czym rzekł:

– Wyglądasz jak Arren, którego po raz pierwszy ujrzałem na Podwórcu Fontanny, smukły niczym złota foka. Tutejsze życie ci służy, chłopcze.

– Tak, mój panie.

– Gdzie jesteśmy? Pozostawiliśmy za sobą znane wyspy i morza. Pożeglowaliśmy poza zasięg map... Dawno temu słyszałem opowieści o Ludu Tratew, sądziłem jednak, że to jeszcze jedna legenda Południowych Rubieży, bajka, ułuda. A jednak ułuda ta uratowała nas, mit ocalił nam życie.

Mag mówił z uśmiechem, jakby jemu także udzieliła się radość owego bytowania w blasku letniego słońca. Jednakże jego twarz była napięta, a w ciemnych oczach krył się mrok. Arren dostrzegł to i zmierzył się z ową ciemnością.

– Zdradziłem... – zaczął i urwał. – Zawiodłem twoje zaufanie.

– Jakże to, Arrenie?

– Wtedy... na Obehol. Właśnie kiedy najbardziej mnie potrzebowałeś. Zostałeś ranny i wymagałeś mojej pomocy. A ja nic nie zrobiłem. Łódź dryfowała, a ja pozwoliłem jej na to. Cierpiałeś, ja zaś nie uczyniłem nic, aby ulżyć twojemu bólowi. Widziałem... widziałem ląd i nie próbowałem nawet zawrócić w jego stronę.

– Milcz, chłopcze – polecił mag stanowczo. Po chwili dodał: – Powiedz mi, co wówczas myślałeś.

– Nic, mój panie. Nic! Sądziłem, że nie ma sensu robić czegokolwiek. Uważałem, że twoja magia odeszła... nie, że nigdy nie istniała. Że mnie oszukałeś. – Arrenowi na czoło wystąpiły kropelki potu. Zmusił się, aby mówić dalej. – Bałem się ciebie. Bałem się śmierci. Tak bardzo się jej lękałem, że unikałem cię wzrokiem, ponieważ ty też mogłeś umrzeć. Nie potrafiłem myśleć o niczym poza tym, że jest sposób, dzięki któremu mógłbym uniknąć śmierci, gdybym tylko znalazł właściwą drogę. Ale przez cały ten czas życie uciekało, jakby gdzieś ziała wielka rana, z której wypływało niczym krew – tak jak ta, którą zostawiła włócznia. Tyle że dotyczyło to wszystkiego, całego świata. A ja nic nie zrobiłem, zupełnie nic. Próbowałem jedynie ukryć się przed grozą śmierci.

Zamilkł, nie mogąc dłużej znieść dźwięczącej w jego głosie prawdy. Powstrzymał go nie wstyd, lecz strach, ten sam dobrze znany strach. Arren zrozumiał wreszcie, czemu to spokojne życie na tratwach między wodą a słońcem wydawało mu się czymś nierzeczywistym jak sen – albowiem w głębi ducha wiedział, iż rzeczywistość to pustka pozbawiona ciepła, życia, barw i dźwięku; pustka bez znaczenia. Nie istniały już głębie, nie istniały wyżyny. Cała ta cudowna gra kształtów świata i kolorów na powierzchni morza stanowiła jedynie ułudę przesłaniającą wszechobecną pustkę.

Złudzenia jednak znikają, pozostawiając bezkształtną otchłań i chłód. Nic poza tym.

Arren spuścił wzrok, aby uniknąć spojrzenia Krogulca. Nagle w jego głowie odezwał się niespodziewany głos; nie wiadomo, odwagi czy szyderstwa, arogancki i bezlitosny: Tchórz! Tchórz! Czy odrzucisz nawet to?

Toteż Arren wielkim wysiłkiem woli uniósł głowę. Spojrzał wprost w oczy Arcymaga.

Krogulec wyciągnął rękę i mocno uścisnął jego dłoń. Powoli wypowiedział prawdziwe imię Arrena, którego dotąd nigdy nie wymawiał:

– Lebannen. – I raz jeszcze: – Lebannen, to istnieje. Podobnie jak ty. Nie ma czegoś takiego jak bezpieczeństwo. Nie ma też końca. Aby usłyszeć słowo, potrzebna jest cisza; dopiero w ciemności widać gwiazdy. Taniec zawsze odbywa się nad otchłanią, nad straszliwą pustką.

Arren zacisnął pięści i skłonił głowę tak nisko, że czołem dotknął dłoni Krogulca.

– Zawiodłem cię – rzekł. – Zawiodę cię ponownie i siebie także. Brak mi sił.

– Masz ich wystarczająco wiele. – Głos maga był czuły, lecz pod tkliwością kryła się ta sama twarda nuta, która przebudziła wstyd Arrena i drwiła z niego. – To, co raz pokochasz, będziesz kochał nadal. Dokończysz to, co zaczniesz. Tyś jest spełnieniem nadziei. Można na tobie polegać. Lecz siedemnaście lat to słaba ochrona w walce z rozpaczą. Pomyśl tylko, Arrenie. Odrzucając śmierć, odrzuca się także życie.

– Ale ja szukałem śmierci! Twojej i mojej! – Arren uniósł głowę i spojrzał wprost na Krogulca. – Tak jak Sopli, który się utopił.

– Sopli nie szukał śmierci. Pragnął uciec przed nią i przed życiem. Łaknął bezpieczeństwa, kresu wszelkich lęków w tym strachu przed śmiercią.

– Ale przecież... istnieje sposób. Jest droga prowadząca poza śmierć. Z powrotem do życia. Do życia po śmierci, życie bez śmierci. Tego... tego właśnie szukają. Zając i Sopli, ci, którzy byli czarnoksiężnikami. Tego pragną. Ty... ty przede wszystkim musisz wiedzieć, że ta droga istnieje...

Silna dłoń maga nadal ściskała palce chłopca.

– Nie znam jej – odparł Krogulec. – Owszem, wiem, że tego szukają. Ale to kłamstwo. Posłuchaj mnie, Arrenie. Kiedyś umrzesz. Nie jesteś wieczny, podobnie jak żaden człowiek ani nic na świecie. Nic nie jest nieśmiertelne. Jednakże tylko nam jest dana wiedza o tym, że musimy umrzeć. To wielki dar: dar świadomości. Mamy bowiem jedynie to, o czym wiemy, że musimy to utracić, to, co sami zgadzamy się utracić. Świadomość, która jest naszym przekleństwem, skarbem i oznaką człowieczeństwa, nie trwa wiecznie. Zmienia się, znika niczym fala na morzu. Czy chciałbyś, aby ucichło morze, a przypływy ustały tylko po to, by ocalić jedną falę, ciebie? Czy oddałbyś zręczność twoich dłoni, uczucia płonące w sercu, łuny zachodu i wschodu, aby kupić dla siebie bezpieczeństwo na wieki? Tego właśnie pragną ludzie na Wathort, Lorbanery i wszędzie indziej. Tak brzmi wieść docierająca do tych, którzy wiedzą, jak mają słuchać. Odrzucając życie, możesz przegnać śmierć i żyć wiecznie. Ja jednak nie słyszę tego przesłania, nie chcę go słyszeć. Zamykam uszy przed radą zrodzoną z rozpaczy. Jestem głuchy i ślepy. Ty przewodzisz moim krokom. W swej niewinności i odwadze, braku mądrości i wierności, jesteś mym przewodnikiem. Dziecięciem, które posyłam przed siebie, w ciemność. Postępuję w ślad za twoim strachem i bólem. Sądziłeś, że traktuję cię źle, Arrenie. Nie miałeś pojęcia, jak bardzo źle. Wykorzystuję twą miłość tak jak człowiek, który wypala świecę, by oświetlić sobie drogę. A my musimy iść dalej. Musimy dotrzeć aż do końca, do miejsca, gdzie

morze wysycha, gdzie niknie radość; miejsca, które wzywa cię głosem śmiertelnej grozy.

– Gdzież to jest, mój panie?

– Nie wiem.

– Nie mogę cię tam poprowadzić, ale pójdę z tobą.

Oczy maga spoglądały na niego, poważne, niezgłębione.

– Ale jeśli znów cię zawiodę i zdradzę...

– Zaufam ci, synu Morreda.

Obaj zamilkli.

Ponad nimi wysokie posągi bóstw kołysały się łagodnie na tle błękitnego południowego nieba; ciała delfinów, złożone skrzydła mew, twarze ludzi z oczami z muszli.

Krogulec wstał sztywno, albowiem daleko mu jeszcze było do pełni zdrowia. Odniesiona na Obehol rana nie zasklepiła się do końca.

– Zmęczył mnie ten bezruch – rzekł. – Wkrótce obrosnę w sadło.

Zaczął przechadzać się wzdłuż tratwy. Arren towarzyszył mu w spacerze. Opowiedział, jak spędza dnie i kim są jego nowi przyjaciele. Niepokój maga przerastał jego siły, które wkrótce zupełnie się wyczerpały. Krogulec zatrzymał się obok dziewczyny tkającej na warsztacie włókna nilgu, prosząc, aby poszukała wodza, po czym wrócił do swej chaty. Wkrótce zjawił się przywódca Ludu Tratew, witając go uprzejmie. Czarnoksiężnik także odpowiedział pozdrowieniem i wszyscy trzej usiedli na wyścielającym podłogę dywanie z nakrapianych foczych skór.

– Zastanawiałem się – zaczął wódz powoli i dziwnie uroczyście – nad tym, o czym mi opowiedziałeś. Że wierzą, że zdołają powrócić z martwych, nie porzucając swych ciał, i zmierzając do tego celu, zapominają o oddawaniu czci bogom, o dbaniu o swe zdrowie, aż w końcu popadają w obłęd. To wielkie zło i szaleństwo. Pomyślałem też: co to ma wspólnego z nami? Nic nas nie łączy z innymi ludźmi, ich krainami i zwyczajami, wzlotami i upadkami ich ducha. Morze jest naszym domem. Ono kieruje naszymi losami. Nie pragniemy za wszelką cenę ocalić życia, nie chcemy też go utracić. Szaleństwo tu nie sięga. Nie odwiedzamy lądów, ich mieszkańcy zaś nie przybywają do nas. Kiedy byłem młody, czasami rozmawialiśmy z ludźmi, którzy przypływali łodziami na Długą Wydmę, gdy

ścinaliśmy tam drzewa i wznosiliśmy nowe chaty. Często widywaliśmy żagle z Ohol i Welwai – (tak nazywał Obehol i Wellogy) – podążające jesienią w ślad za szarymi wielorybami. Czasami płynęli za naszymi tratwami, znamy bowiem drogi Olbrzymów i miejsca ich spotkań. Poza tym nie stykałem się z mieszkańcami lądu. Teraz zaś już się nie pojawiają. Może wszyscy oszaleli i zaczęli ze sobą walczyć? Dwa lata temu na Długiej Wydmie, spoglądając na północ ku Welwai, widzieliśmy dymy wielkich pożarów. Unosiły się w powietrzu przez trzy dni. Ale cóż to nas obchodzi? Jesteśmy Dziećmi Morza Otwartego. Słuchamy głosu oceanu.

– A jednak widząc dryfującą łódź, przybyliście nam na pomoc – wtrącił mag.

– Niektórzy z nas twierdzili, że lepiej tego nie robić. Że powinniśmy pozwolić łodzi dryfować aż na kraniec mórz – odparł wódz obojętnym tonem.

– Nie byłeś jednym z nich.

– Nie. Powiedziałem, że choć to tylko ludzie z lądu, pomożemy im. I tak też się stało. Jednakże wasza misja nas nie dotyczy. Jeśli wśród mieszkańców lądu wybuchł obłęd, oni sami muszą się nim zająć. My podążamy szlakami Olbrzymów. Nie możemy pomóc w waszych poszukiwaniach. Chętnie będziemy was gościć u siebie. Od Długiego Tańca dzieli nas niewiele dni. Potem zawrócimy na północ, podążając ze wschodnim prądem, który u schyłku lata doprowadzi nas z powrotem do mórz oblewających Długą Wydmę. Jeśli zostaniesz z nami, aby wyleczyć swe rany, będziemy ci radzi. Będziemy też radzi, jeżeli zabierzecie łódź i podążycie własną drogą.

Mag podziękował mu i wódz wstał, drobny i sztywny niczym czapla, po czym zostawił ich samych.

– Niewinność nie stanowi obrony przed złem – stwierdził Krogulec cierpko. – Choć dobru może się przysłużyć... Myślę, że zostaniemy z nimi przez jakiś czas, dopóki nie nabiorę sił.

– To mądra decyzja – odparł Arren. Słabość Krogulca poruszyła go do głębi; był zdecydowany chronić maga przed jego własną niecierpliwością. Nalegać, aby zaczekali z wyjazdem przynajmniej do chwili, gdy uwolni się od bólu.

Czarnoksiężnik spojrzał na niego, zaskoczony słowami chłopca.

– To mili ludzie – ciągnął dalej Arren, nie dostrzegając reakcji Krogulca. – Wydają się wolni od choroby, która dotknęła dusze ludzi na Hort i innych wyspach. Może nie pozostał już żaden ląd, na którym powitano by nas równie serdecznie jak na tych tratwach?

– Racja.

– Latem prowadzą tu przyjemne życie...

– Owszem. Choć trudno byłoby mi przywyknąć do żywienia się wyłącznie zimnymi rybami. Pomyśl tylko, nigdy nie widzą obsypanej kwiatami gruszy, nie skosztują też świeżej źródlanej wody!

I tak Arren powrócił na tratwę Gwiazdy, spędzając całe dnie na pracy, pływaniu, wypoczynku w towarzystwie innych młodych ludzi i wieczornych rozmowach z Krogulcem. Co noc spokojnie zasypiał pod gwiazdami. Czas płynął i szybkimi krokami zbliżała się noc letniego przesilenia, kiedy odbywa się Długi Taniec. Wielkie tratwy dryfowały powoli na południe, niesione prądami Morza Otwartego.

9

Orm Embar

Tej nocy, najkrótszej w roku, na wszystkich tratwach zebranych w wielkim kręgu pod jasnym gwiaździstym niebem płonęły pochodnie – z daleka przypominało to pierścień migotliwych ogników. Morski lud tańczył; nie w rytm bębnów, muzyki fletów czy innych instrumentów, ale tupotu bosych stóp na wielkich, kołyszących się tratwach, do wtóru wysokich głosów śpiewaków, żałośnie cichych w obliczu nieskończonego przestworu morza. Tej nocy na niebie nie lśnił księżyc, ciała tancerzy rysowały się niewyraźnie w blasku gwiazd i pochodni. Od czasu do czasu jeden z nich wystrzelał w powietrze niczym skacząca ryba. To któryś młodzik jednym długim susem przeskakiwał z tratwy na tratwę. Tancerze współzawodniczyli ze sobą, próbując przebyć pełny krąg i zatańczyć na każdej tratwie, zanim wstanie dzień.

Arren tańczył razem z nimi, bo rytuał Długiego Tańca znają na wszystkich wyspach Archipelagu, choć kroki i pieśni mogą się różnić. Czas płynął i wielu tancerzy traciło siły, odpadając po drodze. Wyczerpani, obserwowali swych towarzyszy lub zapadali w niespokojną drzemkę. Głosy śpiewaków brzmiały coraz bardziej ochryple. Wreszcie grupka chłopców dotarła na tratwę wodza. Tam Arren się zatrzymał, a pozostali kontynuowali wędrówkę.

Krogulec siedział w pobliżu świątyni wraz z przywódcą morskiego ludu i jego trzema żonami. Pomiędzy rzeźbionymi wielorybami,

tworzącymi wejście okazałej budowli, przycupnął śpiewak, którego wysoki głos brzmiał równie czysto, co wiele godzin wcześniej. Nieznużony klepał dłońmi o drewniany pokład, aby zachować rytm.

– O czym traktuje ta pieśń? – spytał maga Arren, nie potrafił bowiem zrozumieć słów, rozciągniętych i załamujących się w dziwnych kaskadach dźwięku.

– O szarych wielorybach, albatrosach i sztormach... Ci ludzie nie znają eposów o królach i bohaterach, nigdy nie słyszeli imienia Erreth-Akbego. Wcześniej śpiewał o Segoyu, o tym, jak wydźwignął lądy z otchłani. Tyle przynajmniej zachowali z człowieczej wiedzy. Reszta pochodzi wyłącznie z morza.

Arren słuchał, jak śpiewak naśladuje gwizd delfina, który był bohaterem kolejnej pieśni. Obserwował profil Krogulca w blasku pochodni, czarny i twardy niczym skała; dostrzegł błysk w oczach żon wodza, które gawędziły cicho między sobą; czuł łagodne miarowe kołysanie tratwy na spokojnych wodach i powoli osuwał się w sen.

Ocknął się nagle. Śpiewak zamilkł. Nie tylko on, ale wszyscy inni na bliższych i dalszych tratwach. Wysokie głosy zamarły. Nastała cisza.

Arren obejrzał się przez ramię na wschód, spodziewając się, że ujrzy tam poranną zorzę. Jednakże pośród letnich gwiazd błyszczał jedynie złocisty sierp wschodzącego księżyca.

Spoglądając na południe, wysoko nad horyzontem chłopak ujrzał żółtego Gobardona, a pod nim jego ośmiu towarzyszy; płonącą na ciemnym niebie Runę Końca. Odwróciwszy się do Krogulca, dostrzegł, że on także spogląda na owe gwiazdy.

– Czemu zamilkłeś? – spytał śpiewaka wódz. – Jeszcze nie ranek, do świtu daleko.

– Nie wiem.

– Śpiewaj! Długi Taniec wciąż trwa.

– Nie znam słów – odparł śpiewak i jego głos uniósł się w nagłym przerażeniu. – Nie mogę śpiewać. Zapomniałem pieśni.

– Zatem wybierz inną.

– Nie ma już pieśni. Skończone! – wykrzyknął śpiewak i zgiął się wpół, aż dotknął czołem pokładu. Wódz przyglądał mu się

ze zdumieniem.

Tratwy kołysały się w blasku sypiących skrami pochodni. Ludzie milczeli. Cisza oceanu okrążyła niewielką enklawę życia i światła, pochłonęła ją. Tancerze zamarli w bezruchu.

Arrenowi wydało się wówczas, że gwiazdy nagle przygasły, choć na wschodzie nie zajaśniała nawet najsłabsza łuna. Ogarnęła go groza i pomyślał: Słońce nie wzejdzie. Nie będzie dnia.

Mag wstał. Gdy to uczynił, wzdłuż jego laski przebiegła fala białego ognia, oświetlając osadzoną w drewnie srebrną runę.

– Taniec jeszcze się nie skończył – rzekł. – Podobnie jak noc. Arrenie, śpiewaj.

Arren miał już rzec: „Nie mogę, panie", zamiast tego jednak spojrzał na dziewięć gwiazd na zachodzie, głęboko zaczerpnął powietrza i zaśpiewał. Z początku jego głos był cichy i niepewny, jednakże po chwili zabrzmiał mocniej, gdy chłopak zaintonował najstarszą z pieśni Ziemiomorza, opowiadającą o stworzeniu Ea, Równowadze między światłem a ciemnością i wydźwignięciu z otchłani zielonych wysp przez tego, który wymówił pierwsze słowo – Najstarszego Władcę, Segoya.

Zanim pieśń dobiegła końca, niebo zszarzało i pojaśniało. Jedynie księżyc i Gobardon świeciły jeszcze słabym blaskiem. Pochodnie syczały, poranny wiatr szarpał czerwonymi promieniami. Aż wreszcie Arren umilkł i tancerze, którzy zgromadzili się wokół, zasłuchani, powrócili cicho na swe tratwy. Na wschodzie zapłonęła jutrzenka.

– To dobra pieśń – rzekł wódz. W jego głosie brzmiała niepewność, choć starał się mówić obojętnie. – Niedobrze byłoby zakończyć Długi Taniec, zanim noc dobiegnie kresu. Każę wychłostać leniwych śpiewaków włóknami nilgu.

– Pocieszcie ich raczej – odrzekł Krogulec. Nadal stał i mówił niezwykle surowo. – Żaden śpiewak z własnej woli nie wybierze milczenia. Chodź ze mną, Arrenie.

Ruszył w stronę chaty; Arren podążył za nim. Jednakże dziwy tego poranka jeszcze się nie zakończyły. Gdy na wschodnim skraju morza zajaśniała biała łuna, z północy przyleciał wielki ptak; szybował tak wysoko, że jego skrzydła połyskiwały w blasku słońca, które nie wynurzyło się jeszcze zza horyzontu. Każde poruszenie skrzydeł siało

wokół złociste odbicia. Arren krzyknął, wskazując w górę. Zaskoczony Arcymag uniósł wzrok. Nagle jego twarz się rozpromieniła; z zachwytem patrzył na odległą sylwetkę na niebie i wykrzyknął w głos:

– *Nam hietha arw Ged arkvaissa!* – W Mowie Tworzenia oznacza to: „Jeśli szukasz Geda, otom jest".

I niczym złocisty pocisk, z grzmotem przecinając powietrze, z szeroko rozłożonymi skrzydłami, szponami, które mogłyby porwać wołu łatwiej niż sokół mysz, i strzelającym z nozdrzy długim jęzorem płomienia, smok śmignął niczym jastrząb w stronę rozkołysanej tratwy.

Jej mieszkańcy jęknęli głośno. Niektórzy skulili się na pokładzie, inni skoczyli do morza, jeszcze inni trwali bez ruchu, zapatrzeni z podziwem, który przerósł strach.

Smok zawisł tuż nad nimi. Od końca do końca potężnych błoniastych skrzydeł, połyskujących w porannym słońcu niczym złocisty dym, mierzył sobie jakieś trzydzieści metrów, jego ciało zaś, szczupłe, wygięte jak u ogara, było co najmniej równie długie; szponiaste łapy przywodziły na myśl jaszczurkę, a wszystko pokrywała wężowa łuska. Wzdłuż wąskiego kręgosłupa wyrastał szereg ostrych kolców przypominających kształtem ciernie róży; najwyższe z nich miały ponad metr, lecz w miarę opadania grzbietu malały gwałtownie, tak że na czubku ogona były nie większe niż ostrze małego noża. Owe kolce lśniły niczym zimny szary metal, łuski smoka były stalowoszare, jednakże krył się w nich złoty poblask. Jego zielone oczy zwężały się niczym szparki.

Strach Ludu Tratew sprawił, że wódz zapomniał o własnym lęku i wynurzył się z chaty, dzierżąc w dłoni harpun podobny do tego, jakich używali, polując na wieloryby; dłuższy niż on sam i zakończony wielkim zębatym kościanym grotem. Oparłszy go o drobne żylaste ramię, pobiegł naprzód, aby nabrać rozpędu i cisnąć swą bronią wprost w porośnięty drobną łuską brzuch smoka unoszący się tuż nad tratwą. Arren, otrząsnąwszy się ze zdumienia, dostrzegł to i skoczywszy naprzód, złapał wodza za rękę, powalając go na pokład.

– Chcesz rozzłościć go swoją szpileczką? – wykrztusił. – Pozwól najpierw, by przemówił Władca Smoków!

Wódz, oszołomiony i zbity z pantałyku, patrzył tępo na Arrena, maga i smoka. Nie odzywał się jednak. A potem przemówił smok.

Nikt, oprócz Geda, do którego się zwracał, nie rozumiał słów, smoki bowiem posługują się jedynie Dawną Mową, która jest ich własnym językiem. Głos gada był miękki i syczący, niemal jak cichy krzyk rozwścieczonego kota, lecz donośny. Rozbrzmiewała w nim złowroga melodia. Ktokolwiek go usłyszał, zamierał bez ruchu.

Czarnoksiężnik odparł krótko i znów odezwał się smok, wisząc nad jego głową na lekko drgających skrzydłach. Zupełnie jak ważka unosząca się w powietrzu, pomyślał Arren.

Po chwili mag odpowiedział jednym słowem: *Memeas*, co znaczyło „przybędę", i uniósł swoją cisową laskę. Pysk smoka rozwarł się i uleciała z niego długa smuga dymu kreśląca na niebie zawiłą arabeskę. Złote skrzydła załopotały z hukiem przypominającym grzmot, wzniecając potężny wiatr cuchnący spalenizną. Olbrzymi stwór zawrócił i poleciał na północ.

Na tratwach panowała cisza zakłócana jedynie cichym popłakiwaniem dzieci i głosami uspokajających je kobiet. Mężczyźni, czując lekki wstyd, gramolili się z powrotem na pokład, zapomniane pochodnie płonęły dalej w pierwszych promieniach słońca.

Czarnoksiężnik odwrócił się do Arrena. Jego twarz promieniała, nie wiadomo – radością czy gniewem, jednakże głos był bardzo łagodny.

– Musimy ruszać, chłopcze. Pożegnaj się i chodź.

Odwrócił się, by podziękować wodzowi ludu morza, po czym ruszył z tratwy na tratwę, nadal bowiem tkwiły blisko siebie w wielkim kręgu Długiego Tańca, aż wreszcie dotarł na pokład, do którego uwiązano „Bystre Oko". Łódź podążała cierpliwie w ślad za morskim miastem, towarzysząc mu w długiej powolnej podróży na południe. Pusta podskakiwała na falach, jednakże Dzieci Otwartego Morza napełniły opróżnioną baryłkę skrzętnie gromadzoną deszczową wodą i uzupełniły zapasy jedzenia, pragnąc w ten sposób uczcić swych gości, wielu z nich bowiem wierzyło, że Krogulec jest w istocie jednym z Olbrzymów, który miast wielorybiej przybrał postać człowieka.

Mag postawił żagiel. Arren rozluźnił węzeł cumy i skoczył do łodzi, która dokładnie w tym momencie oderwała się od tratwy, a jej żagiel wydął się, jakby wypełnił go silny wiatr, choć w istocie wiała jedynie słaba poranna bryza. „Bystre Oko” skręciło gwałtownie i popłynęło na północ śladem smoka, lekkie niczym unoszony wiatrem liść.

Kiedy Arren obejrzał się za siebie, ujrzał tylko drobinki drewna i patyczki unoszące się na wodzie, szałasy i słupy, do których zamocowano pochodnie. Wkrótce i one zniknęły w odbijającym się od wody blasku porannego słońca. Łódź pędziła naprzód. Kiedy jej dziób zanurzał się w kolejne fale, w powietrze wzbijał się deszcz krystalicznych kropel. Pęd powietrza rozwiewał Arrenowi włosy i zmuszał go do zmrużenia oczu.

Niewielka łódź nie mogłaby tak płynąć na skrzydłach ziemskiego wiatru, chyba że podczas burzy, a wtedy zatopiłyby ją sztormowe fale. Teraz jednak nie napędzał jej ziemski wiatr, ale słowo i moc czarnoksiężnika.

Krogulec przez długi czas stał przy maszcie, spoglądając przed siebie. Wreszcie usiadł na swym ulubionym miejscu obok steru, kładąc na nim jedną dłoń. Popatrzył na Arrena.

– To był Orm Embar – rzekł. – Smok z Selidoru, krewniak wielkiego Orma, który zabił Erreth-Akbego i sam zginął z jego ręki.

– Polował, panie? – spytał Arren, nie był bowiem pewny, czy mag powitał smoka przyjaznym słowem, czy może groźbą.

– Owszem. Na mnie. – Krogulec się zaśmiał. – Kiedy smoki szukają czegoś, zawsze to znajdują. Przyleciał z prośbą o pomoc. Gdyby ktoś mi o tym opowiedział, nie uwierzyłbym. Smok zwracający się o pomoc do człowieka! I to w dodatku ten smok! Nie jest z nich najstarszy, choć przeżył wiele lat, ale wśród wszystkich krewniaków wyróżnia się potęgą. Nie ukrywa swego imienia, jak to czynią ludzie i smoki. Nie lęka się, że ktoś mógł zyskać nad nim władzę. Nie oszukuje też, w odróżnieniu od swych pobratymców. Dawno temu, na Selidorze, darował mi życie i zdradził wielki sekret. Powiedział mi, jak odtworzyć Runę Królów. Jemu zawdzięczam scalenie Pierścienia Erreth-Akbego. Nigdy jednak nie przypuszczałem, że będę miał okazję spłacić tak wielki dług podobnemu wierzycielowi!

– Czego chciał?

– Wskazać mi drogę do tego, czego szukam – odparł mag ponuro. Po chwili dodał: – Powiedział: „Na Zachodzie pojawił się inny Władca Smoków. Sieje wśród nas zniszczenie, a jego moc większa jest niż nasza”. „Nawet twoja, Orm Embarze?”, spytałem, on zaś odparł: „Nawet moja. Potrzebuję cię. Spiesz zatem”. Posłuchałem jego wezwania.

– Nie wiesz nic więcej?

– Nic. Ale się dowiem.

Arren zwinął cumę, schował ją i zakrzątnął się wokół codziennych żeglarskich obowiązków. Przez cały czas w jego duszy dźwięczała pieśń podniecenia niczym śpiew napiętej cięciwy. Rozbrzmiewała też w jego głosie, gdy wreszcie się odezwał:

– To lepszy przewodnik niż inni!

Krogulec spojrzał na niego i roześmiał się.

– O tak – odparł. – Tym razem nie sądzę, byśmy zboczyli z kursu.

I tak rozpoczął się wielki wyścig przez ocean. Niezbadane morza Ludu Tratew od wyspy Selidor, najbardziej wysuniętej z całego Ziemiomorza na zachód, dzieli ponad tysiąc mil. Kolejne dni wstawały zza czystego horyzontu i zapadały ponownie w czerwone wody zachodu. Pod złotym łukiem słońca i srebrzystymi kręgami gwiazd łódź pędziła na północ, samotna na oceanie.

Czasami na horyzoncie pojawiały się letnie burzowe chmury rzucające na świat fioletowe cienie. Wówczas Arren patrzył, jak mag wstaje, jednym słowem i gestem wzywa je, aby podpłynęły i wylały swoje brzemię na łódź. Pomiędzy chmurami strzelały błyskawice i rozbrzmiewały ogłuszające grzmoty. Mimo to mag stał z uniesioną ręką, póki nie chlusnęły na nich strugi deszczu, napełniając nadstawione naczynia, bębniąc o pokład i uderzając z furią o powierzchnię morza. Czarodziej i Arren uśmiechali się pogodnie, bo choć mieli wystarczający zapas żywności, wody stale brakowało. Fakt zaś, że wspaniała furia burzy posłuszna była woli Krogulca, zachwycał ich obu.

Arren zastanawiał się nad zagadką owej mocy, którą jego towarzysz posługiwał się tak beztrosko. Wreszcie odważył się spytać:

– Kiedy rozpoczynaliśmy podróż, nie używałeś zaklęć.

– Pierwsza i ostatnia lekcja, jakiej uczymy się na Roke, brzmi: czyń to, co konieczne. I nic poza tym!

– Zatem wszystkie lekcje pomiędzy nimi muszą dotyczyć tego, co uznaje się za konieczne.

– Trzeba zawsze mieć na względzie Wielką Równowagę. Kiedy jednak sama Równowaga zostaje naruszona, wówczas uwzględnia się inne rzeczy. Przede wszystkim pośpiech.

– Czemu wszyscy czarnoksiężnicy na południu – a do tej pory zapewne i na pozostałych wyspach – nawet pieśniarze żyjący na tratwach stracili swą moc, a ty zachowałeś swoją?

– Albowiem poza nią nie pragnę niczego – odparł Krogulec.

Po jakimś czasie dodał nieco weselszym tonem:

– A jeśli mam ją wkrótce utracić, zamierzam wykorzystać ją do ostatka.

Istotnie, chłopiec wyczuwał w nim nieznaną dotychczas lekkość; wyraźnie rozkoszował się swymi umiejętnościami, choć Arren, pamiętając jego wcześniejszą powściągliwość, z trudem uwierzył w podobną przemianę. Czarnoksiężnicy uwielbiają zręczne sztuczki; każdy mag w głębi ducha lubi się popisywać. Przebranie, jakim Krogulec posłużył się w Hort, budzące wówczas tak wielki niepokój Arrena, było jedynie zabawą, niewinną igraszką dla kogoś, kto potrafi odmienić nie tylko własną twarz i głos, ale też ciało i samą swą istotę, wedle woli przybierając postać ryby, delfina czy sokoła. Pewnego dnia mag powiedział:

– Spójrz, Arrenie, pokażę ci Gont.

Polecił mu patrzeć na powierzchnię wody w pełnej po brzegi, świeżo otwartej baryłce. Wielu magów potrafi wywołać obraz na powierzchni wodnego zwierciadła i Krogulec także to uczynił; na gładkiej tafli pojawiła się wizja wyrastającej z szarego morza ogromnej góry, której szczyt ginął w chmurach. Po chwili obraz zniknął, zastąpiony innym, i Arren ujrzał nadbrzeżne urwisko. Zupełnie jakby nagle stał się ptakiem, mewą czy jastrzębiem szybującym na wietrze nad falami i spoglądającym wprost na skałę, o którą rozbijają się fale. Na wysokiej kamiennej półce wznosił się maleńki dom.

– To jest Re Albi – oznajmił Krogulec. – Tam mieszka mój mistrz, Ogion, który kiedyś uciszył trzęsienie ziemi. Teraz dogląda swych kóz, zbiera zioła i milczy. Zastanawiam się, czy ciągle wędruje górskimi ścieżkami. Jest już bardzo stary. Ale z pewnością wiedziałbym nawet teraz, gdyby Ogion umarł... – W jego głosie zabrzmiała niepewna nuta. Obraz na sekundę się rozmył; wyglądało to, jakby urwisko zaczęło pękać. Po chwili powróciły wszystkie szczegóły, głos maga zaś znów zabrzmiał czysto. – Późnym latem i jesienią Ogion miał zwyczaj samotnie przechadzać się po lesie. Tak spotkaliśmy się po raz pierwszy. Przybył do mnie, kiedy byłem jeszcze zwykłym wiejskim chłopcem, i podarował mi moje imię. A razem z nim życie. – Lustro wody pokazywało teraz las oglądany oczami ptaka spoglądającego zza gałęzi na strome rozsłonecznione łąki poniżej skalistego wierzchołka góry, który okrywała biała lodowa czapa. Górska droga opadała w dół i znikała w złocistozielonym mroku. – Nie ma na świecie ciszy, która mogłaby dorównać tej panującej w lasach Gontu – powiedział Krogulec i w jego głosie znać było tęsknotę.

Obraz pociemniał i znikł. Po chwili w powierzchni odbijał się już tylko oślepiający dysk słońca.

– Jeśli kiedykolwiek zdołam tam wrócić... – Krogulec spojrzał na Arrena z dziwną drwiną w oczach – nawet ty nie zdołasz pójść za mną.

***

Daleko przed sobą dostrzegli ziemię, niską błękitną plamę na południowym horyzoncie, przypominającą niewielki obłok mgły.

– Czy to Selidor? – spytał Arren i serce zabiło mu mocniej.

– Przypuszczam, że Obb albo Jessage – odparł mag. – Nie pokonaliśmy jeszcze nawet połowy drogi, chłopcze.

Tej nocy wpłynęli w cieśninę pomiędzy dwiema wyspami. Nie dostrzegli żadnych świateł, jednakże w powietrzu unosił się dym tak ciężki, że wkrótce zapiekły ich płuca. Kiedy nastał dzień i obejrzeli się

za siebie, zobaczyli wschodnią wyspę, Jessage, czarną i wypaloną. Nad wszystkim unosiła się brudnobłękitna mgiełka.

– Spalili pola – zauważył Arren.

– Tak. I wioski. Wąchałem już kiedyś podobny dym.

– Czy tu, na zachodzie, mieszkają barbarzyńcy?

Krogulec potrząsnął głową.

– Nie. Rolnicy, mieszczanie.

Arren spoglądał na zniszczoną krainę, osmalone kikuty drzew sterczące na tle nieba. Jego twarz stężała.

– Cóż złego uczyniły im te drzewa? Czy muszą karać trawę za własne winy? Ludzie to plemię nieokrzesanych dzikusów, gotowych podpalić ziemię tylko dlatego, że nie zgadzają się z innymi ludźmi.

– Nikt im nie przewodzi – rzekł Krogulec. – Nie mają króla, władcy i magowie zaś zeszli z właściwej drogi i zamknęli się w sobie, poszukując przejścia na drugą stronę śmierci. Tak było na południu i przypuszczam, że tak jest i tutaj.

– I to wszystko byłoby sprawką jednego człowieka? Tego, o którym wspominał smok? To chyba niemożliwe.

– Czemu nie? Gdyby nad wyspami panował król, byłby przecież tylko jednym człowiekiem. Ale sprawowałby rządy. Samotny człowiek może równie łatwo niszczyć, jak władać; być królem albo przeciwkrólem.

I znów w głosie czarodzieja zabrzmiała nutka drwiny bądź wyzwania, która zirytowała Arrena.

– Król ma służbę, żołnierzy, posłańców, oficerów. Rządzi za ich pośrednictwem. Gdzie są słudzy owego przeciwkróla?

– W naszych umysłach, chłopcze. W naszych umysłach. Nasze ja, zdrajca, który krzyczy: „Chcę żyć! Niech świat spłonie, bylebym tylko mógł żyć!”. Mała zdradziecka duszyczka kryjąca się w mroku naszej istoty niczym robak w jabłku. Ten zdrajca przemawia do nas wszystkich, ale tylko niektórzy go rozumieją: magowie, pieśniarze, mistrzowie rzemiosł i bohaterowie. Ci, którzy pragną pozostać sobą. Być sobą to wspaniała rzecz, a zostać sobą na zawsze... czyż to nie jeszcze lepsze?

Arren spojrzał wprost na Krogulca.

– Twierdzisz, że nie, lecz powiedz mi dlaczego. Rozpoczynając tę podróż, byłem dzieckiem, które nie wierzy w śmierć. Uważasz, że wciąż nim jestem, a jednak czegoś się nauczyłem. Może niewiele, ale coś wiem. Zrozumiałem, iż śmierć istnieje, że ja też umrę. Nie nauczyłem się jednak radować tą wiedzą, spokojnie wyczekiwać nadejścia śmierci. Skoro kocham życie, czyż nie powinienem nienawidzić jego końca? Czemu nie miałbym pragnąć nieśmiertelności?

W Berili Arren pobierał lekcje szermierki. Jego nauczyciel był sześćdziesięcioletnim łysym mężczyzną o chłodnym spojrzeniu. Arren nie znosił go przez lata, choć wiedział, że to wspaniały fechtmistrz. Jednakże pewnego dnia podczas ćwiczeń zdołał zaskoczyć swego nauczyciela i niemal go rozbroił. Nigdy nie zapomniał absurdalnego, pełnego niedowierzania uniesienia jaśniejącego na zimnej twarzy mistrza, nadziei, radości – ktoś równy mnie, nareszcie! Od tej chwili nauczyciel szkolił ucznia bezlitośnie i zawsze podczas ćwiczeń na jego twarzy pojawiał się dziwny uśmiech, coraz szerszy, w miarę jak rosły umiejętności Arrena. Podobny wyraz pojawił się teraz na twarzy Krogulca, niczym błysk stali w pełnym słońcu.

– Czemu nie miałbyś pragnąć nieśmiertelności? Jak mógłbyś jej nie pożądać? Łaknie jej każda dusza i pragnienie to jest czymś zupełnie naturalnym. Uważaj jednak, ty bowiem należysz do grupki nielicznych wybrańców, których życzenie może się spełnić.

– A wtedy?

– A wtedy... fałszywy król, zapomniane sztuki, niemi pieśniarze, ślepe oczy. Zaraza ogarniająca wszystkie krainy, rana, którą chcemy uleczyć. Tylko dwójca tworzy jedność, Arrenie: świat i jego cień, jasność i mrok. Dwa bieguny Równowagi. Ze śmierci wyrasta życie, z życia śmierć; przez to, że są swymi przeciwieństwami, przyciągają się i na wieki odradzają. A wraz z nimi wszystko inne: kwiat jabłoni, migotanie gwiazd... W życiu czai się śmierć, w śmierci odrodzenie. Czym byłoby życie bez śmierci? Niezmienną, wieczną, jednostajną wegetacją? Czyż nie oznacza to śmierci pozbawionej odrodzenia?

– Skoro wszystko od tego zależy, panie, jeśli jeden człowiek może zakłócić Wielką Równowagę, z pewnością nie byłoby to możliwe, nie pozwolono by... – Chłopiec się zająknął.

– Kto miałby zabronić i wydać taki zakaz?

– Nie wiem.

– Ani ja. Jestem jednak świadom, jak wiele zła może wyrządzić jeden człowiek, jedno życie. Wiem o tym aż za dobrze. Wiem, ponieważ sam to zrobiłem. Uczyniłem to samo zło kierowany tym samym – dumą. Otwarłem drzwi między światami. Tylko odrobinę, aby pokazać, że jestem silniejszy niż sama śmierć. Byłem wtedy młody i, jak ty, nie poznałem jej jeszcze... Trzeba było całej siły Arcymaga Nemmerle, jego wiedzy i doświadczenia, aby zamknąć te drzwi. Na mojej twarzy widzisz ślady, jakie pozostawiła ta noc, jego kosztowała życie. O tak, wrota między światłem a ciemnością można otworzyć, Arrenie. Wymaga to wielkiej mocy, ale jest możliwe. Natomiast ich zamknięcie – a, to już zupełnie inna historia.

– Ależ panie mój, to, o czym wspominasz, z pewnością różni się...

– Czemu? Ponieważ jestem dobrym człowiekiem? – W oczach Krogulca ponownie pojawił się stalowy sokoli błysk. – Co to znaczy: dobry człowiek, Arrenie? Czy to ktoś, kto nigdy nie czyniłby zła? Kto nie otwarłby drzwi prowadzących w ciemność, kto sam jest wolny od ciemności? Zastanów się, chłopcze. Sięgnij wzrokiem nieco dalej. Będziesz potrzebował tej wiedzy, aby udać się tam, gdzie musisz trafić. Wejrzyj w siebie. Czyż nie słyszałeś głosu powtarzającego „chodź”? Nie poszedłeś za nim?

– Poszedłem. Ja... nie zapomniałem. Sądziłem jednak... sądziłem, że ów głos należy... do niego.

– Miałeś rację. A także do ciebie. Jakże inaczej miałby zwracać się do kogoś, od kogo dzielą go setki mil, jeśli nie jego własnym głosem? Przyzywa tych, którzy wiedzą, jak słuchać, magów, twórców i wędrowców, posłusznych wewnętrznemu głosowi. Czemu zatem nie zwróci się i do mnie? Albowiem ja bym nie posłuchał. Nie dam się nabrać na jego podszepty. Urodziłeś się, by posiąść moc, Arrenie. Podobnie jak ja. Władzę nad ludźmi i ich duszami; cóż to jednak oznacza, jeśli nie władzę nad życiem i śmiercią? Jesteś młody, stoisz na rozstajach dróg, w krainie cieni, w królestwie snów, i słyszysz głos mówiący „chodź”. Ale ja, który jestem stary i uczyniłem to, co muszę, czekam, skąpany w blasku, wyglądając własnej śmierci, krańca wszelkich możliwości. Ja wiem, że istnieje tylko jedna

prawdziwa moc warta posiadania. To moc, która nie pozwala brać, lecz dawać.

Jessage pozostała daleko za nimi; przypominała teraz niewyraźną smugę, błękitny kleks na tle morza.

– Zatem jestem jego sługą – rzekł Arren.

– Tak. A ja twoim.

– Ale kto to jest?

– Przypuszczam, że to człowiek. Tak jak ty i ja.

– Ten, o którym kiedyś wspominałeś, czarnoksiężnik z Havnoru przywołujący umarłych? Czy to on?

– Możliwe. Miał wielką moc, całą oddaną jednej sprawie: uniknięciu śmierci. No i znał Wielkie Zaklęcia z Kunsztów Palneńskich. Kiedy sam z nich skorzystałem, byłem młody i głupi, i ściągnąłem na siebie nieszczęście. Jeśli jednak posłużyłby się nimi starzec obdarzony wielką mocą i niezważający na konsekwencje swych czynów, mógłby sprowadzić nieszczęście na nas wszystkich.

– Czyż nie powiedziano ci, że ów człowiek nie żyje?

– Tak – odparł Krogulec. – To słyszałem.

Obaj zamilkli.

Tej nocy morze było pełne ognia. Ostre fale wzbijane przez dziób „Bystrego Oka" mieniły się dziwnym blaskiem; wokół tańczyły ryby niczym drobne żyjące iskierki. Arren siedział oparty o burtę, obserwując zmarszczki i zawirowania srebrzystej światłości. Włożył dłoń do wody, a kiedy uniósł ją ponownie, z jego palców ściekało światło.

– Spójrz! – rzekł. – Ja także jestem magiem.

– Ten dar nie został ci dany – stwierdził Krogulec.

– Nie wiem, na co ci się przydam bez niego – mruknął Arren, patrząc na niestrudzone migotanie fal – kiedy spotkamy się z nieprzyjacielem.

Miał bowiem nadzieję – od samego początku wyprawy wierzył święcie, iż Arcymag wybrał go dlatego, że wyczuł w nim skrywaną potężną moc, dziedzictwo dalekiego przodka Morreda, które ukaże się ludziom dopiero w chwili największej potrzeby, w najczarniejszej godzinie; a wówczas on ocali życie swoje, swego pana i całego świata. Ostatnio jednak zastanawiał się, w czym pokłada nadzieję,

i wydało mu się, jakby oglądał ją z wielkiego oddalenia; przypomniał sobie, jak we wczesnym dzieciństwie ogarnęła go paląca żądza, by przymierzyć koronę ojca, i zapłakał, gdy mu tego zabroniono. Nadzieja na magię była równie nie na miejscu, równie dziecinna. Nie miał w sobie żadnych zadatków na czarnoksiężnika. I nigdy nim nie zostanie.

Nadejdzie czas, kiedy będzie mógł – więcej, będzie musiał! – przywdziać koronę ojca i rządzić Enladem. Obecnie jednak wydawało mu się to czymś nieważnym, nieistotnym drobiazgiem, równie odległym jak maleńki daleki dom. Nie oznaczało to braku lojalności, tyle że lojalność owa urosła, ogarniając nowe, donioślejsze cele i szersze nadzieje. Arren poznał także własną słabość; dzięki temu nauczył się szacować swe siły. Wiedział, że ma ich sporo. Na cóż jednak zda się siła, skoro nie miał żadnego daru, nic do zaoferowania swemu panu poza wierną służbą i niezłomną miłością? Czy zda się to na coś w miejscu, do którego zmierzali?

Krogulec powiedział jedynie:

– Aby ujrzeć płomień świecy, należy zanieść ją do ciemnej komnaty.

Arren próbował pocieszać się tymi słowami, ale nie dodawały mu wiele otuchy. Następnego ranka, kiedy się ocknęli, morze i niebo były szare. Nad masztem nieboskłon pojaśniał do opalowego błękitu, mgła zalegała nisko. Ludzie północy, którymi byli zarówno Arren z Enladu, jak i pochodzący z Gontu Ged, z radością powitali mgłę niczym starego przyjaciela. Wilgotny płaszcz spowił szczelnie łódź tak, że wzrok nie potrafił sięgnąć zbyt daleko. Obaj odnieśli wrażenie, jakby po wielu tygodniach podróży i odwiedzinach w licznych jasnych, jałowych, wietrznych krainach znaleźli się wreszcie w dobrze znanej okolicy. Wracali do domu. Być może, w tej właśnie chwili, znajdowali się na tej samej wysokości co Roke.

***

Jakieś siedemset mil na wschód od owych mglistych wód, po których żeglowało „Bystre Oko”, jasne promienie słońca połyskiwały na zielonej koronie Pagórka Roke i łupkowych dachach Wielkiego Domu.

Wysoko w południowej wieży znajdowała się pracownia maga, pełna retort, alembików i brzuchatych butli o wąskich szyjkach, wielkich palenisk i maleńkich palników, szczypiec, miechów, stojaków, kleszczy, tysięcy skrzyń, flakoników i zamkniętych słojów oznaczonych runami hardyckimi albo jeszcze bardziej tajemniczym pismem – wszystkich atrybutów alchemii służących do wytopu szkła, wzbogacania metali i leczenia przeróżnych chorób. W owej komnacie pośród zasypanych księgami stołów i ław stali Mistrz Przemian i Mistrz Przywołań.

Siwowłosy Mistrz Przemian trzymał w dłoniach wielki kamień przypominający nieoszlifowany diament. Był to kryształ górski zabarwiony lekko na różowo niczym najbledszy ametyst, lecz przejrzysty jak woda. A jednak kiedy spoglądało w niego czyjeś oko, dostrzegało nieczystość, zmętnienie i coś, co nie było odbiciem ani obrazem otaczającej go rzeczywistości – odległe wizje i głębie, coraz dalsze i dalsze, póki w końcu nie doprowadziły go do snu, z którego nie było już drogi ucieczki. Był to Kamień Sheliethu. Od dawna przechowywano go w skarbcu książąt Way; czasami był traktowany jako jeszcze jedna błyskotka, czasami jako talizman pozwalający zasnąć, a czasem służył bardziej złowrogim celom; ci bowiem, którym brakło zrozumienia, a którzy zbyt długo spoglądali w nieskończoną głębię kryształu, mogli stracić rozum. Kamień Sheliethu przywiózł na Roke Arcymag Gensher z Way, bo kryształ w rękach maga ukazywał prawdę.

Jednakże różni ludzie różnie postrzegają prawdę.

Toteż Mistrz Przemian, dzierżąc w dłoniach kamień i przenikając wzrokiem przez chropowatą nierówną powierzchnię, by dotrzeć do nieskończonych, bladych, migotliwych otchłani, przemówił głośno, aby opisać to, co ujrzał.

– Widzę całą ziemię, zupełnie jakbym stał na górze Onn w sercu świata i oglądał wszystko, co rozpościera się u mych stóp, aż po najdalsze wyspy najodleglejszych Rubieży i jeszcze dalej. Wszystko

jest bardzo wyraźne. Widzę statki w Ilien i ognie płonące na paleniskach w Torheven oraz dach wieży, w której znajdujemy się w tej chwili. Ale poza Roke nie ma nic. Na południu ani śladu lądu. Na zachodzie także. Nie ma Wathort w miejscu, gdzie powinna być. Ani żadnej wyspy Zachodnich Rubieży, nawet najbliższej, jak Pendor. Gdzie są Osskil i Ebosskil? Enlad spowija mgła, szara niczym pajęcza sieć. Za każdym razem, gdy spoglądam w dal, coraz więcej wysp znika, a w miejscu, w którym niegdyś były, widzę tylko morze, puste i gładkie jak przed Dniem Stworzenia... – Mag zająknął się przy ostatnim słowie, jakby jego wypowiedzenie sprawiło mu trudność.

Powoli odłożył kamień na kościany postument i cofnął się. Jego łagodna twarz zdradzała wyczerpanie.

– Powiedz mi, co widzisz – poprosił.

Mistrz Przywołań ujął w dłoń kryształ i obrócił go wolno, poszukując wśród guzów i zagłębień odpowiedniego miejsca. Przez długi czas ze skupieniem obracał go w palcach, wreszcie odłożył kamień na postument i rzekł:

– Mistrzu Przemian, widzę niewiele. Fragmenty nie tworzą żadnej całości.

Siwowłosy mistrz zacisnął ręce.

– Czy to samo w sobie nie jest dostatecznie dziwne?

– Dlaczego?

– Jak często ślepną twoje oczy?! – wykrzyknął ogarnięty nagłym gniewem. – Czy nie rozumiesz, że... – zająknął się kilkakrotnie, zanim zdołał dokończyć: – Nie widzisz, że twoje oczy przesłania jakaś dłoń? Ta sama, która knebluje moje usta.

– Jesteś zmęczony, panie – stwierdził Mistrz Przywołań.

– Wezwij Obecność Kamienia – rzucił starzec, odzyskawszy panowanie nad sobą. W jego głosie brzmiało dziwne napięcie.

– Po co?

– Ponieważ cię proszę.

– Daj spokój. Czyżbyś wyzywał mnie, jak chłopcy przed jaskinią niedźwiedzia? Zachowujesz się, jakbyśmy byli dziećmi.

– Właśnie! Wobec tego, co zobaczyłem w Kamieniu Sheliethu, jestem tylko dzieckiem, i to przerażonym. Wezwij Obecność Kamienia. Czy muszę cię błagać, mój panie?

– Nie. – Mistrz Przywołań zmarszczył czoło. Po chwili rozłożył ramiona w geście, który daje początek zaklęciom jego sztuki, uniósł głowę i zaintonował pierwsze sylaby inwokacji. W głębi Kamienia Sheliethu zapłonęło światło, coraz mocniejsze i jaśniejsze. Komnata wokół pociemniała, w kątach zebrały się cienie. Kiedy stały się dostatecznie głębokie, a kamień jaśniał niczym gwiazda, mag połączył dłonie, uniósł kryształ do oczu i spojrzał w jego głąb.

Przez jakiś czas milczał.

– Widzę fontanny Sheliethu – powiedział w końcu miękko. – Zbiorniki, jeziorka i kaskady, wilgotne jaskinie za zasłoną wodospadu, gdzie na omszałych brzegach wyrastają paprocie. Zmarszczki na piasku, tryskającą i opadającą wodę, zdroje wypływające z głębi ziemi, tajemnicę i słodycz ich źródeł... – Ponownie umilkł. Milczał długo. Jego twarz w blasku kamienia była blada niczym tarcza księżyca. Nagle wydał z siebie bolesny okrzyk, odrzucił kryształ i padł na kolana, kryjąc twarz w dłoniach.

Cienie zniknęły. Promienie letniego słońca wypełniały zagraconą komnatę, wielki kamień leżał pod stołem pośród kurzu i śmieci. Nie odniósł najmniejszego szwanku.

Mistrz Przywołań sięgnął ślepo naprzód jak dziecko, chwytając dłoń starszego maga. Parę razy odetchnął głęboko.

W końcu wstał, opierając się lekko na ramieniu Mistrza Przemian, i próbując się uśmiechnąć, rzekł:

– Nigdy więcej nie podejmę twego wyzwania, panie.

– Co zobaczyłeś, Thorionie?

– Ujrzałem fontanny. Widziałem, jak zapadają się w głąb ziemi. Strumienie wysychały, źródła zamykały się powoli, pod nimi zaś wszystko było czarne i suche. Tobie ukazało się morze przed Dniem Stworzenia, ja natomiast zobaczyłem... zobaczyłem tam... to, co nastąpi potem... Ujrzałem Dzień Końca – zwilżył wargi. – Chciałbym, aby był tu Arcymag.

– Ja chciałbym, abyśmy byli teraz z nim.

– Gdzie? Nikt już nie zdoła go odnaleźć. – Mistrz Przywołań wyjrzał przez okno, za którym jaśniało spokojne błękitne niebo. – Nie dotrze do niego żadne posłanie, żadne zaklęcie Przywołania. Jest tam, gdzie ujrzałeś jedynie puste morze. Zmierza do miejsca, w którym

wysychają źródła. Dotarł tam, gdzie zawodzi nasza sztuka... Możliwe jednak, że istnieją zaklęcia, które dotarłyby doń nawet w tej chwili, te zawarte w Kunsztach Palneńskich.

– Ale przecież zaklęcia te służą przywoływaniu zmarłych do świata żywych.

– Niektóre sprowadzają żywych do świata martwych.

– Nie sądzisz chyba, że Arcymag nie żyje?

– Myślę, że zmierza w stronę śmierci, która go przyciąga. Podobnie jak nas wszystkich. Opuszcza nas moc, nasza siła, nadzieja, szczęście. Źródła wysychają.

Mistrz Przemian przyglądał mu się z troską.

– Nie próbuj go wzywać, Thorionie – rzekł wreszcie. – Wiedział, czego szuka, na długo przedtem, zanim my to zrozumieliśmy. Dla niego świat przypomina Kamień Sheliethu. Patrzy weń i dostrzega, co należy zrobić... Nie możemy mu pomóc. Wielkie zaklęcia stały się bardzo niebezpieczne, a z nich wszystkich najgroźniejsze są te, o których wspomniałeś. Musimy czekać cierpliwie, tak jak nam polecił. Doglądać murów okalających Roke i pilnować, by wciąż pamiętano Prawdziwe Imiona.

– Zgoda – powiedział Mistrz Przywołań. – Muszę jednak zastanowić się nad tym.

Z tymi słowy opuścił komnatę na wieży, idąc sztywno i wysoko unosząc swą szlachetną ciemną głowę.

Rankiem Mistrz Przemian zaczął go szukać. Po dłuższym pukaniu wkroczył do jego komnaty i ujrzał przyjaciela rozciągniętego na kamiennej posadzce, jakby odrzucił go tam potężny cios. Ramiona miał szeroko rozłożone w geście przywołania, lecz jego ręce były zimne, a otwarte oczy nie widziały niczego. Choć Mistrz Przemian ukląkł obok i wezwał go z całą magiczną mocą, wymawiając trzykrotnie jego prawdziwe imię, Thorion, Mistrz Przywołań nadal leżał bez ruchu. Nie był martwy, jednakże tląca się w nim iskierka życia podtrzymywała jedynie słabo bijące serce i pozwalała mu oddychać, więcej nic. Mistrz Przemian ujął jego dłonie i szepnął:

– O Thorionie, to ja zmusiłem cię, abyś wejrzał w głąb kamienia. To moja wina!

Pospiesznie opuścił komnatę, mówiąc wszystkim, których napotkał, mistrzom i uczniom jednako:

– Ręka nieprzyjaciela sięgnęła między nas, przenikając mury Roke, i wymierzyła nam cios w samo serce!

Choć był człowiekiem łagodnym, teraz sprawiał wrażenie szaleńca opętanego myślą o śmierci i ci, których spotykał po drodze, lękali się go.

– Zajmijcie się Mistrzem Przywołań – polecił. – Kto jednak zdoła wezwać jego ducha, skoro odszedł mistrz tej właśnie sztuki?

Po chwili ruszył w stronę własnej komnaty. Wszyscy rozstępowali się, aby go przepuścić.

Posłano po Mistrza Ziół, a on kazał ułożyć Thoriona w łożu i okryć starannie. Jednakże nie przygotował żadnego uzdrawiającego naparu, nie zanucił też żadnej z pieśni, które koją schorzałe ciało bądź znużony umysł. Towarzyszył mu jeden z uczniów, młody chłopiec, który jeszcze nie osiągnął rangi czarodzieja, lecz nieźle sobie radził ze sztuką uzdrawiania.

– Mistrzu, czy nic nie można dla niego zrobić? – spytał.

– Nie po tej stronie muru – odparł Mistrz Ziół.

Po chwili, jakby przypomniawszy sobie, z kim rozmawia, dodał:

– Nie jest chory, chłopcze. Jednakże nawet gdyby jego ciało trawiła gorączka bądź choroba, nie wiem, czy nasza sztuka zdałaby się na coś. Mam wrażenie, że ostatnio moim ziołom brak esencji, a choć wymawiam słowa naszych zaklęć, nie ma w nich mocy.

– Mistrz Pieśni powiedział wczoraj coś podobnego. Urwał w połowie pieśni, której właśnie nas uczył, i rzekł: „Nie wiem, co oznaczają te słowa”, po czym wyszedł z sali. Niektórzy chłopcy wybuchnęli śmiechem, ja jednak czułem, jakby ziemia rozstąpiła mi się pod stopami.

Mistrz Ziół spojrzał w szczerą i bystrą twarz chłopca, po czym przeniósł wzrok na zimne zesztywniałe oblicze swego przyjaciela.

– Wróci do nas – rzekł. – Pieśni nie zostaną zapomniane.

Tej nocy Mistrz Przemian opuścił Roke. Nikt nie widział, jak to się stało. Sypiał w komnacie, której okno wychodziło na ogród. Rankiem okno było otwarte, a on zniknął. Uznano, że korzystając z zaklęć Przemiany, zmienił swoją postać, stając się ptakiem bądź

zwierzęciem, mgłą albo nawet wiatrem, kunszt jego bowiem pozwalał mu przybrać dowolne kształty. I tak umknął z Roke, być może wyruszywszy na poszukiwania Arcymaga. Niektórzy, wiedząc, że mag, który odmienia swą postać, może zostać w niej uwięziony, jeśli zabraknie mu zdolności bądź woli, lękali się o niego, jednakże nikt głośno nie wspominał o obawach.

I tak z Rady Mędrców ubyło trzech mistrzów. Mijały dni. Nadal nie było wieści o Arcymagu, Mistrz Przywołań leżał jak martwy, Mistrz Przemian nie powrócił. Stopniowo Wielki Dom ogarniało coraz większe przygnębienie. Chłopcy szeptali między sobą, niektórzy wspominali nawet o opuszczeniu Roke, bo nie uczono ich tutaj tego, po co przybyli.

– Może – rzekł jeden – owe sekretne sztuki i moce od początku były jedynie kłamstwem. Ze wszystkich mistrzów jedynie Mistrz Rzemiosł nadal wykonuje swe sztuczki, a wiemy wszyscy, że to zwykłe iluzje. Pozostali ukrywają się albo odmawiają pokazania nam czegokolwiek, ponieważ odkrylibyśmy, że to oszustwo.

Inny dodał:

– Czymże w końcu jest magia? Czym jest ich sztuka poza grą pozorów? Czy kiedykolwiek ocaliła człowieka od śmierci? Albo zapewniła długi żywot? Z pewnością gdyby magowie mieli moc, jaką sobie przypisują, wszyscy żyliby wiecznie.

I chłopcy zaczęli opowiadać sobie historie o śmierci wielkich czarnoksiężników; o tym, jak Morred zginął w bitwie, Nerreger poległ z ręki Szarego Maga, jak smok powalił Erreth-Akbego, a zwykła choroba zabiła Genshera, ostatniego Arcymaga, który zmarł w łóżku niczym zwykły wieśniak. Część chłopców, w których sercach zamieszkała zazdrość, z radością chłonęła wszystkie te historie; inni słuchali z przerażeniem.

Przez cały ten czas Mistrz Wzorów pozostawał samotnie w Wewnętrznym Gaju, nie wpuszczając tam nikogo.

Natomiast Mistrz Odźwierny, choć rzadko pokazywał się ludziom, wcale się nie zmienił. Jego oczu nie zasnuł żaden cień. Uśmiechał się i strzegł wrót Wielkiego Domu, czekając na powrót jego pana.

10

Smoczy Szlak

Chłodnego, jasnego poranka, hen, na morzach najdalszych Zachodnich Rubieży, władca Wyspy Mędrców ocknął się sztywny i odrętwiały od spania w ciasnej łodzi, usiadł i ziewnął. Po chwili, wskazując na północ, rzekł do swego równie rozziewanego towarzysza:

– Spójrz! Te dwie wyspy. Widzisz je? Są najdalej na południe wysunięte na Smoczym Szlaku.

– Masz sokoli wzrok, panie – stwierdził Arren, patrząc sennie na morze i nie dostrzegając niczego.

– Dlatego właśnie zowią mnie Krogulcem – odparł mag. Nadal zachowywał dobry humor, otrząsnąwszy się z lęków i złowrogich przeczuć. – Naprawdę ich nie widzisz?

– Tylko mewy – mruknął chłopak, gdy przetarł już oczy i uważnie przebiegł wzrokiem błękitnoszary horyzont.

Czarnoksiężnik się roześmiał.

– Nawet sokół nie dojrzałby mewy z odległości dwudziestu mil.

Gdy blask poranka rozjaśnił zalegające na wschodzie mgły, maleńkie punkciki krążące na niebie, które Arren zauważył już wcześniej, zaczęły błyszczeć jak złoty pył wrzucony do wody albo drobinki kurzu w słonecznym promieniu. I nagle Arren zrozumiał, że to smoki.

Kiedy „Bystre Oko” zbliżyło się do wysp, ujrzał ogromne gady szybujące i kołujące w powietrzu, i na ten widok jego serce przepełniła radość spełnienia, dziwnie przypominająca ból. W ich locie kryła się cała wspaniałość śmiertelności. Na ich piękno składały się przerażająca siła i nieposkromiona natura skryta pod otoczką rozumu. Były to bowiem istoty myślące, obdarzone mową i starożytną mądrością. We wzorach, jakie kreśliły na niebie, kryła się niezwykła świadoma harmonia.

Arren nie odezwał się ani słowem, pomyślał jednak: Nie dbam, co jeszcze nastąpi. Widziałem smoki szybujące na skrzydłach poranka.

Czasami rytm powietrznego tańca ulegał zachwianiu, krąg się rozrywał. Często też któryś ze smoków wypuszczał z nozdrzy długi strumień ognia, który przez moment wisiał w powietrzu, naśladując krzywiznę i barwę wygiętego smoczego ciała.

– Są rozzłoszczone – rzekł Krogulec. – Tańczą taniec gniewu. – Po chwili dodał: – Teraz dopiero poruszyliśmy gniazdo szerszeni! – Smoki bowiem dostrzegły maleńki żagiel pośród fal i najpierw jeden, a potem pozostałe przerwały taneczny krąg i wyprężając swe długie ciała, wymachując potężnymi skrzydłami, pofrunęły wprost ku łodzi.

Czarnoksiężnik spojrzał na Arrena, który siedział przy sterze, wysoka fala bowiem nieustannie spychała łódź z kursu. Ręka chłopca nawet nie drgnęła, choć jego oczy nieustannie wędrowały ku wielkim łopoczącym skrzydłom. Najwyraźniej zadowolony Krogulec odwrócił się ponownie i stając obok masztu, uciszył magiczny powiew, po czym uniósł laskę i przemówił.

Na dźwięk jego głosu i słów w Dawnej Mowie część smoków gwałtownie zawróciła w miejscu – rozproszone pofrunęły w stronę wysp. Inne zawisły w powietrzu, wyciągając ostre niczym miecze szpony przednich łap, jednakże nie odważyły się lecieć dalej. Tylko jeden opadł nisko nad wodę i powoli kontynuował lot w ich stronę. Dwa uderzenia skrzydeł wystarczyły, by znalazł się nad łodzią. Pokryty łuską brzuch niemal dotykał czubka masztu. Arren ujrzał pomarszczone nagie ciało w pachwinie, które oprócz oka stanowi jedyny czuły punkt na smoczym ciele, chyba że włócznia ciśnięta zostanie do wtóru potężnych zaklęć. Dym, wypływający z długiego

zębatego pyska, dusił chłopca. Wraz z nim napłynął ohydny smród padliny. Arren poczuł mdłości.

Po chwili cień nad ich głowami zniknął, by powrócić równie nisko jak przedtem, i tym razem chłopak poczuł na sobie palący żar smoczego oddechu. Usłyszał głos Krogulca, czysty i donośny. Smok odleciał, a z nim jego towarzysze, pędząc w stronę wysp niczym ogniste popioły unoszone wiatrem.

Arren odetchnął głęboko i otarł czoło zlane zimnym potem. Ujrzał, że włosy maga pobielały; dech smoka spopielił ich koniuszki. Jedna strona ciężkiego żaglowego płótna zbrązowiała z gorąca.

– Masz nieco przypaloną głowę, chłopcze.

– Ty też, panie.

Zaskoczony Krogulec przeczesał dłonią włosy.

– Istotnie! To prawdziwe zuchwalstwo z ich strony, nie chcę jednak walczyć z tymi stworzeniami. Wydają się szalone bądź ogłupiałe. Nie odezwały się ani słowem. Nigdy jeszcze nie spotkałem smoka, który nie przemówiłby przed atakiem – choćby po to, by napawać się lękiem ofiary... Teraz musimy ruszać naprzód. Nie patrz im w oczy, Arrenie. Jeśli trzeba, odwróć głowę. Dalej popłyniemy z prawdziwym wiatrem. I tak dmucha z południa, ja zaś mogę jeszcze potrzebować mojej sztuki. Pilnuj steru.

„Bystre Oko” śmignęło naprzód i wkrótce po jego lewej stronie wyrosła odległa wyspa, a po prawej ukazały się bliźniacze ziemie, które mag ujrzał wcześniej na horyzoncie. Ich nagie skały pokrywały białe plamy smoczych odchodów. Między nimi kręciły się małe czarnogłowe mewy gniazdujące nieustraszenie pośród skrzydlatych gadów.

Smoki szybowały wysoko, krążąc nad ziemią niczym sępy. Ani jeden nie zanurkował ku łodzi. Czasami krzyczały coś do siebie ochrypłymi głosami, jeśli jednak w ich wołaniu kryły się jakieś słowa, Arren nie był w stanie ich rozpoznać.

Łódź okrążyła skalisty cypel i chłopak ujrzał na brzegu coś, co w pierwszej chwili wziął za ruinę fortecy. To był smok. Jedno zgięte czarne skrzydło podkulił pod siebie, drugie rozciągało się na piasku, częściowo zanurzone w wodzie, tak że kolejne fale kołysały nim w drwiącej parodii lotu. Długie wężowe ciało spoczywało na plaży

i skałach. Jedna przednia noga zniknęła, coś wyszarpało także łuski i mięśnie pokrywające wielki łuk żeber, w brzuchu smoka zaś ziała rozległa poszarpana rana. Wokół na piasku rozlała się plama czarnej, trującej smoczej krwi. A jednak potwór wciąż żył. Tak wielka jest siła żywotna smoków, że jedynie potężna magia może je szybko zabić. I kiedy łódź przepłynęła mimo, ogromna wąska głowa poruszyła się lekko, a z jej nozdrzy wystrzelił strumień pary zmieszanej z kropelkami krwi.

Plaża pomiędzy umierającym smokiem a morzem została zryta stopami jego pobratymców. Wokół leżały rozwłóczone wnętrzności umierającego gada, częściowo wdeptane w ziemię.

Arren i Krogulec nie odzywali się ani słowem, póki nie oddalili się od wyspy i nie przecięli wzburzonych wód kanału Smoczego Szlaku, pełnych raf, skał i zdradliwych pułapek. Kanał prowadził w stronę północnych wysp podwójnego łańcucha. Dopiero wówczas Krogulec powiedział:

– Źle się dzieje. – Jego głos zabrzmiał ponuro i nieprzyjemnie.

– Czy one... zjadają się nawzajem?

– Nie. Nie częściej niż my. Doprowadzono je do szaleństwa. Ktoś odebrał im mowę. Plemię, które miało swój język, zanim jeszcze przemówił człowiek, najstarsze żyjące istoty, Dzieci Segoya, sprowadzono do poziomu ogłupiałych przerażonych bestii. Ach, Kalessinie! Gdzież zaniosły cię twoje skrzydła? Czy dożyłeś chwili, w której twój lud poznał, co znaczy wstyd? – W głosie maga dźwięczała stal. Uniósł wzrok, wpatrując się w niebo, jednakże smoki pozostały daleko w tyle, kołując nisko nad skalistymi wyspami i splamioną krwią plażą. Nad głowami widzieli tylko błękitne niebo i palące słońce.

W owych czasach nie było na świecie człowieka – poza samym Arcymagiem – który przepłynąłby cały Smoczy Szlak. Ponad dwadzieścia lat wcześniej Krogulec wyruszył w drogę, żeglując wzdłuż owego legendarnego łańcucha wysp ze wschodu na zachód i z powrotem. Dla żeglarza podobna podróż była cudem i jednocześnie koszmarem. Tutejsze wody tworzyły istny labirynt błękitnych cieśnin i zielonych mielizn, między którymi Arren i jego towarzysz sterowali teraz „Bystrym Okiem”, słowem i dłonią, ani

na moment nie tracąc czujności, wymijając skały i rafy. Niektóre czaiły się w głębinie, częściowo lub całkowicie skryte pośród fal, porośnięte barwnymi ukwiałami, pąklami i długimi wstęgami podmorskich paproci, niczym potwory podstępnie przyczajone w swych skorupach. Inne sterczały dumnie nad wodą; tworzyły kamienne łuki i krzywizny, rzeźbione wieże, fantastyczne postaci zwierząt – sylwetki dzików i głowy węży, wszystkie ogromne, dziwnie zdeformowane, rozsiane wokoło, jakby w kamieniu drzemało na wpół świadome życie. Fale uderzały o nie z odgłosem przypominającym ciężki oddech, pokrywając załomy skał jasną gorzką pianą. W jednym skalnym skupisku wyraźnie widać było zgarbione ramiona i ciężką szlachetną głowę człowieka spoglądającego z namysłem w morze. Kiedy jednak łódź wyminęła je, wszelkie podobieństwo do ludzkiej sylwetki zniknęło i wśród potężnych skał ukazała się jaskinia, w której falowało morze, hucząc głucho. Wydawało się, że w tym dźwięku kryje się słowo, jedna krótka sylaba. Gdy nieco odpłynęli, zniekształcone echa nieco przycichły i ów odgłos stał się znacznie wyraźniejszy.

– Czy w tej jaskini ktoś mówi? – spytał Arren.

– Tylko morze.

– Ale słyszę słowo.

Krogulec zaczął nasłuchiwać. Zerknął na Arrena i ponownie obejrzał się w stronę groty.

– Jakie słowo?

– Coś jakby dźwięk *ahm*.

– W Dawnej Mowie oznacza to początek albo coś, co działo się dawno temu. Ja jednak słyszę *ohb*, a to słowo znaczy koniec. Uważaj! – dodał mag ostro w chwili, gdy Arren krzyknął ostrzegawczo:

– Mielizna!

Przez jakiś czas sterowali uważnie, „Bystre Oko” kluczyło po morzu niczym kot, unikając kolejnych pułapek. Powoli jaskinia, w której od wieków rozbrzmiewało tajemnicze słowo, została w tyle.

Teraz woda stała się głębsza; w końcu opuścili szalony skalny labirynt. Przed nimi z morza wyrastała wyspa przypominająca wieżę. Jej czarne urwiska tworzyły szeregi wysokich brył, czy raczej

połączonych ze sobą kolumn, prostych i gładkich, wznoszących się wprost ze wzburzonej wody.

– Oto Twierdza Kalessina – oznajmił mag. – Tak nazwały ją smoki, kiedy byłem tu dawno temu.

– Kim jest Kalessin?

– Najstarszym.

– Czy on zbudował tę twierdzę?

– Nie wiem. Nie wiem nawet, czy w ogóle została przez kogoś wzniesiona ani ile lat liczy sobie Kalessin. Mówię o nim „on", lecz nawet tego nie jestem pewien. Przy Kalessinie Orm Embar przypomina jednoroczne dziecko, a ty i ja zwykłe jętki. – Krogulec przebiegł spojrzeniem złowrogą palisadę. Arren także uniósł wzrok, myśląc z niepokojem, że smok mógłby runąć na nich z wyniosłej czarnej skały i po sekundzie zatopić w łodzi swe ogromne szpony. Jednakże nic takiego się nie stało. Wpłynęli na spokojne, osłonięte skałami wody. Wokół słyszeli jedynie szmer i plusk skrytych w półmroku fal uderzających o bazaltowe kolumny. Woda w tym miejscu była bardzo głęboka, pozbawiona pułapek i raf. Arren kierował łodzią, Krogulec zaś stał na dziobie, nie odrywając oczu od wyniosłych klifow i jasnego nieba.

Wreszcie łódź wynurzyła się z cienia Twierdzy Kalessina i ponownie wpłynęła na rozsłonecznione wody. Było późne popołudnie. Przecięli Smoczy Szlak. Mag uniósł głowę jak człowiek, który dostrzegł coś, czego od dawna wyglądał. Po chwili nad rozległą równiną z płynnego złota pojawił się szybujący na złocistych skrzydłach smok – Orm Embar.

Arren usłyszał, jak Krogulec woła do niego:

– *Aro Kalessin?!*

Domyślał się znaczenia tych słów, lecz nie zrozumiał odpowiedzi smoka; a przecież jak zawsze, kiedy słuchał Dawnej Mowy, ogarnęło go uczucie, jakby zaraz miał przeniknąć znaczenie obcych wyrazów, jakby był to język, który kiedyś poznał i zapomniał, nie zaś zbiór osobliwych, zagadkowych dźwięków. Głos czarnoksiężnika zabrzmiał czyściej, niż kiedy mówił w języku hardyckim. Każde jego słowo spowijała otoczka ciszy, tak jak to bywa z najlżejszym dotknięciem

wielkiego dzwonu. Natomiast głos smoka przypominał dźwięk gongu – głęboki i przenikliwy – albo może syczący pomruk cymbałów.

Krogulec stał na wąskim dziobie, rozmawiając z potworną istotą, która zawisła nad nim, przesłaniając sobą pół nieba. Serce chłopca zabiło z radosnej dumy. Po raz pierwszy bowiem ujrzał, jak mały w gruncie rzeczy jest człowiek, jak delikatny i jak straszliwy zarazem. Smok mógł jednym uderzeniem szponiastej stopy oderwać mu głowę albo zmiażdżyć i zatopić łódź tak łatwo, jak kamień zatapia unoszący się na wodzie liść. Ale rozmiar nie decyduje o wszystkim; Krogulec był równie niebezpieczny jak Orm Embar i smok dobrze o tym wiedział.

Mag odwrócił głowę.

– Lebannenie – rzekł i chłopiec wstał, aby do niego podejść, choć nie chciał zbliżać się nawet o krok do potwornych szczęk i długich żółtozielonych oczu o pionowych źrenicach, które płonęły na niebie, przyglądając mu się uważnie.

Krogulec położył dłoń na ramieniu chłopca i ponownie krótko coś powiedział do smoka.

– *Lebannen* – zagrzmiał głęboki głos, donośny, lecz obojętny. – *Agni Lebannen!*

Arren uniósł wzrok. Nagły uścisk dłoni maga przypomniał mu, że powinien unikać spojrzenia złocistozielonych oczu. Nie znał wprawdzie Dawnej Mowy, ale nie był też całkiem tępy.

– Witam cię, Orm Embarze, panie smoków – rzekł wyraźnie, jak książę witający się z kimś równym sobie. Zapadła cisza; serce Arrena waliło w piersiach jak młotem. Krogulec uśmiechnął się lekko.

Po chwili smok znów się odezwał i Krogulec odpowiedział, a Arrenowi wydawało się, że ich rozmowa trwa wieki. Wreszcie jednak dobiegła końca. Smok wzbił się w górę jednym uderzeniem skrzydeł, tak mocnym, że o mało nie wywróciło łodzi, i odleciał. Arren spojrzał na słońce i zorientował się, że niemal w ogóle nie przesunęło się na niebie. W rzeczywistości spotkanie to nie trwało długo, jednakże twarz maga przybrała barwę mokrego popiołu, a jego oczy dziwnie błyszczały.

– Dobra robota, chłopcze – powiedział szorstko Krogulec, siadając na ławeczce. – Rozmowa ze smokiem to niełatwa sprawa.

Arren przygotował posiłek, bo obaj nie jedli nic przez cały dzień. Mag nie odzywał się już, póki nie skończyli jeść i pić. Słońce wisiało tuż nad horyzontem, choć na tych szerokościach niedługo po letnim przesileniu noc nadchodziła późno i bardzo powoli.

– Cóż – rzekł wreszcie Krogulec. – Orm Embar, na swój sposób, powiedział mi sporo. Twierdzi, że ten, którego szukamy, jest, a równocześnie nie jest na Selidorze... Smokom trudno jest wyrażać się jasno. Ich umysły funkcjonują inaczej niż nasze. Nawet kiedy jeden z nich zdecyduje się mówić prawdę, nadal nie wie, jak wygląda ona w oczach człowieka. Spytałem zatem: „Tak jak twój ojciec Orm przebywa na Selidorze?", jak wiesz bowiem, tam właśnie Orm i Erreth-Akbe polegli w walce. On zaś odpowiedział: „Nie i tak. Znajdziesz go na Selidorze, ale nie na Selidorze". – Krogulec urwał, pogrążony w myślach, z roztargnieniem żując skórkę czerstwego chleba. – Może chciał przez to powiedzieć, że choć tego człowieka nie ma na Selidorze, to aby go odnaleźć, muszę tam wylądować? Możliwe...

Następnie zapytałem go o inne smoki. Odparł, że ów człowiek krążył między nimi, nie lękając się ich, zabity bowiem powracał z martwych w swym własnym ciele i znów żył. Dlatego smoki lękają się go, uważając, że to istota, której nie obowiązują prawa natury. Ich strach daje temu magowi władzę nad nimi, on zaś odbiera im Mowę Tworzenia, pozostawiając je w niewoli własnej dzikości. Toteż pożerają się nawzajem albo odbierają sobie życie, nurkując w głąb morza; szczególnie obmierzła to śmierć dla ognistych węży, stworzeń zrodzonych z wiatru i ognia. Wówczas spytałem: „Gdzie jest twój pan, Kalessin?", on jednak odpowiedział jedynie: „Na zachodzie", co może oznaczać, że Kalessin odleciał na inne wyspy, które – jak twierdzą smoki – leżą dalej, niż kiedykolwiek dotarł ludzki statek; równie dobrze jednak może to znaczyć coś zupełnie innego.

Nie miałem więcej pytań i Orm zaczął zadawać swoje: „Wracając na północ, przeleciałem nad Kaltuel i nad Toringatami. Na Kaltuel ujrzałem wieśniaków zabijających dziecko na kamiennym ołtarzu, a na Ingat czarownika ukamienowanego przez swój własny lud. Czy oni zjedzą to dziecko, Gedzie? Czy czarownik powróci z martwych i także obrzuci swych ziomków kamieniami?". Sądziłem, że ze mnie

drwi, i miałem mu już odpowiedzieć w gniewie, ale Orm Enbar nie żartował. Powiedział: „Wszystko straciło dawny sens. W materii świata pojawiło się rozdarcie i wycieka przez nie morze oraz światło. Wkrótce pozostaniemy w suchej, mrocznej krainie. Nie będzie już więcej mowy ani śmierci". Wówczas pojąłem wreszcie, co chciał mi powiedzieć.

Arren nic nie rozumiał; niemniej bardzo się zaniepokoił, Krogulec bowiem, powtarzając słowa smoka, wymienił swoje prawdziwe imię. W umyśle Arrena pojawiło się nieprzyjemne wspomnienie znękanej kobiety z Lorbanery, krzyczącej: „Nazywam się Akaren!". Jeśli rzeczywiście łączące ludzkość więzy magii, muzyki, mowy i zaufania zaczynają słabnąć i zanikać, jeśli szaleństwo strachu atakuje coraz większe rzesze ludzi, którzy niczym smoki, pozbawieni wszelkiego rozsądku, walczą ze sobą, chcąc zniszczyć się nawzajem; jeżeli tak się rzeczy miały, czy Arcymag zdoła uniknąć tej zarazy? Czy starczy mu sił?

Nie wyglądał na mocarza, kiedy tak siedział zgarbiony nad posiłkiem, złożonym z chleba i wędzonej ryby. W jego przypalonych włosach widać było nitki siwizny; dłonie miał szczupłe, a twarz zdradzała znużenie.

A jednak smok się go bał.

– Co cię gryzie, chłopcze?

Na takie pytanie mógł odpowiedzieć tylko prawdą.

– Mój panie, wypowiedziałeś swoje imię.

– A, tak. Zapomniałem, że nie uczyniłem tego wcześniej. Jeśli dotrzemy tam, gdzie mamy dotrzeć, i tak będziesz go potrzebował. – Nadal żując chleb, spojrzał na Arrena. – Czyżbyś sądził, że zdziecinniałem na starość i zaczynam wykrzykiwać moje imię na prawo i lewo, niczym niemądrzy starcy, którym brak rozumu i wstydu? Jeszcze nie, chłopcze!

– Nie – odparł Arren, do tego stopnia zagubiony, że nie potrafił znaleźć innych słów. Czuł ogromne znużenie. Dzień był bardzo długi i pełen smoków. Niebo przed nimi ciemniało.

– Arrenie – powiedział mag. – Nie, Lebannenie. Tam, dokąd się udajemy, nic nie da się ukryć. Wszyscy ludzie noszą tam swoje prawdziwe imiona.

– Martwych nie można zranić – odparł ponuro chłopiec.

– Nie tylko w krainie śmierci ludzie nazywają się prawdziwymi imionami. Ci najbardziej narażeni, najwrażliwsi, którzy darząc kogoś miłością, nie żądają nic w zamian, znają imiona swych kochanków. Ludzie o wiernych sercach, dawcy życia... Jesteś zmęczony, chłopcze. Połóż się i śpij. Nie mamy nic do roboty. Trzeba tylko utrzymywać łódź na kursie. Rankiem ujrzymy ostatnią wyspę tego świata.

Głos maga brzmiał niezwykle łagodnie. Arren skulił się na dziobie i natychmiast ogarnęła go senność. Usłyszał jeszcze, jak czarnoksiężnik zaczyna nucić cichą, niemal szeptaną pieśń, nie w języku hardyckim, lecz w Mowie Tworzenie. Arren już-już miał zrozumieć jej słowa i przypomnieć sobie, co oznaczały, ale zasnął.

Krogulec w milczeniu schował chleb i ryby, sprawdził wszystkie liny, uprzątnął wnętrze łodzi, po czym ujmując w dłoń linkę żagla, usiadł na tylnej ławce, przyzywając magiczny powiew. „Bystre Oko" niestrudzenie pędziło na północ, niczym strzała przecinając morze.

Mag spojrzał na Arrena. Uśpiona twarz chłopca w ostatnich promieniach słońca miała czerwonozłotą barwę. Wiatr potargał kędzierzawe włosy. Miękkie rysy księcia, nawykłego do łatwego życia chłopca, który siedział obok fontanny w Wielkim Domu kilka miesięcy wcześniej, zniknęły. Ta twarz była szczuplejsza, twardsza i znacznie mocniejsza. Nie utraciła jednak nic ze swej urody.

– Nie znalazłem nikogo, kto poszedłby za mną – powiedział na głos Arcymag Ged, nie wiadomo, do śpiącego chłopca czy może do morskiego wiatru. – Nikogo oprócz ciebie. Ty zaś musisz podążyć własną drogą, nie moją. A przecież twoje królestwo będzie po części moją zasługą. Albowiem to ja pierwszy cię poznałem. Ja pierwszy! Kiedyś ludzie uznają to za największy z moich czynów, ważniejszy niż wszystko, co osiągnąłem moją magią. Jeśli w ogóle nadejdzie jakaś przyszłość. Najpierw bowiem musimy stanąć w punkcie, gdzie równoważą się siły, w samym sercu świata. A jeśli upadnę, ty upadniesz wraz ze mną, pociągając za sobą całą resztę... Przynajmniej na jakiś czas. Żadna ciemność nie trwa wiecznie. Nawet tam na niebie płoną gwiazdy... A jednak chciałbym ujrzeć, jak koronują cię w Havnorze, zobaczyć promienie słońca oświetlające

Wieżę Miecza i osadzony na niej Pierścień, który Tenar i ja przywieźliśmy dla ciebie z mroku Grobowców Atuanu, jeszcze przed twoim narodzeniem.

Zaśmiał się nagle i obróciwszy twarz na północ, powiedzial do siebie we wspólnej mowie:

– Zwykły pastuch miałby potomka Morreda wynieść na tron? Czy nigdy niczego się nie nauczę?

Po jakimś czasie, nadal siedząc bez ruchu z linką w dłoni i patrząc, jak żagiel wydyma się w ostatnich czerwonych promieniach słońca, ponownie przemówił:

– Nie będzie mnie w Havnorze ani na Roke. Czas już pozostawić władzę innym, odrzucić stare zabawki i znów wyruszyć w drogę. Czas, abym wrócił do domu. Zobaczę się z Tenar. Spotkam Ogiona i zanim umrze, pomówię z nim w jego domu, na urwiskach w Re Albi. Tak bardzo pragnę wędrować po stokach góry Gont, w lasach, kiedy pierwsze tchnienie jesieni zmienia barwy liści. Żadne królestwo nie dorówna owym puszczom. Czas już, abym tam wrócił, samotny, w milczeniu. Może wówczas poznam to, czego nie jest mnie w stanie nauczyć żaden czyn, sztuka czy władza. Coś, czego nigdy dotąd nie rozumiałem.

Na zachodnim niebie płonęła wspaniała czerwona łuna. W jej blasku morze miało barwę szkarłatu, a żagiel łodzi czerwieniał niczym krew. Wkrótce zapadł zmrok. Przez całą noc chłopiec spał, a mag czuwał, patrząc przed siebie w ciemność, której nie rozjaśniała ani jedna gwiazda.

11

Selidor

Ocknąwszy się wczesnym rankiem, Arren ujrzał w dali na niebieskim zachodzie niskie zamglone wybrzeże Selidoru.

Władcy Berili przechowywali w swym pałacu stare mapy, sporządzone jeszcze za czasów królów, kiedy to kupcy i poszukiwacze przygód żeglowali z Wysp Wewnętrznych, hen, na Rubieże, doskonale znane ówczesnym żeglarzom. Dwie ściany książęcej sali tronowej ozdabiała wielka mozaika przedstawiająca mapę Północy i Zachodu. Pośrodku, nad tronem, widniała złocistoszara wyspa Enlad. Arren przywołał teraz w pamięci widok, który w dzieciństwie oglądał tysiące razy. Na północ od Enladu leżała Osskil, a na zachód od niej Eboskill, której południowymi sąsiadami były Semel i Paln. Tam kończyły się Wyspy Wewnętrzne i dalej rozciągało się blade, błękitnozielone mozaikowe morze, zupełnie puste, domena delfinów i wielorybów. Dopiero w narożniku, w którym ściana północna spotykała się z zachodnią, już na tej drugiej widniała Narveduen, a za nią trzy mniejsze wyspy i znów puste morze, aż do samej krawędzi ściany i mapy, gdzie umieszczono Selidor. Dalej była już tylko pustka.

Arren pamiętał dokładnie zakrzywiony kształt wyspy; wielką zatokę pośrodku, jej wąskie ujście wychodzące na wschód. Oni nie dotarli aż tak daleko na północ. Łódź kierowała się wprost ku głębokiej zatoczce u podstawy najdalej wysuniętego na południe przylądka

wyspy. Tam wylądowali, zanim słońce zdążyło na dobre wynurzyć się zza nieboskłonu.

I tak zakończył się wielki pościg ze Szlaków Balatranu aż po zachodnie wyspy. Bezruch ziemi pod stopami wydawał im się dziwnie nierzeczywisty, gdy wspólnie wciągnęli „Bystre Oko" na piasek i po tak długim czasie ponownie stanęli na stałym gruncie.

Ged wspiął się na niską, porośniętą trawą wydmę. Jej ostra krawędź sterczała nad stromym zboczem, umocniona silnymi korzeniami piaskolubnych roślin. Kiedy dotarł na górę, stanął bez ruchu, spoglądając na zachód i północ. Arren zatrzymał się obok łodzi, aby włożyć buty, nienoszone od wielu dni. Wyjął też ze skrzynki z zapasami swój miecz i przypasał go. Tym razem nie miał najmniejszych wątpliwości, czy powinien to robić. Następnie ruszył za Gedem i rozejrzał się po okolicy.

Wydmy, niskie i zielone od trawy, sięgały na jakieś pół mili w głąb lądu. Za nimi rozciągały się mokradła skryte pod grubym płaszczem turzyc i nadmorskich trzcin. Dalej Arren dostrzegł niskie żółtobrązowe wzgórze, spalone słońcem i puste, sięgające aż po horyzont. Selidor był piękny; dziwnie cichy i opustoszały. Nigdzie nie dostrzegali śladu człowieka, jego siedzib ani dzieł pracy rąk. Wśród wzgórz nie przemknęło żadne zwierzę, nad porośniętymi sitowiem jeziorami nie kręciły się stada mew, dzikich gęsi czy w ogóle jakichkolwiek ptaków.

Powoli zeszli na drugą stronę wydmy. Wkrótce piaskowy wał przesłonił morze, tłumiąc szum fal i świst wiatru. Zapadła cisza.

Pomiędzy dwiema największymi wydmami leżała cicha piaskowa kotlinka. Poranne słońce ogrzewało jej zachodnie zbocze.

– Lebannenie – rzekł mag, gdyż teraz posługiwał się już wyłącznie prawdziwym imieniem Arrena – ostatniej nocy nie mogłem spać, a teraz muszę odpocząć. Zostań ze mną i trzymaj straż.

Położył się w słońcu, w cieniu bowiem wciąż panował chłód; przedramieniem zasłonił oczy, westchnął i zasnął. Arren usiadł obok niego. Wokół siebie widział jedynie białe ściany kotlinki, porastającą wydmę trawę, kołyszącą się na szczycie na tle zamglonego błękitu nieba, oraz żółty krąg słońca. W powietrzu nie rozlegał się nawet najcichszy dźwięk poza stłumionym pomrukiem morza. Czasami

mocniejszy powiew wiatru poruszał ziarnkami piasku, które przesypywały się z odgłosem przypominającym szept.

Wysoko nad głową Arren ujrzał coś, co w pierwszej chwili wziął za szybującego wysoko orła. Jednakże ów przybysz nie był orłem. Zatoczył krąg nad ich głowami i przy wtórze grzmotu i przenikliwego świstu runął w dół, rozkładając szeroko złociste skrzydła. Jedna mocarna szponiasta łapa spoczęła na szczycie wydmy. Na tle słonecznej tarczy potężna głowa rysowała się mrocznym cieniem o ognistych błyskach.

Smok zsunął się parę kroków w dół zbocza i przemówił:

– *Agni Lebannen.*

Stając pomiędzy nim a Gedem, Arren odpowiedział:

– Orm Embar. – Po tych słowach ujął w dłonie miecz.

Teraz nie wydawał mu się już ciężki. Gładka wysłużona klinga doskonale leżała mu w dłoni, ostrze chętnie opuściło pochwę. Jego moc i wiek nie onieśmielały już chłopca, teraz wiedział bowiem, jak go wykorzystać. To był jego miecz.

Smok ponownie się odezwał, lecz Arren nie potrafił go zrozumieć. Obejrzał się na śpiącego maga, którego nie obudził nawet hałas towarzyszący ich rozmowie, i zwracając się do smoka, rzekł:

– Mój pan jest znużony. Śpi.

Słysząc to, Orm Embar zszedł jeszcze parę kroków na dno kotliny. Kiedy stąpał po ziemi, brakowało mu wcześniejszej zwinności i swobody, mimo to jednak w powolnych ruchach ogromnych szponiastych łap i krzywiźnie zakończonego kolcem ogona krył się złowrogi wdzięk. Smok podkulił nogi, uniósł swą olbrzymią głowę i zastygł bez ruchu, niczym rzeźba na hełmie wielkiego wojownika. Arren widział wpatrzone w siebie żółte oko; w nozdrzach czuł lekki odór ognia. Nie była to jednak trupia woń rozkładu; suchy i metaliczny zapach dzikości znakomicie mieszał się ze słabą wonią morza i piasku.

Promienie wschodzącego coraz wyżej słońca padły na grzbiet Orm Embara, który rozbłysł niczym posąg smoka odlany z żelaza i złota.

Ged spał spokojnie i głęboko, nie zwracając na smoka uwagi większej, niż śpiący rolnik poświęca swemu psu.

Tak minęła godzina. Nagle Arren, zdumiony, odkrył, że mag siedzi tuż obok niego.

– Czyżbyś tak przywykł do smoków, że zasypiasz pomiędzy ich łapami? – spytał Ged ze śmiechem. Następnie wstał i powiedział coś w mowie smoków.

Orm Embar także ziewnął – może stanowiło to oznakę senności, a może kierował nim duch rywalizacji. Był to widok, jaki zdarzyło się oglądać niewielu śmiertelnikom: rzędy żółtobiałych zębów, długich i ostrych niczym klingi mieczy, rozdwojony czerwony ognisty język dwukrotnie dłuższy niż ludzkie ciało, parująca jaskinia gardła.

Smok się odezwał i Ged już miał odpowiedzieć, kiedy obaj odwrócili głowy, aby spojrzeć na Arrena. Bo w ciszy wyraźnie usłyszeli głuchy szept stali ocierającej się o pochwę. Arren wpatrywał się w krawędź wydmy za plecami czarnoksiężnika, miecz czekał niecierpliwie w jego dłoni.

Na wydmie zaś, skąpany w blasku słońca, stał człowiek. Wiatr poruszał jego luźną szatą. Przybysz stał nieruchomo jak skamieniały, jedynie trzepoczące poły i kaptur lekkiego płaszcza nadawały obcej sylwetce cechy żywego człowieka. Włosy, długie i czarne, opadały mu na plecy kaskadą gęstych loków; wysoki i dobrze zbudowany, promieniował siłą i spokojem. Jego oczy zdawały się spoglądać poza nich, na morze. Po chwili się uśmiechnął.

– Orm Embara znam – rzekł. – I ciebie także, Krogulcze, choć postarzałeś się od czasu naszego spotkania. Mówiono mi, że zostałeś Arcymagiem. A zatem na starość stałeś się wielkim człowiekiem. Widzę, że masz też ze sobą młodego sługę. Bez wątpienia to aspirujący mag, jeden z tych, którzy pobierają nauki na Wyspie Mędrców. Cóż porabiacie tak daleko od Roke i niewzruszonych murów chroniących mistrzów przed wszelkim złem?

– W murze potężniejszym niż te na Roke pojawiło się pęknięcie – odparł Ged, ściskając oburącz swą laskę. – Czemu jednak nie zjawisz się tu w swej cielesnej powłoce, abyśmy mogli powitać tego, którego tak długo szukamy?

– W cielesnej powłoce? – powtórzył ten dziwny człowiek i uśmiechnął się ponownie. – Czyżby zwykłe ciało, śmiertelna postać,

mięso miało jakiekolwiek znaczenie w rozprawie pomiędzy dwoma magami? Nie, Arcymagu, niechaj nasze umysły się spotkają.

– Obawiam się, że tego nie możemy zrobić. Odłóż miecz, chłopcze. To jedynie widmo, projekcja, nie prawdziwy człowiek. Równie dobrze mógłbyś dobyć ostrze przeciw wiatrowi. W Havnorze, kiedy twoje włosy były jeszcze białe, nazywano cię Cob. Ale to tylko imię użytkowe. Jak winniśmy cię zwać, kiedy się spotkamy?

– Nazwiecie mnie panem – odparła wysoka postać na krawędzi wydmy.

– Owszem, i kim jeszcze?

– Królem i mistrzem.

Na te słowa Orm Embar syknął głośno, złowrogo. Jego ogromne oczy rozbłysły. A jednak odwrócił głowę od zjawy i przypadł do ziemi, jakby nie mógł drgnąć.

– Kiedy i gdzie nastąpi nasze spotkanie?

– W moim królestwie, kiedy tego zechcę.

– Doskonale – odparł Ged i unosząc laskę, skinął nią w stronę widma, które znikło niczym zdmuchnięty płomień świecy.

Arren patrzył bez słowa, jak smok gwałtownie dźwiga się z ziemi i staje na czterech zakrzywionych nogach. Jego zbroja zadźwięczała, wargi uchyliły się, ukazując zęby. Mag ponownie wsparł się na swej lasce.

– To była jedynie projekcja, złudzenie, wizerunek człowieka. Mogła mówić i słyszeć, ale brak jej mocy, chyba że będzie nią nasz strach. Nie jest też wierna swemu pierwowzorowi, jeśli ten zechce inaczej. Zgaduję, że nie oglądaliśmy jego prawdziwej twarzy.

– Jak sądzisz, czy jest gdzieś w pobliżu?

– Widmo nie może przekroczyć wody. Ten, którego szukamy, przebywa na Selidorze. Ale Selidor to wielka wyspa. Szersza niż Gont czy Roke i niemal tak długa jak Enlad. Długo będziemy go szukali.

Wówczas przemówił smok. Ged słuchał przez chwilę, po czym odwrócił się do Arrena.

– Tak oto rzecze władca Selidoru: „Powróciłem do mojej krainy i nie opuszczę jej. Odnajdę niszczyciela i sprowadzę was do niego, abyśmy razem mogli go pokonać”. A czyż nie mówiłem ci, że smoki zawsze znajdują to, czego szukają?

To powiedziawszy, Ged ukląkł przed wielkim stworem, tak jak wasal klęka przed królem, i podziękował mu w jego własnej mowie. Gorący oddech smoka omiótł z bliska jego pochyloną głowę.

Orm Embar raz jeszcze wdrapał się z trudem na wydmę, rozłożył skrzydła i wzleciał w powietrze.

Ged otrzepał ubranie z piasku i rzekł do Arrena:

– Przed chwilą widziałeś mnie klęczącego. Możliwe, że przed końcem naszej wyprawy ujrzysz, jak klękam ponownie.

Arren nie pytał, co mag ma na myśli; długa zażyłość go nauczyła, że czarnoksiężnik nie bez powodu utrzymuje w sekrecie pewne sprawy. A przecież wydało mu się, że w owych słowach czaiła się groźba.

Przekroczywszy wydmy, wrócili na plażę, aby upewnić się, czy „Bystre Oko" leży poza zasięgiem przypływu bądź burzy. Wyjęli z niego płaszcze i resztki zapasów. Ged przystanął przez chwilę obok smukłego dziobu łodzi, która tak długo pokonywała wraz z nimi obce morza, docierając do najdalszych granic świata. Położył dłoń na burcie, nie rzucił jednak żadnego zaklęcia ani nic nie powiedział. Po chwili ruszyli w głąb lądu, na północ, w stronę wzgórz.

Szli przez cały dzień, a wieczorem zatrzymali się na popas obok strumienia spływającego z wyżyn ku porośniętym sitowiem jeziorom i mokradłom. Choć była pełnia lata, wiał zimny zachodni wiatr, przynosząc ze sobą powietrze znad nieskończonego przestworu otwartego, pozbawionego wysp morza. Mgła osłaniała niebo nad wzgórzami, na których nigdy nie płonął wzniecony ludzką ręką ogień. Na niebie nie jaśniała nawet jedna gwiazda.

Arren obudził się w ciemności. Ich małe ognisko zgasło, lecz chylący się ku zachodowi księżyc oświetlał okolicę mętnym mglistym blaskiem. Na brzegach strumienia i zboczach stała ogromna rzesza ludzi, milczących i nieruchomych. Twarze mieli zwrócone w stronę Geda i Arrena. Światło księżyca nie odbijało się w ich oczach.

Chłopak nie śmiał się odezwać, położył jedynie dłoń na ramieniu Arcymaga..

– Co się dzieje? – zapytał Gred.

Podążając za wzrokiem Arrena, ujrzał milczący tłum.

Wszyscy, mężczyźni i kobiety, mieli na sobie ciemne stroje. W słabym świetle ich twarze były niewyraźne, Arrenowi jednak wydało się, że pośród tych stojących najbliżej, po drugiej stronie strumyka, dostrzega ludzi, których niegdyś znał, choć nie potrafił sobie przypomnieć ich imion.

Ged wstał, odrzucając płaszcz. Jego twarz, włosy i koszula połyskiwały srebrzystym blaskiem, jakby przyciągały promienie księżyca. Zatoczył ręką szeroki łuk i powiedział głośno:

– O, wy, którzyście kiedyś żyli, odejdźcie wolno. Zrywam krępujące was pęta: *Anvassa mane harw pennodathe!*

Przez chwilę ludzie stali bez ruchu, następnie odwrócili się powoli, jakby chcieli odejść w szary mrok, i zniknęli.

Ged z powrotem usiadł na ziemi. Odetchnął głęboko. Położył dłoń na ramieniu chłopca. Jego dotyk był ciepły i stanowczy.

– Nie ma się czego bać, Lebannenie – powiedział łagodnie. W jego głosie pobrzmiewała delikatna kpiąca nuta. – To tylko umarli.

Arren przytaknął, choć zęby mu szczękały, ciałem zaś wstrząsały przejmujące dreszcze.

– Jak... – zaczął, ale usta i gardło odmówiły mu posłuszeństwa.

Ged zrozumiał.

– Przybyli na jego wezwanie. To właśnie im obiecuje: wieczne życie. Przyzwani jego słowem mogą powrócić. Na jego rozkaz muszą wędrować po wzgórzach życia, choć nie potrafią poruszyć nawet jednego źdźbła trawy.

– Czy zatem... czy on też nie żyje?

Mag potrząsnął głową, zatopiony w myślach.

– Wówczas nie mógłby wzywać martwych do naszego świata. Nie, nasz przeciwnik dysponuje mocą żyjącego człowieka. I jeszcze większą... Jeśli jednak ktokolwiek sądził, że pójdzie za nim, został oszukany. Albowiem ich władca zachowuje swą moc dla siebie. Udaje króla umarłych, i nie tylko umarłych... Ale to tylko cienie.

– Nie wiem, czemu się ich bałem – wyznał ze wstydem Arren.

– Lękasz się ich, ponieważ obawiasz się śmierci. I słusznie. Śmierć bowiem jest straszna i należy się jej bać. – Czarnoksiężnik dorzucił drew do ognia i dmuchnął na żarzące się węgle skryte pod warstwą

popiołu. Wkrótce cienkie gałązki zajęły się jasnym ogniem. Arren z wdzięcznością powitał płomień, który rozjaśnił mrok.

– Życie także jest straszne – dodał Ged. – I powinniśmy sławić je z lękiem.

Siedzieli przy ogniu, ciasno owinięci płaszczami. Przez jakiś czas milczeli, wreszcie Arcymag rzekł z powagą:

– Lebannenie, nie mam pojęcia, jak długo będzie nas nękał swymi zjawami i cieniami, lecz wiesz, dokąd w końcu musimy się udać.

– Do mrocznej krainy.

– Tak. Pomiędzy nich.

– Już ich widziałem. Pójdę z tobą.

– Czy to wiara we mnie powoduje twoimi krokami? Możesz ufać mojej miłości, ale nie sile. Obawiam się, że spotkałem równego sobie.

– Pójdę z tobą.

– Ale jeśli zostanę pokonany, jeśli stracę moc albo życie, nie zdołam wyprowadzić cię z powrotem; sam zaś nie powrócisz.

– Wrócę z tobą.

Słysząc to, Ged oznajmił:

– U bram śmierci wkraczasz w wiek męski. – Po czym powtórzył słowo czy imię, którym smok dwukrotnie nazwał Arrena, wymawiając je bardzo cicho. – *Agni. Agni Lebannen.*

Nie rozmawiali już i w końcu ponownie ogarnęła ich senność, toteż położyli się przy dogasającym ognisku.

Następnego ranka ruszyli dalej, na północ i zachód; Arren, nie Ged, obrał kierunek.

– Sam wybierz drogę, chłopcze – poprosił mag. – Dla mnie wszystkie wyglądają jednakowo.

Nie spieszyli się, ponieważ wędrowali bez celu, czekając na znak od Orm Embara. Podążając pierwszym, najniższym pasmem wzgórz, niemal cały czas na horyzoncie widzieli ocean. Nieustający wiatr poruszał krótką suchą trawą. Po ich prawej stronie wyrastały ponure złociste góry, po lewej ciągnęły się słone bagna i Morze Zachodnie. W pewnej chwili, daleko na południu, ujrzeli stado łabędzi. Przez cały dzień nie natknęli się na żadną inną żywą istotę. Arren czuł, jak narasta w nim pełne grozy znużenie, wywołane nieustannym

czekaniem na najgorsze. W końcu ogarnęła go niecierpliwość i tępy gniew. Po paru godzinach milczenia odezwał się wreszcie:

– Ta wyspa jest sucha jak królestwo śmierci!

– Nie mów tak! – upomniał go ostro Ged. Przez jakiś czas szedł w milczeniu, po czym mówił dalej zmienionym głosem: – Spójrz na te ziemie, rozejrzyj się wokół. To twoje królestwo, królestwo życia. To jest twoja nieśmiertelność. Popatrz na góry; są śmiertelne, a jednak tylko tu możesz czuć się nieśmiertelny. Mimo że nie trwają wiecznie. Porasta je żywa trawa, ze szczytów spływają potoki... W całym naszym świecie, we wszystkich światach, w całym ogromie czasu nie znajdziesz dwóch identycznych strumieni wypływających lodowatą strugą z głębin ziemi, gdzie nie sięga wzrok człowieka, zmierzających w świetle dnia i mroku nocy do oceanu. Przepastne są źródła istnienia, głębsze niż życie i śmierć...

Urwał, lecz w jego oczach spoglądających na Arrena i pogrążone w słonecznym blasku góry widać było bezmierną, milczącą, pełną bólu miłość. Arren zaś po raz pierwszy ujrzał w nim człowieka, jakim mag był naprawdę.

– Nie potrafię tego wyrazić – stwierdził Ged zniechęcony.

Arren pomyślał jednak o ich pierwszym spotkaniu na Podwórcu Fontanny, o mężczyźnie, który ukląkł obok szemrzącej strugi, i ogarnęła go radość równie czysta, jak źródlana woda.

– Obdarzyłem miłością kogoś, kto okazał się jej wart. Czyż nie to jest właśnie owo królestwo i niewyczerpane źródło?

– Owszem, chłopcze – odparł Ged łagodnie, z bólem w głosie.

Szli dalej w milczeniu. Teraz Arren dostrzegał całe bogactwo życia otaczające ich w tej cichej opustoszałej krainie, jakby potężne zaklęcie otworzyło mu oczy. Dostrzegał życie w każdym źdźble poruszanej wiatrem trawy, w każdym cieniu i odłamku skały. Tak właśnie czuje się podróżnik stojący po raz ostatni w ukochanym miejscu, świadom, że wyrusza w drogę, z której nie ma powrotu. Widzi wówczas otaczający go świat jako całość, rzeczywistą i ukochaną, oglądając go tak po raz pierwszy – i ostatni.

Nadchodził zmierzch. Z zachodu napłynęła zwarta ławica chmur unoszona na wielkich skrzydłach morskiego wiatru. Promienie zachodzącego słońca zabarwiły ją płomienną czerwienią. Zbierając

chrust na ognisko w dolinie strumienia, Arren uniósł wzrok i w czerwonym blasku ujrzał człowieka stojącego nie dalej niż cztery kroki od niego. Twarz przybysza była dziwnie obca, odległa, jednakże Arren go znał. Był to farbiarz z Lorbanery, Sopli, który nie żył, utonął w morzu.

Za nim czekali inni, wszyscy smutni, zapatrzeni w dal. Zdawali się coś mówić, jednakże Arren nie słyszał ich głosów, jedynie cichy szept unoszony z zachodnim wiatrem. Rząd ciemnych sylwetek zaczął powoli zbliżać się do niego.

Chłopak wstał, spojrzał na nich, po czym przeniósł wzrok na Sopliego. Po chwili odwrócił się plecami do tłumu i podniósł jeszcze jedną gałązkę, choć ręce mu wyraźnie drżały. Dodał ją do zebranej wcześniej wiązki, wyszukał następną i jeszcze jedną. Dopiero wtedy wyprostował się i obejrzał. W dolinie nie było nikogo, zobaczył tylko plamy czerwonego światła na trawie. Wrócił do Geda i złożył na ziemi chrust, jednakże nie wspominał o tym, co widział.

Tej nocy spał bardzo niespokojnie, a kiedy się budził, słyszał wokół siebie dobiegające z mglistej ciemności bezludnej krainy szepty umarłych. Ogromnym wysiłkiem woli zmuszał się, aby nie słuchać, i zasypiał ponownie.

Obaj z Gedem obudzili się późno, kiedy słońce, wyglądające już zza szczytów, pokonało już tumany mgły i rozjaśniło chłodną ziemię. Gdy jedli swój skromny posiłek, pojawił się smok, zataczając krąg nad ich głowami. Spomiędzy szczęk potężnego gada strzelały płomienie, z czerwonych nozdrzy dobywał się przetykany iskierkami dym. W ognistym blasku jego zęby lśniły niczym kościane ostrza. Jednakże nie odezwał się ani słowem, choć Ged pozdrowił go i zawołał:

– Znalazłeś go, Orm Embarze?!

Smok odrzucił w tył głowę i gwałtownie wygiął ciało, rozdzierając powietrze ostrymi jak brzytwa szponami. W milczeniu poszybował na zachód. Co chwila oglądał się, jakby sprawdzał, czy idą za nim.

Ged pochwycił swą laskę i uderzył nią w ziemię.

– On nie mówi! – rzekł. – Nie potrafi już mówić! Odebrano mu Mowę Tworzenia, pozostał niemy niczym zwykły gad. Jego mądrość przygasła, lecz nadal potrafi prowadzić, a my podążać za nim.

Zarzuciwszy na ramię lekkie worki, wyruszyli na zachód przez góry, szlakiem wskazanym im przez Orm Embara.

Pokonali w ten sposób jakieś osiem mil, ani na moment nie zwalniając kroku. Teraz po obu stronach rozciągało się morze, oni zaś szli długim opadającym grzebieniem skalnym, który w końcu zagłębił się pomiędzy wyschnięte trzciny i płytkie łożyska strumieni, tworząc wąską piaszczystą plażę barwy starych kości.

To był najdalej na zachód wysunięty przylądek Ziemiomorza, kraniec wszystkich lądów.

Orm Embar przycupnął na jasnożółtym piasku, chyląc nisko głowę niczym rozgniewany kot. Z jego paszczy wciąż dobywały się nowe kłęby ognia. Nieco dalej, pomiędzy smokiem a długą linią wody, stała konstrukcja przypominająca chatę bądź szałas, biała, jakby zbudowano ją z wyblakłych, naniesionych przez morze drew. Jednakże na tym wybrzeżu, za którym nie było już żadnych lądów, Arren nie dostrzegł nawet kawałka drewna. Zbliżywszy się, odkrył, że walące się ściany wzniesiono z wielkich kości; z początku myślał, że wielorybich, później jednak dostrzegł białe ostre trójkąty i zrozumiał, że to szczątki smoka.

Dotarli na miejsce. Przez ziejące pomiędzy kośćmi szczeliny prześwitywało rozświetlone słońcem morze. Nadproże tworzyła kość udowa, dłuższa od dorosłego człowieka. Leżała na niej ludzka czaszka, spoglądając pustymi oczodołami na góry Selidoru.

Zatrzymali się tam, a kiedy patrzyli na czaszkę, w otwierających się pod nią drzwiach stanął mężczyzna. Miał na sobie starożytną zbroję z pozłacanego brązu, której blachy były wgniecione serią potężnych ciosów. U pasa wisiała mu wysadzana klejnotami pochwa – pusta. Jego twarz była surowa, czarne brwi wyginały się w łuki nad wąskim nosem. Ciemne bystre oczy spoglądały ze smutkiem. Ręce, gardło i bok pokrywały rany; przestały już krwawić, niemniej bez wątpienia każda była śmiertelna. Stał prosto, nieruchomy.

Ged postąpił krok naprzód. Stojąc tak twarzą w twarz, obaj byli dziwnie podobni do siebie.

– Tyś jest Erreth-Akbe – rzekł mag.

Mężczyzna w zbroi wpatrywał się w niego bez słowa. Po chwili skinął głową, nadal jednak nic nie powiedział.

– Nawet ty! Nawet ty musisz spełniać jego rozkazy! – W głosie Geda brzmiał gniew. – O mój panie, najlepszy i najodważniejszy z nas wszystkich, spoczywaj w spokoju! Odejdź w chwale do krainy śmierci. – Mówiąc to, Ged wzniósł ręce w szerokim geście, raz jeszcze wymawiając słowa, którymi zwrócił się do rzeszy umarłych. Jego dłonie pozostawiły w powietrzu szeroki świetlisty znak, który przez moment jarzył się słabym blaskiem. Kiedy zniknął, mężczyzna w zbroi także rozwiał się w powietrzu. Tam, gdzie przed chwilą stał, widzieli tylko lśniący w słońcu czysty piasek.

Ged uderzył swą laską w kościany dom, który runął na ziemię i zniknął. Nie pozostało z niego nic poza jednym potężnym żebrem sterczącym z ziemi.

Mag odwrócił się do Orm Embara.

– To tutaj, Orm Embarze? Czy to jest miejsce, którego szukamy?

Smok otworzył pysk i syknął z trudem.

– Tu, na ostatnim brzegu świata. Doskonale! – wykrzyknął Ged i dzierżąc w dłoni czarną cisową laskę, szeroko rozłożył ramiona w geście przywołania. Zaintonował słowa zaklęcia. Choć używał Mowy Tworzenia, Arren zrozumiał go wreszcie, jak wszyscy, którzy słyszą owe wyzwanie, jego moc bowiem wiąże wszystkie istoty. – Przyzywam cię tutaj, mój nieprzyjacielu, abyś zjawił się w swym ciele przed naszymi oczami. Słowem, które nie zostanie wypowiedziane aż do końca świata, nakazuję ci: przybądź!

Jednakże tam, gdzie powinien był wymienić imię przyzywanego, Ged powiedział jedynie „mój nieprzyjacielu”.

Zapadła cisza, umilkł nawet szum morskich fal. Arrenowi wydało się, że słońce wyraźnie przygasło, choć nadal wznosiło się wysoko na czystym niebie. Na plażę padł cień, jakby ktoś przyglądał się jej przez kawałek okopconego szkła; tuż przed Gedem cienie się zagęściły, trudno było dostrzec, co się w nich kryje. Zupełnie jakby przyczaiła się tam pochłaniająca światło, bezpostaciowa otchłań.

Nagle z jej środka wynurzył się mężczyzna. Był to ten sam człowiek, którego widzieli na wydmie – długoręki, czarnowłosy, szczupły i wysoki. Teraz trzymał w dłoni pręt czy raczej ostrze ze stali, na którym wygrawerowano szeregi run. Stając przed

Gedem, uniósł ostrze, jednakże w jego oczach kryło się coś dziwnego, jakby zmętniały, oślepione blaskiem słońca.

– Przybywam – rzekł – gdyż sam tego chcę, na mój własny sposób. Nie możesz mnie wezwać, Arcymagu. Nie jestem cieniem. Żyję. Tylko ja żyję! Ty sądzisz, że także żyjesz, w istocie jednak umierasz. Wciąż umierasz. Wiesz, co trzymam w dłoni? To laska Szarego Maga, tego, który uciszył Neregera, mistrza mojej sztuki. Teraz ja jestem mistrzem i mam już dosyć zabawy z tobą. – Po tych słowach gwałtownie pchnął ostrzem w stronę Geda, który trwał bez ruchu, ogarnięty nagłym, niezwykłym paraliżem. Arren stał o krok za nim. Zebrawszy wszystkie siły, usiłował się poruszyć, ale nie zdołał nawet drgnąć. Nie sięgnął po miecz, słowa uwięzły mu w gardle.

Jednakże ponad głowami Geda i Arrena, w obłoku dymu i ognia, potężne cielsko smoka wystrzeliło w górę i runęło z całych sił na przybysza. Zaklęte stalowe ostrze zagłębiło się w pokrytą łuską smoczą pierś aż po rękojeść, lecz człowiek, który je trzymał w dłoni, padł na ziemię przygnieciony ciężarem gada, zmiażdżony i spalony płomienistym oddechem.

Orm Embar ponownie podniósł się z piasku, wyginając swe ciało w łuk i ciężko bijąc błoniastymi skrzydłami. Krzycząc z bólu, rzygał strumieniami ognia. Usiłował wzlecieć w powietrze, nie miał jednak dość sił. Jego serce przeszywał chłodny, złowrogi metal. Smok przysiadł na plaży, z pyska wypłynęła mu struga czarnej, trującej, parującej krwi. Ogień przygasł w jego nozdrzach, które wypełniły się zimnym popiołem. W końcu złożył na piasku swój potężny łeb.

Tak oto zginął Orm Embar w miejscu, gdzie padł także jego przodek Orm; zginął na kościach Orma zagrzebanych w ziemi.

Tam zaś, gdzie smok przygwoździł swego zabójcę, leżało coś paskudnego i pomarszczonego niczym wyschnięty w sieci zewłok wielkiego pająka. Ognisty oddech smoka opalił owo truchło, zmiażdżyły je szponiaste łapy, a przecież na oczach Arrena żałosne szczątki poruszyły się i odpełzły parę kroków.

Po chwili spojrzała na nich twarz. Nie pozostał w niej ślad niedawnej urody, jedynie starość, która przeżyła starość. W miejscu ust ziała bezzębna jama, z pokrytej pomarszczoną skórą czaszki

spoglądały puste oczodoły. I tak Ged i Arren ujrzeli wreszcie prawdziwe oblicze swego wroga.

Stwór odwrócił głowę. Pomiędzy zwęglone poczerniałe ramiona napłynęła ciemność, ten sam bezkształtny mrok, który wcześniej przesłonił słońce. A potem w tym mroku rozwarła się brama, mglista, pozbawiona ostrych zarysów; za nią nie dostrzegli jasnego piasku ani oceanu, jedynie długie mroczne zbocze opadające w ciemność.

Tam właśnie poczołgała się zmiażdżona postać, a kiedy padł na nią cień, nagle dźwignęła się na nogi, szybko śmignęła naprzód i zniknęła.

– Chodź, Lebannenie – rzucił Ged, kładąc dłoń na ramieniu chłopca. Razem ruszyli w głąb Suchej Krainy.

12

Sucha Kraina

Cisowa laska w dłoni maga połyskiwała srebrzyście w gęstej, przytłaczającej ciemności. Arren kątem oka dostrzegł jeszcze jeden ruchomy błysk – migotliwą aurę otaczającą ostrze miecza, który nadal dzierżył w ręce. Ostatni atak i śmierć smoka na plaży Selidoru złamały wiążące klingę zaklęcie i Arren mógł w końcu dobyć broni. Tu zaś, choć był jedynie cieniem, nadal żył i wciąż ściskał w dłoni cień miecza.

Poza tym nigdzie indziej nie dostrzegł żadnego przebłysku światła. Przypominało to pochmurny listopadowy zmierzch; nieprzyjemny, zimny, mroczny wieczór, kiedy wprawdzie widać, co dzieje się wokoło, ale bardzo niewyraźnie, a wzrok nie może przebić ciemnej zasłony mgły. Arren znał te pustkowia i wrzosowiska z pozbawionych nadziei snów, miał jednak wrażenie, że teraz znalazł się dalej, znacznie dalej, niż kiedykolwiek dotarł we śnie. Niczego nie dostrzegał wyraźnie, wiedział jedynie, że obaj z magiem stoją na zboczu wzgórza, a przed nimi rozciąga się niski kamienny mur sięgający dorosłemu mężczyźnie do kolan.

Ged położył prawą rękę na ramieniu Arrena. Po chwili ruszył naprzód; Arren dotrzymywał mu kroku. Razem przekroczyli kamienny mur.

Długie zbocze przed nimi, pozbawione rzeczywistych kształtów, opadało łagodnie i znikało w ciemności.

Jednakże nad ich głowami, tam gdzie Arrenowi wydawało się, że wisi ciężka ławica chmur, niebo było czarne i lśniły na nim gwiazdy. Serce ścisnęło mu się w piersiach. Nigdy dotąd nie widział podobnych konstelacji. Nieporuszone, lśniły na niebie jednostajnym blaskiem. Owe gwiazdy nigdy nie wschodzą ani nie zachodzą; nigdy nie przesłania ich chmura, a wschód słońca nie odbiera im przepychu. Małe i nieruchome, oświetlają Suchą Krainę.

Ged pokonał szczyt i zaczął schodzić w dół zbocza Wzgórza Istnienia. Arren podążał za nim krok za krokiem. Ogarnęła go groza, jednakże zaciętość w jego sercu była tak wielka, że nie pozwolił lękowi kierować swymi czynami; więcej, nie uświadamiał sobie nawet własnego przerażenia. Miał jedynie wrażenie, jakby coś gdzieś w głębi niego rozpaczało niczym zwierzę zamknięte w klatce i skute łańcuchami.

Zdawało się, że szli tak bardzo długo, możliwe jednak, że w istocie droga była znacznie krótsza, ponieważ tutaj czas nie istniał. Nie wiał wiatr, a gwiazdy nie poruszały się na niebie. Wreszcie znaleźli się na ulicy jakiegoś miasta i Arren ujrzał domy o oknach, w których nigdy nie błyszczało światło. W niektórych drzwiach stali umarli o spokojnych twarzach.

Targowiska były puste. Tu niczego nie sprzedawano ani nie kupowano; nie powstawało nic nowego. Ged i Arren wędrowali wąskimi uliczkami; parę razy, skręcając za kolejny róg, dostrzegali odległą sylwetkę niewyraźną w mroku. Na widok pierwszego z mieszkańców Arren wzdrygnął się i uniósł miecz, jednak Ged potrząsnął głową i bez słowa poszedł dalej. Chłopak przekonał się wówczas, że sylwetka należała do kobiety, która poruszała się wolno, nie zdradzając najmniejszych zamiarów ucieczki.

Wszyscy, których napotkali – niewielu, bo choć liczne są rzesze umarłych, to ich kraina także jest wielka – stali bez ruchu bądź sunęli przed siebie bez celu. Żadnego ciała nie kalały rany, w odróżnieniu od widma Erreth-Akbego, wezwanego do królestwa dnia w miejscu jego śmierci. Arren nie dostrzegł też objawów żadnej choroby. Ludzie, których spotykali, byli cali i zdrowi, uleczeni z bólu – i z życia. Wbrew obawom Arrena okazali się też zupełnie zwyczajni, nie obrzydliwi i przerażający. Ich twarze były zupełnie spokojne, wolne

od gniewu i pożądania, w ocienionych oczach zaś nie kryła się nawet najsłabsza nadzieja.

Wówczas, zamiast lęku, Arrena ogarnęła ogromna litość, a jeśli nawet u jej podstaw leżał strach, chłopak nie bał się o siebie, ale o wszystkich ludzi. Ujrzał bowiem matkę i dziecko, którzy zmarli razem i razem pozostali w krainie mroku. Dziecko nie biegało ani nie płakało, a matka nie tuliła go do siebie, nie patrzyła nawet w jego stronę. Ci zaś, którzy zginęli w imię miłości, obojętnie mijali się na ulicach.

Koło garncarskie stało bez ruchu, warsztat tkacki był pusty, kuchnia zimna jak głaz. Żaden głos nie intonował pieśni.

Ciemne ulice między mrocznymi domami wiodły dalej i dalej, a oni pokonywali je kolejno. Tupot ich stóp był jedynym dźwiękiem we wszechobecnej ciszy. Panował chłód. Arren z początku go nie odczuwał, jednakże z czasem chłód zakradł się do jego duszy. Chłopak czuł ogromne znużenie; musieli już pokonać daleką drogę. Po co iść dalej? – pomyślał, zostając nieco z tyłu.

Nagle Ged zatrzymał się przed mężczyzną stojącym na skrzyżowaniu dwóch ulic. Człowiek ów był smukły i wysoki. Arrenowi wydało się, że widział już jego twarz, nie potrafił jednak przypomnieć sobie gdzie. Ged przemówił do niego; od chwili gdy przekroczyli kamienny mur, żaden inny głos nie naruszył całunu ciszy.

– Thorionie, przyjacielu mój, jak tu dotarłeś? – To mówiąc, Arcymag wyciągnął ręce do Mistrza Przywołań z Roke.

Thorion nie odpowiedział najmniejszym nawet gestem. Stał bez ruchu, twarz mu nawet nie drgnęła, jednakże przejrzysty blask Gedowej laski odbił się gdzieś głęboko w jego cienistych oczach, niecąc tam fale iskier. Ged ujął rękę, której Mistrz Przywołań nie wyciągnął ku niemu, i spytał ponownie:

– Dlaczego tu jesteś, Thorionie? Nie należysz jeszcze do tego królestwa. Wracaj!

– Podążałem w ślad za nieumarłym. Zgubiłem drogę. – Głos Mistrza Przywołań brzmiał miękko i dziwnie bezosobowo, jak u człowieka, który mówi we śnie.

– Do góry, w stronę muru. – Ged wskazał kierunek, z którego przybyli wraz z Arrenem; długą, mroczną, opadającą ku nim ulicę.

Na te słowa Thorion drgnął i skrzywił się lekko, zupełnie jakby nadzieja przeszyła go niczym nieznośny cios miecza.

– Nie potrafię znaleźć drogi – rzekł. – Panie mój, nie mogę jej znaleźć.

– Może ci się uda. – Ged go uścisnął, po czym znów ruszyli naprzód. Thorion nadal stał na skrzyżowaniu.

Kiedy tak wędrowali, Arrenowi wydało się, że w owej krainie bezczasowego zmroku nie istnieją pojęcia takie jak przed czy za, wschód albo zachód. Nie mieli dokąd iść. Czy istniało jakieś wyjście? Przypomniał sobie, jak schodzili w dół zbocza, ciągle w dół, nieważne, w którą stronę skręcili; ciemne ulice miasta także opadały coraz niżej, toteż aby powrócić do kamiennego muru, wystarczyło jedynie wspiąć się na szczyt wzgórza. Nie zatrzymali się jednak; ręka w rękę wędrowali dalej. Czy to on szedł w ślad za Gedem? A może go prowadził?

Wreszcie wydostali się z miasta. Kraina niepoliczonych umarłych była pusta. Z kamienistej ziemi pod nieruchomymi gwiazdami nie wyrastało żadne drzewo, ciernisty krzew czy nawet źdźbło trawy.

Nie było tu horyzontu, oko bowiem nie mogło przeniknąć zasłony ciemności; jednakże hen, daleko, wśród maleńkich gwiazd, na niebie ziała ciemna długa wyrwa. Owa plama mroku, rozciągająca się tuż nad ziemią, miała poszarpane krawędzie przypominające łańcuch górski. W miarę jak szli dalej, rysował się on coraz wyraźniej; wyniosłe górskie szczyty, nienaruszone przez wiatr ani deszcz. Na wierzchołkach nie zalegała warstwa śniegu, która mogłaby lśnić w blasku gwiazd. Góry były czarne. Ich widok wzbudził nieutulony żal w sercu Arrena. Chłopak odwrócił głowę. A przecież znał je, rozpoznał; olbrzymie skały przyciągały jego wzrok. Za każdym razem, gdy spoglądał na nie, czuł w piersi lodowaty ciężar. Jednak szedł dalej, cały czas w dół, bo kraina wokół opadała ku podnóżom górskiego łańcucha. Wreszcie rzekł:

– Panie mój, co to...? – Wskazał ręką górskie pasmo, nie mógł bowiem już mówić; zupełnie zaschło mu w gardle.

– To granica krainy światła – odparł Ged. – Podobnie jak kamienny mur. Góry te znane są jedynie jako Cierpienie. Pomiędzy nimi prowadzi droga, na którą nie wolno wstąpić umarłym. Niedługi to szlak, lecz pełen goryczy.

– Jestem spragniony – poskarżył się Arren:

– W tym świecie pije się jedynie pył.

Szli dalej.

Arrenowi wydało się, że Ged zwolnił nieco kroku, czasami rozglądał się niepewnie. On sam nie czuł już wahania, choć ogarniające go znużenie narastało coraz bardziej. Muszą iść w dół, muszą iść. Szli.

Od czasu do czasu mijali kolejne miasta umarłych, gdzie czarne dachy rysowały się ostro na tle wiecznych i niezmiennych gwiazd. Między nimi rozciągały się równiny, jałowe i puste. Gdy tylko opuszczali miasto, nikło w ciemnościach. Przed sobą i za sobą nie widzieli nic oprócz gór, które stawały się coraz wyższe, sięgając ku niebu. Po prawej stronie bezkształtne zbocze opadło gwałtownie, tak jak kiedyś – jak dawno temu? – gdy przekroczyli kamienny mur.

– Co byśmy znaleźli, idąc tamtym szlakiem? – spytał cicho Arren, ogarnęło go bowiem nieprzeparte pragnienie, aby usłyszeć ludzką mowę.

Mag potrząsnął głową.

– Nie wiem. Możliwe, że to droga bez końca.

W miarę jak podążali naprzód, zbocze opadało coraz łagodniej. Wkrótce pod ich stopami ostro zazgrzytał wulkaniczny pył. Wędrowali dalej; Arren przestał już myśleć o powrocie i zaczął wątpić, czy kiedyś się stąd wydostaną. Nie pomyślał także o popasie, choć był już bardzo zmęczony. Raz jeden próbował złagodzić paraliżującą zgrozę, rozwiać martwy mrok i znużenie, wspominając dom, jednakże nie potrafił sobie przypomnieć, jak wygląda promień słońca, ani przywołać w myślach twarzy matki. Nie pozostało mu nic, jak tylko iść dalej. I szedł.

W końcu poczuł pod nogami twardą skałę. Ged zawahał się i przystanął. Ich długi marsz się zakończył, dobiegł kresu.

Znaleźli się w kotlinie u stóp Gór Cierpienia. Skały wokół były w dotyku szorstkie niczym żużel, zupełnie jakby ta wąska dolina

stanowiła wyschnięte koryto rzeki spływającej niegdyś z gór, a może potoku ognia od dawna już wystygłego, tryskającego z wulkanów, które wznosiły się nad nimi – czarne, nieubłagane.

Stali w milczeniu w owej wąskiej mrocznej dolinie. Przypominali teraz pozbawionych celu, obojętnych umarłych, w ciszy spoglądających w nicość. Arren pomyślał z lekkim lękiem: Zaszliśmy za daleko.

W tej chwili jednak nie miało to już żadnego znaczenia.

Wymawiając głośno jego myśl, Ged rzekł:

– Zaszliśmy za daleko, aby zawrócić. – Jego głos zabrzmiał miękko, lecz otaczająca ich ogromna przejmująca pustka nie zdołała stłumić rozbrzmiewającej w nim siły i dźwięk ów wyrwał Arrena z zamyślenia. Czyż nie przybyli tu na spotkanie z tym, którego szukali?

Nagle z ciemności usłyszeli:

– Zaszliście za daleko.

Arren odpowiedział:

– Jedynie za daleka podróż może okazać się właściwa.

– Dotarliście do Suchej Rzeki. Stąd nie możecie powrócić do kamiennego muru. Nie wrócicie już do życia.

– A przynajmniej nie tędy – rzucił Ged w noc. Arren ledwie go widział, choć stali tuż obok siebie, góry bowiem przesłaniały połowę nieba. Wydawało się też, że korytem Suchej Rzeki spływa ku nim nieprzenikniony mrok. – Chcemy jednak poznać twoją drogę.

Z ciemności nie dobiegła żadna odpowiedź.

– Spotykamy się tu jak równi z równym. Ty jesteś ślepy, Cob, my nie widzimy w mroku.

Milczenie.

– Nie możemy cię tu zranić; nie możemy cię zabić. Czego jeszcze się lękasz?

– Nie znam strachu – odparł głos w ciemności. Powoli przed ich oczami, w poświacie przypominającej nieco blask promieniujący czasem z laski Geda, pośród ogromnych głazów pojawił się mężczyzna. Był wysoki, miał długie nogi i mocne ramiona, jak postać, która stanęła przed nimi na plaży Selidoru, lecz wydawał się znacznie starszy. Jego splątane włosy nad wysokim czołem

połyskiwały bielą. Tak bowiem wyglądał jego duch w królestwie śmierci – nie nosił śladów ognistego smoczego oddechu, ale oczodoły miał puste.

– Nie znam strachu – powtórzył. – Czego miałby się lękać umarły? – Wybuchnął śmiechem.

W wąskiej kamienistej dolinie pod górami śmiech ów zabrzmiał tak fałszywie, że Arren przez moment wstrzymał oddech. Zacisnął dłoń na rękojeści miecza i słuchał.

– Nie wiem, czego powinien obawiać się umarły – odparł Ged. – Z pewnością nie śmierci. Ale zdaje się, że ty się jej boisz, mimo iż znalazłeś sposób, aby przed nią uciec.

– Znalazłem. Żyję. Moja ciało żyje.

– Nie wiedzie mu się najlepiej – zauważył cierpko mag. – Złudzenia mogą ukryć wiek, lecz Orm Embar nie obszedł się łagodnie z twoim ciałem.

– Mogę je naprawić. Znam sekrety młodości i uzdrawiania, nie tylko zwykłe iluzje. Za kogo mnie bierzesz? Ponieważ zwą cię Arcymagiem, uważasz, że masz do czynienia ze zwykłym wioskowym czarownikiem? Jedynie ja spośród wszystkich magów odnalazłem Wrota Nieśmiertelności, których nikomu wcześniej nie udało się odkryć!

– Może ich nie szukaliśmy?

– Szukaliście. Wszyscy. Szukaliście ich, lecz nie mogliście znaleźć, toteż zadowalaliście się mądrymi słowami na temat akceptacji porządku rzeczy, równowagi życia i śmierci. Ale to tylko słowa, kłamstwa mające pokryć waszą klęskę oraz strach przed śmiercią. Któż nie chciałby żyć wiecznie, gdyby tylko mógł? A ja mogę. Jestem nieśmiertelny. Dokonałem tego, czego ty nie potrafiłeś, a zatem jestem twoim mistrzem. Czy chciałbyś dowiedzieć się, jak to zrobiłem, Arcymagu?

– Tak.

Cob zbliżył się o krok. Choć nie miał oczu, nie poruszał się jak ślepiec. Zdawał się dokładnie wiedzieć, gdzie stoją Ged i Arren. Był też wyraźnie świadom obecności ich obu, mimo że ani razu nie odwrócił się w stronę chłopca. Może był obdarzony czarnoksięskim

zmysłem, niczym wysyłane przez magów zjawy i widma, które przecież widzą otaczający je świat? Owo coś zastępowało mu oczy.

– Po tym, jak w swojej dumie uznałeś, że upokorzyłeś mnie i dałeś mi nauczkę, wróciłem do Palnu – powiedział do Geda. – Owszem, dałeś mi lekcję, ale nie taką, jak zamierzałeś. Powiedziałem sobie wówczas: Na własne oczy oglądałem śmierć i nie przyjmę jej. Niech cała durna natura podąża swym głupim szlakiem. Ja jestem lepszy niż ona, wyrastam ponad nią. Nie pójdę tą drogą ku śmierci, pozostanę sobą. Pełen determinacji zacząłem ponownie zgłębiać Kunszty Palneńskie, znalazłem w nich jednak tylko mgliste aluzje i strzępy tego, czego potrzebowałem. Toteż sam napisałem je na nowo i utkałem zaklęcie – największe zaklęcie, jakie kiedykolwiek rzucono. Największe i ostatnie.

– Wypowiadając je, umarłeś.

– Tak! Umarłem. Miałem dość odwagi, by to zrobić, by odkryć to, czego wy, tchórze, nigdy nie zdołalibyście znaleźć – drogę powrotną. Otwarłem wrota, które pozostawały zamknięte od początku czasu. Teraz zaś mogę do woli odwiedzać ten świat i powracać do świata żywych. Spośród wszystkich żyjących i martwych tylko ja jestem władcą obu krain. Wrota, które rozwarłem, otwierają się nie tylko tutaj, ale też w umysłach wszystkich żyjących, w głębiach nieznanych otchłani ich dusz, gdzie każdy z nas stoi sam w ciemności. Oni o tym wiedzą i przybywają do mnie. Zmarli także muszą zjawiać się na moje wezwanie, albowiem nie utraciłem magii żyjących. Kiedy nakazuję im, muszą przekraczać kamienny mur. Wszyscy: władcy, czarnoksiężnicy, dumne niewiasty; tam i z powrotem wędrują pomiędzy życiem a śmiercią na mój rozkaz. I wszyscy muszą mnie słuchać, żywi i umarli; mnie, który umarłem, a jednak żyję!

– Dokąd do ciebie przybywają, Cob? Gdzie właściwie jesteś?

– Pomiędzy światami.

– Nie oznacza to jednak życia ni śmierci. Czym jest życie, Cob?

– Władzą.

– A miłość?

– Władzą – powtórzył martwo ślepiec, zgarbiwszy ramiona.

– Czym jest światło?

– Ciemnością.

– Jak brzmi twoje imię?

– Nie mam go.

– W tej krainie wszyscy noszą swoje prawdziwe imiona.

– Zdradź mi zatem swoje.

– Nazywam się Ged. A ty?

Ślepiec zawahał się, po czym rzekł:

– Cob.

– To twoje imię użytkowe. Gdzie się podziało prawdziwe? Gdzie jest twoja prawda? Czy zostawiłeś ją w Palnie, kiedy zmarłeś? Wiele zapomniałeś, władco obu krain. Zapomniałeś światło, miłość i własne imię.

– Teraz jednak poznałem twoje, a wraz z nim dałeś mi nad sobą władzę, Arcymagu Gedzie. Gedzie, który był Arcymagiem, kiedy jeszcze żył!

– Moje imię na nic ci się nie zda. Nie masz nade mną władzy. Ja żyję. Moje ciało spoczywa na plaży Selidoru, pod słońcem, na ruchomej, zmiennej ziemi. A kiedy ciało to umrze, znajdę się tutaj, ale tylko jako imię. Jako cień mojej osoby. Nie rozumiesz? Czy nigdy tego nie rozumiałeś? O ty, który wzywałeś tak wiele cieni, całe armie umarłych, nawet mego pana, Erreth-Akbego, najmędrszego z nas wszystkich? Nie pojmujesz, że nawet on jest jedynie cieniem i imieniem? Jego śmierć nie przyćmiła życia ani jego samego. Pozostał tam – tam, nie tutaj! Tu nie ma nic, jedynie pył i cienie. Tam czeka ziemia, słońce, liście drzew, lot orła. Erreth-Akbe żyje. Tak jak wszyscy, którzy kiedykolwiek umarli; wciąż żyją, odradzają się raz po raz, bez końca, koniec bowiem nigdy nie nastąpi. Dotyczy to wszystkich z wyjątkiem ciebie, gdyż ty nie przyjąłeś śmierci. Utraciłeś ją, a także życie, po to, aby uratować się przed nią. Samego siebie! Twoje nieśmiertelne ja! Czym właściwie jest? Kim ty jesteś?

– Sobą. Moje ciało nie zgnije i nie umrze.

– Żyjące ciało odczuwa ból, Cobie. Starzeje się, umiera. Śmierć to cena, jaką płacimy za nasze życie – i życie w ogóle.

– Ja jej nie zapłacę! Mogę umrzeć i za chwilę żyć ponownie! Nie da się mnie zabić; jestem nieśmiertelny. Ja jeden będę trwał wiecznie!

– Kim zatem jesteś?

– Nieśmiertelnym.

– Powiedz swe imię.

– Król.

– Powtórz moje imię. Zdradziłem ci je zaledwie chwilę temu. Wypowiedz je.

– Nie jesteś prawdziwy. Nie masz imienia. Tylko ja istnieję.

– Owszem, istniejesz. Bez imienia, bez postaci. Nie widzisz światła dnia ani mroku nocy. Oddałeś zieloną ziemię, słońce i gwiazdy. Po co? Po to, by umknąć przed śmiercią. I przez to stałeś się nikim. Na twoje ja składało się to, co odrzuciłeś. Oddałeś wszystko w zamian za nic. Teraz zaś pragniesz przyciągnąć do siebie świat, blask i życie, które utraciłeś, aby zapełnić pustkę. Jednakże tego nie da się dokonać. Wszystkie pieśni świata, wszystkie gwiazdy na niebie nie zdołają zapełnić otwartej przez ciebie otchłani.

W chłodnej dolinie u podnóża gór głos Geda dźwięczał niczym żelazo i po każdym słowie ślepiec kulił się coraz bardziej. Uniósł twarz, po raz pierwszy oświetliły ją gwiazdy. Wyglądał, jakby płakał, lecz ponieważ brakło mu oczu, nie mógł ronić łez. Jego usta otwarły się i zamknęły, pełne mroku, ale dobył się z nich tylko jęk rozpaczy. Wreszcie ślepiec wymówił jedno jedyne słowo, z trudem zmuszając do posłuchu wygięte w bólu wargi. Brzmiało ono:

– Życie.

– Oddałbym ci życie, gdybym mógł, Cobie. Ale to niemożliwe, umarłeś. Mogę jednak obdarować cię śmiercią.

– Nie! – wykrzyknął głośno ślepiec: – Nie! Nie! – Przykucnął na ziemi, jego ciałem wstrząsało łkanie, choć policzki zostały równie suche jak kamienne koryto rzeki, którym nigdy nie płynęła woda. – Nie możesz! Nikt nigdy nie zdoła mnie uwolnić. Otwarłem bramę między światami i nie mogę jej zamknąć. Nikt tego nie potrafi. Ona przyciąga, przyciąga mnie. Muszę do niej wracać. Muszę przez nią przechodzić i wracać tutaj, do krainy pyłu, chłodu i milczenia. Ona ssie, wsysa mnie z powrotem. Nie mogę jej zamknąć. W końcu wyssie ze świata całe światło, wszystkie rzeki staną się takie jak Sucha Rzeka. Nie istnieje moc władna zamknąć otwarte przeze mnie drzwi!

W jego głosie i słowach pobrzmiewały rozpacz i mściwość, groza i pycha.

Ged spytał jedynie:

– Gdzie jest owa brama?

– Tutaj. Niedaleko. Możesz tam pójść, ale nic nie zdołasz uczynić. Nie jesteś w stanie jej zamknąć. Gdybyś nawet zużył całą swą moc w jednym zaklęciu, to nie wystarczy. Nic nie wystarczy.

– Może – odparł Ged. – Pamiętaj jednak, że choć ty wybrałeś rozpacz, my jeszcze nie zrezygnowaliśmy. Zaprowadź nas tam.

Ślepiec uniósł twarz, na której walczyły ze sobą lęk i nienawiść. Nienawiść zwyciężyła.

– Nie zrobię tego – rzekł.

W tym momencie Arren wystąpił naprzód.

– Zrobisz.

Lodowata cisza i mrok królestwa umarłych spowiły to słowo. Ślepiec znieruchomiał.

– Kim jesteś?

– Nazywam się Lebannen.

– Ty, który nazywasz siebie królem, nie poznajesz, kto przed tobą stoi? – wtrącił Ged.

Cob milczał. Wreszcie, gorączkowo chwytając powietrze, rzekł:

– Ale on nie żyje. Ty także umarłeś. Nie możecie wrócić, nie istnieje droga powrotna. Jesteście tu uwięzieni! – W miarę jak mówił, otaczająca go poświata przygasała. Usłyszeli, jak ślepiec w mroku pospiesznie odbiega w dal.

– Światła, mój panie! – wykrzyknął Arren i Ged uniósł laskę nad głową, pozwalając, by biały blask rozdarł odwieczną ciemność pełną skał i cieni, pomiędzy którymi przemykała wysoka zgarbiona postać ślepca. Ich nieprzyjaciel kierował się w górę; sprawiał osobliwe wrażenie, idąc na ślepo, a przecież bez najmniejszego wahania. Arren podążył za nim z mieczem w dłoni, jego śladem szedł Ged.

Wkrótce Arren wysforował się naprzód, oddalając się od źródła światła przesłanianego coraz częściej przez głazy i zwroty krętego koryta rzeki. Jednakże dźwięk kroków Coba, wrażenie jego obecności wystarczyły, by wskazywać mu drogę. Arren zbliżał się powoli, w miarę jak szlak stawał się coraz bardziej stromy. Wspinali się

w górę wąskiego jaru pośród skał. Sucha Rzeka, coraz węższa, wiła się pomiędzy pionowymi urwiskami. Kamienie grzechotały pod ich stopami i dłońmi, coraz częściej bowiem musieli pomagać sobie rękami. Wreszcie Arren wyczuł ostatnie zwężenie brzegów i skoczył naprzód, chwytając ramię Coba. Znaleźli się w niewielkiej kotlince. Gdyby kiedykolwiek spływała tędy woda, utworzyłaby sadzawkę. Nad nimi, w wyniosłej ścianie skał i żużla, otwierała się czarna dziura – źródło Suchej Rzeki.

Cob nie próbował się wyrwać. Stał bez ruchu, podczas gdy blask laski zbliżającego się Geda oświetlał jego pozbawioną oczu twarz. Powoli odwrócił się do Arrena.

– Jesteśmy na miejscu – rzekł wreszcie. Jego wargi wygięły się w lekkim uśmiechu. – Tego szukacie. Widzisz? Tu mógłbyś się odrodzić. Wystarczy jedynie, byś poszedł za mną. Będziesz żył wiecznie. Razem zostaniemy królami.

Arren spojrzał w suchą mroczną otchłań, pyliste źródło, gdzie martwy duch wpełzający w głąb ziemi i mroku odradzał się, znowu martwy. Wizja ta wzbudziła w nim odrazę, toteż rzekł szorstkim głosem, zmagając się ze śmiertelną słabością:

– Niechaj te wrota zostaną zamknięte!

– Tak się stanie – odparł Ged, podchodząc do nich. Światło promieniowało teraz z jego dłoni i twarzy, jakby mag był jedną z gwiazd, która runęła na pogrążoną w bezkresnej nocy ziemię. Przed nimi ział otwór bramy suchego źródła, szeroki i pusty. W żaden sposób nie dawało się stwierdzić, jak głęboko sięga. W jego wnętrzu nie było nic, na co mógłby paść promień światła, co zdołałoby dostrzec oko. Przed nimi otwierała się otchłań prowadząca ni to w mrok, ni to w światło; ani w życie, ani w śmierć. To była nicość. Droga donikąd.

Arcymag uniósł ręce i przemówił. Arren nadal trzymał Coba za ramię; ślepiec wolną dłonią oparł się o skałę. Obaj stali bez ruchu, porażeni siłą zaklęcia.

Ged, wkładając w to wszystkie poznane przez siebie tajniki sztuki, całą moc swego serca, starał się zamknąć bramę i ponownie scalić świat. Pod wpływem jego głosu i rozkazujących gestów dłoni skały zaczęły z trudem zbliżać się do siebie, próbując się zrosnąć, zamknąć

rozdzierającą je czeluść. Jednocześnie światło bijące z twarzy, rąk i laski maga coraz bardziej przygasało, aż w końcu pozostała jedynie słabiutka poświata. W jej blasku Arren ujrzał, że wrota niemal się już zamknęły.

Ślepiec, wsparty o kamienną ścianę, czuł, jak skały poruszają się i łączą ze sobą. Wyczuwał też kunszt i moc poświęcone przez maga w walce z otchłanią; wiedział, że wyczerpują się coraz bardziej. Nagle wykrzyknął „Nie!" i wyrwawszy się Arrenowi, skoczył naprzód, chwycił Geda w ślepe, miażdżące objęcia, powalił na ziemię i zacisnął dłonie na jego gardle.

Arren mieczem Serriadha wymierzył szybki mocny cios w nachylony kark pod gęstwą splątanych włosów.

W świecie umarłych żywy duch zachowuje swą siłę, a nawet cień ostrza potrafi przecinać ciało. Miecz zadał głęboką ranę, przerywając kręgosłup Coba. Trysnęła czarna krew, oświetlona blaskiem broni Arrena.

Jednakże nie ma po co zabijać umarłych, Cob zaś nie żył od wielu lat. Rana zamknęła się, pochłaniając krew. Ślepiec wstał, zaczął macać długimi rękami w poszukiwaniu Arrena. Jego twarz wykrzywił grymas wściekłości i nienawiści, jakby dopiero w tej chwili zrozumiał, kto jest jego prawdziwym wrogiem i rywalem w tej walce.

Owa wizja człowieka cudownie uleczonego ze śmiertelnych ran, niezdolnego umrzeć, okazała się tak straszna – straszniejsza niż jakikolwiek obraz śmierci – że Arrena ogarnął przejmujący wstręt, szalona furia. Biorąc potężny zamach, ponownie uderzył mieczem, wyprowadzając cios prosto z góry na dół. Cob runął na ziemię ze strzaskaną czaszką i twarzą zalaną krwią, Arren zaś natychmiast doskoczył do niego, aby uderzyć ponownie, zanim rana zdąży się zasklepić, aby zadawać gwałtowne ciosy, póki wróg nie zginie...

Tuż obok niego Ged z trudem podniósł się na kolana i wymówił jedno słowo. Arren zamarł, jakby czyjaś dłoń pochwyciła jego dzierżącą miecz rękę. Ślepiec, który zaczynał już dźwigać się z ziemi, także zastygł bez ruchu. Ged zdołał wreszcie wstać; kołysał się lekko na zmęczonych nogach. Kiedy w końcu stanął wyprostowany, spojrzał na urwisko.

– Stańcie się jednym! – powiedział czystym donośnym głosem i laską nakreślił w powietrzu przed wylotem otchłani ogniste linie tworzące runę Agnen, Runę Końca, którą kreśli się na pokrywach trumien i zamyka drogi. Szczelina pomiędzy głazami zniknęła. Brama została zamknięta.

Grunt Suchej Krainy zadrżał pod ich stopami, po pustym niezmiennym niebie przetoczył się grzmot, który po chwili zamarł w oddali.

– Słowem, które pozostanie niewypowiedziane aż do kresu dnia, wezwałem cię tutaj. Teraz cię uwalniam słowem wymówionym na początku istnienia. Odejdź wolno! – Schyliwszy się nad ślepcem, który kulił się na klęczkach, Ged szeptał coś do skrytego pod białymi splątanymi włosami ucha.

Cob wstał. Rozejrzał się powoli swymi nowymi oczami, popatrzył na Arrena, potem na Geda. Na jego twarzy nie malowały się już gniew, nienawiść czy rozpacz. Powoli ruszył w dół korytem Suchej Rzeki i wkrótce zniknął za zakrętem. Z cisowej laski Geda nie promieniowało już żadne światło. Mag stał w ciemności. Kiedy Arren podszedł do niego, czarnoksiężnik pochwycił rękę młodzieńca, aby nie stracić równowagi. Przez chwilę wstrząsało nim bezgłośne łkanie.

– Skończone – oznajmił. – Wszystko odeszło.

– Dokonaliśmy tego, mój najdroższy panie. Musimy iść.

– Tak. Trzeba wracać do domu.

Ged zachowywał się jak człowiek oszołomiony bądź krańcowo wyczerpany. Szedł za Arrenem w dół pustego koryta, potykając się co chwila, z trudem wymijając głazy i skalne występy. Arren trzymał się blisko niego. Gdy brzegi Suchej Rzeki się obniżyły, a grunt stał się zbyt stromy, młodzieniec odwrócił głowę, spoglądając w stronę, z której przyszli, na długie bezkształtne zbocze prowadzące w mrok. Zaraz ruszył dalej.

Ged nie odezwał się ani słowem. Nagle osunął się na ziemię. Kompletnie wyczerpany, usiadł na jednym z bazaltowych głazów, bezwładnie zwieszając głowę.

Arren wiedział, że droga, którą tu przybyli, jest zamknięta. Mogli jedynie iść dalej. Muszą pokonać cały szlak. Jedynie za daleka podróż może okazać się właściwa, pomyślał. Uniósł wzrok

ku czarnym szczytom, zimnym i milczącym na tle niezmiennych gwiazd, wyniosłym, budzącym grozę. W jego głowie przemówił pełen ironii, drwiący głos woli: Czyżbyś miał zatrzymać się w pół drogi, Lebannenie?

Chłopak podszedł do Geda i rzekł łagodnie:

– Musimy iść dalej, panie.

Arcymag nie odpowiedział, ale wstał.

– Powinniśmy spróbować przebyć te góry.

– Ty decydujesz, chłopcze – wyszeptał Ged. – Pomóż mi.

Zagłębiając się pomiędzy zbocza pokryte płaszczem pyłu i żwiru, Arren starał się pomagać staremu magowi. W skalnych szczelinach i wąwozach zalegała nieprzenikniona czerń, toteż musiał wymacywać drogę przed sobą i trudno mu było jednocześnie podtrzymywać Geda. Sam marsz okazał się już dostatecznie ciężkim wyzwaniem, wciąż bowiem potykali się o niewidoczne przeszkody, kiedy jednak zbocza zaczęły wznosić się coraz stromiej, musieli zwolnić kroku, na oślep prąc w górę. Szorstkie skały paliły dłoń Arrena niczym rozgrzane żelazo, a przecież tu, w górze, było coraz zimniej i zimniej. W dotknięciu ziemi kryło się cierpienie, kamienie parzyły niczym rozżarzone węgle – w głębi gór płonął niewidoczny ogień. Jednakże powietrze pozostawało niezmiennie zimne i mroczne. Wokół nie rozbrzmiewał żaden dźwięk. Nie wiał wiatr. Ostre kamienie kruszyły się w ich dłoniach i ustępowały pod stopami. Przepaści i urwiska, czarne i strome, wznosiły się przed nimi, a za plecami opadały w ciemną nicość. Gdzieś w dole pozostało królestwo umarłych. Nad głowami wędrowców na tle rozgwieżdżonego nieba rysowały się szczyty. W całych tych czarnych górach nie poruszało się nic z wyjątkiem dwóch śmiertelnych dusz.

Ged często potykał się, znużony. Chwiał się na nogach, oddychając z coraz większym trudem, a kiedy dłonią uderzył mocno o kamień, jęknął z bólu. Arrenowi ścisnęło się serce. Podtrzymywał maga, jednakże szlak stawał się często zbyt wąski na to, by obaj mogli iść obok siebie. Wreszcie, na wysokim zboczu wiodącym ku gwiazdom, Ged pośliznął się, upadł i już nie wstał.

– Panie mój! – Arren ukląkł obok niego. – Ged!

Mag nie odpowiedział.

Arren wziął go w ramiona i poniósł dalej. Dotarłszy na szczyt, ujrzał przed sobą kawał płaskiego terenu. Delikatnie złożył na ziemię niesiony ciężar i osunął się obok, wyczerpany i obolały, tracąc wszelką nadzieję. Znajdowali się na wysokiej przełęczy pomiędzy dwoma czarnymi wierzchołkami. Przed sobą widział koniec szlaku. Płaski kawałek terenu kończył się pionowym urwiskiem, poza którym rozpościerała się nieskończona noc. Na czarnym niebie świeciły maleńkie gwiazdy.

Upór może okazać się silniejszy niż nadzieja. Odzyskawszy odrobinę sił, Arren zaczął niezłomnie pełznąć naprzód. Spojrzał ponad krawędzią prosto w mrok i w dole, tuż pod sobą, zobaczył białe piaski plaży, pokrywające je błyszczące jęzory piany i słońce zachodzące za horyzontem w złocistej mgiełce.

Odwrócił się i zagłębił wzrok w ciemność. Podniósł Geda i zaczął ciągnąć go za sobą, póki w końcu nie stracił resztki sił. A potem wszystko odpłynęło: pragnienie i ból, mrok, światło słońca i szum morskich fal.

13

Kamyk Cierpienia

Kiedy Arren się ocknął, szara mgła pokrywała niebo, wydmy i wzgórza Selidoru. Wynurzały się z niej łagodne fale, by z pomrukiem uderzyć o brzeg i ponownie cofnąć się w wilgotną nicość. Nadciągał przypływ, plaża stała się znacznie węższa niż poprzedniego dnia. Ostatnie pieniste fale lizały lewą rękę Geda, który leżał bez ruchu na piasku. Jego ubranie i włosy były mokre. Przemoczony strój Arrena także oblepiał ciało niczym lodowata druga skóra, zupełnie jakby podczas snu zalało ich morze. Po wyschniętych szczątkach Coba nie pozostał żaden ślad. Może fale porwały je ze sobą? Jednakże kiedy Arren odwrócił głowę, ujrzał daleko za sobą wynurzającą się z mgły potężną bryłę szarego cielska Orm Embara.

Wstał, dygocząc z zimna. Zmarznięty i zesztywniały, ledwo trzymał się na nogach. Poruszył głową, usiłując otrząsnąć się ze słabości, jaka ogarnia człowieka, który długo leży nieruchomo. Ruszył naprzód, potykając się jak pijany. Gdy tylko odzyskał władzę nad swym ciałem, podszedł do Geda i zdołał przeciągnąć śpiącego maga poza zasięg fal. Czy mógł mu jeszcze jakoś pomóc? Ciało Geda wydało mu się bardzo zimne i ciężkie. Przeniósł je przez granicę oddzielającą śmierć od życia, możliwe jednak, że dokonał tego na próżno. Przyłożył ucho do piersi maga, nie potrafił jednak uspokoić własnych roztrzęsionych rąk i nóg oraz szczękania zębów, które zagłuszało ciche bicie serca. Ponownie wstał i zaczął tupać,

próbując rozgrzać się nieco, aż wreszcie wstrząsany dreszczami, powłócząc nogami niczym starzec, wyruszył na poszukiwanie wody. Dawno, dawno temu, kiedy ujrzeli przed sobą chatę z kości, cisnęli worki na brzeg strumyka spływającego z gór. Jego to właśnie szukał teraz Arren, myślał bowiem jedynie o wodzie, świeżej czystej wodzie.

Od razu znalazł strumień w miejscu, w którym zagłębiał się w piasek, by w dziesiątkach splątanych srebrzystych odnóżek wpaść w końcu do morza. Arren osunął się na kolana i zaczął pić, zanurzając w wodzie twarz i ręce. Nie tylko jego usta były spragnione, ale także dusza.

Wreszcie usiadł i dopiero wówczas ujrzał siedzącego na drugim brzegu smoka.

Ogromny gad miał głowę barwy żelaza z czerwonymi, przypominającymi rdzę plamami nozdrzy, oczodołów i podgardla. Szpony wbił głęboko w mokry piasek na brzegu strumienia. Arren dostrzegał zarys skrzydeł złożonych niczym żagle, reszta cielska niknęła we mgle.

Smok się nie poruszał. Mógł tam tkwić od paru godzin, lat bądź stuleci. Przypominał żelazny posąg, kamienną rzeźbę, ale oczy, oczy, w które Arren nie śmiał spojrzeć, błyszczące niczym plamy oleju na wodzie, żółte jak dym za szkłem – owe głębokie, tajemnicze oczy obserwowały go uważnie.

Był bezradny. Podniósł się z wolna. Jeśli smok zechce go zabić, uczyni to, a jeśli nie, Arren spróbuje pomóc Gedowi – jeżeli w ogóle można jeszcze dla niego cokolwiek zrobić. Ruszył w górę strumienia w poszukiwaniu worków z prowiantem.

Smok nie zareagował, lecz obserwował każdy jego krok. Arren odnalazł zapasy, napełnił oba skórzane bukłaki świeżą wodą ze strumienia i brnąc przez piasek, zawrócił w stronę Geda. Po kilku krokach się obejrzał. Smok zniknął za zasłoną gęstej mgły.

Chłopiec napoił Geda, ale nie mógł go ocucić. Mag leżał na piasku, zimny i nieruchomy, jego głowa opadała bezwładnie. Ciemna twarz poszarzała, nos, kości policzkowe i stare blizny wyraźnie się wyostrzyły. Nawet ciało czarnoksiężnika było dziwnie wychudzone, jakby wypaliło się wraz z jego mocą.

Arren przysiadł na piasku, trzymając na kolanach głowę Geda. Mgła otaczała ich niczym miękki szary kokon. Gdzieś za jej zasłoną spoczywał martwy smok, Orm Embar, i drugi, żywy, czekający na brzegu strumienia. A po przeciwnej stronie Selidoru, na innej plaży, leżała łódź „Bystre Oko", pusta, bez zapasów. Za nią, na wschodzie, rozciągało się morze. Od najbliższej wyspy Zachodnich Rubieży dzieliło ich trzysta mil; od Morza Najgłębszego – tysiąc. Daleka droga. Dalej niż Selidor, mawiano na Enladzie. Stare baśnie opowiadane dzieciom zaczynały się zawsze: „Dawniej niż nigdy i dalej niż Selidor żył sobie książę"...

On także był księciem. Jednakże w starych baśniach słowa te stanowiły dopiero początek, tu zaś wydawały się końcem.

Nie upadł na duchu. Choć bardzo znużony i zaniepokojony stanem Arcymaga, nie czuł najmniejszej goryczy ani żalu – tyle że nie pozostawało mu już nic do zrobienia. Dokonali wszystkiego.

Pomyślał, że kiedy wrócą mu siły, spróbuje złowić parę ryb, posługując się znalezioną w worku linką, bo gdy zaspokoił już pragnienie, zaczął odczuwać coraz większy głód, a ich prowiant się skończył, zostało tylko parę twardych sucharów. Postanowił je zachować; po namoczeniu w wodzie może zdoła nakarmić nimi Geda.

Tylko to mógł jeszcze zrobić.

Siedząc tak w szarym półmroku, z głową Geda na kolanach, zaczął grzebać po kieszeniach, aby sprawdzić, czy nie zostało w nich nic użytecznego. W kieszeni tuniki natrafił na twardy przedmiot o ostrych krawędziach. Wyjął go i obejrzał, zaskoczony. To był niewielki kamyk, czarny, porowaty. Już miał go wyrzucić, lecz nagle poczuł ostre szorstkie krawędzie. Kamyk zaciążył mu w dłoni i Arren uświadomił sobie, że trzyma w ręku kawałek skały z Gór Cierpienia. Zapewne wpadł mu do kieszeni, gdy pełzł po krawędzi urwiska, ciągnąc za sobą Geda. Stały i niezmienny Kamień Cierpienia. Zacisnął wokół niego palce i uśmiechnął się ponuro, a jednocześnie z radością, albowiem po raz pierwszy w życiu, sam, zapomniany na skraju świata, poznał smak prawdziwego zwycięstwa.

***

Zerwał się wiatr, rozpraszając strzępy mgły, spomiędzy których wyjrzało rozsłonecznione morze. Wydmy i wzgórza pojawiały się i znikały, dziwnie przytłaczające i bezbarwne za mglistą zasłoną. Słoneczne promienie oświetliły cielsko Orm Embara, wspaniałe nawet w śmierci.

Czarny jak żelazo smok nadal siedział na piasku po drugiej stronie strumienia.

Po południu ciepłe promienie słońca wypaliły ostatnie resztki mgły. Arren zrzucił mokre ubranie i rozłożył je, aby wyschło. Zostawił sobie jedynie pas i wiszący u niego miecz. Podobnie postąpił z ubraniem Geda, lecz choć ciało maga zalała potężna fala gorąca i światła, on nadal leżał nieruchomo.

Nagle rozległ się dźwięk przypominający zgrzyt metalu o metal, szorstki szept skrzyżowanych mieczy. Smok barwy żelaza podniósł się na swych krzywych nogach i z cichym sykiem ciągnąc swe ciało po piasku, przekroczył strumyk. Arren dostrzegł zmarszczki wokół jego stawów, grubą łuskę pokrywającą boki, powgniataną i porysowaną niczym zbroja Erreth-Akbego, długie zęby, pożółkłe i stępione. W ruchach gada, w jego głębokim, przerażającym opanowaniu, dostrzegł oznaki starości: bezmiernego wieku, niepoliczonych lat. Kiedy zatem smok przystanął parę kroków od leżącego Geda, Arren zagrodził mu drogę i spytał – po hardycku, nie znał bowiem Dawnej Mowy:

– Tyś jest Kalessin?

Smok nie odpowiedział, jednakże wydało się, że się uśmiecha. Zniżył olbrzymią głowę, wyciągnął szyję i wymówił imię Geda.

Jego miękki donośny głos niósł z sobą woń kuźni.

Przemówił ponownie i znowu. Za trzecim razem Ged otworzył oczy. Po jakimś czasie spróbował usiąść, nie udało mu się jednak. Arren ukląkł obok, podtrzymując plecy maga. Wówczas Ged się odezwał:

– *Kalessin, senvanissai'n ar Roke!*

Wyczerpany mag wsparł głowę na ramieniu Arrena i zamknął oczy.

Smok znów zastygł niczym głaz, przycupnięty na piasku. Z nieba ponownie opadła mgła, przesłaniając słońce.

Arren ubrał Geda i owinął go płaszczem. Wkrótce miał nastąpić przypływ, toteż pomyślał o tym, by zanieść czarnoksiężnika nieco wyżej, w suchsze miejsce. Z każdą chwilą wracały mu siły.

Kiedy nachylił się, aby podnieść Geda, smok wysunął wielką pokrytą łuską stopę, niemal go dotykając. Wyrastały z niej cztery szpony ze stali, długością dorównujące ostrzu szabli.

– *Sobriost* – powiedział. Jego głos zabrzmiał niczym styczniowy wicher wśród zmarzniętych trzcin.

– Zostaw mojego pana w spokoju. On ocalił nas wszystkich i czyniąc to, oddał całą swą siłę, a może nawet życie. Zostaw go!

Arren przemówił w te słowa władczym, rozkazującym tonem. Doświadczył zbyt wiele strachu i zachwytu graniczącego z grozą, już nie potrafił odczuwać lęku. Był zły na smoka – tak ogromnego, tak potężnego. To niesprawiedliwe, że człowiek jest przy nim maleńki i słaby.

Stary smok Kalessin obserwował go jednym strasznym złotym okiem. W głębi tego ślepia kryły się niezliczone wieki sięgające poranka świata. A także... łagodne rozbawienie.

– *Arw sobriost.* – Rdzawe nozdrza się rozszerzyły, ukazując gorejący wewnątrz ogień.

Wtem odezwał się Ged:

– To znaczy „wsiadaj”.

Niemożliwe! – pomyślał Arren. Jednakże przed sobą widział wielką szponiastą łapę wysuniętą niczym stopień; nad nią krzywiznę stawu, jeszcze wyżej sterczące ramię i muskularną podstawę skrzydła wyrastającego z łopatki: cztery stopnie, prawdziwe schody. A tuż przed skrzydłami i pierwszym wielkim żelaznym cierniem chroniącym kręgosłup, w zagłębieniu szyi, było dość miejsca dla jednego lub dwóch ludzi. Ludzi, którzy okazaliby się dość szaleni, by porzucić nadzieję i przekroczyć granicę obłędu.

– Wsiadajcie! – powtórzył Kalessin w Mowie Tworzenia.

Arren pomógł magowi wstać z ziemi i wejść po tych dziwnych stopniach. Obaj usiedli na oklep w pokrytym szorstką łuską zagłębieniu smoczej szyi; Arren przycupnął z tyłu, gotów w razie

potrzeby podeprzeć wciąż słabego Geda. Czuli, jak w miejscach, gdzie ich skóra dotykała grzbietu smoka, rozlewa się przyjemne ciepło; nie, gorąco – pod żelazną zbroją płonęło ogniste życie.

Arren zorientował się, że zostawili na plaży cisową laskę maga, na wpół zagrzebaną w piasku. Morze skradało się, aby porwać ją ze sobą. Już miał zeskoczyć, kiedy Ged go powstrzymał.

– Zostaw ją. Całą swą moc magiczną zużyłem przy suchym źródle. Nie jestem już magiem.

Kalessin odwrócił się i spojrzał na nich z ukosa. W jego oczach rozbłysło odwieczne rozbawienie. Trudno było stwierdzić, jakiej jest płci, nikt też nie zdołałaby odgadnąć, o czym myślał. Powoli jego skrzydła rozpostarły się szeroko. Nie były złote, jak Orm Embara, lecz czerwone, ciemnoczerwone niczym rdza, krew lub szkarłatny jedwab z Lorbanery. Smok uniósł je delikatnie, aby nie zrzucić maleńkich jeźdźców. Ostrożnie sprężył swe potężne nogi i wyskoczył w powietrze jak kot, by jednym uderzeniem skrzydeł wzbić się ponad ławicę mgły napływającą nad Selidor.

Wiosłując szkarłatnymi skrzydłami w wieczornym powietrzu, zatoczył łuk ponad pustym morzem, skręcił na wschód i pofrunął.

***

W najgorętszym dniu lata na wyspie Ulyu dostrzeżono wielkiego smoka lecącego nisko nad ziemią. Nieco później ujrzeli go także mieszkańcy Usidero i północnej Ontuengo. Choć na Zachodnich Rubieżach ludzie śmiertelnie obawiają się smoków, znają je bowiem aż za dobrze, po przelocie tego gada, gdy wieśniacy wyszli już ze swych kryjówek, ci, którzy go widzieli, rzekli:

– A zatem nie wszystkie smoki wymarły, jak sądziliśmy. Może czarnoksiężnicy także jeszcze żyją. Szybował tak majestatycznie; czyżby to był Najstarszy?

Nikt nie zauważył, gdzie Kalessin dotknął ziemi. Znaczną część owych odległych wysp pokrywały lasy i dzikie wzgórza, na które

rzadko przybywali ludzie i gdzie nawet smok mógł wylądować niepostrzeżenie.

Jednakże wśród mieszkańców Dziewięćdziesięciu Wysp wybuchła prawdziwa panika. Mężczyźni wiosłowali na zachód pomiędzy wysepkami, krzycząc: „Kryjcie się! Kryjcie! Smok z Pendoru złamał dane słowo! Arcymag zginął i smok wyruszył na łowy!”.

Nie lądując, nie oglądając się za siebie, ogromny gad barwy żelaza przefrunął nad wysepkami, małymi miasteczkami i gospodarstwami, nie marnując na tak drobną zdobycz nawet jednego ognistego oddechu. I tak zostawił za sobą Geath i Serd, i przekroczywszy cieśniny Morza Najgłębszego, zbliżył się w końcu do Roke.

Nigdy za ludzkiej pamięci żaden smok nie odważył się przekroczyć widzialnych i niewidzialnych murów otaczających tę doskonale strzeżoną wyspę. Nawet legendy nie wspominały o czymś podobnym. A jednak ten gad nie zawahał się, lecz łopocząc wielkimi skrzydłami, przefrunął ciężko nad zachodnim brzegiem Roke, wioskami i polami, kierując się w stronę zielonego wzgórza wyrastającego ponad miastem Thwil. Tam w końcu opadł lekko na ziemię, uniósł i złożył czerwone skrzydła, po czym przycupnął na szczycie Pagórka Roke.

Z Wielkiego Domu pędem wybiegli chłopcy. Nic nie mogło ich powstrzymać. A choć młodość dodawała im sił, okazali się wolniejsi niż ich mistrzowie i po nich dotarli na wzgórze. Kiedy się zjawili, był tam już Mistrz Wzorów, który w końcu opuścił swój Gaj; jego jasne włosy połyskiwały w słońcu. Obok stał Mistrz Przemian. Dwie noce wcześniej powrócił na wyspy pod postacią rybołowa olbrzyma, znużonego i ze zwichniętym skrzydłem; długo szybował nad wodami, pochwycony w sidła własnego zaklęcia, nie mogąc powrócić do dawnej postaci, póki w końcu nie dotarł do Gaju tej nocy, gdy Równowaga została przywrócona, a to, co pękło, znów stało się całością. Przybył też Mistrz Przywołań, słaby i wychudzony, dopiero co powstały z łoża. Obok niego stał Mistrz Odźwierny. Byli tam też pozostali mistrzowie Roke.

Ujrzeli, jak jeźdźcy zsiadają na ziemię, pomagając sobie nawzajem; jak rozglądają się wokół z dziwnym zadowoleniem i ponurym zachwytem. Smok zastygł niczym głaz, pozwalając, by

zsunęli się z jego grzbietu. Kiedy Arcymag przemówił do niego, lekko odwrócił głowę i odpowiedział krótko. Świadkowie dostrzegli przelotne spojrzenie żółtego oka, zimnego, pełnego skrywanego śmiechu. Ci, którzy rozumieli Dawną Mowę, usłyszeli, że smok mówi:

– Przywiozłem młodego króla do jego królestwa i bezradnego starca do jego domu.

– Jeszcze trochę dalej, Kalessinie – odparł Ged. – Nie dotarłem bowiem tam, dokąd muszę powrócić.

Spojrzał w dół na połyskujące w słońcu dachy i wieże Wielkiego Domu; mistrzom i uczniom wydało się, że uśmiechnął się lekko. Następnie odwrócił się do Arrena, który stał obok, wysoki i smukły, w znoszonym ubraniu, lekko chwiejąc się na nogach ze znużenia po długim locie, wciąż jeszcze oszołomiony wszystkim, co go spotkało. Na oczach wszystkich Ged ukląkł przed nim na obu kolanach i skłonił swą siwą głowę.

Następnie wstał i ucałował młodzieńca w policzek.

– Kiedy zasiądziesz na swym tronie w Havnorze, mój władco i najdroższy kompanie, władaj długo i mądrze.

Ponownie powiódł wzrokiem po obliczach mistrzów, młodych czarodziejów, chłopców i mieszczan zgromadzonych na zboczach i u stóp Pagórka Roke. Jego twarz była spokojna, w oczach błyskały iskierki przypominające nieco śmiech w oczach Kalessina. Odwróciwszy się od nich wszystkich, ponownie wdrapał się na grzbiet smoka po podstawionej stopie i usiadł pomiędzy wyniosłymi szczytami skrzydeł na szyi gada. Czerwone skrzydła rozwinęły się z ogłuszającym łopotem i Kalessin, Najstarszy, wyprysnął w powietrze. Spomiędzy jego szczęk trysnął ogień i dym, skrzydła biły z hukiem przypominającym grzmot. Smok raz jeden okrążył wzgórze, po czym odleciał na północ i wschód, w stronę tej części Ziemiomorza, gdzie z fal wyrasta górzysta wyspa Gont.

Mistrz Odźwierny uśmiechnął się lekko.

– Zrobił już to, co miał zrobić. Skończone – powiedział. – Teraz wraca do domu.

Wraz z innymi patrzył, jak smok odlatuje coraz dalej, pomiędzy zmierzchem a niebem, dopóki nie zniknął im z oczu.

***

W *Czynach Geda* napisano, że ten, który był Arcymagiem, przybył do Wieży Miecza w Havnorze, leżącej w centrum świata, na koronację Króla Wszechwysp. Pieśń głosi, że po zakończeniu ceremonii, kiedy rozpoczęły się uczty i zabawy, Ged porzucił towarzystwo i sam zszedł do portu w Havnorze. Tam, na brzegu, leżała łódź, zniszczona i naruszona zębem czasu i wiatrów. Była pusta, na jej maszcie nie wisiał żagiel. Ged wezwał łódź jej imieniem „Bystre Oko", ona zaś podpłynęła do niego. Wskoczywszy do środka, odwrócił się plecami do lądu i łódź, niewspomagana wiatrem, żaglem ani wiosłem, poruszyła się, wywożąc go z przystani i zatoki na zachód, między wyspy i dalej na morze. Nigdy więcej o nim nie słyszano.

Jednakże na wyspie Gont opowiadają inną wersję tej historii. Według tamtejszych ludzi młody król, Lebannen, przybył do nich w poszukiwaniu Geda, aby zabrać go na koronację, jednakże nie zastał Arcymaga w Porcie Gont ani w Re Albi. Nikt nie potrafił powiedzieć, dokąd czarnoksiężnik się udał, poza tym, że od czasu do czasu pieszo zagłębiał się w puszcze porastające górę. Często wyruszał na podobne wyprawy, twierdzili ludzie, i nie wracał całymi miesiącami, nikt zaś nie znał szlaku, którym wędrował w samotności. Paru miejscowych zaoferowało się, że go odnajdą, lecz król im zabronił, mówiąc: „On włada większym królestwem niż ja". Toteż opuścił Gont, wsiadł na statek i powrócił do Havnoru, gdzie został koronowany.

Ursula K. LeGuin

Tehanu

Przełożyła
Paulina Braiter

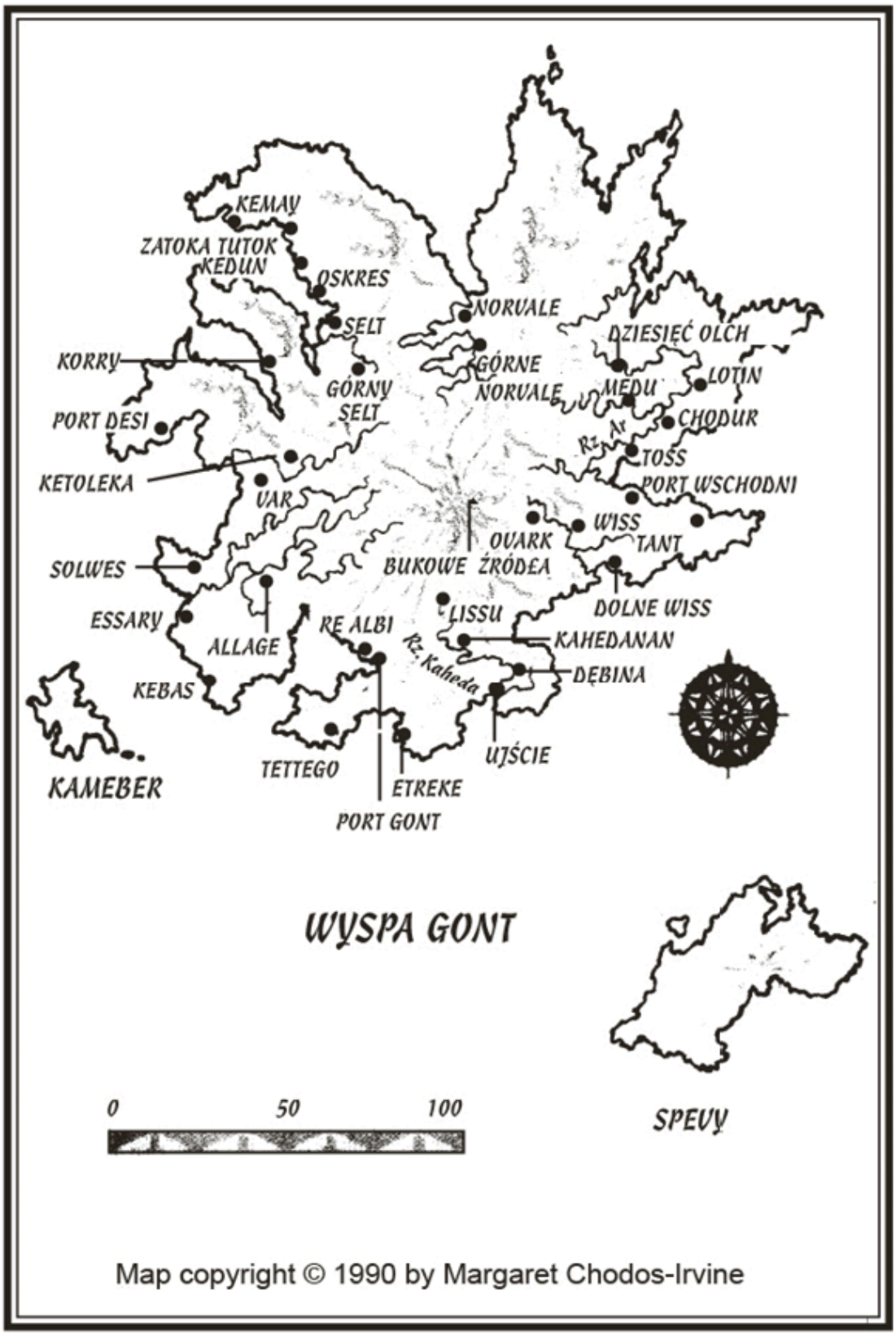

Map copyright © 1990 by Margaret Chodos-Irvine

Tylko w milczeniu słowo,
tylko w ciemności światło,
tylko w umieraniu życie –
na pustym niebie
jasny jest lot sokoła.

Pieśń o stworzeniu Ea
przełożył Stanisław Barańczak

1

Coś niedobrego

Po śmierci Krzemienia, gospodarza z Doliny Środkowej, wdowa po nim została na wsi. Jej syn wyruszył na morze, a córka poślubiła kupca z Ujścia, toteż wdowa gospodarowała sama na Dębowej Farmie. Ludzie powiadali, że w obcej krainie, z której przybyła, była ważną osobistością – i rzeczywiście mag Ogion często odwiedzał jej dom; to jednak niewiele znaczyło, Ogion bowiem składał wizyty wielu najzwyklejszym rolnikom.

Kiedyś nosiła obce imię, ale Krzemień przezwał ją Goha; Gontyjczycy mówią tak na małego białego pająka tkacza. Imię to dobrze do niej pasowało, była bowiem drobna i jasnoskóra, świetnie też przędła kozią wełnę i owcze runo. Odtąd była już Gohą, wdową po Krzemieniu, panią stada owiec i łąki, na której się pasły, gruszkowego sadu, dwóch chat dzierżawców, starego kamiennego domu pod dębami i rodzinnego cmentarza za wzgórzem, gdzie w ziemi swoich ojców spoczął jej mąż.

– Przez całe życie mieszkałam wśród grobowców – powiedziała do córki.

– Przenieś się do nas, do miasta – odparła Jabłko, jednakże wdowa nie chciała porzucić swej samotni.

– Może później, kiedy pojawią się dzieci i przyda ci się pomoc – stwierdziła, patrząc z upodobaniem na szarooką dziewczynę. – Ale nie teraz. Nie potrzebujesz mnie. A ja lubię tę dolinę.

Kiedy Jabłko powróciła do swego młodego męża, wdowa zamknęła drzwi i przez długą chwilę stała na kamiennej posadzce w kuchni. Zapadł już zmierzch, ona jednak nie zapaliła lampy, wspominając męża, który to czynił: krzesiwo, dłonie, skupioną ciemną twarz oświetloną pierwszym nieśmiałym płomykiem. W domu panowała cisza.

Kiedyś już mieszkałam samotnie w cichej pustelni, pomyślała. To nic nowego. Zapaliła lampę.

Późnym popołudniem pierwszego dnia pory upałów na piaszczystej wiejskiej dróżce pojawiła się stara przyjaciółka wdowy, Skowronek, zmierzająca pospiesznym krokiem w stronę jej domostwa.

– Goha! – zawołała na widok gospodyni pielącej grządkę fasoli. – Goha, wydarzyło się coś niedobrego. Bardzo niedobrego. Mogłabyś przyjść?

– Cóż to za nieszczęście? – spytała wdowa.

Skowronek sapała ciężko. Jej imię użytkowe zupełnie nie pasowało do przysadzistej brzydkiej niewiasty w średnim wieku. Kiedyś jednak była szczupłą uroczą dziewczyną, która zaprzyjaźniła się z Gohą, nie zwracając uwagi na plotki wieśniaków, szepczących między sobą o białoskórej kargijskiej czarownicy przywiezionej przez Krzemienia z odległych krain. Od tej pory pozostały sobie bliskie.

– Poparzone dziecko – rzekła bez tchu.

– Czyje?

– Włóczęgów.

Goha wyprostowała się, zamknęła drzwi domu i razem ruszyły ścieżką. Po drodze zadyszana i spocona przyjaciółka opowiedziała całą historię. Nasionka wysokich traw rosnących po obu stronach dróżki wirowały w powietrzu, klejąc się do mokrego czoła i policzków tęgiej kobiety.

– Przez cały miesiąc obozowali nad rzeką, na łące. Mężczyzna podający się za druciarza – naprawdę jednak był złodziejem – i jego kobieta. Oraz jeszcze jeden mężczyzna, młodszy, wciąż kręcił się w pobliżu. Żaden z nich nie pracował. Żyli z tego, co zdołali ukraść, wyżebrać bądź dostać w zamian za wdzięki kobiety. Chłopcy z dołu rzeki przynosili jej jedzenie po to, by móc z nią być. Wiesz, jak to jest w dzisiejszych czasach. Bandy włóczęgów napadają samotne

domy. Na twoim miejscu zamykałabym drzwi na klucz. Dziś rano ten młodszy przyszedł do wioski. Siedziałam właśnie na ganku, a on mówi, że mała jest chora. Ledwie zauważyłam, że mieli ze sobą dziecko, małą nieśmiałą dziewczynkę. Nawet nie byłam pewna, czy w ogóle ją widziałam. Mówię więc: „Chora? Ma gorączkę?", a on na to: „Zrobiła sobie krzywdę, rozpalając ogień". I zanim zdążyłam pozbierać się do wyjścia, odszedł. Zniknął. A kiedy dotarłam nad rzekę, tamtych dwojga także już nie było. Ulotnili się bez śladu. Zabrali ze sobą wszystkie swoje śmiecie. Pozostało tylko żarzące się ognisko, a na ziemi obok niego… i częściowo w nim...

Skowronek umilkła. Przez chwilę szła, spoglądając w dal, jakby zapomniała o przyjaciółce.

– Nawet nie przykryli jej kocem – rzekła wreszcie.

Szły dalej.

– Wepchnięto ją w ogień, kiedy jeszcze płonął. – Skowronek przesunęła ręką po rozpalonej twarzy, strącając lepkie nasiona. – Gdyby istotnie upadła i była przytomna, próbowałaby się ratować. Pewnie pobili ją i sądząc, że nie żyje, pragnęli ukryć swój czyn, więc... – Ponownie urwała. – A może to nie oni? – dodała po chwili. – Może właśnie on ją wyciągnął? Ostatecznie przyszedł szukać pomocy. Zapewne był jej ojcem. Nie wiem. To zresztą nieważne. Któż zna prawdę? Kogo ona obchodzi? Kto ma się zająć tym dzieckiem? Czemu robimy to, co robimy?

– Przeżyje? – spytała cicho Goha.

– Możliwe – odparła Skowronek. – Całkiem możliwe.

Po jakimś czasie, gdy zbliżyły się już do wioski, powiedziała:

– Nie wiem, czemu do ciebie przyszłam. Jest tam stara Bluszcz. Nic więcej nie da się zrobić.

– Mogłabym pójść do Ujścia, przyprowadzić Buka.

– On też nic tu nie poradzi. Jej nie da się... nie da się już pomóc. Przykryłam ją. Bluszcz napoiła ją swoim wywarem i rzuciła urok snu. Sama zaniosłam małą do domu. Ma jakieś sześć, siedem lat, ale nie waży nawet tyle co dwuletnie dziecko. Ani na moment nie odzyskała świadomości. Jednakże wydaje z siebie dziwny krztuszący dźwięk. Zdaję sobie sprawę, że ty także nic nie poradzisz, ale chciałam, żebyś tu była.

– A ja chciałam przyjść – odparła Goha. Lecz zanim weszły do domu Skowronek, wdowa przymknęła oczy i wstrzymała oddech, czując nagłe przerażenie.

Skowronek wysłała własne dzieci na dwór i w domu panowała cisza. Dziewczynka leżała nieprzytomna na łóżku gospodyni. Wioskowa czarownica Bluszcz posmarowała mniej poważne oparzenia maścią z oczaru i innych ziół leczniczych, nie tknęła jednak prawej strony twarzy i głowy oraz prawej dłoni, zwęglonej aż do kości. Nakreśliła jedynie nad łóżkiem runę Pirr.

– Możesz coś zrobić? – wyszeptała Skowronek,

Goha przez długi czas stała w milczeniu, spoglądając na poparzoną dziewczynkę. Jej dłonie ani razu nie zadrżały. W końcu potrząsnęła głową.

– Przecież kiedy mieszkałaś na górze, nauczyłaś się sztuki uzdrawiania. – W błagalnym głosie Skowronek dźwięczał ból i wstyd pomieszany z gniewem.

– Nawet Ogion nie zdołałby tu pomóc – odparła wdowa.

Gospodyni odwróciła się, przygryzając wargę, i zapłakała. Goha przytuliła ją, gładząc siwe włosy. Stały bez ruchu, obejmując się mocno.

Po chwili z kuchni wyszła Bluszcz, krzywiąc się na widok Gohy. Choć wdowa nie rzucała żadnych uroków ani nie snuła zaklęć, ludzie powiadali, że przybyła do Re Albi jako podopieczna maga. Ponoć znała też Arcymaga Roke i bez wątpienia posiadła obce, niezwykłe moce. Zazdrosna o swą pozycję czarownica podeszła do łóżka i zakrzątnęła się wokół niego. Usypała w misce kopczyk dziwnych substancji, podpaliła go i wśród oparów cuchnącego dymu zaczęła cicho mamrotać, powtarzając raz po raz urok uzdrowienia. Dziewczynka zachłysnęła się ostrym ziołowym dymem i na moment usiadła na łóżku. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Krztusiła się. Zdrowym okiem zdawała się patrzeć wprost na Gohę.

Wdowa podeszła do łóżka, ujęła lewą dłoń dziewczynki i przemówiła w swoim języku:

– Służyłam im wiernie, a potem uciekłam. Nie pozwolę, aby dostali i ciebie.

Dziecko patrzyło wprost na nią – a może spoglądało w nicość? – próbując raz po raz nabrać powietrza.

2

Droga do Sokolego Gniazda

Minął rok. Pewnego gorącego dnia tuż po Długim Tańcu na szlaku prowadzącym z północy do Doliny Środkowej pojawił się posłaniec. Wypytywał o wdowę Gohę. Mieszkańcy wioski skierowali go na właściwą ścieżkę i późnym popołudniem przybył na Dębową Farmę. Był to mężczyzna o ostrych rysach twarzy i bystrym wzroku. Spojrzał na Gohę i na owce w zagrodzie, po czym rzekł:

– Ładne jagnięta. Mag z Re Albi cię wzywa.

– On cię tu przysłał? – spytała Goha z niedowierzaniem i rozbawieniem. Ogion, kiedy pragnął jej obecności, dysponował szybszymi i milszymi posłańcami. Czasem wysyłał orła, czasem jego własny głos odzywał się nagle, mówiąc cicho: „Czy zechciałabyś mnie odwiedzić?”.

Nieznajomy przytaknął.

– Jest chory – powiedział. – Czy zamierzasz sprzedać część świeżo narodzonych jagniąt?

– Może. Jeśli cię to interesuje, pomów z pasterzem. Stoi tam pod płotem. Masz ochotę na kolację? Jeżeli chcesz, możesz zostać tu na noc. Ja jednak wyruszam w drogę.

– Dziś wieczór?

Spojrzała na niego z lekką naganą. Teraz w jej wzroku nie dostrzegł nawet cienia rozbawienia.

– Nie zamierzam czekać – oznajmiła. Przez chwilę rozmawiała ze starym pasterzem Potokiem, po czym zniknęła w głębi stojącego na porośniętym dębami wzgórzu domu. Posłaniec szedł tuż za nią.

W kuchni o kamiennej posadzce dziewczynka, na którą spojrzał tylko raz i pospiesznie odwrócił wzrok, podała mu mleko, chleb, ser i szczypior, a potem odeszła bez słowa. Po chwili pojawiły się obie. Miały na nogach podróżne buty i trzymały w rękach lekkie skórzane torby. Posłaniec odprowadził je na dwór, a wdowa zamknęła za sobą drzwi domu. Razem wyruszyli w drogę, mężczyzna bowiem tylko przy okazji dostarczał wiadomość od czarnoksiężnika. W istocie miał na głowie znacznie istotniejszą sprawę – zakup rozpłodowego barana dla samego władcy Re Albi. W miejscu, w którym droga skręcała do wioski, kobieta i dziewczynka pożegnały się z nim i ruszyły naprzód szlakiem, który on sam niedawno przebył, na północny zachód, a potem wprost na zachód, w stronę góry Gont.

Szły tak, póki po długim letnim dniu nie zaczął zapadać zmierzch. Wówczas porzuciły wąski trakt i rozbiły obóz w dolince nad brzegiem strumienia, który cichy i bystry niknął w gęstwinie karłowatych wierzb; w jego wodach odbijało się wieczorne niebo. Goha przygotowała posłanie z trawy i wierzbowych liści, skryte w zaroślach niczym gniazdo zająca. Opatuliwszy dziewczynkę, ułożyła ją do snu.

– Teraz jesteś poczwarką w kokonie. Rankiem staniesz się motylem i wyfruniesz na światło dzienne.

Owinęła się płaszczem i legła obok dziecka. Obserwując rozgwieżdżone niebo, słuchała opowieści strumienia, póki nie zapadła w sen.

Kiedy obie ocknęły się w mroku przedświtu, Goha rozpaliła niewielki ogień i zagrzała na nim garnek wody na owsiankę dla siebie i małej. Niewielki kaleki motylek wydostał się z drżeniem ze swego kokonu, Goha zaś ostudziła kociołek w pełnej rosy trawie, aby dziecko się nie poparzyło przy śniadaniu. Kiedy znów ruszyły w drogę, niebo na wschodzie ponad wyniosłym mrocznym masywem góry zaczynało już jaśnieć.

Przez cały dzień wędrowały niespiesznie, tak aby dziecko się nie zmęczyło. Goha z całego serca pragnęła jak najrychlej dotrzeć do celu, jednakże utrzymywała spokojne tempo. Nie zdołałaby nieść

dziewczynki, toteż – aby uprzyjemnić jej marsz – opowiadała różne historie.

– Idziemy na spotkanie ze starszym człowiekiem, którego zwą Ogionem – mówiła, stawiając kroki na wąskiej dróżce wijącej się wśród drzew. – To mądry człek i czarnoksiężnik. Wiesz, kim są czarnoksiężnicy, Therru?

Jeśli nawet dziewczynka miała jakieś imię, nie znała go, a może nie chciała zdradzić. Goha nazwała ją Therru.

Mała potrząsnęła przecząco głową.

– Cóż, ja też nie – odpowiedziała Goha. – Wiem jednak, co potrafią zrobić. Kiedy byłam młoda – starsza niż ty, niemniej jednak młoda – Ogion był dla mnie jak ojciec, tak jak ja teraz stałam się dla ciebie matką. Opiekował się mną i nauczył wszystkiego, co powinnam poznać. Był przy mnie, nawet gdy wolałam zostać sama. Lubił przechadzać się leśnymi ścieżkami, takimi jak my idziemy w tej chwili, i wędrować w głuszy. Zawsze tylko słuchał, toteż ludzie nazywali go Milczącym. Jednakże ze mną rozmawiał. Opowiadał mi różne historie. Nie tylko te o królach, bohaterach i wydarzeniach z przeszłości, o których wszyscy słyszeli, ale też opowieści znane wyłącznie jemu. – Przez chwilę szły w milczeniu, wreszcie dodała: – Teraz ja tobie opowiem taką historię.

Wśród przeróżnych sztuk czarnoksiężnicy posiedli umiejętność przemiany w coś innego, odmiany własnej postaci. Nazywają to sztuką Przemiany. Zwykły czarownik także potrafi upodobnić się do kogoś innego, czy to człeka, czy zwierzęcia – zupełnie jakby przywdziewał maskę. Jednakże czarnoksiężnicy umieją coś więcej. Oni sami stają się maską, naprawdę przekształcają się w inne istoty. I tak mag, pragnąc przebyć morze, a nie mając pod ręką łodzi, może zamienić się w mewę i przefrunąć na drugi brzeg. Musi jednak bardzo uważać, jeżeli bowiem zbyt długo zostanie pod postacią ptaka, zaczyna myśleć jak ptak, zapomina swoją przeszłość i wówczas może odlecieć w dal, do końca życia pozostając mewą. Powiadają, że kiedyś żył wielki czarnoksiężnik, który lubił przyjmować postać niedźwiedzia, jednakże czynił to zbyt często; w końcu naprawdę stał się niedźwiedziem i zagryzł własnego synka. Musieli urządzić na niego polowanie, zabili go. Ale Ogion żartował też

często na ten temat. Kiedyś, gdy myszy dostały się do jego spiżarni i pożarły cały ser, złapał jedną, używając zaklęcia-pułapki, spojrzał jej w oczy, po czym rzekł: „Ostrzegałem cię, żebyś nie bawił się w mysz". Przez moment uwierzyłam, że mówił poważnie...

Cóż, ta historia dotyczy czegoś podobnego do przemiany. Ogion jednak twierdził, że to coś więcej niż znana mu sztuka, po raz pierwszy miał do czynienia z dwiema istotami w tym samym ciele. Według niego przekracza to zdolności czarnoksiężników. A przecież zetknął się z tym naprawdę w Kemay, maleńkiej wiosce na północno-zachodnim wybrzeżu Gontu. Mieszkała tam kobieta, stara rybaczka, nie żadna tam czarownica czy adeptka; kobieta ta pisała pieśni. Dlatego właśnie Ogion w ogóle o niej usłyszał. Przechadzał się wzdłuż wybrzeża, jak to miał we zwyczaju, nasłuchując, i usłyszał, jak ktoś, naprawiając sieci czy uszczelniając łódź, nuci sobie przy pracy:

Poza najdalszym zachodem,
tam gdzie kończą się lądy,
mój lud tańczy na skrzydłach
innego wiatru.

Ogion nigdy wcześniej nie słyszał podobnych słów i melodii, toteż spytał, skąd wzięła się pieśń, i tak, wędrując od jednego śpiewaka do drugiego, dotarł w końcu do kogoś, kto rzekł: „Och, to jedna z piosenek kobiety z Kemay". Toteż udał się do Kemay, maleńkiego rybackiego portu, w którym mieszkała owa niewiasta, i odnalazł jej dom obok przystani. Gdy tam dotarł, zastukał w drzwi swoją czarnoksięską laską i kobieta otworzyła.

Pamiętasz chyba, jak rozmawiałyśmy o imionach, o tym, że dzieci noszą imiona dziecięce, a dorośli zastępują je przezwiskami bądź imionami użytkowymi. Różni ludzie mogą różnie cię nazywać. Dla mnie jesteś Therru, ale może, gdy dorośniesz, obdarzą cię innym hardyckim imieniem użytkowym. Kiedy jednak osiągniesz wiek kobiecy, dostaniesz, jak nakazuje tradycja, prawdziwe imię. Może ci je nadać ktoś obdarzony mocą, czarnoksiężnik lub mag, ponieważ

na tym właśnie polega ich potęga – to sztuka nadawania imion. I miana tego nigdy nie zdradzisz żadnej innej osobie, ponieważ kryje się w nim twoja prawdziwa natura. To twoja siła, twoja moc. Jednakże może też stać się męczącym brzemieniem, toteż wolno je zdradzić w chwili największej potrzeby i jedynie temu, komu całkowicie ufasz. Tylko wielki mag pozna bez pytania każde imię – nawet twoje.

Toteż Ogion, który jest wielkim magiem, stanął w drzwiach domku tuż przy bramie, a gdy ujrzał starą kobietę, cofnął się i uniósł dłoń dzierżącą dębową laskę, jakby próbując osłonić się przed żarem ognia. Zdumiony i zalękniony wymówił na głos jej prawdziwe imię: „Smok!".

Albowiem, jak sam mi powiedział, w tej pierwszej chwili ujrzał przed sobą nie kobietę, lecz lśniący przepych ognia, połysk złotych łusek i szponów, i wielkie oczy smoka. Ludzie powiadają, że nigdy nie należy patrzeć smokowi prosto w oczy.

Po chwili obraz zniknął i Ogion widział przed sobą stojącą w drzwiach dość wysoką, acz nieco przygarbioną staruszkę, rybaczkę o wielkich dłoniach. Zmierzyła go uważnym spojrzeniem i rzekła: „Wejdź, mistrzu Ogionie".

Uczynił tak. Podała mu rybną polewkę i zjedli w milczeniu, po czym zasiedli przy ogniu i zaczęli rozmawiać. Ogion sądził, że ma do czynienia z istotą dysponującą zdolnością przemiany, nie wiedział jednak, czy to kobieta, która potrafi zamieniać się w smoka, czy też smok przyjmujący postać kobiety. W końcu zatem ją spytał: „Czy jesteś kobietą, czy smokiem?". Kobieta zbyła pytanie milczeniem, po czym rzekła: „Zaśpiewam ci pewną historię".

Szły dalej. Droga wspinała się stromo pomiędzy kamiennymi nawisami porośniętymi zbitym gąszczem zarośli, w których śpiewały ogarnięte letnią gorączką cykady.

– Oto opowieść, którą wyśpiewała Ogionowi.

Na początku, gdy Segoy wydźwignął z morza wyspy świata, z wiatru nad lądem i samej ziemi zrodziły się smoki, Pierworodni. Tak powiada *Pieśń o stworzeniu Ea*. Jednakże kobieta twierdziła, że u zarania dziejów smok i człowiek byli jednym, tworzyli jedno plemię, jedną rasę, skrzydlatą, władającą Prawdziwą Mową.

Był to lud piękny i silny, mądry i swobodny.

Jednakże nie można istnieć w czasie, nie stając się czymś nowym. I tak część ludzi-smoków coraz bardziej kochała lot i wolność, nie dbając o dzieła tworzenia, naukę, domy czy miasta. Istoty owe pragnęły jedynie fruwać dalej i dalej, polując i pożerając zdobycz, nie dbając o nic poza poszukiwaniem wolności.

Pozostali ludzie-smoki porzucili lot, gromadząc skarby i majątki, owoce pracy i nauki. Budowali domy i twierdze, zamykając w nich swe bogactwa, aby móc przekazać je dzieciom. Cały czas starali się zdobyć więcej i więcej. W końcu zaczęli lękać się swych dzikich pobratymców, którzy – gwałtowni i nieostrożni – mogli zjawić się w każdej chwili i zniszczyć drogi ich sercom dobytek, spalić go we własnym ogniu.

Dzikie plemię nie lękało się nikogo. Niczego też się nie uczyło. Nie znając strachu ani mądrości, nie potrafili sobie pomóc, gdy bezskrzydły lud chwytał ich w pułapki niczym zwierzęta i zabijał. Ich bracia się mścili, przylatywali z wiatrem, podpalali piękne domostwa, niszcząc i zabijając. I tak jako pierwsi wyginęli ci, którzy byli najsilniejsi, najmądrzejsi, najdziksi.

Natomiast ci, którzy poznali lęk, unikali walki, a kiedy nie mogli się dłużej ukrywać, uciekali. Wykorzystując swe zdolności tworzenia, zbudowali łodzie i pożeglowali na wschód, z dala od zachodnich wysp, na których ich skrzydlaci bracia nadal toczyli wojny wśród ruin wyniosłych wież.

I tak ci, którzy kiedyś byli zarówno smokami, jak i ludźmi, zmienili się, tworząc dwa ludy – smoki, coraz groźniejsze i dziksze, w swym bezrozumnym gniewie i chciwości gnieżdżące się na wyspach Zachodnich Rubieży, i ludzi, mnożących się bez końca w bogatych miastach i wioskach Wysp Wewnętrznych. Jednakże wśród nich pozostała grupka, która zachowała nauki smoków – Prawdziwą Mowę Tworzenia. To właśnie czarnosiężnicy.

Pieśń jednak głosi, że są wśród nas również ci, którzy wiedzą, że kiedyś byli smokami; także część smoków świadoma jest pokrewieństwa łączącego oba plemiona. Powiadają oni, że kiedy jeden lud stawał się dwoma, część z nich, skrzydlatych, powędrowała nie na wschód, lecz na zachód, poprzez Morze

Otwarte, póki w końcu nie dotarła na drugą stronę świata, by osiąść tam w pokoju. Potężne skrzydlate istoty, dzikie, a przecież mądre; ludzkie umysły, smocze serca.

Na koniec kobieta zaśpiewała:

Poza najdalszym zachodem,
tam gdzie kończą się lądy,
mój lud tańczy na skrzydłach
innego wiatru.

Tak właśnie brzmiała opowieść wyśpiewana przez kobietę z Kemay, zakończona owymi słowami.

Wysłuchawszy jej, Ogion rzekł: „Kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy, dostrzegłem twą prawdziwą istotę – kobieta, która siedzi naprzeciwko mnie po drugiej stronie paleniska, jest jedynie marną powłoką".

Ona jednak potrząsnęła głową i zaśmiała się, mówiąc jedynie: „Ach, gdyby to było takie proste!".

Po jakimś czasie Ogion powrócił do Re Albi, a kiedy opowiedział mi tę historię, rzekł: „Od tego dnia zastanawiałem się, czy ktokolwiek, człowiek lub smok, dotarł poza najdalszy zachód; kim jesteśmy i co nas łączy"... Nie jesteś aby głodna, Therru? Tam na zakręcie widzę całkiem przyjemną polankę. Może dojrzymy z niej Port Gont w dole, u podnóża góry? To wielkie miasto, większe nawet niż Ujście. Kiedy dojdziemy do zakrętu, usiądziemy i odpoczniemy chwilkę.

Istotnie, ze zbocza nad traktem rozciągał się widok na rozległe lasy i kamieniste łąki opadające ku miastu nad zatoką; widać stąd było ostre skały strzegące wejścia do zatoki i łodzie na czarnych falach, kołyszące się niczym drewniane drzazgi. Tymczasem droga wznosiła się nadal, by hen daleko dotrzeć do wystrzelającego ze zbocza urwiska – to Overfell, na którym przycupnęła wioska Re Albi, Sokole Gniazdo.

– Może już pójdziemy? – zaproponowała Goha po krótkim odpoczynku. Therru nie skarżyła się na znużenie, jednak teraz, siedząc bezpiecznie pomiędzy traktem a otchłaniami nieba i morza,

potrząsnęła głową. Słońce przygrzewało, one zaś przeszły długą drogę; wiele czasu minęło od śniadania w lesistej kotlinie.

Goha wyciągnęła bukłak z wodą i napiły się ponownie. Następnie odszukała torebkę rodzynek i orzechów i podała małej.

– Widzimy już nasz cel – stwierdziła. – Chciałabym tam dotrzeć przed zmrokiem, jeśli nam się uda. Nie mogę się doczekać spotkania z Ogionem. Z pewnością się zmęczysz, ale za to dzisiejszą noc spędzimy w ciepłym bezpiecznym schronieniu. Zatrzymaj torebkę, wsuń ją za pasek. Rodzynki dodają sił nogom. Czy chciałabyś laskę, taką jaką noszą czarnoksiężnicy? Pomogłaby ci w marszu.

Therru skinęła głową, żując słodycze. Goha wyjęła nóż i odcięła mocny pęd leszczyny dla dziewczynki. Ze zwalonej tuż przy drodze olchy odłamała grubą gałąź i przyciąwszy ją, sobie także sporządziła solidną, choć lekką laskę.

Ruszyły w drogę. Dziewczynka dreptała dzielnie naprzód, jakby rzeczywiście rodzynki dodały jej sił. Goha śpiewała, aby zabawić je obie: piosenki miłosne, przyśpiewki wieśniaków i ballady pasterskie, które poznała w Dolinie Środkowej. Nagle umilkła w pół frazy. Zatrzymała się, zasłaniając sobą dziewczynkę.

Czterej mężczyźni na drodze już je dostrzegli. Było za późno, by ukryć się w lesie.

– Podróżnicy – rzekła cicho do Therru i ruszyła naprzód.

Kiedy Skowronek wspomniała o bandach i złodziejaszkach, nie była to jedynie zwykła skarga powtarzana przez każde kolejne pokolenie przekonane, że życie się zmienia na gorsze, a świat schodzi na psy. Przez ostatnich kilka lat mieszkańcy miast i wsi Gontu stracili dawny spokój i ufność. Młodzież zachowywała się jak obcy wśród własnego ludu, naruszając zasadę gościnności, kradnąc i sprzedając łupy. Chodzenie po prośbie, niegdyś rzadkie, stało się zajęciem powszechnym, a niezadowoleni żebracy coraz częściej grozili przemocą. Kobiety bały się chodzić same po drogach i ulicach, tęskniąc za utraconą swobodą. Niejedna młoda dziewczyna uciekała z domu, aby dołączyć do band złodziei i kłusowników. Zwykle po roku wracała do rodziców ponura, posiniaczona i ciężarna. Wśród wioskowych czarownic i czarowników krążyły pogłoski o tym, że także z ich rzemiosłem dzieje się coś niedobrego; uroki, które dotąd

zawsze leczyły choroby, traciły skuteczność; zaklęcia znajdujące nie pomagały niczego odszukać albo też natrafiały na niewłaściwe przedmioty; napoje miłosne doprowadzały mężczyzn do szału – nie miłości, ale morderczej zazdrości; a co najgorsze, ludzie, którzy nie wiedzieli dotąd nic na temat magii, reguł i ograniczeń nią rządzących oraz zabezpieczeń wspomagających jej działanie, twierdzili, że są obdarzeni mocą, i gromadzili wokół siebie wyznawców, obiecując im zdrowie i bogactwa, a nawet nieśmiertelność.

Bluszcz, czarownica z wioski Gohy, niechętnie wspominała o słabnięciu mocy, podobnie jak Buk, czarodziej z Ujścia. Był on człowiekiem skromnym i przebiegłym; owego pamiętnego dnia przybył do wsi, aby pomóc starej kobiecie złagodzić ból Therru i zaleczyć rany zadane przez ogień. Powiedział wówczas do Gohy: „Uważam, że potworności, jakich dopuszczają się dzisiejsi ludzie, niechybnie zwiastują nadchodzący przełom. Ile lat minęło od dnia, gdy na tronie w Havnorze zasiadał król? To nie może trwać dłużej. Musimy zwrócić się ku środkowi świata, w przeciwnym razie zginiemy, wyspa przeciw wyspie, człowiek przeciw człowiekowi, ojciec zabijający dziecko... – Spojrzał na nią nieśmiało, jednakże jego oczy błysnęły przebiegle. – Na wieży w Havnorze znów lśni Pierścień Erreth-Akbego. Wiem, kto go tam sprowadził... Z pewnością był to znak, że nadchodzi nowa era. Myśmy go zlekceważyli. Nie mamy króla. Nasz świat rozpadł się na kawałki, nie ma środka. Musimy odnaleźć nasze serca, naszą siłę. Może Arcymag zacznie w końcu działać. – Po chwili z głębokim przekonaniem rzekł: – Ostatecznie pochodzi z Gontu”.

Na wyspę jednak nie dotarły żadne wieści o czynach Arcymaga ani o pojawieniu się następcy tronu w Havnorze; czas mijał, a nastroje się pogarszały.

Teraz zaś Goha z lękiem i ponurym gniewem patrzyła, jak czterech mężczyzn na drodze rozstępuje się tak, by musiała z dziewczynką przejść między nimi.

Zalękniona Therru trzymała się bardzo blisko opiekunki, wbijając wzrok w ziemię, jednakże nie złapała jej za rękę.

Jeden z mężczyzn, zwalisty osiłek z szorstkimi czarnymi wąsami opadającymi na usta, odwrócił się ku nim z lekkim drwiącym

uśmieszkiem.

– Hej, tam… – zaczął, jednakże przerwała mu Goha, głośno i zdecydowanie:

– Z drogi! – Uniosła olchowy kij, jakby był laską czarnoksiężnika. – Mam sprawę do Ogiona.

Przeszła między nimi, nie zwalniając kroku, Therru dreptała tuż obok. Mężczyźni, uznawszy najwidoczniej bezczelność za oznakę mocy, stali w milczeniu. Możliwe też, że w imieniu Ogiona nadal kryła się pewna siła albo może dostrzegli ją w samej Gosze czy nawet dziecku. Kiedy obie zniknęły za zakrętem, jeden z mężczyzn rzekł:

– Widzieliście? – Splunął, aby odwrócić zły urok.

– Czarownica i jej potworne nasienie! – warknął jego towarzysz. – Ruszajmy!

Ich milczący kompan, odziany w kaftan i skórzaną czapkę, jeszcze przez chwilę stał w miejscu, odprowadzając wzrokiem podróżne. Na jego twarzy odbiło się wahanie. Wyglądało na to, że zamierza podążyć śladem kobiety i dziewczynki, wówczas jednak wąsaty osiłek ponaglił go:

– Chodź już, Łapo!

Mężczyzna w skórzanej czapce posłuchał.

Za zakrętem Goha przyspieszyła kroku, ciągnąc za sobą Therru. Dziewczynka nie zadawała pytań i nie domagała się odpoczynku. Dreptała obok, trzymając Gohę za rękę.

– Jesteś czerwona – powiedziała. – Jak ogień.

Rzadko się odzywała i nigdy nie mówiła wyraźnie; jej głos zawsze rozbrzmiewał szorstko i chrapliwie, jednakże Goha rozumiała każde słowo.

– Rozzłościłam się – wyjaśniła teraz ze śmiechem. – Kiedy jestem zła, rumienię się. Tak jak twój lud, Czerwone Plemię, barbarzyńcy z zachodnich krain... Spójrz, tuż przed nami widać domy. Zapewne to Dębowe Źródła, jedyna wioska na tym szlaku. Zatrzymamy się tu i odpoczniemy nieco. Może zdołamy kupić trochę mleka? A potem, jeśli damy radę, jeżeli uznasz, że wytrzymasz długi marsz, ruszymy do Sokolego Gniazda i, mam nadzieję, dotrzemy tam przed zmrokiem.

Dziewczynka skinęła głową. Otworzyła torebkę z rodzynkami i orzechami i zjadła parę.

Słońce już dawno zapadło za horyzont, kiedy dotarły do domu Ogiona na szczycie urwiska. Pierwsze gwiazdy połyskiwały nad wałem napływających z zachodu ciemnych chmur. Wiatr od morza poruszał krótką trawą. Na pastwisku obok niskiego małego domu zabeczała koza. Jedyne okno połyskiwało w mroku mętną żółcią.

Goha ustawiła obie laski – swoją i Therru – przy ścianie obok drzwi i ściskając dłoń dziecka, zapukała.

Nic się nie stało.

Pchnęła drzwi. Ogień na palenisku już dawno wygasł, pozostawiając po sobie stosik żużlu i szarego popiołu. Jednakże stojąca na stole lampka olejna roztaczała wokół niewielką aurę światła. Spoczywający w odległym kącie na sienniku Ogion rzekł:

– Wejdź, Tenar.

3

Ogion

Goha ułożyła dziewczynkę do snu na łóżku w alkowie po zachodniej stronie domu. Następnie rozpaliła ogień, po czym przysiadła na podłodze obok legowiska Ogiona.

– Nikt się tobą nie opiekuje?

– Odprawiłem ich – szepnął.

Twarz miał ciemną, rysy ostre jak zawsze, ale włosy przerzedzone i zbielałe, a nikły blask lampy nie krzesał iskierek w jego oczach.

– Mogłeś przecież umrzeć – powiedziała gwałtownie.

– Pomóż mi to zrobić – odparł starzec.

– Jeszcze nie – prosiła; schyliła się, dotykając czołem jego dłoni.

– Nie dziś – zgodził się. – Jutro.

Uniósł rękę i przelotnie pogładził jej włosy. Tylko na to starczyło mu sił.

Tenar wyprostowała zgięte plecy. Ogień rozpalił się na dobre. Plamy światła tańczyły na ścianach i niskim suficie. W kątach długiej izby zalegały gęste cienie.

– Gdyby tylko Ged zdążył przybyć – mruknął stary człowiek.

– Posłałeś po niego?

– Zaginął. Zniknął. Niczym chmura. Mgła ponad światem. Wyruszył na zachód, niosąc w dłoni gałąź jarzębiny. W głąb mrocznej mgły. Utraciłem mojego sokoła.

– Nie, nie – szepnęła. – On wróci.

Zapadła cisza. Ogarnęło ich ciepło ognia. Stary Ogion, odprężony, ponownie osunął się w sen, Tenar zaś z radością odpoczęła po długim znojnym dniu. Zaczęła rozcierać stopy i obolałe ramiona – na ostatnim stromym odcinku niosła Therru na rękach, mała bowiem zaczęła słabnąć ze znużenia, próbując dotrzymać jej kroku.

Tenar wstała, zagrzała wodę i zmyła z siebie kurz gościńca. Następnie ugotowała mleko, zjadła chleb, który znalazła w spiżarni Ogiona, i powróciła na miejsce u jego boku. Mag spał, a ona siedziała, pogrążona w myślach, obserwując jego oblicze w blasku roztańczonych płomieni.

Myślała o dziewczynce siedzącej w milczeniu owej nocy wiele lat temu, daleko od wyspy Gont, dziewczynce w pozbawionej okien komnacie, sprowadzonej tylko po to, by stać się Pożartą, kapłanką i służką mocy ciemności, pradawnych sił ziemi. A potem o kobiecie przycupniętej w przyjaznej ciszy w domku wśród pól, podczas gdy mąż i dzieci słodko śpią, spragnionej choćby godziny samotności. I o wdowie opiekującej się poparzonym dzieckiem i czuwającej u boku umierającego maga, oczekującej powrotu mężczyzny, jak niezliczone rzesze niewiast przed nią, wszystkie jej siostry, każda kobieta spełniająca kobiecą powinność. Jednakże Ogion nie nazywał jej służką, żoną czy wdową, podobnie jak wcześniej Ged w mroku Grobowców Atuanu ani – jeszcze dawniej i jeszcze dalej – jej matka, którą pamiętała jedynie jako ciepły dotyk i złocisty blask ognia. Matka, która nadała jej imię.

– Jestem Tenar – szepnęła.

Na palenisku wątłe płomyki rozbłysły nagle, ogarniając suchą sosnową gałąź.

Ogion oddychał coraz szybciej, głośno chwytając powietrze. Pomagała mu, jak umiała, póki w końcu nie poczuł się lepiej. Potem oboje zasnęli – on na swym posłaniu, ona obok w ulotnej ciszy przerywanej dziwnymi słowami padającymi z ust maga. Raz, późną nocą, odezwał się głośno jak człowiek spotykający na szlaku przyjaciela:

– A zatem też jesteś tutaj? Widziałeś go?.

Kiedy zaś Tenar ocknęła się i podeszła, by podsycić ogień, Ogion znów zaczął mówić, tym razem jednak zwracał się do kogoś

z najgłębszych zakamarków pamięci, odezwał się bowiem wysokim głosem dziecka:

– Próbowałem jej pomóc, ale dach domu się zapadł i przysypał ich. To było trzęsienie ziemi – dodał chłopiec w ciele starca. W jego głosie słychać było ból. Po chwili mag znów zaczął się krztusić.

O pierwszym brzasku niezwykły dźwięk dobiegający z zewnątrz obudził Tenar. Przez moment wydawało jej się, że słyszy szmer morza, jednak był to szum skrzydeł. Wielkie stado ptaków przeleciało nisko nad domem. Było ich mnóstwo; łopot tysięcy piór zabrzmiał groźnie niczym ryk nadciągającej burzy. Przez chwilę w izbie zrobiło się ciemno. Stado okrążyło dom i odleciało. Żaden z ptaków nie wydał z siebie głosu, toteż nie wiedziała, do jakiego gatunku należały.

Rankiem zjawili się ludzie z wioski Re Albi, nieopodal której stał samotny dom Ogiona. Pierwsza przybyła pasterka, potem kobieta dojąca kozy maga, a za nią inni, dopytując się, co mogą dla niego zrobić. Mech, wioskowa czarownica, przesunęła palcami po olchowej lasce i leszczynowym patyku przy drzwiach, po czym z zaciekawieniem zajrzała do środka, ale nawet ona nie śmiała wejść, Ogion zaś krzyknął ze swego siennika:

– Odpraw ich! Odpraw ich wszystkich!

Tego ranka zdawał się silniejszy i zdrowszy. Kiedy mała Therru się ocknęła, przemówił do niej na swój suchy, ciepły, łagodny sposób, który Tenar tak dobrze pamiętała. Później dziecko wyszło, by pobawić się na słońcu.

– Co oznacza imię, którym ją nazywasz? – zapytał mag. Znał prawdziwą Mowę Tworzenia, nigdy jednak nie słyszał języka kargijskiego.

– Therru oznacza Żar Ognia – odparła Tenar.

– Ach tak. – Jego oczy rozbłysły. Zmarszczył brwi. Przez chwilę zdawało się, że szuka właściwych słów. – Ona... Będą się jej bali.

– Już budzi ich lęk – stwierdziła z goryczą.

Czarnoksiężnik potrząsnął głową.

– Naucz ją, Tenar – szepnął. – Naucz ją wszystkiego. Nie Roke... Oni się boją... Czemu pozwoliłem ci odejść? Dlaczego odeszłaś? Aby

sprowadzić ją tutaj... za późno?

– Cicho już, cicho – uspokajała go czule, mag bowiem nadal zmagał się ze słowami i oddechem; i jedno, i drugie umykało mu bezlitośnie.

– Naucz ją... – wykrztusił i opadł na poduszki.

Nie chciał nic jeść, wypił jedynie odrobinę wody. Koło południa zasnął. Obudził się późnym popołudniem.

– Teraz, córko – rzekł i usiadł. – Pomóż mi wstać.

– Nie, jeszcze nie.

– Tak. Muszę wyjść. Nie mogę umrzeć pod dachem.

– Dokąd pójdziesz?

– Dokądkolwiek. Jeśli zdołam, na ścieżkę prowadzącą do lasu. Pod buk na skraju łąki.

Przekonawszy się, że ma dość sił, by wstać, i jest zdecydowany wydostać się z domu, pomogła mu. Razem dotarli do drzwi. Tam Ogion przystanął i rozejrzał się po jedynej izbie swojego domu. W mrocznym kącie na prawo od drzwi, wsparta o ścianę, czekała wysoka lśniąca laska czarnoksiężnika. Tenar sięgnęła ku niej, jednakże mag potrząsnął głową.

– Nie, nie chcę jej. – Ponownie powiódł wzrokiem, jakby czegoś mu brakowało, o czymś zapomniał. – Chodź – powiedział wreszcie.

Czując na twarzy rześki powiew zachodniego wiatru i widząc przed sobą odległy horyzont, westchnął.

– Jak dobrze.

– Zaczekaj, wezwę ludzi z wioski. Zbiją nosze i poniosą cię – powiedziała Tenar. – Wszyscy chcą coś dla ciebie zrobić.

– Wolę iść sam – odparł starzec.

Therru przybiegła z drugiej strony domu i patrzyła z powagą, jak Ogion i Tenar wędrują powoli, zatrzymując się co pięć, sześć kroków, aby Ogion mógł złapać oddech. Przemierzyli w ten sposób zarośniętą łąkę, kierując się w stronę lasu porastającego strome zbocza góry. Słońce przygrzewało, lecz wiatr niósł z sobą morski chłód. Przejście przez łąkę zabrało im bardzo dużo czasu. Gdy wreszcie dotarli do stóp młodego buka rosnącego pod lasem w miejscu, gdzie odchodziła ścieżka w górę, twarz Ogiona była szara, a jego nogi dygotały niczym szarpana wichrem trawa. Mag powoli osunął się

pomiędzy korzenie drzewa, plecami wsparty o pień. Przez długą chwilę nie mógł się ruszyć ani wydać z siebie głosu, a oszalałe bicie serca wstrząsało całym jego ciałem. Wreszcie skinął głową i szepnął:

– Już dobrze.

Therru dreptała za nimi w pewnej odległości. Tenar podeszła do małej i szepnęła jej coś do ucha. Wróciwszy do Ogiona, oznajmiła:

– Zaraz przyniesie koc.

– Nie jest mi zimno.

– Ale mnie jest. – Na jej twarzy zatańczył cień uśmiechu.

Wkrótce dziecko zjawiło się, dźwigając pod pachą koc z koziej wełny. Mała wyszeptała coś do opiekunki i odbiegła.

– Wrzos zajmie się nią, pozwoli jej pomóc przy dojeniu kóz – powiedziała Tenar. – Mogę więc zostać tu z tobą.

– Nigdy nie zadowalała cię jedna rzecz naraz – odparł szorstkim poświstującym szeptem.

– Istotnie. Zawsze musiałam upiec przy jednym ogniu co najmniej dwie pieczenie, a zazwyczaj nawet więcej. Teraz jednak jestem tutaj.

Skinął głową. Przez długi czas się nie odzywał. Przymknąwszy oczy, siedział wsparty o pień drzewa. Tenar widziała, jak jego twarz powoli się zmienia, w miarę jak słońce opada ku zachodowi.

W końcu otworzył oczy, zerkając poprzez wyrwę w zaroślach na zachodnie niebo. Wydawało się, że w odległej złocistej przestrzeni dostrzega coś wielkiego, coś niesłychanie istotnego.

– Smok... – szepnął z wahaniem.

Słońce zaszło, wiatr ucichł.

Ogion spojrzał na Tenar.

– To już koniec – wyszeptał w upojeniu. – Wszystko się zmieniło! Zmieniło, Tenar! Czekaj tu na... – Nagły dreszcz wstrząsnął jego ciałem, które zadygotało niczym gałąź na wietrze. Mag zachłysnął się, zamknął oczy, a potem otworzył je, spoglądając gdzieś poza Tenar. Położył rękę na jej dłoni, ona zaś nachyliła się ku niemu. Wówczas Ogion przemówił, zdradzając swoje imię, aby po śmierci ludzie poznali jego prawdziwe oblicze.

Ścisnął jej dłoń, zamknął oczy i raz jeszcze podjął walkę o oddech, póki w końcu nie umknęło mu ostatnie tchnienie. I leżał tak, niczym

jeden z korzeni drzewa, a kolejne gwiazdy zapalały się na niebie, przeświecając przez liście. Tenar siedziała w mroku obok martwego czarnoksiężnika. Po drugiej stronie łąki, niczym mały świetlik, zamigotała lampa. Kobieta okryła kocem siebie i zmarłego, jednakże jej dłoń nadal ściskająca palce maga stała się wkrótce zimna, jakby obejmowała kamień. Raz jeszcze dotknęła czołem jego ręki, po czym wstała, sztywna i oszołomiona, czując się dziwnie obco, i podążyła na spotkanie człowieka nadchodzącego w aureoli światła.

Tej nocy sąsiedzi czuwali u boku Ogiona, a on ich nie odprawił.

***

Dwór władcy Re Albi wznosił się na wysokich skałach na zboczu ponad Overfell. Wczesnym rankiem, na długo przedtem, nim słońce wynurzyło się zza kamiennego masywu, czarnoksiężnik służący władcy zszedł do wioski. Wkrótce potem na stromej drodze z Portu Gont pojawił się jeszcze jeden mag, który wyruszył ze swego domu przed świtem. Najwyraźniej dotarła do nich wieść, że Ogion jest umierający, albo też ich moc pozwalała wyczuć moment jego odejścia.

Wioska Re Albi nie mogła poszczycić się własnym czarnoksiężnikiem, jedynie czarownicą zajmującą się błahostkami, takimi jak naprawianie, odnajdywanie czy nastawianie złamanych kości – rzeczami niegodnymi uwagi Ogiona. Cioteczka Mech była ponurą, starą, niedomytą kobietą, niezamężną jak większość czarownic. Siwiejące włosy zawiązywała stale w osobliwe magiczne supły, oczy miała zaczerwienione od ziołowego dymu. To właśnie ona przybyła z lampą i wraz z Tenar oraz szóstką innych osób czuwała tej nocy przy ciele Ogiona. Jeszcze tam, w lesie, ustawiła na ziemi woskową świecę osłoniętą szklanym kloszem i spaliła słodkie olejki w glinianej miseczce; wypowiedziała też słowa, które winny zostać wypowiedziane – uczyniła to, co należało uczynić. Kiedy nadeszła chwila przygotowania ciała do pogrzebu, czarownica spojrzała na Tenar, jakby prosząc ją o pozwolenie, po czym zajęła się

wszystkim. Wioskowe czarownice zazwyczaj doglądały, jak to nazywano, przysposabiania zmarłych, a często także pogrzebów.

Kiedy na miejscu zjawił się czarnoksiężnik ze dworu, wysoki młodzieniec dzierżący w dłoni srebrzystą sosnową laskę, a po nim drugi, z Portu Gont, silny mężczyzna w średnim wieku z krótką laską z cisowego drewna, cioteczka Mech nawet na nich nie spojrzała. Skłoniła się tylko i uciekła, zbierając po drodze swe ubogie talizmany i amulety.

Gdy układała jak należy ciało do pogrzebu, na lewym boku, ze zgiętymi kolanami, wsunęła w otwartą lewą dłoń mały amulet, jakiś drobiazg owinięty w miękką koźlą skórkę przewiązaną barwną nicią. Czarnoksiężnik z Re Albi odepchnął ów drobiazg końcem laski.

– Czy grób został już wykopany? – spytał czarnoksiężnik z Portu Gont.

– Tak – odparł przybysz z Re Albi. – Przygotowano go na cmentarzu przy dworze mojego pana. – Wskazał wyniosłą budowlę na stoku.

– Rozumiem. Sądziłem, że nasz mag zostanie pochowany ze wszystkimi honorami w mieście, które ocalił od trzęsienia ziemi.

– Mój pan pragnie tego zaszczytu.

– Jednakże... – Czarnoksiężnik z Portu Gont urwał, nie chcąc się kłócić, ale nie zamierzając ustąpić żądaniom młodzieńca. Spojrzał w dół na zmarłego. – Musi zostać pochowany bezimiennie – rzekł z żalem i goryczą. – Szedłem przez całą noc, ale przyszedłem za późno. Fakt ten powiększa jeszcze naszą stratę.

Młody czarnoksiężnik milczał.

– Nazywał się Aihal – wtrąciła Tenar. – Jego życzeniem było spocząć tutaj, pod tym bukiem.

Obaj spojrzeli na nią. Młodszy, dostrzegłszy skromnie odzianą wieśniaczkę w średnim wieku, po prostu odwrócił głowę. Przybysz z Portu Gont wpatrywał się w nią przez moment. Wreszcie spytał:

– Kim jesteś?

– Nazywają mnie Gohą, wdową po Krzemieniu – odparła. – Kim zaś jestem, to już sam winieneś wiedzieć. Ja jednak nie powiem ani słowa.

Słysząc to, czarnoksiężnik z Re Albi zaszczycił ją przelotnym spojrzeniem.

– Uważaj, kobieto, jak się zwracasz do ludzi obdarzonych mocą!

– Chwileczkę. – Przybysz z Portu Gont uniósł dłoń, próbując uspokoić oburzonego młodzieńca. Ani na moment nie spuszczał wzroku z Tenar. – Byłaś... Byłaś kiedyś jego wychowanką...

– I przyjaciółką – dokończyła i odwróciła się. Zdumiał ją gniew rozbrzmiewający w jej własnym głosie, gdy wymawiała słowo „przyjaciółka". Przez chwilę przyglądała się swemu zmarłemu przyjacielowi czekającemu na to, by znaleźć się w ziemi, milczącemu, utraconemu. Oni stali nad nim żywi, przepełnieni mocą, jednakże nie ofiarowali przyjaźni, jedynie wyzwanie, złość, pogardę.

– Przepraszam – powiedziała w końcu. – Mam za sobą długą noc. Byłam przy nim, gdy umierał.

– To nie... – zaczął młody czarnoksiężnik, jednak w tym momencie niespodziewanie wtrąciła się cioteczka Mech, mówiąc głośno:

– Owszem, była. O tak, nikt inny, tylko ona. Posłał po nią, wyprawił młodego Townsenda, handlarza owiec, aby wezwał ją tu z podnóża góry. I zaczekał z własną śmiercią, póki nie przyszła i nie została z nim; a potem umarł, umarł tutaj, gdzie pragnął zostać pochowany.

– I powiedział ci... swoje imię? – zapytał przybysz z Portu Gont.

Tenar spojrzała na nich i dostrzegłszy niedowierzanie na twarzy starszego i pogardę młodszego, utraciła resztki szacunku dla obu.

– Wymówiłam je przy was – rzekła. – Czy muszę je powtórzyć?

Ku swemu zdumieniu z wyrazu ich oczu odgadła, że rzeczywiście nie usłyszeli owego imienia, prawdziwego imienia Ogiona, że w ogóle nie zwrócili na nią uwagi.

– Och – westchnęła. – Nastały złe czasy. Czasy, gdy imię tak wielkie może przemknąć niepostrzeżenie i przepaść jak kamień w wodzie! Czy słuchanie innych nie jest także mocą? Posłuchajcie zatem: nazywał się Aihal. Jego imię w śmierci brzmi Aihal. W pieśniach będzie znany jako Aihal z Gontu, jeśli w ogóle powstaną jeszcze jakieś pieśni. Był cichym, milczącym człowiekiem. Teraz umilkł na zawsze. Może nie będzie już więcej pieśni, tylko cisza. Nie wiem; jestem zmęczona. Straciłam dziś ojca i najdroższego

przyjaciela. – Głos jej się załamał, gardło ścisnął nagły szloch. Odwróciwszy się, by odejść, ujrzała na ścieżce mały amulet zrobiony przez cioteczkę Mech. Podniosła go, uklękła obok ciała, ucałowała otwartą lewą dłoń i włożyła w nią zawiniątko. Wciąż na kolanach uniosła wzrok ku obu czarnoksiężnikom. – Czy dopilnujecie, aby wykopano mu grób tutaj, tak jak sobie tego życzył?

Najpierw starszy mężczyzna, potem młodzieniec przytaknęli bez słowa.

Tenar wstała, przygładziła spódnicę i w blasku porannego słońca odeszła przez łąkę.

4

Kalessin

„Zaczekaj – powiedział do niej Ogion, który w istocie był Aihalem, tuż przedtem, nim wiatr śmierci wstrząsnął nim i oderwał od drzewa życia. – To już koniec! Wszystko się zmieniło! – A potem: – Czekaj tu na...”. Nie powiedział, na co powinna zaczekać. Może na zmianę, którą wyczuł bądź rozpoznał? Ale jaka to zmiana? Czy miał na myśli własną śmierć? Swoje życie, które się kończyło? Mówił z radością, z triumfem. Zobowiązał ją do czekania.

Co innego mam do roboty? – spytała samą siebie, zamiatając podłogę jego domu. Cóż innego kiedykolwiek robiłam? I zwracając się w myślach do wspomnienia maga, dodała: Czy powinnam zostać tu, w twoim domu?

Tak, odparł Aihal Milczący, uśmiechając się w ciszy.

Zatem uprzątnęła dom, wyczyściła palenisko i przewietrzyła sienniki. Wyrzuciła obtłuczone i wyszczerbione naczynia i cieknący rondel, jednakże obchodziła się z nimi delikatnie. Przytuliła nawet policzek do pękniętego talerza, wynosząc go na śmietnisko, stanowił on bowiem dowód postępującej choroby starego maga. Czarnoksiężnik zawsze prowadził skromne, proste życie, niczym zwykły biedny wieśniak, dopóki jednak jego wzrok pozostawał bystry, a mięśnie silne, nigdy nie jadłby z wyszczerbionego talerza, nie używał dziurawego garnka. Owe oznaki słabości maga zasmucały ją, żałowała, że nie było jej wówczas przy nim.

Chętnie bym się tobą zajęła, powiedziała do zachowanego w umyśle wspomnienia, on jednak nic nie odrzekł. Nigdy by się nie zgodził, by ktoś się nim zajmował. Czy odesłałby ją ze słowami: „Masz ważniejsze rzeczy na głowie”? Nie wiedziała. Zazwyczaj wolał milczeć, jednakże była pewna, że uczyniła słusznie, zostając w jego domu.

Shandy i jej stary mąż, Potok, który mieszkał w Dolinie Środkowej dłużej niż ona, zajmą się zwierzętami i sadem. Drugie małżeństwo dzierżawców, Tiff i Sis, zbierze plony. Reszta spraw będzie musiała przez jakiś czas obyć się bez niej. Miejscowa dzieciarnia z pewnością obje do czysta krzaki malin. Szkoda, Tenar bardzo lubiła maliny. Tu w górze, na Overfell smaganym morskim wiatrem, było zbyt zimno, by je hodować, natomiast stare brzoskwiniowe drzewko Ogiona, rosnące w osłoniętym załomie muru po południowej stronie, zrodziło osiemnaście owoców. Therru obserwowała je niczym zgłodniały kot myszy, aż w końcu pewnego dnia przyszła do domu i oznajmiła swym zgrzytliwym głosem:

– Dwie brzoskwinie są rumiane.

– Ach, tak – westchnęła Tenar. Podeszły do drzewka, zerwały dwa pierwsze dojrzałe owoce i zjadły je, nieobrane ze skórki. Słodki sok ściekał im po brodach. Oblizały palce.

– Czy mogę ją zasadzić? – spytała Therru, trzymając w ręku pomarszczoną brzoskwiniową pestkę.

– Oczywiście. To dobre miejsce, w pobliżu starego drzewa. Ale nie za blisko, tak aby sobie nie przeszkadzały rosnąć.

Dziewczynka wybrała odpowiednie miejsce i wykopała niewielki dołek. Złożyła w nim pestkę, po czym zasypała ją ziemią. Tenar obserwowała małą uważnie. W ciągu kilku dni, odkąd tu zamieszkały, Therru się zmieniła. Nadal pozostała obojętna, nie okazywała gniewu ani radości, ale od czasu przybycia do Re Albi jej nadmierna czujność i nienaturalna sztywność nieco zelżały. Na Dębowej Farmie nie lękała się jedynie dwóch osób – Tenar i Skowronek. Tutaj szybko przywykła do obecności Wrzos, pasterki z Re Albi, dwudziestolatki obdarzonej donośnym głosem i niezbyt lotnym umysłem, traktującej dziecko jak jeszcze jedną kózkę ze swego stada. Cioteczka Mech także małej nie przerażała. Nieważne, że mocno cuchnęła.

Kiedy Tenar po raz pierwszy zjawiła się w Re Albi, Mech nie była jeszcze starą czarownicą, tylko młodą dziewczyną. Kłaniała się wtedy, dygała i uśmiechała do „młodej damy", Białej Pani, wychowanki i uczennicy Ogiona, zwracając się do niej zawsze z najwyższym szacunkiem. Tenar jednak wyczuwała, że ów szacunek jest fałszywy i przesłania zazdrość, niechęć i nieufność. Aż za dobrze znała te uczucia, doświadczywszy ich w nadmiarze od kobiet, nad którymi dano jej władzę; kobiet uważających się za zwyczajne, a ją za niezwykłą, uprzywilejowaną. Czy to jako kapłanka Grobowców Atuanu, czy jako cudzoziemska wychowanica maga z Gontu, stała samotna ponad innymi. Mężczyźni obdarzyli ją mocą, dzielili się z nią własną siłą. Kobiety spoglądały na nią z daleka, czasem wyzywająco, często z odrobiną pogardy.

Czuła się wówczas jak wyrzutek. I tak jak wcześniej uciekła przed mocami pustynnych grobów, później umknęła mocom nauki i wiedzy ofiarowanej jej przez opiekuna, Ogiona. Odwróciła się plecami do tego wszystkiego i przeszła na drugą stronę, do sąsiedniej komnaty, w której mieszkały kobiety – by stać się jedną z nich, żoną rolnika, matką, gospodynią przyjmującą na siebie moc, z którą rodzi się każda kobieta; moc użyczoną jej przez ludzkie zwyczaje.

I tam, w Dolinie Środkowej, Goha, żona Krzemienia, została przyjęta przez kobiety z otwartymi ramionami. Co prawda była cudzoziemką, białoskórą i mówiącą z nieco dziwnym akcentem, lecz jednocześnie okazała się dobrą gospodynią i świetną prządką, matką wychowującą zdrowe grzeczne dzieci i wspaniale prowadzącą dom, godną szacunku niewiastą. Wśród mężczyzn zaś znana była jako kobieta Krzemienia i robiła wszystko, co przystoi żonie: słała łóżka, rodziła dzieci, piekła, gotowała, sprzątała, szyła, służyła. Dobra kobieta. Zaaprobowali ją. A jednak Krzemień dobrze trafił, powtarzali. Ciekawe, jak wygląda taka jasna kobieta, czy cała jest biała? – pytały ich oczy, mierzące ją ciekawie, póki się nie zestarzała. Wówczas przestali ją dostrzegać.

Teraz wszystko się zmieniło. Przeszłość odeszła. Odkąd wraz z cioteczką Mech czuwały razem przy Ogionie, czarownica dała jasno do zrozumienia, że zostanie jej przyjaciółką, służką, pomocnicą – czegokolwiek Tenar sobie zażyczy. Tenar nie była pewna, czego chce

od czarownicy, uważała ją bowiem za nieprzewidywalną i niegodną zaufania, tajemniczą, zapalczywą, niemądrą, przebiegłą i brudną. Jednakże Mech świetnie radziła sobie z poparzonym dzieckiem. Może to właśnie ona spowodowała ową odmianę, niemal niedostrzegalne odprężenie Therru. W jej obecności dziewczynka zachowywała się jak przy innych – obojętna, milcząca, posłuszna w sposób, jakim można nazwać posłuszny martwy przedmiot, kamień. Lecz stara czarownica nie rezygnowała, częstując ją słodyczami i ofiarowując małej skarby, przekupując, zachęcając, napraszając się.

– Chodź z cioteczką Mech, skarbie. Chodź, cioteczka pokaże ci najpiękniejszą rzecz, jaką kiedykolwiek widziałaś...

Mech miała haczykowaty nos, niemal stykający się z bezzębną szczęką i cienkimi wargami; na policzku brodawkę rozmiarami dorównującą dziecinnym babkom z piasku; jej włosy stanowiły szaro-czarną plątaninę magicznych supłów i cienkich kosmyków, całą postać zaś otaczała silna, intensywna i bogata woń niczym smród lisiej jamy. „Chodź ze mną do lasu, skarbie – powiadają stare wiedźmy w opowiastkach dla dzieci. – Chodź, pokażę ci coś ładnego". A potem czarownica zatrzaskuje dziecko w piecu i piecze, dopóki nie zbrązowieje, albo też wpuszcza je do studni, gdzie dzieciak przez wieki podskakuje i szlocha z rozpaczy, albo usypia mała dziewczynkę na sto lat wewnątrz wielkiego głazu, póki w końcu nie zjawi się królewski syn, książę czarodziej, by jednym słowem strzaskać kamień, przebudzić pocałunkiem dziewicę i zabić złą wiedźmę.

„Chodź ze mną, skarbie", mówiła Mech i zabierała dziecko na pola, pokazując jej gniazdo skowronka wśród zielonych zbóż. Razem przemierzały mokradła, zbierając zioła, dziką miętę i jagody. Mech nie musiała wsadzać dziewczynki do piekarnika ani zamieniać ją w potwora czy więzić w kamieniu. Ktoś zrobił to za nią.

Traktowała Therru uprzejmie, wręcz narzucając się ze swą sympatią. Kiedy były razem, wiele mówiła do dziecka. Tenar nie wiedziała, dlaczego Mech rozmawia z małą i uczy ją; nie miała też pojęcia, czy powinna zezwolić, by czarownica wypełniała swymi historiami główkę dziecka. „Słabe jak kobiece czary, złośliwe jak kobiece czary" – setki razy słyszała to powiedzonko. I w istocie

widziała nieraz, jak sztuczki kobiet, takich jak Mech czy Bluszcz, okazywały się nierozsądne, a nawet niecne – w zamierzeniach bądź przez ignorancję. Wiejskie wiedźmy, choć znały wiele zaklęć i uroków oraz część kanonu pieśni, nigdy nie pobierały nauk w zakresie wyższych kunsztów czarnoksięskich i nie poznawały zasad prawdziwej magii. Żadna kobieta nie odebrała nigdy podobnego wykształcenia; magia pozostawała domeną mężczyzn, ich rzemiosłem. To oni odprawiali prawdziwe czary. Nigdy nie istniała kobieta mag, a choć nieliczne nazywały się czarodziejkami, ich moc pozostawała surowa, ot, zwykła siła pozbawiona wszelkiego szlifu; po części beztroska, po części niebezpieczna.

Przeciętna wioskowa czarownica, jak Mech, żyła dzięki znajomości kilku słów w Prawdziwej Mowie, przekazywanych niczym skarb z pokolenia na pokolenie bądź kupowanych za słoną cenę od wędrownych czarodziejów. Dołączała do nich zasób najprostszych zaklęć odszukujących i naprawiających, wiele bezsensownych rytuałów i tajemniczego bełkotu, gruntowną znajomość położnictwa, nastawiania złamanych kości i leczenia chorób nękających ludzi i zwierzęta – a wszystko zbudowane na fundamencie wrodzonego talentu do uleczania i śpiewania, odmieniania bądź rzucania uroków. Podobna mieszanka mogła być dobra albo zła. Część wiedźm pogrążała się w goryczy – gotowe wyrządzać innym szkody, nie znały powodów, które mogłyby powstrzymać je przed krzywdzeniem zwykłych ludzi. Większość pełniła rolę położnych i uzdrowicielek, trzymając w zapasie kilka napojów miłosnych, amuletów zsyłających płodność i zaklęć zwiększających potencję. Życie nauczyło je cynizmu. Nieliczne, które posiadły dość mądrości, chociaż nie pobierały nauk, wykorzystywały swój dar wyłącznie do czynienia dobra, choć w odróżnieniu od najmarniejszego nawet czarownika nie potrafiły wyjaśnić, co nimi kieruje, i nie mając pojęcia o Równowadze i Źródłach Sił, przywoływały te pojęcia, usiłując usprawiedliwiać nimi własne działania bądź ich zaniechanie.

– Słucham mojego serca – powiedziała jedna z kobiet, kiedy Tenar była jeszcze uczennicą i wychowanką Ogiona. – Pan Ogion to wielki mag. Ucząc cię, czyni ci wielki zaszczyt. Jednakże powiedz sama,

moje dziecko – czy wszystko, czego cię nauczył, nie sprowadza się w istocie do jednego: słuchaj głosu serca?

Tenar nawet wtedy uważała, że owa mądra kobieta ma rację, choć nie do końca; coś zostało pominięte. I nadal tak sądziła.

Obserwując Mech bawiącą się z Therru, pomyślała teraz, że czarownica słucha swego serca, jednakże jest ono mroczne, dzikie, niesamowite jak kruk i podąża własnymi ścieżkami ku własnym celom. Pomyślała też, że Mech może pociągać w Therru nie tylko grzeczność, ale też świadomość krzywd, które wyrządzono dziewczynce, urazów, do jakich doprowadziły przemoc i ogień.

Nic jednak nie wskazywało na to, by Therru od cioteczki Mech nauczyła się czegoś poza znajomością miejsc, w których gniazduje skowronek i dojrzewają jagody. Poznała także tajemnicę jednoręcznej kociej kołyski. Prawa dłoń Therru została do tego stopnia przeżarta przez ogień, że po wyleczeniu przypominała rodzaj pałki zakończonej krabimi szczypcami. Lecz cioteczka Mech dysponowała zdumiewającym zasobem kocich kołysek oraz wierszyków towarzyszących poszczególnym układom:

Żar, żar, złoty żar!
Pal, pal, ogniu, pal!
Przybywaj, smoku, sam!

I sznurek układał się w cztery trójkąty, które następnie zmieniały się w kwadrat. Therru nigdy nie śpiewała głośno, lecz Tenar słyszała, jak dziewczynka szepcze cichutko wierszyk, samotnie manipulując sznurkiem na progu domu maga.

Co właściwie łączy mnie z tym dzieckiem oprócz litości? – pomyślała Tenar. Sumienie nakazujące pomóc bezradnym? Gdyby nie przyjęła jej do siebie, Skowronek z pewnością zajęłaby się małą. Jednakże bez niczyjej prośby zaopiekowała się dziewczynką. Czy postępowała zgodnie z nakazem serca? Ogion nie pytał jej o małą, powiedział jednak: „Będą się jej bali”, Tenar zaś odparła: „Już budzi ich lęk”. Miała rację. Może sama obawiała się dziecka, podobnie jak okrucieństwa, gwałtu, pożaru? Czy związał je ze sobą lęk?

– Goha – odezwała się Therru, przysiadłszy na piętach pod brzoskwiniowym drzewkiem; ani na moment nie odrywała wzroku od skąpanego w słońcu kawałka twardej ziemi, gdzie posadziła pestkę brzoskwini. – Czym są smoki?

– To potężne stworzenia – odparła Tenar. – Przypominają jaszczurki, ale są dłuższe niż statek. Większe niż dom. Skrzydlate jak ptaki. Wydmuchują z nozdrzy ogień.

– Przylatują tutaj?

– Nie.

Therru nie zapytała o nic więcej.

– Czy cioteczka Mech opowiadała ci o smokach?

Dziewczynka potrząsnęła głową.

– Ty to zrobiłaś.

– Ach tak – westchnęła Tenar. Po chwili dodała: – Brzoskwinia, którą zasadziłaś, potrzebuje wody, aby urosnąć. Musisz podlewać ją co dzień, aż do nastania pory deszczów.

Therru pobiegła za węgieł domu w stronę studni. Jej nogi i stopy były idealne, nietknięte przez ogień. Tenar lubiła patrzeć, jak dziewczynka biega i chodzi. Jej ciemne, zakurzone bose stópki uderzały miarowo o ziemię. Po chwili wróciła z konwią starego maga, z trudem dźwignęła ją do góry i ziemię, gdzie zakopała pestkę, skąpała w miniaturowym potopie wody.

– Pamiętasz zatem opowieść o czasach, gdy ludzie i smoki tworzyli jedno plemię... Podobno ludzie przybyli tu, na wschód, natomiast smoki pozostały na wyspach dalekiego zachodu. A to bardzo daleko stąd.

Therru przytaknęła. Wydawało się, że nie słucha, kiedy jednak Tenar, wymawiając słowa „wyspy dalekiego zachodu”, wskazała w stronę morza, mała obróciła się ku odległemu jasnemu horyzontowi, widocznemu pomiędzy rzędami wspartej na tyczkach fasoli i niewielką stajenką.

Na dachu szopy pojawiła się koza i ustawiwszy się do nich profilem, dumnie uniosła głowę. Najwyraźniej uważała się za przedstawicielkę prawdziwych górskich kozic...

– Sippy znowu uciekła – mruknęła Tenar.

– Hessss! Hessss! – krzyknęła Therru, naśladując okrzyk pasterki zwołującej stado na łące. W tym momencie obok płotu ukazała się Wrzos we własnej osobie. Syknęła „hessss” do kozy, która jednak zupełnie ją zignorowała, z namysłem skubiąc poczerniałe gonty.

Tenar pozostawiła je, aby bawiły się w berka z kozą. Sama poszła ścieżką w stronę skraju urwiska i dalej wzdłuż niego. Dom Ogiona stał w pewnej odległości od wioski, bliżej przepaści. Strome, porośnięte trawą zbocze przecinały od czasu do czasu skalne półki i występy, na których wypasano kozy. W miarę podążania na północ stok stawał się coraz bardziej stromy, niemal pionowy. Na ścieżce spod warstwy gleby wynurzała się skała i po pokonaniu jakiejś mili Overfell zwężało się do wąskiej półki z czerwonego piaskowca, wiszącej wysoko nad morzem.

Na jego końcu nie rosło nic poza porostami, skalnymi ziołami i paroma błękitnymi stokrotkami; barwnymi plamkami na tle szorstkich kruchych skał. Na północy i wschodzie, za wąskim pasmem mokradeł, wznosiły się ciemne, przytłaczające zbocza góry Gont, niemal po szczyt porośnięte gęstą puszczą. Urwisko z tak wysoka spoglądało na zatokę, że trzeba było schylić głowę, by dostrzec jej brzegi i zamglone niziny Essary. Za nimi, na południu i zachodzie, nie widziało się nic oprócz bezmiaru nieba i morza.

Tenar lubiła tu przychodzić, kiedy jeszcze mieszkała w Re Albi. Ogion kochał te lasy, ona jednak, która spędziła dzieciństwo na pustyni, gdzie jedynymi drzewami w promieniu stu mil były karłowate jabłonki i drzewka brzoskwiniowe, podlewane ręcznie przez niekończące się lata, gdzie nie rosło nic soczyście zielonego, gdzie nie było niczego poza murami, rozległą równiną i niebem – ona wolała krawędź urwiska. Podobało jej się, że ma nad głową niezasłonięte niebo.

Porosty, szare skalne ziele, pozbawione łodyżek stokrotki. Je także lubiła, były czymś znajomym. Usiadła na skalnej półce niedaleko od krawędzi, spoglądając na morze jak kiedyś, dawno temu. Słońce przygrzewało mocno, lecz lekki wietrzyk ochładzał jej spoconą twarz i ramiona. Wsparta na rękach, odchyliła się do tyłu, nie myśląc o niczym. Czuła, jak wypełnia ją słońce, wiatr, niebo i morze, sprawiając, że staje się wobec nich bezbronna, przezroczysta. Naraz

poczuła lekkie ukłucie na grzbiecie dłoni. Obejrzała się i ujrzała maleńki krzaczek ostu w szczelinie piaskowca, ledwie odrosły od ziemi, unoszący ku światłu swe bezbarwne kolce. Poruszony powiewem wiatru skłonił sztywno główkę, stawiając opór fali powietrza, zakorzeniony w skale. Przyglądała mu się przez długi czas.

Kiedy ponownie spojrzała na morze, w błękitnej mgiełce skrywającej horyzont, tam gdzie ocean spotyka się z niebem, dostrzegła odległy punkcik wyspy Oranei; najbardziej na wschód wysuniętej z Wysp Wewnętrznych.

Pogrążona w półśnie wpatrywała się w słaby, ulotny kształt, póki w końcu jej uwagi nie przyciągnął ptak lecący z zachodu. Nie była to mewa, ptak bowiem frunął zbyt pewnie, a jak na pelikana unosił się zbyt wysoko. Czyżby dzika gęś, a może albatros, rzadki przybysz znad morskich przestworzy, który postanowił odwiedzić dalekie wyspy? Obserwowała miarowe bicie skrzydeł, wysoko na oślepiająco jaskrawym niebie. Po chwili dźwignęła się z miejsca i cofnęła nieco od krawędzi urwiska. Stała tam bez ruchu, serce waliło jej jak młotem, a oddech wiązł w gardle. I patrzyła na długie, giętkie, czarne jak żelazo ciało szybujące na wielkich błoniastych skrzydłach, czerwonych jak ogień. Widziała wysunięte szpony, smużki dymu rozpływające się w powietrzu.

Stwór leciał wprost na Gont, celując w Overfell i w nią. Wkrótce dostrzegła połysk rdzawoczarnych łusek, błysk podłużnego oka, czerwony ognisty jęzor między rozchylonymi szczękami. Wiatr przyniósł swąd spalenizny. Smok, skręcając, aby wylądować na skalistej półce, z ogłuszającym sykiem wypuścił z paszczy słup ognia.

Jego szpony uderzyły o kamień. Kolczasty ogon drgnął i zagrzechotał na skale. Skrzydła, szkarłatne w miejscach, gdzie przeświecały przez nie promienie słońca, zaszeleściły, układając się wzdłuż porośniętych łuską boków. Głowa odwróciła się powoli. Smok spojrzał na kobietę, która stała tam, w zasięgu ostrych jak sztylety pazurów. Kobieta patrzyła na smoka, czuła żar bijący od jego cielska.

Mówiono jej, że człowiek nie powinien spoglądać w smocze oczy, jednakże nie przejęła się owymi przestrogami. Gad patrzył prosto

na nią swymi żółtymi ślepiami wyglądającymi spod łuski, lśniącymi ponad wąskim pyskiem i rozedrganymi, dymiącymi chrapami. Ale drobna łagodna twarz kobiety nadal zwracała się w jego stronę, a ciemne oczy patrzyły bez lęku.

Oboje milczeli.

Smok nieco przekręcił głowę, tak by oddechem nie wyrządzić jej krzywdy. Wreszcie przemówił, a może zaśmiał się – wydając z siebie ogłuszające „ha!" w powodzi pomarańczowych płomieni.

Powoli przysiadł na skale.

– *Ahi varaihe, Ged* – powiedział miękko głosem pełnym dymu; nie ona jednak była adresatką jego słów. W olbrzymiej paszczy przez moment zamigotał język. Smok opuścił głowę.

Wówczas Tenar po raz pierwszy dostrzegła dosiadającego go człowieka, przycupniętego w zagłębieniu pomiędzy dwoma wysokimi kolcami wyrastającymi z kręgosłupa bestii, tuż nad barkami, u nasady skrzydeł. Człowiek ten zaciskał dłonie na rdzawoczarnej kolczudze osłaniającej smoczy kark, głowę opierał o podstawę ostrego kolca, jakby spał.

– *Ahi eheraihe, Ged!* – powiedział smok nieco głośniej. Jego wąski pysk zdawał się uśmiechać, ukazując zęby długie niczym przedramię Tenar, o białych ostrych końcach.

Dosiadający go człowiek ani drgnął. Smok obrócił głowę i ponownie spojrzał na Tenar.

– *Sobriost* – rzekł i jego głos zabrzmiał niczym zgrzyt stali o stal.

Tenar znała to słowo w Mowie Tworzenia. Ogion nauczył ją wielu przydatnych wyrazów w tym języku. Wejdź na górę, polecił smok, wsiadaj! I Tenar ujrzała przed sobą stopnie: szponiastą stopę, zagięcie łapy, staw łokciowy, pierwsze mięśnie skrzydła – cztery kolejne szczeble.

Ona także mruknęła „ha!", nie śmiała się jednak, próbowała jedynie złapać powietrze, które grzęzło jej w gardle. Na moment schyliła głowę, aby opanować narastającą słabość. Następnie ruszyła naprzód, wymijając pazury i długi, pozbawiony warg pysk oraz żółte oko. Posłusznie wspięła się na grzbiet smoka. Przybysz nie poruszył się, z pewnością jednak jeszcze żył, smok bowiem przyniósł go tu i przemówił do niego.

– Chodź – powiedziała, wzięła go za rękę. – No chodź, Ged. Zejdź...

Przybysz uniósł lekko głowę. Oczy miał otwarte, ale nic nie widział. Musiała go okrążyć; gorąca szorstka łuska boleśnie zadrapała jej nogi. Tenar powoli rozgięła palce jego prawej ręki, zaciśnięte wokół rogowego guza u podstawy jednego z kolczastych wyrostków. Zmusiła Geda, aby chwycił ją pod ramię, by mogła sprowadzić go, a raczej ściągnąć po czterech stopniach na ziemię.

Ocknął się na tyle, że próbował się jej uchwycić, lecz brakło mu sił. Zsunął się z grzbietu smoka na skały bezwładnie niczym worek i legł nieruchomo.

Smok odwrócił swą gigantyczną głowę i w całkowicie zwierzęcym odruchu trącił go nosem, węsząc głośno.

Następnie wyprostował szyję, uniósł skrzydła z głośnym metalicznym zgrzytem. Odsunął szponiaste łapy od Geda, przenosząc się bliżej krawędzi urwiska. Wygiąwszy grzebieniastą szyję, raz jeszcze spojrzał wprost na Tenar i głosem przypominającym ryk płomieni w pustym piecu przemówił:

– *Thesse Kalessin.*

Wiatr od morza ze świstem załamywał się na powierzchni błoniastych smoczych skrzydeł.

– *Thesse Tenar* – odpowiedziała drżącym głosem.

Smok odwrócił wzrok na zachód. Jego długie ciało zadrżało do wtóru szczęku żelaznych łusek. Nagle gwałtownie rozpostarł skrzydła, przycupnął i zeskoczył w przepaść, szybując z wiatrem. Potężny ogon śmignął w powietrzu, pozostawiając długą rysę wyrytą w piaskowcu. Dwa uderzenia czerwonych skrzydeł wystarczyły, by Kalessin znalazł się daleko nad wodą.

Tenar odprowadziła go wzrokiem, póki nie stał się tylko odległym punkcikiem, maleńkim niczym dzika gęś albo mewa. W powietrzu czuć było chłód. Przedtem nie zwracała na to uwagi, od smoczego ciała bowiem bił żar niczym z otwartego paleniska. Sprawiały to wewnętrzne smocze ognie. Zadrżała. Przysiadła obok Geda i rozpłakała się, ukrywając twarz w dłoniach. Szlochała głośno.

– Co mam robić?! – krzyknęła. – Co teraz?

Po chwili otarła rękawem nos i oczy, odgarnęła włosy z twarzy. Ged leżał nieruchomo na nagiej skale. Westchnęła. Powinna szukać pomocy, a to oznaczało, że musiałaby go pozostawić na skałach samego. Pomyślała z lękiem, że leży zbyt blisko przepaści. Gdyby próbował wstać, słaby i otępiały, mógłby łatwo runąć w dół. Co robić? Dotknęła jego twarzy; nie zareagował. Chwyciła go zatem pod pachy i spróbowała przeciągnąć. Ku jej zdumieniu nie ważył wiele. Zaciskając zęby, przesunęła go o cztery, pięć kroków, z nagiej skalnej półki na rozgrzaną słońcem ziemię. Wysokie suche trawy dawały przynajmniej złudzenie osłony. Tam musiała go zostawić. Nie mogła biec, bo nogi uginały się pod nią, a oddech nadal rwał się niczym szloch. Najszybszym krokiem, na jaki było ją stać, wróciła do domu Ogiona. Zaczęła krzykiem wzywać Wrzos, Mech i Therru.

Dziewczynka wypadła zza obórki, jak zwykle posłuszna wezwaniu opiekunki.

– Therru, pobiegnij do wioski i sprowadź tu ludzi. Kogoś silnego. Na urwisku leży nieprzytomny człowiek.

Therru nie drgnęła. Nigdy dotąd nie wyprawiała się do wioski sama. Zamarła, rozdarta pomiędzy lękiem a posłuszeństwem. Tenar dostrzegła to i dodała:

– Czy jest tu gdzieś cioteczka Mech? Albo Wrzos? We trzy zdołamy go przynieść. Tylko szybko, Therru. Szybko!

Miała wrażenie, że jeśli zostawi Geda bez pomocy, mag z pewnością umrze: runie w przepaść, zostanie porwany przez smoki; wszystko mogło się wydarzyć. Musiała się spieszyć. Krzemień zmarł na udar, pracując w polu, a jej przy nim nie było. Umarł samotnie, pasterz znalazł go leżącego obok bramy. Ogion także odszedł, a ona nie potrafiła uchronić go przed śmiercią, nie potrafiła mu pomóc. Ged wrócił do domu, by umrzeć. I choćby to był koniec wszystkiego, choćby nie pozostało już nic do zrobienia, musiała jakoś zapobiec jego śmierci.

– Szybko, Therru! Przyprowadź kogoś.

Roztrzęsiona, sama ruszyła w stronę wioski, jednakże wkrótce zobaczyła Mech spieszącą przez pastwisko i machającą trzymaną w dłoni głogową laską.

– Wzywałaś mnie, złociutka?

Obecność czarownicy przyniosła jej niewysłowioną ulgę. Tenar zaczęła oddychać normalnie, mogła już jasno myśleć. Mech nie traciła czasu na pytania. Słysząc, że na skałach leży nieprzytomny, którego należy przenieść, pochwyciła ciężką płócienną poszwę siennika, którą Tenar wyłożyła do wietrzenia, i dźwigając ją, ruszyła w stronę Overfell. Gdy dotarły na urwisko, wsunęły na nią bezwładne ciało i powlokły je z trudem w stronę domu. Wówczas zjawiła się Wrzos, za którą postępowały Therru i Sippy. Pasterka była młoda i silna; z jej pomocą zdołały unieść kawał płótna, by służyło niczym nosze.

W domu Ogiona Tenar i Therru spały w alkowie po zachodniej stronie długiej pojedynczej izby. Po drugiej stronie stało jedno łóżko zasłane lnianą kapą. Tam złożyły nieprzytomnego. Tenar nakryła go kocem Ogiona, podczas gdy Mech mamrotała zaklęcia. Wrzos i Therru przyglądały im się bez słowa.

– Zostawmy go – poleciła Tenar i zaprowadziła kobiety do frontowej części domu.

– Kto to jest? – spytała Wrzos.

– I co robił na Overfell? – dodała Mech.

– Znasz go. Był kiedyś uczniem Ogiona... to znaczy Aihala.

Czarownica potrząsnęła głową.

– Mówisz o chłopaku z Dziesięciu Olch, moja złociutka. Tym, który został Arcymagiem na Roke.

Tenar przytaknęła.

– Nie, złociutka – zaprotestowała Mech. – Wygląda jak on, ale to nie on. Ten człowiek nie jest magiem. Ani nawet czarodziejem.

Wrzos z zaciekawieniem wodziła oczami od jednej twarzy do drugiej. Zazwyczaj nie rozumiała tego, o czym mówiono, ale lubiła słuchać.

– Ależ ja go znam, Mech. To Krogulec. – Użytkowe imię Geda sprawiło, że ogarnęło ją nagłe wzruszenie. Po raz pierwszy naprawdę poczuła, że to on, i zrozumiała, że mimo lat, jakie upłynęły od dnia, gdy ujrzała go po raz pierwszy, istniała między nimi nierozerwalna więź. Dawno temu dostrzegła światło błyszczące niczym gwiazda w mroku podziemi i jego twarz oświetloną owym blaskiem. – Znam

go, Mech. – Uśmiechnęła się, wpierw nieśmiało, a potem szeroko. – Był pierwszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziałam.

Mech mruknęła coś, poruszając się niespokojnie. Nie chciała zaprzeczać słowom „pani Gohy", wyraźnie jednak pozostała nieprzekonana.

– Istnieją sztuczki, przebrania, przemiany, złudzenia… lepiej bądź ostrożna, złociutka. Jak trafił tam, gdzie go znalazłaś, wysoko na szczyt? Czy ktokolwiek widział, jak przybył do wioski?

– Żadna z was nie zauważyła...

Patrzyły na nią. Próbowała powiedzieć „smoka", ale nie mogła. Jej wargi, język odmawiały wypowiedzenia tego słowa. Zamiast tego ułożyły się w inny wyraz, zrodzony z jej ust i oddechu.

– ...Kalessina? – dokończyła wreszcie.

Therru przyglądała się jej uważnie. Z całej postaci dziecka zdawała się promieniować fala ciepła, wręcz żaru, jakby małą ogarnęła gorączka. Dziewczynka milczała, jednak jej wargi poruszyły się, jakby powtarzała zasłyszane imię. Powietrze wokół niemal płonęło.

– Sztuczki – rzuciła Mech. – Teraz, kiedy nasz mag odszedł, zaczną pojawiać się oszuści.

– Przybyłam z Atuanu do Havnoru, z Havnoru na Gont, w otwartej łodzi, tylko z Krogulcem – odparła cierpko Tenar. – Widziałaś go, kiedy mnie tu przywiózł, Mech. Nie był wówczas Arcymagiem, ale to ten sam człowiek. Czy istnieją na świecie podobne blizny?

W obliczu jej gniewu starsza kobieta ustąpiła. Zerknęła na Therru.

– Nie – przyznała. – Ale...

– Sądzisz, że bym go nie poznała?

Usta czarownicy skrzywiły się w ostrym grymasie. Stara kobieta zmarszczyła czoło i spuściła wzrok, zacierając dłonie.

– Są na świecie złe istoty, pani – rzekła. – Istnieje stwór opanowujący ciało człowieka, pożerający jego duszę...

– Gebbeth?

Mech skuliła się, słysząc to słowo.

– Powiadają, że kiedyś, zanim jeszcze tu przybyłaś, mag Krogulec zjawił się na wyspie, a wraz z nim mroczny stwór podążający jego śladem. Może za nim idzie? Może...

– Smok, który go tu przywiózł – wtrąciła Tenar – nazwał go jego prawdziwym imieniem. Ja także je znam. – W jej głosie dźwięczał gniew spowodowany uporem i podejrzliwością czarownicy.

Mech nie odpowiedziała. Milczenie stanowiło lepszy argument niż jakiekolwiek słowa.

– Może padający nań cień to śmierć? Może Krogulec umiera? – dodała Tenar. – Nie wiem. Gdyby tylko Ogion...

Na myśl o starym magu ponownie ogarnął ją nieznośny żal, uświadomiła sobie bowiem, że Ged przybył za późno. Przełknęła łzy i poszła do skrzynki z drwami, wybierając szczapki na opał. Poleciła Therru napełnić kociołek, dotykając przelotnie jej twarzy. Pomarszczone, guzowate blizny wydawały się dziwnie ciepłe, ale dziecko nie miało gorączki. Tenar uklękła, by rozpalić ogień. Ktoś w tym wspaniałym gospodarstwie – złożonym z wdowy, wiedźmy, kaleki i głuptaski – musiał zrobić to, co winno zostać zrobione, i nie przerazić dziecka płaczem. Smok odleciał. Czy teraz miały już tylko czekać na śmierć?

5

Polepszenie

Leżał jak martwy, ale wciąż żył. Gdzie się podziewał? Przez co przeszedł? Tej nocy, przy blasku ognia, Tenar zdjęła z niego poplamione, znoszone, sztywne od potu ubranie. Umyła go i złożyła nagiego na płóciennym prześcieradle, nakrywając kocem z miękkiej koziej wełny. Kiedyś tryskał energią; teraz zmizerniał, wychudł. Sprawiał wrażenie kruchego. Blizny, pokrywające jego ramię i lewą stronę twarzy od skroni aż po szczękę, wyglądały na płytsze, jaśniejsze. A włosy całkiem posiwiały.

Mam już dosyć żałoby, pomyślała Tenar. Dosyć opłakiwania zmarłych. Nie będę po nim płakać. Czyż nie przybył do mnie na grzbiecie smoka?

Kiedyś chciałam go zabić, pomyślała. Teraz, jeśli zdołam, sprawię, by żył. Spojrzała na niego wyzywająco, bez cienia litości.

– Które z nas wyprowadziło drugie z Labiryntu, Ged?

Spał – głuchy na wszystko, nieruchomy. Ona także była zmęczona. Wykąpała się w wodzie, którą nagrzała, by go umyć, i wsunęła się do łóżka obok małego, ciepłego, jedwabistego kłębka ciszy: uśpionej Therru. Wkrótce zasnęła i w marzeniach ujrzała rozległą wietrzną przestrzeń migoczącą złotem i różem. Leciała. Usłyszała w krzyku własny głos:

– Kalessin!

Inny głos odpowiedział, wzywając ją z głębi otchłani światła.

***

Kiedy się ocknęła, na polach śpiewały już ptaki. Siadając na łóżku, ujrzała blask poranka przeświecający przez grube szyby niskiego, wychodzącego na zachód okna. Czuła w sobie coś nowego – drobinę, nasienie, zbyt małe, by mu się przyjrzeć. Therru nadal spała. Tenar siedziała obok, patrząc przez okienko na wyzłocone słońcem chmury i myśląc o swej córce, próbując przypomnieć ją sobie jako małe dziecko. Pamiętała tylko ulotny, niewyraźny obraz – małe pulchne ciałko, delikatne rozwiane włosy... I drugie dziecko, synka, żartem nazwanego Iskrą, bo skrzesał go Krzemień. Nie znała jego prawdziwego imienia. W dzieciństwie był równie chorowity, jak Jabłko zdrowa. Urodzony za wcześnie, mały i słabowity, w wieku dwóch miesięcy o mało nie umarł na krup. Przez następne dwa lata jego wychowanie przypominało hodowanie pisklęcia wróbla. Wstając rano z łóżka, nigdy nie wiedziała, czy nadal będzie żył. Jednakże kurczowo trzymał się życia, mała iskierka nie chciała zgasnąć. I wyrósł na silnego, pełnego energii chłopca, wiecznie czymś zajętego. Nie nadawał się do pracy w gospodarstwie, brakowało mu cierpliwości do zwierząt, roślin, ludzi. Odzywał się tylko wtedy, kiedy czegoś pragnął, nigdy dla samej przyjemności rozmowy ani po to, by przekazać komuś słowa miłości i mądrości czy też samemu przyjąć je od innych.

Kiedy Jabłko miała trzynaście lat, a Iskra jedenaście, odwiedził ich Ogion podczas jednej ze swych wędrówek. Wówczas mag nadał Jabłku prawdziwe imię. Stało się to u źródeł Kahedy, biorącej swój początek u wejscia doliny. Piękna była, gdy tak brodziła w zielonej wodzie, niewinna kobieta-dziecko, i wówczas Ogion nadał jej imię, Hayohe. Przez parę dni zatrzymał się na Dębowej Farmie; spytał także chłopca, czy ma ochotę wybrać się z nim na krótką wędrówkę po lesie. Iskra tylko pokręcił głową.

– Co byś zrobił, gdybyś mógł? – spytał mag, chłopiec zaś w odpowiedzi wyznał mu to, czego nigdy nie potrafił powiedzieć ojcu ani matce:

– Wyruszyłbym na morze.

I kiedy trzy lata później Buk nadał mu prawdziwe imię, chłopak zaciągnął się jako marynarz na statek handlowy pływający z Ujścia do Oranei i północnego Havnoru. Od czasu do czasu odwiedzał Dębową Farmę, niezbyt często i nigdy na długo, choć po śmierci ojca stała się jego własnością. Był białoskóry jak Tenar, wyrósł jednak na mężczyznę wysokiego niczym Krzemień, o wąskiej kanciastej twarzy. Nie zdradził rodzicom swego prawdziwego imienia. Możliwe, że nigdy nie miał znaleźć nikogo, komu by je ujawnił. Tenar nie widziała go od trzech lat. Może wiedział o śmierci ojca, a może nie. Równie dobrze sam mógł już nie żyć, utonąć w morzu, jednakże wątpiła w to. Na pewno zachowa swą iskierkę życia, nie pozwalając, by zdmuchnęła ją nawet najgorsza burza.

Coś podobnego czuła także w sobie, niemal cielesną świadomość poczęcia nowego życia, odmianę; coś świeżego. Nie zamierzała odgadywać, co to jest. Tak się nie robiło. Nigdy nie pytało się, jak brzmi czyjeś prawdziwe imię. Poznawało się je – albo nie.

Wstała i ubrała się. Mimo wczesnej pory było całkiem ciepło, toteż nie rozpalała ognia. Usiadła na progu i pijąc mleko, obserwowała cień góry Gont cofający się znad morza. Prawie nie było wiatru; na tej chłostanej wichrami skalnej półce to prawdziwa rzadkość. Lekka bryza niosła ze sobą posmak lata, delikatny, soczysty zapach łąk. W powietrzu czuło się dziwną słodycz.

„Wszystko się zmieniło!” – szepnął z radością umierający starzec i położył swą rękę na jej dłoni, oddając jej swój dar, swoje imię, pozbywając się go.

– Aihal! – szepnęła. Zobaczyła dwie kozy czekające za stajnią na przybycie Wrzos. „Bee!”, zaczęła jedna, a druga zawtórowała jej donośniejszym głosem: „Baa! Baa!”. Kozy zawsze potrafią wszystko zepsuć, mawiał Krzemień. Krzemień, owczarz, nie znosił tych zwierząt, ale Krogulec w dzieciństwie sam wypasał kozy na zboczach góry.

Weszła do chaty. Zastała Therru obserwującą uśpionego mężczyznę. Tenar objęła dziewczynkę, a choć Therru zazwyczaj cofała się przed dotknięciem lub pieszczotą, tym razem przyjęła to całkiem naturalnie. Może nawet odrobinę przytuliła się do opiekunki.

Ged leżał pogrążony w tym samym głębokim, przepastnym śnie. Na jego twarzy odcinały się bielą cztery wąskie blizny.

– Czy się poparzył? – spytała szeptem Therru.

Tenar nie odpowiedziała od razu. Nie wiedziała, skąd wzięły się owe blizny. Dawno temu, w Malowanej Komnacie Labiryntu Atuanu, spytała go drwiąco: „Od czego te blizny? Smok?", on zaś odpowiedział z powagą: „Nie, to nie smok. To znaki pozostawione przez krewniaka Bezimiennych; lecz poznałem jego imię"... To wszystko, czego udało jej się dowiedzieć. Wiedziała jednak, co znaczyło słowo „poparzony" dla tego dziecka.

– Tak – odparła.

Therru wpatrywała się w nieprzytomnego człowieka. Przechyliła głowę, spoglądając swym jednym zdrowym okiem. Wyglądała teraz jak mały ptaszek, wróbelek czy zięba.

– Chodź już, mój ptaszku, pisklaczku. Jemu potrzeba snu, a tobie brzoskwini. Zobaczmy, czy dziś rano dojrzał któryś z owoców.

Therru wybiegła. Tenar poszła za nią.

Wgryzając się w brzoskwinię, dziewczynka uważnie obejrzała miejsce, w którym poprzedniego dnia zasadziła pestkę. Była wyraźnie rozczarowana, że nie wyrosło jeszcze drzewo. Nic jednak nie powiedziała.

– Podlej ją – rzuciła Tenar.

***

Późnym rankiem zjawiła się cioteczka Mech. Jedną z umiejętności czarownicy było wyplatanie koszy z sitowia rosnącego na mokradłach Overfell. Tenar poprosiła, aby nauczyła ją tej sztuki. Jeszcze jako dziecko w Atuanie lubiła się uczyć. Po przybyciu na Gont odkryła, że ludzie uwielbiają pouczać innych. Pozwoliła im więc na to i została zaakceptowana, wybaczono jej cudzoziemskie pochodzenie.

Ogion przekazał jej swą wiedzę, a potem Krzemień swoją. Nauka weszła Tenar w nawyk. Zawsze tak wiele rzeczy warto poznać –

więcej niż przypuszczała dawno temu, jako młoda kapłanka czy wychowanka maga.

Sitowie zostało już namoczone i tego ranka miały je rozszczepiać. Była to żmudna, acz niezbyt skomplikowana praca, niewymagająca skupienia.

– Cioteczko – zagadnęła Tenar, kiedy usiadły na progu. Między nimi stała miska z namoczonym sitowiem, przed sobą rozciągnęły matę, na której miały układać włókna. – Jak można poznać, czy ktoś jest czarnoksiężnikiem, czy też nie?

Mech odpowiedziała nie wprost, zaczynając od zwyczajowych tajemniczych dwuznaczności.

– Głębia zna głębię – stwierdziła z namysłem. – Narodzeni przemówią. – Po czym opowiedziała historię o mrówce, która zabrała z podłogi maleńki ścinek włosa i wyniosła go do swego kopca; nocą ukryte pod ziemią mrowisko zaczęło jaśnieć niczym gwiazda, włos bowiem pochodził z głowy wielkiego maga Brosta. Lecz jedynie mędrcy mogli dostrzec świecące mrowisko, dla zwykłych ludzi pozostało ciemne.

– Potrzeba zatem szkolenia – stwierdziła Tenar.

Może tak, może nie – do tego sprowadzała się niejasna odpowiedź wiedźmy.

– Niektórzy rodzą się z tym darem. Mają go nawet, jeśli sami o tym nie wiedzą, i podobnie jak włos maga ukryty w ziemi dar ów zaczyna w końcu świecić.

– Widziałam już coś takiego – mruknęła Tenar. Zręcznie rozszczepiła łodygę sitowia i ułożyła włókna na macie. – Skąd zatem wiadomo, że ktoś nie jest czarnoksiężnikiem?

– Moc. Wtedy jej nie ma – odparła Mech. – Brak mu jej, złociutka. Mocy. Rozumiesz? Skoro mam oczy w głowie, widzę, że ty też je masz, prawda? Jeśli byłabyś ślepa, dostrzegłabym to, gdybyś zaś miała tylko jedno oko, jak nasza dziewuszka, albo troje, także bym zauważyła, prawda? Jeżeli jednak brak mi oczu, aby widzieć, nie dojrzę ich u ciebie, póki sama mi o nich nie powiesz. Ale je mam, widzę, wiem. Trzecie oko! – Dotknęła czoła i zachichotała głośno, gdakliwie, jak kura pyszniąca się swoim jajkiem. Najwyraźniej cieszyła się, że znalazła słowa potrafiące wyrazić to, czego pragnęła.

Tenar zaczynała pojmować, że znaczna część tajemniczości wiedźmy brała się z kłopotów z wyrażaniem idei. Nikt nie nauczył jej myśleć logicznie, nikt nie słuchał, co miała do powiedzenia. Czego się po niej spodziewano? Bełkotu, zamętu i tajemniczości. Była czarownicą. Nie dla niej proste wyjaśnienia.

– Rozumiem – stwierdziła Tenar. – A zatem może nie chcesz o tym mówić? Kiedy spoglądasz na kogoś swoim trzecim okiem, twoja moc dostrzega jego moc albo jej brak?

– Raczej ją wyczuwa. To nie jest właściwe widzenie. Nie dostrzegam jej tak jak ciebie, sitowie, a nawet górę. Po prostu wiem. Wiem, co tkwi w tobie, a co w nieszczęsnej, pustogłowej Wrzos. Wiem, co kryje się w naszym kochanym dziecku, co odróżnia ją od ludzi. Wiem, co... – Nie potrafiła wyjaśnić dalej. Pomamrotała coś pod nosem i splunęła. – Każda, nawet najgorsza czarownica wyczuje drugą – rzuciła wreszcie zniecierpliwiona.

– Rozpoznajecie się nawzajem?

Mech skinęła głową.

– Właśnie. To dobre słowo. Rozpoznajemy.

– A czarownik poznałby twoją moc. Wiedziałby, że sama parasz się magią...

Mech uśmiechnęła się do niej, w sieci zmarszczek rozwarła się czarna jama.

– Złociutka! Mężczyzna?! Czarownik, czarodziej czy mag… Co ma z nami wspólnego mężczyzna posiadający moc?

– Ogion jednak...

– Pan Ogion był uprzejmy – powiedziała Mech. W jej głosie nie zabrzmiała nawet najlżejsza nutka ironii.

Przez jakiś czas w milczeniu rozszczepiały sitowie.

– Nie skalecz się w palec, złociutka – ostrzegła wiedźma.

– Ogion mnie uczył. Jakbym nie była dziewczyną, tylko wstąpiła do terminu. Tak jak kiedyś Krogulca. Nauczył mnie Mowy Tworzenia. I wszystkiego, o co spytałam.

– Nie było drugiego takiego jak on.

– To ja nie chciałam poznać jego wiedzy. Opuściłam go. Po co mi jego księgi? Na cóż by mi się zdały? Pragnęłam żyć, chciałam mieć męża, dzieci, wolność.

Rozszczepiła zręcznie paznokciem kolejną łodygę.

– I dostałam to wszystko – dokończyła.

– Brać prawą ręką, wyrzucać lewą – dodała czarownica. – Cóż, moja złota pani. Co mam powiedzieć? Wiele razy wpadłam w kłopoty, pragnąc jakiegoś mężczyzny. Ale małżeństwo? Nigdy. Nie, to nie dla mnie.

– Czemu nie? – spytała Tenar.

Mech, zaskoczona, odparła z prostotą:

– Jaki mężczyzna chciałby poślubić czarownicę? – Poruszyła szczęką niczym owca przeżuwająca trawę. – A jaka wiedźma wyszłaby za mąż?

Rozszczepiały sitowie.

– Co jest nie tak z mężczyznami? – zainteresowała się ostrożnie Tenar.

Mech rozejrzała się czujnie i zniżając głos, odrzekła:

– Nie wiem, złociutka. Nieraz się nad tym zastanawiałam. Jedyne, co mogę rzec, to że mężczyzna przypomina orzech w skorupie. – Uniosła długie, wykrzywione, wilgotne palce, zupełnie jakby trzymała w nich orzeszek. – Skorupa jest twarda i mocna, przepełniona jego męskością.Wewnątrz jest tylko on i nic więcej.

Tenar przez chwilę zastanawiała się nad jej słowami. Wreszcie rzuciła:

– Ale jeśli to czarnoksiężnik...

– Wówczas wewnątrz jest tylko jego moc. Wyłącznie ona. Rozumiesz? Tak to wygląda. Kiedy moc zniknie, on także odejdzie. Stanie się pusty. – Zmiażdżyła w palcach niewidoczny orzech i odrzuciła pustą skorupkę.

– A kobieta?

– O, złociutka, kobieta to coś zupełnie innego. Kto wie, gdzie zaczyna się i kończy jej istota? Posłuchaj, moja pani. Mam korzenie głębsze niż ta wyspa, niż morze; starsze niż lądy świata. Wywodzę się z ciemności. – Oczy czarownicy rozbłysły osobliwym blaskiem. Jej głos zadźwięczał niczym dziwny obcy instrument. – Z pradawnych ciemności. Istniałam, jeszcze zanim powstał księżyc. Nikt nie wie, nikt nie potrafi rzec, kim jestem, kim jest kobieta. Kobieta obdarzona mocą. Jej moc jest głębsza niż korzenie drzew, niż korzenie wysp.

Starsza niż stworzenie, niż księżyc. Kto ośmieliłby się zakłócić spokój ciemności? Kto zapytałby ją o imię?

Wiedźma kołysała się, nucąc monotonnie, całkowicie pochłonięta swym śpiewem. Tenar wyprostowała się i paznokciem kciuka rozszczepiła z góry na dół następną łodyżkę sitowia.

– Ja – odparła.

Sięgnęła do miski.

– Dostatecznie długo żyłam w mroku – rzekła.

***

Od czasu do czasu zaglądała do chaty, by się przekonać, czy Krogulec nadal śpi. Uczyniła tak też w tej chwili. Kiedy znów usiadła na progu, nie chcąc powracać do poprzedniego tematu rozmowy, staruszka bowiem milczała nadąsana, zagadnęła:

– Tego ranka, kiedy się obudziłam, miałam wrażenie, jakby powiał nowy wiatr, jakby nadeszła zmiana. Może to tylko pogoda? Ty również wyczułaś coś podobnego?

Jednakże Mech nie potrafiła odpowiedzieć zwykłym „tak” albo „nie”.

– Wiele wiatrów wieje nad Overfell, niektóre złe, niektóre dobre. Czasem niosą ze sobą chmury, czasem słoneczną pogodę, a czasem nowiny dla tych, którzy potrafią słuchać. Inni ich nie usłyszą. Kim jestem, aby to wiedzieć? Ot, zwykła stara kobieta nieznająca mądrości magów, nauk pochodzących z ksiąg. Cała moja wiedza kryje się w ziemi, czarnej ziemi pod stopami dumnych mężczyzn, pod nogami władców i magów. Po co mieliby spoglądać w dół? Co może wiedzieć stara czarownica?

Byłaby groźnym przeciwnikiem, pomyślała Tenar, i okazała się trudną przyjaciółką.

– Cioteczko – rzekła, ujmując w dłoń kolejną łodygę sitowia. – Dorastałam wśród kobiet. Samych kobiet. W kargijskich krajach daleko na wschodzie, w Atuanie. Gdy byłam maleńkim dzieckiem, odebrano mnie rodzinie i wychowano na kapłankę w pustynnej

świątyni. Nie wiem nawet, jak się nazywała. Strzegło ją kilku żołnierzy, ale nie mogli wejść w obręb murów. A nam nie wolno było murów przekraczać, chyba że całą grupą kobiet i dziewcząt strzeżonych przez eunuchów, którzy utrzymywali mężczyzn z daleka.

– Przez kogo?

– Chodzi ci o eunuchów? – Tenar bez zastanowienia użyła kardyjskiego określenia. – Kastratów – wyjaśniła.

– *Tsekh!* – westchnęła Mech i uczyniła znak odpędzający zły urok. Przez chwilę ssała wargę, dostatecznie zdumiona, by zapomnieć o wcześniejszym oburzeniu.

– Jeden z nich był mi bliski niemal jak matka... Rozumiesz zatem, cioteczko, że póki nie stałam się kobietą, nigdy nie widziałam mężczyzny, tylko dziewczęta i niewiasty. A jednak nie wiedziałam, kim są kobiety, ponieważ tylko je znałam. Podobnie jak mężczyźni żyjący wśród mężczyzn: żeglarze, żołnierze i magowie na Roke. Czy wiedzą, co oznacza być mężczyzną? Jak mogą wiedzieć, skoro nigdy nie rozmawiają z kobietami?

– Czy trzebią ich tak jak barany i kozły? – spytała Mech. – Kastrują zwykłym nożem niczym zwierzęta? – Zgroza, makabra, posmak zemsty zagłuszyły gniew i rozsądek. Mech pragnęła rozmawiać jedynie o eunuchach.

Tenar niewiele potrafiła jej powiedzieć. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że nigdy nie zastanawiała się nad tą kwestią. Kiedy była dziewczynką w Atuanie, otaczali ją kastraci. Jeden z nich kochał ją czule i zabiła go, aby przed nim uciec. Następnie przybyła na Archipelag, gdzie nie znano eunuchów, i zapomniała o nich. Także o Mananie.

– Przypuszczam – zaczęła, usiłując zaspokoić dręczące wiedźmę łaknienie szczegółów – że brali młodych chłopców i... – urwała. Jej zapracowane dłonie zastygły. – Tak jak Therru – powiedziała po długiej ciszy. – Po co istnieje dziecko? Po co? Aby zostać wykorzystane. Zgwałcone, wytrzebione. Posłuchaj, Mech. Kiedy żyłam w mrocznych Grobowcach Atuanu, robiono tam podobne rzeczy. Potem przybyłam tutaj i znalazłam się w świetle. Poznałam prawdziwe słowa i zdobyłam mojego mężczyznę, urodziłam dzieci, żyłam pełnią życia, w blasku dnia. I właśnie w blasku dnia uczynili to

– z dziewczynką. Na łące nad rzeką. Rzeką, przy której źródłach Ogion nadał imię mojej córce. W świetle słońca. Teraz próbuję odkryć, gdzie mogłabym żyć. Rozumiesz mnie? Rozumiesz, co pragnę powiedzieć?

– No, no – westchnęła stara wiedźma. Po chwili dodała: – Złociutka, na świecie jest dość nieszczęść. Nie trzeba jeszcze ich szukać. – Widząc, że ręce Tenar drżą lekko, ostrzegła ponownie: – Tylko się nie skalecz, złociutka.

***

Ged ocknął się dopiero następnego dnia. Mech, która okazała się bardzo zręczną, choć okropnie niechlujną opiekunką, zdołała wlać w niego nieco bulionu.

– Umiera z głodu – rzekła. – I wysechł na wiór. Skądkolwiek przybywa, niewiele tam jadł i pił. – Ponownie oszacowawszy go wzrokiem, dodała: – Obawiam się, że nie zdołam mu pomóc. Widzisz, podobnie wycieńczeni ludzie słabną i nie mogą nawet pić, choć to wszystko, czego im trzeba. Widywałam już wielkich, silnych mężczyzn umierających w ten sposób. Wystarczyło zaledwie parę dni. Słabli w oczach, aż w końcu przypominali wychudzone cienie.

Jednakże z niezłomną cierpliwością zdołała wmusić w chorego kilka łyżek wywaru z mięsa i ziół.

– Teraz musimy zaczekać. Myślę, że jest już za późno. Tracimy go. – Mówiła bez żalu, może nawet z ulgą. Mężczyzna nic dla niej nie znaczył; natomiast śmierć stanowiła ważne wydarzenie. Może będzie mogła pochować tego maga. Starego Ogiona nie pozwolili jej pogrzebać.

Następnego dnia, gdy Tenar nacierała maścią jego dłonie, Ged w końcu przebudził się ze snu. Musiał długo podróżować na grzbiecie Kalessina, bo żelazne łuski obtarły mu skórę na dłoniach, a wewnętrzną stronę palców pokrywała siateczka skaleczeń. Uśpiony, zaciskał ręce, jakby nie chciał puścić szyi smoka. Musiała łagodnie rozgiąć mu palce, aby przemyć i opatrzyć rany. Gdy to zrobiła,

krzyknął i szarpnął się, sięgając przed siebie, jakby obawiał się, że spada. Otworzył oczy. Przemówiła do niego cicho, a on spojrzał na nią.

– Tenar – rzekł bez uśmiechu. W jego głosie nie zadźwięczała żadna cieplejsza nuta. Świadomość, że na świecie wciąż jeszcze żyje ktoś, kto zna jej prawdziwe imię, przepełniła ją czystą, nieskalaną radością przypominającą słodką woń kwiatów. Zwłaszcza że był to ten mężczyzna.

Schyliła się i pocałowała go w policzek.

– Leż spokojnie – poleciła. – Pozwól mi skończyć.

Posłuchał. Wkrótce znów osunął się w sen. Tym razem jego dłonie się rozluźniły i spoczęły nieruchomo na kocu.

Później, nocą, zasypiając u boku Therru, pomyślała, że nigdy dotąd go nie całowała. Myśl ta wstrząsnęła nią. Z początku nie mogła w to uwierzyć. Z pewnością przez wszystkie te lata – nie w Grobowcach, ale później, podczas wspólnej podróży przez góry, na pokładzie „Bystrego Oka", gdy razem żeglowali do Havnoru... Kiedy sprowadził ją tu, na Gont...?

Nie. Ogion także nigdy jej nie całował ani ona jego. Choć kochał ją i nazywał córką. A ona, wyniosła, nietykalna kapłanka, wychowana w samotności, święta istota, nie pragnęła niczyich czułości. Albo też sama o tym nie wiedziała. Czasami przez moment przykładała czoło bądź policzek do otwartej dłoni Ogiona, a on gładził lekko jej włosy.

Z Gedem jednak nie doświadczyła nawet tego.

Czy nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałam? – zapytała sama siebie ze zgrozą i niedowierzaniem.

Nie wiedziała. Teraz, kiedy zaczęła nad tym rozmyślać, ogarnęło ją nagłe przerażenie, które równie szybko zniknęło. Jej usta poznały smak szorstkiej, suchej, chłodnej skóry policzka Geda po prawej stronie ust i jedynie ta wiedza miała jakiekolwiek znaczenie.

Zasnęła. We śnie usłyszała wołanie „Tenar! Tenar!" i odpowiedziała, krzycząc jak morski ptak, frunąc w blasku nad wodą. Nie wiedziała jednak, jakie zawołała imię.

***

Krogulec zawiódł cioteczkę Mech. Pozostał przy życiu. Po paru dniach czarownica przyznała z rezygnacją, że chory ma się lepiej. Przychodziła co rano i karmiła go swym bulionem z koziego mięsa, korzonków i ziół. Opierała o siebie wycieńczonego mężczyznę, otaczając go gęstą aurą woni własnego ciała i zrzędząc, wlewała mu do ust kolejne łyżki zupy. Mimo że rozpoznał ją i nazwał imieniem użytkowym, a ona nie mogła zaprzeczyć, że wyglądał jak człowiek zwany Krogulcem, nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Nie podobał jej się. Wszystko w nim było nie tak. Tenar szanowała przenikliwość czarownicy, toteż ta opinia ją niepokoiła, sama jednak nie żywiła najmniejszych podejrzeń. Czuła jedynie radość, że powoli powracał do zdrowia.

– Znów będzie sobą, sama się przekonasz – powiedziała kiedyś.

– Sobą! – prychnęła Mech i palcami uczyniła gest, jakby zgniatała skorupkę orzecha.

Wkrótce zapytał o Ogiona. Tenar lękała się tego pytania. Wmawiała sobie, że Ged nigdy go nie zada, i niemal w to uwierzyła, powtarzając, iż będzie wiedział o jego odejściu, tak jak wiedzieli czarnoksiężnicy z Portu Gont i Re Albi. Jednakże czwartego ranka, gdy do niego podeszła, leżał całkiem rozbudzony i rzekł:

– To dom Ogiona.

– Aihala – poprawiła łagodnie. Nadal nie było jej łatwo wymawiać prawdziwe imię maga. Nie wiedziała, czy Ged je znał. Na pewno tak, Ogion by mu powiedział.

Przez chwilę nie zareagował, a kiedy znów się odezwał, jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

– Zatem nie żyje.

– Zmarł dziesięć dni temu.

Leżał bez ruchu, zatopiony w myślach, jakby usiłował coś ustalić.

– Kiedy ja się tu zjawiłem?

Musiała nachylić się ku niemu, by zrozumieć, co mówi.

– Cztery dni temu, wieczorem.

– W górach nie było nikogo innego – rzekł. Zadrżał w nagłym spazmie bólu czy może na wspomnienie nieznośnego cierpienia. Zamknął oczy, marszcząc brwi, i odetchnął głęboko.

W miarę jak mu siły stopniowo wracały, Tenar przywykła do tego zmarszczonego czoła, wstrzymanego oddechu i zaciśniętych dłoni. Owszem, odzyskiwał siły, ale nie spokój, nie zdrowie.

Pewnego słonecznego letniego popołudnia wyszedł na dwór i usiadł na progu. Jak dotąd była to najdłuższa wyprawa, jaką przedsięwziął od czasu, gdy wstał z łóżka. Siedział tak, spoglądając w dal, i Tenar, wyłoniwszy się zza domu z fasolowej grządki, spojrzała wprost na niego. Nadal przypominał szary wynędzniały cień. Nie sprawiały tego jedynie siwe włosy, ale też coś w skórze, skryta w kościach rozpacz. I właśnie ów nieokreślony smutek przyciągał jej uwagę. W jego oczach nie lśniła nawet najsłabsza iskierka, a przecież ów cień, ów szary mężczyzna był tym samym człowiekiem, którego twarz ujrzała po raz pierwszy w blasku jego własnej mocy: pełne siły oblicze z orlim nosem i pięknymi ustami; dumny, przystojny mężczyzna. Zawsze taki był.

Podeszła do niego.

– Słońce dobrze ci zrobi – zauważyła, on zaś skinął głową. Lecz skąpany w słonecznym blasku, dłonie zacisnął w pięści.

Tak rzadko odzywał się przy niej, iż sądziła, że może go niepokoi. Może nie potrafił już czuć się swobodnie w jej towarzystwie? Ostatecznie teraz był Arcymagiem. Ciągle o tym zapominała. Od czasu, gdy wędrowali razem przez góry Atuanu i żeglowali „Bystrym Okiem” poprzez wschodnie morza, minęło już dwadzieścia pięć lat.

– Gdzie jest „Bystre Oko”? – spytała nagle, zaskoczona owym wspomnieniem, po czym dodała w duchu: Ależ jestem głupia. To przecież Arcymag i tak wiele lat upłynęło – z pewnością dawno pozbył się tej łódki.

– Na Selidorze – odparł z nieszczęśliwą miną.

Dawniej niż nigdy, dalej niż Selidor...

– Najdalsza wyspa – westchnęła na wpół pytającym tonem.

– Najdalej na zachód – odparł.

***

Siedzieli przy stole, skończywszy wieczerzę. Therru wyszła pobawić się na podwórku.

– Czy zatem właśnie z Selidoru przybyłeś na grzbiecie Kalessina?

Kiedy wymówiła imię smoka, ponownie odniosła wrażenie, że jej usta same kształtują dźwięki, a oddech przeradza się w delikatny ogień.

Słysząc to imię, Ged uniósł głowę i spojrzał na nią z napięciem. Dopiero wówczas uświadomiła sobie, że zazwyczaj unikał jej wzroku. Przytaknął, po czym z bolesną szczerością poprawił sam siebie.

– Z Selidoru na Roke, a potem z Roke na Gont.

Tysiąc mil? Dziesięć tysięcy? Nie miała pojęcia. W havnorskim skarbcu oglądała wielkie mapy, ale nikt nie nauczył jej liczyć odległości. Dalej niż Selidor... Czy lot smoka da się mierzyć w milach?

– Ged... – Ponieważ byli sami, użyła jego prawdziwego imienia. – Wiem, że przeżyłeś wiele niebezpiecznych chwil i bardzo cierpiałeś, i jeśli nie chcesz, nie możesz albo nie powinieneś o nich opowiadać, zrozumiem to. Gdybym jednak poznała choć część twojej historii, może zdołałabym ci pomóc? A chciałabym. Poza tym wkrótce przybędą po ciebie wysłannicy z Roke. Może przypłyną statkiem, poszukując swego Arcymaga, albo nawet wyślą smoka? I znów odejdziesz. Bez słowa. Bez jednej rozmowy. – Mówiąc, zaciskała dłonie, wyczuwając fałszywy ton w swoim głosie. Jak może żartować ze smoka i narzekać niczym zaniedbywana żona!

Ged wpatrywał się w stół ze zbolałą miną niczym rolnik, który po ciężkim dniu pracy w polu musi stawić czoło domowej sprzeczce.

– Nie sądzę, aby zjawili się tu wysłannicy z Roke – odparł. Kosztowało go to tak wiele wysiłku, że dopiero po chwili znowu się odezwał: – Daj mi trochę czasu.

Uznając, że to jedyna odpowiedź, jaką usłyszy, Tenar rzekła:

– Tak, oczywiście. Przepraszam. – I już się podnosiła, żeby sprzątnąć ze stołu, kiedy dodał niewyraźnie, nadal wbijając wzrok w blat:

– Teraz już go mam.

Podniósł się z krzesła i zaniósł swój talerz do miednicy. Następnie zebrał resztę naczyń, zmył je, podczas gdy Tenar chowała jedzenie do spiżarki. Przyglądała mu się z zaciekawieniem. W duchu bezustannie porównywała go z Krzemieniem, ale Krzemień nigdy w życiu nie umył nawet jednego talerza. Twierdził, że to kobiece zajęcie. Lecz Ged i Ogion żyli tu samotnie, bez kobiet, a gdziekolwiek później Ged zamieszkał, nie miał niewieściego towarzystwa, toteż sam wykonywał kobiece prace, w ogóle się nad tym nie zastanawiając. Szkoda by było, uznała, gdyby teraz zaczął o tym myśleć i lękać się, że podobne zajęcia uchybią jego godności.

Istotnie, na wyspie nie zjawił się żaden wysłannik z Roke. Gdy Tenar wspomniała o tym po raz pierwszy, jedynie statek, pchany przez całą drogę magicznym wiatrem, zdołałby dotrzeć na Gont tak szybko. Jednakże dni mijały i nadal nic się nie działo. Wydawało jej się dziwne, iż czarnoksiężnicy z Roke tak długo nie interesują się swoim Arcymagiem. Musiał zabronić im wszelkich kontaktów albo może ukrył się za pomocą czarów tak, że nie wiedzieli, gdzie przebywa. To wyjaśniało, dlaczego nikt go nie poznawał. Albowiem, o dziwo, także wieśniacy nie zwracali na niego uwagi.

Mniej zaskakujący był fakt, że nie przybył nikt z dworu Re Albi. Władcy miasteczka nigdy nie pozostawali w dobrych stosunkach z Ogionem. W wioskach powtarzano szeptem, że kobiety z ich rodu są adeptkami mrocznych kunsztów. Jedna z nich poślubiła pana z północy, który pogrzebał ją żywcem pod wielkim głazem; inna manipulowała nienarodzonym dzieckiem we własnym łonie, usiłując przekształcić je w istotę obdarzoną mocą. I rzeczywiście tuż po narodzinach przemówiło, ale nie miało kości. „Wyglądało jak maleńki skórzany woreczek – powtarzała później położna – mały woreczek obdarzony oczami i głosem. W ogóle nie ssało mleka, mówiło tylko coś w dziwnym obcym języku i umarło”... Bez względu na to, ile prawdy kryło się w owych opowieściach, władcy Re Albi zawsze traktowali innych z góry. Można by sądzić, że kiedy Tenar przybyła do Re Albi, winni byli zaprosić ją do dworu – ostatecznie jako towarzyszce maga Krogulca i podopiecznej Ogiona przysługiwał jej podobny zaszczyt. Tak się jednak nie stało. Zamiast tego, ku swej

radości, zamieszkała samotnie w małym domku należącym do wioskowego tkacza, Wachlarza, a ludzi mieszkających we dworze widywała rzadko i z daleka. Obecnie, jak poinformowała ją Mech, dwór nie miał już pani; pozostał tylko stary władca, bardzo już posunięty w latach, jego wnuk oraz młody czarnoksiężnik, Osika, wynajęty ze szkoły na Roke.

Od dnia, kiedy Ogion, trzymając w ręku talizman cioteczki Mech, został pochowany pod bukiem przy górskiej ścieżce, Tenar nie widziała Osiki. Najwyraźniej, choć mogło się to wydawać osobliwe, czarnoksiężnik nie wiedział, że w pobliskiej wiosce pojawił się Arcymag Ziemiomorza; a jeśli nawet o tym usłyszał, z sobie tylko wiadomych powodów wolał trzymać się od niego z dala. Także czarnoksiężnik z Portu Gont, również uczestniczący w pogrzebie Ogiona, już nie powrócił. Nawet jeśli nie zdawał sobie sprawy z obecności Geda, z pewnością wiedział, kim była Tenar, Biała Pani, która nosiła na swym ramieniu Pierścień Erreth-Akbego i scaliła Runę Pokoju... Jak wiele czasu minęło od tamtych dni, stara babo? – upomniała się w duchu. Przestań wreszcie zadzierać nosa.

Mimo wszystko to ja ujawniłam im prawdziwe imię Ogiona. Należy mi się za to choćby odrobina uprzejmości.

Jednakże czarnoksiężnicy nie słynęli z grzeczności. Byli ludźmi obdarzonymi mocą i tylko moc ich obchodziła. A jaką władzę miała Tenar – teraz czy kiedykolwiek przedtem? Jako dziewczynka kapłanka była niczym naczynie: potęgi mrocznych Grobowców Atuana wypełniły ją, wykorzystały i pozostawiły pustą, nietkniętą. Później, po przybyciu na Gont, pobierała nauki u wielkiego maga, a przecież odrzuciła je, odwróciła się od nich, nie tknąwszy ofiarowanej władzy. Jako dojrzała kobieta wybrała moc niewieścią i dysponowała nią w swoim czasie, który jednak już upłynął. Minęły dni, kiedy była matką i żoną. Nie pozostało w niej nic, co mógłby rozpoznać czarodziej czy mag.

A jednak smok przemówił do niej. „Jestem Kalessin”, rzekł, a ona odpowiedziała: „Jestem Tenar”.

„Kto to jest pan smoków?” – spytała kiedyś Geda w Labiryncie, próbując ośmieszyć jego moc i zmusić go, aby przyznał, że tylko jej

siła naprawdę istnieje; on zaś odparł ze szczerością, która na zawsze ją rozbroiła: „Ktoś, z kim smoki rozmawiają”.

A teraz ona była kobietą, z którą rozmawiają smoki. Czy to właśnie zapowiadało owo uczucie odnowy, ta skrywana wiedza, świetliste nasienie, które wyczuła w głębi swej istoty, ocknąwszy się pod maleńkim oknem wyglądającym na zachód?

Kilka dni po ich krótkiej rozmowie przy stole Tenar pieliła grządkę w ogrodzie Ogiona, ratując zasadzone wiosną przez maga cebulki przed śmiertelnym uściskiem letnich chwastów. Nagle furtka, osadzona w wysokim, broniącym dostępu kozom ogrodzeniu, otwarła się i stanął w niej Ged. Bez słowa zabrał się do pielenia po drugiej stronie grządki. Przez jakiś czas pracował w milczeniu, po czym usiadł, przyglądając się własnym dłoniom.

– Daj im czas, żeby się zagoiły – upomniała go łagodnie.

Skinął głową.

Rosnące na sąsiedniej grządce wysokie wijące się na palikach pędy fasoli właśnie kwitły; w powietrzu unosił się słodki zapach. Ged siedział nieruchomo, złożywszy wychudzone ręce na kolanach, zapatrzony w rozsłonecznioną plątaninę pędów, kwiatów i pierwszych młodych strączków.

Tenar, nie przerywając pracy, rzekła:

– Kiedy Aihal umierał, powiedział: „Wszystko się zmieniło”, i od dnia jego śmierci czuję żal, opłakuję go, ale coś podnosi mnie na duchu. Coś zostało uwolnione, zbliżają się narodziny. We śnie i w pierwszych chwilach po ocknięciu wiem, że nastąpiła zmiana.

– Tak – odparł Ged. – Zło się skończyło. I...

Po długiej chwili zaczął ponownie. Nie patrzył na nią, lecz po raz pierwszy mówił tak, jak zapamiętała: płynnie, łagodnie, z wyraźnym gontyjskim akcentem.

– Pamiętasz ten dzień, Tenar, kiedy przybyliśmy do Havnoru?

Jak mogłabym zapomnieć? – odparło jej serce; milczała jednak w obawie, by znów nie zamknął się w sobie.

– Wprowadziliśmy „Bystre Oko” do portu i po marmurowych stopniach wyszliśmy na nadbrzeże. Zebrali się ludzie, tak wielu ludzi, ty zaś uniosłaś rękę, by pokazać im Pierścień...

I złapałam cię za rękę; byłam śmiertelnie przerażona; wszystkie te twarze, głosy, barwy, wieże, chorągwie i proporce, złoto, srebro i muzyka; a ja na całym świecie znałam tylko ciebie, który trwałeś u mego boku...

– Zarządcy królewskiego dworu zaprowadzili nas do stóp wieży Erreth-Akbego ulicami pełnymi ludzi. A potem wspięliśmy się po wysokich schodach, sami, we dwoje. Pamiętasz?

Przytaknęła. Złożyła ręce na ziemi, czując pod palcami ziarnisty chłód.

– Otwarłem drzwi. Były ciężkie, z początku się zacinały. I weszliśmy do środka. Pamiętasz?

Zupełnie jakby chciał się upewnić, czy wszystko to naprawdę się zdarzyło. Czy pamiętam?

– Znaleźliśmy się w wielkiej sali – powiedziała. – Z powodu wysokich sklepień przypominała mi nieco Salę Pustego Tronu, w której zostałam pożarta. Światło wpadało przez okna osadzone w ścianach wieży, promienie krzyżowały się niczym miecze.

– I tron – dodał.

– O tak, tron, cały w złocie i szkarłacie. Ale pusty. Jak w Sali Pustego Tronu.

– Już nie – rzekł i spojrzał na nią spomiędzy zielonych pędów cebuli. Jego twarz była napięta, pełna tęsknoty, jakby mówił o radości, której sam nie potrafi zaznać. – W Havnorze znów jest król zasiadający pośrodku świata. Przepowiednia została wypełniona. Runa znów połączyła się w jedność – i świat także. Nadeszły czasy pokoju. On...

Urwał i spuścił wzrok, zaciskając ręce.

– Wyrwał mnie śmierci i przywrócił życiu. Arren z Enladu, Lebannen. Będą o nim śpiewali pieśni. Przyjął swoje prawdziwe imię, Lebannen, król Ziemiomorza.

Tenar przerwała pielenie.

– A zatem stąd ta radość? – spytała. – To uczucie, że świat rozbłysł nagle wszystkimi barwami tęczy?

Nie odpowiedział.

Król w Havnorze, pomyślała. I powtórzyła na głos:

– Król w Havnorze!

Wyobraziła sobie piękne miasto, szerokie ulice, marmurowe wieże, spadziste, kryte brązem dachy, białe żagle statków w porcie, wspaniałą salę tronową oświetloną krzyżującymi się promieniami światła; bogactwo, przepych, doskonała harmonia. Oczami duszy widziała, jak promieniuje ona z jaśniejącego ośrodka niczym idealne kręgi na wodzie, prosta jak gościniec, chyża jak statek żeglujący z wiatrem. Oto wybór właściwej drogi, nadejście pokoju.

– Dobrze się spisałeś, drogi przyjacielu – powiedziała.

Ged uczynił drobny gest, jakby pragnął ją uciszyć, po czym odwrócił się, przyciskając dłoń do ust. Nie mogła znieść widoku jego łez, toteż nachyliła się i podjęła przerwaną pracę. Wyrwała jeden chwast, potem drugi. Jeden z korzeni pękł nagle i Tenar zaczęła kopać gołymi rękami, usiłując znaleźć resztkę kłącza w szorstkiej czarnej ziemi.

– Goha – odezwał się słaby, zgrzytliwy głos Therru. Tenar obejrzała się. Zobaczyła dwoje oczu w połowicznie spalonej twarzy; ślepe i widzące. I pomyślała nagle: Czy powinnam jej powiedzieć, że znów mamy króla w Havnorze?

Wstała i podeszła do furtki, żeby oszczędzić Therru fatygi – dziewczynka musiała bardzo natężać głos, aby dało się ją usłyszeć. Buk stwierdził, że kiedy leżała nieprzytomna w ognisku, wciągnęła płomienie do płuc. „Wypaliły jej głos", wyjaśnił czarodziej.

– Pilnowałam Sippy – wyjaśniła Therru – ale uciekła z pastwiska przy janowcach. Nie mogę jej znaleźć.

Było to chyba najdłuższe zdanie, jakie kiedykolwiek wygłosiła. Cała dygotała po długim biegu, próbując powstrzymać łzy. Nie możemy wszyscy płakać jednocześnie, zganiła się Tenar, to głupie; tak nie wolno.

– Krogulcze – rzekła, odwracając się. – Uciekła nam koza.

Natychmiast wstał i podszedł do furtki.

– Sprawdź za szopą – polecił.

Popatrzył na Therru, jakby nie dostrzegał jej potwornych blizn, jakby w ogóle jej nie widział. Oto dziecko, które zgubiło kozę i musiało ją znaleźć. Tylko koza go interesowała.

– Mogła też uciec do stada w wiosce – dodał.

Therru biegła już w stronę źródełka.

– Czy to twoja córka? – spytał Ged. Przedtem ani razu nie wspominał o dziecku i Tenar przez moment zadumała się, jacy dziwni są mężczyźni.

– Nie, ani wnuczka. Ale moje dziecko – odparła. Co sprawiło, że znowu zaczęła z niego drwić, dokuczać mu?

Ged wyszedł z ogrodu w chwili, gdy Sippy śmignęła w ich stronę niczym brązowo-biała błyskawica. Daleko za nią biegła Therru.

– Hej! – krzyknął nagle i jednym krokiem zagrodził drogę zwierzęciu, kierując je prosto w otwartą furtkę. Tenar zdołała pochwycić luźną skórzaną obróżkę Sippy. Koza natychmiast zamarła, łagodna jak jagnię. Jednym żółtym okiem przyglądała się Tenar, drugim – rządkom zielonego szczypioru.

– Idziemy stąd – rzuciła Tenar, wyprowadzając zwierzę z koziego raju na kamieniste pastwisko.

Ged usiadł na ziemi, równie zdyszany jak Therru albo nawet bardziej, bo gwałtownie chwytał powietrze i wyraźnie kręciło mu się w głowie. Przynajmniej jednak już nie płakał. Kozy zawsze potrafią wszystko zepsuć.

– Wrzos nie powinna była posyłać cię, abyś pasła Sippy – stwierdziła Tenar, zwracając się do Therru. – Nikt nie zdoła tej kozy upilnować. Jeśli znów ucieknie, powiedz Wrzos i nie martw się.

Therru przytaknęła. Cały czas spoglądała na Geda. Nieczęsto patrzyła na ludzi, a już bardzo rzadko na mężczyzn; co najwyżej na nich zerkała. Teraz jednak wpatrywała się w niego, przechylając głowę niczym wróbel. Czyżby narodził się bohater?

6

Pogorszenie

Od letniego przesilenia minął już ponad miesiąc, jednakże wieczory nad zachodnim zboczem góry, gdzie leżało Overfell, nadal zapadały bardzo późno. Therru wróciła właśnie do domu po całodniowej wyprawie zielarskiej w towarzystwie cioteczki Mech, zbyt zmęczona, by zjeść cokolwiek. Tenar położyła ją do łóżka i została przy niej, nucąc cicho. Kiedy dziewczynka za bardzo się zmęczyła, nie mogła zasnąć – kuliła się tylko w pościeli niczym dotknięte paraliżem zwierzątko. W jej wyobraźni rozgrywały się wówczas coraz straszliwsze koszmary, aż wreszcie wpadała w dziwny trans, ni to sen, ni jawę. Tenar odkryła, że może temu zapobiec, obejmując małą i śpiewając jej kołysanki. Gdy zabrakło jej piosenek, których nauczyła się jako żona rolnika w Dolinie Środkowej, sięgnęła do skarbnicy niekończących się kargijskich pieśni, zapamiętanych w młodości, kiedy jako kapłanka Grobowców Atuanu składała Bezimiennym ofiary przed Pustym Tronem, od lat przysypanym kurzem i gruzami pozostałymi po trzęsieniu ziemi. W owych słodkich, jękliwych, monotonnych pieśniach nie wyczuwała żadnej mocy. Poza tym lubiła śpiewać we własnym języku, choć nie znała kołysanek śpiewanych dzieciom w Atuanie; może kiedyś je nuciła jej matka.

W końcu Therru zapadła w głęboki sen. Tenar zsunęła ją z kolan i odczekała chwilę, by się upewnić, że dziecko naprawdę śpi. Wreszcie rozejrzawszy się szybko, aby sprawdzić, czy istotnie jest

sama, czując się niemal jak winowajczyni, a przecież z radosnym namaszczeniem, położyła swoją wąską, jasnoskórą dłoń na twarzy małej po stronie, gdzie ogień strawił oko i policzek, pozostawiając nierówną bliznę. Pod jej dotknięciem blizna zniknęła. Ciało wyglądało na nietknięte; niemal wyczuwała krągłą, gładką dziecinną buzię, zupełnie jakby jej dotyk przywracał utraconą niewinność.

Po chwili niechętnie uniosła dłoń i raz jeszcze ujrzała nienaprawialne szkody wyrządzone przez płomienie, podzieloną twarz, która już nigdy się nie scali.

Schyliła się i ucałowała bliznę, po czym wstała i wyszła na dwór.

Słońce zachodziło w migotliwej perłowej mgiełce. Wokół nie było nikogo. Krogulec prawdopodobnie wędrował gdzieś po lesie. Ostatnio zaczął odwiedzać grób Ogiona, spędzał całe godziny pod bukiem. A kiedy odzyskał nieco sił, zaczął spacerować po leśnych ścieżkach, które Ogion tak sobie upodobał. Jedzenie straciło dlań cały smak; Tenar musiała przypominać mu o posiłkach. Nie szukał towarzystwa, najwyraźniej pragnął być sam. Therru chętnie dreptała za nim, a ponieważ odzywała się równie rzadko jak on, zazwyczaj mu nie przeszkadzała. Jednakże Krogulec często się niecierpliwił – wówczas odsyłał dziecko do domu i sam wyruszał w drogę. Tenar nie miała pojęcia, dokąd zmierzał. Wracał późno, rzucał się na łóżko i zasypiał, a rankiem często znikał, zanim jeszcze obie się obudziły. Toteż codziennie wieczorem wykładała mu świeży chleb i mięso, aby mógł zabrać je ze sobą.

Teraz ujrzała go wędrującego ścieżką przez łąkę; tą samą ścieżką, która wydała jej się tak długa i ciężka do przebycia, gdy pomagała Ogionowi pokonać ją po raz ostatni. Krogulec szedł ku niej w świetlistym wieczorze, pośród rozkołysanych traw, stawiając miarowe, zdecydowane kroki, zamknięty w skorupie upartego bólu, twardy jak głaz.

– Zostaniesz koło domu? – spytała z pewnej odległości. – Therru już śpi, a ja chciałabym się trochę przejść.

– Dobrze. Idź.

Poszła więc, rozważając po drodze obojętność mężczyzn wobec konieczności rządzących życiem kobiety: świadomości, że ktoś musi czuwać nieopodal śpiącego dziecka, że wolność jednej osoby

oznacza brak wolności drugiej – chociaż niekiedy udawało się osiągnąć rodzaj chwiejnej równowagi, przypominającej równowagę ciała idącego naprzód na dwóch nogach, jak ona teraz, przenosząc własny ciężar z jednej stopy na drugą. Oto wcielona w życie teoria chodzenia... Po chwili pogłębiające się barwy nieba i nieustępliwy wiatr przegnały z jej głowy wszelkie myśli. Szła dalej, aż dotarła do krawędzi przepaści. Tam przystanęła, patrząc, jak słońce zapada w jasnoróżową mgiełkę.

Uklękła i najpierw oczami, a potem opuszkami palców odszukała długą, płytką, nierówną bruzdę w piaskowcu, biegnącą przy samej krawędzi urwiska – ślad ogona Kalessina. Kilka razy przeciągnęła po niej palcami, spoglądając na łuny zachodu, zatopiona w marzeniach. W końcu odezwała się i tym razem imię nie zapłonęło w jej ustach niczym ogień, lecz z sykiem wysunęło się spomiędzy warg:

– Kalessin...

Spojrzała ku wschodowi. Wierzchołek góry Gont, sterczący ponad puszczą, poczerwieniał, przechwytując resztki światła, niewidocznego już w dole. Na jej oczach krwista łuna zaczęła przygasać. Tenar odwróciła wzrok, a kiedy znów się obejrzała, szczyt góry był już szary, niewyraźny. Nagie zbocza powlekły czarne cienie.

Czekała na wzejście wieczornej gwiazdy. Kiedy w końcu zabłysła ponad mgiełką, Tenar powoli wróciła do domu.

Domu, który nie był jej domem. Czemu została w domostwie Ogiona, zamiast na własnym gospodarstwie, czemu opiekowała się kozami maga i jego cebulą, a nie własnymi sadami i zwierzętami? „Czekaj tu”, polecił umierający czarnoksiężnik; posłuchała i zjawił się smok; a teraz Ged czuł się już dostatecznie dobrze. Zrobiła swoje. Utrzymała dom w porządku. Nie była już potrzebna. Czas odejść.

A jednak nie potrafiła pogodzić się z myślą, że porzuci tę wysoką skalną półkę, to sokole gniazdo i powróci na niziny, do domu stojącego wśród łagodnych pól i bezwietrznych przestrzeni. Poczuła nagły ból w sercu. A co ze snem, jaki wyśniła pod małym okienkiem wyglądającym na zachód? Co ze smokiem, który ją tu odwiedził?

Drzwi domu jak zwykle stały otworem, wpuszczając do środka światło i świeże powietrze. Krogulec siedział w półmroku, nierozjaśnionym światłem lampy ani nawet odblaskiem ognia,

skulony na niskim stołku obok wymiecionego paleniska. Często tam siadywał. Tenar przypuszczała, że kiedy był jeszcze chłopcem, podczas swego krótkiego terminu u Ogiona zajmował właśnie to miejsce. Tak jak później ona, kiedy stała się uczennicą maga.

Słysząc, że nadchodzi, uniósł głowę, lecz jego oczy spoglądały w bok, w stronę ciemnego kąta za drzwiami. Stała tam laska Ogiona, dębowy kij, ciężki, zużyty, z wytartym do gładkości uchwytem; długością dorównujący wzrostowi wysokiego mężczyzny. Obok niego Therru ustawiła wierzbowy kijek i olchową laskę, które wycięła dla nich Tenar, kiedy wędrowały do Re Albi.

Tenar pomyślała nagle: Jego laska, laska czarnoksiężnika, cisowa, ta, którą podarował mu Ogion – gdzie jest teraz? I w tym samym momencie: Czemu wcześniej sobie o tym nie przypomniałam?

W domu panował mrok. Powietrze zdawało się dziwnie ciężkie, przytłaczające. Wcześniej pragnęła, by został tu i pomówił z nią, teraz jednak, gdy siedział obok, nie miała mu nic do powiedzenia ani on jej.

– Pomyślałam sobie – stwierdziła wreszcie, ustawiając w równym rządku cztery talerze na dębowym kredensie – że już czas, abym wróciła do siebie.

Nie odpowiedział. Możliwe, że skinął głową, ale nie mogła być pewna. Stała przecież odwrócona plecami.

Nagle poczuła gwałtowne zmęczenie i zapragnęła położyć się spać. On jednak siedział we frontowej części domu, a nie było jeszcze tak ciemno, by mogła rozebrać się przy nim. Wstyd sprawił, że ogarnął ją gniew. Miała właśnie go poprosić, by na chwilę wyszedł, kiedy powiedział:

– Księgi. Księgi Ogiona. Runy i dwie Księgi Wiedzy. Zabierzesz je ze sobą?

– Ja? Dlaczego?

– Byłaś jego ostatnią uczennicą.

Podeszła do paleniska i usiadła naprzeciw Geda na trójnogim stołku Ogiona.

– Kiedyś potrafiłam pisać, używając run hardyckich, ale bez wątpienia większość z tego zapomniałam. Ogion nauczył mnie też odrobinę języka, którym władają smoki. Część wciąż pamiętam, lecz

niewiele. Nie stałam się adeptką, czarodziejką. Wyszłam za mąż. Wiesz przecież. Czy Ogion pozostawiłby swoje Księgi Wiedzy prostej żonie rolnika?

Po chwili wahania Krogulec spytał beznamiętnie:

– Komu zatem je zostawił?

– Z pewnością tobie.

Milczał.

– Byłeś jego ostatnim uczniem, jego dumą i przyjacielem. Nigdy nie wspominał o tym ani słowem, ale oczywiście należą do ciebie.

– Cóż niby mam z nimi począć?

Wpatrywała się w niego, przebijając wzrokiem ciemność. Zachodnie okno połyskiwało lekko po drugiej stronie izby. Ponury, niezmienny, niezrozumiały gniew, dźwięczący w jego głosie, rozzłościł ją nagle.

– Ty, Arcymag, zadajesz mi takie pytanie? Czemu traktujesz mnie jak jeszcze głupszą, niż jestem?

Wstał.

– Czy ty... nie widzisz? Wszystko skończone... Odeszło.

Siedziała bez ruchu, próbując dojrzeć jego twarz.

– Nie mam już żadnej mocy. – Jego głos zadrżał lekko. – Nic. Oddałem ją, zużyłem wszystko, co miałem, aby zamknąć... To już koniec. Dokonało się.

Próbowała zaprzeczyć, ale nie potrafiła.

– Zupełnie jakbym rozlał kubek wody na piasek. W Suchej Krainie. Musiałem to uczynić. Teraz jednak nie zostało mi nic do picia. A czegóż może dokonać jeden kubek wody na pustyni? Czy pustynia zniknęła? „Słuchaj!" – szeptała do mnie tamta istota, cień kryjący się za drzwiami. „Słuchaj, słuchaj!". Wybrałem się do Suchej Krainy, kiedy byłem jeszcze młody. Spotkałem go tam, stałem się nim, poślubiłem własną śmierć, która dała mi chęć życia. Wodę życia. Stałem się źródłem, fontanną rozlewającą wokół życiodajny płyn, ale w tamtym królestwie nie bije żadne źródło i w końcu odkryłem, że mam do dyspozycji tylko jeden maleńki kubek. Musiałem wylać go na piasek, w łożysku Suchej Rzeki, na pogrążonych w ciemności skałach. Moc odeszła. To już skończone. Dokonane.

Dzięki swym rozmowom z Ogionem i Gedem wiedziała dość, by odgadnąć, o jakiej krainie mówił. Pojmowała też, że nakreślone przez niego obrazy nie maskują prawdy, lecz ją ukazują. Zdawała sobie również sprawę, iż musi zaprzeczyć temu, co powiedział – nieważne, czy miał rację, czy nie.

– Nie dałeś sobie dość czasu – rzekła. – Powrót do świata żywych to długa podróż – nawet na grzbiecie smoka. Proces uzdrawiania musi potrwać. Potrzebny ci czas i spokój, bezpieczne schronienie, cisza. Zostałeś zraniony. Wyzdrowiejesz.

Przez długi czas milczał, stojąc obok paleniska. Tenar pomyślała, że powiedziała właściwe słowa i nieco go pocieszyła. Wówczas jednak spytał cicho:

– Tak jak twoja dziewczynka?

Tenar poczuła przeszywający ból, zupełnie jakby w jej ciało zagłębił się sztylet tak ostry, że z początku wcale nie dostrzegła, iż ktoś ją zranił.

– Nie rozumiem – ciągnął tym samym beznamiętnym głosem – czemu zabrałaś ją do siebie, wiedząc, że nie da się jej wyleczyć. Świadoma, jakie życie ją czeka. Zapewne ma to związek z czasami, w jakich żyjemy; mroczną erą, wiekiem ruin, nadchodzącego końca. Zabrałaś ją do siebie z tego samego powodu, dla którego ja ruszyłem na spotkanie ze swoim wrogiem – ponieważ tylko to mogłaś zrobić. I tak musimy wkroczyć w nową epokę, dźwigając zdobycze ze stoczonej ze złem wojny. Ty z poparzonym dzieckiem, a ja – z niczym.

Przemawiała przez niego rozpacz – cicha, wszechogarniająca.

Tenar odwróciła się, by spojrzeć na laskę maga stojącą w kącie przy drzwiach; drewna nie otaczała nawet najsłabsza poświata. W izbie panowała ciemność. Przez otwarte drzwi widać było dwie samotne gwiazdy, słabo migoczące na niebie. Nagle Tenar zapragnęła poznać ich nazwy. Wstała i wymacując przed sobą drogę, przeszła wzdłuż stołu do wyjścia. Z ziemi podniosły się mgły, przesłaniając większość nieboskłonu. Jeden z dwóch jasnych punkcików na firmamencie wydał jej się znajomy. Była to biała letnia gwiazda, którą w Atuanie, w jej własnym języku, nazywano Tehanu. Drugiej nie znała. Nie wiedziała też, jak nazywali Tehanu w tej

krainie, w mowie hardyckiej, ani jak brzmi jej prawdziwe miano, to, którego używają smoki. Była jedynie pewna, że jej matka mówiłaby o niej Tehanu. Tehanu, Tenar...

– Ged – powiedziała, nie oglądając się za siebie – kto cię wychowywał, kiedy byłeś dzieckiem?

Podszedł i stanął obok niej, także spoglądając w stronę horyzontu, na morze, gwiazdy i wznoszący się pod nimi czarny masyw góry.

– Chyba nikt – odparł. – Matka zmarła niedługo po moim urodzeniu. Miałem paru starszych braci, ale ich nie pamiętam. Oraz ojca kowala. I ciotkę, siostrę matki. Była czarownicą w Dziesięciu Olchach.

– Jak cioteczka Mech – wtrąciła Tenar.

– Młodsza. Miała pewną moc.

– Jak się nazywała?

Milczał.

– Nie pamiętam – rzekł wreszcie. – Po chwili dodał: – Nauczyła mnie imion; sokoła, sokoła pielgrzyma, orła, rybołowa, jastrzębia, krogulca...

– Jak nazywacie tę gwiazdę? Tą białą, wysoko na niebie?

– To Serce Łabędzia – rzekł, podążając wzrokiem za jej gestem. – W Dziesięciu Olchach nazywaliśmy ją Strzałą.

Nie wymienił jednak nazwy gwiazdy w Mowie Tworzenia ani prawdziwych imion sokoła, jastrzębia, krogulca, których nauczyła go czarownica.

– To, co powiedziałem przed chwilą... Nie miałem racji – dodał miękko. – Nie powinienem był się odzywać. Wybacz.

– Jeśli nie będziesz nic mówił, pozostanie mi tylko cię opuścić. – Odwróciła się do niego. – Czemu myślisz wyłącznie o sobie? Zawsze jedynie o sobie? Wyjdź na chwilę na zewnątrz – poleciła zagniewana. – Chcę iść do łóżka.

Oszołomiony, mrucząc pod nosem przeprosiny, wyszedł na dwór, a ona po drodze do alkowy zsunęła z siebie ubranie, wpełzła do łóżka i ukryła twarz w słodkim cieple jedwabistych pleców Therru.

Świadoma, jakie życie ją czeka...

Gniew, niemądre zaprzeczenia prawdy dźwięczącej w jego słowach – wszystko to brało się z poczucia zawodu. Choć Skowronek

dziesiątki razy powtarzała, że nic się nie da zrobić, jednak miała nadzieję, że Tenar zdoła wyleczyć oparzenia, ona sama zaś, kiedy już stwierdziła, że nawet Ogion by tego nie potrafił, w skrytości ducha liczyła jeszcze na to, iż Ged uzdrowi małą. Położy swą dłoń na bliźnie, która zniknie bez śladu; ślepe oko rozbłyśnie, spalona dłoń stanie się miękka i kształtna, dziewczynka rozkwitnie.

Świadoma, jakie życie ją czeka...

Odwrócone twarze, znaki odczyniające zły urok, zgroza i ciekawość, niezdrowa litość i natrętne groźby – krzywda bowiem przyciąga do siebie krzywdę. Therru nigdy nie miała poznać uścisków mężczyzny, poza Tenar nikt jej nie przytuli. Och, miał rację! Dziecko powinno było umrzeć, powinno już nie żyć. Trzeba było zostawić ją w Suchej Krainie. Jednak natrętne stare kobiety, ona, Skowronek i Bluszcz, okrutne w swej litości, musiały się wtrącić. Miał rację, zawsze miał rację. Ale wobec tego mężczyźni, którzy użyli jej dla swej własnej przyjemności, kobieta pozwalająca na wykorzystanie córki – oni także mieli rację, bijąc ją do nieprzytomności i wpychając w ogień, aby spłonęła żywcem. Tyle że nie dokończyli dzieła. Stracili zimną krew, pozwolili, by pozostała w niej iskierka życia. Popełnili błąd. Wszystko to zaś, co uczyniła ona, Tenar, także było błędem. W dzieciństwie oddano ją mocom ciemności i z woli starszych została przez nie pożarta. Czy naprawdę sądziła, że przekraczając morze, poznając inne języki, poślubiając mężczyznę i rodząc mu dwoje dzieci, żyjąc własnym życiem, mogłaby stać się nową Tenar? Uwolnić się od narzuconej jej roli – ich służebnicy, strawy, zabawki, którą mogli wykorzystać i odrzucić? Sama skrzywdzona, przyciągnęła do siebie inną zranioną duszę, część jej własnego nieszczęścia, ucieleśnienie zaznanego zła.

Włosy dziewczynki pachniały słodko. Mała leżała skulona w objęciach Tenar, śniąc spokojnie. Czy mogła być zła? Wyrządzono jej zło, którego nie da się naprawić. Ale nie została jeszcze stracona. Tenar przytuliła dziecko i leżąc bez ruchu, pozwoliła, by jej myśli wywędrowały do jasnej krainy snów, w głąb otchłani świetlistego powietrza, gdzie słyszała imię smoka i gwiazdy, Serca Łabędzia, Strzały, Tehanu.

***

Przesunęła zgrzebłem po sierści czarnej kozy, wyczesując z niej miękką wełnę, słynne runo z wyspy Gont, które zamierzała uprząść i zanieść do tkacza, by sporządził z niej ciepłą tkaninę. Stara czarna koza była już wyczesywana tysiące razy i lubiła to, poddając się bez sprzeciwu naciskowi drucianych zębów szczotki. Stos czarnego puchu ciągle rósł, aż wreszcie przypominał brudny miękki obłok, który Tenar wepchnęła do nicianej siatki. Aby odwdzięczyć się zwierzęciu, zanim poklepała je przyjaźnie po boku, odczepiła od frędzlastych uszu parę rzepów. „Bee!", zabeczała koza, po czym odbiegła. Tenar opuściła ogrodzone pastwisko i przeszła na front domu, zerkając na łąkę, by się upewnić, że Therru nadal bawi się bezpiecznie.

Mech pokazała niedawno dziewczynce, jak z trawy wyplatać koszyki, i mimo okaleczonej ręki wkrótce Therru zyskała w tym sporą wprawę. Siedziała teraz na środku łąki z zaczętą robotą na kolanach, ale nie pracowała. Obserwowała Krogulca.

Stał w sporej odległości, niedaleko urwiska. Odwrócony plecami nie miał pojęcia, że ktoś na niego patrzy, sam bowiem śledził ptaka – młodą pustułkę, która z kolei obserwowała potencjalną ofiarę dostrzeżoną w trawie. Wisiała w powietrzu, bijąc skrzydłami, pragnąc przestraszyć kreta czy może mysz, tak by spłoszone zwierzątko wybiegło z kryjówki do gniazda. Ged ze skupieniem wpatrywał się w ptaka. Powoli uniósł prawą dłoń, nadstawiając przedramię, i zdawało się, że coś powiedział, ale wiatr porwał w dal jego słowa. Pustułka odwróciła się, wydała z siebie głośny, przenikliwy okrzyk i śmignęła w powietrzu w stronę lasu.

Ged opuścił rękę, odprowadzając ptaka wzrokiem. Tehanu i dziewczynka milczały. I tylko ptak odleciał, wybierając wolność.

***

– Kiedyś zjawił się u mnie w postaci sokoła, sokoła pielgrzyma – wspominał pewnego zimowego dnia Ogion, siedząc przy palenisku. Rozmawiali właśnie o zaklęciach Przemiany, transformacji, o magu Bordgerze, który stał się niedźwiedziem. – Przyleciał wtedy do mnie, nie wiadomo, z północy czy zachodu, i usiadł mi na przegubie. Zaniosłem go tu, do środka. Nie mógł mówić. Ponieważ go znałem, umiałem mu pomóc; zdołał pozbyć się ptasiej powłoki i na powrót stać się człowiekiem, jednakże zawsze pozostało w nim coś z sokoła. W wiosce nazwali go Krogulcem, ponieważ na jego wezwanie zlatywały się wszystkie ptaki drapieżne. Kim jesteśmy? Co to znaczy być człowiekiem? Zanim dostał własne imię i zajął się poszukiwaniem wiedzy, zanim jeszcze zdobył moc, krył się w nim sokół, mag, mężczyzna i jeszcze coś. Był kimś, na kogo nie znamy określenia. Podobnie jak my wszyscy.

Dziewczyna siedząca przy kominku, spoglądająca w ogień, nasłuchująca, ujrzała jastrzębia i mężczyznę; widziała, jak ptaki przylatują do niego, wezwane jednym słowem – swym prawdziwym imieniem – i bijąc skrzydłami, obejmują jego rękę groźnymi szponami. Ujrzała też samą siebie jako sokoła, dzikiego ptaka.

7

Myszy

Pewnego poranka do domu maga przybył Townsend, handlarz owiec, który niedawno przyniósł wiadomość Ogiona na farmę w Dolinie Środkowej.

– Czy teraz, kiedy pan Ogion odszedł, zamierzasz sprzedać jego kozy?

– Możliwe – odparła Tenar, zachowując pozorną obojętność. W istocie zastanawiała się, czy gdyby została w Re Albi, zdołałaby się utrzymać. Jak każdy czarodziej i czarnoksiężnik, Ogion żył dzięki pomocy ludzi, którym służyły jego moce i umiejętności – w jego przypadku mieszkańców całego Gontu. Gdyby tylko poprosił, dostałby wszystko, czego zapragnął – skromna to zapłata za przychylność maga. Jednakże Ogion nigdy nie musiał prosić; prędzej już rozdawał nadmiar żywności, ubrań, narzędzi, zwierząt domowych i wszelkich niezbędnych drobiazgów i ozdóbek, którymi go obdarowywano. „Co ja z tym pocznę?”, pytał z zakłopotaniem, stając w drzwiach z rękami pełnymi wrzeszczących kurcząt, wielołokciowych bel tkanin albo garnców z marynowanymi burakami.

Jednakże Tenar wszystko, co miała, zostawiła w Dolinie Środkowej. Opuszczając w pośpiechu dom, nie pomyślała, jak długo może zostać w Re Albi. Nie zabrała ze sobą siedmiu kawałków kości – skarbu Krzemienia – zresztą pieniądze nie przydałyby się w wiosce, chyba po to, by kupić ziemię lub zwierzęta albo dobić targu z jakimś

kupcem w Porcie Gont, sprzedającym futra pellawi lub jedwabie z Lorbanery bogatym rolnikom i paniczykom z całej wyspy. Farma Krzemienia zapewniała wszystko, czego wraz z Therru potrzebowały, aby najeść się i przyodziać, natomiast sześć kóz Ogiona, jego fasola i cebula w żaden sposób nie mogły zaspokoić potrzeb – nawet maga, który hodował je tylko dla przyjemności. Od chwili przybycia Tenar korzystała z zapasów jego spiżarni, darów wieśniaków, którzy przez pamięć Ogiona utrzymywali jego wychowankę, oraz szczodrobliwości cioteczki Mech. Nie dalej jak wczoraj wiedźma rzekła:

– Złociutka, właśnie wykluły się pisklęta mojej najlepszej kury. Jak zaczną grzebać w ziemi, przyniosę ci dwa, trzy kurczaki. Mag nie chciał ich hodować. Twierdził, że są zbyt głupie i hałaśliwe. Ale co to za dom bez stadka kur przy drzwiach?

Kury czarownicy swobodnie wędrowały po izbie i sypiały na łóżku cioteczki Mech, wzmagając i tak już nieprawdopodobny smród panujący w mrocznej, zadymionej chałupie.

– Mam tu roczną biało-brązową kozę, która daje mnóstwo mleka – oznajmiła Tenar, zwracając się do Townsenda.

– Myślałem o całym stadku – odparł. – Jest ich tylko pięć czy sześć, prawda?

– Sześć. Jeśli chcesz je obejrzeć, są w tej chwili na pastwisku na górze.

– Chętnie. – Jednakże nie ruszył się z miejsca. Rzecz jasna żadna ze stron nie mogła okazać niestosownego pośpiechu. – Widziałaś, jak przypływał wielki statek?

Okna domu Ogiona wychodziły na zachód i północ. Widać przez nie było jedynie skaliste cyple u wylotu zatoki, Zbrojne Urwiska; dopiero z wioski dało się powieść wzrokiem wzdłuż stromej drogi wiodącej do Portu Gont i dalej, do przystani. Obserwowanie statków stanowiło tradycyjną rozrywkę mieszkańców Re Albi. Zazwyczaj na ławce obok kuźni, z której rozciągał się najlepszy widok, siedziało paru starców i pilnie śledziło przypływające i odbijające statki, traktując to jako świetne widowisko zorganizowane wyłącznie dla ich rozrywki.

– Podobno przypłynął z Havnoru, widział go chłopak kowala. Był wówczas w porcie, żeby kupić parę kęsów żelaza. Wrócił do wsi

wczoraj wieczorem. Mówi, że to statek z Wielkiego Portu w Havnorze.

Kupiec zapewne opowiadał tylko po to, by rozproszyć jej uwagę i uzyskać lepszą cenę. Prawdopodobnie Tenar tylko wymyśliła sobie chytrość w jego oczach. Lecz przybysze z havnorskiego Wielkiego Portu rzadko pojawiali się na Goncie, biednej dalekiej wyspie, słynącej jedynie z magów, piratów i kóz, coś zaś w słowach „wielki statek" wzbudziło w niej nagły niepokój, choć nie wiedziała dlaczego.

– Mówił, że w Havnorze znów zasiada król – ciągnął dalej handlarz owiec, rzucając jej z ukosa zaciekawione spojrzenie.

– To dobra nowina – odparła Tenar.

Townsend przytaknął.

– Może da to do myślenia cudzoziemskiej hołocie.

Tenar skinęła wdzięcznie swą cudzoziemską głową.

– Ale są w porcie ludzie, których to nie zachwyci.

Najprawdopodobniej miał na myśli słynnych gontyjskich piratów, którzy w ostatnich latach poczynali sobie coraz śmielej do tego stopnia, że opanowali wiele pradawnych szlaków handlowych ze środkowymi wyspami Archipelagu. Wzburzyło to wszystkich na Goncie oprócz samych piratów, nie przeszkodziło jednak temu, że w oczach przeciętnych Gontyjczyków uważani byli za bohaterów. Z tego, co wiedziała, jej syn mógł żeglować na pirackim okręcie. Była to pewnie bezpieczniejsza praca niż na zwykłym statku handlowym. Lepiej już być rekinem niż śledziem, jak głosiło stare przysłowie.

– Są ludzie, którzy zawsze znajdą powody do narzekań – odparła odruchowo, zgodnie z zasadami uprzejmej rozmowy, po czym wstając z miejsca, dodała niecierpliwie: – Pokażę ci kozy. Sam możesz im się przyjrzeć. Nie wiem, czy sprzedamy wszystkie, czy może żadnej.

Nie podobał jej się. To nie jego wina, że kiedyś przyniósł złe wieści, a może uczynił to także w tej chwili. Oczy mu uciekały na bok i Tenar źle się czuła w jego towarzystwie. Nie sprzeda mu kóz Ogiona. Nawet Sippy.

***

Kiedy już odszedł, nie dobiwszy targu, ogarnął ją niepokój. Powiedziała: „nie wiem, czy sprzedamy”, i był to błąd. Czemu rzekła „my” zamiast „ja”, skoro nie domagał się rozmowy z Krogulcem? Nawet o nim nie wspomniał, choć można tego oczekiwać po mężczyźnie targującym się z kobietą, zwłaszcza kiedy odrzuciła jego propozycję.

Nie wiedziała, co ludzie w wiosce sądzą o Krogulcu, o jego obecności i nieobecności. Ogion, wyniosły, milczący, budzący szacunek i lęk, był ich magiem i ziomkiem. Krogulec, sławny czarnoksiężnik, Arcymag, który przez jakiś czas mieszkał w Re Albi, a potem dokonał prawdziwych cudów, przechytrzywszy smoka z Dziewięćdziesięciu Wysp i odzyskawszy Pierścień Erreth-Akbego, stanowił dla nich powód do dumy, nie znali go jednak. Podobnie jak on nie znał ich. Od dnia swego przybycia ani razu nie odwiedził wioski. Wędrował jedynie po lesie, bezludnej głuszy. Wcześniej nie zastanawiała się nad tym, ale wyglądało na to, że tak samo jak Therru uporczywie wioski unikał.

Musieli o nim gadać. W końcu to tylko wieś, a ludzie są ciekawscy. Lecz plotki tyczące czynów magów i czarodziejów nie przekraczały pewnej granicy; cała materia była zbyt niesamowita, a żywoty ludzi obdarzonych mocą zbyt osobliwe i odmienne od ich własnych. „Daj spokój – słyszała często w Dolinie Środkowej, kiedy ktoś zaczynał snuć fantastyczne rozważania na temat przyjezdnego zaklinacza pogody albo też ich czarodzieja, Buka. – Zostaw go, on podąża własną ścieżką, nie naszą”.

Co zaś się tyczy jej samej, fakt, że została w domku, opiekując się tajemniczym przybyszem, uznali za coś naturalnego. Znów podpadało to pod kategorię spraw, o których lepiej nie dyskutować. Sama niewiele miała do czynienia z wioską. Jej mieszkańcy nie byli ani przyjaciółmi, ani wrogami. Mieszkała tam kiedyś, w domu tkacza Wachlarza, była wychowanką starego maga, który posłał Townsenda do jej domostwa u podnóża gór – nic w tym zdrożnego. Lecz kiedy

się tu zjawiła, przyprowadziła ze sobą dziecko, kalekę. Kto z własnej woli włóczyłby za sobą podobnego potworka? I co za kobieta mogła stać się uczennicą i opiekunką maga? Z pewnością to jakaś wiedźma, w dodatku cudzoziemka. Z drugiej jednak strony była żoną bogatego rolnika z Doliny Środkowej, jest wdową od niedawna. Kto zdołałby pojąć, co dzieje się w głowach ludzi parających się czarami? Lepiej dać spokój...

Tenar natknęła się na Arcymaga Ziemiomorza, gdy przechodził obok płotu okalającego niewielki ogród.

– Powiadają, że do portu przybył statek z Havnoru.

Zamarł. Po sekundzie drgnął gwałtownie, jakby zamierzał odwrócić się i umknąć niczym mysz ścigana przez jastrzębia. Natychmiast jednak opanował lęk.

– Ged! – Tenar patrzyła na niego zdumiona. – O co chodzi?

– Nie mogę – odparł. – Nie mogę spotkać się z nimi.

– Z kim?

– Jego ludźmi. Wysłannikami króla.

Jego twarz poszarzała jak wtedy, gdy zjawił się tu po raz pierwszy. Rozejrzał się, poszukując schronienia.

Był wyraźnie przerażony i tak bezbronny, że Tenar zapragnęła jedynie uchronić go przed tym, czego się lękał.

– Nie musisz się z nimi spotykać. Jeśli ktokolwiek przyjdzie, odprawię go. A teraz wracaj do domu. Przez cały dzień nic nie jadłeś.

– Był tu jakiś człowiek – stwierdził Ged.

– Townsend. Wypytywał o cenę kóz. Już się go pozbyłam. Chodź!

Poszedł za nią. Kiedy znaleźli się w domu, starannie zamknęła drzwi.

– Przecież nie zrobią ci krzywdy, Gedzie. Czemu mieliby chcieć cię zranić?

Usiadł przy stole i tępo potrząsnął głową.

– Nie, nie.

– Wiedzą, że tu jesteś?

– Nie mam pojęcia.

– Czego się boisz? – spytała. Dawna niecierpliwość zniknęła, zastąpiona władczą powagą.

Potarł dłońmi czoło i skronie, spuszczając wzrok.

– Byłem... – zaczął. – Już nie jestem...

Nic więcej nie zdołał powiedzieć.

– Dobrze już, dobrze. – Nie śmiała go dotknąć, aby nie pogorszyć jeszcze sytuacji, nie poniżyć go dodatkowo, okazując współczucie. Nagle ogarnął ją gniew – przez niego i na niego. – To nie ich sprawa – oświadczyła stanowczo. – Nie obchodzi ich, gdzie jesteś, kim jesteś, co robisz, a czego nie! Jeśli nawet przyjdą tu węszyć, odejdą z niczym. Niech się udławią własną ciekawością. – Skowronek często to powtarzała. Tenar poczuła nagłą tęsknotę za towarzystwem zwykłej, rozsądnej kobiety. – Zresztą statek nie musi mieć nic wspólnego z tobą. Może po prostu ściga piratów? Nie byłoby to zresztą takie złe, gdyby król dobrał im się do skóry... Porządkując kredens, znalazłam w kącie parę butelek wina. Zastanawiam się, jak dawno Ogion zachomikował je tutaj. Obojgu nam przyda się łyk zacnego trunku. A także trochę chleba i sera. Mała zjadła już obiad i wyprawiła się z Wrzos polować na żaby. Możliwe, że na kolację będziemy mieli żabie udka. Na razie wystarczy nam chleb i ser. Oraz wino. Ciekawe, czyj to dar, kto przyniósł je Ogionowi, z którego jest roku? – Ani na chwilę nie przestawała mówić, wybawiając go od konieczności udzielania odpowiedzi i zapełnienia niezręcznej ciszy. Dzięki temu, pokonawszy atak wstydu, ożywił się nieco i wypił kielich starego, łagodnego czerwonego wina.

– Najlepiej będzie, jeśli odejdę – rzekł. – Muszę odkryć, kim teraz jestem.

– Dokąd pójdziesz?

– W góry.

– Wędrując jak Ogion?

Spojrzała na niego i przypomniała sobie, jak szli razem drogami Atuanu, a ona szydziła z niego: „ Czy magowie często żebrzą?”. On zaś odpowiedział: „Owszem, ale zwykle dają coś w zamian”.

Po chwili spytała ostrożnie:

– Nie mógłbyś zatrudnić się gdzieś jako zaklinacz pogody czy wyszukiwacz zagubionych drobiazgów?

Ponownie napełniła jego kielich. Potrząsnął głową. Upił łyk wina i odwrócił wzrok.

– Nie – uciął. – Nic z tych rzeczy. To już przeszłość.

Nie wierzyła mu. Pragnęła się zbuntować, zaprzeczyć, wykrzyczeć głośno: To niemożliwe! Jak możesz mówić coś takiego? Zupełnie jakbyś zapomniał wszystko, co wiesz; wszystko, czego nauczyłeś się od Ogiona i na Roke, a także podczas swych podróży! Nie mogłeś zapomnieć słów, imion, dzieł twojej sztuki! Pilnie się uczyłeś, zasłużyłeś na swą moc!

Z trudem powstrzymała cisnące się na usta słowa. Mruknęła jedynie cicho:

– Nie rozumiem. Jak mogłeś...

– Kubek wody – odrzekł, przechylając lekko kielich, jakby chciał wylać zawartość. Po chwili dodał: – Tak naprawdę nie pojmuję, czemu sprowadził mnie z powrotem. Młodość bywa okrutna w swej dobroci... A teraz, skoro już tu jestem, muszę się nauczyć radzić sobie z własnym życiem. Dopóki nie wrócę.

Niedokładnie pojmowała, co miał na myśli, jednakże dosłyszała w jego głosie nutę wstydu i pretensji i odkrycie to ją zagniewało.

– Kalessin cię tu przyniósł – oznajmiła zimno.

Przy zamkniętych drzwiach w domu panował mrok. Tylko małe zachodnie okienko wpuszczało do środka odrobinę światła. Tenar nie dostrzegła wyrazu twarzy Geda, po chwili jednak uniósł ku niej kielich, jakby chciał wygłosić toast, i z widmowym uśmiechem opróżnił go do dna.

– Co za wino – westchnął. – Ogion musiał je dostać od jakiegoś wielkiego kupca bądź pirata. Nigdy nie piłem podobnego trunku. Nawet w Havnorze. – Obrócił w palcach przysadzisty szklany kielich, oglądając go uważnie. – Przezwę się jakoś – stwierdził w końcu – i wyruszę na drugą stronę góry, do ujścia Ar i Wschodnich Lasów, skąd pochodzę. Zaczynają się sianokosy. Przy żniwach zawsze trzeba dodatkowych rąk do pracy.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Był wciąż słaby, wycieńczony. Jeśli ktokolwiek zatrudni go przy żniwach, uczyni to albo wiedziony litością, albo okrucieństwem, Ged zaś w żadnym razie nie poradzi sobie w polu.

– Drogi nie są już takie jak kiedyś – stwierdziła. – W ostatnich latach wszędzie pojawiły się bandy złodziei. „Cudzoziemska hołota”,

jak mawia mój przyjaciel Townsend. Niebezpiecznie jest podróżować samemu.

Przyglądając mu się w półmroku, aby sprawdzić, jak zareaguje na jej słowa, zastanowiła się przez chwilę, jakie to uczucie nigdy nie lękać się drugiego człowieka – jak trudna musi być dla byłego maga nauka strachu.

– Ogion jednak wędrował... – zaczął Ged i ugryzł się w język. Najwyraźniej przypomniał sobie, że Ogion był magiem.

– W południowej części wyspy – powiedziała Tenar – przepędzają właśnie stada: owce, kozy, bydło. Przed Długim Tańcem wyprowadzają je w góry i zostawiają na pastwiskach aż do pory deszczów. Zawsze potrzebują nowych pasterzy. – Pociągnęła łyk wina. Było jak imię smoka w jej ustach. – Ale czemu nie chcesz zostać tutaj?

– Nie w domu Ogiona. Tu przyjdą od razu.

– A jeśli nawet? Czego od ciebie chcą?

– Abym stał się tym, kim byłem.

Poczuła nagły dreszcz, słysząc ogromny żal dźwięczący w jego głosie.

Milczała, usiłując sobie przypomnieć, jak wyglądało jej życie, gdy jeszcze miała moc, gdy była Pożartą, Jedyną Kapłanką Grobowców Atuanu. A potem utraciła moc, odrzuciła, stała się zwykłą Tenar. Powróciła myślami do życia kobiety w jej najlepszych latach, u boku męża i dzieci. I do dnia, kiedy straciła wszystko, stając się starą bezradną wdową. Nadal jednak nie potrafiła pojąć ogromu jego wstydu, cierpienia, poniżenia. Może tylko mężczyzna potrafi czuć coś podobnego. Kobiety przywykły do ciągłych upokorzeń.

A może cioteczka Mech miała rację? Może gdy moc zniknęła, skorupka zostawała pusta.

Zwykła gadanina czarownicy, pomyślała. Czas zmienić temat rozmowy. Ognisty trunek wyostrzył jej dowcip i rozwiązał język.

– Wiesz – zagadnęła – Ogion mnie uczył, a ja nie chciałam ciągnąć tego dalej, więc znalazłam sobie mężczyznę i poślubiłam go. A w dzień mojego ślubu pomyślałam: Ged będzie zły, kiedy się o tym dowie. – Roześmiała się głośno.

– I dowiedziałem się.

Odczekała chwilę.

– Czułem zawód – dokończył.

– Złość – poprawiła.

– Złość – zgodził się.

Dopełnił jej kielich.

– Wówczas miałem moc, która pozwalała mi rozpoznać podobne zdolności u innych. A ty w tym strasznym mrocznym Labiryncie świeciłaś niby gwiazda.

– Powiedz mi zatem, co powinnam począć z mocą, którą Ogion usiłował mi przekazać.

– Wykorzystać ją.

– Jak?

– Tak jak wykorzystuje się kunszty magiczne.

– Kto to robi?

– Czarnoksiężnicy – odparł z bólem w głosie.

– Magia oznacza zdolności, sztukę czarnoksiężników, ich kunszt?

– Cóż innego mogłaby znaczyć?

– I to wszystko? Nic poza tym?

Ged się zamyślił.

– Kiedy Ogion mnie uczył – ciągnęła dalej Tenar – tu, przy kominku, słowa ze Starej Mowy rozbrzmiewały w mych ustach równie gładko i dźwięcznie, jakby on je wymawiał. Przypominało to naukę języka, który znałam już kiedyś, przed mym narodzeniem. Ale reszta – wiedza, runy władzy, zaklęcia, reguły, przywoływanie potęg – wszystko to było dla mnie jak martwe. Obcy język. Myślałam wtedy: Mogłabym przebrać się za wojownika, wziąć w rękę miecz, lancę, założyć hełm z pióropuszem, ale nic z tego by do mnie nie pasowało, prawda? Co poczęłabym z ostrą klingą? Czy dzięki niej stałabym się bohaterką? Nie, byłabym wciąż sobą, w cudzym stroju okrutnie krępującym ruchy. – Wypiła łyk wina. – Więc go zrzuciłam – dokończyła – i włożyłam własne ubranie.

– Co powiedział Ogion, kiedy odeszłaś?

– A co Ogion zazwyczaj mawiał?

Te słowa ponownie przywołały na jego usta cień uśmiechu. Nie odpowiedział.

Przytaknęła i ciągnęła dalej, zniżając głos;

– Przyjął mnie, ponieważ ty mnie tu przywiozłeś. Po twoim odejściu nie chciał żadnych nowych uczniów, a już z pewnością nie dziewczyny. Ale zgodził się mną zająć, uczynił mi zaszczyt, biorąc do siebie, bo go poprosiłeś. Jednakże kochał mnie. Ja także kochałam go i szanowałam. Nie potrafił jednak dać mi tego, czego pragnęłam, a ja nie mogłam przyjąć ofiarowanych przez niego darów. Rozumiał to. Ale kiedy zobaczył Therru, zareagował zupełnie inaczej. Było to na dzień przed jego śmiercią. I ty, i cioteczka Mech powtarzacie, że ludzie obdarzeni mocą rozpoznają się nawzajem. Nie wiem, co w niej dostrzegł, ale powiedział: „Ucz ją!", a potem...

Ged czekał w milczeniu.

– ...dodał: „Będą się jej bali". I polecił: „Naucz ją wszystkiego. Nie Roke...". Nie mam pojęcia, o co mu chodziło. Skąd miałabym wiedzieć? Gdybym została tu z nim wtedy, może potrafiłabym ją uczyć. Pomyślałam jednak: Ged przybędzie i on mi powie, co z nią począć, jaką wiedzę przekazać mojej skrzywdzonej kruszynce.

– Ale ja nie wiem – odparł cicho. – Widzę... dostrzegam w niej tylko doznaną krzywdę. Zło.

Wysączył resztkę wina.

– Nie mam nic, co mógłbym jej dać – rzekł.

W tym momencie rozległo się ciche pukanie. Ged odwrócił się gwałtownie z tą samą bezradną miną, szukając bezpiecznej kryjówki.

Tenar podeszła do drzwi, uchyliła je i zanim jeszcze ujrzała postać czarownicy, wyczuła jej smród.

– Obcy są w wiosce – wyszeptała dramatycznie staruszka. – Przyszli z portu, grupka dostojników z wielkiego statku, który przypłynął podobno z samego Havnoru. Ludzie gadają, że poszukują Arcymaga.

– On nie chce się z nimi widzieć – odparła słabo Tenar. Nie miała pojęcia, co robić.

– W to nie wątpię – mruknęła wiedźma. Spojrzała wyczekująco. Wreszcie nie wytrzymała. – Gdzie on jest?

– Tutaj – odezwał się Krogulec, podchodząc do drzwi i otwierając je szerzej. – Czy dowiedzieli się, gdzie jestem?

– Nie ode mnie.

– Jeśli tu przybędą – powiedziała Tenar – musisz ich tylko odprawić. Ostatecznie jesteś Arcymagiem...

Jednakże Krogulec i wiedźma nie zwracali na nią najmniejszej uwagi.

– Do mnie na pewno nie przyjdą – stwierdziła cioteczka Mech. – Chodź, jeśli chcesz.

Podążył za nią, oglądając się przelotnie na Tenar.

– Ale co mam im powiedzieć?! – krzyknęła w ślad za nimi.

– Nic, złociutka – odparła czarownica.

***

Wrzos i Therru wróciły z mokradeł, niosąc w siatce siedem martwych żab. Tenar zakrzątnęła się wokół nich, odcinając nogi i obdzierając je ze skórki na kolację dla obu łowczyń. Właśnie kończyła, gdy z dworu dobiegły ją obce głosy. Uniósłszy wzrok ku otwartym drzwiom, ujrzała ludzi – wysokie sylwetki, kapelusze, błysk złota wśród cieni.

– Czy zastaliśmy panią Gohę? – spytał ktoś uprzejmie.

– Wejdźcie – rzuciła.

Posłuchali; przyszło zaledwie pięciu, choć w niskiej izbie wydawało się, że jest dwukrotnie więcej. Rozejrzeli się wokół i Tenar ujrzała dom ich oczami.

Widzieli przed sobą kobietę stojącą przy stole, trzymającą w dłoni długi ostry nóż. Na blacie leżała deska do krajania, a na niej, po jednej stronie, niewielki stosik nagich zielono-białych nóżek, po drugiej – zgrabna kupka tłustych martwych żab. W cieniu pod oknem przyczaiło się dziecko, mała niezgrabna kaleka z silnie zniekształconą ręką i bliznami na pół twarzy. Na łóżku w alkowie, pod jedynym oknem, siedziała rosła dziewczyna przyglądająca się im z otwartymi ustami. Jej dłonie ubabrane były we krwi i błocie, wilgotna spódnica śmierdziała wodą z mokradeł. Kiedy dostrzegła, że spoglądają ku niej, ukryła twarz rąbkiem spódnicy, obnażając białe uda.

Przybysze skupili całą uwagę na kobiecie zajętej żabami.

– Pani Goha? – powtórzył jeden z nich.

– Tak mnie nazywają – odparła.

– Przybywamy z Havnoru, od króla. – Był bardzo uprzejmy. Przybysze stali pod światło, więc ich twarze ginęły w cieniu. – Szukamy Arcymaga, Krogulca z Gontu. Przed nastaniem jesieni ma się odbyć koronacja króla Lebannena, który pragnie, aby Arcymag, jego pan i przyjaciel, pomógł mu w przygotowaniach i jeśli zechce, ukoronował go własnymi rękami.

Nieznajomy mówił spokojnie, uroczyście, jakby zwracał się do damy w królewskim pałacu. Miał na sobie skromne skórzane spodnie i koszulę nieco przykurzoną po wspinaczce z Portu Gont, lecz uszytą z pięknego cienkiego materiału, ozdobioną złotym haftem przy kołnierzu.

– Tu go nie ma – odpowiedziała Tenar.

Do chaty zajrzało kilku wioskowych urwisów. Na widok przybyszów cofnęli się gwałtownie, znów zerknęli do środka i wreszcie uciekli z wrzaskiem.

– Może jednak potrafi nam pani powiedzieć, gdzie go znaleźć, dobrodziejko? – spytał mężczyzna.

– Nie potrafię.

Ponownie zmierzyła ich spojrzeniem. Lęk, który poczuła w pierwszej chwili – zapewne zaraziła się paniką Krogulca albo po prostu zdenerwowało ją nagłe pojawienie się obcych – zaczął już ustępować. Była przecież w domu Ogiona i doskonale wiedziała, czemu mistrz nigdy nie obawiał się nawet najdostojniejszych ludzi.

– Musicie być zmęczeni po tak długiej podróży – rzekła. – Zechcecie usiąść? Mam jeszcze wino. Chwileczkę, tylko umyję kielichy.

Przeniosła stolnicę na kredens, schowała żabie udka do spiżarni, po drodze wrzuciwszy resztki do kubła z pomyjami, które Wrzos wynosiła regularnie świniom tkacza Wachlarza. Następnie umyła w misce nóż i ręce, nalała świeżej wody i przepłukała dwa kielichy, z których niedawno pili ona i Krogulec. W kredensie znalazła jeszcze jedną szklanicę oraz dwa gliniane pozbawione uchwytów kubki. Ustawiła je na stole i nalała gościom wina; w butelce pozostało go akurat tyle, że starczyło. Przybysze popatrzyli po sobie, ale nie

usiedli, wymawiając się brakiem krzeseł. Jednakże zasady grzeczności nie pozwalały odmówić poczęstunku. Po kolei, mamrocząc pod nosem słowa podziękowania, ujmowali w dłonie kubki bądź kielichy, po czym przepijając do niej, pociągnęli pierwszy łyk.

– Na mój honor! – westchnął jeden z nich.

– Andrady, późny zbiór – stwierdził inny, wyraźnie zdumiony.

Trzeci pokręcił głową.

– Andrady, owszem, ale z Roku Smoka – oświadczył uroczyście.

Czwarty przytaknął i z nabożeństwem pociągnął kolejny łyk. Ten, który odezwał się pierwszy, ponownie uniósł kubek w niemym toaście.

– Iście królewski trunek, dobrodziejko – rzekł. – Wypić go to prawdziwy zaszczyt.

– Należał do Ogiona. Podobnie jak dom. Teraz to dom Aihala. Wiedzieliście o tym, panowie?

– Tak jest, dobrodziejko. Król przysłał nas tutaj, sądząc, że zastaniemy Arcymaga. Upewnił się w tym jeszcze, gdy na Roke i do Havnoru dotarła wieść o śmierci jego mistrza. Jednakże odkąd Arcymag odleciał z Roke na grzbiecie smoka, magowie ani król nie otrzymali od niego żadnych wieści. Królowi i nam wszystkim sprawa ta bardzo leży na sercu. Władca chciałby się dowiedzieć, gdzie przebywa Arcymag i czy czuje się dobrze. Czy jest tutaj, dobrodziejko?

– Nie potrafię rzec – odparła, ale powtórzenie osłabiło moc słów i widziała, że mężczyźni to dostrzegli. Wyprostowała się, stając za stołem. – To znaczy, że nie powiem. Jeśli Arcymag pragnie tu przyjść, przybędzie. Jeżeli nie, nie znajdziecie go. Z pewnością nie będziecie go szukać wbrew jego woli.

Najstarszy i najwyższy z mężczyzn stwierdził:

– Życzenie króla jest dla nas rozkazem.

– Jesteśmy tylko posłańcami – wtrącił pojednawczo pierwszy mówca. – Nie obchodzi nas, co jest między królem a Arcymagiem wszystkich wysp. Chcemy tylko dostarczyć wiadomość i odebrać odpowiedź.

– Jeśli zdołam, dopilnuję, by wasza wiadomość do niego dotarła.

– A odpowiedź? – nalegał najstarszy z gości.

Tenar milczała. Pierwszy mówca odezwał się ponownie:

– Na parę dni zatrzymamy się we dworze władcy Re Albi, który słysząc o naszym przybyciu, zaoferował nam gościnę.

Czuła się, jakby zastawiono na nią pułapkę, jakby na jej szyi powoli zaciskała się pętla; zapewne Krogulec zaraził ją swoją słabością i niepewnością. Roztrzęsiona, postanowiła ukryć się za maską pozorów, wykorzystując to, że w oczach obcych wygląda jak zwykła wiejska gospodyni, prosta podstarzała kobieta – choć czy była to jedynie kwestia wyglądu? Opis ów odpowiadał przecież prawdzie, a sprawy te były jeszcze subtelniejsze niż przemiany i iluzje czarodziejów. Przekrzywiając głowę, odparła:

– Znajdziecie tam, panowie, wszelkie wygody. Jak widzicie, żyjemy tu bardzo skromnie, tak jak kiedyś stary mag.

– I pijecie andradzkie wino – dodał ten, który pierwszy rozpoznał trunek, rosły młodzieniec o jasnych oczach i ujmującym uśmiechu.

Tenar, odgrywając swoją rolę, skromnie skłoniła głowę. Gdy jednak przybysze pożegnali się i wyszli, zrozumiała, iż jej wygląd nie miał tu nic do rzeczy; jeśli nawet nie wiedzieli jeszcze, że ona jest Tenar od Pierścienia Erreth-Akbego, wkrótce to odkryją. A wtedy pojmą, że zna Arcymaga i może ich do niego doprowadzić.

Gdy zamknęły się za nimi drzwi, odetchnęła z ulgą. Wrzos zawtórowała jej, po czym zamknęła usta, które dotąd miała szeroko otwarte.

– To ci dopiero! – powiedziała z głębokim, niekłamanym zadowoleniem i wyszła na dwór, by sprawdzić, co porabiają kozy.

Dopiero wówczas Therru wynurzyła się z ciemności za drzwiami, gdzie przycupnęła, odgradzając się od obcych laską Ogiona, olchowym kijem Tenar i własną leszczynową witką. Przybrała swą dawną pozę, poruszając się bokiem, sztywno i niezręcznie, wbijając wzrok w ziemię i przekrzywiając głowę, aby ukryć poranioną połowę twarzy.

Tenar podeszła do dziewczynki i uklękła, tuląc ją do siebie.

– Therru, ci ludzie nie zrobią ci krzywdy. I nie mają złych zamiarów.

Mała uporczywie odwracała spojrzenie. Stała w ramionach Tenar sztywna niczym kawał drewna.

– Jeśli chcesz, nie wpuszczę ich więcej do domu.

Po dłuższej chwili dziewczynka poruszyła się lekko i spytała swym szorstkim głosem:

– Co zrobią z Krogulcem?

– Nic. Nic złego! Przybyli tu... Chcą złożyć mu uszanowanie.

Sama jednak zaczynała już rozumieć, jak bolesne byłoby podobne spotkanie dla niego. Musiałby zapomnieć o tym, co utracił, otrząsnąć się z żalu i odegrać nie swoją już rolę.

Kiedy wypuściła małą z objęć, Therru podbiegła do szafy i wyjęła z niej miotłę Ogiona. Starannie zamiotła podłogę w miejscu, w którym stali przybysze z Havnoru, zacierając ich ślady, przeganiając za próg naniesiony przez nich pył.

Patrząc na nią, Tenar podjęła decyzję. Podeszła do półki, na której stały trzy wielkie księgi Ogiona. Po krótkich poszukiwaniach znalazła kilka gęsich piór i flaszeczkę inkaustu. Nigdzie jednak nie było ani skrawka papieru czy pergaminu. Nie chciała uszkodzić żadnej z ksiąg, ale jakie miała inne wyjście? Zaciskając zęby, czując się jak bluźnierca, oddarła cienki pasek papieru z ostatniej czystej kartki Księgi Run. Następnie usiadła przy stole, zanurzyła pióro w atramencie i zaczęła pisać. Nie przychodziło jej to łatwo. Od czasów, gdy ćwierć wieku wcześniej zasiadała przy tym samym stole, a Ogion, patrząc jej przez ramię, uczył ją run hardyckich i Wielkich Run Mocy, rzadko miewała okazję nakreślić choćby kilka słów. W końcu napisała:

idźna dębowąfarmę wdolinie środkowej dopotoka
powiedz goha przysyła zająćsie owcami i ogrodem

Odczytanie tych kilku słów zabrało jej niemal tyle czasu, co ich napisanie. Tymczasem Therru zdążyła już pozamiatać i stała bez ruchu, obserwując ją uważnie.

Tenar dodała jeszcze jedno słowo:

dzisiaj

– Gdzie jest Wrzos? – spytała dziewczynkę, dwukrotnie składając papier. – Chcę, żeby zaniosła to do domu cioteczki Mech.

Bardzo pragnęła iść sama, zobaczyć się z Krogulcem, ale nie śmiała w obawie, że mogą ją śledzić.

– Ja pójdę – szepnęła Therru.

Tenar spojrzała na nią ostro.

– Będziesz musiała przejść przez wioskę.

Dziewczynka przytaknęła.

– Nie oddawaj tego nikomu. Tylko jemu.

Ponowne skinienie głową.

Tenar wsunęła kawałek papieru do kieszeni małej, objęła ją, ucałowała i puściła. Therru nie kuliła się już, lecz biegła swobodnie, niemal unosząc się nad ziemią. Tenar odprowadziła ją wzrokiem, patrząc, jak dziewczynka znika w wieczornym blasku za drzwiami, lecąc jak ptak, jak smok, jak dziecko, wolna.

8

Jastrzębie

Therru wkrótce wróciła, przynosząc odpowiedź Krogulca.

– Powiedział, że wyruszy jeszcze dzisiaj.

Tenar poczuła ulgę na myśl, że przyjął jej plan i uwolni się od posłańców przynoszących nowiny, których tak bardzo się lękał. Kiedy już Wrzos i Therru zjadły przygotowaną przez nią ucztę, złożoną głównie z żabich udek, Tenar ułożyła dziewczynkę do snu, zaśpiewała jej i usiadła samotnie w mroku, bez lampy czy ognia. Dopiero wtedy ścisnęło jej się serce. Ged odszedł. Był słaby, oszołomiony, niepewny siebie, potrzebował ludzkiej przyjaźni, a ona odesłała go, by znalazł się z dala od tych, którzy pragnęli go nią obdarzyć. Odszedł, a ona musiała zostać, aby powstrzymać ogary od pójścia jego tropem i dowiedzieć się przynajmniej, czy zostaną na Goncie, czy też odpłyną z powrotem do Havnoru.

Nagle panika Geda i to, jak łatwo ona się jej poddała, wydały się bezpodstawne. W tej sytuacji absurdem byłoby, gdyby naprawdę odszedł. Zapewne ruszył głową i po prostu ukrył się w domostwie cioteczki Mech, ostatnim miejscu w całym Ziemiomorzu, gdzie król szukałby Arcymaga. Byłoby najlepiej, gdyby został tam aż do odjazdu królewskich wysłanników. Mógłby wówczas wrócić do domu Ogiona i wszystko byłoby tak jak przedtem – ona by się nim opiekowała, póki nie odzyskałby sił, a on dotrzymywałby jej towarzystwa.

W otwartych drzwiach widziała skrawek rozgwieżdżonego nieba. Nagle przysłonił je cień.

– Pssst! Nie śpisz? – Do środka weszła cioteczka Mech. – No i poszedł – oznajmiła tonem spiskowca, radośnie podniecona. – Starym leśnym gościńcem. Powiada, że idąc na skróty, dotrze jutro do Środkowej Doliny, mijając Dębowe Źródła.

– To dobrze – odparła Tenar.

Śmielsza niż zwykle, cioteczka Mech usiadła, nie czekając na zaproszenie.

– Dałam mu na drogę bochenek chleba i kawałek sera.

– Dziękuję ci. To bardzo miłe z twojej strony.

– Pani Goho… – W rozbrzmiewającym w ciemności głosie czarownicy odezwał się nowy ton, melodyjny zaśpiew używany do zaklęć i rzucania uroków. – O czymś chciałam z tobą pomówić, złociutka. Pamiętam, że żyłaś pośród ważnych ludzi i sama byłaś jedną z nich, i świadomość ta dotąd zamykała mi usta. A jednak są rzeczy, o których wiem, a których ty w żaden sposób nie mogłaś odkryć, mimo że znasz się na runach, na Dawnej Mowie i pobierałaś nauki od mędrców w odległych krainach.

– Rzeczywiście.

– Dobrze zatem. Kiedy rozmawiałyśmy, jak czarownica poznaje swe siostry, a moc dostrzega inną moc, powiedziałam – o tym, który teraz odszedł – że kimkolwiek był kiedyś, teraz nie jest już magiem. Ty zaś zaprzeczałaś, ale miałam rację, prawda?

– Owszem.

– O tak, miałam.

– Sam tak powiedział.

– Oczywiście. Nie należy do kłamców ani tych, co wykręcają kota ogonem. To muszę mu przyznać. Nie jest z tych, co usiłują powozić wozem, nie zaprzęgając do niego wołu. Powiem jednak szczerze, że cieszę się, iż odszedł, bo teraz, kiedy się zmienił, nie przystoi, aby tu był. O nie.

Tenar nie miała pojęcia, o czym mówi stara czarownica. Przez chwilę nie mogła uwolnić się od natrętnej wizji wozu bez wołu.

– Nie wiem, czego tak bardzo się boi – powiedziała po chwili. – No, może częściowo, ale nie pojmuję go. Dlaczego czuje tak wielki

wstyd? Najwyraźniej uważa, że powinien był umrzeć. Ja zaś nie znam się na życiu, ale wiem, że każdy ma do wykonania własną pracę i zwykle potrafi to zrobić. Z niej właśnie czerpie radość i chwałę. Jeśli zatem nie mamy już nic do roboty, jeśli ktoś nam to odbierze, cóż pozostaje? Trzeba przecież coś mieć...

Mech słuchała, potakując owym mądrościom, jednak po krótkiej chwili oznajmiła znienacka:

– Dziwnie musi się czuć mężczyzna w sile wieku, kiedy nagle staje się piętnastoletnim chłopcem.

Tenar miała na końcu języka: „O czym ty gadasz?", ale coś nie pozwoliło jej tego wymówić. Uświadomiła sobie, że nasłuchuje, czekając, by Ged wrócił do domu z wędrówki po lesie... że tęskni za jego głosem, a jej ciało nie chce przyjąć do wiadomości tego, iż odszedł. Zerknęła na czarownicę, czarną postać przycupniętą na krześle Ogiona obok paleniska.

– Ach, tak! – westchnęła, pojmując nagle całe mnóstwo rzeczy. – To dlatego! Dlatego ja nigdy...

Urwała.

– Czy oni... czarnoksiężnicy... czy to zaklęcie? – spytała po dłuższej chwili ciszy.

– Ależ tak, złociutka – odparła Mech. – Sami rzucają na siebie czar. Niektórzy mówią, że wymieniają jedną płeć na drugą, mają swoje śluby, przysięgi i w ogóle, i stąd właśnie czerpią moc. Ale według mnie nie wygląda to dobrze. Tak jak babranie się w Starych Mocach bardziej niż przystoi prawdziwej czarownicy. A stary mag mówił mi, że to nieprawda. Choć znałam parę kobiet, które też tak postępowały i nic im to nie zaszkodziło.

– Te, które mnie wychowywały, też tak robiły, sławiąc dziewictwo.

– A tak, wspominałaś mi o tym. Żadnych mężczyzn... Okropność!

– Ale czemu? Czemu nigdy nie przyszło mi do głowy...

Wiedźma roześmiała się głośno.

– Ponieważ na tym właśnie polega ich moc, złociutka. Nie jesteś w stanie myśleć; podobnie jak oni, kiedy już rzucą swe zaklęcie. Jak mogliby? Przy ich mocy? Nie, nie i nie. Nie można brać, nie dając nic w zamian. To dotyczy wszystkich, bez wyjątku. A oni – czarnoksiężnicy, mężczyźni obdarzeni mocą – wiedzą o tym lepiej

niż ktokolwiek inny. Jednakże mężczyzna niechętnie odrzuci swą męskość, nawet jeśli potrafi przegnać słońce z nieba, toteż zaklęciami związującymi wyrzucają to ze swych myśli. I to dokładnie. Nawet w tych złych czasach, które przeżyliśmy ostatnio, gdy zaklęcia przestały działać i wszystko szło nie tak, nie słyszałam o czarnoksiężniku, który odrzuciłby te więzy, wykorzystując swą moc do zaspokojenia żądzy cielesnych. Nawet najgorsi baliby się to zrobić. Oczywiście są tacy, którzy snują iluzje, ale oszukują jedynie samych siebie. Są też marni czarownicy, domokrążni sztukmistrze i im podobni, którzy próbują rzucać uroki na wiejskie kobiety. Ale z tego, co wiem, nie na wiele się one zdają. Obie moce się równoważą, a każda z nich zmierza w inną stronę. Tak to rozumiem.

Tenar słuchała zamyślona. W końcu rzekła:

– Odcinają się od innych ludzi.

– Owszem. Czarnoksiężnik nie ma innego wyjścia.

– Ale ty tego nie robisz.

– Ja? Jestem tylko starą wiejską czarownicą, złociutka.

– Jak starą?

Po minucie z ciemności dobiegł lekko rozbawiony głos wiedźmy:

– Dostatecznie, by unikać kłopotów.

– Mówiłaś jednak, że nie żyłaś w celibacie.

– Co to takiego, złociutka?

– Jak czarnoksiężnicy.

– O nie! Nie. Nigdy nie byłam zbyt piękna, ale potrafiłam na nich tak spojrzeć... To nie żadne czary, złotko. Wiesz, co mam na myśli... Istnieje takie specjalne spojrzenie, po którym każdy zjawiał się u mnie wcześniej czy później... równie pewnie jak to, że wrona kracze. Przychodził do mego domu, mówiąc: „Potrzebuję maści na psie parchy... Potrzebny mi wywar z ziół dla chorej babci...", a ja wiedziałam, czego im trzeba, i jeśli dostatecznie mi się spodobali, dostawali czasem to, po co przyszli. A wszystko dla przyjemności. Owszem, niektóre czarownice robią to dla zysku, ale według mnie przynoszą wstyd naszemu rzemiosłu. Za pracę żądam zapłaty, ale rozkosz jest za darmo. Nie żeby zawsze było tak wspaniale. Dawno temu szalałam za pewnym mężczyzną, rosłym i urodziwym, ale o twardym i zimnym sercu. Dawno już nie żyje. Był ojcem

Townsenda, który wrócił tu niedawno, aby się osiedlić – znasz go zresztą. Zadurzyłam się w jego ojcu tak mocno, że w końcu uciekłam się do mojej sztuki. Zużyłam na niego wiele uroków; wszystko na próżno. Nie ma krwi w rzepie... Więcej, przybyłam tu, do Re Albi, tylko dlatego, że wpadłam w kłopoty z mężczyzną z Portu Gont. Nie mogę jednak o tym mówić, bo ta historia dotyczy bogatej, wpływowej rodziny. To oni mieli władzę, nie ja, i nie życzyli sobie, by ich syn zadawał się ze zwykłą biedną dziewczyną, wszeteczną dziewką, jak mnie nazywali. I gdybym nie uciekła, usunęliby mnie z drogi jak chorego kota. Ale naprawdę lubiłam tego chłopca, jego gładkie krągłe ramiona, zgrabne nogi i wielkie ciemne oczy. Po tylu latach nadal pamiętam jego twarz...

Przez długi czas milczały w mrocznej ciszy.

– Kiedy byłaś z mężczyzną, cioteczko, czy musiałaś wyrzec się swojej mocy?

– Ani trochę – odparła z zadowoleniem wiedźma.

– Mówiłaś jednak, że nie można brać, nie dając. Czyżby kobiety różniły się w tym względzie od mężczyzn?

– A w czym się nie różnią, złotko?

– Nie wiem – przyznała Tenar. – Mam wrażenie, że sami tworzymy większość podziałów, a potem skarżymy się na nie. Nie pojmuję, dlaczego kunszt magiczny i moc miałyby objawiać się różnie u kobiet i mężczyzn, chyba że sama moc jest różna. Albo sztuka.

– Mężczyzna daje, złociutka, a kobieta bierze.

Tenar milczała, najwyraźniej nieprzekonana.

– W porównaniu z ich mocą nasza wydaje się niewielka – ciągnęła Mech. – Ale jej korzenie sięgają głębiej. Jest jak stary jeżynowy chruśniak. Moc czarodziejów to wyniosła jodła, smukła i wspaniała. Zdaje się silna, ale nie oprze się podmuchowi burzy. Nic nie zdoła zniszczyć jeżynowego chruśniaka. – Zaśmiała się gdakliwie, zadowolona z własnego porównania. – Jak już mówiłam – dodała – może to i dobrze, że odszedł, usunął się. Ludzie w miasteczku mogliby zacząć gadać.

– Gadać?

– Jesteś porządną, szanowaną kobietą, złociutka. Dobra reputacja to największy skarb niewiasty.

– Największy skarb – szepnęła beznamiętnie Tenar, po czym powtórzyła: – Skarb. Bogactwo. Majątek. Cena. – Wstała, niezdolna usiedzieć w miejscu, i przeciągnęła się powoli. – Jak u smoków, które znalazły sobie jaskinie, wzniosły fortece, aby ukryć swe skarby w bezpiecznym miejscu i spać na nich; stać się nimi. Ciągle brać, brać i nigdy nie oddawać!

– Poznasz wartość reputacji, kiedy już ją stracisz – odparła cierpko Mech. – Owszem, to jeszcze nie wszystko, ale trudno zapełnić po niej miejsce.

– Czy zrezygnowałabyś z czarowania, żeby zostać szanowaną kobietą?

– Nie wiem – przyznała szczerze Mech po chwili namysłu. – Nie wiem, czy w ogóle bym potrafiła. Mam tylko jeden dar.

Tenar uścisnęła staruszkę. Zdumiona tym przyjaznym gestem Mech wstała, odstępując o krok, lecz Tenar przyciągnęła ją do siebie i ucałowała w policzek.

Stara wiedźma uniosła rękę i nieśmiało musnęła włosy Tenar, jeden jedyny raz, tak jak kiedyś Ogion. Następnie uwolniła się z jej objęć i mamrocząc o tym, że musi wracać do domu, ruszyła ku wyjściu. Już w drzwiach spytała:

– A może wolałabyś, żebym została? Kręci się tu pełno obcych.

– Idź – odparła Tenar. – Przywykłam do obcych.

***

Tej nocy, gdy zapadła w sen, ponownie znalazła się w otchłani wichrów i światła. Jednakże tym razem blask był przygaszony, czerwony, pomarańczowy i złoty, jakby powietrze stanęło w ogniu. Pogrążona w żywiole, jednocześnie istniała i nie; leciała na skrzydłach wiatru i sama była wiatrem, jego podmuchem i siłą – wolną, nieposkromioną; i nie słyszała żadnego wezwania.

***

Rankiem siedziała na progu, czesząc włosy. Nie była blondynką, jak większość Kargijczyków; skórę miała jasną, ale włosy ciemne. I nadal były ciemne, przetykane najwyżej kilkoma nitkami siwizny. Umyła je, czerpiąc nieco wody, którą nagrzała w wielkim kotle, zdecydowała bowiem, że tego dnia urządzi pranie. W końcu Ged odszedł i jej reputacja była bezpieczna. Teraz siedziała na dworze, susząc włosy na słońcu i szczotkując kolejne pasma. W gorącym powietrzu każdemu przesunięciu szczotką towarzyszył trzask iskier strzelających z końcówek włosów, unoszonych lekkim wiatrem.

Therru podeszła i stanęła za jej plecami. Tenar odwróciła głowę i zdumiała się, ujrzawszy na twarzy dziewczynki ogromne napięcie. Mała niemal dygotała.

– O co chodzi, ptaszku?

– Ogień – odparła Therru, nie wiadomo, czy z lękiem, czy z zachwytem. – Lata po całym niebie!

– To tylko iskry z moich włosów – wyjaśniła zdumiona Tenar.

Therru się uśmiechnęła; Tenar nie była pewna, czy kiedykolwiek wcześniej widziała uśmiech na jej twarzy. Dziewczynka wyciągnęła obie ręce, jakby pragnęła pochwycić drobinki światła unoszące się wokół rozwianych włosów opiekunki.

– Ogniki! Fruwają! – Roześmiała się.

W tym momencie Tenar po raz pierwszy zadała sobie pytanie, w jaki sposób Therru ją postrzega – ją i cały świat. Zrozumiała, że nie wie i nigdy się tego nie dowie. Znów przypomniała sobie Ogiona: „Będą się jej lękać", jednakże ona nie bała się dziewczynki. Ponownie sięgnęła po szczotkę i ze zdwojonym zapałem zaczęła rozczesywać włosy. Po jej głowie fruwały iskierki, z tyłu dobiegał śmiech dziecka.

Uprała całą pościel, wszystkie ścierki, zmiany bielizny i zapasową suknię oraz sukienki Therru i wyłożyła je (upewniwszy się wpierw, że wszystkie kozy są zamknięte na ogrodzonym pastwisku) do suszenia na łące, obciążając każdą rzecz kamieniami, wiał bowiem mocny letni wiatr, dziki i nieposkromiony.

Therru wyraźnie urosła, choć nadal była bardzo mała i chuda jak na swój wiek – musiała mieć prawie osiem lat. W ciągu ostatnich kilku miesięcy, odkąd jej rany zagoiły się i ból zniknął, zaczęła

częściej biegać i więcej jadać. Szybko wyrastała z ubrań odziedziczonych po najmłodszej, pięcioletniej córeczce Skowronek.

Tenar wpadła na pomysł, by przejść się do miasteczka, złożyć wizytę tkaczowi Wachlarzowi i spytać, czy nie ma paru kawałków materiału, które mógłby jej dać w zamian za pomyje dostarczane regularnie jego świniom. Chętnie uszyłaby coś dla Therru. Poza tym po prostu miała ochotę odwiedzić starego Wachlarza. Śmierć Ogiona i choroba Geda sprawiły, że brakło jej czasu, aby wpaść do Re Albi i spotkać się ze znajomymi. Ostatnie wydarzenia zakłóciły normalny rytm jej życia. Upewniła się, że Therru została z Wrzos i ruszyła drogą, myśląc: Świat, w którym postanowiłam zamieszkać, nie należał do królów i królowych, do wielkich potęg, mocy i wysokich kunsztów, lecz do zwykłych ludzi krzątających się wokół własnych codziennych spraw, takich jak małżeństwo, wychowanie dzieci, uprawa roli, szycie, zmywanie naczyń... Z mściwą satysfakcją pomyślała o Gedzie, który w tej chwili bez wątpienia był już w połowie drogi do Doliny Środkowej. Wyobraziła go sobie na trakcie, niedaleko dolinki, w której wraz z Therru spędziły noc w drodze do Ogiona. Oczami duszy widziała niewysokiego mężczyznę o włosach barwy popiołu, wędrującego w milczeniu z połową bochenka chleba czarownicy w kieszeni i brzemieniem bólu ciążącym na sercu.

Czas już, żebyś się dowiedział, powiedziała do niego w myślach. Czas, abyś odkrył, że na Roke nie nauczono cię wszystkiego! I gdy tak strofowała go w wyobraźni, nagle nieopodal Geda ujrzała inną postać. Był to jeden z mężczyzn, którzy wtedy, gdy szły do Ogiona, zaczepili je na leśnej drodze.

– Ged, uważaj! – wykrzyknęła odruchowo, lękając się o niego, nie miał bowiem przy sobie nawet laski. Człowiekiem, którego widziała, nie był wysoki wąsaty osiłek, lecz młody mężczyzna w skórzanej czapce, ten, który przez cały czas wpatrywał się w Therru.

Uniosła wzrok i ujrzała mały domek, w którym kiedyś mieszkała, stojący tuż obok domostwa Wachlarza. Właśnie mijał go człowiek, o którym przed chwilą myślała. Mężczyzna w skórzanej czapce. Szybkim krokiem przeszedł obok domku i gospodarstwa tkacza; nie

zauważył jej. Nie zatrzymując się, poszedł dalej ulicą. Najwyraźniej kierował się na górski gościniec albo do dworu.

Nie zastanawiając się, dlaczego to robi, Tenar ruszyła za nim w bezpiecznej odległości, aby przekonać się, dokąd skręci. Nieznajomy skierował się prosto w górę, mijając drogę, którą poszedł Ged.

Wówczas zawróciła do domu starego Wachlarza.

Choć starzec wzorem niemal wszystkich tkaczy żył jak pustelnik, na swój nieśmiały sposób był zawsze niezwykle uprzejmy wobec kargijskiej dziewczyny – i czujny. Iluż ludzi starało się chronić moją reputację, pomyślała Tenar. Obecnie Wachlarz, prawie zupełnie ślepy, miał uczennicę, która wykonywała większość prac. Wyraźnie ucieszył się z odwiedzin. Podniecony, zasiadł w starym rzeźbionym fotelu pod rodzinnym skarbem, od którego wziął swoje imię użytkowe –

ogromnym malowanym wachlarzem. Podobno jego dziadek otrzymał go w darze od hojnego pirata, któremu przyszedł z pomocą w największej potrzebie, pospiesznie naprawiając żagle. Teraz wachlarz, rozłożony, wisiał dumnie na ścianie, ukazując delikatnie nakreślone sylwetki mężczyzn i kobiet we wspaniałych, różowych, zielonych i błękitnych szatach, wieże, mosty i chorągwie Wielkiego Portu w Havnorze. Mieszkańcy Re Albi często przyprowadzali tu swych gości, aby obejrzeli wachlarz. Wszyscy zgadzali się, że był najpiękniejszą rzeczą w całym miasteczku.

Teraz Tenar zachwycała się nim głośno, wiedząc, że sprawi tym przyjemność staremu człowiekowi, nic przy tym nie kłamiąc.

Po chwili tkacz rzekł:

– Podczas wszystkich swoich podróży nie widziałaś zbyt wielu rzeczy, które mogłyby mu dorównać, prawda?

– Nie. W Dolinie Środkowej nie mamy nic takiego – odparła.

– Kiedy mieszkałaś tu, w małym domku, czy kiedykolwiek pokazałem ci drugą stronę?

– Drugą stronę? Nie.

Oczywiście starzec uparł się, żeby zdjąć wachlarz ze ściany, tyle że to ona musiała wejść na krzesło i delikatnie odczepić jego skarb, tkacz bowiem nie widział już dostatecznie dobrze, a zresztą i tak nie zdołałby wdrapać się na stołek. Kierował więc tylko ze swego

miejsca każdym jej ruchem. Złożyła w jego dłoniach wachlarz, on zaś poruszył lekko listewkami, by upewnić się, że wszystko działa jak należy, po czym złożył go, odwrócił i podał Tenar.

– Otwórz go powoli – polecił.

Posłuchała. Na fałdach materiału zatańczyły smoki. Namalowane delikatną kreską na pożółkłym jedwabiu, bladoczerwone, błękitne, zielone, szybowały w grupkach tak samo jak postacie spacerujące po drugiej stronie, unosząc się wśród chmur i górskich szczytów.

– Podnieś go do światła – powiedział stary Wachlarz.

Uczyniła tak i ujrzała obie strony naraz, dwa malunki połączone w jeden dzięki światłu przenikającemu przez jedwab. Chmury i wierzchołki gór zlały się z wieżami miasta, mężczyznom i kobietom wyrosły skrzydła; smoki patrzyły ludzkimi oczami.

– Widzisz?

– Widzę – szepnęła.

– Ja już nie. Ale pamiętam każdy szczegół. Niewielu zna ten sekret.

– Jest wspaniały.

– Chciałem to pokazać staremu magowi – stwierdził tkacz – ale jakoś nigdy się nie złożyło.

Tenar raz jeszcze obróciła w palcach wachlarz, po czym powiesiła go na dawnym miejscu. Smoki ukryły się w ciemności, ludzie spacerowali w blasku dnia.

Następnie tkacz zaprowadził ją do chlewika i pokazał parkę świń, które tuczył specjalnie na jesienne kiełbasy. Oboje omówili wady i zalety Wrzos jako dostarczycielki pomyj. Tenar wspomniała, że potrzebuje kawałka materiału na sukienkę dla dziewczynki. Wachlarz z radością rozłożył przed nią cały płat cienkiego pościelowego płótna, podczas gdy jego uczennica, która najwyraźniej przejęła od swego mistrza nie tylko umiejętności, ale i niechęć do obcych, siedziała skrzywiona przy warsztacie, poszczękując czółenkiem.

Po drodze do domu Tenar wyobraziła sobie Therru siedzącą przy takim samym warsztacie. Byłoby to dla niej całkiem niezłe zajęcie. To prawda, że dość nudne, cały czas robiło się to samo, ale tkactwo to szanowany fach, a czasami w zręcznych dłoniach przeradzało się w prawdziwą sztukę. Do tego ludzie nie dziwili się, że tkacze bywają

nieśmiali i często żyją samotnie, poświęcając wszystkie siły swojemu rzemiosłu. Wszelako darzono ich powszechnym uznaniem, a pracując w domu, Therru nie musiałaby pokazywać innym swojej twarzy. Ale czy z okaleczoną ręką dałaby sobie radę przy warsztacie? Poradziłaby sobie z czółenkiem?

I czy miała ukrywać się przez całe życie?

Co jednak innego mogłaby robić? „Świadoma, jakie życie ją czeka”...

Tenar zmusiła się, żeby myśleć o czymś innym. O sukience, którą uszyje. Córeczki Skowronek nosiły stroje z szorstkiego samodziału, proste i praktyczne. Ona jednak mogła ufarbować połowę materiału – może na żółto albo na czerwono, marzanną z bagnisk? Do tego uszyje pełny fartuszek albo narzutkę z białego płótna ozdobioną falbankami. Czy dziewczynka przez całe życie ma się kryć w ciemności, bez choćby jednej falbaniastej spódnicy? Jeśli zaś pierwszą sukienkę skroić oszczędnie, nadal zostanie dość płótna na zmianę bielizny i drugi fartuszek.

– Therru! – krzyknęła, zbliżając się do domu. Kiedy wychodziła, Wrzos i Therru kręciły się po janowcowym pastwisku. Zawołała ponownie, chcąc pokazać dziewczynce materiał i opowiedzieć jej o sukience.

Zza szopy wynurzyła się Wrzos, ciągnąc za sobą uwiązaną na sznurku Sippy.

– Gdzie jest Therru? – spytała Tenar.

– Z tobą – odparła pasterka z tak niezachwianą pewnością, że Tenar odruchowo obejrzała się za siebie, zanim zrozumiała, że Wrzos nie ma pojęcia, gdzie podziewa się dziewczynka, i jedynie snuje swoje przypuszczenia.

– Gdzie ją zostawiłaś?!

Wrzos nie wiedziała. Nigdy dotąd nie zawiodła Tenar; zdawała się rozumieć, że musi mieć Therru na oku tak jak kozy. Może jednak, pomyślała Tenar, to raczej Therru pojmowała, że nie powinna się oddalać? Nie uzyskawszy żadnych wskazówek od Wrzos, zaczęła sama szukać dziecka, nawołując co chwilę. Bez skutku.

Jak długo mogła, trzymała się z dala od urwiska. Już pierwszego dnia wyjaśniła Therru, że nigdy nie wolno jej wyprawiać się samotnie

na strome łąki poniżej domu ani nad przepaść, ponieważ patrząc tylko jednym okiem, nie potrafi dokładnie ocenić odległości. Dziewczynka jak zawsze była posłuszna, ale dzieci często zapominają… Ona jednak by nie zapomniała. Może zabłądziła? Albo poszła do domu czarownicy... Właśnie. Skoro już raz odwiedziła go samodzielnie, na pewno znowu tam pobiegła. Oczywiście.

Ale u cioteczki Mech dziewczynki nie było.

– Znajdę ją, znajdę, złociutka – zapewniała czarownica. Zamiast jednak, jak liczyła Tenar, wyruszyć na poszukiwania leśną ścieżką, zaczęła splatać włosy, szykując się do rzucenia zaklęcia.

Tenar pobiegła z powrotem do domu Ogiona, nawołując głośno. Tym razem sprawdziła strome stoki, licząc, że dojrzy przycupnięte pośród głazów dziecko pochłonięte zabawą. Lecz ujrzała jedynie morze, pomarszczone i ciemne, przyczajone na granicy łąk, i zakręciło jej się w głowie, a serce przeszył nagły dreszcz.

Podeszła do grobu Ogiona i zagłębiła się w las, wzywając dziewczynkę. Gdy wracała przez łąkę, zauważyła pustułkę polującą w tym samym miejscu, w którym niedawno obserwował ją Ged. Tym razem ptak śmignął w dół, uderzył i wzleciał, trzymając w szponach małe polne stworzonko, po czym pofrunął do lasu. Karmi pisklęta, pomyślała Tenar. Przez jej głowę przelatywały kolejne obrazy. Mijając pranie rozłożone na trawie, które zdążyło już całkiem wyschnąć, pomyślała, że trzeba zebrać je przed wieczorem. Muszę poszukać uważniej wokół domu, szopy i obórki. To wszystko moja wina. Sama do tego doprowadziłam swoim pomysłem, by dzięki pracy Therru zyskała szacunek innych. A przecież Ogion powiedział wyraźnie: „Naucz ją... Naucz wszystkiego”. Wiedział, że kiedy nie da się czegoś naprawić, należy się z tym pogodzić, być ponad to. Jednak zawiodłam, zdradziłam pokładane we mnie zaufanie i utraciłam swą małą, utraciłam jedyny wielki dar…

Przeszukawszy pozostałe budynki, wróciła do domu i raz jeszcze zajrzała do alkowy i za łóżko. Nalała sobie wody, bo zupełnie zaschło jej w ustach.

Stojące za drzwiami trzy kawałki drewna, laska Ogiona i ich kijki, poruszyły się wśród cieni i jeden z nich rzekł:

– Tutaj.

Dziewczynka przykucnęła w mrocznym kącie skulona tak, że zdawała się nie większa niż młody pies. Głowę wtuliła w ramiona, podciągając nogi. Jedyne oko miała zamknięte.

– Ptaszku, wróbelku, płomyczku, co się stało? Co ci jest? Co znów ci zrobili?

Tenar przytuliła małą, sztywną i obojętną jak kamień, kołysząc ją w ramionach.

– Jak mogłaś mnie tak przerazić? Jak mogłaś ukryć się przede mną? Och, tak bardzo się bałam!

Zapłakała. Jej łzy zaczęły skapywać na twarz dziecka.

– Och, Therru, Therru, Therru! Nie chowaj się przede mną!

Napiętym ciałem małej wstrząsnął nagły dreszcz. Powoli jej mięśnie się rozluźniły. Therru poruszyła się lekko i nagle przywarła do Tenar, rozpaczliwie wpychając twarz w jej ramię. Nie płakała – Therru nigdy nie płakała, możliwe, że nie miała już łez, gdyż ogień wypalił wszystkie. Jednakże teraz wyrwał się jej długi, jękliwy szloch.

Tenar kołysała ją, tuląc do siebie. Powoli, bardzo powoli dziewczynka się uspokajała.

– Powiedz mi – mruknęła Tenar.

– On tu przyszedł – odpowiedziało dziecko słabym ochrypłym głosem.

W pierwszej chwili Tenar pomyślała o Gedzie i jej umysł, nadal pobudzony do działania strachem, podchwycił tę myśl, pojmując natychmiast, co oznaczała; w duchu uśmiechnęła się cierpko, po czym zaczęła naciskać dalej:

– Kto przyszedł?

Odpowiedzią był jedynie słaby dreszcz.

– Mężczyzna – powiedziała cicho Tenar. – Mężczyzna w skórzanej czapce.

Therru skinęła głową.

– Widziałyśmy go po drodze tutaj.

Brak odpowiedzi.

– Czterej ludzie, ci, na których się gniewałam, pamiętasz? Był jednym z nich.

W tym momencie jednak przypomniała sobie, że Therru odwróciła wtedy głowę, ukrywając swe oparzenia i wbijając wzrok w ziemię,

jak zawsze czyniła przy obcych.

– Znasz go, Therru?

– Tak.

– Z czasów, gdy mieszkałaś w obozie nad rzeką?

Skinienie głowy.

Tenar mocniej objęła dziecko.

– I on przyszedł tutaj?

Gdy to mówiła, strach, który czuła wcześniej, zamienił się w gniew, we wściekłość przenikającą jej ciało niczym ogień.

– Ha! – zaśmiała się krótko i wspomniała Kalessina, jego donośny, ognisty śmiech.

Ona jednak nie była smokiem, ale człowiekiem, kobietą. Musi zdusić ów ogień i pocieszyć dziecko.

– Widział ciebie?

– Schowałam się.

Po chwili Tenar, gładząc małą po włosach, rzekła:

– Już nigdy cię nie dotknie, Therru. Rozumiesz? Wierz mi, nigdy więcej cię nie dotknie. I nigdy cię nie zobaczy, chyba że u mego boku, a wtedy będzie miał ze mną do czynienia. Rozumiesz, moja słodka, moja najdroższa, moja śliczna? Nie musisz się go bać. Nie wolno ci się go bać. On pragnie twojego strachu. Karmi się nim. Zagłodzimy go, Therru. Zagłodzimy go tak, że pożre sam siebie i zadławi się własnymi kośćmi. Ach, nie słuchaj mnie teraz, jestem zła, taka zła... Zaczerwieniłam się? Czy jestem czerwona jak Gontyjka? Jak smok?

Próbowała żartować, lecz Therru, unosząc głowę, spojrzała jej prosto w oczy. Na pomarszczonej, rozedrganej, poznaczonej ogniem twarzy malowała się powaga.

– Tak. Jesteś czerwonym smokiem.

***

Myśl, że ów człowiek przyszedł do ich domu, wszedł do środka, zjawił się, by obejrzeć swe dzieło, może nawet zamierzając je

poprawić, sprawiała, że Tenar miała ochotę zwymiotować. Jednakże mdłości wypaliły się wkrótce w ogniu gniewu.

Kiedy już obie się umyły, Tenar zdecydowała, że przede wszystkim trzeba coś zjeść.

– Mam zupełnie pusty brzuch – stwierdziła i naszykowała solidny posiłek złożony z chleba, sera, zimnej fasoli w oleju ziołowym, pokrojonej cebuli i suchej kiełbasy. Therru zjadła sporo, Tenar jeszcze więcej.

Po sprzątnięciu ze stołu oznajmiła:

– Na razie, Therru, ani na moment nie zostawię cię samej, a ty zawsze trzymaj się blisko mnie, zgoda? Teraz chodźmy do domu cioteczki Mech. Zamierzała rzucić zaklęcie, aby cię znaleźć, a choć nie musi już tego robić, może o tym nie wiedzieć.

Therru zastygła w miejscu. Raz jeden zerknęła na otwarte drzwi i skuliła się w sobie.

– Musimy też zebrać pranie. Zrobimy to w drodze powrotnej. A kiedy wrócimy, pokażę ci materiał na sukienkę. Nową sukienkę. Dla ciebie. Czerwoną.

Dziewczynka stała bez ruchu, zasłuchana we własne myśli.

– Jeśli się ukryjemy, Therru, zapewnimy mu strawę. To my powinnyśmy jeść, a on umierać z głodu. Chodź ze mną.

Przekroczenie bariery drzwi, wyjście na zewnątrz było dla Therru niezmiernie trudne. Dziewczynka kuliła ramiona, ukrywała twarz w dłoniach, drżała, niepewnie stawiała kroki. Zmuszanie jej do przekroczenia progu, do opuszczenia bezpiecznego azylu było prawdziwym okrucieństwem. Tenar jednak nie znała litości.

– Chodź! – poleciła i dziewczynka posłuchała.

Trzymając się za ręce, poszły przez pola do domu czarownicy. Raz czy dwa razy Therru zdołała nawet unieść wzrok.

Stara Mech nie zdumiała się na ich widok, sprawiała jednak wrażenie dziwnie czujnej, poruszonej. Posłała Therru do domu, aby obejrzała nowe pisklęta jej najlepszej kury i wybrała dwa, które kiedyś otrzyma w prezencie. Dziewczynka natychmiast zniknęła w bezpiecznej kryjówce.

– Przez cały czas była w domu – stwierdziła Tenar. – Ukrywała się.

– I słusznie – odparła Mech.

– Czemu? – spytała szorstko Tenar. Nie była w nastroju na długie dyskusje.

– Wokół czają się dziwne istoty – oznajmiła niechętnie czarownica.

– Prędzej łajdacy! – warknęła Tenar.

Mech spojrzała na nią zdumiona i cofnęła się o krok.

– Spokojnie, złociutka. Otacza cię ogień, ogień lśni wokół twojej głowy. Rzuciłam zaklęcie, żeby odnaleźć małą, ale coś poszło nie tak. W jakiś sposób uległo zmianie i sama nie wiem, czy w ogóle zadziałało. Zupełnie się pogubiłam. Widziałam wielkie istoty. Szukałam małej dziewczynki, a ujrzałam stwory latające w powietrzu, krążące wśród chmur. A teraz przybywasz do mnie i wyglądasz, jakby twoje włosy stały w płomieniach. Co się dzieje? Co jest nie tak?

– Mężczyzna w skórzanej czapce – odparła Tenar. – Młody, całkiem przystojny. Ma rozpruty szew na ramieniu. Widziałaś go tutaj?

Mech przytaknęła.

– Zatrudnili go we dworze do sianokosów.

– Wspominałam ci, że Therru była kiedyś pod opieką kobiety i dwóch mężczyzn? To jeden z nich.

– Chcesz powiedzieć: jeden z tych, którzy...

– Tak.

Mech zastygła niczym ciężka drewniana rzeźba.

– Nie wiem – powiedziała wreszcie. – Myślałam, że moja wiedza wystarczy. Ale nie. Co... Co mógłby... Czemu... Czy przyszedł tu... po nią?

– Jeśli rzeczywiście jest jej ojcem, mógłby zażądać, bym mu ją oddała.

– Oddała?

– Stanowi jego własność.

Tenar mówiła spokojnie, nie podnosząc głosu. Przez cały czas wpatrywała się w odległy szczyt góry Gont.

– Nie sądzę jednak, aby nim był. To raczej ten drugi, ten, który przyszedł do mojej przyjaciółki w wiosce i powiedział, że dziewczynka „zrobiła sobie krzywdę, rozpalając ogień”.

Czarownica nadal wyglądała na oszołomioną, przerażoną swymi wizjami, gwałtownością zachowania Tenar, bliskością potwornego

zła. Z troską potrząsnęła głową.

– Pogubiłam się – wyznała. – Sądziłam, że wiem już dosyć. Jak mógł wrócić?

– Po to, by jeść – odparła Tenar. – Pożywić się. Już więcej nie zostawię jej samej. Ale czy mogę cię poprosić, abyś jutro rano przechowała ją tutaj przez jakąś godzinę? Chcę złożyć wizytę we dworze. Zrobisz to?

– Tak, złociutka. Oczywiście. Jeśli chcesz, mogę rzucić na nią zaklęcie ukrywające. Ale... ale tam są dostojni panowie z Królewskiego Grodu...

– Niech zatem zobaczą, jak wygląda życie pośród prostego ludu – odparła Tenar i Mech ponownie cofnęła się, jakby w jej stronę trysnął snop iskier z ogniska.

9

Utracone słowa

Pięcioro żeńców kręciło się po długiej łące w wyraźnych cieniach poranka, starannie kosząc trawę. Tenar dostrzegła już z daleka, że są tam trzy kobiety, młody chłopak i starszy mężczyzna, zgarbiony, całkiem siwy. Przeszła wzdłuż rzędu skoszonej trawy i zapytała jedną z kobiet o człowieka w skórzanej czapce.

– A, to ten z Ujścia – odparła zagadnięta. – Nie wiem, gdzie się podziewa.

Pozostali podeszli do nich, chętnie korzystając ze sposobności, by nieco odpocząć. Żadne z nich nie wiedziało, gdzie można znaleźć przybysza z Doliny Środkowej ani czemu nie kosi razem z nimi.

– Tacy nigdzie nie zagrzewają na długo miejsca – oznajmił siwy kosiarz. – To łaziki. Znacie go, dobrodziejko?

– Kręcił się koło domu; wystraszył mi dziecko. Nie wiem nawet, jak go zwą.

– Nazywa się Łapa – powiedział chłopak.

Pozostali zerkali na nią w milczeniu, szybko odwracając wzrok. Zaczynało do nich docierać, kim jest – Kargijką mieszkającą w domu starego maga. Oni zaś byli dzierżawcami władcy Re Albi, podejrzliwymi wobec mieszkańców miasteczka, unikającymi wszystkiego, co miało związek z Ogionem. Pospiesznie naostrzyli kosy i zginając plecy, wrócili do pracy. Tenar zeszła z pola na stoku, minęła rząd wysokich orzechów i w końcu dotarła do drogi.

Tam ktoś już na nią czekał. Serce Tenar ścisnęło się gwałtownie. Ruszyła w jego stronę.

To był Osika, młody czarnoksiężnik ze dworu. Stał swobodnie w cieniu przydrożnego drzewa, wsparty na wysokiej sosnowej lasce. Kiedy Tenar skręciła na drogę, spytał:

– Szukasz pracy?

– Nie.

– Mój pan potrzebuje ludzi do roboty. Wkrótce skończą się upały, trzeba zebrać siano.

W uszach Gohy, wdowy po Krzemieniu, jego słowa zabrzmiały zupełnie stosownie i Goha odpowiedziała grzecznie:

– Nie wątpię, że wasze czary odwrócą deszcz od pól, póki siano nie zostanie zebrane.

Jednakże czarnoksiężnik wiedział, że ma do czynienia z kobietą, której umierający Ogion zdradził swe prawdziwe imię, i wobec tej wiedzy jego słowa zabrzmiały tak obraźliwie i fałszywie, że stały się wyraźnym ostrzeżeniem. Już miała zapytać, dokąd poszedł Łapa, lecz zamiast tego rzekła tylko:

– Przybywam, by zawiadomić nadzorcę, że człowiek, którego zatrudnił przy sianokosach, opuścił moją wioskę jak złodziej, jak zbrodniarz i nie jest wart zaufania. Wygląda jednak na to, że ów człowiek zdążył już stąd odejść. – Patrzyła spokojnie na czarnoksiężnika, który odpowiedział po chwili z wyraźnym wysiłkiem:

– Nic nie wiem o tych ludziach.

Owego ranka, po śmierci Ogiona, Osika w swym szarym płaszczu, ze srebrzystą laską w dłoni, wydał jej się wysokim, przystojnym młodzieńcem. Teraz wyglądał starzej czy raczej wciąż był młody, lecz jednocześnie suchy i pomarszczony. Ton jego głosu i wyraz oczu zdradzały głęboką pogardę, toteż odparła głosem Gohy:

– Oczywiście. Bardzo przepraszam. – Nie chciała wszczynać sporów. Zawróciła w stronę miasteczka, jednakże Osika rzucił krótko:

– Zaczekaj!

Przystanęła.

– Złodziej, zbrodniarz, powiadasz. Obmowa nic nie kosztuje, a język kobiety potrafi wyrządzić więcej szkód niż najgorszy rabuś. Przychodzisz tu, aby narobić złej krwi, rzucając oszczerstwa i kłamstwa – smoczy jad, który rozsiewa wokoł siebie każda wiedźma. Myślisz, że nie rozpoznałem w tobie czarownicy? Kiedy zobaczyłem to czarcie nasienie u twojego boku, sądzisz, że nie odgadłem, jak zostało spłodzone i w jakim uczyniono to celu? Człowiek, który próbował zniszczyć tego potworka, dobrze się spisał, ale powinien był dokończyć dzieła. Raz już sprzeciwiłaś mi się nad ciałem starego maga, a ja nie ukarałem cię wówczas przez wzgląd na jego pamięć i obecność innych. Teraz jednak posunęłaś się zbyt daleko. Ostrzegam cię, kobieto: nie życzę sobie, byś kiedykolwiek postawiła choćby stopę w tym majątku. Jeśli zaś złamiesz mój zakaz albo ośmielisz się odezwać do mnie, każę cię wygnać z Re Albi i Overfell i osobiście poszczuję psami. Rozumiesz?

– Nie – odparła Tenar. – Nigdy nie rozumiałam ludzi takich jak ty.

Odwróciła się i ruszyła w stronę domu.

Nagle poczuła, jakby ktoś pogłaskał ją po plecach. Włosy stanęły jej dęba. Obejrzała się gwałtownie i ujrzała, jak czarnoksiężnik wyciąga ku niej laskę, wokół której gromadziły się czarne błyskawice. Jego wargi rozwarły się, formułując pierwsze słowa. Ponieważ Ged stracił swoją moc, sądziłam, iż podobnie ma się rzecz z innymi, ale myliłam się, pomyślała, i w tym momencie odezwał się uprzejmy głos:

– No, no, kogo my tu mamy?

Z wiśniowego sadu po drugiej stronie gościńca wyłonili się dwaj przybysze z Havnoru. Powiedli wzrokiem od Osiki do Tenar, ich twarze miały pogodny wyraz. Wyglądali, jakby z żalem przeszkadzali czarnoksiężnikowi w rzuceniu klątwy na podstarzałą wdowę, ale zmuszał ich do tego obowiązek.

– Pani Goha – powiedział mężczyzna w haftowanej złotem koszuli, kłaniając się przed Tenar.

Jego towarzysz także ją pozdrowił, uśmiechając się szeroko.

– Pani Goha to kobieta, która – podobnie jak król – otwarcie i bez lęku nosi swoje imię. Ponieważ osiadła na wyspie Gont, zapewne woli, abyśmy posługiwali się jej imieniem gontyjskim, jednakże

musimy okazać jej szacunek, ponieważ nosiła Pierścień Erreth-Akbego, którego nie tknęła przed nią żadna kobieta oprócz Elfarran.

Opadł na jedno kolano, jakby była to najnaturalniejsza rzecz w świecie, po czym ujmując lekko prawą dłoń Tenar, dotknął czołem do jej przegubu. Zaraz wstał z uprzejmym, porozumiewawczym uśmiechem.

– Ach! – westchnęła Tenar, poruszona i zawstydzona. – Na świecie istnieją różne rodzaje mocy. Dziękuję.

Czarnoksiężnik stał bez ruchu, wpatrując się w nich. Zamknął już usta, ucinając w połowie klątwę, jednakże wokół jego oczu i laski nadal zbierały się mroczne cienie.

Nie miała pojęcia, czy wiedział wcześniej, czy też właśnie się dowiedział, że to ona jest Tenar od Pierścienia. Nieważne; i tak nie mógłby mocniej jej nienawidzić. Jedyną jej winą było to, że jest kobietą; w jego oczach nic bardziej nie mogło już jej zaszkodzić. Żadna kara nie wystarczyła, aby zmazać podobną zbrodnię. Widział przecież, co uczyniono Therru, i aprobował to.

– Panie – powiedziała, zwracając się do starszego z Havnorczyków – nieszczerość i kłamstwa mogłyby uchybić królowi, w którego imieniu przemawiacie, ja zaś pragnęłabym uszanować jego wysłanników. Jednakże honor nakazuje mi milczeć, dopóki przyjaciel nie zwolni mnie z przyrzeczenia. Ja... jestem pewna, panie, że w końcu przyśle wam słowo. Błagam tylko, abyście dali mu dość czasu.

– Oczywiście – odparł mężczyzna w haftowanej koszuli, a drugi dodał:

– Ile tylko zapragnie. Twoje zaś zaufanie, pani, to dla nas największy zaszczyt.

W końcu podjęła przerwaną wędrówkę drogą do Re Albi, dogłębnie poruszona tym, co ją spotkało. Wstrząsnął nią ogrom nienawiści czarnoksiężnika, jej własna gniewna pogarda, przerażenie wobec odkrycia, że dysponuje on mocą zdolną wyrządzić jej krzywdę Nie mniejsze wrażenie zrobił na niej sposób, w jaki uratowali ją z opresji wysłannicy króla; ludzie, którzy przybyli na statku o białych żaglach z wielkiego miasta, grodu Wieży Miecza i Tronu, leżącego w sercu prawa i porządku pośrodku świata. Nagle zrobiło jej się lżej

na duszy. Rzeczywiście na tronie znów zasiadał król, a Runa Pokoju miała stać się najcenniejszym klejnotem w jego koronie.

Podobała jej się twarz młodszego z mężczyzn, uprzejma i bystra, oraz sposób, w jaki przed nią ukląkł – niczym przed królową. Jego uśmiech był ciepły, przyjazny. Odwróciła się teraz, spoglądając ku niemu. Dwaj posłańcy zmierzali drogą prowadzącą do dworu, w towarzystwie czarnoksiężnika Osiki, zatopieni w przyjaznej rozmowie, tak jakby nic się nie stało.

Ten widok nieco ostudził jej zaufanie. Oczywiście przybysze byli dworakami. Nie ich rzeczą jest spierać się czy osądzać. Poza tym mieli do czynienia z czarnoksiężnikiem pracującym dla ich gospodarza. Mimo wszystko jednak, pomyślała, nie musieli z nim rozmawiać tak swobodnie.

***

Przybysze z Havnoru kilkanaście dni przebywali we dworze władcy Re Albi, zapewne żywiąc nadzieję, że Arcymag zmieni w końcu zdanie i przybędzie do nich. Sami go jednak nie szukali, nie naciskali też na Tenar. Kiedy wreszcie odpłynęli, stwierdziła w duchu, że czas wreszcie podjąć decyzję. Nie było żadnego powodu, dla którego miałaby zostać dłużej w Re Albi, istniały za to dwie istotne przyczyny zachęcające do odejścia: Osika i Łapa. Obaj z pewnością nie dadzą spokoju jej i Therru.

A jednak nie umiała wyznaczyć dnia powrotu, nie potrafiła bowiem sobie wyobrazić, że stąd odchodzi. Gdyby teraz porzuciła Re Albi, zostawiłaby Ogiona, utraciła nawet to złudzenie obecności, gdy sprzątała jego dom i pełła ogródek. Tam w dole nigdy nie przyśni mi się niebo, pomyślała. Tu, gdzie przybył Kalessin, była Tenar. W Dolinie Środkowej znów stanie się tylko Gohą. Opóźniała zatem powrót, mówiąc do siebie: Czy mam się bać tych łajdaków, uciekać przed nimi? Tego właśnie pragną. Mam być posłuszna ich woli? Ciągle wynajdowała nowe wymówki. I stale trzymała Therru przy sobie. Dni mijały.

Wkrótce w domku zjawiła się Mech, przynosząc najświeższe nowiny. Tenar zapytała ją o czarnoksiężnika Osikę. Nie opowiedziała co prawda całej historii, ale przyznała, że jej groził – i być może istotnie do tego tylko sprowadzały się jego zamiary. Czarownica zazwyczaj trzymała się z dala od majątku władcy, była jednak ciekawska i chętnie wykorzystała sposobność pogawędki ze starymi znajomymi: kobietą, którą nauczyła sztuki położnictwa, i paroma innymi osobami korzystającymi niegdyś z jej usług. Skrzętnie wypytała ich, co dzieje się we dworze. Wszyscy nienawidzili Osiki, toteż chętnie o nim rozprawiali, lecz że kierował nimi gniew i wrogość, ich słowa należało traktować ostrożnie. Mimo wszystko pośród wymysłów musiały kryć się okruchy prawdy. Sama Mech przyznała, że dopóki we dworze trzy lata temu nie zjawił się czarnoksieżnik, młodszy władca, wnuk starego, czuł się zupełnie dobrze. Był silny i zdrowy, choć nieśmiały i zamknięty w sobie, zupełnie jakby się bał, dodała. Potem zaś, niedługo po śmierci matki młodszego pana, stary władca posłał na Roke po czarnoksiężnika.

– Po co? Przecież pan Ogion mieszkał niedaleko. Zresztą ci we dworze od lat parają się magią.

Jednakże Osika przybył na wezwanie, złożył wyrazy uszanowania Ogionowi i nigdy więcej się z nim nie spotykał, cały czas spędzając we dworze – Mech wyraźnie to podkreśliła. Od tego czasu ludzie coraz rzadziej widywali wnuka władcy i powiadali, że obecnie całe dnie i noce spędza w łóżku. „Jak chore dziecko, cały chudy i wysuszony”, dodała jedna z kobiet, którą wezwano kiedyś do dworu. Natomiast stary władca mimo sędziwego wieku – Mech, która nie lękała się liczb i zupełnie ich nie szanowała, upierała się, że dobiegał setki, a może nawet ją przekroczył – rozkwitał, „pełen soków”, jak powiadali ludzie. A jeden ze służących – jako że służba we dworze składała się wyłącznie z mężczyzn – powiedział swojej kobiecie, że stary pan najął czarnoksiężnika, aby ten dał mu wieczne życie. I czarnoksiężnik przekazał mu siły wnuka. Człowiek ów nie widział w tym nic zdrożnego, powtarzając: „Kto nie chciałby żyć wiecznie?”.

– To paskudna opowieść – stwierdziła Tenar oburzona. – Czy w miasteczku w ogóle o tym nie rozmawiają?

Mech tylko wzruszyła ramionami. Znowu w grę wchodziła zasada: daj spokój, nie nam maluczkim osądzać czyny możnych. Poza tym istniała też ślepa, niezłomna lojalność zakorzeniona wśród miejscowych: stary władca był ich panem, dziedzicznym władcą Re Albi, i to, co robił, nie powinno nikogo obchodzić... Mech najwyraźniej podzielała to przekonanie.

– Taka sztuczka wcześniej czy później musi zawieść – stwierdziła. Nie powiedziała jednak, że to złe.

Nikt z dworskich ludzi nie widział mężczyzny zwanego Łapą. Pragnąc upewnić się, że naprawdę opuścił Overfell, Tenar zapytała o niego paru znajomych z miasteczka. Otrzymała jednak niechętne, wieloznaczne odpowiedzi. Nikt nie chciał mieszać się w jej sprawy. „Daj spokój", powtarzali. Jedynie stary Wachlarz traktował ją jak krajankę, a i to zapewne dlatego, że jego słabe oczy nie za dobrze widziały Therru.

Teraz za każdym razem, gdy wybierała się do wsi, miasteczka albo w ogóle oddalała od domu, Tenar zabierała dziewczynkę ze sobą.

Therru nie narzekała na ograniczenie swobody. Cały czas trzymała się blisko, jak małe dziecko, pracując i bawiąc się z opiekunką. Jej ulubionymi zajęciami było manipulowanie sznurkami kociej kołyski, splatanie koszyków i zabawa dwiema kościanymi figurkami, które Tenar znalazła w małej torebce z sitowia na półce w chacie Ogiona. Jedna przedstawiała zwierzę, psa, a może owcę, druga – człowieka, nie wiadomo, kobietę czy mężczyznę. W oczach Tenar nie miały w sobie żadnej mocy, nie były groźne, Mech zaś stwierdziła: „To tylko zabawki". Jednakże dla Therru zawierały wielką magię. Godzinami potrafiła odgrywać za ich pomocą przeróżne milczące historie; podczas zabawy nie odzywała się ani słowem. Czasami budowała swemu ludzikowi i jego zwierzęciu domy, kamienne kopce, chaty z trawy i błota. Figurki zawsze nosiła w kieszeni owinięte w woreczek z sitowia. Uczyła się też prząść; radziła sobie całkiem nieźle, trzymając kądziel w popalonej dłoni, zdrową ręką manewrując wrzecionem. Od dnia przyjazdu regularnie wyczesywały kozy i miały już w zapasie spory worek jedwabistej sierści.

Ale przecież powinnam ją uczyć, myślała nieraz Tenar niespokojnie. „Naucz ją wszystkiego", powiedział Ogion. A ja kogo

z niej robię? Kucharkę i prządkę? Wówczas część jej umysłu odpowiadała głosem Gohy: A czyż nie są to prawdziwe kunszty, szlachetne i potrzebne? Czyż mądrość zawiera się tylko w słowach?

Nadal jednak martwiła się tą sprawą i pewnego popołudnia, kiedy Therru, siedząc w cieniu brzoskwiniowego drzewka, przebierała palcami kozią wełnę, aby oczyścić ją i poluźnić przed wyczesywaniem, Tenar zagadnęła ją:

– Może już czas, abyś zaczęła poznawać prawdziwe imiona rzeczy? Istnieje język, w którym wszystko nosi swe prawdziwe nazwy, a czyny i słowa stanowią jedność. Przemawiając w tym języku, Segoy wydźwignął z głębin wyspy Ziemiomorza.

Dziecko słuchało w milczeniu.

Tenar odłożyła zgrzebło i podniosła z ziemi mały kamyk.

– W owym języku – oznajmiła – kamień nazywa się *tolk*.

Therru, śledząc każdy jej gest, powtórzyła bezgłośnie słowo *tolk* samymi wargami, odciągniętymi lekko w tył po poparzonej stronie twarzy.

Kamyk leżał na kobiecej dłoni – zwyczajny, namacalny.

Obie zamilkły.

– Jeszcze nie – stwierdziła w końcu Tenar. – Teraz nie tego powinnam cię uczyć. – Odrzuciła kamyczek i ponownie ujęła w dłoń zgrzebło oraz garstkę szarej puszystej wełny, przygotowanej przez dziewczynkę. – Kiedy otrzymasz już swe prawdziwe imię, wtedy nastanie właściwy czas. Ale jeszcze nie teraz. Posłuchaj. Nadeszła pora na opowieści, na to, byś zaczęła je poznawać. Mogę opowiedzieć ci historie z Archipelagu i Wysp Kargadzkich, a także te, które usłyszałam od mojego przyjaciela, Aihala Milczącego. Zaczniemy jednak od historyjki, którą moja przyjaciółka Skowronek opowiadała nieraz swoim i moim dzieciom. To opowieść o Andaurze i Avadzie. Dawniej niż nigdy, dalej niż Selidor, żył sobie Andaur, drwal, samotnie wędrujący po wzgórzach. Pewnego dnia, głęboko w lesie, ściął wielki stary dąb. Padając, drzewo zakrzyknęło do niego ludzkim głosem...

To było bardzo przyjemne popołudnie.

Nocą jednak, leżąc obok uśpionego dziecka, Tenar nie mogła zasnąć. Ciągle nachodziły ją niespokojne myśli – czy zamknęła

bramę pastwiska, czy ręka boli ją od czesania wełny, a może to początki artretyzmu... Po jakimś czasie ogarnął ją lęk, wydało jej się bowiem, że słyszy głosy przed domem. Czemu nie wzięłam sobie psa? – pomyślała. To głupie nie mieć w domu psa! W dzisiejszych czasach kobieta samotnie mieszkająca z dzieckiem powinna sprawić sobie stróża. Ale to dom Ogiona! Nikt tu nie przyjdzie, a już na pewno nie w złych zamiarach. Lecz Ogion nie żył, był martwy, pochowany pod korzeniami drzewa na skraju lasu. I nikt tu się nie zjawi. Krogulec odszedł, uciekł. Zresztą on też nie był już sobą, tylko cieniem człowieka, niezdatnym nikomu, przywróconym życiu trupem. Ja także nie mam już sił. Opuściły mnie. Wymawiam słowo w Mowie Tworzenia, a ono zamiera mi na ustach. Traci znaczenie. Kamień. Jestem tylko kobietą. Starą kobietą, słabą, głupią. Wszystko, co robię, robię źle. Wszystko, czego się tknę, obraca się w popiół, w cień, w kamień. Jestem stworem ciemności, nabrzmiałym mrokiem; jedynie ogień może mnie oczyścić. Tylko ogień może mnie pożreć, pożreć jak...

Usiadła i wykrzyknęła we własnym języku:

– Niechaj odwróci się klątwa!

Wyskoczywszy z łóżka, podbiegła do drzwi, otwarła je szeroko i zawołała w pochmurną noc:

– Przybywasz za późno, Osiko! Zostałam pożarta już dawno temu. Idź, oczyść własny dom!

Nie odpowiedział jej żaden dźwięk, jedynie lekki, kwaśny, ohydny swąd spalenizny – przypalonych włosów bądź ubrania.

Zamknęła drzwi, zaryglowała je laską Ogiona i obejrzała się, by sprawdzić, czy Therru wciąż śpi. Sama jednak nie zasnęła już tej nocy.

***

Rankiem zabrała Therru do miasteczka, żeby spytać Wachlarza, czy nie chciałby może włóczki, którą razem uprzędły. Stanowiło to doskonałą wymówkę, aby wyrwać się z domu i przez jakiś czas

pobyć wśród ludzi. Stary Wachlarz oznajmił, że z radością utka ich wełnę, podczas gdy jego uczennica, krzywiąc się, trzaskała hałaśliwie ramą warsztatu. Gdy Tenar i Therru opuściły domostwo tkacza, ktoś uskoczył za węgieł małego domku, w którym niegdyś mieszkała. Nagle Tenar poczuła na karku i głowie dziesiątki małych ukłuć. Czyżby to były pszczoły? A może osy? Wokół zabębnił deszcz czy może grad, choć na niebie nie było chmur – i Tenar pojęła, że to kamienie. W tej samej chwili ujrzała sypiący się na ziemię drobny żwir. Therru przystanęła i zdumiona spojrzała za siebie. Zza domku wybiegło kilku wyrostków, nawołując się ze śmiechem.

– Chodź – poleciła spokojnie Tenar i razem ruszyły dróżką prowadzącą do domu Ogiona.

Tenar trzęsła się cała i owe dreszcze stawały się z każdą chwilą mocniejsze. Próbowała ukryć je przed dziewczynką, która, choć niespokojna, nie sprawiała wrażenia wystraszonej. Najwyraźniej nie pojmowała, co się stało.

Gdy tylko weszły do domu, Tenar zorientowała się, że podczas ich nieobecności ktoś tu był. W powietrzu unosił się swąd spalonego mięsa i włosów. Kapa na łóżku została lekko poruszona.

Próbując zadecydować, co ma robić, uświadomiła sobie, że ciąży na niej zaklęcie. Ktoś zostawił je tu jak pułapkę czekającą na jej przybycie. Nie mogła opanować drżenia, a jej umysł stał się dziwnie powolny, otępiały. Nie potrafiła myśleć. Wymówiła słowo, prawdziwe imię kamienia i oto rzucono je jej w twarz – w jej twarz, potworne oblicze zła... Ośmieliła się odezwać – a teraz nie mogła już mówić...

Pomyślała we własnym języku: Nie wolno mi myśleć po hardycku. Nie wolno.

Natomiast po kargijsku dawała sobie radę, choć szło jej to wolniej niż zwykle. Zupełnie jakby musiała prosić dziewczynkę, Arhę, którą była dawno temu, aby wynurzyła się z mroku i myślała za nią, aby jej pomogła, tak jak to uczyniła ostatniej nocy, odwracając przekleństwo czarnoksiężnika. Arha nie wiedziała wiele o życiu, które znały Tenar i Goha, umiała jednak rzucać klątwy, przebywać w ciemności i milczeć.

Milczenie okazało się najtrudniejsze. Pragnęła krzyczeć, mówić, iść do cioteczki Mech i opowiedzieć, co się stało, pożegnać się, wyjaśnić,

dlaczego musi odejść. Próbowała powiedzieć Wrzos: „Teraz kozy należą do ciebie”, i w końcu zdołała wykrztusić to po hardycku, tak by pasterka zrozumiała. Ona jednak potrząsnęła głową i roześmiała się:

– Ależ to kozy pana Ogiona!

– Więc... ty... – Tenar usiłowała dodać „zaopiekuj się nimi w jego imieniu”, ale w tym momencie w jej ciało wdarła się śmiertelna słabość i usłyszała własny głos, mówiący ostro: – Głupia kobieta, durna!

Wrzos przestała się śmiać, patrząc na nią zaskoczona. Tenar zakryła dłonią usta, po czym ujęła rękę dziewczyny, odwróciła ją siłą i pokazując sery dojrzewające w obórce, zaczęła wskazywać na zmianę na nie i na pasterkę, aż w końcu Wrzos skinęła głową i roześmiała się, rozbawiona tym dziwacznym zachowaniem.

Tenar skinęła na Therru – chodź! – i weszła do domu. Wiszący w powietrzu odór jeszcze zgęstniał; dziewczynka skuliła się zalękniona.

Trzeba było się pakować. Tenar wyjęła z szafki ich worki i podróżne buty. Do swojego schowała zapasową suknię i zmianę bielizny, dwie stare sukienki Therru i na wpół skończoną nową wraz z resztką materiału; wrzeciona, które własnoręcznie wyrzeźbiła dla siebie i małej, oraz odrobinę żywności i małą glinianą flaszkę z wodą na drogę. Do worka Therru powędrowały jej najlepsze koszyki, kościany człowieczek i jego zwierzę w torebce z sitowia, kilka piórek, mała pleciona mata, którą podarowała jej Mech, i torebka orzechów i rodzynek.

Tenar chciała powiedzieć: „Podlej drzewko brzoskwiniowe”, ale nie śmiała. Wyprowadziła dziewczynkę na dwór i pokazała jej, co ma zrobić. Therru starannie polała wodą młody pęd.

Zamiotły i uporządkowały dom, pracując szybko, w milczeniu.

Tenar odstawiła dzbanek na półkę i po drugiej stronie ujrzała trzy wielkie księgi Ogiona.

Dla Arhy były one jedynie wielkimi skórzanymi pudłami pełnymi papieru.

Jednakże Tenar przyglądała im się długo, przygryzając kłykcie i marszcząc brwi, niezdecydowana, co z nimi począć, jak je ze sobą

zabrać. Nie dałaby rady ich nieść – a przecież musiała. Nie mogła ich zostawić w tym zbezczeszczonym domu, domu, do którego wtargnęła nienawiść. Należały do niego. Do Ogiona. Do Geda. Do niej. Tyle wiedzy. „Naucz ją wszystkiego!”. Wyrzuciła z worka wełnę i uprzędzoną włóczkę i wcisnąwszy do niego księgi, zawiązała wylot rzemieniem zakończonym pętlą stanowiącą wygodny uchwyt. Następnie rzekła:

– Musimy już iść, Therru.

Mówiła po kargijsku, ale imię dziewczynki brzmiało tak samo, pochodziło bowiem właśnie z tego języka, oznaczało płomień, żar; i mała przybiegła, nie zadając żadnych pytań, dźwigając na plecach swoje skarby.

Obie wzięły w dłonie kijki: witkę leszczyny i gałąź olchy. Laska Ogiona stała w mrocznym kącie. Drzwi domu zostawiły szeroko otwarte, aby wpuścić do izby nadmorski wiatr.

***

Zwierzęcy instynkt nakazywał Tenar trzymać się z dala od pól i górskiego gościńca. Poszła na skróty przez strome pastwiska, trzymając Therru za rękę, aż w końcu dotarła do używanego przez wozy traktu opadającego zygzakiem w stronę Portu Gont. Wiedziała, że jeśli spotka Osikę, zginie. Podejrzewała, że czekał na nią po drodze. Możliwe jednak, że nie na tym szlaku.

Wreszcie w jej głowie przejaśniło się nieco. Po raz pierwszy pomyślała, że wybrała właściwą drogę, stopniowo bowiem powracały do niej słowa hardyckie, a po jakimś czasie także wyrazy z prawdziwej mowy. Schyliła się, podniosła kamyk i ścisnęła go w dłoni, mówiąc w myślach *tolk*. Wsunęła do kieszeni mały skalny okruch, uniosła wzrok ku rozległemu przestworowi nieba i raz jeden zawołała w duchu: Kalessin! Wówczas jej umysł pojaśniał jak powietrze.

Przed nimi droga zagłębiała się w długi jar ocieniony wysokimi, porośniętymi trawą zboczami i wyrastającymi gdzieniegdzie

skałkami. Znalazłszy się w półmroku, Tenar poczuła lekki niepokój. Po chwili jednak trakt skręcił i ujrzały przed sobą w dole ciemnobłękitną zatokę. Pomiędzy Zbrojne Urwiska wpływał właśnie piękny statek pod pełnymi żaglami. Kiedy ostatnim razem widziała statek, poczuła w sercu lęk, ale nie teraz. Zapragnęła wybiec mu na spotkanie.

Tego jednak rzecz jasna uczynić nie mogła. Wędrowały dalej, w tempie odpowiednim dla Therru. I tak szło im się dużo szybciej niż dwa miesiące wcześniej, a fakt, że schodziły w dół, był dodatkowym ułatwieniem. Statek w dole pędził chyżo ku brzegowi na żaglach wydymanych magicznym wiatrem. Niczym lecący łabędź przemknął przez zatokę i znalazł się w porcie, zanim jeszcze Tenar i Therru zdążyły dotrzeć do następnego zakrętu.

***

Miasta, niezależnie od swej wielkości, wydawały się Tenar osobliwe i tajemnicze. Nigdy nie mieszkała w żadnym w nich. Kiedyś, na krótko, odwiedziła Havnor, największe miasto Ziemiomorza, po czym wraz z Gedem pożeglowała do Portu Gont, ale wówczas natychmiast po przybiciu do brzegu powędrowali do Overfell, nie zatrzymując się po drodze. Jedynym miastem, jakie znała, było Ujście, w którym mieszkała jej córka; w tej sennej, słonecznej osadzie portowej przybycie statku z Andradów stanowiło ogromne wydarzenie, a większość rozmów dotyczyła suszonych ryb.

Dotarły do Portu Gont, kiedy słońce wciąż jeszcze świeciło nad zachodnim horyzontem. Therru bez słowa skargi przebyła piętnaście mil i choć była wyraźnie zmęczona, wciąż jeszcze miała siły, by iść dalej. Tenar także czuła znużenie. Zeszłej nocy w ogóle nie spała, do tego doszło wyczerpanie umysłu oraz ciężar ksiąg Ogiona. Co prawda w połowie drogi przełożyła je do worka na plecach, wcisnąwszy jedzenie i ubrania do torby po wełnie, ale i tak było ciężko. W końcu, idąc wolnym krokiem, dotarły do pierwszych domów na przedmieściach i wyminąwszy je, ujrzały przed sobą

miejską bramę. Tutaj droga, mijając dwa rzeźbione kamienne smoki, zamieniała się w ulicę i tam właśnie zatrzymał je wartownik. Therru schyliła poparzoną twarz i ukryła okaleczoną rękę pod fartuszkiem.

– Czy wybieracie się do jednego z domów w mieście, dobrodziejko? – spytał strażnik, zerkając przelotnie na dziecko.

Tenar milczała. Nie wiedziała, że bram miasta strzegą straże. Nie miała nic, czym mogłaby opłacić myto albo choćby pokój w gospodzie. Nie znała nikogo w całym Porcie Gont – poza czarnoksiężnikiem, uświadomiła sobie nagle, tym, który przyszedł, aby pogrzebać Ogiona. Jak go zwali? Jednak nawet tego nie wiedziała. Stała bez ruchu niczym Wrzos, z otwartymi ustami.

– No dalej, dalej! – Znudzony strażnik odwrócił wzrok.

Pragnęła go zapytać, jak ma dojść do południowego gościńca, nabrzeżnej drogi prowadzącej do Ujścia, nie śmiała jednak ponownie mu się narzucać. A nuż uznałby, że jest włóczęgą czy wiedźmą, że należy do ludzi, których miał nie wpuszczać do Portu Gont pilnowanego przez dwa kamienne smoki. Przeszły między nimi – Therru lekko uniosła głowę, aby się im przyjrzeć – i ruszyły naprzód brukowaną kocimi łbami ulicą coraz bardziej zdumione, oszołomione i onieśmielone. Tenar zdawało się, że mimo straży do Portu Gont miał wstęp każdy. Można tu było znaleźć wszystko: wysokie murowane domy, wozy, dwukółki, furmanki, bydło, osły, targowiska, kramy i tłumy ludzi – im bardziej zagłębiały się w miasto, tym więcej widziały przechodniów. Therru z całych sił ściskała dłoń opiekunki, stąpając bokiem, ukrywając pod włosami poparzoną twarz.

Tenar nie widziała możliwości zatrzymania się na noc w mieście, pozostawało jej więc jedynie wyruszyć na południe i iść do zmroku – bardzo już bliskiego – z nadzieją, że przed zmierzchem zdołają znaleźć miejsce na obozowisko. Wybrała z tłumu rosłą kobietę w szerokim białym fartuchu, która zamykała okiennice sklepu. Przekroczyła ulicę, zdecydowana zapytać, którędy dojdzie do południowego traktu. Z czerwonej twarzy kobiety patrzyły przyjazne oczy, gdy jednak Tenar zbierała się na odwagę, by ją zagadnąć, Therru przywarła do jej ręki, jakby próbowała się ukryć. Unosząc wzrok, Tenar ujrzała mężczyznę w skórzanej czapce. On dostrzegł ją w tym samym momencie. I zamarł.

Chwyciła dziewczynkę za łokieć i szarpnęła gwałtownie.

– Chodź! – poleciła i szybkim krokiem wyminęła mężczyznę. Zostawiwszy go za sobą, przyspieszyła, zmierzając w dół, w stronę migoczących w ostatnich promieniach słońca wód przystani i doków rozciągających się u stóp stromej ulicy. Therru biegła obok, dysząc – jak wtedy gdy została poparzona.

Wyniosłe maszty kołysały się leniwie na tle żołtoczerwonego nieba. Statek ze zwiniętymi żaglami stał przy kamiennym nabrzeżu obok wielkiej galery.

Tenar się obejrzała. Mężczyzna szedł tuż-tuż za nimi. Nie spieszył się.

Wybiegły na brzeg, lecz po chwili Therru potknęła się, nie mogła już iść dalej, z trudem chwytała powietrze. Tenar podniosła małą, która przywarła do niej, kryjąc twarz. Obarczona dodatkowym brzemieniem Tenar postąpiła jeden krok naprzód, potem drugi, trzeci i w końcu dotarła do wąskiego drewnianego trapu prowadzącego z nabrzeża na pokład. Położyła dłoń na relingu.

Stojący na pokładzie łysy, szczupły marynarz zmierzył ją uważnym wzrokiem.

– Co się stało, dobrodziejko? – spytał.

– Czy... Czy to statek z Havnoru?

– O tak. Z królewskiego miasta.

– Wpuść mnie!

– Tego nie mogę zrobić. – Uśmiechnął się szeroko, lecz jego oczy uciekły w bok. Patrzył na człowieka, który zatrzymał się przy Tenar.

– Nie musisz uciekać – powiedział Łapa. – Nie mam złych zamiarów. Nie skrzywdzę was. Nic nie rozumiesz, przecież to ja poszedłem wtedy po pomoc. Było mi przykro z powodu tego, co zaszło. Teraz chcę ci ulżyć. Daj, pomogę ci. – Powoli sięgał w stronę Therru, jakby przyciągany nieodpartą siłą. Tenar nie mogła się ruszyć. Przyrzekła Therru, że ów mężczyzna nigdy jej nie dotknie, a teraz patrzyła, jak jego dłoń muska nagie ramię dziecka.

– Czego od niej chcesz? – odezwał się ktoś inny. Miejsce łysego marynarza zajął wysoki młodzieniec. Tenar przez moment wydało się, że to jej syn.

– Ona... – odparł szybko Łapa – ona porwała moje dziecko, moją siostrzenicę. Ta kobieta zaczarowała ją i uciekła...

Tenar nie była w stanie nic powiedzieć. Jakaś moc ponownie odebrała jej dar mowy. Młody marynarz nie był jej synem. Z wąskiej surowej twarzy spoglądały jasne oczy. Patrząc na niego, zdołała wreszcie wykrztusić:

– Proszę, wpuść mnie na statek.

Młodzieniec wyciągnął rękę i wsparta na niej, przeszła po trapie na pokład żaglowca.

– Zaczekaj tutaj – rzucił w stronę Łapy, po czym zwrócił się do niej: – Chodź ze mną.

Jednakże w tym momencie nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Powoli osunęła się na pokład, wypuszczając ciężki worek, lecz nadal tuląc do siebie dziecko.

– Nie pozwól mu jej zabrać! Och, błagam, nie pozwól mu! Tylko nie to, nie to!

10

„Delfin”

Nadal nie wypuszczała dziewczynki z ramion, nie chciała im jej oddać. Na pokładzie przebywali sami mężczyźni. Dopiero po długiej chwili zdołała pojąć, co do niej mówili, zrozumieć, co się zdarzyło i co działo się z nią nadal. Kiedy w końcu dotarło do niej, kim jest młodzieniec – ten, którego z początku uznała za swojego syna – wydało jej się, jakby zawsze o tym wiedziała, tyle że nie potrafiła przyjąć do wiadomości tej myśli. Przez jakiś czas w ogóle nie mogła myśleć.

Młodzieniec zszedł do doków, po czym wrócił na pokład; teraz stał tuż obok trapu Rozmawiał z siwowłosym mężczyzną, sądząc z wyglądu, kapitanem statku. Zerknął na Tenar, która, kiedy odchodził, przycupnęła w kącie pokładu, pomiędzy relingiem a wielkim kabestanem. Zmęczenie po długim ciężkim dniu pokonało w końcu strach; dziewczynka mocno spała, przytulona do opiekunki, z głową wspartą o worek podróżny, przykryta płaszczem niczym kocem.

Tenar wstała powoli i młodzieniec natychmiast zbliżył się do niej. Wygładziła spódnicę, próbując jednocześnie poprawić potargane włosy.

– Jestem Tenar z Atuanu – oświadczyła. Młodzieniec stał w milczeniu. – Myślę, że rozmawiam z królem.

Był bardzo młody, młodszy niż jej syn, Iskra. Na oko nie skończył jeszcze dwudziestu lat. Jednakże w jego twarzy i oczach kryła się dziwna dojrzałość. Dostrzegłszy to, pomyślała: Przeszedł już przez ogień.

– Nazywam się Lebannen z Enladu, moja pani – powiedział i już miał skłonić się przed nią albo nawet klęknąć, kiedy Tenar pochwyciła jego ręce tak, że stanęli twarzą w twarz.

– Nie przystoi, byś mi się kłaniał. Ani ja tobie.

Roześmiał się, wyraźnie zdumiony, i trzymając ją za ręce, spojrzał jej prosto w oczy.

– Skąd wiedziałaś, że cię szukam? Czy szłaś do mnie, kiedy ten człowiek...

– Nie. Uciekałam... przed nim... przed miejscowymi łotrzykami... Próbowałam tylko wrócić do domu...

– Na Atuan?

– O nie! Na moją farmę w Dolinie Środkowej. Tu, na Goncie. – Ona także zaśmiała się głośno, choć w jej oczach zakręciły się łzy. Teraz mogła już sobie pozwolić na płacz. Wypuściła dłonie króla, aby otrzeć mokre policzki.

– Gdzie leży Dolina Środkowa? – spytał.

– Na południowy wschód stąd, po drugiej stronie przylądków. Najbliższy port to Ujście.

– Zabierzemy cię tam – oznajmił uradowany, że może wyświadczyć jej przysługę.

Uśmiechnęła się i podziękowała skinieniem głowy.

– Powinnaś napić się wina, zjeść coś i odpocząć – stwierdził. – Zaraz znajdziemy łóżko dla twojego dziecka.

Kapitan, czekający dyskretnie z boku, wydał stosowne rozkazy. Łysy marynarz, z którym rozmawiała wcześniej – Tenar wydawało się, że od tej chwili minęły całe wieki – podszedł i zamierzał podnieść Therru, gdy zagrodziła mu drogę.

– Sama ją zaniosę – oznajmiła napiętym głosem.

– Po drodze są schody, dobrodziejko. Ja to zrobię – nalegał marynarz i wiedziała, że chce dobrze, ale nie mogła pozwolić, by dotknął Therru.

– Pozwólcie mnie – wtrącił młody król. Wzrokiem prosząc o zezwolenie, ukląkł, dźwignął śpiące dziecko, poniósł je do klapy w pokładzie i ostrożnie zszedł po stromych jak drabina stopniach. Tenar szła za nim. Król złożył niezręcznie dziewczynkę na koi w małej kabinie. Czule otulił ją płaszczem. Tenar pozwoliła mu na to.

Przeszli do bogato urządzonej kajuty zajmującej całą rufę okrętu. Długie okno wychodziło na ciemniejącą z wolna zatokę. Król poprosił, aby usiadła przy drewnianym stole, następnie odebrał tacę od chłopca okrętowego, nalał do ciężkich szklanych kielichów czerwonego wina i poczęstował Tenar owocami i ciastkami.

Spróbowała trunku.

– Doskonały, ale nie z Roku Smoka – powiedziała.

Spojrzał na nią zdumiony; przez moment spod maski dojrzałości wyjrzała twarz młodego chłopca.

– Pochodzi z Enladu, nie z Andradów – odparł potulnie.

– To doskonałe wino – zapewniła go, pociągając kolejny łyk. Ugryzła kawałek ciastka; kruchego, sycącego. Zielone i żółte winogrona były słodkie i cierpkie zarazem. Ostry smak jedzenia i wina był jak cumy trzymające żaglowiec przy brzegu – ponownie łączył Tenar ze światem, z rzeczywistością.

– Bardzo się bałam – wyznała przepraszająco. – Ale niedługo dojdę do siebie. Wczoraj – nie, jeszcze dziś rano – rzucono na mnie... zaklęcie... – Nie mogła wymówić następnego słowa. Zająknąwszy się kilkakrotnie, dodała: – K-k-klątwę. Odebrała mi mowę i rozum. Uciekając od niej, wpadłyśmy wprost na człowieka, który... – Z rozpaczą spojrzała na młodego mężczyznę zasłuchanego w jej słowa. Jego oczy spoglądały z powagą, zachęcając ją, by wyrzuciła z siebie wszystko. – ...Był jednym z tych, co okaleczyli dziewczynkę. On i jej rodzice zgwałcili ją, pobili i próbowali spalić w ognisku. Tak się zdarza, panie. Nawet dzieciom. A on ciągle ją śledzi, próbuje mi ją odebrać. I... – Urwała i napiła się wina, smakując je. – Od niego uciekłam do ciebie, do przystani. –

Rozejrzała się wokół, dostrzegając niską, rzeźbioną powałę kajuty, gładki stół, srebrną tacę, szczupłą spokojną twarz młodego mężczyzny. Włosy miał ciemne i miękkie, skórę brązowoczerwoną; ubrany był dobrze, choć nie strojnie. Nie dostrzegła żadnego

łańcucha, pierścienia czy innej zewnętrznej oznaki władzy. Ale wygląda tak, jak przystało na króla, pomyślała.

– Przykro mi, że pozwoliłem mu odejść – rzekł – lecz da się to jeszcze naprawić. Kto rzucił na ciebie zaklęcie?

– Czarnoksiężnik. – Nie wymówiła jego imienia. W ogóle nie chciała o tym myśleć. Pragnęła zostawić to wszystko za sobą. Żadnej zemsty ani pościgu. Niechaj podli ludzie odejdą w niepamięć, dusząc się w sosie własnej nienawiści.

Lebannen nie naciskał. Spytał jedynie:

– Czy na swojej farmie będziesz bezpieczna?

– Tak sądzę. Gdyby nie zmęczenie i zamęt w głowie, nie bałabym się Łapy. Co mógł mi zrobić? W obecności tylu ludzi, na środku ulicy? Nie powinnam była przed nim uciekać. Lecz czułam jedynie jej strach. Jest taka mała i bezsilna. Musi nauczyć się nie poddawać lękowi. Ja powinnam ją tego nauczyć...

Tenar zaczynała się gubić. Znów myślała po kargijsku. Czyżby zaczęła mówić we własnym języku? Lebannen uzna zapewne, że jest wariatką, starą szaloną kobietą bełkoczącą nieskładnie pod nosem. Zerknęła na niego ukradkiem; ciemne oczy młodzieńca nie patrzyły na nią, lecz na płomień uwięziony w szklanym kloszu lampy kołyszącej się nad stołem – mały, nieruchomy, jasny płomyczek. Młodzieniec był stanowczo zbyt smutny jak na swój wiek.

– Szukasz go, prawda? – zapytała. – Arcymaga, Krogulca.

– Geda. – Uśmiechnął się lekko. – Ty, ja i on nosimy otwarcie nasze prawdziwe imiona.

– Ty i ja, owszem. Ale on tylko wobec nas dwojga.

Skinął głową.

– W tej chwili grozi mu niebezpieczeństwo ze strony zawistnych ludzi. Ludzi złej woli. A on nie ma już przed nimi żadnej ochrony. Wiesz o tym? – Nie mogła się zmusić, by mówić jaśniej, lecz Lebannen odparł:

– Powiedział mi, że jego moc zniknęła, zużyta w akcie, który ocalił mnie i nas wszystkich. Trudno w to uwierzyć. Z początku nie chciałem dać wiary jego słowom.

– Ja też, jednakże tak jest w istocie. Toteż teraz... – ponownie się zawahała – pragnie być sam, dopóki nie zagoją się jego rany –

dokończyła ostrożnie.

– On i ja odwiedziliśmy królestwo mroku, Suchą Krainę. Razem umarliśmy i przebyliśmy góry dzielące nas od świata. Można stamtąd wrócić i on o tym wiedział, ale nazwa tych gór brzmi Ból. Kamienie... Ich kamienie są ostre, a zadane przez nie rany długo się goją.

Spojrzał na swoje dłonie. Tenar pomyślała o rękach Geda pokaleczonych i poznaczonych szramami, zaciskających się boleśnie.

Zamknęła palce wokół małego kamyczka ukrytego w kieszeni, słowa, które odnalazła, wędrując stromą ścieżką.

– Czemu się przede mną ukrywa?! – wykrzyknął z bólem młodzieniec. Po chwili dodał cicho: – Istotnie, miałem nadzieję się z nim spotkać. Skoro jednak nie życzy sobie tego, pozostaje mi wracać z niczym.

Już wcześniej ujęły ją uprzejmość, grzeczność i godność wysłanników z Havnoru; dobrze wiedziała, jakich te cechy wymagają wyrzeczeń. Jego natomiast pokochała naprawdę za szczery żal.

– Z pewnością przybędzie do ciebie. Daj mu tylko czas. Tak bardzo ucierpiał… odebrano mu wszystko, co miał... Kiedy jednak mówił o tobie, gdy wspominał twe imię, przez moment widziałam go takiego, jaki był kiedyś, jaki znów się stanie. Pełnego dumy!

– Dumy? – powtórzył Lebannen zdziwiony.

– Tak. Oczywiście, że dumy. Któż miałby być dumny, jeśli nie on?

– Zawsze myślałem o nim jak o... Był taki cierpliwy – powiedział Lebannen, po czym roześmiał się, dostrzegając ubóstwo tego opisu.

– Teraz brak mu cierpliwości – odparła. – Najsurowszy jest wobec samego siebie. Obawiam się, że nic nie możemy dla niego zrobić. Musimy pozwolić mu pójść własną drogą i odnaleźć siebie na końcu własnej smyczy, jak powiadają na Goncie...

W tej chwili czuła tak wielkie zmęczenie, jakby sama znalazła się na krańcu własnej smyczy.

– Chyba muszę odpocząć – rzekła.

Jej towarzysz natychmiast wstał.

– Pani Tenar, mówiłaś niedawno, że uciekając od jednego wroga, natknęłaś się na drugiego. Ja przybyłem w poszukiwaniu przyjaciela, a poznałem przyjaciółkę.

Uśmiechnęła się, wzruszona jego dowcipem i uprzejmością. Co za miły chłopiec, pomyślała.

***

Kiedy się ocknęła, statek płynął, kołysząc się miarowo. Wokół siebie słyszała jęki i skrzypienie desek, grzmot biegnących stóp, szelest płótna, okrzyki marynarzy. Therru spała jak zabita, a kiedy przebudziła się w końcu, była smutna i osowiała. Możliwe, że nawet miała gorączkę, choć Tenar nie potrafiła określić stanu zdrowia dziewczynki, bo zawsze promieniowało z niej ciepło. Nękana wyrzutami sumienia, że zmusiła dziecko do piętnastomilowego marszu, Tenar próbowała ją pocieszyć, opowiadając, że są na statku, którym podróżuje prawdziwy król, a pokoik, w którym się znalazły, był kiedyś jego kajutą. Mówiła, że statek zabiera je do domu, na farmę, gdzie czeka już cioteczka Skowronek, a może nawet Krogulec. To też nie wzbudziło zainteresowania Therru. Dziewczynka zastygła jak kamień, cicha i obojętna.

Na jej wątłym ramieniu Tenar dostrzegła znak – cztery palce, czerwone niczym piętno, jakby ktoś zacisnął rękę na ciele dziecka. A przecież Łapa nie zdążył małej pochwycić; musnął tylko lekko jej skórę. Tenar przyrzekła, że ów mężczyzna nigdy już Therru nie dotknie. To przyrzeczenie zostało złamane; jej słowo nic nie znaczyło. Czyje przysięgi mogłyby coś zdziałać w obliczu głuchej przemocy?

Schyliła się i ucałowała sińce na ramieniu Therru.

– Żałuję, że nie miałam dość czasu, by skończyć twoją czerwoną sukienkę – rzekła. – Król zapewne chętnie by ją zobaczył. Choć z drugiej strony wątpię, by ludzie podróżujący statkiem nosili swe najlepsze stroje. Nawet król.

Therru usiadła na koi ze spuszczoną głową. Nie odpowiedziała. Tenar zaczęła szczotkować jej włosy, które pięknie odrosły i opadały jedwabistą czarną zasłoną na poparzoną część głowy.

– Głodna jesteś, pisklaczku? Wieczorem nic nie jadłaś. Może król da nam śniadanie? Wczoraj poczęstował mnie ciastkiem i winogronami.

Cisza.

Kiedy Tenar oznajmiła, że czas już opuścić kajutę, dziewczynka posłuchała. Na pokładzie stała bez ruchu z przekrzywioną na bok głową, nie zwracając uwagi na białe żagle łopoczące w porannym wietrze, na migoczącą wodę ani na szczyt góry Gont, zwieńczony strzelistymi urwiskami masyw wznoszący się majestatycznie spośród lasów. Nie uniosła wzroku nawet wtedy, gdy zagadnął ją Lebannen.

– Therru – powiedziała łagodnie Tenar, klękając obok. – Kiedy król zwraca się do ciebie, powinnaś odpowiedzieć.

Dziewczynka milczała.

Twarz Lebannena, kiedy na nią patrzył, przybrała nieodgadniony wyraz. Może była tylko uprzejmą maską kryjącą wstręt i obrzydzenie, lecz jego ciemne oczy patrzyły ciepło, przyjaźnie. Musnął lekko palcami rękę dziecka, mówiąc:

– To musi być dla ciebie dziwne przeżycie, obudzić się i odkryć, że jesteś na pełnym morzu.

Therru zjadła jedynie trochę owoców. Spytana, czy teraz chce wrócić do kabiny, skinęła głową. Tenar niechętnie zostawiła ją skuloną na koi i wyszła na pokład.

Statek przepływał właśnie pomiędzy Zębatymi Urwiskami, ponurymi skalnymi ścianami, wyższymi niż maszty. Łucznicy, pełniący straż w maleńkich fortach przypominających gliniane gniazda jaskółek ulepione wysoko na skałach, spoglądali z góry na marynarzy pozdrawiających ich wesoło.

– Droga dla króla! – krzyczeli, a docierająca z urwisk odpowiedź zabrzmiała nie głośniej niż krzyk jaskółek szybujących po niebie.

– Dla króla!

Lebannen stał na wysokim dziobie w towarzystwie kapitana oraz starszego szczupłego mężczyzny o wąskich oczach, odzianego w szary płaszcz maga z wyspy Roke. Ged także miał na sobie podobny płaszcz – czysty, nowiutki – w dniu, kiedy wraz z Tenar umieścili Pierścień Erreth-Akbego na Wieży Miecza. Stare poplamione, brudne i poprzecierane okrycie służyło mu za posłanie

na chłodnych kamieniach Grobowców Atuanu oraz na piasku pustynnych gór, gdy przekraczali je razem. Tenar wspominała te chwile, spoglądając na płaty piany tryskające nad burty. Pozostawione z tyłu wysokie skały oddalały się szybko.

Kiedy statek wydostał się poza ostatnie rafy i zaczął kłaść się na wschodni kurs, trzej mężczyźni podeszli do niej.

– Pani, to jest Mistrz Wiatrów z wyspy Roke – przedstawił swego towarzysza Lebannen.

Mag skłonił się, mierząc ją bystrym, przyjaznym wzrokiem.

Oto człowiek, który lubi wiedzieć, skąd wieje wiatr, pomyślała.

– Teraz nie muszę się już martwić, czy pogoda się utrzyma; mogę na to liczyć – powiedziała.

– Dzisiaj stanowię jedynie niepotrzebny balast – odparł mag. – Zresztą kiedy statkiem kieruje żeglarz tak świetny, jak mistrz Serrathen, komu potrzebny jest zaklinacz pogody?

Wszyscy jesteśmy tacy uprzejmi, pomyślała. Panowie, panie, mistrzowie, same ukłony i komplementy. Zerknęła na młodego króla. Patrzył na nią z pełnym rezerwy uśmiechem.

Poczuła się jak kiedyś w Havnorze, jako młoda dziewczyna: nieokrzesana barbarzynka zagubiona wśród gładkich słówek. Ponieważ jednak już dawno zostawiła za sobą dziewczęce lata, nie czuła oszołomienia. Zastanawiała się jedynie, w jaki sposób mężczyźni zmuszają swój świat do uczestnictwa w tym tańcu masek i czy kobieta zdołałaby poznać kroki owego tańca.

Powiedzieli jej, że podróż do Ujścia potrwa tylko jeden dzień. Żeglując ze sprzyjającym wiatrem, powinni dotrzeć do portu późnym popołudniem.

Nadal bardzo zmęczona po długim, pełnym napięcia dniu, z radością spoczęła na siedzisku skleconym przez łysego marynarza ze słomianego siennika i kawałka żaglowego płótna; obserwowała fale, mewy i zmieniającą się sylwetkę góry Gont – błękitną, nierzeczywistą w jaskrawym blasku południa. Statek powoli okrążał wyspę w odległości nie większej niż dwie mile od stromych brzegów. Tenar wyprowadziła na pokład Therru, aby dziewczynka pobyła trochę na słońcu. Teraz leżała obok niej, półdrzemiąc.

Bezzębny marynarz o bardzo ciemnej skórze zbliżył się do nich, stąpając ostrożnie na bosaka – podeszwy jego stóp były twarde jak kopyta, palce miał potwornie powykręcane – i położył coś na płótnie obok Therru.

– To dla dziewczynki – oznajmił szorstko i natychmiast odszedł, choć niezbyt daleko. Od czasu do czasu odrywał się od pracy i oglądał, aby sprawdzić, czy małej spodobał się jego dar, udając wszakże, że nic go to nie obchodzi. Therru nie chciała dotknąć małego zawiniątka; Tenar musiała je otworzyć. W środku leżała maleńka figurka delfina, prześlicznie wyrzeźbionego z kości jakiegoś stwora.

– Może zamieszkać w twoim woreczku z sitowia razem z pozostałym kościanym ludkiem – oznajmiła Tenar.

Słysząc to, Therru ożywiła się dostatecznie, by wyjąć woreczek i umieścić w nim delfina. Jednakże Tenar musiała podziękować skromnemu darczyńcy. Therru milczała, nie patrząc na niego. Po jakimś czasie zapragnęła wrócić do kabiny i Tenar zostawiła ją tam w towarzystwie kościanego człowieczka, kościanego zwierzęcia i delfina.

Jakże łatwo, pomyślała z wściekłością, jak łatwo odebrać dziewczynce słońce, statek, króla i dzieciństwo, i jak trudno jej to oddać z powrotem. Poświęciłam rok na to, by odzyskała radość świata, a jedno jego dotknięcie wystarczyło, aby cały ten czas poszedł na marne. I co mu z tego przyszło? Po co to robi? Czyżby jego władza polegała na tworzeniu pustki?

W końcu podeszła do króla i maga stojących tuż przy burcie. Słońce zniżało się ku zachodowi, żaglowiec płynął naprzód, zanurzony w otchłani światła, która przywodziła jej na myśl sen o lataniu ze smokami.

– Pani Tenar – powiedział król – nie przekazuję ci żadnej wiadomości dla naszego przyjaciela, uważam bowiem, że czyniąc tak, obarczyłbym cię niechcianym brzemieniem oraz próbowałbym ograniczyć jego wolność, a tego nie chcę czynić. Mam zostać ukoronowany jeszcze w tym miesiącu. Gdyby zechciał włożyć mi na skronie koronę, rozpocząłbym panowanie tak, jak tego pragnie moje serce. Ale niezależnie od tego, czy przybędzie na uroczystość,

czy też nie, to on doprowadził mnie do mego królestwa. Dzięki niemu jestem królem. Nie zapomnę o tym.

– Wiem – odparła.

Był tak przejęty, tak poważny, zbrojny wagą swego urzędu, a jednak otwarty w swej szczerości, czystości zamierzeń. Serce Tenar wybiegło ku niemu. Sądził, że poznał już cierpienie, nie wiedząc, że przez całe życie będzie się go uczył na nowo – i niczego nie zapomni.

I dzięki temu, w odróżnieniu od Łapy, nie zadowoli się najłatwiejszym rozwiązaniem.

– Chętnie zaniosę mu wiadomość – stwierdziła. – To żaden kłopot. Natomiast odpowiedź będzie już zależała tylko od niego.

Mistrz Wiatrów uśmiechnął się szeroko.

– Jak zawsze – rzekł. – Każdy jego uczynek zależał wyłącznie od niego.

– Znasz go tak długo?

– Dłużej nawet niż ty, pani. Uczyłem go – wyjaśnił mag – czego tylko mogłem... Wiesz chyba, że zjawił się w szkole na Roke, przynosząc list od Ogiona, w którym jego mistrz stwierdzał, że młodzieniec ma wielką moc. Kiedy pierwszy raz zabrałem go z sobą łodzią, aby nauczył się przemawiać do wiatru, wywołał trąbę wodną. Wówczas pojąłem, co nas czeka, i pomyślałem, że albo utonie, zanim skończy szesnaście lat, albo przed czterdziestką zostanie Arcymagiem... A przynajmniej lubię sobie powtarzać, że tak właśnie sądziłem.

– Czy on nadal jest Arcymagiem? – spytała Tenar, przezwyciężywszy obawę przed ujawnianiem swojej niewiedzy. Nie odpowiedzieli i przestraszyła się, że popełniła jakiś nietakt. Po dłuższej chwili Mistrz Wiatrów rzekł:

– Obecnie na Roke nie ma Arcymaga. – Ton jego głosu zdradzał ogromną ostrożność. Nie śmiała dopytywać się, co chciał przez to powiedzieć.

– Sądzę – wtrącił król – że Uzdrowicielka Runy Pokoju zasłużyła sobie, by znaleźć się w każdym kręgu wtajemniczenia tego królestwa, a ty, panie?

Po kolejnej chwili, wypełnionej wyraźnym zmaganiem z samym sobą, czarnoksiężnik odparł:

– Oczywiście.

Król odczekał, jednakże mag nie dodał już ani słowa.

Wówczas Lebannen, spoglądając na roziskrzoną wodę, rozpoczął swoją opowieść:

– Razem przybyliśmy na Roke z najdalszego zachodu, na grzbiecie smoka... – urwał i w umyśle Tenar zabrzmiało imię owego smoka, Kalessin, niczym przeszywający dźwięk gongu. – Smok zostawił mnie tam, ale jego uniósł ze sobą. Strażnik drzwi powiedział wtedy: „Zrobił już to, co miał zrobić. Teraz wraca do domu". A przedtem – na plaży Selidoru – kazał mi zostawić laskę, twierdząc, że nie jest już magiem. Toteż mistrzowie Roke zebrali się, aby wybrać nowego Arcymaga.

Zaprosili także i mnie, abym, jak przystało na króla, zaznajomił się z działaniem Rady Mędrców. Poza tym miałem zastąpić jednego z ich kręgu, Thoriona, Mistrza Przywołań, którego sztuka zwróciła się przeciw niemu w dniach wielkiego zła, zanim jeszcze mój pan Krogulec zamknął przejście między światami. Kiedy znaleźliśmy się w Suchej Krainie, pomiędzy murem a łańcuchem gór, ujrzałem mistrza Thoriona. Mój pan przemówił do niego, wskazując mu drogę powrotną do życia, po drugiej stronie muru, on jednak nie skorzystał ze wskazówek, nie powrócił.

Król zacisnął silne smukłe dłonie na relingu, wciąż patrzył w dal. Chwilę milczał, po czym podjął przerwaną opowieść:

– Toteż dołączyłem do ich grona tak, aby liczba tych, którzy wybierają nowego Arcymaga, pozostała niezmieniona. To... bardzo mądrzy ludzie – stwierdził, zerkając na Tenar. – Nie tylko posiedli mistrzostwo w swych kunsztach, ale też ogromną wiedzę. Wykorzystują dzielące ich różnice zdań, aby podjąć właściwą decyzję. Kiedyś już widziałem, jak to robili, ale tym razem...

– Szkopuł w tym – wtrącił Mistrz Wiatrów, dostrzegając, iż Lebannen wolałby nie krytykować mistrzów z Roke – że różnice przeważyły. Nie mogliśmy pogodzić się w żadnej kwestii, ponieważ Arcymag nie umarł, wciąż jeszcze żyje, a choć nie jest magiem, nadal pozostał Władcą Smoków... Mistrz Przemian, wstrząśnięty tym, że jego moc zwróciła się przeciw niemu, wierząc, iż Mistrz Przywołań także powróci z martwych, błagał, byśmy

na niego zaczekali... Mistrz Wzorów w ogóle się nie odzywał... To Karg, pani, twój rodak. Wiedziałaś o tym? Przybył do nas z Karego At. – Mag obserwował ją czujnymi oczami. Skąd wieje wiatr? – Z tych wszystkich względów odkryliśmy, że nie wiemy, co począć. Kiedy Mistrz Odźwierny poprosił, abyśmy wymienili tych, z których wybierzemy Arcymaga, nie padło ani jedno imię. Wszyscy patrzyli po sobie...

– Ja wbiłem wzrok w ziemię – wtrącił Lebannen.

– W końcu więc zwróciliśmy się do tego, który zna wszystkie imiona, Mistrza Imion, on zaś spoglądał na Mistrza Wzorów, który nie odezwał się ani słowem, siedząc wśród swych drzew niczym suchy pniak. Zebraliśmy się bowiem w Wewnętrznym Gaju, którego korzenie sięgają głębin większych niż podstawy świata. Był już wówczas późny wieczór. Czasami drzewa Gaju jarzą się dziwnym blaskiem, ale nie tej nocy. Nad liściastym sklepieniem rozciągało się czarne niebo bez jednej gwiazdy. Wówczas Mistrz Wzorów wstał i przemówił we własnym języku – nie w Dawnej Mowie ani po hardycku, lecz po kargijsku. Nieliczni z nas znali ów język czy choćby go rozpoznali, toteż z początku nie wiedzieliśmy, co o tym sądzić. Dopiero Mistrz Imion wyjaśnił nam, co powiedział Mistrz Wzorów. Rzekł on: „Kobieta na Goncie".

Urwał. Nie patrzył już na nią. Po chwili spytała:

– I nic więcej?

– Ani słowa. Zaczęliśmy naciskać, lecz patrzył na nas w milczeniu, wcześniej bowiem przemawiał pogrążony w transie widzenia, dostrzegając kształt rzeczy, ogólny wzór. Tego nie da się ująć słowami, a już na pewno nie opisać. Gdy powtórzyliśmy mu to, co powiedział, pojął z tego nie więcej niż my wszyscy. Była to jedyna wskazówka, jaką dysponowaliśmy.

Mistrzowie Roke od niepamiętnych czasów zajmowali się kształceniem pokoleń uczniów, a Mistrz Wiatrów był wyjątkowo dobrym nauczycielem, toteż jego opowieść zabrzmiała jasno i prosto – jaśniej może, niż sam tego pragnął. Po raz kolejny zerknął na Tenar i odwrócił wzrok.

– Wyglądało zatem na to, że powinniśmy odwiedzić Gont. Ale po co? Kogo mieliśmy szukać? Kobiety? To niewiele. Najwyraźniej owa

kobieta miała nas poprowadzić, wskazać drogę do naszego Arcymaga. Natychmiast też, pani, przyszła nam do głowy twoja osoba, bo o jakiej innej kobiecie na Goncie kiedykolwiek słyszeliśmy? To mała wyspa, natomiast twa sława sięga daleko. Wówczas jeden z nas rzekł: „Ona doprowadzi nas do Ogiona”; wszyscy jednak wiedzieliśmy, że Ogion dawno temu odmówił przyjęcia tytułu Arcymaga i z pewnością nie zgodzi się na to teraz, gdy jest stary i chory. Teraz myślę, że kiedy o tym rozmawialiśmy, właśnie umierał. Wówczas jeden z nas rzekł: „Ale może doprowadzi nas do Krogulca?”. I wtedy naprawdę ogarnęła nas ciemność.

– Istotnie – wtrącił Lebannen. – W tym momencie bowiem wśród drzew zaczął padać deszcz. – Młodzieniec się uśmiechnął. – Myślałem już, że nigdy więcej nie usłyszę bębnienia deszczu o ziemię. To była dla mnie wielka radość.

– Dziewięciu mokrych ludzi – stwierdził Mistrz Wiatrów – i tylko jeden z nich szczęśliwy.

Tenar się roześmiała. Wbrew własnej woli odczuwała sympatię do tego człowieka. Czujność i ostrożność, z jaką ją traktował, nakazywała także jej zachować rezerwę, jednakże obecność Lebannena i jego postawa zmuszały do całkowitej szczerości.

– Wasza „kobieta na Goncie” nie może zatem oznaczać mojej osoby, bo ja nie zaprowadzę was do Krogulca.

– Sam także sądziłem – odparł mag z wyraźną, może nawet prawdziwą szczerością – że to nie możesz być ty, pani. Po pierwsze, wówczas z pewnością Mistrz Wzorów wymieniłby twoje imię. Nieliczni tylko noszą otwarcie swe prawdziwe imiona. Niemniej Rada Roke poleciła mi, abym spytał, czy nie znasz jakiejś kobiety na tej wyspie, która mogłaby być poszukiwaną przez nas tą jedyną; siostry bądź matki mężczyzny obdarzonego mocą, może nawet jego nauczycielki, gdyż istnieją czarownice słynące z głębokiej mądrości. Może Ogion słyszał o podobnej kobiecie? Powiadają, że znał każde dziecko na tej wyspie, choć żył jak pustelnik i samotnie wędrował po lasach. Gdybyż tylko mógł nam teraz udzielić wskazówek!

Tenar natychmiast pomyślała o rybaczce z opowieści Ogiona, jednakże tamta kobieta była już stara, kiedy Ogion poznał ją przed

wielu laty. Do tej pory z pewnością zdążyła już umrzeć. Choć, jak powiadali ludzie, smoki są bardzo długowieczne.

Przez dłuższy czas milczała. W końcu powiedziała jedynie:

– Nie wiadomo mi o nikim takim.

Wyczuwała, że mag z trudem hamuje zniecierpliwienie. Na co ona czeka? Czego chce? – myślał bez wątpienia. Sama nie wiedziała, dlaczego nie mogła mu o tym powiedzieć. Jego głuchota zamykała jej usta. Nawet tego nie potrafiła mu wyjaśnić.

– A zatem – rzekła w końcu – Ziemiomorze nie ma Arcymaga. Ma natomiast króla.

– W którym nie bez racji pokładamy nadzieję i zaufanie – dokończył mag ciepło. Lebannen, słuchający w milczeniu, uśmiechnął się lekko.

– W ostatnich latach – powiedziała Tenar z wahaniem – zdarzyło się wiele nieszczęść. Moja... wychowanka... Podobne krzywdy stały się niemal powszechne. Słyszałam też, jak kobiety i mężczyźni obdarzeni mocą wspominali o jej osłabieniu, o zachodzących w niej zmianach.

– Ten, którego Arcymag pokonał w Suchej Krainie, mężczyzna zwany Cobem, spowodował niewypowiedziane szkody i zniszczenia. Przez długi czas będziemy naprawiać naszą sztukę, leczyć magów i magię – odparł z powagą Mistrz Wiatrów.

– Zastanawiam się, czy nie powinno się uczynić czegoś więcej niż tylko naprawy szkód i leczenie odniesionych ran – stwierdziła Tenar. – Choć oczywiście to także należy zrobić. Może jednak fakt, że ktoś taki jak Cob zdołał zdobyć tak wielką moc, był możliwy dlatego, że zmiana już się zaczęła? I że ogarnęła cały świat? Może właśnie ta zmiana sprawiła, że Ziemiomorze ma teraz króla – króla, nie Arcymaga?

Mistrz Wiatrów spojrzał na nią, jakby dostrzegł właśnie na najdalszym horyzoncie odległą burzową chmurę. Uniósł nawet prawą dłoń w pierwszym geście zaklęcia wiążącego, po czym ją opuścił.

– Nie bój się, pani – rzekł z uśmiechem. – Roke i sztuka magiczna przetrwają. Nasz skarb jest pod dobrą strażą.

– Powiedz to Kalessinowi! – odparła, niezdolna dłużej znosić jego całkowicie nieświadomego braku szacunku.

Mag spojrzał na nią ze zdumieniem. Rzecz jasna usłyszał imię smoka, co nie znaczyło, że usłyszał jej słowa. Jak mógł, on, który nigdy nie słuchał kobiety od czasu, gdy matka śpiewała mu kołysanki?

– Istotnie – potwierdził Lebannen. – Kalessin przybył na Roke, której strzegą ponoć przed smokami najpotężniejsze zaklęcia. I nie uczynił tego dzięki magii mojego pana, bo on stracił już wówczas swą moc... Nie sądzę jednak, Mistrzu Wiatrów, aby pani Tenar obawiała się o siebie.

Mag z widocznym wysiłkiem postarał się naprawić wyrządzony jej despekt.

– Pani – rzekł. – Przez moment zapomniałem, że nie rozmawiam ze zwykłą kobietą.

O mało nie wybuchnęła śmiechem. Miała ochotę nim potrząsnąć, lecz powiedziała jedynie:

– Moje lęki są zupełnie zwyczajne.

To wszystko nie miało sensu. I tak jej nie słyszał.

Natomiast młody król milczał zasłuchany.

Czuwający w rozkołysanym świecie masztów, żagli i olinowania chłopak okrętowy wykrzyknął z przejęciem:

– Miasto przed nami!

Po minucie ludzie na pokładzie ujrzeli drobne skupisko stromych dachów, błękitne smugi dymu, kilka oszklonych okien, w których odbijało się zachodzące słońce, oraz doki i nabrzeża Ujścia nad niebieską jak jedwab zatoką.

– Mam przejąć ster, panie, czy też zechcesz wspomóc nas swoją sztuką? – zapytał spokojnie kapitan.

– Żegluj sam – odparł Mistrz Wiatrów. – Wolałbym nie mieć do czynienia z całym tym śmieciem – dodał, wskazując kilkanaście rybackich łodzi kołyszących się na falach zatoki. Po chwili królewski żaglowiec, niczym łabędź pomiędzy kaczętami, sunął już powoli do brzegu, pozdrawiany przez każdy mijany kuter.

Tenar rozejrzała się po porcie, nie dostrzegła jednak żadnego większego statku.

– Mam syna marynarza – wyjaśniła, zwracając się do Lebannena. – Pomyślałam, że może go tu spotkam.

– Na jakim statku służy?

– Ostatni raz dostałam od niego wiadomość ponad dwa lata temu, był wtedy starszym majtkiem na „Eskelskiej Mewie". Od tego czasu mógł jednak zmienić statki. Nigdzie długo nie zagrzewał miejsca. – Uśmiechnęła się. – Gdy po raz pierwszy cię ujrzałam, sądziłam, że jesteś moim synem, chociaż zupełnie go nie przypominasz, może trochę wzrostem, wiekiem i posturą. Rozumiesz, byłam wówczas przerażona i zagubiona. Ot, zwyczajne lęki.

Mag wraz z kapitanem odeszli. Tenar i Lebannen zostali sami.

– Zbyt wiele jest w świecie zwyczajnych lęków – rzekł król.

Teraz miała jedyną szansę, aby pomówić z nim w cztery oczy. Z jej ust wyrwały się niepewne, pospieszne słowa:

– Pomyślałam sobie... wiem, że to bez sensu, lecz czy nie może być tak, że na Goncie jest jakaś kobieta… nie wiem kto, nie mam pojęcia, ale jest, będzie albo może być… kobieta… i właśnie jej szukają, jej potrzebują? Czy to naprawdę niemożliwe?

Lebannen słuchał. Nie był głuchy. Marszczył jednak brwi, jakby usiłował zrozumieć obcy język. Wreszcie, po chwili, odpowiedział krótko:

– Może.

Rybaczka w maleńkiej łódce krzyknęła, unosząc głowę:

– Skąd przypływacie?!

– Z Królewskiego Grodu! – zapiał w odpowiedzi chłopak na maszcie.

– Jak się nazywa ten statek? – spytała Tenar. – Mój syn z pewnością o to zapyta.

– „Delfin" – odparł z uśmiechem Lebannen.

Synu mój, mój królu, mój drogi chłopcze, pomyślała. Jakże bym chciała zatrzymać cię w pobliżu.

– Muszę iść po moją maleńką – powiedziała.

– W jaki sposób dotrzecie do domu?

– Na piechotę. To niedaleko. – Szerokim gestem wskazała leżącą za miastem rozległą Dolinę Środkową, rozświetloną słońcem, chronioną przez dwa pasma skał u podnóża góry. – Tam, nad rzeką,

leży wioska. Moja farma znajduje się pół mili dalej. To uroczy skrawek twojego królestwa.

– Będziesz tam bezpieczna?

– O tak. Dzisiejszą noc spędzę z małą, tu, w Ujściu. A na ludziach w wiosce można polegać. Nie będę sama.

Przez chwilę ich oczy się spotkały, jednak żadne nie wymówiło imienia, o którym pomyśleli.

– Czy posłańcy z Roke zjawią się tu ponownie, szukając „kobiety na Goncie" albo naszego przyjaciela?

– Nie jego. Jeśli choć wspomną o tym, zabronię im – odparł Lebannen nieświadom, jak wiele powiedział jej w tych kilku krótkich słowach. – Natomiast jeśli chodzi o poszukiwania nowego Arcymaga albo kobiety z wizji Mistrza Wzorów, owszem, mogą ich tu doprowadzić. Może nawet złożą ci wizytę.

– Chętnie przyjmę ich na Dębowej Farmie – stwierdziła. – Choć nie tak chętnie jak ciebie.

– Przybędę, kiedy tylko będę mógł – odparł. W jego głosie surowość mieszała się z żalem. – Jeśli będę mógł.

11

W domu

Słysząc, że na pokładzie statku z Havnoru przebywa nowy młody król, o którym opowiadały pieśni, większość mieszkańców Ujścia wyległa na brzeg, aby go obejrzeć. Samych pieśni jeszcze nie znali, ale słyszeli dawne historie, a stary Relli przyniósł swoją harfę i zaśpiewał fragment *Czynów Morreda*, król Ziemiomorza bowiem musiał z pewnością wywodzić się z jego rodu. W końcu ujrzeli go: młody, wysoki i piękny, jak należy. Towarzyszył mu mag z Roke oraz kobieta z dziewczynką w starych płaszczach, niewiele lepszych od żebraczych okryć. On jednak traktował je z szacunkiem należnym królowej i księżniczce, może więc istotnie nimi były?

– Może to jego matka? – mruknęła Shinny, wspinając się na palce i patrząc ponad głowami stojących przed nią mężczyzn.

Nagle jej przyjaciółka Jabłko powiedziała zduszonym szeptem:

– To... to matka!

– Czyja? – spytała Shinny.

– Moja. A tam stoi Therru.

Jednakże nie zaczęła przepychać się przed tłum, nawet kiedy oficer ze statku zszedł na brzeg i zaprosił starego Relliego na pokład, aby zagrał przed królem. Czekała wraz z innymi. Patrzyła, jak król przyjmuje dostojników z Ujścia i słucha pieśni Relliego. Widziała, jak żegnał się ze swymi gośćmi, albowiem, jak powiadali ludzie, statek miał wypłynąć w morze jeszcze przed zmrokiem, zmierzając

z powrotem do Havnoru. Ostatnimi osobami, które przeszły przez trap, były Therru i Tenar. Każdą z nich król uścisnął uroczyście, przyciskając policzek do ich policzka. Ukląkł nawet, by objąć Therru. „Ach!”, westchnął tłum zebrany w porcie. Zachodzące słońce, spowite świetlistym woalem wieczornej mgiełki, kreśliło szeroki złoty szlak na spokojnych wodach zatoki. Kobieta i dziewczynka zeszły na brzeg. Tenar dźwigała ciężki worek i torbę, Therru szła przodem ze schyloną głową, skrywając twarz włosami. Następnie podniesiono trap, marynarze skoczyli do lin, oficerowie zaczęli krzyczeć i „Delfin” ruszył w drogę. Wówczas dopiero Jabłko przedarła się przez zebrany tłum.

– Witaj, matko – powiedziała.

– Witaj, córko – odparła Tenar.

Ucałowały się, po czym Jabłko, dźwignąwszy z ziemi Therru, zauważyła:

– Jak ty urosłaś! Jesteś dwa razy większa, niż kiedy widziałam cię ostatnio. Chodźcie do domu.

Tego wieczoru, w miłym domku należącym do młodego kupca, jej męża, Jabłko traktowała swą matkę z pewnym onieśmieleniem, przypatrując jej się często z ostrożnym namysłem.

– Wiesz, matko, wszystkie te historie nigdy nic dla mnie nie znaczyły – wyznała, stając w drzwiach sypialni Tenar. – Cała ta opowieść o Runie Pokoju i o tym, jak przyniosłaś do Havnoru Pierścień Erreth-Akbego. Przypominało to stare pieśni mówiące o zdarzeniach sprzed tysiąca lat. Ale to naprawdę byłaś ty!

– To była dziewczyna z Atuanu – odparła Tenar. – Tysiąc lat temu. Myślę, że w tej chwili mogłabym przespać tysiąc lat.

– Idź więc do łóżka. – Jabłko odwróciła się, po czym spojrzała przez ramię, unosząc trzymaną w dłoni lampę. – Królewska zalotnica! – zażartowała.

– Uciekaj stąd! – prychnęła Tenar.

***

Jabłko i jej mąż zatrzymali je u siebie przez parę dni, potem jednak Tenar uparła się, że musi wracać na farmę, toteż pewnego pięknego ranka wraz z córką i Therru powędrowały brzegiem spokojnej srebrzystej Kahedy. W powietrzu czuło się pierwszy powiew jesieni. Słońce nadal przygrzewało mocno, jednakże wiatr niósł z sobą wyraźny chłód. Drzewa zdawały się suche, przykurzone, na polach krzątali się żniwiarze.

Jabłko napomknęła, że Therru wygląda na znacznie silniejszą i śmielszą niż kiedyś.

– Szkoda, że nie widziałaś jej w Re Albi – odparła Tenar. – Zanim... – Urwała, postanowiwszy nie zawracać głowy córce tamtą historią.

– Co się stało? – spytała Jabłko.

Widząc determinację w oczach córki, Tenar ustąpiła i zniżając głos, powiedziała:

– Pojawił się jeden z nich.

Therru szła kilka kroków przed nimi, długonoga w przykrótkiej sukience. Co chwila skręcała na pobocze, szukając jeżyn wśród gęstych krzaków.

– Jej ojciec? – spytał Jabłko, wyraźnie wstrząśnięta.

– Skowronek twierdzi, że człowiek, którego uważali za jej ojca, nazywał się Dorsz. Ten jest młodszy; to on przyszedł z prośbą o pomoc. Ma na imię Łapa. On... kręcił się po Re Albi. A potem, nieszczęśliwym zrządzeniem losu, natknęłyśmy się na niego w Porcie Gont. Ale król go odprawił. Cóż, teraz jestem tutaj, a on tam. To już koniec.

– Jednak Therru się przestraszyła – wtrąciła ponuro Jabłko. – Po co w ogóle szłyście do Portu Gont?

– Łapa pracował dla pewnego człowieka... czarnoksiężnika w domu władcy Re Albi, który zapałał do mnie niechęcią... – Tenar próbowała przypomnieć sobie jego imię użytkowe i nie potrafiła. Jedyne, co przychodziło jej do głowy, to Tuaho, kargijskie słowo oznaczające gatunek drzewa. Nie pamiętała, jakie to było drzewo.

– I…?

– I uznałam, że lepiej będzie wrócić do domu.

– Ale za co znielubił cię ten czarnoksiężnik?

– Głównie za to, że jestem kobietą.

– Ba – mruknęła Jabłko. – Stary zarozumiały dureń.

– W tym przypadku młody zarozumiały dureń.

– Jeszcze gorzej. Cóż, o ile wiem, nikt z tutejszych nie widział, by po okolicy kręcili się rodzice dziewczynki, jeśli w ogóle można ich określić tak szlachetnym mianem. Mimo wszystko jednak nie podoba mi się, że zamieszkasz na farmie sama.

Miło było słuchać strofowań córki i widzieć w jej oczach prawdziwą troskę.

– Nic mi nie będzie – odparła niecierpliwie Tenar.

– Mogłabyś chociaż sprawić sobie psa.

– Już o tym myślałam. Może ktoś w wiosce będzie miał szczeniaka? Kiedy zajrzymy do Skowronek, zapytam ją.

– Nie szczeniaka, matko. Psa.

– Ale młodego, żeby Therru mogła się z nim bawić.

– Miłego szczeniaczka, który będzie się łasił do złodziei – zadrwiła Jabłko. Szła obok matki hoża, szarooka, roześmiana.

Koło południa dotarły do wioski. Na powitanie Skowronek zasypała Tenar i Therru deszczem pocałunków, uścisków, pytań i smakołyków. Mąż przyjaciółki powitał je z namaszczeniem, inni wieśniacy także wpadali, aby pozdrowić wdowę. Tenar ogarnęła radość z powrotu do domu.

W dalszej drodze towarzyszyła im Skowronek i dwoje najmłodszych z jej siedmiorga dzieci, chłopiec i dziewczynka. Dzieci rzecz jasna znały Therru i przywykły do niej, choć dwumiesięczne rozstanie sprawiło, że z początku zdawały się onieśmielone. Mała pozostawała zamknięta w sobie, obojętna jak dawniej. Nawet obecność innych dzieci i Skowronek nie przełamała dzielącej jej od świata bariery.

– Jest zmęczona długą podróżą. Przejdzie jej. Radzi sobie znakomicie – powiedziała Tenar, ale Jabłko nie pozwoliła jej wykręcić się tak łatwo.

– Jeden z nich pojawił się w pobliżu i przeraził je obie – oznajmiła.

Stopniowo, krok po kroku, córka i przyjaciółka wydobyły z Tenar całą historię. Opowiadała im ją, gdy otwierały drzwi dusznego, zimnego, zakurzonego domu; kiedy porządkowały izby, wietrzyły pościel i sienniki; kręcąc głowami nad skiełkowaną cebulą, układały

jedzenie w spiżarce i nastawiały kocioł zupy na kolację. Tenar powoli cedziła każdy wyraz. Nie była w stanie wyjaśnić im, co uczynił czarnoksiężnik. Rzucił na nią zaklęcie, stwierdziła jedynie. Może to on wysłał Łapę jej śladem? Kiedy jednak w swej relacji dotarła do króla, z jej ust buchnął potok słów:

– I wtedy ujrzałam go – króla! Był jak ostrze miecza, a Łapa skulił się i odskoczył przerażony. Ja zaś pomyślałam, że to Iskra. Naprawdę przez chwilę tak sądziłam. Byłam taka oszołomiona...

– Tak to wyglądało – wtrąciła Jabłko. – Shinny uważała, że jesteś jego matką. Stałyśmy obie na przystani, patrząc, jak w glorii chwały wpływacie do zatoki. Ona go pocałowała, wyobrażasz sobie, cioteczko? Pocałowała króla, ot tak, od niechcenia. Pomyślałam, że zaraz ucałuje także maga. Ale nie.

– No chyba że nie. Co za pomysł! Jakiego maga? – spytała Skowronek, grzebiąc w kredensie. – Gdzie jest twoja puszka z mąką, Goha?

– Trzymasz na niej rękę. Maga z Roke. Przybył tu na poszukiwanie nowego Arcymaga.

– Tutaj?

– A czemu nie? – odparła Jabłko. – Ostatecznie poprzedni też pochodził z Gontu. Ale niewiele czasu poświęcili poszukiwaniom. Gdy tylko pozbyli się matki, pożeglowali wprost do Havnoru.

– Ty to masz gadane.

– Mówił, że szuka kobiety – poinformowała je Tenar. – „Kobiety na Goncie". Nie wydawał się tym zachwycony.

– Czarnoksiężnik szukający kobiety? To coś nowego – mruknęła Skowronek. – Sądziłam, że do tego czasu zalęgną się wołki, ale nie, mąka wygląda zupełnie dobrze. Upiekę parę podpłomyków, chcecie? Gdzie jest olej?

– Muszę nabrać trochę z garnka w chłodni. O, Shandy! Jesteś! Co słychać? Jak tam Potok? Dawaliście sobie radę beze mnie? Sprzedaliście jagnięta?

Usiedli do kolacji. W łagodnym żółtym wieczornym świetle, w czterech ścianach kuchni o kamiennej posadzce, przy długim stole Therru zaczęła odrobinę unosić głowę i kilka razy odezwała się do dzieci; nadal jednak znać w niej było lęk, a gdy na zewnątrz

zaczęło się ściemniać, dziewczynka przesiadła się tak, by jej zdrowe oko widziało przestrzeń za oknem.

O zmierzchu Skowronek wraz z dziećmi wróciła do siebie. Jabłko śpiewała Therru kołysanki, a Tenar wraz z Shandy zmywały naczynia. Dopiero wówczas wdowa spytała o Geda. Sama nie wiedząc dlaczego, wolała nie wspominać o nim w obecności córki i przyjaciółki; musiałaby wtedy zbyt wiele wyjaśniać. W ogóle zapomniała napomknąć o jego pobycie w Re Albi. Zresztą o Re Albi także nie chciała już więcej mówić. Gdy wracała wspomnieniem do domku maga, jej myśli spowijał mrok.

– Czy w zeszłym miesiącu zjawił się tu mężczyzna, którego przysłałam, żeby pomógł wam w pracy?

– Och, na śmierć zapomniałam! – wykrzyknęła Shandy. – Masz na myśli Jastrzębia, tego z bliznami na twarzy?

– Tak – zgodziła się Tenar. – Jastrzębia.

– Jest teraz pewnie na Górze Gorących Źródeł nad Lissu. Pasie tam owce ze stada Serry'ego. Przyszedł tu i powiada, że sama go przysłałaś, a że nie mieliśmy dla niego ani krzty roboty, bo razem z Potokiem zajmujemy się owcami, ja zlewam mleko, a stary Tiff i Sis pomagają mi, kiedy trzeba, nie wiedziałam, co począć, ale Potok rzekł: „Idź, spytaj nadzorcę Serry'ego w Kahedananie, czy potrzebują pasterzy na halach". Jastrząb posłuchał, został przyjęty i odszedł następnego dnia. Pewnikiem wróci tu jesienią razem ze stadami. Teraz jest pewnie gdzieś na Długich Szczytach nad Lissu, na łąkach. Może go zgodzili do kóz? Przyjemny człek, ten Jastrząb. Miał się zająć owcami czy kozami, już nie pamiętam. Mam nadzieję, że nie gniewasz się, że go tu nie zatrzymaliśmy, Goha? Ale, po prawdzie, nie było dla niego ani krzty roboty. Już się zajęliśmy wszystkim z Potokiem i starym Tiffem, a Sis zebrała len. Wspominał też, że tam, skąd przybywa, po drugiej stronie góry, gdzieś nad ujściem Ar, zarabiał na życie jako pasterz kóz, choć nigdy nie zajmował się owcami. Może więc do kóz go zgodzili?

– Może – odparła Tenar. Czuła jednocześnie głęboką ulgę i ogromny zawód. Pragnęła usłyszeć, że dobrze się miewa i jest bezpieczny, ale spodziewała się zastać go tutaj.

Wystarczy mi jednak to, że wreszcie wróciłam do domu, powiedziała sobie w duchu. Może nawet lepiej, że go tu nie ma. Jego i wszystkich innych trosk. Na dobre zostawiła za sobą smutki, marzenia, czary i strachy Re Albi. Teraz jest tutaj; oto jej dom, kamienne posadzki, ściany, małe oszklone okna, ciche wysprzątane izby, szumiące na zewnątrz dęby, ciemne i wyniosłe w blasku gwiazd. Tej nocy długo nie mogła zasnąć. Jej córka spała w sąsiedniej izbie razem z Therru, a ona leżała samotnie we własnym małżeńskim łożu.

W końcu zasnęła. Gdy się ocknęła, nie pamiętała żadnych snów.

***

Po kilku dniach pobytu w domu Tenar przestała wracać pamięcią do lata spędzonego na Overfell. Wydawało jej się odległe i nierzeczywiste. Na farmie miała mnóstwo zajęć związanych ze żniwami i przerobem mleka. Harowała od świtu do zmierzchu, a jeśli zdarzyła jej się chwila oddechu, przędła albo szyła dla Therru. Wreszcie skończyła czerwoną sukienkę, a także dwa fartuszki – biały od święta i pomarańczowobrązowy na co dzień.

– Proszę, proszę, jak pięknie wyglądasz – stwierdziła, dumna ze swych zdolności krawieckich, gdy Therru po raz pierwszy przymierzyła nowy strój.

Dziewczynka odwróciła twarz.

– Jesteś piękna – dodała Tenar zupełnie innym tonem. – Posłuchaj mnie, Therru. Podejdź tu. Masz blizny, brzydkie blizny, ponieważ wyrządzono ci wielkie zło. Ludzie widzą te blizny, ale widzą też ciebie, a ty jesteś inna. Nie jesteś brzydka ani zła. Ty jesteś Therru, śliczna Therru, Therru, która umie pracować, chodzić, biegać i pięknie tańczyć w czerwonej sukience.

Dziewczynka słuchała w milczeniu. Zdrowa, łagodna część jej twarzy była równie pozbawiona wyrazu jak sztywna, pokryta bliznami maska.

Spuściła wzrok ku dłoniom Tenar i musnęła je swymi małymi palcami.

– To sukienka jest piękna – powiedziała ochrypłym głosem.

Kiedy Tenar została sama, trzymając w rękach skrawki czerwonego płótna, do jej oczu napłynęły gorące łzy. Czuła się skarcona. Słusznie uczyniła, szyjąc sukienkę, i powiedziała dziewczynce prawdę. Ale to nie wystarczyło. Poza prawdą i słusznością rozciągała się przepaść, bezdenna otchłań. Miłość, jej miłość do Therru i Therru do niej stała się mostem przerzuconym nad tą przepaścią, mostem uplecionym z pajęczyny, jednakże samej otchłani nie mogła wypełnić. Nic nie zdoła tego dokonać. I dziewczynka wiedziała o tym najlepiej.

Nadeszło wreszcie zrównanie dnia z nocą. Jasne jesienne słońce płonęło we mgle. Wśród listowia dębów pokazały się pierwsze ślady brązu. Szorując bańki po mleku w mleczarni przy szeroko otwartym oknie i drzwiach, przez które napływało przesycone słodyczą powietrze, Tenar pomyślała, że tego dnia w Havnorze odbywa się koronacja młodego króla. Zbiorą się tam damy i panowie w swych błękitnych, zielonych i szkarłatnych szatach, on jednak przywdzieje biały strój. Wkroczy na schody Wieży Miecza, te same, po których kiedyś ona szła z Gedem. Na jego głowę włożą koronę Morreda. Następnie obróci się przy dźwiękach fanfary, usiądzie na tronie, który stał pusty przez stulecia, i spojrzy na swoje królestwo ciemnymi oczami, znającymi, co to ból i strach. Władaj mądrze i długo, biedny chłopcze, pomyślała. I dodała w myślach: Ged powinien włożyć mu koronę. Powinien był pojechać.

Jednakże Ged wędrował po górskich łąkach, pasąc owce – czy może kozy – majętnego człowieka. Jesień była pogodna, sucha, złocista, stada zaś zejdą z gór, dopiero gdy spadną pierwsze śniegi.

Odwiedzając wioskę, Tenar za każdym razem starała się przejść obok chatki starej Bluszcz na końcu Zaułka Młynarzy. Zaprzyjaźniwszy się z Mech w Re Albi, zapragnęła także poznać nieco lepiej tutejszą czarownicę, w tym celu musiała jednak najpierw pokonać jej podejrzliwość i zawiść. Tęskniła za cioteczką Mech, mimo że tu miała towarzystwo Skowronek; wiele nauczyła się od wiedźmy i pokochała ją, Mech zaś obdarzyła je z Therru czymś, czego potrzebowały najbardziej. Tenar pragnęła znaleźć w Bluszcz

podobną podporę. Ta jednak, choć znacznie czyściejsza i bardziej godna zaufania niż Mech, nie miała zamiaru rezygnować z niechęci, jaką żywiła wobec Tenar, przyjmując próby nawiązania bliższej znajomości z pogardą. Ty idziesz swoją drogą, a ja swoją, mówiło zachowanie czarownicy. I Tenar posłuchała, choć nadal przy każdym spotkaniu traktowała Bluszcz z głęboką rewerencją. Zbyt często obrażała ją w przeszłości, uznała więc, że winna jej to jakoś wynagrodzić. Najwyraźniej zgadzając się z tym, czarownica przyjmowała uprzejmość wdowy jako coś naturalnego. Jednakże wszelkie awanse nie złagodziły jej zapiekłego gniewu.

W połowie jesieni do doliny przybył czarodziej Buk, wezwany przez bogatego farmera cierpiącego na podagrę. Jak to miał we zwyczaju, spędził jakiś czas w kolejnych wioskach Doliny Środkowej. Pewnego popołudnia zawitał także na Dębową Farmę, sprawdzając, jak się miewa Therru. Chciał też pomówić z Tenar, dowiedzieć się wszystkiego, co mogła mu powiedzieć o ostatnich dniach Ogiona. Buk był uczniem jego ucznia i szczerze podziwiał starego maga. Tenar odkryła, że rozmowa o Ogionie przychodzi jej łatwiej niż o innych mieszkańcach Re Albi, i zrelacjonowała mu wszystko, co pamiętała. Gdy już to uczyniła, Buk spytał ciekawie:

– A Arcymag przybył?

– Tak – odparła Tenar.

Łagodny czterdziestoparoletni mężczyzna, zdradzający lekkie skłonności do tycia, spojrzał na nią podkrążonymi oczami, niepasującymi do pogodnej twarzy, i nie zadawał już dalszych pytań.

– Zjawił się po śmierci Ogiona. Zaraz potem odszedł – wyjaśniła Tenar. I po dłuższej chwili dodała: – Nie jest już Arcymagiem. Wiedziałeś o tym?

Buk przytaknął.

– Czy słyszałeś coś o wyborze nowego Arcymaga?

Czarodziej potrząsnął głową.

– Niedawno do portu zawinął statek z Enladów, ale załoga przywiozła jedynie wieści o koronacji. Tylko o tym gadali. I najwyraźniej wszelkie wróżby i omeny były pomyślne. Jeśli dobra wola magów ma jakąkolwiek wartość, nasz młody król jest naprawdę bogatym człowiekiem... I, jak się zdaje, bardzo energicznym. Tuż

przedtem, zanim opuściłem Ujście, nadszedł rozkaz z Portu Gont, by szlachta, kupcy, burmistrz i jego rada zebrali się i dopilnowali, aby funkcje urzędników zawiadujących okręgiem pełnili ludzie godni i prawi. Teraz bowiem są przedstawicielami króla i muszą wypełniać jego wolę oraz przestrzegać prawa. Wyobrażasz sobie chyba, jak przyjął to pan Heno. – Wielmożny Heno był znanym protektorem piratów, od dawna trzymającym w kieszeni większość urzędników i morskich szeryfów południowego Gontu. – Lecz znaleźli się ludzie, którzy czując za sobą poparcie króla, odważyli się stawić czoło Henowi. Bez ceregieli zwolnili starych urzędników i mianowali na ich miejsce piętnastu nowych, uczciwych ludzi, opłacanych z pieniędzy burmistrza. Wówczas Heno wściekły opuścił salę zgromadzeń, przysięgając zemstę. Nastały nowe czasy. Oczywiście nie wszystko zmieni się od razu, ale już się zaczęło. Gdyby tylko Mistrz Ogion tego doczekał!

– Doczekał – zapewniła go Tenar. – Umierając, uśmiechnął się i powiedział: „Wszystko się zmieniło".

Buk przyjął te słowa z powagą.

– Wszystko się zmieniło – powtórzył. Po dłuższej chwili dodał: – Mała świetnie sobie radzi.

– Dość dobrze... Czasami myślę, że nie tak dobrze, jak powinna.

– Pani Goho – rzekł czarodziej stanowczo. – Nawet gdybym to ja czy jakiś czarownik, wiedźma bądź nawet czarnoksiężnik zatrzymał ją u siebie i przywołując wszystkie swe moce uzdrawiające, najwyższe magiczne kunszty, całymi miesiącami próbował uleczyć jej rany, nie wyglądałaby lepiej – a może nawet gorzej niż teraz. Dokonałaś cudu.

Jego szczere pochwały wzruszyły Tenar, a jednocześnie niezmiernie ją zasmuciły.

– To nie wystarczy – odparła. – Nie mogę jej uleczyć. Ona jest... Jaka przyszłość ją czeka? Co się z nią stanie? – Nić, którą nawijała na wrzeciono, skończyła się nagle. – Boję się.

– O nią – domyślił się Buk. To nie było pytanie.

– Boję się, ponieważ jej strach przyciąga do siebie, do niej, przyczynę owego lęku. I ponieważ...

Nie mogła znaleźć właściwych słów.

– Jeśli będzie żyła w strachu, sama zacznie czynić zło – oznajmiła w końcu. – Tego się obawiam.

Czarodziej zastanowił się nad tym.

– Pomyślałem sobie – powiedział w końcu nieśmiało – że może, jeśli ma dar – a tak mi się wydaje – można by nauczyć ją podstaw naszej sztuki. Gdyby została czarownicą, jej... wygląd tak bardzo nie drażniłby ludzi. – Odchrząknął. – Niektóre czarownice robią wiele dobrego – dokończył.

Tenar przesunęła w palcach kawałek uprzędzonej nici, sprawdzając, czy jest dostatecznie silna i równa.

– Ogion kazał mi ją uczyć. „Naucz ją wszystkiego", polecił. Po czym dodał: „Nie Roke". Nie mam pojęcia, o co mu chodziło.

Buk bez trudu zaproponował wyjaśnienie.

– Chciał przez to powiedzieć, że nauki pobierane na Roke – wysokie magiczne kunszty – nie byłyby odpowiednie dla dziewczynki, zwłaszcza tak dotkliwie okaleczonej. Kazał ci nauczyć ją wszystkiego poza tym jednym. Zapewne on także dostrzegł w niej przyszłą czarownicę. – Czarodziej ponownie zamyślił się, wyraźnie podniesiony na duchu faktem, że opinia Ogiona pokrywała się z jego własną. – Za rok czy dwa, kiedy nabierze sił i nieco podrośnie, możesz poprosić Bluszcz, aby rozpoczęła nauki. Oczywiście po trochu, przynajmniej do dnia, gdy otrzyma swe prawdziwe imię.

Tenar poczuła gwałtowny wewnętrzny sprzeciw wobec tej propozycji. Nie odezwała się ani słowem, lecz Buk był bardzo wrażliwy i spostrzegawczy.

– Bluszcz jest surowa i ponura – rzekł – ale to, co robi, robi uczciwie. Nie można tego powiedzieć o wszystkich wiedźmach. „Słaby jak babskie czary", słyszałaś przecież. „Złośliwy jak babskie czary!". Znałem jednak czarownice obdarzone prawdziwą mocą uzdrowicielską. Uzdrawianie to odpowiednie zajęcie dla kobiety. Przychodzi jej całkiem naturalnie. A dziewczynka, sama tak okrutnie skrzywdzona, mogłaby mieć do tego szczególne skłonności.

Tenar wiedziała, że jego uprzejmość jest zupełnie niewinna. Podziękowała mu zatem, mówiąc, że przemyśli dokładnie propozycję. I rzeczywiście tak uczyniła.

***

Przed upływem miesiąca wieśniacy z Doliny Środkowej spotkali się w okrągłej stodole Sodevy, aby mianować swych urzędników i strażników pokoju oraz nałożyć na siebie podatek, z którego by ich opłacali. Nakazywały im to rozkazy króla przekazane burmistrzom i starszym wiosek, którzy chętnie je wypełniali, bo po drogach i gościńcach kręciło się wielu hardych żebraków i złodziei, a wieśniacy i farmerzy pragnęli, by na wyspie jak najszybciej zapanował porządek. I choć większość z nich słyszała pogłoski o tym, jak to pan Heno stworzył Radę Łotrzyków i zbierał wszystkich szubrawców w okolicy, tworząc z nich bandy, a potem rozsyłając na prawo i lewo z poleceniem, aby napadali na urzędników króla, ludzie mówili tylko: „Niech sobie próbują”, i wracali do domów, powtarzając, że teraz uczciwy człowiek może spać bezpiecznie, bo król naprawi całe zło, choć podatki są doprawdy niebotyczne i wkrótce doprowadzą wszystkich do ruiny.

Tenar uradowała się, słysząc o tym od Skowronek, nie zwracała jednak większej uwagi na to, co działo się we wsi. Bardzo ciężko pracowała, odkąd zaś wróciła do domu, niemal nieświadomie podjęła postanowienie, że nie pozwoli, by lęk przed Łapą bądź innym złoczyńcą kierował jej życiem – ani życiem Therru. Nie mogła stale trzymać małej przy sobie, przywołując strachy przeszłości, zawsze przypominając jej o tym, o czym zapomnieć musiała, jeśli miała normalnie żyć. Dziewczynka musi być wolna i samodzielna; powinna dorastać swobodnie.

Therru stopniowo otrząsnęła się z nieśmiałości i obecnie sama wędrowała po farmie i okolicy, zapuszczając się nawet do wsi. Tenar nie zabraniała jej tego, choć czasem musiała powstrzymywać cisnące się na usta słowa. Mała była bezpieczna na farmie i bezpieczna w wiosce. Nikt nie mógł jej skrzywdzić. Musiała przyjmować to jako coś oczywistego. I rzeczywiście Tenar w to wierzyła. Przecież ona była w pobliżu, także Shandy i Potok, Siss i Tiff też czuwali w swojej chacie, a rodzina Skowronek kręciła się po wiosce. Jakież

niebezpieczeństwo mogło grozić jej dziecku tej słodkiej jesieni w Dolinie Środkowej?

Postanowiła sprawić sobie psa, gdy tylko znajdzie odpowiedniego szczeniaka z rasy wielkich szarych gontyjskich owczarków o mądrych kudłatych pyskach.

Od czasu do czasu, jak kiedyś w Re Albi, nawiedzała ją myśl: Powinnam ją uczyć, Ogion tak kazał. Jednakże na razie dziewczynka poznawała jedynie prace na farmie i kolejne opowieści; wieczory stawały się coraz dłuższe i Therru wraz z Tenar co dzień po kolacji przed pójściem spać siadały przy ogniu. Może Buk miał rację i Therru powinna zacząć pobierać nauki od jakiejś czarownicy? Lepsze to niż pomysł, by oddać ją do terminu u tkacza – ale czy rzeczywiście? Poza tym dziewczynka była wciąż drobna i szczupła; nie wiedziały nawet, ile ma lat. Kiedy przybyła na Dębową Farmę, nic nie umiała. Przypominała wówczas małe zwierzątko, ledwie znające ludzką mowę. Uczyła się szybko i była dwakroć bardziej pilna i posłuszna niż krnąbrne córeczki i weseli leniwi synowie Skowronek. Potrafiła sprzątać, podawać do stołu i prząść, trochę gotować, odrobinę szyć, opiekować się drobiem, spędzać krowy z pastwiska i świetnie radziła sobie w mleczarni. Prawdziwie gospodarskie dziewczę, tak mawiał o niej często stary Tiff. Choć zawsze zwracał się do dziewczynki przymilnym, uniżonym tonem, Tenar dostrzegła kiedyś, jak na widok Therru ukradkiem czynił znak odpędzający zły urok.

Podobnie jak większość ludzi Tiff wierzył, że każdy zasługuje na to, co go spotyka. Bogaci i potężni musieli być obdarzeni licznymi cnotami; ci, którym wyrządzono zło, z pewnością sami na nie zasłużyli i słusznie spotkała ich kara.

W takim razie, choćby Therru stała się najlepszym gospodarskim dziewczęciem na całym Goncie, niewiele by to pomogło. Nawet bogactwo i pracowitość nie mogły zmazać piętna widocznego na jej twarzy. Dlatego Buk uznał, że nadawała się na czarownicę. Wówczas mogłaby zaakceptować owo piętno i wykorzystać je. Czy to właśnie miał na myśli Ogion, mówiąc: „Nie Roke... Będą się jej lękać”?

Pewnego dnia, gdy starannie ukartowany przypadek zetknął je na uliczce we wsi, Tenar zagadnęła wiedźmę:

– Chciałabym cię o coś zapytać, pani Bluszcz. W sprawie twojego fachu.

Wiedźma zmierzyła ją zjadliwym spojrzeniem.

– Mojego fachu, tak?

Tenar nieporuszona skinęła głową. Bluszcz wzruszyła ramionami.

– Chodź zatem.

Poprowadziła ją Zaułkiem Młynarzy do swego domku. W niczym nie przypominał chaty cioteczki Mech – brudnej nory pełnej smrodu i kurczaków. Niewątpliwie jednak było to domostwo czarownicy. U powały wisiały pęki suchych ziół, skryty pod pierzyną szarego popiołu samotny węgielek mrugał niczym figlarne czerwone oko; tłusty czarny kot z jednym białym wąsem drzemał na półce, a wszędzie leżały stosy małych szkatułek, garnków, dzbanów, tac i zapieczętowanych flaszek. W powietrzu unosiła się dziwna mieszanka zapachów, ostrych i słodkich, znajomych i obcych.

– Co mogę dla ciebie zrobić, pani Goho? – spytała Bluszcz cierpko, kiedy już znalazły się w środku.

– Powiedz, proszę, czy uważasz, że moja podopieczna, Therru, dysponuje darem niezbędnym w twym fachu? Czy ma choćby odrobinę mocy?

– Oczywiście – odparła wiedźma.

Natychmiastowa pogardliwa odpowiedź czarownicy zbiła Tenar z pantałyku.

– No cóż, Buk najwyraźniej też tak uważa.

– Nawet ślepy nietoperz w jaskini zdołałby to dostrzec – stwierdziła Bluszcz. – Czy to wszystko?

– Nie. Potrzebuję twojej rady. Gdy zadam ci pytanie, możesz mi podać cenę odpowiedzi, zgoda?

– Zgoda.

– Czy powinnam oddać Therru na naukę do czarownicy, kiedy będzie starsza?

Bluszcz milczała przez chwilę. Tenar uznała, że na pewno rozważa wysokość zapłaty. Jednak wiedźma odpowiedziała krótko:

– Ja bym jej nie wzięła.

– Dlaczego?

– Bałabym się. – Zmierzyła Tenar nieprzyjaznym spojrzeniem.

– Bała? Czego?

– Jej!

– Jest dzieckiem. Wykorzystanym i skrzywdzonym.

– To nie wszystko.

Tenar poczuła, jak ogarnia ją ślepa furia.

– Czy uczennica wiedźmy musi być dziewicą?

Bluszcz długo patrzyła na nią bez słowa.

– Nie to miałam na myśli – powiedziała wreszcie. – Po prostu nie wiem, co w niej jest. Kiedy patrzy na mnie jednym zdrowym, jednym ślepym okiem, nie mam pojęcia, co dostrzega. Kiedy widzę, że traktujesz ją, jakby była zwykłym dzieckiem, myślę sobie: Na czym polega siła tej kobiety? Nie jest bowiem tak głupia, by trzymać w dłoni ogień i prząść nić trąbą powietrzną. Powiadają, że jako dziecko mieszkałaś wśród Dawnych Mrocznych Sił, podziemnych potęg, że byłaś władczynią i służką owych mocy. Może dlatego się jej nie lękasz? Jaką moc posiadła? Nie wiem. Nie potrafię rzec. Wykracza ona jednak poza moją naukę. Tego jestem pewna. A także poza naukę Buka czy jakichkolwiek czarownic i magów, których znałam. Pozwól, że udzielę ci darmowej rady. Oto ona: Strzeż się! Strzeż się jej w dniu, gdy odkryje własną siłę. To wszystko.

– Dziękuję ci, pani Bluszcz – odparła Tenar uroczystym tonem kapłanki Grobowców Atuanu i opuściła ciepłą izbę. Owiał ją chłodny wiatr zwiastujący nadejście końca jesieni.

Nadal czuła gniew. Nikt nie chciał jej pomóc. Wiedziała, że zadanie przekracza jej siły, nikt nie musiał o tym przypominać, ale nikt nie chciał wesprzeć jej w potrzebie. Ogion umarł, stara Mech wygłaszała mętne przemowy, Bluszcz ostrzegała, Buk trzymał się z dala, a Ged – który naprawdę mógłby pomóc, gdyby zechciał – Ged uciekł, umknął niczym zbity pies. Nie przesłał nawet żadnej wiadomości. W ogóle nie myślał o niej ani o Therru, tylko o własnym poniżeniu. Jego dzieckiem był wstyd, tylko on go obchodził. Ged nigdy nie dbał o nią, zajmowała go jedynie moc – należąca do niej i do niego, i to, jak mógł dzięki mocy Tenar wzmocnić własną siłę; naprawiając pęknięty na pół Pierścień Erreth-Akbego, lecząc Runę Pokoju, osadzając króla na tronie. A kiedy moc go opuściła, wciąż umiał

myśleć tylko o niej, o tym, że odeszła, że ją stracił i pozostał sam, pusty, ze swym wstydem.

Jesteś niesprawiedliwa, mruknęła Goha.

Niesprawiedliwa, powtórzyła Tenar. A czy on grał sprawiedliwie?

Owszem, odparła Goha. Albo przynajmniej próbował.

Może zatem traktować uczciwie swoje kozy; mnie to nie obchodzi, oznajmiła Tenar, spiesząc do domu pod wiatr. Na twarzy czuła pierwsze drobne krople deszczu.

– Dziś w nocy może spaść śnieg – oznajmił dzierżawca Tiff, którego spotkała na drodze obok łąk nad Kahedą.

– Tak szybko? Mam nadzieję, że nie.

– A już z pewnością chwyci przymrozek.

Istotnie, po zachodzie słońca pierwszy mróz ściął ziemię. Woda w stojących po deszczu kałużach i poidłach dla owiec zgęstniała, po czym pokryła się mętną skorupą lodu; sitowie nad Kahedą uwięzło w lodowych okowach. Nawet wiatr ucichł, jakby też zamarzł i nie mógł uwolnić się z mroźnej pułapki.

Uprzątnąwszy po kolacji, siadły obok paleniska – unosząca się w powietrzu woń dymu była słodsza niż w domu czarownicy, bo za opał służyły szczapki ze starej jabłoni – i przędąc, snuły leniwe rozmowy.

– Opowiedz historię o kocich duchach – poprosiła dziewczynka, nakładając na kołowrotek kłąb ciemnej jedwabistej koziej wełny.

– To letnia opowieść.

Therru przekrzywiła głowę.

– Zimą winno się opowiadać wielkie historie – stwierdziła Tenar. – W zimie poznasz *Pieśń o stworzeniu Ea*, abyś mogła zaśpiewać ją podczas Długiego Tańca, kiedy nadejdzie początek lata, a także słowa *Zimowej kolędy* oraz *Czynów Młodego Króla*. Śpiewa się je, by uczcić święto Powrotu Słońca, kiedy zawraca ono na północ, przynosząc ze sobą wiosnę.

– Nie potrafię śpiewać – szepnęła dziewczynka.

Tenar zwijała w klębek uprzędzoną włóczkę, rytmicznie poruszając rękami.

– Nie tylko głos może śpiewać – odparła. – Umysł także. Najpiękniejszy głos świata na nic się nie zda, jeśli umysł nie zna słów

pieśni. Masz w sobie siłę, Therru. A siła pozbawiona wiedzy może stać się niebezpieczna.

– Tak jak u tych, którzy nie chcieli się uczyć – dopowiedziała Therru. – U dzikiego plemienia.

Tenar nie zrozumiała. Spojrzała na nią pytająco.

– Tych, którzy zostali na zachodzie – wyjaśniła dziewczynka.

– A, chodzi ci o smoki w pieśni kobiety z Kemay? Tak. Właśnie. Od czego zatem zaczniemy? Od tego, jak wyspy wynurzyły się z morza, czy też jak król Morred pokonał Czarne Okręty?

– Od wysp – szepnęła Therru.

Tenar miała nadzieję, że dziewczynka wybierze *Czyny Młodego Króla*, bo w jej wyobraźni twarz Morreda zlała się w jedno z obliczem Lebannena, jednakże dziecko podjęło właściwą decyzję.

– Doskonale. – Tenar zerknęła na wielkie Księgi Wiedzy Ogiona stojące nad kominkiem, pocieszając się, że jeśli zapomni, w jednej z nich z pewnością znajdzie właściwe słowa. Odetchnąwszy, rozpoczęła opowieść.

Kiedy nadeszła pora snu, Therru wiedziała już, jak Segoy wydźwignął z głębin czasu pierwsze wyspy. Zamiast zaśpiewać jej kołysankę, Tenar, opatuliwszy dziewczynkę kołdrą, usiadła na łóżku i razem wyrecytowały pierwszą strofę *Pieśni o stworzeniu Ea*.

Tenar zaniosła do kuchni małą oliwną lampkę, nasłuchując w ciszy. Mróz uwięził świat w swych kajdanach. Na niebie nie lśniła nawet jedna gwiazda. Czerń napierała na kuchenne okno, na kamiennych posadzkach zalegał chłód.

Po chwili wróciła przed kominek, bo nie chciało jej się jeszcze spać. Bezkresny świat, opisany w pieśni, poruszył jej serce. Wciąż czuła gniew i niepokój, który ogarnął ją podczas rozmowy z czarownicą. Uniosła pogrzebacz, aby poprawić ogień. Uderzając oporną szczapę, usłyszała identyczny dźwięk dobiegający z drugiej strony domu.

Wyprostowała się i stanęła, nasłuchując.

I znów; ciche tępe uderzenie. Za domem. W okno mleczarni?

Nie wypuszczając z dłoni pogrzebacza, Tenar przeszła przez ciemny korytarz do drzwi prowadzących do chłodni. Dalej znajdowała się mleczarnia. Cały dom przywierał do zbocza wzgórza

i oba pomieszczenia zagłębiały się w ziemię jak piwnice, choć leżały na tym samym poziomie co reszta izb. Chłodnia zaopatrzona była jedynie w wywietrzniki; mleczarnia miała drzwi i okno, niskie i szerokie, osadzone w zewnętrznej ścianie. Stojąc u wejścia do chłodni, Tenar słyszała, jak ktoś podważa okienną ramę. Dobiegły ją szepty.

Krzemień był bardzo metodycznym gospodarzem; każde drzwi w swoim domu, z jednym jedynym wyjątkiem, zaopatrzył w ciężkie obustronne zasuwy, solidne sztaby żelaza osadzone w szerokich uchwytach. Choć nigdy ich nie używała, Goha oliwiła je regularnie.

Teraz zasunęła rygiel w drzwiach chłodni. Metalowa sztaba bezszelestnie opadła na miejsce i utkwiła w okutej żelazem szparze.

Zaskrzypiały zewnętrzne drzwi mleczarni. Któryś z włamywaczy wpadł wreszcie na pomysł, by zanim wybiją szybę, sprawdzić, czy drzwi nie są otwarte. Ponownie dobiegł ją pomruk głosów. Potem zapadła cisza, dostatecznie długa, by Tenar usłyszała bicie własnego serca, tak głośne, że przelękła się nie na żarty, iż zagłuszy wszelkie dźwięki z zewnątrz. Nogi jej dygotały, chłód niczym natrętna ręka zakradał się pod spódnicę.

– Otwarte – usłyszała męski głos i jej serce ścisnęło się gwałtownie. Uniosła dłoń ku zasuwie, myśląc, że jest otwarta, że niechcący odsunęła ją, zamiast zasunąć. Już miała poruszyć rygiel, kiedy usłyszała, jak z lekkim skrzypnięciem otwierają się drzwi pomiędzy chłodnią a mleczarnią. Doskonale znała zgrzyt ich zawiasów. Poznała też głos, który odezwał się po drugiej stronie.

– To spiżarnia – stwierdził Łapa, po czym, gdy drzwi, obok których stała, poruszyły się ze szczękiem, dodał: – Te są zamknięte.

Ponowny szczęk. Pomiędzy drzwiami a futryną pojawiła się wąska smużka światła, ostra niczym klinga noża. Jasny promień dotknął jej piersi. Tenar cofnęła się, jakby ją zranił.

Drzwi szczęknęły ponownie, niezbyt jednak głośno. Były solidne, mocno tkwiły na zawiasach, a zasuwa trzymała pewnie.

Intruzi po drugiej stronie naradzali się cicho. Wiedziała, że zamierzają sprawdzić drzwi frontowe. Nagle zorientowała się, że przy nich stoi i zamyka je, choć nie wiedziała, jak znalazła się w tym miejscu. Może to wszystko było koszmarnym snem? Może śniło jej

się, że jacyś ludzie próbują dostać się do środka, wbijając cienkie noże w szpary drzwi? Właśnie, drzwi – czy są jeszcze jakieś drzwi? Okna… okiennice w sypialniach… Tenar drżała tak mocno, że przelękła się, iż nie zdoła dotrzeć do pokoju Therru, a jednak już tam była. Z rozmachem zamknęła ciężkie drewniane okiennice. Ich zawiasy zastały się, oba skrzydła uderzyły z hukiem o siebie. Teraz już wiedzieli. Teraz się zjawią. Przyjdą wprost pod okno w sąsiednim pokoju, jej sypialni. Dotrą tam, zanim zdąży zamknąć okiennice. I istotnie tak się stało.

Podważając lewe skrzydło, ujrzała twarze, niewyraźne plamy poruszające się w zewnętrznym mroku. Okiennica się zacięła. Tenar nie mogła jej poruszyć. Czyjaś dłoń dotknęła szyby, rozpłaszczywszy się na szkle.

– Jest tutaj.

– Wpuść nas. Nie zrobimy ci krzywdy.

– Chcemy tylko z tobą pomówić.

– Pragnę jedynie zobaczyć się ze swoją dziewczynką.

Tenar uwolniła okiennicę i zatrzasnęła ją. Gdyby jednak stłukli szybę, zdołaliby dostać się do środka. Oba skrzydła łączył zwykły haczyk. Wystarczyło mocniejsze pchnięcie, żeby wyrwać go z drewna.

– Wpuść nas, a nic ci się nie stanie – nalegał jeden z intruzów.

Usłyszała tupot stóp na zmarzniętej ziemi, chrzęst opadłych liści. Czy Therru wciąż śpi? Trzask okiennic mógł ją obudzić. Jeśli nawet tak się stało, mała milczała. Tenar stanęła w drzwiach pomiędzy obiema sypialniami. Było ciemno i cicho. Bała się dotknąć dziewczynki. Nie chciała jej obudzić. Musi zostać w pokoju obok, musi walczyć. Przed chwilą miała w ręku pogrzebacz. Gdzie go zostawiła? Odłożyła go, aby zamknąć okiennice, i teraz nie mogła znaleźć. Zaczęła macać wokół siebie w czarnym mroku pokoju, który zdawał się nie mieć żadnych ścian.

Frontowe drzwi prowadzące do kuchni zatrzeszczały pod naciskiem silnych rąk.

Gdyby tylko znalazła pogrzebacz, mogłaby walczyć.

– Tu! – krzyknął jeden z mężczyzn i natychmiast zorientowała się, co znalazł. Patrzył na okno kuchenne, niskie, szerokie, pozbawione

okiennic.

Bardzo powoli, wymacując przed sobą drogę, ruszyła do drzwi pokoju. Była to sypialnia Therru, wcześniej należała do dzieci Tenar i Krzemienia. Pokój dziecinny – więc drzwi nie miały rygla, by dzieci nie mogły się zamknąć.

Po drugiej stronie wzgórza, za sadem, Potok i Shandy spali spokojnie w swoim domku. Gdyby krzyknęła, może Shandy usłyszałaby jej wołanie. Gdyby otworzyła okno sypialni i zaczęła krzyczeć albo gdyby razem z Therru uciekły z domu... ale złoczyńcy stali pod oknem, czekali.

To było więcej, niż potrafiła znieść. Pęta lodowatej grozy nagle pękły. Wybiegła do kuchni ogarnięta żądzą mordu. Pochwyciła długi rzeźnicki nóż, gwałtownie odsunęła zasuwę i stanęła w drzwiach.

– Chodźcie!

W tym samym momencie na zewnątrz rozległ się ryk, po którym nastąpił głośny jęk. Jeden z mężczyzn wrzasnął:

– Uwaga!

Drugi krzyknął:

– Tutaj! Tutaj!

I nagle zapadła cisza. Smuga światła z otwartych drzwi padała na cienki lód pokrywający kałuże, połyskiwała na czarnych gałęziach dębów i srebrzystych opadłych liściach. Po chwili, gdy czerwona mgła wściekłości ustąpiła i Tenar zaczęła widzieć wyraźnie, dostrzegła, że coś pełznie w jej stronę – ciemna postać wydająca z siebie płaczliwy skowyt. Dalej, w ciemności, poruszyła się czarna sylwetka. Rozbłysły długie wąskie ostrza.

– Tenar!

– Stój! – Uniosła nóż.

– Tenar! To ja – Jastrząb, Krogulec!

– Zostań tam, gdzie jesteś!

Postać przystanęła obok czarnej plamy na ścieżce. Blask padający z domu oświetlił widły o długich zębach wzniesione w górę niczym laska czarodzieja.

– To naprawdę ty? – spytała.

Ged ukląkł obok człowieka leżącego na ścieżce.

– Chyba go zabiłem – stwierdził. Obejrzał się przez ramię i wstał.

– Gdzie są inni?

– Uciekli. Pomóż mi, Tenar.

Nadal trzymała w dłoni nóż. Drugą ręką chwyciła ramię skulonego na ziemi mężczyzny. Ged złapał go pod pachy i wspólnie wciągnęli go po stopniach do domu. Niedoszły napastnik leżał na kamiennej posadzce kuchni. Z jego piersi i brzucha wypływała krew niczym woda z przewróconego dzbana. Odciągnięta górna warga ukazywała zęby, w ciemnej twarzy świeciły białka wywróconych oczu.

– Zamknij drzwi – polecił Ged i Tenar posłuchała.

– Znajdziesz pościel w bieliźniarce – rzekła; Ged bez słowa wyjął z półki prześcieradło. Podarł je na wąskie pasma, a ona owinęła nimi brzuch i pierś rannego. Trzy z czterech zębów wideł wbiły się w jego ciało, zostawiając poszarpane otwory, z których bezustannie wypływała krew.

Ged przytrzymał nieprzytomnego, gdy Tenar opatrywała rany.

– Skąd się tu wziąłeś? Przyszedłeś z nimi?

– Tak. Ale oni o tym nie wiedzieli. Nic więcej nie da się zrobić, Tenar. – Złożył rannego na posadzce i usiadł obok, ocierając twarz grzbietem zakrwawionej dłoni. – Chyba go zabiłem – powtórzył.

– Możliwe. – Tenar patrzyła na jaskrawoczerwone plamki, rozszerzające się powoli na białym płótnie spowijającym szczupłą, owłosioną pierś i brzuch mężczyzny. Kiedy wstała, zakręciło jej się w głowie.

– Podejdź do ognia – powiedziała. – Pewnie konasz z zimna.

Jakim cudem rozpoznała go tam w ciemności? Może po głosie? Miał na sobie ciężki pasterski kożuch i wełnianą czapkę naciągniętą na uszy. Jego twarz była smagła i pomarszczona, włosy długie i szare jak stal. Pachniał drzewnym dymem, mrozem i owcami. Teraz trząsł się z zimna, dygotał na całym ciele.

– Podejdź do ognia – powtórzyła. – Dorzuć drew.

Zrobił to. Tenar napełniła kociołek i powiesiła nad paleniskiem na długim żelaznym uchwycie.

Jej spódnicę pokrywały plamy krwi. Starła je dokładnie rąbkiem płótna zamoczonym w zimnej wodzie, następnie podała go Gedowi, by wytarł ręce.

– Jakim cudem mogłeś przyjść z nimi, skoro o tym nie wiedzieli?

– Szedłem tutaj. Z gór. Drogą od źródeł Kahedy. – Ged mówił cichym beznamiętnym głosem, jakby brakowało mu tchu. Wstrząsające jego ciałem dreszcze sprawiły, że słowa brzmiały nieco niewyraźnie. – Usłyszałem za sobą ludzi i schowałem się w lesie. Nie miałem ochoty na rozmowy, zresztą sam nie wiem, było w nich coś dziwnego. Bałem się ich.

Skinęła niecierpliwie głową i usiadła po drugiej stronie paleniska, pochylając się lekko. Leżące na kolanach dłonie zacisnęła w pięści, na nogach czuła lodowate dotknięcie wilgotnej spódnicy.

– Kiedy mnie mijali, usłyszałem, jak któryś powiedział: „Dębowa Farma". Ruszyłem za nimi. Jeden z nich cały czas gadał. O dziecku.

– Co mówił?

Ged milczał długo. W końcu rzekł:

– Że zamierza ją odzyskać. Ukarać, tak to określił. I odegrać się na tobie. Za to, że ją ukradłaś. Powiedział... – urwał.

– Że mnie też ukarze?

– Wszyscy o tym rozmawiali.

– Ten, który tu leży, to nie Łapa. – Skinęła głową w stronę mężczyzny na podłodze. – Czy to...

– Powiedział, że mała należy do niego. – Ged także spojrzał na nieprzytomnego, po czym odwrócił wzrok w stronę ognia. – On umiera. Powinniśmy wezwać pomoc.

– Nie umrze. Rano poślę po Bluszcz. Pozostali wciąż tu się kręcą. Ilu ich jest?

– Dwóch.

– Jeśli ma umrzeć, niech tam. A jeśli przeżyje, też dobrze. Żadne z nas nie wyjdzie na dwór. – Zerwała się z miejsca, ogarnięta nagłym strachem. – Czy przyniosłeś widły, Ged?

W odpowiedzi wskazał dłonią narzędzie wsparte o ścianę. Cztery długie zęby lśniły w blasku ognia.

Tenar ponownie opadła na stołek. Teraz i ona dygotała gwałtownie. Ged położył dłoń na jej ramieniu.

– Wszystko będzie dobrze – rzekł.

– A jeśli nadal tu są?

– Uciekli.

– Mogą wrócić.

– Dwóch na dwoje? Poza tym mamy widły.

– W przybudówce obok stodoły są kosy i motyki – wyszeptała, ogarnięta nagłym przerażeniem.

Potrząsnął głową.

– Uciekli. Widzieli, jak padał. I jak stanęłaś w drzwiach.

– Co zrobiłeś?

– Rzucił się na mnie, więc zaatakowałem.

– Nie. Wcześniej, na drodze.

– Zmarzli po długim marszu. Zaczęło padać i zmokli. Wtedy wpadli na pomysł, żeby przyjść tutaj. Przedtem odzywał się tylko ten jeden. Cały czas gadał o dziecku i o tobie, że da ci nauczkę. – Jego głos załamał się w ochrypłym szepcie. – Chce mi się pić.

– Mnie też. Woda jeszcze się nie zagotowała. Mów dalej.

Odetchnął głęboko, szukając najwłaściwszych słów.

– Pozostali dwaj nie zwracali na niego uwagi, zapewne słyszeli to już wiele razy. Spieszyło im się. Chcieli dotrzeć do Ujścia, jakby ktoś ich ścigał, jakby uciekali. Ale zrobiło się zimno, a on ciągle wspominał Dębową Farmę. Wreszcie jego towarzysz, ten z wąsami, rzekl: „No dobrze, może zatem tam pójdziemy i spędzimy noc z...”.

– Z wdową, tak?

Ged ukrył twarz w dłoniach.

– Potem ich zgubiłem. Weszli w dolinę, więc nie mogłem iść za nimi, tak jak przedtem, w lesie. Musiałem zboczyć z drogi, przejść przez pola; stracić ich z oczu. Nie znam okolicy, tylko sam trakt. Bałem się, że jeśli pójdę na skróty, zabłądzę i minę twój dom. Poza tym zapadał zmierzch. Wydawało mi się, że zaszedłem za daleko, toteż cofnąłem się drogą i niemal na nich wpadłem; tuż obok, na zakręcie. Spostrzegli przechodzącego starego i postanowili zaczekać do zmroku, póki nie upewnią się, że nikt inny nie przyjdzie. Tymczasem schowali się w stodole, ja zaś zostałem na dworze, po drugiej stronie ściany.

– Musiałeś strasznie zmarznąć – zauważyła Tenar.

– Było zimno – przyznał. Wyciągnął ręce do ognia, jakby sama myśl zmroziła go na nowo. – Przy drzwiach przybudówki znalazłem widły. Tamci wyszli ze stodoły i okrążyli dom. Mogłem wówczas podbiec do drzwi i ostrzec cię. Powinienem był tak zrobić, ale

myślałem jedynie o tym, by ich zaskoczyć. Uznałem, że to jedyna przewaga, jaką mam nad nimi. Sądziłem, że zamykasz dom na noc i będą musieli się włamać. I wtedy usłyszałem, jak wchodzą do środka. Poszedłem za nimi do mleczarni. Dotarłem tam w chwili, gdy natknęli się na zaryglowane drzwi. – Roześmiał się lekko. – Przeszli w ciemności tuż obok mnie. Mogłem podstawić im nogę... Jeden z nich miał ze sobą kawałek stali, krzesiwo i hubkę. Skrzesali ognia, aby obejrzeć zamek. Potem przeszli przed dom. Dobiegł mnie odgłos zamykanych okiennic i wiedziałem, że ich usłyszałaś. Zamierzali stłuc szybę, za którą cię dostrzegli, w tym momencie jednak ten z wąsami zauważył okno, o to. – Skinął głową w stronę szerokiego parapetu. – Powiedział: „Dajcie mi kamień, to je rozwalę". I podeszli do miejsca, w którym się schowałem. Właśnie mieli podsadzić go do góry, kiedy krzyknąłem. Wówczas zeskoczył i jeden z nich, ten tutaj, rzucił się na mnie.

– Ach, ach… – zachłysnął się mężczyzna leżący na posadzce, jakby uzupełniając opowieść.

Ged wstał i nachylił się nad nim.

– Mam wrażenie, że umiera.

– Wcale nie – odparła Tenar. Nie do końca zdołała opanować dreszcze, lecz najgorsze już minęło. Teraz dygotała tylko wewnętrznie. Woda w kociołku zawrzała. Tenar zaparzyła imbryk herbaty i położyła dłonie na grubych fajansowych ściankach dzbanka. Po chwili napełniła dwie filiżanki. W trzeciej zmieszała herbatę z odrobiną zimnej wody.

– Jest jeszcze zbyt gorąca – stwierdziła, zwracając się do Geda. – Musimy chwilę zaczekać. Tymczasem spróbuję go napoić.

Usiadła na podłodze obok głowy rannego, uniosła ją jedną ręką, przytknęła mu do ust filiżankę ochłodzonej herbaty i wepchnęła jej krawędź pomiędzy obnażone zęby. Ciepły płyn wypełnił jego usta. Ranny przełknął.

– Nie umrze – stwierdziła. – Ale podłoga jest zimna jak lód. Pomóż mi przesunąć go bliżej ognia.

Ged sięgnął po pled leżący na ławie przy ścianie między kominkiem a przedsionkiem, lecz zaprotestowała.

– Zostaw. To kawałek porządnej tkaniny.

Wyjęła z szafy znoszony filcowy płaszcz, który rozesłała na ziemi. Razem dźwignęli nieruchome ciało i owinęli je płaszczem. Mokre czerwone plamy na bandażach przestały się już powiększać.

Tenar podniosła się i zamarła.

– Therru! – szepnęła.

Ged rozejrzał się, ale nigdzie nie dostrzegł dziecka.

A Tenar już wypadła z kuchni. W pokoju dziecinnym panowały mrok i cisza. Wymacując drogę, dotarła do łóżka i położyła dłoń na okrytym kocem ramieniu małej.

– Therru?

Dziecko oddychało spokojnie. Nie obudziło się. Tenar czuła ciepło bijące z ciała dziewczynki.

Wychodząc, oparła się o komodę i jej palce natrafiły na zimny metal – pogrzebacz, który odłożyła, zamykając okiennice. Zaniosła go z powrotem do kuchni i przekroczywszy ciało rannego, powiesiła na haczyku obok kominka. Przez długą chwilę stała, wpatrując się w płomienie.

– Nie wiedziałam, co robić – powiedziała. – Jak miałam postąpić? Chyba uciec, zacząć krzyczeć, pobiec do Potoka i Shandy. Złoczyńcy nie mieliby dość czasu, by skrzywdzić Therru.

– Zostaliby jednak w domu razem z nią. Ty byłabyś na zewnątrz, mając do pomocy starca i kobietę. Mogliby małą porwać i uciec. Zrobiłaś to, co mogłaś. Co należało. Dobrze oceniłaś czas. Kiedy otworzyłaś drzwi, zobaczyli nóż w twojej dłoni oraz mnie z widłami obok powalonego kompana, więc uciekli.

– Ci, którzy mogli – dokończyła Tenar. Odwróciła się i szturchnęła stopą nogę rannego, jakby był przedmiotem, który budził w niej równocześnie ciekawość i obrzydzenie niczym martwa żmija. – To ty postąpiłeś jak należy.

– Nie sądzę, aby w ogóle dostrzegł widły. Wbiegł prosto na nie, zupełnie jakby... – nie dokończył. Zamiast tego rzekł: – Wypij herbatę. – Nalał sobie kolejną porcję z imbryka stojącego na rozgrzanych cegłach. – Dobrze ci zrobi. Usiądź – dodał.

Posłuchała.

– Kiedy byłem chłopcem – rzekł po dłuższej chwili – Kargowie najechali moją wioskę. Mieli ze sobą piki, długie, z drzewcami

ozdobionymi pękami piór.

– Żołnierze Boskich Braci – stwierdziła.

– Rzuciłem wówczas... zaklęcie sprowadzające mgłę. Żeby ich oślepić. Ale nadal parli naprzód. Widziałem, jak jeden z nich wpadł na nadstawione widły, zupełnie jak ten tutaj. Tylko że tamtego przebiły na wylot, tuż poniżej pasa.

– Trafiłeś w żebro – wyjaśniła Tenar.

Skinął głową.

– To jedyny błąd, jaki popełniłeś – rzekła. Zęby jej zaszczękały głośno. Pociągnęła łyk herbaty. – Ged, a jeśli oni wrócą?

– Nie wrócą.

– Mogą podpalić dom.

– Ten dom? – Rozejrzał się po solidnych kamiennych ścianach.

– Albo stodołę...

– Nie wrócą – powtórzył z uporem.

– Nie?

Trzymali w dłoniach pełne filiżanki, ogrzewając skostniałe palce.

– Therru przespała to wszystko.

– To dobrze.

– Ale zobaczy go rano...

Popatrzyli po sobie.

– Gdybym tylko go zabił, gdyby umarł... – wybuchnął Ged. – Mógłbym wyciągnąć go na dwór i pogrzebać.

– Zrób to.

Potrząsnął gniewnie głową.

– Co to ma za znaczenie? – zapytała Tenar. – Czemu nie możemy tego zrobić?

– Nie wiem.

– Gdy tylko się rozjaśni...

– Zabiorę go z domu. Na taczkach. Razem ze starym.

– Nie ma już sił, by cokolwiek dźwigać. Ja ci pomogę.

– Nieważne jak, ale wywiozę go do wioski. Stary mi pomoże. Jest tu jakiś uzdrowiciel?

– Czarownica, Bluszcz.

Nagle Tenar poczuła nieprawdopodobne znużenie. O mało nie upuściła filiżanki.

– Jeśli masz ochotę, napij się jeszcze herbaty – powiedziała niewyraźnie.

Ged nalał sobie kolejną porcję.

Ogień tańczył przed jej oczami. Płomienie rozbłyskiwały i gasły, migocząc na tle pokrytej sadzą kamiennej ściany, na tle mrocznego nieba, pierwszej łuny poranka, otchłani wieczoru, głębin powietrza i światła poza światem. Żółte, pomarańczowe, czerwone jęzory ognia, płomienista mowa, słowa, których nie umiała wymówić.

– Tenar…

– Nazywamy tę gwiazdę Tehanu.

– Tenar, moja droga. Chodź. Chodź ze mną.

Nie siedzieli już przy kominku. Znaleźli się w mroku, w ciemnej sieni, w mrocznym przejściu. Byli tu już kiedyś, prowadząc się nawzajem, stąpając obok siebie w ciemnościach pod ziemią.

– Tędy – powiedziała.

12

Zima

Budziła się powoli, niechętnie. Przez wąskie szpary w okiennicy przenikało słabe szare światło. Czemu okiennica była zamknięta? Tenar zerwała się pospiesznie i przebiegła przez sień do kuchni. Nikt nie siedział przy palenisku, nikt nie leżał na podłodze. Nie dostrzegła ani śladu wczorajszych wydarzeń poza imbrykiem i trzema filiżankami na kredensie.

Therru wstała o wschodzie słońca i jak zwykle zjadły razem śniadanie.

– Co się stało? – spytała dziewczynka, unosząc rąbek mokrego płótna z miednicy w spiżarni. Woda w misce była mętna, unosiły się w niej czerwonobrązowe smugi.

– Och, przyspieszyła mi się miesiączka – odparła Tenar, sama zaskoczona tym kłamstwem.

Przez chwilę Therru stała nieruchomo z przechyloną głową. Jej nozdrza rozszerzyły się lekko jak u węszącego zwierzęcia. Wreszcie wypuściła z dłoni przesiąknięty wodą materiał i wyszła nakarmić kurczęta.

Tenar czuła się chora; łamało ją w kościach. Nadal było chłodno, toteż starała się jak najmniej wychodzić. Próbowała także zatrzymać w domu Therru, lecz gdy rześki wiatr rozegnał chmury i na niebo wzeszło słońce, dziewczynka zapragnęła pobawić się na dworze.

– Zostań z Shandy, w sadzie – poprosiła Tenar.

Therru bez słowa wyśliznęła się z izby.

Poparzona i zniekształcona strona jej twarzy była sztywna i nieruchoma; ogień zniszczył podskórne mięśnie, pozostawiając grubą, pofałdowaną bliznę. Jednakże z czasem, gdy Tenar nauczyła się ignorować okaleczenia, zaczęła dostrzegać, iż tam także odbijają się uczucia. Kiedy Therru bała się czegoś, pociemniała strona twarzy „zamykała się", ściągała, twardniała. Kiedy dziewczynka podnieciła się czymś albo słuchała szczególnie uważnie, nawet ślepe oko zdawało się patrzeć na rozmówcę, blizny zaś czerwieniały; pulsowała w nich gorąca krew. Teraz jednak dziewczynka wyglądała wręcz nieludzko, jak zwierzę, dzikie stworzenie o zrogowaciałej skórze i jednym błyszczącym oku; milczące, spłoszone.

Tenar wiedziała, że tak jak ona po raz pierwszy okłamała dziś Therru, dziewczynka pierwszy raz zamierza jej nie posłuchać – po raz pierwszy, lecz nie ostatni.

Z westchnieniem znużenia usiadła przy kominku. Przez jakiś czas siedziała bezczynnie.

W końcu rozległo się pukanie do drzwi i na progu stanęli Potok i Ged – nie, Jastrząb, musi pamiętać, by go tak nazywać. Stary Potok był wyraźnie dumny z siebie; usta prawie mu się nie zamykały. Ged, mroczny i milczący, stał z boku w brudnym pasterskim kożuchu.

– Wejdźcie – rzuciła. – Napijecie się herbaty. Co słychać?

– Próbowali uciec do Ujścia, ale ludzie z okolic Kahedananu, królewscy urzędnicy, znaleźli ich w komórce Wiśni – oznajmił Potok, gwałtownie wymachując pięścią.

– Uciekł? – Strach ścisnął jej gardło.

– Pozostali dwaj – uspokoił ją Ged. – Nie on.

– Widzisz, znaleźli trupa w starej jatce na Krągłym Wzgórzu, więc grupka tamtejszych ludzi – musiało ich być z tuzin jak nic – zamianowała się urzędnikami i ruszyła w pościg. Wczoraj w nocy przeszukali okoliczne wioski i dziś rano, jeszcze przed świtem, złapali ich w komórce Wiśni. Zamarzniętych prawie na kość.

– A zatem on nie żyje? – spytała oszołomiona.

Ged zrzucił z siebie ciężki kożuch i przysiadł na krześle o siedzeniu wyplatanym z trzciny, rozwiązując skórzane owijacze.

– Żyje – odparł cicho. – Bluszcz się nim zajmuje. Zawiozłem go tam dziś rano wózkiem do gnoju. Przy drodze kręcili się ludzie, szukając tych trzech. Okazuje się, że wcześniej, na wzgórzach, zabili kobietę.

– Jaką kobietę? – szepnęła Tenar.

Ich oczy się spotkały. Ged lekko skinął głową.

Potok nie zamierzał dać sobie odebrać głosu, toteż donośnie podjął przerwaną opowieść:

– Rozmawiałem z paroma i powiedzieli mi, że cała czwórka wałęsała się wokół Kahedananu. Wciąż tylko kręcili się bez celu. Kobieta schodziła do wsi na żebry, cała w siniakach i poparzeniach. Widzicie, ci mężczyźni ją tam posyłali, a potem do nich wracała. Mówiła ludziom, że jeśli przychodzi z niczym, dostaje nowe cięgi. Więc ludziska pytali, po co się ich trzyma, a ona na to, że gdyby uciekła, goniliby ją, a poza tym od zawsze była z nimi. Wreszcie jednak posunęli się za daleko i pobili ją na śmierć. A potem uciekli, podrzucając trupa do starej jatki; cuchnęło tam padliną, więc może myśleli, że w ten sposób ukryją to, co zrobili. Ostatniej nocy zeszli ze wzgórz i przyszli tutaj. Czemuś nie krzyczała, Goha? Jastrząb mówi, że tu byli, skradali się wokół domu, kiedy na nich wpadł. Z pewnością bym cię usłyszał, a już na pewno Shandy – ma znacznie lepszy słuch ode mnie. Powiedziałaś jej już?

Tenar potrząsnęła głową.

– W takim razie sam to zrobię – stwierdził stary, zachwycony, że pierwszy zaniesie żonie najświeższe nowiny. Pospiesznie poczłapał przez podwórze. W połowie drogi odwrócił się jednak. – Nigdy bym nie przypuszczał, że tak dobrze sobie radzisz z widłami! – krzyknął do Geda, z uciechą klepiąc się po udach, po czym ruszył dalej.

Ged wreszcie ściągnął grube owijacze, zabłocone buty ustawił na progu, na bosaka podszedł do ognia. Grube skarpety, spodnie, kubrak i koszula z wełnianego samodziału – gontyjski pasterz o mądrej twarzy, orlim nosie i przejrzystych ciemnych oczach.

– Wkrótce zjawią się ludzie – rzekł. – Żeby opowiedzieć ci o wszystkim i posłuchać twojej historii. Tych dwóch, którzy uciekli, zamknęli w piwniczce na wino, w której nie ma już żadnego wina. Drzwi strzeże co najmniej piętnastu chłopa, a dwudziestu, może

trzydziestu wyrostków usiłuje choćby zerknąć do środka... – Ziewnął, kilka razy poruszył ramionami, żeby rozluźnić napięte mięśnie, i zerknąwszy na Tenar, spytał, czy może usiąść przy ogniu.

Wskazała mu ławę przy kominku.

– Musisz być wykończony – szepnęła.

– Wczoraj zdrzemnąłem się tu odrobinę. Zmogła mnie senność. – Ponownie ziewnął, po czym spojrzał na nią uważnie, sprawdzając, jak się czuje.

– To była matka Therru – powiedziała Tenar, nadal nie podnosząc głosu.

Skinął głową bez słowa. Siedział spokojnie, zapatrzony w ogień, pochylając się lekko naprzód, z łokciami wspartymi na kolanach, jak niegdyś Krzemień. Byli do siebie bardzo podobni, a jednocześnie zupełnie różni – tak różni, jak kamień zagrzebany w ziemi i szybujący na niebie ptak. Tenar czuła ból w sercu, w kościach; toczyły w niej walkę sprzeczne uczucia – lęk przed przyszłością, żal, wspomnienie strachu i niespokojna radość.

– Ten, który zakosztował wideł, jest teraz u czarownicy – stwierdził Ged. – Związany, na wypadek gdyby poczuł się lepiej. Bluszcz zapchała mu rany pajęczyną i rzuciła na nie zaklęcia wstrzymujące krwotok. Twierdzi, że dożyje dnia, kiedy go powieszą.

– Powieszą.

– Oczywiście zależy to od decyzji Sądu Królewskiego. Każą go powiesić albo ześlą na galery.

Potrząsnęła głową, marszcząc brwi.

– Nie wypuszczą go, Tenar – zapewnił ją łagodnie.

– Nie.

– Winni muszą zostać ukarani – dodał, nie spuszczając z niej wzroku.

– Ukarani. To on tak mówił: „Trzeba ukarać dziecko. Jest niedobra, musi zostać ukarana”. I ja także, za to, że wzięłam ją do siebie. Za to, że jestem... – Zmagała się ze słowami. – Nie chcę kary! To nie powinno się zdarzyć. Żałuję, że go nie zabiłeś!

– Starałem się, jak mogłem – odparł Ged.

Po dłuższej chwili roześmiała się słabo.

– Istotnie.

– Pomyśl, jak łatwo mogłem się z nimi rozprawić, kiedy jeszcze byłem czarnoksiężnikiem. – Ponownie spojrzał w ogień. – Zanimby się zorientowali, rzuciłbym na nich zaklęcie wiążące i odprowadził do Ujścia niczym stado baranów. Albo zeszłej nocy; jakież mógłbym urządzić fajerwerki! Nie wiedzieliby nawet, co się stało.

– I tak nie wiedzą – odparła.

Zerknął na nią. W jego oczach rozbłysła pierwsza niepowstrzymana iskierka triumfu.

– Nie – zgodził się. – Nie wiedzą.

– Dobrze sobie radzisz z widłami – mruknęła.

Ziewnął rozdzierająco.

– Może tak byś się przespał? W drugiej izbie jest wolne łóżko. Chyba że wolisz zabawiać towarzystwo. Widzę na drodze Skowronek, Stokrotkę i grupkę dzieci. – Słysząc głosy, podniosła się i wyjrzała przez okno.

W jednej chwili wstał i wymknął się z kuchni.

***

Skowronek i jej mąż, żona kowala, Stokrotka i inni przyjaciele z wioski przez cały dzień nawiedzali dom Tenar, powtarzając nowiny i wysłuchując opowieści, tak jak przewidywał Ged. Ich towarzystwo tchnęło w Tenar nowe siły, pozwoliło jej krok po kroku otrząsnąć się z grozy ostatniej nocy, aż wreszcie zdołała przekonać samą siebie, że wszystko to zdarzyło się tylko przypadkiem, że już odeszło i nie będzie powtarzać się bez końca.

Therru także powinna się tego nauczyć, pomyślała. Tyle że jej będzie trudniej – nie chodziło przecież o jedną noc, lecz o całe życie.

Kiedy w domu została już tylko Skowronek, Tenar powiedziała do niej:

– Najbardziej złości mnie to, że byłam taka głupia.

– Mówiłam ci przecież, że powinnaś zamykać drzwi.

– Niezupełnie... Może... To nie to.

– Wiem – odparła Skowronek.

– Chodzi mi o to, że kiedy tu przyszli... mogłam uciec, sprowadzić Shandy i Potoka, może także zabrać Therru. Albo sama skoczyć do stodoły i przynieść widły czy hak do przycinania gałęzi. Ma długie drzewce, a brzeszczot ostry jak brzytwa. Ostrzę go często, jak kiedyś Krzemień.

Czemu tego nie zrobiłam? Dlaczego po prostu zamknęłam się w domu, skoro i tak na nic by to się zdało? Gdyby... Jastrząb nie zjawił się tu w ostatniej chwili... Zamknęłam się wraz z Therru w pułapce. Wreszcie podeszłam do drzwi z rzeźnickim nożem i zaczęłam na nich krzyczeć. Byłam jak oszalała. Ale to by ich nie odstraszyło.

– Sama nie wiem – odparła Skowronek. – To rzeczywiście szaleństwo, ale być może... Kto wie? Cóż innego mogłaś zrobić poza zaryglowaniem drzwi? Wygląda na to, że robimy to przez całe życie. Zawsze żyjemy w zamkniętym świecie.

Rozejrzały się po kamiennych ścianach, posadzkach, wielkim kominku, oknie, słonecznej kuchni na Dębowej Farmie w domostwie rolnika Krzemienia.

– Ta dziewczyna, kobieta, którą zabili... – Skowronek spojrzała znacząco na przyjaciółkę. – To ta sama.

Tenar skinęła głową.

– Ktoś mi powiedział, że była w ciąży – dodała Skowronek. – Czwarty, piąty miesiąc.

Obie umilkły.

– W pułapce – powtórzyła Tenar.

Skowronek wyprostowała się, ręce wsparła na tęgich, okrytych spódnicą udach. Jej urodziwa twarz przybrała zawzięty wyraz.

– Strach – powiedziała. – Czego tak bardzo się boimy? Czemu pozwalamy, by wmawiali nam strach? A oni? Czego się boją? – Podniosła skarpetkę, którą cerowała, i obróciła ją w dłoniach zamyślona. – Co im zrobiłyśmy, że się tak nas boją?

Tenar przędła w milczeniu.

Nagle do kuchni wpadła Therru.

– Jest moje słoneczko! – powitała ją Skowronek. – Chodź, uściśnij mnie, kwiatuszku!

Therru przytuliła się do niej, ale zaraz odskoczyła.

– Jakich ludzi złapali? – spytała swym szorstkim, bezdźwięcznym głosem.

Tenar zatrzymała kołowrotek.

– Jeden z nich to Łapa – odparła powoli, starannie dobierając słowa. – Drugiego podobno nazywali Kłakiem. Ten, który został ranny, to Dorsz. – Ani na moment nie spuszczała wzroku z twarzy Therru; dostrzegła rozpalający ją ogień, gwałtownie czerwieniejącą bliznę. – Zdaje się, że kobieta, którą zabili, nazywała się Senny.

– Senini – wyszeptała dziewczynka.

Tenar tylko skinęła głową.

– Czy zabili ją na śmierć?

Tenar ponownie przytaknęła.

– Pijawka mówi, że byli tutaj.

I znów milczące skinięcie.

Therru rozejrzała się po kuchni, ale chyba jej nie widziała.

– Czy teraz ich zabiją?

– Możliwe, że ich powieszą.

– Na śmierć?

– Tak.

Dziewczynka obojętnie skinęła głową i wybiegła na dwór, gdzie dzieci Skowronek bawiły się przy studni.

Dwie kobiety siedziały przy ogniu w cichej kuchni domu Krzemienia. Jedna przędła, druga cerowała. Milczały.

Po długim czasie odezwała się Skowronek:

– Co się stało z tym obcym, pasterzem, który przyszedł za nimi? Mówiłaś chyba, że zwą go Jastrząb?

– Śpi teraz. Tam – odparła Tenar, skinieniem głowy wskazując dalszą część domu.

– Ach, tak – westchnęła Skowronek.

Kołowrotek terkotał cicho.

– Znałam go już wcześniej.

– Spotkaliście się w Re Albi, prawda?

Tenar przytaknęła. Kołowrotek terkotał miarowo, niestrudzenie.

– Trzeba niemałej odwagi, żeby pójść za trzema łotrzykami i zaatakować ich po ciemku, nie mając nic prócz wideł. To już nie

młodzieniaszek, prawda?

– Nie. – Po chwili Tenar dodała: – Był chory i potrzebował pracy, przysłałam go więc tutaj, żeby pomógł na farmie Potokowi. Ale Potok uważa, że sam świetnie daje sobie radę, więc wyprawił go w góry, nad źródła, na letni spęd owiec. Właśnie stamtąd wracał.

– Pewnie go teraz zatrzymasz?

– Jeśli zechce – odparła Tenar.

***

Wkrótce na Dębowej Farmie pojawiła się kolejna grupka wieśniaków pragnących wysłuchać historii Gohy i opowiedzieć o własnym udziale w wielkiej obławie na morderców. Kiwając głowami, oglądali słynne widły, porównując cztery długie metalowe zęby z trzema krwawymi plamami na bandażach okrywających pierś Dorsza. Tenar z radością powitała nastanie wieczoru. Zawołała Therru do domu i zamknęła drzwi.

Uniosła dłoń, aby zasunąć rygiel, jednak po chwili wahania opuściła ją ponownie i zmusiła się, by odejść.

– W twoim pokoju jest Krogulec – poinformowała ją Therru, przynosząc jajka z chłodni.

– Zamierzałam cię o tym uprzedzić. Przepraszam.

– Znam go – odparła dziewczynka, obmywając w spiżarni twarz i dłonie. A kiedy Ged pojawił się w końcu w kuchni, zaspany i rozczochrany, podeszła do niego, wyciągając ręce.

– Witaj, Therru! – Ged uniósł ją w górę.

Przywarła do niego na krótko, po czym wyśliznęła się z objęć.

– Znam początek *Pieśni o stworzeniu*! – pochwaliła się.

– Zaśpiewasz mi ją?

Ponownie prosząc Tenar wzrokiem o pozwolenie, usiadł na swym miejscu przy kominku.

– Mogę jedynie powiedzieć.

Skinął głową i czekał z surową twarzą. Dziewczynka zaczęła recytować:

Tworzenie od niweczenia,
kres rzeczy od początku
któż odróżnić zdoła?
Znamy jedynie wrota między nimi,
w które wkraczamy, odchodząc.
Pośród tych, którzy wrócili,
Najstarszy, Odźwierny, Segoy...

Jej głos był jak zgrzyt żelaznego zgrzebła o metal, jak szum suchych liści, syk ognia. Wreszcie zakończyła, docierając do ostatniego wiersza pierwszej strofy:

Wówczas to spośród piany wynurzyła się świetlista Ea.

Ged z aprobatą skinął głową.

– Dobrze – pochwalił dziewczynkę.

– Nauczyła się tego zeszłego wieczoru – stwierdziła Tenar. – A wydaje się, że minął co najmniej rok.

– Mogę nauczyć się więcej – wtrąciła Therru.

– I nauczysz się – przyrzekł jej Ged.

– A teraz, proszę, skończ kroić dynię – poleciła Tenar.

Dziewczynka posłuchała.

– A ja co mam zrobić? – spytał Ged.

Tenar się zawahała.

– Trzeba nastawić wodę.

Skinął głową i biorąc po drodze kociołek, poszedł do studni.

Wspólnie przygotowali kolację i sprzątnęli po niej.

– Powtórz jeszcze raz początek *Pieśni o stworzeniu* – powiedział Ged, zwracając się do Therru, gdy razem zasiedli przy kominku. – Potem zajmiemy się dalszym ciągiem.

Dziewczynka powtórzyła drugą strofkę – raz z Gedem, drugi raz z Tenar, wreszcie sama.

– Czas spać – stwierdziła w końcu Tenar.

– Nie powiedziałaś Krogulcowi o królu.

– Sama mu powiedz – odparła, rozbawiona tym pretekstem do opóźnienia pożegnania.

Therru odwróciła się do Geda. Jej twarz, gładka i pokryta bliznami, widząca i ślepa, płonęła.

– Król przypłynął statkiem. Miał miecz. Dał mi delfina z kości. Jego statek leciał, ale ja byłam chora, bo Łapa mnie dotknął. Potem król położył tam rękę i znak zniknął.

Pokazała mu szczupłe, wątłe ramię. Tenar patrzyła w milczeniu. Zupełnie zapomniała o znaku.

– Któregoś dnia chcę polecieć tam, gdzie on mieszka – ciągnęła Therru. – Zrobię tak. Znasz go?

– Tak. Znam go. Odbyliśmy razem długą podróż.

– Dokąd?

– Do miejsca, gdzie nie wschodzi słońce, a gwiazdy nigdy nie zachodzą. I z powrotem.

– Lecieliście?

Potrząsnął głową.

– Potrafię tylko chodzić.

Dziewczynka zastanowiła się przez moment, po czym, wyraźnie usatysfakcjonowana tą odpowiedzią, szepnęła: „Dobranoc!" i pobiegła do siebie. Tenar poszła za nią, lecz Therru nie chciała słuchać kołysanek.

– Wolę powtórzyć po ciemku *Pieśń o stworzeniu* – oznajmiła. – Obie zwrotki.

Wróciwszy do kuchni, Tenar ponownie usiadła przy ogniu naprzeciwko Geda.

– Jakże ona się zmienia – westchnęła. – Nie potrafię dotrzymać jej kroku. Jestem za stara na wychowywanie dzieci. A ona... Słucha mnie, ale tylko dlatego, że sama tego chce.

– To jedyne usprawiedliwienie dla posłuszeństwa – zauważył Ged.

– Ale jeśli kiedyś postanowi mi się sprzeciwić? Co wówczas zrobię? Ma w sobie coś dzikiego. Czasami jest moją Therru, czasami kimś zupełnie innym, odległym, niedosiężnym. Spytałam Bluszcz, czy zechciałaby ją uczyć – Buk podsunął mi ten pomysł – ale odmówiła. „Czemu nie?", spytałam. „Boję się jej", odparła. Ty jednak się jej nie lękasz. Ani ona ciebie. Ty i Lebannen jesteście jedynymi

mężczyznami, którym pozwoliła się tknąć. Ja dopuściłam do tego, by ten… Łapa… nie mogę o tym mówić... Och, jestem taka zmęczona. Nic już nie rozumiem.

Ged dorzucił do ognia sękate polano. Powoli ogarniały je płomienie. Oboje patrzyli, jak migoczą, wolno pochłaniając zdobycz.

– Pragnę, żebyś tu został, Ged – powiedziała Tenar. – Jeśli chcesz. – Ponieważ nie odpowiedział, dodała: – Ale może wybierasz się do Havnoru... ?

– Nie. Nie mam dokąd pójść. Szukałem pracy.

– Cóż, tu ci jej nie zabraknie. Potok nie przyzna się głośno, ale przez artretyzm praktycznie nie nadaje się do niczego poza pracą w ogrodzie. Odkąd tu wróciłam, szukałam pomocnika. Miałam ochotę powiedzieć temu staremu durniowi, co myślę o tym, że odesłał cię w góry, ale na nic by się to nie zdało. I tak by mnie nie posłuchał.

– Bardzo dobrze mi to zrobiło – odparł Ged. – Potrzebowałem trochę czasu.

– Wypasałeś owce?

– Kozy. Na najwyższych pastwiskach. Chłopak, którego zatrudnili, zachorował i Serry przyjął mnie natychmiast, z marszu wysyłając do roboty. Trzymają je do późna na łąkach, żeby jak najbardziej zgęstniała im sierść. Przez ostatni miesiąc miałem górę wyłącznie dla siebie. Serry przysłał mi kożuch i nieco zapasów, mówiąc, abym utrzymał stado najwyżej, jak mogę, i jak najdłużej. Więc tak zrobiłem. To było przyjemne życie.

– Samotne – dokończyła.

Skinął głową z lekkim uśmieszkiem.

– Zawsze byłeś sam.

– Tak.

Milczała. Spojrzał na nią.

– Chętnie tu zostanę – powiedział.

– A zatem załatwione – odrzekła. Po chwili dodała: – Przynajmniej do wiosny.

Tego wieczoru znów chwycił mróz. Na świecie panowała idealna cisza, zakłócana jedynie lekkim trzaskiem ognia, tak wyraźna, że

niemal namacalna. W końcu Tenar uniosła głowę i spojrzała na Geda.

– I co? W czyim łóżku mam spać? Małej czy twoim?

Odetchnął głęboko i odparł, zniżając głos:

– Moim, jeśli zechcesz.

– Zechcę.

Cisza znów pochwyciła go w swoje objęcia. Tenar widziała, z jakim wysiłkiem uwolnił się z nich.

– Jeśli będziesz miała dla mnie cierpliwość – dodał.

– Byłam cierpliwa przez dwadzieścia pięć lat. – Wybuchnęła śmiechem. – No chodź już, chodź, mój drogi. Lepiej późno niż wcale. Jestem tylko starą kobietą... Nic nie idzie na marne. Nic nigdy nie idzie na marne. Sam mnie tego nauczyłeś.

Wstała, on także; wyciągnęła ręce, a on je ujął. Objęli się mocno, przytuleni tak czule, że w końcu świat przestał dla nich istnieć. To, w czyim łóżku będą spali, zupełnie się nie liczyło. Tę noc spędzili na podłodze przed kominkiem i tam Tenar wprowadziła Geda w misterium, którego nie nauczyłby go nawet najmędrszy z mężczyzn.

W pewnym momencie Ged dorzucił drew do ognia i zdjął z ławy kawałek porządnej tkaniny. Tym razem Tenar nie protestowała. Jej płaszcz i jego kożuch służyły im za łoże.

Obudzili się o świcie. Tuż za oknem kołysały się niemal całkiem ogołocone z liści gałęzie dębów, posrebrzone pierwszym brzaskiem. Tenar przeciągnęła się, czując obok siebie ciepło jego ciała. Po chwili mruknęła:

– Dorsz tu leżał. Dokładnie w tym miejscu.

Ged wydał z siebie cichy pomruk protestu.

– Teraz naprawdę stałeś się mężczyzną – ciągnęła Tenar. – Najpierw utoczyłeś krwi wrogowi, a potem ległeś z kobietą. Przypuszczam, że to właściwa kolejność.

– Ciii… – szepnął, kładąc głowę na jej ramieniu. – Przestań!

– Dobrze, Ged. Biedaku. Nie ma we mnie litości, wyłącznie sprawiedliwość. Nie nauczono mnie litości. Miłość to jedyna łaska, jaka mi pozostała. Och, Ged, nie bój się mnie! Byłeś mężczyzną, kiedy ujrzałam cię po raz pierwszy. To nie broń ani kobieta stwarza

mężczyznę, nawet nie magia czy moc. Jedynie on sam może tego dokonać.

Leżeli w cieple i słodkiej ciszy.

– Powiedz mi coś. Jakim cudem usłyszałeś, co mówili Dorsz, Łapa i ten trzeci? Skąd wziąłeś się właśnie wtedy akurat w tym miejscu?

Ged oparł się na łokciu, spoglądając jej w oczy. Jego twarz była tak otwarta i bezbronna w swej czułości i stanie spełnienia, że Tenar poczuła przemożne pragnienie, by wyciągnąć rękę i dotknąć jego ust w miejscu, gdzie ucałowała je po raz pierwszy wiele miesięcy wcześniej. To zaś z kolei doprowadziło do tego, że znów wziął ją w ramiona i dalsza rozmowa potoczyła się już bez słów.

***

Należało dopełnić pewnych formalności oraz powiadomić Potoka i pozostałych dzierżawców na farmie, że zastąpiła „starego pana" wynajętym pomocnikiem. Uczyniła to natychmiast, bez ogródek stawiając sprawę. Nic zresztą nie mogli na to poradzić – ale też niczym im to nie groziło. Wdowa mogła objąć majątek męża jedynie wtedy, gdy nie istniał żaden potomek płci męskiej ani dalszy krewny. Syn Krzemienia, marynarz, był jego prawnym spadkobiercą, i matka jedynie zarządzała gospodarstwem w jego zastępstwie. Gdyby umarła, przeszedłby zarząd na ręce Potoka. Gdyby Iskra nigdy nie zgłosił się po spadek, cały majątek dostałby się dalekiemu kuzynowi Krzemienia w Kahedananie. Żaden mężczyzna, z którym związałaby się wdowa, nawet gdyby go poślubiła, nie mógłby wyzuć z majątku dzierżawców; choć nie posiadali oni żadnej ziemi, zgodnie z gontyjskim zwyczajem mieli udziały w pracy i zyskach. Tenar lękała się jednak, że oburzy ich, iż nie dochowała wierności pamięci Krzemienia. Ostatecznie znali go dłużej niż ona. Ku swej ogromnej uldze nie usłyszała jednak żadnych sprzeciwów. Jastrząb zyskał ich przychylność jednym ciosem wideł. Poza tym zrozumieli, że rozsądna kobieta powinna mieć w domu mężczyznę, aby ją ochraniał. Jeśli zaś

wzięła go sobie do łóżka, cóż – wdowy ponoć zawsze odznaczają się apetytem. Poza tym była cudzoziemką.

Wieśniacy zareagowali podobnie. Trochę poszeptali, wygłaszając po kątach złośliwe komentarze, i to wszystko. Wyglądało na to, że zachowanie dobrej reputacji jest łatwiejsze, niż przypuszczała Mech. A może tutejsi ludzie nie przywiązywali zbyt wielkiej wagi do dóbr z drugiej ręki.

Mimo ich aprobaty czuła się zbrukana i poniżona, zupełnie jakby odrzucili ten związek. Jedynie Skowronek pozwalała jej otrząsnąć się ze wstydu, nie osądzała bowiem tego, co czyni przyjaciółka, i nie zastępowała świadectwa własnych oczu słowami – mężczyzna, kobieta, wdowa, cudzoziemka. Obserwowała jedynie Tenar i Jastrzębia z zainteresowaniem, pobłażaniem i odrobiną zazdrości.

Ponieważ Skowronek nie postrzegała Jastrzębia przez pryzmat słów „pastuch", „najmita", „kochanek wdowy", patrząc wprost na niego, dostrzegła mnóstwo rzeczy, które ją zastanowiły. W swej godności i prostocie nie odróżniał się od znanych jej mężczyzn, a przecież odstawał od nich. Kryła się w nim wielkość, nie wzrostu i postawy, lecz umysłu i ducha.

– Ten człowiek nie spędził wśród kóz całego życia – powiedziała kiedyś do Bluszcz. – Wie więcej o świecie niż o uprawie roli.

– Przypuszczam, że to czarnoksiężnik, który został wygnany albo może utracił swą moc – odparła wiedźma. – To się zdarza.

– Ach, tak – mruknęła Skowronek.

Jednakże słowo „Arcymag" było zbyt wzniosłe i wspaniałe, by przywoływać je z odległych dworów i pałaców i przykładać do ciemnookiego siwego mężczyzny na Dębowej Farmie. Toteż nigdy tego nie czyniła. W przeciwnym razie nie czułaby się przy nim swobodnie. Sama myśl, że kiedyś był czarnoksiężnikiem, wzbudziła niepokój przyjaciółki Tenar, przez jakiś czas przesłaniając jej prawdziwe oblicze Jastrzębia. Skowronek otrząsnęła się z tego wrażenia, dopiero gdy ujrzała go ponownie. Siedział na jednej ze starych jabłonek w sadzie, przycinając suche gałęzie, a kiedy ujrzał ją na drodze, pozdrowił głośnym okrzykiem. Imię dobrze do niego pasowało, pomyślała, widząc go skulonego jak ptak

w koronie drzewa, toteż pomachała do niego z uśmiechem i ruszyła dalej.

Tenar nie zapomniała pytania, które zadała Gedowi, leżąc przed kominkiem na posłaniu z kożucha. Powtórzyła je kilka dni później – a może minęły już miesiące? W kamiennym domu, na skutej lodem farmie czas upływał niemal niedostrzeżenie.

– Nigdy mi nie powiedziałeś – rzekła – jakim cudem usłyszałeś ich rozmowę na drodze.

– Zdawało mi się, że już o tym mówiłem. Kiedy usłyszałem głosy, zszedłem z drogi i ukryłem się między drzewami.

– Dlaczego?

– Byłem sam i wiedziałem, że po gościńcach włóczą się bandy.

– Tak, oczywiście. I kiedy cię mijali, Dorsz zaczął mówić o Therru?

– O ile pamiętam, wspomniał o Dębowej Farmie.

– To bardzo prawdopodobne, ale nieco zanadto przypomina szczęśliwy traf.

Widząc, że nie podaje w wątpliwość prawdziwości jego słów, leżał spokojnie, czekając, co powie dalej.

– Podobne szczęśliwe trafy zdarzają się czarnoksiężnikom.

– I innym ludziom.

– Możliwe.

– Moja droga, chyba nie próbujesz przywrócić mnie mojemu dawnemu życiu?

– Ależ nie. Nie. Zresztą nie byłoby to zbyt mądre. Gdybyś odzyskał moc, nie zostałbyś tu, na Goncie.

Leżeli w wielkim dębowym łożu, okryci owczymi skórami i pierzynami, w sypialni bowiem nie było kominka, a w nocy chwycił świeży mróz.

– Chciałabym jednak wiedzieć, czy istnieje coś poza tym, co wy nazywacie mocą. Coś, co ją poprzedza. Albo może coś, czego moc jest jedynie częścią. Na przykład Ogion powiedział o tobie kiedyś, że zanim poznałeś wiedzę konieczną czarnoksiężnikowi, już byłeś magiem – urodzonym magiem. Wyobraziłam sobie wówczas, że aby zyskać moc, najpierw trzeba dysponować miejscem, które mogłaby zapełnić; pustką. I im większa byłaby ta pustka, tym więcej mocy można by uzyskać. A jeśli ktoś nigdy nie zyskał mocy, odebrano mu

ją bądź też sam ją utracił – owa przestrzeń pozostanie niezapełniona.

– Pustka – powtórzył.

– To jedno możliwe określenie. Być może nie najlepsze.

– Potencjał? – spytał i potrząsnął głową. – Zapowiedź tego, co może nastąpić, kim można się stać.

– Myślę, że znalazłeś się wtedy na drodze, we właściwym miejscu, o właściwej porze dlatego, że tak ci się zdarza. Ty tego nie sprawiasz, nie jest to kwestia twojej mocy. Stało się tak z powodu owej... pustki.

Po chwili Ged odparł:

– To przypomina nauki, jakie pobierałem kiedyś na Roke. Mistrzowie zawsze twierdzili, że prawdziwa moc polega na tym, by czynić tylko to, co niezbędne. Ale ty sięgnęłaś dalej. Nie czynić nic, lecz poddawać się temu, co nas spotyka...

– Chyba niezupełnie o to chodzi. To raczej źródło, z którego wywodzą się wszystkie prawdziwe uczynki. Czyż nie przybyłeś tutaj i nie ocaliłeś mi życia? Nie przebiłeś widłami Dorsza? To właśnie nazywam robieniem tego, co konieczne...

Ponownie zamyślił się, aż wreszcie spytał:

– Czy podobne mądrości wpajano ci, gdy byłaś kapłanką Grobowców Atuanu?

– Nie. – Przeciągnęła się lekko, spoglądając w ciemność. – Arhę nauczono, że aby zyskać moc, musi składać ofiary, poświęcić siebie i innych. Rodzaj wymiany: dawać, aby brać. I muszę przyznać, że nie bardzo odbiega to od rzeczywistości. Lecz moja dusza nie potrafiła wytrzymać w takiej klatce: coś za coś, ząb za ząb, życie za życie... Bo przecież istnieje jeszcze wolność wykraczająca poza pojęcia zapłaty, zemsty czy odkupienia, poza wszystkie układy sił. Prawdziwa wolność.

– Wrota między nimi – powiedział cicho.

Tej nocy Tenar przyśnił się nowy sen. Ujrzała w nim wrota z *Pieśni o stworzeniu Ea*. Przypominały maleńkie okno z grubego, mętnego szkła, osadzone nisko w zachodniej ścianie starego domu nad morzem. Okno to było zamknięte, zaryglowane. Pragnęła je otworzyć, ale do tego potrzebne było coś, o czym zapomniała:

słowo, klucz, imię. Szukała go w kamiennych komnatach, które stopniowo stawały się coraz mniejsze i ciemniejsze, póki w końcu nie znalazła się w ramionach Geda, próbującego obudzić ją i pocieszyć.

– Już dobrze, kochana, najdroższa. Wszystko będzie dobrze.

– Nie mogę się uwolnić! – krzyknęła, przywierając do niego.

Uspokajał ją, gładząc po włosach. Przytulili się do siebie. Po chwili mężczyzna szepnął:

– Spójrz.

Na niebie wisiał cienki sierp księżyca. Jego odbite od śniegu białe promienie wpadały do pokoju, mimo chłodu bowiem Tenar nie zgadzała się na zamknięcie okiennic. Powietrze nad nimi jarzyło się łagodnym blaskiem. Leżeli w mroku, lecz zdawało im się, jakby sufit był tylko mglistą zasłoną, za którą rozciąga się nieskończona otchłań światła.

***

Tej zimy na Goncie długo leżały śniegi. Jednakże zbiory były dobre i jedzenia starczyło dla wszystkich: ludzi i zwierząt. Pozostawało jedynie jeść i chronić się przed mrozem.

Therru umiała już na pamięć całą *Pieśń o stworzeniu Ea*. Podczas święta Powrotu Słońca wyrecytowała *Zimową kolędę* i *Czyny Młodego Króla*. Nauczyła się piec ciasta, prząść na kołowrotku i robić mydło. Znała nazwę i zastosowanie każdej rośliny wystającej ze śniegu. Zyskała mnóstwo pożytecznej wiedzy, dotyczącej nie tylko zielarstwa, lecz wszystkiego, co Ged zgromadził w swej głowie podczas krótkiego terminu u Ogiona i długich lat spędzonych w szkole na Roke. Teraz sam uczył Therru, jednakże wciąż nie zdjął z półki nad kominkiem Spisu Runów ani Ksiąg Wiedzy. Nie nauczył też dziecka ani jednego słowa w Mowie Tworzenia.

Często rozmawiali o tym z Tenar. Opowiedziała mu, jak nauczyła Therru jednego słowa *tolk*, po czym przestała; choć sama nie wiedziała czemu, nie zabrzmiało ono właściwie.

– Pewnie dlatego, że tak naprawdę nigdy nie mówiłam w tym języku, nie używałam go do czynienia magii. Uznałam, że byłoby lepiej, gdyby nauczył ją go ktoś, kto włada nim biegle.

– Nie da się tego rzec o nikim.

– A już z pewnością o żadnej kobiecie.

– Chciałem przez to powiedzieć, że tylko dla smoków jest to mowa ojczysta.

– Czy i one muszą się jej uczyć?

Zaskoczony tym pytaniem, zawahał się, nim odpowiedział powoli, najwyraźniej przywołując z pamięci całą swoją wiedzę o smokach.

– Nie wiem. Co nam właściwie o nich wiadomo? Czy uczą się nawzajem, tak jak my? Matka dziecko, starsi młodszych? A może przypominają zwierzęta? Przekazują sobie pewne informacje, lecz z większością przychodzą już na ten świat. Nawet tego nie wiemy. Zgaduję jednak, iż smok i jego mowa stanowią jedność. To jedna istota.

– I nie władają żadnym innym językiem.

Przytaknął.

– One się nie uczą – powiedział. – Po prostu są.

W tym momencie w kuchni zjawiła się Therru. Do jej obowiązków należało pilnowanie, by w skrzynce na opał nigdy nie zabrakło drewek. Krzątała się opatulona w długi kubrak z jagnięcej skóry i ciepłą czapę, drepcząc z kuchni do drewutni i z powrotem. Wrzuciła wiązkę drewek do stojącej obok kominka skrzyni i ponownie ruszyła w drogę.

– Co ona śpiewa? – spytał Ged.

– Therru?

– Kiedy jest sama.

– Ależ ona nie śpiewa. Nie może.

– Na swój sposób... „Poza najdalszym zachodem”...

– A, to! – westchnęła Tenar. – Ta historia! Czyżby Ogion nigdy nie opowiadał ci o kobiecie z Kemay?

– Nie – odparł Ged. – Opowiedz mi.

Powtórzyła mu zatem opowieść, nie przestając prząść na kołowrotku, którego szum i terkot wtórował jej słowom. Na koniec rzekła:

– Kiedy Mistrz Wiatrów powiedział mi, że szuka „kobiety na Goncie”, natychmiast o niej pomyślałam. Ale bez wątpienia kobieta ta już dawno nie żyje. Zresztą jak rybaczka, która była smokiem, mogłaby zostać Arcymagiem?

– Cóż, Mistrz Wzorów nie twierdził, że „kobieta na Goncie” ma zostać Arcymagiem – odparł Ged. Zaszywał właśnie paskudnie rozdarte spodnie, przysiadł zatem na parapecie, aby jak najlepiej wykorzystać słabe zimowe światło. Od dnia Powrotu Słońca minęło pół miesiąca, właśnie zaczynały się najgorsze mrozy.

– Co zatem rzekł?

– „Kobieta na Goncie”. Tak przynajmniej mówiłaś.

– Ale przecież pytali go, kto zostanie następnym Arcymagiem.

– I nie uzyskali odpowiedzi.

– Nieskończone są spory magów – stwierdziła oschle Tenar.

Ged przegryzł nić i owinął jej koniec wokół dwóch palców.

– Istotnie, na Roke nauczyłem się prowadzić jałowe dyskusje – przyznał. – Ale nie zabawiam się słowami. „Kobieta na Goncie” nie może zostać Arcymagiem. Żadna kobieta nie może. Magowie z Roke są zawsze mężczyznami – ich moc to moc męska; wiedza także. Męskość i magia wyrastają ze wspólnych fundamentów. Moc należy do mężczyzn. Gdyby kobiety także ją miały, mężczyźni byliby kobietami nieumiejącymi rodzić dzieci, a kobiety mężczyznami, którzy to potrafią.

– Ha! – prychnęła Tenar. Po chwili spytała przebiegle: – Czyż historia nie zna królowych? Kimże były, jeśli nie kobietami obdarzonymi władzą?

– Królowa to tylko kobieta król – odparł Ged.

Tenar parsknęła.

– To znaczy – ciągnął Ged – że mężczyźni przekazują jej moc, po czym pozwalają z niej korzystać. Królowa włada mocą nie dlatego, że jest kobietą, lecz mimo to.

Tenar skinęła głową. Przeciągnęła się i odsunęła od siebie kołowrotek.

– Na czym zatem polega moc kobiet? – spytała.

– Nie sądzę, abyśmy to wiedzieli.

– Kiedy kobieta zyskuje swą prawdziwą moc?

– Przypuszczam, że wtedy gdy ma dzieci. Przynajmniej przez jakiś czas...

– Może we własnym domu?

Rozejrzała się po kuchni.

– Ale drzwi są zamknięte – powiedziała. – Zaryglowane.

– Ponieważ jesteś cenna.

– O tak! Wszystkie jesteśmy cenne, tak długo, póki brak nam władzy... Pamiętam, kiedy zrozumiałam to po raz pierwszy. Kossil zagroziła mi – mnie, Jedynej Kapłance Grobowców! Uświadomiłam sobie wówczas, że jestem bezradna. Na mnie spadały wszystkie zaszczyty, ale to ona miała moc; władzę, którą obdarzył ją Bóg-Król, mężczyzna. Och, jakże się wtedy rozzłościłam. I przeraziłam... Kiedyś rozmawiałyśmy o tym ze Skowronek. Powiedziała wówczas: „Czemu mężczyźni boją się kobiet?".

– Jeśli twoja moc wspiera się jedynie na słabości innych, żyjesz w strachu – oznajmił sentencjonalnie Ged.

– Owszem. Ale kobiety zdają się lękać własnej siły, obawiać samych siebie.

– A czy kiedykolwiek uczono je, by w siebie wierzyły? – spytał Ged.

I w tym momencie w drzwiach ponownie zjawiła się objuczona drewnem Therru. Ged i Tenar spojrzeli po sobie.

– Nie – odparła. – Nigdy nie uczono nas ufności we własne siły. Ani w ogóle żadnego zaufania. – Patrzyła, jak dziewczynka układa szczapki w skrzynce. – Gdybyż tylko moc oznaczała zaufanie – dodała. – Podoba mi się dźwięk tego słowa. Gdyby nie te wszystkie hierarchie, układy, szczeble władzy; królowie i mistrzowie, magowie i wielmoże... Wszystko to wydaje się tak nieistotne. Prawdziwa moc, prawdziwa wolność nie wiązałaby się z przemocą, ale z zaufaniem.

– Takim jakie dzieci pokładają w swoich rodzicach – uzupełnił.

Oboje umilkli.

– Tymczasem jednak – stwierdził Ged – nawet ufność zwodzi na manowce. Mężczyźni na Roke ufają samym sobie i swoim towarzyszom. Ich moc jest czysta, nieskalana. Oni zaś uważają, że w owej czystości kryje się mądrość. Nie wyobrażają sobie, by mogli popełnić jakikolwiek błąd.

Zdziwiła się. Nigdy dotąd nie mówił w ten sposób o Roke, jakby spoglądał na tę wyspę z daleka, zerwawszy wszelkie więzy.

– Może potrzebują tam paru kobiet, aby wskazały im tę możliwość? – odparła.

Ged wybuchnął śmiechem.

Ponownie puściła kołowrotek w ruch.

– Nadal nie pojmuję dlaczego, jeśli istnieją kobiety królowie, nie może być kobiety Arcymaga.

Therru w milczeniu przysłuchiwała się ich rozmowie.

– Sucha woda, ciepły śnieg – odparł Ged, cytując stare gontyjskie porzekadło. – Królowie otrzymują władzę od innych ludzi, moc maga należy tylko do niego.

– I jest mocą mężczyzny. Ponieważ nie wiemy nawet, na czym polega kobieca moc. W porządku. Już rozumiem. Czemu zatem nie potrafią znaleźć nowego Arcymaga mężczyzny?

Ged uważnie obejrzał poszarpany wewnętrzny szew spodni.

– Cóż – powiedział. – Jeśli Mistrz Wzorów nie odpowiadał na ich pytanie, udzielał odpowiedzi na inne, którego nie zadali. Może zatem muszą to zrobić?

– Czy to zagadka? – spytała Therru.

– Owszem – odparła Tenar. – Ale jej nie znamy. Znamy jedynie odpowiedź. Brzmi: „Kobieta na Goncie".

– Jest ich wiele – odparła Therru po chwili zastanowienia. Najwyraźniej zadowolona z siebie, ruszyła po następny ładunek drewek.

Ged odprowadził ją wzrokiem.

– „Wszystko się zmieniło" – mruknął. – Wszystko... Czasami tak sobie myślę, Tenar... Zastanawiam się, czy panowanie Lebannena nie jest jedynie początkiem, wrotami... On zaś pełni rolę odźwiernego, który nigdy nie przejdzie na drugą stronę.

– Wydaje się taki młody – westchnęła czule Tenar.

– Jak Morred, kiedy pokonał Czarne Okręty. Jak ja, kiedy... – urwał, wyglądając przez okno na szare, zamarznięte pola za szpalerem nagich drzew. – Albo ty, Tenar, w mrocznych Grobowcach Atuanu... Czymże jest młodość albo starość? Nie wiem. Czasami czuję się, jakbym żył od tysiąca lat, czasem zaś myślę, że

moje życie przypomina jaskółkę w locie, oglądaną przez szparę w murze. Kilka razy umarłem i odrodziłem się, zarówno w Suchej Krainie, jak i tu, pod słońcem. *Pieśń o stworzeniu* zaś mówi nam, że wszyscy powracamy do źródła, a samo źródło jest niewyczerpane. „Tylko w umieraniu życie”... Zastanawiałem się nad tym, kiedy pasałem kozy wysoko w górach. Dni ciągnęły się bez końca, a przecież ani się obejrzałem, gdy zapadał wieczór i znów nastawał ranek... Poznałem kozią mądrość. I pomyślałem sobie: Skąd bierze się mój smutek? Kogo opłakuję? Arcymaga Geda? Czemu pastuch Jastrząb miałby go żałować i wstydzić się za niego? Cóż uczyniłem, że miałbym czuć wstyd?

– Nic – wtrąciła Tenar. – Zupełnie nic!

– Ależ tak – odparł Ged. – Wielkość mężczyzn wyrasta ze wstydu, z niego powstaje. Toteż pastuch Jastrząb opłakiwał Arcymaga Geda, a także opiekował się kozami, jak przystało na chłopca w jego wieku.

Tenar uśmiechnęła się po chwili.

– Mech mówiła, że masz jakieś piętnaście lat – powiedziała nieśmiało.

– To by się zgadzało. Ogion nadał mi imię jesienią, a latem następnego roku ruszyłem na Roke. Kim był ów chłopiec? Pustką... Wolnością...

– Kim jest Therru, Ged?

Milczał długo i uznała, że nie odpowie jej na to pytanie. Wreszcie rzekł:

– Po tym, co ją spotkało, jakiej wolności może się spodziewać?

– A zatem jesteśmy naszą wolnością?

– Tak sądzę.

– Gdy jeszcze miałeś moc, wydawałeś się wolny jak nikt inny. Jakim jednak kosztem? Co sprawiło, że zdobyłeś tak wielką swobodę? A ja... zostałam stworzona, ukształtowana jak glina wolą kobiet służących Dawnym Mocom… albo może mężczyznom, twórcom dróg, świątyń i rytuałów. Sama już nie wiem. Potem wyrwałam się na wolność, bardzo krótko u twego boku, a później u Ogiona. Jednakże nie była to moja wolność. Tyle że zyskałam swobodę wyboru i dokonałam go. Postanowiłam sama ugnieść się jak glinę, oddać pracy na farmie, mężowi, naszym dzieciom.

Zrobiłam z siebie naczynie, znam jego kształt, ale nie glinę, z której powstało. Życie puściło mnie w tan. Znam wszystkie kroki, ale nie wiem, kim jest tancerka.

– A ona – powiedział Ged po długiej chwili ciszy – jeśli kiedykolwiek zatańczy...

– Będą się jej lękać – szepnęła Tenar.

Dziecko ponownie zjawiło się w kuchni i ich rozmowa skupiła się na chlebowym cieście rosnącym spokojnie obok pieca. I tak rozmawiali całymi dniami – cicho, niestrudzenie, przechodząc od jednego tematu do drugiego, powracając do starych, zapomnianych spraw. Przędli swoje żywoty i zszywali je słowami, opisując lata, czyny i myśli, których z sobą nie dzielili. A potem znów milkli, zajęci pracą, zatopieni w marzeniach. Obok nich trwało milczące dziecko.

I tak minęła im zima, nastała pora kocenia się owiec. Przez jakiś czas mieli pełne ręce roboty, podczas gdy dni wydłużały się nieustannie. Wreszcie powróciły jaskółki, porzuciwszy słoneczne wyspy na Południowych Rubieżach, gdzie gwiazda Gobardon świeci w konstelacji Końca; jednakże w rozmowach między sobą ptaki poruszały tylko jeden temat: nowy początek.

13

Gospodarz

Wraz z powrotem wiosny między wyspami znów zaczęły śmigać statki niczym powracające z południa jaskółki. Po wsiach krążyły pogłoski o tym, jak żaglowce króla nękają rabusiów, doprowadzając najpotężniejszych piratów do ruiny, konfiskując ich majątki. Wielmożny Heno wyprawił na morze trzy najlepsze, najszybsze statki, dowodzone przez czarownika i wilka morskiego Tally'ego, którego imię budziło lęk w sercach wszystkich kupców od Solei po Andrady. Jego flota miała schwytać w zasadzkę żaglowce królewskie w pobliżu Oranei i zatopić je, jednakże to jeden ze statków króla powrócił do zatoki przy Ujściu, przywożąc Tally'ego w kajdanach oraz rozkazy, aby zaprowadzić wielmożnego Heno do Portu Gont, gdzie stanie przed sądem, oskarżony o piractwo i morderstwa. Heno zaszył się w swym kamiennym dworze na wzgórzach za miastem, nie rozpalał jednak ognia, wiosna bowiem była bardzo ciepła. Korzystając z tego, garstka młodych królewskich żołnierzy zakradła się do środka kominem. Następnie skutego poprowadzili całym oddziałem przez ulice Ujścia i oddali w ręce sprawiedliwości.

Słysząc o tym, Ged stwierdził z dumą i miłością:

– Postępuje, jak przystało na mądrego króla.

Łapa i Kłak zostali odesłani królewskim gościńcem do Portu Gont, a kiedy rany Dorsza zagoiły się dostatecznie, by mógł znieść podróż, wsadzono go na statek i odwieziono do miasta, aby dołączył

do swych kompanów. Wszyscy trzej stanęli przed królewskim sądem, oskarżeni o morderstwo. Mieszkańcy Doliny Środkowej z zadowoleniem powitali wieść o tym, że trzech złoczyńców skazano na galery. Tenar i Therru, stojąca u jej boku, przysłuchiwały się temu w milczeniu.

Wkrótce pojawiły się inne statki, przywożąc ze sobą ludzi przysłanych przez króla. Nie wszyscy byli mile witani przez mieszczan i wieśniaków z gontyjskiej prowincji. Na wyspie pojawili się szeryfowie, którzy mieli zdać sprawę władcy z działania miejscowych urzędników i strażników pokoju oraz wysłuchiwać skarg mieszkańców, nawet prostych ludzi; pojawili się też nadzorcy i poborcy podatkowi oraz szlachta, przybywająca w odwiedziny do dumnych paniczyków z Gontu, wypytująca dyskretnie, czy dochowują wierności koronie w Havnorze; a także czarnoksiężnicy, wędrujący pozornie bez celu, którzy zdawali się robić niewiele, a mówić – jeszcze mniej.

– Mam wrażenie, że jednak szukają nowego Arcymaga – stwierdziła Tenar.

– Albo badają nadużycia w sztuce – dodał Ged. – Magię, która zeszła na złą drogę.

Już miała powiedzieć: zatem powinni zajrzeć do dworu w Re Albi, jednakże język odmówił jej posłuszeństwa. Co chciałam rzec? – pomyślała. Czy kiedykolwiek wspominałam Gedowi o... robię się zapominalska. O czym miałam powiedzieć Gedowi? A, tak, trzeba naprawić bramkę pastwiska, zanim krowy wejdą w szkodę.

Stale miała na głowie mnóstwo niecierpiących zwłoki spraw do załatwienia. „Nigdy nie zadowala cię tylko jedna rzecz naraz”, powiedział kiedyś Ogion. Mimo że Ged tyle jej pomagał, całe dnie krzątała się po farmie, poświęcając pracy każdą wolną chwilę. Ged, w odróżnieniu od Krzemienia, nie stronił od zajęć domowych; tyle że Krzemień był rolnikiem, a Ged – nie. Uczył się szybko, ale też wiele musiał się nauczyć. Pracowali. Obecnie brakowało im czasu na dłuższe rozmowy. Pod koniec dnia razem zjadali kolację, kładli się spać, po czym wstawali o świcie i znów brali się do pracy. I tak na okrągło, niczym koło wodnego młyna. Zrywali się rano pełni sił, a dni przelewały im się przez palce niczym woda napędzająca żarna.

– Witaj, matko – powiedział szczupły mężczyzna przy bramie.

Tener wydawało się, że to najstarszy syn Skowronek.

– Co cię tu sprowadza, chłopcze? – spytała niecierpliwie. Nagle spojrzała uważniej na przybysza oddzielonego od niej stadkiem rozgdakanych kur i maszerujących dumnie gęsi. – Iskra! – wykrzyknęła i płosząc drób, pobiegła w jego stronę.

– Daj spokój – odparł. – Nie przesadzaj.

Pozwolił się objąć, pogłaskać po twarzy. Razem przyszli do kuchni i Iskra usiadł przy stole.

– Jadłeś coś? Czy widziałeś się z siostrą?

– Chętnie coś przekąszę.

Tenar zaczęła grzebać w dobrze zaopatrzonej spiżarni.

– Na jakim statku służysz? Ciągle na „Mewie”?

– Nie. – Chwila wahania. – Mój statek się rozpadł.

Odwróciła się przerażona.

– Rozbił?

– Nie. – Uśmiechnął się bez cienia rozbawienia. – Ściślej mówiąc, załoga się rozpadła. Statek przejęli królewscy.

– Ale przecież to nie był statek piracki.

– Nie.

– Zatem dlaczego...?

– Twierdzili, że kapitan przemyca jakieś towary – odparł niechętnie.

Był szczupły jak zawsze, lecz wyglądał starzej – ogorzały, długowłosy, o wąskiej pociągłej twarzy przypominającej twarz Krzemienia, lecz jeszcze twardszej.

– Gdzie jest ojciec?

Tenar znieruchomiała.

– Nie odwiedziłeś siostry.

– Nie – odparł obojętnie.

– Krzemień zmarł trzy lata temu. Dostał udaru na polu, tuż przy zagrodach dla jagniąt. Potok go znalazł. Minęły już trzy lata.

Zapadła cisza. Najwyraźniej nie wiedział, co rzec, albo nie miał nic do powiedzenia.

Postawiła przed nim strawę. Zajadał z takim apetytem, że natychmiast zakrzątnęła się, przygotowując kolejną porcję.

– Kiedy jadłeś po raz ostatni?

Wzruszył ramionami, nie przestając żuć.

Usiadła przy stole naprzeciw niego. Promienie późnowiosennego słońca wpadały przez niskie okno, połyskując na mosiężnym obramowaniu paleniska.

W końcu odsunął na bok talerz.

– To kto prowadzi farmę?

– Dlaczego chcesz to wiedzieć, synu? – spytała łagodnie, lecz oschle.

– Jest moja – odparł podobnym tonem.

Po chwili Tenar wstała i sprzątnęła naczynia.

– Istotnie.

– Oczywiście możesz tu zostać – dodał niezręcznie. Może chciał, by zabrzmiało to jak żart, ale nigdy nie należał do dowcipnisiów. – Stary Potok nadal tu jest?

– Wszyscy są. A także mężczyzna zwany Jastrzębiem i dziecko, którym się zajmuję. Tu. W domu. Będziesz musiał spać na poddaszu. Przyniosę ci drabinę. – Stanęła naprzeciw niego. – Zamierzasz zatem zostać?

– Możliwe.

Krzemień odpowiadał jej tak przez dwadzieścia lat, odmawiając żonie prawa do zadawania pytań dzięki temu, że nigdy nie mówił wprost tak czy nie, zachowywał wolność, u której podstaw leżała jej niewiedza.

Co za marny, ograniczony rodzaj wolności, pomyślała Tenar.

– Mój biedaku – rzekła. – Twoja załoga się rozpadła, ojciec umarł, a w domu zamieszkali obcy. I wszystko to spada na ciebie jednego dnia. Potrzebujesz czasu, aby do tego przywyknąć. Współczuję ci, synu, ale jednocześnie cieszę się, że tu jesteś. Często o tobie myślałam; wyobrażałam sobie, jak żeglujesz po morzach podczas zimowych sztormów.

Nie odpowiedział. Nie miał jej nic do zaoferowania, nie potrafił też przyjmować. Gwałtownie odsunął krzesło i miał właśnie wstać, gdy do kuchni wpadła Therru. Iskra zamarł bez ruchu.

– Co jej się stało? – spytał.

– Została poparzona. To jest mój syn, o którym ci opowiadałam, Therru. Marynarz Iskra. Therru jest twoją siostrą, Iskro.

– Siostrą!

– Przybraną.

– Siostrą! – powtórzył i rozejrzał się po kuchni, jakby w poszukiwaniu świadka całego zdarzenia. Wbił wzrok w matkę.

Odpowiedziała mu spokojnym spojrzeniem.

Wreszcie wyszedł, omijając szerokim łukiem nieruchomą Therru. Wychodząc, trzasnął drzwiami.

Tenar zaczęła mówić coś do dziewczynki, lecz urwała, gdyż głos odmówił jej posłuszeństwa.

– Nie płacz – mruknęła Therru, która nigdy nie płakała. Podeszła do opiekunki, dotykając jej ramienia. – Czy on cię skrzywdził?

– Och, Therru! Niechże cię uścisnę! – Tenar usiadła przy stole z Therru na kolanach, tuląc ją do siebie, choć dziewczynka była już na to nieco za duża i nigdy nie nauczyła się swobodnie poddawać pieszczotom. Niemniej Tenar obejmowała ją teraz i płakała, Therru zaś nachyliła swą okaleczoną głowę i przytuliła policzek do twarzy opiekunki, póki i on nie spłynął łzami.

***

O zmierzchu z przeciwnych stron farmy nadeszli Ged i Iskra. Iskra najwyraźniej odbył rozmowę z Potokiem i przemyślał całą sytuację, natomiast Ged wciąż jeszcze usiłował ją ogarnąć. Podczas kolacji nie mówiono zbyt wiele, a i to bardzo ostrożnie. Iskra nie narzekał, że jego stary pokój jest zajęty, tylko wdrapał się po drabinie na stryszek, jak przystało na marynarza. Najwyraźniej zadowoliło go przygotowane przez matkę posłanie, bo następnego dnia zszedł na dół dopiero późnym rankiem.

Wówczas zażądał śniadania, oczekując, że zostanie mu podane. Jego ojca zawsze obsługiwały kobiety: matka, żona, córka. Czyż on także nie był mężczyzną? Czy Tenar miała mu to udowodnić? Podała zatem posiłek, po czym sprzątnęła naczynia i wróciła do sadu, gdzie

wraz z Therru i Shandy zajmowała się zwalczaniem plagi gąsienic grożących zniszczeniem świeżo zawiązanych owoców.

Iskra natomiast dołączył do Potoka i Tiffa. Mijały dni, a on przebywał głównie w ich towarzystwie. Ged, Shandy i Tenar wykonywali najcięższe prace, wymagające siły i zręczności. To oni zajmowali się zbiorami i oporządzali owce. Tymczasem dwaj starcy, którzy mieszkali na farmie przez całe życie, pomocnicy ojca Iskry, opowiadali mu o tym, jak to zarządzają gospodarstwem, wierząc, że to prawda, i zarażając go ową wiarą.

Tenar czuła się coraz gorzej we własnym domu. Tylko na dworze, zajęta pracą, uwalniała się od gniewu i wstydu, które budziła w niej obecność syna.

– Teraz moja kolej – powiedziała do Geda z goryczą w rozświetlonej blaskiem gwiazd ciemności ich sypialni. – Moja kolej, aby utracić to, z czego byłam najbardziej dumna.

– Co takiego straciłaś?

– Mojego syna. Syna, którego nie wychowałam na człowieka. Zawiodłam. Zawiodłam go. – Przygryzła wargę, patrząc w mrok; oczy miała zupełnie suche.

Ged nie próbował spierać się z nią ani jej pocieszać. Spytał jedynie:

– Czy sądzisz, że wrócił na dobre?

– Tak. Boi się znów ruszyć na morze. Nie powiedział mi prawdy o swoim statku albo powiedział niecałą. Był młodszym oficerem. Przypuszczam, że uczestniczył w przemycie. Takie piractwo z drugiej ręki. Nic mnie to nie obchodzi. Wszyscy gontyjscy żeglarze są po trosze piratami. Ale on mnie oszukał. Skłamał. I jest o ciebie zazdrosny. Nieuczciwy, zawistny człowiek.

– Raczej przerażony – stwierdził Ged. – Nie jest zły. Poza tym to jego farma.

– Więc niech ją sobie weźmie! A ona niech potraktuje go równie szczodrze jak...

– Nie, ukochana. – Ged pochwycił jej dłonie tak mocno, że głos uwiązł Tenar w gardle. – Nie wypowiadaj złych słów! – Był tak przejęty, tak szczerze poruszony, że jej gniew natychmiast przerodził się w miłość, z której zresztą wyrastał.

– Nie mogłabym przekląć ani jego, ani tego gospodarstwa! – wykrzyknęła. – Nie mówiłam poważnie. Tyle że tak bardzo mi żal, tak się wstydzę. Przykro mi, Ged.

– Nie, nie, ukochana. Nie dbam o to, co myśli o mnie twój syn, ale ciebie traktuje bardzo źle.

– I Therru. Zupełnie jakby... Kiedyś powiedział do mnie; „Co ona zrobiła, że tak wygląda?". Co ona zrobiła...?!

Ged pogładził jej włosy, jak to miał we zwyczaju – lekkimi powolnymi ruchami, które sprawiały, że oboje ogarniało senne rozmarzenie.

– Mógłbym znów zająć się pasaniem kóz – powiedział wreszcie. – To ułatwiłoby całą sprawę. Tylko że praca...

– Wolałabym pójść z tobą.

Ponownie pogłaskał ją po głowie, zastanawiając się przez chwilę.

– Sądzę, że to możliwe – rzekł wreszcie. – Podczas wypasu nad Lissu spotkałem parę rodzin. Ale kiedy nastanie zima...

– Może zatrudni nas jakiś farmer? Umiem pracować, znam się na owcach, a ty na kozach. I świetnie sobie radzisz z narzędziami.

– Na przykład z widłami – mruknął; nagrodził go cichy śmiech.

Następnego ranka Iskra wstał wcześnie, aby zjeść z nimi śniadanie, wybierał się bowiem na ryby ze starym Tiffem. Podnosząc się zza stołu, powiedział cieplej niż zwykle:

– Przyniosę mnóstwo ryb na kolację.

Tenar jednak w nocy podjęła decyzję.

– Zaczekaj, Iskro – rzuciła. – Sprzątnij ze stołu. Włóż naczynia do miednicy i zalej wodą. Umyjemy je po kolacji.

Przez chwilę wpatrywał się w nią.

– To babska robota – oznajmił wreszcie, wkładając czapkę.

– Może to zrobić każdy, kto jada w tej kuchni.

– Nie ja – odparł zimno i wyszedł.

– Jastrząb tak, ale nie ty! – wykrzyknęła, stając w drzwiach.

Jej syn skinął jedynie głową, idąc przez podwórze.

– Już za późno – powiedziała, wracając do kuchni. – Zawiodłam. – Czuła, jak na twarzy rysują jej się zmarszczki, sztywne bruzdy obok ust, między oczami. – Można podlewać kamień, ale on nie wyrośnie.

– Trzeba zaczynać, kiedy są jeszcze młodzi i giętcy – wtrącił Ged. – Tak jak ja.

Tym razem nie potrafiła się roześmiać.

Po całym dniu pracy wrócili i ujrzeli jakiegoś mężczyznę rozmawiającego z Iskrą przy głównej bramie.

– To ten człowiek z Re Albi, prawda? – spytał Ged obdarzony doskonałym wzrokiem.

– Chodź, Therru – poleciła Tenar, dziewczynka bowiem zatrzymała się jak wryta. – Jaki człowiek? – Zmrużyła swe oczy krótkowidza, spoglądając przez podwórze. – A, tak! Jak go zwą? Handlarz owiec, Townsend. Po co tu wrócił, padlinożerca?

Przez cały dzień była w złym humorze, toteż Ged i Therru uznali, że mądrzej będzie nie odpowiadać.

Tenar zbliżyła się do mężczyzn przy bramie.

– Czy przychodzisz w sprawie jagniąt, Townsend? Spóźniłeś się o rok, ale mamy jeszcze kilka młodych w owczarni.

– To samo mówił gospodarz – odparł handlarz.

– Ach, tak – rzuciła Tenar. Ton jej głosu sprawił, że twarz Iskry pociemniała. – Nie będę zatem przeszkadzać tobie i gospodarzowi. – Odwróciwszy się, już miała odejść, lecz Townsend powiedział:

– Mam dla ciebie wiadomość, Goho.

– Do trzech razy sztuka.

– Stara wiedźma, znasz ją, ta Mech, jest bardzo chora. Kiedy usłyszała, że wybieram się do Doliny Środkowej, poprosiła: „Przekaż Gosze, że gdyby mogła tu przybyć, chętnie zobaczyłabym się z nią przed śmiercią".

Kruk, padlinożerny kruk, pomyślała Tenar, patrząc z nienawiścią na zwiastuna złych wieści.

– Jest chora?

– Śmiertelnie – odparł Townsend z uśmieszkiem, który miał zapewne wyrażać współczucie. – Już zimą była słaba, a teraz jej stan pogarsza się z każdym dniem. Prosiła, by ci przekazać, że bardzo chce cię zobaczyć, zanim odejdzie.

– Dziękuję, że przekazałeś mi tę wiadomość – odparła z powagą Tenar i zawróciła do domu.

Townsend i Iskra ruszyli tymczasem w stronę owczarni.

Gdy szykowali razem kolację, Tenar powiedziała do Geda i Therru:

– Muszę iść.

– Jeśli chcesz, pójdziemy we troje.

– Naprawdę? – Po raz pierwszy tego dnia jej twarz pojaśniała. Chmury burzowe odpłynęły. – Och, to dobrze... Nie chciałam was prosić. Sądziłam, że może... Therru, czy miałabyś ochotę wrócić na trochę do domu Ogiona?

Therru stanęła bez ruchu, zastanawiając się głęboko.

– Zobaczyłabym moje drzewko brzoskwiniowe.

– Tak. A także Wrzos i Sippy, i Mech… Biedna Mech! Jakże tęskniłam za tym domem. Pragnęłam tam wrócić, ale sądziłam, że to niemożliwe. Trzeba było pracować na farmie i w ogóle.

Przez moment wydało jej się, że istniał jeszcze jakiś inny powód, dla którego nie chciała wracać, który sprawił, że w ogóle nie myślała o powrocie, nie orientując się nawet, jak bardzo tęskni za Re Albi. Jednakże powód ten zniknął niczym cień albo zapomniane słowo.

– Zastanawiam się, czy ktokolwiek opiekował się Mech, czy posłali po uzdrowiciela. Ona jest jedyną czarownicą na Overfell, ale z pewnością w Porcie Gont znaleźliby się ludzie, którzy mogliby jej pomóc. Och, biedna Mech. Tak bardzo chcę pójść. Dziś już jest zbyt późno, ale jutro, wczesnym rankiem... A gospodarz może sam sobie przyrządzić śniadanie.

– Nauczy się – wtrącił Ged.

– Raczej nie. Znajdzie sobie jakąś durną kobietę, żeby robiła to za niego. Ach! – Rozejrzała się po kuchni błyszczącymi z podniecenia oczami. – Zostawię jej w spadku dwadzieścia lat codziennego szorowania tego stołu. Mam nadzieję, że to doceni.

Iskra przyprowadził Townsenda na kolację, lecz handlarz owiec odmówił noclegu, choć oczywiście zaproponowano mu łóżko zgodnie z zasadami gościnności. Musiałby spać w jednej z ich sypialni, a Tenar nie spodobał się ten pomysł, ucieszyła się zatem, gdy w błękitnym półmroku wiosennego zmierzchu odszedł do wioski, gdzie zatrzymał się na kilka dni.

– Jutro wczesnym rankiem ruszamy do Re Albi, synu – oznajmiła, zwracając się do Iskry. – Jastrząb, Therru i ja.

– Ot tak sobie? – spytał zaskoczony.

– Tak jak ty kiedyś odszedłeś, a teraz wróciłeś – odparła. – Spójrz, Iskro. To jest skarbonka twojego ojca. Schował w niej siedem kawałków kości oraz sztony kredytowe od starego Mosta, ale on nigdy nie zapłaci, bo nie ma czym. Te cztery andradzkie kościaki Krzemień zarobił, sprzedając owcze skóry okrętowemu dostawcy w Ujściu, przez cztery lata, kiedy byłeś jeszcze małym chłopcem; trzema havnorskimi zapłacił nam Tholy za farmę Góski Potok. Ja namówiłam twojego ojca, by ją kupił, i pomogłam mu wysprzątać ją i sprzedać, zabiorę je, ponieważ na nie zapracowałam. Reszta oraz farma należą do ciebie. Jesteś tu gospodarzem.

Wysoki, szczupły młodzieniec stał bez ruchu z wzrokiem wbitym w skarbonkę ojca.

– Weź wszystko. Nie chcę tego – powiedział cicho.

– Nie potrzebuję ich, ale dziękuję ci, mój synu. Zatrzymaj cztery kościaki. Kiedy się ożenisz, przekaż je w darze ode mnie twojej żonie.

Odłożyła szkatułkę na miejsce, za półmisek na najwyższej półce kredensu, tam gdzie zawsze chował ją Krzemień.

– Therru, przyszykuj swoje rzeczy, bo wyruszamy o świcie.

– Kiedy wrócisz? – spytał Iskra.

Ton jego głosu przypomniał Tenar niespokojnego słabowitego chłopczyka sprzed lat. Odparła jednak tylko:

– Nie wiem, mój drogi. Jeśli będziesz mnie potrzebował, przyjdę.

Zakrzątnęła się, szykując buty podróżne i worki.

– Iskro – powiedziała po chwili. – Możesz coś dla mnie zrobić?

Jej syn przysiadł na ławie obok kominka, niepewny i markotny.

– Co takiego?

– Wybierz się w najbliższym czasie do Ujścia i odwiedź siostrę. Powiedz jej, że wróciłam na Overfell. Gdyby mnie potrzebowała, niech przyśle wiadomość.

Przytaknął. Przez chwilę obserwował Geda, który spakował już swój skromny dobytek ze zręcznością wytrawnego podróżnika, teraz zaś układał naczynia, żeby pozostawić kuchnię w porządku. Uczyniwszy to, usiadł naprzeciwko Iskry, przewlekając nowy sznurek przez uchwyty w worku.

– Do tego używa się specjalnego węzła – zauważył Iskra. – Marynarskiego.

Ged bez słowa podał mu worek i patrzył, jak młodzieniec zawiązuje węzeł.

– Widzisz, przesuwa się – powiedział Iskra, a Ged skinął głową.

***

Opuścili farmę w chłodnym mroku przedświtu. Słońce wstawało dość późno nad zachodnim zboczem góry Gont i póki nie wyłoniło się wreszcie znad wielkiego masywu południowego szczytu, tylko szybki marsz pozwalał im się ogrzać. Wkrótce poczuli na plecach ciepły dotyk promieni.

Therru była znacznie silniejsza niż zeszłego lata, lecz mimo wszystko czekała ich dwudniowa podróż. Późnym popołudniem Tenar zagadnęła:

– Czy spróbujemy dziś dotrzeć do Dębowych Źródeł? Jest tam gospoda. Piłyśmy w niej mleko, pamiętasz, Therru?

Ged z zagadkową miną spoglądał w górę zbocza.

– Znam tu pewne miejsce...

– Doskonale – odparła Tenar.

Tuż przed zakrętem, z którego można już było dostrzec Port Gont, Ged skręcił ostro w las porastający stromy stok nad nimi. Czerwonozłote ukośne promienie zachodzącego słońca przeszywały mrok panujący między drzewami pod gęstym dachem gałęzi. Przez pół mili wspinali się w górę; Tenar nie dostrzegła żadnej ścieżki, aż w końcu dotarli do niewielkiej półki skalnej, małej łąki, ze wszystkich stron osłoniętej przed wiatrem. Widać stąd było wyniosłe szczyty na północy, pomiędzy potężnymi jodłami zaś przeświecało morze. Panowała całkowita cisza, czasami przerywana jedynie szmerem wiatru w gałęziach jodeł. Górski skowronek, szybujący wysoko na niebie, zaintonował długą słodką pieśń, po czym opadł ku gniazdu skrytemu w dziewiczej trawie.

Pożywili się chlebem i serem. Patrzyli, jak mrok znad morza powoli wpełza na zbocza. Rozesłali na ziemi płaszcze i położyli się spać – Therru obok Tenar, Tenar obok Geda. W środku nocy Tenar się ocknęła. W pobliżu pohukiwała sowa, jej głos niósł się po lesie dźwięcznym, głębokim echem. Daleko na górze drugi ptak odpowiedział niczym widmowy dzwon. Popatrzę, jak gwiazdy zanurzają się w morzu, pomyślała Tenar, jednak wkrótce ponownie zasnęła, czując spokój w sercu.

Obudziła się szarym świtem i ujrzała Geda siedzącego obok na trawie. Ciasno spowity płaszczem spoglądał w dal, jego ciemna twarz była nieruchoma i milcząca jak kiedyś, na plaży Atuanu. Nie spuszczał jednak oczu jak wtedy. Patrzył prosto w bezkresny zachód. Podążając za jego wzrokiem, ujrzała odbijające się w wodach różanozłote łuny poranka.

Odwrócił się do niej, ona zaś rzekła:

– Pokochałam cię w chwili, gdy po raz pierwszy cię zobaczyłam.

– Dawczyni życia – odparł i nachylił się ku niej, całując jej piersi i usta. Na moment przytuliła go, po czym wstali, obudzili Therru i znów ruszyli w drogę. Kiedy wkroczyli między drzewa, Tenar obejrzała się po raz ostatni na maleńką łąkę, jakby prosząc ją, by zatrzymała w pamięci ową chwilę szczęścia.

Celem pierwszego dnia podróży było dojść jak najdalej, drugiego – dotrzeć do Re Albi. Myśli Tenar błądziły wokół cioteczki Mech. Zastanawiała się, co ją spotkało i czy staruszka rzeczywiście umiera. Jednakże w miarę upływu czasu, gdy coraz bardziej zbliżali się do miasteczka, nie mogła skupić się na wspomnieniach ani na żadnej innej myśli. Była zmęczona. Niechętnie podążała drogą, na której końcu znów czekała śmierć. Minęli Dębowe Źródła, zagłębili się w wąwóz, po czym znów ruszyli pod górę. Na ostatnim długim wzniesieniu przed Overfell nogi ciążyły jej nieznośnie, była dziwnie otępiała. Jej myśli skupiały się to na jakimś słowie, to na obrazie, pozbawiając go w końcu jakiegokolwiek znaczenia – na kredensie w domu Ogiona, słowach „kościany delfin”, które przyszły jej na myśl, gdy ujrzała woreczek z sitowia kryjący w sobie skarby Therru, i od tej pory je powtarzała.

Ged szedł obok, stawiając długie kroki, Therru dzielnie dreptała u jego boku – ta sama Therru, której niecały rok wcześniej zabrakło sił podczas długiej wspinaczki i ostatni fragment drogi przebyła niesiona na rękach. Ale wówczas miały za sobą dłuższy dzień, a mała nie wyzdrowiała jeszcze całkiem po strasznych przeżyciach.

Tenar z trudem wspinała się pod górę. Starzała się, była za słaba, by iść tak szybko. Stara kobieta powinna zostać w domu przy kominku. Kościany delfin, kościany delfin. Kość, związana, zaklęcie wiążące. Kościany człowiek, kościane zwierzę. Wyprzedzili ją i czekali na rozstajach. Szła coraz wolniej. Była zmęczona, tak bardzo zmęczona. Pokonawszy ostatnie wzniesienie, dogoniła ich w miejscu, gdzie droga przestawała się wznosić. Po lewej stronie rozciągały się dachy Re Albi, nachylone w stronę urwiska, po prawej trakt skręcał w górę do dworu.

– Tędy – powiedziała Tenar.

– Nie – zaprotestowała dziewczynka, wskazując na lewo, w stronę miasteczka.

– Tędy – powtórzyła Tenar i ruszyła na prawo.

Ged poszedł za nią.

Mijali sady orzechowe i rozległe łąki. Było późne letnie popołudnie; na bliskich i dalszych drzewach śpiewały ptaki. Jakiś człowiek pojawił się na drodze wychodzącej z wielkiego budynku i zbliżył się ku nim. Nie mogła przypomnieć sobie jego imienia.

– Witajcie – rzekł z uśmiechem i zatrzymał się.

Oni także przystanęli.

– Cóż za wspaniałe osobistości przybyły, aby zaszczycić dom władcy Re Albi!

Tuaho… nie tak się nazywał. Kościany delfin, kościane zwierzę, kościane dziecko.

– Wielmożny pan Arcymag! – skłonił się nisko i Ged odpowiedział tym samym. – I jaśnie pani Tenar z Atuanu! – Kolejny głęboki ukłon.

Tenar padła na kolana. Pochyliła głowę, dłońmi dotknęła ziemi, pochylała głowę coraz niżej, aż wreszcie jej usta spoczęły na ubitym piachu.

– A teraz pełzaj! – polecił. Zaczęła czołgać się w jego stronę.

– Stój!

Posłuchała.

– Możesz mówić?

Milczała; do głowy nie przychodziły jej żadne słowa. Jednakże Ged odparł swym normalnym tonem:

– Tak.

– Gdzie jest potwór?

– Nie wiem.

– Sądziłem, że wiedźma przyprowadzi tu swojego pobratymca, a przywiodła ciebie, wielmożnego Arcymaga Krogulca! Cóż za wspaniałe zastępstwo! Jedyne, co mogę zrobić z wiedźmami i potworami, to oczyścić z nich świat. Ale z tobą, który kiedyś byłeś mężczyzną, mogę rozmawiać. Władasz normalną mową i potrafisz pojąć karę. Zapewne kiedy już osadziłeś swojego króla na tronie i zniszczywszy naszego mistrza, uznałeś, że jesteś bezpieczny. Sądziłeś, że twoja wola przeważy, że zapomnimy o obietnicy wiecznego życia, prawda?

– Nie – usłyszała głos Geda.

Nie widziała ich. Widziała jedynie ubity piach, w ustach czuła smak ziemi.

Ged odezwał się ponownie:

– W umieraniu kryje się życie.

– Kwa, kwa, cytuj sobie pieśni, mistrzu z Roke, nauczycielu! Co za zabawny widok! Wielki Arcymag odziany jak pastuch; czarnoksiężnik, któremu nie pozostał nawet okruch magii, ani jedno słowo władzy. Czy potrafisz wymówić zaklęcie, Arcymagu? Stworzyć najmniejsze złudzenie? Nie? Ani słowa? Mój mistrz cię pokonał. Przegrałeś! Jego moc wciąż żyje. Może nawet zatrzymam cię tutaj przez jakiś czas, abyś na własnej skórze doświadczył tej mocy, która teraz należy do mnie. Mógłbyś obejrzeć starca, którego utrzymuję przy życiu. Jeśli będzie trzeba, może nawet wykorzystam do tego twoje siły. Zobaczyłbyś, jak twój wścibski król robi z siebie durnia, gdy jego żałośni panicze i naiwni czarodzieje szukają jakiejś kobiety. Kobieta miałaby nami rządzić! Ale władza, mistrzostwo skupiły się tutaj. W tym domu. Przez cały rok zbierałem wokół siebie wszystkich, którzy znają prawdziwą Moc. Niektórzy przybyli tu z Roke, spod opiekuńczych skrzydeł mistrzów szkoły; i z Havnoru,

sprzed samego nosa tak zwanego Syna Morreda, który pragnie, by rządziła nim kobieta, twojego króla, wierzącego, iż jest tak bezpieczny, że może ujawnić wszystkim swe prawdziwe imię. Czy znasz moje imię, Arcymagu? Pamiętasz mnie sprzed czterech lat, kiedy byłeś wielkim Mistrzem Mistrzów, a ja tylko skromnym uczniem na Roke?

– Nazywano cię Osika.

– A moje prawdziwe imię?

– Nie znam go.

– Co takiego?! Ty go nie znasz? Nie możesz go odkryć? Czyż magowie nie znają wszystkich imion?

– Nie jestem magiem.

– O, powtórz to!

– Nie jestem magiem.

– Podoba mi się, jak to mówisz. Jeszcze raz!

– Nie jestem magiem.

– Ale ja jestem.

– Tak.

– Powiedz to!

– Jesteś magiem.

– Ach, to lepsze, niż sądziłem. Zarzuciłem przynętę na płotki, złapałem wieloryba. Chodź zatem, chodź, poznasz moich przyjaciół. Ty możesz iść; ona będzie się czołgać.

Powędrowali drogą prowadzącą do dworu władcy Re Albi i weszli do środka. Tenar pełzła na czworakach przez zbity żwir i kamienne stopnie prowadzące do drzwi, a potem po marmurowych posadzkach.

Wewnątrz domu panował mrok. Umysł Tenar także spowiła ciemność. Z każdą chwilą rozumiała coraz mniej – jedynie pojedyncze słowa docierały do niej czysto i wyraźnie. Słysząc głos Geda, wspominała jego imię, rozpaczliwie chwytając się tej myśli. Jednak Ged odzywał się bardzo rzadko i jedynie odpowiadając na pytania zadawane przez człowieka, którego imię nie brzmiało Tuaho. Ten z kolei od czasu do czasu zwracał się do niej, nazywając ją suką.

– To moje nowe zwierzątko – powiedział do kilkunastu mężczyzn zebranych w mroku, gdzie świece miast blasku rzucały długie cienie. – Widzicie, jak dobrze została wyszkolona? Turlaj się, suko!

Przekoziołkowała i mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

– Miała jeszcze szczenię – dodał – którego ukarania zamierzałem dokończyć, pozostawiono je bowiem na wpół spalone. Zamiast tego sprowadziła mi tu cennego ptaka, krogulca, którego schwytała w swe sidła. Jutro nauczymy go fruwać.

Inne głosy odpowiadały, ale Tenar nie rozumiała już żadnych słów. Poczuła, jak obwiązują jej coś wokół szyi, po czym zmuszono ją do wczołgania się na kolejne schody i do komnaty, w której cuchnęło moczem, gnijącym mięsem i słodkimi kwiatami. Znów odezwały się głosy. Ręka zimna jak kamień uderzyła ją lekko w głowę, ktoś wybuchnął śmiechem skrzypiącym niczym stare zastałe drzwi. Potem wymierzono jej kopniaka i posłano na dół, do sieni. Nie mogła czołgać się dostatecznie szybko, toteż kopano ją po piersiach i twarzy. Trzasnęły kolejne drzwi i zapadła cisza. Po chwili usłyszała czyjś płacz i pomyślała, że to dziecko. Jej dziecko. Chciała, żeby przestało płakać. W końcu umilkło.

14

Tehanu

Dziewczynka skręciła w lewo i przeszła kawałek, po czym skryła się w gęstwinie kwitnącego żywopłotu.

Osika, którego prawdziwe imię brzmiało Erisen i którego postrzegała jako drgającą, rozdwojoną ciemność, spętał jej matkę i ojca rzemieniem przewleczonym przez język kobiety i serce mężczyzny. Teraz prowadził ich w stronę swojej kryjówki. Spowijająca to miejsce woń sprawiała, że dziewczynka poczuła mdłości, jednakże poszła kawałek za nimi, aby sprawdzić, dokąd zmierzają. Wprowadził ich do środka, zatrzaskując za sobą drzwi. Były z kamienia. Nie mogła tam wejść.

Chciała pofrunąć, ale nie mogła; nie była jedną ze skrzydlatych.

Pobiegła zatem ile sił w nogach przez pola, mijając chatę cioteczki Mech, dom Ogiona i zagrodę dla kóz, wprost na ścieżkę prowadzącą w stronę urwiska, tam dokąd nie wolno jej było chodzić, bo widziała tylko na jedno oko. Była bardzo ostrożna. Wytężając zdrowe oko, uważnie obserwowała drogę przed sobą. W końcu stanęła nad przepaścią. Hen, w dole, rozciągała się tafla wody; w dali zachodziło słońce. Spojrzała na zachód drugim okiem i drugim głosem wykrzyknęła imię, które usłyszała we śnie matki.

Nie czekając na odpowiedź, zawróciła i pobiegła z powrotem – najpierw do domu Ogiona, żeby sprawdzić, czy jej brzoskwiniowe drzewko urosło. Stare drzewo stało jak dawniej, obwieszone małymi

zielonymi owocami, lecz po młodym pędzie nie pozostał żaden ślad. Zapewne zjadły go kozy albo usechł, bo przestała go podlewać. Przez chwilę wpatrywała się w ziemię, po czym odetchnęła głęboko i wróciła przez pola do chaty cioteczki Mech.

Kiedy weszła do środka, szykujące się do snu kury zaprotestowały, gdacząc donośnie i trzepocząc gniewnie skrzydłami. W małej izbie panował mrok; w powietrzu unosił się gęsty, nieznośny smród.

– Cioteczko Mech! – zawołała głosem, którym posługiwała się w rozmowach z tymi ludźmi.

– Kto tam?

Stara kobieta leżała w łóżku, kryjąc się pod kołdrą. Była wyraźnie przerażona; usiłowała wznieść wokół siebie kamienną zaporę, ale nie zdołała – brakowało jej sił.

– Kto to? Kto tu jest? Ach, mój skarbie… moja kruszyno, moja maleńka poparzona, moja śliczna, co ty tu robisz? Gdzie ona jest? Gdzie twoja matka? Czy przyszła? Nie wchodź tu, skarbie, nie zbliżaj się. Ciąży nade mną klątwa. Przeklął starą kobietę... Zostań tam! Nie podchodź!

Czarownica zapłakała. Dziewczynka wyciągnęła rękę i dotknęła jej.

– Zmarzłaś.

– Jesteś jak ogień, dziecko, twoja dłoń mnie parzy. O, nie patrz na mnie! Sprawił, że moje ciało gnije i zasycha, a potem znów gnije, ale nie pozwolił mi umrzeć – mówił, że cię tu sprowadzę. Próbowałam umrzeć, naprawdę się starałam, lecz on wbrew mej woli utrzymuje mnie przy życiu i nie pozwala odejść. Och, pozwól mi odejść!

Dziewczynka zmarszczyła brwi.

– Nie powinnaś umierać.

– Dziecko – szepnęła stara kobieta – skarbie, nazwij mnie moim prawdziwym imieniem.

– Hatha.

– Wiedziałam... Uwolnij mnie, skarbie!

– Muszę zaczekać – odparła dziewczynka. – Aż przybędą.

Czarownica leżała spokojnie; dręczący ją ból minął.

– Aż kto przybędzie, skarbie? – spytała.

– Moje plemię.

Wielka, zimna ręka czarownicy spoczywała w jej dłoni niczym wiązka cienkich patyków. Dziewczynka ścisnęła ją mocno. Teraz na dworze było już równie ciemno jak w mrocznej izbie. Hatha, którą ludzie nazywali Mech, zasnęła; po krótkim czasie dziewczynka, przycupnięta na ziemi obok legowiska wiedźmy, niedaleko obrażonej kury, także zapadła w sen.

***

Mężczyźni przyszli ponownie, kiedy zrobiło się jasno.

– Wstawaj, suko! – rozkazał jeden z nich.

Na czworakach podniosła się z ziemi. On roześmiał się szyderczo.

– Wyżej! Jesteś przecież mądrą suką, potrafisz chodzić na tylnych łapach. O, właśnie. Udawaj, że jesteś człowiekiem! Czeka nas długa droga. Chodź! – Gruby pas nadal okalał jej szyję i mężczyzna szarpnął go mocno. Poszła za nim. – Masz, poprowadź ją – polecił. Teraz drugi mężczyzna, ten, którego kochała, ale nie pamiętała już jego imienia, ujął w dłoń smycz.

Razem wyłonili się z mroku. Kamienna ściana otwarła się przed nimi i zatrzasnęła z głuchym szczękiem.

On cały czas szedł tuż za nią i za tym, który trzymał smycz. Nieco dalej dreptali inni – trzech, czterech mężczyzn.

Pola były szare od rosy. Czarna góra odcinała się ostro na tle bladego nieba. W sadach i żywopłotach zaczynały już śpiewać pierwsze ptaki, coraz głośniej i głośniej.

Dotarli do skraju świata i przez jakiś czas szli wzdłuż niego, aż wreszcie znaleźli się w miejscu, gdzie pod nogami mieli już tylko skałę, a półka znacznie się zwęziła. Długa rysa przecinała kamień.

– Najpierw ją zepchnie – oznajmił mężczyzna – a potem sokół także poleci o własnych siłach.

Odwiązał opasującą jej szyję obrożę.

– Stań na krawędzi – rozkazał.

Posłusznie przeszła wzdłuż rysy aż na skraj przepaści. W dole rozciągało się morze, wokół siebie czuła bezkresny przestwór

powietrza.

– A teraz Krogulec ją zepchnie – oznajmił mężczyzna. – Ale może przedtem suka zechce przekazać nam jakąś wiadomość? Ma przecież tak wiele do powiedzenia – jak wszystkie kobiety. Czy nie chciałabyś czegoś rzec, pani Tenar?

Nie mogła mówić, lecz pokazała ręką niebo nad morzem.

– Albatros – stwierdził.

Roześmiała się w głos.

W otchłani światła, spoza wrót niebios, wyfrunął smok, ciągnąc za sobą wężową smugę ognia. Wówczas Tenar przemówiła.

– Kalessin! – wykrzyknęła i pochwyciła ramię Geda, pociągając go na ziemię. Nad ich głowami przetoczył się ryk płomieni, szczęk łusek i syk wiatru w uniesionych skrzydłach oraz zgrzyt ostrych jak brzytwa szponów drących skałę.

***

Znad morza wiał słaby wiatr. Maleńki krzak ostu, rosnący w skalnej szczelinie, skłonił główkę, poddając się pokornie kolejnym podmuchom.

Ged przykucnął tuż obok niej. Siedzieli skuleni na skale. Za sobą mieli morze, przed sobą – smoka.

Olbrzymi gad spojrzał na nich z ukosa jednym żółtym okiem.

Wówczas Ged odezwał się ochrypłym, drżącym głosem, w języku smoków. Tenar jednak zrozumiała jego słowa:

– Dziękujemy ci, Najstarszy.

Patrząc na Tenar, Kalessin odpowiedział ogłuszająco; jego głos zabrzmiał jak zgrzyt metalowej miotły przesuwanej po powierzchni wielkiego gongu.

– *Aro Tehanu?*

– Dziecko! – jęknęła Tenar. – Therru!

Zerwała się na nogi, aby biec na poszukiwania dziewczynki, i ujrzała ją, pędzącą wzdłuż przepaści, pomiędzy górą a morzem, w stronę smoka.

– Wolniej, Therru! – zawołała i rzuciła się ku niej biegiem. Przywarły do siebie, obejmując się z całych sił.

Smok odwrócił swą ogromną rdzawą głowę, przyglądając im się obojgiem oczu. W jego nozdrzach, wielkich jak kotły, płonął ogień, unosiły się z nich smużki dymu. Chłodny wiatr rozwiewał bijące od cielska gorąco.

– Tehanu – powiedział smok.

Dziewczynka odwróciła się, spoglądając na niego.

– Kalessin – rzekła.

Ged, który dotąd klęczał na skale, dźwignął się chwiejnie na nogi, wsparty o ramię Tenar, i wybuchnął śmiechem.

– Teraz już wiem, kto cię wezwał, Najstarszy!

– Ja – odparła dziewczynka. – Nie wiedziałam, co innego mogę zrobić, Segoyu.

Nadal patrzyła na smoka i przemawiała w smoczym języku, Mowie Tworzenia.

– Dobrze się stało, dziecię – powiedział smok. – Długo cię szukałem.

– Czy teraz pofruniemy? – spytała dziewczynka – Do naszych, na inny wiatr?

– Zostawiłabyś tych dwoje?

– Nie. Czy oni nie mogą odejść z nami?

– Nie mogą. Ich miejsce jest tutaj.

– Więc i ja zostanę. – Jej głos załamał się lekko.

Kalessin przechylił głowę i wydał z siebie ogłuszające płomieniste „ha!" – nie wiadomo, czy miał to być wyraz rozbawienia, pogardy, radości czy gniewu. Następnie, spoglądając na dziewczynkę, dodał:

– To dobrze. Masz tu wiele do zrobienia.

– Wiem – odrzekło dziecko.

– Wrócę po ciebie – oznajmił Kalessin – w stosownym czasie. – I zwracając się do Tenar i Geda, dodał: – Oddaję wam moje dziecię, tak jak wy oddacie mi swoje.

– W stosownym czasie – odparła Tenar.

Smok niemal niedostrzegalnie skłonił głowę; jeden kącik zębatej paszczy uniósł się nieco.

Ged, Tenar i Therru odskoczyli na bok. Kalessin odwrócił się, wlokąc po skale pokryte łuskami cielsko. Sprężył się jak kot, po czym wyprysnął w powietrze. Wielkie chorągwie skrzydeł zabarwiły się szkarłatem w blasku porannego słońca, kolczasty ogon zazgrzytał o kamień i gad odleciał, zniknął – jak mewa, jaskółka, myśl.

W miejscu, gdzie jeszcze niedawno spoczywał na skale, leżały przypalone szmaty, skrawki futra i jakieś szczątki.

– Chodźmy stąd – zaproponował Ged.

Kobieta i dziecko stały bez ruchu.

– To kościani ludzie – oznajmiła Therru i odwróciła się na pięcie. Po chwili już szła wąską skalną ścieżką.

– Jej ojczysty język – mruknął Ged. – Rodzima mowa.

– Tehanu – odparła Tenar. – Ma na imię Tehanu.

– Otrzymała je od dawcy imion.

– Od początku była Tehanu. Zawsze. Od chwili narodzin.

– Chodźcie! – Dziewczynka obejrzała się naglące przez ramię. – Cioteczka Mech jest chora.

***

Wspólnymi siłami wynieśli starą Mech na powietrze. Przemyli jej rany i spalili brudne prześcieradła, podczas gdy Therru pobiegła do domu Ogiona po czystą pościel. Przyprowadziła także ze sobą pasterkę Wrzos. Z jej pomocą ułożyli starą kobietę wygodnie w łóżku, otoczoną kurami. Wrzos obiecała, że zaraz wróci i przyniesie im coś do jedzenia.

– Ktoś musi zejść do Portu Gont – stwierdził Ged – i sprowadzić tamtejszego czarodzieja, żeby zajął się Mech. Można ją jeszcze uzdrowić. I niech ten ktoś zajrzy do dworu. Teraz starzec umrze. Wnuk może przeżyć, jeśli oczyści się dom... – Przysiadł na skąpanym w słońcu progu chaty czarownicy oparty o framugę i zamknął oczy. – Czemu robimy to, co robimy?

Tenar tymczasem obmyła twarz, dłonie i ręce w misce czystej, własnoręcznie napompowanej wody. Kiedy skończyła, popatrzyła

na niego. Ged, całkowicie wyczerpany, zasnął z twarzą zwróconą ku porannemu słońcu. Usiadła obok niego. Czyżby nas oszczędzono? – zapytała w duchu. Czemu?

Spojrzała na dłonie Geda, otwarte i rozluźnione, spoczywające na glinianym stopniu. Pomyślała o krzaczku ostu, kołyszącym się z wiatrem, i o szponiastej łapie smoka pokrytej czerwonozłotą łuską. Drzemała, kiedy dziewczynka usiadła obok niej.

– Tehanu – mruknęła.

– Moje drzewko uschło – powiedziała dziewczynka.

Po chwili znużona, senna Tenar pojęła jej słowa i rozbudziła się na tyle, by odpowiedzieć:

– Czy na starym drzewie są jakieś brzoskwinie?

– Tylko małe, zielone.

– Dojrzeją po Długim Tańcu. Już niedługo.

– Możemy zasadzić nowe drzewko?

– Niejedno, jeśli chcesz. Jak dom?

– Jest pusty.

– Może tu zamieszkamy? – Potrząsnęła głową, przeganiając resztki snu, i objęła dziecko. – Mam pieniądze – dodała. – Dość, by kupić całe stado kóz i zimowe pastwisko Turby'ego, jeśli nadal jest na sprzedaż. Ged wie, dokąd wyprowadzić kozy na lato... Ciekawe, czy jest tam wciąż wełna, którą razem wyczesałyśmy? – Mówiąc to, pomyślała: Zostawiliśmy księgi, księgi Ogiona! Nad kominkiem na Dębowej Farmie u Iskry! Biedny chłopiec, on przecież nie potrafi czytać!

Nie miało to jednak żadnego znaczenia. Bez wątpienia będą mieli się czego uczyć. Poza tym, gdyby Ged potrzebował ksiąg, mogła kogoś po nie posłać. I po kołowrotek. A może jesienią sama zejdzie w dolinę – spotka się z synem, odwiedzi Skowronek, pobędzie parę dni u Jabłko. Jeśli chcą tego lata mieć świeże warzywa, trzeba jak najszybciej obsiać na nowo ogródek Ogiona. Pomyślała o rzędach fasoli, jej słodko pachnących kwiatach i o małym okienku wychodzącym na zachód.

– Myślę, że możemy tu zamieszkać.

Ursula K. LeGuin

Inny wiatr

Przełożyła
Paulina Braiter

Poza najdalszym zachodem,
tam gdzie kończą się lądy,
mój lud tańczy na skrzydłach
innego wiatru.

pieśń kobiety z Kemay

1

Naprawa zielonego dzbanka

Białe niczym łabędzie skrzydła żagle unosiły „Chyżą” coraz dalej w głąb zatoki, pomiędzy Zbrojnymi Urwiskami, w stronę Portu Gont. Pchany powiewami letniej bryzy statek sunął łagodnie po nieruchomych wodach ku grobli. A poruszał się niczym istota zrodzona z wiatru – z takim wdziękiem, że kilku mieszczan łowiących ryby ze starego pomostu powitało go radosnym okrzykiem, machając rękami do członków załogi i stojącego na dziobie pasażera.

Był to chudy mężczyzna w starym czarnym płaszczu, trzymający w dłoni skromny worek – pewnie czarodziej albo drobny kupiec; nikt ważny. Wędkarze obserwowali krzątaninę na pokładzie i przystani. Statek szykował się do wyładunku. Zafascynowani gapie tylko raz zwrócili uwagę na pasażera – gdy schodził z pokładu, jeden z żeglarzy za jego plecami uczynił gest, unosząc kciuk oraz wskazujący i mały palec lewej dłoni: Obyś nigdy nie wrócił!

Człowiek w czarnym płaszczu przez chwilę rozglądał się niepewnie, po czym zarzucił worek na ramię i zagłębił się w portowe ulice. Wokół roiło się od ludzi. Trafił na targ rybny. Wszędzie rozbrzmiewały okrzyki handlarzy i ludzi targujących się zawzięcie. Kamienie brukowe połyskiwały od rybich łusek i morskiej wody. Jeśli nawet wiedział, dokąd zmierza, to wkrótce zabłądził pośród wozów, kramów, tłumu i zimnych spojrzeń martwych ryb.

Stara wysoka kobieta odwróciła się od kramu, przy którym głośno podawała w wątpliwość świeżość śledzi i prawdomówność handlarki. Widząc na sobie jej gniewny wzrok, przybysz spytał niezbyt mądrze:

– Czy byłabyś łaskawa powiedzieć, jak mam trafić do Re Albi?

– Utop się w pomyjach – warknęła i odeszła.

Skulił się zawstydzony, jednakże kramarka, dostrzegając szansę zdobycia przewagi moralnej, huknęła:

– Re Albi, tak? Idziesz do Re Albi? Mów! Skoro tak, to z pewnością szukasz domu Starego Maga. O tak. Skręć tu za róg, dalej uliczką Węgorzy aż do wieży...

Gdy wydostał się z targu, szerokie ulice zaprowadziły go w górę. Wyminął potężną wieżę strażniczą i dotarł do bramy miasta. Strzegły jej dwa kamienne smoki naturalnej wielkości, o zębach długich jak jego przedramię. Kamienne oczy spoglądały ślepo na miasto i zatokę. Znudzony strażnik poradził przybyszowi skręcić w lewo na końcu drogi.

– Tam jest Re Albi. A potem wystarczy przejść przez miasteczko i będziesz w domu Starego Maga – dodał.

Przybysz ruszył zatem stromą drogą. Przed sobą miał jeszcze bardziej strome zbocze i odległy szczyt góry Gont wznoszącej się nad wyspą niczym kamienna chmura.

Droga była długa, a dzień upalny. Wkrótce podróżny zrzucił czarny płaszcz i szedł dalej z gołą głową, w samej koszuli. Nie pomyślał o tym, by w mieście nabrać wody czy kupić zapas jedzenia. A może po prostu był na to zbyt nieśmiały, nie nawykł bowiem do miast i towarzystwa obcych ludzi.

Po kilku długich milach dogonił wóz, który od dawna widział przed sobą na drodze – ciemną plamę w białym obłoku pyłu. Wóz toczył się wolno naprzód, jęcząc i skrzypiąc, ciągnięty niespiesznie przez parę małych wołów, które na oko zdawały się stare, pomarszczone i obojętne na wszystko niczym żółwie. Podróżny przywitał woźnicę, dziwnie podobnego do swych wołów. Wieśniak nie odpowiedział, zamrugał tylko.

– Czy gdzieś przy drodze znajdę źródło? – spytał przybysz.

Woźnica powoli pokręcił głową. Po długiej chwili rzekł:

– Nie. – Kolejna chwila i: – Tu nie ma źródła.

Zniechęcony przybysz zwolnił kroku. Wlókł się teraz w tempie wołów, około mili na godzinę.

Nagle uświadomił sobie, że woźnica bez słowa wyciąga ku niemu wielką glinianą butlę oplecioną wikliną. Wziął ją – była bardzo ciężka – i napił się do woli. Gdy skończył, ciężar butli niemal się nie zmienił. Oddał ją, dziękując cicho.

– Wsiadaj – rzekł po jakimś czasie woźnica.

– Dziękuję, wolę iść. Jak daleko stąd do Re Albi?

Koła skrzypiały. Woły westchnęły ciężko, najpierw jeden, potem drugi. W gorących promieniach słońca ich zakurzona skóra pachniała słodko.

– Dziesięć mil – odparł woźnica. Zastanowił się moment. – Albo dwanaście – dodał – nie mniej.

– Lepiej zatem się pospieszę.

Woda dodała mu nowych sił, zdołał zatem wyprzedzić woły i oddalił się znacznie, gdy usłyszał głos woźnicy.

– Idziesz do domu Starego Maga.

Jeśli nawet było to pytanie, nie wymagało odpowiedzi. Szedł dalej.

Gdy wyruszył w drogę, wciąż padał na nią cień góry. Kiedy jednak skręcił w lewo do małego miasteczka, zapewne Re Albi, słońce płonęło na zachodnim niebie. W jego promieniach morze miało barwę stali.

Miasteczko składało się z kilkunastu niewielkich domów, małego zakurzonego rynku i fontanny-źródełka, z której wylewał się jeden cieniutki strumyk wody. Podróżny wiele razy czerpał wodę dłońmi i pił. Potem zanurzył głowę, wcierając zimną wodę we włosy i pozwalając, by spływała po ramionach. Jakiś czas siedział na kamiennym obramowaniu fontanny, budząc milczące zainteresowanie dwóch brudnych chłopców i jednej brudnej dziewczynki.

– To nie konował – orzekł w końcu jeden z chłopców.

Podróżny przeczesał palcami mokre włosy.

– Pewnie idzie do domu Starego Maga, durniu – mruknęła dziewczynka.

Chłopiec wykrzywił twarz w upiornym grymasie. Jedną ręką naciągnął sobie policzki i czoło, drugą wykrzywił szponiasto i uderzył w powietrze.

– Lepiej uważaj, Kamyku – upomniał go drugi chłopiec.

– Jeśli chcesz, poprowadzę cię tam – zaproponowała podróżnemu dziewczynka.

– Dzięki – odparł i wstał ze znużeniem.

– Widzisz, nie ma laski – rzekł jeden z chłopców, a drugi odparł:

– Nie twierdziłem, że ma.

Patrzyli nadąsani, jak nieznajomy w ślad za dziewczynką podąża ścieżką na północ, pośród opadających stromo skalistych pastwisk.

Słońce prażyło, zalewało morze blaskiem. Podróżny zamrugał oślepiony. Odległy horyzont i wiatr sprawiły, że zakręciło mu się w głowie. Dziecko wyprzedzało go – mały skaczący cień. Przystanął.

– No, chodź! – zawołała dziewczynka, ale i ona się zatrzymała. Podszedł do niej powoli. – Tam – wskazała ręką.

Ujrzał drewniany dom stojący blisko krawędzi urwiska, wciąż jeszcze dość daleko.

– Nie boję się – powiedziała dziewczynka. – Często przynoszę stąd ojcu Kamyka jajka, żeby zabrał je na targ. Kiedyś stara pani dała mi kilka brzoskwiń. Kamyk mówi, że je ukradłam, ale kłamie. Idź, jej tam nie ma. Obu nie ma.

Czekała bez ruchu, wskazując dom.

– Nie ma nikogo? – zapytał.

– Został tylko stary. Stary Jastrząb.

Podróżny ruszył naprzód. Dziecko stało i obserwowało go, póki nie zniknął za rogiem domu.

***

Dwie kozy przyglądały się nieznajomemu ze stromego, ogrodzonego płotem pastwiska. W długiej trawie pod śliwami i drzewami brzoskwiniowymi przechadzało się stadko kur i kurcząt, dziobiących leniwie i prowadzących ciche rozmowy. Na niskiej drabinie opartej o pień jednego z drzew stał mężczyzna. Jego głowa kryła się wśród liści. Podróżny dostrzegł tylko nagie brązowe nogi.

– Witam – powiedział. Po chwili powtórzył to samo nieco głośniej.

Liście zatrzęsły się i mężczyzna zszedł szybko z drabiny. W ręce trzymał garść śliwek. Gdy zeskoczył na ziemię, drugą dłonią przegnał kilka pszczół zwabionych słodyczą owoców. Ruszył naprzód – niski, wyprostowany; związane z tyłu siwe włosy odsłaniały piękną podstarzałą twarz. Wyglądał na jakieś siedemdziesiąt lat. Jego lewy policzek aż do szczęki przecinały cztery białe linie, stare blizny. Spojrzenie miał czyste, otwarte, pełne mocy.

– Są dojrzałe – oznajmił – choć jutro będą smakować jeszcze lepiej. – Wyciągnął rękę, częstując gościa małymi żółtymi śliwkami.

– Panie Krogulcze – powiedział cicho przybysz. – Arcymagu.

Stary człowiek skinął krótko głową.

– Chodź do cienia – rzucił.

Nieznajomy podążył za nim i usiadł na drewnianej ławie w cieniu rosnącego obok domu przysadzistego drzewa. Podziękował za śliwki, wypłukane i podane w wiklinowym koszyku. Zjadł jedną, drugą, trzecią. Pytany przyznał, że nic nie jadł cały dzień. Gospodarz zniknął w środku domu, a po chwili przyniósł chleb, ser i pół cebuli. Gość zjadł, popijając kubkiem zimnej wody podanej przez gospodarza, który dla towarzystwa poczęstował się śliwkami.

– Wyglądasz na zmęczonego. Z jak daleka przybywasz?

– Z Roke.

Twarz starego człowieka pozostała nieprzenikniona.

– Nie zgadłbym – rzekł tylko.

– Pochodzę z Taonu, panie. Popłynąłem stamtąd na Roke, a tam Mistrz Wzorów powiedział, że powinienem udać się tutaj, do ciebie.

– Czemu?

Spojrzenie gospodarza budziło lęk.

– Ponieważ przemierzyłeś żyw mroczną krainę... – Niski głos przybysza załamał się lekko.

Stary człowiek dokończył za niego:

– I dotarłem do odległych brzegów dnia. Istotnie, jednakże przepowiednia ta zwiastowała nadejście naszego króla, Lebannena.

– Byłeś z nim wtedy, panie.

– Byłem. On zdobył tam swe królestwo, ja pozostawiłem moje. Nie obdarowuj mnie więc żadnymi tytułami. Jestem Jastrząb albo Krogulec, jak wolisz. A jak mam zwać ciebie?

Gość wymamrotał swe imię użytkowe: Olcha.

Jedzenie, picie, cień i odpoczynek wyraźnie go odprężyły, lecz nadal wyglądał na wyczerpanego. Przepełniał go pełen znużenia smutek, wyciskał piętno na jego twarzy.

– Na razie zostawmy rozmowy. – Wcześniej, gdy stary człowiek rozmawiał z przybyszem, w jego głosie dźwięczała twarda nuta. Teraz zniknęła. – Przepłynąłeś prawie tysiąc mil i przeszedłeś pieszo piętnaście, pod górę. Ja zaś muszę podlać fasolę i sałatę, bo żona i córka zostawiły ogród mej pieczy. Odpocznij więc. Porozmawiamy w chłodzie wieczoru albo poranka. Dopiero tu odkryłem, że w życiu rzadko niezbędny jest pośpiech.

Gdy wrócił pół godziny później, jego gość leżał na wznak w chłodnej trawie pod brzoskwiniowym drzewem i spał.

Wieśniak, który niegdyś był Arcymagiem Ziemiomorza, zatrzymał się z wiadrem w jednej i motyką w drugiej ręce, i spojrzał na uśpionego przybysza.

– Olcha – szepnął cicho. – Jakie kłopoty ze sobą sprowadzasz, Olcho?

Nagle odniósł wrażenie, że gdyby zapragnął poznać prawdziwe imię gościa, zdołałby tego dokonać samymi myślami, wytężając umysł, jak wtedy gdy był magiem.

Nie usłyszał go jednak. Myśli niczego nie dały. Nie był już magiem.

Nie wiedział nic o przybyszu. Musiał zaczekać, aż sam mu powie.

– Nigdy nie proś się o kłopoty – rzekł do siebie i ruszył podlewać fasolę.

***

Gdy tylko niski kamienny mur biegnący wzdłuż szczytu urwiska nieopodal domu przesłonił światło słońca, Olcha obudził się w chłodnym cieniu. Usiadł na ziemi, dygocąc. Potem wstał, nieco sztywny i oszołomiony. We włosach utkwiły mu nasiona traw. Na widok gospodarza napełniającego wiadra przy studni i dźwigającego je do ogrodu zaproponował pomoc.

– Jeszcze trzy, cztery i koniec – oznajmił dawny Arcymag, lejąc wodę na grządkę młodej kapusty. W suchym ciepłym powietrzu rozeszła się przyjemna woń mokrej ziemi. Promienie popołudniowego słońca lśniły złotem i odbijały się w kroplach wody.

Usiedli na długiej ławie obok domu, oglądając zachód słońca. Krogulec przyniósł butelkę i dwie pękate szklanice z zielonkawego szkła.

– Wino syna mojej żony – oznajmił – z Dębowej Farmy w Dolinie Środkowej. Dobry rocznik, sprzed siedmiu lat.

Wytrawne czerwone wino natychmiast Olchę rozgrzało. Niebo było bezchmurne, wiatr ucichł, skryte w sadzie ptaki już milkły.

Olcha zdumiał się, gdy od Mistrza Wzorów z Roke usłyszał, iż Arcymag Krogulec, człowiek z legendy, który sprowadził króla z krainy śmierci i odleciał na grzbiecie smoka, wciąż żyje.

– Żyje – rzekł Mistrz Wzorów – i mieszka na Goncie, swej rodzinnej wyspie. Mówię ci coś, o czym wie niewielu – dodał – gdyż uważam, że powinieneś to usłyszeć. I myślę, że zachowasz te wieści w sekrecie.

– Ale w takim razie on wciąż jest Arcymagiem! – wykrzyknął z radością Olcha. Albowiem wszystkich magów i czarodziejów trapił fakt, iż mędrcy z Roke, szkoły i ośrodka magii w Archipelagu, przez cały czas panowania króla Lebannena nie wybrali nowego Arcymaga, który zastąpiłby Krogulca.

– Nie – odparł Mistrz Wzorów. – On w ogóle nie jest magiem.

A potem opowiedział Olsze o tym, jak Krogulec utracił moc i czemu; Olcha musiał pogodzić sie z faktami. Jednak tu, w obecności człowieka, który rozmawiał ze smokami i odnalazł Pierścień Erreth-Akbego, przemierzył królestwo śmierci i władał Archipelagiem przed królem, wciąż przypominał sobie pieśni i legendy. I choć widział przed sobą starego człowieka, pogodnie zajmującego się ogrodem, pozbawionego aury mocy poza tą, którą daje doświadczenie długiego mądrego życia, nadal dostrzegał w nim wielkiego maga. Toteż niezmiernie trapił go fakt, iż Krogulec ma żonę.

Żonę, córkę, pasierba... Magowie nie miewają rodzin. Zwykły czarownik, taki jak Olcha, może się ożenić bądź nie, lecz ci, którzy

władają prawdziwą mocą, zawsze pozostają samotni. Olcha z łatwością potrafił wyobrazić sobie tego gospodarza dosiadającego smoka, ale jako męża i ojca – nie. Tego nie umiał. Spróbował jednak. Zapytał:

– Twoja... żona... jest teraz u swego syna?

Krogulec wrócił myślami z daleka. Jego oczy spoglądały w dal, na zachód.

– Nie – odparł – jest w Havnorze, u króla. – Po chwili, otrząsnąwszy się z zamyślenia, dodał: – Popłynęła tam z naszą córką tuż po Długim Tańcu. Lebannen wezwał je, szukając rady, może w tej samej sprawie, która sprowadza cię tu do mnie. Zobaczymy. Lecz dziś wieczór jestem zmęczony i nie mam ochoty omawiać ważnych kwestii. Ty także wydajesz się znużony. Co powiesz zatem na talerz zupy, jeszcze jedną szklankę wina i sen? Porozmawiamy rano.

– Wszystko przyjmę z radością, panie – odparł Olcha – prócz snu. Jego bowiem się lękam.

Stary człowiek potrzebował trochę czasu, żeby zrozumieć.

– Boisz się spać?

– Boję się snów.

– Ach! – Bystre spojrzenie ciemnych oczu spod krzaczastych, posiwiałych brwi. – Wcześniej, w trawie, solidnie się zdrzemnąłeś.

– To był najsłodszy sen, jaki mnie nawiedził, odkąd opuściłem wyspę Roke. Jestem ci wdzięczny za ten dar, panie. Może powróci dziś w nocy. Zwykle jednak zmagam się ze swymi snami, krzyczę w głos, budzę się, uprzykrzając życie wszystkim wokół. Za twoim pozwoleniem, przenocuję na dworze.

Krogulec skinął głową.

– Zapowiada się ładna noc – rzekł.

Istotnie, noc była ładna, pogodna i chłodna. Z południa wiał słaby morski wietrzyk. Letnie gwiazdy rozjaśniały bielą całe niebo wokół ciemnego, rozłożystego wierzchołka góry. Olcha położył na ziemi siennik i owczą skórę ofiarowane mu przez gospodarza, po czym legł w trawie, w której spał już wcześniej.

Krogulec leżał w małej zachodniej alkowie swego domu. Sypiał tam jako chłopiec, gdy dom należał do Ogiona, a on praktykował

u niego magiczną sztukę. Przez ostatnich piętnaście lat, odkąd Tehanu została jego córką, ona tu sypiała. Po wyjeździe jej i Tenar, kiedy kładł się w łożu, w którym zwykle sypiali z Tenar w ciemnym kącie głównej izby, dotkliwie odczuwał samotność, zaczął więc nocować w alkowie. Lubił wąską pryczę przymocowaną do grubej drewnianej ściany domu tuż pod oknem. Dobrze mu się tu spało. Ale nie tej nocy.

Przed północą obudził go krzyk dobiegający z zewnątrz. Zerwał się z miejsca i pobiegł do drzwi. To tylko gość zmagał się z koszmarem, do wtóru sennych protestów dobiegających z kurnika. Olcha krzyknął zmienionym głosem, a potem obudził się, drżąc w panice. Błagał gospodarza o wybaczenie i zapowiedział, że posiedzi trochę pod gwiazdami. Krogulec wrócił do łóżka. Gość nie obudził go więcej. Zamiast tego nawiedził go własny zły sen.

Stał obok kamiennego muru na szczycie długiego wzgórza porośniętego suchą szarą trawą. Zbocze opadało i niknęło w mroku. Wiedział, że był tam już kiedyś, lecz nie pamiętał kiedy ani co to za miejsce. Po drugiej stronie muru, niżej, niedaleko, ktoś czekał. Krogulec nie dostrzegał twarzy, wiedział tylko, że to wysoki mężczyzna w płaszczu. Wiedział, że go zna. A potem ten człowiek przemówił, nazywając go prawdziwym imieniem.

– Wkrótce tu będziesz, Ged.

Krogulec usiadł na łóżku. Czuł przejmujący chłód. Patrzył w głąb domu, opatulając się jego rzeczywistością niczym kocem. Wyjrzał przez okno na gwiazdy i wówczas chłód ogarnął też jego serce. Nie były to ukochane, znajome gwiazdy lata – Wóz, Sokół, Tancerze, Serce Łabędzia – lecz inne gwiazdy, małe nieruchome gwiazdy Suchej Krainy, które nigdy nie wschodzą i nie zachodzą. Niegdyś znał ich imiona, w czasach gdy znał imiona wszystkich rzeczy.

– Niech się odwróci! – powiedział głośno, czyniąc gest odpędzający zły urok. Poznał go, gdy miał zaledwie dziesięć lat. Spojrzał ku otwartym drzwiom. W kącie za nimi dostrzegł, jak ciemność nabiera kształtu, podnosi się, gęstnieje.

Lecz gest, choć pozbawiony mocy, zdołał go obudzić. Cienie za drzwiami pozostały cieniami. Gwiazdy za oknem były gwiazdami Ziemiomorza, przygasającymi w pierwszym świetle przedświtu.

Siedział tak, okrywając ramiona owczą skórą, i patrzył, jak gwiazdy gasną i opadają ku zachodowi. Na niebie wykwitła łuna, niosła z sobą kolejne barwy słońca zwiastujące nadejście dnia. Czuł w sobie przejmujący smutek, ból i tęsknotę za czymś drogim i utraconym, utraconym na zawsze. Przywykł do tego; wiele ukochał i wiele utracił, lecz ów smutek był tak wielki, iż wydawał się należeć do kogoś innego. Jakby pochodził z samego serca świata, obecny nawet w zorzy poranka. Przyszedł we śnie i pozostał po przebudzeniu.

Ged rozniecił ogień w dużym kominku i poszedł do sadu i kurnika po śniadanie. Na ścieżce wiodącej na północ wzdłuż urwiska pojawił się Olcha. Powiedział, że o pierwszym brzasku wybrał się na spacer. Sprawiał wrażenie umęczonego i Krogulca ponownie uderzył smutek malujący się na jego twarzy, pasujący do nastroju, jaki pozostał mu po koszmarnym śnie.

Wypili po kubku ciepłej gontyjskiej owsianki, zjedli gotowane jajka i brzoskwinie. Siedzieli przy palenisku, bo poranek w cieniu góry był zbyt chłodny, by wyjść ze śniadaniem na dwór. Krogulec zajął się inwentarzem. Nakarmił kury, rzucił ziarno gołębiom, wypuścił kozy na pastwisko. Gdy wrócił, usiedli razem na ławie przy wejściu. Słońce nie wynurzyło się jeszcze zza wierzchołka góry, lecz już było cieplej.

– Teraz opowiedz, co cię tu sprowadza, Olcho. Ponieważ jednak odwiedziłeś Roke, mów najpierw, co słychać w Wielkim Domu.

– Nie wszedłem doń, panie.

– Aha. – Ton głosu neutralny, lecz ostre spojrzenie.

– Byłem jedynie w Wewnętrznym Gaju.

– Aha. – Znów neutralny ton, spojrzenie badawcze. – Czy Mistrz Wzorów dobrze się miewa?

– Powiedział do mnie: Przekaż wyrazy miłości i szacunku i powtórz mu, że chciałbym, abyśmy znów razem spacerowali po Gaju, jak kiedyś.

Krogulec uśmiechnął się z lekkim smutkiem.

– Rozumiem. Myślę jednak, że przysyłając cię do mnie, kazał powiedzieć coś jeszcze.

– Postaram się streszczać.

– Człowieku, mamy przed sobą cały dzień, a ja lubię historie opowiedziane porządnie, od początku do końca.

I tak Olcha opowiedział mu od początku swą historię.

Był synem czarownicy, urodzonym w mieście Elini na Taonie, wyspie harfiarzy.

Taon leży na południowym krańcu morza Ea, niedaleko od miejsca, w którym wznosiła się wyspa Solea, nim pochłonęły ją fale. Tam właśnie biło pradawne serce Ziemiomorza. Na wszystkich tych wyspach istniały już państwa i miasta, żyli królowie i magowie, gdy Havnor był jeszcze krainą walczących plemion, a na Goncie władały niedźwiedzie. Ludzie urodzeni na Ea, Ebei, Enladzie czy Taonie, choćby nawet przyszli na świat w rodzinie kopacza rowów czy czarownicy, uważają się za potomków starszych magów, spadkobierców wojowników poległych w mrocznych czasach królowej Elfarran. Często tedy wyróżniają się wytwornymi manierami, choć czasem bywają bezzasadnie wyniośli. Cechuje ich też nieskrępowanie umysłu i słowa sprawiające, iż wznoszą się ponad zwykłe fakty i prozę życia, ponad iście kupiecką nieufność wobec innych. „Latawce bez sznurków" – tak bogacze z Havnoru nazywają podobnych ludzi. Nie mówią jednak tego w obecności króla Lebannena z rodu książąt Enladu.

Na Taonie powstają najlepsze harfy Ziemiomorza, są tam też szkoły uczące muzyki. Wielu słynnych śpiewaków, znanych ze swych wersji *Czynów Bohaterów* i *Pieśni Mądrości*, urodziło się bądź uczyło na tej wyspie. Jednakże Elini, wedle słów Olchy, to zwykłe miasteczko na wzgórzach. Tamtejsi ludzie nie zajmują się muzyką. Matka Olchy była biedną kobietą, choć – jak to ujął – nie głodowała. Miała znamię, czerwoną plamę biegnącą od prawej brwi poprzez ucho aż na bark. Wiele kobiet i mężczyzn z podobnymi znamionami zostawało czarownicami bądź czarownikami. Ludzie twierdzili, że są do tego „naznaczeni". Jagoda także poznała zaklęcia i umiała stosować zwykłe czary. Brakowało jej daru, lecz umiała tak postępować z ludźmi, że niemal go nie potrzebowała. Zarabiała na życie, wyuczyła też syna i oszczędziła dość, by mógł wstąpić do terminu u czarownika, który nadał mu prawdziwe imię.

O swym ojcu Olcha nawet nie wspomniał. Nic o nim nie wiedział. Jagoda nie poruszała tego tematu. Choć rzadko cnotliwe, czarownice zwykle nie przestawały dłużej z mężczyznami, zadowalając się nocą czy dwiema. Jeszcze rzadziej wychodziły za mąż. Znacznie częściej zdarzało im się żyć z drugą wiedźmą; nazywano to wiedźmim małżeństwem bądź babskim ślubem. Dziecko czarownicy miało zatem matkę albo dwie matki, ale nie ojca. Było to oczywiste i tak właśnie przyjął to Krogulec. Spytał jednak Olchę o to, jakie nauki pobierał.

Czarodziej Gap nauczył go kilku słów z Prawdziwej Mowy oraz zaklęć odnajdujących i iluzji. Chociaż w tych kierunkach Olcha nie przejawiał najmniejszego talentu, czarodziej zainteresował się nim na tyle, by odkryć jego prawdziwy dar. Olcha potrafił naprawiać, łączyć, scalać zniszczone narzędzie, pęknięte ostrze noża, złamaną oś, zbity gliniany garnek; wszystko to umiał połączyć z powrotem, tak że wyglądało jak nowe. Mistrz polecił mu zatem zgromadzić najróżniejsze zaklęcia Naprawy. Większości z nich Olcha nauczył się od czarownic z wyspy. Pracował wraz z nimi, a także samotnie, ucząc się scalać.

– To rodzaj uzdrawiania – zauważył Krogulec. – Nieprosty dar, niełatwa sztuka.

– Dla mnie to była radość. – Na twarzy Olchy pojawił się cień uśmiechu. – Praca nad zaklęciami, odkrywanie, jak wykorzystać w nich jedno z Prawdziwych Słów... Naprawa rozeschniętej beczki, której klepki odpadły od obręczy – oto prawdziwa rozkosz, kiedy widzę, jak znów powstaje, rośnie, nabiera kształtów i staje gotowa na przyjęcie wina. Kiedyś spotkałem harfiarza z Meoni, wspaniałego harfiarza, grał niczym burza wśród wzgórz, morska wichura, bezlitośnie szarpiąc i pociągając struny, opanowany pasją muzyki. Struny często pękały, zakłócając melodię. Wynajął mnie zatem, abym przebywał w pobliżu, gdy grał. Kiedy zrywał strunę, naprawiałem ją szybko, nim nuta ucichła. A on grał dalej.

Krogulec przytaknął z ciepłym uśmiechem zawodowca dyskutującego o sekretach swej profesji.

– Naprawiałeś też szkło? – spytał.

– Owszem, ale to żmudna, paskudna praca przez te odłamki i okruchy.

– Lecz duża dziura na pięcie skarpety bywa jeszcze trudniejsza – zauważył Krogulec i jeszcze chwilę rozmawiali o naprawach. Potem Olcha powrócił do swej historii.

Tak został czarownikiem, specjalistą od napraw, znanym w okolicy ze swych uzdolnień. Gdy miał około trzydziestki, wybrał się do stolicy wyspy, Meoni. Towarzyszył harfiarzowi, który grał tam na weselu. Pewnego dnia w gospodzie zjawiła się kobieta, młoda kobieta, która, choć nie odebrała nauk u czarownicy, miała dar taki jak on i chciała, by ją uczył. I rzeczywiście, okazało się, iż ma talent, większy nawet od niego. Choć nie znała ani słowa w Dawnej Mowie, potrafiła scalić strzaskany dzbanek i naprawić przetartą linę samymi ruchami dłoni i pieśnią bez słów, którą nuciła cicho. Leczyła też złamane kości zwierząt i ludzi. Olcha nigdy nie odważył się tego spróbować.

Zamiast więc ją uczyć, połączyli swe umiejętności i podjęli naukę wspólnie. Kobieta – miała na imię Lilia – pojechała z nim do Elini i zamieszkała z matką Olchy, Jagodą, która pokazała jej kilka pożytecznych sztuczek i metod imponowania klientom, jakże przydatnych czarownicy, choć co do prawdziwych zaklęć, niewiele ich znała. Olcha i Lilia zaczęli pracować razem pośród wzgórz. Wkrótce zyskali sobie sporą sławę.

– I pokochałem ją – rzekł Olcha. Gdy opowiadał o Lilii, mówił bez wahania, stanowczo, dźwięcznie. – Włosy miała ciemne, lśniły jednak czerwonym złotem – dodał.

W żaden sposób nie potrafił ukryć przed nią swej miłości, a ona ją odwzajemniała. Mówiła, iż nie obchodzi jej, czy jest wiedźmą, czy nie. Urodzili się, aby być razem, w pracy i w życiu. Kocha go i chce go poślubić.

Pobrali się zatem i przez rok oraz połowę następnego żyli szczęśliwie.

– Wszystko było w porządku do czasu, gdy powinno urodzić się dziecko – powiedział Olcha. – Jednak spóźniało się, i to bardzo. Położne próbowały przyspieszyć poród ziołami i zaklęciami, ale zdawało się, że dziecko nie chce przyjść na świat. Nie zamierzało się

z nią rozłączyć. Nie chciało się urodzić i nie urodziło się. Zabrało ją ze sobą.

Po chwili dodał:

– Przeżyliśmy ogromne szczęście.

– Tak.

– I mój smutek także był ogromny.

Stary człowiek przytaknął.

– Mogłem go znieść – powiedział Olcha. – Wiesz, jak to jest. Nie dostrzegałem sensu w życiu, ale jakoś się trzymałem.

– Tak.

– Lecz zimą, dwa miesiące po jej śmierci... Wówczas nawiedził mnie sen. Była w tym śnie.

– Opowiedz.

– Stałem na zboczu wzgórza. Jego szczyt przecinał mur, niski, przypominający graniczny mur między dwoma pastwiskami. Stała po drugiej stronie, niżej. Było tam ciemniej.

Krogulec przytaknął. Jego twarz stężała jak kamień.

– Wołała mnie. Słyszałem jej głos, powtarzała moje imię. Poszedłem do niej. Wiedziałem, że nie żyje, wiedziałem, że to sen, ale cieszyłem się, że tam idę. Nie widziałem jej wyraźnie. Podszedłem, by ją przywitać, być z nią, a ona wyciągnęła do mnie ręce ponad murem. Sięgał mi zaledwie do serca. Pomyślałem, że może ma ze sobą dziecko, ale nie. Wyciągała do mnie ręce, ja także to uczyniłem i ujęliśmy swoje dłonie.

– Dotknęliście się?

– Chciałem do niej pójść, ale nie mogłem pokonać muru. Nogi mnie nie słuchały. Próbowałem ją do mnie przyciągnąć, a ona chciała przyjść, tak bardzo chciała, lecz mur nas rozdzielał. Nie mogliśmy go pokonać. Pocałowała mnie w usta, wymówiła moje imię i poprosiła: „Uwolnij mnie".

Pomyślałem, że jeśli nazwę ją prawdziwym imieniem, może zdołam ją uwolnić, przenieść przez mur. I powiedziałem: „Chodź ze mną, Mevre". Ale ona odparła: „To nie moje imię, Haro, już nie". Wypuściła me dłonie, choć próbowałem ją powstrzymać. „Uwolnij mnie, Haro!" – wykrzyknęła, cały czas jednak odchodziła w dół, w mrok. W dole za murem panowała ciemność. Wykrzykiwałem jej

imię, imię użytkowe i wszystkie czułe zdrobnienia, jakimi ją nazywałem. Ale i tak odeszła. Wtedy się obudziłem.

Krogulec długą chwilę milczał, przyglądając się bystro swojemu gościowi.

– Zdradziłeś mi swoje imię, Haro – rzekł w końcu.

Olcha spojrzał na niego ze zdumieniem. Kilka razy odetchnął głęboko. W jego oczach błyszczała rozpaczliwa odwaga.

– Czy jest ktoś bardziej godny mego zaufania?

Krogulec podziękował mu z powagą.

– Postaram się na nie zasłużyć. Powiedz, czy wiesz, gdzie się wtedy znalazłeś, co to za mur?

– Wówczas nie wiedziałem. Teraz wiem, że przebyłeś tę krainę.

– Tak, byłem na tamtym wzgórzu i pokonałem mur dzięki mocy i sztuce, którą dysponowałem. Odwiedziłem miasta umarłych, przemawiałem do ludzi, których znałem za życia, a oni czasem mi odpowiadali. Lecz jesteś pierwszym człowiekiem, o jakim słyszałem, spośród wszystkich mistrzów wiedzy z Roke, Palnu czy Enladów, który zdołał dotknąć, pocałować swą ukochaną po drugiej stronie muru.

Olcha słuchał skulony. Spuścił głowę, mocno zacisnął dłonie.

– Zechcesz mi powiedzieć, co wówczas czułeś, Haro? Czy miała ciepłe ręce, czy przypominała zimny powiew i cień, czy też żyjącą kobietę? Wybacz mi ciekawość.

– Chciałbym móc ci odpowiedzieć, panie. Na Roke Mistrz Przywołań pytał mnie o to samo. Ale nie potrafię. Moja tęsknota była tak wielka, tak bardzo pragnąłem, by Lilia żyła, że może to sobie wmówiłem. Sam nie wiem. We śnie nie wszystko bywa jasne.

– We śnie nie. Nigdy jednak nie słyszałem, by zwykły człowiek zbliżył się do owego muru we śnie. To miejsce, które może odwiedzić mag, jeśli naprawdę musi, jeśli poznał drogę i ma dość wielką moc. Lecz bez wiedzy i mocy tylko umierający mogą...

Nagle urwał, przypominając sobie swój ostatni sen.

– Ten sen budził niepokój, ale jednocześnie mnie uradował – podjął Olcha. – Sama myśl o niej rozdzierała niczym lemiesz glebę mego serca. Ja jednak napawałem się bólem, pielęgnowałem go. Miałem nadzieję, że sen powróci.

– I powrócił?

– Tak. Znów mnie nawiedził.

Olcha uniósł głowę i spojrzał niewidzącym wzrokiem poprzez błękitny przestwór powietrza i oceanu na zachodzie, ku niskim zamglonym wzgórzom Kameberu skąpanym w blasku słońca. Za nimi złocista tarcza wynurzała się sponad północnego zbocza góry.

– Dziewięć dni po pierwszym śnie znalazłem się w tym samym miejscu, lecz wyżej. Widziałem biegnący w dole mur. Pobiegłem ku niemu, wykrzykując jej imię, pewien, że ją zobaczę. Ktoś tam był. Kiedy się zbliżyłem, zobaczyłem, że to nie Lilia, lecz mężczyzna. Pochylał się nad murem, jakby go naprawiał. Spytałem, gdzie ona jest. Nie odpowiedział, nie uniósł głowy. I nagle zobaczyłem, co robi. Nie starał się naprawić muru, lecz go rozebrać. Podważał palcami wielki kamień, który nawet nie drgnął. „Pomóż mi, Haro" – rzekł i zrozumiałem, że to mój nauczyciel, Gap, który nadał mi imię. Nie żył już od pięciu lat. Cały czas naciskał i podważał palcami kamień, powtarzając moje imię. „Pomóż mi, uwolnij mnie". Potem wyprostował się i sięgnął ku mnie ponad murem, tak jak ona. Chwycił mnie za rękę, lecz jego dłoń paliła, nie wiem, ogniem czy lodem. Ten dotyk parzył. Odskoczyłem, a ból i strach sprawiły, że ocknąłem się nagle.

Powoli uniósł rękę. Na grzbiecie i wnętrzu dłoni widniała ciemna plama przypominająca stary siniec.

– Nauczyłem się, że nie mogę pozwalać im się dotykać – dodał cicho.

Ged spojrzał na usta Olchy. One także wydawały się zbyt ciemne.

– Haro, grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwo – powiedział, zniżając głos.

– To nie koniec.

Zmagając się z ciszą, Olcha podjął swą opowieść.

Następnej nocy, gdy zasnął, znów znalazł się na mrocznym wzgórzu. Ujrzał mur biegnący w dół zbocza. Podszedł ku niemu z nadzieją, że zobaczy żonę.

– Nie dbałem o to, że nie może go pokonać i że ja tego nie potrafię. Chciałem przynajmniej ją zobaczyć, porozmawiać.

Jeśli jednak tam była, nie zauważył jej wśród innych. Gdy się zbliżył, ujrzał zebrany po drugiej stronie tłum cienistych postaci. Niektóre były wyraźne, inne mroczne. Część znał, innych nie. Lecz wszystkie wyciągały ku niemu ręce i wykrzykiwały jego imię: „Haro, pozwól nam pójść z tobą! Haro, uwolnij nas!”.

– To straszne słyszeć swoje prawdziwe imię w ustach nieznajomych – powiedział Olcha. – Straszne też, kiedy wzywają cię umarli.

Próbował zawrócić i wdrapać się na wzgórze, byle dalej od muru. Lecz nogi ogarnięte straszliwą senną słabością nie chciały go unieść. Upadł na kolana, by nie zbliżyć się bardziej do muru, i zaczął wzywać pomocy, choć nie było nikogo, kto mógłby mu pomóc. A potem obudził się przerażony.

Od tego czasu co noc, gdy tylko zasnął, powracał na wzgórze. Stał w suchej szarej trawie nad murem, za którym tłoczyli się umarli wykrzykujący jego imię.

– Budzę się – opowiadał – i jestem w moim pokoju. Nie stoję tam na wzgórzu, ale wiem, że oni tam są. Muszę sypiać. Próbuję często się budzić i spać za dnia, gdy tylko mogę. Ale kiedyś w końcu muszę zasnąć głęboko, a wtedy znów tam jestem. Oni także. I nie mogę wejść na wzgórze. Zawsze idę w dół, w stronę muru. Czasami udaje mi się odwrócić do nich plecami, ale wtedy mam wrażenie, że słyszę wśród nich krzyczącą do mnie Lilię. Obracam się, by jej poszukać, a oni sięgają ku mnie.

Spuścił głowę, spoglądając na zaciśnięte ręce.

– Co mam zrobić? – spytał.

Krogulec milczał.

Po długiej chwili Olcha odezwał się znowu.

– Harfiarz, o którym ci wspominałem, był moim przyjacielem. Po jakimś czasie dostrzegł, że coś się ze mną dzieje. A kiedy powiedziałem mu, że nie mogę spać, bo lękam się snów o umarłych, pomógł mi opłacić statek płynący na Ea, bym pomówił z tamtejszym szarym czarodziejem. – Miał na myśli maga szkolonego na Roke. – Gdy tylko tamten usłyszał o moich snach, oznajmił, że muszę popłynąć na Roke.

– Jak się nazywał?

– Beryl. Służy księciu Ea, który jest też władcą wyspy Taon.

Stary człowiek przytaknął bez słowa.

– Powiedział, że nie może mi pomóc. Ale dla kapitana jego słowo miało cenę złota. Znów zatem wyruszyłem w drogę. To była długa podróż. Opłynęliśmy Havnor i przecięliśmy Morze Najgłębsze. Pomyślałem, że na statku, coraz dalej od Taonu, zdołam może zostawić sen za sobą. Czarodziej z Ea nazywał miejsce z mojego snu Suchą Krainą. Miałem nadzieję, iż kiedy znajdę się na morzu, oddalę się od niej. Lecz co noc powracałem na wzgórze. Czasami dwa, nawet trzy razy jednej nocy. Gdy tylko zamykam oczy, jestem na wzgórzu. Widzę mur w dole, słyszę wzywające mnie głosy. Jestem niczym człowiek oszalały z bólu, który może znaleźć ukojenie jedynie we śnie, lecz właśnie sen zadaje mi męki. Czuję ból i cierpienie nieszczęsnych umarłych próbujących przedostać się przez mur. Czuję też strach.

Wkrótce marynarze zaczęli go unikać. Nocą, ponieważ krzyczał i budził ich nieustannie, i za dnia, bo sądzili, iż ciąży na nim przekleństwo albo opętał go gebbeth.

– Na Roke doświadczyłeś ulgi?

– W Gaju. – Gdy Olcha wymówił te słowa, jego twarz uległa całkowitej przemianie. Przez moment twarz Krogulca wyglądała podobnie. – Mistrz Wzorów zabrał mnie tam, pod drzewa. I tam mogłem spać; nawet nocą mogłem spać. Za dnia, jeśli czuję na sobie promienie słońca – tak jak wczoraj po południu – ciepły dotyk słońca, czerwone promienie przenikające powieki, nie boję się snów. A w Gaju w ogóle się nie lękałem. Znów mogłem pokochać noc.

– Opowiedz mi, jak wyglądało twoje przybycie na Roke.

Choć znużony, zrozpaczony i przepełniony nabożnym szacunkiem, Olcha wciąż miał dar mowy właściwy ludziom z jego wyspy. I mimo iż opuścił część historii, czy to z obawy, że okaże się za długa, czy też nie chcąc zanudzać słuchacza tym, co każdy mag już wiedział, Krogulec potrafił sobie wyobrazić, co się działo, wspominając dzień, gdy jako piętnastolatek po raz pierwszy przybył na Wyspę Mędrców.

Kiedy Olcha opuścił statek w porcie miasta Thwil, jeden z żeglarzy nakreślił na trapie runę Zamkniętych Drzwi, by zamknąć mu drogę powrotu na pokład. Olcha zauważył to, uznał jednak, iż marynarz

miał po temu powody. Sam także czuł się jak przeklęty. Miał wrażenie, że niesie w sobie ciemność. To sprawiło, że był jeszcze bardziej onieśmielony niż zwykle w obcych miastach, a Thwil to naprawdę osobliwe miasto.

– Ulice zwodzą cię na manowce – zauważył Krogulec.

– Rzeczywiście, mój panie. Przepraszam, język posłuszny jest sercu, nie myślom...

– Nie szkodzi. Przywykłem, że kiedyś tak mnie nazywano. Jeśli ma ci to ułatwić życie, mogę stać się panem pasterzem. Mów dalej.

Zwodzony przez mieszkańców, czy też źle pojmujący ich wskazówki, Olcha długo krążył po labiryncie miasta Thwil pośród pagórków. Cały czas widział w oddali szkołę, nie mógł się jednak do niej zbliżyć. W końcu ogarnięty rozpaczą stanął przed zwykłymi drzwiami w ślepej ścianie na nieciekawym placu. Po chwili zrozumiał, że właśnie do tej ściany usiłował dotrzeć. Zastukał i w drzwiach stanął człowiek o spokojnej twarzy i oczach.

Olcha już miał powiedzieć, że przysyła go czarodziej Beryl z Ea, z wiadomością dla Mistrza Przywołań. Nie zdążył jednak się odezwać. Odźwierny popatrzył na niego i uśmiechnął się łagodnie.

– Nie możesz wprowadzić ich do tego domu, przyjacielu.

Olcha nie pytał, kogo nie może wprowadzić. Wiedział. Przez ostatnie noce niemal nie sypiał. Od czasu do czasu udawało mu się zdrzemnąć, zawsze jednak budził się ogarnięty zgrozą. Czasami drzemał za dnia i otwierając oczy, widział suchą szarą trawę porastającą rozsłoneczniony pokład statku, kamienny mur pośród morskich fal. Nawet na jawie sen stale mu towarzyszył, otaczał go, spowijał niczym woal. Mimo szumu wiatru i morza Olcha wciąż słyszał głosy wykrzykujące jego imię. Nie wiedział, czy śpi, czy już się ocknął. Był bliski obłędu, nękany bólem, strachem i zmęczeniem.

– Nie pozwól im wejść – prosił – i wpuść mnie do środka. Miej litość, wpuść mnie.

– Zaczekaj tutaj – polecił Mistrz Odźwierny łagodnie. – Tam masz ławkę. – Wskazał ręką, po czym zamknął drzwi.

Olcha usiadł na kamiennej ławie. Pamiętał tę chwilę, pamiętał też kilku piętnastolatków przyglądających mu się ciekawie, gdy

przechodzili obok i znikali za drzwiami. Z późniejszych wydarzeń jednak pozostały w jego pamięci tylko strzępki.

Odźwierny powrócił, prowadząc młodego mężczyznę z laską i w płaszczu, czarnoksiężnika z Roke. Potem Olcha znalazł się w komnacie domu gościnnego. Mistrz Przywołań złożył mu wizytę i próbował nawiązać rozmowę, lecz Olcha był nieprzytomny. Rozdarty pomiędzy snem a jawą, pomiędzy słonecznym pokojem a pogrążonym w półmroku szarym wzgórzem, pomiędzy głosem Mistrza Przywołań a głosami wzywającymi go zza muru, nie potrafił skupić myśli, jakby już nie przebywał w świecie żywych. W mrocznym świecie, w którym rozbrzmiewały głosy cienistych postaci, łatwo byłoby przejść kilka ostatnich kroków i pozwolić, by ręce umarłych go pochwyciły. Jeśli stanie się jednym z nich, będzie miał święty spokój.

A potem słoneczny pokój zniknął i Olcha znów znalazł się na szarym wzgórzu. Obok niego jednak stał Mistrz Przywołań z Roke, wysoki, krzepki mężczyzna o ciemnej skórze, trzymający w dłoni wielką laskę z drzewa cisowego, która lśniła w półmroku.

Głosy umilkły. Ludzie, tłum postaci zgromadzonych przy murze, zniknęli. Olcha słyszał odległy szelest i ciche szlochanie w ciemności.

Mistrz Przywołań podszedł do muru i położył na nim ręce.

Tu i ówdzie kamienie zostały obluzowane. Kilka wypadło i leżało na suchej trawie. Olcha poczuł, że powinien je podnieść, ułożyć na miejscu, naprawić mur. Nic jednak nie zrobił.

Mistrz Przywołań odwrócił się do niego.

– Kto cię tu sprowadził? – spytał.

– Moja żona, Mevre.

– Przywołaj ją tutaj.

Olcha milczał. W końcu otworzył usta, lecz gdy się odezwał, nie wykrzyknął prawdziwego imienia żony, tylko użytkowe, którym nazywał ją za życia. Słowo to w jego uszach nie przypominało białego kwiatu, lecz kamyk upadający w pył.

– Lilio...!

Cisza. Na czarnym niebie świeciły maleńkie, odległe gwiazdy. Olcha nigdy wcześniej nie spoglądał w niebo tej krainy, nie rozpoznał żadnej z gwiazd.

– Mevre! – krzyknął Mistrz Przywołań. A potem głębokim głosem dodał kilka słów w Dawnej Mowie.

Na zboczu wiodącym w bezkształtną ciemność nic się nie poruszyło, lecz Olcha poczuł, że opuszczają go siły, ledwie trzymał się na nogach.

W końcu dostrzegł ruch, coś zajaśniało, zbliżało się ku nim.

Olcha cały drżał z lęku i tęsknoty.

– O, ukochana! – szepnął.

Kiedy jednak postać podeszła bliżej, przekonał się, że jest za mała jak na Lilię. Ujrzał przed sobą dwunastoletnie dziecko; nie widział, czy to chłopiec, czy dziewczynka. Dziecko nie zwracało uwagi na niego ani na Mistrza Przywołań. Nie spojrzało nawet ponad murem, nie spoglądało przez mur. Usiadło na ziemi tuż pod nim. Gdy Olcha podszedł bliżej, przekonał się, że dziecko próbuje podważać kamienie, obluzować najpierw jeden, potem następny.

Mistrz Przywołań szeptał coś w Dawnej Mowie. Dziecko raz jeden zerknęło na niego obojętnie i dalej szarpało kamienie szczupłymi palcami, które zdawały się pozbawione siły.

Było to tak straszne, iż Olsze zakręciło się w głowie. Próbował się odwrócić i nie pamiętał nic więcej, do chwili gdy ocknął się w słonecznym pokoju. Leżał w łóżku słaby, chory i zziębnięty.

Opiekowali się nim ludzie – wyniosła uśmiechnięta kobieta prowadząca dom gościnny i przysadzisty stary mężczyzna o brązowej skórze, który zjawił się wraz z Mistrzem Odźwiernym. Z początku Olcha wziął go za lekarza czarownika. Dopiero gdy ujrzał go z laską z drzewa oliwnego, pojął, iż to Mistrz Ziół.

Uzdrowiciel ze szkoły na Roke samą swą obecnością niósł ukojenie, zdołał też podarować Olsze nieco snu. Zaparzył herbatę, kazał mu ją wypić. Potem podpalił garść ziół, które płonęły wolno, wydzielając zapach przywodzący na myśl czarną ziemię pod sosnami. Usiadł przy łóżku chorego i cicho coś zanucił.

– Nie mogę spać! – zaprotestował Olcha, czując, jak sen ogarnia go niczym wielka mroczna fala. Uzdrowiciel położył ciepłą dłoń na jego ręce. Wówczas Olchę ogarnął spokój; bez lęku osunął się w sen. Póki dłoń uzdrowiciela spoczywała na jego dłoni, nie obawiał się mrocznego wzgórza i kamiennego muru.

Obudził się, zjadł coś i wkrótce w komnacie znów pojawił się Mistrz Ziół, przynosząc napar pachnący ziemią, dym i monotonną pieśń oraz dotyk ręki. I Olcha znowu zasnął.

Uzdrowiciel miał wiele obowiązków w szkole, toteż mógł odwiedzać go zaledwie na kilka godzin. Po trzech nocach Olcha wypoczął do tego stopnia, że jadł normalnie, a nawet przeszedł się po mieście. Zaczął też składnie mówić i myśleć. Czwartego poranka w jego komnacie zjawiło się trzech mistrzów: Ziół, Przywołań i Odźwierny.

Olcha skłonił się przed Mistrzem Przywołań. Czuł przy nim zgrozę graniczącą z nieufnością. Mistrz Ziół także był wielkim magiem, ale biło od niego dobro, a swą sztuką nie tak bardzo różnił się od Olchy, toteż łatwo mogli się porozumieć. Natomiast Mistrz Przywołań nie zajmował się sprawami ciała, lecz duchami, umysłami i wolą ludzi, zjawami, znaczeniami. Jego sztuka była tajemnicza, niebezpieczna, pełna zagrożeń. Niedawno stał obok Olchy, choć nie ciałem, na granicy przy murze. Wraz z nim powróciły ciemność i strach.

Z początku trzej magowie milczeli. Jeśli cokolwiek ich łączyło, to upodobanie do ciszy.

W końcu Olcha odezwał się pierwszy, próbując wyrazić to, co kryło się w głębi jego duszy.

– Jeżeli uczyniłem coś złego, co sprowadziło mnie w tamto miejsce, zwabiło do mnie moją żonę bądź inne dusze, jeśli mogę naprawić bądź odczynić mój występek, zrobię to. Nie wiem jednak, co uczyniłem.

– Albo też kim jesteś – dodał Mistrz Przywołań.

Olcha umilkł.

– Niewielu z nas wie, kim jesteśmy – wtrącił Mistrz Odźwierny. – Dostrzegamy tylko fragment całości.

– Opowiedz nam, jak pierwszy raz znalazłeś się pod kamiennym murem – poprosił Mistrz Przywołań.

I Olcha opowiedział.

Magowie słuchali w milczeniu. Gdy skończył, długą chwilę trwała cisza. W końcu przemówił Mistrz Przywołań. Był tak wysoki, rosły w barach i ciemny, iż Olsze kojarzył się z niedźwiedziem.

– Czy zastanawiałeś się, co oznacza przekroczenie owego muru?

– Wiem, że nie mógłbym stamtąd wrócić.

– Tylko magowie mogą przebyć go za życia, i jedynie w najwyższej potrzebie. Mistrz Ziół może udać się śladem chorego aż do muru. Jeśli jednak chory go przekroczy, mistrz nie podąży jego śladem.

Moja sztuka przywołania pozwala nam wzywać martwych z powrotem za mur, gdy zachodzi taka potrzeba. Na krótko, jedną chwilę. Ja sam wątpię, czy istnieje powód usprawiedliwiający tak wielkie naruszenie praw i równowagi świata. Nigdy nie wypowiedziałem tego zaklęcia, nie przekroczyłem też muru. Uczynił to Arcymag, a wraz z nim król, gdy wyruszyli, by leczyć ranę, jaką zadał światu czarnoksiężnik Cob.

– A kiedy Arcymag nie wrócił, Thorion, nasz ówczesny Mistrz Przywołań, wyruszył do Suchej Krainy, by go odszukać – wtrącił Mistrz Ziół. – Powrócił stamtąd odmieniony.

– Nie ma potrzeby o tym mówić – rzucił mag wielki jak niedźwiedź.

– Może jednak jest – nie zgodził się Mistrz Ziół. – Może Olcha powinien o tym usłyszeć. Myślę, że Thorion zanadto ufał własnej sile, za długo tam pozostał. Sądził, iż może przywołać się z powrotem do życia, lecz powróciła tylko jego moc, umiejętności, ambicje – wola życia, która jednak sama życia nie stanowi. Ale myśmy mu ufali, bo go kochaliśmy, i tak niszczył nas, póki Irian nie zniszczyła jego.

Daleko od Roke, na wyspie Gont słuchacz Olchy przerwał mu nagle.

– Jak brzmiało to imię?

– Irian, tak powiedział.

– Znałeś je wcześniej?

– Nie, mój panie.

– Ja też nie. – Po chwili ciszy Krogulec dodał miękko, jakby wbrew własnej woli: – Widziałem tam Thoriona. W Suchej Krainie. Podjął ryzyko wyprawy, bo chciał mnie odnaleźć. Na jego widok poczułem smutek. Powiedziałem, że może spróbować powrócić na drugą stronę muru. – Jego twarz powlókł posępny cień. – Złe to były słowa. Każde słowo wypowiedziane między żywymi a umarłymi niesie ze sobą zło. Lecz ja także go kochałem.

Siedzieli w milczeniu. Krogulec podniósł się nagle, przeciągnął. Obaj postanowili trochę rozprostować kości. Olcha nabrał wody ze studni, Krogulec zaczął strugać nowe stylisko do ogrodowej łopaty.

– Mów dalej, Olcho – poprosił. I Olcha podjął swą opowieść.

Pozostali dwaj mistrzowie w milczeniu słuchali opowieści Mistrza Ziół o Thorionie. Olcha zdobył się na odwagę i spytał o coś, co niezmiernie go dręczyło: Jak umarli docierają do muru? Jak trafiają tam magowie?

– To podróż duchowa – odpowiedział natychmiast Mistrz Przywołań.

Stary uzdrowiciel przemówił z większym wahaniem.

– Ciało nie przekracza muru, pozostaje przecież tutaj. A jeśli mag udaje się tam w wizji, jego uśpione ciało wciąż czeka, żyje. Owego podróżnego, który wyrusza w drogę, oddalając się od ciała, nazywamy duszą, duchem.

– Ale moja żona wzięła mnie za rękę – zaprotestował Olcha. Nie mógł się zdobyć na to, by powtórzyć, iż ucałowała go w usta. – Czułem jej dotknięcie.

– Albo tak ci się wydawało – wtrącił Mistrz Przywołań.

– Jeśli dotknęli się cieleśnie, jeśli powstała więź – rzekł Mistrz Ziół, zwracając się do Mistrza Przywołań – może to ona pozwala innym umarłym przychodzić do niego, wzywać go, nawet dotykać.

– Dlatego właśnie musi się im opierać. – Mistrz Przywołań zerknął na Olchę. Oczy miał małe, ogniste.

Olcha wyczuł w jego słowach nutę oskarżenia. Niesprawiedliwego.

– Próbuję się im opierać, panie. Próbowałem. Ale jest ich tak wielu, a ona z nimi. I wszyscy cierpią, wzywają mnie.

– Oni nie mogą cierpieć. Śmierć oznacza koniec wszelkiego cierpienia.

Mistrz Ziół miał inne zdanie:

– Może cień bólu pozostaje bólem. W owej krainie są też góry i noszą nazwę Ból.

Do tej pory Mistrz Odźwierny prawie się nie odzywał. Teraz przemówił cichym, spokojnym głosem.

– Olcha naprawia, nie niszczy. Wątpię, by zdołał zerwać tę więź.

– Jeśli ją stworzył, może też ją zerwać – zauważył Mistrz Przywołań.

– A stworzył?

Olchę tak przeraziły ich słowa, że zaprotestował gniewnie:

– Nie mam takiej mocy, panie!

– Zatem muszę zejść pośród nich – oznajmił Mistrz Przywołań.

– Nie, mój przyjacielu – powiedział Mistrz Odźwierny, a stary Mistrz Ziół dodał:

– Przede wszystkim nie ty.

– Ale to moja sztuka.

– I nasza.

– Kto zatem?

– Wygląda na to – rzekł Mistrz Odźwierny – iż Olcha jest naszym przewodnikiem. Szuka u nas pomocy i może zdoła też pomóc nam. Towarzyszmy mu wszyscy w jego wizji, do muru, lecz nie na drugą stronę.

I tak przerażony Olcha późno owej nocy, gdy pozwolił sobie w końcu zasnąć, znów znalazł się na szarym wzgórzu. Tym razem towarzyszyli mu Mistrz Ziół – ciepła obecność w chłodnej ciemności – Mistrz Odźwierny, mglisty i srebrzysty w blasku gwiazd, oraz potężny Mistrz Przywołań, niedźwiedź, ciemna siła.

Teraz stali nie w miejscu, gdzie zbocze opadało w mrok, lecz w pobliżu, spoglądając ku szczytowi. Mur przebiegał w poprzek wierzchołka wzgórza. Był niski, sięgał niewiele ponad kolana. Niebo, na którym jaśniała garść gwiazd, było idealnie czarne.

Nic się nie poruszało.

Trudno byłoby pójść w górę, aż do muru, pomyślał Olcha. Zawsze dotąd mur znajdował się niżej.

Jeśli jednak pójdę, może Lilia tam będzie, tak jak wtedy, za pierwszym razem. Może zdołam chwycić ją za rękę i magowie zabiorą ją wraz ze mną. Albo może uda mi się przekroczyć mur w najniższym miejscu i pójść do niej.

Powoli ruszył w górę. Wędrówka okazała się łatwa. Już niemal dotarł na miejsce.

– Haro! – Głęboki głos Mistrza Przywołań pociągnął go z powrotem niczym pętla na szyi, szarpnięta gwałtownie smycz.

Olcha potknął się, postąpił chwiejnie jeszcze jeden krok i tuż przed murem upadł na kolana, wyciągając ręce ku kamieniom.

– Ratujcie mnie! – krzyczał, ale do kogo? Do magów czy do cieni za murem?

A potem na jego ramionach spoczęły ręce, żywe ręce, ciepłe i silne, i znalazł się w komnacie. Uzdrowiciel trzymał go za ramiona. Wokół jasno płonęło magiczne światło. Oprócz Olchy w komnacie było czterech mężczyzn, nie trzech.

Stary Mistrz Ziół siedział na łóżku i uspokajał Olchę, który trząsł się, dygotał, szlochał.

– Nie mogę tego zrobić – powtarzał i sam nie wiedział, czy zwraca się do magów, czy do umarłych.

Gdy strach i rozpacz zaczęły ustępować, poczuł ogromne znużenie. Niemal bez zainteresowania spojrzał na przybysza. Jego oczy miały barwę lodu, włosy i skóra były białe. Mieszkaniec dalekiej północy. Z Enwas bądź Bereswek, pomyślał Olcha.

Człowiek ów zwrócił się do magów.

– Co robicie, przyjaciele?

– Ryzykujemy, Azverze – odparł stary Mistrz Ziół.

– Kłopoty na granicy, Mistrzu Wzorów – dodał Mistrz Przywołań.

Olcha spostrzegł, jakim szacunkiem darzą owego Azvera i z jak wielką ulgą go powitali. Opowiedzieli mu pokrótce, w czym kryje się problem.

– Jeśli on zechce pójść ze mną, pozwolicie mu? – spytał Mistrz Wzorów, gdy skończyli. I odwróciwszy się do Olchy, dodał: – W Wewnętrznym Gaju nie musisz się lękać swoich snów. My też nie będziemy musieli się ich obawiać.

Wszyscy przytaknęli. Mistrz Wzorów zniknął. Tak naprawdę go tam nie było.

Nie było go. Widzieli tylko iluzję. Po raz pierwszy Olcha miał okazję oglądać wielką moc owych mistrzów w działaniu i gdyby nie to, że już dawno przekroczył granice strachu i zdumienia, poczułby niepokój.

Wyruszył w ślad za Mistrzem Odźwiernym spokojnymi ulicami w noc, zostawiając za sobą mury szkoły, pola pod wysokim okrągłym wzgórzem. Potem wędrowali brzegiem strumienia śpiewającego

cicho w ciemności wodne pieśni. Przed sobą widzieli wysokie drzewa ukoronowane szarym blaskiem gwiazd.

Mistrz Wzorów wyszedł im na spotkanie. Wyglądał dokładnie tak jak w komnacie Olchy. Przez chwilę rozmawiali cicho z Mistrzem Odźwiernym. A potem Olcha podążył za jasnowłosym magiem do Gaju.

– Drzewa są ciemne – rzekł do Krogulca – ale pod nimi nie kryje się ciemność. Jest tam światło, jasność.

Krogulec przytaknął bez słowa, uśmiechając się lekko.

– Gdy tylko się tam znalazłem, zrozumiałem, że będę mógł spać. Miałem wrażenie, jakbym cały czas spał, był pogrążony w koszmarnym śnie i wreszcie się ocknął, by móc zasnąć naprawdę. Mistrz Wzorów zabrał mnie do zakątka ukrytego wśród korzeni ogromnego drzewa, wysłanego suchymi liśćmi. Powiedział, że mogę się tam położyć. Zrobiłem to i zasnąłem. Nie potrafię opisać słodyczy tego snu.

***

Południowe słońce grzało coraz mocniej. Weszli do domu i gospodarz poczęstował gościa chlebem, serem oraz kawałkiem suszonego mięsa. Dom składał się z tylko jednej długiej izby oraz małej zachodniej wnęki, był jednak duży i przewiewny. Mocny, wzniesiony z szerokich desek i belek. Lśniąca drewniana podłoga, głębokie kamienne palenisko.

– To szlachetny dom – zauważył Olcha.

– I wiekowy. Nazywają go domem Starego Maga. Nie chodzi tu o mnie ani o mojego mistrza Aihala, lecz o jego mistrza, Heletha, który wraz z Aihalem uciszył wielkie trzęsienie ziemi. To dobry dom.

Olcha zdrzemnął się chwilę pod drzewami; promienie słońca padały na niego spomiędzy szumiących liści. Gospodarz także odpoczywał, ale niezbyt długo. Gdy Olcha się ocknął, pod drzewem stał spory koszyk pełen małych złocistych śliwek, a Krogulec krzątał

się na pastwisku, naprawiając ogrodzenie. Olcha poszedł mu pomóc, lecz praca była już skończona. Kozy jednak zniknęły bez śladu.

– Żadna nie daje mleka – westchnął Krogulec, gdy wrócili do domu. – Nie mają nic do roboty, więc wynajdują coraz to nowe metody pokonania ogrodzenia. Hoduję je z czystej rozpaczy. Pierwsze zaklęcie, jakiego się nauczyłem, pozwalało przywołać zbłąkane kozy. Nauczyła mnie go ciotka. Teraz równie bezskutecznie mógłbym zaśpiewać im pieśń miłosną. Chodźmy sprawdzić, czy nie weszły w szkodę u wdowca. Nie znasz czarów wzywających kozy, prawda?

Istotnie, dwie brązowe kozy buszowały wśród grządek kapusty na obrzeżu wioski. Olcha powtórzył zaklęcie, które usłyszał od Krogulca.

Noth hierth malk man,
hiolk han merth han!

Spojrzały na niego z czujną pogardą i oddaliły się nieco. Krzyki i wymachiwanie kijem przegnały je z kapusty na ścieżkę, a wtedy Krogulec wyjął z kieszeni garść śliwek. Wabiąc niesforne kozy smakołykami i miłymi słówkami, powoli prowadził je z powrotem na pastwisko.

– To dziwne stworzenia – rzekł, zamykając furtkę. – Z kozami nigdy do końca nie wiesz, na czym stoisz.

Olcha pomyślał, że to samo mógłby rzec o swoim gospodarzu, ale tego nie powiedział.

Gdy znów usiedli w cieniu, Krogulec rzekł:

– Mistrz Wzorów nie pochodzi z północy. To Karg, podobnie jak moja żona. Był wojownikiem w Karego-At. O ile wiem, tylko on przybył stamtąd na Roke. Kargowie nie mają magów, nie ufają czarom. Znacznie lepiej od nas natomiast poznali Dawne Moce Ziemi. Ten człowiek, Azver, usłyszał w młodości opowieści o Wewnętrznym Gaju i uznał, iż tam się mieści ośrodek wszystkich mocy ziemi. Opuścił zatem swych bogów, porzucił rodzimą mowę i ruszył na Roke. Stanął na naszym progu, mówiąc dumnie: „Nauczcie mnie żyć w tamtym lesie”. I nauczyliśmy go, aż w końcu on zaczął nauczać

nas... Tak stał się naszym Mistrzem Wzorów. Nie jest człowiekiem łagodnym, lecz godnym zaufania.

– Ja nigdy się go nie obawiałem – odparł Olcha. – Dobrze się z nim czułem. Zabierał mnie daleko w głąb Gaju.

Obaj umilkli, myśląc o polanach i prześwitach w owym Gaju, blasku słońca i gwiazd przenikającym przez liście.

– To serce świata – dodał Olcha.

Krogulec spojrzał na wschód, na ciemne od drzew wzgórza góry Gont.

– Pójdę tam – rzekł – w głąb lasu, jeszcze tej jesieni.

Po chwili dodał:

– Powiedz, co poradził ci Mistrz Wzorów i czemu przysłał cię tu do mnie.

– Powiedział, mój panie, że wiesz więcej o... Suchej Krainie niż jakikolwiek żyjący człowiek. Może więc ty zdołasz zrozumieć, dlaczego dusze stamtąd przychodzą do mnie, błagając o wolność.

– Czy mówił, jak według niego mogło do tego dojść?

– Tak. Mówił, że moja żona i ja nie wiedzieliśmy, jak się rozstać, jedynie jak się złączyć. Że to nie moja wina, lecz nasza wspólna, bo coś przyciąga nas do siebie niczym krople rtęci. Lecz Mistrz Przywołań nie zgodził się z nim. Stwierdził, że jedynie wielka magiczna moc mogłaby naruszyć w ten sposób porządek świata. Ponieważ mój dawny mistrz Gap także dotknął mnie spoza muru, Mistrz Przywołań przypuszczał, iż może chodziło o jego magiczną moc, za życia ukrytą bądź zamaskowaną, lecz ujawnioną po śmierci.

Przez chwilę Krogulec zastanawiał się w milczeniu.

– W czasach, gdy mieszkałem na Roke, mógłbym zapewne zgodzić się z Mistrzem Przywołań. Tam nie znałem mocy większej niż ta, którą nazywamy magią. Nawet Dawne Moce Ziemi uważałem za słabsze... Jeśli Mistrz Przywołań to człowiek, o którym myślę, zjawił się na Roke jako chłopiec, przysłany przez Vetcha z Iffish, mojego starego przyjaciela. Na tym właśnie polega różnica pomiędzy nim i Azverem, Mistrzem Wzorów. Azver dorastał jako syn wojownika i sam żył jak wojownik pośród mężczyzn i kobiet, kosztując życia. Jego ciało i krew poznały doznania, których nie dopuszczają mury szkoły. Wie, że mężczyźni i kobiety kochają się, obcują ze sobą,

tworzą rodziny... Po piętnastu latach spędzonych poza murami jestem skłonny uznać, iż Azver ma rację. Więź łącząca ciebie i twoją żonę jest silniejsza niż podział pomiędzy życiem a śmiercią.

Olcha się zawahał.

– Też tak myślałem, ale wydaje mi się to... bezwstydne. Kochaliśmy się bardziej, niż potrafię wyrazić. Lecz czy nasza miłość była większa niż inne, wcześniejsze, potężniejsza niż miłość Morreda i Elfarran?

– Może nie słabsza.

– Jak to możliwe?

Krogulec odpowiedział z rozwagą, która sprawiła, że Olcha poczuł się zaszczycony.

– No cóż – rzekł wolno – czasami na świecie pojawia się namiętność, która obumiera nagle w pełni rozkwitu. A ponieważ kończy się w najpiękniejszej chwili, opiewają ją harfiarze i poeci. Oto miłość, która umyka latom. Taka właśnie była miłość Młodego Króla i Elfarran, a także twoja miłość, Haro. Nie była większa niż miłość Morreda, ale czy jego była większa niż twoja?

Olcha milczał, pogrążony w myślach.

– W sprawach absolutnych nie istnieją pojęcia mniejszy-większy – ciągnął Krogulec. – Prawdziwie kochający mówi zawsze „wszystko albo nic". I tak jest w istocie. Moja miłość nigdy nie umrze, mawia. Powołuje się na wieczność. I słusznie. Jak mogłaby umrzeć miłość, skoro jest samym życiem? Co właściwie wiemy o wieczności oprócz przebłysku, który dostrzegamy, gdy w naszym życiu zjawia się owa więź?

Krogulec mówił cicho, lecz z ogniem i zapałem. Potem odchylił głowę i dodał z lekkim uśmiechem:

– Śpiewa o tym każdy tępy parobek, wie o tym każda marząca o miłości dziewczyna. Lecz mistrzowie z Roke nie mają pojęcia o tych sprawach. Może Mistrz Wzorów poznał wcześniej miłość. Ja sam nauczyłem się jej późno, bardzo późno, ale nie za późno. – Spojrzał wyzywająco na Olchę, w jego oczach wciąż błyszczał ogień. – Ty jej zaznałeś.

– Tak. – Olcha odetchnął głęboko. Po chwili powiedział: – Może Morred i Elfarran są tam razem, oboje, w mrocznej krainie.

– Nie – odparł Krogulec z ponurą pewnością siebie.

– Skoro jednak więź jest prawdziwa, co mogłoby ją zerwać?

– Tam nie ma kochanków.

– Czym więc są, co robią w owej krainie? Byłeś tam, pokonałeś mur. Krążyłeś wśród nich, rozmawiałeś. Powiedz mi!

– Powiem. – Jakiś czas Krogulec milczał. – Nie lubię o tym myśleć – przyznał w końcu, podparł ręką głowę i skrzywił się. – Widziałeś... widziałeś tamte gwiazdy, małe złe gwiazdy, które nigdy się nie poruszają. Nie ma tam księżyca ani wschodu słońca. Kiedy zejdziesz ze wzgórza, ujrzysz drogi, drogi i miasta. Na wzgórzu jest trawa, martwa trawa, dalej jednak pozostaje tylko kamień i pył. Nic tam nie rośnie. Mroczne miasta, tłumy umarłych stoją na ulicach lub bez końca wędrują drogami. Nie mówią do siebie, nie dotykają się. Nigdy się nie dotykają. – Jego głos był cichy, przesycony goryczą. – Tam Morred mógłby minąć Elfarran, nie odwracając głowy, a ona nie spojrzałaby na niego. Nie ma tam radosnych spotkań, Haro, żadnych więzi. Matka nie tuli swojego dziecka.

– Ale przecież moja żona przyszła do mnie – zaprotestował Olcha. – Szepnęła me imię, ucałowała w usta.

– Tak. A ponieważ wasza miłość nie była większa niż inne śmiertelne miłości, a wy nie byliście potężnymi magami, których moc mogłaby odmienić prawa życia i śmierci, zatem tu chodzi o coś innego. Coś się dzieje, coś się zmienia. Choć dzieje się poprzez ciebie, jesteś tylko narzędziem, nie przyczyną.

Krogulec wstał, przeszedł ścieżką wzdłuż urwiska i zawrócił. Przepełniało go napięcie, energia, niemal drżał niczym sokół, który za moment opadnie ku ofierze.

– Gdy nazwałeś żonę prawdziwym imieniem, odparła: „To nie jest już moje imię”, prawda?

– Tak – szepnął Olcha.

– Ale jak to możliwe? My, którzy mamy prawdziwe imiona, zachowujemy je po śmierci. Zapomnieniu ulegają nasze imiona użytkowe. To jasne, że kryje się w tym tajemnica. Jak nam wiadomo, prawdziwe imię to słowo w Prawdziwej Mowie. Dlatego właśnie tylko ktoś posiadający dar może poznać imię dziecka i nadać mu je, a imię wiąże naszą istotę – za życia i po śmierci. Właśnie na tym opiera się

sztuka Mistrza Przywołań. A jednak gdy wezwał do ciebie prawdziwym imieniem twoją żonę, nie przyszła. Ty zawołałeś ją imieniem użytkowym Lilia i się zjawiła. Czy przybyła do ciebie jako do tego, kto znał ją naprawdę?

Zerknął bystro na Olchę, który odniósł wrażenie, że Krogulec dostrzega w nim więcej niż tylko zwykłego mężczyznę.

– Gdy mój mistrz Aihal umierał, moja żona czuwała przy nim. Umierając, rzekł: „Wszystko się zmieniło". Spoglądał przez mur, nie wiem, z której strony.

I od tego czasu istotnie zaszły zmiany. Na tronie Morreda zasiadł król, na Roke nie ma Arcymaga. Lecz stało się coś więcej, znacznie więcej. Widziałem, jak mała dziewczynka wzywa smoka Kalessina, Najstarszego, i Kalessin przybył, nazywając ją córką, tak jak ja. Co to oznacza? Czemu nad wyspami zachodu znów widuje się smoki? Król przysłał do nas statek, do Portu Gont, prosząc mą córkę Tehanu, aby przybyła i naradziła się z nim w sprawie smoków. Ludzie się lękają, że stara umowa została złamana, że smoki znów zaczną palić nasze pola i miasta, jak przedtem, nim Erreth-Akbe walczył z Ormem Embarem. A teraz na granicy życia i śmierci dusza odrzuca więź z imieniem... Nie rozumiem tego. Wiem jedynie, że coś się zmienia, wszystko się zmienia.

W jego głosie nie było strachu, tylko napięcie i zachwyt.

Olcha nie potrafił podzielać tego zachwytu. Zbyt wiele stracił, zbyt zmęczyła go walka z siłami, których nie pojmował. Ale serce zabiło mu żywiej.

– Oby zmieniło się na lepsze, panie – rzekł.

– Oby – odparł stary człowiek. – Lecz zmienić się musi.

***

Upał zaczął ustępować i Krogulec oznajmił, że musi odwiedzić wioskę. W ręku niósł koszyk śliwek, w którego środku umieścił mniejszy, z jajkami.

Olcha poszedł z nim. Po drodze rozmawiali. Gdy zrozumiał, że Krogulec wymienia owoce, jajka i inne produkty małego gospodarstwa na kaszę i mąkę, że drzewo, którym pali w piecu, zbiera cierpliwie w lesie, że musi żywić się zeszłorocznym serem, bo jego kozy nie dają mleka, zdumiał się. Jak to możliwe, by Arcymag Ziemiomorza żył tak ubogo? Czyż rodacy nie okazują mu szacunku?

Kiedy razem weszli do wioski, Olcha ujrzał, że na widok jego gospodarza kobiety zatrzaskują drzwi. Kramarz, który kupił jajka i owoce, bez słowa wyłożył zapłatę na drewniany blat. Cały czas unikał ich wzrokiem.

– Dobrego dnia, Iddi – pozdrowił go wesoło Krogulec, lecz nie otrzymał odpowiedzi.

W drodze powrotnej Olcha spytał:

– Czy oni wiedzą, kim jesteś, panie?

– Nie – odparł były Arcymag, spoglądając na niego z ukosa. – I tak.

– Ale... – Olcha nie umiał wyrazić swego oburzenia.

– Wiedzą, że nie mam mocy czarnoksięskiej, ale jest we mnie coś dziwnego. Wiedzą, że mieszkam z cudzoziemką, Kargijką. Wiedzą, że dziewczyna, którą nazywamy córką, jest kimś w rodzaju czarownicy, lecz jeszcze gorzej, bo jej twarz i dłoń spalił ogień, a ona sama spaliła władcę Re Albi, czy może zepchnęła go z urwiska albo zabiła złym okiem – wersje są różne. Szanują dom, w którym mieszkamy, bo należał wcześniej do Aihala i Heletha, a martwi magowie to dobrzy magowie... Olcho, pochodzisz z miasta, z wyspy należącej do królestwa Morreda. Wioska na Goncie to coś zupełnie innego.

– Czemu zatem tu zamieszkałeś, panie? Z pewnością król przyjąłby cię godnie. Z czcią.

– Nie chcę niczyjej czci – odparł stary człowiek tak gwałtownie, że Olcha umilkł.

Dotarli do wzniesionego na skraju przepaści domu.

– Oto moje gniazdo – powiedział Krogulec.

Do kolacji każdy wypił szklankę czerwonego wina i jeszcze jedną, siedząc na ławce i patrząc na zachodzące słońce. Niewiele rozmawiali. Olcha czuł narastający lęk przed nocą i snem.

– Nie jestem uzdrowicielem – rzekł jego gospodarz – może jednak uda mi się ulżyć ci we śnie, tak jak uczynił to Mistrz Ziół.

Olcha spojrzał na niego pytająco.

– Zastanawiałem się nad tym i uznałem, że wcale nie zaklęcie utrzymuje cię z dala od owego wzgórza, lecz dotyk żywej ręki. Jeśli chcesz, możemy spróbować.

Olcha zaprotestował, ale Krogulec powiedział tylko:

– I tak przez większość nocy mało śpię.

Tej nocy zatem gość położył się na niskim łóżku w kącie dużej izby, a gospodarz usiadł obok niego, patrząc w ogień i drzemiąc.

Olcha w końcu zasnął. Wkrótce potem zaczął drżeć i wykrzywiać się we śnie. Krogulec wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu obróconego na bok Olchy. Śpiący drgnął lekko, westchnął, odprężył się i ucichł.

Krogulec ucieszył się, że może zdziałać choć tyle. Równie dużo jak mag, pomyślał z lekką ironią.

Nie był senny. Napięcie jeszcze go nie opuściło. Rozmyślał. Wspominał ich rozmowy, chwilę, gdy Olcha stał na ścieżce obok grządek kapusty, powtarzając zaklęcie wzywające kozy, i wyniosłą obojętność zwierząt wobec pozbawionych mocy słów. Przypomniał sobie, jak sam wymawiał imię krogulca, jastrzębia, szarego orła, przyzywając je z nieba, a one śmigały ku niemu, wbijając mu w ramię żelazne szpony i spoglądając gniewnie złotymi oczami... Koniec z tym. Mógł się przechwalać, nazywać dom swoim gniazdem, ale nie miał skrzydeł.

Lecz Tehanu je miała. Mogła wzlecieć na smoczych skrzydłach.

Ogień się wypalił. Krogulec owinął się ciaśniej owczą skórą, opierając głowę o ścianę. Wciąż trzymał dłoń na nieruchomym, ciepłym ramieniu Olchy. Polubił swego gościa i darzył współczuciem.

Jutro musi pamiętać, by poprosić go o naprawę zielonego dzbanka.

Trawa pod murem była krótka, sucha, martwa, nie poruszał jej żaden wiatr.

Ocknął się, zdumiony, na wpół podnosząc się z krzesła. Po chwili oszołomienia znowu oparł dłoń na ramieniu Olchy, ścisnął je lekko i szepnął:

– Haro, odejdź stamtąd! Haro!

Olcha zadrżał i odprężył się. Westchnął ponownie, przewrócił się na brzuch i znieruchomiał.

Krogulec siedział z ręką na jego ramieniu. Jakim cudem sam także się tam znalazł, przy owym kamiennym murze? Nie miał już mocy, by tam dotrzeć. Nie mógłby znaleźć drogi. Podobnie jak zeszłej nocy, zbłąkana dusza Olchy przyciągnęła go do granicy mrocznej krainy.

Senność zupełnie go opuściła. Siedział, spoglądając na szarzejący prostokąt zachodniego okna pełen gwiazd. Trawa pod murem... Dalej, gdzie wzgórze opadało ku mrocznej, suchej równinie, już nie rosła. Powiedział Olsze, iż w dole jest tylko pył i skały. Sam widział ów czarny pył, czarne skały, suche łożyska strumieni, którymi nigdy nie płynęła woda. Ani śladu żywych istot – ptaków, spłoszonych polnych myszy, małych bzyczących owadów połyskujących w blasku słońca. Jedynie martwi ludzie o pustych oczach i pustych twarzach.

Ale czy ptaki nie umierają?

Mucha, giez, koza – biało-brązowa bezwstydna koza Sippy o zgrabnych kopytkach i żółtych oczach, ulubienica Tehanu. Padła zeszłej zimy ze starości. Gdzie teraz była Sippy?

Nie w Suchej Krainie, w mrocznej krainie. Nie żyła, ale tam jej nie było. Pozostała tam, gdzie jej miejsce, w ziemi. W ziemi, w świetle, na wietrze, w strumyku wody tryskającej ze skały, w żółtym oku słońca.

Czemu zatem, czemu...

***

Patrzył, jak Olcha naprawia dzban. Soczyście zielony brzuchaty dzbanek był ulubionym naczyniem Tenar. Przed wielu laty zabrała go ze sobą z Dębowej Farmy. Kilka dni temu wyśliznął się Krogulcowi z palców i rozbił na podłodze. Krogulec zebrał dwa duże kawałki i sporo drobnych odłamków, mając nadzieję, że da się je skleić – nawet gdyby naczynie nie nadawało się już do użytku, stałoby na

półce. Za każdym razem, gdy widział czekające w koszyku skorupy, ogarniał go gniew na własną niezręczność.

Teraz zafascynowany obserwował dłonie Olchy. Smukłe, silne, zręczne, poruszały się niespiesznie, obejmując dzbanek, gładząc, zestawiając, łącząc odłamki gliny, pieszcząc i wspomagając. Kciuki naprowadzały mniejsze kawałki na miejsce, łączyły, dodawały otuchy. Podczas pracy Olcha nucił bez przerwy dwa pozbawione melodii słowa. Pochodziły z Dawnej Mowy. Ged wiedział o tym, nie znał jednak ich znaczenia. Olchę do tego stopnia zaabsorbowała praca, iż miał na twarzy wyraz błogości, bezczasowego spokoju, zniknęły z niej smutek i napięcie.

Dłonie oderwały się od dzbanka, rozchylając się niczym płatki rozkwitającego kwiatu. Naczynie stało na dębowym stole – całe.

Gdy Ged dziękował, Olcha rzekł:

– To żaden kłopot. Pęknięcie było bardzo proste. To dobra robota, dobra glina. Najciężej naprawić niechlujną robotę.

– Pomyślałem o czymś, co mogłoby pomóc ci spać – powiedział Ged.

Olcha ocknął się o świcie i wstał, by gospodarz mógł położyć się i przespać do rana. Obaj jednak wiedzieli, że nie może to trwać zbyt długo.

– Chodź ze mną – rzekł stary człowiek.

Wyruszyli w głąb lądu ścieżką okrążającą pastwisko kóz i wijącą się między wzgórzami, małymi, lekko zaniedbanymi spłachetkami pól i przyczółkami lasu. Olsze Gont wydawał się wyspą dziką, niegościnną. Górujący nad nią poszarpany skalny szczyt budził lęk.

– Przyszło mi do głowy – wyjaśnił Krogulec – że jeśli poradziłem sobie równie dobrze jak Mistrz Ziół, utrzymując cię z dala od Suchej Krainy i muru tylko dzięki dotknięciu ręki, inni może także zdołają ci pomóc. Jeśli lubisz zwierzęta.

– Zwierzęta?

– Widzisz... – zaczął Krogulec, ale urwał, bo ścieżką pędziła ku nim dziwna istota. Opatulona w spódnice i szale, na nogach miała wysokie skórzane buty. Z jej włosów sterczały pióra.

– Paniole, paniole! – krzyknęła.

– Witaj, Wrzos, spokojnie – odparł Krogulec.

Zatrzymała się, kołysząc na boki. Pióra we włosach tańczyły, twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Wiedziała, że przyjdziesz! – huknęła. – Ułożyła palce w dziób sokoła i pokazała: Idź, idź. Wiedziała, że przyjdziesz.

– I przyszedłem.

– Do nas?

– Do was. Wrzos, to jest pan Olcha.

– Paniolcha – szepnęła i ucichła nagle, jakby po raz pierwszy dostrzegając przybysza. Skuliła się, skurczyła, spuszczając wzrok ku stopom.

Tak naprawdę nie miała butów. Jej nagie nogi od kolan w dół pokrywała warstwa zasychającego brązowego błota. Podkasaną spódnicę wsunęła pod pasek.

– Łapałaś żaby, Wrzos?

Obojętnie skinęła głową.

– Pójdę, powiem cioteczce – oznajmiła, zaczynając szeptem i wznosząc głos do krzyku, po czym umknęła w stronę, z której przyszła.

– Poczciwa dusza – rzekł Krogulec. – Kiedyś pomagała mojej żonie, teraz mieszka z naszą czarownicą i jej pomaga. Chyba nie masz nic przeciw odwiedzinom w domu czarownicy?

– Ależ nie, panie.

– Wielu by miało, szlachty i zwykłych ludzi, czarodziejów i czarnoksiężników.

– Moja żona, Lilia, była czarownicą.

Krogulec skłonił głowę. Przez chwilę szedł w milczeniu.

– Jak odkryła swój dar, Olcho?

– Urodziła się z nim. Jako dziecko sprawiała, że oderwana gałąź znów przyrastała do drzewa, inne dzieci przynosiły jej do naprawy zniszczone zabawki. Kiedy jednak ojciec widział, co robi, bił ją po rękach. Jej rodzina wiele znaczyła w mieście. Bardzo szanowani ludzie – dodał Olcha swym spokojnym, łagodnym głosem. – Nie chcieli, by zadawała się z czarownicami, bo przez to nie mogłaby poślubić równie szanowanego mężczyzny. Ukrywała zatem przed nimi to, że się uczy. A czarownice z miasta nie chciały mieć z nią nic do czynienia, nawet gdy zwracała się do nich o pomoc. Bały się jej

ojca. W końcu pojawił się bogaty zalotnik. Była bowiem piękna, wierz mi, panie; piękniejsza, niż potrafiłbym wyrazić. I ojciec kazał jej go poślubić. Tej nocy uciekła. Przez kilka lat żyła samotnie, wędrowała. Od czasu do czasu wstępowała na naukę do którejś z czarownic, lecz utrzymywała się sama dzięki swym zdolnościom.

– Taon nie jest wielką wyspą.

– Ojciec Lilii nie szukał. Oznajmił, że marna czarownica nie jest jego córką.

I znów Krogulec skłonił głowę.

– Aż w końcu przybyła do ciebie.

– Nauczyła mnie więcej, niż ja mogłem nauczyć ją – odparł szczerze Olcha. – Miała ogromny dar.

– Wierzę.

Dotarli do sporej chaty przycupniętej w dolince, otoczonej splątanym gąszczem oczaru i żarnowca. Na jej dachu siedziała koza, wokół przechadzało się stadko biało nakrapianych czarnych kur. Leniwa mała suka, owczarek, na ich widok uniosła łeb, zastanowiła się, czy warto zaszczekać, uznała, że nie warto, i zamerdała ogonem.

Krogulec podszedł do niskiego wejścia i pochylając się, zajrzał do środka.

– Tu jesteś, cioteczko – rzekł. – Przyprowadziłem ci gościa. To Olcha, czarodziej z wyspy Taon. Zajmuje się naprawami i jest w tym mistrzem. Wierz mi, przed chwilą widziałem, jak naprawiał zielony dzbanek Tenar, wiesz który. Straszny niezgrabiasz ze mnie. Parę dni temu upuściłem go i stłukłem.

Wszedł do chaty, Olcha podążył jego śladem. Na wyścielanym fotelu obok drzwi siedziała stara kobieta. Ze swego miejsca mogła wyglądać na rozsłoneczniony świat. W jej rzadkich siwych włosach tkwiły pióra, na kolanach miała dropiatą kurę. Uśmiechnęła się do Krogulca z przejmującą słodyczą i pozdrowiła gościa uprzejmym skinieniem głowy. Kura obudziła się, zagdakała i uciekła.

– To jest Mech – oznajmił Krogulec – czarownica. Posiada wiele zdolności; największą z nich jest dobro.

Olcha pomyślał, że tak mógłby przemawiać Arcymag z Roke, przedstawiając sobie wielkiego maga i wielką damę. Ukłonił się. Staruszka przekrzywiła głowę i zaśmiała się cicho.

Lewą, zdrową ręką zakręciła krąg i spojrzała pytająco na Krogulca.

– Tenar? Tehanu? – odparł. – Wciąż są w Havnorze, u króla. Zapewne świetnie się bawią, oglądają piękne budowle i pałace.

– Zrobiłam nam korony! – wykrzyknęła Wrzos, wypadając z cuchnącego mrocznego chaosu panującego w głębi izby. – Jak królom i królowym. Widzicie? – Z dumą zaprezentowała kurze pióra sterczące pod najróżniejszymi kątami z jej gęstych splotów. Cioteczka Mech, która dopiero teraz uświadomiła sobie, że także ma na głowie ową wątpliwą ozdobę, bezskutecznie spróbowała strącić pióra i skrzywiła się kwaśno.

– Korony są ciężkie – powiedział Krogulec. Delikatnie wyjął pióra z siwych włosów.

– Kto jest królową, paniolcu?! – krzyknęła Wrzos. – Kto jest królową? Bannen to król, a królowa?

– Król Lebannen nie ma królowej.

– Czemu nie? Powinien mieć. Czemu nie ma?

– Może wciąż jej szuka?

– Ożeni się z Tehanu! – wrzasnęła radośnie Wrzos. – Zobaczysz.

Krogulcowi twarz zmieniła się nagle, zamknęła, stężała.

– Wątpię – odparł tylko. Trzymając w dłoni pióra wyjęte z włosów czarownicy, pogładził je delikatnie. – Jak zwykle przychodzę prosić o przysługę, cioteczko.

Czarownica wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń z tak wielką czułością, że Olchę ogarnęło głębokie wzruszenie.

– Chcę od ciebie pożyczyć szczeniaka.

Mech wyraźnie posmutniała. Wrzos, stojąca obok z otwartymi ustami, zastanawiała się chwilę, w końcu huknęła:

– Szczeniaka? Cioteczko Mech, szczeniaków już nie ma!

Stara kobieta przytaknęła ponuro, gładząc brązową dłoń Krogulca.

– Ktoś je wziął?

– Największy uciekł, może pobiegł do lasu i jakiś stwór go zabił, bo nigdy nie wrócił. Potem zjawił się stary Gaduła i powiedział, że potrzebuje owczarków, więc weźmie dwa i je wytresuje. I cioteczka dała mu je, bo ganiały młode kurczaki, które wysiedziała Śnieżynka. A poza tym zjadały nam dom.

– No cóż, Gaduła nieźle się pewnie namęczy, nim je wytresuje – odparł z półuśmiechem Krogulec. – Cieszę się, że je dostał, ale żałuję, że ich już nie ma, bo chciałem jednego wypożyczyć na parę nocy. Spały w twoim łóżku, prawda, Mech?

Czarownica przytaknęła, nadal zasmucona. Potem rozpromieniła się lekko, uniosła wzrok, przekrzywiając głowę na bok, i miauknęła.

Krogulec spojrzał pytająco, lecz Wrzos zrozumiała.

– Och, kocięta! – krzyknęła. – Mała Szara urodziła czwórkę. Stary Czarnuch zabił jednego, nim zdążyłyśmy go powstrzymać, ale zostały trzy! Zwykle sypiają z cioteczką i Kwoką, odkąd nie ma już piesków. Kici, kici, kici, gdzie jesteście? Kici, kici! – Po dłuższej chwili pełnej szelestów, poruszeń i rozdzierających miauknięć w mrocznym wnętrzu zjawiła się ponownie, ściskając w ręku piszczącego i wyrywającego się szarego kociaka. – Jest jeden! – zawołała i rzuciła maleństwo przez izbę. Krogulec niezgrabnie schwytał kociaka, który natychmiast go ugryzł.

– No już, już, spokojnie – rzekł Krogulec.

Zwierzątko cichutko warknęło i spróbowało ugryźć znowu. Mech skinęła dłonią i Krogulec posadził maleństwo na jej kolanach. Powoli je głaskała. Kociątko rozpłaszczyło się na jej nodze, przeciągnęło, zamruczało.

– Mógłbym go wypożyczyć na jakiś czas?

Stara czarownica podniosła rękę w królewskim geście, mówiącym wyraźnie „jest twój”.

– Pana Olchę nękają bolesne sny. Pomyślałem, że towarzystwo zwierzęcia może mu pomóc.

Mech przytaknęła z powagą. Patrząc na Olchę, wsunęła dłoń pod kociaka i uniosła go wolno. Olcha ostrożnie odebrał od niej zwierzątko. Kociak nie warknął ani nie ugryzł. Wdrapał mu się po ręce i ramieniu, przywarł do szyi pod włosami związanymi luźno na karku.

W drodze powrotnej do domu Starego Maga – Olcha trzymał kociaka za koszulą – Krogulec wyjaśnił:

– Kiedyś, gdy byłem młodym czarnoksiężnikiem, poproszono mnie, bym uleczył dziecko z gorączki. Wiedziałem, że chłopiec umiera, ale nie potrafiłem pozwolić mu odejść. Próbowałem pójść za nim,

sprowadzić go z powrotem zza kamiennego muru... I tak upadłem obok jego łoża, jakbym sam był martwy. Na szczęście miejscowa czarownica odgadła, co się stało. Kazała zanieść mnie do domu i położyć do łóżka. A w moim domu mieszkało zwierzę. Zaprzyjaźniło się ze mną, gdy byłem jeszcze chłopcem na Roke. Dzikie stworzenie, które przyszło do mnie z własnej woli i zostało, otak. Znasz otaki? Chyba nie macie ich na północy.

Olcha się zawahał.

– Znam jedynie z pieśni opowiadającej... o tym jak mag przybył do Dworu Terrenon na Osskil, a otak próbował go ostrzec przed gebbethem, który mu towarzyszył. Mag uwolnił się od gebbetha, lecz otak został zabity.

Krogulec przez dwadzieścia kroków szedł w milczeniu.

– Tak – rzekł wreszcie. – No cóż, mój otak jeszcze raz ocalił mi życie, gdy przez własną głupotę utknąłem po niewłaściwej stronie muru. Moje ciało leżało nieruchome, a dusza błąkała się w tamtej krainie. Otak przyszedł do mnie i zaczął mnie myć, tak jak myją się zwierzęta, siebie i młode, niczym kot, suchym języczkiem. Lizał mnie cierpliwie, przywoływał tą pieszczotą, przyciągał z powrotem do mego ciała. Otrzymałem od niego w darze nie tylko życie, lecz wiedzę równie ważną jak wszystko, czego nauczono mnie na Roke... jednak i ją straciłem.

Nazywam to wiedzą, w istocie jednak chodzi o tajemnicę. Czym różnimy się od zwierząt? Mową? Wszystkie zwierzęta potrafią się porozumiewać. Mówią do siebie: „chodź”, „uważaj” i znacznie więcej. Nie potrafią jednak opowiadać historii ani kłamać, a my owszem.

Ale smoki mówią, władają Prawdziwą Mową, Mową Tworzenia, w której nie da się kłamać, a opowiedzieć historię oznacza ją stworzyć. Mimo to nazywamy smoki zwierzętami.

Może zatem wcale nie język nas wyróżnia? Może fakt, że zwierzęta nie czynią dobra ani zła, robią to, co muszą. Możemy nazywać ich czyny szkodliwymi bądź pożytecznymi, lecz dobro i zło to nasze pojęcia, bo my dokonujemy wyboru własnej drogi. Smoki są niebezpieczne, o tak. Mogą krzywdzić, ale nie są złe. Wykraczają poza naszą moralność, podobnie jak zwierzęta, albo stoją ponad nią. Nie mają z nią nic wspólnego.

My wciąż musimy dokonywać wyborów. Zwierzę jedynie działa, jest. My jesteśmy spętani, one wolne. Zatem być ze zwierzęciem, to zaznać odrobiny wolności...

Zeszłej nocy rozmyślałem o tym, że czarownice często mają towarzysza, chowańca. Moja ciotka miała starego psa, który nigdy nie warczał. Nazywała go Wybiegaj. A kiedy pierwszy raz przybyłem na Roke, poznałem Arcymaga Nemmerlego, któremu zawsze towarzyszył kruk. Pomyślałem też o pewnej młodej kobiecie noszącej zamiast bransolety małą jaszczurkę, smoka harrekki. I w końcu przypomniałem sobie o moim otaku. Potem spytałem sam siebie: skoro Olchę po tej stronie muru zatrzymuje ciepły dotyk, to czy nie mógłby to być dotyk zwierzęcia? Zwierzę widzi życie, nie śmierć. Może pies bądź kot spisze się równie dobrze jak mistrz z Roke?

I rzeczywiście, kociak wyraźnie zadowolony z faktu, że opuścił dom pełen psów, kocurów, kogutów i nieprzewidywalnej Wrzos, usilnie starał się wykazać, że jest godnym zaufania, czujnym, solidnym kotem. Patrolował zatem dom w poszukiwaniu myszy, przy każdej nadarzającej się okazji wdrapywał się na ramię Olchy pod jego włosy, a gdy tylko właściciel układał się do snu, kociak zwijał się w kłębek pod jego brodą, mrucząc głośno. Olcha całą noc przespał spokojnie. Nie pamiętał, by coś mu się śniło. Ocknąwszy się, ujrzał kocię siedzące mu na piersi i z zadowoloną miną myjące uszy.

Gdy Krogulec chciał ustalić płeć nowego domownika, kociak zaczął wyrywać się i prychać.

– W porządku – rzekł stary człowiek, błyskawicznie odsuwając zagrożoną dłoń. – Niech ci będzie. Jedno jest pewne, Olcho. To kot albo kotka.

– Tak czy inaczej nie nadam mu imienia – odparł Olcha. – Małe koty gasną szybko jak płomyk świecy. Jeśli się je nazwie, pozostaje po nich większy żal.

Tego dnia Olcha zaproponował, by razem zajęli się naprawą ogrodzenia wokół pastwiska kóz. Krogulec szedł po stronie wewnętrznej, Olcha po zewnętrznej. Gdy jeden z nich natrafił na miejsce, w którym paliki zaczynały już próchnieć albo węzły słabnąć, Olcha przesuwał rękę po drewnie, naciskając, pociągając,

wygładzając i wzmacniając. W jego gardle i piersi rozbrzmiewała niewyraźna pieśń. Twarz miał skupioną, odprężoną.

W pewnym momencie obserwujący go Krogulec mruknął:

– I pomyśleć, że kiedyś uważałem to za coś oczywistego.

Olcha, zatopiony w pracy, nie spytał, co gospodarz miał na myśli.

– Już – powiedział tylko. – Teraz wytrzyma.

Ruszyli dalej. Tuż za nimi maszerowały dwie ciekawskie kozy, które po kolei skakały i napierały na naprawione fragmenty ogrodzenia, jakby chciały sprawdzić jego wytrzymałość.

– Myślę – rzekł Krogulec – że dobrze byłoby, gdybyś popłynął do Havnoru.

Olcha spojrzał na niego niespokojnie.

– A ja uznałem, że skoro znam już sposób pozwalający trzymać się z dala... od tamtego miejsca... mógłbym wrócić do domu, na Taon. – Już wymawiając te słowa, przestał w nie wierzyć.

– Mógłbyś, lecz nie uważam, by było to mądre.

– Może za wiele wymagam – odparł z wahaniem Olcha. – Jeden mały kociak ma bronić człowieka przed armiami umarłych.

– Czemu nie?

– Ale... co miałbym robić w Havnorze? – Nagle w jego głosie zabrzmiała nadzieja. – Popłyniesz ze mną?

Krogulec raz jeden pokręcił głową.

– Zostanę tutaj.

– Mistrz Wzorów...

– Przysłał cię do mnie, a ja wysyłam cię do tych, którzy powinni wysłuchać twej historii i odkryć, co ona znaczy. Powiadam ci, Olcho, że w głębi serca Mistrz Wzorów wierzy, iż jestem tym, kim byłem. Że jedynie ukrywam się tu, w lasach Gontu, i w chwili największej potrzeby znów się zjawię. – Spuścił wzrok, patrząc na swe przepocone, połatane ubranie i zakurzone buty. Roześmiał się krótko. – W całej mojej chwale – dodał.

Stojąca za nim brązowa koza zameczała.

– Mimo wszystko jednak, Olcho, miał rację, przysyłając cię tutaj. Bo ona też by tu była, gdyby nie popłynęła do Havnoru.

– Pani Tenar?

– Hama Gondun. Tak nazwał ją sam Mistrz Wzorów. – Krogulec spojrzał na Olchę ponad ogrodzeniem. Gość nie potrafił odczytać wyrazu jego oczu. – Kobieta na Goncie. Kobieta z Gontu. Tehanu.

2

Pałace

Gdy Olcha wrócił do portu, „Chyża” wciąż tam stała, przyjmując ładunek drewna. Wiedział jednak, iż nie byłby mile widziany na jej pokładzie, skierował zatem kroki na cumujący obok niewielki statek przybrzeżny, „Piękną Różę”.

Krogulec wręczył mu list przewozowy podpisany przez króla i opieczętowany Runą Pokoju.

– Przysłał mi go, na wypadek gdybym zmienił zdanie – rzekł i prychnął cicho. – Teraz się przyda tobie.

Kapitan, gdy jego zaklinacz wiatru odczytał list, przyjął Olchę uniżenie, przeprosił go za ciasne pomieszczenia i długość podróży. „Piękna Róża” istotnie płynęła do Havnoru, ale jako statek przybrzeżny zawijała do kolejnych portów po drodze i dotarcie nią do wielkiej wyspy i miasta królów mogło trwać nawet miesiąc.

– Nie szkodzi – odparł Olcha, choć bowiem lękał się podróży, jeszcze bardziej obawiał się jej końca.

Trwająca od nowiu do półksiężyca podróż morska okazała się dlań czasem spokoju. Szary kociak świetnie znosił trudy wyprawy. Cały dzień polował na myszy, lecz nocami zawsze powracał i zwijał się w kłębek pod brodą Olchy albo w zasięgu jego ręki. I, ku nieustającemu zdumieniu Olchy, owa kruszyna ciepłego życia istotnie utrzymywała go z dala od kamiennego muru i nawołujących umarłych. Nie do końca – tak naprawdę nigdy o nich nie zapominał,

wciąż tam byli, tuż za zasłoną snu, w ciemności, za światłem dnia. Kiedy ciepłymi nocami sypiał na pokładzie, często otwierał oczy, by przekonać się, że gwiazdy wciąż się poruszają, kołyszą w rytm falowania morza, podążając swym kursem na nieboskłonie. Nie odzyskał spokoju, lecz przez pół letniego miesiąca, podróżując wzdłuż wybrzeży Kameberu, Barnisku i Wielkiej Wyspy, mógł udawać, że duchów nie ma.

Kociak przez kilka dni polował na młodego szczura, niemal dorównującego mu wielkością. Gdy wreszcie z dumą i wyraźnym wysiłkiem wyciągnął truchło na pokład, jeden z marynarzy, widząc, jak wielki ciężar dźwiga, nazwał go Żurawiem. Olcha zaakceptował to imię.

Przepłynęli przez cieśninę Ebavnoru i przesmyk wiodący do Zatoki Havnorskiej. Z mgiełki ponad rozsłonecznionymi wodami powoli wyłaniały się białe wieże miasta w sercu świata. Olcha stał na dziobie. Na szczycie najwyższej wieży dostrzegł błysk srebrnego światła. Miecz Erreth-Akbego.

Nagle pożałował, że nie może zostać na pokładzie, żeglować dalej, że musi zejść na ląd, do wielkiego miasta, pośród wyniosłych ludzi, niosąc list do króla. Wiedział, że kiepski z niego posłaniec. Czemu właśnie jemu przypadło to brzemię? Dlaczego to on, wioskowy czarownik niewyznający się na sprawach wielkich i najwyższych sztukach, musiał podróżować pomiędzy wyspami? Między magiem i monarchą, żywymi i umarłymi?

Przed wyjazdem powiedział coś podobnego do Krogulca.

– To mnie przerasta – rzekł.

Stary człowiek przyglądał mu się chwilę w milczeniu.

– Świat jest olbrzymi i niezwykły, Haro. Lecz nie większy i nie dziwniejszy niż nasze umysły. Pomyśl o tym czasem.

Niebo za miastem pociemniało. W głębi lądu szalała burza. Wieże płonęły bielą na tle ciemnego fioletu nieba. Nad ich szczytami śmigały mewy, roztańczone ogniste iskierki.

„Piękna Róża” zacumowała, rzucono trap. Tym razem, gdy Olcha zarzucał na ramię worek, marynarze życzyli mu powodzenia. Podniósł kosz do przewozu drobiu, w którym cierpliwie przycupnął Żuraw, i zszedł na ląd.

W plątaninie zatłoczonych ulic wyraźnie widział drogę wiodącą do pałacu. Nie miał pojęcia, co robić, postanowił zatem udać się tam i oznajmić, że przynosi list do króla od Arcymaga Krogulca.

Tak też uczynił, powtarzając te słowa wiele razy.

Wędrował od strażnika do strażnika, od urzędnika do urzędnika, pokonując szerokie stopnie zewnętrzne, wysokie sale, schody o złoconych poręczach, komnaty zawieszone gobelinami, rozległe marmurowe i dębowe posadzki pod niskimi i wysokimi, sklepionymi, malowanymi i belkowanymi stropami, i cały czas powtarzał swe zaklęcie.

– Przybywam od Krogulca, który był Arcymagiem, i przynoszę list do króla.

Nie zgadzał się oddać listu nikomu. Powoli wokół Olchy gromadził się rosnący tłum podejrzliwych, pozornie uprzejmych, wyniosłych, rzucających kłody pod nogi strażników i dworzan. Pokonanie kolejnych przeszkód wymagało coraz więcej czasu.

I nagle wszyscy zniknęli. Jakieś drzwi otwarły się i zamknęły za nim.

Znalazł się sam w cichej komnacie. Szerokie okna wyglądały na północno-zachodnie dachy miasta. Burzowe chmury zniknęły; daleko nad wzgórzami wznosił się szary wierzchołek góry Onn.

Szczęknęły kolejne drzwi. Do środka wszedł mężczyzna odziany w czerń, na oko mniej więcej w wieku Olchy. Poruszał się szybko, jego piękna, silna twarz była gładka niczym z brązu. Podszedł wprost do gościa.

– Mistrzu Olcho, jestem Lebannen.

Wyciągnął prawą rękę, by dotknąć dłoni Olchy, jak nakazuje zwyczaj na Ea i Enladach. Olcha zareagował odruchowo na znajomy gest. Potem przyszło mu do głowy, że powinien uklęknąć lub przynajmniej się skłonić, lecz stosowna chwila już minęła. Stał więc bez ruchu, oszołomiony.

– Przybywasz od pana mego Krogulca? Jak on się miewa? Dobrze?

– Tak, panie. Przysyła ci... – Olcha zaczął pospiesznie grzebać pod kurtą w poszukiwaniu listu, który zamierzał wręczyć królowi na klęczkach, gdy w końcu wprowadzą go do sali, gdzie władca zasiada na swym tronie. – ...Ten list, panie.

Obserwujące go oczy były czujne, życzliwie, bezlitośnie bystre, podobnie jak u Krogulca, lecz jeszcze bardziej skrywające myśli. Król z niezwykłą uprzejmością przyjął list.

– Każdy, kto przynosi choć słowo od niego, zasługuje na me najszczersze podziękowanie i powitanie. Wybaczysz mi?

Olcha w końcu zdołał się ukłonić. Król podszedł do okna i zaczął czytać.

Odczytał list co najmniej dwukrotnie, potem złożył. Jego twarz pozostała obojętna. Podszedł do drzwi, powiedział parę słów, po czym wrócił do Olchy.

– Proszę, usiądź ze mną, przyniosą nam coś do jedzenia. Wiem, że całe popołudnie krążyłeś po pałacu. Gdyby dowódca straży miał dość rozumu, by przysłać mi wiadomość, oszczędziłbym ci godzin pokonywania murów i przepływania fos, jakie wznoszą wokół mnie... Czy mieszkałeś z mym panem Krogulcem w jego domu nad urwiskiem?

– Tak.

– Zazdroszczę ci. Ja nigdy tam nie byłem. Nie widziałem mego pana, odkąd rozstaliśmy się na Roke, pół żywota temu. Nie zgodził się, bym odwiedził go na Goncie, nie przybył na mą koronację. – Lebannen uśmiechnął się, jakby nic, co powiedział, nie miało żadnego znaczenia. – Dał mi moje królestwo.

Usiadł i gestem wezwał Olchę, by zajął miejsce naprzeciw, po drugiej stronie małego stołu. Olcha spojrzał na blat ozdobiony intarsjami ze srebra i kości. Kręte linie, liście i kwiaty jarzębiny oplatały smukłe miecze.

– Jak upłynęła podróż? – spytał król.

Przez chwilę rozmawiali o niczym. Tymczasem służba wnosiła talerze zimnych mięs, wędzonych pstrągów, sałaty i sera. Król dał dobry przykład, z apetytem zabierając się do jedzenia. Nalał im także wina barwy jasnego topazu. Wzniósł w toaście kryształowy kielich.

– Zdrowie mego pana i najdroższego przyjaciela.

– Jego zdrowie – mruknął Olcha i wypił.

Król mówił też o Taonie, który odwiedził kilka lat wcześniej (Olcha pamiętał podniecenie panujące na wyspie, gdy król składał wizytę w Meoni). Wspomniał o muzykach z Taonu, przebywających teraz

w mieście, harfiarzach i śpiewakach występujących na dworze. Może Olcha zna chociaż kilku z nich? I w istocie, imiona brzmiały znajomo. Król potrafił sprawić, by gość poczuł się jak w domu, a jedzenie i wino także w tym pomagały.

Gdy skończyli posiłek, nalał im jeszcze po pół kieliszka wina.

– List dotyczy głównie twojej osoby, wiedziałeś o tym? – Ton jego głosu nie zmienił się zbytnio i przez moment Olcha milczał zagubiony.

– Nie – powiedział w końcu.

– Wiesz, o czym traktuje?

– Może o moich snach? – Olcha spuścił wzrok.

Król przyglądał mu się chwilę. W jego spojrzeniu nie było nic obraźliwego, patrzył jednak bardziej uważnie niż większość ludzi. W końcu podsunął list gościowi.

– Panie mój, niezbyt dobrze czytam – wymamrotał Olcha.

Słowa te nie zdziwiły Lebannena – niektórzy czarownicy i czarodzieje czytali, inni nie. Natychmiast jednak pożałował, że mógł urazić gościa. Złocistobrązowa twarz pokryła się ciemnym rumieńcem.

– Przepraszam, Olcho – rzekł. – Czy mogę ci go odczytać?

– Proszę, panie. – Pytanie króla sprawiło, że Olcha przez moment poczuł się mu równy i po raz pierwszy odezwał się naturalnie, ciepło.

Lebannen przebiegł wzrokiem pozdrowienia i kilka linii tekstu, po czym przeczytał na głos:

– „Olcha z Taonu, przynoszący ci ten list, został wezwany we śnie, nie z własnej woli, do krainy, którą przebyliśmy kiedyś razem. Opowie ci o cierpieniu w miejscu, gdzie wszelkie cierpienie mija, i zmianie tam, gdzie nic się nie zmienia. Kiedyś zamknęliśmy drzwi, które otworzył Cob; być może, teraz runie cały mur. Olcha był na Roke, jedynie Azver go wysłuchał. Mój pan i władca, król, wysłucha go i postąpi tak, jak nakaże mu mądrość i potrzeba. Olcha zapewni mego pana króla o moim wiecznym oddaniu i posłuszeństwie, przekaże też pozdrowienia i słowa oddania mej pani Tenar i ukochanej córce Tehanu, dla której przynosi kilka słów”. List podpisał runą Szpon. – Lebannen uniósł wzrok znad zapisanej karty,

spojrzał w oczy Olchy i przez chwilę milczał. – Opowiedz mi o swoim śnie – poprosił.

Raz jeszcze Olcha powtórzył swą historię.

Tym razem mówił krótko i niezbyt składnie. Choć Krogulec budził w nim nabożny podziw, dawny Arcymag wyglądał, ubierał się i żył jak wieśniak, człowiek równy Olsze, i swą prostotą sprawił, że jego gość zdołał pokonać nieśmiałość. Jednakże król, nieważne jak uprzejmy i przyjazny, wyglądał jak król, zachowywał się jak król i był królem. Dzieląca ich odległość wydawała się Olsze nie do pokonania. Pospiesznie wyrzucał z siebie słowa i w końcu umilkł z ulgą.

Lebannen zadał mu kilka pytań. Lilia, a później Gap, dotknęli Olchy. Czy nigdy się to nie powtórzyło? I czy dotyk Gapa parzył?

Olcha wyciągnął rękę. Miesięczna opalenizna niemal całkowicie ukryła blizny.

– Myślę, że ludzie z drugiej strony muru dotknęliby mnie, gdybym się do nich zbliżył.

– Ale ty trzymasz się z daleka.

– Tak.

– I nie znałeś ich za życia?

– Czasem wydaje mi się, że kogoś poznaję.

– Lecz nie widujesz już żony?

– Jest ich tak wielu, mój panie. Czasami wydaje mi się, że tam jest, ale jej nie widzę.

Rozmowa sprawiła, że wszystko znów stało się aż nadto bliskie. Poczuł, że znowu wzbiera w nim strach. Miał wrażenie, iż lada moment ściany komnaty się rozpłyną, wieczorne niebo i wierzchołek góry znikną niczym odsunięta zasłona, pozostawiając go stojącego tam gdzie zawsze, na mrocznym wzgórzu przy kamiennym murze.

– Olcho!

Uniósł wzrok, wstrząśnięty; kręciło mu się w głowie. Widział jasne ściany, twardą, wyraźną twarz króla.

– Zatrzymasz się tu, w pałacu.

To było zaproszenie. Olcha mógł jedynie skinąć głową, przyjmując je jak rozkaz.

– Jutro zorganizuję ci spotkanie z panią Tehanu, byś mógł przekazać jej wiadomość. Wiem też, że Biała Pani zechce z tobą

mówić.

Olcha skłonił się. Lebannen ruszył ku drzwiom.

– Mój panie...

Król odwrócił głowę.

– Mogę zatrzymać przy sobie kota?

Ani śladu uśmiechu czy drwiny.

– Oczywiście.

– Mój panie, ból ściska mi serce, że musiałem przekazać ci niepokojące wieści.

– Każda wieść od człowieka, który cię przysłał, to dla mnie radość i zaszczyt. Wolę też złą wiadomość od człeka szczerego niźli kłamstwa pochlebcy – odparł Lebannen, a Olcha poczuł ulgę, słysząc w słowach władcy prawdziwy akcent swych ojczystych wysp.

Król wyszedł i natychmiast w drzwiach, którymi przybył Olcha, pojawiła się głowa mężczyzny.

– Panie, zechcesz pójść za mną. Zaprowadzę cię do twojej komnaty.

Dystyngowany, starszy, dobrze odziany człowiek poprowadził Olchę, który nie miał pojęcia, czy to szlachcic, czy sługa; nie śmiał zatem spytać go o Żurawia. Nim wszedł do komnaty, w której spotkał króla, urzędnicy, dworzanie i strażnicy uparli się, by zostawił u nich swój kosz – co najmniej piętnastu zdążyło go już obejrzeć z nieufną miną. Olcha piętnaście razy wyjaśniał, że zabrał ze sobą kota, bo nie miał go gdzie zostawić. Teraz owa komnata pozostała daleko z tyłu, po drodze nie dostrzegł kosza i nigdy go już nie znajdzie, bo został w drugim końcu pałacu, oddzielony od niego korytarzami, salami, przejściami, drzwiami...

Przewodnik ukłonił się i pozostawił go w małym uroczym pokoju. Olcha ujrzał wiszące na ścianach gobeliny, gruby dywan, krzesło z haftowanym siedzeniem, okno wyglądające na port, stół, na którym postawiono misę letnich owoców i dzban pełen wody. Oraz kosz do przewozu drobiu.

Otworzył go. Żuraw niespiesznie wyskoczył na podłogę. Zachowywał się, jakby doskonale znał pałac. Przeciągnął się, obwąchał palce Olchy i zaczął krążyć po komnacie, badając kolejno wszystkie sprzęty. Niemal natychmiast odkrył ukrytą za zasłoną

alkowę, w której stało łoże, i na nie wskoczył. Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi. Do środka wszedł młody mężczyzna niosący duże płaskie drewniane pudło bez pokrywy. Ukłonił się przed Olchą.

– Piasek, panie – mruknął.

Ustawił skrzynkę w najdalszym kącie alkowy, ponownie skłonił głowę i wyszedł.

– Cóż – rzekł Olcha, przysiadając na łóżku. Nie miał zwyczaju rozmawiać z kociakiem; zwykle łączyło ich milczące zaufanie i dotyk. Musiał jednak z kimś pogadać. – Dziś poznałem króla.

***

Król, nim mógł spocząć w łożu, musiał porozmawiać jeszcze z wieloma ludźmi, przede wszystkim wysłannikami Najwyższego Króla Kargów. Właśnie zbierali się do powrotu, wypełniwszy swą misję w Havnorze, ku zadowoleniu swego władcy i znacznie mniejszemu Lebannena.

Lebannen traktował odwiedziny owych ambasadorów jak uwieńczenie lat cierpliwych rozmów, zaproszeń i negocjacji. Przez pierwszych dziesięć lat panowania niczego z Kargami nie osiągnął. Bóg-Król w Awabath odrzucał propozycje traktatów i umów handlowych, odprawiał wysłanników, nie wysłuchawszy ich nawet. Twierdził, iż bogowie nie pertraktują z marnymi śmiertelnikami, a już na pewno nie z przeklętymi czarownikami. Lecz proklamacje Boga-Króla dotyczące powstania jednego wielkiego boskiego imperium pozostały pustymi groźbami; nie poparły ich floty tysięcy statków niosących na pokładzie wojowników w barwnych pióropuszach, którzy mieliby podbić bezbożny zachód. Nawet ataki pirackie, od dawna nękające wschodnie wyspy Archipelagu, stopniowo ustały. Piraci zajęli się przemytem i wymianą wszelkich towarów wykradzionych z Karego-At na żelazo, stal i brąz Archipelagu. Wyspy Kargadzkie bowiem były ubogie w surowce i metale.

I właśnie owi przemytnicy po raz pierwszy przekazali na zachód wieści o pojawieniu się Najwyższego Króla.

Na Hur-at-Hur, wielkiej, biednej, najbardziej wysuniętej na wschód wyspie Kargadu, jeden z miejscowych wodzów, Thol, który twierdził, że wywodzi się od Thorega z Hupun i boga Wuluaha, obwołał się Najwyższym Królem swej krainy. Podbił Atnini, a potem dzięki flocie i armii zgromadzonej na Hur-at-Hur i Atnini zawładnął bogatą wyspą środkową, Karego-At. Gdy jego wojownicy zbliżyli się do stolicy Awabath, mieszkańcy miasta podnieśli bunt przeciw tyranii Boga-Króla. Wymordowali najwyższych kapłanów, przegnali urzędników ze świątyń, szeroko otworzyli bramy i powitali króla Thola na tronie Thorega, tańcząc i świętując na ulicach.

Bóg-Król umknął z resztką swej gwardii i dworzan do Miejsca Grobowców na Atuanie. I tam, na pustyni, w jego świątyni obok zniszczonego przez trzęsienie ziemi przybytku Bezimiennych, jeden z eunuchów poderżnął gardło Boga-Króla.

Thol obwołał się Najwyższym Królem czterech Wysp Kargadzkich. Gdy tylko wieść o tym dotarła do Havnoru, Lebannen wysłał ambasadorów, by powitali jego brata króla i zapewnili o przyjaznym nastawieniu Archipelagu.

Nastąpiło pięć lat trudnych, męczących rozmów dyplomatycznych. Thol był człowiekiem porywczym, zasiadającym na niepewnym tronie. Po upadku teokracji wszelka władza wydawała się wątpliwa, a panowanie przypadkowe. Znikąd wyrastali pomniejsi królowie, których musiał kupić bądź zmusić do posłuszeństwa. W kaplicach i jaskiniach pojawiali się nawiedzeńcy zwiastujący upadek możnych, trzęsienia ziemi, niszczące fale i plagi, które dotkną bogobójców. Rządzący podzielonym, nękanym kłopotami imperium Thol nie mógł ufać potężnemu, bogatemu Archipelagowi.

Fakt, iż jego władca stale mówił o przyjaźni, demonstrując Pierścień Pokoju, nic dla niego nie oznaczał. Czyż bowiem Kargowie nie mieli prawa do owego pierścienia? Został wykuty w starożytności na zachodzie, lecz dawno temu król Thoreg z Hupun przyjął go w darze od bohatera Erreth-Akbego jako znak pokoju pomiędzy Kargadem i wyspami hardyckimi. Potem pierścień zniknął i zamiast pokoju nastały wojny. Wtedy jednak Jastrzębi Mag odnalazł pierścień i ukradł go wraz z Jedyną Kapłanką Grobowców, uwożąc klejnot

i kobietę do Havnoru. Jak widać, mieszkańcom Archipelagu nie można ufać.

Poprzez swoich wysłanników Lebannen cierpliwie i uprzejmie tłumaczył, że Pierścień Pokoju był darem Morreda dla Elfarran, bezcenną pamiątką po najukochańszym królu i królowej Archipelagu, a także przedmiotem świętym, gdyż wyryto na nim Runę Więzi, potężne błogosławieństwo. Niemal czterysta lat wcześniej Erreth-Akbe zawiózł go na Wyspy Kargadzkie jako symbol wieczystego pokoju. Lecz kapłani z Awabath nie dotrzymali przysięgi i przełamali pierścień. Czterdzieści lat temu Krogulec z Roke i Tenar z Atuanu go uleczyli. Co zatem z pokojem?

Takie było sedno jego przesłania do króla Thola.

I miesiąc temu, tuż po letnim Długim Tańcu, ze wschodu przybyła flotylla statków. Żeglowała przejściem Felkway, cieśniną Ebavnoru i dalej, pomiędzy przylądkami Zatoki Havnorskiej. Długie czerwone okręty o czerwonych żaglach niosły na pokładach wojowników w pióropuszach, wysłanników we wspaniałych szatach i kilka niewiast w welonach.

„Niechaj córka Thola, Najwyższego Króla, który zasiada na tronie Thorega i wywodzi się od Wuluaha, przywdzieje Pierścień Pokoju na swe ramię, jak kiedyś królowa Elfarran z Solei. I niechaj stanie się to symbolem wieczystego pokoju pomiędzy wyspami zachodu i wschodu".

Tak brzmiała wiadomość Najwyższego Króla. Zapisano ją wielkimi hardyckimi runami na zwoju. Nim jednak ambasador Thola wręczył list królowi Lebannenowi, odczytał go głośno publicznie podczas przyjęcia wysłanników w pałacu, gdzie zgromadził się cały dwór, aby oddać cześć przybyszom z Kargadu.

I może dlatego, że ambasador nie czytał po hardycku, lecz głośno i powoli wygłaszał słowa z pamięci, zabrzmiały one niczym ultimatum.

Księżniczka nie odezwała się ani słowem. Stała wśród dziesięciu dwórek czy może niewolnic, które towarzyszyły jej do Havnoru, oraz gromadki pospiesznie zwołanych havnorskich dam mających się nią zająć. Spowijały ją welony; tak najwyraźniej nakazywał zwyczaj z Hur-at-Hur. Welony czerwone, haftowane złotem, opadały

prosto z płaskiego nakrycia głowy, toteż księżniczka przypominała czerwony słup lub kolumnę, nieruchomy, milczący, czerwony walec.

– Najwyższy Król Thol czyni nam wielki zaszczyt – odparł Lebannen cicho, wyraźnie. Potem urwał. Dwór i wysłannicy czekali. – Jesteś tu mile widziana, księżniczko – dodał, zwracając się do zakwefionej postaci, która ani drgnęła. – Niechaj księżniczka zamieszka w Pałacu Rzecznym. Dajcie jej wszystko, czego zapragnie – polecił swym sługom.

Pałac Rzeczny był piękną niewielką budowlą na północnym skraju miasta, przytuloną do starego miejskiego muru, z tarasami wyglądającymi na niewielką rzekę Serrenen. Zbudowała go królowa Heru i często zwano go Pałacem Królowej. Gdy Lebannen wstąpił na tron, kazał go odnowić, podobnie jak pałac Mahariona, zwany Nowym, w którym sprawował rządy. Z Pałacu Rzecznego korzystał tylko podczas letnich świąt, czasami odpoczywał w nim kilka dni.

Wśród dworzan rozległ się szmer. Pałac Królowej?

Po wymianie uprzejmości z wysłannikami kargadzkimi Lebannen opuścił salę przyjęć. Udał się do garderoby, gdzie mógł być sam, a przynajmniej do tego stopnia sam, jak może być król, czyli w towarzystwie Dęba, starego sługi, którego znał całe życie.

Gwałtownym gestem cisnął na stół złocony zwój.

– Ser w pułapce na szczury – rzekł. Trząsł się cały. Wyrwał z pochwy sztylet, który zawsze nosił przy boku, i wbił go w blat, przez sam środek listu Najwyższego Króla. – Świnia w worku, kawałek mięsa. Pierścień na jej ramieniu, obroża na mej szyi!

Dąb był oszołomiony i przerażony. Książę Arren z Enladu nigdy nie tracił panowania nad sobą. W dzieciństwie czasami zdarzało się, że płakał, przez moment szlochał gorzko, ale to wszystko. Był zbyt dobrze wychowany, by poddawać się gniewowi. A jako król, król, który zdobył swój tron w krainie umarłych, bywał surowy, lecz, jak sądził Dąb, zawsze zbyt dumny, zbyt silny, by pałać gniewem.

– Nie wykorzystają mnie! – Lebannen ponownie dźgnął sztyletem. Jego twarz wykrzywiła tak potężna i ślepa furia, iż stary Dąb cofnął się, zdjęty prawdziwym strachem.

Lebannen to zauważył. Zawsze dostrzegał otaczających go ludzi.

Schował sztylet.

– Na moje imię przysięgam, że prędzej zniszczę Thola i jego królestwo, nim pozwolę wykorzystać się jako podnóżek do jego tronu.

Potem odetchnął głęboko i usiadł, pozwalając, by służący zdjął mu z ramion ciężki, przetykany złotem płaszcz.

Dąb nigdy nie wspomniał nikomu o tej scenie, lecz rzecz jasna na dworze natychmiast rozpoczęły się domysły i spekulacje dotyczące księżniczki Kargów i tego, co król zamierza z nią począć – oraz co już uczynił.

Nie powiedział, że pojmie księżniczkę za żonę – wszyscy bowiem zgadzali się, iż to właśnie mu zaproponowano; wzmianka o Pierścieniu Elfarran ledwie skrywała ową ofertę, propozycję czy groźbę. Ale też nie odmówił. Jego odpowiedź (bez końca analizowana) brzmiała, iż księżniczka jest mile widziana, dostanie wszystko, czego zapragnie, i zamieszka w Pałacu Rzecznym, czyli Pałacu Królowej. Z pewnością miało to jakieś znaczenie. Ale z drugiej strony czemu nie w Nowym Pałacu? Dlaczego na skraju miasta?

Od dnia koronacji Lebannena damy z najszlachetniejszych rodów i księżniczki z królewskich rodzin Enladu, Ea i Shelieth przybywały na dwór i zostawały na dłużej. Wszystkie podejmowano po królewsku i król tańczył na ich weselach, gdy kolejno zadowalały się szlachcicami bądź bogatymi mieszczanami. Wiadomo było powszechnie, iż król lubi towarzystwo kobiet i ich rady, chętnie flirtuje z ładnymi dziewczętami i wysłuchuje zdania mądrych niewiast, ich rad, żartów czy pociechy. Lecz nawet w plotkach imienia żadnej z nich nie łączono poważnie z jego imieniem. Żadna nie miała szans, by go poślubić. I żadna nie zamieszkała w Pałacu Rzecznym.

– Król musi mieć u boku królową – wciąż mu powtarzali doradcy.

– Naprawdę musisz się ożenić, Arrenie – oznajmiła matka, gdy widzieli się po raz ostatni.

– Czyż następca Morreda nie będzie miał dziedzica? – pytali ludzie.

Różnymi słowy i na różne sposoby odpowiadał: „Dajcie mi czas. Muszę odbudować zrujnowane królestwo. Niechaj stanie się godne królowej, gotowe dla mych dzieci". A że kochano go i powszechnie mu ufano, i ponieważ wciąż jeszcze był młody, i mimo swej powagi

uroczy i przekonujący, zręcznie wymykał się wszystkim pannom. Aż do teraz.

Kto się krył pod sztywnymi czerwonymi welonami? Kogo osłaniał ów tajemniczy namiot? Dworzanie nieustannie zasypywali pytaniami damy przydzielone do dworu księżniczki. Ładna czy brzydka? Czy to prawda, że jest wysoka i chuda, niska i krępa, biała jak mleko, pokryta śladami po ospie, jednooka, żółtowłosa, czarnowłosa, ma czterdzieści pięć lat, dziesięć? To zaśliniona kretynka czy oszałamiająca piękność?

Stopniowo spośród plotek wyjaśniła się prawda. Księżniczka jest młoda, choć już nie dziecko. Ma włosy ani żółte, ani czarne. Dość ładna, mawiały niektóre panie. Nieokrzesana, dodawały inne. Nie mówi ani słowa po hardycku, powtarzały zgodnie, i nie chce się uczyć. Kryje się wśród swych kobiet, a kiedy musi opuścić komnatę, umyka pod czerwone zasłony. Król złożył jej wizytę. Nie skłoniła się przed nim, nie przemówiła, nie uczyniła nawet znaku, lecz stała tam, jak to określiła z rezygnacją stara pani Iyesa, niczym ceglany komin.

Król zwrócił się do niej za pośrednictwem ludzi, którzy służyli mu jako wysłannicy na Wyspy Kargadzkie, i przez ambasadora Kargów, nieźle władającego hardyckim. Powoli wygłaszał komplementy i pytał ją, czego sobie życzy. Tłumacze rozmawiali z jej kobietami, których welony były krótsze i mniej nieprzeniknione. Następnie kobiety zebrały się wokół nieruchomej czerwonej kolumny. Po dłuższej chwili mamrotania i szeptów powróciły do tłumaczy, którzy poinformowali króla, że księżniczka jest zadowolona i niczego nie pragnie.

Przebywała w Havnorze pół miesiąca, gdy z Gontu przypłynęły Tenar i Tehanu. Lebannen posłał po nie, błagając, by przybyły, niedługo przed odwiedzinami floty z Kargadu i z przyczyn niemających nic wspólnego z księżniczką ani z królem Tholem. Gdy jednak po raz pierwszy znalazł się sam na sam z Tenar, wybuchnął:

– Co ja z nią zrobię? Co mam począć?

– Opowiedz mi o tym – poprosiła Tenar, patrząc na niego ze zdumieniem.

Lebannen spędził z nią niewiele czasu, choć w ciągu tych lat wymienili kilka listów. Nie przywykł jeszcze do faktu, iż jej włosy posiwiały. Wydawała się też mniejsza niż kiedyś. Natychmiast jednak,

podobnie jak piętnaście lat wcześniej, poczuł, że może powiedzieć jej wszystko, a ona zrozumie.

– Od pięciu lat rozwijałem stosunki handlowe i próbowałem utrzymywać dobre kontakty z Tholem, bo to wojownik, a ja nie chcę, by – jak w czasach Mahariona – moje królestwo znalazło się w kleszczach pomiędzy smokami na zachodzie i wojownikami na wschodzie. I dlatego że władam w imię pokoju. Wszystko szło dobrze do tej chwili. Nagle przysłał mi tę dziewczynę, mówiąc: „Jeśli pragniesz pokoju, daj jej pierścień Elfarran". Twój pierścień, Tenar. Twój i Geda!

– To jego córka – powiedziała Tenar po namyśle.

– Czymże jest córka dla króla barbarzyńców? Towarem, kartą przetargową, dzięki której może zyskać przewagę. Wiesz o tym. Urodziłaś się tam!

Wybuchy takie nie leżały w jego stylu, sam to pojmował. Ukląkł nagle i w geście pokory przycisnął jej dłoń do swych oczu.

– Tenar, przepraszam. Sam nie rozumiem czemu, lecz budzi to mój gniew. Nie wiem, co robić.

– Póki nie robisz niczego, nic nie jest przesądzone. Może księżniczka ma własne zdanie?

– Jakim cudem? Ukryta w czerwonym worku? Nie chce mówić, wyjrzeć na świat. Równie dobrze mogłaby być żywym słupem. – Spróbował się roześmiać. Zastanowiła go ogromna niechęć, jaką czuł wobec tej kobiety. Próbował ją usprawiedliwić. – Wszystko to stało się akurat w chwili, gdy otrzymałem niepokojące wieści z zachodu. Dlatego wezwałem was tu z Tehanu. Nie żeby zawracać wam głowę tymi bzdurami.

– To nie bzdury – odparła Tenar.

On jednak zlekceważył jej słowa i zaczął mówić o smokach.

Ponieważ wieści z zachodu rzeczywiście były niepokojące, przez jakiś czas Lebannenowi udawało się nie myśleć o księżniczce. Zdawał sobie sprawę z faktu, iż nie ma w zwyczaju ignorować problemów. Kiedy ktoś tobą manipuluje, ty powinieneś zacząć manipulować nim. Kilka dni po pierwszej rozmowie poprosił Tenar, by odwiedziła księżniczkę i spróbowała się z nią porozumieć. Ostatecznie, dodał, władają tym samym językiem.

– Być może – odparła Tenar. – Nigdy nie znałam nikogo z Hur-at-Hur. Na Atuanie uważaliśmy ich za barbarzyńców.

Lebannen się zawstydził. Jednak, rzecz jasna, spełniła jego prośbę. Wkrótce potem poinformowała króla, że mówią z księżniczką prawie tym samym językiem, a księżniczka nie ma pojęcia, że istnieją inne języki. Sądziła, że otaczający ją ludzie, dworzanie i damy to złośliwi wariaci, którzy drwią z niej, bełkocząc i szczekając niczym bezrozumne zwierzęta. Dorastała na pustyni, w pierwszym królestwie króla Thola na Hur-at-Hur, i przed wyjazdem do Havnoru jedynie krótko przebywała na dworze w Awabath.

– Jest przerażona – dodała Tenar.

– I dlatego ukrywa się w namiocie? Za kogo mnie bierze?

– Skąd ma wiedzieć, kim jesteś?

Skrzywił się.

– Ile ma lat?

– Jest młoda, ale to już kobieta.

– Nie mogę jej poślubić – oznajmił, jakby nagle podjął decyzję. – Odprawię ją.

– Odesłana narzeczona to kobieta zhańbiona. Thol może ją zabić, by nie przyniosła hańby jego rodowi. Z pewnością uzna, że zamierzałeś go poniżyć.

Twarz Lebannena ponownie wykrzywiła furia.

Tenar uprzedziła jego wybuch.

– Barbarzyńskie zwyczaje – dodała sztywno.

Lebannen zaczął krążyć po komnacie.

– Doskonale. Ale nie dopuszczam nawet możliwości, by ta dziewczyna została władczynią królestwa Morreda. Czy można ją nauczyć hardyckiego, przynajmniej kilku słów? Czy to możliwe? Poinformuję Thola, że hardycki król nie może poślubić kobiety, która nie włada mową jego krainy. Nie obchodzi mnie, czy mu się to spodoba. Potrzebuje nauczki, a ja zyskam na czasie.

– I poprosisz ją, by nauczyła się hardyckiego?

– Jak mogę poprosić, skoro wszystkie moje słowa to dla niej bełkot? Po co w ogóle miałbym ją odwiedzać? Może ty z nią pomówisz, Tenar... Widzisz przecież, jaka to bezczelność. Thol wykorzystał tę dziewczynę, by udawać równego mnie. Użył

Pierścienia Erreth-Akbego – Pierścienia, który nam przywiozłaś! – jako pułapki. Nigdy się na to nie zgodzę. Jestem gotów odwlekać rozwiązanie, opóźniać odmowę, aby utrzymać pokój. Ale nic więcej. A nawet to jest nieuczciwe. Powiedz dziewczynie, co tylko zechcesz. Ja nie zamierzam mieć z nią nic wspólnego.

I wyszedł ogarnięty gniewem, który powoli minął, przeradzając się w niemiłe uczucie, bardzo przypominające wstyd.

Gdy kargijscy wysłannicy oznajmili, że wkrótce odpłyną, Lebannen starannie przygotował odpowiedź dla króla Thola. Podziękował za zaszczyt, jaki czyni mu obecność księżniczki w Havnorze, i obiecał, że chętnie wraz z całym dworem zaznajomi ją ze zwyczajami, mową i manierami swego królestwa. Ani słowem nie wspomniał o Pierścieniu Pokoju, zgodzie bądź niezgodzie na ślub.

W wieczór po rozmowie z nękanym koszmarnymi snami czarownikiem z Taonu, Lebannen po raz ostatni spotkał się z Kargami i przekazał im list do Najwyższego Króla, podobnie jak ambasador uczynił to z listem Thola.

Ambasador wysłuchał go spokojnie.

– Najwyższy Król będzie rad – rzekł.

Lebannen, wygłaszając uprzejme pożegnanie i demonstrując swe dary dla króla, nie mógł się nadziwić, z jaką łatwością wysłannicy zaakceptowali jego uniki. W końcu doszedł do nieprzyjemnego wniosku: Wiedzą, że jestem na nią skazany. Po czym z pasją odpowiedział w duchu: Nigdy.

Spytał, czy ambasador odwiedzi Pałac Rzeczny, by pożegnać się z księżniczką. Ambasador spojrzał na niego tępo, jakby zapytano go, czy chce pożegnać dostarczoną wcześniej paczkę. Lebannen poczuł, jak w jego sercu znów wzbiera gniew. Ujrzał, iż oblicze ambasadora zmienia się lekko, przybiera czujny, przymilny wyraz. Uśmiechnął się i życzył wysłannikom przychylnych wiatrów, po czym wyszedł z sali audiencyjnej.

Niemal wszystko, co robił, ograniczały zwyczaje i ceremonie. Jako król należał do ludu, nie do siebie. Ponieważ jednak objął tron pusty od wieków i pałac pozbawiony protokołów, zdołał wywalczyć dla siebie nieco prywatności. Ceremonie kończyły się na progu jego sypialni. Noce należały tylko do niego. Pożegnał się z Dębem, który

sypiał w przedsionku, i zamknął drzwi. Usiadł na łóżku. Był zmęczony, wściekły i czuł się dziwnie samotny.

Na szyi zawsze nosił cienki złoty łańcuszek z zawieszoną na nim sakiewką ze złotogłowiu. W sakiewce tkwił kamyk, zwykły czarny kawałek skały o ostrych krawędziach. Teraz Lebannen wyjął go i położył na dłoni, zatopiony w myślach. Próbował zapomnieć o całej tej bezsensownej sprawie z kargijską księżniczką, skupiając się na opowieści czarodzieja Olchy o jego snach. Poddał się bolesnej zazdrości. Olcha popłynął na Gont, rozmawiał z Gedem, mieszkał z nim.

Dlatego właśnie czuł się samotny. Człowiek, którego nazywał swym panem, którego kochał ponad wszystko, nie pozwalał mu zbliżyć się do siebie. Nie chciał do niego przybyć.

Czy Ged sądził, że ponieważ stracił swą magiczną moc, Lebannen już go nie szanuje, pogardza nim?

Zważywszy, jak bardzo myśli o potędze władają umysłami i sercami ludzi, nie było to niemożliwe. Z pewnością jednak Ged zbyt dobrze go znał i miał o nim zbyt dobrą opinię.

Czyżby więc, będąc niegdyś prawdziwym panem i przewodnikiem Lebannena, Ged nie mógł znieść teraz myśli, że stał się poddanym? Istotnie, owa brutalna, nieodwracalna zmiana pozycji mogła być trudna do zniesienia dla starego człowieka.

Lecz Lebannen dobrze pamiętał, jak Ged ukląkł przed nim na oba kolana na Pagórku Roke, w cieniu smoka, na oczach mistrzów, których sam był mistrzem. Potem wstał, ucałował Lebannena i nazywając go władcą i najdroższym kompanem, życzył mu, by władał mądrze.

„Dał mi moje królestwo” – powiedział Lebannen do Olchy. Właśnie w tamtej chwili podarował mu je z własnej woli.

I dlatego Ged nie chciał przybyć do Havnoru. Nie chciał, by Lebannen zasięgał jego rady. Przekazał mu władzę z własnej woli. Nie chciał mieszać się do rządów, rzucać cienia na światło Lebannena.

Mistrz Odźwierny powiedział: „Zrobił już to, co miał zrobić”.

Lecz opowieść Olchy sprawiła, że Ged wysłał go tutaj, do Lebannena, prosząc, by król postąpił, jak nakazuje konieczność.

Istotnie była to dziwna opowieść. Jeszcze dziwniej zabrzmiały słowa Geda, że może sam mur musi runąć. Co to mogło znaczyć? I czemu sny jednego człowieka miałyby oznaczać tak wiele?

On sam śnił dawno temu o granicy krainy umarłych, gdy wraz z Arcymagiem Gedem podróżowali razem, jeszcze nim dotarli na Selidor.

Na owej najbardziej wysuniętej na zachód wyspie podążył za Gedem w głąb Suchej Krainy, poza kamienny mur, do mrocznych miast, gdzie w drzwiach stały cienie umarłych, a inne krążyły bez celu po ulicach oświetlonych jedynie blaskiem nieruchomych gwiazd. Z Gedem zszedł całą tę krainę, aż w końcu dotarli do mrocznej doliny pełnej kamieni i pyłu, u stóp gór noszących jedną tylko nazwę: Ból.

Rozchylił palce, by spojrzeć na mały czarny kamyk, i ponownie ścisnął go w dłoni.

Z doliny Suchej Rzeki, gdy dokonali już tego, po co przybyli, podążyli dalej w góry, bo nie mogli zawrócić. Wstąpili na ścieżkę zakazaną umarłym i wdrapywali się coraz wyżej i wyżej, na skały, które raniły i paliły im ręce, aż w końcu Ged nie mógł już iść dalej. Lebannen niósł go, póki starczyło mu sił, a potem pełznął wraz z nim aż do krańca ciemności, beznadziejnego urwiska nocy. I tak powrócił z Gedem i znalazł się w słońcu, pośród szumu fal załamujących się na brzegu życia.

Od dawna nie wspominał owej straszliwej wędrówki, lecz zawsze nosił na sercu czarny kamień z owych gór, Kamyk Cierpienia.

Teraz zaś wydało mu się, iż pamięć o tej krainie, jej mroku, pyle, zawsze mu towarzyszy, tuż pod jasną barwną powłoką dni, choćby najusilniej starał się odwracać wzrok. Czynił to, bo nie mógł znieść świadomości, że w końcu tam powróci, samotny, obojętny. Stanie z pustymi oczami, milczący, pośród cieni mrocznego miasta, by nigdy już nie oglądać słońca, nie skosztować wody, nie zaznać dotyku żywej dłoni.

Wstał gwałtownie, otrząsając się z ponurych myśli. Schował kamyk do sakiewki, przygotował się do snu, zdmuchnął lampę i położył się. Natychmiast ponownie ujrzał pogrążoną w mroku szarą krainę, skały i pył. W dali zamykał ją łańcuch wysokich czarnych szczytów. Po prawej stronie opadała w dół, stale w dół, w głęboką ciemność.

– Co tam jest? – spytał Geda podczas wędrówki. Arcymag odparł, że nie wie, że może z tamtej strony kraina nie ma końca.

Lebannen usiadł, zaniepokojony i zirytowany uporem, z jakim jego myśli powracały w Suchą Krainę. Poszukał wzrokiem okna. Wychodziło na północ. Lubił ten widok. Daleko ponad wzgórzami wznosiła się wysoka góra Onn o szarym wierzchołku. Jeszcze dalej na północ, przesłonięty przez wielką wyspę i morze Ea, leżał Enlad, jego ojczyzna.

Z łóżka Lebannen widział tylko niebo – pogodne, letnie nocne niebo. Serce Łabędzia płonęło jasno pośród mniejszych gwiazd. Jego królestwo, królestwo światła, życia, w którym gwiazdy rozkwitały niczym białe kwiaty na wschodzie i opadały srebrzyste ku zachodowi. Nie chciał myśleć o tamtej krainie, w której gwiazdy trwają bez ruchu, gdzie człowieczej ręce brak siły i nie istnieją właściwe ścieżki, bo wszystkie prowadzą donikąd.

Leżąc tak i patrząc w gwiazdy, z rozmysłem porzucił wspomnienia i myśli o Gedzie. Zamiast tego pomyślał o Tenar, brzmieniu jej głosu, dotknięciu ręki. Dworzanie byli uroczyści, ostrożni, bardzo uważali, by nie dotknąć króla. Ona nie. Ze śmiechem położyła palce na jego dłoni. Była wobec króla śmielsza niż jego matka.

Róża, księżniczka z rodu Enladu, zmarła na gorączkę dwa lata wcześniej, gdy jej syn wyruszył statkiem, zamierzając złożyć wizytę w Berili na Enladzie i na dalszych wyspach. Nie wiedział o jej śmierci, póki nie dotarł do miasta i nie zastał dworu pogrążonego w żałobie.

Teraz matka przebywała w mrocznej krainie, Suchej Krainie. Gdyby tam powrócił i minął ją na ulicy, nie odwróciłaby głowy, nie odezwałaby się ani słowem.

Zacisnął pięści i poprawił poduszki, próbując ułożyć się wygodnie, oderwać myśli od tamtych wizji, skupić się na czymś innym. Myśleć o matce za życia, jej głosie, ciemnych oczach pod wyniosłymi brwiami, delikatnych dłoniach.

Albo o Tenar. Poprosił, by przybyła do Havnoru nie tylko po to, by zasięgnąć jej rady. Po śmierci Róży ona zastępowała mu matkę. Łaknął matczynej miłości, pragnął czerpać z niej – z miłości absolutnej, która nie stawia warunków, nie zna wyjątków. Oczy Tenar były szare, nie czarne, spoglądała jednak na niego

z przenikliwą czułością, niedającą się zwieść żadnym słowom ani uczynkom.

Lebannen wiedział, że dobrze sobie radzi z tym, co mu przeznaczono, dobrze sprawdza się w roli króla. Ale tylko przy matce i przy Tenar ostatecznie i do końca pojmował, co to znaczy być królem.

***

Tenar poznała go, gdy był młodzieńcem i nie nosił jeszcze korony. Pokochała go wtedy i kochała do tej pory, dla niego samego, Geda i dla siebie. Był dla niej synem, który nigdy nie złamał jej serca.

Teraz jednak pomyślała, że może w końcu mu się to uda, jeśli nadal będzie tak podle i nieuczciwie traktował biedną dziewczynę z Hur-at-Hur.

Przyszła na ostatnią audiencję, której udzielił wysłannikom z Awabath. Lebannen poprosił ją o to, a ona chętnie spełniła prośbę. Gdy przyjechała do Havnoru na początku lata i zastała na dworze Kargów, spodziewała się, że nie będą jej dostrzegać lub przynajmniej potraktują ze wzgardą. Oto renegatka, kapłanka, która wraz ze złodziejem, Jastrzębim Magiem, ukradła Pierścień Erreth-Akbego ze skarbca Grobowców Atuanu i zdradziecko uciekła do Havnoru. To ona sprawiła, że Archipelag znów ma króla. Kargowie musieli ją o to obwiniać.

A Thol z Hur-at-Hur przywrócił zwyczaj oddawania czci Bliźniaczym Bóstwom i Bezimiennym, których największą świątynię zbezcześciła. Jej zdrada miała naturę nie tylko polityczną, ale też religijną.

Jednak wszystko to działo się dawno, ponad czterdzieści lat temu i niemal przeszło już do legendy, a politycy mają bardzo wybiórczą pamięć. Ambasador Thola błagał, by uczyniła mu ten zaszczyt i zechciała go przyjąć, i powitał ją niezwykle uniżenie. Podejrzewała nawet, iż nie do końca udawał szacunek. Nazywał ją panią Arhą, Pożartą, Jedyną Odrodzoną. Od lat nie słyszała tych imion, toteż zabrzmiały w jej uszach bardzo dziwnie, lecz bolesną przyjemność

sprawił jej dźwięk ojczystego języka, jak również fakt, że sama wciąż jeszcze nim władała.

Przyszła zatem pożegnać ambasadora i jego towarzyszy. Poprosiła, by zapewnili Najwyższego Króla Kargów, że jego córka miewa się dobrze, i po raz ostatni spojrzała z podziwem na wysokich kościstych mężczyzn o jasnych warkoczach, w upierzonych hełmach i uroczystych srebrnych kolczugach z wplecionymi piórami. Gdy mieszkała w Kargadzie, niezmiernie rzadko widywała mężczyzn z własnego ludu. W Miejscu Grobowców mieszkały tylko kobiety i eunuchowie.

Po uroczystości wykradła się do pałacowych ogrodów. Była ciepła, letnia, tętniąca życiem noc. Kwitnące krzewy szumiały lekko, poruszane powiewami wiatru. Odgłosy miasta dobiegające zza murów przypominały pomruk spokojnego morza. Po trawnikach przechadzała się para splecionych w objęciach młodych ludzi. Starając się im nie przeszkadzać, Tenar przeszła pomiędzy fontannami i krzakami różanymi na drugi koniec ogrodu.

Lebannen znów zakończył audiencję wykrzywiony gniewem. Co się z nim dzieje? Nigdy wcześniej nie buntował się przeciw obowiązkom, jakie niosła ze sobą jego pozycja. Z pewnością rozumiał, że król musi się ożenić i nie ma wiele do powiedzenia co do osoby swej wybranki. Wiedział, iż król niesłuchający poddanych to tyran. Wiedział, że jego lud pragnie królowej, pragnie następców tronu. A jednak nic nie zrobił. Kobiety z dworu radośnie podzieliły się z Tenar plotkami o kilku jego kochankach. Żadna z nich nic nie straciła z powodu faktu, iż wiązano ją z osobą króla. Owszem, doskonale sobie radził, ale nie mógł oczekiwać, że będzie to trwało wiecznie. Czemu tak bardzo rozgniewał się, gdy król Thol podsunął mu doskonałe rozwiązanie?

No, może nie do końca doskonałe. Księżniczka stanowiła pewien problem.

Tenar postanowiła, że musi spróbować nauczyć ją hardyckiego i poszukać dam, które poinstruują księżniczkę w kwestiach obowiązujących w Archipelagu manier i dworskiej etykiety – ona zdecydowanie się na tym nie znała. Znacznie bardziej identyfikowała się z księżniczką ignorantką niż z wyrafinowanymi dworzanami.

Bardzo nie podobała jej się niezdolność bądź nieumiejętność Lebannena spojrzenia na sytuację z punktu widzenia dziewczyny. Czy nie potrafił sobie wyobrazić, co to dla niej oznacza? Wychowana w kobiecej części fortecy wojownika, na odległej pustyni, gdzie prawdopodobnie nie widziała żadnych mężczyzn poza ojcem, wujami i kilkoma kapłanami, nagle wyrwana z monotonnych, sztywnych ram swego życia przez obcych, po długiej przerażającej podróży morskiej, porzucona wśród ludzi, których znała jedynie jako bezbożnych, pogan, spragnione krwi potwory z końca świata, mniej niż ludzi, czarowników potrafiących zamieniać się w ptaki i zwierzęta – i ma poślubić jednego z nich!

Tenar zdołała opuścić własny lud i zamieszkać wśród bezbożnych potworów zachodu, bo towarzyszył jej Ged, którego kochała i któremu ufała. Nawet wtedy jednak nie było to łatwe. Często zawodziła ją odwaga. Mimo gorącego powitania, jakie zgotowali jej mieszkańcy Havnoru, tłumów, wiwatów, kwiatów i pochwał, słodkich przydomków, jakie jej nadawali: Biała Pani, Niosąca Pokój, Tenar od Pierścienia – mimo to wiele lat temu nocami nieszczęśliwa kuliła się w swej komnacie. Czuła się wówczas tak bardzo samotna, bo nikt nie znał tu jej języka, a ona nie znała niczego, co dla tutejszych ludzi było zupełnie naturalne. Gdy tylko uroczystości dobiegły końca, a Pierścień Erreth-Akbego trafił na miejsce, ubłagała Geda, by ją stąd zabrał. On zaś dotrzymał słowa, wywożąc ją na Gont. Tam zamieszkała w domu Starego Maga, jako uczennica i wychowanka Ogiona, ucząc się życia na Archipelagu, póki nie zrozumiała, jaką drogą pragnie podążać, jak dorastać jako kobieta.

Gdy przybyła do Havnoru z Pierścieniem Pokoju, była młodsza niż ta dziewczyna. Nie dorastała jednak całkowicie podporządkowana innym, jak księżniczka. Choć jej władza Jedynej Kapłanki była głównie nominalna, ceremonialna, Tenar udało się zerwać z przeszłością, odzyskać kontrolę nad własnym losem i zdobyć wolność dla swego więźnia i siebie. Lecz co mogło zależeć od córki wojownika? Gdy jej ojciec obwołał się królem, nazwano ją księżniczką. Dostała wówczas bogatsze szaty, więcej niewolników, eunuchów, klejnotów, i w końcu ją samą oddano przyszłemu mężowi. Nie miała nic do powiedzenia. Świat poza komnatami kobiet

poznawała jedynie poprzez wąskie okienka w grubych murach i grube warstwy czerwonych zasłon.

Tenar miała szczęście. Nie urodziła się na barbarzyńskiej wyspie, takiej jak Hur-at-Hur; nigdy nie musiała nosić *feyaga*. Wiedziała jednak, jak to jest dorastać w kleszczach żelaznej tradycji. Postanowiła zatem, że póki pozostanie w Havnorze, zrobi wszystko co w jej mocy, by pomóc księżniczce. Nie zamierzała jednak zatrzymywać się tu długo.

Spacerując po ogrodzie, patrząc na połyskujące w blasku księżyca fontanny, zastanawiała się, jak i kiedy wróci do domu.

Nie przeszkadzały jej formalności życia dworskiego ani świadomość, że pod otoczką uprzejmości wrą ambicje, zawiści, namiętności, spiski. Sama także dorastała pośród rytuałów, hipokryzji i knowań politycznych. Nie przerażały jej, po prostu tęskniła za domem. Chciała wrócić na Gont, do Geda, do domu.

Przybyła do Havnoru, ponieważ Lebannen zaprosił ją, Tehanu i Geda. Ged odmówił, a Tehanu nie chciała popłynąć bez niej. Fakt ten zmartwił i przeraził Tenar. Czyżby córka nie potrafiła się od niej uwolnić? Lebannen potrzebował rady Tehanu, nie jej. Lecz córka trzymała się jej uporczywie, równie niepewna siebie i obca na dworze w Havnorze jak dziewczyna z Hur-at-Hur, podobnie jak ona milcząca w ukryciu.

Teraz zatem Tenar musiała stać się opiekunką, nauczycielką i towarzyszką obu przerażonych dziewcząt, które nie wiedziały, jak zapanować nad własnym życiem, podczas gdy ona pragnęła tylko wrócić do domu, znów pomagać Gedowi w ogrodzie.

Pożałowała, że w domu nie mogą hodować takich białych róż. Jakże słodko nocą pachniały. Lecz na Overfell było zbyt wietrznie, a latem słońce świeciło zbyt ostro. Poza tym kozy prawdopodobnie i tak by je zjadły.

Wróciła do pałacu i ruszyła w głąb wschodniego skrzydła, do komnat, które dzieliła z Tehanu. Było późno, córka już spała. Knot maleńkiej alabastrowej lampy tlił się płomykiem nie większym niż perła. Wysokie komnaty spowijały miękkie cienie. Tenar zdmuchnęła lampę i wkrótce zapadła w sen.

Wędrowała wąskimi, wysoko sklepionymi kamiennymi korytarzami. W dłoni niosła alabastrową lampę. Owal słabego światła rozpływał się w ciemności przed nią i za nią. W końcu dotarła do drzwi komnaty. Wewnątrz czekali ludzie o ptasich skrzydłach, niektórzy mieli też ptasie głowy, głowy sokołów i sępów. Stali bądź przykucali bez ruchu, nie patrząc na nią ani na nic w ogóle. Oczy otaczały im pierścienie bieli i czerwieni, skrzydła zwisały za plecami niczym olbrzymie czarne płaszcze. Wiedziała, że nie umieją latać. Byli tak smutni, pozbawieni nadziei, a w komnacie tak cuchnęło, że chciała czym prędzej uciec, ale nie mogła nawet drgnąć. Zmagając się z paraliżem, obudziła się. Ujrzała ciepłe cienie, świecące za oknem gwiazdy. W powietrzu unosił się zapach róż. Słyszała cichy pomruk miasta, oddech śpiącej Tehanu.

Usiadła, otrząsając się z resztek koszmaru. Śniła o Malowanej Komnacie w Labiryncie Grobowców, gdzie czterdzieści lat temu pierwszy raz ujrzała Geda. We śnie jednak malunki ze ścian ożyły, tyle że to nie było życie, lecz nieskończone, bezczasowe trwanie tych, którzy umarli i się nie odrodzili. Przeklętych przez Bezimiennych, niewiernych, ludzi z zachodu, czarowników.

Po śmierci każdy się odradza – oto wiedza, w której ją wychowano. Gdy jako dziecko zabrano ją do Miejsca Grobowców, aby została Arhą, Pożartą, powiedziano jej, że ona jedna z całego ludu wciąż odradza się we własnej postaci, każdego kolejnego żywota. Czasami w to wierzyła, lecz nie zawsze, nawet gdy była kapłanką Grobowców Atuanu, i nigdy od tamtego czasu. Wiedziała jednak, tak jak wszyscy mieszkańcy Wysp Kargadzkich, że gdy umrą, powrócą w nowym ciele, że gasnąca lampa w tej samej chwili znów zapłonie gdzie indziej, w łonie kobiety, w małym jajeczku płotki, w niesionym z wiatrem nasieniu trawy, powracając, by znów istnieć, bez pamięci o dawnym żywocie, na nowo, bez końca wieść życie po życiu.

Nie odradzali się tylko ci, których odrzuciła sama ziemia i Dawne Moce, przeklęci czarnoksiężnicy z krain hardyckich. Gdy umierali – tak przynajmniej twierdzili Kargowie – nie dołączali do żyjącego świata; trafiali w upiorne miejsce półżycia, gdzie skrzydlaci, lecz niezdolni do lotu, ni to ludzie, ni ptaki, muszą trwać, pozbawieni

nadziei. Och, z jakąż radością kapłanka Kossil opowiadała jej o straszliwym losie czekającym owych chełpliwych nieprzyjaciół Boga-Króla, których dusze skazane są na wieczną rozłąkę ze światem życia i blasku!

Czy jednak to, o czym opowiadał jej Ged, niezmienna kraina pełna pyłu i cieni, do której trafiał jego lud – czy było to mniej straszne, mniej przerażające?

W jej głowie dźwięczały pytania, na które nie znała odpowiedzi. Skoro nie jest już Kargijką, skoro zdradziła uświęcone miejsce, czy po śmierci także musi trafić do Suchej Krainy? Czy Ged musi tam pójść, czy będą tam mijać się obojętnie? Niemożliwe. A jeśli on tam trafi, a ona się odrodzi i rozstaną się na całą wieczność?

Nie chciała o tym myśleć. To oczywiste, czemu przyśniła jej się Malowana Komnata, choć odkąd widziała ją ostatnio, minęło tak wiele lat. Sprawiło to spotkanie z ambasadorami, rozmowy po kargijsku. Leżała niespokojnie, zdenerwowana i wystraszona. Nie chciała powracać myślami do koszmarów młodości, pragnęła wrócić do domu na Overfell, leżeć obok Geda, słuchać oddechu śpiącej córki. Ged sypiał cicho jak kamień, ale ogień uszkodził gardło Tehanu, toteż jej oddech zawsze brzmiał nieco chrapliwie. I Tenar słuchała go, nasłuchiwała każdej nocy, rok po roku. Oto życie, powrót życia, ów ukochany dźwięk, cichy chrapliwy oddech.

Nasłuchując go teraz, w końcu znów zasnęła i jeśli coś jej się śniło, to jedynie jasne przestworza i barwy poranka na niebie.

***

Olcha ocknął się bardzo wcześnie. Kocię całą noc wierciło się niespokojnie, podobnie on. Ucieszył się, mogąc wreszcie wstać i podejść do okna. Sennie patrzył, jak niebo nad portem jaśnieje, łodzie rybackie wypływają w morze, a żagle okrętów wynurzają się z niskiej mgiełki spowijającej olbrzymią zatokę. Słuchał szumu i pomruku budzącego się do życia miasta. Zaczął się zastanawiać, czy powinien wyjść z sypialni i zaryzykować zgubienie w labiryncie

pałacu, by dowiedzieć się, co ma robić, i właśnie wtedy usłyszał pukanie do drzwi. Nieznany człowiek przyniósł mu tacę owoców i chleba, dzbanek mleka i małą miseczkę mięsa dla kotka.

– Gdy ogłoszą piątą godzinę, przyjdę, by zaprowadzić cię, panie, do króla – poinformował uroczyście Olchę, po czym znacznie mniej uroczyście udzielił mu wskazówek, jak trafić do pałacowych ogrodów, jeśli zapragnie się przejść.

Olcha wiedział rzecz jasna, że północ od południa dzieli sześć godzin, a kolejnych sześć – południe od północy. Nigdy dotąd jednak nie słyszał, by je ogłaszano, i zastanawiał się, co to znaczy.

Wkrótce dowiedział się, iż w Havnorze na taras, z którego wyrasta najwyższa pałacowa wieża zwieńczona smukłą stalową klingą miecza bohatera, wychodzą czterej trębacze i o czwartej i piątej godzinie przed południem, w południe oraz o pierwszej, drugiej i trzeciej po południu dmą w trąby – jeden ku zachodowi, drugi ku północy, trzeci ku wschodowi, czwarty ku południu. Dzięki temu dworzanie z pałacu oraz kupcy i żeglarze z miasta mogli umawiać się i planować spotkania o wyznaczonej godzinie. Wyjaśniło to Olsze dziecko spotkane w ogrodzie; mały, szczupły chłopak w zdecydowanie przydługiej tunice. Dodał też, iż trębacze wiedzą, kiedy odegrać sygnał, bo w wieży kryją się wielkie piaskowe zegary, a także Wahadło Ath, które zwisa z najwyższego sklepienia i pchnięte w chwili ogłoszenia godziny, przestaje się kołysać wraz z jej upływem. Chłopak wyjaśnił, iż melodie, które odgrywają trębacze, stanowią część *Lamentu po śmierci Erreth-Akbego*, napisanego przez króla Mahariona po powrocie z Selidoru. Każdej godzinie towarzyszył inny fragment; jedynie w południe odgrywali całość. Jeśli pragnie się znaleźć gdzieś o określonej porze, trzeba spoglądać na tarasy, bo trębacze zawsze wychodzą na nie kilka minut wcześniej, a jeśli świeci słońce, srebrzyste trąby lśnią i migocą w jego promieniach. Chłopiec nazywał się Rody, przybył do Havnoru wraz z ojcem, władcą Metamy z wysp Ark, aby przez rok uczęszczać do pałacowej szkoły. Miał dziewięć lat i bardzo tęsknił za matką i siostrą.

Olcha wrócił do swej komnaty akurat na czas, by spotkać się z przewodnikiem. Denerwował się już znacznie mniej, bo dzięki

rozmowie z dzieckiem przypomniał sobie, iż synowie władców także są dziećmi. Władcy to ludzie, a on nie ludzi winien się lękać.

Przewodnik poprowadził go korytarzami pałacu do długiej jasnej sali. Jej okna wychodziły na wieże Havnoru i fantastyczne mosty spinające łukami brzegi kanałów lub przerzucone ponad ulicami z dachu na dach, z tarasu na taras. Olcha kątem oka dostrzegł ową wspaniałą panoramę, gdy niepewnie zatrzymał się tuż za progiem. Nie wiedział, czy powinien pójść naprzód i dołączyć do grupki ludzi czekającej po drugiej stronie sali.

Król ujrzał go, podszedł, powitał uprzejmie, zaprowadził do pozostałych i przedstawił mu ich kolejno.

Kobieta około pięćdziesiątki, niska, o bardzo jasnej skórze, siwiejących włosach i wielkich szarych oczach. Tenar, powiedział z uśmiechem król. Tenar od Pierścienia. Spojrzała Olsze prosto w oczy i powitała go cicho.

Mężczyzna, mniej więcej w wieku króla, odziany w aksamit i lekkie płótno, z klejnotami u pasa, u szyi, z wielkim rubinem w uchu. Kapitan Tosla, oznajmił król. Tosla miał twarz ciemną niczym stare dębowe drewno, mądrą i zdecydowaną.

Mężczyzna w średnim wieku, w prostym stroju, o obliczu spokojnym i budzącym zaufanie. Książę Sege z rodu havnorskiego, oświadczył król.

Mężczyzna około czterdziestki, trzymający w dłoni wysoką jak on sam drewnianą laskę, po której Olcha poznał, że ma do czynienia z magiem ze szkoły na Roke. Zmęczona, postarzała twarz, piękne dłonie, zachowanie wyniosłe, lecz uprzejme. Mistrz Onyks, przedstawił go król.

I kobieta, którą Olcha z początku wziął za służącą – z powodu ubogiego stroju, a także dlatego że trzymała się z dala od reszty, odwrócona, jakby wyglądała przez okno. Gdy król poprowadził ją naprzód, Olcha ujrzał kaskadę pięknych czarnych włosów, ciężkich i lśniących.

– Tehanu z Gontu – powiedział król. Jego głos zadźwięczał niczym wyzwanie.

Przez chwilę kobieta patrzyła wprost na Olchę. Była młoda, lewą stronę twarzy miała gładką, miedzianoróżową. Pod wygiętą brwią

lśniło ciemne oko. Prawą stronę, bezoką, pokrywała jedna wielka pofałdowana blizna. Prawa dłoń Tehanu przypominała wygięty kruczy szpon.

Wzorem pozostałych kobieta wyciągnęła do Olchy rękę, jak nakazywał zwyczaj z Ea i Enladów. Podała mu jednak lewą dłoń. Ich palce zetknęły się, potem dłonie. Jej ręka była gorąca, niemal paliła. Dziewczyna spojrzała na niego ponownie, przeszywająco, z napięciem; jedyne oko zalśniło. Potem odwróciła wzrok i cofnęła się, jakby pragnęła znaleźć się gdzie indziej.

– Pan Olcha przynosi wiadomość dla ciebie od twego ojca, Jastrzębia z Gontu – oznajmił król, widząc, iż posłaniec nie może wykrztusić ni słowa.

Tehanu nie podniosła głowy. Lśniące czarne włosy niemal całkowicie ukrywały twarz.

– Pani – rzekł Olcha ochryple, czując suchość w ustach – miałem zadać ci dwa pytania... – Urwał, bo musiał zwilżyć wargi i odetchnąć, ogarnięty nagłą paniką, że nie pamięta, co miał rzec. I chwila ta przerodziła się w pełną wyczekiwania ciszę.

– Zadaj je – powiedziała w końcu Tehanu głosem bardziej ochrypłym niż głos Olchy.

– Prosił, by spytać najpierw, kim są ci, którzy udają się do Suchej Krainy. A gdy już się żegnaliśmy, dodał: Spytaj też mą córkę, czy smok może przekroczyć kamienny mur.

Tehanu skinęła głową i cofnęła się o krok, jakby chciała zabrać ze sobą swe zagadki.

– Sucha Kraina – rzekł król – i smoki...

Przez moment wodził czujnym wzrokiem od twarzy do twarzy.

– Chodźcie – polecił w końcu – usiądźmy i porozmawiajmy.

– Czy moglibyśmy pomówić w ogrodzie? – zaproponowała niska szarooka kobieta, Tenar. Król zgodził się natychmiast. Olcha usłyszał, jak dodała, przechodząc obok niego: – Trudno jej cały dzień spędzać w zamknięciu. Pragnie nieba nad głową.

Ogrodnicy ustawili dla nich krzesła w cieniu starej rozłożystej wierzby przy jednej z sadzawek. Tehanu stanęła na brzegu, spoglądając w zieloną wodę, w której leniwie pływało kilka wielkich

srebrzystych karpi. Wyraźnie chciała zastanowić się nad słowami ojca, nie uczestniczyć w rozmowie. Słyszała jednak każde słowo.

Gdy wszyscy zajęli miejsca, król poprosił, by Olcha raz jeszcze opowiedział swą historię. Słuchali uważnie, ze współczuciem, mógł zatem mówić bez obaw i pośpiechu. Kiedy skończył, długą chwilę milczeli. W końcu czarnoksiężnik Onyks zadał mu jedno pytanie:

– Czy śniłeś zeszłej nocy?

Olcha odparł, iż nie przypomina sobie żadnych snów.

– A ja tak – rzekł Onyks. – Śnił mi się Mistrz Przywołań, który był mym nauczycielem w szkole na Roke. Powiadają o nim, że umarł dwa razy, bo powrócił z krainy za murem.

– Ja śniłam o duchach, które się nie odradzają – wtrąciła cicho Tenar.

– Przez całą noc zdawało mi się, że słyszę na ulicach głosy – dodał książę Sege. – Głosy, które znałem z dzieciństwa, nawołujące jak kiedyś. Gdy jednak wyjrzałem przez okno i wytężyłem wzrok, okazało się, iż to krzyczą strażnicy i pijani żeglarze.

– Ja nigdy nie miewam snów – oświadczył Tosla.

– Ja natomiast nie śniłem o tamtej krainie – rzekł król. – Wspominałem ją i nie mogłem przestać wspominać.

Spojrzał na Tehanu. Nadal patrzyła w wodę. Milczała.

Nikt więcej się nie odezwał i Olcha nie mógł znieść ciszy.

– Jeśli przyniosłem ze sobą zarazę, musicie mnie stąd odprawić!

– Skoro Roke wysłała cię na Gont, a Gont do Havnoru, to właśnie w Havnorze powinieneś się znaleźć – oznajmił czarnoksiężnik Onyks. Jego głos nie zabrzmiał rozkazująco, lecz było w nim coś ostatecznego.

– Wiele głów rzadko myśli jasno – zauważył ironicznie Tosla.

– Zostawmy na razie sny – powiedział Lebannen. – Nasz gość musi się dowiedzieć, co zajmowało nas przed jego przybyciem. Czemu błagałem o przyjazd Tenar i Tehanu, i czemu wezwałem na naradę Toslę. Opowiesz o tym Olsze, Toslo?

Mężczyzna o ciemnej twarzy przytaknął. Rubin w jego uchu lśnił niczym kropla krwi.

– Chodzi o smoki – zaczął. – Od kilku lat na Zachodnich Rubieżach nawiedzają farmy i wioski na Ully i Usidero. Latają nisko, chwytając

szponami dachy domów, potrząsają nimi, sieją przerażenie wśród ludzi. Już dwukrotnie zjawiły się na Toringatach w porze żniw i podpaliły oddechem pola, stogi oraz strzechy domostw. Nie atakowały ludzi, lecz w pożarach kilku zginęło. Nie zaatakowały dworów władców owych wysp, szukając skarbów jak kiedyś, w mrocznych latach. Tylko wioski i pola. Te same wieści przynieśli kupcy zapuszczający się za ziarnem na południowy zachód, aż po Simly. W porze żniw zjawiły się smoki i spaliły zbiory... A zeszłej zimy na Semel dwa smoki usiadły na szczycie wulkanu Andanden.

Onyks westchnął głośno, po czym, widząc pytające spojrzenie króla, rzekł:

– Czarnoksiężnik Seppel z Palnu mówi, iż góra ta to dla smoków najświętsze z miejsc. W pradawnych czasach przybywały tam, by spijać ogień z wnętrza ziemi.

– No cóż, wróciły – odparł Tosla. – Zaczęły też płoszyć stada stanowiące bogactwo tamtejszych ludzi. Nie robią zwierzętom krzywdy, tylko straszą. Ludzie powiadają, że to młode smoki, czarne i wychudzone, niemające zbyt wiele ognia.

– Na Palnie, w górach, w północnej części wyspy, w krainie dzikiej i bezludnej, smoki zamieszkały jakiś czas temu. Kiedyś myśliwi polowali tam na muflony i chwytali sokoły. Obecnie przegnały ich smoki i nikt już w góry nie chodzi. Może twój palneński czarnoksiężnik coś o tym wie.

Onyks skinął głową.

– Mówił, że nad szczytami widywano ich stada niczym klucze dzikich gęsi.

– Wyspę Havnor od Palnu i Semel oddziela jedynie Morze Pelnijskie – zauważył książę Sege.

Olcha pomyślał, iż od Semel do jego rodzinnej wyspy Taon jest tylko sto mil.

– Tosla wyruszył swym statkiem „Rybitwa” na Smoczy Szlak – powiedział król.

– Lecz zaledwie ujrzałem pierwszą z owych wysp, pojawiło się stado owych bestii – dodał Tosla, uśmiechając się gorzko. – Przegnały mnie, tak jakbym był krową albo owcą. Opadały w dół

i przypalały żagle. W końcu uciekłem tam, skąd przybyłem. Zresztą to nic nowego.

Onyks ponownie skinął głową.

– Nikt oprócz Władcy Smoków nie przepłynął nigdy Smoczego Szlaku.

– Ja owszem. – Król uśmiechnął się nagle szeroko, chłopięco. – Ale byłem wtedy z Władcą Smoków... Właśnie o tamtych czasach myślałem. Gdy podróżowaliśmy z Arcymagiem po Zachodnich Rubieżach w poszukiwaniu czarnego maga Coba, minęliśmy Jessage, leżącą dalej nawet niż Simly, i ujrzeliśmy na niej wypalone pola. A na Smoczym Szlaku widzieliśmy smoki walczące ze sobą i zabijające się niczym oszalałe zwierzęta.

Po długiej chwili odezwał się książę Sege:

– Może owych smoków nie opuścił obłęd tamtych złych czasów.

– Minęło ponad piętnaście lat – zauważył Onyks. Olcha spostrzegł, że mag zerka na Tehanu stojącą z boku przy stawie. – Ale też smoki żyją bardzo długo. Pewnie czas płynie dla nich inaczej. A jednak dopiero w ciągu ostatniego roku czy dwóch zaczęły atakować ludzi.

– Tego nie uczyniły – poprawił Tosla. – Gdyby smok chciał zabić ludzi z farmy bądź wioski, kto zdołałby go powstrzymać? Chodziło im o dobytek, zbiory, stogi, domy, bydło. Jakby mówiły: Odejdźcie. Wynoście się stąd.

– Czemu jednak mówią to poprzez ogień i chaos? – spytał ostro Onyks. – Potrafią przecież mówić. Władają Mową Tworzenia. Morred i Erreth-Akbe rozmawiali ze smokami. Nasz Arcymag także.

– Te, które widzieliśmy na Smoczym Szlaku, utraciły mowę – wyjaśnił król. – Otwarta przez Coba wyrwa w świecie odbierała im moc, tak jak nam. Jedynie wielki smok Orm Embar przybył do nas i przemówił do Arcymaga, radząc, by udał się na Selidor. – Zawiesił głos, patrząc w dal. – A i Orm Embar przed śmiercią utracił zdolność mowy. – I znowu król odwrócił wzrok. Dziwne światło rozjaśniło jego twarz. – Zginął dla nas. Otworzył nam drogę do mrocznej krainy.

Jakiś czas wszyscy milczeli. W końcu ciszę przerwała Tenar:

– Kiedyś Krogulec powiedział mi... nie wiem, czy przypomnę sobie dokładnie... że smok i mowa smoka to jedno i to samo. Smok nie uczy się Dawnej Mowy, on nią jest.

– Tak jak rybitwa jest lotem, a ryba pływaniem – dodał wolno Onyks. – O tak.

Tehanu słuchała, stojąc bez ruchu na brzegu stawu. Teraz wszyscy patrzyli wprost na nią. Twarz jej matki zdradzała napięcie. Tehanu odwróciła głowę.

– Jak sprawić, by smok z nami porozmawiał? – spytał król. Powiedział to lekko, jakby żartem, lecz po jego słowach zapadła kolejna długa cisza. – Cóż – rzekł w końcu – mam nadzieję, że się dowiemy. Teraz zaś, mistrzu Onyksie, skoro mowa o smokach, zechcesz opowiedzieć nam historię o dziewczynie, która przybyła do szkoły na Roke? Nikt z nas, oprócz mnie, jej nie słyszał.

– Dziewczyna w szkole! – Tosla uśmiechnął się drwiąco. – Na Roke musiały zajść wielkie zmiany!

– Istotnie. – Mag posłał mu długie, chłodne spojrzenie. – Działo się to jakieś osiem lat temu. Przybyła z Way w przebraniu młodego mężczyzny. Chciała uczyć się sztuki magicznej. Oczywiście jej nędzne przebranie nie oszukało Mistrza Odźwiernego, a jednak ją wpuścił i stanął po jej stronie. W owym czasie szkołą kierował Mistrz Przywołań, ten sam... – zawahał się chwilę – o którym, jak wspominałem, śniłem zeszłej nocy.

– Zechciałbyś opowiedzieć nam coś więcej o tym człowieku, mistrzu Onyksie? – poprosił król. – To był Thorion, który powrócił z martwych?

– Tak. Gdy Arcymag długo nie wracał i nie mieliśmy żadnych wieści, lękaliśmy się, że nie żyje. Mistrz Przywołań użył swojej sztuki, aby sprawdzić, czy istotnie Arcymag przekroczył mur. Został tam długo i mistrzowie o niego także zaczęli się lękać. W końcu jednak się ocknął, mówiąc, że Arcymag był wśród umarłych. Nie chciał powrócić, lecz nakazał to Thorionowi, mówiąc, że ma kierować szkołą na Roke. Wkrótce jednak smok przyniósł do nas żywego Arcymaga Krogulca wraz z mym panem Lebannenem... A potem, gdy Arcymag znów odszedł, Mistrz Przywołań padł na ziemię i leżał, jakby życie z niego uszło. Mistrz Ziół mimo całej swej sztuki sądził, że nie żyje. Ale gdy byliśmy już gotowi go pogrzebać, poruszył się i odezwał. Mówił, iż powrócił do życia, aby uczynić to, co musi być zrobione. Ponieważ nie potrafiliśmy wybrać nowego Arcymaga,

Mistrz Przywołań Thorion kierował szkołą. – Onyks milczał chwilę. – Kiedy zjawiła się dziewczyna, Mistrz Odźwierny wpuścił ją do Wielkiego Domu, lecz Thorion nie życzył sobie jej obecności, nie chciał mieć z nią nic wspólnego. Mistrz Wzorów zabrał ją do Gaju i na jakiś czas zezwolił jej mieszkać wśród drzew i wędrować. Wraz z Mistrzem Odźwiernym, Mistrzem Ziół i Mistrzem Imion Kurremkarmerrukkiem uważali, iż istnieje powód, dla którego przybyła na Roke. Że choć sama o tym nie wie, jest wysłanniczką bądź zwiastunem wielkich wydarzeń. Toteż ją ochraniali. Inni mistrzowie posłuchali Thoriona, który twierdził, że dziewczyna przynosi jedynie niezgodę i ruinę, i powinno się ją wygnać. Ja byłem wówczas uczniem. Ogromnie niepokoił nas fakt, że nasi mistrzowie, sami pozbawieni mistrza, kłócą się między sobą.

– I to z powodu dziewczyny – dodał Tosla.

Tym razem Onyks posłał mu lodowate spojrzenie.

– Owszem – przytaknął i urwał. Po minucie podjął opowieść. – Krótko mówiąc, kiedy Thorion wysłał kilkunastu z nas, abyśmy zmusili ją do opuszczenia wyspy, rzuciła mu wyzwanie. Oznajmiła, że spotka się z nim tego wieczoru na Pagórku Roke. Zjawił się i przywołał ją jej imieniem, Irian, by była mu posłuszna. Ona jednak odparła: „Nie jestem tylko Irian", i mówiąc to, przemieniła się. Stała się... przyjęła postać smoka. Dotknęła Thoriona, a on rozsypał się w proch. Potem wspięła się na wzgórze. Patrząc na nią, nie wiedzieliśmy, czy widzimy płonącą jak ogień kobietę, czy też skrzydlatą bestię. Gdy jednak dotarła na szczyt, ujrzeliśmy wyraźnie: była smokiem jasnym niczym złocistoczerwony płomień. Uniosła skrzydła i odleciała na zachód.

Jego głos złagodniał, twarz rozjaśniła się dawnym podziwem. Nikt się nie odezwał.

W końcu czarnoksiężnik odchrząknął.

– Nim weszła na Pagórek Roke, Mistrz Imion spytał ją: Kim jesteś? Odparła, że nie zna swego drugiego imienia. Wówczas przemówił do niej Mistrz Wzorów, pytając, dokąd pójdzie i czy powróci. Odparła, że udaje się poza zachód, by poznać swoje imię od własnego ludu. Przybędzie jednak, jeśli on ją wezwie.

W ciszy odezwał się ochrypły, słaby głos, szorstki niczym metal trący o metal. Olcha nie zrozumiał słów, a przecież zabrzmiały znajomo, jakby powinien pamiętać, co znaczą.

Tehanu podeszła do maga i stanęła obok, napięta niczym naciągnięta cięciwa. To ona się odezwała.

Zdumiony i wstrząśnięty czarnoksiężnik spojrzał na nią, wstał i cofnął się o krok.

– Owszem, tak brzmiały jej słowa – powiedział w końcu, odzyskując panowanie nad sobą. – Mój lud poza zachodem.

– Wezwij ją, och, wezwij ją! – szepnęła Tehanu, wyciągając ku niemu obie ręce. I znów odruchowo cofnął się przed nią.

Tenar wstała.

– O co chodzi? – spytała cicho. – Co się stało, Tehanu?

Tehanu powiodła po nich wzrokiem. Olcha miał wrażenie, że jej spojrzenie przenika przez niego, jakby był tylko zjawą.

– Wezwijcie ją tutaj. – Popatrzyła na króla. – Możesz ją wezwać?

– Nie mam takiej mocy. Może Mistrz Wzorów z Roke, może ty sama?

Tehanu gwałtownie pokręciła głową.

– Nie, nie, nie, nie – szepnęła. – Nie jestem taka jak ona. Nie mam skrzydeł.

Lebannen spojrzał na Tenar, jakby prosił ją o radę. Tenar z boleśnie ściągniętymi brwiami patrzyła na córkę.

Tehanu stanęła naprzeciw króla.

– Przepraszam – rzekła sztywno swym słabym, ochrypłym głosem. – Muszę pobyć sama, panie. Zastanowię się nad tym, co powiedział mój ojciec. Spróbuję odpowiedzieć na jego pytania, ale proszę, muszę zostać sama.

Lebannen skłonił się przed nią i zerknął na Tenar, która objęła córkę ramieniem. Razem odeszły słoneczną ścieżką pomiędzy fontannami.

Czterej mężczyźni znów usiedli. Przez kilka minut milczeli.

– Miałeś rację, Onyksie – rzekł w końcu Lebannen, a zwracając się do pozostałych, dodał: – Mistrz Onyks opowiedział mi historię kobiety-smoka, gdy ja opowiedziałem mu nieco o Tehanu. O tym, że

jako dziecko wezwała na Gont smoka Kalessina, rozmawiała z nim w Dawnej Mowie i Kalessin nazwał ją córką.

– Panie, to bardzo dziwne czasy, gdy smok jest kobietą, a nieuczona dziewczyna przemawia w Mowie Tworzenia. – Onyks był głęboko wstrząśnięty, przerażony. Olcha dostrzegł to i zastanowił się, czemu sam nie czuje lęku. Uznał, że zapewne nie wie dosyć, by się bać.

– Ale przecież jest mnóstwo starych opowieści – zauważył Tosla. – Nie słyszeliście ich na Roke? Może wasze mury nie dopuszczają ich do was. To tylko legendy powtarzane przez prostych ludzi, pieśni. Jest taka marynarska piosenka, *Dziewka z Belilo*, o tym, jak marynarz w każdym porcie zostawiał płaczącą dziewczynę, aż jedna z nich na mosiężnych skrzydłach doścignęła statek, chwyciła go z pokładu i zjadła.

Onyks spojrzał na Toslę z niesmakiem, a Lebannen się uśmiechnął.

– Dawny mistrz Arcymaga, Aihal zwany Ogionem, opowiedział Tenar o kobiecie z Kemay. To była zwykła stara wieśniaczka. Zaprosiła Ogiona do swej chaty, poczęstowała go zupą rybną. Twierdziła, że ludzie i smoki byli kiedyś jednym ludem. Ona sama miała być nie tylko kobietą, lecz i smokiem. A Ogion, mag, ujrzał w niej smoka... Tak jak ty w Irian, Onyksie – dodał król.

– Gdy Irian opuściła Roke, Mistrz Imion pokazał nam ustępy z najdawniejszych Ksiąg Wiedzy – odparł mag wyniośle, zwracając się wyłącznie do króla. – Nigdy do końca ich nie rozumieliśmy, ponoć jednak traktują o istotach będących zarówno ludźmi, jak i smokami. I o wielkim sporze, który je podzielił. Nic z tego jednak nie pojmujemy.

– Miałem nadzieję, że Tehanu pomoże nam to zrozumieć – rzekł Lebannen. Jego głos nie zdradzał niczego, toteż Olcha nie wiedział, czy król porzucił ową nadzieję, czy wciąż ją żywi.

Ścieżką zbliżał się siwowłosy żołnierz, jeden z królewskiej gwardii. Lebannen wstał, podszedł do niego. Naradzali się cicho. Potem żołnierz odszedł pospiesznie. Król wrócił do swych towarzyszy.

– Mam nowiny. – W jego głosie zabrzmiało wyzwanie. – Na zachodzie Havnoru widziano wielkie stada smoków. Podpaliły lasy,

a załoga przybrzeżnego statku słyszała od ludzi uciekających do Portu Południowego, że miasto Resbel płonie.

***

Tej nocy najszybszy królewski żaglowiec popłynął na drugą stronę Zatoki Havnorskiej, niesiony bystrym magicznym wiatrem przywołanym przez Onyksa. O świcie dotarł do ujścia rzeki Onneva, w cieniu góry Onn. Na pokładzie był Lebannen i jego towarzysze. Wzięli z sobą jedenaście koni, pięknych, silnych, smukłych, z królewskiej stajni. Rzadko hodowano je na wyspach poza Havnorem i Semel. Tehanu dobrze znała osły, ale wcześniej nie widziała koni. Prawie całą noc pomagała stajennym uspokoić zwierzęta. Były to opanowane, dobrze wyszkolone wierzchowce, ale nie przywykły do morskich podróży.

Gdy na piaskach Onnevy nadeszła pora, by dosiąść koni, Onyks nie umiał sobie poradzić. Stajenni musieli mu pomóc. Tehanu natomiast tuż po królu wskoczyła w siodło. Ujęła wodze okaleczoną dłonią i w ogóle ich nie używała. Zdawało się, iż w dziwny sposób porozumiewa się ze swoją klaczą.

Niewielki orszak wyruszył na zachód u stóp gór Faliern, utrzymując całkiem niezłe tempo. Był to najszybszy sposób podróżowania, jaki mógł wybrać Lebannen. Opłynięcie wyspy dookoła trwałoby zbyt długo. Towarzystwo maga Onyksa zapewniało im przychylną pogodę, wolną od przeszkód drogę i ochronę przed wszystkim z wyjątkiem smoczego ognia. Przeciw smokom, gdyby jakieś spotkali, nie mieli żadnej obrony. Może poza Tehanu.

Wieczorem przed wyjazdem Lebannen spotkał się ze swymi doradcami i oficerami gwardii. Szybko ustalił, że w żaden sposób nie można walczyć ze smokami ani bronić przed nimi miast i pól. Strzały na nic się nie zdawały, podobnie tarcze. Tylko najwięksi magowie potrafili pokonać smoka, nie miał jednak na służbie takiego maga i zapewne żaden wielki już nie żył. Jednakże król musiał bronić

swych ludzi, znalazł więc tylko jedno rozwiązanie. Próbę pertraktacji ze smokami.

Ochmistrz był wstrząśnięty, gdy Lebannen skierował się do komnat, w których mieszkały Tenar i Tehanu. Król powinien wzywać do siebie tych, z którymi pragnie się spotkać, rozkazywać, żeby doń przybyli.

– Nie, jeśli zamierza ich błagać – rzekł Lebannen.

Kiedy zaskoczona pokojówka otworzyła drzwi, poprosił, by spytała Białą Panią i Kobietę z Gontu, czy mógłby z nimi pomówić. Pod takimi imionami mieszkańcy pałacu znali je obie. Podobnie jak król otwarcie nosiły swe prawdziwe imiona, co było tak rzadkie, tak bardzo niezgodne ze zwyczajem i prawem, zasadami bezpieczeństwa i przyzwoitości, że choć ludzie znali te imiona, nie chcieli ich wymawiać i woleli posługiwać się przydomkami.

Król pokrótce przekazał Tenar i Tehanu otrzymane wieści.

– Tehanu, możliwe, że ty jedna w całym mym królestwie możesz mi pomóc. Gdybyś mogła wezwać te smoki, tak jak kiedyś Kalessina; gdybyś miała nad nimi jakąś władzę, mogła z nimi pomówić i spytać, czemu wypowiedziały wojnę memu ludowi, uczyniłabyś to?

Młoda kobieta skuliła się i z lękiem odwróciła ku matce.

Lecz Tenar nie pozwoliła jej się ukryć. Stała bez ruchu.

– Tehanu – rzekła – dawno temu powiedziałam ci: Kiedy zwraca się do ciebie król, powinnaś odpowiedzieć. Byłaś wtedy dzieckiem i nie odpowiedziałaś. Teraz nie jesteś już dzieckiem.

Tehanu cofnęła się o krok. Niczym mała dziewczynka zwiesiła głowę.

– Nie mogę ich wezwać – powiedziała słabym, ochrypłym głosem. – Nie znam ich.

– Mogłabyś wezwać Kalessina? – spytał Lebannen.

Pokręciła głową.

– Za daleko – szepnęła. – Nie wiem gdzie.

– Przecież jesteś córką Kalessina – przypomniała Tenar. – Nie mogłabyś porozmawiać z tymi smokami?

– Nie wiem – rzekła Tehanu z nieszczęśliwą miną.

– Jeśli istnieje jakakolwiek szansa, że zgodziłyby się z tobą pomówić – powiedział król – że mogłabyś się z nimi porozumieć,

błagam, spróbuj. Ja nie mogę z nimi walczyć, a nie znam ich mowy. Jak mam się dowiedzieć, czego chcą od nas istoty, które mogą zniszczyć mnie jednym tchem, samym spojrzeniem? Pomówisz z nimi w moim imieniu? W naszym?

Przez chwilę milczała. W końcu odpowiedziała tak cicho, że ledwo usłyszał:

– Pomówię.

– Zatem przygotujcie się do wyjazdu. Wyruszamy o czwartej godzinie wieczoru. Moi ludzie zaprowadzą was na statek. I dziękuję ci, Tenar – dodał, na moment ujmując jej dłoń. Po czym odszedł, przed wyjazdem bowiem musiał dopilnować wielu spraw.

Gdy spóźniony szybkim krokiem dotarł na nabrzeże, ujrzał drobną postać w kapturze. Ostatni koń parskał i zapierał się przed wejściem na pokład, nie pozwalając poprowadzić się po trapie. Tehanu chwilę naradzała się ze stajennym. W końcu ujęła uzdę konia, porozmawiała z nim i razem spokojnie weszli na pokład.

Statki to małe, zatłoczone domy. Około północy Lebannen usłyszał cichą rozmowę dwóch stajennych.

– Ma dobrą rękę do zwierząt – rzekł jeden.

– O tak, ale wygląda strasznie, prawda? – odparł drugi, młodszy.

– Jeśli koniowi to nie przeszkadza – powiedział pierwszy – czemu miałoby przeszkadzać tobie?

A drugi:

– Nie wiem. Ale tak jest.

Teraz, gdy zjechali z plaży Onnevy i zagłębiali się między wzgórza, gdzie droga rozszerzała się nieco, Tosla podjechał do króla.

– Ma być naszą tłumaczką, tak? – spytał, wskazując Tehanu.

– Jeśli zdoła.

– Cóż, w takim razie jest odważniejsza, niż sądziłem. Skoro podczas pierwszej rozmowy to ją spotkało, może się powtórzyć.

– Co masz na myśli?

– Prawie spłonęła żywcem.

– Nie zrobił tego smok.

– A więc kto?

– Ludzie, wśród których się urodziła.

– Jak to możliwe?!

– To byli złodzieje, włóczędzy. Miała wówczas pięć, sześć lat. Cokolwiek zrobiła, czy też oni zrobili, skończyło się na tym, że pobili ją do nieprzytomności i wepchnęli w ognisko. Pewnie myśleli, że nie żyje albo umrze, a inni uznają to za wypadek. Uciekli. Wieśniacy ją znaleźli, a Tenar przygarnęła.

Tosla podrapał się po uchu.

– Piękna opowieść o ludzkim dobru. Więc nie jest też córką starego Arcymaga. Ale czemu o niej mówią „smoczy pomiot”?

Lebannen żeglował z Toslą, walczyli razem w oblężeniu Sorry, znał go i wiedział, że kapitan jest odważny, mądry, opanowany. Gdy szorstkie słowa Tosli raniły, król obwiniał własną delikatność.

– Nie wiem – odparł łagodnie. – Wiem tylko, że smok nazwał ją swą córką.

– Twój czarnoksiężnik z Roke, Onyks, mówi, że na nic się tu nie przyda. Ale przecież zna Dawną Mowę, prawda?

– Tak, za pomocą kilku słów mógłby spalić cię na popiół. Nie zrobił tego dotąd z szacunku dla mnie, nie dla ciebie.

Tosla przytaknął.

– Wiem.

Cały dzień jechali co koń wyskoczy. O zmroku dotarli do miasteczka, w którym mogli nakarmić i oporządzić wierzchowce, a sami odpocząć w niezbyt wygodnych łóżkach. Ci z nich, którzy nie przywykli do końskiej jazdy, odkryli nagle, że ledwie mogą chodzić. Mieszkańcy miasta nie słyszeli o smokach. Oszołomiła ich groza i wspaniałość oddziału bogatych przybyszów, którzy zjawili się u nich, żądając owsa i noclegów, a płacili srebrem i złotem.

Podróżni wyruszyli na długo przed świtem. Od plaży Onnevy do Resbel było niemal sto mil. Drugiego dnia mieli pokonać niską przełęcz w górach Faliern i skierować się w dół ku zachodowi. Yenay, jeden z najbardziej zaufanych oficerów Lebannena, wysforował się naprzód, Tosla pilnował tyłów. Lebannen prowadził główną grupę. Jechał sennie naprzód w ciszy przedświtu, gdy nagle obudził go głośny tętent. Yenay wracał. Lebannen spojrzał w stronę, którą wskazywał żołnierz.

Właśnie wynurzyli się z lasu okalającego szczyt wzgórza. W pierwszym świetle brzasku widzieli przed sobą całą drogę aż do

przełęczy. Po obu stronach wznosiły się czarne masywy gór, jeszcze ciemniejsze na tle ciemnoczerwonej łuny poranka.

Tyle że patrzyli ku zachodowi.

– To bliżej niż Resbel – zauważył Yenay. – Jakieś piętnaście mil.

Klacz Tehanu, choć drobna, była najszybsza i przekonana, że powinna prowadzić. Kiedy Tehanu jej nie wstrzymywała, klaczka wyprzedzała kolejne wierzchowce, dopóki nie znalazła się na przedzie. Teraz, gdy Lebannen ściągnął wodze swego wielkiego wałacha, natychmiast zjawiła się obok niego. Tehanu spojrzała w stronę, w którą patrzył.

– Las płonie – rzekł.

Była do niego zwrócona pokrytą bliznami połową twarzy, toteż zdawała się ślepa. Widziała jednak i szponiasta dłoń trzymająca wodze zadrżała. Poparzone dziecko boi się ognia, pomyślał.

Cóż za okrutne szaleństwo, co za tchórzostwo sprawiło, że powiedział do tej dziewczyny: Porozmawiaj ze smokami, ocal moją skórę, i sprowadził ją w ogień?

– Zawracamy – oznajmił.

Tehanu uniosła zdrową rękę.

– Patrz – rzekła – patrz!

Iskra z ogniska, płomyk nad ciemną przełęczą, ognisty orzeł, smok. Leciał wprost ku nim.

Tehanu podniosła się w strzemionach i krzyknęła ochryple, przeszywająco, niczym morski ptak bądź jastrząb. W krzyku tym dźwięczało słowo, jedno słowo.

– *Medeu!*

Potężny stwór zbliżył się z przerażającą szybkością. Jego długie wąskie skrzydła leniwie biły w powietrzu. W łuskach nie odbijał się już ogień i w pierwszym świetle poranka wydawały się czarne czy może ciemnobrązowe.

– Uważajcie na konie – poleciła szorstko Tehanu.

W tym samym momencie szary wałach Lebannena ujrzał smoka i szarpnął się gwałtownie, potrząsając głową. Król mógł go jeszcze opanować, lecz za jego plecami jeden z koni zarżał panicznie. Odpowiedział mu głośny tupot i głosy stajennych. Mag Onyks

wybiegł naprzód i stanął obok wierzchowca Lebannena. Wszyscy obserwowali nadlatującego smoka.

Znów Tehanu wykrzyknęła to słowo. Smok opadł niżej, zwolnił i zatrzymał się w powietrzu.

– *Medeu!* – zawołała Tehanu.

Odpowiedź przyszła natychmiast, niczym echo.

– *Me-de-uuu!*

– Co to znaczy? – spytał Lebannen, schylając się do Onyksa.

– Brat, siostra – szepnął mag.

Tehanu zeskoczyła z konia, cisnęła wodze Yenayowi i ruszyła naprzód łagodnym zboczem, w miejsce gdzie unosił się smok. Jego długie skrzydła biły szybko, krótko, jak u czekającego jastrzębia. Skrzydła te jednak liczyły sobie piętnaście metrów szerokości od krańca do krańca. Każdemu uderzeniu towarzyszył odgłos przypominający walenie w kotły, grzechot mosiężnych blach. Gdy się zbliżyła, z otwartego smoczego pyska o długich zębach wypłynęła wąska smużka dymu.

Tehanu uniosła rękę – nie smukłą brązową, lecz tę spaloną, szpon. Blizny pozwalały podnieść ją zaledwie na wysokość głowy.

Smok obniżył się nieco, skłonił głowę i dotknął jej dłoni smukłym, rozszerzającym się na końcu, pokrytym łuskami pyskiem. Zupełnie jak pies, zwierzę obwąchujące na powitanie, pomyślał Lebannen. Jak sokół lądujący na przegubie; król składający ukłon przed królową.

Tehanu przemówiła, potem smok. Oboje krótko, głosami dźwięczącymi niczym metalowe cymbały. Kolejna wymiana zdań. Chwila ciszy. Potem smok zaczął coś mówić. Onyks słuchał w napięciu. Jeszcze jedna wymiana słów, obłoczek dymu ze smoczych nozdrzy, sztywny wyniosły gest okaleczonej kobiecej dłoni. Tehanu wymówiła wyraźnie dwa słowa.

– Sprowadź ją – przetłumaczył szeptem czarodziej.

Smok mocno załopotał skrzydłami, skłonił długą głowę i syknął. Znów coś powiedział, po czym wzbił się w powietrze wysoko nad Tehanu, zawrócił, zatoczył koło i niczym strzała pomknął ku zachodowi.

– Nazwał ją córką Najstarszego – wyszeptał mag.

Tehanu stała bez ruchu, odprowadzając smoka wzrokiem.

Potem się odwróciła. Wydawała się drobna i krucha, samotna na wielkim wzgórzu wśród lasów, w szarym świetle świtu. Lebannen zeskoczył z konia i podbiegł ku niej. Sądził, że zastanie ją wyczerpaną i przerażoną. Wyciągnął rękę, by pomóc jej iść, ona jednak powitała go uśmiechem. Jej twarz, na wpół piękna, na wpół straszna, jaśniała czerwonym blaskiem słońca, które jeszcze nie wzeszło.

– Nie zaatakują więcej. Zaczekają w górach – oznajmiła.

Potem rozejrzała się wokół, jakby nie wiedziała, gdzie jest, a gdy Lebannen ujął jej ramię, pozwoliła mu na to. Lecz ogień i uśmiech pozostały na jej twarzy i stąpała lekko.

Podczas gdy stajenni pilnowali koni skubiących wilgotną od rosy trawę, Onyks, Tosla i Yenay podeszli bliżej, utrzymując jednak pełen szacunku dystans.

– Moja pani, Tehanu – powiedział Onyks – nigdy nie widziałem większego pokazu odwagi.

– Ani ja – dodał Tosla.

– Bałam się. – W głosie Tehanu nie dźwięczały żadne emocje. – Ale nazwałam go bratem, a on mnie siostrą.

– Nie rozumiałem wszystkiego – przyznał mag. – Nie znam Dawnej Mowy tak dobrze jak ty. Powiesz nam, o czym rozmawialiście?

Dziewczyna cały czas spoglądała ku zachodowi, tam gdzie odleciał smok. Niebo na wschodzie jaśniało, czerwony blask odległego ognia zaczynał słabnąć.

– Spytałam: Czemu palicie wyspę króla? Odpowiedział: Czas, abyśmy odzyskali nasze ziemie. Ja na to: Czy Najstarszy polecił wam zdobyć je ogniem? Wówczas rzekł, że Najstarszy, Kalessin, odszedł z Orm Irian poza zachód, by pofrunąć na innym wietrze. A młode smoki, które pozostały tu, na wiatrach tego świata, twierdzą, że ludzie złamali przysięgi i ukradli smocze ziemie. Powtarzają sobie, że Kalessin już nie wróci, a one nie chcą dłużej czekać, toteż przegnają ludzi ze wszystkich wysp zachodu. Ostatnio jednak Orm Irian powróciła. Jest teraz na Palnie, rzekł, a ja poprosiłam, by ją wezwał. Odparł, iż przybędzie na wezwanie córki Kalessina.

3

Smocza Rada

Z okna swej komnaty w pałacu Tenar patrzyła, jak statek niosący na pokładzie Lebannena i jej córkę odpływa w mrok nocy. Nie zeszła na przystań z Tehanu. Trudno, bardzo trudno przyszło jej odmówić udziału w tej podróży. Tehanu błagała. Ona, która nigdy o nic nie prosiła. Nigdy nie płakała, nie potrafiła płakać, lecz teraz jej oddech załamał się w szlochu.

– Nie mogę, nie mogę popłynąć sama. Jedź ze mną, matko.

– Moja ukochana, serce moje. Gdybym mogła oszczędzić ci tego strachu, zrobiłabym to. Nie rozumiesz? Uczyniłam dla ciebie wszystko, co mogłam. Mój ognisty płomyczku, moja gwiazdko. Król ma rację, tylko ty, ty sama możesz tego dokonać.

– Ale gdybyś tam była, gdybym wiedziała, że jesteś...

– Zostanę tutaj. Musicie szybko dotrzeć do celu, czeka was trudna podróż. Ja bym was opóźniała, stanowiłabym jedynie ciężar. A ty bałabyś się o mnie. Nie potrzebujesz mnie, na nic ci się nie przydam. Musisz się tego nauczyć.

Po czym odwróciła się od swego dziecka i zaczęła sortować ubrania, które Tehanu miała wziąć ze sobą – domowe stroje, nie ozdobne, dworskie; solidne buty, ciepły płaszcz. Jeśli nawet płakała, nie pozwoliła, by córka to zobaczyła.

Tehanu stała oszołomiona, sparaliżowana lękiem. Gdy Tenar wręczyła jej nowe ubranie, dziewczyna przebrała się posłusznie.

Kiedy porucznik królewski Yenay zapukał do drzwi i spytał, czy może zaprowadzić panią Tehanu na brzeg, popatrzyła jedynie na niego niczym spłoszone zwierzę.

– Idź już. – Tenar objęła córkę, położyła dłoń na wielkiej bliźnie pokrywającej pół jej twarzy. – Jesteś nie tylko moją córką, ale i Kalessina.

Dziewczyna długą chwilę obejmowała ją bardzo mocno, potem odwróciła się bez słowa i ruszyła w ślad za Yenayem.

Tenar stała bez ruchu, czując nagły chłód po ciepłym uścisku Tehanu.

Podeszła do okna. Światła w porcie, krzątający się ludzie, stukot końskich kopyt. Przy nabrzeżu czekał wysoki „Delfin". Znała go. Ujrzała stojącą na brzegu Tehanu. Widziała, jak dziewczyna wchodzi na pokład, prowadząc spłoszonego konia. Lebannen podążył tuż za nią. Widziała, jak marynarze odrzucają cumy, jak statek porusza się powoli, ciągnięty przez wiosłowy holownik, który wyprowadził go na środek zatoki. Nagle w ciemności rozkwitły białe żagle. Światło latarni na rufie odbijało się w ciemnej, falującej wodzie. Powoli malało, zamieniając się w mały jasny punkcik, i wreszcie znikło.

Tenar zaczęła krążyć po komnacie, zbierając odrzucone przez Tehanu ubranie – jedwabną koszulę i wierzchnią spódnicę. Podniosła lekkie sandały i nim odłożyła je na miejsce, przez moment przycisnęła do policzka.

Leżąc w łóżku, oczami duszy oglądała raz po raz tę samą scenę: oto droga i wędrująca samotnie Tehanu, a także węzeł, kłębowisko, czarna, wijąca się masa opadająca z nieba. Rój smoków, z których paszcz bucha ogień wprost ku niej. Płonące włosy, płonący strój... Nie, powiedziała w myślach Tenar, tak się nie stanie. Zmuszała się, by skupić myśli na czym innym. W końcu jednak znów widziała drogę, samotną Tehanu i czarny, ognisty węzeł na niebie, zbliżający się coraz bardziej.

Gdy niebo za oknem poszarzało, wyczerpana zasnęła wreszcie. Śniło jej się, że wróciła do domu Starego Maga na Overfell, do swojego domu. Czuła ogromną, niewyobrażalną radość. Wzięła stojącą za drzwiami szczotkę, aby zamieść lśniącą dębową podłogę, bo Ged pozwolił, by pokrył ją kurz. Z tyłu domu ujrzała drzwi,

których wcześniej tam nie było. Gdy je otwarła, zobaczyła mały, niski pokój o kamiennych ścianach pokrytych białą farbą. Czekał w nim Ged, przykucnięty, z łokciami na kolanach i bezwładnie wiszącymi rękami. Jego głowa nie była głową człowieka, ale sępa – małą, czarną, z zakrzywionym dziobem.

– Tenar – rzekł słabym, ochrypłym głosem – nie mam skrzydeł.

Wezbrał w niej taki gniew i groza, że się ocknęła, gwałtownie chwytając oddech. Ujrzała plamę słonecznego blasku na wysokich ścianach pałacowej komnaty. Z dali dobiegała słodka fanfara zwiastująca czwartą godzinę poranka.

Przyniesiono śniadanie. Zjadła odrobinę, rozmawiając z Jagodą, starszą służącą, którą wybrała z całego grona pokojówek i dam do towarzystwa przysłanych przez Lebannena. Jagoda była bystrą, sprawną kobietą, urodzoną w wiosce w głębi Havnoru. Tenar dogadywała się z nią lepiej niż z większością dworskich dam, które, uprzejme i pełne szacunku, w istocie nie wiedziały, co z nią począć, jak rozmawiać z kobietą będącą kargijską kapłanką i żoną wieśniaka z Gontu. Łatwiej przychodziło im mile traktować Tehanu; sprawiała to jej nieśmiałość i skromność. Tehanu mogły współczuć, Tenar nie.

Natomiast Jagoda ją rozumiała. I tego ranka zdecydowanie dodała Tenar otuchy.

– Król przywiezie ją z powrotem całą i zdrową – tłumaczyła. – Sądzisz, że naraziłby twoją córkę na niebezpieczeństwo, przed którym nie zdołałby jej obronić? Nigdy! Nie on.

Jagoda tak bardzo wierzyła w prawdziwość swych słów, że Tenar musiała się zgodzić, co odrobinę podniosło ją na duchu.

Potrzebowała jakiegoś zajęcia, bo cały czas brakowało jej Tehanu. Postanowiła porozmawiać z kargijską księżniczką. Przekonać się, czy dziewczyna jest gotowa nauczyć się kilku słów po hardycku lub chociaż zdradzić swoje imię.

Na Wyspach Kargadzkich ludzie nie mieli tajemnych prawdziwych imion, jak ci mówiący po hardycku. Podobnie jak tutejsze imiona użytkowe, imiona kargijskie często coś znaczyły – Róża, Olcha, Honor, Nadzieja. Bywały też tradycyjne, dziedziczone po przodkach. Ludzie podawali je otwarcie, szczycąc się starym imieniem przekazywanym z pokolenia na pokolenie. Tenar za wcześnie zabrano

z domu, toteż nigdy się nie dowiedziała, czemu rodzice tak ją nazwali, podejrzewała jednak, że mogło tak być na pamiątkę babki albo prababki. Imię to odebrano jej, gdy została uznana za Arhę, Pożartą, Odrodzoną, Bezimienną, i zapomniała je, póki Ged jej go nie zwrócił. Dla niej i dla niego było to jej prawdziwe imię. Nie dawało nikomu nad nią władzy, ponieważ nie pochodziło z Dawnej Mowy, więc nie musiała go ukrywać.

Teraz zastanawiała się, czemu księżniczka swe imię ukrywa. Służki nazywały ją wyłącznie księżniczką albo panią, ambasador mówił o niej Najwyższa Księżniczka, Córka Thola, Pani z Hur-at-Hur i tak dalej. Biedaczka miała stanowczo za dużo tytułów. Czas, by zdobyła też imię.

Tenar wiedziała, że królewski gość nie powinien przechadzać się samotnie ulicami Havnoru. Zdawała sobie też sprawę z faktu, iż Jagoda ma obowiązki w pałacu. Poprosiła zatem o służącego, który mógłby jej towarzyszyć. Wkrótce w jej komnacie pojawił się uroczy lokaj, czy może lokajczyk, liczył sobie bowiem zaledwie piętnaście lat. Na każdym przejściu przez ulicę krzątał się wokół niej, jakby była zdziecinniałą staruszką.

Lubiła spacerować po mieście. Teraz, w drodze do Pałacu Rzecznego, musiała sama przed sobą przyznać, że łatwiej jej spacerować bez Tehanu u boku. Ludzie patrzyli na okaleczoną twarz i natychmiast odwracali wzrok, a Tehanu szła ze sztywną bolesną dumą, nienawidząc ich spojrzeń i tego, że się odwracają. Tenar cierpiała wówczas wraz z nią, może nawet bardziej.

Teraz mogła przechadzać się powoli, oglądać uliczne przedstawienia, kramy, najróżniejsze oblicza i stroje z całego Archipelagu. Zejść z głównej drogi, pozwalając, by lokaj pokazał jej ulice, gdzie nad głowami wznosiły się szeregi malowanych mostów przerzuconych między dachami i tworzących ażurowe sklepienie, z którego zwisały pnącza pokryte czerwonymi kwiatami. Ludzie zawieszali w oknach na złoconych drążkach klatki z ptakami. Wydawało się, że w powietrzu rozkwitają ogrody.

Tak bym chciała, żeby Tehanu mogła to zobaczyć, pomyślała Tenar. Nie mogła jednak myśleć o Tehanu, o tym gdzie jest teraz.

Pałac Rzeczny, podobnie jak Nowy, powstał w czasach królowej Heru, pięćset lat wcześniej. Gdy Lebannen wstąpił na tron, pałac leżał w ruinie. Król odbudował go starannie i tak powstał uroczy pałacyk, w którym było niewiele mebli, a ciemnych błyszczących podłóg nie wyścielały dywany. Rzędy wąskich okien-drzwi rozsuwały się, otwierając komnaty wprost na rzekę i wierzby. Można też było wyjść na głębokie drewniane balkony wzniesione nad wodą. Damy dworu opowiadały, że tu właśnie król lubił wymykać się czasem na noc, czy to sam, czy z kochanką. Sugerowały, iż może coś znaczyć fakt, że umieścił tu księżniczkę. Tenar podejrzewała, że po prostu nie chciał, by Kargijka zamieszkała z nim pod jednym dachem. Może jednak damy dworu miały rację?

Wartownicy w uroczystym rynsztunku poznali ją i przepuścili. Lokaje zaanonsowali przybycie gościa, po czym odeszli wraz z jej przewodnikiem rozbijać orzechy i plotkować (najwyraźniej stanowiło to ulubione zajęcie służących). Natychmiast zjawiły się damy dworu, witając ją serdecznie, uradowane widokiem nowej twarzy i złaknione wieści o królewskiej wyprawie przeciw smokom. Po dłuższych ceregielach w końcu wpuszczono ją do komnat księżniczki.

Podczas dwóch poprzednich wizyt Tenar musiała jakiś czas czekać w przedpokoju. Potem zakwefione służki wprowadzały ją do wewnętrznej komnaty, jedynego mrocznego pomieszczenia w jasnym pałacu. Tam, na środku, stała księżniczka w okrągłym kapeluszu, z którego opadał aż do ziemi czerwony woal. Wyglądała jak jeden ze sprzętów w komnacie, wmurowany, nieruchomy. Pani Iyesa nazwała ją ceglanym kominem i określenie to pasowało doskonale.

Tym razem wszystko potoczyło się inaczej. Gdy tylko Tenar znalazła się w przedpokoju, usłyszała dobiegający ze środka wrzask i tupot rozbiegających się ludzi. Księżniczka wypadła przez drzwi i z przeszywającym okrzykiem zarzuciła jej ramiona na szyję. Tenar była drobnej budowy, księżniczka wysoka, energiczna i silna, toteż zbiła ją z nóg i przytrzymała w mocnym uścisku.

– Och, pani Arho, pani Arho, ratuj mnie, ratuj! – krzyczała.

– Księżniczko, co się stało?

Księżniczka płakała, nie wiadomo – z ulgi czy ze strachu. Mówiła coś nieskładnie. Tenar zrozumiała jedynie coś o ofierze i smokach.

– W pobliżu Havnoru nie ma żadnych smoków – oświadczyła surowo, uwalniając się z objęć dziewczyny – i nikogo nie składamy w ofierze. O co chodzi? Co ci powiedziano?

– Kobiety mówiły, że przybywają smoki, a tutejsi ludzie zamiast kozy złożą w ofierze córkę króla, bo to przeklęci czarownicy. Boję się.

Księżniczka wytarła twarz. Zacisnęła pięści, próbując opanować panikę. Była to prawdziwa, niepohamowana groza. Tenar pożałowała dziewczyny, nie okazała tego jednak. Ta panna musiała nauczyć się panowania nad emocjami.

– Twoje kobiety nie są kształcone i nie znają hardyckiego dość, by zrozumieć, co mówią ludzie. A ty w ogóle nie mówisz po hardycku. Gdybyś mówiła, wiedziałabyś, że nie ma się czego bać. Czy widzisz, by tutejsi ludzie biegali po pałacu z płaczem i krzykiem?

Księżniczka spojrzała na nią. Nie miała na sobie kapelusza ani welonu, jedynie lekką przewiewną suknię, gdyż dzień był upalny. Tenar po raz pierwszy ujrzała coś więcej niż niewyraźną postać za czerwoną zasłoną. Choć oczy księżniczki napuchły od płaczu, a twarz pokrywały czerwone plamy, była wspaniała – płowowłosa i płowooka, o krągłych ramionach, pełnych piersiach i smukłej talii. Kobieta w pierwszym rozkwicie siły i urody.

– I nikt nie zostanie złożony w ofierze? – spytała w końcu.

– Nikt.

– Po co zatem przybywają smoki?

Tenar odetchnęła głęboko.

– Księżniczko, jest wiele spraw, o których powinnyśmy pomówić. Uważasz mnie za przyjaciółkę?

– Tak. – Księżniczka postąpiła krok naprzód i mocno chwyciła Tenar za ramię. – Jesteś moją przyjaciółką, nie mam innej. Przelałabym za ciebie mą krew.

Choć słowa te zabrzmiały śmiesznie, Tenar wiedziała, że są szczere. Postarała się jak najmocniej powtórzyć gest dziewczyny.

– Jesteś moją przyjaciółką. Podaj mi swe imię.

Oczy księżniczki rozszerzyły się gwałtownie. Na górnej wardze pozostał ślad łez, dolna zadrżała. W końcu dziewczyna odetchnęła głęboko.

– Seserakh.

– Seserakh, nie nazywam się Arha, ale Tenar.

– Tenar – powtórzyła dziewczyna, mocniej ściskając jej ramię.

– Mam za sobą długą przechadzkę – oznajmiła Tenar, próbując zapanować nad sytuacją – i jestem spragniona. Usiądźmy, proszę. Czy mogłabym dostać trochę wody? Potem porozmawiamy.

Księżniczka wybiegła z pokoju niczym polująca lwica. W wewnętrznych komnatach rozległy się krzyki i kolejne tupoty. Wkrótce zjawiła się służąca. Trzęsącymi się rękami poprawiała swój woal i mamrotała coś w tak niewyraźnym dialekcie, że Tenar nie zrozumiała ani słowa.

– Mów w przeklętym języku! – krzyknęła zza drzwi księżniczka.

– Usiąść? – spytała jękliwie kobieta w łamanym hardyckim. – Pić, pani?

Zaprowadziła Tenar do ciemnego, dusznego pokoju, gdzie ustawiono naprzeciw siebie dwa krzesła. Seserakh stała obok jednego z nich.

– Chętnie usiadłabym na dworze, w cieniu nad wodą – powiedziała Tenar. – Jeśli się zgodzisz, księżniczko.

Księżniczka krzyknęła, kobiety podbiegły i wyniosły krzesła na balkon. Tenar i Seserakh usiadły obok siebie.

– Tak lepiej. – Tenar westchnęła. Wciąż czuła się dziwnie, mówiąc po kargijsku. Nie sprawiało jej to żadnych trudności, ale nieustannie odnosiła wrażenie, że nie jest sobą, że to mówi ktoś inny, aktorka wcielająca się w cudzą rolę.

– Ty lubisz wodę? – spytała księżniczka. Jej twarz odzyskała normalną barwę śmietanki, oczy, już nie spuchnięte, miały barwę błękitnego złota czy może błękitu ze złotymi cętkami.

– Tak. A ty nie?

– Nienawidzę. Tam, gdzie żyłam, nie było wody.

– Na pustyni? Ja też mieszkałam na pustyni aż do szesnastego roku życia. Potem przepłynęłam morze i przybyłam na zachód. Kocham morze, wodę, rzeki.

– Och, morze! – Seserakh skuliła się, ukrywając głowę w dłoniach. – Jakże go nienawidzę. Nienawidzę. Myślałam, że zwymiotuję duszę. Bez chwili przerwy, raz po raz, całymi dniami. Nigdy więcej nie chcę oglądać morza. – Zerknęła między gałązkami

wierzby na cichy, płytki strumień w dole. – Tej rzeki się nie boję – dodała nieufnie.

Jedna z kobiet przyniosła tacę z dzbankiem i kubkami. Tenar pociągnęła długi łyk chłodnej wody.

– Księżniczko, mamy wiele do omówienia. Smoki wciąż przebywają daleko stąd na zachodzie. Król i moja córka wybrali się, by z nimi porozmawiać.

– Porozmawiać?

– Tak. – Zamierzała dodać coś więcej, jednak zmieniła temat. – A teraz proszę, opowiedz mi o smokach z Hur-at-Hur.

Gdy była dzieckiem na Atuanie, usłyszała, iż na Hur-at-Hur żyją smoki. Smoki w górach, rozbójnicy na pustyni. Hur-at-Hur była biedna i daleka. Nie pochodziło stamtąd nic dobrego oprócz opali, turkusów i drzewa cedrowego.

Seserakh westchnęła głęboko, do jej oczu napłynęły łzy.

– Myśli o domu sprawiają, że chce mi się płakać – wyjaśniła z tak szczerą prostotą, iż oczy Tenar także zwilgotniały. – Smoki żyją w górach, dwa, trzy dni drogi od Mesreth. Są tam tylko skały, nikt nie niepokoi smoków i one także nie niepokoją nikogo. Lecz raz w roku schodzą w dół, pełzną ścieżką. To gładka, pylista ścieżka wyżłobiona przez ich brzuchy, gdy tak wędrują co roku od początku czasu. Zwiemy ją Smoczą Drogą. – Widząc, iż Tenar słucha uważnie, księżniczka podjęła opowieść. – Przekroczenie Smoczej Drogi to tabu, nie wolno postawić na niej stopy, trzeba ją okrążyć na południe od Miejsca Ofiary. Zaczynają nią pełznąć późną wiosną. Czwartego dnia piątego miesiąca zjawiają się wszystkie w Miejscu Ofiary. Nigdy się nie spóźniają. A wszyscy mieszkańcy Mesreth i okolicznych wiosek czekają tam na nie. Potem zaś, gdy wszystkie zejdą ze Smoczej Drogi, kapłani zaczynają ofiarę. To... Na Atuanie nie składacie wiosennej ofiary?

Tenar pokręciła głową.

– No cóż, dlatego właśnie się przestraszyłam. Bo widzisz, czasem to może być ludzka ofiara. Jeśli czasy były złe, składali w ofierze córkę króla. W inne lata zwykłą dziewczynę, ale od bardzo dawna tego nie robili, odkąd byłam bardzo mała, a mój ojciec pokonał innych królów. Od tego czasu składali w ofierze kozę i owcę.

Chwytają krew do mis, tłuszcz ciskają w święty ogień i wzywają smoki. A smoki pełzną ku nim, piją krew i pożerają ogień. – Na moment zamknęła oczy, podobnie jak Tenar. – Potem wracają w góry, a my do siebie, do Mesreth.

– Jak duże są smoki?

Seserakh szeroko rozłożyła ręce.

– Czasem większe.

– I nie potrafią latać ani mówić?

– O nie. Nie mają skrzydeł, tylko kikuty. Wydają z siebie dziwny syk. Zwierzęta nie mówią, ale to święte zwierzęta, symbol życia, bo ogień to życie, a one jedzą ogień i wypluwają go z pysków. Są święte, bo przychodzą na wiosenną ofiarę. Nawet gdyby nie zjawił się żaden człowiek, smoki by przybyły i zgromadziły się w tamtym miejscu. Przychodzimy tam z powodu smoków; kapłani zawsze to powtarzają przed złożeniem ofiary.

Przez chwilę Tenar porządkowała w głowie zasłyszane fakty.

– Tu, na zachodzie – rzekła w końcu – smoki są duże, olbrzymie i umieją latać. To zwierzęta, a mimo to mówią. Są też święte i niebezpieczne.

– Cóż – zauważyła księżniczka – może smoki to tylko zwierzęta, ale bardziej nas przypominają niż przeklęci czarownicy.

Powiedziała to bez szczególnego nacisku. Tenar przypomniała sobie to określenie z dzieciństwa. Oznaczało ciemnych ludzi, hardyckich mieszkańców Archipelagu.

– Dlaczego?

– Bo smoki się odradzają! Jak wszystkie zwierzęta, jak my. – Seserakh spojrzała na Tenar ze szczerą ciekawością. – Sądziłam, że skoro byłaś kapłanką w najświętszym Miejscu Grobowców, wiesz o tym więcej ode mnie.

– Ale my nie mieliśmy tam smoków – odparła Tenar. – Nic o nich nie słyszałam. Proszę, przyjaciółko, opowiedz mi.

– Spróbuję opowiedzieć ci tę historię. To opowieść zimowa, ale tu chyba można powtórzyć ją w lecie. Tutaj wszystko jest inaczej. – Księżniczka westchnęła. – Na początku, no wiesz, u zarania dziejów, wszyscy byliśmy tacy sami, wszyscy ludzie i zwierzęta, i robiliśmy to samo. A potem nauczyliśmy się umierać i tym samym odradzać.

Czasem jako ta sama istota, czasem inna. Nie ma to znaczenia, bo tak czy inaczej znów się umiera i odradza. Wcześniej czy później każdy z nas jest wszystkim.

Tenar przytaknęła. Jak dotąd historia brzmiała znajomo.

– Najlepiej jednak odrodzić się jako człowiek albo smok, albowiem to istoty święte. Każdy zatem stara się nie łamać tabu, przestrzegać nakazów, by zwiększyć swe szanse ponownego stania się człowiekiem, a przynajmniej smokiem... Skoro tutejsze smoki umieją mówić i są wielkie, widzę, że może to być nagrodą. Stanie się jednym z naszych smoków nigdy nie wydawało mi się zbyt pociągające.

Historia opowiada o przeklętych czarownikach, którzy odkryli Vedurnan. Było to coś, nie wiem co, co powiedziało niektórym ludziom, że jeśli zgodzą się nigdy nie umrzeć i się nie odrodzić, mogą nauczyć się czarów. A oni to wybrali. Wybrali Vedurnan i odeszli wraz z nim na zachód. A on uczynił ich ciemnymi. Żyją tutaj. Wszyscy tutejsi ludzie to ci, którzy wybrali Vedurnan. Żyją, czynią przeklęte czary, ale nie mogą umrzeć. Tylko ich ciała umierają, reszta pozostaje w mrocznym miejscu i nigdy się nie odradza. Wyglądają jak ptaki, ale nie potrafią latać.

– Tak – szepnęła Tenar.

Pamiętała opowieść, którą Ogion usłyszał od kobiety z Kemay: na początku czasu ludzie i smoki byli tym samym. Lecz smoki wybrały wolność i dzikość, a ludzie bogactwa i władzę. Wybór, podział – czy to ta sama historia?

Ale w jej sercu krył się inny obraz. Ged przykucnięty w kamiennym pokoju. Mała czarna głowa, dziób...

– Vedurnan to nie pierścień, o którym wciąż gadają? Ten, który będę musiała założyć na rękę?

Tenar z wysiłkiem powróciła myślami z Malowanej Komnaty i pokoju z wczorajszego snu.

– Pierścień?

– Pierścień Urtakbego.

– Erreth-Akbego. Nie, to Pierścień Pokoju i założysz go, tylko jeśli i kiedy zostaniesz małżonką króla Lebannena. Aby się tak stało, musisz mieć wiele szczęścia.

Twarz Seserakh przybrała osobliwy wyraz – nie cyniczny bądź nadąsany, lecz pozbawiony nadziei, lekko rozbawiony, cierpliwy. Wyraz twarzy kobiety starszej o kilkadziesiąt lat.

– Nie ma w tym żadnego szczęścia, moja droga przyjaciółko Tenar – odparła. – Muszę go poślubić, a wówczas będę stracona.

– Czemu miałabyś być stracona, jeśli go poślubisz?

– Bo wtedy będę musiała zdradzić mu moje imię. Jeżeli je wymówi, ukradnie mi duszę. Tak robią przeklęci czarownicy. Dlatego zawsze ukrywają swe imiona. A jeżeli ukradnie mi duszę, nie będę mogła umrzeć. Będę musiała żyć wiecznie, bez ciała, jak ptak, który nie lata, i nigdy się nie odrodzę.

– Dlatego ukryłaś imię?

– Tobie je podałam, przyjaciółko.

– Doceniam ten dar, przyjaciółko – odparła żywo Tenar. – Ale tu możesz ujawnić swe imię każdemu, komu tylko zechcesz. Nie mogą ukraść ci duszy, wierz mi, Seserakh. Poza tym możesz mu zaufać, on... nie zrobi ci krzywdy.

Dziewczyna zauważyła jej wahanie.

– Ale chciałby – stwierdziła. – Tenar, przyjaciółko, wiem, kim tu jestem. W wielkim mieście Awabath, gdzie mieszka mój ojciec, byłam głupią, nieuczoną kobietą z pustyni, *feyagat*. Kobiety z miasta, dziewki o odsłoniętych twarzach, drwiły ze mnie i szturchały się łokciami na mój widok. A tu jest jeszcze gorzej. Nikogo nie rozumiem, a oni nie rozumieją mnie. I wszystko, wszystko jest zupełnie inne. Nie wiem nawet, co jem, to jedzenie czarowników sprawia, że kręci mi się w głowie. Nie wiem, jakie są tabu, nie ma tu kapłanów, których mogłabym spytać. Tylko przeklęte czarownice, czarne, bez zasłon. I widzę, jak na mnie patrzą. Przez *feyag* wszystko widać. Widziałam jego twarz, jest bardzo piękny, wygląda jak wojownik. Ale to czarny czarownik i nienawidzi mnie. Nie mów, że to nieprawda, bo wiem, że tak jest. I myślę, że gdy pozna me imię, na zawsze pośle mą duszę w mrok.

Po dłuższej chwili, patrząc na kołyszące się gałęzie wierzb nad leniwie płynącą wodą, czując smutek i znużenie, Tenar powiedziała:

– Zatem, księżniczko, musisz nauczyć się, jak sprawić, by cię polubił. Co innego ci pozostało?

Seserakh żałośnie wzruszyła ramionami.

– Byłoby lepiej, gdybyś rozumiała, co mówi – dodała Tenar.

– Bagaba, bagaba. Wszyscy tylko bełkoczą.

– A nasze słowa brzmią dla nich jak bełkot. Daj spokój, księżniczko, jak on może cię polubić, jeśli potrafisz mu powiedzieć tylko bagaba, bagaba? Spójrz. – Wskazała swą dłoń i wymówiła słowo, najpierw po kargijsku, potem po hardycku.

Seserakh posłusznie powtórzyła oba słowa. Poznawszy nazwy jeszcze kilku części ciała, nagle dostrzegła potencjał, jaki kryje w sobie znajomość obcego języka. Wyprostowała się.

– Jak czarnownicy mówią „król”?

– *Agni.* To słowo w Dawnej Mowie. Nauczył mnie go mąż.

Mówiąc to, uświadomiła sobie, że niemądrze robi, wprowadzając w tym momencie jeszcze jeden język. Lecz nie to przyciągnęło uwagę księżniczki.

– Masz męża? – Seserakh spojrzała na nią lwimi, lśniącymi oczami i roześmiała się w głos. – Och, jak cudownie! Myślałam, że jesteś kapłanką. Proszę, przyjaciółko, opowiedz mi o nim. Czy to wojownik, czy jest przystojny, kochasz go?

***

Gdy król wyruszył na spotkanie ze smokami, Olcha nie miał pojęcia, co ze sobą począć. Czuł się niepotrzebny, miał wrażenie, że jest pasożytem, bo tylko siedzi w pałacu i spożywa królewskie jedzenie. Dręczyły go wyrzuty sumienia z powodu kłopotów, które ze sobą przywiózł. Nie mógł cały dzień siedzieć w komnacie, toteż wędrował ulicami, lecz bogactwa miasta i krążące wokół tłumy go onieśmielały. A że nie miał pieniędzy ani celu, mógł jedynie spacerować, póki nie poczuł znużenia. Wracał do Pałacu Mahariona, zastanawiając się, czy surowi strażnicy wpuszczą go z powrotem. Najlepiej czuł się w pałacowych ogrodach. Miał nadzieję, że znów spotka tam Rody’ego, lecz chłopiec już się nie pojawił. Może i dobrze. Olcha uważał, że nie powinien rozmawiać z ludźmi. Ręce,

które sięgały ku niemu z krainy śmierci, ich także mogłyby pochwycić.

Trzeciego dnia po wyjeździe króla wybrał się na spacer wśród stawów. Dzień był bardzo gorący, wieczór duszny i upalny. Olcha wziął ze sobą Żurawia, by kociak mógł polować na owady pod krzakami. Sam usiadł na ławce obok rozłożystej wierzby i obserwował tłuste srebrzystozielone karpie. Czuł się samotny i zniechęcony. Miał wrażenie, że jego ochrona przed głosami i sięgającymi ku niemu rękami słabnie. Po co właściwie tu siedział? Czemu nie miałby raz jeszcze pogrążyć się we śnie, już na zawsze zejść ze wzgórza, skończyć z tym wszystkim? Nikt na świecie by go nie opłakiwał, a jego śmierć oszczędziłaby innym choroby, którą ze sobą przyniósł. Z pewnością mieli dość na głowie, walcząc ze smokami. Może gdyby tam zszedł, znów spotkałby Lilię...

Tak, ale po śmierci nie mogliby się dotknąć. Magowie twierdzili, że nawet by tego nie chciał, że umarli zapominają, co to znaczy żyć. Ale przecież Lilia sięgnęła ku niemu. Może z początku, przez jakiś czas, pamiętają jeszcze coś z życia? Dość, by szukać się nawzajem, spotykać, nawet jeśli nie mogą się już dotknąć?

– Olcho...

Powoli uniósł wzrok i ujrzał stojącą obok niską siwą kobietę, Tenar. Dostrzegł troskę na jej twarzy i przypomniał sobie, iż jej córka, poparzona dziewczyna, odjechała z królem. Może dotarły do niej złe wieści, może wszyscy nie żyją.

– Jesteś chory, Olcho? – spytała.

Pokręcił głową. Rozmowy przychodziły mu z trudem. Teraz rozumiał już, jak łatwo byłoby w tamtej krainie w ogóle nie mówić, nie patrzeć ludziom w oczy, niczym się nie przejmować.

Usiadła na ławce obok niego.

– Wyglądasz, jakby coś cię trapiło.

Machnął lekceważąco ręką – wszystko w porządku, nieważne.

– Byłeś na Goncie, u mojego męża Krogulca. Jak on się miewa? Uważa na siebie?

– Tak – mruknął Olcha. Spróbował odpowiedzieć pełniej: – Był najmilszym gospodarzem.

– Cieszy mnie to. Trochę się o niego martwię. Potrafi prowadzić dom równie dobrze jak ja, ale nie lubię zostawiać go samego... Proszę, opowiedz, co robił, gdy u nas byłeś.

Olcha odparł, że Krogulec zebrał śliwki i sprzedał je, że obaj naprawili ogrodzenie, że Krogulec pomógł mu spać.

Tenar słuchała uważnie, z powagą, jakby wszystkie te drobnostki miały równie wielkie znaczenie jak niezwykłe wydarzenia, o których rozmawiali w tym samym miejscu trzy dni wcześniej – umarli wzywający żywego do swej krainy, dziewczyna zmieniająca się w smoka, smoki podpalające wyspy zachodu.

I w istocie nie wiedział, co w ostatecznym rozrachunku liczy się bardziej – wielkie, doniosłe wydarzenia czy te drobne, codzienne.

– Chciałabym móc już wrócić do domu. – Tenar westchnęła.

– Chciałbym móc powiedzieć to samo, ale na próżno. Myślę, że już nigdy nie wrócę do domu. – Nie miał pojęcia, czemu tak to wyraził, ale usłyszał własne słowa i zrozumiał, że są prawdziwe.

Przez chwilę przyglądała mu się spokojnymi szarymi oczami, nie zadając pytań.

– Chciałabym móc marzyć o tym, że wróci ze mną córka – rzekła w końcu – ale to także próżne marzenie. Wiem, że ona musi iść dalej. Nie wiem tylko dokąd.

– Zdradzisz mi, jaki ma dar, kim jest, co sprawiło, że król ją wezwał i zabrał ze sobą na spotkanie smoków?

– Och, gdybym wiedziała, kim jest, powiedziałabym ci. – Twarz Tenar była pełna smutku, miłości i goryczy. – Nie jest moją rodzoną córką. Zapewne zgadłeś albo już to usłyszałeś. Trafiła do mnie w dzieciństwie, ocalona z ognia... Gdy Krogulec do mnie powrócił, stała się także jego córką i uratowała nas oboje od okrutnej śmierci, wzywając smoka Kalessina, zwanego Najstarszym, a ów smok nazwał ją swą córką. Jest zatem dzieckiem wielu i nikogo. Nie oszczędzono jej bólu, lecz ocalała z ognia. Może nigdy się nie dowiem, kim jest naprawdę. Chciałabym jednak, by w tej chwili siedziała tu, obok mnie, bezpieczna!

Pragnął ją pocieszyć, lecz nie znalazł pociechy w sercu.

– Opowiedz mi o swojej żonie, Olcho – poprosiła.

– Nie mogę – rzekł w końcu w ciszy, która tak łatwo zapadała między nimi. – Gdybym mógł, zrobiłbym to, pani Tenar. Przygniata mnie wielkie brzemię. Dziś ciąży mi strach, zgroza. Staram się myśleć o Lilii, ale widzę tylko ciemną pustynię ciągnącą się w dół, bez końca. Jej tam nie dostrzegam. Wszystkie wspomnienia, które były dla mnie niczym oddech i woda, trafiły do owej suchej krainy. Nic już nie pozostało.

– Przykro mi – szepnęła.

Długi czas siedzieli w milczeniu. Cienie stawały się coraz głębsze, było duszno, bardzo ciepło. Światła pałacu przeświecały przez rzeźbione okiennice i nieruchomą kaskadę wierzbowych witek.

– Coś się dzieje – oznajmiła Tenar. – Wielka zmiana dotyka świata. Może nie pozostanie nam nic, co znamy.

Olcha uniósł wzrok, spoglądając w ciemniejące niebo. Wyraźnie widział wieże pałacu; biały marmur i alabaster chwytały i odbijały resztki światła z zachodu. Poszukał wzrokiem ostrza miecza na szczycie najwyższej wieży i ujrzał je, słaby srebrzysty błysk.

– Spójrz – rzekł.

Na samym czubku, niczym diament, zalśniła gwiazda. Na ich oczach gwiazda oderwała się od miecza i wzniosła w górę.

Gdzieś w dali usłyszeli podniesione głosy, tupot nóg. Potem dźwięk rogu, ostry rozkazujący okrzyk.

– Wrócili. – Tenar wstała.

Jakby zarażony podnieceniem, Olcha także podniósł się z ławki. Tenar pospieszyła do pałacu, z którego okien widać było port. Nim jednak Olcha przywołał Żurawia, raz jeszcze spojrzał na miecz, teraz lśniący słabym blaskiem, i jaśniejącą w górze gwiazdę.

***

„Delfin” wpłynął do bezpiecznej zatoki gnany magicznymi podmuchami. Pochylał się naprzód, jego żagle wydymały się gwałtownie. Nikt w pałacu nie oczekiwał tak szybkiego powrotu króla, lecz gdy władca się zjawił, wszystko czekało w należytym

porządku. Na nabrzeżu natychmiast zaroiło się od dworzan, żołnierzy niepełniących akurat służby i mieszkańców miasta gotowych powitać monarchę. Pieśniarze i harfiarze czekali, by wysłuchać, jak walczył i pokonał smoki, i ułożyć o tym ballady.

Zawiedli się jednak. Król wraz ze swym orszakiem skierował się wprost do pałacu, a żołnierze i marynarze ze statku powtarzali tylko: Pojechali do kraju nad plażą Onneva i po dwóch dniach wrócili. Czarnoksiężnik przysłał nam ptaka z wiadomością, bo już zdążyliśmy dopłynąć do ujścia zatoki, przecież zamierzaliśmy spotkać się z nimi w Porcie Południowym. Wróciliśmy, a oni czekali u ujścia rzeki, cali i zdrowi. Lecz nad południowymi Faliernami widzieliśmy dym płonących lasów.

Tenar znalazła się wśród tłumów na nabrzeżu i Tehanu podbiegła wprost do niej. Uścisnęły się mocno. Gdy ruszyły naprzód ulicami pośród świateł i radosnych głosów, Tenar pomyślała: Wszystko się zmieniło. Ona się zmieniła. Już nigdy nie wróci do domu.

Lebannen szedł wśród swoich gwardzistów. Pełen napięcia i energii, wydawał się wyniosły, władczy, promienny.

– Erreth-Akbe! – wołali ludzie na jego widok. A także: – Syn Morreda!

Na stopniach pałacu odwrócił się ku nim. Jeśli chciał, potrafił mówić bardzo głośno, i teraz głos jego zadźwięczał wyraźnie, uciszając zamęt.

– Ludu Havnoru, posłuchaj. Kobieta z Gontu rozmawiała w naszym imieniu z wodzem smoków. Zawarliśmy rozejm. Jeden z nich do nas przybędzie. Smok przyleci tu, do miasta Havnor, do Pałacu Mahariona, nie niszczyć, lecz rozmawiać. Nadszedł czas, gdy ludzie i smoki muszą spotkać się i pomówić. Powiadam wam zatem, gdy zjawi się smok, nie lękajcie się go, nie walczcie z nim, nie uciekajcie, lecz powitajcie go przyjaźnie. Powitajcie niczym wielkiego pana, który przybywa z daleka w pokoju. I nie bójcie się, chroni nas bowiem miecz Erreth-Akbego, Pierścień Elfarran i imię Morreda. Na me własne imię przysięgam, że póki żyję, bronić będę tego miasta i tego królestwa.

Wszyscy słuchali, wstrzymując oddech. Potem rozległy się okrzyki i wiwaty. Lebannen zawrócił i zniknął w bramie pałacu.

– Pomyślałem, że lepiej będzie ich uprzedzić – dodał swym zwykłym cichym głosem, zwracając się do Tehanu, która przytaknęła. Mówił do niej niczym do równej sobie, a ona tak się zachowywała. Dostrzegła to Tenar i dworzanie.

Lebannen polecił, by o czwartej godzinie poranka zebrała się cała jego rada, i wszyscy się rozeszli. Zatrzymał przy sobie jeszcze chwilę Tenar, choć Tehanu już odeszła.

– To ona nas chroni – powiedział.

– Sama?

– Nie bój się o nią. To córka smoka, siostra smoka. Podąża tam, gdzie my nie możemy dotrzeć. Nie bój się o nią, Tenar.

Skłoniła głowę, przyjmując jego słowa.

– Dziękuję, że przyprowadziłeś ją do mnie bezpieczną. Przynajmniej na jakiś czas.

Stali na korytarzu wiodącym do zachodnich komnat pałacu. Tenar uniosła głowę i spojrzała na króla.

– Rozmawiałam o smokach z księżniczką.

– Z księżniczką – powtórzył martwym głosem.

– Ma imię. Nie mogę ci go zdradzić, bo uważa, że mógłbyś z niego skorzystać i zniszczyć jej duszę.

Skrzywił się.

– Na Hur-at-Hur żyją smoki – ciągnęła dalej. – Małe i bezskrzydłe, nie potrafią też mówić. Są jednak święte, stanowią święty symbol, obietnicę śmierci i ponownych narodzin. Przypomniała mi, że nasz lud po śmierci nie idzie tam gdzie wasz. Nie do Suchej Krainy, o której mówił Olcha. My trafiamy gdzie indziej. Księżniczka, ja i smoki.

Twarz Lebannena zmieniła wyraz. Czujna rezerwa zniknęła, zastąpiona wyraźnym skupieniem.

– Pytania Geda do Tehanu – rzekł, zniżając głos. – Czy to są odpowiedzi?

– Wiem tylko tyle, ile powiedziała mi księżniczka. Czy raczej przypomniała. Dziś wieczór pomówię o tym z Tehanu.

Król zmarszczył brwi, potem jego twarz pojaśniała. Pochylił się i ucałował Tenar w policzek, życząc jej dobrej nocy. Odszedł, a ona

odprowadziła go wzrokiem. Poruszał jej serce, oszałamiał. Nie była jednak ślepa. Wciąż boi się księżniczki, pomyślała.

***

Sala tronowa była najstarszym pomieszczeniem w Pałacu Mahariona. Kiedyś mieścił się w niej dwór Gemala z Morza Zrodzonego, księcia z Ilien, który został królem w Havnorze i z którego rodu wywodzili się królowa Heru i jej syn Maharion. *Pieśń Havnorska* mówi:

Stu wojowników, kobiet sto zasiadło w dworze Gemala,
u królewskiego stołu do rozmów.
Godna i zacna szlachta z Havnoru,
świat nie zna śmielszych wojów ni piękniejszych niewiast.

Wokół tego właśnie dworu w ciągu stulecia potomkowie Gemala wznieśli jeszcze większy pałac. W końcu Heru i Maharion zbudowali Wieżę Alabastrową, Wieżę Królowej, Wieżę Miecza.

Wieże te wciąż stały. Od śmierci Mahariona minęło kilkaset lat, lecz ludzie z Havnoru z uporem nazywali budowlę Nowym Pałacem, choć leżała w ruinie. Gdy Lebannen wstąpił na tron, odbudował pałac i bogato wyposażył. Kupcy z Wysp Wewnętrznych, zdjęci radością, gdyż władza królewska gwarantowała prawa chroniące handel, wyznaczyli duże opłaty i dodatkowo ofiarowali mu pieniądze na podobne przedsięwzięcia. Przez pierwszych kilka lat jego panowania nie uskarżali się nawet na podatki, nie krzyczeli, że ich dzieci zostaną żebrakami. Lebannen zdołał zatem odnowić Nowy Pałac i sprawić, iż ponownie stał się godny i wspaniały. Salę tronową jednak, gdy wymieniono już belki sufitu, wzmocniono kamienne mury i wstawiono nowe szyby do wysokich, wąskich okien, pozostawił taką, jaka była, mroczną i surową.

Przez czas krótkiego panowania Fałszywych Dynastii i przez Mroczne Lata tyranów, uzurpatorów i władców piratów, wśród burz ludzkich ambicji tron królestwa stał niezmiennie na końcu długiej sali, na zwykłym podwyższeniu. Drewniane krzesło o wysokim

oparciu, niegdyś pokryte złotem, jednakże drogocenny metal dawno już zniknął. Małe złote gwoździki pozostawiły otwory w drewnie w miejscach, z których je wyrwano. Jedwabne poduszki i baldachimy zostały skradzione bądź zniszczone przez mole, myszy i pleśń. Nic nie wskazywało na rangę tego krzesła oprócz miejsca, w którym stało, i niewyraźnej rzeźby na oparciu – czapli w locie niosącej w dziobie gałąź jarzębiny. Było to godło rodu Enladów.

Królowie z owego rodu przybyli z Enladu do Havnoru osiemset lat temu. Ludzie mawiali, że tam, gdzie stoi Stolec Morreda, wciąż trwa królestwo.

Lebannen kazał oczyścić tron, wymienić spróchniałe fragmenty, naoliwić i wygładzić drewno tak, że lśniło niczym ciemny aksamit. Poza tym jednak pozostawił go nietknięty, niepomalowany, niezłocony, nagi. Niektórzy bogacze odwiedzający wspaniale urządzony pałac narzekali na salę tronową i tron. Sala jak wnętrze stodoły, mawiali. To Stolec Morreda czy stare chłopskie krzesło?

Jedni twierdzili, iż król odpowiadał na to: „Czymże jest królestwo bez stodół, które karmią ludzi, i bez zbierających ziarno chłopów?" albo: „Czy moje królestwo to złocona błyskotka, miękkość aksamitu, czy też stoi mocno dzięki sile kamienia i drewna?". Inni – że nic nie odpowiedział poza tym, iż tron podoba mu się taki, jaki jest. A ponieważ na twardym krześle sadzał jedynie swe królewskie pośladki, krytycy nie mieli w tej materii nic więcej do powiedzenia.

Tę właśnie surową salę o wysokim, belkowanym suficie w chłodny letni poranek spowity gęstą mgłą wypełniła rada królewska: dziewięćdziesiąt jeden osób, mężczyzn i kobiet (gdyby wszyscy tu przybyli, zebrałaby się setka). Król wybrał ich osobiście. Niektórzy reprezentowali wielkie rody książęce i szlacheckie z Wysp Wewnętrznych, zaprzysiężonych wasali korony. Inni przemawiali w imieniu pozostałych wysp i części Archipelagu. Jeszcze innych król uznał za mądrych i godnych zaufania doradców. Byli to kupcy, marynarze i właściciele faktorii z Havnoru i innych wielkich portów wokół Morza Ea i Morza Najgłębszego, poruszający się ze świadomą powagą i odziani we wspaniałe ciemne szaty z ciężkiego jedwabiu, a także mistrzowie rzemieślniczych cechów, zręczni i przebiegli negocjatorzy, spomiędzy których wyróżniała się jasnooka, waleczna

kobieta, przywódczyni górników z Osskil. Byli wśród nich również magowie z Roke, tacy jak Onyks, mężczyźni w szarych płaszczach, trzymający w dłoniach wysokie laski, oraz czarnoksiężnik palneński, mistrz Seppel, który nie nosił laski i którego ludzie omijali zwykle szerokim łukiem, choć zachowywał się spokojnie i uprzejmie. Były też szlachcianki, młode i stare, pochodzące z najróżniejszych krain i lenn królestwa, odziane w jedwabie z Lorbanery i perły z Wysp Piasku, a także dwie wyspiarki, solidne, stateczne niewiasty, jedna z Iffish, a druga z Korp, przemawiające w imieniu mieszkańców Rubieży Wschodnich. Byli też poeci, mędrcy ze starych uczelni Ea i Enladów, kilku dowódców żołnierzy i kapitanów statków królewskich.

Wszystkich tych członków rady król wybrał sam. Po dwóch, trzech latach prosił, by pozostali, bądź też odsyłał ich z podziękowaniami i honorami, i zastępował kim innym. Omawiał z nimi wszelkie prawa i podatki, sprawy, które rozsądzał w imieniu korony. Wysłuchiwał ich rad, a potem przeprowadzał głosowanie. Dopiero gdy uzyskał zgodę większości, wprowadzał decyzje w życie. Niektórzy twierdzili, iż rada składa się jedynie z królewskich pochlebców i marionetek, i może tak było w istocie. Zwykle jeśli się uparł, stawiał na swoim. Często jednak nie wyrażał własnej opinii, pozwalając, by członkowie rady podjęli decyzję. Wielu doradców przekonało się, że jeśli dysponują dostateczną ilością faktów popierających sprzeciw i potrafią dobrze argumentować, udaje im się przekonać innych, a nawet króla. Często zatem wybuchały gorące debaty, tak w częściach rady specjalizujących się w różnych problemach, jak i na walnych zgromadzeniach. Zdarzało się, iż doradcy sprzeciwili się królowi i go przegłosowali. Lebannen był dobrym dyplomatą, lecz nie pasjonował się polityką.

Przekonał się, iż rada dobrze mu służy. Dysponujący władzą ludzie z królestwa wkrótce zaczęli ją szanować. Zwykli ludzie nie zwracali uwagi na radę. Wszystkie ich nadzieje i uwaga skupiały się wokół osoby władcy. Po Archipelagu krążyły tysiące pieśni i ballad o synu Morreda, księciu, który powrócił na grzbiecie smoka z krainy umarłych u brzegu dnia, bohaterze spod Sorry, władcy miecza Serriadha, Jarzębinie, Wyniosłym Jesionie z Enladu, ukochanym królu

rządzącym Znakiem Pokoju. Trudno jednak układać pieśni o doradcach kłócących się o podatki i cła.

Teraz zatem ludzie ci, których pomijały pieśni, zajęli miejsca na wyścielanych ławach przed twardym tronem. Gdy zjawił się król, znów powstali. Wraz z nim przybyła Kobieta z Gontu – większość z nich widziała ją już, toteż jej wygląd nie wywołał poruszenia – oraz niewysoki mężczyzna w brązie i czerniach.

– Wygląda jak wioskowy czarownik – zauważył kupiec z Kamery, zwracając się do szkutnika z Way.

– Bez wątpienia – odparł tamten z czułością i rezygnacją. Wielu członków rady kochało, a przynajmniej lubiło króla. Ostatecznie to on dał im władzę i nawet jeśli nie czuli się zobowiązani okazywać mu wdzięczności, szanowali jego osąd.

Do sali wbiegła spóźniona starsza władczyni z Ebea i książę Sege kierujący obradami polecił doradcom zająć miejsca. Wszyscy usiedli.

– Wysłuchajcie króla – zaczął Sege. I wysłuchali.

Opowiedział im – dla wielu były to pierwsze wieści w tej materii – o ataku smoków na zachodni Havnor i o tym, jak wyruszył w drogę z Kobietą z Gontu, Tehanu, by z nimi pertraktować.

Utrzymywał doradców w napięciu, opowiadając o wcześniejszych atakach smoków na wyspy zachodu. Powtórzył też krótko historię Onyksa o dziewczynie, która na Pagórku Roke zamieniła się w smoka. Przypomniał, iż Tehanu uznawana jest za córkę przez Tenar od Pierścienia, niegdysiejszego Arcymaga z Roke i smoka Kalessina, który na grzbiecie przyniósł króla z Selidoru.

W końcu powtórzył, co się zdarzyło na przełęczy w górach Faliern trzy dni temu o świcie.

Zakończył, mówiąc:

– Smok ów zaniósł wiadomość od Tehanu do Orm Irian na Palnie. Czeka ją daleki lot, ponad trzysta mil. Lecz smoki szybsze są niźli statek, nawet ten niesiony magicznym wiatrem. W każdej chwili możemy spodziewać się przybycia Orm Irian.

Książę Sege odezwał się pierwszy. Zadał pytanie, wiedząc, że król będzie mu rad.

– Co chcesz zyskać, panie, pertraktując ze smokiem?

Odpowiedź padła natychmiast.

– Więcej, niż moglibyśmy zyskać, próbując z nim walczyć. Trudno mi to przyznać, taka jednak jest prawda. Gdyby te potężne stworzenia zechciały nas zaatakować, nie dysponujemy żadną obroną przed ich gniewem. Mędrcy powiadają, że być może, jedna wyspa zdołałaby się im oprzeć. Roke. A na Roke, być może, pozostał jeden człowiek, który potrafiłby stawić czoło gniewowi smoka i nie zginąć. Musimy zatem odkryć przyczynę tego gniewu i usunąć ją, aby zawrzeć z nimi pokój.

– To przecież zwierzęta – zauważył stary władca Felkway. – Ludzie nie mogą rozmawiać ze zwierzętami, zawierać z nimi pokoju.

– Czyż nie mamy miecza Erreth-Akbego, który zabił wielkiego smoka?! – wykrzyknął młody członek rady.

Natychmiast odpowiedział mu ktoś inny.

– A kto zabił Erreth-Akbego?

Debaty rady bywały zwykle hałaśliwe, choć książę Sege utrzymywał ścisły porządek, nie pozwalając, by doradcy przerywali sobie nawzajem lub przemawiali dłużej niż dwie minuty odmierzane przez klepsydrę. Gadułów uciszał uderzeniem okutej srebrem laski, po czym wzywał do głosu następnego mówcę. Rozmawiali i krzyczeli zatem, wymieniając szybkie uwagi. Mówili wszystko, co trzeba i czego nie trzeba, powtarzali kolejno argumenty, zbijali je i wzmacniali. Większość upierała się, iż należy ogłosić wojnę, podjąć walkę ze smokami i pokonać je.

– Oddział łuczników na jednym z okrętów wojennych wystrzelałby je jak kaczki! – wykrzyknął gorącokrwisty kupiec z Wathortu.

– Czyż mamy poniżać się przed bezrozumnymi zwierzętami? Czyż nie ma już wśród nas bohaterów? – spytała z pogardą wyniosła pani z O-Tokne.

Słysząc to, Onyks odparł ostro:

– Bezrozumne? Władają przecież Mową Tworzenia, na której znajomości opiera się nasza sztuka i moc. Są zwierzętami, tak jak my nimi jesteśmy. Ludzie to zwierzęta, które mówią.

Na to odezwał się, stary, doświadczony kapitan statku:

– Czy zatem to nie wy, magowie, powinniście z nimi rozmawiać? Znacie przecież ich mowę i może dysponujecie podobną mocą. Król opowiadał o młodej nieuczonej dziewczynie, która zamieniła się

w smoka. Magowie jednak potrafią to zrobić w każdej chwili. Czyż zatem mistrzowie z Roke nie mogliby pomówić ze smokami i w razie potrzeby podjąć z nimi walki jak równy z równym?

Czarnoksiężnik z Palnu podniósł się z miejsca. Był niskim mężczyzną o cichym głosie.

– Przybrać czyjąś postać, kapitanie, oznacza stać się tą istotą – rzekł uprzejmie. – Mag może upodobnić się do smoka, lecz prawdziwa przemiana to ryzykowna sztuka, zwłaszcza teraz. Mała zmiana pośród wielkich to tchnienie wobec huraganu. Jest wśród nas ktoś, kto nie potrzebuje korzystać z naszych sztuk, a jednak potrafi lepiej przemówić w naszym imieniu do smoków niż ktokolwiek inny. Jeśli zechce to uczynić.

Tehanu wstała ze swej ławki u stóp tronu.

– Zechcę – oznajmiła i usiadła.

To sprawiło, że dyskusja na moment zamarła. Wkrótce wybuchła ze zdwojoną siłą.

Król słuchał, nie odzywając się ani słowem. Chciał poznać zdanie swych poddanych.

Na Wieży Miecza srebrne trąby czterokrotnie odegrały fanfarę, zwiastując nadejście godziny szóstej, południa. Król wstał i książę Sege ogłosił przerwę do pierwszej godziny popołudniowej.

W komnacie w Wieży Królowej Heru przygotowano lekki posiłek złożony z sera, warzyw i letnich owoców. Lebannen zaprosił tam Tehanu i Tenar, Olchę, księcia Sege i Onyksa, który, za pozwoleniem króla, przyprowadził ze sobą palneńskiego czarnoksiężnika Seppela. Razem zasiedli do posiłku, rozmawiając lekko, swobodnie. Okna komnaty wyglądały na port i północny brzeg zatoki niknący w błękitnej mgiełce – pozostałości porannej mgły, a może dymu z pożarów lasów na zachodzie wyspy.

Olcha wciąż czuł oszołomienie. Czemu znalazł się wśród najbliższych króla i trafił do sali rady? Co on ma wspólnego ze smokami? Nie potrafił z nimi walczyć ani rozmawiać. Nawet sobie ich nie wyobrażał. Chwilami przechwałki i wyzwania rzucane przez członków rady przypominały mu ujadanie psów. Widział kiedyś na plaży szczeniaka oszczekującego ocean, atakującego fale rozbijające

się na piasku, a potem uciekającego przed nimi z podkulonym mokrym ogonem.

Cieszył się jednak, że może być z Tenar. Przy niej był spokojny. Lubił ją za uprzejmość i odwagę. Odkrył także, iż dobrze się czuje w obecności Tehanu.

Okaleczenie sprawiało, iż wydawała się mieć dwie twarze. Nie widział ich obu jednocześnie, zawsze jedną albo drugą. Przywykł do tego. Twarz jego matki w połowie przesłaniało ciemnoczerwone znamię. Tehanu mu ją przypominała.

Wydawała się dziś mniej niespokojna niż przedtem. Siedziała cicho. Kilka razy odezwała się do siedzącego obok Olchy nieśmiało, przyjaźnie. Miał wrażenie, że podobnie jak on nie znalazła się tu z własnego wyboru. Musiała podążać drogą, której nie pojmuje. Może ich drogi się zbiegały, przynajmniej na jakiś czas. Pomysł ten dodał mu odwagi. Wiedział, że coś musi zrobić, że już to zaczął i musi skończyć, i uznał, iż cokolwiek to jest, lepiej załatwić to z nią niż bez niej. Może ją także pchnęła ku niemu ta sama samotność. Lecz w rozmowie nie poruszali równie poważnych tematów.

– Mój ojciec dał ci kociaka – rzekła, gdy wstali od stołu. – To jedno z kociąt cioteczki Mech?

Przytaknął.

– Szare?

– Tak.

– Najlepsze z całego miotu.

– Zaczyna mi tu tyć, mała kicia.

Tehanu zawahała się, po czym powiedziała nieśmiało:

– Myślę, że to on, nie ona.

Olcha odkrył, że się uśmiecha.

– Dobry z niego kompan. Pewien marynarz nazwał go Żuraw.

– Żuraw – powtórzyła z uśmiechem.

– Tehanu – zagadnął król. Usiadł obok Tenar na ławie przy oknie. – Nie wezwałem cię dziś na obrady, by rozmawiać o pytaniach, które zadał ci pan Krogulec. Nie była to dobra pora. A teraz?

Olcha obserwował ją. Nim odpowiedziała, zastanowiła się chwilę. Zerknęła przelotnie na matkę, która nie zareagowała.

– Wolę porozmawiać tutaj – odparła w końcu Tehanu swym ochrypłym głosem. – Z tobą i może z księżniczką z Hur-at-Hur.

– Mam po nią posłać? – spytał uprzejmie król po chwili ciszy.

– Nie, mogę do niej pójść później. Tak naprawdę nie mam zbyt wiele do powiedzenia. Mój ojciec spytał: Kto udaje się po śmierci do Suchej Krainy? Rozmawiałyśmy o tym z matką i pomyślałyśmy: Ludzie tam idą, ale zwierzęta? Czy latają tam ptaki, czy rosną drzewa, trawa? Olcho, widziałeś tę krainę.

– Tam... – odparł, kompletnie zaskoczony – jest tam trawa, po mojej stronie muru, ale wydaje się martwa. A dalej? Nie wiem.

Tehanu spojrzała na króla.

– Przeszedłeś tę krainę, panie.

– Nie widziałem żadnych zwierząt, ptaków, nic żywego.

– Pan Krogulec rzekł: kamień, pył – wtrącił Olcha.

– Myślę, że po śmierci nie trafiają tam żadne istoty oprócz ludzi – oznajmiła Tehanu. – Ale nie wszystkich. – Znów spojrzała na matkę i tym razem nie odwróciła wzroku.

– Kargowie są jak zwierzęta – odezwała się Tenar. Jej głos nie zdradzał żadnych uczuć. – Umierają, by znów się odrodzić.

– To przesąd – rzekł Onyks. – Wybacz, pani, ale ty sama... – zawiesił głos.

– Nie wierzę już – odparła Tenar – że jestem bądź byłam, jak twierdzili, Arhą, Odradzającą się Wiecznie, jedyną duszą powracającą bez końca i nieśmiertelną. Wierzę jednak, że kiedy umrę, podobnie jak każdy śmiertelnik dołączę do wielkiej istoty świata. Tak jak trawa, drzewa, zwierzęta. Ludzie to jedyne zwierzęta, które mówią, sam powiedziałeś to, panie, dziś rano.

– Ale my władamy Mową Tworzenia – zaprotestował mag. – Poznając słowa, dzięki którym Segoy stworzył świat, Mowę Życia, uczymy nasze dusze, jak pokonać śmierć.

– Ta kraina, gdzie istnieje jedynie pył i cienie. Czy to wasze zwycięstwo? – Jej głos nie brzmiał już beznamiętnie, oczy błysnęły.

Zdjęty oburzeniem Onyks nie potrafił odpowiedzieć.

W tym momencie zainterweniował król.

– Pan Krogulec zadał jeszcze drugie pytanie – przypomniał. – Czy smok może pokonać kamienny mur?

– Odpowiedź mieści się w pierwszej – odparła Tehanu – skoro smoki to jedynie zwierzęta, które mówią, a zwierzęta tam nie trafiają. Czy mag kiedykolwiek widział tam smoka albo ty, panie? – Spojrzała najpierw na Onyksa, potem na Lebannena.

Onyks zastanawiał się chwilkę.

– Nie – odrzekł.

Król sprawiał wrażenie zdumionego.

– Dlaczego sam nigdy o tym nie pomyślałem? Nie, nie widzieliśmy tam żadnego. Myślę, że nie ma tam smoków.

– Panie! – Olcha odezwał się głośniej niż kiedykolwiek wcześniej w pałacu. – Smok jest tutaj.

Stał przy oknie; wskazał ręką.

Wszyscy się odwrócili. Na niebie nad Zatoką Havnorską ujrzeli nadlatującego z zachodu smoka. Jego długie, wąskie skrzydła poruszały się wolno, połyskując złocistoczerwonym blaskiem. W zasnutym leciutką mgiełką letnim powietrzu zostawiał za sobą niewyraźny ślad dymu.

– W jakiejż komnacie przyjmę takiego gościa? – mruknął król.

Mówił z rozbawieniem i zachwytem, gdy jednak ujrzał, jak smok skręca i opada ku Wieży Miecza, wybiegł i popędził po schodach, zaskakując i wyprzedzając gwardzistów przy drzwiach i w korytarzach. Jako pierwszy wypadł na taras pod wieżą.

Taras stanowił jednocześnie dach sali bankietowej, rozległy marmurowy plac otoczony niską balustradą. Dokładnie nad nim wznosiła się Wieża Miecza, nieopodal stała Wieża Królowej. Smok wylądował na marmurowych płytach i gdy zjawił się król, zwijał właśnie z głośnym metalicznym zgrzytem potężne skrzydła. Jego szpony wyżłobiły w marmurze głębokie rysy.

Poruszyła się długa, pokryta złotą łuską głowa. Smok spojrzał na króla.

Król spuścił wzrok, nie patrząc mu w oczy. Stał jednak wyprostowany i przemawiał wyraźnie.

– Orm Irian, witaj. Jestem Lebannen.

– *Agni Lebannen* – odparł donośny syczący głos, witając go jak niegdyś Orm Embar, dawno temu, na najdalszym zachodzie, nim jeszcze Lebannen został królem.

Tuż za nim na taras wypadli Onyks i Tehanu w towarzystwie kilkunastu strażników. Jeden z nich dobył miecza. W oknie Wieży Królowej król dostrzegł kolejnego żołnierza z naciągniętym łukiem, celującego wprost w pierś smoka.

– Opuścić broń! – wykrzyknął tak głośno, że wieże zadrżały.

Pierwszy gwardzista zareagował tak szybko, iż niemal upuścił miecz. Łucznik powoli zwolnił cięciwę, jakby nie potrafił pozostawić swego władcy bezbronnego.

– *Medeu* – szepnęła Tehanu, stając obok Lebannena. Cały czas wpatrywała się w smoka. Głowa olbrzymiej istoty obróciła się ponownie i ogromne bursztynowe oko, otoczone pierścieniem lśniących, pomarszczonych łusek, spojrzało niewzruszenie na dziewczynę.

Smok przemówił.

Onyks, który rozumiał każde słowo, zaczął cicho tłumaczyć królowi. Podobnie postąpił z odpowiedzią Tehanu.

– Córko Kalessina, siostro ma – rzekł smok – nie latasz.

– Nie potrafię odmienić postaci, siostro – odparła Tehanu.

– Mam więc ja to zrobić?

– Na jakiś czas, jeśli zechcesz.

Wówczas ludzie zebrani na tarasie i w oknach wież ujrzeli najdziwniejszą scenę, jaką oglądali w życiu, mimo że nieobcy był im świat magii i cudów. Zobaczyli olbrzymiego smoka, którego pokryty łuskami brzuch i kolczasty ogon ciągnęły się na niemal pół długości tarasu, a łeb o czerwonych rogach spoglądał z wysokości większej niż dwukrotny wzrost króla. I ujrzeli, jak ów smok opuszcza wielką głowę i zaczyna drżeć. Jego skrzydła zadźwięczały niczym cymbały. Z głębokich nozdrzy wypłynęła chmura – nie dymu, lecz mgły. Smok stał się niewyraźny niczym odbicie w zaparowanym zwierciadle bądź starym szkle. A potem zniknął. Promienie południowego słońca prażyły przypalone, podrapane białe płyty. Smok zniknął; pojawiła się kobieta. Stała dziesięć kroków od Tehanu i króla, w miejscu gdzie wcześniej biło smocze serce.

Była młoda, wysoka, mocno zbudowana. Ciemnoskóra, ciemnowłosa, ubrana w chłopską koszulę i spodnie, bosa. Stała bez

ruchu, jak oszołomiona. Spojrzała na własne ciało, uniosła dłoń i przyjrzała się jej.

– Jakie małe! – rzekła we wspólnej mowie i roześmiała się. Popatrzyła na Tehanu. – Zupełnie jakbym włożyła buty, które nosiłam, gdy miałam pięć lat.

Dwie kobiety ruszyły ku sobie godnie i statecznie, niczym pozdrawiający się zbrojni lub statki mijające się na morzu. Objęły się i zostały tak chwilę. Potem rozłączyły się i zwróciły do króla.

– Pani Irian – rzekł Lebannen, skłaniając głowę.

Kobieta w chłopskiej koszuli dygnęła niezgrabnie. Sprawiała wrażenie nieswojej. Gdy uniosła wzrok, ujrzał, że jej oczy mają barwę bursztynu. Natychmiast odwrócił spojrzenie.

– W tej postaci nie uczynię ci krzywdy – oznajmiła z szerokim białym uśmiechem. – Wasza wysokość – dodała niezręcznie.

Ponownie skłonił głowę. Teraz on poczuł się nieswojo. Spojrzał na Tehanu i kątem oka na Tenar, która wraz z Olchą wyszła na taras. Nikt nie odezwał się nawet słowem.

Wzrok Irian powędrował ku stojącemu tuż za królem Onyksowi w szarym płaszczu. Jej twarz znowu pojaśniała.

– Panie, czy jesteś z wyspy Roke? Znasz Mistrza Wzorów?

Onyks ukłonił się, czy może skinął głową. On także uporczywie unikał jej wzroku.

– Czy dobrze się miewa? Wciąż wędruje pośród drzew?

Kolejny ukłon.

– A Mistrz Odźwierny, Mistrz Ziół i Kurrremkarmerruk? Obdarzyli mnie przyjaźnią i stanęli u mego boku. Jeśli kiedyś tam powrócisz, przekaż im, proszę, wyrazy szacunku i miłości.

– Tak uczynię – oznajmił mag.

– Jest tu moja matka – powiedziała cicho Tehanu. – Tenar z Atuanu.

– Tenar z Gontu – poprawił z naciskiem Lebannen.

Irian zmierzyła ją spojrzeniem pełnym podziwu.

– To ty wraz z Arcymagiem przywiozłaś Pierścień Runiczny z Krainy Mroźnych Ludzi?

– Tak. – Tenar równie otwarcie patrzyła wprost na Irian.

Nad nimi, na balkonie otaczającym Wieżę Miecza, tuż pod jej szczytem coś się poruszyło. To trębacze wyszli ogłosić godzinę. W tej chwili jednak wszyscy czterej zebrali się po południowej stronie, patrząc na taras w nadziei ujrzenia smoka. W każdym oknie każdej wieży widać było ludzkie twarze. Z ulicy dobiegał pomruk głosów, narastający niczym fala przypływu.

– Gdy ogłoszą pierwszą godzinę – powiedział Lebannen – rada znów się spotka. Jej członkowie widzieli twoje przybycie, pani, albo o nim usłyszą. Jeśli zatem zechcesz, najlepiej będzie cię im przedstawić. A jeśli zechcesz przemówić, obiecuję, że cię wysłuchają.

– Doskonale – odparła Irian.

Przez chwilę było w niej coś wyniosłego, obojętnego, gadziego. Gdy się poruszyła, owo ulotne wrażenie zniknęło. Pozostała jedynie wysoka młoda kobieta idąca trochę niezręcznie.

– Czuję się, jakbym lada moment miała poszybować w górę niczym iskra – rzekła ze śmiechem do Tehanu. – W ogóle nic nie ważę.

Czterej trębacze na wieży wznieśli swe trąby ku zachodowi, północy, wschodowi i południu, i odegrali pierwszą zwrotkę lamentu, który król sprzed pięciuset lat napisał po śmierci swego przyjaciela.

Przez moment obecny król wspomniał owego przyjaciela, Erreth-Akbego, stojącego na plaży Selidoru – ciemne oczy, pełną smutku twarz śmiertelnie ranionego człowieka pośród kości smoka, który go zabił. Wydało mu się dziwne, że może rozmyślać o tak odległych sprawach, jakby wydarzyły się zaledwie przed chwilą. A przecież w istocie nie było w tym nic dziwnego, albowiem żywi i umarli, ludzie i smoki łączyli się w oczekiwaniu wielkiego wydarzenia, którego nie potrafił dostrzec.

Odczekał, póki nie podeszły Irian i Tehanu. Wraz z nimi przekroczył próg pałacu.

– Pani Irian, chciałbym zapytać cię o wiele spraw, lecz mój lud i rada przede wszystkim zechcą usłyszeć, czy twoi pobratymcy zamierzają wydać nam wojnę i czemu.

Skinęła głową mocno, zdecydowanie.

– Powiem im wszystko, co wiem.

Kiedy dotarli do przesłoniętych kotarą drzwi za podwyższeniem, w sali tronowej panował chaos. Słyszeli podniecone głosy tak donośne, że niemal zupełnie zagłuszały stukot laski księcia Sege. Potem zapadła gwałtowna cisza. Wszyscy odwrócili się, by spojrzeć na króla przybywającego ze smokiem.

Lebannen nie usiadł. Stanął obok tronu, a Irian zatrzymała się u jego lewego boku.

– Wysłuchajcie króla – polecił Sege w martwej ciszy.

– Członkowie rady – zaczął Lebannen – oto dzień, o którym długo jeszcze będą wspominać pieśni. Córki waszych synów i synowie córek będą mawiać: Jestem wnukiem jednego z ludzi zasiadających w Smoczej Radzie. Uczcijcie zatem tę, która zaszczyca nas swą obecnością. Wysłuchajcie Orm Irian.

Niektórzy z członków Smoczej Rady mówili potem, że gdy patrzyli na nią wprost, widzieli jedynie wysoką kobietę, lecz kątem oka dostrzegali olbrzymią, mglistą, migocącą złocistym blaskiem postać, przy której król wydawał się maleńki. Wielu innych, wiedząc, że człowiek nie może spojrzeć w oczy smoka, odwracało wzrok. Nadal jednak zerkali ukradkiem. Niektóre kobiety uważały, że Irian jest brzydka, inne, że piękna, jeszcze inne litowały się nad biedaczką, która chodzi boso po pałacu. A kilku członków rady, nie do końca zrozumiawszy słowa króla, zastanawiało się, kim jest ta kobieta i kiedy pojawi się smok.

Mówiła w absolutnej ciszy. Jej głos, wysoki, kobiecy, niósł się po całej sali. Przemawiała powoli i uroczyście, jakby w myślach tłumaczyła swe słowa z Dawnej Mowy.

– Niegdyś nazywałam się Irian, ze starej Irii na Way. Obecnie jestem Orm Irian. Kalessin, Najstarszy, nazywa mnie córką. Jestem siostrą Orm Embara, którego znał król, i wnuczką Orma, który zabił królewskiego towarzysza Erreth-Akbego i zginął z jego ręki. Zjawiłam się tu, bo wezwała mnie moja siostra Tehanu.

Gdy Orm Embar zginął na Selidorze, niszcząc śmiertelne ciało czarnoksiężnika Coba, Kalessin przybył spoza zachodu i zaniósł króla wraz z wielkim magiem na Roke. Potem Najstarszy powrócił na Smoczy Szlak i wezwał do siebie lud zachodu, któremu Cob odebrał mowę i którego wciąż nie opuszczało szaleństwo. Kalessin rzekł:

„Pozwalacie, by zło skaziło was także. Oszaleliście. Teraz odzyskaliście zmysły, lecz póki wieje wiatr ze wschodu, nie możecie stać się znowu istotami wolnymi od dobra i zła”.

Kalessin powiedział: „Dawno temu dokonaliśmy wyboru. Wybraliśmy wolność. Ludzie wybrali jarzmo. My wybraliśmy ogień i wiatr, oni wodę i ziemię. My wybraliśmy zachód, oni wschód”.

I powiedział: „Wśród nas zawsze znajdowali się tacy, którzy zazdroszczą im bogactw, a wśród nich zazdroszczący nam naszej wolności. W ten sposób między nas wtargnęło zło i znów nas ogarnie, póki nie zdecydujemy się na zawsze pozostać wolni. Wkrótce powrócę poza zachód, by wzlecieć na innym wietrze. Poprowadzę was tam albo zaczekam, jeśli zechcecie przybyć”.

Wtedy wiele smoków tak rzekło do Kalessina: „Zdjęci zazdrością ludzie dawno temu ukradli nam połowę naszej krainy poza zachodem i wznieśli mury z zaklęć, które nas powstrzymują. Pozwól nam zatem przegnać ich na najdalszy wschód i odebrać im wyspy. Ludzie i smoki nie mogą dzielić się tym samym wiatrem”.

Na co Kalessin odpowiedział: „Kiedyś byliśmy jednością. Na znak tego w każdym pokoleniu ludzkim rodzi się dziecko bądź dwoje, które są także smokami, a w każdym naszym pokoleniu, żyjącym dłużej niż ulotne ludzkie istoty, pojawia się jedno z nas, które jest także człowiekiem. Ktoś taki żyje teraz na Wyspach Wewnętrznych, podobnie jedno z nich, które jest smokiem. Tych dwoje to posłańcy, zwiastuni wyboru. Nikt więcej taki nie przyjdzie już na świat ani wśród nas, ani wśród nich. Równowaga bowiem ulega zmianie”.

I powiedział Kalessin: „Wybierajcie. Odejdźcie ze mną, by wzlecieć na najdalszym końcu świata, na innym wietrze, albo zostańcie, przywdziewając jarzmo dobra i zła, zmieńcie się w bezrozumne zwierzęta. Jako ostatnia wyboru dokona Tehanu. Potem nie będzie już żadnego wyboru. Droga na zachód będzie zamknięta. Zostanie tylko, jak zawsze, las pośrodku świata”.

Członkowie rady królewskiej siedzieli bez ruchu niczym kamienie, zasłuchani. Irian stała nieruchomo, spoglądając na nich, poprzez nich.

– Minęło kilka lat i Kalessin odleciał poza zachód. Niektórzy podążyli za nim, inni nie. Gdy przybyłam do mego ludu, wyruszyłam

w ślad za Kalessinem. Teraz podążam tam i wracam, póki wiatry zechcą mnie nieść.

Mój lud czuje gniew i zazdrość. Ci, którzy pozostali tu, na wiatrach świata, zaczynają łączyć się w grupy bądź samotnie odwiedzać wyspy ludzi, powtarzając: „Ukradli pół naszej krainy, teraz my odbierzemy im cały zachód i przegnamy ich stąd, aby nie mogli zarażać nas swoim dobrem i złem. Nie włożymy głów w ich jarzmo".

Nie próbują jednak zabijać mieszkańców wysp, bo pamiętają czasy obłędu, gdy smok zabijał smoka. Nienawidzą was, ale nie będą was zabijać. Chyba że wy spróbujecie zabijać ich.

Jedna z grup przybyła na tę wyspę, Havnor. My nazywamy ją Zimnym Wzgórzem. Smok, który stanął przed wami i rozmawiał z Tehanu, to mój brat Ammaud. Inni chcą przegnać was na wschód, lecz Ammaud, podobnie jak ja, wypełnia wolę Kalessina i próbuje uwolnić mój lud od jarzma, które wy nosicie. Dzieci Kalessina chcą uchronić oba nasze ludy, ale czy zdołają? Smoki nie mają króla i nie słuchają nikogo. Latają tam, gdzie zechcą. Przez jakiś czas posłuchają mnie i mojego brata, w imię Kalessina. Ale niedługo. I nie boją się niczego na świecie poza waszą magią śmierci.

Ostatnie słowo zadźwięczało ostro w wielkiej sali.

Król odezwał się pierwszy. Podziękował Irian.

– Twoje szczere słowa przynoszą nam zaszczyt. Na moje imię przysięgam, że my także mówić będziemy prawdę. Błagam cię zatem, córko Kalessina, który przyniósł mnie do mego królestwa, wyjaśnij, czego lękają się smoki. Sądziłem, że nie boją się niczego w tym świecie ani poza nim.

– Boimy się waszych zaklęć nieśmiertelności – odparła otwarcie.

– Nieśmiertelności? – Lebannen się zawahał. – Nie jestem magiem. Mistrzu Onyksie, jeśli córa Kalessina zgodzi się, przemów w mym imieniu.

Onyks wstał. Irian spojrzała na niego z zimną obojętnością i skinęła głową.

– Pani Irian – zaczął czarnoksiężnik – my nie rzucamy zaklęć nieśmiertelności. Jedynie czarnoksiężnik Cob usiłował umknąć śmierci. Aby to uczynić, wypaczył naszą sztukę. – Mówił wolno i bardzo ostrożnie, starannie dobierał słowa. – Nasz Arcymag wraz

z moim panem, królem, i z pomocą Orm Embara zniszczył Coba i wyrządzone przez niego zło. Arcymag poświęcił całą swą moc, aby uleczyć świat, przywrócić Wielką Równowagę. Żaden inny mag za naszego życia nie próbował... – urwał nagle.

Irian spojrzała wprost na niego. Spuścił wzrok.

– Mag, którego zniszczyłam – powiedziała – Mistrz Przywołań z Roke, Thorion. Czego pragnął?

Wstrząśnięty Onyks nie odpowiedział.

– Powrócił z martwych – dodała – ale nie żywy, jak Arcymag i król. Był martwy, lecz wrócił poza mur dzięki swej sztuce, waszej sztuce, waszej, ludzi z Roke! Jak mamy ufać waszym słowom? Zakłóciliście równowagę świata. Czy możecie ją przywrócić?

Onyks popatrzył na króla, głęboko poruszony.

– Panie, to nie jest miejsce do omawiania podobnych spraw, przy wszystkich. Najpierw musimy się dowiedzieć, o czym rozmawiamy, co mamy robić...

– Roke strzeże swych sekretów. – W głosie Irian zabrzmiała spokojna wzgarda.

– Ale na Roke... – zaczęła Tehanu, nie wstając. Jej słaby głos ucichł. Książę Sege i król gestem polecili, by mówiła dalej.

Wstała. Z początku odwracała od członków rady lewą stronę swej twarzy. Słuchający jej tłum siedział bez ruchu na ławach, niczym obdarzone oczami kamienie.

– Na Roke jest Wewnętrzny Gaj – powiedziała. – Czy nie to miał na myśli Kalessin, mówiąc o lesie stojącym pośrodku świata, siostro? – Odwracając się do Irian, pokazała słuchaczom swą całą zniszczoną twarz; zapomniała o ich obecności. – Może musimy się tam udać, do środka świata.

– Udam się tam – przytaknęła Irian z uśmiechem.

Obie spojrzały na króla.

– Zanim wyślę was na Roke albo udam się tam z wami – rzekł powoli – muszę wiedzieć, o co toczy się gra. Mistrzu Onyksie, przykro mi, że sprawy tak poważne i niebezpieczne każą nam otwarcie rozmawiać o wszystkim. Ufam jednak, że jeśli znajdę właściwy kurs, moi doradcy mnie poprą. Rada musi wiedzieć, czy

nasze wyspy mają lękać się ataków ludu zachodu, czy też rozejm potrwa dalej.

– Potrwa – odparła Irian.

– Możesz powiedzieć, jak długo?

– Pół roku – zaproponowała lekko, jakby mówiła: dzień czy dwa.

– Utrzymamy rozejm przez pół roku w nadziei, że po nim nastanie pokój. Czy mam rację, pani Irian, zgadując, że twój lud, nim zawrze z nami pokój, zechce wiedzieć, czy wtrącanie się naszych czarnoksiężników w sprawy życia i śmierci im nie zagrozi?

– Czy nie zagrozi nam wszystkim. Tak.

Lebannen zastanowił się chwilę. W końcu odezwał się swym najbardziej królewskim, przyjaznym, uprzejmym tonem.

– Uważam tedy, że powinienem udać się z wami na Roke. – Odwrócił się w stronę ław. – Członkowie rady, po ogłoszeniu rozejmu musimy dążyć do pokoju. Ponieważ władam w imię Pierścienia Elfarran, muszę udać się wszędzie, gdzie trzeba, by to osiągnąć. Jeśli dostrzegacie coś, co mogłoby przeszkodzić tej wyprawie, przemówcie tu i teraz. Możliwe bowiem, iż na szali spoczywa równowaga władzy w Archipelagu i równowaga całego świata. Jeżeli mam wyruszyć, muszę uczynić to teraz. Nadchodzi jesień, a droga na Roke nie jest krótka.

Kamienie z oczami siedziały długą chwilę, patrząc na niego w milczeniu. W końcu odezwał się książę Sege:

– Wyruszaj zatem, mój panie i królu, a nasza nadzieja i zaufanie będzie ci towarzyszyć. Niechaj magiczny wiatr wypełnia twe żagle.

Wśród doradców rozległ się cichy pomruk zgody. Tak, tak, słusznie prawi.

Sege zapytał, czy są jakieś pytania. Nikt się nie odezwał. Książę zamknął obrady.

Lebannen zwrócił się do niego, wychodząc z sali tronowej:

– Dziękuję ci, Sege.

– Biedacy – odparł stary książę. – Znaleźli się pomiędzy tobą a smokiem. Cóż jeszcze mogli powiedzieć?

4

„Delfin”

Nim król mógł opuścić stolicę, należało uzgodnić wiele spraw i poczynić sporo ustaleń. Pozostawało także pytanie, kto uda się z nim na Roke. Oczywiście musiały mu towarzyszyć Irian i Tehanu, a Tehanu chciała mieć przy sobie matkę. Onyks oznajmił, iż z całą pewnością należy zabrać Olchę i palneńskiego czarnoksiężnika Seppela, Kunszty Palneńskie bowiem zajmowały się także kwestią granicy pomiędzy życiem a śmiercią. Król, jak już wielekroć wcześniej, wybrał na kapitana statku Toslę. Książę Sege miał pod nieobecność władcy zarządzać sprawami państwowymi, przewodząc grupie wybranych członków rady.

Lebannen sądził, że wszystko już ustalono, gdy dwa dni przed wypłynięciem przyszła do niego Tenar.

– Czekają cię rozmowy o wojnie i pokoju, o walce ze smokami i o kwestiach jeszcze ważniejszych. Jak twierdzi Irian, kwestiach dotyczących równowagi całego Ziemiomorza. Ludzie z Wysp Kargadzkich powinni wysłuchać owych dyskusji i zabrać w nich głos.

– Ty będziesz ich przedstawicielką.

– Nie, nie jestem poddaną Najwyższego Króla. Jedyna osoba, która może go reprezentować, to jego córka.

Lebannen cofnął się o krok, odwrócił głowę i rzekł głosem stłumionym od wysiłku, jaki włożył w opanowanie gniewu:

– Wiesz, że absolutnie się nie nadaje do podobnej wyprawy.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Brak jej wykształcenia.

– Jest inteligentna, silna i odważna. Zdaje sobie sprawę, czego wymaga jej pozycja. Nie przygotowano jej do rządzenia, ale czego zdoła się nauczyć zamknięta w Pałacu Rzecznym, w otoczeniu służek i dam dworu?

– Choćby języka!

– Już to robi. W razie potrzeby będę jej tłumaczką.

Lebannen milczał chwilę.

– Rozumiem twoją troskę o jej lud – rzekł, ostrożnie dobierając słowa. – Zastanowię się, co począć, ale na pokładzie nie ma miejsca dla księżniczki.

– Tehanu i Irian twierdzą, że powinna popłynąć z nami, podobnie mistrz Onyks, który mówi, że nie przypadkiem została przysłana tu akurat teraz, podobnie jak Olcha z Taonu.

Lebannen cofnął się o jeszcze jeden krok. Ton jego głosu pozostał oschły i uprzejmy.

– Nie mogę na to pozwolić. Przez swą ignorancję i brak doświadczenia będzie dla nas ciężarem. Zresztą nie mogę narażać księżniczki. Stosunki z jej ojcem...

– Mimo swej ignorancji, jak to nazywasz, pokazała nam, jak odpowiedzieć na pytania Geda. Nie szanujesz jej, dokładnie tak samo jak jej ojciec. Traktujesz jak bezrozumny przedmiot. – Tenar pobladła z gniewu. – Skoro boisz się ją narażać, poproś, by sama podjęła decyzję.

I znów zapadła cisza.

– Jeśli ty, Tehanu i Orm Irian uważacie, że ta kobieta powinna płynąć z nami na Roke – odpowiedział w końcu Lebannen z tą samą pozorną obojętnością, nie patrząc na Tenar – a Onyks się z wami zgadza, przyjmuję wasz osąd, choć uważam, iż popełniacie błąd. Proszę, przekaż jej, że jeśli chce z nami płynąć, może to uczynić.

– Ty powinieneś jej powiedzieć.

Umilkł, po czym bez słowa wyszedł z komnaty.

Po drodze minął Tenar i choć na nią nie patrzył, ujrzał ją wyraźnie. Sprawiała wrażenie starej i zmęczonej, trzęsły jej się ręce. Współczuł jej, wstydził się swej własnej opryskliwości, czuł ulgę, że nikt inny

nie był świadkiem tej sceny. Jednakże wszystkie te uczucia stanowiły zaledwie iskierki w ogromnym, ciemnym obłoku wściekłości na nią, na księżniczkę, na wszystkich i wszystko, co narzucało mu owo fałszywe zobowiązanie, groteskową powinność. Po wyjściu z komnaty szarpnięciem rozpiął kołnierz koszuli, jakby się dusił.

Jego ochmistrz, Dobroczyn, powolny, metodyczny, nie spodziewał się, że władca wyjdzie tak szybko, toteż zerwał się z miejsca zaskoczony. Lebannen spojrzał na niego lodowato.

– Wezwij Najwyższą Księżniczkę, aby złożyła mi wizytę.

– Najwyższą Księżniczkę?

– Jest może więcej niż jedna? Czyż nie wiesz, że gościmy na dworze córkę Najwyższego Króla?

Oszołomiony Dobroczyn wymamrotał przeprosiny.

– Sam udam się do Pałacu Rzecznego – przerwał mu Lebannen.

Wyszedł, ścigany przez ochmistrza, który stopniowo zdołał zatrzymać króla dość długo, by zgromadzić odpowiedni orszak, sprowadzić ze stajni konie, odłożyć do popołudnia audiencję i tak dalej. Wszystkie obowiązki, zależności, królewska otoczka, rytuały i hipokryzje, które czyniły z niego władcę, teraz przytłoczyły go, wciągnęły, wessały niczym ruchome piaski.

Gdy przyprowadzono na dziedziniec wierzchowca, Lebannen dosiadł go tak szybko, iż koń zarażony nastrojem pana stanął dęba do wtóru krzyków odskakujących stajennych i służby. Król z ponurą satysfakcją patrzył, jak się rozstępują. Skierował konia wprost do bramy, nie czekając na dworzan. Poprowadził ich szybkim kłusem ulicami miasta, jadąc daleko na przedzie, świadom dylematu dręczącego młodego oficera, który powinien jechać przed nim, nawołując: „Droga dla króla!”, ale nie śmiał wyprzedzić swego władcy.

Dochodziło południe. Ulice i place Havnoru były jasne, gorące i niemal zupełnie wyludnione. Słysząc stukot kopyt, ludzie spieszyli do drzwi małych, ciemnych sklepików, by spojrzeć na króla i go pozdrowić. Kobiety siedzące w oknach, wachlujące się i plotkujące ponad ulicą, spoglądały w dół, kiwając rękami. Jedna rzuciła mu kwiat. Końskie kopyta uderzały z donośnym łoskotem w bruk szerokiego, rozsłonecznionego placu. Wokół nie dostrzegał ludzi,

jedynie psa z podwiniętym ogonem, który lekceważąc obecność władcy, odbiegł powoli na trzech nogach. Król skręcił w wąską uliczkę wiodącą do wybrukowanej drogi wzdłuż Serrenen i podążył nią aż do skrytego w cieniu wierzb i starego miejskiego muru Pałacu Rzecznego.

Przejażdżka nieco poprawiła mu humor. Upał, cisza i piękno miasta, świadomość ukrytych za ścianami i okiennicami setek ludzkich istnień, uśmiech kobiety, która rzuciła mu kwiat, złośliwa satysfakcja, że zdołał wyprzedzić wszystkich swych strażników i pochlebców, wreszcie zapach i chłód rzeki oraz cienisty dziedziniec pałacu, w którym zaznał dni i nocy spokoju i rozkoszy, pozwoliły mu nieco otrząsnąć się z gniewu. Czuł się dziwnie obco, jakby oddalił się od samego siebie. Furia opuściła go, pozostawiając pustkę.

Pierwsi jeźdźcy z orszaku docierali właśnie na dziedziniec, gdy Lebannen zeskoczył z konia. Wszedł do środka, niczym kamień ciśnięty do spokojnego stawu, sprawiając, iż lokaje i służący rozbiegli się, tworząc kolejne kręgi oszołomienia i paniki.

– Powiadomcie księżniczkę, że tu jestem – polecił.

Pani Opal ze starego majątku Ilien, obecnie zawiadująca damami księżniczki, pojawiła się przed nim natychmiast, uprzejmie powitała i zaproponowała poczęstunek, zachowując się, jakby królewska wizyta zupełnie jej nie zaskoczyła. Owa wytworna uprzejmość uspokoiła go, a jednocześnie dziwnie zirytowała. Wszędzie ta hipokryzja! Cóż jednak miała począć pani Opal – gapić się oszołomiona, niczym wyrzucona na brzeg ryba (jak to czyniła bardzo młoda dwórka), bo król zechciał w końcu niespodziewanie odwiedzić księżniczkę?

– Bardzo mi przykro, że nie ma tu pani Tenar – rzekła stara dama. – Z jej pomocą znacznie łatwiej rozmawia się z księżniczką. Choć przyznaję, iż moja pani czyni zadziwiające postępy w nauce języka.

Lebannen zupełnie zapomniał o kłopotach z porozumieniem się. Przyjął zimny napój i nic nie odpowiedział. Pani Opal zagadywała go uprzejmie z pomocą pozostałych dam, niewiele się jednak dowiedziała. Lebannen uświadomił sobie, że zapewne będzie musiał rozmawiać z księżniczką w obecności wszystkich dwórek. Tak

nakazywał zwyczaj. Nieważne, co zamierzał jej powiedzieć, teraz nie mógł rzec nic. Chciał już wstać i wyjść, gdy w drzwiach stanęła kobieta, której głowę i ramiona skrywał czerwony woal. Upadła miękko na kolana.

– Proszę, król, księżniczka, proszę.

– Księżniczka przyjmie cię w swych komnatach, panie – przetłumaczyła pani Opal.

Skinieniem głowy wezwała lokaja, który odeskortował ich na górę długim korytarzem, przez przedsionek, wielką mroczną komnatę pełną kobiet w czerwonych zasłonach, na balkon wychodzący na rzekę. Tam właśnie czekała postać, którą tak dobrze pamiętał – nieruchomy czerwonozłoty walec.

Wietrzyk znad wody sprawiał, że zasłony falowały lekko, toteż postać nie wydawała się masywna, lecz delikatna, zwiewna niczym wierzbowy listek. Nagle jakby skurczyła się, zmalała. Księżniczka dygnęła przed nim. Skłonił głowę. Oboje wyprostowali się, stojąc w milczeniu.

– Księżniczko – rzekł Lebannen. Miał wrażenie, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. W uszach obco dźwięczał mu własny głos. – Przybywam prosić, abyś towarzyszyła nam w wyprawie na wyspę Roke.

Nie odpowiedziała. Nagle lekkie welony rozsunęły się, gdy uniosła je na boki. Złociste dłonie o długich palcach przytrzymywały cienką materię, ukazując skąpaną w czerwonym cieniu twarz. Nie widział jej rysów wyraźnie. Spojrzała mu prosto w oczy.

– Moja przyjaciółka Tenar mówi: król widzi króla, twarz i twarz. Ja mówię: tak. Jechać.

Nie do końca rozumiejąc, Lebannen ukłonił się ponownie.

– Czynisz mi zaszczyt, o pani.

– Tak – odparła – czynię.

Zawahał się. Nagle zrozumiał, że znalazł się na obcym gruncie, jej gruncie.

Księżniczka stała bez ruchu, wyprostowana, złote nitki zasłon drżały. Jej oczy spoglądały na niego z cienia.

– Tenar, Tehanu i Orm Irian zgadzają się, że księżniczka Wysp Kargadzkich powinna towarzyszyć nam w wyprawie na wyspę Roke.

Proszę zatem, abyś popłynęła z nami.

– Popłynęła.

– Na Roke.

– Na statku – rzekła i nagle jęknęła cicho, żałośnie, po czym dodała: – Tak, płynę.

Nie wiedział, co rzec.

– Dziękuję, o pani.

Ukłoniła się, równa przed równym.

On także się skłonił i odszedł, tak jak go nauczono odchodzić po oficjalnym spotkaniu z ojcem, księciem Enladu – nie odwracając się plecami, lecz cofając wolno.

Księżniczka patrzyła na niego, wciąż podtrzymując zasłony, póki nie dotarł do drzwi. Wtedy opuściła ręce, welon opadł i Lebannen usłyszał, że odetchnęła głośno, jakby zmuszała się do czegoś całą siłą woli.

Odważna, tak mówiła o niej Tenar. Wówczas tego nie rozumiał, pojął dopiero teraz, gdy mógł rozmawiać z nią, uosobieniem odwagi. Cały gniew, który go przepełniał i przyniósł tutaj, teraz zniknął bez śladu. Nie wciągnęły go ruchome piaski, nie zadławiły. Zamiast tego wyniosły do stóp skały, wysokiego szczytu w czystym powietrzu prawdy.

Przeszedł salę pełną szepczących, wyperfumowanych, zakwefionych kobiet, które cofały się przed nim w ciemności. Na dole pogawędził chwilę z panią Opal i innymi damami, pozdrowił też przyjaźnie oszołomioną jego przybyciem dwunastolatkę. Przemówił ciepło do członków swego orszaku czekających na dziedzińcu. W milczeniu dosiadł wysokiego szarego wierzchowca i pogrążony w myślach podążył do Pałacu Mahariona.

***

Olcha z fatalistyczną obojętnością wysłuchał informacji, że ma powrócić na Roke. Życie na jawie stało się ostatnio tak dziwne, dziwniejsze niż sen, że nie miał nawet siły zadawać pytań czy

protestować. Skoro los każe mu przez resztę życia żeglować z wyspy na wyspę, niechaj i tak będzie. Doskonale zdawał sobie sprawę, iż nigdy już nie wróci do domu. Przynajmniej pozostanie w towarzystwie pań Tenar i Tehanu, które koiły jego serce. A czarnoksiężnik Onyks również okazał mu sympatię.

Olcha był nieśmiały, Onyks bardzo zamknięty w sobie. Różniły ich także pozycja i wykształcenie. Lecz Onyks odwiedził go kilkakrotnie, by pomówić jak mag z magiem. Olcha w swej nieśmiałości nie potrafił pojąć, czemu mag traktuje go z takim szacunkiem, jednak ufał mu głęboko. Gdy zatem zbliżała się pora wyruszenia w drogę, właśnie do Onyksa zwrócił się z dręczącym go pytaniem.

– Chodzi o kotka – rzekł zakłopotany. – Uważam, że nie powinienem go zabierać. Takie długie przebywanie na pokładzie jest nienaturalne dla młodego stworzenia. Zastanawiam się, co z nim będzie...

– Wciąż utrzymuje cię z dala od kamiennego muru? – zapytał Onyks.

– Bardzo często.

Mag zastanowił się chwilę.

– Potrzebujesz ochrony, póki nie dotrzemy do Roke. Zastanawiałem się... czy rozmawiałeś z czarnoksiężnikiem Seppelem?

– Tym z Palnu? – W głosie Olchy zabrzmiał lekki niepokój.

Paln, największa wyspa na zachód od Havnoru, uważany był powszechnie za miejsce niesamowite. Palneńczycy mówili po hardycku z osobliwym akcentem, używając wielu własnych słów. W dawnych czasach ich władcy odmówili złożenia hołdu królom z Enladu i Havnoru. Magowie nie pobierali nauk na Roke. Kunszty Palneńskie, przywołujące Dawne Moce Ziemi, uważano powszechnie za niebezpieczne, gorzej niż niebezpieczne. Dawno temu Szary Mag z Palnu zniszczył swą wyspę, przywołując dusze zmarłych, by doradzały mu i jego władcom. Każdy młody mag musiał wysłuchać owej opowieści. Żywi nie powinni zasięgać rady umarłych. Czarnoksiężnicy z Roke i Palnu wiele razy ścierali się w pojedynkach magicznych. Podczas jednej z takich walk, dwieście lat temu, uwolniono zarazę, która zaatakowała mieszkańców Palnu i Semel,

wyludniła miasta i wioski. A piętnaście lat temu, gdy czarnoksiężnik Cob wykorzystał Kunszty Palneńskie, by pokonać mur dzielący życie i śmierć, Arcymag Krogulec musiał zużyć całą swą moc, by go pokonać i uleczyć zło wyrządzone światu.

Olcha, jak niemal wszyscy na dworze i w królewskiej radzie, uprzejmie unikał czarnoksiężnika Seppela.

– Poprosiłem króla, by zabrał go z nami na Roke – oznajmił Onyks.

Olcha się zdziwił.

– Oni wiedzą o tych sprawach znacznie więcej niż my – wyjaśnił mag. – Większa część sztuki przywoływania wywodzi się z Kunsztów Palneńskich. Thorion był jej mistrzem. Obecny Mistrz Przywołań z Roke, Brand z Venway, odmawia korzystania z zaklęć wywodzących się z owych kunsztów. Źle użyte czynią ogromne szkody. Może jednak to nasza ignorancja sprawiła, iż niewłaściwie z nich korzystaliśmy. Pochodzą z bardzo dawnych czasów. Czy kryją w sobie wiedzę, którą utraciliśmy? Seppel to mądry człowiek i mag. Uważam, że powinien z nami popłynąć. I myślę, że jeśli zdołasz mu zaufać, może ci pomóc.

– Skoro ty obdarzyłeś go zaufaniem – odparł Olcha – ja uczynię to samo.

Gdy Olcha przemawiał srebrnym językiem z Taonu, Onyks często uśmiechał się cierpko.

– W tej kwestii twój osąd jest równie dobry jak mój, Olcho – rzekł. – Może nawet lepszy. Zabiorę cię do Seppela.

Razem ruszyli do miasta. Seppel mieszkał w starej dzielnicy nieopodal stoczni, tuż przy ulicy Szkutników. Istniała tam niewielka kolonia Palneńczyków sprowadzonych do pracy w stoczniach królewskich, znakomicie bowiem opanowali sztukę budowy statków. Stare domy napierały na siebie. Ich dachy łączyły mosty, które sprawiały, że Wielki Port Havnorski dysponował drugim kompletem napowietrznych ulic wznoszących się wysoko ponad zwykłymi, brukowanymi.

Pokoje Seppela, położone na trzecim piętrze, były mroczne i w upale późnego lata bardzo duszne. Gospodarz zaprowadził ich wyżej, na dach połączony z sąsiednimi budynkami mostami po wszystkich stronach, tak że poczuli się jak na ulicznym skrzyżowaniu.

Na niskich tarasach ustawiono baldachimy. Morska bryza chłodziła rozpalone powietrze. Usiedli razem na pasiastych płóciennych matach w kącie należącym do Seppela, który poczęstował ich chłodną, gorzką herbatą.

Był to niski mężczyzna około pięćdziesiątki, krągły, o drobnych dłoniach i stopach, nieco kręconych i wzburzonych włosach oraz, co rzadkie wśród mieszkańców Archipelagu, brodzie, przystrzyżonej krótko i pokrywającej ciemne policzki i szczękę. Zachowywał się bardzo uprzejmie, mówił cicho ze śpiewnym, urywanym akcentem.

Przez dłuższy czas rozmawiali z Onyksem. Olcha w milczeniu słuchał dyskusji o ludziach i sprawach, o których nie miał pojęcia, i stopniowo pogrążał się we własnych myślach. Spojrzał ponad dachami i namiotami, powietrznymi ogrodami i rzeźbionymi łukami mostów, na północ, w stronę góry Onn, wielkiej jasnoszarej kopuły ponad mglistymi letnimi wzgórzami. Nagle gwałtownie powrócił do rzeczywistości, słysząc, jak czarnoksiężnik z Palnu mówi:

– Możliwe, że nawet Arcymag nie do końca zdołał uleczyć ranę świata.

Rana świata, pomyślał Olcha. O tak. Spojrzał uważniej na Seppela, który zerknął na niego bystro.

– Może nie tylko nasze pragnienie, by żyć wiecznie, nie pozwala ranie się zabliźnić – rzekł Seppel – lecz również pragnienie umarłych, by mogli umrzeć.

I znowu Olcha usłyszał dziwne słowa i poczuł, że je poznaje, choć nie rozumie. Seppel ponownie zerknął na niego, jakby oczekiwał odpowiedzi.

Olcha milczał, Onyks też, więc Seppel zapytał wprost:

– Mistrzu Olcho, gdy stałeś na granicy, o co cię prosili?

– Abym ich uwolnił – odparł Olcha cichym szeptem.

– Uwolnił – mruknął Onyks.

Znów zapadła cisza.

Obok środkiem dachu przebiegły dwie dziewczynki i chłopiec. Śmiejąc się, krzyczeli: „Na następnym na dół!”. Wyraźnie uczestniczyli w jednym z niekończących się pościgów, jakie urządzały sobie dzieci w labiryncie ulic, kanałów, schodów i mostów miasta.

– Może od początku zawarliśmy zły układ – powiedział Seppel, a gdy Onyks spojrzał na niego pytająco, dodał: – *Verw nadan*.

Olcha wiedział, iż słowa te pochodzą z Dawnej Mowy, ale nie znał ich znaczenia.

Onyks się jeszcze bardziej zasępił.

– Mam nadzieję, że wkrótce odkryjemy prawdę. Oby szybko.

– Na wzgórzu, gdzie wszystko jest prawdą – dodał Seppel.

– Cieszę się, że będziesz tam z nami. Przyprowadziłem tu Olchę, bo umarli co noc przywołują go na ową granicę. Szuka wytchnienia. Powiedziałem, że może zdołasz mu pomóc.

– Zechcesz poddać się dotknięciu magii z Palnu? – spytał Olchę Seppel. W jego głosie dźwięczała łagodna ironia. Oczy lśniły twardym, niezłomnym blaskiem.

Olcha zwilżył zaschnięte wargi.

– Mistrzu, na mojej wyspie mawiamy, że tonący człowiek nie pyta, kto rzucił mu linę. Jeśli choćby na jedną noc potrafisz utrzymać mnie z dala od Suchej Krainy, zasłużysz na mą najszczerszą wdzięczność. Choć to niewiele wobec podobnego daru.

Onyks spojrzał na niego z lekkim, pełnym rozbawienia, pogodnym uśmiechem.

Seppel natomiast nie uśmiechnął się w ogóle.

– W moim fachu rzadko spotykam się z wdzięcznością – powiedział. – Wiele za nią zrobię. Myślę, że potrafię ci pomóc, mistrzu Olcho. Ale musisz wiedzieć, że to bardzo droga lina.

Olcha skłonił głowę.

– Przybywasz na granicę we śnie, nie z własnej woli, tak?

– Tak sądzę.

– Mądrze powiedziane. – Seppel spojrzał na niego z aprobatą. – Któż bowiem do końca zna własną wolę? Jeśli jednak udajesz się tam we śnie, mogę utrzymać cię z dala od owej krainy. Na jakiś czas. I, jak mówiłem, za wysoką cenę.

Olcha popatrzył na niego pytająco.

– Twoją moc.

Z początku Olcha nie zrozumiał.

– Mój dar, moją sztukę?

Seppel przytaknął.

– Ja tylko naprawiam różne rzeczy – powiedział po chwili Olcha. – To niewielka moc.

Onyks chciał coś rzec, spojrzał jednak na twarz Olchy i umilkł.

– To twój fach – przypomniał Seppel.

– Kiedyś to było moje życie, ale już nie.

– Może dar powróci, gdy stanie się to, co musi się stać. Nie mogę tego obiecać. Spróbuję przywrócić ci, co tylko zdołam. W tej chwili jednak wszyscy wędrujemy w ciemności, po nieznanej ziemi. Gdy nastanie dzień, może zrozumiemy, gdzie jesteśmy. Albo i nie. Jeśli zatem oszczędzę ci owych snów za tę cenę, czy wciąż mi podziękujesz?

– O tak – powiedział Olcha. – Czymże jest mój drobny dar w obliczu większego zła ignorancji? Jeśli uwolnisz mnie od lęku, w którym żyję, lęku, przez który mogę wyrządzić zło, będę ci wdzięczny do końca mych chwil.

Seppel odetchnął głęboko.

– Zawsze słyszałem, że harfy z Taonu pięknie grają – rzekł. Spojrzał na Onyksa. – Czy Roke nie protestuje? – spytał, powracając do wcześniejszego ironicznego tonu.

Onyks pokręcił głową. Milczał, a twarz miał bardzo poważną.

– Udamy się zatem do jaskini Aurun. Dziś wieczór, jeśli zechcecie – zaproponował Seppel.

– Czemu akurat tam? – spytał Onyks.

– Bo nie ja, lecz ziemia pomoże Olsze. Aurun to święte miejsce pełne mocy, choć mieszkańcy Havnoru o tym zapomnieli i korzystają z niego tylko, by je zbezcześcić.

Nim zeszli razem do pokojów Seppela, Onyks zdołał zamienić na osobności słówko z Olchą.

– Nie musisz tego robić – rzekł. – Sądziłem, że ufam Seppelowi, ale teraz nie jestem już pewien.

– Ja mu ufam – odparł Olcha.

Rozumiał wątpliwości maga, mówił jednak szczerze, że zrobi wszystko, byle tylko uwolnić się od lęku przed tym, że może uczynić ogromne, straszliwe zło. Za każdym razem, gdy we śnie trafiał pod ów kamienny mur, czuł, iż coś poprzez niego próbuje przedostać się do świata. Że jeśli tylko posłucha nawołujących go zmarłych, to coś

dopnie swego. A za każdym razem, gdy ich słyszał, czuł się coraz słabszy i coraz trudniej przychodziło mu stawiać opór.

Późnym upalnym popołudniem we trzech wyruszyli w długą drogę ulicami miasta. W końcu zostawili je za sobą i znaleźli się wśród poszarpanych wzgórz opadających ku zatoce. Były to najbiedniejsze tereny tej bogatej wyspy – pomiędzy skałami pozostały tylko niewielkie skrawki podmokłej ziemi, kilka pól na zboczach. Mur miejski w tym miejscu był bardzo stary, wzniesiony z wielkich, niepołączonych zaprawą kamieni wykutych na wzgórzach. Za nim rozciągało się ledwie kilka farm bez śladu przedmieści.

Szli dalej drogą, która wspięła się zygzakiem na pierwsze wzgórze i podążyła na wschód w stronę wyższych wierzchołków. Widać stąd było całe leżące na północy, spowite złocistą mgiełką miasto. Droga rozwidlała się, tworząc labirynt ścieżek. Zmierzając prosto, dotarli nagle do wielkiego pęknięcia w ziemi, jaskini przecinającej szlak, czarnej dziury szerokiej na ponad sześć metrów – zupełnie jakby ziemia wzdrygnęła się gwałtownie, rozrywając skalny grzbiet i pozostawiając niezabliźnioną ranę. Wnikające do wnętrza jaskini promienie zachodzącego słońca rozjaśniały fragment pionowych skalnych ścian. Poniżej zalegała ciemność.

W południowej dolinie pod wzgórzem mieściła się garbarnia. Garbarze wyrzucali tu odpadki, ciskając je do skalnej dziury. Wszędzie wokół walały się cuchnące strzępy na wpół wyprawionych skór, którym towarzyszył smród zgnilizny i moczu. Gdy się zbliżyli, poczuli jeszcze jedną woń dobiegającą z głębiny – zimny, ostry zapach ziemi, który sprawił, że Olcha cofnął się o krok.

– Och, jak mi żal, jak bardzo! – powiedział głośno czarnoksiężnik z Palnu, patrząc na śmieci i dach garbarni. Jego twarz miała dziwny wyraz. Po chwili jednak odezwał się do Olchy swym zwykłym, łagodnym tonem: – Oto jaskinia bądź szczelina zwana Aurun, przedstawiana na najstarszych mapach przechowywanych na Palnie, gdzie nosi też nazwę Paszczy Paoru. Niegdyś, dawno temu, gdy ludzie po raz pierwszy przybyli na zachód, przemawiała do nich. Ludzie się zmienili, ale ona pozostała taka jak kiedyś. Tu możesz złożyć swe brzemię, jeśli naprawdę tego pragniesz.

– Co mam zrobić? – spytał Olcha.

Seppel poprowadził go na południowy skraj wielkiej szczeliny, w miejsce gdzie zwężała się i skalne ściany ponownie się zbiegały. Kazał mu położyć się twarzą w dół, tak by mógł spoglądać w mroczne głębiny w dole.

– Przytrzymaj się ziemi – polecił. – To wszystko. Nawet jeśli się poruszy, trzymaj się jej.

Olcha leżał bez ruchu, patrząc pomiędzy skalne ściany. Czuł kamienie kłujące go w pierś i biodra. Słyszał, jak Seppel śpiewa wysokim głosem słowa, które, jak wiedział, należały do Mowy Tworzenia. Czuł ciepło słońca na ramionach, smród padliny dochodzący z garbarni. A potem jaskinia odetchnęła głośno i ostry powiew powietrza odebrał Olsze dech, sprawił, że zakręciło mu się w głowie. Ciemność uniosła się ku niemu, ziemia zadrżała, zakołysała się, a on trzymał się jej, słysząc wysoki zaśpiew, wciągając w płuca dech ziemi. Ciemność zbliżyła się i go ogarnęła. Utracił słońce.

Gdy wrócił do siebie, słońce wisiało nisko nad horyzontem – czerwona kula w mgiełce nad zachodnim ramieniem zatoki. Ujrzał siedzącego w pobliżu Seppela, zmęczonego i smutnego. Długi ciemny cień człowieka łączył się z cieniami skał.

– No, jesteś – rzekł Onyks.

Olcha uświadomił sobie nagle, że leży na wznak z głową na kolanach Onyksa. Skalny występ uciskał mu kręgosłup. Usiadł niezgrabnie, przepraszając maga.

Gdy tylko odzyskał trochę sił, ruszyli z powrotem, mieli bowiem przed sobą szmat drogi, a ani on, ani Seppel nie byli zdolni do szybkiego marszu. Nim dotarli na ulicę Szkutników, zapadła noc. Seppel pożegnał ich, patrząc bystro na Olchę, gdy stanęli w plamie światła padającej z drzwi tawerny.

– Uczyniłem to, o co prosiłeś – rzekł.

– I dziękuję ci za to – odparł Olcha, podając czarnoksiężnikowi prawą dłoń, jak to czynią mieszkańcy Enladów. Po chwili Seppel dotknął jej palcami. Tak się rozstali.

Olcha był tak zmęczony, że aż powłóczył nogami. W ustach i gardle wciąż miał ostry, dziwny smak powietrza z jaskini, który sprawiał, że czuł się lekki, oszołomiony, pusty. Kiedy w końcu dotarli

do pałacu, Onyks chciał odprowadzić go do pokoju, Olcha jednak powiedział, że czuje się dobrze i musi tylko wypocząć.

Otworzył drzwi komnaty i natychmiast podbiegł do niego Żuraw, tańcząc i kiwając ogonem na powitanie.

– Już cię nie potrzebuję – rzekł Olcha, po czym nachylił się i pogładził szary, puszysty grzbiet. Do oczu napłynęły mu łzy. To dlatego że był taki zmęczony. Położył się na łóżku, kot wskoczył obok i mrucząc, zwinął się w kłębek na jego ramieniu. A potem Olcha zasnął. Ogarnęła go czarna pustka snów. Nie pamiętał niczego, głosów wołających jego imię, wzgórza porośniętego suchą trawą, niewyraźnego kamiennego muru. Niczego.

***

W wieczór poprzedzający wyprawę na Roke Tenar z ciężkim sercem przechadzała się po pałacowych ogrodach. Nie chciała płynąć na Wyspę Mędrców, Wyspę Magów (przeklętych czarowników, dodał w jej myślach głos przemawiający po kargijsku). Co miałaby tam robić, na co im ona? Chciała wrócić na Gont, do Geda, do własnego domu, własnego, ukochanego mężczyzny.

Straciła Lebannena, odepchnęła go. Był uprzejmy, miły i obcy.

Jakże mężczyźni boją się kobiet, myślała, spacerując wśród kwitnących róż. Nie jednej kobiety, lecz wielu, rozmawiających ze sobą, pracujących wspólnie, mówiących w swoim imieniu. Wówczas mężczyźni dostrzegają spiski, zmowy, sidła, pułapki.

I oczywiście mają rację. Kobiety zwykle stoją po stronie następnego, nie obecnego pokolenia. Tworzą ogniwa, które mężczyźni postrzegają jako łańcuchy, więzi traktowane przez nich jak kajdany. Istotnie, sprzymierzyły się z Seserakh przeciw niemu i były gotowe go zdradzić, gdyby naprawdę uważał, że będzie nikim, jeśli straci niezależność. Gdyby był tylko ogniem i powietrzem, pozbawionym ciężaru ziemi, cierpliwości wody...

Lecz słowa te bardziej niż do Lebannena pasowały do Tehanu, jej Therru, nieziemskiej skrzydlatej duszy, która przybyła, by jakiś czas

z nią pomieszkać i wkrótce odejść. Tenar wiedziała, że odejdzie, z ognia w ogień. I pasowały do Irian, z którą odejdzie Tehanu. Cóż taka ognista, groźna istota mogłaby mieć wspólnego ze starym domem, który trzeba zamiatać, ze starym mężczyzną wymagającym opieki? Jak Irian mogłaby to zrozumieć? Cóż za znaczenie dla niej, dla smoka, ma fakt, że mężczyzna powinien wypełnić swój obowiązek, ożenić się, spłodzić dzieci, przywdziać jarzmo ziemi?

Pewna własnego braku znaczenia wobec istot przeznaczonych wyższym, nie ludzkim celom, Tenar całkowicie pozwoliła się ogarnąć tęsknocie za domem, nie tylko za Gontem. Czemuż nie miałaby zawrzeć przymierza z Seserakh, która co prawda jest księżniczką, lecz nie odleci na ognistych skrzydłach, bo pozostanie prawdziwą kobietą, istotą ziemi? A do tego zna ojczysty język Tenar! Tenar z poczucia obowiązku uczyła ją hardyckiego i radowała się, że dziewczyna szybko przyswaja obce słowa. Lecz dopiero w tej chwili zrozumiała, iż w istocie prawdziwą radość sprawia jej rozmowa po kargijsku, bo w tych słowach ukrywało się całe jej utracone dzieciństwo.

Gdy dotarła do ścieżki prowadzącej ku rybnym stawom pod wierzbami, ujrzała Olchę. Towarzyszył mu mały chłopiec. Gawędzili cicho. Zawsze cieszył ją widok Olchy, współczuła mu z powodu jego bólu i strachu, i szanowała za cierpliwość, z jaką je znosił. Lubiła uczciwą twarz o miłych rysach i wdzięczną mowę. Czemuż by nie ubarwić zwykłych, powszednich zdań kilkoma pięknymi słowami? Ged mu ufał.

Przystając z boku, aby nie przeszkodzić w rozmowie, ujrzała, jak Olcha i dziecko klękają na ścieżce, zaglądając w krzaki. W końcu spod jednego z nich wynurzył się szary kociak Olchy. Nie zwracając uwagi na ludzi, zagłębił się w trawie, stąpając powoli, przyczajony, z płonącymi oczami. Polował na ćmy.

– Jeśli chcesz, możesz wypuszczać go na całą noc – powiedział Olcha do chłopca. – Nie ucieknie stąd i nie wyrządzi żadnych szkód. Uwielbia psocić na świeżym powietrzu, lecz te ogrody są dla niego wielkie niczym cały Havnor. Możesz też wypuszczać go rano, a na noc zatrzymywać przy sobie. Wtedy będzie z tobą sypiał.

– To mi się podoba – odparł nieśmiało chłopiec.

– W takim razie musisz trzymać w sypialni skrzynkę z piaskiem i miseczkę wody, zawsze pełną.

– I jedzenie.

– Owszem, raz dziennie, byle nie za dużo. Jest trochę łakomy. Pewnie myśli, że Segoy stworzył wyspy po to, by on mógł napchać sobie brzuszek.

– Czy łowi ryby w stawie?

Kot siedział w trawie obok jednej z sadzawek i rozglądał się wokół. Ćma odleciała.

– Lubi je obserwować – odrzekł Olcha.

– Ja też – powiedział chłopiec.

Wstali i razem ruszyli nad wodę.

Tenar poczuła nagłe wzruszenie. Olcha miał w sobie wiele niewinności, była to jednak niewinność mężczyzny, nie dziecka. Powinien mieć własne dzieci, byłby świetnym ojcem.

Pomyślała o swoich dzieciach i wnuczętach. Najstarsza córka Jabłka, Pippin... czy to możliwe? Czy rzeczywiście Pippin ma wkrótce skończyć dwanaście lat? W tym bądź w następnym roku dostanie prawdziwe imię. Czas już wracać do domu, czas odwiedzić Dolinę Środkową, wręczyć wnuczce prezent z okazji dnia nadania imienia i zabawki maluchom. Sprawdzić, czy niespokojny Iskra nie zanadto przycina grusze. Posiedzieć i porozmawiać z kochaną córką Jabłko... Prawdziwe imię Jabłka brzmiało Hayohe, nadał je Ogion... O Ogionie Tenar zawsze myślała z miłością i tęsknotą. Ujrzała palenisko w jego domu w Re Albi, ujrzała siedzącego obok Geda. Widziała, jak odwraca swą ciemną twarz, by zadać jej pytanie. Odpowiedziała głośno w ogrodach Nowego Pałacu w Havnorze, setki mil od domu:

– Jak najszybciej zdołam!

***

Rankiem, pogodnym letnim rankiem wyruszyli z pałacu do portu, by wejść na pokład „Delfina”. Mieszkańcy Havnoru urządzili prawdziwe święto, zebrali się na ulicach i przystani, blokując ujścia

kanałów dziesiątkami łodzi i czółen ozdobionych powiewającymi barwnymi flagami. Flagi i proporce łopotały też na wieżach wielkich domów i masztach mostów. Idąc wśród wiwatujących tłumów, Tenar przypomniała sobie ów dzień dawno temu, gdy wraz z Gedem przybyli do Havnoru, przynosząc ze sobą Runę Pokoju, Pierścień Elfarran. Miała go wówczas na ręce. Podniosła ją tak, by srebro rozbłysło w promieniach słońca i by ujrzeli je ludzie. A oni wykrzyknęli, wyciągając ku niej ramiona, jakby pragnęli ją objąć. Uśmiechnęła się na to wspomnienie. Uśmiechała się, pokonując trap i kłaniając się Lebannenowi.

Król powitał ją tradycyjnymi słowami kapitana statku.

– Pani Tenar, witaj na pokładzie.

Poruszona nagłym odruchem odpowiedziała:

– Dziękuję ci, synu Elfarran.

Przez moment patrzył na nią zaskoczony. Tehanu jednak szła tuż za nią, toteż powtórzył oficjalne powitanie.

– Pani Tehanu, witaj na pokładzie.

Tenar ruszyła w stronę dziobu, przypominając sobie kącik obok kabestanu. Pasażer mógł się tam schronić, nie przeszkadzając krzątającej się wokół załodze, i nadal widzieć wszystko, co dzieje się na pokładzie i poza nim.

Nagle dostrzegła poruszenie na głównej ulicy prowadzącej do portu. Zbliżała się Najwyższa Księżniczka. Tenar z zadowoleniem dostrzegła, że Lebannen, czy może jego ochmistrz, zaaranżował wszystko tak, by mogła przybyć w stosownej oprawie. Konna gwardia torowała drogę w tłumie. Konie parskały i głośno uderzały kopytami. Wysokie czerwone pióropusze, takie same jakimi kargijscy wojownicy ozdabiali swe hełmy, kołysały się na dachu zamkniętego, krzykliwie złoconego powozu, który wiózł księżniczkę przez całe miasto, a także na łbach ciągnącej go czwórki szarych koni. Grupka czekających na brzegu muzyków powitała ją dźwiękiem trąby, bębna i tamburynu. A ludzie, odkrywszy, że pojawiła się księżniczka, którą mogą pozdrowić wiwatami, zakrzyknęli głośno, zbliżając się, na ile pozwolili konni i piesi żołnierze. Powitali ją entuzjastycznymi, choć nieco chaotycznymi okrzykami.

– Niech żyje królowa Kargów! – wołali jedni.

– Nie jest królową! – krzyczeli drudzy, a trzeci:

– Spójrzcie, wszystkie w czerwieni, piękne jak rubiny. Która z nich to ona?

I jeszcze inni:

– Niech żyje księżniczka!

Tenar ujrzała Seserakh, oczywiście ukrytą za welonem, lecz łatwą do rozpoznania dzięki postawie i wzrostowi. Księżniczka wysiadła z powozu i godnie niczym okręt sunęła w stronę trapu. Tuż za nią dreptały dwie dwórki w krótszych kwefach, a dalej pani Opal z Ilien. Serce Tenar zamarło. Lebannen oświadczył, że w podróż nie wolno brać żadnej służby. Nie płyną po to, by zaznać rozrywek, oświadczył surowo. Każdy, kto znajdzie się na pokładzie, musi mieć dobry powód, by tam trafić. Czyżby Seserakh źle zrozumiała? A może była tak bardzo związana ze swymi niemądrymi rodaczkami, iż zamierza sprzeciwić się królowi? Byłby to bardzo niefortunny początek podróży.

Lecz u stóp trapu połyskujący złociście czerwony walec zatrzymał się i odwrócił. Wyciągnął ręce, złocistoskóre, ozdobione złotymi pierścieniami. Księżniczka objęła swe dwórki, wyraźnie żegnając się z nimi. Objęła także panią Opal, z godnością właściwą najwyższej szlachcie i członkom rodów królewskich. Następnie pani Opal zabrała dwórki do powozu, a księżniczka odwróciła się ponownie.

Wokół zapadła cisza. Tenar ujrzała, jak złocistoczerwona kolumna wzdycha głęboko i prostuje się jeszcze bardziej.

Księżniczka powoli ruszyła naprzód. Był przypływ i trap wznosił się niebezpiecznie. Ona jednak stąpała godnie, bez cienia wahania. Tłum na nabrzeżu obserwował ją zafascynowany.

W końcu dotarła na pokład i zatrzymała się przed królem.

– Najwyższa Księżniczko Wysp Kargadzkich, witaj na pokładzie – powitał ją Lebannen.

Ludzie w tłumie zaczęli krzyczeć:

– Wiwat księżniczka! Niech żyje królowa! Ładny spacer, Krasna!

Lebannen powiedział coś do księżniczki, lecz wiwaty zagłuszyły jego słowa. Czerwona kolumna odwróciła się do tłumu na brzegu i ukłoniła sztywno, lecz z wdziękiem.

Tehanu czekała na nią niedaleko króla. Teraz podeszła i zaprowadziła księżniczkę do kabiny na rufie. Po chwili ciężkie, rozkołysane czerwonozłote welony zniknęły.

– Wracaj, księżniczko! – krzyczeli ludzie na nabrzeżu. – Gdzie jest Krasna? Gdzie nasza pani, gdzie królowa?

Tenar spojrzała na stojącego po przeciwnej stronie statku króla. Mimo niepokoju i ciężaru, który przygniatał jej serce, poczuła, jak wzbiera w niej śmiech. Biedny chłopcze, pomyślała, co teraz poczniesz? Pokochali ją od pierwszego wejrzenia, choć tak naprawdę jej nie widzą. Och, Lebannenie, wszyscy sprzysięgliśmy się przeciw tobie.

***

„Delfin" był sporym statkiem, mającym zapewnić królowi wygody podczas podróży. Przede wszystkim jednak miał żeglować, frunąć z wiatrem, przewozić władcę jak najszybciej do celu. Nawet gdy na pokładzie przebywała jedynie załoga, oficerowie, król i kilku towarzyszy, w kabinach robiło się ciasno. Podczas podróży na Roke na statku panował ścisk. Załoga odczuła go najsłabiej – wszyscy jak zwykle nocowali w ładowni dziobowej. Oficerowie jednak musieli podzielić się jakoś jedną marną, ciemną komórką pod forkasztelem. Co do pasażerów, cztery kobiety przebywały w pomieszczeniu będącym zwykle kabiną króla, na wąskiej rufie statku, podczas gdy kabina niżej, zwykle zajęta przez kapitana i jednego bądź dwóch oficerów, musiała pomieścić króla, dwóch magów, czarownika i Toslę. Tenar natychmiast dostrzegła, iż ta sytuacja kryje w sobie ogromne zagrożenie sporami i kłótniami. W dodatku najprawdopodobniej księżniczka zacznie chorować.

Płynęli po wodach Wielkiej Zatoki, niesieni łagodnym sprzyjającym wiatrem. Morze było spokojne. Statek sunął naprzód niczym łabędź na jeziorze, lecz Seserakh kuliła się na swej koi, jęcząc rozpaczliwie za każdym razem, gdy spoza welonów ujrzała widoczny za oknem słoneczny przestwór wód i biały ślad pozostawiany przez żaglowiec.

– Zacznie kołysać, w górę i w dół – zawodziła po kargijsku.

– Wcale nie będzie kołysać – odparła Tenar. – Rusz głową, księżniczko.

– To kwestia brzucha, nie głowy – jęknęła Seserakh.

– Nikt nie mógłby cierpieć na chorobę morską w taką pogodę. Po prostu się boisz.

– Matko, nie rugaj jej – zaprotestowała Tehanu, chwytając ton głosu, choć nie znaczenie słów. – Choroba to nic przyjemnego.

– Ona nie jest chora. – Tenar była przekonana o prawdziwości swych słów. – Seserakh, nie jesteś chora, tylko boisz się choroby. Weź się w garść, wyjdź na pokład. Świeże powietrze ci pomoże. Świeże powietrze i odwaga.

– Och, moja przyjaciółko – mruknęła po hardycku Seserakh – dodaj mi odwagi.

Te słowa zaniepokoiły Tenar.

– Sama musisz się na nią zdobyć – rzekła, po czym ustępując nieco, dodała: – Spróbuj chociaż chwilę pobyć na pokładzie. Tehanu, zobacz, może zdołasz ją przekonać. Pomyśl, jak będzie cierpieć, jeśli pogoda się pogorszy!

We dwie zdołały postawić Seserakh na nogi i przyodziać w walec czerwonych zasłon, bez których, rzecz jasna, nie mogła pokazać się mężczyznom. Potem prośbami i groźbami wywabiły ją z kabiny na pokład, tuż obok drzwi, w cień. Mogły tam usiąść obok siebie na białych jak kość, czyściutkich deskach, spoglądając na lśniące błękitne morze.

Seserakh lekko rozchyliła zasłony, by móc patrzeć wprost przed siebie. Głównie jednak wbijała wzrok we własne kolana. Od czasu do czasu zerkała z przerażeniem na wodę, potem zamykała oczy lub znowu spuszczała wzrok.

Tenar i Tehanu rozmawiały cicho, wskazując mijane statki, ptaki i wyspy.

– Pięknie. Zapomniałam już, jak lubię żeglować – westchnęła Tenar.

– Ja lubię pływać, jeśli zdołam zapomnieć o wodzie – odparła Tehanu. – To zupełnie jak latanie.

– Ach, wy smoki – odparła Tenar.

Powiedziała to lekko, lecz nie z lekkim sercem. Po raz pierwszy rzekła coś takiego do córki. Dostrzegła, że Tehanu odwraca głowę i spogląda na nią jednym okiem. Serce Tenar zabiło mocno.

– Ogień i powietrze.

Tehanu nie odpowiedziała, lecz jej ręka, smukła brązowa dłoń, nie szpon, chwyciła rękę Tenar i uścisnęła ją mocno.

– Nie wiem, kim jestem, matko – szepnęła głosem, który rzadko rozbrzmiewał donośnie.

– Ale ja wiem. – Tenar czuła, że serce ciąży jej coraz bardziej.

– Nie jestem taka jak Irian. – Tehanu próbowała pocieszyć matkę, dodać otuchy, lecz w jej głosie dźwięczała tęsknota, zazdrość, pragnienie.

– Zaczekaj, zaczekaj i sama się przekonasz – odparła matka. Mówienie przychodziło jej z trudem. – Będziesz wiedziała, co zrobić... kim jesteś... gdy nadejdzie czas.

Mówiły tak cicho, że księżniczka nie słyszała ich słów, choć i tak zapewne by nic nie zrozumiała. Zupełnie o niej zapomniały. Dosłyszała jednak imię Irian i rozchylając długimi palcami zasłony, odwróciła głowę. Jej oczy rozbłysły pośród ciepłych czerwonych cieni.

– Irian, gdzie jest?

– Gdzieś z przodu. O, tam. – Tenar machnęła ręką, wskazując dziób statku.

– Znajduje odwagę, tak?

– Nie musi jej znajdować – odparła po chwili Tenar. – Jest nieulękła.

Księżniczka westchnęła. Jej jasne oczy wyglądały z cienia ku dziobowi. Irian stała tam obok Lebannena. Król coś mówił ożywiony, gestykulował. Roześmiał się, a stojąca obok Irian, dorównująca mu wzrostem, także wybuchnęła śmiechem.

– Naga twarz – mruknęła po kargijsku Seserakh, a potem z namysłem, niemal niedosłyszalnie dodała po hardycku: – Nieulękła.

Opuściła zasłony i pozostała bez ruchu, niewidoczna.

***

Zostawili za sobą długie błękitne wybrzeża Havnoru. Góra Onn wznosiła się wysoko na północy. Czarne bazaltowe filary wyspy Omer sterczały po prawej stronie, gdy statek pokonywał Cieśninę Ebavnoru, zmierzając w stronę Morza Najgłębszego. Słońce świeciło jasno, wiał lekki wiatr – nastał kolejny piękny letni dzień. Kobiety siedziały pod daszkiem z żagla, ustawionym przez marynarzy obok kabiny na rufie. Żeglarze wierzyli, że kobiety na pokładzie przynoszą szczęście, i starali się jak najbardziej uprzyjemnić im życie. Czarnoksiężnicy mogli przynosić szczęście lub pecha, więc ich również żeglarze traktowali z szacunkiem, ustawiając drugi daszek w kącie pokładu, skąd roztaczał się doskonały widok naprzód. Kobiety siedziały na aksamitnych poduszkach (dowód zapobiegliwości króla bądź jego ochmistrza); magowie na zwojach płótna żaglowego, spisujących się równie dobrze.

Olcha odkrył, iż ludzie nadal traktują go jak jednego z magów. Nie mógł nic na to poradzić, choć czuł się zakłopotany. A jeśli Onyks i Seppel sądzą, że uważa się za równego im, gdy tymczasem nie jest już nawet zwykłym czarownikiem? Nie miał mocy, stracił dar. Odczuwał to równie boleśnie, jak mógłby odczuć utratę wzroku, paraliż ręki. Teraz nie potrafiłby naprawić stłuczonego dzbanka, chyba że klejem. A i to uczyniłby kiepsko, bo nigdy nie musiał tego robić.

Poza swymi umiejętnościami utracił coś jeszcze, coś większego, głębszego. Strata ta, podobnie jak śmierć żony, sprawiła, że pogrążył się w pozbawionej radości pustce, której nie mogło naruszyć nic nowego. Nic się nie wydarzy, nic nie zmieni.

Nieświadom owego ukrytego oblicza swego daru, póki go nie stracił, zastanawiał się teraz, rozmyślał nad jego naturą. Uznał w końcu, że przypomina to wiedzę, dokąd się zmierza, znajomość kierunku, w którym leży dom. Trudno to wyodrębnić czy opisać, to po prostu więź, na której wspiera się wszystko inne. Bez niej czuł tylko rozpacz. Był nikomu niepotrzebny.

Ale przynajmniej nikomu nie szkodził. Nawiedzały go wyłącznie ulotne, pozbawione znaczenia sny. Ani razu nie trafił w nich na upiorne pustkowia, porośnięte suchą trawą wzgórze, pod mur. Z ciemności nie dobiegały żadne głosy.

Często myślał o Krogulcu. Żałował, że nie może z nim porozmawiać, z Arcymagiem, który zużył całą swą moc. Niegdyś najpotężniejszy wśród potężnych, obecnie żył w biedzie i pogardzie. A przecież król bardzo pragnął okazać mu szacunek, zatem Krogulec sam wybrał biedę. Może bogactwa i majątki zawstydzałyby tylko człowieka, który utracił swe prawdziwe bogactwo.

Onyks wyraźnie żałował, że pozwolił Olsze dokonać owej niezwykłej wymiany. Już wcześniej traktował go bardzo uprzejmie. Teraz zachowywał się z najwyższym szacunkiem i rewerencją, natomiast jego stosunek do czarnoksiężnika z Palnu wyraźnie ochłódł. Sam Olcha nie czuł niechęci wobec Seppela i nadal mu ufał. Dawne Moce to Dawne Moce; człowiek odwołuje się do nich na własne ryzyko. Seppel uprzedził, jaka będzie cena, a on zgodził się zapłacić. Nie do końca rozumiał, jak bardzo okaże się wysoka, ale to już nie wina Seppela, tylko jego własna. Nigdy nie dostrzegał prawdziwej wartości swego daru.

Siedział zatem obok dwóch czarnoksiężników niczym fałszywa moneta pośród szczerozłotych i słuchał ze skupieniem, ufali mu bowiem i mówili swobodnie, a w ich słowach kryła się nauka, o której nie mógł marzyć jako zwykły wioskowy czarownik.

Tu, w jasnym cieniu płóciennego daszku, rozmawiali o wymianie znacznie większej niż ta, której dokonał, by pozbyć się snów. Onyks kilkakrotnie wymawiał słowa w Dawnej Mowie, które wspomniał na dachu Seppel: *Verw nadan*. Powoli Olcha zaczynał pojmować, iż słowa te znaczą wybór, podział, rozdzielenie jedności na dwie części. Dawno, dawno temu, przed czasami królów z Enladu i powstaniem pisma hardyckiego, może w ogóle przed językiem hardyckim, gdy istniała jedynie Mowa Tworzenia, ludzie dokonali wyboru. Zrezygnowali z jednej wielkiej mocy bądź czegoś, co posiadali, po to by zdobyć inną.

Trudno mu było zrozumieć rozmowę magów – nie dlatego że coś ukrywali, lecz ponieważ poszukiwali znaczeń wydarzeń z odległej,

mglistej przeszłości, czasów, których nie sięga pamięć. Z konieczności w ich ustach pojawiały się często słowa z Dawnej Mowy. Czasami Onyks całkowicie na nią przechodził. Seppel zawsze odpowiadał po hardycku – oszczędnie używał Słów Tworzenia. W pewnej chwili uniósł dłoń, powstrzymując Onyksa, a gdy czarnoksiężnik z Roke spojrzał na niego pytająco, odparł łagodnie:

– Magiczne słowa mogą działać.

Nauczyciel Olchy, Gap, także nazywał słowa z Dawnej Mowy magicznymi. Każde ukrywa w sobie potężny czyn, powtarzał. Prawdziwe słowo tworzy prawdę. Gap bardzo rzadko używał znanych sobie magicznych słów. Wymawiał je jedynie w potrzebie, a gdy zapisywał jakąkolwiek runę prócz zwykłych hardyckich, zmazywał ją, gdy tylko skończył. Większość magów zachowywała podobną ostrożność – niektórzy zazdrośnie strzegli swej wiedzy, inni z szacunku, jaki żywili wobec Mowy Tworzenia. Nawet Seppel, czarnoksiężnik dysponujący znacznie rozleglejszą wiedzą i zrozumieniem owych słów, wolał nie odwoływać się do nich w rozmowie, lecz trzymać się pospolitego języka, który pozwalał nie tylko na błędy i kłamstwa, ale też na niepewność i zmianę zdania.

Może właśnie to stanowiło część wielkiego wyboru, jakiego ludzie dokonali u zarania dziejów: rezygnacja z dogłębnej znajomości Dawnej Mowy, którą niegdyś władali równie dobrze jak smoki. Olcha zastanawiał się, czy uczynili to, aby zdobyć własny język, język pasujący do ludzi, w którym mogli kłamać, oszukiwać, zwodzić i wymyślać cuda, jakie nigdy nie istniały i nie powstaną.

Smoki znały jedynie Dawną Mowę. A przecież ludzie zawsze powtarzali, że smoki kłamią. Czy tak jest rzeczywiście? Skoro magiczne słowa są prawdziwe, czy smok może nimi skłamać?

Seppel i Onyks dotarli do jednej z pełnych namysłu chwil przerwy w swej rozmowie. Widząc, iż Onyks drzemie, Olcha cicho spytał czarnoksiężnika z Palnu:

– Czy to prawda, że smoki potrafią skłamać w Prawdziwej Mowie?

Palneńczyk uśmiechnął się.

– Tak, a przynajmniej tak mówimy na Palnie. Dokładnie tak brzmiało pytanie, które Oth zadał Ormowi tysiąc lat temu pośród ruin Ontuego. „Czy smok może kłamać?” – zapytał mag, a Orm

odpowiedział: „Nie”, po czym owionął go ogniem i spalił na popiół... Czy jednak mamy wierzyć w tę opowieść, skoro mógł ją powtórzyć tylko Orm?

Nieskończone są spory magów, rzekł w duchu Olcha.

Onyks na dobre zasnął, opierając głowę o burtę. Jego poważna, napięta twarz odprężyła się, rozpogodziła.

– Olcho – jeszcze ciszej niż zwykle odezwał się Seppel – mam nadzieję, że nie żałujesz tego, co uczyniliśmy w Aurun. Nasz przyjaciel uważa, iż nie dość wyraźnie cię ostrzegłem.

– Jestem zadowolony – odparł bez wahania Olcha.

Seppel skłonił swą ciemną głowę.

– Wiem, że próbujemy zachować Wielką Równowagę – ciągnął Olcha po chwili – lecz Moce Ziemi mają własne zamysły.

– A ludziom trudno pojąć ich osąd.

– Istotnie. Próbuję zrozumieć, czemu właśnie mój dar był ceną za spokój. Czemu musiałem z niego zrezygnować, by uwolnić się od tego snu. Co miały ze sobą wspólnego?

Jakiś czas Seppel milczał. W końcu odpowiedział pytaniem:

– Czyż nie dzięki swej sztuce znalazłeś się przy kamiennym murze?

– Nie – odparł z całkowitą pewnością siebie Olcha. – Nigdy nie zdołałbym tam dotrzeć, nawet gdybym chciał. Tak jak nie potrafiłem utrzymać się z daleka.

– Jak zatem się tam znalazłeś?

– Wezwała mnie żona, a moje serce poszło ku niej.

Długa chwila ciszy.

– Inni mężczyźni także tracili ukochane żony – rzekł w końcu mag.

– Tak właśnie powiedziałem panu Krogulcowi, a on odrzekł: „To prawda, mimo wszystko jednak więź łącząca prawdziwych kochanków najbliższa jest temu, co możemy nazwać wiecznością”.

– Poza kamiennym murem nie istnieją więzi.

Olcha spojrzał na czarnoksiężnika, prosto w jego śniadą, łagodną, mądrą twarz.

– Czemu? – spytał.

– Śmierć zrywa wszystkie więzi.

– Czemu więc umarli nie umierają?

Seppel wzdrygnął się wyraźnie.

– Przepraszam – dodał Olcha. – W swej ignorancji źle się wyraziłem. Chodzi mi o to: śmierć zrywa więź łączącą duszę z ciałem. Ciało umiera, powraca do ziemi. Lecz duch musi udać się do owej mrocznej krainy i przyodziany w pozorne ciało trwać tam – jak długo? Na zawsze? W pyle i mroku, bez światła, miłości, radości. Nie potrafię znieść myśli, że Lilia także tam jest. Dlaczego? Czemu nie może... – Głos mu się załamał. – Czemu nie może być wolna?

– Bo tam nie wieje wiatr – odparł Seppel. Jego twarz miała dziwny wyraz, głos zabrzmiał szorstko. – Nie dopuszcza go tam ludzka sztuka.

Nadal patrzył na Olchę, lecz dopiero stopniowo zaczął go widzieć. Jego twarz i oczy się zmieniły. Uniósł wzrok ku wdzięcznej, białej krzywiźnie żagla wypełnionego północno-zachodnim wiatrem.

– Wiesz o tych sprawach równie wiele jak ja, przyjacielu – powiedział ze swą zwykłą łagodnością. – Ty jednak pojmujesz to wszystko całym sobą, czujesz to w swym ciele, krwi, biciu serca. Ja znam tylko słowa, stare słowa... Lepiej zatem dotrzyjmy na Roke. Może tamtejsi mędrcy zdołają powiedzieć nam to, co musimy wiedzieć. A jeśli nie, może uczynią to smoki. Albo może ty wskażesz nam drogę.

– Zupełnie jakby ślepy zawiódł widzących na skraj przepaści. – Olcha się roześmiał.

– Tyle że my stoimy już na jej brzegu, a oczy mamy zamknięte – odparł czarnoksiężnik z Palnu.

***

Lebannen miał wrażenie, że statek jest zbyt mały, by pomieścić dręczący go ogromny niepokój. Kobiety siedziały pod swoim daszkiem, magowie pod swoim niczym kaczki w rzędzie, a on bez końca krążył po pokładzie, zniecierpliwiony ograniczeniami przestrzeni. Miał wrażenie, że to jego niecierpliwość, nie wiatr, popycha „Delfina” na południe, szybko, lecz nie dość szybko. Chciał, by podróż dobiegła już końca.

– Pamiętasz flotę w drodze na Wathort? – spytał Tosla. Razem stali obok sternika, patrząc na mapę i na rozciągające się przed dziobem pogodne morze. – Wspaniały widok, trzydzieści statków płynących burta w burtę.

– Żałuję, że nie na Wathort płyniemy – odparł Lebannen.

– Nigdy nie lubiłem Roke – zgodził się Tosla. – Już dwadzieścia mil od brzegu nie uświadczysz uczciwego wiatru ani prądu, wyłącznie czary. A skały na południu nigdy nie są w tym samym miejscu. W mieście zaś roi się od oszustów i zmiennokształtnych. – Splunął fachowo na zawietrzną. – Wolałbym już spotkać się znów ze starym Rzeźnikiem i jego handlarzami niewolników.

Lebannen przytaknął, nie odpowiedział jednak. Dlatego właśnie cenił sobie towarzystwo Tosli. Kapitan często mówił dokładnie to, co Lebannen czuł, i wyrażał to lepiej, niż on by potrafił.

– Kim był ten człowiek, niemowa, który zabił na murze Sokoła? – spytał Tosla.

– Egre, pirat, który zajął się handlem niewolnikami.

– On cię znał. Już wtedy, pod Sorrą, rzucił się wprost na ciebie. Wciąż zastanawiam się dlaczego.

– Bo kiedyś wziął mnie w niewolę.

Niełatwo było zaskoczyć starego marynarza, teraz jednak Tosla spojrzał na króla z otwartymi ustami. Wyraźnie nie wierzył, lecz nie potrafił się do tego przyznać, toteż milczał. Lebannen przez chwilę napawał się efektem swoich słów. W końcu pożałował kapitana.

– Gdy Arcymag zabrał mnie ze sobą na poszukiwania Coba, najpierw popłynęliśmy na południe. Dotarliśmy do Hort, tam pewien człowiek zdradził nas i sprzedał handlarzom niewolników. Ogłuszyli Arcymaga, a ja uciekłem, myśląc, że odciągnę ich od niego. Ale im chodziło o mnie, nadawałem się na sprzedaż. Obudziłem się w łańcuchach, na pokładzie galery zmierzającej na Sowl. Nim jeszcze minęła noc, Arcymag mnie uratował. Kajdany spadły z nas niczym suche liście. A potem powiedział Egre'owi, by zamilkł, póki nie znajdzie czegoś wartego powiedzenia... Przybył na galerę niczym światło jaśniejące nad wodą. Wcześniej nie wiedziałem, kim jest naprawdę.

Tosla dobrą chwilę przetrawiał jego słowa.

– Uwolnił wszystkich niewolników? Czemu pozostali nie zabili Egre'a?

– Może zabrali go na Sowl i sprzedali?

Kapitan zastanawiał się jeszcze moment.

– I dlatego tak bardzo zależało ci na zakończeniu handlu niewolnikami?

– Owszem, to jeden z powodów.

– Taki fach raczej nie poprawia charakteru – zauważył Tosla. Spojrzał na mapę Morza Najgłębszego przypiętą do deski po lewej ręce sternika. – Wyspa Way – mruknął. – Stąd pochodzi kobieta-smok.

– Zauważyłem, że jej unikasz.

Tosla ściągnął wargi, choć na pokładzie statku nigdy nie gwizdał.

– Znasz tę piosenkę, o której wspominałem? O dziewce z Belilo. Zawsze uważałem, że to zwykła bajka, póki jej nie zobaczyłem.

– Na pewno cię nie zje, Toslo.

– To byłaby piękna śmierć – odparł kwaśno marynarz.

Król wybuchnął śmiechem.

– Nie prowokuj szczęścia – ostrzegł kapitan.

– Nie ma obaw.

– Rozmawialiście przecież lekko, swobodnie. Zupełnie jakbyś próbował zaprzyjaźnić się z wulkanem. Ale wiesz co, chętnie obejrzałbym sobie ów prezent, który przysłali ci Kargowie. Sądząc po stopach, wart jest zobaczenia. Lecz jak wyciągnąć go z namiotu? Stopy są świetne, chętnie obejrzałbym kawałek kostki.

Lebannen poczuł, jak jego twarz tężeje. Odwrócił się, by nie okazywać tego kapitanowi.

– Gdyby ktoś dał mi taką paczkę – dodał Tosla, spoglądając w morze – otworzyłbym ją.

Król nie zdołał pohamować zniecierpliwienia. Tosla to dostrzegł; niewiele umykało jego uwagi. Uśmiechnął się cierpko i umilkł.

Wyszli na pokład.

– Chyba zaczyna się chmurzyć – zagadnął Lebannen.

– Na południu i zachodzie widać chmury burzowe – przytaknął Tosla. – Wejdziemy w nie wieczorem.

Stopniowo morze stawało się coraz bardziej niespokojne. Popołudniowe słońce nabrało odcienia mosiądzu. Ostre powiewy wiatru atakowały pokład ze wszystkich stron. Tenar wspomniała Lebannenowi, że księżniczka boi się morza i choroby morskiej, toteż zerknął na rufę, oczekując, że z rzędu kaczek znikną czerwone zasłony. Ale zniknęły Tenar i Tehanu. Księżniczka wciąż tam była. Obok niej siedziała Irian. Rozmawiały. O czym mogłaby rozmawiać kobieta-smok z Way i kobieta z haremu z Hur-at-Hur? Czy w ogóle potrafiły się porozumieć? Pytania te do tego stopnia nie dawały mu spokoju, że ruszył w stronę daszku na rufie.

Irian uniosła wzrok. Miała silną, szczerą twarz, szeroki uśmiech. Z wyboru chodziła na bosaka, nie przejmowała się ubraniem ani tym, że wiatr targa jej włosy. Wyglądała na ładną, zapalczywą, inteligentną, prostą wieśniaczkę, gdyby nie oczy... Miały barwę dymnego bursztynu, a gdy patrzyła wprost na Lebannena, tak jak w tej chwili, nie potrafił w nie spojrzeć.

Już wcześniej wyraźnie oświadczył, że na pokładzie nie życzy sobie żadnych dworskich ceremonii, żadnych ukłonów ani dygów. Nikt nie miał zrywać się z miejsca, gdy się zbliżył. Ale księżniczka wstała. Istotnie, jak zauważył Tosla, miała piękne stopy – niezbyt drobne, lecz wysoko wysklepione, silne i zgrabne. Dwie smukłe stopy na białych deskach pokładu. Lebannen powoli uniósł wzrok i przekonał się, że tak jak podczas ostatniego spotkania księżniczka rozsunęła zasłony, aby mógł ujrzeć jej twarz. Oszołomiła go surowa, niemal tragiczna uroda owej twarzy w czerwonym cieniu.

– Czy... czy wszystko w porządku, księżniczko? – spytał, zająknąwszy się lekko. Rzadko mu się to zdarzało.

– Moja przyjaciółka Tenar mówi, wdychaj wiatr – odparła.

– Tak – rzekł, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Czy twoi magowie mogliby jakoś jej pomóc? – spytała Irian, także wstając. Obie z kargijską księżniczką nie zaliczały się do niskich kobiet.

Lebannen próbował ustalić, jaką barwę mają oczy księżniczki, skoro w końcu je ujrzał. Niebieskie, pomyślał. Lecz przypominają błękitne opale kryjące w sobie inne barwy. A może sprawiało to słońce przenikające przez czerwony welon.

– Pomóc?

– Bardzo nie chce znów chorować. Miała niezwykle ciężką podróż z Wysp Kargadzkich.

– Nie bać się – powiedziała księżniczka. Patrzyła wprost na niego, jakby rzucała mu wyzwanie. Tylko jakie?

– Oczywiście – rzekł – oczywiście. Spytam Onyksa. Jestem pewien, że coś poradzi. – Ukłonił się pospiesznie i odszedł poszukać maga.

Onyks i Seppel naradzili się, po czym zasięgnęli porady Olchy. Zaklęcie chroniące przed chorobą morską raczej nie było domeną wykształconych i potężnych magów, lecz czarowników uzdrowicieli. Oczywiście Olcha sam nie mógł nic zrobić, ale może pamięta jakiś urok? Niestety, nie znał żadnego. Nigdy nie podróżował morzem, póki nie zaczęły się jego kłopoty. Seppel wyznał, że sam także choruje w małych łódkach bądź przy złej pogodzie. W końcu Onyks podszedł do księżniczki, prosząc o wybaczenie. Nie potrafił jej pomóc, mógł tylko nieśmiało zaproponować talizman, który wręczył mu jeden z marynarzy, słysząc o obawach księżniczki. Marynarze, jak wiadomo, słyszą wszystko.

Spomiędzy czerwonozłocistych zasłon wynurzyła się dłoń o długich palcach. Mag umieścił w niej dziwny, czarno-biały przedmiot – suszone wodorosty oplatające mostek ptaka.

– To kość petrela, bo petrele szybują wśród burzy – wyjaśnił zawstydzony Onyks.

Księżniczka skłoniła niewidoczną głowę i wymamrotała słowa podziękowania po kargijsku. Fetysz zniknął pośród zasłon. Wycofała się do kabiny.

Statek kołysał się energicznie, niesiony porywistym wiatrem. Onyks spotkał na pokładzie króla.

– Gdybyś chciał, panie – rzekł – mógłbym przemówić do wiatrów...

Lebannen doskonale wiedział, iż istnieją dwie szkoły dotyczące zmian pogody: stara szkoła zaklinaczy, którzy rozkazywali, by wiatry służyły statkom tak jak owczarek kieruje owcami, i nowa, licząca sobie najwyżej kilkaset lat, pochodząca z Roke, głosząca, iż magiczny wiatr można przywołać w potrzebie, lepiej jednak zaufać zwykłym wiatrom. Wiedział, iż Onyks jest gorącym wyznawcą poglądów z Roke.

– Wystarczy mi twój osąd, Onyksie. Jeśli uznasz, że czeka nas naprawdę trudna noc... A może spotkamy tylko kilka szkwałów...

Onyks spojrzał na czubek masztu, na którym w nagle zapadłym mroku błysnęły już pierwsze ogniki. W ciemności przed nimi, na południu, rozległ się ogłuszający grzmot. Za nimi ostatnie światło dnia odbijało się słabo we wzburzonych falach.

– Dobrze – rzekł z nieszczęśliwą miną i wrócił do niewielkiej zatłoczonej kabiny.

Lebannen niemal cały czas pozostawał na pokładzie. Tutaj też sypiał. Lecz tej nocy nikt z załogi i pasażerów „Delfina" nie zażył snu. Nie jeden szkwał, lecz cała seria letnich burz zaatakowała ich z południowego zachodu, upiorne rozbłyski piorunów odbijały się w spienionym morzu, ogłuszające grzmoty zdawały się wstrząsać statkiem i rozbijać go na kawałki, szaleńcze porywy wiatru rzucały okrętem jak słomką; noc była długa i bardzo głośna.

Raz jeden Onyks spytał Lebannena, czy ma przemówić do wiatru. Lebannen spojrzał na kapitana, który wzruszył ramionami. Wraz z całą załogą mieli pełne ręce roboty, nie przejmowali się jednak. Statkowi nic nie groziło, a co do kobiet, ponoć siedziały w swej kabinie i grały w kości. Wcześniej Irian z księżniczką wyszły na pokład, chwilami jednak trudno było utrzymać się na nogach, a do tego przeszkadzały marynarzom, toteż wycofały się do siebie. O tym, że grają, poinformował pomocnik kucharza, którego posłano, by spytał, czy chciałyby coś zjeść. Zażyczyły sobie wszystkiego, co mógłby przynieść.

Lebannen odkrył nagle, że znów ogarnia go ciekawość, którą poczuł już wcześniej po południu. W kabinie na rufie cały czas płonęły lampy; ich blask odbijał się złociście w pianie ścigającej statek. Około północy król poszedł na rufę i zastukał.

Drzwi otworzyła Irian. Po mroku i rozbłyskach burzy światło lamp w kabinie wydawało się ciepłe i spokojne, choć rozkołysane lampy rzucały tańczące cienie. Zaatakowały go kolory, miękkie barwy kobiecych strojów i ich skóry, brązowej, bladej bądź złotej, włosów czarnych, siwych, płowych, oczu – oczy księżniczki spoglądały na niego zaskoczone. Pochwyciła szal, by ukryć za nim twarz.

– Och, myślałyśmy, że to kuchcik! – Irian się roześmiała.

– Kłopoty? – spytała Tehanu w swój cichy przyjazny sposób.

Nagle zorientował się, że stoi w drzwiach i wpatruje się w nie niczym niemy posłaniec losu.

– Nie, żadnych problemów. U was wszystko w porządku? Przepraszam, że tak kołysze.

– Nie odpowiadasz za pogodę – odparła Tenar. – Żadna z nas nie mogła spać, więc razem z księżniczką uczymy nasze towarzyszki kargijskich gier.

Ujrzał rozrzucone po stole pięciościenne kości. Prawdopodobnie należały do Tosli.

– Stawiałyśmy wyspy, ale przegrywamy z Tehanu – oznajmiła Irian. – Kargowie zdobyli już Ark i Ilien.

Księżniczka opuściła szal. Z rezolutną miną siedziała naprzeciw Lebannena, potwornie spięta, niczym młody szermierz przed pojedynkiem. W cieple kabiny wszystkie chodziły boso, z odsłoniętymi ramionami, lecz jej skrępowanie z powodu niezakrytej twarzy przyciągało jego uwagę niczym magnes szpilkę.

– Przepraszam, że tak kołysze – powtórzył idiotycznie i odwracając się, usłyszał ich śmiech.

Wrócił na swoje miejsce obok sternika. Spoglądając w wietrzną deszczową ciemność rozświetlaną kapryśnymi odległymi błyskawicami, wciąż przed oczami miał kobiecą kabinę – czarny wodospad włosów Tehanu, czuły ironiczny uśmieszek Tenar, kości na stole, krągłe ramiona księżniczki (w blasku lampy miały barwę miodu), jej szyja w cieniu włosów, choć nie pamiętał, by w ogóle patrzył na jej ramiona i szyję. Wyłącznie na twarz. W oczy pełne uporu, patrzące wyzywająco, z rozpaczą. Czego ona się bała? Czyżby sądziła, że chce ją skrzywdzić?

Na niebie zalśniły pierwsze gwiazdy. Lebannen wrócił do zatłoczonej kabiny, rozwiesił sobie hamak, bo koje były już pełne, i przespał się kilka godzin. Ocknął się przed świtem, dalej dręczony niepokojem, i wrócił na pokład.

Dzień był pogodny i spokojny, zupełnie jakby w nocy nie szalała burza. Lebannen przy relingu na dziobie patrzył, jak pierwsze promienie słońca muskają taflę wody. Nagle przypomniał sobie starą pieśń:

Radości ma!
Nim Segoy dźwignął wyspy z dna
Jasna Ea stanęła wśród skał,
poranny wiatr nad morzem wiał.
Bądź wolna, radości ma!

Był to fragment kołysanki z jego dzieciństwa, więcej nie pamiętał. Melodia brzmiała słodko. Lebannen zanucił ją cicho, pozwalając, by wiatr porywał mu słowa z ust.

W drzwiach kabiny stanęła Tenar, dostrzegła go i podeszła bliżej.

– Dzień dobry, mój miły panie – rzekła.

Powitał ją ciepło. Pamiętał, że gniewał się na nią, ale nie pamiętał czemu i jak to w ogóle było możliwe.

– Czy wczoraj zdobyłyście Havnor dla Kargów? – zapytał.

– Nie, możesz zatrzymać Havnor. Poszłyśmy spać. Młode panny wciąż jeszcze drzemią. Czy dziś, jak to się mówi, zastukamy do Roke?

– Przybijemy do Roke? Nie, dopiero jutro rano. Przed południem powinniśmy znaleźć się w porcie Thwil. Jeśli dopuszczą nas do wyspy.

– To znaczy?

– Roke broni się przed niechcianymi gośćmi.

– Och, Ged wspominał mi o tym. Był kiedyś na statku i próbował tam dopłynąć, ale posłali przeciw niemu wiatr. Wiatr z Roke, tak to nazywał.

– Przeciw niemu?

– To było dawno temu. – Widząc pełną niedowierzania minę Lebannena, roześmiała się radośnie. Tak bardzo nie chciał, by ktokolwiek wyrządził kiedykolwiek afront Gedowi. – Był wtedy jeszcze chłopcem i igrał z ciemnością. Tak powiedział.

– Gdy był mężczyzną, nadal z nią igrał.

– Teraz tego nie robi – odparła błogo Tenar.

– Nie, teraz my musimy się tym zająć. Chciałbym wiedzieć, z czym mamy do czynienia. Jestem przekonany, iż wszystko zmierza do wielkiej przemiany, tak jak przepowiadał Ogion, tak jak Ged powiedział Olsze. I jestem też pewien, że musimy stawić czoło owej przemianie na Roke. Poza tym jednak nie wiem nic. Nie mam

pojęcia, z czym przyjdzie się nam zmierzyć. Gdy Ged zabrał mnie do mrocznej krainy, znaliśmy naszego wroga. Kiedy powiodłem flotę na Sorrę, wiedziałem, jakie zło zamierzam naprawić. Ale teraz... Czy smoki to nasi wrogowie, czy sojusznicy? Co się stało? Co musimy zrobić bądź zniszczyć? Czy mistrzowie Roke zdołają nam powiedzieć? A może zwrócą przeciw nam swój wiatr?

– W obawie przed...?

– W obawie przed smokiem. Tym, którego znają. Albo którego nie znają...

Tenar spoważniała, lecz powoli jej twarz rozjaśnił uśmiech.

– Niezłą przywozisz im zbieraninę. Nękany koszmarami czarownik, czarnoksiężnik z Palnu, dwa smoki i dwie Kargijki. Jedyni godni szacunku pasażerowie na tym statku to ty i Onyks.

Lebannen nie potrafił się zaśmiać.

– Gdyby tylko on był z nami – rzekł.

Tenar położyła mu dłoń na ramieniu. Zaczęła coś mówić; umilkła.

Nakrył dłonią jej rękę. Stali tak długą chwilę w milczeniu, obok siebie, patrząc na roztańczone morze.

– Księżniczka chce ci coś powiedzieć, nim dotrzemy na Roke – oznajmiła Tenar. – To historia z Hur-at-Hur. Tam na pustyni ludzie pamiętają historie, które sięgają w przeszłość dalej niż cokolwiek, co zdarzyło mi się słyszeć, poza opowieścią kobiety z Kemay. Ma to coś wspólnego ze smokami. Zechcesz ją wezwać, by nie musiała prosić?

Świadom ostrożności i troski, z jaką mówiła, przez moment poczuł ukłucie zniecierpliwienia, wstydu. Patrzył, jak daleko na południu po morzu wędruje galera zmierzająca na Kemay bądź Way – maleńki jasny rozbłysk pośród fal.

– Oczywiście – rzekł. – Koło południa?

– Dziękuję.

***

Koło południa Lebannen posłał młodego marynarza do kabiny z prośbą, by księżniczka przyszła do króla na pokład. Pojawiła się

natychmiast. Lebannen obserwował, jak zbliża się ku niemu. Droga nie była długa, choć może dla niej taką się wydawała, albowiem próg kabiny przekroczył nie gładki czerwony walec, lecz wysoka młoda kobieta. Miała na sobie miękkie białe spodnie, długą koszulę o barwie dymnej czerwieni i złoty diadem na głowie podtrzymujący bardzo cienki czerwony welon zasłaniający włosy i twarz. Welon trzepotał, unoszony powiewami morskiego wiatru. Młody marynarz przeprowadził księżniczkę pośród licznych przeszkód zakamarkami wąskiego zatłoczonego pokładu. Księżniczka stąpała powoli i dumnie. Była bosa. Wszystkie oczy na pokładzie skierowały się wprost na nią.

W końcu dotarła na dziób i przystanęła.

Lebannen się ukłonił.

– Twoja obecność przynosi nam zaszczyt, księżniczko.

Odpowiedziała głębokim dygnięciem z wyprostowaną głową i plecami.

– Dziękuję.

– Mam nadzieję, że w nocy nie chorowałaś.

W odpowiedzi położyła dłoń na amulecie, który zawiesiła sobie na szyi, małej kostce okręconej czymś czarnym.

– *Kerez akath akatharwa erevi* – powiedziała. Wiedział, że po kargijsku słowo *akath* oznacza maga bądź magię.

Wszędzie wokół dostrzegał oczy, oczy w mrocznych kątach, pośród olinowania, w żaglach, oczy zwiastujące przyszłość, błyszczące, przenikliwe.

– Zechcesz pójść na przód statku? Może wkrótce ujrzymy Roke – zaproponował, choć nie istniała najmniejsza szansa, by przed porankiem zobaczyli wyspę.

Poprowadził ją, podsuwając rękę pod jej łokieć, nie dotykając jej jednak. Pokonali wzniesienie pokładu aż na sam dziób, gdzie pomiędzy kabestanem, bukszprytem i relingiem pozostał niewielki trójkątny podest. Naprawiający na nim liny marynarz odbiegł pospiesznie. Zostali sami. Wciąż byli obserwowani, mogli jednak odwrócić się plecami do załogi. Królowie i księżniczki nie mogą liczyć na większą prywatność.

Księżniczka zwróciła się twarzą ku niemu i podniosła welon. Lebannen zamierzał spytać, co może dla niej zrobić, lecz nagle pytanie to wydało się pozbawione sensu, nieważne. Milczał.

– Panie królu – rzekła. – Na Hur-at-Hur jestem *feyagat*. Na Roke mam być córką króla Kargadu. Nie będę więc *feyagat*. Mam gołą twarz. Jeśli to cię raduje.

– Tak – odparł po chwili. – Tak, księżniczko. Dobrze zrobiłaś.

– Raduje cię?

– I to bardzo. O tak. Dziękuję ci, księżniczko.

– *Barrezu* – rzekła jak królowa przyjmująca podziękowania.

Ogarnął go wstyd wobec niezwykłej godności księżniczki. Przed chwilą, gdy uniosła welon, jej twarz pokrył ognisty rumieniec. Teraz pobladła. Stała jednak prosto i nieruchomo, zbierając siły do kolejnej przemowy.

– Też – rzekła. – Ja też. Moja przyjaciółka Tenar.

– Nasza przyjaciółka Tenar – poprawił z uśmiechem.

– Nasza przyjaciółka Tenar. Mówi, że mam powiedzieć królowi Lebannenowi o Vedurnan.

Powtórzył to słowo.

– Dawno temu, dawno temu, ludzie z Kargu, ludzie magiczni, ludzie smoki, ha? Tak? Wszyscy ludzie jedno, wszyscy mówią jeden... jeden... Och! *Wuluah Mekrrevt!*

– Jeden język?

– Ha! Tak! Jeden język! – Tak bardzo skupiła się na próbach mówienia po hardycku, wyrażenia wszystkiego, co chciała rzec, że zapomniała o skrępowaniu. Jej twarz i oczy pojaśniały. – Ale potem ludzie smoki mówią: Zostawić, zostawić wszystko. Latać! Ale my ludzie mówimy: Nie, trzymać. Trzymać wszystko. Mieszkać. I rozdzielamy się, tak? Ludzie-smoki i ludzie-my. Wtedy zawrzeć Vedurnan. Ci zostawiają, ci trzymają. Tak? Ale żeby zatrzymać rzeczy, musimy zostawić tamten język. Język ludzi-smoków.

– Dawną Mowę?

– Tak! Więc my, ludzie, zostawiamy język Dawna Mowa i zatrzymujemy wszystkie rzeczy, a ludzie-smoki zostawiają wszystkie rzeczy, lecz zatrzymują język. Ha? *Seyneha?* To właśnie Vedurnan. – Wdzięcznie gestykulowała pięknymi dużymi dłońmi. Patrzyła mu

w twarz z nadzieją, że zrozumiał. – My iść na wschód, wschód, wschód. Ludzie smoki na zachód, zachód. My mieszkać, oni latać. Niektóre smoki odejść na wschód z nami, ale nie trzymać języka, zapomnieć i zapomnieć, jak latać. Jak Kargowie. Kargowie mówią język Kargów, nie smoków. Wszyscy dotrzymać Vedurnan, wschód, zachód. *Seyneha?* Ale...

Połączyła ręce wskazujące na „wschód" i „zachód".

– Pośrodku? – odgadł Lebannen.

– Ha, tak! Pośrodku! – Zaśmiała się z radości poznania nowego słowa. – Pośrodku wy! Ludzie czarów! Ha? Wy, ludzie środka, mówić po hardycki, ale też trzymać Dawna Mowa. Uczycie się jej. Tak jak ja hardyckiego. Ha? Mówić. A potem, potem to złe. Zła rzecz. Potem wy mówicie w języku czarów, języku Dawnej Mowie: Nie umrzemy. I tak być. Vedurnan złamany.

Jej oczy płonęły błękitnym ogniem.

Po chwili spytała:

– *Seyneha?*

– Nie jestem pewien, czy rozumiem.

– Wy trzymać życie. Trzymać. Za długo. Nigdy nie zostawiać. Ale umrzeć... – Wyrzuciła ręce w powietrze w szerokim geście, jakby coś ciskała w dal nad wodę.

Ze smutkiem pokręcił głową.

– Ach... – Przez chwilę zastanawiała się, nie znalazła jednak odpowiednich słów. Pokonana, uniosła ręce dłońmi do góry we wdzięcznym geście poddania. – Muszę uczyć się więcej.

– Księżniczko, Mistrz Wzorów z Roke, mistrz z Gaju... – patrzył na nią, szukając śladów zrozumienia. Po chwili znów zaczął: – Na Roke mieszka człowiek, wielki mag, który jest Kargiem. Możesz powiedzieć mu to, co mnie, we własnej mowie.

Księżniczka słuchała uważnie. Skinęła głową.

– Przyjaciel Irian. Sercem pragnę pomówić z nim. – Rozpromieniła się wyraźnie.

Lebannen poczuł wzruszenie.

– Przykro mi, że byłaś tu samotna, księżniczko.

Spojrzała na niego czujna, promienna. Nie odpowiedziała.

– Mam nadzieję, że z czasem, gdy nauczysz się języka...

– Szybko się uczę – odparła.

Nie wiedział, czy to stwierdzenie, czy obietnica.

Patrzyli wprost na siebie.

Księżniczka powróciła do dworskiej maniery i przemówiła uroczyście jak na początku:

– Dziękuję, że ty wysłuchać, panie królu. – Opuściła głowę i oczy w geście szacunku. Potem znów dygnęła głęboko, mówiąc coś po kargijsku.

– Proszę – rzekł Lebannen. – Powiedz mi, co mówiłaś.

Księżniczka umilkła, zawahała się, ale zaczęła tłumaczyć:

– Twoi, twoi, ach, mali królowie? Synowie! Twoi synowie, niech będą smokami i królami smoków. Ha? – Uśmiechnęła się radośnie, opuściła welon, który natychmiast zakrył jej całą twarz, cofnęła się cztery kroki, obróciła i odeszła zgrabnie i pewnie.

Lebannen stał bez ruchu, jakby piorun z zeszłej nocy w końcu go dosięgnął.

5

Połączenie

Ostatnia noc morskiej podróży była spokojna, ciepła, bezgwiezdna. „Delfin” pokonywał kolejne łagodne fale, zmierzając na południowy zachód. Ludzie łatwo zasnęli i pogrążeni we śnie śnili.

Olcha śnił o zwierzątku, które podeszło doń w ciemności i dotknęło dłoni. Nie widział, co to za zwierzę, a kiedy wyciągnął rękę, zniknęło. Nagle znów poczuł, jak mały aksamitny pyszczek dotyka jego palców. Uniósł się i sen umknął, lecz w sercu pozostał ból tęsknoty za czymś utraconym.

Na koi pod nim Seppel śnił, że jest we własnym domu w Ferao na Palnie i czyta starą Księgę Wiedzy z mrocznych czasów. Z zadowoleniem oddawał się pracy, nagle jednak mu przerwano. Ktoś chciał się z nim widzieć.

– To potrwa tylko chwilkę – rzekł do siebie i wyszedł pomówić z gościem. Przybysz okazał się kobietą o ciemnych włosach połyskujących czerwienią, a twarzy pięknej i zatroskanej.

– Musisz go do mnie przysłać – rzekła. – Przyślesz go do mnie, prawda?

Nie wiem, o co jej chodzi, pomyślał. Ale muszę udawać, że wiem. Toteż odparł:

– To nie będzie łatwe.

W tym momencie kobieta cofnęła rękę i ujrzał, że trzyma w niej kamień, ciężki kamień. Zaskoczony przestraszył się, że zamierza go

nim uderzyć. Odskakując gwałtownie, ocknął się w ciemności kabiny. Przez długi czas leżał, nasłuchując oddechu śpiących i szeptu morza za burtą.

W koi po drugiej stronie niewielkiego pomieszczenia Onyks leżał na wznak, patrząc w ciemność. Sądził, że ma otwarte oczy, że nie śpi. Lecz miał wrażenie, jakby jego ręce i nogi, głowę i dłonie oplatało mnóstwo cienkich sznurków, których końce znikały w mroku ponad lądem i morzem, aż za krzywizną świata. I pociągały go, szarpały tak, że on i statek wraz ze wszystkimi pasażerami podążali powoli, łagodnie do miejsca, w którym morze wysycha, w którym okręt w ciszy osiądzie na mieliźnie ślepych piasków. Nie mógł jednak niczego powiedzieć, nic zrobić, bo sznurki zamykały mu usta i oczy.

Lebannen poszedł spać do kabiny. Rankiem, kiedy przybiją do wyspy Roke, chciał mieć świeży umysł. Zasnął szybko, głęboko, a jego sny nieustannie się zmieniały. Wysokie zielone wzgórze nad morzem. Kobieta, która z uśmiechem podniosła rękę, pokazując, iż potrafi sprawić, że słońce wzejdzie. Posłaniec na dworze w Havnorze, od którego z przerażeniem i wstydem dowiedział się, że połowa jego ludu umiera z głodu w zamkniętych pomieszczeniach pod domami. Dziecko krzyczące: „Chodź do mnie!”, on jednak nie potrafił go znaleźć. A gdy tak spał, prawą rękę zaciskał mocno na kamyku w niewielkim woreczku na szyi.

Kobiety także śniły. Seserakh wędrowała w góry, piękne, ukochane, pustynne góry jej ojczyzny. Szła jednak zakazaną ścieżką, Smoczą Drogą. Ludzkie stopy nie mogą po niej stąpać, nawet jej przekroczyć. Pod bosymi nogami czuła gładki, ciepły piasek. Cały czas myślała, że nie wolno jej tędy iść. Ale szła, aż w końcu uniosła wzrok i przekonała się, że góry nie są tymi, które zna, lecz czarnymi, poszarpanymi wierzchołkami, na które nigdy nie zdołałaby się wspiąć. A jednak musiała.

Irian leciała radośnie, niesiona burzowym wiatrem, lecz burza posłała ku niej pętlę błyskawic, wiążąc jej skrzydła i ściągając coraz niżej i niżej w stronę chmur. A gdy się do nich zbliżyła, odkryła, że to nie chmury, lecz czarne skały. Czarne, poszarpane górskie pasmo. Błyskawice więziły jej skrzydła, przyciskały do boków, i runęła.

Tehanu czołgała się tunelem głęboko pod ziemią. Brakowało jej powietrza, tchu. Tunel stawał się coraz węższy, nie mogła zawrócić. Czasami jednak widywała połyskujące w ciemności korzenie drzew przebijające ziemię. Chwytała je i podciągała się naprzód, w ciemność.

Tenar wspinała się po stopniach przed Tronem Bezimiennych w świątyni na Atuanie. Była niska, a stopnie bardzo wysokie, toteż pokonywała je z najwyższym trudem. Kiedy jednak dotarła do czwartego stopnia, nie zatrzymała się i nie odwróciła, jak poleciły jej kapłanki. Pokonała następny, kolejny i jeszcze kolejny, pokryty warstwą pyłu tak grubą, że całkowicie przesłaniała kamień. Tenar musiała na oślep szukać kolejnego progu, na którym nigdy nie stanęła ludzka stopa. Wspinała się szybko, ponieważ tuż za Pustym Tronem Ged zostawił bądź zgubił coś bardzo ważnego dla tysięcy ludzi, a ona musiała to znaleźć. Kamień, kamień, powtarzała w myślach. A kiedy w końcu wczołgała się za Tron, ujrzała jedynie pył – odchody sów i pył.

W alkowie domu Starego Maga na Overfell na Goncie Ged śnił, że jest Arcymagiem. Rozmawiał ze swym przyjacielem Thorionem. Razem wędrowali Korytarzem Run do sali spotkań mistrzów szkoły.

– Nie mam już żadnej mocy – powiedział otwarcie – i to od lat.

Mistrz Przywołań się uśmiechnął.

– Ale wiesz, to był tylko sen.

Niepokój Geda budziły długie czarne skrzydła, które wlokły się za nim korytarzem. Wzruszył ramionami, próbując je podnieść, jednak ciągnęły się wciąż po podłodze niczym puste worki.

– A ty masz skrzydła? – spytał przyjaciela.

– O tak – odparł Thorion pogodnie, pokazując mu własne skrzydła, przywiązane ciasno do pleców i nóg wieloma cienkimi sznurkami. – Jestem dobrze spętany – dodał.

Wśród drzew Wewnętrznego Gaju na Roke Mistrz Wzorów Azver, jak zwykle latem, spał na polanie, nieopodal wschodniego skraju lasu. Mógł stąd widzieć przeświecające przez liście gwiazdy. Zwykle nawiedzały go lekkie, przejrzyste sny. Jego umysł wędrował pomiędzy marzeniami a myślami, kierując się wskazaniami gwiazd i liści, zmieniających miejsca w nieustannym tańcu. Lecz tej nocy

gwiazdy nie świeciły, a liście wisiały nieruchomo. Spojrzał w mroczne niebo i przeniknął wzrokiem chmury. Na wysokim czarnym firmamencie lśniły gwiazdy – małe, jasne, nieruchome. Nie poruszały się. Wiedział, że ranek nie nadejdzie. I wtedy usiadł gwałtownie, budząc się, spoglądając w słabe miękkie światło, zawsze wypełniające dróżki między drzewami. Jego serce biło powoli i bardzo mocno.

W Wielkim Domu młodzi mężczyźni wiercili się i krzyczeli we śnie. Śniło im się, że muszą walczyć z potężną armią na pylistej równinie. Lecz wojsko, które stanęło naprzeciw nich, składało się ze starców, starych kobiet, ludzi słabych i chorych, zapłakanych dzieci.

Mistrzowie Roke śnili, że morzem zbliża się ku nim statek, głęboko zanurzony w wodzie, bo wiezie wielki ciężar. Jednemu z nich śniło się, iż ładunek statku to czarne skały. Inny sądził, że ogień. Jeszcze inny – że sny.

Siedmiu mistrzów śpiących w Wielkim Domu budziło się kolejno w swych kamiennych celach. Przywołali magiczne światła i wstali. Przy drzwiach zastali już Mistrza Odźwiernego.

– O świcie – rzekł z uśmiechem – przybędzie król.

***

– Pagórek Roke – oznajmił Onyks, patrząc na odległą, niewyraźną, nieruchomą falę na południowym zachodzie, wznoszącą się ponad rozświetlone pierwszym brzaskiem wody. Lebannen milczał. Chmury się rozproszyły, nad wielkim kręgiem morza wisiała czysta, bezbarwna kopuła nieba.

Podszedł do nich kapitan Tosla.

– Piękny poranek – szepnął.

Łuna na wschodzie pojaśniała, nabrała barwy złota. Lebannen obejrzał się za siebie. Dwie kobiety już wstały. Stanęły razem przy relingu, wysokie, bose, milczące. Patrzyły na wschód.

Pierwsze promienie słońca padły na szczyt krągłego zielonego wzgórza. Nastał już dzień, gdy wpłynęli pomiędzy przylądki zatoki

Thwil. Wszyscy zebrali się na pokładzie. Rzadko się odzywali.

W porcie wiatr ucichł. W nieruchomej wodzie odbijało się miasteczko nad zatoką i mury Wielkiego Domu nad miastem. Statek sunął coraz wolniej i wolniej.

Lebannen zerknął na kapitana, potem na Onyksa. Kapitan przytaknął, czarnoksiężnik uniósł ręce i rozchylił je powoli w geście zaklęcia. Wymamrotał jedno słowo.

Statek przestał zwalniać. Sunął łagodnie, póki nie dobił do najdłuższego pomostu. Wówczas kapitan wydał rozkaz. Marynarze zwinęli wielki żagiel, inni zaczęli rzucać liny do ludzi w porcie. Krzyki zakłóciły osobliwą ciszę.

W przystani czekali ludzie pragnący ich powitać, mieszkańcy miasta i grupa młodzieńców ze szkoły. Wśród nich stał potężny, rosły, ciemnoskóry mężczyzna dzierżący w dłoni ciężką, dorównującą mu wysokością laskę.

– Witaj na Roke, królu krain zachodnich – powiedział, występując naprzód. Marynarze rzucili trap. – Witam też wszystkich twoich towarzyszy.

Młodzi ludzie i mieszczanie wykrzyknęli radośnie, pozdrawiając króla. Lebannen odpowiedział wesoło, schodząc na ziemię. Powitał Mistrza Przywołań i przez chwilę rozmawiali.

Obserwatorzy widzieli wyraźnie, że Mistrz Przywołań marszczy brwi. Jego wzrok nieustannie wędrował w stronę stojących przy relingu kobiet, a odpowiedzi wyraźnie nie zadowalały króla.

Gdy Lebannen wrócił na pokład, podeszła do niego Irian.

– Królu i panie – powiedziała – możesz przekazać mistrzom, że tym razem nie chcę przekraczać progu ich domu? Nie weszłabym tam, nawet gdyby mnie zaprosili.

– Mistrz Wzorów zaprasza cię do siebie, do Gaju – odpowiedział Lebannen niezwykle surowo.

Słysząc to, Irian roześmiała się promiennie.

– Wiedziałam, że to zrobi. A Tehanu pójdzie ze mną.

– I moja matka – szepnęła Tehanu.

Spojrzał na Tenar, która przytaknęła.

– Niechaj i tak będzie – rzekł – a reszta z nas zamieszka w Wielkim Domu. Chyba że ktoś woli gdzie indziej?

– Za pozwoleniem, panie – odezwał się Seppel – ja także chciałbym prosić o gościnę Mistrza Wzorów.

– Seppelu, to nie będzie konieczne – wtrącił szorstko Onyks. – Chodź do mego domu.

Palneński czarnoksiężnik uniósł dłoń w przepraszającym geście.

– Nie chciałem urazić twoich przyjaciół, przyjacielu, lecz całe życie marzyłem o tym, by przejść się wśród drzew Wewnętrznego Gaju. Będę tam swobodniejszy niż tutaj.

– Możliwe, że drzwi Wielkiego Domu są nadal przede mną zamknięte – wtrącił z wahaniem Olcha.

Blada twarz Onyksa poczerwieniała ze wstydu.

Ukryta w mroku welonu księżniczka zwracała się kolejno ku każdemu mówiącemu. Wyraźnie próbowała zrozumieć, o czym mowa.

– Proszę, panie królu, mogę być z moją przyjaciółką Tenar, moją przyjaciółką Tehanu i Irian, i pomówić z tym Kargiem?

Lebannen obejrzał się na Mistrza Przywołań czekającego u trapu i wybuchnął śmiechem. Potem przemówił czystym, przyjaznym głosem:

– Moi ludzie długo tłoczyli się w kabinach statku, Mistrzu Przywołań. Najwyraźniej tęsknią za tym, by poczuć pod stopami trawę, a nad głowami liście. Jeśli wszyscy poprosimy Mistrza Wzorów, by nas przyjął, a on się zgodzi, wybaczysz nam, że zrezygnujemy z gościnności Wielkiego Domu? Przynajmniej na jakiś czas.

Po chwili Mistrz Przywołań sztywno skłonił głowę.

Obok niego pojawił się niski, przysadzisty mężczyzna. Popatrzył z uśmiechem na Lebannena, unosząc laskę ze srebrzystego drewna.

– Panie – rzekł – kiedyś, dawno temu, zaprowadziłem cię do Wielkiego Domu i opowiedziałem stek kłamstw.

– Hazard! – wykrzyknął Lebannen. Spotkali się na trapie i objęli. Pogrążeni w rozmowie zeszli na ląd.

Onyks pierwszy podążył za królem. Z powagą i szacunkiem przywitał Mistrza Przywołań, potem odwrócił się do Hazarda.

– Jesteś teraz Mistrzem Wiatrów? – spytał i także go objął. – Godny mistrz, doprawdy. – Odprowadzając Hazarda na bok, zaczął

mówić coś szybko, marszcząc czoło.

Lebannen wezwał pozostałych pasażerów, by zeszli na ląd. Przedstawiał ich kolejno dwóm mistrzom z Roke, Mistrzowi Przywołań Brandowi i Mistrzowi Wiatrów Hazardowi.

Na większości wysp Archipelagu ludzie nie dotykali dłoni na powitanie, jak to było w zwyczaju na Enladzie, jedynie skłaniali głowy albo unosili ręce do serca w geście oddania. Gdy Irian i Mistrz Przywołań stanęli naprzeciw siebie, nie uczynili żadnego gestu. Stali sztywno ze spuszczonymi rękami.

Księżniczka dygnęła nisko, sztywno.

Tenar skłoniła głowę, Mistrz Przywołań odpowiedział tym samym.

– Kobieta z Gontu, córka Arcymaga, Tehanu – przedstawił Lebannen.

Tehanu pochyliła głowę i położyła dłoń na sercu, lecz Mistrz Przywołań spojrzał na nią wstrząśnięty i cofnął się, jakby otrzymał bolesny cios.

– Pani Tehanu – powiedział szybko Hazard, występując naprzód pomiędzy nią i swego towarzysza. – Witamy cię na Roke, z szacunku dla twego ojca, matki i ciebie samej. Mam nadzieję, że miałaś miłą podróż.

Tehanu spojrzała na niego zaskoczona i skuliła się w niezręcznym ukłonie, kryjąc twarz. Ledwo zdołała wyszeptać jakąś odpowiedź.

Oblicze Lebannena przypominało maskę z brązu, spokojną i pogodną.

– Tak, podróż mieliśmy dobrą, Hazardzie, choć wciąż nie wiemy, jak się zakończy. Czy zatem ruszymy już przez miasto? Tenar, Tehanu, księżniczko, Orm Irian? – Ostatnie imię wymówił ze szczególnym naciskiem.

Ruszył naprzód z Tenar, pozostali podążyli jego śladem. Gdy Seserakh zeszła na ląd, śmiałym gestem odrzuciła czerwony welon.

Hazard szedł z Onyksem, Olcha z Seppelem, Tosla został na statku. Jako ostatni przystań opuścił Mistrz Przywołań Brand. Szedł samotnie ciężkim krokiem.

***

Tenar wielokrotnie wypytywała Geda o Gaj. Lubiła, kiedy jej go opisywał.

– Z początku, na pierwszy rzut oka, przypomina zwykły zagajnik. Niezbyt wielki. Na północy i wschodzie pod samą jego granicę podchodzą pola. Na południu i zachodzie otaczają go wzgórza. Wygląda zwyczajnie, a jednak przyciąga wzrok i czasami z Pagórka Roke widać, że to las ciągnący się bez końca. Próbujesz dostrzec jego granice, ale nie możesz, ciągnie się daleko na zachód... A kiedy nim wędrujesz, znów wydaje się zwyczajny, choć drzewa należą w większości do gatunku rosnącego tylko tam, są wysokie, o brązowych pniach, czasem przypominają dęby, czasem kasztanowce.

– Jak się nazywają?

Ged roześmiał się.

– *Arhada*, w Dawnej Mowie. Drzewa... Po hardycku drzewa Gaju. Ich liście nie opadają jesienią, lecz częściowo o każdej porze roku, toteż zawsze jest tam zielono z przebłyskami złota. Nawet w mroczny dzień drzewa zdają się przechowywać w sobie blask słońca. A nocą nigdy nie zapada tam prawdziwy mrok. Liście migoczą niczym promienie gwiazd, księżyca. Rosną tam wierzby, dęby i świerki, a także inne gatunki. Gdy jednak wchodzisz głębiej, widzisz ich coraz mniej, a coraz więcej drzew Gaju. Korzeniami sięgają głębiej niż korzenie wysp. Niektóre są potężne, inne smukłe. Niewiele jednak znajdziesz powalonych, niewiele młodych. Żyją bardzo, bardzo długo. – Mówił miękkim głosem, rozmarzony. – Możesz wędrować bez końca w ich cieniu, w ich blasku, i nigdy nie opuścić Gaju.

– Czy Roke jest aż tak duża?

Spojrzał na nią z uśmiechem.

– Lasy tu i na górze Gont są tym samym lasem. Wszystkie lasy.

A teraz sama ujrzała Gaj. W ślad za Lebannenem pokonali kręte zdradzieckie uliczki Thwil. Przez jakiś czas wokół nich zbierali się

mieszkańcy miasta wychodzący na powitanie króla, ale powoli zostawali w tyle, gdy podróżnicy opuścili miasto i ruszyli drogą pomiędzy żywopłotami i farmami. Stopniowo droga zwężała się, zamieniała w ścieżkę mijającą wysokie, okrągłe wzgórze. Pagórek Roke.

Ged opowiedział jej także o Pagórku. W tym miejscu każda magia nabiera siły; wszystko ma swoją prawdziwą postać.

– Tylko tam – rzekł – nasza magia i Dawne Moce Ziemi spotykają się, łączą w jedno.

Wiatr szeleścił długą suchą trawą na wzgórzu. Źrebię osła galopowało na sztywnych nogach po rżysku, wymachując ogonem. Wzdłuż ogrodzenia przecinającego wąski strumyk wędrowało powoli stado krów. A w dali widać było drzewa, ciemne cieniste drzewa.

Lebannen pierwszy pokonał wał i mostek wiodący na słoneczną łąkę na skraju lasu. Przy strumieniu dostrzegli niewielki, rozsypujący się dom. Irian oderwała się od grupy, pobiegła naprzód, wśród traw, do domu i pogładziła ręką futrynę, tak jak zwykle po długiej nieobecności gładzi się i wita ulubionego konia lub psa.

– Kochany dom. – Odwróciła się do nich z uśmiechem. – Mieszkałam tu, kiedy byłam Ważką.

Rozejrzała się, mierząc wzrokiem pierwsze drzewa, a potem pobiegła naprzód.

– Azver! – zawołała.

Z cienia wynurzył się człowiek. Stanął w słońcu; jego włosy połyskiwały niczym czyste srebro. Stał bez ruchu. Irian podbiegła do niego. Uniósł ręce, a ona pochwyciła je mocno.

– Nie oparzę cię, tym razem cię nie oparzę – mówiła, śmiejąc się i płacząc bez łez. – Zgasiłam swój ogień!

– Córko Kalessina, witaj w domu.

– Jest ze mną moja siostra.

Wówczas Azver odwrócił swą twarz – jasną, twardą kargijską twarz – i spojrzał na Tehanu. Podszedł do niej i ukląkł na oba kolana.

– *Hama Gondun!* – powiedział i dodał ponownie: – Córko Kalessina.

Tehanu przez moment trwała bez ruchu. Powoli wyciągnęła do niego prawą spaloną rękę, szpon. On skłonił się, ujął ją i ucałował.

– To dla mnie zaszczyt, że mogłem przepowiedzieć twoje przybycie, Kobieto z Gontu – rzekł z pełną zachwytu czułością.

Potem wstał i ukłonił się przed Lebannenem.

– Witaj, mój królu.

– Rad jestem, mogąc ujrzeć cię ponownie, Mistrzu Wzorów. Sprowadziłem do twej samotni cały tłum.

– W mojej samotni i tak panuje tłok – odparł Mistrz Wzorów. – Kilka żywych dusz pomoże przywrócić tu równowagę.

Jego oczy, jasne niebiesko-zielone oczy patrzyły na nich bystro. Nagle uśmiechnął się ciepło, szeroko. Uśmiech ten nie pasował do jego twardej twarzy.

– Widzę też kobiety z mojego ludu – powiedział po kargijsku i podszedł do Tenar i Seserakh.

– Jestem Tenar z Atuanu, z Gontu. Moja towarzyszka to Najwyższa Księżniczka Wysp Kargadzkich.

Mistrz Wzorów ukłonił się głęboko. Seserakh odpowiedziała sztywnym dygnięciem. Z jej ust wylał się potok kargijskich słów.

– Och, panie kapłanie, cieszę się, że tu jesteś. Gdyby nie moja przyjaciółka Tenar, oszalałabym na pewno. Myślałam już, że na świecie nie pozostał nikt, kto potrafi mówić jak człowiek, poza głupimi kobietami, które przysłano ze mną z Awabath. Ale uczę się mówić jak oni i uczę się odwagi. Tenar to moja przyjaciółka i nauczycielka, lecz zeszłej nocy złamałam tabu! Złamałam tabu. Och, panie kapłanie, proszę, powiedz mi, jak mam to odpokutować? Szłam Smoczą Drogą!

– Ale przecież byłaś na statku, księżniczko – przypomniała Tenar (Śniłam – wtrąciła niecierpliwie Seserakh) – a Mistrz Wzorów to nie kapłan, lecz... mag...

– Księżniczko – przerwał jej Azver – myślę, że wszyscy wędrujemy Smoczą Drogą i wszystkie tabu mogą ulec zniszczeniu, zostać złamane, nie tylko we śnie. Pomówimy o tym później, pod drzewami. Nie lękaj się. Pozwól jednak, że najpierw powitam mych przyjaciół.

Seserakh z godnością skinęła głową, a on odwrócił się do Olchy i Onyksa.

Księżniczka nie spuszczała z niego wzroku.

– To wojownik – powiedziała z satysfakcją do Tenar po kargijsku – nie kapłan. Kapłani nie mają przyjaciół.

Wszyscy powoli ruszyli naprzód, w cień drzew.

Tenar uniosła wzrok i ujrzała sklepiony labirynt gałęzi, kolejne warstwy i poziomy liści. Dostrzegła dęby i wielkie drzewa hamman, lecz większość stanowiły drzewa Gaju. Ich owalne liście poruszały się lekko niczym liście topoli i osiki. Niektóre pożółkły – na ziemi dostrzegła złocistobrązowe plamy – lecz w porannym świetle listowie miało soczystą barwę lata, pełną światła i miękkich cieni.

Mistrz Wzorów poprowadził ich ścieżką wśród drzew. Idąc naprzód, Tenar znów pomyślała o Gedzie. Przypomniała sobie jego głos, gdy opowiadał o Wewnętrznym Gaju. W tej chwili czuła mu się bliższa niż kiedykolwiek od czasu, gdy wraz z Tehanu zostawiły go na progu domu wczesnym latem i ruszyły do Portu Gont na królewski statek, który miał zabrać je do Havnoru. Wiedziała, że dawno temu Ged mieszkał tu z ówczesnym Mistrzem Wzorów, a później wędrował z Azverem. Wiedziała, że Gaj jest dla niego najważniejszym, uświęconym miejscem, że tu odnalazł spokój. Miała wrażenie, że gdy uniesie wzrok, ujrzy go na jednej z owych długich rozsłonecznionych polan. I myśl ta koiła jej serce.

Sen z zeszłej nocy poruszył ją do głębi. A gdy Seserakh wspomniała, iż we śnie złamała tabu, Tenar słuchała tego wstrząśnięta. Ona także złamała w swym śnie tabu, święty zakaz. Weszła na ostatnie trzy stopnie przed Pustym Tronem. Zakazane stopnie. Miejsce Grobowców na Atuanie należało już do przeszłości, odległej przeszłości. Być może, trzęsienie ziemi nie pozostawiło żadnego tronu i stopni w świątyni, w której odebrano jej imię. Lecz Dawne Moce wciąż tam były; były też tutaj. One nie się zmieniały, były trzęsieniem ziemi i samą ziemią. Ich sprawiedliwość nie przypominała ludzkiej. Gdy Tenar wędrowała obok krągłego wzgórza, Pagórka Roke, wiedziała, że znalazła się w miejscu, w którym spotykają się wszystkie moce.

Dawno temu sprzeciwiła się im, wyrwała z Grobowców, skradła ich skarb, uciekła tu, na zachód. Ale one były tutaj, pod jej stopami, w korzeniach drzew, korzeniach wzgórza.

Teraz zaś tu, w sercu świata, w którym spotykały się moce ziemi, znalazły się także ludzkie moce. Król, księżniczka, mistrzowie magii i smoki.

A także kapłanka złodziejka, żona rolnika, oraz wioskowy czarownik ze złamanym sercem.

Obejrzała się na Olchę. Szedł obok Tehanu, rozmawiali cicho. Tehanu w jego towarzystwie odzywała się częściej nawet niż przy Irian i czuła się swobodnie. Widok ten cieszył serce Tenar. Pod wielkimi drzewami pogrążyła się w dziwnym transie, w świecie zielonego światła i roztańczonych liści. Pożałowała, gdy po chwili Mistrz Wzorów się zatrzymał. Miała wrażenie, że tu, w Gaju, mogłaby wędrować wiecznie.

Zebrali się na trawiastej polanie. Pośrodku gałęzie rozstępowały się, odsłaniając niebo. Bokiem biegł dopływ rzeki Thwilburn. Na jego brzegu rosły wierzby i olchy. Niedaleko strumienia stał niski, przysadzisty dom z kamienia i darni. Jedną ze ścian ocieniał wysoki dach zbudowany z trzcinowych mat i słomianych powróseł.

– Pałac zimowy, pałac letni – oznajmił Azver.

Onyks i Lebannen patrzyli zdumieni na niewielki budynek.

– Nie wiedziałam, że masz jakiś dom! – wykrzyknęła Irian.

– Bo nie miałem – wyjaśnił Mistrz Wzorów. – Lecz kości się starzeją.

Dzięki zapasom ze statku dom wkrótce wyposażono w posłania dla kobiet, a pod dachem ułożono sienniki dla mężczyzn. Chłopcy biegali tam i z powrotem z miasta do Gaju, przynosząc jedzenie z kuchni Wielkiego Domu. Późnym popołudniem na zaproszenie Mistrza Wzorów zjawili się inni mistrzowie. Przybyli na spotkanie orszaku króla.

– Czy tu zbierają się, aby wybrać nowego Arcymaga? – spytała Onyksa Tenar, bo Ged wspomniał jej o sekretnej polanie.

Onyks pokręcił głową.

– Chyba nie. Król by wiedział, bo był tu podczas ostatniego spotkania. Możliwe jednak, że potrafi to stwierdzić jedynie Mistrz Wzorów, gdyż w tym lesie wszystko się zmienia. Ścieżki także ulegają zmianom.

– To powinno być przerażające – odparła – ale jakoś się nie boję.

Uśmiechnął się.

– Tak już tu jest.

Patrzyła, jak mistrzowie wchodzą na polanę. Prowadził ich potężny, niedźwiedziowaty Mistrz Przywołań i Hazard, młody zaklinacz pogody. Onyks wyjaśnił jej, kim są pozostali: Mistrz Pieśni, Mistrz Ziół, Mistrz Rzemiosł, wszyscy siwi, Mistrz Przemian, też siwy, kruchy ze starości, posługujący się laską czarnoksiężnika jak zwykłą do podpierania. Mistrz Odźwierny o gładkiej twarzy i migdałowych oczach wydawał się ani młody, ani stary. Mistrz Imion, który przybył ostatni, wyglądał na jakieś czterdzieści lat. Twarz miał spokojną i zamkniętą. Przedstawił się królowi swym imieniem, Kurremkarmerruk.

W tym momencie Irian wybuchnęła oburzona:

– Ale ty nim nie jesteś!

– To imię Mistrza Imion – oświadczył spokojnie.

– Zatem mój Kurremkarmerruk nie żyje?

Skinął głową.

– Och! – krzyknęła. – Co za smutna nowina! Był moim przyjacielem w czasach, kiedy miałam tu niewielu przyjaciół.

Odwróciła się i pogrążona w gniewie nie chciała spojrzeć na Mistrza Imion. Rozpaczała, ale nie roniła łez. Powitała ciepło Mistrza Ziół i Odźwiernego, do pozostałych nie odezwała się ani słowem.

Tenar dostrzegła, że wszyscy magowie obserwują Irian niespokojnie spod posiwiałych brwi.

Potem spojrzeli na Tehanu i znów odwrócili wzrok. Zerkali z ukosa. Tenar zaczęła się zastanawiać, co widzą, kiedy patrzą na Tehanu i Irian. Oni bowiem widzieli oczami magów.

Zmusiła się zatem, by wybaczyć Mistrzowi Przywołań niestosowną, nieskrywaną grozę, gdy pierwszy raz ujrzał Tehanu. Może nie było to przerażenie, lecz podziw.

Kiedy wszyscy już się poznali i usiedli w kręgu na poduszkach, na pniakach i na dywanie z traw pod sklepieniem nieba i liści, Mistrz Wzorów przemówił głosem, w którym wciąż pozostały ślady akcentu kargijskiego.

– Bracia mistrzowie, proszę króla, by przemówił, jeśli zechce.

Lebannen wstał. Tenar obserwowała go cały czas z nieskrywaną dumą. Był taki piękny, taki mądry mimo swej młodości. Z początku nie śledziła wszystkich jego słów, wystarczyło jej ogólne znaczenie i dźwięcząca w nich pasja.

Opowiedział mistrzom krótko i jasno o tym, co sprowadza go na Roke – o smokach i snach.

Na zakończenie rzekł:

– Odnieśliśmy wrażenie, że każdej nocy wszystkie te sprawy zbliżały się do siebie, coraz wyraźniej zmierzając razem ku zakończeniu. Pomyśleliśmy, że tu, w tym miejscu, dzięki waszej wiedzy i mocy zdołamy przewidzieć owo wydarzenie i stawić mu czoło, nie pozwalając, by zawładnęło naszymi umysłami. Najmądrzejsi z naszych magów przepowiadali, iż nadciąga wielka zmiana. Musimy złączyć swe siły, dowiedzieć się, co to za zmiana, co ją spowodowało, dokąd zmierza i jak możemy sprawić, aby konflikt i chaos przerodziły się w pokój i harmonię. Pokój, w imię którego władam.

Mistrz Przywołań Brand wstał. Po kilku dworskich frazesach, ze szczególną atencją witając Najwyższą Księżniczkę, powiedział:

– Wszyscy mistrzowie i magowie z Roke zgadzają się, iż sny ludzi i coś więcej niż tylko sny ostrzegają nas przed poważną zmianą. Potwierdzamy też, że coś narusza najtrwalsze bariery oddzielające życie od śmierci. Coś je przekracza i tworzy zagrożenie. Wątpimy jednak, by owe zakłócenia porządku rzeczy mógł zrozumieć ktoś poza mistrzem magii. Wątpimy też, by smokom, których życie i śmierć tak bardzo różnią się od ludzkich, można było zaufać. Trudno uwierzyć, iż powstrzymają swój szaleńczy gniew i zazdrość, aby służyć ludzkiemu dobru.

– Mistrzu Przywołań – odezwał się Lebannen, nim Irian zdołała cokolwiek powiedzieć. – Orm Embar umarł za mnie na Selidorze, Kalessin przyniósł mnie na mój tron. Tu, w tym kręgu, znajdują się przedstawiciele trzech ludów: hardyckich, Kargów i ludu zachodu.

– Kiedyś wszyscy byli jednym – dodał Mistrz Imion spokojnym, bezbarwnym głosem.

– Ale teraz nie są już jednym – odrzekł Mistrz Przywołań, starannie oddzielając kolejne słowa. – Nie zrozum mnie źle, bo mówię przykrą

prawdę, mój panie i królu. Szanuję rozejm, jaki zawarłeś ze smokami. Gdy niebezpieczeństwo, które nam zagraża, minie, Roke pomoże Havnorowi w próbach osiągnięcia trwałego pokoju ze smokami. Nie mają one jednak nic wspólnego ze zbliżającym się przesileniem. Podobnie ludzie ze wschodu, którzy odrzucili swe nieśmiertelne dusze, kiedy zapomnieli Mowy Tworzenia.

– *Es eyemra* – rozległ się syczący głos.

Tehanu zerwała się z miejsca.

Mistrz Przywołań patrzył na nią bez słowa.

– Nasz język – powtórzyła po hardycku, patrząc na niego.

Irian się roześmiała.

– *Es eyemra* – powtórzyła za Tehanu.

– Wy nie jesteście nieśmiertelni! – krzyknęła Tenar, zwracając się do Mistrza Przywołań. Nie zamierzała się odzywać, nie wstała, słowa same się z niej wyrwały niczym skry, gdy kamień uderza o kamień. – To my jesteśmy nieśmiertelni. Umieramy, by połączyć się z wiecznie żywym światem. Wy odrzuciliście nieśmiertelność!

Wszyscy umilkli. Mistrz Wzorów uczynił drobny gest dłońmi – delikatny, łagodny.

Z pogodną, spokojną twarzą przyglądał się uważnie układowi kilku gałązek i liści w trawie, w miejscu gdzie siedział, tuż przed skrzyżowanymi nogami. Potem uniósł wzrok i rozejrzał się wokoło.

– Myślę, że wkrótce będziemy musieli tam pójść – oznajmił.

Po kolejnej chwili ciszy Lebannen zapytał:

– Dokąd, panie?

– W mrok – odparł Mistrz Wzorów.

***

Olcha słuchał tej rozmowy. Powoli głosy stawały się coraz słabsze, cichły, a ciepłe promienie letniego słońca zaczęły blednąć, rozpływać się w ciemności. Pozostały jedynie drzewa, wysokie, ślepe istoty pomiędzy ślepą ziemią a niebem; najstarsze żyjące dzieci ziemi.

O Segoyu, rzekł do siebie w duchu, Stworzony i Stworzycielu, pozwól mi przyjść do siebie.

Ciemność ciągnęła się bez końca, poza drzewa, poza wszystko.

Na tle pustki ujrzał wzgórze, wysokie wzgórze stojące po prawej stronie, gdy szli z miasta do Gaju. Ujrzał pył na drodze, kamienie ścieżki wiodącej wokół wzgórza.

Teraz skręcił ze ścieżki, porzucając pozostałych, i zaczął wdrapywać się na zbocze.

Brodził w wysokiej trawie, pośród której lśniły zwiędnięte kwiaty iskiernika. Dotarł do wąskiej ścieżki i podążył nią w górę stromego wzgórza. Teraz jestem sobą, rzekł w głębi serca. Segoyu, świat jest piękny. Pozwól mi przejść przezeń do ciebie.

Mogę znów zrobić to, co powinienem, pomyślał, idąc naprzód. Mogę naprawić, połączyć to, co zniszczone.

Dotarł na szczyt wzgórza. Stojąc tam w słońcu i w powiewach wiatru, pośród rozkołysanych traw, ujrzał po prawej stronie pola, dachy niewielkiego miasta i olbrzymiego domu, jasną zatokę i dalej morze. Gdyby się obrócił, ujrzałby na zachodzie drzewa bezkresnego lasu znikające w błękitnej dali. Przed nim zbocze było mroczne i szare. Opadało w dół, aż do kamiennego muru, za którym kryła się ciemność. Pod murem stał tłum nawołujących do niego cieni. Przybędę, rzekł w duchu, przyjdę.

Nagle poczuł ciepło na ramionach i dłoniach. Wiatr zaszeleścił w liściach nad jego głową. Odezwały się głosy, mówiące spokojnie, odmienne od nawołujących, wykrzykujące jego imię. Ponad kręgiem traw obserwował go Mistrz Wzorów. Mistrz Przywołań także na niego patrzył. Oszołomiony Olcha spuścił głowę, próbował słuchać. Zebrał myśli.

Właśnie przemawiał król. Wykorzystywał wszystkie swe siły i zdolności, by utrzymać gwałtownych, pewnych siebie mężczyzn i kobiety na wspólnym szlaku.

– Pozwólcie, mistrzowie z Roke, że powtórzę wam to, czego dowiedziałem się od Najwyższej Księżniczki w drodze tutaj. Księżniczko, mogę mówić w twoim imieniu?

Pozbawiona welonów kobieta z powagą skinęła głową.

– Oto zatem jej opowieść. Dawno temu ludzie i smoki byli tym samym. Władali jednym językiem. Mieli jednak różne pragnienia, toteż zgodzili się rozstać, podążyć własnymi ścieżkami. Układ ten nazwano Vedurnan.

Onyks gwałtownie uniósł głowę.

– *Verw nadan* – szepnął Seppel, a jego błyszczące ciemne oczy rozszerzyły się nagle.

– Ludzie powędrowali na wschód, smoki na zachód. Ludzie zrezygnowali ze znajomości Mowy Tworzenia. W zamian otrzymali umiejętności i zdolności rzemieślnicze oraz wszystko, co stworzą własnymi rękami. Smoki z tego zrezygnowały, zachowały jednak Dawną Mowę.

– I skrzydła – podpowiedziała Irian.

– I skrzydła – zgodził się Lebannen. Spojrzał Azverowi w oczy. – Mistrzu Wzorów, może lepiej niż ja potrafisz dopowiedzieć do końca tę historię?

– Wieśniacy z Gontu i Hur-at-Hur pamiętają to, o czym zapomnieli mędrcy z Roke i kapłani z Karego – powiedział Azver. – Tak, jako dziecko słyszałem chyba tę opowieść, czy też bardzo jej podobną. Ale smoki także o niej zapomniały. Mówi o tym, jak ciemny lud Archipelagu złamał przysięgę. Wszyscy przysięgliśmy zaniechać czarów, zapomnieć magiczną mowę, używać jedynie mowy wspólnej. Nie mieliśmy nadawać imion ani tworzyć zaklęć. Ufaliśmy Segoyowi, mocom ziemi, naszej matki, matki Bogów-Wojowników. Lecz mędrcy ciemnego ludu złamali ugodę. Pochwycili w sidła swych umiejętności Mowę Tworzenia, zapisując ją runami. Zachowali ją, zaczęli jej uczyć, używać. Z jej pomocą tworzyli zaklęcia, dzięki własnym zręcznym rękom i fałszywym językom wymawiającym prawdziwe słowa. Toteż Kargowie nigdy nie mogli im zaufać. Tak głosi opowieść.

– Ludzie boją się śmierci, smoki nie – wtrąciła Irian. – Ludzie chcą zawładnąć życiem, posiąść je, jakby było jedynie klejnotem w szkatułce. Starożytni magowie łaknęli wiecznego życia. Nauczyli się używać prawdziwych imion po to, by powstrzymać śmierć. Lecz ci, którzy nie mogą umrzeć, nigdy się nie odrodzą.

– Imię i smok stanowią jedność – powiedział Kurremkarmerruk, Mistrz Imion. – My, ludzie, straciliśmy nasze imiona w *verw nadan*,

ale nauczyliśmy się, jak je odzyskać. Imię to my sami. Czemu śmierć miałaby to zmienić?

Spojrzał na Mistrza Przywołań, lecz Brand siedział bez ruchu z ponurą twarzą i słuchał, nie odzywając się ani słowem.

– Zechcesz powiedzieć o tym coś więcej, Mistrzu Imion? – poprosił król.

– Powiem to, co częściowo odkryłem, częściowo odgadłem. Nie z wioskowych opowieści, lecz z najdawniejszych zapisów przechowywanych w Wieży Osobnej. Tysiąc lat przed czasami pierwszych królów z Enladu na wyspach Ea i Solea żyli ludzie, pierwsi i najwięksi z magów, Twórcy Runów. To oni nauczyli się zapisywać Mowę Tworzenia. Stworzyli runy, których smoki nigdy nie poznały. Nauczyli nas nadawać każdej duszy prawdziwe imię, w którym kryje się jej prawda, ona sama. I dzięki swej mocy obdarzyli każdego, kto nosi prawdziwe imię, życiem po śmierci ciała.

– Życie wieczne – podjął cicho Seppel. Uśmiechał się lekko. – W wielkiej krainie pełnej rzek i gór, i pięknych miast, gdzie nie ma bólu ni cierpienia, a każda istota trwa niezmieniona, niezmienna na zawsze... Oto marzenie zawarte w pradawnych Kunsztach Palneńskich.

– Gdzie? – spytał Mistrz Przywołań. – Gdzie jest ta kraina?

– Na innym wietrze – oznajmiła Irian. – Poza zachodem. – Powiodła po nich wzrokiem, w którym odbijał się gniew i wzgarda. – Sądzicie, że my, smoki, latamy tylko na wiatrach tego świata? Myślicie, że nasza wolność, dla której zrezygnowaliśmy ze wszystkich rzeczy ziemskich, nie jest większa niż wolność bezrozumnych mew? Że nasza kraina to kilka skał na skraju waszych bogatych wysp? Do was należy ziemia i morze, lecz my jesteśmy ogniem słońca. My fruwamy z wiatrem. Chcieliście zapanować nad ziemią, pragnęliście tworzyć i zachowywać wytwory swych rąk. I dostaliście to. To właśnie był wielki podział, *verw nadan*. Ale nie wystarczała wam wasza część. Pragnęliście nie tylko waszych trosk, lecz i naszej wolności. Pragnęliście wiatru. Zaklęciami i magią krzywoprzysięzców skradliście połowę naszej krainy. Otoczyliście murem, nie dopuszczając do niej życia i światła, abyście sami mogli żyć w niej wiecznie. Złodzieje, zdrajcy!

– Siostro – wtrąciła szeptem Tehanu – to nie są ludzie, którzy ukradli nam naszą krainę. To ci, którzy płacą cenę.

Po jej szorstkich słowach zapadła cisza.

– Jaka była cena? – spytał w końcu Mistrz Imion.

Tehanu spojrzała na Irian. Irian zawahała się, po czym odpowiedziała, zniżając głos:

– Chciwość gasi słońce. To słowa Kalessina.

Wówczas przemówił Mistrz Wzorów, Azver. Cały czas patrzył w dal, pomiędzy drzewa po drugiej stronie polany, jakby śledził lekkie poruszenia liści.

– Starożytni dostrzegali, że królestwo smoków nie należy tylko do ciała. Że smoki potrafią też wzlecieć... może nawet poza czas... i zazdroszcząc im tej swobody, podążyli Smoczą Drogą, na zachód poza zachodem. Tam zajęli dla siebie część owej krainy, bezczasowej krainy, w której jaźń może trwać wiecznie. Lecz nie w ciele, jak u smoków. Ludzie mogli trafić tam tylko duchem. Wznieśli zatem mur, którego nie mogła przekroczyć żadna żywa istota, ani człowiek, ani smok, lękali się bowiem gniewu smoków, a ich sztuka nadawania imion pozwoliła zasnuć zachodnie krainy wielką siecią zaklęć. I kiedy ludzie z wysp umierają, trafiają na zachód poza zachodem i żyją tam duchem, wiecznie.

Gdy jednak wzniesiono mur i rzucono zaklęcia, za murem przestał wiać wiatr, morze się cofnęło, źródła wyschły, góry wschodu słońca stały się górami wiecznej nocy. Umarli przybywali do mrocznej krainy, Suchej Krainy.

– Wędrowałem nią – wtrącił cicho, jakby wbrew sobie Lebannen. – Śmierci się nie boję, lecz tej krainy owszem.

Zapadła cisza.

– Cob i Thorion próbowali zburzyć mur, przywrócić martwych z powrotem do życia – powiedział Mistrz Przywołań szorstkim, niechętnym tonem.

– Nie do życia, mistrzu – sprostował Seppel. – Podobnie jak Twórcy Run pragnęli bezcielesnego, wiecznego trwania.

– A jednak ich zaklęcia poruszyły to miejsce. – Mistrz Przywołań zamyślił się głęboko. – Smoki zaczęły wspominać pradawne krzywdy, a teraz dusze zmarłych sięgają przez mur, łaknąc powrotu do życia.

Olcha wstał.

– Nie życia łakną, lecz śmierci. Chcą znów złączyć się z ziemią, powrócić do niej.

Wszyscy spojrzeli na niego, on jednak tego nie dostrzegał. Jego świadomość tylko częściowo przebywała z nimi, częściowo była w Suchej Krainie. Trawa pod stopami – zielona, lśniąca w słońcu; martwa, sucha. Nad jego głową drżały liście drzew, a niedaleko czekał niski kamienny mur w dole mrocznego zbocza. Ze wszystkich obecnych w Gaju Olcha widział tylko Tehanu. Niewyraźnie, lecz ją rozpoznał. Stała pomiędzy nim a murem. Zwrócił się do niej.

– Zbudowali go, ale nie mogą zburzyć. Pomożesz mi, Tehanu?

– Pomogę, Haro – odparła.

Wówczas opadł między nich cień, wielki, potężny, masywny i silny. Ukrył ją, a jego pochwycił, przytrzymał. Olcha szarpał się, nie mógł zaczerpnąć powietrza. Ujrzał w mroku czerwony ogień, a później już nic.

***

Spotkali się w blasku gwiazd na skraju polany – król zachodnich krain i mistrzowie z Roke. Dwie potęgi Ziemiomorza.

– Czy będzie żył? – spytał Mistrz Przywołań.

– Uzdrowiciel twierdzi, że nic mu nie grozi – rzekł Lebannen.

– Źle uczyniłem – przyznał Mistrz Przywołań. – Przykro mi.

– Czemu go przywołałeś? – spytał król nie z wyrzutem, lecz oczekując odpowiedzi.

– Ponieważ miałem moc, by to uczynić – odparł ponuro mistrz.

W milczeniu szli naprzód szeroką ścieżką wśród potężnych drzew. Po obu stronach było bardzo ciemno, lecz ich drogę rozświetlał szary blask gwiazd.

– Źle uczyniłem, ale niedobrze jest pragnąć umrzeć – oznajmił Mistrz Przywołań. W jego głosie dźwięczał akcent Wschodnich Rubieży. Mówił cicho, niemal błagalnie. – Może kiedy jest się bardzo

starym, bardzo chorym. Ale przecież dano nam życie. Musimy utrzymywać je, cenić ów wielki dar.

– Śmierć także nam dano – odrzekł król.

***

Mistrz Wzorów zdecydował, że Olcha powinien odpocząć pod gwiazdami, a stary Mistrz Ziół się zgodził. Tak więc Olcha leżał na sienniku w trawie. Spał. Tehanu siedziała obok niego.

Tenar przycupnęła w wejściu niskiego kamiennego domu, obserwując ją. Nad polaną świeciły wielkie gwiazdy późnego lata. Najwyższa z nich, gwiazda zwana Tehanu, Serce Łabędzia, zdawała się podtrzymywać niebo.

Seserakh cicho wyszła z domu i usiadła na progu obok Tenar. Zdjęła przepaskę podtrzymującą welon i płowe włosy rozsypały się jej na ramionach.

– Och, moja przyjaciółko – jęknęła – co się z nami stanie? Przybywają tu zmarli, czujesz ich? Są niczym fala przypływu za murem. Myślę, że nikt ich nie powstrzyma. Wszyscy zmarli, z grobów na wszystkich wyspach zachodu, od wieków...

Tenar czuła w głowie i we krwi pulsowanie, zew. Teraz wiedziała, wszyscy wiedzieli to, co wcześniej wiedział tylko Olcha. Musiała jednak trzymać się tego, czemu ufała. Nawet jeśli zaufanie okazałoby się zaledwie nadzieją.

– To tylko umarli, Seserakh – powiedziała. – Zbudowaliśmy fałszywy mur. Trzeba go zburzyć. Istnieje jednak także prawdziwy.

Tehanu wstała i podeszła do nich. Usiadła na niskim stopniu.

– Wszystko dobrze. Śpi.

– Byłaś tam z nim? – spytała Tenar.

Tehanu przytaknęła.

– Byliśmy pod murem.

– Co zrobił Mistrz Przywołań?

– Wezwał go, sprowadził siłą.

– Do życia?

– Do życia.

– Nie wiem, czego lękać się bardziej, śmierci czy życia – mruknęła Tenar. – Chciałabym pozbyć się strachu.

Seserakh pochyliła twarz w burzy ciepłych włosów ku ramieniu Tenar, w geście pieszczoty.

– Jesteś odważna, odważna – szepnęła. – Och! Ja tak się boję morza i śmierci!

Tehanu siedziała w milczeniu. W rozproszonym świetle wśród drzew Tenar widziała, jak córka smukłą dłonią zakrywa spaloną, wykrzywioną rękę.

– Myślę – powiedziała w końcu Tehanu swym cichym, niezwykłym głosem – że kiedy umrę, wypuszczę z siebie oddech, który dawał mi życie, oddam światu wszystko to, czego nie zrobiłam. Wszystko, czym mogłam być, lecz nie zdołałam, wszystkie wybory, których nie dokonałam. Rzeczy, które straciłam, zmarnowałam, zniszczyłam... mogę oddać je światu. Istotom, które jeszcze nie żyły. To będzie mój dar dla świata, dar za życie, które przeżyłam, miłość, którą kochałam, oddech, który wciągałam w płuca.

Spojrzała w niebo, w gwiazdy i westchnęła.

– Ale jeszcze nieprędko – szepnęła. Obejrzała się na Tenar.

Seserakh łagodnie pogładziła włosy Tenar. Potem wstała i bez słowa wróciła do domu.

– Myślę, że już niedługo, matko...

– Wiem.

– Nie chcę cię opuszczać.

– Musisz mnie opuścić.

– Wiem.

Milczały w migotliwym mroku Gaju.

– Spójrz – szepnęła Tehanu. Na niebie rozbłysła spadająca gwiazda, pozostawiając za sobą szybko gasnący świetlisty szlak.

***

Pięciu magów siedziało w blasku gwiazd.

– Spójrzcie – rzekł jeden, śledząc spadającą gwiazdę.

– Dusza umierającego smoka – powiedział Mistrz Wzorów Azver. – Tak mawiają w Karego-At.

– Czy smoki umierają? – spytał Onyks. – Chyba nie tak jak my.

– Nie żyją tak jak my. Poruszają się między światami; tak twierdzi Orm Irian. Z wiatrów tego świata na inny wiatr.

– My też próbowaliśmy to osiągnąć – wtrącił Seppel – lecz nam się nie udało.

Hazard spojrzał na niego z ciekawością.

– Czy wy, na Palnie, zawsze znaliście to, co usłyszeliśmy dzisiaj – historię rozdzielenia smoków i ludzi, i powstania Suchej Krainy?

– Nie w wersji, którą dziś usłyszeliśmy. Uczono mnie, że *verw nadan* był pierwszym wielkim triumfem sztuki magicznej. I że celem magii jest zwycięstwo nad czasem i osiągnięcie życia wiecznego. Stąd właśnie wzięło początek zło, jakiego dokonano dzięki Kunsztom Palneńskim.

– Przynajmniej zachowaliście dawną wiedzę, którą myśmy wzgardzili – zauważył Onyks. – Podobnie twój lud, Azverze.

– Cóż, wy za to mieliście dość rozumu, by zbudować tu Wielki Dom – odparł z uśmiechem Mistrz Wzorów.

– Ale źle go zbudowaliśmy – powiedział Onyks. – Wszystko, co budujemy, budujemy źle.

– Musimy więc to zburzyć – wtrącił Seppel.

– Nie – sprzeciwił się Hazard. – Nie jesteśmy smokami. Żyjemy w domach, musimy wznosić mury.

– Póki przez okna może wpadać wiatr – dodał Azver.

– A kto wejdzie drzwiami? – spytał łagodnie Mistrz Odźwierny.

Zapadła cisza. Gdzieś na polanie zaćwierkał świerszcz. Umilkł i odezwał się znowu.

– Smoki – podsunął w końcu Azver.

Mistrz Odźwierny pokręcił głową.

– Myślę, że podział, który rozpoczął się wówczas, a potem został naruszony, w końcu dokona się ostatecznie. Smoki odejdą wolne i pozostawią nas tutaj z wyborem, którego dokonaliśmy.

– Znajomością dobra i zła – rzekł Onyks.

– Radością tworzenia, kształtowania – dodał Seppel. – Naszą sztuką.

– I naszą chciwością, słabością, strachem – dokończył Azver.

Świerszczowi odpowiedział drugi, bliżej strumienia. Cykanie cichło i narastało, co chwila wpadając w zgodny rytm.

– Boję się tylko jednego – powiedział Hazard. – Tak bardzo, że lękam się nawet to powiedzieć. Kiedy smoki odejdą, czy nasza sztuka nie odejdzie wraz z nimi? Nasz dar, nasza magia.

Milczenie pozostałych świadczyło wyraźnie, że oni także się tego lękali. W końcu przemówił Mistrz Odźwierny, cicho, lecz pewnym siebie tonem.

– Nie, nie sądzę. To prawda, one są Tworzeniem, ale my nauczyliśmy się Tworzenia. Uczyniliśmy je naszym własnym. Nic nie może nam go odebrać. Aby je utracić, musielibyśmy zapomnieć, odrzucić je.

– Jak to uczynił mój lud – mruknął Azver.

– Twój lud jednak pamięta, czym jest ziemia i niekończące się życie – zauważył Seppel. – A my zapomnieliśmy.

I znów zapadła długa cisza.

– Mógłbym sięgnąć ręką ponad murem. – Hazard zniżył głos.

– Są blisko – odparł Seppel. – Bardzo blisko.

– Skąd mamy wiedzieć, co robić? – spytał Onyks.

W ciszy, która zapadła po tym pytaniu, zadźwięczał głos Azvera.

– Kiedyś, gdy mój pan Arcymag był ze mną w Gaju, powiedział, że całe życie uczył się, jak wybierać to, wobec czego wybór nie istnieje; co musi uczynić.

– Chciałbym, żeby był tu teraz – westchnął Onyks.

– Zrobił już to, co miał zrobić – szepnął z uśmiechem Mistrz Odźwierny.

– Ale my nie. Siedzimy tu i rozmawiamy na skraju przepaści. Wszyscy o tym wiemy. – Onyks powiódł wzrokiem po twarzach magów. – Czego chcą od nas umarli?

– Czego chcą od nas smoki? – zastanawiał się Hazard. – Te kobiety, które są smokami. Smoki, które są kobietami. Czemu tu przybyły? Czy możemy im ufać?

– A mamy wybór? – spytał Mistrz Odźwierny.

– Chyba nie – rzekł Mistrz Wzorów. W jego głosie zadźwięczała twarda nuta, ostra niczym klinga miecza. – Możemy jedynie iść wskazanym szlakiem.

– Wskazanym przez smoki? – spytał Hazard.

Azver pokręcił głową.

– Przez Olchę.

– Ależ on nie jest przewodnikiem, Mistrzu Wzorów – zaprotestował Hazard. – To tylko wioskowy czarownik.

– Olcha ma w sobie mądrość, która kryje się w jego rękach, nie w głowie – rzekł Onyks. – Podąża za głosem serca. Z pewnością nie chce nam przewodzić.

– A jednak wybrano go spośród nas.

– Kto go wybrał? – spytał cicho Seppel.

– Umarli – odpowiedział Mistrz Wzorów.

Zamilkli. Cykanie świerszczy ucichło. W szarej w blasku gwiazd trawie zaszeleściły kroki. Zbliżały się dwie wysokie postaci, Lebannen i Brand.

– Czy możemy posiedzieć z wami? – spytał król. – Dziś w nocy nie możemy zasnąć.

***

Ged siedział na progu swego domu na Overfell i patrzył w gwiazdy nad morzem. Godzinę wcześniej położył się spać, gdy jednak zamknął oczy, ujrzał zbocze wzgórza i usłyszał głosy narastające niczym fala. Natychmiast wstał i wyszedł na dwór, by móc widzieć poruszające się gwiazdy.

Był zmęczony, oczy mu się zamykały i znów stał obok kamiennego muru, a jego serce ściskał lodowaty strach, że pozostanie tam na zawsze i nie odnajdzie drogi powrotnej. W końcu zniecierpliwiony i zmęczony strachem znów wstał, zabrał z domu latarnię, zapalił ją i wyruszył ścieżką do domu cioteczki Mech. Mech może się boi, a może nie, ostatnio i tak żyje nieopodal muru, ale Wrzos z pewnością wpadła w panikę i Mech nie zdoła jej uspokoić.

A ponieważ cokolwiek należało zrobić, tym razem nie jemu przypadnie to w udziale, będzie mógł przynajmniej pocieszyć biedną upośledzoną dziewczynę. Powiedzieć jej, że to tylko sny.

Wędrówka w ciemności nie była łatwa. W blasku latarni na ścieżkę padały olbrzymie cienie. Ged szedł wolniej, niżby chciał. Od czasu do czasu potykał się o coś.

Mimo późnej pory dostrzegł światło w oknie wdowca. Gdzieś w wiosce zapłakało dziecko. „Matko, matko, czemu ludzie płaczą? Czemu ludzie płaczą, matko?". Tu także ludzie nie mogli spać. Tej nocy wszyscy w Ziemiomorzu nie mogą spać, pomyślał Ged. Uśmiechnął się lekko na tę myśl. Zawsze bowiem lubił ową chwilę ciszy, pełną lęku, tuż przedtem, nim nadciągnie zmiana.

***

Olcha się obudził. Leżał na ziemi, czuł pod sobą jej głębię. Nad nim na niebie płonęły gwiazdy, gwiazdy lata wędrujące pomiędzy liśćmi, którymi kołysał wiatr, przesuwające się ze wschodu na zachód wraz z obrotem świata. Jakiś czas wpatrywał się w nie, a potem je pożegnał. Tehanu czekała na niego na wzgórzu.

– Co mamy robić, Haro? – spytała.

– Musimy naprawić świat – oznajmił. Uśmiechnął się, bo w końcu poczuł lekkość w sercu. – Musimy zburzyć mur.

– A oni? Mogą nam pomóc? – spytała, gdyż zmarli zebrali się w ciemności, niezliczeni niczym źdźbła trawy, ziarnka piasku czy gwiazdy, milczący; wielka, rozległa, mroczna pustynia dusz.

– Nie – rzekł – ale może inni to uczynią.

Szedł w dół, zbliżając się do muru. W tym miejscu sięgał mu do pasa. Olcha położył dłonie na jednym z kamieni z najwyższej warstwy i spróbował go poruszyć. Kamień tkwił jednak mocno, czy może był bardzo ciężki. Olcha nie mógł go podnieść ani nawet obluzować.

Tehanu podeszła do niego.

– Pomóż mi – poprosił.

Położyła ręce na kamieniu, ludzką dłoń i spalony szpon, chwytając mocno, i szarpnęła jednocześnie z Olchą. Kamień drgnął lekko.

– Popchnij – poleciła i razem powoli wypchnęli go z głośnym zgrzytem. Kamień zachwiał się i z głuchym łoskotem runął na drugą stronę muru.

Następny kamień był mniejszy. Razem zdołali go podnieść i odrzucić w pył obok poprzedniego.

Ziemia pod ich stopami zadrżała. Niewielkie kamienie z muru zagrzechotały głośno. Olbrzymie rzesze umarłych z długim westchnieniem podeszły bliżej.

***

Mistrz Wzorów wstał nagle i zamarł, nasłuchując. Na całej polanie zaszeleściły liście. Drzewa Gaju uginały się i drżały, jakby atakowane gwałtowną wichurą. Nie było jednak wiatru.

– Wszystko się zmienia – powiedział i odszedł od nich w mrok pod drzewami.

Mistrz Przywołań, Mistrz Odźwierny i Seppel wstali i podążyli za nim w milczeniu. Hazard i Onyks ruszyli ich śladem.

Lebannen postąpił kilka kroków za nimi, zawahał się i pobiegł przez łąkę do niskiego domu z kamienia i darni.

– Irian – rzekł, pochylając się w ciemnym wejściu. – Irian, zabierzesz mnie ze sobą?

Wyszła z domu z uśmiechem. Otaczał ją niezwykły ognisty blask.

– Chodź zatem, chodź szybko – powiedziała i chwyciła go za rękę. Jej dłoń parzyła niczym rozżarzony węgiel, gdy uniosła go na inny wiatr.

Po chwili z domu wyszła Seserakh, niedługo po niej Tenar. Stanęły razem w blasku gwiazd, rozglądając się wokół. Nic się nie poruszało. Drzewa znów ucichły.

– Wszyscy odeszli – szepnęła Seserakh. – Na Smoczą Drogę.

Postąpiła krok naprzód, patrząc w ciemność.

– Co mam robić, Tenar?

– Musimy pilnować domu – odparła Tenar.

– Och! – szepnęła Seserakh, padając na kolana. Ujrzała Lebannena leżącego twarzą do ziemi, w trawie. – Nie jest martwy, chyba nie. Och, mój drogi panie i królu, nie odchodź, nie umieraj!

– Jest z nimi. Zostań tutaj. Daj mu ciepło. Pilnuj domu, Seserakh – poleciła Tenar. Sama podeszła do Olchy. Niewidzącymi oczami spoglądał w gwiazdy. Usiadła obok, ujmując jego dłoń. Czekała.

***

Olcha ledwo mógł ruszyć wielki kamień, na którym spoczęły jego ręce, lecz nagle obok znalazł się Mistrz Przywołań. Pochylił się, napierając na głaz ramieniem.

– Teraz! – rzekł.

Pchnęli jednocześnie. Głaz stracił równowagę i z tym samym ciężkim ostatecznym łoskotem runął na drugą stronę muru.

Teraz do Olchy i Tehanu dołączyli inni, szarpiąc kamienie, rzucając je w pył. Przez moment Olcha ujrzał, jak jego ręce rzucają cień w czerwonym blasku. Orm Irian, wyglądająca tak samo jak wtedy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy, w olbrzymiej smoczej postaci, wypuściła z nozdrzy ognisty dech, walcząc z głazem z najniższej warstwy kamieni, głęboko wkopanym w ziemię. Jej szpony krzesały iskry, porośnięty grzebieniem kolców grzbiet wygiął się w łuk i kamień poruszył się z hukiem, czyniąc wyrwę w murze.

Pośród cieni po drugiej stronie rozległ się cichy chóralny krzyk niczym szum fal rozbijających się na kamienistym brzegu. Ciemność wezbrała, napierając na mur, lecz Olcha uniósł wzrok i przekonał się, że niebo nie jest już ciemne. W miejscu, w którym gwiazdy trwały nieruchomo, teraz poruszały się światła, iskierki ognia na mrocznym zachodzie.

– Kalessin!

To wołała Tehanu. Olcha spojrzał na nią. Patrzyła w górę, na zachód.

Wyciągnęła ręce. Po jej dłoniach, ramionach przebiegł ogień, ogarniając włosy, twarz i ciało, i rozkwitając w wielkie skrzydła nad jej głową. Uniósł ją w powietrze, ognistą istotę, płonącą, piękną.

Wykrzyknęła czysto, głośno, bez słów. Wzleciała w górę – szybko, wysoko, w niebo, które jaśniało coraz bardziej. Biały wiatr gasił kolejne pozbawione znaczenia gwiazdy.

Pośród zastępów zmarłych nieliczni ludzie podobnie jak ona wzlatywali w górę, przemieniając się w smoki i szybując z wiatrem.

Większość szła naprzód, pieszo. Nie napierali już, nie krzyczeli, lecz podążali ze spokojną pewnością w stronę wyrw w murze. Ogromne rzesze mężczyzn i kobiet, którzy nie zatrzymywali się przy zniszczonym murze, lecz przekraczali go i znikali – oddech, obłoczek pyłu lśniący przez sekundę w stale jaśniejącym świetle.

Olcha patrzył na nich. W rękach wciąż trzymał zapomniany kamienny klin, który wyrwał z muru, by obluzować większy głaz. Patrzył, jak zmarli odchodzą wolni. W końcu ujrzał ją pośród nich. Cisnął kamień na bok i wystąpił naprzód.

– Lilio – rzekł.

Spojrzała na niego, uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę. Ujął jej dłoń i razem odeszli w słońce.

***

Przy zburzonym murze Lebannen patrzył, jak na wschodzie jaśnieje brzask. Teraz był tu już wschód, w miejscu niegdyś pozbawionym kierunków i celów. Istniał wschód i zachód, światło, ruch. Ziemia poruszała się, kołysała, drżała niczym olbrzymie zwierzę; kamienny mur po obu stronach wyrwy zachwiał się i runął. Z odległych czarnych wierzchołków gór zwanych Bólem trysnął ogień, ogień, który płonie w sercu świata i którym karmią się smoki.

Lebannen spojrzał w niebo nad górami i jak kiedyś, z Gedem nad Morzem Zachodnim, ujrzał smoki lecące na wietrze poranka.

Trzy skierowały się w stronę miejsca, w którym stał pośród innych, poniżej szczytu wzgórza, nad zburzonym murem. Dwa znał, Orm

Irian i Kalessina. Trzeci miał jasną złotą łuskę i złote skrzydła. Ten właśnie wzlatywał najwyżej i nie opadł w dół. Orm Irian tańczyła w powietrzu wokół siostry. Leciały razem, jedna ścigała drugą, coraz wyżej i wyżej, aż w końcu najwyższe promienie wschodzącego słońca padły na Tehanu, która zapłonęła niczym jej imię, wielka jasna gwiazda.

Kalessin zatoczył krąg, zniżył lot i wylądował ciężko pośród ruin muru.

– *Agni Lebannen* – rzekł smok do króla.

– Witaj, Najstarszy – pozdrowił smoka król.

– *Aissadan verw nadannan* – zabrzmiał głośny syczący głos, dźwięczący niczym morze cymbałów.

Obok Lebannena stał Mistrz Przywołań, Brand. Powtórzył słowa w Mowie Tworzenia, a potem przełożył na hardycki.

– Co było podzielone, jest podzielone.

Mistrz Wzorów stanął w pobliżu, jego włosy jaśniały w promieniach wschodzącego słońca.

– To, co zbudowane, zostało zburzone – rzekł. – Co było zniszczone, stało się całością.

Spojrzał tęsknie w niebo na dwa smoki, złocistego i czerwonobrązowego. Niemal zniknęły im już z oczu, tańcząc, zataczając kręgi nad rozległą, opadającą w dół krainą, gdzie w blasku słońca puste miasta cieni rozpływały się w nicość.

– Najstarszy – odezwał się Azver i długa smocza głowa zwróciła się powoli w jego stronę. – Czy ona wróci tu jeszcze kiedyś? Do lasu? – spytał w mowie smoków.

Podłużne bezdenne żółte oko Kalessina spojrzało na niego. Olbrzymia zamknięta paszcza zdawała się wykrzywiać w uśmiechu jak u jaszczurki. Smok milczał.

A potem, z głośnym zgrzytem przesuwając swe cielsko wzdłuż muru, tak że kamienie rozsypały się w pył pod żelaznym brzuchem, Kalessin odpełznął od nich i z łoskotem wzniesionych skrzydeł odepchnął się od ziemi, by wzlecieć nisko w stronę gór, których szczyty jaśniały od dymu i białej pary, ognia i słońca.

– Chodźcie, przyjaciele – powiedział Seppel cicho. – Dla nas nie nadeszła jeszcze pora wolności.

***

Słońce świeciło już na niebie nad koronami najwyższych drzew, lecz na łące wciąż panował chłód szarego poranka. Tenar trzymała dłoń Olchy. Pochylała nisko twarz. Patrzyła, jak zimna rosa przygina do ziemi źdźbło trawy, jak maleńkie delikatne krople kołyszą się lekko. W każdej z nich odbijał się cały świat.

Ktoś wymówił jej imię. Nie zareagowała.

– Odszedł – powiedziała.

Mistrz Wzorów ukląkł obok niej, łagodnie dotknął twarzy Olchy. Jakiś czas klęczał w milczeniu. W końcu zwrócił się do Tenar w jej dawnym języku.

– Pani, widziałem Tehanu. Odleciała złota na inny wiatr.

Tenar spojrzała na niego. Twarz miał bladą i znużoną, lecz w jego oczach dostrzegła zwycięską iskrę.

Zebrała siły i zapytała ochryple, niemal niedosłyszalnie:

– Szczęśliwa?

Przytaknął.

Pogładziła rękę Olchy, rękę mistrza napraw, zgrabną, zręczną. Do jej oczu napłynęły łzy.

– Pozwól mi pobyć z nim chwilę – powiedziała. Ukryła twarz w dłoniach i zapłakała cicho, boleśnie, z goryczą.

***

Azver podszedł do niewielkiej grupki skupionej obok drzwi domu. Onyks i Hazard stali obok Mistrza Przywołań. Przykucnięta nad Lebannenem księżniczka osłaniała go ochronnym gestem i patrzyła wyzywająco na magów, nie pozwalając im go dotknąć. Jej oczy lśniły. W dłoni trzymała krótki stalowy sztylet Lebannena.

– Wróciłem z nim – rzekł Brand do Azvera. – Próbowałem z nim zostać. Nie byłem pewien, czy odnajdę drogę, a ona nie dopuszcza mnie do niego.

– *Ganai* – powiedział Azver. Tak brzmiał po kargijsku jej tytuł: księżniczka.

Odwróciła się ku niemu.

– Och, dzięki niech będą Atwah-Wuluhowi i wieczna chwała Matce! – wykrzyknęła. – Panie Azverze, przepędź stąd tych przeklętych czarowników. Zabij ich! Oni zabili mojego króla. – Podała mu sztylet, trzymając za smukłą stalową klingę.

– Nie, księżniczko. Król poszedł wraz ze smokiem Irian. Ten mag sprowadził go z powrotem. Pozwól, niech zobaczę. – Azver ukląkł i odwrócił lekko twarz Lebannena, przyglądając się uważnie. Położył dłonie na jego piersi. – Jest zimny – rzekł. – Pokonał długą drogę. Weź go w ramiona, księżniczko. Ogrzej go.

– Próbowałam – odparła, przygryzając wargę. Odrzuciła sztylet i pochyliła się nad nieprzytomnym. – O, biedny królu – rzekła cicho po hardycku. – Kochany biedny królu.

Azver wstał.

– Myślę, że nic mu nie będzie, Brandzie – rzekł do Mistrza Przywołań. – Teraz dziewczyna przyda mu się bardziej od nas.

Mistrz Przywołań wyciągnął potężną dłoń i chwycił ramię Azvera.

– Spokojnie.

– Odźwierny! – Azver pobladł jeszcze bardziej, rozglądając się po polanie.

– Wrócił razem z Palneńczykiem – odparł Brand. – Usiądź, Azverze.

Azver posłuchał, siadając na pniu, na którym wcześniej zajmował miejsce stary Mistrz Przemian. Zdawało się, że od chwili, gdy razem zasiedli w kręgu, upłynęło tysiąc lat. Wieczorem starcy wrócili do szkoły... A potem zaczęła się długa noc. Noc, podczas której kamienny mur przybliżył się tak bardzo, że każdy, kto zasypiał, trafiał do mrocznej krainy, a kraina ta budziła grozę, toteż nikt nie spał. Może nawet nikt na Roke, na wszystkich wyspach. Tylko Olcha, który wskazał im drogę... Azver zorientował się, że zasypia i dygocze z zimna.

Hazard próbował go namówić, aby schronił się w zimowym domu, lecz Azver uparł się, że powinien zostać w pobliżu księżniczki, by móc tłumaczyć. A także obok Tenar, dodał w myślach, by ją chronić.

By mogła płakać. Olcha już nie rozpaczał. Przekazał jej swój żal. Im wszystkim. I swą radość...

Ze szkoły przybył Mistrz Ziół i zaczął krzątać się wokół Azvera. Okrył mu ramiona zimowym płaszczem. Mistrz Wzorów siedział na polanie, pogrążony w gorączkowym półśnie, nie słuchając innych, poirytowany obecnością tak wielu ludzi w słodkim milczącym Gaju. Patrzył, jak promienie słoneczne przesączają się przez liście. W końcu jego czuwanie przyniosło owoce. Księżniczka podeszła i uklękła, patrząc mu w twarz z błagalnym szacunkiem.

– Panie Azverze, król chciałby z tobą pomówić.

Pomogła mu wstać, jakby był starcem. Nie przeszkadzało mu to.

– Dziękuję, *gainha*.

– Nie jestem królową – sprostowała.

– Jeszcze nie – powiedział Mistrz Wzorów.

***

Właśnie zaczął się mocny przypływ towarzyszący pełni i „Delfin" musiał zaczekać na niższą wodę, by móc przepłynąć między Zbrojnymi Urwiskami. Dopiero późnym rankiem Tenar zeszła na ląd w Porcie Gont i rozpoczęła długą wędrówkę w górę. Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy dotarła do Re Albi i skręciła w ścieżkę wiodącą do domu.

Ged podlewał dobrze już wyrośnięte główki kapusty.

Wyprostował się i zobaczył ją spieszącą ku niemu. Spod zmarszczonych brwi spoglądały jastrzębie oczy.

– Ach! – westchnął.

– Mój drogi! – zawołała.

Biegiem pokonała ostatnich kilka kroków, a on wyszedł jej na spotkanie.

***

Była zmęczona. Tak bardzo się cieszyła, że może usiąść, sączyć zacne czerwone wino Iskry i patrzeć na łunę wczesnojesiennego wieczoru płonącą nad morzem.

– Jak mam ci to wszystko opowiedzieć? – spytała.

– Opowiedz od końca – zaproponował.

– Dobrze. Tak zrobię. Chcieli, żebym została, ale powiedziałam, że muszę wracać do domu. Rada Królewska spotkała się, no wiesz, z powodu zaręczyn. Niedługo odbędzie się wspaniałe wesele, ale chyba nie muszę tam jechać, bo tak naprawdę tam właśnie wzięli ślub. Pierścieniem Elfarran. Naszym pierścieniem.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się szerokim słodkim uśmiechem, którego, jak sądziła, nikt poza nią nie oglądał nigdy na jego twarzy.

– Tak? – spytał.

– Lebannen podszedł i stanął po mojej lewej stronie, a potem Seserakh po prawej. Przed tronem Morreda. A ja uniosłam Pierścień, tak jak uczyniłam, gdy przywieźliśmy go do Havnoru, pamiętasz? Lebannen ujął go oburącz, ucałował i oddał mi, a ja wsunęłam go jej na rękę. Zatrzymał się tuż nad przegubem – Seserakh nie jest drobnej budowy... och, powinieneś ją zobaczyć, Ged! Jaka to piękność, jaka lwica! Nareszcie spotkał kobietę równą sobie. I wszyscy radośnie krzyczeli. A potem zaczęły się uroczystości. Mogłam więc odejść.

– Mów dalej.

– Od końca?

– Od końca.

– Cóż, przedtem była Roke.

– Na Roke nic nie jest proste.

– Owszem.

W milczeniu sączyli czerwone wino.

– Opowiedz mi o Mistrzu Wzorów.

Uśmiechnęła się.

– Seserakh nazywa go wojownikiem. Twierdzi, że tylko wojownik mógł zakochać się w smoku.

– Kto poszedł za nim tamtej nocy do Suchej Krainy?

– On poszedł za Olchą.

– Ach... – W westchnieniu Geda zabrzmiało zdumienie i pewna satysfakcja.

– Podobnie inni mistrzowie. I Lebannen, i Irian...

– I Tehanu.

Cisza.

– Wyszła z domu. I zniknęła. – Długa cisza. – Azver ją widział. O wschodzie słońca. Na innym wietrze.

Cisza.

– Odeszły. W Havnorze i na zachodnich wyspach nie pozostał ani jeden smok. Onyks mówi, że gdy cienista kraina i wszystkie zamknięte w niej cienie dołączyły do światła, smoki odzyskały swe prawdziwe królestwo.

– Przełamaliśmy świat, by go scalić – mruknął Ged.

Po długiej chwili Tenar powiedziała cichym, załamującym się głosem.

– Mistrz Wzorów wierzy, że jeśli ją wezwie, Irian przybędzie do Gaju.

Ged długo nie odpowiadał. W końcu rzekł:

– Spójrz tam, Tenar.

Popatrzyła w mroczny przestwór powietrza nad zachodnim morzem.

– Jeśli przybędzie, to właśnie stamtąd. A jeśli nie, będzie tam.

Skinęła głową.

– Wiem. – Do jej oczu napłynęły łzy. – Kiedy wracaliśmy do Havnoru statkiem, Lebannen zaśpiewał mi piosenkę. – Nie mogła śpiewać, wyszeptała jedynie słowa: – „Bądź wolna, radości ma”...

Odwrócił wzrok, patrząc ku lasom na zboczach góry, które powoli skrywała ciemność.

– Opowiedz, co robiłeś, kiedy mnie nie było – poprosiła Tenar.

– Pilnowałem domu.

– Wędrowałeś po lesie?

– Jeszcze nie – odparł.

Ursula K. LeGuin

Opowieści z Ziemiomorza

Przełożyła
Paulina Braiter

1

Szukacz

W Mrocznych Czasach

Oto pierwsza karta Księgi Mroku, napisanej dawno temu runami hardyckimi:

„Po tym, jak Elfarran i Morred zginęli, a wyspa Solea zatonęła pod falami, Rada Mędrców władała w imieniu Serriadha, póki chłopiec nie dorósł i nie objął tronu. Panował mądrze, lecz krótko, po nim zaś na Enladzie nastało siedmiu królów. Kraina bogaciła się i żyła w pokoju. I wtedy zjawiły się smoki najeżdżające zachodnie ziemie. Czarnoksiężnicy na próżno próbowali je powstrzymać. Król Akambar przeniósł dwór z Berili na Enladzie do miasta Havnor. Stamtąd wyruszył na czele floty przeciw najeźdźcom z Krain Kargadzkich i wyparł ich na wschód. Oni jednak nadal wysyłali łupieżcze statki, które zapuszczały się nawet na Morze Najgłębsze. Ostatni z królów, Maharion, zawarł pokój ze smokami i Kargami, zapłacił jednak olbrzymią cenę, kiedy zaś Pierścień Runiczny został złamany, Erreth-Akbe zginął w walce z wielkim smokiem, a Maharion Śmiały padł ofiarą zdrady, zdawało się, że na Archipelagu niepodzielnie zapanowało zło.

Wielu próbowało objąć tron Mahariona, nikt jednak nie zdołał go utrzymać, a spory pretendentów podzieliły kraj. Miejsce wspólnoty

i sprawiedliwości zajęły kaprysy możnowładców. Szlachetnie urodzeni, kupcy i piraci, każdy, kto mógł sobie pozwolić na wynajęcie żołnierzy i czarnoksiężników, ogłaszał się władcą wybranych ziem i miast. Wodzowie czynili z pokonanych niewolników, lecz najemni chłopi także byli niewolnikami, albowiem tylko panowie bronili ich przed innymi wodzami łupiącymi wyspy i piratami nękającymi porty, a także bandami nieszczęsnych banitów, których głód popychał do rabunku".

Księga Mroku powstała pod koniec czasów, o których traktuje. To zbiór wzajemnie sprzecznych opowieści, częściowych biografii i zniekształconych legend. Jest jednym z nielicznych reliktów pochodzących z mrocznych lat, gdyż złaknieni pochwał, nie prawdziwych historii wodzowie palili książki, z których jakiś pozbawiony władzy biedak mógł nauczyć się, jak ją zdobyć.

Kiedy jednak do rąk wojownika trafiała księga wiedzy czarnoksięskiej, zwykle zamykał ją w skarbcu bądź oddawał najętemu przez siebie magowi. Na marginesach obok zaklęć i spisów imion, a także na ostatnich kartach owych ksiąg wiedzy czarnoksiężnik bądź jego uczeń notował wybuch zarazy, głód, napaść, zmianę pana, a także zaklęcia użyte przy tych okazjach i ich skuteczność. Podobne zapiski ujawniają od czasu do czasu chwile jaśniejsze, lecz nadal otoczone ciemnością. Chwile te są niczym oświetlony statek widziany przez moment w deszczową noc daleko w morzu.

O owych czasach traktują jeszcze pieśni, stare ballady i zaśpiewki z małych wysepek i spokojnych wyżyn Havnoru.

Wielki Port Havnor to miasto leżące w sercu świata, miasto białych wież nad zatoką. Na najwyższej z nich miecz Erreth-Akbego odbija pierwsze i ostatnie promienie słońca. Przez Havnor przepływa cały handel, całe rzemiosło i nauka Ziemiomorza, niezmierzone bogactwa Archipelagu. Tam też zasiada król, który powrócił po scaleniu Pierścienia Pokoju i była to oznaka uzdrowienia świata. A w dawnych czasach w owym mieście mężczyźni i kobiety z wyspy rozmawiali ze smokami.

Havnor jest wielką wyspą, rozległą, bogatą krainą. W miastach w głębi lądu, na farmach pokrywających zbocza góry Onn

praktycznie nic się nie zmienia. W tamtych okolicach warta zaśpiewania pieśń kiedyś znów zostanie zaśpiewana. Starcy w tamtejszych tawernach opowiadają o Morredzie, jakby znali go sami w czasach bohaterskiej młodości, a dziewki zaganiające krowy do obory snują opowieści o Kobietach Dłoni, zapomnianych wszędzie indziej, nawet na Roke, ale nie pośród owych cichych, zalanych promieniami słońca dróg i pól, w kuchniach, przy paleniskach, wokół których pracują i rozmawiają stateczne gospodynie.

W czasach królów magowie zbierali się na dworze enladzkim, a później w Havnorze, aby doradzać królowi i sobie nawzajem, korzystając ze swej mocy do osiągania celów, które uznali za słuszne. Lecz w owych mrocznych latach czarnoksiężnicy sprzedawali usługi temu, kto płacił najwięcej. Staczali pojedynki i walki na czary, nie dbając o zło, które czynią; czasem nawet czynili je świadomie. Głód i zarazy, wysychanie źródeł, wiosny bez deszczu i zimy bez wiosny, narodziny chorych, kalekich młodych wśród owiec i bydła, narodziny chorych i kalekich dzieci na wyspach – wszystko to przypisywano praktykom czarnoksiężników i czarownic, często nie bez podstaw.

Praktykowanie magii stało się zajęciem niebezpiecznym – chyba że ktoś zapewnił sobie ochronę silnego wodza, lecz nawet wtedy mógł zginąć w starciu z czarnoksiężnikiem potężniejszym od siebie. A jeśli mag przestał mieć się na baczności wśród zwykłych ludzi, także mógł zginąć, wyspiarze bowiem uważali go za źródło najgorszego zła, wcielenie grozy. W owych latach według zwykłych ludzi istniała wyłącznie czarna magia.

Wtedy właśnie wioskowe sztuczki i – przede wszystkim – kobiece czary zyskały sobie złą sławę, która przylgnęła do nich na dobre. Czarownice słono płaciły za uprawianie sztuki, którą uznały za własną. Opieka nad ciężarnymi niewiastami i zwierzętami, porody, nauka pieśni i rytuałów, doglądanie porządku w polu i ogrodzie, budowa i sprzątanie domu, dbanie o meble, wydobycie rud i metali zawsze należały do obowiązków kobiet. Czarownice wymieniały się licznymi zaklęciami i urokami zapewniającymi powodzenie w owych przedsięwzięciach. Gdy jednak coś poszło nie tak podczas narodzin bądź w polu, winę przypisywano wiedźmie, a walki czarnoksiężników

używających beztrosko trucizn i klątw do zapewnienia sobie tymczasowej przewagi bez względu na dalsze konsekwencje sprawiały, iż wypadki zdarzały się coraz częściej. Magowie wywoływali susze i powodzie, nieurodzaje, pożary i choroby, a za ich winy cierpiała wioskowa czarownica. Biedaczka nie wiedziała, czemu jej uzdrawiający urok przeklinał ranę i wywoływał gangrenę, czemu dziecko, które sprowadziła na świat, okazywało się upośledzone, dlaczego błogosławieństwo wypalało ziarno w bruzdach i niszczyło jabłka na drzewie. Ktoś jednak musiał za to zapłacić, a wiedźma bądź czarownik byli pod ręką w samej wiosce i mieście, nie w zamku władcy czy twierdzy strzeżonej przez zbrojnych i ochronne zaklęcia. Czarownicy i wiedźmy tonęli w zatrutych studniach, płonęli na dotkniętych suszą polach, ginęli pogrzebani żywcem, by użyźnić martwą ziemię.

Tak tedy stosowanie i nauka ich sztuki stały się niebezpieczne. Ci, którzy się nią zajmowali, często i tak należeli do grona wyrzutków, kalek, szaleńców, ludzi samotnych, starców – kobiet i mężczyzn mających niewiele do stracenia. Mądrzy mężczyźni i kobiety, szanowani i cieszący się zaufaniem mieszkańców, ustąpili pola groteskowym, nieporadnym wioskowym czarownikom znającym tylko nędzne sztuczki i wiedźmom, których mikstury wywołują jedynie żądze, zazdrość i nienawiść. Magiczny talent u dziecka stał się czymś strasznym. Rodzice lękali się go i ukrywali.

Oto opowieść z owych czasów. Część z niej pochodzi z Księgi Mroku, inne fragmenty z Havnoru, z gospodarstw na górze Onn i wśród lasów Faliernu. Z podobnych urywków i fragmentów da się złożyć całą historię. Choć jest lekka i zwiewna, utkana na wpół z pogłosek i domysłów, może jednak okazać się prawdą. To opowieść o założeniu szkoły na Roke, a jeśli mistrzowie z Roke twierdzą, że nie tak to wyglądało, niech opowiedzą, jak szkoła powstała naprawdę. Czasy, w których Roke stała się wyspą czarnoksiężników, spowija bowiem mgła i możliwe, iż zesłali ją tam sami czarnoksiężnicy.

Wydra

W naszym strumyku mieszka wydra,
przebiegła i jak człowiek chytra,
wszelkie magiczne zna zaklęcia,
mowę człowieka i zwierzęcia.
A woda płynie bystro w dal,
a woda płynie w dal.

Wydra był synem szkutnika pracującego w dokach Wielkiego Portu Havnor. Imię użytkowe nadała mu matka. Pochodziła z farmy w wiosce Skraj Drogi na północny zachód od góry Onn. Przybyła do miasta jak wielu innych, w poszukiwaniu pracy. Szkutnik i jego rodzina, porządni ludzie, uczciwie pracujący w ciężkich czasach, woleli nie rzucać się w oczy, by nie sprowadzić na siebie nieszczęścia. Kiedy więc zrozumieli, że chłopak obdarzony został talentem magicznym, ojciec próbował wybić mu go z głowy.

– Równie dobrze mógłbyś bić chmurę za to, że deszcz z niej pada – powiedziała matka Wydry.

– Uważaj, byś nie wbił go w gniew – dodała ciotka.

– I żeby zaklęciem nie zwrócił na ciebie twego własnego pasa – rzekł wuj.

Chłopak jednak nie uciekł się do żadnych sztuczek. W milczeniu zbierał cięgi i uczył się ukrywać swój dar.

Magia wcale nie wydawała mu się czymś wielkim. Zaświecenie srebrzystego światełka w ciemnym pokoju, odnalezienie zgubionej szpilki samą myślą i naprawa uszkodzonych spojeń – po prostu przesuwał dłonią nad drewnem i przemawiał do niego – przychodziły mu łatwo, aż nie pojmował, czemu inni tak bardzo się tym przejmują. Ojciec jednak wściekał się, gdy chłopak ułatwiał sobie pracę. Kiedyś nawet, gdy Wydra przemawiał do drewna, ojciec uderzył go w usta i kazał posługiwać się wyłącznie narzędziami, w milczeniu.

– Zupełnie jakbyś znalazł wspaniały klejnot – próbowała wyjaśnić mu matka. – Cóż mógłby począć z diamentem ktoś z nas? Tylko

ukryć. Każdy, kto miałby dość pieniędzy, by go od nas kupić, miałby też dość sił, by nas zabić. Ukrywaj swój talent i trzymaj się z daleka od wielkich ludzi i ich sztukmistrzów!

W owych czasach czarowników nazywano sztukmistrzami.

Jedną ze zdolności, jakie niesie ze sobą magiczna moc, jest rozpoznawanie mocy u innych. Czarownik zawsze pozna czarownika. Ukrycie się wymaga wiedzy i umiejętności, a chłopak dysponował wiedzą jedynie z zakresu budowy łodzi, którą to dziedzinę zgłębił już w wieku dwunastu lat. W owym czasie położna, która pomogła matce przy jego narodzinach, odwiedziła ich i powiedziała:

– Przysyłajcie do mnie Wydrę, gdy już skończy pracę. Musi poznać pieśni i przygotować się do dnia nadania imienia.

Tak też być powinno, bo to samo uczyniła dla najstarszej siostry chłopaka, rodzice zatem zaczęli posyłać go do niej wieczorami. Ona jednak nauczyła Wydrę czegoś więcej niż tylko pieśni o Stworzeniu. Wraz z grupką ludzi, zwykle nierzucających się w oczy, a czasem o wątpliwej reputacji, dysponowała niewielkim magicznym darem. Wszyscy w sekrecie wymieniali się strzępkami ocalałej wiedzy. „Talent bez nauki jest jak statek bez steru", mówili Wydrze, ucząc go wszystkiego, co sami wiedzieli. Nie było tego wiele, kryły się w tym jednak zaczątki wielkiej sztuki i choć chłopak czuł się źle, oszukując rodziców, nie potrafił się oprzeć – chłonął wiedzę, wdzięczny za uprzejmość i pochwały swych biednych nauczycieli. „To ci nie zaszkodzi, jeśli nie wykorzystasz swej wiedzy do wyrządzania szkody innym", mówili, a on chętnie przyrzekł, iż tego nie uczyni.

Nad strumieniem Serrenen, płynącym pod zachodnim murem miasta, położna nadała Wydrze jego prawdziwe imię, pod którym znany jest do dziś na wyspach daleko od Havnoru.

Wśród jego nauczycieli był też stary Zmiana. Nauczył on Wydrę kilku zaklęć iluzji. A kiedy chłopak skończył piętnaście lat, starzec zabrał go na pole obok strumienia, by pokazać mu jedyne znane sobie zaklęcie Prawdziwej Przemiany.

– Najpierw zobaczmy, jak zamieniasz tamten krzak w podobiznę drzewa – rzekł.

Wydra posłuchał natychmiast. Łatwość, z jaką przychodziły mu iluzje, zaniepokoiła starego Zmianę. Wydra musiał błagać go i nękać

o następną lekcję. W końcu, klnąc się na swe prawdziwe tajemne imię, przysiągł, że jeśli pozna wielkie zaklęcie, skorzysta z niego wyłącznie dla ocalenia życia własnego bądź innego człowieka. Wówczas starzec nauczył go zaklęcia. Ale co mi po nim, skoro muszę je ukrywać, pomyślał Wydra.

Mógł natomiast swobodnie korzystać z tego, czego się nauczył, pracując z ojcem i wujem w dokach. Powoli stawał się zręcznym rzemieślnikiem. Nawet ojciec musiał to przyznać.

Losen, pirat, który sam się nazwał królem Morza Najgłębszego, był wówczas najpotężniejszym wodzem w mieście oraz na wschód i północ od Havnoru. Haracze spływające z bogatych ziem przeznaczał na powiększanie własnej armii i floty, które wysyłał po niewolników i łupy z innych wysp. Wuj Wydry lubił powtarzać, że port żyje dzięki Losenowi. Szkutnicy byli mu wdzięczni, bo mieli pracę. W czasach tych bowiem ludzie szukający zarobku kończyli zwykle jako żebracy, we dworze Mahariona zaś harcowały szczury. „Pracujemy uczciwie – dodawał ojciec Wydry – a to, do czego zostanie wykorzystane nasze dzieło, nie powinno nas w końcu obchodzić".

Lecz inna wiedza, którą wpojono Wydrze, sprawiła, że stał się bardzo czuły na podobne sprawy. Dręczyło go sumienie. Wielka galera, którą właśnie budowali, miała popłynąć na wojnę, poruszana wiosłami niewolników Losena, i sprowadzić kolejnych niewolników. Myśl o tym, ile zła sprawią ludzie dzięki temu statkowi, nie dawała mu spokoju.

– Czemu nie możemy budować rybackich łodzi, jak kiedyś? – spytał.

– Bo rybaków nie stać na zapłatę – odparł ojciec.

– Nie płacą tyle co Losen, owszem, ale utrzymalibyśmy się z tego – upierał się Wydra.

– Myślisz, że mogę odrzucić zamówienie króla? Chcesz, bym zasiadł przy wiosłach obok innych niewolników? Rusz głową, chłopcze!

Toteż Wydra pracował z jasnym umysłem i gniewem w sercu. Żyli jak w więzieniu. Po co komu moc, pomyślał, jeśli nie po to, by się uwolnić?

Sumienie rzemieślnika nie pozwoliłoby mu uszkodzić desek statku. Sumienie czarownika podpowiadało, iż mógłby rzucić na niego klątwę, zaklęcie wplecione w same belki i żebra. Czy w ten sposób wykorzystałby swój tajemny dar w słusznym celu? Owszem, wyrządziłby krzywdę, ale tylko krzywdzicielom. Nie wspominał o tym żadnemu nauczycielowi. Jeśli postępował źle, to nie z ich winy i nie powinni o tym wiedzieć. Długo zastanawiał się, co zrobić, przygotowywał się, starannie budując zaklęcie. Stanowiło ono odwrotność uroku Znajdowania. Urok Gubienia – tak je nazwał. Statek będzie świetnie pływał, słuchał steru i manewrował, ale nie do końca.

Tylko tak chłopak potrafił przeszkodzić wykorzystaniu uczciwej pracy do niegodnych celów. Był z siebie bardzo zadowolony. Gdy galera została już zwodowana (i zgrabnie kołysała się na fali; wada miała ujawnić się dopiero na pełnym morzu), nie potrafił dłużej ukrywać przed nauczycielami tego, co zrobił. Podzielił się zatem nowiną z niewielkim kręgiem starców i położnych, a także z młodym garbusem, który umiał rozmawiać z umarłymi, i ślepą dziewczyną znającą imiona różnych istot. Opowiedział im o swej sztuczce. Ślepa dziewczyna zaśmiała się, starsi jednak rzekli:

– Uważaj. Bądź ostrożny. Nie ujawniaj się.

***

Losen miał wśród swych ludzi mężczyznę, który zwał się Ogarem, bo jak sam mawiał, miał nosa do czarów. Jego zadaniem było obwąchiwanie jedzenia i picia Losena, jego strojów i kobiet, wszystkiego, co wróg mógł wykorzystać przeciwko królowi piratów. Badał też uważnie wszystkie okręty. Statek to krucha łupina wśród niebezpiecznego żywiołu, wrażliwa na zaklęcia i uroki. Gdy tylko Ogar znalazł się na pokładzie nowej galery, poczuł coś dziwnego.

– No, no – mruczał. – Czyja to sprawka? – Podszedł do steru i położył na nim dłoń. – Sprytne! – mruknął do siebie. – Ale kto to

zrobił? Chyba ktoś nowy. – Z uznaniem pociągnął nosem. – Bardzo sprytne – dodał.

***

Przybyli do domu przy ulicy Szkutników po zmroku. Wyważyli drzwi. Ogar stojący pośród grupki zbrojnych rzekł:

– Tylko jego. Resztę puśćcie. – Zwracając się zaś do Wydry, dodał niskim, przyjaznym tonem: – Nie broń się.

Wyczuwał w młodzieńcu wielką siłę, tak wielką, że nieco się go obawiał. Lecz strach Wydry okazał się zbyt silny, a umiejętności zbyt skąpe, by mógł skorzystać z magii, aby się uwolnić bądź powstrzymać napastników. Rzucił się na nich i zaczął walczyć niczym zwierzę, póki go nie ogłuszyli. Potem złamali szczękę ojcu i pobili do nieprzytomności ciotkę i matkę, by ich nauczyć, że nie warto wychowywać sztukmistrzów. Zabrali Wydrę i odeszli.

Na wąskiej uliczce nie otwarły się żadne drzwi. Nikt nie wyjrzał, by przekonać się, co to za hałas. Minęło sporo czasu od odejścia zbrojnych, nim pierwsi sąsiedzi wykradli się z domów i zaczęli pocieszać rodzinę Wydry.

– Ten magiczny dar to prawdziwe przekleństwo! – powtarzali.

Ogar poinformował swojego pana, że ujęli już tego, który rzucił czar.

– Dla kogo pracował? – spytał Losen.

– Pracował w waszej stoczni, wasza wysokość. – Losen uwielbiał wyniosłe tytuły.

– Kto go wynajął, żeby przeklął statek, głupcze?

– Najwyraźniej był to jego własny pomysł.

– Ale czemu? Co mu z tego przyszło?

Ogar wzruszył ramionami. Nie zamierzał mówić Losenowi, że ludzie darzą go bezinteresowną nienawiścią.

– Mówisz, że ma dar. Możesz go wykorzystać?

– Mogę spróbować, wasza wysokość.

– Poskrom go albo urządź mu pogrzeb – polecił Losen i zajął się ważniejszymi sprawami.

***

Skromni nauczyciele Wydry wpoili mu dumę i przekazali głęboką pogardę wobec czarnoksiężników, którzy pracowali dla takich ludzi jak Losen, pozwalali, by strach bądź chciwość zwróciły magię na manowce. Dla niego nie było niczego gorszego niż podobna zdrada magicznej sztuki. Toteż martwił go fakt, że nie potrafi gardzić Ogarem.

Zamknięto go w składzie w jednym ze starych pałaców zajętych przez Losena. Pomieszczenie nie miało okien. Drzwi zrobiono z dębowych desek okutych żelazem. Rzucono na nie zaklęcia, które zatrzymałyby nawet znacznie bardziej doświadczonego maga. Losenowi służyli bardzo potężni czarnoksiężnicy.

Ogar nie uważał się za jednego z nich. „Mam tylko nos", mawiał.

Co dzień wpadał z wizytą, żeby sprawdzić, jak Wydra dochodzi do siebie po pobiciu. Wydrze wydawał się szczery i pełen dobrych chęci.

– Jeśli nie zechcesz dla nas pracować, zabiją cię – rzekł Ogar. – Losen nie może pozwolić, byś działał na wolności. Lepiej zatrudnij się u niego, póki cię chce.

– Nie mogę.

Dla Wydry było to zwykłe stwierdzenie przykrego faktu, nie decyzja moralna. Ogar spojrzał na niego z aprobatą. Żyjąc u boku króla korsarzy, miał powyżej uszu gróźb i przechwałek brutali i pyszałków.

– W czym jesteś najmocniejszy?

Wydra nie miał ochoty odpowiadać. Polubił Ogara, ale nie zamierzał mu ufać.

– W zmianach postaci – wymamrotał w końcu.

– Przyjmowaniu różnych postaci?

– Nie, zwykłych sztuczkach. Jak pozorna zamiana liścia w bryłkę złota.

W owych czasach nie miano jeszcze ustalonych nazw dla magicznych sztuk, nie dostrzegano też łączących ich więzi. Jak powiedzieliby później mędrcy z Roke, wiedza ówczesnych ludzi pozbawiona była podstaw naukowych. Ogar jednak orientował się doskonale, że jego więzień ukrywa swe zdolności.

– Nie potrafisz zmienić własnej postaci, nawet pozornie?

Wydra wzruszył ramionami. Kłamstwa przychodziły mu z trudem. Sądził, że dzieje się tak, bo nie ma doświadczenia, Ogar jednak wiedział, że sama magia stawia opór kłamstwom. Sztuczki, złudzenia, udawane rozmowy ze zmarłymi to fałszywa magia, szkło wobec diamentu, mosiądz przy złocie. Są oszukaństwem; na podobnej glebie kłamstwo wręcz rozkwita. Natomiast sztuka magiczna, choć można dzięki niej sprawiać także zło, wiąże się z tym, co prawdziwe. Jej słowa to prawdziwe słowa. Prawdziwemu czarnoksiężnikowi trudno kłamać o swej sztuce. W głębi serca wie, że raz wymówione kłamstwo może zmienić cały świat.

Ogar pożałował chłopaka.

– Wiesz chyba, że gdyby przesłuchał cię Gelluk, jednym słowem wydobyłby z ciebie wszystko, co ci wiadomo, a jednocześnie pozbawił rozumu? Widziałem, co zostawia po sobie Biała Twarz, gdy zadaje pytania. – Mówił o głównym magu Losena, Gelluku, białym człowieku z północy. W Havnorze powszechnie się go lękano. – Czy potrafisz pracować z wiatrem?

Wydra się zawahał.

– Tak.

– Masz worek?

Zaklinacze pogody zawsze nosili przy sobie skórzane worki, w których, jak twierdzili, przechowywali wiatry. Rozwiązywali swe worki, by wypuścić przychylny wiatr bądź schwytać przeciwny. Może były to tylko popisy, lecz każdy zaklinacz pogody miał swój worek, nieważne – wielki czy mały.

– W domu – rzekł Wydra. Nie kłamał. Rzeczywiście miał w domu worek; przechowywał w nim najlepsze narzędzia i poziomice. Nie kłamał też co do wiatru. Kilka razy udało mu się przywołać magiczny

wiatr i wypełnić nim żagiel łodzi. Nie miał natomiast pojęcia, jak walczyć ze sztormem, a to musi wiedzieć każdy zaklinacz pogody. Uznał jednak, iż woli zginąć podczas huraganu, niż dać się zabić w tym więzieniu.

– Nie zechciałbyś wykorzystać swych zdolności w służbie króla?

– Ziemiomorze nie ma króla – oznajmił młodzieniec stanowczo.

– W służbie mojego pana – poprawił się Ogar, nie tracąc cierpliwości.

– Nie. – Wydra znów się zawahał. Czuł, że winien jest swemu rozmówcy wyjaśnienie. – To nie tak, że nie chcę. Nie mogę. Myślałem, czy nie wbić kołków w poszycie galery obok kilu. Na pełnym morzu, gdy deski zaczęłyby pracować, kołki by wypadły. – Ogar przytaknął. – Ale nie mogłem. Jestem szkutnikiem. Nie potrafię zbudować statku, który zatonąłby razem z ludźmi. Moje ręce nie były do tego zdolne. Zrobiłem więc, co mogłem. Sprawiłem, że galera słuchałaby siebie, nie jego.

Ogar się uśmiechnął.

– A im nie udało się tego odczynić. Biała Twarz cały dzień łaził wczoraj po statku, mamrocząc pod nosem. Kazał wymienić ster.

– To nic nie da.

– Mógłbyś zdjąć to zaklęcie.

Na wymęczonej, poobijanej twarzy Wydry błysnął uśmieszek samozadowolenia.

– Nie. Nie sądzę, by komukolwiek się to udało.

– Szkoda. To mogłoby być niezłą kartą przetargową.

Wydra nie odpowiedział.

– Nos to rzecz pożyteczna, którą można sprzedać – ciągnął Ogar. – Nie żebym tęsknił za konkurencją, ale szukacz zawsze znajdzie pracę. Tak powiadają. Byłeś kiedyś w kopalni?

U magów umiejętność zgadywania bliska jest wiedzy ścisłej, choć czarownik zwykle nie zdaje sobie sprawy z tego, co właściwie wie. Pierwszą oznaką talentu Wydry, gdy chłopak miał dwa, trzy lata, była zdolność odnajdywania wszystkiego co zagubione – upuszczonego gwoździa, odłożonego na bok narzędzia. Wystarczyło, by rozumiał jego nazwę. W dzieciństwie uwielbiał wymykać się samotnie za miasto i wałęsać ścieżkami po wzgórzach. Podeszwami bosych

stóp i całym ciałem wyczuwał wówczas ukryte pod ziemią cieki wodne, żyły i skupiska rudy, splatające się warstwy różnych rodzajów skały i ziemi, zupełnie jakby spacerował po ogromnej budowli. Widział komnaty i korytarze, zejścia do przestronnych podziemi, połysk srebra na ścianach, jak gdyby jego ciało łączyło się z ziemią. Znał jej narządy, tętnice i mięśnie tak jak własne. Moc ta radowała go w dzieciństwie. Nigdy nie próbował jej wykorzystać. To był jego sekret.

Nie odpowiedział na pytanie Ogara.

– Co jest pod nami? – Ogar wskazał podłogę wyłożoną niegładzonymi kamiennymi płytami.

Chłopak milczał chwilę.

– Glina i żwir, a niżej skała, w której kryją się granaty. Warstwa tych skał leży pod całą tą częścią miasta. Nie znam ich nazw.

– Mógłbyś się nauczyć.

– Umiem budować łodzie, żeglować.

– Lepiej się trzymaj z dala od statków, walk, abordaży. Król otworzył stare kopalnie w Samory po drugiej stronie góry. Tam zejdziesz mu z oczu. Musisz dla niego pracować, jeśli chcesz pozostać przy życiu. Dopilnuję, by cię tam wysłano. Jeśli zechcesz.

Wydra znowu przez chwilę milczał.

– Dzięki – odezwał się wreszcie i spojrzał na Ogara przelotnie, pytająco. Zupełnie jakby próbował go osądzić.

Ten człowiek uwięził go, patrzył, jak jego zbrojni biją do nieprzytomności ojca i kobiety z rodziny Wydry, nie powstrzymał ich – a jednak mówił jak przyjaciel. Czemu? – pytał chłopak spojrzeniem.

– My, sztukmistrze, powinniśmy trzymać się razem – odpowiedział Ogar na niewypowiedziane pytanie. – Ci, którym brak naszej sztuki, którzy mają wyłącznie bogactwa, stawiają nas przeciw sobie. To oni zyskują, nie my. Sprzedajemy im naszą moc. Czemu? Gdybyśmy razem wzięli się do pracy, lepiej by się nam wiodło. Tak myślę.

***

Wysyłając młodzieńca do Samory, Ogar miał dobre zamiary, nie zdawał sobie jednak sprawy, jak silna jest wola Wydry. Podobnie zresztą sam Wydra. Zanadto przywykł do słuchania innych, by dostrzec, że w istocie zawsze kroczył własną ścieżką. Był też za młody, by wierzyć, że zła decyzja może doprowadzić go do zguby.

Gdy tylko wyprowadzą go z celi, zamierzał użyć zaklęcia starego Zmiany, przemienić się i uciec. Niewątpliwie groziła mu śmierć, mógł zatem skorzystać z zaklęcia. Nie potrafił się tylko zdecydować, jaką postać przybrać – ptaka, smużki dymu? Co byłoby najbezpieczniejsze? Lecz ludzie Losena przywykli do sztuczek, toteż podali mu narkotyk i nieprzytomnego rzucili niczym worek owsa na zaprzężony w muły wóz. Gdy Wydra zaczął okazywać oznaki powrotu przytomności, jeden z eskortujących ogłuszył go ciosem w głowę, komentując, że powinien więcej odpoczywać.

Kiedy słaby, dręczony bólem głowy i mdłościami po truciźnie w końcu doszedł do siebie, znajdował się w pomieszczeniu o ceglanych ścianach i zamurowanych oknach. Drzwi nie miały zasuwy ani widocznego zamka, gdy jednak spróbował wstać z ziemi, poczuł opasujące ciało i umysł więzy magii, silne, niezniszczalne, zaciskające się przy każdym ruchu. Wstał, ale nie mógł już postąpić choćby kroku w stronę drzwi. Nie zdołałby unieść ręki. Było to straszne wrażenie, zupełnie jakby jego mięśnie należały do kogoś innego. Usiadł na ziemi, starając się nie ruszać. Obręcz zaklęć wokół piersi nie pozwalała mu głębiej odetchnąć. Umysł także wydawał się skrępowany, jakby myśli stłoczono w za małej przestrzeni.

Po długim czasie do środka weszło kilku ludzi. Nie mógł nic zrobić. Bezradnie czekał, podczas gdy kneblowali go i wiązali mu ręce za plecami.

– Teraz nie możesz rzucać czarów i zaklęć, młodzieńcze – oznajmił mężczyzna o szerokich ramionach i groźnej twarzy; inni nazywali go Batem. – Możesz jednak kiwać głową, prawda? Wysłali cię tu jako różdżkarza. Jeśli dobrze się spiszesz, zasłużysz sobie na smaczną strawę i spokojny sen. Masz szukać cynobru. Mag króla twierdzi, że jest gdzieś tutaj, w okolicy starej kopalni. Lepiej zatem, żebyśmy go znaleźli. Teraz cię wyprowadzę. Jestem jak różdżkarz. Ty jesteś moją różdżką. Ty prowadzisz. Jeśli zechcesz skręcić w jedną bądź drugą

stronę, obróć głowę, a gdy zorientujesz się, że żyła jest pod nami, tupnij, o tak. Umowa stoi? Jeśli ty będziesz grał uczciwie, ja także. – Czekał, lecz Wydra stał bez ruchu. – A dąsaj się – powiedział Bat. – Jeśli nie spodoba ci się ta praca, są jeszcze piece.

Wyprowadził Wydrę na oślepiające poranne słońce. Gdy chłopak wyszedł z celi, poczuł, jak magiczne pęta opadają. Jednakże wokół budynków rozsnuto inne zaklęcia. Szczególnie gęsto otaczały wysoką kamienną wieżę. W powietrzu czuł lepkie nici oporu i odrazy. Kiedy spróbował się przez nie przecisnąć, twarz i brzuch zabolały, jakby ktoś dźgnął je nożem. Przerażony spuścił wzrok w poszukiwaniu rany, niczego jednak nie dostrzegł. Skrępowany i zakneblowany, pozbawiony głosu i rąk, którymi rzucał zaklęcia, nie mógł nic zrobić. Bat zawiązał mu wokół szyi obrożę splecioną z rzemieni. Smycz mocno trzymał w dłoni. Pozwolił chłopakowi wejść w kilka zaklęć; po tym doświadczeniu Wydra zaczął ich unikać. Natychmiast dostrzegał, gdzie się kryją. Piaszczyste ścieżki skręcały, by je ominąć.

Uwiązany niczym pies, powoli szedł naprzód. Rozejrzał się wokół, drżąc z obrzydzenia i wściekłości: kamienna wieża, stosy drewna obok szerokiego wejścia, widoczne w dole zardzewiałe koła i maszyny, wielkie sterty gliny i żwiru. Zakręciło mu się w obolałej głowie.

– Jeśliś różdżkarzem, zaczynaj szukać. – Bat stanął tuż obok i spojrzał mu prosto w twarz. – A jeśli nie, i tak szukaj. W ten sposób dłużej pozostaniesz na powierzchni.

Z kamiennej wieży wynurzył się wychudzony człowiek. Minął ich, idąc szybkim, lekko rozkołysanym krokiem prosto przed siebie. Jego podbródek lśnił, pierś była mokra od ściekającej z ust śliny.

– Oto wieża pieców – oznajmił Bat. – Tam gotuje się cynober, by wydobyć z niego metal. Piecowi umierają po roku do dwóch. Dokąd, różdżkarzu?

Po chwili Wydra obrócił głowę w lewą stronę. Ruszyli w kierunku długiej, pozbawionej drzew doliny, mijając trawiaste wzgórza i pagórki.

– Stąd już dawno wszystko wydobyto – oznajmił Bat.

Wydra zaczął wyczuwać pod stopami dziwną krainę – puste szyby, mroczne komnaty w ciemnej ziemi, pionowy labirynt, najgłębsze

studnie wypełnione nieruchomą wodą.

– Nigdy nie było tu wiele srebra, a wodny metal to też pieśń przeszłości. Posłuchaj, chłopcze, wiesz w ogóle, co to jest cynober?

Wydra potrząsnął głową.

– Pokażę ci. Tego właśnie szuka Gelluk: rudy wodnego metalu. Wodny metal pochłania inne metale, nawet złoto. Gelluk nazywa go Królem. Jeśli znajdziesz mu Króla, będzie cię dobrze traktował. Często nas odwiedza. Chodź, pokażę ci. Pies nie może tropić, póki nie złapie zapachu.

Bat zaprowadził Wydrę do kopalni i pokazał mu rudy, a także typ ziemi, w której najczęściej występowały. Na końcu długiego tunelu pracowała grupka górników.

W Ziemiomorzu w kopalniach zawsze pracowały kobiety – może dlatego że były drobniej zbudowane niż mężczyźni i zręczniej poruszały się w ciasnych tunelach, a może ponieważ łączyła je bliska więź z ziemią. Najprawdopodobniej jednak była to kwestia tradycji. W przeciwieństwie do robotników w wieży pieców były wolne. Bat opowiadał, że Gelluk mianował go zarządcą kopalni, ale kobiety nie pozwalają mu w niej pracować. Szczerze wierzyły, że mężczyzna machający łopatą i stemplujący strop przynosi nieszczęście.

– Mnie to odpowiada – dodał Bat.

Jasnooka niewiasta o rozczochranych włosach ze świecą przywiązaną do czoła odłożyła kilof i zademonstrowała Wydrze odrobinę cynobru w wiadrze: brązowoczerwone grudki i okruchy. Na warstwie ziemi, którą rozbijały kobiety, tańczyły cienie, stare stemple trzeszczały, ze stropu opadał pył. Panował tu mrok i chłód; komory i korytarze okazały się tak niskie i wąskie, że musieli się pochylać i przepychać z trudem. W niektórych miejscach strop się zapadł. Drabiny były przepróchniałe. Kopalnia okazała się przerażającym miejscem, a jednak Wydra czuł się w niej bezpiecznie i niemal żałował, że musi znowu wyjść na słońce.

Bat nie zaprowadził go do wieży pieców, lecz z powrotem do baraków. Z zamkniętego pomieszczenia wyniósł niewielką miękką sakiewkę z grubej skóry. Wyraźnie ciążyła mu w dłoniach. Otworzył ją i pokazał Wydrze ukrytą w środku maleńką, lśniącą kałużę. Gdy

zaciągnął rzemyki, metal poruszył się w sakwie, napierając na skórę niczym zwierzę próbujące wyrwać się na zewnątrz.

– Oto Król – oznajmił Bat tonem, w którym krył się podziw... bądź nienawiść.

Choć sam nie władał mocą, okazał się człowiekiem znacznie groźniejszym niż Ogar. Podobnie jednak jak tamten był brutalny, lecz nie okrutny. Żądał posłuszeństwa i niczego ponadto. Wydra całe życie oglądał w dokach Havnoru niewolników i ich panów. Wiedział, że dopisało mu szczęście. Przynajmniej za dnia, gdy Bat był jego panem.

Jeść mógł wyłącznie w celi; tam zdejmowano mu knebel. Zwykle dostawał chleb pokropiony cuchnącym olejem i cebulę. Choć stale dręczył go głód, magiczne więzy sprawiały, że ledwie mógł przełykać jedzenie. Smakowało metalem, popiołem. Noce były długie i straszne, zaklęcia napierały na niego, ciążyły, budziły raz po raz zalęknionego, z trudem łapiącego oddech. Nie potrafił się skupić. W celi panowała ciemność, nie mógł bowiem przywołać magicznego światła. Nadejście dnia przyjmował z niewypowiedzianą ulgą, choć oznaczało, że znów związą mu ręce za plecami, zakneblują usta, a na szyję założą obrożę z rzemieni.

Bat wyprowadzał go co dzień wczesnym rankiem; często wędrowali aż do późnego popołudnia. Czekał cierpliwie. Nie pytał, czy Wydra wyczuwa ślady rudy, nie pytał, czy w ogóle jej szuka, czy tylko udaje. Sam Wydra nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Podczas tych bezcelowych wędrówek nagle w jego umyśle pojawiała się wiedza z podziemi. On zaś próbował się przed nią zamykać.

Nie będę pracował w służbie zła, powtarzał w duchu.

Potem jednak światło słońca i świeże powietrze go uspokajały. Nagie stwardniałe podeszwy wyczuwały suchą trawę i wiedział, że pod korzeniami trawy w mroku ziemi płynie strumień, pokonuje szeroką skalną półkę poszatkowaną warstwami miki. Pod półką leży pieczara, w której ścianach pęcznieją cienkie, szkarłatne, kruche żyły cynobru... Nie okazał tego po sobie, uznawszy, że powstająca w jego głowie mapa podziemi może zostać wykorzystana w dobrej sprawie – jeśli tylko on sam się dowie, jak tego dokonać.

Po dziesięciu dniach Bat oznajmił:

– Przyjeżdża pan Gelluk. Jeżeli nie dostanie rudy, znajdzie sobie nowego różdżkarza.

Wydra z ponurą miną szedł przed siebie. Potem skręcił, prowadząc Bata na wzgórze, nieopodal starej kopalni. Tam skinął głową i tupnął.

Gdy w celi Bat osobiście rozwiązał go i usunął knebel, Wydra rzekł:

– Jest tam trochę rudy. Dostaniecie się do niej, przedłużając stary tunel prosto jak strzelił o jakieś pięć kroków.

– Dużo?

Wydra potrząsnął głową.

– Malutka porcyjka, co?

Chłopak milczał.

– To mi odpowiada – powiedział Bat.

Dwa dni później, gdy otwarli stary szyb i zaczęli kopać w stronę rudy, zjawił się mag. Bat zostawił Wydrę na dworze, siedzącego w słońcu. Chłopak był mu wdzięczny. Wolał to niż celę w barakach. Nie mógł siedzieć wygodnie ze związanymi rękami i zakneblowanymi ustami, lecz wiatr i słońce były prawdziwym błogosławieństwem. Mógł też oddychać głęboko i drzemać, nie myśląc o tym, że ziemia zasypuje mu usta i nozdrza. Tylko takie sny nawiedzały go nocami w celi.

Prawie już zasnął na ziemi w cieniu obok baraku. Zapach kłód ułożonych w stosy pod murem wieży pieców przywołał wspomnienia rodzinnych doków, woń świeżego drewna, gdy hebel przesuwa się po gładkiej, dębowej desce. Coś – jakiś odgłos czy ruch – wyrwało go z drzemki. Uniósł wzrok i ujrzał nad sobą czarnoksiężnika.

Gelluk miał fantastyczny strój; w owych czasach magowie często się tak nosili. Długa szkarłatna szata z jedwabiu z Lorbanery, haftowana złotą i czarną nicią w runy i symbole, i spiczasty kapelusz o szerokim rondzie sprawiały, że wydawał się wyższy niż zwykły człowiek. Wydra nie musiał patrzeć na ubranie, by rozpoznać maga. Poznał dłoń, która utkała krępujące go więzy. Całymi nocami przeklinał kwaśny smak i dławiący uścisk owych kajdan.

– Chyba znalazłem mojego małego szukacza – powiedział Gelluk. Głos miał głęboki i miękki niczym dźwięk wiolonczeli. – Śpi jak człowiek, który wykonał kawał dobrej roboty. Posłałeś ich śladem

Czerwonej Matki, co? Czy znałeś Czerwoną Matkę, nim tu przybyłeś? Jesteś dworakiem Króla? Niepotrzebne nam sznury i węzły.

Jednym pstryknięciem rozwiązał ręce Wydry. Knebel opadł na ziemię.

– Mógłbym cię nauczyć, jak to się robi. – Czarnoksiężnik z uśmiechem patrzył, jak chłopak rozciera obolałe przeguby i porusza zdrętwiałymi wargami. – Ogar mówił, że masz spore zadatki i jeśli natrafisz na właściwego przewodnika, możesz daleko zajść. Chciałbyś odwiedzić królewski dwór? Mogę cię tam zabrać. Ale może nie wiesz, o jakim królu mówię.

Istotnie, Wydra nie był pewien, czy mag ma na myśli pirata, czy też rtęć. Zaryzykował jednak i szybkim gestem wskazał kamienną wieżę.

Czarnoksiężnik zmrużył oczy. Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

– Znasz jego imię?

– Wodny metal – rzekł Wydra.

– Tak nazywają go prostacy. Albo rtęcią, żywym srebrem, ciężką wodą. Ci jednak, którzy mu służą, zwą go Królem, Wszechkrólem, Ciałem Księżyca. – Mag twarz miał wielką i pociągłą, bielszą niż jakiekolwiek oblicze, z jakim zetknął się wcześniej Wydra. Spoglądały z niej niebieskie oczy. Na brodzie i policzkach tu i ówdzie wyrastały siwe i czarne włosy. Spokojny, szeroki uśmiech ukazywał małe zęby. Kilku z nich brakowało. – Ci, którzy umieją naprawdę widzieć, zawsze postrzegali go takiego, jaki jest naprawdę: to władca wszystkich substancji. W nim kryje się fundament mocy. Wiesz, jak go nazywamy w ciszy jego pałacu?

Wysoki mężczyzna w wysokim kapeluszu usiadł nagle na ziemi obok Wydry, bardzo blisko. Jego oddech pachniał ziemią. Jasne oczy spojrzały wprost w źrenice chłopaka.

– Chciałbyś wiedzieć? Możesz dowiedzieć się wszystkiego, czego zapragniesz. Nie muszę mieć przed tobą sekretów ani ty przede mną. – I roześmiał się, niegroźnie, z radością. Ponownie spojrzał na Wydrę. Jego wielka biała twarz była gładka, zamyślona. – Masz w sobie moc. Wiele tropów, wiele sztuczek. Sprytny z ciebie chłopak, ale nie za sprytny. To dobrze. Nie za sprytny, by się uczyć jak inni... Będę cię uczył, jeśli zechcesz. Lubisz się uczyć? Lubisz wiedzę?

Chciałbyś poznać imię, jakim nazywamy Króla, gdy przebywa samotnie w swej jasności wśród kamiennych murów? Jego imię brzmi Turres. Znasz je? To słowo w języku Wszechkróla. Jego własne imię, w jego własnej mowie. W naszym przyziemnym języku nazwalibyśmy go Nasieniem. – Poklepał dłoń Wydry. – Niesie bowiem życie, zapładnia. Nasienie, źródło władzy i mądrości. Sam zobaczysz, przekonasz się. Chodź. Chodź. Zobacz, jak Król biega pośród swych poddanych. Uwalnia się od nich. – Wstał nagle, energicznie, trzymając dłoń chłopaka i z zaskakującą siłą pociągając go za sobą. Śmiał się głośno, podniecony.

Wydra miał wrażenie, jakby ktoś przywrócił go do zwykłego życia po nieskończonym złowrogim okresie półświadomości. Dotknięcie czarnoksiężnika nie niosło grozy zaklęcia, lecz dar energii i nadziei. Nakazywał sobie w duchu nie ufać temu człowiekowi. Lecz pragnął mu zaufać, uczyć się od niego. Gelluk był potężny, dziwny, władczy, a jednak go uwolnił. Pierwszy raz od kilku tygodni Wydra mógł poruszać się z niespętanymi rękami, nieskrępowany zaklęciem.

– Tędy, tędy – mamrotał Gelluk. – Nic ci się nie stanie.

Podeszli do drzwi wieży pieców, wąskiego otworu w grubym murze. Czarnoksiężnik ujął ramię Wydry, chłopak bowiem się zawahał.

Bat mówił mu, że pary metalu unoszące się z rozgrzanej rudy wywołują chorobę i śmierć ludzi pracujących w wieży. Wydra nigdy do niej nie wchodził. Nie widział też, by robił to Bat. Raz zbliżył się do niej dostatecznie, by wiedzieć, że otaczają ją więzienne zaklęcia, które oszołomią, schwytają i zranią każdego niewolnika próbującego ucieczki. Teraz czuł, jak owe zaklęcia ustępują niczym włókna pajęczyny, pasma ciemnej mgły przed magiem, który je stworzył.

– Nie bój się, oddychaj. – Gelluk roześmiał się i Wydra z trudem się zmusił, by nie wstrzymywać oddechu, gdy obaj weszli do wieży.

Środek wielkiej, sklepionej komnaty zajmowało ogromne palenisko. Na tle płomieni czarne, krzątające się pospiesznie, chude jak patyki sylwetki wrzucały rudę na płonące kłody. Ryczący ogień podsycały wielkie miechy. Inni niewolnicy przynosili wciąż świeże drewno i poruszali miechami. Kolejne pomieszczenia wznosiły się spiralą ku wierzchołkowi wieży, poprzez dym i opary. W owych

komnatach, jak mówił mu Bat, chwytano pary rtęci i skraplano je, następnie znów ogrzewano i skraplano, aż w końcu, w najwyższej komnacie, do kamiennej misy spływał czysty metal – teraz, ponieważ mieli już tylko ubogą rudę, była go zaledwie kropla czy dwie dziennie.

– Nie bój się – powtórzył Gelluk. Jego silny, melodyjny głos zagłuszał poświstujące sapanie wielkich miechów i ryk płomieni. – Chodź, zobacz, jak unosi się w powietrzu, jak się oczyszcza. Oczyszcza też swych poddanych. – Pociągnął Wydrę na skraj paleniska. Jego oczy połyskiwały w oślepiającym blasku ognia. – Złe duchy pracujące dla Króla stają się czyste – rzekł, zbliżając usta do ucha chłopaka. – Gdy tu harują, skazy i nieczystości wypływają z nich, brudy i choroby wyciekają z ich ran. A gdy się wypalą i ulegną oczyszczeniu, mogą polecieć w górę, w górę, aż na dwór Króla. Chodź ze mną, chodź, na szczyt wieży, gdzie ciemna noc wypluwa z siebie księżyc.

Wydra w ślad za nim wdrapał się na kręte schody, z początku szerokie, potem coraz węższe. Mijali komory parowania z rozpalonymi do czerwoności piecami, których kominy wiodły do pokojów oczyszczania. Tam nadzy niewolnicy zeskrobywali ze ścianek sadzę ze spalonej rudy i ponownie wrzucali ją do pieców. W końcu mag i Wydra dotarli na sam szczyt. Gelluk odwrócił się do niewolnika przycupniętego przy krawędzi szybu.

– Pokaż mi Króla!

Niewolnik, niski i chudy, łysy, z dłońmi i ramionami pokrytymi ropiejącymi wrzodami, zdjął pokrywę z kamiennego zbiornika obok szybu. Gelluk niecierpliwie jak dziecko zajrzał do środka.

– Taki maleńki – mruknął. – Taki młody. Mały książę, królewiątko, pan Turres. Nasienie świata! Klejnot duszy!

Sięgnął za pazuchę i wyjął sakwę z pięknej skóry haftowanej srebrną nicią. Delikatną rogową łyżeczką przywiązaną do sakwy wydobył z misy kroplę rtęci i umieścił w środku. Potem zaciągnął rzemyk.

Niewolnik czekał bez ruchu. Wszyscy ludzie pracujący w upale i oparach wieży pieców byli nadzy bądź odziani jedynie w przepaski biodrowe i mokasyny. Wydra raz jeszcze zerknął na niewolnika.

Sądząc po wzroście, uznał go za dziecko, potem jednak ujrzał małe piersi. To była kobieta, całkiem łysa. Na wychudzonych kończynach dostrzegł obrzmiałe, opuchnięte stawy. Raz jeden spojrzała na Wydrę, poruszając wyłącznie oczami. Splunęła w ogień, wytarła dłonią poranione usta i znów zastygła w bezruchu.

– Doskonale, moja mała, doskonale – powiedział Gelluk. – Oddawaj swe nieczystości ogniowi, a przemienią się w żywe srebro, światło księżyca. Czyż to nie cudowne? – ciągnął dalej, prowadząc Wydrę z powrotem na dół. – Z najpospolitszego powstaje najszlachetniejsze. Wspaniała zasada sztuki. Z nieczystej Czerwonej Matki przychodzi na świat Wszechkról, ze śliny umierającej niewolnicy – srebrne nasienie władzy.

Wędrując kamiennymi cuchnącymi schodami ani na moment nie przestawał mówić, a Wydra próbował go zrozumieć, bo oto człowiek obdarzony mocą opowiadał mu o niej.

Gdy jednak znów znaleźli się na słonecznej łące, poczuł, że w głowie nadal wiruje mu ciemność. Po kilku krokach zgiął się wpół i zwymiotował.

Gelluk obserwował go z troską, uważnie. Kiedy wykrzywiony i zadyszany chłopak uniósł głowę, czarnoksiężnik spytał łagodnie:

– Boisz się Króla?

Wydra przytaknął.

– Jeśli zawładniesz jego mocą, nie skrzywdzi cię. Strach przed mocą, walka z mocą – to bardzo niebezpieczne. Należy ją kochać i dzielić się nią. Spójrz, co robię.

Gelluk uniósł sakwę. Nie spuszczając wzroku z chłopaka, rozwiązał rzemień, uniósł sakwę do ust i wypił zawartość. Otworzył uśmiechnięte usta, demonstrując Wydrze srebrne krople na języku, po czym przełknął.

– Teraz Król jest w moim ciele, szlachetny gość w mym domu. Nie odbierze mi sił, nie każe wymiotować, nie porani ciała, bo się go nie lękam, lecz zapraszam z własnej woli, a on wkracza w moje żyły i kości. Nie dzieje mi się nic złego. Moja krew jest srebrna. Widzę rzeczy nieznane innym. Znam tajemnicę Króla. Kiedy zaś Król mnie opuszcza, skrywa się w najgorszym z brudów, smrodzie. Lecz nawet w tej ohydzie czeka, bym przybył, wziął go i oczyścił, jak on oczyścił

mnie, tak że raz po raz stajemy się coraz czyściejsi. – Czarnoksiężnik ujął Wydrę za rękę i wraz z nim ruszył naprzód. Uśmiechnął się porozumiewawczo. – Sram promieniami księżyca. Nie spotkasz nikogo innego, kto może to o sobie powiedzieć. I jeszcze więcej, znacznie więcej. Król mieszka też w moim nasieniu. Jest moim nasieniem. Ja jestem Turresem, a on mną...

Oszołomiony chłopak jak przez mgłę uświadomił sobie, że idą w stronę wejścia do kopalni. Zeszli pod ziemię. Korytarze kopalni tworzyły mroczny labirynt, tak jak słowa maga. Wydra potykał się, ale szedł naprzód, próbując zrozumieć. Wspomniał niewolnicę w wieży, kobietę, która na niego spojrzała. Wspomniał jej oczy.

Gelluk posłał przodem mały czarodziejski płomyk. Pokonywali dawno porzucone poziomy. Zdawało się, że czarnoksiężnik zna każdy zakamarek kopalni. A może nie. Może w ogóle nie znał drogi i wędrował na oślep. Cały czas mówił. Czasem odwracał się do Wydry, by wskazać drogę bądź go ostrzec, po czym podejmował swą opowieść.

Dotarli do miejsca, w którym kobiety wydłużały stary tunel. Tam mag zamienił kilka słów z Batem w blasku świec, wśród poskręcanych cieni. Dotknął ziemi u wylotu tunelu, ujął w dłonie bryły błota, ścisnął w palcach, roztarł, polizał, wziął do ust i badał smak. Zamilkł. A Wydra obserwował go bacznie, wciąż próbując zrozumieć.

Bat wrócił z nimi do baraków. Nadzorca, jak zawsze, zamknął Wydrę w celi, zostawiając bochenek chleba, cebulę i dzban wody.

Wydra przykucnął, przygnieciony zaklęciem. Łapczywie wypił wodę. Cebula była dobra, ostra. Zjadł wszystko.

Gdy zgasło słabe światło przedostające się do celi przez małe otwory w zaprawie zamurowanego okna, nie zapadł w otchłań niespokojnego snu, lecz czuwał, z każdą chwilą bardziej ożywiony. Tumult panujący w jego myślach od chwili spotkania z Gellukiem powoli przycichał. Gdzieś z głębi pamięci wynurzał się coraz wyraźniejszy obraz, ulotny, ale wyraźny: niewolnica w najwyższej komorze wieży; kobieta o pustych piersiach i zaropiałych oczach, która splunęła śliną z zatrutych ust, otarła wargi i zastygła w bezruchu, czekając na śmierć. Spojrzała na niego.

Ujrzał ją bardzo wyraźnie. Wyraźniej niż wtedy. Wyraźniej niż kogokolwiek w życiu. Widział wychudzone ręce, napuchnięte stawy przy łokciu i przegubie. Szyję chudą jak u dziecka. Zupełnie jakby była z nim w celi, jakby kryła się w nim, była nim samym. Spojrzała na niego. Ujrzał jej oczy i swoje w nich odbicie.

Zobaczył linie zaklęć, które go więziły, ciężkie sploty ciemności, plątaninę magicznych sznurów. Można było rozwiązać ów węzeł. Gdyby odwrócił się w tę stronę, a potem w tę i rozdzielił linie dłońmi... Był wolny.

Nie widział już kobiety. Stał swobodnie, samotny w mroku.

Wszystkie myśli, których nie mógł przywołać od tygodni, wirowały mu w głowie. Burza pomysłów i uczuć. Szaleńcza wściekłość. Żądza zemsty. Smutek. Duma.

Z początku oszołomiły go upajające marzenia o mocy i zemście. Uwolni niewolników. Skrępuje zaklęciem Gelluka i ciśnie go w oczyszczający ogień. Spęta go, oślepi i pozostawi, by wciągał w płuca pary rtęci w najwyższej komnacie, aż do śmierci... Kiedy jednak myśli uspokoiły się i oczyściły, zrozumiał, że nie zdoła pokonać maga o tak wielkiej mocy, nawet jeśli ów mag to szaleniec. Jedyną nadzieją było podsycanie owego szaleństwa. Wówczas czarnoksiężnik zniszczy się sam.

Wydra się zamyślił. Przez cały czas, który spędził z Gellukiem, próbował uczyć się od niego, zrozumieć, co mag mówi. Teraz był jednak pewien, że idee Gelluka, jego pomysły, nauki, których udzielał z takim zapałem, nie miały nic wspólnego z prawdziwą mocą. Wydobycie i oczyszczanie rudy to wspaniałe umiejętności, pełne tajemnic, ale Gelluk najwyraźniej nie znał się na nich. Jego historie o Wszechkrólu i Czerwonej Matce to tylko słowa, i to niewłaściwe słowa. Skąd jednak Wydra to wiedział?

W zalewie gadaniny Gelluk wymienił tylko jedno słowo w Dawnej Mowie, języku, w którym wypowiada się magiczne zaklęcia: Turres. Mówił, iż oznacza „nasienie”. Własny magiczny dar Wydry pozwolił mu rozpoznać to słowo jako prawdziwe. Gelluk twierdził, iż znaczy ono też „rtęć” i Wydra wiedział, że to nieprawda.

Jego nauczyciele przekazali mu wszystkie znane sobie słowa w Mowie Tworzenia. Wśród nich nie znalazła się ani nazwa nasienia,

ani rtęci. Teraz jednak jego wargi rozwarły się, język poruszył.

– Ayezur – powiedział Wydra.

Jego głos był głosem niewolnicy w kamiennej wieży. To ona znała prawdziwe imię rtęci i wymówiła je.

Przez dłuższy czas stał bez ruchu, po raz pierwszy dostrzegając, gdzie kryje się jego moc.

Stał w mroku celi i wiedział, że się uwolni, bo już był wolny. Poczuł nagłą dumę.

Po jakimś czasie z rozmysłem ponownie wszedł w środek pułapki krępujących zakręć. Wrócił na swe dawne miejsce, usiadł na sienniku i myślał dalej. Zaklęcie więżące nie zniknęło, ale nie miało już nad nim władzy. Mógł w nie wchodzić i wychodzić, niczym w krąg linii wymalowanych na posadzce. Z każdym uderzeniem serca czuł nowe fale wdzięczności za odzyskaną wolność.

Zastanawiał się, co musi zrobić i jak. Nie był pewien, czy to on ją wezwał, czy też przyszła do niego z własnej woli. Nie wiedział, jak wymówiła słowo w Dawnej Mowie – w nim, poprzez niego. Nie wiedział, co robi ani co robi ona, i był niemal pewien, że każde zaklęcie ostrzeże Gelluka. W końcu jednak pospiesznie, przerażony, bo o istnieniu podobnych zaklęć jego nauczyciele wspominali tylko półgłosem, przywołał kobietę z kamiennej wieży.

Sprowadził ją do swego umysłu i ujrzał tak jak wtedy, w tamtej komnacie. Zawołał do niej i przyszła.

Jej obraz ponownie stanął tuż poza pajęczą siecią zaklęć. Patrzyła na niego i widziała go. Pokój wypełniło łagodne, błękitne, pozbawione źródła światło. Jej poranione, zaropiałe wargi zadrżały. Nie odezwała się jednak.

Przemówił pierwszy, zdradzając jej swoje prawdziwe imię:

– Jestem Medra.

– A ja Anieb.

– Jak możemy się uwolnić?

– Potrzebne jest jego imię.

– Nawet gdybym je znał... Gdy jestem z nim, nie mogę mówić.

– Gdybym była z tobą, wykorzystałabym je.

– Nie mogę cię wezwać.

– Ale ja mogę przybyć – odparła.

Rozejrzała się. Wydra uniósł wzrok. Oboje wiedzieli, że Gelluk coś zauważył, ocknął się. Wydra poczuł, jak zaciskają się więzy. Opadł na niego dawny cień.

– Przybędę, Medro – rzekła. Wyciągnęła chudą rękę, zaciskając ją w pięść, po czym otworzyła wnętrzem dłoni do góry, jakby coś mu dawała. A potem znikła.

Światło odeszło wraz z nią. Znów był sam, w ciemności. Zimne kajdany zaklęć zacisnęły się wokół jego gardła, dławiły. Skrępowały mu ręce, napierały na płuca. Przykucnął, dysząc. Nie mógł myśleć. Nic nie pamiętał.

– Zostań ze mną – powiedział, nie wiedząc, do kogo mówi.

Bał się i nie wiedział czego. Czarnoksiężnik, moc, zaklęcie... wszystko pochłonęła ciemność, lecz gdzieś w jego ciele, nie w umyśle, żarzyła się wiedza, której nie potrafił nazwać; pewność kojąca niczym maleńka lampa w dłoni podczas wędrówki w podziemnym labiryncie. Nie spuszczał wzroku z owej drobinki światła.

Nawiedziły go nużące, złowieszcze sny o tym, że się dusi, jednak uwolnił się od nich. Odetchnął głęboko i w końcu zasnął. Śnił o stromych zboczach za zasłoną deszczu, przez którą prześwieca światło. Śnił o chmurach płynących ponad granicami wysp, o wysokim zielonym wzgórzu stojącym w słońcu i mgle na krańcu morza.

***

Mag Gelluk i pirat Losen, zwący się królem, współpracowali od lat. Każdy z nich wspierał i powiększał władzę drugiego. Każdy wierzył, że sługą jest ten drugi.

Gelluk nie wątpił, że bez niego żałosne królestwo Losena wkrótce by się rozpadło, a jakiś wrogo nastawiony mag jednym zaklęciem starłby władcę z powierzchni ziemi. Pozwalał jednak odgrywać Losenowi pana, przywykł bowiem do tego, że władca zaspokaja jego potrzeby, daje mu swobodę i dostarcza niewolników, niezbędnych

do dalszych doświadczeń. Z łatwością przychodziło mu utrzymanie zaklęć ochronnych rzuconych na Losena, jego wyprawy i statki, a także zaklęć więziennych na miejscach, w których pracowali niewolnicy bądź przechowywano skarby. Stworzenie owych zaklęć to inna sprawa; wymagały długiej, ciężkiej pracy. Teraz jednak już istniały i nie zdołałby ich przełamać żaden mag w Havnorze.

Gelluk nigdy nie spotkał kogoś, kogo mógłby się lękać. W swym życiu natknął się na kilku magów dość potężnych, by musiał zachować czujność, lecz żaden nie dorównywał mu mocą i umiejętnościami.

Ostatnio, zagłębiając się bez reszty w tajemnice Księgi Wiedzy przywiezionej z wyspy Way przez piratów Losena, Gelluk zobojętniał na większość tego, czego się nauczył i odkrył. Księga udowodniła mu, że wszystko to jedynie cienie, odłamki większej wiedzy. Podobnie jak jedna substancja kontroluje wszystkie inne, tak i jedna prawdziwa wiedza zawiera w sobie wszystko. Zbliżając się do niej, pojął, iż sztuki czarnoksiężników są równie nieporadne i fałszywe jak tytuł i władza Losena. Gdy zjednoczy się z prawdziwą substancją, zostanie królem. Tylko on, jedyny pośród wszystkich ludzi, będzie wymawiał Słowa Tworzenia i Unicestwiania. Zamiast psów będzie hodował smoki.

W młodym różdżkarzu dostrzegł surową i niewyszkoloną moc, którą mógł wykorzystać. Potrzebował znacznie więcej rtęci, niż miał w tej chwili. Potrzebował zatem szukacza. Znajdowanie to prymitywna umiejętność; Gelluk nigdy się tym nie zajmował. Dostrzegał jednak, iż chłopak ma dar. Musi poznać jego prawdziwe imię, aby zdobyć nad nim władzę. Niestety, chłopca trzeba będzie długo szkolić, a potem jeszcze wykopać z ziemi rudę i oczyścić metal. Jak zawsze Gelluk przeskoczył myślami przeszkody i oto zmierzał wprost ku czekającym u kresu cudownym tajemnicom.

W księdze z Way, którą stale woził ze sobą w zaklętym puzdrze, znalazł ustępy traktujące o prawdziwym, oczyszczającym ogniu. Po długich studiach dowiedział się, że kiedy zdobędzie dość czystego metalu, w następnym etapie musi oczyścić go ponownie, by uzyskać Ciało Księżyca. Analizując pokrętny język księgi, uznał, iż aby uzyskać czystą rtęć, ogień należy podsycać nie zwykłym drewnem,

lecz ludzkimi ciałami. Tej nocy wciąż od nowa odczytując te same fragmenty, dostrzegł w nich inne możliwe znaczenie. W słowach mądrości zawsze kryło się kolejne dno. Może księga mówiła, że należy poświęcić nie tylko zwykłe ciała, ale też duchy istot niższych? Wielki ogień w wieży winien pochłonąć nie trupy, lecz żywych ludzi. Żywych i świadomych. Czystość z brudu, błogość z bólu. Gdy raz dostrzegło się ogólną prawidłowość, wszystko stawało się jasne. Był pewien, że się nie myli, że w końcu pojął, na czym polega właściwa technika. Nie może się jednak spieszyć, musi być cierpliwy, upewnić się. Przeszedł do kolejnego ustępu, porównując go z poprzednim i ślęczał nad księgą do późnej nocy. Na moment coś odciągnęło jego uwagę; czyjeś wtargnięcie na krawędzi świadomości. Chłopak próbował jakichś sztuczek. Gelluk niecierpliwie wymówił jedno słowo i powrócił do niezwykłej krainy Wszechkróla, nie dostrzegając, że sny więźnia wymknęły mu się spod kontroli.

Następnego dnia kazał Batowi przyprowadzić chłopca. Nie mógł się już doczekać spotkania. Chciał być dla niego miły, uczyć go, nagradzać, tak jak poprzedniego dnia. Usiadł wraz z nim w słońcu. Gelluk lubił dzieci i zwierzęta. Lubił wszystko co piękne. Miło było mieć przy sobie młode stworzenie. Bezrozumny podziw Wydry był naprawdę ujmujący, podobnie jego bezrozumna siła. Gelluk miał dosyć niewolników, ich słabości, podstępów i ohydnych, chorych ciał. Oczywiście Wydra także był jego niewolnikiem, ale nie musiał o tym wiedzieć. Mogli zostać uczniem i nauczycielem. Lecz uczniowie bywają zbyt chytrzy, pomyślał czarnoksiężnik, przypominając sobie o Wczesnym, swym uczniu, stanowczo zbyt sprytnym jak na jego gust. Tego będzie musiał trzymać krócej. Ojciec i syn – tacy mogą stać się dla siebie. Każe chłopcu, by nazywał go ojcem. Ale najpierw trzeba poznać prawdziwe imię Wydry. Istniały po temu różne metody. Najprostszą jednak, ponieważ chłopak i tak znajdował się w jego władzy, było po prostu zapytać.

– Jak brzmi twoje prawdziwe imię? – spytał, uważnie obserwując Wydrę.

Umysł stawił słaby opór, lecz usta otwarły się, język poruszył.

– Medra.

– Doskonale, młody Medro – rzekł mag. – Możesz nazywać mnie ojcem.

***

– Musisz odszukać Czerwoną Matkę.

Znów siedzieli obok siebie przed barakiem. Na niebie świeciło ciepłe jesienne słońce. Gelluk zdjął spiczasty kapelusz; gęste siwe włosy opadały mu na twarz.

– Wiem, że znalazłeś maleńkie złoże, ale z niego da się wycisnąć tylko kilka kropel. Nie warto nawet oczyszczać tej rudy. Jeśli masz mi pomóc, jeśli ja mam cię uczyć, musisz bardziej się postarać. Chyba wiesz, jak masz to zrobić. – Uśmiechnął się do Wydry. – Prawda?

Wydra przytaknął.

Wciąż był wstrząśnięty i oszołomiony. Jak łatwo Gelluk zdobył jego imię, a więc i całkowitą nad nim władzę! Teraz nadzieja zniknęła. Nie mógł się już opierać. Pogrążył się w krańcowej rozpaczy. Wówczas jednak w jego umyśle zjawiła się Anieb. Przybyła z własnej woli, własnymi metodami. Nie mógł jej wezwać, nie mógł nawet o niej myśleć. A nawet jeśli, nie odważyłby się, póki był z Gellukiem. Mimo to przyszła.

Trudno było ją dostrzec poprzez mgłę gadaniny maga i mroczną sieć spowijających chłopaka zaklęć krępujących. Gdy jednak Wydrze udawało się przebić zasłonę, miał wrażenie, że Anieb nie przebywa z nim, lecz jest nim samym, a może on nią. Patrzył jej oczami. Słyszał jej głos – silniejszy, wyraźniejszy niż głos i zaklęcia Gelluka. Dzięki jej oczom i umysłowi mógł widzieć i myśleć. I zaczął dostrzegać, iż czarnoksiężnik, całkowicie pewny, że posiadł już jego ciało i duszę, nie dba o zaklęcia łączące go z Wydrą. A połączenie to więź. On – lub Anieb wewnątrz niego – mógł podążyć wzdłuż łącza zaklęcia Gelluka w głąb umysłu maga.

Nieświadom tego wszystkiego Gelluk mówił i mówił, posłuszny nieskończonemu zaklęciu swego własnego głosu.

– Musisz odnaleźć prawdziwe łono, brzuch ziemi, w którym ukryte jest czyste Nasienie Księżyca. Wiedziałeś, że Księżyc jest ojcem Ziemi? O tak, tak. Legł z nią, bo takie jest prawo ojca. Zapłodnił prostą glinę swym czystym nasieniem. Ona jednak nie zrodzi Króla. Zanadto się boi. Więzi go i kryje głęboko, lękając się zrodzić swego pana. Aby go urodzić, musi spłonąć żywcem.

Gelluk urwał. Przez długą chwilę milczał zamyślony. W jego oczach płonął entuzjazm. Wydra dostrzegł obrazy w umyśle maga: wielkie ognie, w które wrzucano polana z rękami i nogami. Płonące sylwetki krzyczały niczym świeże drewno w ogniu.

– O tak – rzekł z rozmarzeniem czarnoksiężnik. – Musi spłonąć żywcem. I wtedy, tylko wtedy wyskoczy z niej wspaniały, lśniący Król. Już czas. Najwyższy czas. Musimy mu pomóc. Musimy znaleźć największe złoże. Jest tutaj. Co do tego nie mam wątpliwości. Łono matki kryje się pod Samory.

I znów urwał. Nagle spojrzał na wprost na Wydrę, który zamarł przerażony, że czarnoksiężnik przyłapał go na obserwacji swych myśli. Gelluk przyglądał mu się długo swymi dziwnymi, na wpół przytomnymi, na wpół niewidzącymi oczami, uśmiechając się szeroko.

– Mój mały Medro – powiedział, jakby właśnie odkrył, że chłopak siedzi obok niego. Poklepał Wydrę po ramieniu. – Wiem, że masz dar odnajdywania tego, co ukryte. Wspaniały dar, jeśli towarzyszy mu wiedza. Nie lękaj się, mój synu. Wiem, czemu doprowadziłeś me sługi jedynie do małej żyły, czemu zwodziłeś, opóźniałeś. Teraz jednak przybyłem. To mnie służysz. Nie masz się czego bać. Nie musisz niczego przede mną ukrywać, prawda? Mądre dziecię kocha swego ojca i słucha go. A wówczas ojciec je nagradza. – Pochylił się blisko, bardzo blisko, jak to miał w zwyczaju, i powiedział łagodnie, z ufnością w głosie: – Jestem pewien, że zdołasz znaleźć wielkie złoże.

– Wiem, gdzie ono jest – powiedziała Anieb.

Wydra nie mógł wykrztusić ani słowa. To ona przemówiła poprzez niego głosem słabym, zduszonym.

Niewielu ludzi odzywało się do Gelluka, jeśli nie nakazał im mówić. Zaklęcia, którymi kontrolował, osłabiał i uciszał wszystkich wokół

siebie, do tego stopnia weszły mu w nawyk, że w ogóle o nich nie myślał. Przywykł, że inni go słuchają. On nie musiał słuchać. Był pewny własnej siły, opętany ideami, nie zwracał uwagi na nic innego. W ogóle nie dostrzegał Wydry. Widział w nim tylko część własnych planów, przedłużenie swojej osoby.

– O tak, tak. Znajdziesz ją – rzekł i znowu się uśmiechnął.

Wydra jednak niezwykle wyraźnie widział Gelluka, cieleśnie i jako obecność ogromnej, władczej siły. Miał wrażenie, że Anieb zniweczyła jej odrobinę. Dzięki temu zyskał okruch swobody, pole manewru. I choć Gelluk wciąż był tak blisko, przerażająco blisko, Wydra zdołał przemówić.

– Zaprowadzę cię tam – rzekł z trudem, niewyraźnie.

Gelluk przywykł do tego, że słyszy w ustach innych słowa, które sam tam umieścił. Te słowa także pragnął usłyszeć, lecz ich nie oczekiwał. Ujął dłoń młodzieńca, zbliżając do niego swą twarz, i poczuł, jak Wydra kuli się w sobie.

– Bystry jesteś – rzekł. – Znalazłeś lepszą rudę, wartą wydobycia i oczyszczenia?

– To złoże – powiedział chłopak.

Powolne, z trudem wypowiedziane słowa niosły z sobą ogromny ciężar.

– Wielkie złoże? – Gelluk spojrzał wprost na niego. Ich twarze dzieliła odległość nie większa niż szerokość dłoni. Światełka w niebieskich oczach maga przypominały płynny, szalony blask rtęci. – Łono?

– Tylko mistrz może tam pójść.

– Jaki mistrz?

– Mistrz Domu. Król.

I znów Wydra odniósł wrażenie, że wędruje w ciemności z niewielką lampą. Była nią mądrość Anieb. Przy każdym kroku dostrzegał następny, nie widział jednak miejsca, w którym się znajdował, nie wiedział, co czeka go wkrótce, i nie rozumiał, co ogląda. Widział to jednak i szedł naprzód – krok za krokiem, słowo za słowem.

– Skąd wiesz o Domu?

– Widziałem go.

– Gdzie? Tu, w pobliżu?

Wydra przytaknął.

– Czy kryje się w ziemi?

– Powiedz mu, co widzi – szepnęła Anieb w umyśle Wydry i zaczął mówić:

– W ciemności po lśniącym dachu płynie strumień. Pod dachem kryje się Dom Króla. Dach wznosi się wysoko nad ziemią, na wyniosłych kolumnach. Posadzka jest czerwona. Wszystkie kolumny są czerwone. Pokrywają je świecące runy.

Gelluk wstrzymał oddech. Po chwili zapytał cicho:

– Potrafisz je odczytać?

– Nie umiem czytać runów – odparł Wydra głuchym głosem. – Nie mogę tam wejść. Nikt nie może tam wejść w swym ciele. Jedynie Król. Tylko on potrafi odczytać, co zapisano.

Biała twarz Gelluka zbielała jeszcze bardziej. Jego szczęka zadrżała lekko. Wyprostował się nagle.

– Zaprowadź mnie tam – polecił, próbując się opanować. Lecz nakaz był tak gwałtowny, że Wydra zerwał się z ziemi i przebiegł kilka kroków. Potykał się, o mało nie upadł. Potem ruszył naprzód, sztywno, niezręcznie, próbując nie stawiać oporu nieugiętej, namiętnej woli kierującej jego krokami.

Gelluk podążał tuż za nim, często łapiąc go za rękę.

– Tędy – rzucił kilka razy. – O tak, tak, to właściwa droga.

A jednak szedł za Wydrą. Popychał go, poganiał zaklęciami, lecz drogę wybrał młodzieniec.

Minęli wieżę pieców, dawne i nowe szyby, i znaleźli się w długiej dolinie, do której Wydra zaprowadził Bata owego pierwszego dnia. Była późna jesień. Krzaki i krótka trawa, wtedy zielone, teraz zbrązowiały i wyschły; wiatr szeleścił ostatnimi liśćmi na gałęziach. Po lewej stronie w wierzbowym zagajniku płynął mały strumyczek. Zbocze wzgórza pokrywały plamy słonecznego światła i długie pasma cieni.

Wydra wiedział, że zbliża się chwila, w której może uwolnić się od Gelluka. Był tego pewien od zeszłej nocy. Wiedział też, że w owej chwili może Gelluka pozbawić mocy, pokonać. Jeśli czarnoksiężnik odsłoni się, opętany swą wizją – i jeśli Wydra pozna jego imię.

Zaklęcia maga wciąż ich łączyły. Wydra wciskał się w głąb umysłu Gelluka, poszukując prawdziwego imienia. Nie wiedział, gdzie i jak szukać. Był szukaczem, który nie zna swej sztuki. Widział jedynie zapisane w pamięci maga karty ksiąg pokryte pozbawionymi znaczenia słowami oraz wizję, którą opisał – ogromny pałac o czerwonych ścianach, a w nim srebrzyste runy tańczące na szkarłatnych kolumnach. Nie potrafił jednak odczytać ksiąg ani runów. Nigdy nie nauczono go czytać.

Cały czas wraz z Gellukiem oddalali się od wieży, od Anieb, której obecność czasami słabła i przygasała. Wydra nie odważył się jej przywołać.

Zaledwie kilka kroków dzieliło go od miejsca, w którym pod ziemią, na głębokości niespełna metra ciemna woda przesiąkała przez żwir ponad warstwą miki. Niżej leżała rozległa grota i złoże cynobru.

Gelluk, choć niemal całkowicie pochłonęły go własne myśli, dzięki połączeniu umysłów dostrzegł obrazy widziane przez Wydrę. Przystanął, dygocząc z niecierpliwości.

Wydra wskazał wznoszące się przed nimi zbocze.

– Tam kryje się Dom Króla – rzekł.

W tym momencie czarnoksiężnik całą uwagę przeniósł na wzgórze i wizję, którą w nim dostrzegał. Wówczas Wydra mógł wezwać Anieb, która przybyła natychmiast.

Gelluk stał bez ruchu, zaciskając dłonie. Drżał lekko, niczym myśliwski pies łaknący pogoni, lecz niepotrafiący odnaleźć tropu. Czuł się kompletnie zagubiony. W ostatnich promieniach słońca widział wzgórze porośnięte trawą i krzewami. Nie dostrzegał jednak wejścia, jedynie porośnięte trawą gładkie zbocze.

Choć Wydra nie usłyszał słów, Anieb przemówiła jego głosem, tym samym słabym, bezdźwięcznym głosem:

– Tylko mistrz może otworzyć drzwi. Tylko Król ma klucz.

– Klucz – powtórzył Gelluk.

Wydra stał bez ruchu. Mag nie dostrzegał go, tak jak nie widział Anieb owego dnia w wieży.

– Klucz – rzekł z napięciem Gelluk.

– Klucz kryje się w imieniu Króla.

To był skok wprost w ciemność. Które z nich to powiedziało?

Gelluk czekał, dygocząc. Wciąż nie wiedział, co robić.

– Turres – powiedział po dłuższej chwili, zniżając głos do szeptu.

Wiatr zaszeleścił suchą trawą.

Nagle czarnoksiężnik ruszył naprzód. Jego oczy rozbłysły.

– Otwórz się. W imię Króla! – wykrzyknął. – Jestem Tinaral!

Poruszył rękami w szybkim, pełnym mocy geście, jakby rozsuwał ciężkie zasłony. Zbocze tuż przed nim zadrżało, zakołysało się i otwarło. Szczelina z każdą chwilą stawała się szersza, głębsza. Wytrysnęła z niej woda, obmywając stopy maga.

Gelluk cofnął się zaskoczony i gwałtownie poruszył ręką. Tym gestem odepchnął strumień, tak jak wiatr odpycha strugę wody z fontanny. Rana w ziemi sięgała coraz głębiej, ukazując lśniącą warstwę miki, która po chwili pękła z donośnym trzaskiem. Pod nią kryła się ciemność.

Czarnoksiężnik postąpił krok naprzód.

– Przybywam – rzekł z radością i wzruszeniem. Bez lęku wkroczył w szczelinę w ziemi. Wokół jego dłoni i głowy tańczyło białe światło. Jednak zawahał się przy krawędzi pękniętego dachu groty. Nie dostrzegł żadnej drogi w dół.

W tym momencie Anieb wykrzyknęła głosem Wydry:

– Tinaralu, wchodź!

Chwiejąc się gwałtownie, czarnoksiężnik próbował się odwrócić. Stracił równowagę na niepewnej krawędzi i runął w ciemność. Szkarłatny płaszcz wydął się wokół niego. Magiczne światło rozbłysło niczym spadająca gwiazda.

– Zasklep się, matko! – krzyknął Wydra, opadając na kolana. Dłonie przytknął do ziemi, do krawędzi szczeliny. – Ulecz się, bądź zdrowa – błagał, prosił, wymawiając w Mowie Tworzenia słowa, których nie znał, póki ich nie wypowiedział. – Bądź cała, matko.

Pęknięta ziemia poruszyła się, brzegi szczeliny zbliżyły się do siebie, zarosły. Pozostał tylko czerwony ślad, blizna pośród ziemi, żwiru i trawy.

Wiatr szeleścił suchymi liśćmi na gałęziach karłowatych dębów. Słońce skryło się za wzgórzem. Na niebo wypłynął niski wał szarych chmur.

Wydra przycupnął u stóp wzgórza. Był sam.

Chmury pociemniały. Na dolinę spadł deszcz, spłukując kurz z trawy. Ponad chmurami słońce schodziło wolno po zachodnich schodach jasnego domu niebios.

W końcu Wydra uniósł głowę. Był przemoknięty, zmarznięty, oszołomiony. Skąd się tu wziął? Coś zgubił. Musiał to odszukać. Nie wiedział co, ale znajdowało się to w ognistej wieży, gdzie kamienne stopnie wiodą w górę pośród dymu i oparów. Musiał tam iść. Dźwignął się z ziemi i powłócząc nogami, niepewnym krokiem ruszył w głąb doliny.

Nie pomyślał nawet, by się ukryć, osłonić. Na szczęście w pobliżu nie było strażników. W kopalni nie zatrudniano ich wielu. Nie musieli uważać, bo zaklęcia maga stanowiły najlepsze zamknięcie. Teraz zniknęły, lecz uwięzieni w wieży ludzie o tym nie wiedzieli. Pracowali dalej, zmuszani najpotężniejszym ze wszystkich zaklęć: brakiem nadziei.

Wydra przeszedł przez sklepioną komorę paleniska, mijając krzątających się wokół niewolników. Powoli wdrapał się po krętych, ciemnych, cuchnących schodach. W końcu dotarł do najwyższego pomieszczenia.

Tam czekała chora kobieta, która mogła go uleczyć, nędzarka ukrywająca skarb. Obca, będąca nim samym.

W milczeniu stanął w drzwiach. Siedziała na kamiennej posadzce obok tygla. Jej wychudzone ciało było szare i ciemne jak kamień, broda i piersi lśniły od śliny spływającej z ust. Przypomniał sobie źródło tryskające z rozdartej ziemi.

– Medra – powiedziała.

Ukląkł i ujął jej ręce, patrząc prosto w twarz.

– Anieb – szepnął – chodź ze mną.

– Chcę wrócić do domu. – Obolałymi ustami niewyraźnie formułowała słowa.

Pomógł jej wstać. Nie rzucił zaklęcia, które mogłoby ich ukryć. Zużył już całą swą moc. Anieb, choć miała wielką siłę, dzięki której dotarła wraz z nim do owej dziwnej doliny i oszukała maga tak, by zdradził swoje imię, nie znała zaklęć ani sztuczek. Była krańcowo wyczerpana.

Nikt nie zwracał na nich uwagi, jakby ktoś rzucił urok. Minęli baraki, oddalając się od kopalni. Przeszli przez rzadki las i ruszyli w stronę wzgórz kryjących górę Onn przed wzrokiem mieszkańców nizin Samory.

***

Anieb szła szybciej, niż można by oczekiwać po kobiecie tak wyniszczonej i wychudzonej, niemal nago maszerującej w chłodzie i deszczu. Całą wolę skupiła na kolejnych krokach; nie myślała o niczym innym, nawet o nim. Była z nim jednak i czuł jej obecność równie wyraźnie jak wówczas, gdy przybyła na jego wezwanie. Krople deszczu spływały po jej nagiej głowie i ciele. Zatrzymał ją i okrył swą koszulą, wstydząc się, bo była przepocona i brudna. Anieb pozwoliła mu na to, a potem znów ruszyła naprzód. Nie mogła iść szybko, ale nie spuszczała wzroku z niewyraźnego szlaku, którym wędrowali. W końcu zapadła wczesna noc pod chmurami i nie wiedzieli, gdzie stawiają kroki.

– Zapal światło – poprosiła. Jej głos załamał się lękliwie, błagalnie. – Nie możesz zapalić światła?

– Nie wiem.

Spróbował przywołać magiczne światełko. Po chwili ziemia pod ich stopami zalśniła słabo.

– Musimy poszukać schronienia, odpocząć – rzekł.

– Nie mogę się zatrzymać. – Znów ruszyła przed siebie.

– Nie możesz iść całą noc.

– Jeśli się położę, już nie wstanę. Chcę zobaczyć górę.

Jej słaby głos ledwie przebijał się przez szum deszczu.

Poszli dalej. W ciemności, w słabym, srebrzystym blasku magicznego światła, w którym rozbłyskiwały srebrne deszczowe krople, widzieli jedynie szlak przed sobą. Gdy się potknęła, chwycił ją za rękę. Potem szli już przytuleni do siebie, szukając otuchy i ciepła. Wędrowali coraz wolniej i wolniej, wciąż naprzód. Szumiał deszcz

padający z czarnego nieba, cicho mlaskało błoto pod stopami, szeleściła mokra trawa na szlaku.

– Spójrz – powiedziała Anieb, przystając nagle. – Medro, spójrz.

Wydra szedł niemal jak we śnie. Blade magiczne światło przygasło w zetknięciu ze słabszą wszechogarniającą jasnością. Niebo było szare. Przed nimi jednak i nad nimi wysoko, ponad chmurami lśnił czerwienią wierzchołek góry.

– Tam – szepnęła Anieb, wskazując ręką. Uśmiechnęła się. Spojrzała na Wydrę i powoli spuściła wzrok. Osunęła się na kolana.

Ukląkł obok, próbując ją podtrzymać. Wymknęła mu się z objęć. Starał się podtrzymać chociaż jej głowę, uchronić przed błotem. Wstrząsały nią konwulsje. Szczękała zębami. Tulił ją do siebie, próbując ogrzać.

– Kobiety Dłoni – szepnęła. – Spytaj je. W wiosce. Widziałam górę.

Raz jeszcze spróbowała usiąść, podnieść wzrok, lecz dreszcze wstrząsały całym jej ciałem. Głośno chwytała oddech. W czerwonym świetle sponad wierzchołka góry, rozjaśniającym niebo na wschodzie, Wydra ujrzał szkarłatną pianę i ślinę spływającą z jej ust. Czasami Anieb przywierała do niego, już się jednak nie odezwała. Walczyła ze śmiercią. Walczyła o każdy oddech. Czerwone światło przygasło, niknąc wśród szarości. Chmury ponownie spowiły górę, ukrywając wschodzące słońce. Był już dzień, szary, deszczowy dzień, gdy po jej ostatnim oddechu nie nadszedł następny.

Medra siedział w błocie z martwą kobietą w ramionach i płakał.

Wkrótce potem natknął się na niego wozak prowadzący muła z ładunkiem dębowego drewna z lasu Faliern. Zabrał go do Przylesia. Nie zdołał namówić, by zostawił martwą kobietę. Słaby, roztrzęsiony młody mężczyzna nie chciał odłożyć swego brzemienia. Wdrapał się na wóz i tulił ją przez całą drogę do wsi.

– Ona mnie ocaliła – powiedział.

Wozak nie zadawał więcej pytań.

– Ocaliła mnie, ale ja nie potrafiłem jej ocalić – rzekł Wydra gwałtownie do mieszkańców górskiej wioski.

Wciąż nie chciał wypuścić jej z objęć, tuląc do siebie mokre od deszczu, sztywne ciało, jakby zamierzał go bronić. Powoli zdołali

go przekonać, że jedna z kobiet to matka Anieb i powinien oddać jej córkę. W końcu to uczynił. Cały czas jednak patrzył, czy aby dość delikatnie zaopiekuje się jego przyjaciółką. Potem spokojnie poszedł za inną kobietą. Włożył podane mu suche ubranie, zjadł odrobinę chleba, który od niej dostał, i położył się na sienniku, do którego go doprowadziła. Znużony i zapłakany, usnął.

***

Po kilku dniach we wsi zjawili się ludzie Bata. Wypytywali, czy ktokolwiek widział albo słyszał o wielkim magu Gelluku i młodym szukaczu – obaj zniknęli bez śladu, dodali, jakby pochłonęła ich ziemia. Nikt w Przylesiu nie wspomniał ani słowem o obcym ukrytym na stryszku w domu Miodu. Nie zdradzili go. Może dlatego obecnie ludzie nazywają ich wioskę nie Przylesiem, lecz Wydrzą Norą.

***

Wydra przeszedł ciężką próbę i podjął wielkie ryzyko, stając naprzeciw większej mocy. Szybko odzyskał siły, był bowiem młody, lecz długo nie mógł pozbierać myśli. Utracił coś, utracił na wieki, w chwili gdy to znalazł.

Przeszukiwał wspomnienia i cienie, szukał pośród obrazów z przeszłości – napaść na dom w Havnorze, kamienna cela, Ogar, ceglane mury baraków i więżące go zaklęcia, wędrówki z Batem, słowa Gelluka, niewolnicy, ogień, kamienne stopnie wiodące poprzez dym i opary do najwyższej komnaty wieży. Musiał odzyskać to wszystko, przejrzeć, przetrząsnąć. Raz po raz stawał w owej komnacie i spoglądał na kobietę, a ona patrzyła na niego. Raz po raz wędrował przez dolinę wśród suchej trawy i ognistych wizji maga – razem z nią. Raz po raz widział upadek maga, zamykającą się ziemię. Oglądał czerwoną górską grań w blasku świtu. Anieb umarła w jego ramionach, gdy tulił do siebie jej wyniszczoną twarz. Kim

była? Co zrobili? Jak im się to udało? Ona nie mogła mu odpowiedzieć.

Jej matka, Ayo, i siostra matki, Miód, były mądrymi kobietami. Pielęgnowały Wydrę ciepłymi olejami i masażami, pieśniami i ziołami. Rozmawiały z nim i słuchały, co miał do powiedzenia. Żadna nie wątpiła, że kryje się w nim wielka moc, lecz on zaprzeczał.

– Niczego nie zdołałbym zdziałać bez twojej córki – rzekł.

– Co takiego zrobiła? – spytała cicho Ayo.

Opowiedział jej, najlepiej jak umiał.

– Byliśmy sobie obcy, a jednak zdradziła mi swoje imię. A ja oddałem jej moje. – Mówił z wahaniem, czyniąc długie przerwy. – Szedłem z czarnoksiężnikiem, skrępowany przez niego. Ona mi towarzyszyła. I była wolna. Wspólnie zdołaliśmy zwrócić przeciw niemu jego moc, tak że sam się zniszczył. – Zastanawiał się długą chwilę. W końcu rzekł: – Oddała mi swą moc.

– Wiedzieliśmy, że ma wielki dar – powiedziała Ayo. – Nie miał jej jednak kto uczyć. W górach nie pozostał żaden nauczyciel. Magowie króla Losena niszczą wszystkich czarowników i wiedźmy. Nie ma się do kogo zwrócić.

– Kiedyś wędrowałam w górach – dodała Miód. – Nadeszła wiosenna burza i zabłądziłam. Przyszła do mnie wtedy. Przyszła do mnie, nie ciałem, i wskazała drogę. Miała wówczas zaledwie dwanaście lat.

– Czasami wędrowała też z umarłymi – szepnęła Ayo. – W lesie, w stronę Faliernu. Znała Dawne Moce. Te, o których wspominała mi babka. Moce Ziemi. Mówiła, że są tam szczególnie silne.

– Ale była też zwykłą dziewczyną. – Miód ukryła twarz w dłoniach. – Dobrą dziewczyną.

Po dłuższym czasie odezwała się Ayo:

– Zeszła do Szreni z grupką młodych, żeby kupić runo od tamtejszych pasterzy. Na wiosnę minął rok. Czarnoksiężnik, o którym mówili, przybył tam. Rzucał zaklęcia, chwytał niewolników.

Zapadła cisza.

Ayo i Miód były bardzo podobne do siebie. Wydra ujrzał w nich Anieb, jaką mogła być – niską, szczupłą, energiczną kobietę o okrągłej twarzy i jasnych oczach oraz gęstych ciemnych włosach,

nie prostych, jak u większości mieszkańców wyspy, lecz ciasno skręconych. Wielu ludzi na zachód od Havnoru miało podobne włosy.

Anieb jednak była łysa, jak wszyscy niewolnicy w wieży pieców.

Jej imię użytkowe brzmiało Kosaciec, błękitny wiosenny irys. Matka i ciotka nadal ją tak nazywały.

– Choćbym nie wiem jak się starał, nie zdołam nic zmienić – rzekł.

– No pewnie – odparła Miód. – Co można zdziałać samemu?

Uniosła palec wskazujący. Potem wyprostowała resztę palców i zacisnęła je razem w pięść. W końcu powoli odwróciła rękę i otworzyła wnętrzem dłoni do góry, jakby coś mu dawała. Widział kiedyś, jak Anieb czyniła podobny gest. To nie zaklęcie, pomyślał, patrząc uważnie. Nie zaklęcie, lecz znak.

Ayo obserwowała go czujnie.

– To tajemnica – oznajmiła.

– Mógłbym ją poznać? – spytał po jakimś czasie.

– Już ją znasz. Obdarzyłeś nią moją córkę, a ona ciebie. Zaufanie.

– Zaufanie – powtórzył. – Tylko to przeciw nim wszystkim? Gelluk odszedł. Może Losen upadnie. I co z tego? Czy niewolnicy odzyskają wolność? Żebracy będą mieli co jeść? Zapanuje sprawiedliwość? Myślę, że w nas, w ludziach kryje się zło. Zaufanie mu przeciwdziała. Pokonuje dzielącą nas przepaść, ale zło wciąż jest. I wszystko, co robimy, w końcu służy złu, bo tacy jesteśmy, chciwi i okrutni. Patrzę na świat, na lasy i górę, na niebo. Wszystko jest takie, jak być powinno, ale nie my, nie ludzie. Czynimy zło. Żadne zwierzę nie czyni zła. Nie potrafi. My jednak to robimy. I nie przestajemy nigdy.

Słuchały go, nie przytakując, nie zaprzeczając, lecz akceptując jego rozpacz. Jego słowa wniknęły w ciszę, pozostały tam wiele dni i powróciły do niego odmienione.

– Nie możemy niczego zdziałać bez siebie nawzajem – powiedział. – Ale tylko ludzie chciwi i okrutni trzymają się razem, dodają sobie sił. A ci, którzy nie chcą do nich dołączyć, stoją samotnie. – Nieustannie towarzyszył mu obraz Anieb. Taką ujrzał ją po raz pierwszy: umierająca kobieta, stojąca samotnie w komnacie na szczycie wieży. – Prawdziwa moc się marnuje. Każdy mag używa swej sztuki przeciw innym, służąc chciwcom. Co dobrego może zdziałać tak użyta sztuka? To marnotrawstwo. Służy złu bądź zostaje

zmarnowana, jak życie niewolników. Nikt nie może być wolny, póki jest sam. Nawet mag. Wszyscy zostali uwięzieni, używają swej mocy i niczego nie zyskują. Nic się nie zmienia. Nie da się wykorzystać mocy w służbie dobra.

Ayo zacisnęła dłoń i otwarła ją w znanym mu geście. To był znak.

Do Przylesia przybył mężczyzna, węglarz ze Szreni.

– Moja żona, Gniazdo, przesyła wiadomość mądrym kobietom – rzekł i wieśniacy zaprowadzili go do domu Ayo. Stając na progu, uczynił szybki gest: pięść rozchylającą się w otwartą dłoń. – Gniazdo mówi, że wrony wcześnie odlatują, a ogar jest na tropie wydry – oznajmił.

Wydra, obierający przy ogniu orzechy, zamarł. Miód podziękowała posłańcowi, przyniosła mu kubek wody i garść wyłuskanych orzechów. Wraz z Ayo pogawędziły chwilę o jego żonie. Kiedy odszedł, odwróciła się do Wydry.

– Ogar służy Losenowi – powiedział. – Odejdę jeszcze dzisiaj.

Miód zerknęła na siostrę.

– Czas zatem, abyśmy porozmawiali.

Usiadła naprzeciw niego. Ayo stała przy stole; milczała. W palenisku płonął ciepły ogień. W owej zimnej, mokrej porze roku, tu w górach, mieli pod dostatkiem wyłącznie drew na opał.

– W całej tej okolicy, i może poza nią, są ludzie, którzy myślą tak jak ty. Że nikt sam nie może zachować mądrości. Ci ludzie próbują trzymać się razem. Dlatego nazywają nas Dłonią albo Kobietami Dłoni, choć są wśród nas i mężczyźni. Nazwa ta jednak pomaga, bo wielcy nie oczekują po kobietach, że będą ze sobą współpracować albo myśleć o takich sprawach jak władza, zło czy dobro, czy moc.

– Powiadają – wtrąciła Ayo stojąca wśród cieni – że istnieje wyspa, na której wciąż jeszcze, jak za czasów królów, panuje sprawiedliwość. Nazywają ją Wyspą Morreda. Nie jest to jednak Enlad Królów ani Ea. Leży na południe, nie na północ od Havnoru; tak mówią. Twierdzą też, że tamtejsze Kobiety Dłoni zachowały dawne sztuki i wciąż ich nauczają. Nie ukrywają przed sobą nawzajem, jak czarnoksiężnicy.

– Może dzięki tym naukom pokonasz owych czarnoksiężników – wtrąciła Miód.

– Może zdołasz znaleźć tę wyspę – dodała Ayo.

Wydra wodził oczami od jednej do drugiej. Bez wątpienia zdradziły mu swój największy sekret, największą nadzieję.

– Wyspa Morreda – powtórzył.

– Tak nazywają ją tylko Kobiety Dłoni, ukrywając znaczenie tych słów przed magami i piratami. Oni bez wątpienia posługują się inną nazwą.

– To musi być bardzo daleko stąd – zauważyła Miód.

Dla wszystkich mieszkańców wioski góra Onn była całym światem, a wybrzeża Havnoru skrajem wszechświata. Za nimi rozciągała się kraina snów i pogłosek.

– Trzeba płynąć morzem na południe; tak mówią – oznajmiła Ayo.

– On już to wie, siostro – wtrąciła Miód. – Czyż nie mówił, że był szkutnikiem? Ale z pewnością to bardzo długa podróż. Skoro tropi cię czarnoksiężnik, jak zdołasz się tam udać?

– Dzięki łasce wód, na których nie pozostają ślady – odparł Wydra i wstał.

Z jego kolan posypały się skorupki orzechów. Miotłą zamiótł je do popielnika.

– Lepiej już pójdę.

– Weź trochę chleba – powiedziała Ayo.

Miód pospiesznie spakowała do sakwy z żołądka owcy suchary, twardy ser i orzechy. Ludzie z Przylesia byli biedni. Dali mu wszystko, co mieli, tak jak Anieb.

– Moja matka urodziła się w Skraju Drogi, po drugiej stronie lasu Faliern – powiedział Wydra. – Znacie to miasteczko? Nazywają ją Róża, córka Jarzębiny.

– Latem wozacy jeżdżą do Skraju Drogi.

– Czy ktoś mógłby pomówić z rodziną matki? Przekażą jej wiadomość. Jej brat, Mały Jesion, co rok lub dwa odwiedza miasto.

Skinęły głowami.

– Niech tylko wie, że żyję – rzekł.

Matka Anieb przytaknęła.

– Dowie się.

– Idź już – dodała Miód.

– Odejdź wodą – zakończyła Ayo.

Uścisnął je obie i wyszedł z domu.

Ruszył biegiem naprzód, zostawiając za sobą nędzne chaty, wprost do huczącego potoku, którego śpiew słyszał co noc, kładąc się do snu. Zaczął się do niego modlić.

– Zabierz mnie i ocal – poprosił. Rzucił zaklęcie, którego dawno temu nauczył go stary Zmiana, i wypowiedział słowo Przemiany. A potem nad bystrą wodą nie klęczał już człowiek. Wydra wsunęła się do potoku i znikła.

Rybołów

Na naszym wzgórzu człek raz żył,
co z woli swej korzystał sił.
Zmieniał swe miano i swój stan,
lecz wciąż pozostał taki sam.
A woda płynie bystro w dal,
a woda płynie w dal.

Pewnego zimowego popołudnia przy ujściu rzeki Onnevy do północnego skraja Wielkiej Zatoki Havnorskiej, na mokrym piasku stał człowiek odziany w ubogi strój i zniszczone buty; szczupły, brązowoskóry, o ciemnych oczach i włosach tak cienkich i gęstych, że przypominały sierść wydry. Padał deszcz, drobniutki, zimny, ponury deszcz szarej zimy. Przemoczony do nitki człowiek zgarbił się, odwrócił i powoli ruszył w stronę smużki dymu, którą ujrzał daleko na horyzoncie. Za sobą zostawił ślady czterech łap wydry tuż przy brzegu oraz dwóch ludzkich stóp kroczących naprzód.

Pieśni nie mówią, dokąd się udał. Twierdzą tylko, że wędrował, „wędrował długo, z wyspy na wyspę”. Jeśli ruszył wzdłuż wybrzeża Wielkiej Wyspy, w wielu wioskach mógł natknąć się na położną, mądrą kobietę, czy czarownika, znających sygnał Dłoni i gotowych mu pomóc. Lecz ponieważ wiedział, że tropi go Ogar, prawdopodobnie czym prędzej opuścił Havnor jako członek załogi

łodzi rybackiej z Cieśniny Ebavnoru albo na handlowym statku z Morza Najgłębszego.

Na wyspie Ark i w Orrimy na Hosku, a także wśród Dziewięćdziesięciu Wysp przetrwały podania o człowieku, który przybył tam, szukając Wyspy Morreda, gdzie ludzie pamiętają prawa królów i honor czarnoksiężników. Nie da się orzec, czy opowieści te traktują o Medrze, bo posługiwał się wówczas wieloma imionami. Praktycznie nigdy nie nazywał siebie Wydrą.

Upadek Gelluka nie zachwiał pozycją Losena. Królowi piratów służyli też inni czarnoksiężnicy, wśród nich Wczesny, który bardzo chciał odszukać niedorostka, pogromcę Gelluka, i miał duże szanse go odnaleźć. Władza Losena sięgała poza granice Havnoru, na północ Morza Najgłębszego. Z upływem lat rosła. Węch Ogara zaś pozostał czuły jak zwykle.

Być może, Medra przybył na Pendor, by umknąć pogoni. Wyspa ta leżała daleko na zachód od Morza Najgłębszego. Możliwe też, iż przywiodły go tam pogłoski krążące wśród Kobiet Dłoni na Hosku. W owych czasach Pendor był bogatą wyspą. Nie przybył tam jeszcze smok. Do tej pory wszystkie wyspy, które odwiedził Medra, w najlepszym razie przypominały Havnor; zwykle działo się na nich jeszcze gorzej. Wojny, napaści piratów i spory możnych stanowiły chleb powszedni; pola zarosły chwastami, w miastach roiło się od złodziei. Z początku wydało mu się, że na Pendorze odnalazł Wyspę Morreda, miasto bowiem było piękne i spokojne, a ludziom świetnie się wiodło.

Spotkał tam starego maga, który nazywał się Smoczy Lot; jego prawdziwe imię zostało zapomniane. Gdy Smoczy Lot wysłuchał opowieści o Wyspie Morreda, ze smutkiem potrząsnął głową.

– Nie tutaj – rzekł. – To nie ta wyspa. Władcy Pendoru to dobrzy ludzie. Pamiętają królów, nie łakną wojen ani rozbojów. Wysyłają jednak swych synów na zachód, by polowali na smoki dla zabawy, jakby smoki z zachodnich rubieży były kaczkami bądź gęsiami, które można zabijać. Nic dobrego z tego nie przyjdzie.

Smoczy Lot z radością przyjął Medrę na swego ucznia.

– Mnie samego nauczał mag, który oddał mi wszystko, co wiedział. Nigdy jednak nie znalazłem nikogo, komu mógłbym tę

wiedzę przekazać – powiedział. – Przychodzą do mnie młodzi i pytają: Do czego przydaje się twoja sztuka? Potrafisz znajdować złoto? Mógłbyś mnie nauczyć przemieniać kamienie w diamenty? Dać miecz, który zabije smoka? Nic mi nie gadaj o równowadze świata. Nie da się na tym zarobić, mówią. Nie da się zarobić.

I tak starzec uskarżał się na głupotę młodzieży i upadek moralności w dzisiejszych czasach. Jako nauczyciel okazał się szczodry i niestrudzony. Po raz pierwszy Medra spojrzał na magię nie jak na zbiór dziwnych darów i odrębnych umiejętności, lecz jak na sztukę, którą poznać można dzięki długiej nauce i korzystać z niej po długiej praktyce, choć nawet wtedy nie traci ona niczego ze swojej osobliwości. Smoczy Lot znał niewiele więcej zaklęć i czarów niż jego uczeń, jednakże wyraźnie dostrzegał coś znacznie ważniejszego: harmonię owej wiedzy. Dzięki temu stał się magiem.

Słuchając go, Medra myślał o tym, jak wędrowali z Anieb w mroku i deszczu, kierując się słabym blaskiem, ukazującym jedynie następny krok, i jak podnieśli oczy, by ujrzeć czerwony wierzchołek góry o świcie.

– Każde zaklęcie zależy od wszystkich innych zaklęć – mówił Smoczy Lot. – Ruch jednego liścia porusza wszystkie inne liście na wszystkich drzewach wszystkich wysp Ziemiomorza. Istnieje Wzorzec. Jego właśnie musisz szukać. Ku niemu się zwracać. Wszystko winno być częścią Wzorca. Tylko w nim kryje się wolność.

Medra spędził ze starcem cały rok, a gdy mag umarł, władca Pendoru poprosił, by uczeń zajął jego miejsce. Mimo skarg i wyrzekań na łowców smoków, Smoczy Lot cieszył się na wyspie ogromnym szacunkiem. Jego następca zyskałby władzę i zaszczyty. Uznawszy, że bardziej nie zdoła się już zbliżyć do Wyspy Morreda, Medra spędził jeszcze nieco czasu na Pendorze. Wypłynął nawet statkiem z młodym władcą. Minęli Toringaty i zapuścili się daleko na Rubieże Zachodnie w poszukiwaniu smoków. W głębi serca pragnął ujrzeć smoka, lecz przedwczesne sztormy, plaga owych czasów, trzy razy odepchnęły statek do Ingat. Odmówił ponownego skierowania go wbrew wichurom na zachód. Od swych dziecięcych lat, kiedy pływał łódką w Zatoce Havnorskiej, wiele się nauczył o zaklinaniu pogody.

Niedługo potem opuścił Pendor i znów ruszył na południe. Zapewne odwiedził Ensmer. W różnych przebraniach wędrował dalej i w końcu dotarł na Geath w archipelagu Dziewięćdziesięciu Wysp.

Podobnie jak dziś, wtedy także łowiono tam wieloryby. Nie miał ochoty przykładać do tego ręki. Na wyspie Geath statki i miasta cuchnęły. Nie podobała mu się myśl o podróży statkiem niewolniczym, lecz na wschód wypływała jedynie galera wioząca wielorybi tran do O Portu. Medra słyszał wzmianki o Morzu Zamkniętym, na południe i wschód od O. Były tam bogate, mało znane wyspy, rzadko nawiązujące kontakty z krainami Morza Najgłębszego. Może tam kryło się to, czego szukał. Przedstawił się zatem jako zaklinacz pogody i zaokrętował na galerę, której wiosłami poruszało czterdziestu niewolników.

Pogoda się poprawiła. Mieli sprzyjający wiatr. Po błękitnym niebie wędrowały białe obłoczki. Morze skrzyło się w blasku późnowiosennego słońca. Opuścili Geath i pewnego dnia Medra usłyszał, jak kapitan mówi do sternika:

– Skręć dziś na południe, żeby ominąć Roke.

Nie wiedział nic o tej wyspie, spytał zatem:

– Co tam jest?

– Śmierć i zniszczenie – odparł kapitan, niski mężczyzna o małych, smutnych, mądrych oczach przypominających oczy wieloryba.

– Wojna?

– Wiele lat temu. Zaraza. Czarna magia. Wody otaczające Roke są przeklęte.

– Robaki – dodał sternik, brat kapitana. – W każdej rybie złowionej w pobliżu Roke roi się od robaków niczym w truchle zdechłego psa.

– Czy wciąż mieszkają tam ludzie? – spytał Medra.

– Czarownice – odparł kapitan, a jego brat dodał:

– Robakożercy.

W Archipelagu było wiele podobnych wysp – wyjałowionych, zniszczonych klątwami i plagami zsyłanymi przez walczących czarnoksiężników. Lepiej było ich nie odwiedzać ani nawet nie przepływać w pobliżu. Medra nie myślał więcej o wyspie aż do nocy.

Zasnął na pokładzie, w blasku gwiazd, i przyśnił mu się prosty, niezwykle wyraźny sen. Był dzień, po jasnym niebie płynęły chmury. A po drugiej stronie morza ujrzał skąpaną w promieniach kopułę wysokiego zielonego wzgórza. Ocknął się i ciągle miał tę wizję przed oczami. Wiedział, że to wzgórze oglądał już dziesięć lat wcześniej, w zamkniętym zaklęciem więzieniu przy kopalni w Samory.

Usiadł. Ciemne morze było tak spokojne, że gwiazdy odbijały się tu i ówdzie na łagodnie falującej wodzie. Wiosłowe galery rzadko oddalają się od lądu i rzadko żeglują w nocy. Zwykle zawijają do zatok bądź przystani. Podczas tej przeprawy jednak nie mieli gdzie rzucić cumy, a ponieważ pogoda im sprzyjała, ustawili maszt i wciągnęli na niego wielki, kwadratowy żagiel. Statek płynął wolno naprzód. Niewolnicy spali na ławkach. Wolni członkowie załogi także drzemali. Czuwał tylko sternik i wachtowy, a i tego morzył sen. Woda szeptała za burtą. Deski lekko trzeszczały. Łańcuch niewolnika zadźwięczał cicho – raz, drugi.

Takiej nocy nie potrzebują zaklinacza pogody, a zresztą jeszcze mi nie zapłacili, rzekł do siebie Medra, by uspokoić sumienie. Wciąż myślał o Roke. Czemu nigdy nie słyszał o tej wyspie, nie widział jej na mapach? Może rzeczywiście była przeklęta i bezludna, lecz powinna się znaleźć na mapie.

Mógłby polecieć tam jako rybołów i wrócić na statek przed świtem. Ale po co odwiedzać Roke? Wszędzie można znaleźć spustoszone krainy, nie ma potrzeby specjalnie ich szukać, uznał. Wygodniej usadowił się na zwoju liny i zapatrzył w niebo. Spoglądając na zachód, ujrzał cztery jasne gwiazdy Kuźni wiszące nisko nad morzem. Wydawały się nieco niewyraźne. Nagle na jego oczach kolejno zgasły.

Gładka tafla morza leciusieńko zadrżała.

– Kapitanie! – zawołał Medra, zrywając się z miejsca. – Obudź się!

– Co się stało?

– Nadciąga magiczny wiatr. Za nami. Zwińcie żagiel.

Powietrze nawet nie drgnęło; było kompletnie nieruchome. Wielki żagiel wisiał na maszcie. Jedynie zachodnie gwiazdy gasły i znikały w milczącej czerni wznoszącej się wolno coraz wyżej. Kapitan spojrzał w niebo.

– Magiczny wiatr, mówisz? – spytał z wahaniem.

Ludzie parający się magią używali pogody niczym broni, posyłając grad, by wybił zbiory wroga, i wichurę, by zatopiła jego statki. Podobne burze, szalone, nieprzewidywalne, nie ustawały w miejscu, do którego je skierowano, i sprawiały kłopoty żniwiarzom bądź żeglarzom jeszcze setki mil dalej.

– Zwińcie żagiel, zdejmijcie żagiel! – powtórzył rozkazująco Medra.

Kapitan ziewnął, rzucił przekleństwo i zaczął wykrzykiwać rozkazy. Członkowie załogi podnieśli się z pokładu i powoli spuszczali wielką płachtę. Szef wioślarzy, zadawszy kilka pytań kapitanowi i Medrze, jął wrzeszczeć na niewolników, budził nieszczęsnych uderzeniami pokrytej węzłami liny. Żagiel był już w połowie masztu, ruszyła się połowa wioseł, Medra wymówił pół zaklęcia uspokajającego, gdy uderzył magiczny wiatr.

Towarzyszyła mu błyskawica rozdzierająca nagłą, nieprzeniknioną ciemność. Lunął deszcz. Statek wierzgnął niczym spłoszony koń i skoczył naprzód tak gwałtownie, że maszt się ułamał, choć liny wytrzymały. Żagiel uderzył w wodę, napełnił się i pociągnął za sobą galerę. Wielkie wiosła osunęły się w dulkach. Zakuci w łańcuchy niewolnicy krzyczeli na swych ławach. Baryłki tranu pękały i przewalały się po pokładzie, a żagiel ciągnął i nie puszczał. Pokład wzniósł się pionowo. Kolejna wielka fala uderzyła w galerę, przewróciła ją i zatopiła. Rozpaczliwe wrzaski umilkły nagle. Ryk sztormu słabł, w miarę jak niezwykły wiatr oddalał się na wschód. W sercu burzy morski ptak rozpostarł skrzydła, wznosząc się znad czarnych wód. Bezbronny, samotny, pofrunął na północ.

***

Pierwsze promienie słońca na wąskim paśmie piasku pod granitowymi urwiskami oświetliły ślady ptasich nóg. W pewnym momencie ślady urwały się, zastąpione ludzkimi śladami. Odciski stóp zdążały wzdłuż plaży zwężającej się między skałami a morzem. Potem i one zniknęły.

Medra zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa towarzyszącego ciągłemu przyjmowaniu obcej postaci. Był jednak wstrząśnięty po katastrofie i osłabiony długim nocnym lotem, a szara plaża doprowadziła go jedynie do stromych skał, na które nie zdołałby się wdrapać. Rzucił zaklęcie i raz jeszcze wypowiedział słowo. Już jako rybołów wzleciał na mocnych skrzydłach ponad urwisko. Potem, opętany żądzą lotu, pofrunął dalej nad krainą jeszcze spowitą w mrok. Daleko w oddali ujrzał jaśniejącą w pierwszych promieniach słońca kopułę wysokiego zielonego wzgórza.

Tam właśnie pofrunął i tam wylądował. A gdy dotknął ziemi, znów stał się człowiekiem.

Długą chwilę stał bez ruchu, oszołomiony. Miał wrażenie, że nie powrócił do swej postaci z własnej woli, lecz sprawiło to dotknięcie tej ziemi, tego wzgórza. Władała tu magia, znacznie potężniejsza niż jego własna.

Czujny, zaciekawiony rozejrzał się wokół. Na całym wzgórzu kwitł iskiernik. Jego długie płatki połyskiwały żółcią w trawie. Dzieci w Havnorze znały ów kwiat. Nazywały go iskrami z Ilien, które spłonęło, gdy smok Orm Ognisty zaatakował wyspy, a Erreth-Akbe ścigał go na najdalszy zachód, aż na Selidor. Medra przypominał sobie pieśni i opowieści o bohaterach: Erreth-Akbem i innych przed nim, Akambarze, który wyparł Kargów na wschód, i Serriadhu, władcy pokoju. A także o magu Athu i Morredzie, Białym Czarnoksiężniku, umiłowanym królu. Odważni i mądrzy, stanęli przed nim, jakby wezwał ich, przywołał, choć nie wypowiedział ni słowa. Ujrzał ich. Stali w wysokiej trawie wśród kwiatów w kształcie płomyków kołyszących się w porannym wietrze.

A potem wszyscy zniknęli. Znów był sam na wzgórzu, wstrząśnięty i zadziwiony.

Widziałem władców i królów Ziemiomorza, pomyślał. I wszyscy są tylko trawą rosnącą na tym wzgórzu.

Powoli ruszył na wschodnie zbocze, jasne i ciepłe, skąpane w blasku słońca, które wyłoniło się już zza horyzontu. W jego promieniach ujrzał dachy miasta nad wychodzącą na wschód zatoką. A dalej za nimi granicę, gdzie morze styka się z niebem. Odwróciwszy się na zachód, zobaczył pola, pastwiska i drogi.

Na północy wznosiły się długie zielone wzgórza. W południowym zakątku wyspy wyrastał zagajnik wysokich drzew. Medrze wydało się, że to forpoczta wielkiej puszczy, takiej jak Faliern na Havnorze, po chwili jednak ze zdumieniem dostrzegł za zagajnikiem pozbawione drzew wrzosowiska i łąki.

Stał tam długo; w końcu zszedł w dół, stąpając wśród wysokiej trawy i iskiernika. U stóp wzgórza ujrzał dróżkę wiodącą ku farmom, dobrze utrzymanym, lecz chyba opuszczonym. Szukał drogi do miasta, żadna ścieżka jednak nie wiodła na wschód. Na polach nie dostrzegł żywego ducha, choć część z nich była świeżo zaorana. Gdy mijał farmy, nie zaszczekał żaden pies. Jedynie na rozstajach stary osioł, pasący się na kamienistej łące, wysunął łeb nad drewnianym płotem, łaknąc towarzystwa. Medra, wychowany w mieście, wśród łodzi, nie znał się na farmach i zwierzętach, miał jednak wrażenie, że osioł spogląda na niego przyjaźnie. Przystanął, by pogładzić szarobrązowy kościsty pysk.

– Gdzie jestem, ośle? – spytał. – Jak mam dotrzeć do miasta?

Osioł przytulił głowę do jego dłoni i zastrzygł długim prawym uchem. Zatem Medra na rozstajach skręcił w prawo, choć zdawało mu się, że w ten sposób powróci na wzgórze. Wkrótce znalazł się wśród domów, a potem na ulicy wiodącej wprost do miasta nad zatoką.

W mieście tym panowała równie osobliwa cisza jak na farmach. Nie słyszał żadnych głosów. Nie widział twarzy. Trudno było czuć niepokój w tak na pozór zwyczajnym miasteczku w słodki, wiosenny poranek. Jednakże cisza sprawiała, że zastanawiał się, czy istotnie nie trafił do krainy spustoszonej przez zarazę, na przeklętą wyspę. Szedł dalej. Między domem a starą śliwą rozciągnięto sznur z praniem. Przypięte do niego ubrania kołysały się na ciepłym wietrze. Zza rogu, z ogrodu, wyszedł bury kot o białych łapach – dorodny, lśniący. Medra skręcił w brukowaną uliczkę, kiedy usłyszał głosy. Przystanął, nasłuchując. Cisza.

Poszedł dalej. Uliczka prowadziła na niewielki rynek, gdzie nie rozstawiono żadnych kramów. Zebrali się tam ludzie. Nieliczni. Nie kupowali ani nie sprzedawali. Czekali na niego. Odkąd na zielonym wzgórzu wyrastającym nad miastem ujrzał plamy światła i cienia

w trawie, w jego sercu zapanował spokój. Przepełniało go wyczekiwanie niezwykłości, ale nie lęk. Teraz stanął bez ruchu, patrząc na ludzi, którzy wyszli mu na spotkanie.

Było ich troje, stary, rosły mężczyzna o szerokich ramionach i lśniących siwych włosach oraz dwie kobiety. Czarnoksiężnik zawsze pozna czarnoksiężnika. Medra natychmiast się zorientował, iż kobiety obdarzone są mocą.

Uniósł zaciśniętą w pięść rękę, a potem odwrócił ją i otworzył, ukazując wnętrze dłoni.

Jedna z kobiet, ta wyższa, roześmiała się, nie odpowiedziała jednak podobnym gestem.

– Powiedz nam, kim jesteś – rzekł siwowłosy uprzejmie, lecz bez słowa powitania. – Powiedz, jak tu przybyłeś.

– Urodziłem się w Havnorze. Wychowano mnie na szkutnika i czarnoksiężnika. Płynąłem statkiem z Geath do O Portu. Sam jeden uszedłem z życiem zeszłej nocy, gdy uderzył w nas magiczny wiatr.

Medra zamilkł. Wspomnienie galery i płynących nią ludzi pochłonęło jego myśli, tak jak czarne morze pochłonęło statek. Ze świstem wciągnął powietrze, jakby wynurzał się z wody.

– Jak tu przybyłeś?

– Jako... jako ptak, rybołów. Czy to jest Roke?

– Zmieniłeś się?

Przytaknął.

– Komu służysz? – spytała niższa i młodsza z kobiet, odzywając się po raz pierwszy. Miała czujną, twardą twarz i długie czarne brwi.

– Nie mam pana.

– Czemu wybierałeś się do O Portu?

– W Havnorze wiele lat temu trafiłem w niewolę. Ci, którzy mnie uwolnili, opowiedzieli mi o miejscu, gdzie nie ma panów, wciąż pamięta się rządy Serriadha i szanuje sztuki. Od siedmiu lat szukam owego miejsca, owej wyspy.

– Kto ci o nim opowiedział?

– Kobiety Dłoni.

– Każdy może podnieść pięść i pokazać dłoń – powiedziała łagodnie wyższa kobieta. – Ale nie każdy zdoła do Roke dolecieć,

dopłynąć, dożeglować, w ogóle tu dotrzeć. Musimy zatem spytać, co cię tu sprowadza.

Wydra nie odpowiedział od razu.

– Przypadek – rzekł w końcu – sprzyjający latom pragnień. Nie sztuka, nie wiedza. Myślę, że przybyłem do miejsca, którego szukałem, ale tego nie wiem. Myślę, że jesteście ludźmi, o których mi opowiadano. Ale tego nie wiem. Myślę, że drzewa, które widziałem ze wzgórza, skrywają w sobie wielką tajemnicę. Ale tego nie wiem. Wiem jedynie, że odkąd postawiłem stopę na tamtym wzgórzu, stałem się taki jak kiedyś, w dzieciństwie, gdy pierwszy raz usłyszałem pieśń *Czyny Enladzkie*. Błąkam się pośród cudów.

Zbliżyli się ku nim inni ludzie. Usłyszał ciche głosy.

– Gdybyś tu został, co byś robił? – spytała kobieta o czarnych brwiach.

– Mogę budować łodzie, naprawiać je, żeglować. Potrafię znajdować nad ziemią i pod ziemią. Umiem zaklinać pogodę, jeśli tego wam trzeba. I będę uczył się od wszystkich, którzy zechcą mi coś przekazać.

– Czego pragniesz się uczyć? – spytała wyższa kobieta łagodnym głosem.

Teraz Medra poczuł, że zadano mu pytanie, od którego zależeć będzie reszta jego życia. I znowu przez jakiś czas milczał. Zaczął coś mówić, umilkł i w końcu rzekł:

– Nie mogłem nikogo ocalić. Nikogo, nawet tej, która mnie ocaliła. Nic, co wiem, nie mogło jej uwolnić. Nie potrafię niczego. Jeśli wiecie, co znaczy wolność, błagam, nauczcie mnie.

– Wolność – powtórzyła wysoka kobieta. Jej głos zabrzmiał niczym trzaśnięcie bicza. Spojrzała na swych towarzyszy i po chwili uśmiechnęła się lekko. Odwracając się do Medry, powiedziała: – Jesteśmy więźniami, toteż wolność stanowi główny temat naszych nauk. Przybyłeś tu poprzez mury naszego więzienia. Twierdzisz, że szukasz wolności. Powinieneś jednak wiedzieć, że odejście z Roke może okazać się jeszcze trudniejsze niż przybycie tutaj. To więzienie wewnątrz więzienia, częściowo wzniesione przez nas samych. – Zerknęła na pozostałych. – Co powiecie? – spytała.

Zdawało się, że porozumiewają się w milczeniu. W końcu niższa z kobiet spojrzała na Medrę ognistymi oczami.

– Zostań, jeśli chcesz – rzekła.

– Zostanę.

– Jak mamy cię nazywać?

– Rybołów.

I tak go nazywano.

***

Na Roke znalazł jednocześnie więcej i mniej, niż sugerowała nadzieja, która od tak dawna kierowała jego krokami. Dowiedział się, że wyspa Roke leży w sercu Ziemiomorza. Pierwszą ziemią, wydźwigniętą z wód przez Segoya na początku czasu, była Jasna Ea na północy, drugą Roke. Zielone wzgórze, Pagórek Roke, miał korzenie głębsze niż wszystkie wyspy.

Drzewa, które czasami zdawały się stać w jednym miejscu wyspy, a czasami w innym, były najstarszymi drzewami świata, źródłem i sercem magii.

– Gdyby ścięto Wewnętrzny Gaj, upadłaby wszelka magia. Korzenie owych drzew to korzenie wiedzy. Wzory w cieniach ich liści i w blasku słońca powtarzają słowa, które Segoy wymówił podczas aktu Tworzenia.

Tak twierdziła Żar, jego zapalczywa nauczycielka o czarnych brwiach.

Na Roke sztuki magii nauczały wyłącznie kobiety. Na całej wyspie żyło niewielu mężczyzn. Żaden z nich nie władał mocą.

Trzydzieści lat wcześniej piraccy władcy z Wathort wysłali flotę, by podbiła Roke – nie dla bogactw, lecz by zniszczyć moc magii, o której krążyły plotki. Jeden z czarnoksiężników z Roke zdradził wyspę czarownikom z Wathort. Zdjął zaklęcia ostrzegawcze i obronne. Wówczas korsarze zajęli wyspę, nie magią, ale mieczem i ogniem. Ich wielkie okręty zapełniły zatokę Thwil. Pirackie hordy paliły i rabowały. Łowcy niewolników uwozili mężczyzn, chłopców,

młode kobiety. Małe dzieci i starców zabijali. Podpalali pola i domy. Gdy po kilku dniach odpłynęli, nie pozostawili ani jednej wioski. Farmy leżały w ruinie.

Miasto nad zatoką Thwil miało w sobie odrobinę niezwykłości Pagórka Roke i Gaju. Choć bowiem napastnicy przebiegali przez nie w poszukiwaniu niewolników i łupów, i podpalali domy, ognie natychmiast wygasały, a wąskie uliczki zwiodły przybyszów na manowce. Spośród tych, co przeżyli napaść, większość stanowiły mądre kobiety i ich dzieci, które ukryły się w mieście bądź Wewnętrznym Gaju. Mężczyźni, którzy obecnie żyli na Roke, byli właśnie owymi ocalałymi, obecnie już dorosłymi dziećmi. Na wyspie niepodzielnie rządziły Kobiety Dłoni. Ich zaklęcia od dawna strzegły Roke, a obecnie pilnowały jej jeszcze czujniej.

Kobiety Dłoni nie ufały mężczyznom. Jeden z nich je zdradził. Zaatakowali je mężczyźni. Męskie ambicje zwiodły na manowce magiczną sztukę, tak by służyła sprawie zysku.

– Nie chcemy mieć nic wspólnego z ich rządami – powiedziała łagodnym głosem wysoka Woal.

Żar jednak rzekła do Medry:

– Sami zgotowaliśmy sobie zgubę.

Kobiety Dłoni zebrały się na Roke ponad sto lat wcześniej, tworząc związek magów. Dumne, pewne swej mocy, próbowały nauczać innych, by w sekrecie trzymali się razem, przeciwstawiając się siewcom wojny, łowcom niewolników, do czasu gdy otwarcie przeciw nim powstaną. Kobiety wyruszały z Roke do innych krajów wokół Morza Najgłębszego, tkając szeroką, niewidoczną sieć oporu. Nawet teraz pozostały z niej jeszcze strzępy. Medra natknął się na jeden z nich w wiosce Anieb i odtąd podążał tym śladem. Nie doprowadziły go jednak na wyspę. Od czasu najazdu Roke całkowicie odcięła się od świata, zamknięta wewnątrz kordonu potężnych zaklęć ochronnych, cały czas wzmacnianych przez mądre kobiety z wyspy. Wszelkie kontakty z innymi zostały zerwane.

– Nie mogliśmy ich ocalić – powiedziała Żar. – Nie mogliśmy ocalić siebie.

Woal, mimo uśmiechu i łagodnego głosu, była nieugięta. Oznajmiła Medrze, że zgodziła się na jego pozostanie na Roke, bo

chciała mieć na niego oko.

– Raz już przebiłeś się przez nasz mur – rzekła. – To, co o sobie opowiadasz, może być prawdą, ale nie musi. Co mógłbyś mi powiedzieć, bym ci zaufała?

Zgodziła się z innymi, by dać mu mały domek na wybrzeżu i pracę u szkutniczki z Thwil, która sama wyuczyła się swego fachu i z radością przyjęła zręcznego pomocnika. Woal nie wtrącała się do jego życia. Zawsze witała go uprzejmie. Jednak na jej pytanie: „Co mógłbyś mi powiedzieć, bym ci zaufała?", nie umiał odpowiedzieć.

Żar zwykle krzywiła się na jego widok. Zadawała mu krótkie pytania, słuchała odpowiedzi i milczała.

Pewnego razu nieśmiało spytał ją o Wewnętrzny Gaj, gdy bowiem zagadywał o to innych, zawsze słyszał: „Żar ci powie".

Odmówiła odpowiedzi. Nie arogancko, lecz stanowczo.

– O Gaju możesz się nauczyć tylko w Gaju i tylko od niego.

Pewnego popołudnia zeszła na piaszczystą plażę zatoki Thwil, gdzie Medra naprawiał łódź rybacką. Pomogła mu, jak umiała, wypytując o sztukę budowy łodzi, a on pokazał jej wszystko, co potrafił. Było to bardzo miłe popołudnie. Potem odeszła bez słowa. Trochę go niepokoiła. Była nieobliczalna. Zdumiał się, gdy kilka dni później oznajmiła:

– Po Długim Tańcu wyruszam do Gaju. Jeśli chcesz, chodź ze mną.

Choć zdawało się, że z pagórka Roke widać cały Gaj, kiedy człowiek wszedł między drzewa, nie zawsze znajdował drogę na pola. Wędrował pod dębami, bukami, jesionami, kasztanowcami, orzechami i wierzbami, znajomymi drzewami, zielonymi wiosną, nagimi zimą. Między nimi rosły też ciemne świerki i wysokie drzewa iglaste, których Medra nie znał, o miękkiej czerwonawej korze i stożkowatym kształcie. Szedł między nimi, a wiodąca wśród drzew ścieżka nigdy nie pozostawała taka sama. Ludzie w Thwil radzili, by zanadto nie zagłębiać się w Gaj, bo tylko wracając tą samą drogą, można było mieć pewność, że się nie zabłądzi.

– Jak daleko sięga ten las? – spytał Medra.

– Tak daleko jak myśl – odparła Żar.

Mówiła, że liście na drzewach przemawiają, a cienie można odczytać.

– Uczę się je rozumieć – rzekła.

Podczas pobytu na Orrimy Medra nauczył się czytać zwykłe pismo Archipelagu. Później Smoczy Lot z Pendoru nauczył go niektórych runów mocy. Była to jednak wciąż powszechna wiedza. Tego, czego Żar dowiedziała się samotnie w Wewnętrznym Gaju, nie znał nikt oprócz tych, z którymi podzieliła się swą wiedzą. Całe lato mieszkała pod kopułą Gaju, za osłonę mając jedynie gałęzie i gotując na niewielkim ogniu obok strumienia wypływającego z puszczy i wpadającego do rzeki.

Medra obozował nieopodal. Nie wiedział, czego Żar od niego chciała. Najwyraźniej pragnęła go uczyć. Zacząć odpowiadać na pytania o Gaj. Ale milczała. On także nie odzywał się słowem, nieśmiały i ostrożny, lękając się zakłócić jej samotność, która zdumiewała go, podobnie jak osobliwość samego Gaju. Drugiego dnia Żar poprosiła, by z nią poszedł, i zaprowadziła go daleko w głąb lasu. Wędrowali godzinami w milczeniu. W letnie popołudnie w lesie panowała cisza. Nie śpiewał żaden ptak. Liście nie szeleściły. Ścieżki między pniami ulegały nieskończonym zmianom, a jednak wszystkie były takie same. Medra nie zorientował się nawet, kiedy zawrócili. Wiedział jednak, że zaszli dalej niż wybrzeża Roke. Ciepłym wieczorem znów znaleźli się pośród pól i pastwisk. Gdy wracali do obozu, ujrzał nad zachodnimi wzgórzami cztery gwiazdy Kuźni.

Żar pożegnała go jedynie krótkim dobranoc. Następnego dnia oznajmiła:

– Zamierzam usiąść pod drzewami.

Niepewny, czego od niego oczekuje, podążył za nią w pewnej odległości. Gdy usiadła, zrobił to samo. Milczała, patrzyła i nasłuchiwała. On też patrzył, milczał i nasłuchiwał. Spędzili tak kilkanaście dni, aż wreszcie pewnego poranka Medra zbuntował się i kiedy Żar ruszyła do Gaju, został nad strumieniem. Nawet nie obejrzała się za siebie.

Tego ranka z Thwil przybyła Woal. Przyniosła im kosz chleba, sera i owoców.

– Czego się dowiedziałeś? – spytała Medrę swym chłodnym, łagodnym głosem.

– Że jestem głupcem – odparł.

– Czemu, Rybołowie?

– Tylko głupiec może siedzieć wiecznie pod drzewami i niczego się nie nauczyć.

Woal uśmiechnęła się lekko.

– Moja siostra nigdy dotąd nie uczyła mężczyzny – powiedziała. Zerknęła na niego i odwróciła wzrok, spoglądając na zielone i złote pola. – Nigdy dotąd nie spojrzała na mężczyznę – dodała.

Medra milczał. Twarz go paliła. Spuścił głowę.

– Myślałem... – zaczął i urwał.

W słowach Woal ujrzał drugie oblicze niecierpliwości milczącej Żar.

Próbował patrzeć na nią jak na kogoś nieosiągalnego, a przecież pragnął dotknąć jej miękkiej brązowej skóry, czarnych lśniących włosów. Gdy patrzyła na niego z nagłym wyzwaniem, myślał, że ją rozgniewał. Bał się ją zranić, urazić. Czego się lękała? Jego pożądania? Swojego? Nie była jednak niedoświadczoną dziewczyną, lecz mądrą kobietą, magiem. Tą, która wędruje po Wewnętrznym Gaju i dostrzega wzory wśród cieni!

Wszystko to przemknęło mu przez głowę niczym gwałtowna fala przerywająca tamę.

– Sądziłem, że magowie nie spoufalają się z innymi – powiedział w końcu. – Smoczy Lot mówił, że miłosne zbliżenie niszczy naszą moc.

– Tak twierdzą niektórzy – odparła łagodnie Woal. Uśmiechnęła się i pożegnała.

Medra czekał do wieczora, oszołomiony i zły. Gdy w końcu Żar wynurzyła się z Gaju i ruszyła do swego liściastego szałasu nad strumieniem, poszedł za nią, jako wymówkę dźwigając kosz Woal.

– Mogę z tobą pomówić? – spytał.

Przytaknęła krótko, marszcząc czarne brwi.

Medra milczał. Żar przykucnęła, by sprawdzić, co jest w koszyku.

– Brzoskwinie! – wykrzyknęła i uśmiechnęła się.

– Mój mistrz, Smoczy Lot, mówił, że czarnoksiężnicy, którzy się kochają, tracą moc – wypalił w końcu Medra.

Nie odpowiedziała, wykładając na ziemię wszystko z koszyka i dzieląc na dwie części.

– Sądzisz, że to prawda? – spytał.

Wzruszyła ramionami.

– Nie.

Zabrakło mu słów. Po chwili spojrzała na niego.

– Nie – powtórzyła cicho. – Nie sądzę, by była to prawda. Myślę, że wszystkie prawdziwe moce, Dawne Moce u swych korzeni są tym samym.

Stał bez ruchu, w milczeniu.

– Te brzoskwinie są dojrzałe – rzekła. – Będziemy musieli zjeść je od razu.

– Gdybym zdradził ci moje imię – powiedział. – Moje prawdziwe imię...

– Wówczas podałabym ci moje – odparła. – Jeśli... jeśli tak właśnie powinniśmy zacząć.

Zaczęli jednak od brzoskwiń.

Oboje byli nieśmiali. Gdy Medra ujął jej dłoń, trzęsły mu się ręce i Żar, której imię brzmiało Elehal, odwróciła się gniewnie. Potem, bardzo lekko, musnęła jego palce. Kiedy gładził jej lśniące czarne włosy opadające niczym wodospad, zdawała się z trudem znosić jego dotknięcie, toteż przestał. Gdy spróbował ją objąć, była sztywna, odpychająca. Potem odwróciła się i pospiesznie, niezręcznie, gwałtownie chwyciła go w objęcia. Pierwsza wspólna noc i kolejne spędzone razem nie dały im zbyt wiele rozkoszy ani ukojenia. Uczyli się jednak od siebie. Pokonując wstyd i lęk, poznali w końcu namiętność. Wówczas długie dni w ciszy lasu i długie, rozświetlone gwiazdami noce stały się dla nich prawdziwą radością.

Kiedy z miasta przybyła Woal, przynosząc im ostatnie letnie brzoskwinie, wybuchnęli śmiechem. Brzoskwinie stały się symbolem ich szczęścia. Próbowali ją przekonać, by z nimi została i zjadła kolację. Nie zgodziła się jednak.

– Bądźcie tu, póki możecie – rzekła.

Tego roku lato nie trwało długo. Szybko nadeszły deszcze. Wczesną jesienią śnieg spadł na Roke, choć rzadko docierał tak daleko na południe. Kolejne sztormy atakowały wyspę, jakby wichry

zbuntowały się przeciw manipulacjom czarnoksiężników. Kobiety siedziały razem przy ogniu w samotnych domach. Ludzie w Thwil zbierali się wokół palenisk. Słuchali skowytu wiatru, bębnienia deszczu, ciszy śniegu. Nad zatoką Thwil morze z hukiem uderzało o rafy i skały otaczające wyspę. Żadna łódź nie zdołałaby pokonać fal.

Dzielili się wszystkim, co mieli. Pod tym względem była to naprawdę Wyspa Morreda. Nikt na Roke nie głodował ani nie był bezdomny, choć też nikt nie miał wiele więcej, niż potrzebował. Ukryci przed resztą świata, nie tylko przez morze i sztormy, lecz przez zaklęcia otaczające wyspę i zwodzące statki z kursu, pracowali, rozmawiali i śpiewali pieśni: *Zimową kolędę*, *Czyny Młodego Króla*. Mieli też księgi: *Kroniki Enladzkie* i *Dzieje mądrych bohaterów*. Starzy mężczyźni i kobiety czytali na głos urywki owych bezcennych ksiąg w sali na przystani, gdzie rybacy splatali i naprawiali sieci. Było tam palenisko. Rozpalali ogień. Ludzie przybywali nawet z farm po drugiej stronie wyspy, by słuchać dawnych historii. Siedzieli w ciszy, zasłuchani.

– Nasze dusze są głodne – mawiała Żar.

Zamieszkała z Medrą w jego małym domku nieopodal domu Sieci, choć wiele czasu spędzała z siostrą. Żar i Woal były małymi dziećmi, gdy przybyli najeźdźcy z Wathort. Matka ukryła je w piwnicy na farmie, a potem, korzystając ze swych zaklęć, próbowała obronić męża i braci, którzy nie chcieli się kryć, lecz walczyli z najeźdźcami. Zostali zarżnięci tak jak ich bydło. Dom i budynki spalono. Dziewczynki spędziły w piwnicy wiele dni i nocy. Gdy w końcu zjawili się sąsiedzi, by pogrzebać gnijące ciała krów, znaleźli dwoje dzieci, milczących, wygłodniałych, uzbrojonych w motykę i wyłamane ostrze pługa, gotowych bronić kopców kamieni i ziemi wzniesionych nad umarłymi.

Medra usłyszał od Żar zaledwie skrawki owej historii. Pewnego wieczoru opowiedziała mu ją Woal, trzy lata starsza od siostry i przechowująca w pamięci żywe obrazy tamtych dni. Żar siedziała obok, słuchając w milczeniu.

W rewanżu Medra opowiedział Woal i Żar o kopalniach w Samory, czarnoksiężniku Gelluku i niewolnicy Anieb. Gdy skończył, Woal

milczała długą chwilę.

– To właśnie miałeś na myśli, gdy tu przybyłeś? „Nie mogłem ocalić tej, która mnie ocaliła”.

– A ty spytałaś: „Co mógłbyś mi powiedzieć, bym ci zaufała?”.

– Powiedziałeś – odparła Woal.

Medra ujął jej dłoń i uniósł do swego czoła. Opowiadając historię Samory, wstrzymywał łzy. Teraz pozwolił, by płynęły otwarcie.

– Dała mi wolność – rzekł. – Wciąż czuję, że wszystko, co robię, robię dzięki niej i dla niej. Nie, nie dla niej. Dla zmarłych niczego nie da się zrobić, ale dla...

– Dla nas – wtrąciła Żar. – Dla nas. Tych, którzy żyją w ukryciu. Nie zabici, nie zabijając. Martwi pozostaną martwi. Władcy, wielcy ludzie, podążają własną drogą. Cała nadzieja świata skupia się w ludziach, którzy nie mają znaczenia.

– Czy wiecznie musimy się ukrywać?

– Powiedziane jak na mężczyznę przystało. – Woal uśmiechnęła się lekko, z bólem.

– Tak – odparła Żar. – Musimy się ukrywać. Jeśli trzeba, wiecznie. Bo poza tą wyspą nie pozostało już nic, jedynie śmierć bądź zadawanie śmierci. Powiedziałeś to, a ja ci wierzę.

– Ale prawdziwej mocy nie uda się ukryć – zauważył Medra. – Nie na długo. W ukryciu moc umiera.

– Na Roke magia nie zginie – powiedziała Woal. – Na Roke wszystkie zaklęcia są silne. Tak mawiał sam Ath. Wędrowałeś przecież pod drzewami... Naszym zadaniem jest podtrzymywać tę siłę, ukrywać ją. O tak. Gromadzić, tak jak młody smok chciwie gromadzi w sobie ogień. I dzielić się nią. Ale tylko tutaj. Przekazywać ją następnym pokoleniom, tu, gdzie jest bezpieczna, gdzie wielcy rabusie i zabójcy nie będą jej szukać, bo nikt z nas nie ma dla nich znaczenia. Pewnego dnia smok zdobędzie dość sił, nawet jeśli trzeba na to tysiąca lat...

– Lecz poza Roke żyją zwykli ludzie – rzekł Medra. – Pracują nad siły, głodują, umierają w biedzie. Czy muszą tak żyć tysiąc lat, pozbawieni nadziei?

Powiódł wzrokiem od jednej siostry do drugiej, jednej łagodnej i niewzruszonej, drugiej – pod powłoką surowości – ciepłej

i wrażliwej jak pierwszy płomyk, z którego powstaje ogień.

– Na Havnorze – dodał – daleko od Roke, w wiosce na górze Onn, wśród ludzi, którzy nie wiedzą nic o świecie, wciąż żyją Kobiety Dłoni. Po tylu latach sieć wciąż istnieje. Jak ją utkano?

– Zręcznie, magicznie – odparła Żar. – Jak na sztukmistrzów przystało.

– I rzucono daleko! – Ponownie spojrzał na Woal i jej siostrę. – Niewiele nauczono mnie w Havnorze. Moi nauczyciele mówili, bym nie używał magii do złych celów. Żyli jednak w strachu, nie mieli sił, by przeciwstawić się potężniejszym od siebie. Dali mi wszystko, co posiadali. Nie było tego wiele. Tylko szczęście sprawiło, że moc nie zwiodła mnie na manowce. Szczęście i siła Anieb. Gdyby nie ona, służyłbym teraz Gellukowi. A przecież ona także nie odebrała żadnych nauk i stała się niewolnicą. Skoro nawet najlepsi źle uczą magii, a potężni wykorzystują ją do złych celów, jak może wzrosnąć nasza siła? Czym będzie karmił się młody smok?

– Jesteśmy w centrum – odparła Woal. – Musimy w nim pozostać i czekać.

– Musimy dawać to, co mamy – rzekł Medra. – Jeśli wszyscy poza nami żyją w niewoli, co warta jest nasza wolność?

– Prawdziwa sztuka pokonuje fałszywą. Wzorzec pozostanie. – Żar zmarszczyła brwi. Sięgnęła po pogrzebacz i poruszyła swój imiennik w palenisku. Nadwęglone drwa buchnęły jasnym ogniem. – To wiem, ale nasze życie jest krótkie, a wzór bardzo długi. Gdyby tylko Roke wciąż pozostała taka jak kiedyś... Gdybyśmy mieli więcej ludzi władających prawdziwą sztuką, nauczających, uczących się, zachowujących moc...

– Gdyby Roke była wciąż taka jak kiedyś, znana ze swej siły, ci, których się lękamy, znów by przybyli, by nas zniszczyć – wtrąciła Woal.

– Naszą siłą jest dochowanie tajemnicy – podsumował Medra. – Ale i naszym problemem.

– Naszym problemem są mężczyźni – sprostowała Woal. – Wybacz, drogi bracie, lecz mężczyzn bardziej interesują inni mężczyźni niż kobiety i dzieci. Może tu być pięćdziesiąt czarownic

i nie zwrócą na to uwagi. Gdyby jednak wiedzieli, że przebywa u nas pięciu magów, znów spróbowaliby nas zniszczyć.

– Choć zatem byli wśród nas mężczyźni, nazwano nas Kobietami Dłoni – dodała Żar.

– I wciąż nimi jesteście – zgodził się Medra. – Anieb była jedną z was. Ona, wy, my wszyscy żyjemy w tym samym więzieniu.

– Co możemy zrobić? – spytała Woal.

– Poznać naszą siłę! – odparł Medra.

– Załóżmy szkołę – powiedziała Żar. – Mędrcy będą uczyć się od siebie nawzajem, studiować wzorzec... Gaj nas osłoni.

– Władcy wojen nienawidzą uczonych i nauczycieli – rzekł Medra.

– Myślę, że także się ich boją – mruknęła Woal.

Rozmawiali tak owej długiej zimy. Inni rozmawiali z nimi. Powoli z wizji zrodził się zamiar. Z tęsknoty plan. Woal, jak zawsze ostrożna, ostrzegała przed niebezpieczeństwem. Siwowłosy Wydma tak bardzo się zapalił, że – jak mówiła Żar – pragnął natychmiast zacząć uczyć magii wszystkie dzieci z Thwil. Gdy Żar raz uwierzyła, że wolność Roke polega na ofiarowaniu wolności innym, całkowicie skoncentrowała się na tym, jak Kobiety Dłoni mogą odzyskać siłę. Lecz jej myśli, uformowane przez długie samotne czuwania wśród drzew, zawsze pragnęły jasnych, prostych rozwiązań.

– Jak możemy uczyć naszej sztuki, gdy nie wiemy, czym jest naprawdę? – pytała.

Toteż rozmawiały i o tym wszystkie mądre kobiety z wyspy: Czym jest prawdziwa sztuka magiczna? Kiedy staje się fałszywa? Jak utrzymać bądź przywrócić równowagę? Które sztuki są potrzebne, użyteczne, a które niebezpieczne? Czemu niektórzy ludzie mają jeden dar, a nie inne? I czy można nauczyć się sztuki, do której brak nam wrodzonego talentu? Podczas owych dyskusji powstały nazwy, od tej pory zawsze nadawane owym umiejętnościom: szukanie, zaklinanie pogody, przemiany, uzdrawianie, przywoływanie, wzory, imiona, sztuka iluzji i znajomość pieśni. Nawet dziś są to sztuki mistrzów z Roke, choć Mistrz Pieśni zajął miejsce Mistrza Szukania, gdy szukanie uznano za zwykłą użyteczną sztuczkę, niegodną magów.

Podczas tych dyskusji zrodziła się szkoła na Roke.

Niektórzy twierdzą, że szkoła powstała zupełnie inaczej. Mówią, że na Roke rządziła niegdyś niewiasta, zwana Mroczną Kobietą, sprzymierzona z Dawnymi Mocami Ziemi. Twierdzą, iż kobieta ta żyła w jaskini, pod Pagórkiem Roke, nigdy nie wychodząc na świat, lecz tkając potężne zaklęcia, zasnuwając nimi ziemie i morza, i zmuszając ludzi, by byli posłuszni jej złej woli. Potem jednak na Roke przybył pierwszy Arcymag, zburzył barierę, wtargnął do jaskini, pokonał Mroczną Kobietę i zajął jej miejsce.

W opowieści tej nie kryje się nawet ziarno prawdy, poza jednym: istotnie, jeden z pierwszych mistrzów z Roke otworzył wielką grotę i zszedł do niej. Grota ta jednak nie leżała na Roke, choć korzenie Roke są korzeniami wszystkich innych wysp.

Prawdą jest też, iż w czasach Medry i Elehal ludzie z Roke, kobiety i mężczyźni, nie lękali się Dawnych Mocy Ziemi, lecz oddawali im cześć, szukając w nich siły i natchnienia. Z upływem lat jednak uległo to zmianie.

Tego roku wiosna nadeszła późno – zimna i burzliwa. Medra zaczął budować łódź. Gdy zakwitły drzewka brzoskwiniowe, łódka była już gotowa: smukła, solidna łódź rybacka w havnorskim stylu. Nazwał ją „Nadzieja". Wkrótce potem wypłynął z zatoki Thwil, nie zabierając ze sobą towarzysza.

– Czekaj na mnie pod koniec lata – powiedział do Żar.

– Będę w Gaju – odparła. – A moje serce będzie z tobą, ciemna Wydro, biały Rybołowie, mój ukochany Medro.

– A moje z tobą, mój Ognisty Żarze, moje kwitnące drzewo, moja ukochana Elehal.

***

Podczas pierwszego ze swych poszukiwań Medra, czy też Rybołów, jak go nazywano, pożeglował na północ Morzem Najgłębszym na Orrimy. Wyspę tę odwiedził już kilka lat wcześniej. Żyli tam Ludzie Dłoni, którym ufał. Jeden z nich, Kruk, był bogatym odludkiem. Sam nie miał magicznego daru, miłował jednak wielce słowo pisane,

Księgi Wiedzy i historię. To właśnie Kruk, jak sam powiedział, przemocą posadził Rybołowa nad książką, by nauczył się czytać.

– Nieuczeni magowie to przekleństwo Ziemiomorza! – krzyczał. – Moc w połączeniu z ignorancją rodzi zło.

Kruk był dziwnym człowiekiem, kapryśnym, aroganckim, szczodrym i kiedy przyszło do obrony jego namiętności, odważnym. Wiele lat wcześniej rzucił wyzwanie władzy Losena. W przebraniu udał się do Portu Havnor i zdołał umknąć z czterema księgami pochodzącymi ze starożytnej biblioteki królów. Właśnie zdobył, i był z tego ogromnie dumny, magiczną rozprawę z Way, traktującą o mocy rtęci.

– Ją także sprzątnąłem sprzed nosa Losenowi – powiedział, zwracając się do Rybołowa. – Spójrz tylko, należała do słynnego czarnoksiężnika.

– Do Tinarala – rzekł Rybołów. – Znałem go.

– A zatem to śmieć? – Kruk natychmiast potrafił odczytywać wszelkie znaki, jeśli tylko odnosiły się do ksiąg.

– Nie wiem. Mam na oku większą zdobycz.

Kruk zaciekawiony podniósł wzrok.

– Księgę Imion – wyznał Rybołów. – Zaginęła, gdy Ath wyruszył na zachód. Mag zwany Smoczym Lotem mówił, że kiedy Ath zatrzymał się na Pendorze, powiedział tamtejszemu czarnoksiężnikowi, iż zostawił Księgę Imion na przechowanie u kobiety z Dziewięćdziesięciu Wysp.

– U kobiety?! Na przechowanie? Z Dziewięćdziesięciu Wysp? Oszalał?!

Kruk złościł się i narzekał, lecz sama myśl o tym, że Księga Imion wciąż może istnieć, sprawiła, że gotów był wyruszyć na Dziewięćdziesiąt Wysp.

Pożeglowali zatem „Nadzieją” na południe. Najpierw wylądowali na cuchnącej Geath, a potem, w przebraniu handlarzy, wędrowali od jednej wysepki do drugiej, pokonując labirynt kanałów. Kruk wyładował całą łódź towarami znaczniej lepszymi od tych, które znali gospodarze z wysp, a Rybołów ofiarował je po uczciwej cenie, najczęściej na wymianę, wyspiarze bowiem niemal nie używali pieniędzy. Wkrótce sława zaczęła wyprzedzać dwóch handlarzy.

Wszyscy wiedzieli, że chętnie wymienią się na księgi, byle stare i niezwykłe. Na wyspach wszystkie księgi były stare i niezwykłe, choć niewiele ich już zostało.

Kruk szalał z radości, zdobywszy poplamiony wodą bestiariusz z czasów Akambara w zamian za pięć srebrnych guzików, nóż z rękojeścią z macicy perłowej i sztukę jedwabiu z Lorbanery. Zachwycał się starożytnymi opisami harrikki, otaka i lodowego niedźwiedzia. Rybołów schodził na ląd na każdej wyspie, demonstrując swe towary w kuchniach miejscowych gospodyń i sennych tawernach, gdzie przesiadywali starcy. Czasami od niechcenia zaciskał rękę w pięść i unosił, ukazując wnętrze dłoni. Nikt jednak nie odpowiedział podobnym znakiem.

– Książki? – rzekł z powątpiewaniem wyplatacz koszy na północnym Sudidi. – Tak jak ta tutaj? – Wskazał ręką długie pasma pergaminu wplecione w strzechę. – To one przydają się do czegoś jeszcze?

Kruk dostrzegł słowa widoczne tu i ówdzie pomiędzy sitowiem dachu i zaczął trząść się z gniewu. Rybołów pospiesznie odprowadził go do łodzi.

– To był tylko podręcznik uzdrawiacza zwierząt – powiedział Kruk. Opuścili już wyspę i żeglowali dalej. – Zdążyłem przeczytać „choroby stawów" i coś o sutkach owiec. Ale co za ignorancja! Co za straszna ignorancja! Wzmocnić dach kartami książki!

– A w dodatku była to bardzo użyteczna wiedza – przyznał Rybołów. – Jak ludzie mogą żyć godnie, jeśli nie zachowuje się wiedzy, nie naucza jej? Gdyby tylko można zgromadzić księgi w jednym miejscu...

– Takim jak biblioteka królów. – W głosie Kruka zabrzmiała nuta tęsknoty za utraconą chwałą.

– Albo twoja biblioteka – uzupełnił Rybołów. Stał się już znacznie subtelniejszy niż kiedyś.

– To tylko fragmenty – odrzekł jego towarzysz, mówiąc z lekceważeniem o dziele swego życia. – Resztki!

– Początek – sprostował Rybołów.

Kruk jedynie westchnął.

– Myślę, że powinniśmy znów popłynąć na południe. – Rybołów skręcił, zmierzając w stronę otwartego kanału, w kierunku Pody.

– Ty masz dar – przyznał Kruk. – Wiesz, gdzie szukać. Poszedłeś wprost do bestiariusza na strychu... Ale tu niczego nie ma. Niczego ważnego. Ath nie pozostawiłby największej z Ksiąg Wiedzy prostakom, którzy zrobiliby z niej dach. Zabierz nas na Pody, jeśli chcesz, a potem z powrotem na Orrimy. Mam już dosyć.

– Poza tym kończą nam się guziki – dokończył wesoło Rybołów. Czuł w sercu radość. Gdy tylko pomyślał o Pody, zrozumiał, że zmierza we właściwą stronę. – Może znajdę coś po drodze – dodał. – To w końcu mój talent.

Żaden z nich wcześniej nie był na Pody, sennej, południowej wyspie. Tutejszy piękny, stary port, Telio, wzniesiony z różowego piaskowca, otaczały pola i sady, które powinny być żyzne i pachnące, lecz od stu lat wyspą władali panowie z Wathort, nakładając podatki i porywając niewolników. Ich rządy odebrały siły ziemi i ludziom. Słoneczne ulice Telio były smutne i brudne. Ludzie mieszkali tu jak w głuszy – w namiotach i szałasach zbudowanych ze śmieci bądź na gołej ziemi.

– To na nic. – Kruk z niesmakiem ominął ludzkie odchody. – Ci nieszczęśnicy nie mają żadnych książek, Rybołowie.

– Zaczekaj. Daj mi jeden dzień.

– To niebezpieczne. To bez sensu. – Kruk jednak słabo protestował. Skromny, naiwny młodzieniec, którego niegdyś nauczył czytać, stał się obecnie jego mądrym przewodnikiem.

Podążył za nim głównymi ulicami i dalej, w głąb dzielnicy małych domków, dawnych siedzib tkaczy. Na Pody hodowano len. Wszędzie wokół stały kamienne budynki zmiękczalni, obecnie puste. W oknach widać było warsztaty tkackie. Na małym placu, skrytym w cieniu przed palącym słońcem, kilka kobiet przędło, siedząc wokół studni. W pobliżu bawiły się dzieci, niespokojne od gorąca, obdarte, z zainteresowaniem obserwujące przybyszów. Rybołów bez wahania ruszył w tamtą stronę, jakby wiedział, dokąd zmierza. Grzecznie powitał kobiety.

– Mój piękny panie – powiedziała z uśmiechem jedna z nich – nie warto nawet pokazywać, co masz w swych workach. Nie mam

bowiem ani miedziaka, ani kawałka kości. Od dawna ich nie oglądałam.

– Może jednak masz kawałek płótna, dobrodziejko, tkaniny bądź nici? Płótno z Pody jest najlepsze. Tak słyszałem aż na Havnorze. Potrafię też ocenić to, co teraz przędziecie. Piękna nić, doprawdy.

Kruk obserwował go z rozbawieniem i lekką wzgardą. Choć potrafił wspaniale targować się o książki, przekomarzania ze zwykłymi kobietami o guziki i nici były poniżej jego godności.

– Niech no tylko to otworzę – powiedział Rybołów, rozkładając swe rzeczy na bruku. Kobiety i brudne nieśmiałe dzieci podeszły bliżej, by obejrzeć cuda, jakie chciał im pokazać. – Szukamy tkanin, niefarbowanych nici i innych rzeczy. Choćby guzików. Macie kościane bądź rogowe? Za trzy, cztery guziki gotów jestem dać mały aksamitny czepek. Albo zwój wstążki. Spójrzcie tylko na jej kolor! Pięknie pasowałaby do twych włosów, dobrodziejko. Szukamy też papieru lub książek. Nasi panowie z Orrimy je lubią. Macie jakieś księgi?

– Piękny z ciebie mężczyzna – rzekła kobieta, która odezwała się pierwsza, i ze śmiechem uniosła do czarnego warkocza czerwoną wstążkę. – Żałuję, że nic dla ciebie nie mam!

– Nie śmiałbym prosić o całusa – odparł Medra. – Ale może otwartą dłoń.

Uczynił znak. Przez moment patrzyła na niego.

– To łatwe – rzekła cicho, odpowiadając tym samym gestem. – Ale nie zawsze bezpieczne wśród obcych.

Medra nadal demonstrował swe towary i wymieniał żarty z kobietami i dziećmi. Nikt niczego nie kupił. Miejscowi przyglądali się błyskotkom jak najcenniejszym skarbom. Pozwolił im patrzeć i obmacywać do woli. Nie odezwał się ani słowem, gdy jedno z dzieci podwędziło małe lusterko z polerowanego mosiądzu, choć widział, jak cacko znika pod obdartą koszulą. W końcu oznajmił, że musi iść dalej. Gdy tylko zebrał towar, dzieci odeszły.

– Mam sąsiadkę – oznajmiła kobieta o czarnych warkoczach – może znalazłoby się w jej domu trochę papieru, jeśli was to interesuje.

– Zapisanego? – wtrącił Kruk, który siedział dotąd na pokrywie studni i okropnie się nudził. – Pokrytego znakami?

Zmierzyła go wzrokiem.

– Pokrytego znakami, panie – powiedziała. A potem, zwracając się do Rybołowa, dodała innym tonem: – Jeśli zechcesz pójść ze mną, mieszka tam. To zwykła dziewczyna i w dodatku biedna, ale wierz mi, handlarzu, powita cię z otwartymi rękami, choć może nie wszyscy to czynimy.

– Z nas trojga troje. – Kruk pospiesznie uczynił znak. – Oszczędź sobie jadu, kobieto.

– To wy, panie, musicie oszczędzać. Ja nie mam czego. Jesteśmy tu biedni. – Jej oczy błysnęły. Bez słowa poprowadziła ich naprzód.

Po chwili dotarli do piętrowego kamiennego domu na końcu uliczki. Kiedyś był piękny; teraz stał częściowo pusty, zrujnowany, pozbawiony okien i gzymsów. Przeszli przez podwórze z wykopaną pośrodku studnią. Kobieta zapukała do drzwi. Otworzyła jej dziewczyna.

– To nora czarownicy – rzekł Kruk, czując zapach ziół i aromatycznego dymu. Cofnął się o krok.

– Uzdrowicielki – poprawiła przewodniczka. – Czy ona wciąż niedomaga, Dory?

Dziewczyna przytaknęła, spoglądając najpierw na Rybołowa, potem na Kruka. Miała trzynaście, może czternaście lat. Choć szczupła, była mocno zbudowana. Jej oczy lśniły gniewnie.

– To Mężczyźni Dłoni, Dory, jeden niski i piękny, drugi wysoki i dumny. Szukają papierów. Wiem, że kiedyś miałaś coś takiego; czy masz jeszcze? Z ich rzeczy nic ci się nie przyda, może jednak dadzą ci kawałek kości. Czyż nie? – Zerknęła na Rybołowa, który skinął głową.

– Jest bardzo chora, Trzcino – powiedziała dziewczyna i zwróciła się do Rybołowa: – Nie jesteś uzdrowicielem. – Jej głos zabrzmiał oskarżycielsko.

– Nie.

– A ona owszem – wtrąciła Trzcina. – Jak jej matka. I matka matki. Wpuść nas, Dory. Albo przynajmniej mnie. Chcę z nią pomówić. – Dziewczyna na moment zniknęła w głębi domu. Trzcina

odwróciła się do Medry. – Jej matka umiera na suchoty. Żaden uzdrowiciel nie mógłby jej pomóc. Kiedyś jednak umiała leczyć skrofuły i zaklinać ból. Była wspaniała. Dory z pewnością jej dorówna.

Dziewczyna wezwała ich gestem. Kruk wolał zaczekać na zewnątrz. Znaleźli się w wysokim, długim pomieszczeniu. Wokół widniały jeszcze ślady dawnej elegancji, jednak wszystko było bardzo stare i bardzo biedne. Rybołów dostrzegał wszędzie akcesoria uzdrowicielki i pęki suszonych ziół ułożone w pewnym porządku. Tuż przy pięknym kamiennym kominku, z którego unosiła się wąska smużka słodkiego ziołowego dymu, stało łóżko. Leżąca na nim kobieta była tak wyniszczona, że w półmroku zdawała się jedynie kupką kości wśród cieni. Gdy Rybołów podszedł do niej, spróbowała usiąść. Córka uniosła jej głowę na poduszce i Rybołów usłyszał:

– Czarnoksiężnik. To nie przypadek.

Natychmiast pojął, że ta kobieta ma moc. Czy ona go tutaj wezwała?

– Jestem szukaczem – rzekł. – Znajduję.

– Możesz ją uczyć?

– Mogę ją zabrać do innych, którzy to potrafią.

– Zrób to.

– Zrobię.

Opadła na poduszki i zamknęła oczy.

Wstrząśnięty mocą jej woli, Rybołów wyprostował się i odetchnął głęboko. Spojrzał na dziewczynę, ona jednak nie zareagowała, z niemą rozpaczą obserwując matkę. Dopiero gdy kobieta pogrążyła się we śnie, Dory poszła pomóc Trzcinie, która krzątała się po izbie, zbierając zakrwawione szmatki rozrzucone wokół łóżka.

– Przed chwilą znów miała krwotok, a ja nie mogłam go powstrzymać – odezwała się Dory. Z jej oczu spływały łzy, kreśląc linie na policzkach. Twarz dziewczyny niemal się nie zmieniła.

– O, moja mała, biedne jagniątko! – Trzcina przytuliła ją.

Dory odpowiedziała uściskiem, lecz nawet nie pochyliła głowy.

– Zmierza już tam, do muru, a ja nie mogę z nią pójść – powiedziała. – Idzie sama, a ja nie mogę z nią pójść. Czy ty byś

mógł? – Oderwała się od sąsiadki, spoglądając na Rybołowa. – Mógłbyś!

– Nie – rzekł. – Nie znam drogi.

Lecz gdy mówiła, ujrzał to, co widziała dziewczyna: długie zbocze opadające w ciemność i dalej, na skraju mroku, niski kamienny mur. Nagle wydało mu się, że dostrzega kobietę wędrującą wzdłuż muru, bardzo chudą, zwiewną; same kości i cienie. Nie była to jednak umierająca matka dziewczyny, lecz Anieb. A potem wizja zniknęła. Znów stał naprzeciw młodej czarownicy. Jej oczy z wolna łagodniały. Ukryła twarz w dłoniach.

– Musimy pozwolić im odejść – powiedział.

– Wiem – szepnęła.

Trzcina wodziła wzrokiem od jednego do drugiego. Jej oczy błyszczały.

– Człek nie tylko zręczny – rzekła – ale i utalentowany. Cóż, nie jesteś pierwszy.

Spojrzał na nią pytająco.

– Jesteśmy w domu Atha – oświadczyła.

– On tu mieszkał – wtrąciła Dory. Przez moment w jej przepojonym beznadziejnym bólem głosie zabrzmiała nutka dumy. – Mag Ath, setki lat temu, zanim wyruszył na zachód. Wszystkie moje przodkinie były mądrymi kobietami. Zatrzymał się tutaj. Z nimi.

– Daj mi miednicę – poprosiła Trzcina. – Przyniosę wody, by namoczyć bandaże.

– Ja przyniosę wodę – wtrącił Rybołów. Z miednicą wyszedł na podwórko, do studni. Tak jak przedtem, Kruk siedział na cembrowinie, niespokojny i znudzony.

– Czemu tracimy tu czas? – spytał ostro, gdy Rybołów spuścił do studni wiadro. – Czyżbyś stał się sługą czarownicy?

– Owszem. I będę jej służył aż do śmierci. A potem zabiorę jej córkę na Roke. Jeśli chcesz przeczytać Księgę Imion, możesz popłynąć z nami.

***

I tak szkoła na Roke zyskała pierwszą uczennicę zza morza, a także pierwszego bibliotekarza. Księga Imion, obecnie przechowywana w Wieży Osobnej, stała się podstawą wiedzy i metody imion leżącej u podstaw magii z Roke. Dory, która, jak mówiono, uczyła własnych nauczycieli, stała się mistrzynią sztuk uzdrawiania i ziół; zapewniła tej sztuce poczesne miejsce wśród innych nauczanych na Roke. Kruk natomiast, niezdolny rozstać się choćby na miesiąc z Księgą Imion, posłał po własne książki na Orrimy i wraz z nimi osiadł w Thwil. Pozwalał ludziom ze szkoły je studiować, jeśli tylko okazywali im – i jemu – stosowny szacunek.

Następne lata dla Rybołowa upływały podobnie. Późną wiosną wypływał „Nadzieją", szukając i znajdując ludzi do szkoły na Roke – głównie dzieci i młodzież, czasami też dorosłych mężczyzn i kobiety obdarzonych magicznym darem. Większość dzieci była biedna. I choć nie zabierał nikogo wbrew jego woli, rodzice i panowie rzadko poznawali prawdę. Rybołów był rybakiem potrzebującym do pomocy chłopaka bądź dziewczyny do pracy w tkalni, albo też kupował niewolników dla swego pana z innej wyspy. Jeśli oddawano dziecko, by zapewnić mu lepszą przyszłość, czy sprzedawano je do pracy, płacił prawdziwymi kościanymi płytkami. Gdy sprzedawano je w niewolę, płacił złotem i następnego dnia odpływał. Wtedy zaś złoto zmieniało się z powrotem w krowie łajno.

Zapuszczał się daleko, nawet na Wschodnie Rubieże, i nigdy nie odwiedzał dwukrotnie tego samego miasta czy wyspy, chyba że upłynęły całe lata. Mimo wszystko wkrótce zaczęto o nim szeptać. Ludzie nazywali go złodziejem dzieci, straszliwym czarnoksiężnikiem, który porywa dzieci na swą wyspę na lodowej północy i wysysa im krew. Na Way i Felkway po dziś dzień rodzice straszą nim dzieci, pouczając, by nie ufały nieznajomym.

Wkrótce wielu Ludzi Dłoni wiedziało, co się dzieje na Roke. Na wyspę zaczęli przybywać przysyłani przez nich młodzi ludzie. Wielu z trudem docierało do celu, albowiem kryjące wyspę zaklęcia były jeszcze silniejsze niż dawniej. Sprawiały, iż wydawała się jedynie chmurą, rafą wśród spienionych fal. Do tego wiatr z Roke nie dopuszczał do zatoki Thwil statków, o ile na pokładzie nie znalazł się czarnoksiężnik zdolny go odwrócić. Mimo to jednak przybywali. Lata

mijały i w końcu okazało się, iż szkoła potrzebuje nowej siedziby, większej niż jakikolwiek budynek w Thwil.

W Ziemiomorzu mężczyźni budują statki, a kobiety domy. Tak nakazywał obyczaj. Jednak przy wznoszeniu większych budowli kobiety pracowały ramię w ramię z mężczyznami. Nie obowiązywały tu przesądy niedopuszczające mężczyzn do kopalni ani zabraniające kobietom oglądać kładzenia kilu. Mężczyźni i kobiety, obdarzeni wielką mocą, wznieśli wspólnie Wielki Dom. Kamień węgielny położono na szczycie wzgórza, z którego biło źródło, nad miastem Thwil, naprzeciw Pagórka Roke. Mury stawiano nie tylko z kamienia i drewna, lecz także z potężnych czarów, a wzmocniono zaklęciami. Pierwszą gotową częścią Wielkiego Domu było jego serce, Podwórzec Fontanny.

Tam właśnie Medra przyszedł wraz z Elehal, stąpając po białych kamieniach, nim jeszcze otoczono je murami. Elehal zasadziła obok fontanny młodą jarzębinę z Gaju. Przyszła teraz, by sprawdzić, jak się miewa drzewko. Silny wiosenny wiatr od lądu porywał wodę z fontanny. Na Pagórku zebrała się grupka ludzi: czarnoksiężnik Hega z O nauczał krąg młodzieży sztuczek iluzji. Nazywali go Mistrzem Sztuk. Iskiernik już dawno przekwitł. Wiatr porywał jego popioły. We włosach Żar pojawiły się siwe pasma.

– I znów wyruszasz, pozostawiając nam kwestię ustalenia reguł. – Jej brwi marszczyły się równie groźnie jak kiedyś, lecz głos rzadko przybierał równie surową nutę.

– Zostanę, jeśli chcesz, Elehal.

– Chcę, żebyś został. Ale nie rób tego. Zajmujesz się szukaniem. Musisz to robić. Tyle że ustalenie najlepszych metod – reguł, tak je chce nazwać Waris – to praca dwakroć cięższa niż budowa domu i wywołująca dziesięciokroć więcej sporów. Chciałabym móc się od tego oderwać. Znów spacerować z tobą, jak kiedyś... I chciałabym, byś nie płynął na północ.

– Czemu się spieramy? – spytał z głębokim smutkiem.

– Bo jest nas więcej! Zbierz w komnacie dwudziestu, trzydziestu ludzi obdarzonych mocą, a będą starali się działać po swojemu. Kiedy mężczyzn, którzy zawsze pracowali samotnie, połączysz w grupę z kobietami mającymi swoje sposoby, osiągniesz tylko

niechęć. Do tego istnieją między nami głębokie różnice, Medro. Musimy dojść do zgody. To niełatwe. Choć odrobina dobrej woli mogłaby zdziałać dużo.

– Mówisz o Warisie?

– O Warisie i kilku innych. To mężczyźni. Dla nich tylko to się liczy. Gardzą Dawnymi Mocami i boją się ich. Podejrzliwie traktują moce kobiet, bo sądzą, że łączą się one z Dawnymi Mocami. Jakby jakikolwiek śmiertelnik mógł z nich korzystać bądź próbować je kontrolować! Zbyt są skupieni na swej męskości. Twierdzą, że prawdziwy czarnoksiężnik musi być mężczyzną żyjącym bez kobiet. Siostra powiedziała mi wczoraj, że wraz z Ennio i cieślami zaproponowali, iż wzniosą im zamkniętą część domu albo nawet odrębny dom, by mogli zachować czystość. To nie moje słowa, lecz Warisa. Oni jednak odmówili. Chcą, by reguła Roke oddzieliła mężczyzn od kobiet i by mężczyźni podejmowali wszystkie decyzje. Jaki kompromis możemy z nimi zawrzeć? Czemu tu przyszli, jeśli nie chcą współpracować z kobietami?

– Powinniśmy ich odesłać.

– Odesłać stąd? W gniewie? By uprzedzili władców Wathortu i Havnoru, że wiedźmy z Roke szykują burzę?

– Zapominam. Zawsze zapominam. – W jego głosie dźwięczała rozpacz. – Zapominam o murach więzienia. Gdy pozostaję poza nimi, nie jestem takim głupcem. Ale kiedy tu jestem, nie wierzę, iż to więzienie. Tam jednak, bez ciebie, pamiętam. Nie chcę odejść, ale muszę. Nie chcę przyznać, że cokolwiek tutaj mogło pójść nie tak, ale muszę. Odpłynę raz jeszcze na północ, Elehal. Ale kiedy wrócę, zostanę. To, co muszę znaleźć, znajdę tutaj. Czyż już tego nie znalazłem?

– Nie – odparła. – Znalazłeś mnie. Lecz w Gaju czeka cię dużo szukania i znajdowania. Może nawet znajdziesz ukojenie. Czemu na północ?

– By dotrzeć do Ludzi Dłoni z Enladu i Ea. Nigdy tam nie byłem. Nie wiemy nic o ich magii. Enlad królów i jasna Ea, najstarsza z wysp! Z pewnością znajdziemy tam sojuszników.

– Lecz między nami leży Havnor – przypomniała.

– Nie popłynę na Havnor, ukochana. Zamierzam go okrążyć, wodą.

Zawsze potrafił ją rozśmieszyć. Tylko jemu się to udawało. Kiedy go nie było, milczała – spokojna, rozsądna. Już dawno zrozumiała, że niecierpliwość w pracy, którą i tak trzeba wykonać, nie ma sensu. Czasami wciąż jeszcze marszczyła brwi, czasami się uśmiechała, ale nie śmiała się. Gdy tylko mogła, samotnie ruszała do Gaju, jak kiedyś. Lecz w latach budowy Wielkiego Domu i założenia szkoły rzadko nadarzały się jej takie okazje. A kiedy chodziła tam, zwykle zabierała ze sobą kilku uczniów, by wraz z nią poznawali ścieżki wiodące przez Gaj i wzory wśród liści. Była bowiem Mistrzem Wzorów.

Tego roku Rybołów późno wyruszył w podróż. Zabrał ze sobą piętnastoletniego chłopca, Okrucha, obiecującego zaklinacza pogody, który musiał poćwiczyć na morzu, i Sadzę, sześćdziesięciolatkę, która przybyła z nim na Roke siedem, osiem lat wcześniej. Była jedną z Kobiet Dłoni na Ark i choć brakło jej daru magicznego, potrafiła doskonale sprawić, by ludzie sobie nawzajem ufali i pracowali ramię w ramię. Również na Roke uznawano Sadzę za jedną z mądrych kobiet. Poprosiła Rybołowa, by zabrał ją w odwiedziny do matki, siostry i dwóch synów. Miał zostawić Okrucha wraz z nią i w drodze powrotnej zabrać ich na Roke. Wyruszyli więc w pogodny letni dzień na północny wschód przez Morze Najgłębsze. Rybołów nakazał Okruchowi, by wypełnił żagiel odrobiną magicznego wiatru, chcieli bowiem dotrzeć na Ark przed Długim Tańcem.

Kiedy zbliżyli się do wyspy, otoczył „Nadzieję” iluzją, by wydawała się nie łodzią, lecz płynącą kłodą drewna, gdyż na tych wodach roiło się od piratów i łowców niewolników Losena.

Z Sesesry na wschodnim wybrzeżu Ark, gdzie zostawił pasażerów i odtańczył Długi Taniec, pożeglował cieśninami Ebavnor, zamierzając skręcić na zachód, wzdłuż południowych wybrzeży Omeru. Cały czas podtrzymywał iluzję. Lecz w piękny, słoneczny letni dzień przy północnym wietrze ujrzał daleko, wysoko, nad błękitnymi falami, nad mglistym brązem i błękitem ziemi długie, białe zbocza góry Onn.

To był Havnor. Jego ojczyzna. Zostawił tam najbliższych; nie wiedział, żyją jeszcze czy umarli. Tam też, na zboczu góry, leżała Anieb. Nigdy tu nie wrócił. Nigdy nawet się nie zbliżył. Ile lat minęło? Szesnaście, siedemnaście? Nikt by go już nie poznał. Nikt nie

pamiętał chłopca, Wydry, poza matką, ojcem i siostrą, jeśli wciąż żyli. Z pewnością w Wielkim Porcie byli też Ludzie Dłoni. Teraz powinien ich rozpoznać.

Żeglował szeroką cieśniną i wkrótce góra Onn zniknęła mu z oczu, przysłonięta przez przylądki u ujścia Zatoki Havnorskiej. Nie zobaczy jej więcej, jeśli nie skręci w wąski przesmyk. Wówczas ujrzy górę – wyniosły szczyt, wierzchołek wznoszący się nad spokojnymi wodami. Tam właśnie jako dwunastolatek próbował wezwać magiczny wiatr. Żeglując dalej, zobaczy wieże, z początku niewyraźne, maleńkie kropki i kreski, a potem łopoczące na nich barwne chorągwie. Białe miasto w sercu świata.

Jedynie tchórzostwo trzymało go z dala od Havnoru. Lęk o własną skórę. Obawa, że odkryje, iż jego rodzina odeszła. Że zbyt wyraźnie przypomni sobie Anieb.

Bywały chwile, gdy miał wrażenie, że tak jak on wezwał ją za życia, tak ona może go przyzwać martwa. Więź, która pozwoliła jej go ocalić, nie uległa zerwaniu. Wiele razy Anieb odwiedzała go we śnie, stojąc w milczeniu, jak wtedy gdy ujrzał ją po raz pierwszy w cuchnącej wieży w Samory. Ujrzał ją też wiele lat wcześniej w wizji uzdrowicielki Telio, w gasnącym świetle obok kamiennego muru. Teraz dzięki Elehal i innym ludziom z Roke wiedział już, czym jest ów mur: oddziela światy żywych i umarłych. A w owej wizji Anieb wędrowała po jasnej stronie, nie drugiej, biegnącej w ciemności.

Czyżby lękał się tej, która go uwolniła?

Halsując z silnym wiatrem, okrążył południowy przylądek i pożeglował do Wielkiej Zatoki Havnorskiej.

***

Na wieżach Havnoru wciąż powiewały chorągwie; nadal rządził tam król. Chorągwie należały do zdobytych miast i wysp. Królem był wojownik Losen. Nie opuszczał już marmurowego pałacu – przebywał w nim całe dnie, otoczony niewolnikami, patrząc, jak miecz Erreth-Akbego niczym gnonom wielkiego słonecznego zegara

rzuca cień na dachy w dole. Wydawał rozkazy, a niewolnicy odpowiadali: „Tak się stanie, wasza wysokość”. Ogłaszał audiencje i starcy przybywali tłumnie, mówiąc: „Jesteśmy posłuszni waszej wysokości”, wzywał swego czarnoksiężnika i mag Wczesny zjawiał się, składając głęboki ukłon.

– Spraw, bym mógł chodzić! – krzyknął Losen, tłukąc sparaliżowane nogi słabymi rękami.

– Wasza wysokość – odparł mag – jak wiesz, moje mizerne umiejętności nie wystarczyły, posłałem jednak po największego uzdrowiciela Ziemiomorza, mieszkającego w odległym Narveduen. Kiedy się zjawi, wasza wysokość znów będzie chodzić i tańczyć Długi Taniec.

Wówczas Losen zaczynał kląć i płakać, niewolnicy przynosili mu wino, a mag wychodził z ukłonem, sprawdzając po drodze, czy zaklęcie paraliżujące wciąż działa.

Utrzymywanie Losena przy władzy było dla niego znacznie wygodniejsze niż otwarte rządy Havnorem. Zbrojni nie ufali czarnoksiężnikom, nie chcieli im służyć. Nieważne jak wielką mocą dysponował mag, nie zdołałby utrzymać armii i floty, gdyby żołnierze i marynarze nie chcieli wykonywać rozkazów. Ludzie lękali się i słuchali Losena od dawna, toteż posłuszeństwo weszło im w krew. Przypisywali mu cechy, które istotnie posiadał: zdolności strategiczne, niezłomne umiejętności przywódcze i bezwzględne okrucieństwo, a także cechy, których mu brakowało – na przykład władza nad służącymi mu czarnoksiężnikami.

Teraz na jego dworze pozostał już tylko Wczesny i kilku skromnych sztukmistrzów. Wczesny wygnał bądź zabił wszystkich rywali do łask Losena. Od lat samodzielnie rządził Havnorem.

Jeszcze jako uczeń i pomocnik Gelluka zachęcał swego mistrza do badań nad księgami z Way. Póki Gelluka zaprzątało jedynie poszukiwanie rtęci, mógł działać na własną rękę. Nagła śmierć Gelluka nim wstrząsnęła. Było w niej coś tajemniczego, jakiś brakujący element, osoba. Wzywając na pomoc usłużnego Ogara, przeprowadził dokładne śledztwo. Rzecz jasna miejsce pobytu Gelluka nie było żadną tajemnicą. Ogar wytropił go aż do świeżej szramy na zboczu wzgórza i oznajmił, że leży tu głęboko pogrzebany.

Wczesny nie miał zamiaru go wykopywać. Chłopca, który towarzyszył magowi, Ogar wytropić nie umiał. Nie potrafił rzec, czy spoczywa pod wzgórzem wraz z Gellukiem, czy zdołał uciec. Nie pozostawił po sobie żadnych śladów zaklęć, jak to zwykle czynią magowie, wyjaśnił Ogar. Do tego całą noc padał ulewny deszcz i gdy Ogar natrafił na ślady, okazało się, że należą do kobiety, która już nie żyje.

Wczesny nie ukarał Ogara za niepowodzenie, jednak mu tego nie zapomniał. Nie przywykł do niepowodzeń i ich nie lubił. Nie spodobało mu się to, co Ogar powiedział o Wydrze, toteż i o tym nie zapomniał.

Żądza władzy karmi się sama sobą i stale wzrasta. Wczesny głodował, umierał z głodu. Rządzenie Havnorem, krainą żebraków i biednych wieśniaków, nie dawało mu radości. Po co komu tron Mahariona, jeśli zasiada na nim jedynie pijany kaleka? Po co pałace największego z miast, skoro mieszkają w nich jedynie płaszczący się niewolnicy? Mógł posiąść każdą kobietę, jakiej tylko zapragnął. Kobiety jednak pozbawiłyby go mocy, odebrały siłę. Nie chciał, by kręciły się w pobliżu. Pożądał wroga, przeciwnika, którego warto zniszczyć.

Od ponad roku szpiedzy donosili mu o tajemnym spisku obejmującym całe królestwo, grupkach zbuntowanych czarowników nazywających siebie Dłonią. Spragniony walki, kazał zbadać jedną z tych grup. Składała się ze starych kobiet, położnych i kopaczy rowów, uczniów kowalskich i małych chłopców. Rozwścieczony i poniżony, Wczesny kazał ich stracić wraz z człowiekiem, który o nich doniósł. To była publiczna egzekucja w imieniu Losena za zbrodnię spiskowania przeciw królowi. Być może, ostatnio za rzadko stosowali podobne środki, jednakże sprzeciwiały się zasadom Wczesnego. Nie miał ochoty urządzać publicznego widowiska z udziałem głupców, którzy go nabrali, przestraszyli. Wolałby pozbyć się ich sam, po cichu – żeby wroga przerazić, trzeba działać natychmiast. Pragnął, by ludzie się go bali, czuć, smakować ich przerażenie. Ponieważ jednak rządził w imieniu Losena, ludzie powinni obawiać się króla. Wczesny musiał trzymać się z boku.

Wkrótce po egzekucji posłał po Ogara. Omówili jakąś ważną sprawę, a wtedy stary szukacz zapytał:

– Słyszałeś kiedyś o wyspie Roke?

– Leży na południe i zachód od Kamery. Przez jakieś czterdzieści, pięćdziesiąt lat należała do władców z Wathort.

Choć rzadko opuszczał miasto, Wczesny szczycił się swą znajomością całego Archipelagu, zdobytą dzięki lekturze raportów marynarzy i oglądaniu wspaniałych, pradawnych map przechowywanych w pałacu. Studiował je nocami, zastanawiając się, gdzie i jak rozszerzyć swe imperium.

Ogar przytaknął, jakby w samej Roke interesowało go wyłącznie położenie.

– A co? – zaciekawił się Wczesny.

– Jedna ze staruch, które kazałeś torturować przed spaleniem... Kat powiedział, że mówiła o synu na Roke. Wzywała go, jakby miał moc, by przybyć tutaj.

– I co?

– To dość dziwne. Stara kobieta z wioski w głębi lądu nigdy nie widziała morza, a jednak wykrzykiwała nazwę innej wyspy.

Wczesny machnął ręką.

– Jej syn był pewnie rybakiem, opowiadał o swych podróżach.

Ogar pociągnął nosem, skinął głową i odszedł.

Tak naprawdę jednak Wczesny nigdy nie lekceważył żadnej drobnostki, o której wspomniał Ogar, gdyż często okazywało się, że w istocie nie jest to wcale drobnostka. Wiedział też, że stary szukacz zdaje sobie z tego sprawę, i nie znosił go za to. Nie znosił go także za jego nieugiętość. Nigdy nie wychwalał Ogara, wykorzystywał go możliwie jak najrzadziej, choć miał w nim użyteczne narzędzie.

Nazwę Roke zachował w pamięci i gdy znów ją usłyszał w tym samym kontekście, zrozumiał, iż Ogar jak zwykle trafił na właściwy trop.

Jeden z patroli Losena na południe od Omer schwytał troje dzieci – dwóch chłopców, piętnasto- i szesnastolatka, i dwunastoletnią dziewczynkę. Dzieci uciekały skradzioną łodzią rybacką napędzaną magicznym wiatrem. Patrol złapał je tylko dlatego, że miał własnego zaklinacza pogody, który przywołał falę, by zalała skradzioną łódź.

Gdy odstawili ich do Havnoru, jeden z chłopców załamał się i zaczął gadać o tym, że chce dołączyć do Dłoni. Na dźwięk tego słowa żołnierze oznajmili, że zostanie poddany torturom i spalony na stosie. Wówczas chłopiec wykrzyknął, że jeśli go oszczędzą, opowie im wszystko o Dłoni, Roke i wielkich magach z Roke.

– Sprowadźcie ich tutaj – polecił posłańcowi Wczesny.

– Dziewczyna odleciała, panie – odparł niechętnie żołnierz.

– Odleciała?

– Przybrała postać ptaka, podobno rybitwy. Nie spodziewali się tego po tak młodej dziewczynie. Zniknęła, nim się zorientowali.

– Sprowadźcie zatem chłopaków – rzekł Wczesny złowrogo.

Przyprowadzili mu jednego chłopca; drugi wyskoczył ze statku do Zatoki Havnorskiej i został zabity z kuszy. Więzień był do tego stopnia sparaliżowany strachem, że budził niesmak nawet u Wczesnego. Jak zdołałby przerazić kogoś, kogo strach dusi i oślepia? Rzucił na chłopca więżące zaklęcie utrzymujące go w pozycji stojącej i pozostawił tak nieruchomego niczym posąg na dzień i noc. Od czasu do czasu przemawiał do posągu. Mówił, że sprytny z niego chłopak, że byłby z niego dobry uczeń, może nawet popłynąłby na Roke, bo Wczesny także się tam wybiera na spotkanie z magami.

Gdy go uwolnił, chłopak próbował udawać, że wciąż jest z kamienia, nie chciał mówić. Wczesny musiał wniknąć do jego umysłu metodą, której nauczył się od Gelluka dawno temu, gdy Gelluk był jeszcze prawdziwym mistrzem magii. Dowiedział się wszystkiego, potem chłopak do niczego się już nie nadawał. Wczesny musiał się go pozbyć. Czuł się poniżony, bo ktoś tak głupi go przechytrzył. Dowiedział się tylko, że na Roke przebywa Dłoń i jest tam szkoła, w której uczą magii. Poznał też imię jednego człowieka.

Sam pomysł szkoły magii okropnie go rozśmieszył. Szkoła dla dzików! – pomyślał. Uczelnia dla smoków! Całkiem możliwe jednak, że na Roke zbierali się ludzie dysponujący mocą, a wizja związku, sojuszu czarnoksiężników wzbudziła w nim ogromny wewnętrzny sprzeciw. To nienaturalne. Mogło do tego dojść tylko dzięki jednemu – naciskowi dominującej woli, woli maga dość silnego, by utrzymać

na służbie nawet mocarnych czarnoksiężników. Oto wróg, którego tak bardzo potrzebował.

Słudzy poinformowali, że Ogar czeka przy drzwiach. Wczesny posłał po niego.

– Kim jest Rybołów? – spytał.

Z wiekiem Ogar – pomarszczony, z długim nosem i smutnymi oczami – stał się podobny do psa, od którego wziął imię. Pociągnął nosem, jakby chciał powiedzieć, że nie ma pojęcia, wiedział jednak, że nie zdoła okłamać Wczesnego. Westchnął.

– To Wydra – rzekł – ten sam, który zabił starą Białą Twarz.

– Gdzie się ukrywa?

– W ogóle się nie kryje. Wędrował po mieście, rozmawiał z ludźmi, odwiedził matkę w Skraju Drogi za górą. Teraz tam właśnie przebywa.

– Powinieneś był wspomnieć o tym od razu – rzekł Wczesny.

– Nie wiedziałem, że ci na nim zależy. Kiedyś go szukałem dawno, dawno temu. Przechytrzył mnie. – W głosie Ogara nie było słychać gniewu.

– Oszukał i zabił wielkiego maga, mojego mistrza. Jest niebezpieczny. Pragnę zemsty. Z kim rozmawiał? Chcę ich tu mieć. Potem zajmę się nim samym.

– Ze starymi kobietami w porcie, starym czarodziejem, swoją siostrą.

– Sprowadź ich tutaj. Weź moich ludzi.

Ogar pociągnął nosem, westchnął, skłonił się i wyszedł.

Lecz Wczesny niewiele zdołał wydobyć od ludzi, których sprowadzili mu jego żołnierze. Znów to samo: należeli do Dłoni, Dłoń to związek potężnych czarnoksiężników z Wyspy Morreda bądź Roke. Mężczyzna zwany Wydrą bądź Rybołowem przybywał właśnie stamtąd, choć pochodził z Havnoru i wszyscy darzyli go wielkim szacunkiem, mimo iż był tylko szukaczem. Jego siostra zniknęła – może powędrowali razem do Skraju Drogi, gdzie mieszkała ich matka? Wczesny grzebał w kolejnych zamglonych, tępych umysłach. Kazał torturować najmłodszych więźniów, a potem palić wszystkich na stosach, tak by Losen mógł ich oglądać z okna. Król potrzebował rozrywki.

Wszystko to zajęło ledwie dwa dni. Cały ten czas Wczesny spoglądał w stronę wioski Skraj Drogi. Wysłał tam najpierw Ogara wraz ze swą myślą. Gdy zorientował się już, gdzie przebywa Wydra, poleciał na orlich skrzydłach, potrafił bowiem znakomicie odmieniać swą postać. Był tak śmiały, że przybierał nawet postać smoka.

Wiedział, że w tym przypadku lepiej zachować ostrożność. Ów człowiek pokonał Tinarala, no i ta cała sprawa z Roke... Miał w sobie moc albo moc go otaczała. Trudno jednak było Wczesnemu lękać się zwykłego szukacza, który zadaje się z położnymi i inną hołotą. Nie potrafił zmusić się do podstępu. Wylądował w blasku słońca na nędznym rynku wioski, zmieniając w biegu szpony w ludzkie nogi i wielkie skrzydła w ręce.

Jakieś dziecko z wrzaskiem uciekło do matki. W pobliżu nie było nikogo innego. Wczesny odwrócił głowę, szybko, sztywno niczym orzeł. Czarnoksiężnik zawsze dostrzeże innego czarnoksiężnika. Wiedział, w którym domu ukrywa się jego ofiara. Podszedł bliżej i szeroko otworzył drzwi.

Siedzący przy stole szczupły, brązowoskóry mężczyzna uniósł głowę i spojrzał na niego.

Wczesny podniósł rękę, by rzucić zaklęcie więżące. Jego dłoń zastygła jednak w pół drogi, unieruchomiona.

A zatem pojedynek! Nareszcie godny przeciwnik. Wczesny cofnął się o krok, po czym z uśmiechem, powoli, lecz nieuchronnie podniósł obie ręce, rozkładając je szeroko. Tamten nie mógł go już powstrzymać.

Dom zniknął. Wczesny nie widział ścian, dachu, nikogo. Stał na piaszczystym ryneczku w porannym słońcu, unosząc ręce.

Rzecz jasna, było to tylko złudzenie. Na moment jednak go powstrzymało. Potem musiał odczynić zaklęcie, przywołując z powrotem dom, ściany i dach, otwarte drzwi za plecami, połysk światła odbijającego się od garnków, kamieni paleniska, stołu. Za stołem nie było już nikogo. Wróg zniknął.

Wówczas mag poczuł złość, ogromną wściekłość, niczym zgłodniały człowiek, któremu wyrwano z ręki jedzenie. Przywołał swego wroga, lecz nie znał jego prawdziwego imienia, toteż przywołanie pozostało bez odpowiedzi.

Wyszedł z domu, odwrócił się i rzucił zaklęcie ognia. Ściany i strzecha stanęły w płomieniach. Kobiety wybiegły na dwór z krzykiem. Bez wątpienia ukrywały się dotąd w innym pomieszczeniu. Nie zwracał na nie uwagi.

Ogar! – pomyślał. Wymówił słowa przywołania, używając prawdziwego imienia starego czarnoksiężnika, który przybył, tak jak musiał. Sprawiał wrażenie zirytowanego.

– Byłem w tawernie – rzekł – tu, blisko. Mogłeś wymówić moje imię użytkowe. I tak bym się zjawił.

Wczesny spojrzał na niego przelotnie. Usta Ogara zamknęły się i pozostały zamknięte.

– Będziesz mówił, kiedy ci pozwolę – rzekł mag. – Gdzie on jest?

Ogar skinął głową na północny wschód.

– Co tam leży?

Wczesny otworzył usta Ogara i dał mu dość głosu, by powiedział beznamiętnym martwym tonem:

– Samory.

– W jakiej ten człowiek jest postaci?

– Wydry – padła odpowiedź.

Wczesny roześmiał się głośno.

– Zaczekam na niego! – rzekł. Jego ludzkie nogi zamieniły się w żółte szpony, ręce w rozłożyste, pierzaste skrzydła. Orzeł wzleciał w górę i poszybował z wiatrem.

Ogar pociągnął nosem, westchnął i ruszył za nim, niechętnie biegnąc na przód. W wiosce ogień już przygasał, dzieci płakały, a kobiety wykrzykiwały przekleństwa w ślad za drapieżnym ptakiem.

***

W próbach czynienia dobra kryje się niebezpieczeństwo: umysł ludzki nie zawsze potrafi rozróżnić dobre zamiary od dobrze wykonanego zadania. Płynąca rzeką Yennawa wydra nie myślała o tych sprawach. Zajmowała ją jedynie szybkość, kierunek, słodki smak rzecznej wody, upajające uczucie towarzyszące pływaniu.

Wcześniej jednak, gdy Medra siedział za stołem w domu babki w Skraju Drogi, rozmawiając z matką i siostrą, podobne myśli przemknęły mu przez głowę tuż przedtem, nim otwarły się drzwi i na progu stanęła przerażająca, lśniąca postać.

Medra przybył do Havnoru przekonany, że ponieważ nie ma złych zamiarów, nie zrobi nic złego. Stało się jednak inaczej. Z jego powodu zginęli mężczyźni, kobiety, dzieci; zmarli w męczarniach, spaleni żywcem. Na śmiertelne niebezpieczeństwo naraził siostrę i matkę, siebie samego i Roke. Jeśli Wczesny (znał maga z budzących grozę pogłosek) schwyta go i wykorzysta tak jak innych, opróżniając mu umysł niczym otwarty worek, wszystkim na Roke zagrozi potęga czarnoksiężnika oraz armii i floty mu posłusznej. Medra zdradzi Roke Havnorowi tak jak czarnoksiężnik, którego imienia nigdy nie wymieniano, zdradził ją Wathortowi. Może ów człowiek także sądził, że nie robi nic złego?

Medra po raz kolejny zastanawiał się desperacko, jak opuścić Havnor natychmiast, niepostrzeżenie, gdy zjawił się czarnoksiężnik.

Teraz jako wydra myślał jedynie, że chciałby pozostać wydrą, być wydrą, na zawsze zamieszkać w słodkiej, brązowej wodzie żywej rzeki. Dla wydry nie istnieje śmierć, jedynie życie do samego końca. Lecz w smukłym, zręcznym zwierzęciu krył się umysł śmiertelnika i gdy strumień opłynął wzgórze na zachód od Samory, wydra wyszła z wody na błotnisty brzeg. Po chwili leżał tam skulony mężczyzna, wstrząsany dreszczami.

Dokąd teraz? Czemu tu przybył?

Działał bez namysłu; przyjął postać, która wydała mu się najnaturalniejsza. Umknął do rzeki jak wydra, płynął jak wydra, lecz tylko we własnej postaci mógł myśleć jak człowiek, ukryć się, działać jak człowiek, jak czarnoksiężnik, stawić czoło temu, który go ścigał.

Wiedział, że nie ma szans w starciu z Wczesnym. Powstrzymanie pierwszego zaklęcia więżącego wymagało użycia całej jego mocy, pozostały mu jedynie sztuczki, iluzja, zmiana postaci. Gdyby znów starł się z wrogiem, zginąłby, a wraz z nim Roke, Roke i jej dzieci. Jego ukochana Elehal i Woal, Kruk, Dory, wszyscy, fontanna na białym dziedzińcu, drzewo obok fontanny. Pozostałby tylko Gaj i zielony Pagórek, milczący, niewzruszony. Usłyszał słowa Elehal:

„Pomiędzy nami leży Havnor”. Usłyszał, jak mówi: „Wszystkie prawdziwe moce, Dawne Moce u swych korzeni są tym samym”.

Uniósł wzrok. Wzgórze nad strumieniem było tym samym wzgórzem, na które przybył owego dnia z Tinaralem, czując w sobie obecność Anieb. Zaledwie kilka kroków dzieliło go od blizny, szramy w ziemi, wciąż wyraźnej pod zielonym płaszczem trawy.

– Matko – rzekł, klęcząc – matko, otwórz się dla mnie.

Położył ręce na bruździe, nie wyczuł w nich jednak mocy.

– Wpuść mnie, matko – szepnął w mowie starej jak samo wzgórze. Ziemia zadrżała lekko i otworzyła się.

Usłyszał krzyk orła, wstał powoli i skoczył w ciemność.

Nadleciał orzeł, krążąc z krzykiem nad doliną, wzgórzem, wierzbami nad strumieniem. Krążył długo, szukając zdobyczy. Potem odleciał.

Po długim czasie późnym popołudniem w dolinie pojawił się stary Ogar. Od czasu do czasu przystawał, węsząc. W końcu usiadł na zboczu obok szramy w ziemi, by dać odpocząć znużonym nogom. Na zboczu dostrzegł okruchy świeżej ziemi, przygniecioną trawę. Pogładził ją, wyprostował, wreszcie wstał, napił się czystej brązowej wody pod wierzbami i ruszył doliną w stronę kopalni.

***

Medra ocknął się w mroku, w bólu. Ból pojawiał się i znikał. Ciemność trwała niezmiennie. Raz jeden pojaśniała nieco, przechodząc w półmrok. Ujrzał wtedy wiodące w dół zbocze i kamienny mur, za którym panowała czerń. Nie mógł jednak wstać i podejść do muru. Nagle ból z nową siłą zaatakował jego ramię, biodro i głowę. Potem wróciła ciemność, pustka.

Pragnienie, a z nim ból. Pragnienie i szum płynącej wody.

Próbował sobie przypomnieć, jak przywołuje się światło. Anieb prosiła błagalnie: „Wezwij światło, wezwij!”. Czołgał się w ciemności, aż w końcu szum wody przybrał na sile, a kamienne podłoże stało się wilgotne. Wówczas zaczął macać przed sobą. Trafił ręką na wodę.

Napił się i spróbował odpełznąć w bok. Było mu bardzo zimno. Jedna ręka bolała go, nie zostało w niej ani krzty siły; w głowie pulsował ból. Medra jęknął i zadrżał, próbując się skulić, ogrzać. W mroku nie było jednak ciepła ani światła.

Oddalił się nieco od miejsca, w którym leżał. Widział siebie, choć mroku nie rozjaśniał nawet najlżejszy blask. Leżał bezradnie, skulony obok strumyczka ściekającego z warstwy miki. Niedaleko spoczywała jeszcze jedna postać – długie włosy, kości okryte przegniłym czerwonym jedwabiem. Za nią grota rozszerzała się w ciemność. Widział, że kolejne komnaty i korytarze wiodą niezmiernie daleko, i patrzył na nie z tym samym obojętnym zainteresowaniem jak na ciało Tinarala i własne. Poczuł lekki żal. To sprawiedliwe, że zginie tutaj obok człowieka, którego zabił! Owszem, tak być powinno, lecz w głębi duszy czuł ból, nieznośny ból, który towarzyszył mu całe życie.

– Anieb – rzekł.

I nagle znów znalazł się w swoim ciele. Ręka, biodro i głowa bolały go bardzo, był słaby i oszołomiony w oślepiającej ciemności. Gdy się poruszył, jęknął, usiadł jednak. Muszę żyć, pomyślał. Muszę przypomnieć sobie, jak żyć, jak przywołać światło, jak pamiętać, pamiętać cienie liści.

Jak daleko sięga las?

Tak daleko jak myśl.

Uniósł wzrok, spoglądając w ciemność. Po chwili lekko poruszył zdrową ręką i wypłynęło z niej słabe światełko.

Daleko w górze wznosiło się sklepienie groty. Strużka wody ściekającej z mikowej półki połyskiwała w blasku magicznego światła.

Nie widział już komnat i korytarzy podziemnych jaskiń, oglądanych wcześniej obojętnym bezcielesnym okiem. Dostrzegał jedynie to, co ukazywało migotliwe światełko, tak jak wtedy gdy wędrował nocą z Anieb aż do jej śmierci. Z każdym krokiem zagłębiał się w ciemność.

Dźwignął się na kolana.

– Dziękuję, matko – szepnął.

Podniósł się z ziemi i zaraz upadł, głośno krzycząc z bólu. Po jakimś czasie znów spróbował, tym razem ustał. Ruszył naprzód.

Wędrówka przez grotę trwała długo. Wsunął zranioną rękę za pazuchę. Zdrową przyciskał do biodra, dzięki temu szło mu się łatwiej. Ściany po obu stronach zbliżyły się do siebie; był w tunelu, gdzie strop wisiał nisko, tuż nad głową. Po jednej ze ścian spływała woda, tworząc niewielkie kałuże wśród kamieni. Nie był to wspaniały pałac z wizji Tinarala, sala o wyniosłych kolumnach pokrytych mistycznymi runami. Medrę otaczała tylko ziemia, błoto, kamienie, woda. Panował chłód. Powietrze było nieruchome. Szmer strumyka został w tyle, cisza dzwoniła w uszach. Poza niewielkim kręgiem magicznego światła roztaczała się ciemność.

Medra zatrzymał się, pochylił głowę.

– Anieb, czy zdołasz przybyć aż tutaj? Nie znam drogi.

Odczekał chwilę. Widział jedynie ciemność, słyszał ciszę. Po chwili z wahaniem wszedł w tunel.

***

Wczesny nie miał pojęcia, jakim cudem Wydrze udało się przed nim uciec. Był jednak pewien dwóch rzeczy: że ma do czynienia ze znacznie potężniejszym magiem niż wszyscy, których dotąd spotkał, i że jego przeciwnik jak najszybciej wróci na Roke, gdzie znajduje się ośrodek jego mocy. Nie było sensu próbować dotrzeć tam przed nim; Wydra wyprzedził go już na starcie. Wczesny jednak mógł podążyć jego śladem, a gdyby własnych mocy nie starczyło, weźmie ze sobą potęgę, której nie oprze się żaden mag. Nawet Morred ugiął się w końcu – nie przed mocą wrogiego czarnoksiężnika, lecz olbrzymimi armiami wroga.

– Wasza wysokość wysyła swą flotę – poinformował Wczesny sparaliżowanego starca siedzącego na tronie w pałacu królów. – Wielki nieprzyjaciel gromadzi siły na południe stąd, na Morzu Najgłębszym. Wyruszamy, by go zniszczyć. Sto okrętów pożegluje z Wielkiego Portu i z Oheru, z Portu Południowego i lenna na Hosku.

Największa flota, jaką oglądał świat! Ja ich poprowadzę, a chwała przypadnie tobie – dodał ze śmiechem.

Losen patrzył na niego bez słowa, ogarnięty grozą, w końcu pojmując, kto jest tu panem, a kto sługą.

Czarnoksiężnik cieszył się wśród ludzi Losena tak wielkim posłuchem, że po zaledwie dwóch dniach ogromna flota wypłynęła z Havnoru. Po drodze dołączały do niej inne statki. Osiemdziesiąt okrętów przepłynęło obok Ark i Ilien, gnał je magiczny wiatr wiejący wprost ku Roke. Czasem Wczesny w białej jedwabnej szacie, z wysoką białą laską – rogiem morskiej bestii z najdalszej północy – stał na dziobie pierwszej galery, której setka wioseł błyskała w słońcu niczym skrzydła morskiego ptaka. Niekiedy przybierał postać mewy, orła bądź smoka i krążył nad flotą.

– Władca Smoków, Władca Smoków! – krzyczeli ludzie, gdy dostrzegali go na niebie.

Na Ilien zeszli na ląd po prowiant i wodę. Pośpiech sprawił, że nie zdążyli zgromadzić zapasów. Napadali zatem miasta na zachodnim brzegu Ilien, rabując to, czego potrzebowali. To samo czynili na Vissti i Kamery. Brali żywność, resztę palili. Potem wielka flota skręciła na zachód, zmierzając ku jedynemu portowi na Roke, zatoce Thwil. Wczesny dowiedział się o jej istnieniu z map przechowywanych w Havnorze. Wiedział, że nad portem wznosi się wysokie wzgórze. W pobliżu wyspy przybrał postać smoka i wzleciał wysoko w przestworza, wskazując drogę statkom, szukając wzrokiem owego wzgórza.

Gdy dostrzegł zieloną plamę nad zamglonym morzem, krzyknął głośno – żeglarze na statkach usłyszeli ryk smoka – i poleciał naprzód, nie czekając, aż podążą za nim.

Wszystkie pogłoski o Roke twierdziły, że wyspy bronią zaklęcia i uroki kryjące ją przed oczami z zewnątrz. Jeśli istotnie wzgórze bądź otwierającą się przed nim zatokę spowijały jakiekolwiek zaklęcia, dla Wczesnego były ulotne, przejrzyste. Nic nie przesłaniało mu oczu, nie rzucało wyzwania woli. Przeleciał nad zatoką, nad miasteczkiem i budowanym dużym domem na zboczu, zmierzając na szczyt wysokiego zielonego wzgórza. Tam wylądował, wyciągając szpony i łopocząc rdzawoczerwonymi smoczymi skrzydłami.

I zorientował się, że znów jest człowiekiem, choć nie zmienił swej postaci. Stanął bez ruchu, zaniepokojony, niepewny.

Wiał wiatr. Długa trawa kołysała się w jego powiewach. Lato dobiegało końca; trawa była już sucha, pożółkła, Wczesny nie dostrzegł wśród niej żadnych kwiatów oprócz białych, puszystych główek dmuchawców. Nagle ujrzał kobietę wspinającą się na zbocze poprzez morze trawy. Nie szła żadną ścieżką, lecz stąpała bez wysiłku.

Wydało mu się, że podniósł dłoń, by powstrzymać ją zaklęciem, nie zrobił tego jednak i podeszła. Zatrzymała się ledwie kilka długości ręki od niego.

– Powiedz mi swoje imię – rzekła, a on odparł:

– Teriel.

– Po co tu przybyłeś, Terielu?

– Aby was zniszczyć.

Kobieta w średnim wieku, o okrągłej twarzy, niska i silna, miała ślady siwizny we włosach. Ciemnymi oczami pod ciemnymi brwiami spoglądała wprost w jego oczy, więżąc go, zmuszając do mówienia prawdy.

– Zniszczyć nas? To wzgórze? Tamte drzewa? – Zerknęła na widoczny niedaleko zagajnik. – Może Segoy, który je stworzył, mógłby odwrócić swe dzieło. Może ziemia sama się zniszczy, może w końcu unicestwi się naszymi rękami, ale nie twoimi. Fałszywy królu, fałszywy smoku, fałszywy człowieku, nie przychodź na Pagórek Roke, póki nie poznasz ziemi, na której stoisz. – Zrobiła jeden gest ku ziemi. Potem odwróciła się i stąpając wśród traw, zeszła ze wzgórza tą samą drogą, którą przybyła.

Teraz widział, że wokół stoją inni ludzie, wielu ludzi. Mężczyźni, kobiety i dzieci, żywi i duchy umarłych, cały tłum. Przerażali go; skulił się, próbując rzucić zaklęcie, które ukryłoby go przed nimi.

Nie zrobił tego. Nie pozostała w nim nawet odrobina magii. Zniknęła, uciekła z niego, wsiąkła w to straszne wzgórze, w potworną ziemię pod stopami. Odeszła. Nie był już czarnoksiężnikiem, lecz człowiekiem jak inni, słabym i bezsilnym.

Wiedział o tym, wiedział z absolutną pewnością. Mimo to wciąż usiłował rzucić zaklęcie. Uniósł ręce w geście towarzyszącym

inkantacji, z wściekłością młócąc powietrze. Potem spojrzał na wschód, mrużąc oczy, wypatrując błysku słońca na wiosłach galery, żagli okrętów przybywających, by ukarać tych ludzi i go ocalić.

Ujrzał jednak tylko mgłę zasnuwającą morze poza ujściem zatoki. Na jego oczach zgęstniała i pociemniała, napływając kolejnymi falami.

***

Z obrotów ziemi ku słońcu biorą się dni i noce, lecz we wnętrzu ziemi dzień nigdy nie nastaje. Medra wędrował przez noc. Mocno kulał, nie zawsze był w stanie podtrzymać magiczne światło. Gdy zgasło na dobre, musiał się zatrzymać i przespać. Sen nie przypominał wcale śmierci, jak mu się kiedyś zdawało. Gdy się ocknął, wciąż był przemarznięty, obolały, spragniony. Kiedy tylko udało mu się zaświecić światełko, dźwignął się z ziemi i ruszył naprzód. Nie widział Anieb, wiedział jednak, że tu jest. Podążał za nią. Czasem mijał wielkie groty, czasem sadzawki nieruchomej wody. Trudno było naruszyć ich martwą powierzchnię, ale musiał coś pić. Miał wrażenie, że schodzi coraz głębiej i głębiej. Potem dotarł do najdłuższej sadzawki i gdy ją minął, korytarz zaczął się wznosić. Teraz czasami szła za nim Anieb. Powtarzał jej imię, ona jednak nie odpowiadała. Nie mógł wymówić innego imienia. Myślał o drzewach, korzeniach drzew. Oto królestwo u korzeni drzew. Jak daleko sięga las? Tak daleko, jak sięga las. Równie daleko jak życie, głęboko jak korzenie drzew. Tam dokąd liście rzucają swe cienie. Tu nie było cieni, jedynie ciemność. Szedł jednak naprzód i naprzód, póki w końcu nie ujrzał przed sobą Anieb. Dostrzegł błysk jej oczu, obłok kręconych włosów. Przez moment obejrzała się na niego, a potem odwróciła się i odbiegła długim zboczem w mrok.

W miejscu gdzie był, ciemność nie panowała już niepodzielnie. Na twarzy czuł lekki powiew. Daleko z przodu dostrzegł słabe światełko – naturalne, nie magiczne. Ruszył przed siebie. Od dawna

już się czołgał, wlokąc za sobą prawą nogę, która nie utrzymywała ciężaru ciała. Czuł zapach wieczornego wiatru, widział wieczorne niebo pomiędzy gałęziami i liśćmi drzew. Wygięty dębowy korzeń podtrzymywał wylot tunelu, wystarczająco wielki, by przepuścić człowieka bądź borsuka. Medra wyczołgał się z niego i legł pod korzeniem. Światło wokół gasło, pomiędzy liśćmi rozbłysły pierwsze gwiazdy.

Tam znalazł go Ogar – wiele mil od doliny, na zachód od Samory, na skraju wielkiej puszczy Faliern.

– Mam cię – rzekł, spoglądając na zabłocone, nieruchome ciało. – Za późno – dodał z żalem. Pochylił się, by sprawdzić, czy zdoła go podnieść albo powlec za sobą, i poczuł słabiutkie ciepło życia. – Twardy jesteś – mruknął. – Obudź się. No już, Wydro, zbudź się.

Medra rozpoznał Ogara, choć nie był w stanie usiąść i ledwie mógł mówić. Stary szukacz okrył go własną kurtką i poczęstował wodą z manierki. Potem przykucnął obok, oparty plecami o rozłożysty dębowy pień. Jakiś czas spoglądał w dal, w głąb lasu. Był późny ranek upalnego letniego dnia. Promienie słońca przenikały przez liście, przybierając tysiące odcieni zieleni. Wysoko na drzewie wiewiórka łajała natrętną sójkę. Ogar podrapał się po karku i westchnął.

– Czarnoksiężnik jak zwykle podąża złym śladem – rzekł w końcu. – Twierdził, że wróciłeś na Roke i że tam cię złapie. Nic nie mówiłem.

Spojrzał na mężczyznę, którego znał jedynie jako Wydrę.

– Zszedłeś w głąb ziemi, tam gdzie stary mag, prawda? Znalazłeś go?

Medra przytaknął.

– Ha! – Ogar zaśmiał się cicho, zgrzytliwie. – Zwykle znajdujesz to, czego szukasz, prawda? Jak ja. – Dostrzegł, że Wydra porusza się niespokojnie. – Zabiorę cię stąd. Sprowadzę wóz z wioski. Muszę tylko chwilę odsapnąć. Nie obawiaj się, nie martw. Nie ścigałem cię przez te wszystkie lata tylko po to, by cię oddać Wczesnemu, tak jak kiedyś Gellukowi. Było mi wtedy przykro. Zastanawiałem się nad tym, co ci mówiłem – że musimy trzymać się razem. I czemu pracujemy dla kogoś? Wtedy nie miałem wyboru, ale ponieważ źle ci

się przysłużyłem, pomyślałem, że jeśli spotkam cię kiedyś, postaram się to naprawić, jeśli zdołam. Jak to szukacz z szukaczem.

Wydra oddychał z trudem. Ogar na moment położył dłoń na jego ręce.

– Nie martw się – powiedział i wstał. – Odpoczywaj – dodał.

Znalazł wozaka, który zgodził się zawieść ich do Skraju Drogi. Matka i siostra Wydry zamieszkały tam u kuzynów na czas odbudowy spalonego domu. Powitały ich z radością i niedowierzaniem. Nie wiedząc o tym, że Ogara łączy cokolwiek z władcą i jego magiem, przyjęły go jak jednego ze swoich, dobrego człowieka, który odnalazł półżywego Wydrę w lesie i przywiózł do domu.

– To mądry człowiek – oznajmiła matka Wydry, Róża. – Bez dwóch zdań. Komuś takiemu daje się wszystko, co najlepsze.

Wydra powoli dochodził do siebie. Nastawiacz kości opatrzył mu złamaną rękę i strzaskane biodro; mądre niewiasty smarowały maściami skaleczenia po ostrych kamieniach na jego rękach, głowie i kolanach, matka przynosiła przysmaki z ogrodu i lasu, on jednak wciąż leżał słaby i wymizerowany, jak wówczas gdy znalazł go Ogar. Nie ma w sobie serca, orzekła mądra kobieta z wioski. Gdzieś je zagubił, pochłonięte przez strach, troski bądź wstyd.

– Gdzie zatem jest twe serce? – spytał Ogar.

Po długiej ciszy Wydra rzekł:

– Na Roke.

– Tam gdzie Wczesny pożeglował z wielką flotą? Rozumiem. Masz tam przyjaciół. Wiem, że jeden z tych statków wrócił. Spotkałem w tawernie członka załogi. Pójdę, popytam. Dowiem się, czy dotarli na Roke i co się tam stało. Na razie mogę tylko rzec, że stary Wczesny spóźnia się z powrotem. Hm, hm – mruknął, zadowolony z własnego żartu. – Wczesny się spóźnia – powtórzył i wstał. Spojrzał na chorego, mizernego Wydrę. – Odpoczywaj – dodał i odszedł.

Nie było go kilka dni. Gdy wrócił wozem zaprzężonym w konia, wyglądał tak, że siostra Wydry pobiegła do brata, krzycząc:

– Ogar musiał wygrać jakąś walkę albo zdobyć majątek! Jedzie miejskim wozem, z miejskim koniem, jak książę!

Wkrótce potem zjawił się sam Ogar.

– No cóż – rzekł. – Po pierwsze, gdy tylko dotarłem do miasta, udałem się do pałacu, by posłuchać nowinek. I co ja widzę? Widzę starego króla pirata stojącego na własnych nogach, wykrzykującego rozkazy jak dawniej! Stojącego! Od lat był sparaliżowany. A teraz stoi i wykrzykuje rozkazy! Niektórzy ludzie robili to, co kazał, inni nie. Wymknąłem się stamtąd – w pałacu takie sytuacje bywają niebezpieczne. Poszedłem do przyjaciół i spytałem, gdzie się podziewa Wczesny i czy flota dotarła już na Roke i wróciła. Wczesny? Zdziwili się. Nikt o nim nie słyszał. W mieście nie było po nim śladu. „Może ty mógłbyś go znaleźć?" – dodali w żartach. Hm. Wiedzą, jak go uwielbiam. A co do statków, niektóre wróciły. Marynarze twierdzą, że nie dotarli do Roke. W ogóle jej nie ujrzeli. Przepłynęli przez miejsce, na którym według morskich map powinna się znajdować, i nie było tam żadnej wyspy. Potem rozmawiałem z ludźmi z jednej z wielkich galer. Twierdzili, że w okolicy, gdzie powinna leżeć wyspa, wpłynęli w mgłę gęstą jak mokra szmata. Morze także zgęstniało, toteż wioślarze z trudem unosili wiosła. Tkwili tak w pułapce cały dzień i noc, a gdy się wydostali, na morzu nie pozostał żaden statek z wielkiej floty. Niewolnicy byli na granicy buntu, toteż kapitan jak najszybciej wrócił do domu. Kolejny statek, stara „Sztormowa Chmura", niegdyś flagowy okręt Losena, zawinęła do portu na moich oczach. Rozmawiałem z kilkoma marynarzami. Mówili, że w miejscu, gdzie winna leżeć Roke, znaleźli jedynie mgłę i rafy. Pożeglowali zatem dalej na południe wraz z siedmioma innymi okrętami i spotkali się z flotą z Wathortu. Może tamtejsi władcy usłyszeli, że zbliża się wielka armada, bo nie zadawali żadnych pytań. Wysłali ze swych statków magiczny ogień i rzucili się do abordażu. Ludzie, z którymi rozmawiałem, twierdzili, że z najwyższym trudem udało im się uciec, a i to nie wszystkim. Przez cały ten czas nie mieli wieści od Wczesnego. Nikt nie zaklinał pogody, chyba że mieli własnego magika na pokładzie. Wrócili zatem do domu, wlokąc się przez Morze Najgłębsze, niczym psy, które przegrały walkę. To mi powiedział marynarz ze „Sztormowej Chmury". Podobają ci się wieści?

Wydra z trudem powstrzymywał łzy. Ukrył twarz w dłoniach.

– Tak – rzekł w końcu. – Dziękuję.

– Tak też sądziłem. A co do króla Losena – dodał Ogar – kto wie... – Pociągnął nosem i westchnął. – Na jego miejscu bym się wycofał. Chyba sam tak zrobię.

Wydra zdołał się uspokoić. Otarł nos i oczy.

– To chyba dobry pomysł. Przybądź na Roke. Tam jest bezpieczniej.

– Wygląda na to, że trudno ją znaleźć – zauważył Ogar.

– Ja potrafię – rzekł Wydra.

Medra

Naszych drzwi strzeże człowiek stary,
co wpuszcza wedle własnej miary,
choć wielu przejść chce, rzadko kiedy
potrafią wkroczyć w Bramę Medry.
A woda płynie bystro w dal,
a woda płynie w dal.

Ogar został w Skraju Drogi. Mógł tam zarabiać na życie szukaniem. Poza tym spodobała mu się tawerna i gościnność matki Wydry.

Nim nastała jesień, gnijące ciało Losena zawisło do góry nogami na sznurze w oknie pałacu królów, a sześciu wodzów rozpoczęło walkę o jego królestwo. Okręty wielkiej floty ścigały się i polowały na siebie nawzajem na falach cieśnin i wzburzonego magią morza. „Nadzieja” jednak, kierowana rękami dwóch młodych czarodziejów z Dłoni, z Havnoru, przewiozła Medrę bezpiecznie przez Morze Najgłębsze aż na Roke.

W porcie czekała na niego Żar. Podszedł, wychudzony, kulejący, i ujął jej dłonie. Nie potrafił spojrzeć jej w twarz.

– Na mym sercu ciąży zbyt wiele śmierci, Elehal – rzekł.

– Chodź ze mną do Gaju – odparła.

Poszli tam razem i zostali aż do zimy. W następnym roku zbudowali sobie domek na brzegu strumienia Thwilburn wypływającego z Gaju. Mieszkali tam latem.

Pracowali i nauczali w Wielkim Domu. Widzieli, jak wyrasta – kamień po kamieniu, każdy z nich wzmocniony zaklęciami ochrony, trwałości, spokoju. Byli przy ustanawianiu reguły Roke, choć nie wszyscy przyjęli ją chętnie. Zawsze zdarzali się przeciwnicy. Magowie przybywali z innych wysp i powstawali z grona uczniów – kobiety i mężczyźni obdarzeni mocą, wiedzą i dumą, zaprzysiężeni zgodnie z regułą i gotowi do wspólnej pracy dla dobra innych. Każdy jednak inaczej spoglądał na świat.

Starzejąca się Elehal z coraz większym znużeniem przyjmowała problemy i namiętności szkoły. Coraz mocniej pociągały ją drzewa. Wędrowała wśród nich samotnie, daleko, jak sięga myśl. Medra stąpał u jej boku, nie docierał jednak równie daleko. Był przecież kulawy.

Po jej śmierci jakiś czas samotnie mieszkał w domku tuż przy Gaju.

Pewnego jesiennego dnia przybył do szkoły ścieżką biegnącą przez pola na Pagórek Roke. Wszedł tylnymi drzwiami. Pokonując sale i kamienne korytarze, dotarł do serca szkoły – marmurowego Podwórca Fontanny, na którym drzewo zasadzone przez Elehal wznosiło wysoko gałęzie czerwone od jagód.

Słysząc o jego przybyciu, na miejscu zjawili się nauczyciele z Roke – mężczyźni i kobiety uznani za mistrzów swych sztuk. Sam Medra był Mistrzem Szukania, póki nie odszedł do Gaju. Obecnie sztuki tej nauczała młoda kobieta, niegdyś jego uczennica.

– Długo się zastanawiałem – rzekł. – Jest was ośmioro. Dziewięć to lepsza liczba. Jeśli zechcecie, uznajcie mnie znów za mistrza.

– Co będziesz robił, mistrzu Rybołowie? – spytał Mistrz Przywołań, siwowłosy mag z Ilien.

– Pilnował drzwi – odparł Medra. – Jestem kulawy, toteż nie oddalę się zanadto. Jestem stary, toteż będę wiedział, co rzec do tych, którzy tu przybędą. Jestem szukaczem, toteż umiem odkryć, czy to dla nich właściwe miejsce.

– To rozwiązałoby wiele naszych problemów i bylibyśmy bezpieczniejsi – rzekła młoda Mistrzyni Szukania.

– Jak to zrobisz? – spytał Mistrz Przywołań.

– Spytam o ich imiona – odparł Medra z uśmiechem. – Jeśli mi je zdradzą, mogą wejść. A kiedy uznają, że nauczyli się już wszystkiego, mogą znów wyjść. Jeśli powiedzą mi moje imię.

Tak też się stało. Do końca życia Medra strzegł drzwi Wielkiego Domu na Roke. Tylne drzwi, wychodzące na wzgórze, długo jeszcze zwano Bramą Medry, nawet gdy w domu, z upływem stuleci, wiele się zmieniło. I wciąż Mistrz Odźwierny jest dziewiątym mistrzem z Roke.

W Skraju Drogi i wioskach wokół góry Onn na Havnorze prządki i tkaczki wciąż śpiewają zagadkę, której ostatni wers, być może, traktuje o mężczyźnie zwanym Medra, Wydra i Rybołów:

Trzech rzeczy nie ujrzy już ludzkie oko –
jasnej wyspy Solei w słońcu nad falami,
smoka, co w morzu pływa nad wodą głęboką,
ptaka, co w grobie fruwa pod ziemi zwałami.

2

Diament i Czarna Róża

Gdzie tylko pójdzie mój miły,
pójdę i ja,
gdziekolwiek łódź swą skieruje,
skręci łódź ma.

Będziemy śmiać się we dwoje
i ronić łzy.
A jeśli śmierć go zabierze,
odejdę z nim.

Gdzie tylko pójdzie mój miły,
pójdę i ja,
gdziekolwiek łódź swą skieruje,
skręci łódź ma.

piosenka rybaków z zachodniego Havnoru

Na zachodzie Havnoru, pośród wzgórz porośniętych gęstymi lasami dębów i kasztanów, leży miasto Polana. Niegdyś najbogatszym mieszkańcem miasta był kupiec Złoty. Należał do niego tartak produkujący deski do budowy statków w Porcie Południowym i Wielkim Porcie Havnor, należały największe gaje kasztanowe, a także wozy, którymi wozacy przewozili drewno i kasztany na drugą stronę wzgórz. Świetnie mu się wiodło.

Gdy na świat przyszedł jego syn, matka rzekła:

– Nazwijmy go Kasztan albo Dąb.

– Diament – odparł ojciec, bo wedle jego oceny tylko diamenty były cenniejsze niż złoto.

Mały Diament dorastał w najpiękniejszym domu Polany – tłuściutkie jasnookie niemowlę, wesoły rumiany chłopczyk. Miał słodki głos i wspaniały słuch, toteż matka, Tuly, nazywała go Słodkim Słowiczkiem albo Skowronkiem. Imię Diament nigdy jej się nie podobało. Chłopiec śpiewał i nucił bez ustanku, natychmiast zapamiętywał każdą zasłyszaną melodię, a kiedy brakło mu starych, wymyślał nowe. Matka poprosiła mądrą kobietę z wioski, Splot, by nauczyła go *Pieśni o stworzeniu Ea* i *Czynów Młodego Króla*. W dzień Powrotu Słońca zaśpiewał *Zimową kolędę* przed obliczem władcy Ziem Zachodnich, który odwiedzał właśnie swój majątek na wzgórzach ponad Polaną. Władca i jego żona wychwalali śpiew chłopca i podarowali mu małe złote puzderko z wprawionym w wieczko diamentem. Diament i jego matka uznali to za miły prezent, Złoty jednak niecierpliwie przyjmował śpiewy i drobne upominki.

– To wszystko błahostki – rzekł. – Jak będziesz duży, zajmiesz się ważniejszymi sprawami.

Diament sądził, że ojciec ma na myśli drwali, cieśli, tartak, gaje kasztanowe, zbieraczy, wozy, wozaków – robotę, pertraktacje, planowanie, skomplikowane problemy dorosłych. Nigdy nie czuł się z tym wszystkim związany, czy zatem mógł zaangażować się w to, tak jak pragnął ojciec? Może dowie się, gdy dorośnie.

W istocie jednak Złoty nie myślał wyłącznie o swych interesach. Zauważył w zachowaniu syna coś, co może nie kazało mu spoglądać wyżej, lecz od czasu do czasu zerkać w niebo i szybko przymykać powieki.

Z początku uważał, iż Diament ma niewielki talent, tak jak wiele dzieci, talent, który opuści go wkrótce; zbłąkaną iskierkę magii. Jako chłopiec Złoty potrafił sprawiać, że jego cień lśnił i migotał. Rodzina wychwalała go bez opamiętania i kazała popisywać się przed gośćmi. Potem, gdy skończył siedem czy może osiem lat, stracił tę umiejętność i nigdy nie zdołał powtórzyć swej popisowej sztuczki.

Kiedy ujrzał, jak Diament schodzi z piętra, nie dotykając schodów, uznał, że ma przywidzenia. Jednak w kilka dni później znowu zobaczył swe dziecko szybujące nad stopniami. Chłopiec zaledwie jednym palcem dotykał dębowej poręczy.

– Umiesz tak samo wchodzić? – spytał Złoty.

– O tak – odparł Diament. – Popatrz. – I uniósł się w górę, lekko niczym chmura niesiona południowym wiatrem.

– Skąd się tego nauczyłeś?

– Sam wymyśliłem – odparł chłopiec niepewny, czy nie rozgniewał ojca.

Złoty nie wychwalał syna, nie chcąc, by chłopak zdał sobie sprawę ze swojego daru i wbił się w dumę. W końcu talent mógł jeszcze zniknąć, podobnie jak słodki, wibrujący głos, a z samym śpiewem było już i tak dość zamieszania.

Jakiś rok później ujrzał Diamenta w ogrodzie na tyłach domu z towarzyszką zabaw, Różą. Dzieci przykucnęły na ziemi z pochylonymi głowami. Śmiały się. Było w nich coś niesamowitego, co sprawiło, że przystanął u okna. Dostrzegł podskakujący między nimi ciemny kształt. Żaba? Ropucha? Może wielki świerszcz? Wyszedł do ogrodu i zbliżył się tak cicho, że choć był rosłym mężczyzną, zaprzątnięte własnymi sprawami dzieci w ogóle go nie usłyszały. To coś, co podskakiwało na trawie między ich bosymi stopami, to był kamień. Wyskakiwał w powietrze, gdy Diament podnosił rękę. Kiedy chłopiec potrząsał dłonią, kamień zawisał bez ruchu. Na pstryknięcie palców opadał na ziemię.

– Teraz ty – powiedział Diament do Róży.

Dziewczynka zaczęła go naśladować, lecz kamyk jedynie drgnął lekko.

– Och! – westchnęła. – Twój tato.

– Bardzo sprytna sztuczka – zauważył Złoty.

– Di ją wymyślił – powiedziała Róża.

Złoty nie lubił tej małej. Była wygadana i zarazem nieśmiała, skromna i gwałtowna. Do tego była dziewczynką młodszą od Diamenta i córką czarownicy. Wolał, by syn bawił się z rówieśnikami, synami najlepszych rodzin z Polany. Tuly upierała się, by nazywać matkę Róży mądrą kobietą, ale czarownica to tylko

czarownica. Jej córka nie jest odpowiednią towarzyszką zabaw dla Diamenta. Irytowało go, że chłopiec uczy dziewczynkę magicznych sztuczek.

– Co jeszcze potrafisz, synu? – zapytał.

– Grać na flecie – odparł natychmiast chłopiec. Wyjął z kieszeni piszczałkę, którą matka podarowała mu na dwunaste urodziny. Jego palce zatańczyły i zagrał słodką, znaną melodię z zachodniego wybrzeża *Gdzie tylko pójdzie mój miły.*

– Bardzo ładnie – powiedział ojciec. – Ale każdy mógłby nauczyć się grać na flecie.

Diament spojrzał na Różę. Dziewczynka odwróciła głowę, spuszczając wzrok.

– Ja nauczyłem się bardzo szybko – rzekł.

Złoty mruknął bez przekonania.

– Mój flet gra sam – dodał chłopiec i odsunął piszczałkę od ust. Jego palce zatańczyły i flet odegrał krótki, żywy taniec. Od czasu do czasu dźwięk zabrzmiał fałszywie, a melodię zakończył przeszywający pisk. – Jeszcze nie do końca mi sie udaje – dodał Diament, zawstydzony i podenerwowany.

– Całkiem nieźle, całkiem nieźle – odparł ojciec. – Ćwicz dalej. – I odszedł.

Nie wiedział, co powinien rzec. Nie chciał zachęcać chłopca do poświęcania czasu na muzykę i zabawy z Różą; i tak marnował go już zbyt wiele, a ani jedno, ani drugie nie pomoże mu osiągnąć czegoś w życiu. Lecz ów dar, niezaprzeczalny dar – wiszący w powietrzu kamień, flet... Nie należy doszukiwać się w nim zbyt wiele, ale lepiej chłopca nie zniechęcać.

Według Złotego pieniądze dawały władzę, lecz nie była to jedyna władza. Istniały jeszcze inne jej rodzaje. Ściślej biorąc, dwa: jeden dorównujący sile pieniędzy, a drugi jeszcze potężniejszy. Pierwszy to urodzenie. Gdy władca Ziem Zachodnich zjawił się w swym majątku nieopodal Polany, Złoty chętnie oddał mu hołd. Władca urodził się, by rządzić i utrzymywać pokój, tak jak on przyszedł na świat, aby handlować i pomnażać swe bogactwa. Każdy z nich miał własne miejsce w świecie i każdy człowiek, zwykły szarak bądź szlachetnie urodzony, zasługiwał na szacunek, jeśli tylko dobrze spełniał swą

rolę. Istnieli też pomniejsi władcy, których Złoty mógł kupować i sprzedawać, pożyczać im pieniądze albo odmawiać pożyczki. Ci ludzie, choć szlachetnie urodzeni, nie zasługiwali na szacunek i hołd. Władza urodzenia i władza pieniędzy dorównywały sobie nawzajem. Na każdą z nich trzeba było sobie zasłużyć.

Oprócz bogatych i szlachty istnieli ludzie władający mocą – czarnoksiężnicy. Ich władza, choć rzadko po nią sięgali, była absolutna. W ich rękach spoczywał los Archipelagu od dawna pozbawionego króla.

Jeśli Diament przyszedł na świat z taką mocą, jeśli to był jego dar, wówczas wszystkie marzenia i plany ojca, który pragnął uczynić z niego swego następcę, wspólnie pomnażać majątek, dostarczać towary do Portu Południowego i wykupić lasy kasztanowe nad Reche – wszystkie te plany wydawały się niczym. Czy Diament mógłby – tak jak wuj jego matki – udać się do szkoły czarnoksiężników na wyspie Roke? Czy mógłby (tak jak tamten wuj) okryć rodzinę chwałą, zyskać władzę nad zwykłymi ludźmi i panami, zostać magiem na dworze regenta Wielkiego Portu Havnor? Pękający z dumy Złoty o mało sam nie wzleciał w powietrze nad schodami.

Nic jednak nie powiedział synowi ani jego matce. Z rozmysłem niewiele się odzywał, nie ufając wizjom, póki nie da się ich urzeczywistnić. Jego żona, choć kochająca i posłuszna, dobra matka i gospodyni, i tak zanadto rozpływała się nad uzdolnieniami i osiągnięciami chłopca. Poza tym jak wszystkie kobiety uwielbiała gadaninę i plotki, i nie potrafiła dobrać sobie przyjaciółek. Ta dziewczynka, Róża, kręciła się wokół Diamenta, ponieważ Tuly często zapraszała do siebie jej matkę, zasięgając rady za każdym razem, gdy Diament zadarł sobie paznokieć, i opowiadając zbyt wiele o gospodarstwie męża. Jego sprawy nie powinny obchodzić czarownicy. Z drugiej strony, Splot mogła stwierdzić, czy syn naprawdę ma talent, zdolności czarnoksięskie... Wzdrygnął się jednak na samą myśl, że miałby poprosić ją o opinię w jakiekolwiek kwestii, a co dopiero w kwestii własnego syna.

Postanowił patrzeć i czekać. Cierpliwy, obdarzony silną wolą, przez cztery lata trzymał się z boku, aż do szesnastych urodzin Diamenta. Rosły młodzieniec, dobrze radzący sobie z nauką i zabawą, wciąż

miał rumiane policzki i jasne oczy. Bardzo przeżył dzień, w którym zmienił mu się głos. Słodycz ustąpiła miejsca niskiej szorstkości. Złoty miał nadzieję, że dzięki temu problem śpiewu sam się rozwiąże, Diament jednak wciąż wałęsał się z wędrownymi muzykami, balladzistami i tym podobnymi, ucząc się coraz to nowych bzdur. Nie było to życie odpowiednie dla syna kupca, który kiedyś odziedziczy majątek, ziemię i tartaki ojca.

– Czas śpiewów dobiegł końca – oznajmił Złoty. – Synu, musisz stać się mężczyzną.

Diament otrzymał swe prawdziwe imię u źródeł Amii, ponad Polaną. Specjalnie na tę okazję do miasta przybył czarnoksiężnik Szalej z Portu Południowego, który kiedyś znał jego ciotecznego dziadka, maga. W rok później Szaleja zaproszono na przyjęcie w rocznicę nadania imienia, wielką zabawę z piwem i jedzeniem dla wszystkich, i nowymi ubraniami, koszulami bądź spódnicami dla okolicznych dzieci. Tak nakazywał stary zwyczaj. Na przyjęciu w ciepły jesienny wieczór odbywały się też tańce na miejskim błoniu. Diament miał wielu przyjaciół – wszystkich chłopców w swym wieku z całego miasta i wszystkie dziewczyny. Młodzi tańczyli, niektórzy przesadzili z piwem, lecz nie doszło do żadnych wybryków. W sumie był to wesoły, pamiętny wieczór. Następnego ranka Złoty ponownie rzekł synowi, że powinien myśleć o tym, jak zostać mężczyzną.

– Trochę się zastanawiałem – przyznał chłopiec niskim głosem.

– I...?

– No cóż... – zaczął Diament i umilkł.

– Zawsze liczyłem na to, że przejmiesz rodzinny majątek. – Złoty mówił obojętnym tonem. Diament nie odpowiedział. – Myślałeś nad tym, co chciałbyś robić?

– Czasami.

– Rozmawiałeś z panem Szalejem?

Diament się zawahał.

– Nie. – Spojrzał pytająco na ojca.

– Ja rozmawiałem z nim wczoraj wieczorem – powiedział Złoty. – Oznajmił, że istnieją naturalne talenty, które nie tylko trudno opanować, lecz ich zaniedbanie może okazać się niebezpieczne. Mówił, że trzeba poznać sztukę, ćwiczyć się w niej.

Twarz chłopca pojaśniała.

– Twierdził też jednak – ciągnął Złoty – że owa nauka i ćwiczenia nie mogą zmierzać do niczego innego poza samym poznaniem sztuki.

Diament przytaknął żarliwie.

– W przypadku prawdziwego daru, nie zwykłej, pospolitej zdolności, staje się to jeszcze ważniejsze. Napój miłosny czarownicy niewiele może zaszkodzić, lecz nawet wioskowy czarownik musi uważać, jeśli bowiem sztukę wykorzystuje do celów przyziemnych, osłabia ją i bruka. Oczywiście, nawet czarownik dostaje zapłatę, a czarnoksiężnicy, jak sam wiesz, żyją wśród panów i mają wszystko, czego zapragną.

Diament uważnie słuchał, lekko marszcząc brwi.

– Toteż mówiąc wprost, jeśli masz ten dar, Diamencie, nie przyda się on w handlu czy w tartaku. Trzeba pielęgnować go niezależnie. Poznać i opanować. Tylko wtedy nauczyciele mogą ci mówić, co z nim począć, na co przyda się tobie. Albo innym – dodał Złoty szybko.

Zapadła długa cisza.

– Powiedziałem mu – rzekł w końcu Złoty – że widziałem, jak ruchem ręki, jednym słowem zamieniasz drewnianą figurkę ptaka w prawdziwego ptaka, który wzleciał w powietrze i zaśpiewał. Widziałem, jak sprawiasz, że w powietrzu płonie światło. Nie zorientowałeś się, że cię obserwuję. Długi czas patrzyłem i milczałem. Nie chciałem przykładać zbytniej wagi do dziecięcych igraszek. Wierzę jednak, że masz talent, może nawet wielki talent. Gdy opowiedziałem o wszystkim panu Szalejowi, zgodził się ze mną. Mówi, że możesz pójść do niego na naukę, na rok, może dłużej.

– Miałbym się uczyć u mości Szaleja? – spytał Diament. Jego głos wzniósł się o pół oktawy.

– Jeśli zechcesz.

– Ja... nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Mogę o tym pomyśleć? Niedługo. Jeden dzień.

– Oczywiście. – Złotego ucieszyła ostrożność syna. Sądził, że Diament skwapliwie skorzysta z propozycji. Owszem, byłoby to

naturalne, ale i bolesne dla ojca, puchacza, który – być może – wychował w swym gnieździe orła.

Złoty bowiem spoglądał na sztukę magii z prawdziwą pokorą, jako na coś, co całkowicie wykracza poza jego pojmowanie – nie zwykłą zabawkę jak muzyka czy opowieści, lecz praktyczne zajęcie, któremu jego fach nie mógłby dorównać. I choć sam nie ująłby tego w ten sposób, bał się czarnoksiężników. Odrobinę gardził czarownikami, ich sztuczkami, iluzjami i napuszoną gadaniną, ale czarnoksiężników się bał.

– Czy matka wie? – spytał Diament.

– Dowie się, kiedy nadejdzie pora. Nie może wpłynąć na twoją decyzję, Diamencie. Kobiety nie znają się na tych sprawach. Sam musisz dokonać wyboru, jak mężczyzna. Rozumiesz?

Złoty mówił z zapałem, dostrzegając szansę oderwania chłopca od matki. Ona, jak to kobieta, będzie trzymać się go uporczywie, lecz syn jako mężczyzna powinien się uwolnić. Diament, co ucieszyło ojca, przytaknął z powagą, choć w jego oczach kryło się pytanie.

– Mości Szalej powiedział, że sądzi, iż być może, mam dar, talent do...?

Złoty zapewnił syna, że owszem, czarnoksiężnik dokładnie to powiedział, choć, oczywiście, przyszłość pokaże, co to za dar. Z niezwykłą ulgą przyjął skromność syna. Obawiał się w skrytości ducha, że Diament triumfalnie wywyższy się nad niego, przywołując własną nieoszacowaną moc – tajemną, niebezpieczną, niezwykłą moc, wobec której bogactwa, zdolności i godność kupca w ogóle się nie liczyły.

– Dziękuję, ojcze – powiedział chłopak.

Złoty uścisnął go i odszedł zadowolony.

***

Spotykali się wśród łozin nad Amią, nieopodal miejsca, gdzie rzeka mijała kuźnię. Gdy tylko Róża zjawiła się w umówionym zakątku, Diament rzekł:

– Ojciec chce, bym wstąpił na naukę do mości Szaleja.

– Masz się uczyć u czarnoksiężnika?

– Uważa, że mam wielki, olbrzymi talent. Magiczny.

– Kto?

– Ojciec. Widział, jak ćwiczyliśmy. Mówi, że Szalej twierdzi, iż powinienem uczyć się u niego, bo zaniechanie nauki byłoby niebezpieczne. Och! – Diament rąbnął się pięścią w czoło.

– Ale ty naprawdę masz talent.

Jęknął, rozcierając ręką głowę. Siedział na ziemi w ich starej kryjówce, niewielkiej chatce wśród wikliny. Słyszeli w niej szum płynącego po kamieniach strumienia i daleki brzęk kowalskiego młota. Dziewczyna usiadła naprzeciw Diamenta.

– Pomyśl o wszystkim, co potrafisz – rzekła. – Nie mógłbyś tego zrobić, gdybyś nie miał daru.

– To niewielki dar – odparł cicho. – Wystarcza tylko do zwykłych sztuczek.

– Skąd wiesz?

Róża miała bardzo ciemną skórę i ciasno skręcone włosy okalające skupioną, poważną twarz o wąskich ustach. Jej stopy, nogi i ręce były brudne, spódnica i kurtka obszarpane; ale palce u rąk i nóg delikatne i smukłe, a pod rozdartą, pozbawioną guzików bluzką połyskiwał ametystowy naszyjnik. Matka dziewczyny, Splot, nieźle zarabiała, lecząc i uzdrawiając, nastawiając kości i przyjmując porody, sprzedając zaklęcia odszukiwania, napoje miłosne i mikstury na sen. Stać ją było na nowe ubrania dla siebie i córki, na porządne buty. Nie przyszło jej nawet do głowy, że to potrzebne. Nie interesowało też jej prowadzenie gospodarstwa. Wraz z Różą żywiły się głównie gotowanymi kurami i smażonymi jajkami, bo często płacono jej drobiem. Na podwórzu ich dwuizbowej chaty kłębiło się stado kotów i kur. Czarownica lubiła koty, ropuchy i drogie kamienie. Ametystowy naszyjnik stanowił zapłatę za przyjęcie na świat syna głównego leśnika Złotego. Sama Splot nosiła na rękach niezliczone bransolety, które brzęczały i połyskiwały, kiedy niecierpliwym gestem rzucała zaklęcia. Czasami w ramionach tuliła kocię. Nie była czułą matką.

– Czemu mnie urodziłaś, skoroś mnie nie chciała? – spytała Róża, gdy skończyła siedem lat.

– Jak można pomagać przy porodach, jeśli samemu się tego nie przeżyło? – odparła matka.

– Zatem stanowiłam jedynie ćwiczenie?

– Wszystko jest ćwiczeniem – powiedziała Splot.

Nie była złą kobietą. Rzadko czyniła cokolwiek dla córki, lecz nigdy nie robiła jej krzywdy, nie upominała i dawała wszystko, o co dziewczynka poprosiła – obiad, własną ropuchę, ametystowy naszyjnik, lekcje czarów. Kupiłaby jej też nowe ubranie, gdyby Róża o nie poprosiła, ale córka w ogóle nie myślała o takich drobiazgach. Mała od wczesnego dzieciństwa przywykła do zajmowania się sobą. Był to jeden z powodów, dla których Diament ją kochał. Przy niej rozumiał, co to wolność; bez niej mógł ją poczuć, tylko gdy słyszał muzykę, grał i śpiewał.

– Naprawdę mam dar – powiedział teraz, pocierając ręką skronie i szarpiąc się za włosy.

– Przestań znęcać się nad swoją głową – upomniała go Róża.

– Wiem, że Smoła tak myśli.

– Oczywiście. Ale czemu obchodzi cię jego zdanie? Już w tej chwili grasz na harfie sto razy lepiej niż on!

To był kolejny powód, dla którego Diament ją kochał.

– Czy istnieją czarnoksiężnicy muzykanci? – spytał, unosząc wzrok.

Zastanowiła się chwilę.

– Nie wiem.

– Ja też nie. Morred i Elfarran śpiewali sobie pieśni, a on był magiem. Mam wrażenie, że na Roke żyje Mistrz Pieśni, uczący starych opowieści i ballad. Ale nigdy nie słyszałem o czarnoksiężniku, który zajmowałby się muzyką.

– Nie rozumiem, czemu miałoby to być niemożliwe.

Nigdy nie dostrzegała, czemu coś miałoby być niemożliwe. Także dlatego ją kochał.

– Zawsze zdawało mi się, że te dwie sztuki są do siebie podobne – rzekł. – Magia i muzyka. Zaklęcia i melodie. Trzeba powtarzać je dokładnie, bez najmniejszych błędów.

– Ćwiczyć – mruknęła kwaśno Róża.

Rzuciła kamykiem w Diamenta. Kamyk w powietrzu zamienił się w motyla. Chłopak pstryknięciem palców wyrzucił w górę drugiego motyla. Dwa owady trzepotały chwilę w powietrzu; potem kamyki spadły na ziemię. Diament i Róża wymyślili kilka innych wariantów starej sztuczki.

– Powinieneś pojechać, Di. Żeby się przekonać.

– Wiem.

– Pomyśl. Gdybyś został czarnoksiężnikiem, jak wiele mógłbyś mnie nauczyć odmiany postaci! Moglibyśmy stać się wszystkim. Końmi! Niedźwiedziami!

– Kretami – dodał Diament. – Szczerze mówiąc, mam ochotę ukryć się pod ziemią. Zawsze sądziłem, że gdy tylko otrzymam imię, ojciec każe mi się uczyć tego, co sam robi. Ale cały rok jakby stał na uboczu. Pewnie od początku o tym myślał. Co jednak, jeśli się tam udam i odkryję, że czary idą mi równie opornie jak prowadzenie ksiąg handlowych? Czemu nie mogę robić tego, co potrafię?

– A czemu nie miałbyś robić wszystkiego? Zająć się magią i muzyką? Rachmistrza możesz sobie wynająć.

W uśmiechu jej szczupła twarz promieniała. Małe usta rozszerzały się, oczy znikały w wąskich szparkach.

– Och, Czarna Różo – westchnął Diament. – Kocham cię.

– I dobrze. Inaczej bym cię zaczarowała.

Uklękli naprzeciw siebie twarzą w twarz, trzymając się za opuszczone ręce, i obsypali się pocałunkami. Pod ustami Róży twarz Diamenta była gładka i jędrna niczym śliwka. Nad górną wargą i wzdłuż szczęki dziewczyna wyczuła drobne ukłucia, w miejscu gdzie od niedawna zaczął się golić. Wargi Diamenta czuły miękkość jedwabiu, w jednym miejscu skażoną posmakiem ziemi – tam Róża potarła się brudną ręką. Przysunęli się nieco bliżej, tak że ich piersi i brzuchy się zetknęły, choć ręce wciąż zwisały u boków, i dalej się całowali.

– Czarna Różo – szepnął jej wprost do ucha. Tak nazywał ją w sekrecie.

Nie odpowiedziała, lecz odetchnęła mu w ucho ciepłym powietrzem. Jęknął. Jego dłonie zacisnęły się na palcach dziewczyny. Cofnął się. Ona także.

Z powrotem przysiedli na piętach.

– Och, Di – westchnęła. – Będę bardzo samotna, gdy odejdziesz.

– Nie odejdę – odparł. – Nigdzie. Nigdy.

***

Lecz oczywiście odszedł do Portu Południowego. Odjechał jednym z wozów ojca, prowadzonym przez wozaka, siedząc u boku mistrza Szaleja. Zwykli ludzie czynili to, co kazali czarnoksiężnicy, a wybór na ucznia to ogromny zaszczyt. Szalej, który zdobył laskę na Roke, przywykł, że chłopcy zjawiają się u niego, błagając, by poddał ich próbie i jeśli mają dar, zaczął nauczać. Ciekawił go ten chłopak. Pod maską wesołości i dobrego wychowania ukrywał wahanie bądź wątpliwości. To ojciec, nie syn uznał, że chłopak ma talent. Niezwykłe, choć może mniej niezwykłe wśród bogaczy niż pośród zwykłych ludzi. Tak czy inaczej zapłacono mu hojnie, złotem i kością. Gdyby chłopak rzeczywiście miał talent magiczny, Szalej go wyszkoli, jeśli zaś, jak podejrzewał czarnoksiężnik, to tylko dziecięce zdolności, odeśle go do domu wraz z resztą zapłaty. Szalej był uczciwym, solidnym, wypranym z poczucia humoru, zamkniętym w sobie czarnoksiężnikiem. Nie interesowały go uczucia ani ideały. Miał dar odszukiwania imion.

– Sztuka zaczyna się i kończy na imionach – mawiał i była to prawda, choć między początkiem a końcem kryje się niemało.

I tak Diament, miast uczyć się zaklęć, złudzeń i przemian oraz podobnych jarmarcznych sztuczek, jak nazywał je Szalej, siedział w wąskiej komnacie, na tyłach wąskiego domu czarnoksiężnika, przy wąskiej uliczce starego miasta, i wbijał do pamięci długie, bardzo długie spisy imion, słów mocy w Mowie Tworzenia: nazwy roślin i części roślin, zwierząt i części ich ciał, wysp i części wysp, części statków, części ludzkiego ciała. Słowa te nie miały sensu. Nie układały się w zdania. Były tylko spisami, długimi, jakże długimi spisami.

Jego myśli błądziły gdzieś w dali. „Rzęsa w Prawdziwej Mowie to *siasa*" – odczytał i poczuł, jak czyjeś rzęsy muskają mu policzek w motylim pocałunku. Długie ciemne rzęsy. Zdumiony uniósł wzrok, nie wiedząc, co go dotknęło. Później, gdy próbował powtórzyć to słowo, nie potrafił.

– Ćwicz pamięć, ćwicz pamięć – upominał go Szalej. – Talent na nic się nie zda bez pamięci.

Nie był surowy, lecz nieustępliwy. Diament nie wiedział, co czarnoksiężnik o nim myśli. Przypuszczał, że nie ocenia go zbyt wysoko. Czasami mag zabierał go ze sobą do pracy. Zwykle rzucał zaklęcia ochronne na statki i domy. Oczyszczał też studnie i zasiadał w radzie miasta. Rzadko się odzywał, lecz zawsze uważnie słuchał. Pewien czarownik, niekształcony na Roke, lecz dysponujący darem uzdrawiania, opiekował się chorymi i umierającymi w Porcie Południowym. Szalej chętnie oddał mu to brzemię. Największą radość sprawiały mu badania i według Diamenta, nie czynił żadnej magii.

– Należy utrzymać Wielką Równowagę. Na tym to wszystko polega – mówił Szalej. – Wiedza, porządek, władza.

Te słowa powtarzał tak często, że ich melodia zapisała się w głowie Diamenta. Słyszał ją nieustannie: „Wie-dza, po-rząądek i właaaaadza...".

Gdy Diament podkładał pod spisy imion wymyślone przez siebie melodie, uczył się znacznie szybciej. Wówczas jednak melodia stawała się częścią imienia i wyśpiewywał je tak wyraźne – jego głos bowiem zyskał już męską barwę, przeradzając się w mocny, aksamitny tenor – że czarnoksiężnik wzdrygał się zaskoczony. W domu Szaleja zwykle panowała cisza.

Uczeń powinien był jak najwięcej przebywać ze swym mistrzem, przeglądać spisy imion w pokoju, gdzie mag przechowywał Księgi Wiedzy, albo spać. Szalej był wyznawcą zasady chodzenia spać z kurami i wstawania o świcie. Od czasu do czasu Diament miewał jednak wolną godzinę czy dwie. Wówczas zawsze schodził do portu i siadał na nabrzeżu bądź kamiennym murku, rozmyślając o Czarnej Róży. Gdy tylko oddalał się od domu i mistrza Szaleja, zaczynał myśleć o Czarnej Róży, tylko o niej. To go zdumiewało. Sądził, że

będzie tęsknił za domem, za matką. I rzeczywiście, często ją wspominał, leżąc na łóżku w pozbawionym wszelkich sprzętów wąskim pokoiku, po skromnym posiłku złożonym z miski zimnej zupy fasolowej – albowiem przynajmniej ten czarnoksiężnik nie żył wcale w luksusie, wbrew wyobrażeniom Złotego. Nocami Diament nigdy nie rozmyślał o Czarnej Róży. Myślał o matce, o słonecznych pokojach i gorącej strawie; innym razem w jego głowie rozbrzmiewała melodia i powtarzał ją w myślach, odgrywał na harfie, odpływając w sen. Czarna Róża zjawiała się w jego umyśle, tylko gdy siadał w porcie, spoglądając z brzegu w wodę, obserwując pomosty i łodzie rybackie; tylko gdy przebywał na dworze, daleko od Szaleja i jego domu.

Rozkoszował się zatem wolnymi godzinami, jakby były to prawdziwe spotkania z dziewczyną. Zawsze ją kochał, lecz nie zdawał sobie sprawy z ogromnej siły tego uczucia. Kiedy z nią przebywał, nawet gdy siedział w porcie, myśląc o niej, naprawdę żył. Nigdy nie czuł się do końca żywy w domu mistrza Szaleja, w jego obecności. Miał wrażenie, że jego część umiera. Drobna, lecz ważna część.

Nieraz siedząc na kamiennych stopniach wiodących do brudnej wody, wśród pisków mew i wrzasków portowych robotników, co tworzyło przykry, fałszywy akompaniament, Diament zamykał oczy i widział swą ukochaną tak blisko, wyraźnie, że wyciągał rękę, by jej dotknąć. Jeśli czynił to wyłącznie w myślach, jak wówczas gdy w wyobraźni grał na harfie, rzeczywiście jej dotykał. Czuł jej dłoń w swojej dłoni, wargami muskał ciepły, a jednocześnie chłodny policzek, gładź jedwabiu pokrytą warstewką brudu. W myślach przemawiał do niej, a ona odpowiadała. Głosem niskim, zmysłowym wymawiała jedno słowo: Diament...

Gdy jednak ruszał z powrotem ulicami Portu Południowego, tracił ją. Przysięgał sobie, że ją zatrzyma, będzie o niej myślał jeszcze tej samej nocy, lecz jej obraz gdzieś znikał. I kiedy Diament otwierał drzwi domu mistrza Szaleja, powtarzał już w duchu spisy imion albo zastanawiał się, co będzie na obiad, bo ostatnio był stale głodny. Dopiero gdy udało mu się wyrwać na godzinę i pobiec do portu, znów zaczynał o niej rozmyślać.

Stopniowo uznał, że owe godziny to ich prawdziwe spotkania. Żył tylko dla nich, nie wiedząc, czego pragnie, póki jego stopy nie znalazły się na bruku, oczy nie spojrzały w morze i widoczną nad nim odległą linię horyzontu. Wtedy przypominał sobie to, co warto pamiętać.

Minęła zima, nastała wczesna chłodna wiosna, która wkrótce pocieplała. Wraz z nią do miasta przybył list od matki, przywieziony przez wozaka. Diament przeczytał go i zaniósł do Szaleja.

– Matka pyta, czy tego lata mógłbym spędzić miesiąc w domu.

– Prawdopodobnie nie. – Mag wyglądał, jakby dopiero teraz dostrzegł Diamenta. Powoli odłożył pióro. – Młody człowieku, muszę spytać, czy pragniesz nadal uczyć się ode mnie.

Diament nie miał pojęcia, co rzec. Nawet nie przyszło mu na myśl, że decyzja należy do niego.

– Sądzisz, że powinienem? – spytał w końcu.

– Prawdopodobnie nie – odparł czarnoksiężnik.

Diament oczekiwał ulgi, radości, odkrył jednak, iż czuje się odrzucony, zawstydzony.

– Przykro mi – rzekł odrobinę sztywno, z godnością.

Szalej zerknął na niego.

– Mógłbyś popłynąć na Roke – dodał.

– Na Roke?

Oszołomienie widoczne w oczach chłopca rozdrażniło Szaleja, choć wiedział, że nie powinno. Czarnoksiężnicy przywykli do nadmiernej pewności siebie ich młodzieży. Oczekują, że czas skromności nadejdzie później, o ile w ogóle nastanie.

– Powiedziałem: na Roke. – Ton głosu Szaleja jasno świadczył o tym, iż czarnoksiężnik nie przywykł, by musieć się powtarzać. A potem, ponieważ ten chłopak, miękki, rozpieszczony marzyciel, dzięki swej ogromnej cierpliwości stał mu się drogi, pożałował go i dodał: – Powinieneś albo popłynąć na Roke, albo też znaleźć czarnoksiężnika, który nauczy cię tego, czego trzeba. Oczywiście potrzebujesz też tego, czego ja mogę cię nauczyć. Potrzebujesz imion. Sztuka magiczna zaczyna się i kończy na imionach. Ale to nie twój dar. Masz kiepską pamięć do słów. Musisz szkolić ją wytrwale, nie brak ci jednak zdolności wymagających pielęgnacji i dyscypliny.

Ktoś inny może zapewnić ci je lepiej ode mnie. – Czasami skromność rodzi skromność, nawet w najmniej spodziewanych miejscach. – Gdybyś miał popłynąć na Roke, dam ci list polecający cię szczególnej uwadze Mistrza Przywołań.

Diament był jak ogłuszony. Wiedział, że sztuka przywołań to chyba najbardziej tajemnicza i niebezpieczna ze wszystkich sztuk magicznych.

– Może się mylę – ciągnął Szalej sucho, beznamiętnie. – Może masz talent do wzorów albo zwykły dar odmiany i transformacji. Nie jestem pewien.

– Ale ty... ja naprawdę...?

– O tak. Nie popisałeś się bystrością, młodzieńcze. Już dawno powinieneś był odkryć w sobie zdolności.

Słowa te zabrzmiały szorstko. Diament aż się najeżył.

– Sądziłem, że mam dar do muzyki.

Szalej lekceważąco machnął ręką.

– Mówię o prawdziwej sztuce. I powiem szczerze, radzę, byś napisał do rodziców, ja zresztą też do nich napiszę, i poinformował ich o swej decyzji wyjazdu do szkoły na Roke, jeśli tak właśnie zdecydujesz, bądź też do Wielkiego Portu, jeżeli mag Spokojny zechce cię przyjąć, a myślę, że zechce, jeśli mu cię polecę. Lepiej jednak, byś nie odwiedzał domu. Więzy rodzinne, przyjaciele i tak dalej. Musisz się od tego uwolnić. Teraz i na zawsze.

– Czyż czarnoksiężnicy nie mają rodzin?

Szalej z radością dostrzegł w chłopcu iskrę buntu.

– Są rodziną dla siebie nawzajem – rzekł.

– Ani przyjaciół?

– Mogą mieć przyjaciół. Czyż twierdziłem kiedyś, że to łatwe życie? – Nastała cisza. Szalej spojrzał wprost na Diamenta. – Była dziewczyna, prawda?

Diament przez chwilę patrzył mu prosto w oczy, potem spuścił wzrok. Milczał.

– Powiedział mi twój ojciec. Córka czarownicy, towarzyszka dziecięcych zabaw. Ojciec twierdził, że uczyłeś ją zaklęć.

– To ona mnie uczyła.

Czarnoksiężnik skinął głową.

– Wśród dzieci to całkiem zrozumiałe. A teraz zupełnie niemożliwe. Rozumiesz?

– Nie – odrzekł Diament.

– Usiądź – polecił Szalej. Diament zajął miejsce na twardym krześle z wysokim oparciem. – Mogę cię tu chronić. I czyniłem tak. Rzecz jasna na Roke będziesz zupełnie bezpieczny. Tamtejsze mury... Jeśli jednak wrócisz do domu, musisz chcieć chronić samego siebie. To dla młodego człowieka trudne, bardzo trudne. Próba woli, która jeszcze nie okrzepła, umysłu, który jeszcze nie dostrzegł, do jakiego zmierza celu. Ze szczerego serca radzę, nie podejmuj tego ryzyka. Napisz do rodziców i udaj się do Wielkiego Portu bądź na Roke. Połowa rocznej opłaty, którą ci zwrócę, wystarczy do pokrycia pierwszych wydatków.

Diament siedział sztywno, nieruchomo. Ostatnio stał się rosły i krzepki jak ojciec, wyglądał już jak mężczyzna.

– Co masz na myśli, mistrzu, mówiąc, że mnie tu chroniłeś?

– Tak jak chronię samego siebie – odparł czarnoksiężnik. Po chwili rzekł z irytacją: – Taki jest układ, chłopcze. Wyrzekamy się pewnej mocy, by uzyskać inną, większą. Odrzucamy niskie cielesne żądze. Z pewnością wiesz, że każdy prawdziwy mag żyje w celibacie...

Zapadła długa cisza.

– A zatem dopilnowałeś, bym... bym...

– To mój obowiązek jako twojego nauczyciela.

Diament skinął głową.

– Dziękuję – rzekł, po czym wstał. – Przepraszam, mistrzu. Muszę pomyśleć.

– Dokąd idziesz?

– Do portu.

– Lepiej zostań tutaj.

– Tu nie mogę myśleć.

W tym momencie Szalej powinien był się zorientować, z czym ma do czynienia, ale tak czy inaczej nie mógłby chłopcu nic nakazać, bo już powiedział, że nie będzie dłużej jego mistrzem.

– Masz prawdziwy dar, Essiri – powiedział, używając imienia, które sam nadał chłopcu u źródeł Amii. W Dawnej Mowie słowo to znaczy Wierzba. – Nie do końca go rozumiem. Myślę, że ty w ogóle go nie

pojmujesz. Uważaj! Złe wykorzystanie daru lub jego odrzucenie może spowodować ogromną stratę, wielkie zło.

Diament skinął głową – cierpiący, zgodny, potulny, niewzruszony.

– Idź – rzekł czarnoksiężnik i chłopak poszedł.

Później mag zrozumiał, że nie powinien był pozwalać chłopcu na wyjście z domu. Nie docenił siły woli Diamenta, mocy zaklęć, które rzuciła na niego dziewczyna. Ich rozmowa miała miejsce rankiem. Szalej wrócił do starożytnej księgi sztuk magicznych, nad którą pracował. W porze kolacji przypomniał sobie o uczniu i dopiero gdy zjadł ją samotnie, przyznał, że Diament uciekł.

Szalej nie znosił niższych form magii. Nie rzucił zaklęcia odnajdującego, co uczyniłby każdy czarownik. Nie wezwał też Diamenta. Był zły i może poczuł się urażony. Ciepło myślał o chłopcu, zaproponował, że poleci go Mistrzowi Przywołań, a jednak, podczas pierwszej próby, Diament się złamał.

– Jak szkiełko – mruknął czarnoksiężnik. Przynajmniej słabość ta dowiodła, że nie jest groźny. Niektórym ludziom nie powinno się pozwalać krążyć na swobodzie, jednak w tym młodzieńcu nie było nic złego, ani krzty niebezpieczeństwa czy ambicji. – Kompletnie bez kręgosłupa – powiedział Szalej w pogrążonym w ciszy domu. – Niech sobie wraca do domu, do matki.

Złościło go jednak, że Diament tak bardzo go zawiódł. Że odszedł bez słowa przeprosin bądź podziękowania.

Też mi dobre wychowanie, pomyślał.

***

Córka czarownicy zdmuchnęła lampę i położyła się do łóżka. Nagle usłyszała krzyk sowy, odległe melodyjne hu-hu-hu-hu, które sprawiało, że ludzie nazywali te ptaki roześmianymi sówkami, i dźwięk ten wzbudził żal w jej sercu. To był ich sygnał, gdy letnimi nocami wymykali się z domów w gąszcz łozin na brzegu Amii. Nie chciała o nim myśleć, nie nocą. Zimą co noc posyłała do niego swoje myśli. Nauczyła się zaklęcia matki, wiedziała, że działało. Posyłała

mu swój dotyk, głos wymawiający raz po raz jego imię. Zawsze jednak natykała się na mur powietrza i milczenia. Niczego nie dotykała. Nie słyszał jej.

Za dnia kilka razy odnosiła wrażenie, że jego myśli krążą gdzieś blisko. Gdyby wyciągnęła rękę, mogłaby go dotknąć. Nocą jednak dręczyła ją samotność, poczucie odrzucenia. Wiele miesięcy temu przestała próbować do Diamenta dotrzeć, wciąż jednak jej serce ściskało się z bólu.

– Hu-hu-hu – zahukała sowa pod oknem, a potem zawołała: – Czarna Różo!

Zdumiona dziewczyna wyskoczyła z łóżka i otworzyła okiennicę.

– Wyjdź na dwór – szepnął Diament, mroczna sylwetka w blasku gwiazd.

– Matki nie ma. Wejdź do środka.

Spotkała go na progu.

Długi czas obejmowali się mocno, w milczeniu. Diament miał wrażenie, jakby trzymał w ramionach swą przyszłość, całe swoje życie.

W końcu dziewczyna poruszyła się i ucałowała go w policzek.

– Tęskniłam – szepnęła. – Tak bardzo za tobą tęskniłam. Jak długo możesz zostać?

– Jak długo zechcę.

Nie wypuszczając jego dłoni, poprowadziła Diamenta do środka. Zawsze niechętnie wchodził do domu czarownicy, w chaos ostrych zapachów, tajemnic, czarów i kobiecości, jakże odmienny od wygodnej domowej siedziby czy surowych pokojów czarnoksiężnika. Stojąc na środku, głową niemal sięgał pęków ziół wiszących u powały. Drżał niczym koń. Był napięty i znużony – w ciągu szesnastu godzin pokonał odległość czterdziestu mil, nie zatrzymując się nawet, by coś zjeść.

– Gdzie twoja matka? – spytał szeptem.

– Nie wróci przed rankiem. Czuwa przy starej Paproci, która dziś umarła. Skąd się tu wziąłeś?

– Przyszedłem.

– Czarnoksiężnik cię wypuścił?

– Uciekłem.

– Uciekłeś? Dlaczego?

– Żeby cię nie stracić.

Spojrzał na nią, na ową żywą ciemną twarz pod obłokiem splątanych włosów. Róża miała na sobie jedynie koszulę i dostrzegł pod nią delikatne wzgórki miękkich piersi. Ponownie przyciągnął ją do siebie. Choć objęła go, wkrótce cofnęła się i zmarszczyła brwi.

– Żeby mnie nie stracić? – powtórzyła. – Nie przejmowałeś się tym całą zimę. Czemu teraz wróciłeś?

– Chciał, żebym popłynął na Roke.

– Na Roke? – Spojrzała na niego ze zdumieniem – Na Roke, Di? Zatem naprawdę masz talent? Możesz zostać czarownikiem?

Czyżby trzymała stronę Szaleja?

– Czarownicy są dla niego niczym. Uważa, że mogę zostać czarnoksiężnikiem. Zajmować się magią, nie zwykłymi czarami.

– Rozumiem – mruknęła po chwili Róża. – Ale w takim razie czemu uciekłeś?

Nie trzymali się już za ręce.

– Nie wiesz? – Irytowało go, że Róża nic nie pojmuje, bo on sam też wcześniej niczego nie dostrzegał. – Czarnoksiężnik nie może zadawać się z kobietami. Z czarownicami. Mieć z nimi cokolwiek wspólnego.

– Wiem przecież. To ich niegodne.

– Nie tylko.

– Ależ tak. Założę się, że musiałeś zapomnieć wszystkie zaklęcia, których cię nauczyłam. Prawda?

– To nie to samo.

– Nie. To nie Wielka Sztuka, Prawdziwa Mowa. Czarnoksiężnik nie może kalać sobie ust zwykłymi słowami. „Słabe jak kobiece czary, złośliwe jak kobiece czary”. Myślisz, że nie wiem, co mówią ludzie? Czemu zatem wróciłeś?

– Żeby cię zobaczyć.

– Po co?

– A jak sądzisz?

– Nigdy nie posyłałeś do mnie swoich myśli, nie pozwalałeś mi dotrzeć do siebie. Stale cię nie było. Miałam czekać, póki nie znudzi

cię zabawa w maga? Zmęczyło mnie czekanie. – Jej ledwie słyszalny głos zabrzmiał dziwnie ochryple.

– Z kimś się spotykasz – rzekł Diament z niedowierzaniem. Jak mogła tak go zdradzić? – Kto to?

– Nie twoja sprawa! Odchodzisz, odwracasz się do mnie plecami. Czarnoksiężnicy nie zadają się z takimi jak ja, jak moja matka. Nie obchodzi ich, co robimy. Cóż, mnie także nie obchodzi, co robisz. Idź stąd.

Diament, głodny, zrozpaczony, niezrozumiany, wyciągnął ręce, pragnąc znów ją przytulić, sprawić, by ich ciała zrozumiały się jak kiedyś, powtórzyć ów pierwszy mocny uścisk, w którym zawarły się wszystkie lata ich życia. Nagle odkrył, że stoi krok dalej, mrugając oślepionymi oczami. W uszach mu dzwoniło, ręce piekły boleśnie. W oczach Róży płonęła błyskawica, z zaciśniętych dłoni strzelały iskry.

– Nigdy więcej tego nie rób – szepnęła.

– Nie ma obaw – odparł Diament. Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Łodyżka suszonej szałwii wplątała mu się we włosy i uniósł ją ze sobą.

***

Tę noc spędził w starej kryjówce wśród łozin. Miał nadzieję, że może zjawi się Róża, ale nie przyszła. Wkrótce pokonało go zmęczenie i zasnął. Ocknął się o pierwszym chłodnym brzasku. Usiadł na ziemi i zaczął rozmyślać. Przyjrzał się swemu życiu w owym zimnym świetle. Wyglądało inaczej, niż dotąd sądził. Podszedł do strumienia, w którym nadano mu imię. Napił się wody, umył twarz i ręce, poprawił ubranie i ruszył przez miasto do pięknego domu przy głównej ulicy, domu ojca.

Po pierwszych uściskach i okrzykach radości służący i matka posadzili go za stołem. Po śniadaniu, z brzuchem pełnym ciepłej strawy i lodowatą odwagą w sercu stanął przed ojcem, który wyszedł

wcześnie rano, by wyprawić wozaków do Wielkiego Portu, i dopiero teraz wrócił.

Objęli się.

– I cóż, synu? Mości Szalej pozwolił ci nas odwiedzić?

– Nie, ojcze. Odszedłem.

Złoty zastygł w bezruchu. Po chwili przysunął sobie talerz i usiadł.

– Odszedłeś – powtórzył.

– Tak, ojcze. Uznałem, że nie chcę być czarnoksiężnikiem.

– Hm – mruknął Złoty, przełykając kolejny kęs. – Odszedłeś z własnej woli? Za zgodą mistrza?

– Z własnej woli. Bez jego zgody.

Złoty powoli żuł kawałek mięsa, wbijając wzrok w blat. Diament widywał już podobną minę u ojca – raz, gdy leśnik doniósł o groźnej chorobie atakującej kasztanowe gaje, i drugi, gdy kupiec odkrył, że handlarz mułów go oszukał.

– Chciał, abym popłynął do szkoły na Roke i wstąpił na naukę do Mistrza Przywołań. Zamierzał mnie tam wysłać. Postanowiłem, że nie popłynę.

Po dłuższej chwili, wciąż nie podnosząc wzroku, ojciec spytał:

– Czemu?

– Nie tego pragnę w życiu.

I znów milczeli. Złoty zerknął na żonę, która stała przy oknie, wsłuchana w każde słowo. Potem przeniósł wzrok na syna. Powoli gniew, zawód i zmieszanie na jego twarzy ustąpiły czemuś znacznie prostszemu, błogiemu zadowoleniu. Zdawało się, że lada moment mrugnie porozumiewawczo.

– Rozumiem – rzekł. – Czego zatem pragniesz?

Cisza.

– Tego – odparł Diament spokojnie, nie patrząc na rodziców.

– Ha! – wykrzyknął Złoty. – Nie ukrywam, że cieszę się, synu. – Jednym kęsem pochłonął pasztecik. – Nauka magii, wyjazd na Roke, to wszystko od początku nie wydawało mi się rzeczywiste. Kiedy wyjechałeś, nie wiedziałem, po co wciąż prowadzę interesy. Twój powrót nadaje temu sens, prawdziwy sens. Ale powiedz, tak po prostu uciekłeś? Czy czarnoksiężnik wie, dokąd odszedłeś?

– Nie. Napiszę do niego – odrzekł Diament swym nowym spokojnym głosem.

– Nie będzie zły? Powiadają, że czarnoksiężnicy bywają skorzy do gniewu. Pyszni.

– Będzie zły, ale nic nie zrobi.

I rzeczywiście. W istocie, ku zdumieniu Złotego, mistrz Szalej skrupulatnie odesłał dwie piąte otrzymanej opłaty. Do przesyłki przyniesionej przez jednego z wozaków, który powracał z Portu Południowego po dostarczeniu ładunku żerdzi, dołączony był liścik do Diamenta, zawierający jedno zdanie: „Prawdziwa sztuka wymaga oddania całym sercem". Na zewnątrz czarnoksiężnik nakreślił hardycką runę oznaczającą wierzbę. List podpisał własną runą o dwóch znaczeniach: Szalej i Cierpienie.

Diament siedział w swym słonecznym pokoju, na własnym wygodnym łóżku, słuchając śpiewu krzątającej się po domu matki. Trzymał w dłoni list czarnoksiężnika, raz po raz odczytując jego treść i obie runy. Leniwe odrętwienie, które ogarnęło go owego poranka wśród łozin, sprawiło, że z łatwością zaakceptował słowa nauczyciela. Koniec z magią. Nigdy więcej. Od początku nie oddał jej swego serca. Była dla niego zwykłą dziecięcą zabawą. Nawet poznane w domu czarnoksiężnika imiona w Prawdziwej Mowie, choć dostrzegał ukryte w nich piękno i moc, mógł wymazać z pamięci, odrzucić, zapomnieć. To nie był jego język.

Własnym językiem mógł przemawiać tylko do niej. Ale ją utracił, pozwolił jej odejść. Podzielone serce nie zna Prawdziwej Mowy. Od tej pory będzie używał tylko języka obowiązków, zysków i strat, przychodów i wydatków.

Poza tym nic nie istniało. Jedynie iluzje, dziecięce zaklęcia, kamyki zmieniające się w motyle, drewniane ptaki wzlatujące przez chwilę na silnych żywych skrzydłach. Tak naprawdę nigdy nie miał wyboru. Dla niego istniała tylko jedna droga.

***

Złoty nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, jak bardzo się cieszy.

– Stary odzyskał swój skarb – rzekł jeden z wozaków do leśnika. – Słodki jest teraz jak miód.

Lecz kupiec nie dostrzegał własnej słodyczy, myślał tylko o tym, jak słodkie jest życie. Kupił gaj nad Reche – owszem, drogo, ale przynajmniej sprzątnął go sprzed nosa Gałęzi ze Wschodniego Wzgórza. Teraz, wraz z Diamentem, mogli zaprowadzić tam własne porządki. Wśród kasztanowców rosło wiele sosen, które należało ściąć i sprzedać na maszty, żerdzie i opał, a potem zastąpić sadzonkami kasztanów. Z czasem uzyskają jednorodny las, podobny do Wielkiego Gaju, serca kasztanowego imperium Złotego. Oczywiście nie stanie się to natychmiast. Dęby i kasztanowce nie rosną szybko, jak olchy i wierzby. Ale mieli czas. Teraz mieli go bardzo dużo. Chłopak zaledwie skończył siedemnaście lat, on sam czterdzieści pięć, był w kwiecie wieku. Ostatnio czuł się staro, ale to bzdura. Osiągnął najlepszy wiek dla mężczyzny. Najstarsze drzewa, które nie rodziły już owoców, także powinny zostać ścięte. Drewno z nich nada się na meble.

– No i co? – mawiał często do żony. – Cieszysz się, prawda? Odzyskałaś swoje oczko w głowie. Nie musisz się więcej smucić.

A Tuly uśmiechała się i gładziła jego rękę.

Raz jeden, zamiast uśmiechać się i potakiwać, rzekła:

– Cudownie jest go mieć z powrotem, ale...

W tym momencie Złoty przestał słuchać. Matki zawsze martwią się o dzieci, kobiety nigdy nie bywają zadowolone. Nie musiał wysłuchiwać litanii trosk, które Tuly z upodobaniem dźwigała na swych barkach. Oczywiście uważała, że życie kupca nie jest dość dobre dla jedynaka. Według niej królewski tron w Havnorze także nie byłby dla niego dość dobry.

– Gdy znajdzie sobie dziewczynę – rzekł Złoty w odpowiedzi na niesłyszane słowa żony – wszystko się ułoży. Miesiące spędzone u czarnoksiężnika trochę zamąciły mu w głowie. Nie martw się o Diamenta. Sam znajdzie to, co dla niego najlepsze.

– Mam nadzieję – westchnęła Tuly.

– Przynajmniej nie spotyka się już z córką czarownicy. Z tym koniec.

Dopiero później przyszło mu do głowy, że jego żona także już nie widuje się z czarownicą. Od lat knuły razem wbrew jego ostrzeżeniom, teraz jednak Splot unikała ich domu. Cóż, kobieca przyjaźń nigdy nie trwa długo. Pewnego dnia, gdy Tuly rozrzucała w skrzyniach i komodach listki mięty i bagna dla ochrony przed molami, rzekł:

– Czemu nie poprosiłaś, by twoja mądra przyjaciółka rzuciła na nie czar? A może już się nie przyjaźnicie?

– Nie – odparła jego żona ze spokojem. – Nie przyjaźnimy się już.

– I bardzo dobrze. A co słychać u jej córki? Słyszałem, że uciekła z żonglerem.

– Z muzykiem – poprawiła Tuly. – Zeszłego lata.

***

– Wydamy przyjęcie w rocznicę nadania imienia – powiedział Złoty. – Czas na zabawę, muzykę i tańce, chłopcze. Kończysz dziewiętnaście lat. Musimy to uczcić!

– Pojadę do Wschodniego Wzgórza z mułami Sula.

– Nie, nie, nie. Sul da sobie radę. Zostań w domu, baw się. Ciężko pracujesz. Wynajmiemy grajków. Kto jest najlepszy? Smoła i jego chłopcy, prawda?

– Ojcze, ja nie chcę przyjęcia. – Diament dygotał cały, spięty jak koń przed skokiem. Był teraz wyższy od ojca i poruszał się zdumiewająco szybko. – Pojadę do Wschodniego Wzgórza – oznajmił i wyszedł.

– O co tu chodzi? – Złoty westchnął. Było to czysto retoryczne pytanie.

Żona zerknęła na niego, wyrazem oczu udzielając bynajmniej nie retorycznej odpowiedzi.

Gdy jej mąż odszedł, znalazła syna w kantorze. Przeglądał księgi handlowe. Spojrzała na ich karty. Długie spisy imion i liczb, wydatków i wpływów, zysków i strat.

– Di – powiedziała.

Chłopak uniósł wzrok. Twarz wciąż miał krągłą, brzoskwiniową, choć jej rysy stały się nieco grubsze, a oczy spoglądały melancholijnie.

– Nie chciałem urazić uczuć ojca – rzekł.

– Jeśli pragnie przyjęcia, urządzi je – odparła. Głosy mieli podobne, aksamitne, spokojne, opanowane. Przysiadła na stołku obok wysokiego biurka.

– Nie mogę... – zaczął i urwał. Po chwili dodał: – Naprawdę nie mam ochoty na tańce.

– Ojciec bawi się w swata – powiedziała Tuly z cierpką czułością.

– To mnie nie obchodzi.

– Wiem.

– Problemem jest...

– Problemem jest muzyka – dokończyła matka.

Skinął głową.

– Synu! – Nagle w jej głosie zabrzmiała gwałtowna nuta. – Nie ma powodu, abyś rezygnował ze wszystkiego, co kochasz!

Ujął jej dłoń i ucałował.

– Pewnych rzeczy nie można łączyć ze sobą – rzekł. – Wolałbym, by było inaczej, ale odkryłem, że to niemożliwe. Gdy odszedłem od czarnoksiężnika, myślałem, że mogę mieć wszystko. No wiesz, czarować, grać i śpiewać, być dobrym synem, kochać Różę... Ale tak się nie dzieje. Tego się nie da połączyć..

– Ależ tak – wtrąciła Tuly. – Wszystko się łączy, splata ze sobą.

– Może dla kobiet. Ja... nie mogę żyć z podzielonym sercem.

– Podzielonym sercem? Ty? Zrezygnowałeś z magii, bo wiedziałeś, że ją zdradzisz!

Słowo to wyraźnie nim wstrząsnęło, lecz nie zaprzeczył.

– Czemu jednak porzuciłeś muzykę? – zapytała matka.

– Muszę oddać się czemuś całym sercem. Nie mogę grać na harfie i jednocześnie targować się z hodowcą mułów. Nie mogę śpiewać ballad, obliczając, ile winniśmy zapłacić zbieraczom, by nie przeszli do Gałęzi. – Jego głos drżał lekko, wibrował, w oczach błyszczał gniew.

– A zatem rzuciłeś na siebie zaklęcie, tak jak wcześniej uczynił to czarnoksiężnik. Zaklęcie ochronne, zatrzymujące cię wśród

hodowców, zbieraczy kasztanów i tego wszystkiego. – Lekceważąco odepchnęła księgę pełną imion i liczb. – Zaklęcie milczenia – dodała.

Po długiej chwili młodzieniec odezwał się cicho:

– Co innego mogłem zrobić?

– Nie wiem, mój drogi. Chcę, abyś był bezpieczny. Cieszę się, że twój ojciec jest szczęśliwy i dumny z ciebie, ale nie mogę znieść myśli, że ty nie zaznasz szczęścia ani dumy. Sama nie wiem. Może masz rację. Może dla mężczyzn istnieje tylko jedna droga. Ale tęsknię za twoim śpiewem.

Płakała, gładząc gęste lśniące włosy Diamenta, przepraszając za swe okrutne słowa. Przytulił ją mocno, mówiąc, że jest najlepszą matką na świecie. Potem odeszła. W drzwiach jeszcze się zatrzymała.

– Niech sobie urządzi przyjęcie, Di. Niechaj urządzi je tobie.

– Dobrze – odparł, by ją pocieszyć.

***

Złoty zamówił jedzenie, piwo i fajerwerki. Diament zajął się znalezieniem muzyków.

– Oczywiście, że przyprowadzę moich ludzi – oznajmił Smoła. – Jakżebym mógł przegapić podobną zabawę? Na przyjęciu u twego ojca zjawią się wszyscy grajkowie z zachodniej części świata.

– Uprzedź ich, że zapłacę tylko wam.

– Przyjdą tu dla sławy – odparł harfiarz, szczupły czterdziestolatek o pociągłej twarzy i zapadniętych oczach. – Może do nas dołączysz? Nim zająłeś się robieniem pieniędzy, szło ci całkiem, całkiem. No i głos masz niezły, a gdybyś nad nim popracował...

– Raczej nie – odparł Diament.

– Słyszałem, że ta dziewczyna, którą lubiłeś, córka czarownicy, Róża, zadaje się z Labbym. Pewnie też się zjawią.

– Do zobaczenia na przyjęciu.

Diament, wysoki, przystojny, obojętny, odwrócił się i odszedł.

– Zbytnio zadziera nosa, by się z nami zadawać – mruknął Smoła. – A przecież nauczyłem go wszystkiego, jeśli chodzi o grę na harfie. Cóż to jednak znaczy dla bogacza.

***

Złośliwe słowa Smoły mocno go ubodły, a myśl o przyjęciu ciążyła tak bardzo, że stracił apetyt. Pozostała jeszcze nadzieja, że może się rozchoruje i pozostanie w domu. Nadszedł jednak dzień przyjęcia i Diament znalazł się wśród ludzi – nie tak widoczny, radosny, rozkrzyczany jak ojciec, ale był tam, uśmiechał się, tańczył. Zjawili się wszyscy jego przyjaciele z dzieciństwa; miał wrażenie, że połowa z nich poślubiła drugą połowę. Nie brakowało jednak flirtów, a w pobliżu stale kręciło się kilka ładnych dziewcząt. Diament wypił sporo doskonałego piwa z browaru Gadge'a i odkrył, że jeśli tańczy, a w tańcu rozmawia ze śmiechem, może znieść nawet muzykę. Tańczył zatem po kolei ze wszystkimi ładnymi dziewczynami, a potem znów z każdą, która nawinęła się pod rękę. Żadna nie przepuściła okazji,

Było to najwspanialsze przyjęcie Złotego. Na miejskim błoniu, nieopodal domu kupca, rozłożono deski i rozbito namiot dla starszyzny, by mogła w spokoju jeść, pić i plotkować. Przygotowano nowe ubrania dla dzieci, w mieście zjawili się żonglerzy i lalkarze – część z nich opłacona, inni przybyli z własnej woli, skuszeni perspektywą kilku miedziaków i darmowego piwa. Każda zabawa przyciągała wędrownych kuglarzy i grajków, którzy w ten sposób zarabiali na życie, i choć nikt ich nie prosił, byli mile widziani. Pod wielkim dębem na szczycie wzgórza balladzista o jękliwym głosie, akompaniujący sobie na równie jękliwych dudach, śpiewał *Czyny Władcy Smoków*. Gdy grupa Smoły – harfa, flet, wiola i bęben – zrobiła sobie przerwę na kufelek, na deski wskoczyli nowi muzycy.

– Hej, to ludzie Labby'ego! – krzyknęła jedna z dziewcząt. – Chodź, są najlepsi!

Labby, jasnoskóry mężczyzna w wielobarwnym stroju, grał na podwójnym rogu. Towarzyszył mu wiolista, tamburynista i Róża na flecie. Najpierw zagrali skoczną radosną melodię, zbyt szybką dla niektórych tancerzy. Diament i jego partnerka nie poddali się jednak. Ludzie klaskali i wiwatowali, gdy młodzi, zdyszani i zlani potem, skończyli taniec.

– Piwa! – huknął Diament i dał się porwać grupce roześmianych i rozgadanych młodych kobiet i mężczyzn.

Za sobą usłyszał początek kolejnej melodii. Samotna wiola załkała, intonując przejmująco *Gdzie tylko pójdzie mój miły*.

Diament duszkiem opróżnił kufel piwa. Towarzyszące mu dziewczyny ze śmiechem patrzyły, jak przełyka, odchylając głowę. Zadygotał niczym koń pociągowy użądlony przez gza.

– Nie, nie mogę – westchnął i umknął w mrok, poza kręgi światła rzucane przez otaczające namiot lampiony.

– Dokąd on idzie? – spytała jedna z dziewcząt.

– Wróci – odparła druga i ze śmiechem podjęły przerwaną rozmowę.

Ucichły słodkie dźwięki wioli.

– Czarna Różo – rzekł zza jej pleców.

Odwróciła głowę i spojrzała na niego. Patrzyli sobie w oczy. Ona siedziała ze skrzyżowanymi nogami na tanecznej platformie, on klęczał na trawie.

– Przyjdź w łoziny – poprosił.

Nie odpowiedziała. Labby zerknął na nią, uniósł róg do ust, bębniarz uderzył w tamburyn i zaintonowali marynarskiego dżiga.

Gdy znów się rozejrzała, Diamenta już tam nie było. Po jakiejś godzinie Smoła wrócił ze swą grupą w wybitnie złym humorze, który piwo jeszcze tylko pogorszyło. Przerwał kolejną melodię i tańce, nakazując głośno Labby'emu, by się wynosił.

– Pocałuj mnie w nos, szarpistruno – odparł Labby.

Smoła nie puścił tego płazem. Zebrani podzielili się na grupki i gdy spór trwał w najlepsze, Róża wsunęła flet do kieszeni i uciekła.

Z dala od lampionów panował mrok, potrafiła jednak poruszać się po ciemku. Diament czekał na nią w kryjówce. Przez ostatnie dwa

lata zarośla zgęstniały. Między zielonymi pędami i długimi opadającymi liśćmi pozostało niewiele miejsca.

Z oddali znów dobiegła muzyka, zagłuszana przez wiatr i szmer płynącej rzeki.

– Czego chcesz, Diamencie?

– Porozmawiać.

Byli dla siebie tylko głosami i cieniami.

– Mów – rzekła.

– Chciałem prosić, żebyś ze mną odeszła – powiedział.

– Kiedy?

– Wtedy. Gdy się pokłóciliśmy. Powiedziałem wszystko nie tak. Myślałem... – Długa cisza. – Myślałem, że mógłbym uciec. Z tobą. Grać, śpiewać. Zarabiać na życie. Moglibyśmy odejść razem. Chciałem to powiedzieć.

– Ale nie powiedziałeś.

– Wiem. Mówiłem wszystko nie tak. Zrobiłem wszystko nie tak. Zdradziłem wszystko. Magię. Muzykę. I ciebie.

– Mną się nie przejmuj – odparła.

– Naprawdę?

– Niezbyt dobrze gram na flecie, ale wystarczy. W razie potrzeby to, czego mnie nauczyłeś, uzupełniam zaklęciem, a grupa jest naprawdę dobra. Labby też nie jest taki zły. Świetnie sobie radzę. Całkiem nieźle zarabiamy. Zimą mieszkam u matki i pomagam jej. U mnie wszystko dobrze. A u ciebie, Di?

– Wszystko źle.

Zaczęła coś mówić i umilkła.

– Byliśmy wtedy dziećmi – rzekł. – Teraz...

– Co się zmieniło?

– Źle wybrałem.

– Raz? – spytała. – Czy dwa razy?

– Dwa razy.

– Do trzech razy sztuka.

Długą chwilę oboje milczeli. Róża dostrzegała Diamenta w mroku jako niewyraźny cień.

– Jesteś wyższy niż wtedy – zauważyła. – Wciąż potrafisz przywoływać światło, Di? Chcę cię zobaczyć.

Pokręcił głową.

– Tylko ty to umiałeś, pamiętasz? I nigdy nie zdołałeś mnie nauczyć.

– Nie wiedziałem, co robię – mruknął. – Czasami się udawało, a czasem nie.

– A czarnoksiężnik w Porcie Południowym nie pokazał ci, jak to robić?

– Uczył mnie tylko imion.

– Czemu teraz tego nie robisz?

– Zrezygnowałem z magii, Czarna Różo. Musiałem albo oddać się jej bez reszty, albo odejść. Jeśli poświęcać się czemuś, to całym sercem.

– Nie rozumiem dlaczego – odparła. – Moja matka potrafi uleczyć gorączkę, pomóc przy porodzie i znaleźć zgubiony pierścionek. Może to nic w porównaniu z czynami czarnoksiężników i Władców Smoków, ale zawsze. I z niczego nie zrezygnowała. Moje przyjście na świat też jej nie przeszkodziło. Urodziła mnie, by dowiedzieć się, jak to się robi. Czy musiałam zrezygnować z zaklęć tylko dlatego, że nauczyłam się grać? Ja też potrafię uleczyć gorączkę. Czemu miałbyś rezygnować z jednego, żeby zająć się drugim?

– Mój ojciec... – zaczął Diament, urwał i zaśmiał się cicho. – Nie da się pogodzić pieniędzy z muzyką.

– Ojca z córką czarownicy – dodała Czarna Róża.

Znów umilkli. Liście wierzb poruszyły się lekko.

– Wrócisz do mnie? – spytał. – Odejdziesz ze mną? Zechcesz mnie poślubić?

– Nie w domu twojego ojca, Di.

– Gdzie tylko zechcesz. Uciekniemy.

– Ale nie możesz mnie mieć bez muzyki.

– Ani muzyki bez ciebie.

– Wrócę – odparła.

– Labby nie potrzebuje harfisty?

Zawahała się, po czym wybuchnęła śmiechem.

– Lepiej, by potrzebował, jeśli chce mieć flecistkę.

– Nie ćwiczyłem od dnia wyjazdu, Czarna Różo, ale ciągle myślałem o muzyce. O tobie też...

Wyciągnęła do niego ręce. Uklękli naprzeciw siebie, wierzbowe liście muskały im włosy. I zaczęli się całować, z początku nieśmiało.

***

W latach po odejściu Diamenta Złoty zarabiał lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Wszystkie umowy przynosiły zyski, zupełnie jakby szczęście na dobre zamieszkało pod jego dachem. Stał się niewiarygodnie bogaty. Lecz nie wybaczył synowi. Byłoby to szczęśliwe zakończenie, ale on nie dopuszczał do siebie podobnej myśli. Jak Diament mógł odejść bez słowa, w rocznicę nadania imienia, uciec z córką czarownicy, porzucając uczciwą pracę, i zostać wędrownym grajkiem, który brzdąka na harfie, śpiewa i wyszczerza zęby dla paru groszy? Na samą myśl Złoty czuł wstyd, ból i gniew. Nie był szczęśliwy.

Tuly przez długi czas także była nieszczęśliwa, bo mogła widywać syna, tylko okłamując męża, co przychodziło jej z trudem. Płakała na myśl o tym, że Diament głoduje gdzieś, sypia na gołej ziemi. Zimne jesienne noce ją przerażały. Z czasem jednak coraz częściej słyszała, co ludzie mówili o jej synu – Diament o słodkim głosie, śpiewak z zachodniego Havnoru; Diament, który grał i śpiewał przed obliczem wielkich władców w Wieży Miecza – i słowa te ogrzały jej serce. A kiedyś, gdy Złoty wybrał się do Portu Południowego, Tuly i Splot wynajęły wózek z osłem i pojechały do Wschodniego Wzgórza, by posłuchać Diamenta śpiewającego *Pieśń o Utraconej Królowej*. Róża siedziała obok nich, a mała Tuly bawiła się na kolanach babci. I choć nie było to szczęśliwe zakończenie, czuły wielką radość, a czegóż więcej można pragnąć w życiu?

3

Kości ziemi

Znów padał deszcz i czarnoksiężnik z Re Albi czuł ogromną pokusę, by rzucić zaklęcie pogody, małe niewinne zaklęcie, które odegna chmury na drugą stronę gór. Bolały go wszystkie kości, pragnęły słońca, ciepła. Oczywiście mógł rzucić zaklęcie na ból, to jednak nie na długo by wystarczyło. Nie istniał lek, który mógłby mu ulżyć. Stare kości potrzebują słońca. Czarnoksiężnik stał bez ruchu w drzwiach swego domu pomiędzy ciemną izbą a deszczowym światem, powstrzymując się przed rzuceniem zaklęcia, zły na siebie, że się powstrzymuje i że musi się powstrzymywać.

Nigdy nie przeklinał – ludzie obdarzeni mocą nie klną, to niebezpieczne – odchrząknął jednak nisko, groźnie jak niedźwiedź. Chwilę później z górnych zboczy góry Gont dobiegł huk grzmotu, odbijając się echem z północy na południe i zamierając w zasnutym chmurami lesie.

Grzmot to dobry znak, pomyślał Wodorost. Wkrótce przestanie padać. Naciągnął kaptur i wyszedł na deszcz, by nakarmić kury.

Przeszukał dokładnie kurnik i znalazł trzy jajka. Czerwona Bucca siedziała w gnieździe; niedługo miały wykluć się kurczęta. Męczyły ją wszy, była nastroszona i wściekła. Wodorost wypowiedział kilka słów odganiających wszy. Przypomniał sobie, by oczyścić gniazdo, gdy tylko wylęgną się pisklaki, i wyszedł na podwórze. Brązowa i Szara

Bucca, Nogawica, Jasna i Król przycupnęły pod osłoną dachu, wyrzekając cicho na deszcz.

Do południa ustanie, powiedział im czarnoksiężnik. Sypnął kurom ziarna i powędrował wolno do domu, niosąc w dłoni trzy ciepłe jajka. Jako dziecko uwielbiał chodzić po błocie. Pamiętał cudowne uczucie, gdy zimna maź przelewała mu się między palcami stóp. Wciąż lubił chodzić na bosaka, ale błoto już go nie cieszyło, było lepkie i nieprzyjemne. Nie znosił też schylać się, by oczyścić stopy przed wejściem do domu. Na starym klepisku nie miało to znaczenia, teraz jednak w jego domu była drewniana podłoga niczym u władcy, kupca bądź wielkiego maga; ponoć miała nie dopuszczać zimna i wilgoci do jego kości. Nie był to jego pomysł. Milczek przybył zeszłej wiosny z Portu Gont, by ułożyć podłogę w starym domu. Najpierw jednak posprzeczali się na ten temat, choć Wodorost powinien był już się nauczyć, że nie warto sprzeczać się z Milczkiem.

– Przez siedemdziesiąt pięć lat chodziłem po ziemi – oznajmił. – Jeszcze kilka mi nie zaszkodzi.

Milczek rzecz jasna nie odpowiedział, pozwalając, by czarnoksiężnik usłyszał własne słowa i w pełni dostrzegł ich głupotę.

– Klepisko łatwiej utrzymać w porządku – dodał Wodorost, wiedząc już, że przegrał. Istotnie, dobrze ubitą glinianą podłogę wystarczyło od czasu do czasu zamieść i zrosić wodą, żeby związać kurz, jednakże słowa te i tak zabrzmiały niemądrze. – Kto ułoży deski? – spytał ciekawie.

Milczek skinął głową, co oznaczało, że zrobi to sam.

Chłopak był pierwszorzędnym rzemieślnikiem – cieślą, stolarzem, kamieniarzem, dekarzem. Zademonstrował wszystkie swe umiejętności, gdy mieszkał tu jako uczeń Wodorosta, nim stracił wprawę wśród bogaczy z Portu Gont. Zaprzężonym w woły wozem należącym do Staruszki przywiózł deski z tartaku Szóstki w Re Albi. Następnego dnia ułożył podłogę. Stary czarodziej w tym czasie zbierał zioła nad Jeziorem Moczarnym. Kiedy wrócił do domu, zobaczył podłogę lśniącą niczym ciemne jezioro.

– Będę musiał za każdym razem myć nogi – wymamrotał i ostrożnie wszedł do środka. Drewno było tak gładkie, że wydawało się niemal miękkie. – Jest jak jedwab. Nie zrobiłbyś tego w jeden

dzień bez kilku zaklęć. Wiejska chata z podłogą godną pałacu. To dopiero będzie widok, gdy zimą rozpalę ogień. A może mam sobie sprawić dywan z czesanej wełny i złotej przędzy?

Milczek uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony z siebie.

Zjawił się na progu Wodorosta kilka lat wcześniej. Nie, minęło już dwadzieścia lat, może nawet dwadzieścia pięć, kawał czasu. Był wtedy długonogim niedorostkiem o niesfornej czuprynie i łagodnej twarzy. Stanowcze usta, jasne oczy.

– Czego chcesz? – spytał czarnoksiężnik, doskonale wiedząc, czego chce przybysz, czego wszyscy pragną. Odwrócił wzrok od owych jasnych oczu. Był dobrym nauczycielem, najlepszym na Goncie, o tak, ale nauczanie go zmęczyło, nie miał ochoty, by znów ktoś plątał mu się pod nogami. Wyczuwał niebezpieczeństwo.

– Uczyć się – szepnął chłopak.

– Popłyń na Roke – polecił mag. Chłopak miał na sobie buty i porządny skórzany kubrak; stać go było, by opłacić przeprawę do szkoły. W ostateczności mógł na nią zapracować.

– Już tam byłem.

Wodorost zmierzył chłopaka uważnym spojrzeniem. Nie dostrzegł płaszcza ani laski.

– Nie udało się? Odesłali cię? Uciekłeś?

Chłopak za każdym razem kręcił głową. Zamknął oczy, zacisnął wargi. Wyraźnie cierpiał. Potem odetchnął głęboko i spojrzał czarnoksiężnikowi wprost w oczy.

– Moja moc pochodzi stąd, z Gontu – oznajmił głosem niewiele donośniejszym niż szept. – Mój mistrz to Enhemon.

Mag, którego prawdziwe imię brzmiało Enhemon, zamarł w bezruchu. Patrzył na chłopaka, zmuszając go do odwrócenia wzroku.

W milczeniu zaczął szukać jego imienia i ujrzał dwie rzeczy: świerkową szyszkę i runę Zamkniętych Ust. Szukając głębiej, usłyszał w umyśle słowo, nie wymówił go jednak.

– Zmęczyło mnie nauczanie i mówienie – rzekł. – Łaknę milczenia. Czy to ci wystarczy?

Chłopak przytaknął.

– Dla mnie zatem będziesz Milczkiem – powiedział mag. – Możesz spać w kącie pod zachodnim oknem. W drewutni znajdziesz stary siennik, przewietrz go i wytrzep, nie sprowadź z nim myszy.

To rzekłszy, odszedł w stronę Overfell, zły na chłopaka za to, że przyszedł do niego, i na siebie za to, że się zgodził. Nie była to jednak złość, która sprawiała, by serce zabiło mu mocniej. Szybko kroczył naprzód – wówczas jeszcze mógł chodzić szybko – ciesząc się morskim wiatrem napierającym na niego z lewej strony i promieniami słońca migoczącymi na falach, za granicą cienia rzucanego przez olbrzymią górę. Wspomniał magów z Roke, mistrzów magicznych sztuk, powierników tajemnic i mocy.

Okazał się dla was za potężny, co? Dla mnie pewnie też, pomyślał z uśmiechem. Był spokojnym człowiekiem, lecz lubił smak ryzyka.

Przystanął, czując ziemię pod stopami. Jak zwykle wędrował boso. Gdy uczył się na Roke, nosił buty, potem jednak wrócił na Gont, do Re Albi, z laską czarnoksiężnika, i wyrzucił je. Stojąc bez ruchu, czuł pod stopami pył i skałę urwiska, i góry w dole, a także korzenie wyspy ukryte głęboko w mroku. W ciemnościach pod wodami wszystkie wyspy łączyły się, tworząc jedność. Tak brzmiały nauki jego mistrza, którego imię brzmiało Ard, i podobnie twierdzili nauczyciele na Roke. To jednak była jego wyspa, jego skały, pył, ziemia. Z nich wyrastała jego magia.

„Moja moc pochodzi stąd", powiedział chłopak, jednakże prawda leżała głębiej. Może tego mógłby nauczyć go Wodorost – co kryje się głębiej niż moc. Właśnie tego nauczył się tutaj, na Goncie, zanim popłynął na Roke.

No i chłopak musi mieć laskę. Czemu Nemmerle pozwolił mu odejść z Roke bez laski, z pustymi rękami, jak uczniowi bądź wiedźmie? Podobna moc nie powinna chodzić po świecie nierozpoznana i nieposkromiona.

Mój mistrz nie miał laski, pomyślał Wodorost i w tej samej chwili zrozumiał: on chce ją dostać ode mnie. Dąb z Gontu z rąk czarnoksiężnika z Gontu. Cóż, jeśli sobie na nią zasłuży, dostanie laskę. O ile będzie trzymał język za zębami. Zostawię mu też moje Księgi Wiedzy. Jeśli wysprząta kurnik, zrozumie Komentarze z Danemeru i będzie trzymał język za zębami.

Nowy uczeń wysprzątał kurnik, okopał motyką grządkę z fasolą, poznał znaczenie Komentarzy z Danemeru i Arkanów Enladzkich, i trzymał język za zębami. Słuchał. Słuchał słów Wodorosta, a niekiedy jego myśli; robił to, czego życzył sobie Wodorost, a czasem czego mag nie wiedział nawet, że pragnie. Jego dar wykraczał dalece poza nauki Wodorosta. Miał rację, przybywając do Re Albi, i obaj o tym wiedzieli.

W owych czasach Wodorost rozmyślał często o ojcach i synach. Z własnym ojcem, czarnoksiężnikiem poszukiwaczem skarbów, pokłócił się o wybór mistrza. Ojciec wykrzyknął w gniewie, iż ktoś, komu Ard jest mistrzem, nie zasługuje na miano jego dziedzica. Całe życie pielęgnował gniew i do śmierci synowi nie wybaczył. Wodorost widywał młodych mężczyzn płaczących z radości po narodzinach pierworodnego. Widział, jak biedacy płacą wiedźmom roczne zarobki w zamian za obietnicę przyjścia na świat zdrowego chłopca, i jak bogacz dotyka twarzy przystrojonego w złoto malca, szepcząc z podziwem: „Moja nieśmiertelność". Rozumiał, że jeśli ojciec bije i poniża synów, darzy ich nienawiścią i pogardą, oznacza to, że zobaczył w nich własną śmierć. Widział też nienawiść w oczach synów, groźbę, bezlitosną wzgardę. I pojmował, czemu nigdy nie próbował pogodzić się z ojcem. Patrzył kiedyś, jak ojciec i syn pracują razem od świtu do zmierzchu. Starzec prowadził ślepego wołu, a syn, mężczyzna w średnim wieku, kierował żelaznym pługiem. Nie odzywali się nawet słowem, lecz gdy ruszyli do domu, starzec na moment położył dłoń na ramieniu syna i w owym geście Wodorost ujrzał coś, czego mu w życiu brakowało. Przypominał to sobie, patrząc w zimowe wieczory na siedzącego po drugiej stronie paleniska chłopca. Ciemna twarz pochylała się nad księgą bądź cerowaną koszulą. Spuszczone oczy, zaciśnięte wargi, nasłuchujący duch.

– Raz w życiu, jeśli dopisze mu szczęście, mag odnajduje kogoś, z kim może rozmawiać – powiedział Nemmerle noc czy dwie przed tym, nim Wodorost opuścił Roke, rok czy dwa nim sam Nemmerle został obrany Arcymagiem. Był wówczas Mistrzem Wzorów i najłagodniejszym nauczycielem Wodorosta w szkole. – Myślę, że gdybyś zechciał zostać, Enhemonie, moglibyśmy ze sobą rozmawiać.

Dłuższą chwilę Wodorost nie był w stanie odpowiedzieć. W końcu jąkając się, dręczony wyrzutami sumienia z powodu swej niewdzięczności, nie wierząc we własny upór, rzekł:

– Mistrzu, zostałbym, ale moje miejsce jest na Goncie. Chciałbym, by było inaczej, bym mógł zostać z tobą...

– To rzadki dar wiedzieć, gdzie cię potrzebują, nim odwiedzisz wszystkie miejsca, których odwiedzić nie musisz. Od czasu do czasu przyślij mi ucznia. Roke potrzebuje magów z Gontu. Mam wrażenie, że nie dostrzegamy tu pewnych rzeczy, rzeczy wartych poznania...

Wodorost posłał do szkoły kilku uczniów, trzech, może czterech miłych chłopców obdarzonych darem czynienia tego i owego. Ten jednak, na którego czekał Nemmerle, przybył do niego z własnej woli. Wodorost nie wiedział, co myśleli o nim na Roke. Milczek mu tego nie zdradził. W ciągu dwóch, trzech lat nauczył się tyle, ile inni w sześć. Wielu w ogóle się to nie udawało, dla niego były to jednak dopiero podstawy.

– Czemu nie przybyłeś do mnie od razu, by potem na Roke pogłębiać wiedzę? – spytał kiedyś Wodorost.

– Nie chciałem marnować twojego czasu.

– Czy Nemmerle wiedział, że wyruszasz do mnie?

Milczek potrząsnął głową.

– Gdybyś zechciał zdradzić mu swoje zamiary, mógłby przesłać mi wiadomość.

Chłopak spojrzał na niego poruszony.

– Był twoim przyjacielem?

Wodorost milczał przez chwilę.

– Był moim mistrzem – rzekł w końcu. – Może stałby się przyjacielem, gdybym został na Roke. Czy magowie mają przyjaciół? Niektórzy twierdziliby, że nie, podobnie jak nie mają żon i synów. Kiedyś Nemmerle powiedział mi, że w naszym fachu można mówić o szczęściu, jeśli znajdzie się kogoś, z kim można rozmawiać. Zapamiętaj to sobie. Jeżeli ci się poszczęści, któregoś dnia będziesz musiał otworzyć usta.

Milczek skłonił rozczochraną, mądrą głowę.

– Jeśli się nie zrosną – dodał Wodorost.

– Jeżeli mnie poprosisz, będę mówił – rzekł młodzieniec tak szczerze, z taką chęcią zaprzeczenia swej własnej naturze wedle życzenia maga, że Wodorost musiał się roześmiać.

– Prosiłem, abyś tego nie robił. Nie o moich pragnieniach mówię. Ja sam gadam za dwóch. Nieważne. Gdy nadejdzie czas, będziesz wiedział, co powiedzieć. Na tym właśnie polega sztuka. Co powiedzieć i kiedy. Reszta jest milczeniem.

Uczeń przez trzy lata spał na sienniku pod małym zachodnim okienkiem w domu Wodorosta. Poznawał sztukę magii, karmił kury, doił krowę. Raz jeden zasugerował, by Wodorost zaczął hodować kozy. Nie odzywał się cały tydzień, zimny, mokry, jesienny tydzień. Wreszcie rzekł:

– Mógłbyś sprawić sobie kilka kóz.

Wodorost wpatrywał się w leżącą na stole otwartą Księgę Wiedzy. Usiłował właśnie odtworzyć jedno z Zaklęć Acastańskich, pozbawionych mocy i uszkodzonych przez Emanacje Fundauriańskie wiele wieków wcześniej. Właśnie zaczynał wyczuwać brakujące słowo, które mogło zapełnić jedną z luk. Już prawie je miał, gdy...

– Mógłbyś sprawić sobie kilka kóz – powiedział Milczek.

Wodorost uważał samego siebie za nieprzebierającego w słowach, niecierpliwego człowieka, szybko wpadającego w złość. Za młodu konieczność unikania przekleństw niezmiernie mu ciążyła. Przez trzydzieści lat z zaciśniętymi zębami znosił głupotę uczniów, klientów, kur i krów. Uczniowie i klienci lękali się jego języka, krowy i kury nie zwracały uwagi na wybuchy maga. Milczek jednak nigdy wcześniej go nie rozgniewał.

Zapadła długa cisza.

– Po co?

Milczek najwyraźniej nie dostrzegł chwili przerwy ani niezwykle łagodnego tonu w głosie mistrza.

– Dla mleka, sera, mięsa, towarzystwa – odparł.

– Hodowałeś kiedyś kozy? – spytał Wodorost tak samo łagodnie, uprzejmie.

Milczek potrząsnął głową.

Pochodził z miasta, przyszedł na świat w Porcie Gont. Nie opowiadał o sobie, lecz Wodorost popytał po ludziach. Jego ojciec,

pomocnik w porcie, zginął w wielkim trzęsieniu ziemi, gdy Milczek miał siedem, osiem lat. Matka prowadziła kuchnię w nadmorskiej tawernie. W wieku dwunastu lat chłopak wpadł w kłopoty, prawdopodobnie z powodu magii, i matka zdołała oddać go do terminu u Elassena, otoczonego szacunkiem czarnoksiężnika w Ujściu. Tam chłopak otrzymał prawdziwe imię, nauczył się ciesielki i pracy na roli – i niewiele ponad to. Po trzech latach Elassen wykazał się gestem i opłacił mu podróż na Roke. To wszystko, co Wodorost wiedział o chłopaku.

– Nie znoszę koziego sera – oznajmił.

Milczek tylko skinął głową. Nigdy z magiem nie dyskutował.

W ciągu następnych lat Wodorost od czasu do czasu przypominał sobie, jak to nie wpadł w złość, gdy Milczek poradził, żeby sprawił sobie kozy. Za każdym razem czuł cichą satysfakcję.

Po kilku następnych dniach spędzonych na próbach odkrycia brakującego słowa polecił Milczkowi, by zaczął studiować Zaklęcia Acastańskie. Po długiej wytężonej pracy w końcu odnieśli sukces.

– Zupełnie jakbyśmy orali pole pługiem zaprzężonym w ślepego wołu – zauważył Wodorost.

Niedługo potem wręczył Milczkowi laskę, którą dla niego zrobił z gontyjskiego dębu. Władca Portu Gont kolejny raz próbował zwabić Wodorosta, nalegając, że trzeba się zająć niecierpiącymi zwłoki sprawami w mieście. Wodorost posłał Milczka, który już tam został.

Teraz Wodorost stał na progu swego domu z trzema jajkami w dłoni. Po plecach spływały mu zimne strużki deszczu. Od jak dawna tak stał i czemu myślał o błocie, o podłodze, o Milczku? Czy wracał ze spaceru ścieżką nad Overfell? Nie, to było wiele lat temu, długich lat w słońcu. Teraz padał deszcz. Zatem nakarmił kury i przyszedł do domu z trzema jajkami; wciąż ciepłymi, gładkimi brązowymi jajkami. W głowie ciągle dźwięczał mu huk grzmotu. Jego wibracje wstrząsały kośćmi, stopami. Grzmot.

Nie. Jakiś czas temu rzeczywiście usłyszał huk grzmotu, ale nie teraz. Czuł już kiedyś coś podobnego, to dziwne niepokojące uczucie, którego teraz nie rozpoznał. Wówczas trzęsienie ziemi zatopiło pół mili wybrzeża pod Essary i zalało doki w Porcie Gont.

Zszedł z progu na ziemię, by poczuć ją nerwami stóp, lecz błoto stłumiło, zagłuszyło wszelkie przesłanie, jakie dla niego miała. Położył jajka na progu, usiadł obok, umył nogi deszczówką z garnka przy stopniu, wytarł ścierką przewieszoną przez ucho garnka, zebrał jajka, powoli dźwignął się z miejsca i wszedł do domu.

Natychmiast spojrzał na laskę opartą o ścianę w kącie za drzwiami. Schował jajka do spiżarki, zjadł pospiesznie jabłko – był głodny – i wziął ją do ręki. Zrobiono ją z drewna cisowego i podkuto miedzią. Miejsce, w którym ją chwytał, było gładkie niczym jedwab. Dał mu ją Nemmerle.

– Stój! – polecił lasce w jej własnym języku i wypuścił ją. Stała bez ruchu, jakby wetknął ją w otwór. – Do korzeni! – rzekł niecierpliwie w Mowie Tworzenia. – Do korzeni!

Patrzył na laskę stojącą pośrodku lśniącej podłogi. Po chwili ujrzał, jak drży lekko, trzęsie się, dygocze.

– Aha – przytaknął. – Co mam robić? – spytał głośno po chwili.

Laska zakołysała się, zamarła, znów zadrżała.

– Wystarczy, moja droga. – Wodorost sięgnął po nią. – Chodź. Nic dziwnego, że myślałem o Milczku. Powinienem po niego posłać... Wezwać... Nie. Ard... jak to brzmiało? Znajdź środek, dotrzyj do środka. Takie pytanie winieniem zadać. Oto co muszę zrobić...

Mamrocząc do siebie, zdjął ciężki płaszcz i na niewielkim ogniu nastawił wodę. Zastanawiał się, czy zawsze do siebie mówił, czy robił to cały czas, gdy mieszkał z nim Milczek. Nie, nabrał tego zwyczaju, kiedy Milczek odszedł, uznał w zakamarku umysłu, w którym wciąż kryły się zwyczajne myśli, podczas gdy reszta szykowała się na grozę i zniszczenie.

Ugotował na twardo trzy nowe jajka i jedno już wcześniej leżące w spiżarce. Wsadził je do sakwy wraz z czterema jabłkami i pęcherzem żywicznego wina na wypadek, gdyby nie wrócił na noc. Potem ostrożnie, bo reumatyzm wciąż dawał mu się we znaki, narzucił na plecy płaszcz, ujął w dłoń laskę, kazał ogniowi zgasnąć i wyszedł.

Nie hodował już krowy. Przystanął, z namysłem patrząc na podwórze. Ostatnio w sadzie zauważył ślady lisa. Ale gdyby coś zatrzymało go poza domem, kury umarłyby z głodu. Będą musiały

zaryzykować, jak wszystko inne na tym świecie. Uchylił lekko furtkę. Choć deszcz przemienił się w mglistą mżawkę, ptaki wciąż kuliły się pod dachem kurnika, wyraźnie niezadowolone. Tego ranka Król nie zapiał ani razu.

– Macie mi coś do powiedzenia? – spytał Wodorost.

Brązowa Bucca, jego ulubienica, otrząsnęła się i kilka razy wymówiła swe imię. Pozostałe milczały.

– Uważajcie na siebie. Przy pełni księżyca kręcił się tu lis – ostrzegł i ruszył w drogę.

W czasie wędrówki rozmyślał, snuł wspomnienia. Przypominał sobie wszystko, o czym raz jeden bardzo dawno temu słyszał od swego mistrza. Były to dziwne sprawy, tak dziwne, że nigdy się nie dowiedział, czy naprawdę można nazwać je magią, czy też to zwykłe sztuczki czarownic, jak twierdzili na Roke. W szkole nigdy o nich nie słyszał ani nie mówił – może lękając się, że mistrzowie zaczną nim gardzić, gdyż poważnie traktuje podobne kwestie, a może wiedząc, że i tak ich nie zrozumieją, bo to sekrety Gontu, prawdy Gontu. A jednak Ard... Księgi, które przypadły jego mistrzowi, pochodzące od wielkiego maga Ennasa z Gontu, też o nich nie wspominały. O takich sprawach tylko się mówiło. I to w domu.

– Idź nad Czarny Staw za pastwisko Semere. – Tak brzmiały słowa mistrza. – Stamtąd możesz odczytać górę. Możesz odnaleźć środek. Sprawdzić, którędy można wejść.

– Wejść? – wyszeptał Wodorost, wówczas jeszcze chłopiec.

– Co mógłbyś zrobić z zewnątrz?

Wodorost milczał długą chwilę. W końcu spytał:

– Jak?

– Tak.

Długie ręce uniosły się w szerokim geście inwokacji, którą Wodorost miał rozpoznać później jako jedno z wielkich zaklęć Przemiany. Słyszał, że Ard wymawia słowa zaklęcia – błędnie, jak każdy nauczyciel magii; w przeciwnym razie zaklęcie by zadziałało. Wodorost umiał tak słuchać, by usłyszeć prawdziwe słowa i je zapamiętać. Pod koniec w milczeniu powtórzył w myślach zaklęcie,

szkicując w pamięci dziwne, niezręczne gesty stanowiące jego część. Nagle znieruchomiał.

– Tego czaru nie da się zdjąć – powiedział ze zdziwieniem.

Skinienie głowy.

– Jest nieodwracalny.

Wodorost nie słyszał o żadnej przemianie, która nie byłaby odwracalna, o żadnym zaklęciu, którego nie da się odwołać, oprócz Słowa Uwolnienia, a je wymawia się tylko raz.

– Ale kiedy...?

– W razie potrzeby – brzmiała odpowiedź.

Wodorost wiedział, że nie ma po co pytać, Ard i tak niczego nie wyjaśni. Potrzeba użycia podobnego zaklęcia z pewnością nie zdarzała się często. Istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że będzie musiał kiedyś z niego skorzystać. Pozwolił, by straszliwe zaklęcie zatonęło w głębinach jego umysłu i ukryło się pod warstwą tysiąca użytecznych, pięknych i mądrych czarów i uroków, wszystkich praw i mądrości Roke, wiedzy zawartej w księgach, w dziedzictwie jego mistrza – zaklęcie prymitywne, potworne, bezużyteczne. Sześćdziesiąt lat spoczywało w mroku umysłu Wodorosta niczym kamień węgielny starego, zapomnianego domu, ukryty w piwnicy dworu pełnego światła, skarbów i dzieci.

Deszcz przestał padać, lecz mgła nadal spowijała szczyt góry, a strzępy chmur unosiły się między drzewami na zboczu. Wodorost nie był niestrudzonym piechurem jak Milczek, który najchętniej całe życie by spędził na wędrówkach po lasach góry Gont. Urodził się jednak w Re Albi i znał tutejsze drogi i ścieżki niczym własną kieszeń. Ruszył na skróty obok studni Rissi i przed południem znalazł się na pastwisku Semere, płaskiej hali. Milę dalej w dole dostrzegł oświetlone promieniami słońca budynki przycupnięte w objęciach wzgórza. Po jego drugiej stronie stadko owiec wędrowało powoli niczym cień białej chmury. Port Gont i jego zatoka kryły się za pasmem stromych kanciastych wzgórz stojących za miastem.

Wodorost jakiś czas chodził tu i tam po pastwisku. W końcu znalazł coś, co uznał za Czarny Staw. Było to małe bajorko, zamulone i zarośnięte szuwarami. Wiodła do niego niewyraźna, grząska ścieżka, na której dostrzegł tylko ślady kozich racic. Woda

była ciemna, choć na niebie lśniło jasne słońce, a staw leżał daleko ponad torfowiskami. Wodorost podążył tropem kóz. Westchnął gniewnie, gdy się pośliznął i musiał szarpnąć się gwałtownie, by nie upaść. Na skraju wody zastygł bez ruchu. Pochylił się, żeby rozetrzeć kostkę u nogi. Nasłuchiwał.

Wokół panowała absolutna cisza.

Nie słyszał wiatru, ptasich głosów, odległych ryków, muczenia, krzyków ludzkich. Zupełnie jakby cała wyspa umilkła. Nie bzyczała ani jedna mucha.

Spojrzał w ciemną wodę. Nie odbijała niczego.

Z wahaniem ruszył naprzód, bosy, z nogami odsłoniętymi po uda. Godzinę wcześniej, gdy zaświeciło słońce, złożył płaszcz i schował do torby. Rozgarniał szuwary. Miękkie błoto pełne splątanych korzeni przytrzymywało mu stopy. Wędrował powoli, nie czyniąc żadnego hałasu. Kręgi na wodzie wzbudzone jego krokami były małe, niewyraźne. Długo szedł przez płyciznę. Wreszcie jego ostrożna stopa nie wyczuła dna. Przystanął.

Woda zadrżała. Najpierw poczuł to na udach: falowanie, niczym łaskotanie zwierzęcego futra; potem ujrzał: powierzchnia stawu się poruszyła. Nie były to kręgi, które sam wzbudził – zdążyły już zniknąć – lecz zmarszczki, najpierw słabe, potem wyraźniejsze. Dreszcz i znowu, jeszcze raz, jeszcze.

– Gdzie? – szepnął, a potem wymówił to słowo głośno w języku, który rozumieją wszystkie rzeczy niemające własnej mowy.

Cisza. Nagle z czarnej rozedrganej wody wyskoczyła białoszara ryba długości jego dłoni. W skoku zawołała cicho, ale wyraźnie, w tej samej mowie:

– Iaved!

Stary czarnoksiężnik stał bez ruchu. Przywołał w pamięci wszystkie znane sobie imiona z Gontu. Po chwili ujrzał w myślach miejsce zwane Iaved. Właśnie tam rozchodziły się pasma skalne niedaleko Portu Gont. Było jak zawias spinający oba przylądki górujące nad miastem. Tutaj zaczynał się uskok. Trzęsienie ziemi w tym miejscu mogło zniszczyć miasto, wywołać lawiny i wielkie fale, zatrzasnąć okalające zatokę urwiska niczym dwie klaszczące dłonie. Wodorost zadrżał. Wstrząsnął nim dreszcz niczym wodą w stawie.

Odwrócił się i pospiesznie, nieostrożnie ruszył do brzegu, nie dbając, gdzie stawia stopy i czy zakłóci ciszę pluskaniem, głośnym oddechem. Jak najszybciej przebył wiodącą przez sitowie ścieżkę. W końcu znalazł się na suchym lądzie. Pod stopami czuł szorstką trawę, w uszach dźwięczało mu brzęczenie komarów i świerszczy. Wówczas usiadł ciężko na ziemi, bo trzęsły mu się nogi.

– Nic z tego – rzekł do siebie po hardycku i dodał: – Nie dam rady. Nie dam rady zrobić tego sam.

Był tak zdenerwowany, że gdy postanowił wreszcie wezwać Milczka, nie potrafił przypomnieć sobie początku zaklęcia, które znał od sześćdziesięciu lat. Kiedy wydało mu się, że już je ma, zaczął wygłaszać zaklęcie Przywołania, które – nim jeszcze uświadomił sobie, co robi – natychmiast poczęło działać. Musiał przerwać i ostrożnie cofnąć słowo po słowie.

Garścią trawy wytarł stopy i nogi pokryte śliskim mułem. Błoto nie wyschło jeszcze; rozmazał je tylko po skórze.

– Nienawidzę błota – szepnął przez zaciśnięte zęby. – Ziemia, ziemia – rzekł łagodnie, klepiąc grunt, na którym siedział. Potem zaś bardzo ostrożnie i powoli wygłosił zaklęcie.

***

Czarnoksiężnik Ogion zatrzymał się na ruchliwej ulicy wiodącej do tłocznej przystani Portu Gont. Towarzyszący mu kapitan statku przeszedł z rozpędu jeszcze kilka kroków. Gdy się obrócił, ujrzał, jak Ogion przemawia w powietrze.

– Oczywiście, że przybędę, mistrzu – powiedział mag, a potem, po chwili: – Jak szybko?

Po kolejnej długiej chwili rzekł w przestrzeń coś w języku, którego kapitan nie rozumiał, i uczynił gest spowijający na moment jego ciało w mrok.

– Kapitanie – oznajmił – przykro mi, lecz zaczarowanie twoich żagli musi poczekać. Nadchodzi trzęsienie ziemi. Muszę ostrzec miasto.

Zechcesz powiadomić wszystkich w porcie? Niech każdy statek wypłynie na otwarte morze, poza Zbrojne Urwiska.

Odwrócił się i pobiegł ulicą – wysoki, silny mężczyzna o rozczochranych siwiejących włosach. Pędził rączo jak jeleń.

***

Port Gont leży w sercu długiej wąskiej zatoki między stromymi skałami. Z morza wpływa się do niej pomiędzy dwoma wielkimi przylądkami, bramami portu, Zbrojnymi Urwiskami, które dzieli zaledwie trzydzieści metrów. Przylądki bronią Portu Gont przed piratami, lecz tworzą też niebezpieczeństwo. Długa zatoka to przedłużenie uskoku w ziemi, a szczęki, które raz się rozwarły, znów mogą się zamknąć.

Ogion uczynił już wszystko, żeby ostrzec miasto, i dopilnował, by strażnicy miejscy i portowi doglądali ruchu, nie pozwalając, aby nieliczne wiodące z miasta drogi zablokowała paniczna ucieczka zdesperowanych ludzi. Teraz zamknął się w komnacie wieży sygnałowej, przekręcił klucz, bo wszyscy jednocześnie domagali się jego uwagi, i wysłał swą postać nad Czarny Staw, za pastwisko Semere, wysoko na zbocze góry.

Jego stary mistrz siedział na trawie obok stawu. Jadł jabłko. Na zaschniętym błocie pokrywającym ziemię wokół jego nóg bieliły się skorupki jajka. Gdy uniósł głowę i ujrzał postać Ogiona, uśmiechnął się szeroko, słodko. Wyglądał bardzo staro. Nigdy nie wydawał się taki stary. Ogion nie widział go od ponad roku, był zbyt zajęty; zawsze miał dużo pracy w porcie, musiał załatwić mnóstwo spraw władców i zwykłych ludzi. Brakło mu czasu, by przechadzać się po lesie na zboczu góry i posiedzieć z Enhemonem w małym domku w Re Albi, słuchając i milcząc. Enhemon był stary – zbliżał się do osiemdziesiątki – i przerażony. Uśmiechnął się radośnie na widok Ogiona, jednak w uśmiechu tym krył się lęk.

– Chyba wiem, co musimy zrobić – oznajmił bez żadnych wstępów. – Spróbujemy podtrzymać uskok, ty u bram, a ja po

drugiej stronie, w górze. Będziemy pracować razem; może nam się uda. Czuję, jak napięcie narasta, a ty?

Ogion potrząsnął głową. Pozwolił swej postaci usiąść na trawie obok Enhemona. Pod zjawą nie ugięło się nawet źdźbło trawy.

– Zdołałem tylko wywołać panikę w mieście – rzekł – i wyprawić statki z zatoki. Co czujesz? Jak to wyczuwasz?

Były to pytania techniczne jednego maga do drugiego. Enhemon zawahał się lekko.

– Ard... nauczyłem się... – powiedział i znów umilkł. Nigdy nie opowiadał Ogionowi o swym pierwszym mistrzu, czarodzieju nieznanym nawet na Goncie, okrytym niesławą. Z postacią Arda wiązała się jakaś tajemnica, może hańba. Choć gadatliwy jak na czarnoksiężnika, w pewnych sprawach Enhemon milczał jak głaz. Ogion, który szanował milczenie nauczyciela, nigdy nie pytał go o mistrza.

– To nie jest magia z Roke – oznajmił starzec. Jego głos brzmiał sucho, nieco sztucznie. – Nie narusza jednak równowagi. To nic śliskiego. – Słowem tym zawsze określał wszelkie złe czyny, zaklęcia rzucane dla zysku, klątwy, czarną magię: śliskie sprawy. Po pewnym czasie, wyraźnie szukając odpowiednich słów, dodał: – Ziemia, skały. To brudna magia. Stara, bardzo stara. Równie stara jak wyspa Gont.

– Stare Moce – mruknął Ogion.

Enhemon przytaknął.

– Czy zdoła zapanować nad ziemią?

– Raczej się z nią dogadać. – Enhemon zagrzebał w piasku ogryzek jabłka i większe fragmenty skorupek. Starannie uklepał ziemię. – Oczywiście znam słowa, ale będę musiał na bieżąco uczyć się, co robić. W tym kłopot z wielkimi zaklęciami, co? Uczysz się, co masz robić, kiedy już to robisz. Nie da się poćwiczyć. O, proszę, czujesz?

Ogion pokręcił głową.

– Napięcie. – Enhemon spoglądał gdzieś w głąb siebie. Mimowolnie poklepywał ziemię niczym pasterz uspokajający spłoszoną krowę. – Już niedługo. Czy zdołasz utrzymać bramy otwarte?

– Powiedz mi, co zrobić.

Ale Enhemon potrząsnął tylko głową.

– Nie, nie mamy czasu. To nie dla ciebie.

Sprawiał wrażenie zdenerwowanego tym, co wyczuwał w ziemi i w powietrzu. Poprzez niego Ogion poczuł narastające, nieznośne napięcie. Po chwili jednak starzec odprężył się nieco, a nawet lekko uśmiechnął.

– Bardzo stare sprawy. Żałuję, że tak mało się nad nimi zastanawiałem, że ci ich nie przekazałem, ale wydawały się takie prymitywne, brutalne... Nie powiedziała, gdzie się tego nauczyła. Oczywiście tutaj... Istnieją przecież różne rodzaje wiedzy.

– Ona?

– Ard. Mój mistrz. – Enhemon uniósł twarz nieodgadnioną jak maska. Czyżby w jego wzroku kryła się przebiegłość? – Nie wiedziałeś? Rzeczywiście, chyba nigdy o tym nie wspominałem. W sumie co za różnica? Żaden z nas, czarnoksiężników, i tak nie ma płci. Liczy się tylko, w czyim domu zamieszkamy. Możliwe, że zapomnieliśmy o wielu rzeczach wartych poznania, właśnie takich... O, proszę! Jest znowu...

Jego nagłe napięcie i bezruch, wykrzywiona twarz i skierowane do wewnątrz spojrzenie przypominały zachowanie rodzącej, która czuje skurcz macicy, pomyślał Ogion.

– Co masz na myśli, mówiąc „w górze”?

Skurcz minął. Enhemon odpowiedział spokojnie:

– Wewnątrz góry. W Iaved. – Wskazał widoczne w dole skaliste wzgórza. – Wejdę do środka, spróbuję podtrzymać uskok. Nie wątpię, że wkrótce się dowiem, jak to zrobić. Powinieneś już wracać do siebie. Napięcie rośnie.

Znów umilkł, jakby zaatakowany gwałtownym bólem. Skulił się w sobie, z trudem wstał z ziemi. Ogion bez zastanowienia wyciągnął rękę, by mu pomóc.

– Nic z tego. – Stary mag uśmiechnął się szeroko. – Jesteś tylko wiatrem, światłem słońca. A teraz ja stanę się ziemią i kamieniem. Czas ci w drogę. Żegnaj, Aihalu. Choć raz rozewrzyj szczęki, dobrze?

Ogion posłusznie wrócił do dusznej, zawieszonej gobelinami komnaty w Porcie Gont. Dopiero gdy podszedł do okna i ujrzał

widoczne w dole zamykające zatokę urwiska, niczym szczęki gotowe się zacisnąć, zrozumiał żart starca.

– Tak też uczynię – powiedział i wziął się do pracy.

***

– Oto co muszę zrobić – oznajmił stary czarnoksiężnik, wciąż przemawiając do nieobecnego Milczka, bo czuł się z tym lepiej. – Muszę wejść w głąb góry, do samego środka, ale nie tak jak czarodziej poszukiwacz, nie prześlizgując się pomiędzy, patrząc, kosztując. Głębiej. Aż do końca. Nie do żył, lecz do kości. O tak.

Stojąc samotnie na pastwisku w blasku słońca, Enhemon szeroko rozłożył ramiona w geście inwokacji rozpoczynającym wszystkie wielkie zaklęcia i przemówił.

Kiedy wypowiedział słowa, których nauczyła go Ard, nic się nie stało; Ard, jego mistrz, czarownica o ostrym języku i długich chudych rękach, wówczas wymówiła je błędnie, teraz zabrzmiały właściwie. Nic się nie stało. Miał jeszcze czas, by pożałować rozstania ze światłem i nadmorskim wiatrem, i by zwątpić w moc zaklęcia, we własne siły. A potem ziemia się uniosła i otoczyła go – sucha, ciepła, ciemna.

Wiedział, że powinien się spieszyć, że kości ziemi nękane bólem pragną się poruszyć i że musi stać się nimi, by nimi pokierować. Nie mógł jednak nic zrobić. Czuł oszołomienie towarzyszące przemianie. W swoim życiu bywał już lisem, bykiem i ważką. Wiedział, jak to jest, kiedy się zmienia postać. To jednak było coś zupełnie innego. Powoli się rozrastał. Rosnę, pomyślał.

Sięgnął ku Iaved, ku bólowi, cierpieniu. Zbliżając się, poczuł, jak ogarnia go fala ogromnej siły nadpływająca z zachodu. Zupełnie jakby Milczek ujął go za rękę. Dzięki temu mógł posłać mu własną siłę, siłę góry. Nie powiedziałem, że już nie wrócę, pomyślał. Były to jego ostatnie hardyckie słowa, ostatni żal, bo teraz znalazł się już pośród kości góry. Poznał żyły ognia i bicie olbrzymiego serca. Wiedział, co ma robić. Przemówił w języku nieznanym człowiekowi.

– Cicho. Spokojnie. Już dobrze. No, dalej. Tylko spokojnie.

I stał się spokojny, nieruchomy, skała w skale, ziemia w ziemi, w ognistym mroku góry.

***

Ludzie widzieli jedynie, jak ich mag Ogion stoi samotnie na dachu wieży sygnałowej. Ulice w dole unosiły się i opadały niczym morskie fale. Bruk wyskakiwał z ziemi. Ściany z glinianych cegieł rozpadały się w pył. Zbrojne Urwiska z jękiem zbliżyły się ku sobie. A wtedy Ogion wyciągnął przed siebie ręce, rozchylił je powoli i przylądki rozsunęły się wraz z nimi, po czym stanęły bez ruchu. Miasto zadrżało i znieruchomiało. Ogion powstrzymał trzęsienie ziemi. Widzieli to. Widzieli na własne oczy.

– Pomagał mi mój mistrz, a jemu jego mistrz – mówił Ogion, gdy sławili jego imię. – Mogłem utrzymać bramy portu otwarte, bo on zatrzymał górę.

Oni jednak wychwalali jego skromność i nie słuchali. Umiejętność słuchania to rzadki dar. Ludzie potrzebują bohaterów.

Gdy w mieście znów zapanował porządek, statki wróciły do przystani, a mury zostały odbudowane, Ogion umknął przed tłumem i ruszył na wzgórza nad Portem Gont. Znalazł cichą małą kotlinkę, zwaną Doliną Krawca, której prawdziwe imię w Mowie Tworzenia brzmiało Iaved, tak jak prawdziwe imię Ogiona brzmiało Aihal. Chodził po niej cały dzień, jakby czegoś szukał. Wieczorem położył się na ziemi i zaczął do niej mówić.

– Powinieneś był mi powiedzieć. Mógłbym się chociaż pożegnać...

Zapłakał; jego łzy padły na suchą ziemię pomiędzy źdźbłami trawy, pozostawiając maleńkie krople błota, lepkie plamki wilgoci. Zasnął tam, na ziemi. O brzasku wstał i ruszył zboczem w stronę Re Albi. Nie wszedł do wioski, lecz minął ją i dotarł do dwuizbowej chaty przycupniętej samotnie na północy przy Overfell. Drzwi stały otworem.

Ostatnie strąki fasoli już dojrzały i wisiały spęczniałe na pędach. Trzy kury gdakały, drepcząc po zakurzonym podwórku – czerwona, brązowa i biała. Szara wysiadywała jajka w kurniku. Nie dostrzegł koguta, którego Enhemon nazwał Królem. Król umarł, pomyślał Ogion. Może właśnie w tej chwili wykluwa się kurczę, które zajmie jego miejsce. Wydało mu się, że z małego sadu za domem dobiega go woń lisa.

Zamiótł kurz i liście, które wpadły przez otwarte drzwi i zasłały drewnianą podłogę. Wyniósł na słońce siennik i kołdrę Enhemona, by je przewietrzyć. Trochę tu zostanę, pomyślał, to dobre miejsce. A po chwili dodał w myślach: Może sprawię sobie kilka kóz.

4

Historia z Górskich Moczarów

Wyspa Semel leży na północny zachód od Havnoru, po drugiej stronie Morza Pelnijskiego, na południowy zachód od Enladów. Choć to jedna z wielkich wysp Archipelagu Ziemiomorza, nie pochodzi z niej zbyt wiele opowieści. Enlad ma własną wspaniałą historię, Havnor bogactwa, Paln złą sławę, a Semel znana jest jedynie z bydła i owiec oraz górującego nad lasami i miasteczkami wielkiego, milczącego wulkanu Andanden.

Na południe od Andandenu rozciągają się moczary. Gdy wulkan przebudził się po raz ostatni, opadła na tę krainę dziesięciometrowa warstwa popiołów. Rzeki i strumienie przeciskały się przez grubą warstwę pyłu, rozlewały się coraz szerzej i szerzej, i utworzyły wielkie, ponure mokradła rozciągające się aż po horyzont. Niewiele tam drzew, niewielu ludzi. Na żyznych popiołach rośnie soczysta zielona trawa. Tamtejsi mieszkańcy hodują krowy, które sprzedają ludnym osadom z południowego wybrzeża. Krowy pasą się swobodnie na równinie, gdzie rzeki służą za ogrodzenia.

Jak zawsze w górach, Andanden włada tutejszą pogodą. Gromadzi wokół siebie chmury. Lato na moczarach jest krótkie, zima długa.

We wczesnym mroku zimowego dnia na wietrznych rozstajach pojawił się podróżny. Żadna z dróg nie wyglądała obiecująco. Były to zwykłe krowie ścieżki wśród sitowia. Wędrowiec rozejrzał się w poszukiwaniu jakiegoś znaku.

Schodząc po zboczu góry, dostrzegł rozrzucone wśród mokradeł domy. Zdawało mu się, że zmierza w stronę wioski. Gdzieś jednak musiał źle skręcić. Wysokie ściany sitowia napierały na ścieżki. Jeśli nawet gdzieś w pobliżu świeciło jakieś światło, nie mógł go dostrzec. Woda szumiała mu wesoło u nóg. Okrążając Andanden twardymi drogami z czarnej lawy, zniszczył sobie buty, całkiem przetarł podeszwy. Czuł kąsającą w stopy lodowatą wilgoć bagiennych ścieżek.

Szybko robiło się coraz ciemniej. Z południa unosiła się mgiełka, przesłaniała niebo. Tylko nad ogromnym, mrocznym masywem góry wciąż jeszcze płonęły gwiazdy. Wiatr poświstywał wśród sitowia cicho, ponuro.

Podróżny stał na rozstajach i gwizdał w odpowiedzi.

Coś poruszyło się na jednym ze szlaków. Coś wielkiego, czarnego w mroku.

– Jesteś tam, moja droga? – spytał podróżny. Przemawiał w dawnej mowie, Mowie Tworzenia. – Chodź zatem, Ullo.

Jałówka zbliżyła się ku niemu, ku swemu imieniu. Człowiek ruszył jej na spotkanie. Bardziej dotykiem niż wzrokiem dostrzegł wielką głowę i pogładził jedwabiste zagłębienie między oczami, a także czoło wokół zalążków rogów.

– Piękna, jesteś taka piękna – powiedział, wciągając w płuca pachnący trawą krowi oddech, tuląc się do ciepłego ciała. – Zaprowadzisz mnie tam, gdzie winienem się udać?

Miał szczęście, natykając się na młodziutką krowę, nie jedno z wędrujących na swobodzie zwierząt, które poprowadziłoby go głębiej na moczary. Ulla uwielbiała przeskakiwać przez płoty, gdy jednak trochę się powałęsała, zaczynała tęsknić za oborą i matką, od której od czasu do czasu pociągała jeszcze nieco mleka. Teraz chętnie ruszyła do domu. Szła wolno, lecz zdecydowanie, jedną ze ścieżek. Wędrowiec stąpał obok, opierając dłoń na jej zadzie. Gdy zaczęła brodzić w głębokim do kolan strumieniu, trzymał się jej ogona. Wdrapując się na niski błotnisty brzeg, wyrwała mu ogon z dłoni, zaczekała jednak, aż towarzyszący jej człowiek jeszcze bardziej niezgrabnie wgramoli się za nią. Dopiero wówczas spokojnie

poszła naprzód. Przywarł do jej boku, chcąc się ogrzać, bo lodowata woda strumienia zmroziła go aż do kości. Dygotał cały.

Wtem Ulla zamuczała cicho i tuż po prawej stronie ujrzał niewyraźny prostokąt żółtego światła.

– Dziękuję – rzekł i otworzył furtkę przed jałówką, która zaczęła witać swą matkę. On tymczasem, potykając się, ruszył przez podwórze w stronę drzwi.

Słysząc pukanie, gospodyni pomyślała, że to pewnie Owoc, choć nie miała pojęcia, czemu dobijał się do drzwi.

– Wejdź, głupcze! – rzuciła, on jednak zastukał ponownie. Odłożyła zatem robótkę i podeszła do drzwi. – Już jesteś pijany?

I wówczas go ujrzała. Z początku pomyślała, że to król, władca, Maharion z dawnych pieśni, wysoki, prosty, piękny. Potem uznała go za żebraka, zbłąkanego biedaka. Miał brudne ubranie i dygotał z zimna.

– Zabłądziłem – powiedział. – Czy to wioska? – Głos miał ostry i chrypły, głos żebraka, ale nie akcent.

– Nie, wioska leży pół mili stąd – odparła Dar.

– Jest tam gospoda?

– Dopiero w Oraby, dziesięć mil na południe. – Zastanowiła się chwilę. – Potrzebujesz pokoju na noc? Znajdziesz go u mnie albo u Sana w wiosce.

– Jeśli mogę, zostanę tutaj – odparł jak prawdziwy książę, szczękając zębami i przytrzymując się framugi, by nie upaść.

– Zdejmij buty – poleciła. – Są zupełnie przemoczone. Wejdź zatem. – Odstąpiła na bok. – Podejdź do ognia. – Posadziła go na ławie Brena, tuż przy palenisku. – Napijesz się zupy? Jest wciąż gorąca.

– Dziękuję, dobrodziejko – mruknął, kuląc się przy ogniu.

Przyniosła mu miskę bulionu. Zaczął pić. Łapczywie, lecz ostrożnie, jakby odwykł od gorącego jedzenia.

– Przychodzisz zza góry?

Przytaknął.

– Po co?

– Aby dotrzeć tutaj.

Dreszcze powoli ustępowały. Jego bose stopy wyglądały żałośnie: posiniaczone, spuchnięte, pomarszczone od wilgoci. Pragnęła powiedzieć, by zbliżył je do ciepłego paleniska, ale nie chciała się narzucać. Nie wiedziała, kim był, lecz z pewnością nie żebrakiem.

– Niewielu przychodzi na Górskie Moczary – rzekła. – Handlarze, owszem, ale nie zimą.

Skończył zupę i zabrała miskę. Usiadła na stołku obok lampy oliwnej i wzięła się do łatania.

– Rozgrzej się. Potem zaprowadzę cię do łóżka. W tamtym pokoju nie ma ognia. Jaka pogoda na górze? Mówią, że padał śnieg.

– Trochę.

Przyjrzała mu się uważnie w blasku lampy i płomieni huczących w palenisku. Miał jakieś czterdzieści lat, był chudy i nie tak wysoki, jak z początku sądziła. Piękna twarz miała dziwny wyraz, jakby coś było z nią nie tak. Czegoś brakowało. Zniszczony, pomyślała. Zniszczony człowiek.

– Po co przychodzisz na moczary?

Miała prawo pytać, w końcu go ugościła. Czuła się jednak niezręcznie, tak go wypytując.

– Mówiono mi, że wśród tutejszego bydła panuje pomór.

Teraz, gdy się trochę ogrzał, głos miał naprawdę piękny. Niczym gawędziarz opowiadający historię o władcach, smoku i bohaterach. Może był bajarzem bądź pieśniarzem? Ale nie. Wspominał o pomorze.

– Istotnie.

– Może zdołam pomóc zwierzętom.

– Jesteś znachorem?

Tylko skinął głową.

– Zatem ludzie uradują się z twojego przybycia. Zaraza zbiera straszne żniwo. Jest coraz gorzej.

Nie odpowiedział. Widziała, jak ciepło wkrada się do jego ciała.

– Przysuń stopy do ognia – poleciła ostro. – Mam stare buty należące do męża.

Wypowiedzenie tych słów wiele ją kosztowało, kiedy jednak już się na to zdobyła, poczuła się wolna, spokojna. Po co jej buty Brena? Na Owoca były za małe, na nią za duże. Oddała jego ubrania, lecz

zatrzymała buty. Wtedy nie wiedziała czemu, lecz najwyraźniej miały trafić do tego przybysza. Jeśli zaczekać odpowiednio długo, wszystko się wyjaśnia.

– Dam ci je – rzekła. – Twoje są całkiem zniszczone.

Zerknął na nią. Oczy miał wielkie, ciemne, głębokie, nieprzeniknione, niczym oczy konia.

– Mąż nie żyje – dodała. – Od dwóch lat. Gorączka bagienna. To plaga tych stron. Wszystko przez wodę. Mieszkam z bratem, jest teraz w wiosce, w tawernie. Mamy mleczarnię. Sama robię sery. Nasze krowy nie chorują. – Uczyniła znak odpędzający zło. – Trzymam je przy domu. Na łąkach zaraza pleni się szybko. Może wygaśnie podczas mrozów.

– Prędzej mrozy wybiją chore zwierzęta – odparł znachor. W jego głosie wyczuła senność.

– Zwą mnie Dar – powiedziała. – Mojego brata Owoc.

– Parów – odparł po chwili.

Wydało jej się, że wymyślił to imię w tym momencie. Nie pasowało do niego. Nic w nim nie pasowało do reszty, nie tworzyło całości. A jednak mu ufała, czuła się przy nim pewnie. Nie chciał jej skrzywdzić. Pomyślała, że jest w nim dobroć. Można to poznać po tym, jak mówił o zwierzętach. Z pewnością dobrze sobie z nimi radzi. Sam przypominał zwierzę; milczące, ranne stworzenie, potrzebujące pomocy, lecz niepotrafiące o nią prosić.

– Chodź – rzekła – zanim mi tu zaśniesz.

Posłusznie podążył za nią do pokoju Owoca, niewiele większego od szafy. Dar miała pokój za kominem. Gdy za jakiś czas pijany Owoc wróci do domu, przygotuje mu siennik pod ścianą. Niech podróżny prześpi się w porządnym łóżku. Może kiedy odejdzie, zostawi miedziak czy dwa. Ostatnio w domu brakowało pieniędzy.

***

Ocknął się jak zawsze w swym pokoju w Wielkim Domu. Nie pojmował, czemu sufit tak bardzo się obniżył, czemu czuje kwaśny

zapach mleka, a w pobliżu ryczą krowy. Musiał leżeć chwilę w bezruchu, powracając myślami do innego miejsca, innego człowieka, którego imienia użytkowego nie potrafił sobie przypomnieć, choć wypowiedział je zeszłego wieczoru do jałówki bądź kobiety. Znał swoje prawdziwe imię, czuł jednak, że tutaj na nic mu się nie przyda. Widział czarne drogi, ociekające wodą zbocza i rozległą zieloną równinę przeciętą siecią błyszczących, bystrych rzek. Wiał zimny wiatr. Sitowie szeleściło. Młoda krowa przeprowadziła go przez strumień, a Emer otworzyła mu drzwi. Poznał jej imię w jednej chwili. Musi nazywać ją inaczej. Nie wolno wymienić tamtego imienia. Musi przypomnieć sobie, jak się przedstawił. Nie może być dla niej Iriothem. Choć przecież jest Iriothem. Może z czasem stanie się kim innym. Nie, tak być nie może. Musi pozostać tym, kim jest. Nogi tego, kim jest, bolały. Stopy piekły. Leżał jednak w porządnym łóżku, pod pierzyną. Było mu ciepło i nie musiał wstawać. Zdrzemnął się, odpływając od Iriotha.

Gdy w końcu wstał, zastanawiał się, ile ma lat. Spojrzał na swe ręce i przedramiona. Wciąż wyglądał na człowieka w sile wieku, choć czuł się jak starzec i poruszał z trudem. Powoli naciągnął ubranie, brudne po wielodniowej wędrówce. Pod krzesłem czekała para butów, znoszonych, lecz porządnych, a także grube wełniane skarpety. Wsunął je na obolałe stopy i pokuśtykał do kuchni. Emer stała przy wielkiej misce, wyciskając w kawałku materiału coś ciężkiego.

– Dziękuję za skarpety i za buty... – rzekł i w tym momencie, dziękując za dar, przypomniał sobie jej imię użytkowe, dokończył jednak tylko: – dobrodziejko.

– Bardzo proszę – odparła i przeniosła swój ciężar do ciężkiej glinianej misy. Wytarła ręce w fartuch.

Nie znał się na kobietach. Nie mieszkał wśród nich, odkąd skończył dziesięć lat. Bał się ich, kobiet w wielkiej kuchni, które bardzo dawno temu wrzeszczały, by zszedł im z drogi. Gdy jednak zaczął podróżować po Ziemiomorzu, spotkał kilka kobiet. Były niczym zwierzęta – zajmowały się swymi sprawami, nie zwracając na niego uwagi, chyba że je spłoszył. Starał się tego nie robić. Nie chciał wzbudzać w nich lęku. Nie były mężczyznami.

– Masz ochotę na świeży twaróg? To dobre śniadanie.

Zerkała na niego z ukosa i nie patrzyła w oczy, jak zwierzę, kot – obserwowała, lecz nie rzucała wyzwania. Na obramowaniu paleniska leżał prawdziwy kot, wielki buras. Wyciągnięty wygodnie, spoglądał na żarzące się węgle. Irioth przyjął podaną mu miskę i łyżkę. Kocur wskoczył na siedzisko obok niego i zaczął mruczeć.

– To ci dopiero – rzekła gospodyni. – Zwykle jest nieufny wobec obcych.

– Pewnie ma ochotę na twaróg.

– Może poznał znachora.

Czuł się bezpieczny w towarzystwie tej kobiety i kota. Znalazł dobry dom.

– Na dworze jest zimno – powiedziała. – Rano zamarzła rynna. Chcesz odejść już dzisiaj?

Nastała cisza. Przypomniał sobie, że musi odpowiadać słowami.

– Zostanę, jeśli mogę. Zostanę tutaj.

Uśmiechnęła się, lecz wyczuł w niej wahanie.

– Bardzo proszę – odezwała się po chwili. – Muszę jednak spytać, czy możesz mi trochę zapłacić.

– O tak – odparł oszołomiony. Wstał i pokuśtykał do sypialni po sakiewkę. Przyniósł monetę, małą enladzką złotą koronę.

– Tylko za ogień i jedzenie. W dzisiejszych czasach torf słono kosztuje – wyjaśniała właśnie. Nagle dostrzegła, co jej podsunął. – O, panie! – westchnęła.

Zrozumiał, że zrobił coś nie tak.

– Nikt w wiosce nie mógłby tego zmienić – rzekła. Przez moment patrzyła mu prosto w twarz. – Cała wioska nie zdołałaby tego zmienić! – Wybuchnęła śmiechem.

Zatem wszystko było w porządku, choć słowo „zmienić” natrętnie dźwięczało mu w uszach.

– Pieniądz nie został zmieniony... – Nagle pojął, że gospodyni nie to miała na myśli. – Przepraszam. Gdybym został tu miesiąc, może całą zimę, czy to by wystarczyło? Muszę gdzieś mieszkać, gdy będę zajmować się bydłem.

Ponownie wybuchnęła śmiechem i zatrzepotała rękami.

– Jeśli zdołasz uleczyć bydło, właściciele ci zapłacą. Wówczas ty zapłacisz mnie. Jeśli chcesz, nazwij to zabezpieczeniem. Lecz schowaj swe złoto, panie. Na jego widok kręci mi się w głowie. Owocu – dodała, bo w tym momencie drzwi otwarły się, wpuszczając do środka chłodny powiew, i stanął w nich wychudzony mężczyzna o podstępnej twarzy – ten pan zatrzyma się u nas, dopóki nie uleczy krów.

– Oby szło mu jak najszybciej.

– Przedstawił zabezpieczenie. Będziesz zatem sypiał przy kominie, a on w twoim pokoju. To mój brat, Owoc, panie.

Owoc pochylił głowę i wymamrotał coś pod nosem. Oczy miał mętne. Iriothowi zdawało się, że ktoś go otruł. Gdy Owoc znów wyszedł, gospodyni zbliżyła się i powiedziała cicho, pewnym siebie głosem:

– Nie ma w nim zła, panie. To przez trunek. Ale też pozostało z niego niewiele więcej. Schowaj zatem pieniądze tak, by ich nie znalazł, proszę. Nie będzie ich szukał, lecz wziąłby, gdyby zobaczył. Sam nie wie, co robi. Rozumiesz?

– Tak. Rozumiem. Miła z ciebie niewiasta. – Mówiła o bracie, że sam nie wie, co robi. I wybaczała mu. – Kochająca siostra.

Słowa te zabrzmiały świeżo. Nigdy dotąd niczego takiego nie powiedział ani nie pomyślał. Przez moment miał wrażenie, że wyraził się w Prawdziwej Mowie, której nie wolno mu używać. Gospodyni jednak uśmiechnęła się tylko i wzruszyła ramionami.

– Czasami mam ochotę skręcić mu durny kark – odparła, wracając do pracy.

Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest zmęczony. Cały dzień drzemał przy ogniu wraz z burym kotem. Tymczasem Dar krzątała się przy pracy. Nakarmiła go kilka razy – nędzną, prostą strawą, lecz on rozkoszował się każdym kęsem. Wieczorem Owoc gdzieś poszedł, a Dar westchnęła ciężko.

– Gdy wspomni, że mamy lokatora, w gospodzie dadzą mu nowy kredyt. Ale to nie twoja wina.

– O tak – rzekł Irioth. – To moja wina.

Ale ona mu wybaczyła. Bury kot grzał mu uda, pogrążony we śnie. W umyśle ujrzał kocie sny: nizinne pola, na których rozmawiał

ze zwierzętami, mroczne zakątki. Kot wskoczył do jednego z nich, znalazł mleko i zaczął głośno mruczeć. Nie istniała tu wina, jedynie wielka niewinność. Nie potrzeba było słów. Nie znajdą go tutaj. Nie zdołają go znaleźć. Nie musiał wymawiać żadnych imion. Nie było tu nikogo oprócz niej i śpiącego kota oraz migoczącego ognia. Wędrował czarnymi drogami po zboczach martwej góry. Tu jednak strumienie płynęły leniwie wśród pastwisk.

***

Był szalony. Nie miała pojęcia, co ją opętało. Czemu zgodziła się, by został? Nie potrafiła jednak lękać się go i mu nie ufać. Czy to ważne, że jest szalony? Był łagodny, a kiedyś mógł być mądry, nim zdarzyło się to, co go spotkało. Poza tym szaleństwo nie zawładnęło nim całkowicie. Ogarniało go chwilami. Nic w nim nie było jednością, nawet obłęd. Nie pamiętał imienia, które jej podał, i powiedział ludziom w wiosce, by nazywali go Otak. Prawdopodobnie jej imienia także nie zdołał sobie przypomnieć; zawsze zwracał się do niej „dobrodziejko". Może to jednak uprzejmość? Ona z uprzejmości nazwała go panem, a także dlatego, że Parów ani Otak do niego nie pasowały. Słyszała, że otak to pozbawione głosu zwierzątko o ostrych zębach, lecz na Górskich Moczarach nie widywała podobnych stworzeń.

Z początku sądziła, że historia o leczeniu bydlęcej choroby też należała do przejawów szaleństwa. Jej gość nie zachowywał się jak znachorzy przynoszący zaklęcia, mikstury i maści. Gdy jednak odpoczął kilka dni, spytał o imiona gospodarzy z wioski i wyruszył w drogę, kuśtykając w starych butach Brena. Na ten widok ścisnęło jej się serce.

Wrócił wieczorem, kulejąc jeszcze mocniej, bo oczywiście San natychmiast wyprowadził go na Długie Pola, gdzie pasły się jego krowy. Wprawdzie były w wiosce konie – hodował je Olcha – lecz wierzchowców dosiadali wyłącznie pastuchowie. Dar podała gościowi miskę gorącej wody i czysty ręcznik do wytarcia obolałych stóp.

Zaproponowała mu kąpiel. Razem nagrzali wody i napełnili starą wannę. Potem wyszła do swego pokoju. Kiedy wróciła, wszystko było już uprzątnięte. Ręczniki wisiały przy ogniu. Nigdy nie znała mężczyzny, który potrafiłby tak zadbać o siebie. Kto mógłby oczekiwać tego po bogaczu? Z pewnością w domu miał służbę, nie sprawiał jednak więcej kłopotu niż kot. Sam prał sobie ubranie, a nawet pościel. Przekonała się o tym pewnego słonecznego dnia, gdy wywiesił uprane rzeczy.

– Nie musisz tego robić, panie. Dorzucę twoje rzeczy do moich.

– Nie ma potrzeby – odparł z roztargnieniem, jakby sam nie do końca wiedział, co mówi. Potem jednak dodał: – Bardzo ciężko pracujesz.

– A kto nie pracuje? Lubię robić ser. To ciekawe zajęcie. Jestem silna. Boję się tylko starości, gdy nie zdołam już dźwignąć wiader i form. – Zademonstrowała mu krągłe, muskularne ramię, zaciskając dłoń w pięść i uśmiechając się szeroko. – Niezłe jak na pięćdziesięciolatkę – dodała. Czuła się niemądrze, przechwalając się przed nim. Była jednak dumna ze swych mocnych ramion i niespożytych sił.

– Niech ci się wiedzie – powiedział z powagą.

Świetnie potrafił obchodzić się z krowami. Gdy był na miejscu, a ona potrzebowała pomocy, zastępował Owoca i, jak powiedziała ze śmiechem swej przyjaciółce, Płowej, radził sobie z krowami sprytniej niż stary pies Brena.

– On do nich mówi i przysięgłabym, że rozumieją jego słowa. A jałówka łazi za nim jak szczeniak.

Cokolwiek czynił z krowami na pastwiskach, gospodarze szanowali go coraz bardziej. Oczywiście, gotowi byli chwycić się wszystkiego. Połowa stada Sana padła. Olcha nie chciał mówić, jaką część pogłowia stracił. Wszędzie wokół leżały krowie trupy. Gdyby nie chłód na moczarach, powietrze cuchnęłoby zgnilizną. Zwykła woda nie nadawała się do picia; trzeba było gotować ją co najmniej godzinę. Dobra woda pozostała tylko w dwóch studniach – jednej w mleczarni i drugiej, od której wieś wzięła swą nazwę.

Pewnego ranka na podwórze przybył jeden z pastuchów Olchy. Jechał konno, za sobą prowadził osiodłaną mulicę.

– Mości Olcha kazał powtórzyć, by pan Otak jej dosiadł. Na wschodnie pola jest daleko – oznajmił.

Jej gość wyszedł z domu. Poranek był jasny, mgiełka spowijała moczary połyskującym woalem. Andanden wznosił się w górze – potężna sylwetka na tle północnego nieba.

Znachor nie odezwał się do pastucha. Ruszył wprost do muliczki, córki wielkiej oślicy Sana i białego ogiera Olchy. Była młoda, srokata, z przewagą bieli. Miała śliczny pysk. Mówił coś do niej, szepcząc do wielkiego, ruchliwego ucha.

– Często tak z nimi rozmawia – rzekł pastuch.

W jego głosie dało się wyczuć rozbawienie, ale i pogardę. Był jednym z kompanów Owoca z gospody, w sumie jednak przyzwoitym młodzieńcem jak na pastucha.

– A czy leczy krowy? – spytała.

– No, nie potrafi natychmiast ich uzdrowić. Zwykle jednak udaje mu się pomóc, jeśli nie zaczęła się kołowacizna. A te, które nie zachorowały, podobno unikną zarazy. Toteż nasz pan wysyła go na pastwiska, by zajął się wszystkimi zwierzętami. Dla wielu jest już za późno.

Znachor sprawdził uprząż, poluzował jakiś rzemień i niezgrabnie wspiął się na siodło. Muliczka odwróciła długi, kremowo-biały pysk i pięknymi oczami spojrzała na jeźdźca, on zaś uśmiechnął się. Dar nigdy dotąd nie widziała, by się uśmiechał.

– Ruszamy? – spytał pastucha, który odjechał bez słowa, machając gospodyni na pożegnanie.

Muliczka stąpała szybko, płynnie. Białe plamy na skórze połyskiwały w porannym świetle. Dar pomyślała, że patrzy za znachorem jak za księciem, kimś z baśni i legend. Sylwetki jeźdźców brodzących w jasnej mgle nad ciemnym brązem zimowych pól rozpłynęły się w świetle i znikły.

***

Praca na pastwiskach była bardzo ciężka.

„A kto nie pracuje?” – spytała niedawno Emer, pokazując mu swe krągłe, silne ramiona i twarde czerwone dłonie.

Gospodarz, Olcha, oczekiwał, że Irioth zostanie na łąkach, póki nie dotknie każdego zwierzęcia z Wielkich Stad. Przysłał mu do pomocy dwóch pastuchów. Rozbili prymitywne obozowisko: jedna derka i namiot osłaniały przed deszczem. Na moczarach trudno było o drwa; ogień podsycali gałązkami krzaków i suchym sitowiem. Płomień wystarczył ledwo, by zagotować wodę, człowiek nie mógł się przy nim ogrzać.

Pasterze starali się zgonić krowy w pobliże obozowiska, by znachor nie musiał podjeżdżać kolejno do każdego zwierzęcia pasącego się na suchych, zamarzniętych łąkach. Wciąż się wściekali, bo stada nie udawało się długo utrzymać w jednym miejscu. Ich brak cierpliwości ogromnie Iriotha dziwił. Traktowali zwierzęta jak rzeczy, niczym flisacy spławiający drewno rzeką. Polegali wyłącznie na swej sile.

Dla niego także brakło im cierpliwości. Stale go poganiali, by szybciej kończył robotę. Nie mieli też cierpliwości dla siebie i dla swego życia. Rozmawiali wyłącznie o tym, jak zabawią się w mieście Oraby po wypłacie. Wysłuchał wielu historii o tamtejszych dziewkach, Złotej i Stokrotce, a także kobiecie, którą nazywali Płonącą Kępą. Musiał siadać obok nich, bo wszyscy trzej łaknęli ciepła ogniska, oni jednak nie życzyli sobie jego towarzystwa, a on nie chciał być z nimi. Wiedział, że w ich sercach kryje się lęk przed czarownikami, a także zazdrość. Przede wszystkim jednak wyczuwał w nich wzgardę. Był starszy, obcy. Dobrze znał zazdrość i strach, i unikał ich. Znał też pogardę. Cieszył się, że pastuchowie nie chcą z nim rozmawiać. Bał się, że mógłby zrobić im coś złego.

Wstał wczesnym mroźnym rankiem. Pasterze wciąż spali, opatuleni w pledy. Wiedział, gdzie w pobliżu pasą się krowy. Nie potrzebował pomocy. Dobrze już poznał chorobę. Jeśli posunęła się daleko, wyczuwał ją w dłoniach, piekącą niczym ogień, a jego ciało ogarniała słabość. Zbliżał się właśnie do leżącego na ziemi byczka. Poczuł zawrót głowy i zwymiotował. Nie podszedł bliżej. Wymówił tylko słowa, które mogłyby złagodzić ból, i ruszył dalej.

Mógł krążyć między bykami, mimo iż były bardzo dzikie, a z rąk ludzi doświadczały tylko kastracji i rzezi. Ich ufność go cieszyła. Był

z niej dumny. Nie powinien się tym szczycić, a jednak. Jeśli pragnął dotknąć jednego z wielkich stworzeń, wystarczyło, by stanął obok i przemówił do niego w języku istot pozbawionych mowy.

– Ulla – mówił, nazywając kolejne zwierzęta. – Ellu. Ellua.

A one stały nieruchomo, wielkie, obojętne. Czasami któreś przyglądało mu się długą chwilę. Czasem podchodziło swobodnym, majestatycznym krokiem i dmuchało mu w dłoń ciepłym oddechem. Te, które przyszły, mógł uleczyć. Kładł ręce na porośniętych szorstkim włosiem gorących bokach i szyjach, i przekazywał dar uzdrawiania, raz po raz powtarzając magiczne słowa. Po jakimś czasie zwierzę zaczynało się trząść, rzucało głową albo spokojnie odchodziło, a on opuszczał ręce i stał bez ruchu, oszołomiony, wyczerpany. Potem zjawiało się kolejne, wielkie, ciekawe, nieśmiałe. W głębi brązowych ciał kryła się choroba – ukłucia, pieczenie w dłoniach, zawroty głowy.

– Ellu – mówił, podchodził do krowy, kładł na niej ręce i trzymał tak, póki nie zgrabiały niczym zanurzone w górskim strumieniu.

Pastuchowie kłócili się, czy można bezpiecznie zjeść mięso byczka padłego na pomór. Ich zapasy żywności, od początku skromne, niemal się skończyły. Zamiast jechać dwadzieścia, trzydzieści mil po nowe, woleli wyciąć padłemu zwierzęciu ozór.

Irioth już wcześniej zmuszał ich do gotowania wody. Teraz rzekł:

– Jeśli zjecie to mięso, za rok zaczniecie cierpieć na zawroty głowy, potem dostaniecie kołowacizny i umrzecie jak one.

Zaczęli go przeklinać i wyśmiewać, ale uwierzyli. Nie miał pojęcia, czy powiedział prawdę. Tak mu się zdawało. Może chciał zrobić im na złość. Może chciał się ich pozbyć.

– Wracajcie – rzekł. – Zostawcie mnie tutaj. Dla jednej osoby jedzenia wystarczy na trzy, cztery dni. Muliczka sama trafi do domu.

Nie musiał ich długo przekonywać. Odjechali, pozostawiając mu wszystko: pledy, namiot, żelazny kociołek.

– Jak wrócimy do wioski? – spytał muliczkę.

Odprowadziła wzrokiem dwa konie i odpowiedziała tak, jak to czynią zwierzęta.

– Aaaach! – westchnęła. Będzie jej brakowało koni.

– Musimy skończyć to, cośmy zaczęli – rzekł, a ona spojrzała na niego łagodnie.

Wszystkie zwierzęta były cierpliwe, lecz cierpliwość wierzchowców wyróżniała je spośród innych, bo obdarzały nią ludzi z własnej woli. Psy są wierne, kryje się w tym jednak posłuszeństwo. To zwolennicy hierarchii, dzielący świat na panów i plebs. Dla koni każdy jest panem. Z własnej woli zgadzają się współpracować. Wiele razy szedł wśród wielkich, szerokich kopyt koni pociągowych, nie czując lęku. Ciepłe oddechy dobywające się z miękkich chrap napawały go otuchą. Działo się to bardzo dawno temu. Przemówił do ślicznej muliczki, nazywając ją swą ulubienicą, pocieszając, by nie czuła się samotna.

Dotarcie do każdego zwierzęcia w wielkich stadach na wschodnich moczarach zajęło mu jeszcze sześć dni. Przez ostatnie dwa krążył wśród rozproszonych grupek krów wędrujących u stóp góry. Wielu z nich nie dotknęła jeszcze choroba. Muliczka dźwigała go na grzbiecie. Tak było łatwiej. Nie miał już jednak nic do jedzenia. Gdy wrócił do wioski, uginały się pod nim kolana. Był bardzo słaby. Droga do domu ze stajni Olchy, gdzie zostawił muliczkę, zajęła mu bardzo dużo czasu. Emer powitała go, zrugała i usiłowała zmusić do jedzenia. Wyjaśnił, że jeszcze nie może nic przełknąć.

– Kiedy tam byłem, na chorych polach, wśród choroby, ja też czułem się chory. Niedługo znów będę mógł coś zjeść.

– Oszalałeś! – wykrzyknęła z gniewem, który wydał mu się przejmująco słodki. Czemu gniew innych nie był taki słodki? – Przynajmniej się wykąp – rzuciła.

Wiedział, jak cuchnie, i podziękował jej.

– Ile Olcha płaci ci za to wszystko? – spytała ostro, grzejąc wodę. Wciąż była oburzona.

– Nie wiem – odparł.

Zastygła w bezruchu.

– Nie ustaliłeś ceny?

– Ustalić cenę? – Spiął się cały. Potem przypomniał sobie, kim nie jest, i dodał z pokorą: – Nie.

– O, święta naiwności! – syknęła gniewnie Dar. – To skąpiec. – Wlała do wanny sagan parującej wody. – Ma kościane płytki –

dodała. – Powiedz, że to musi być kość. Dziesięć dni chłodu i głodu, na polach! San ma tylko miedziaki, ale Olcha może zapłacić kością. Wybacz, że wtrącam się do twoich spraw, panie.

Pchnęła nogą drzwi i wyszła do pompy, dźwigając dwa puste cebrzyki. Ostatnio w ogóle nie czerpała wody ze strumienia. Była mądra i miła. Czemu tak długo przebywał wśród ludzi, którzy nie byli mili?

Następnego dnia Olcha rzekł:

– Pożyjemy, zobaczymy. Jeśli moje krowy wyzdrowieją i przeżyją zimę, uznam, że dobrze się spisałeś. Nie, żebym w to wątpił, ale bądźmy uczciwi. Nie chciałbyś, bym zapłacił ci tyle, ile zamierzam, po to by odkryć, że czar nie zadziałał i zwierzęta padły. Niech się odwróci! Nie żądam jednak, byś czekał bez zapłaty. Oto zaliczka na poczet tego, co jeszcze dostaniesz. Jesteśmy kwita? Tak?

Miedziaki nie były nawet ukryte w sakwie, jak nakazywał zwyczaj. Irioth musiał wyciągnąć rękę, a gospodarz ułożył na niej sześć miedzianych monet.

– No proszę, załatwione. – Uśmiechnął się dobrodusznie. – Za kilka dni zajmiesz się roczniakami na pastwiskach wokół Długiego Stawu.

– Nie – odparł Irioth. – Kiedy zostawiłem stado Sana, padało mnóstwo zwierząt. Jestem tam potrzebny.

– Ależ nie, panie Otaku. Podczas twojej nieobecności zjawił się znachor, czarownik. Bywał tu już wcześniej. Pochodzi z południowego wybrzeża i San go zatrudnił. Pracuj dla mnie, dobrze ci zapłacę. Może lepiej niż miedzią, jeśli krowy wyzdrowieją.

Irioth nie odpowiedział „tak”, „nie” ani „dziękuję”. Odszedł bez słowa. Gospodarz odprowadził go wzrokiem i splunął.

– Niech się odwróci – westchnął.

Pierwszy raz od przybycia na Górskie Moczary Irioth czuł niepokój. Walczył z nim. Do wioski przybył człowiek obdarzony mocą, obcy. Ale to czarownik. Tak twierdził Olcha. Nie czarnoksiężnik, nie czarodziej, tylko znachor, uzdrowiciel bydła. Nie muszę się go lękać. Nie muszę bać się jego mocy. Nie potrzebuję jego mocy. Muszę go jednak zobaczyć, upewnić się. Jeśli przybył po to co ja, nie szkodzi. Możemy

pracować razem. Jeśli przybył tylko po to. Jeżeli korzysta ze zwykłych czarów i nie chce czynić nic złego, jak ja.

Krętą uliczką Czystej Studni powędrował do domu Sana stojącego naprzeciwko karczmy. Gospodarz, zgorzkniały mężczyzna po trzydziestce, rozmawiał z kimś obcym. Gdy ujrzeli Iriotha, obaj pospiesznie odwrócili głowy. San wszedł do domu. Obcy podążył jego śladem.

Irioth stanął na progu.

– Mości Sanie, przybywam w sprawie bydła między rzekami. Mogę zająć się nim dzisiaj. – Nie wiedział, czemu to powiedział. Nie takie miał zamiary.

– Cóż... – San zawahał się i podszedł do drzwi. – Nie ma potrzeby, mości Otaku. Oto mości Promień, który przybywa, by zająć się pomorem. Leczył już wcześniej moje krowy, choroby kopyt i inne. Roboty przy stadach Olchy i tak jest aż nadto dla jednego...

Czarownik nazywał się Ayeth. Jego moc była niewielka, skażona złością i kłamstwami, lecz zazdrość paliła niczym żywy ogień.

– Od dziesięciu lat prowadzę tu interes – rzekł oskarżycielsko, wyłaniając się zza pleców Sana i mierząc Iriotha wzrokiem. – A ty przychodzisz z północy i podbierasz mi pracę. Wielu miałoby coś przeciw temu, ale kłótnia czarowników to zła rzecz. Czy w ogóle jesteś czarownikiem? Masz moc? Bo ja mam. Wszyscy tutejsi ludzie to wiedzą.

Irioth próbował powiedzieć, że nie chce kłótni, pracy starczy dla dwóch, nie chce jej nikomu odbierać, lecz gorycz zazdrości Ayetha wypalała w nim słowa. Przybysz i tak by ich nie usłyszał, a swą złością niszczył je, nim zostały wypowiedziane. Z coraz większą wzgardą patrzył na milczącego Iriotha. Zaczął mówić coś do Sana, a wówczas Irioth odezwał się w końcu:

– Musisz... – rzekł. – Musisz iść. Z powrotem.

Gdy wymówił ostatnie słowo, lewą ręką ciął powietrze, jakby machał ostrym nożem. Ayeth oszołomiony runął na krzesło.

Był mizernym czarownikiem, oszustem znającym zaledwie kilka nędznych zaklęć. A może oszukiwał, może ukrywał swą moc, może to rywal? Zazdrosny rywal? Trzeba go powstrzymać, spętać, nazwać, przywołać. Irioth zaczął wymawiać słowa, które by go spętały,

i przerażony Ayeth umknął, kuląc się, malejąc, wrzeszcząc głośno. To złe, złe. Robię coś złego, to ja jestem zły, pomyślał Irioth. Uciszył własne słowa. Walczył z nimi. I w końcu wykrzyknął tylko jedno. Ayeth przypadł do ziemi, drżał na całym ciele i wymiotował. San patrzył na nich oszołomiony, próbując powiedzieć: „Niech się odwróci, odwróci!", i nie stało się nic złego. Lecz w dłoniach Iriotha płonął ogień. Płonął w oczach, gdy próbował ukryć je przed światem. Na języku, gdy usiłował coś powiedzieć.

***

Przez długi czas nikt nie chciał go tknąć. Upadł na progu Sana i leżał niczym martwy. Lecz znachor z południa stwierdził, że Otak nie umarł i jest groźny jak grzechotnik. San opowiedział innym, jak Otak rzucił klątwę na Promienia i wypowiedział straszne słowa, które sprawiły, że znachor zaczął maleć, kurczyć się i zawodzić niczym patyk w ogniu. A potem w jednej chwili znów był sobą, tylko rzygał jak kot. Tymczasem drugiego znachora otaczało dziwne, migoczące niczym ogień światło i tańczące wokół cienie. Jego głos nie przypominał głosu człowieka. Coś strasznego.

Promień poradził, by się go pozbyli, nie czekał jednak, aż to zrobią. Wychyliwszy pospiesznie kufel piwa w gospodzie, ruszył z powrotem na południe, oznajmiając, że w jednej wsi nie ma miejsca dla dwóch czarowników. Może wróci, gdy ten drugi odejdzie.

Nikt nie chciał Otaka tknąć. Przyglądali się z daleka ciału leżącemu na progu Sana. Żona gospodarza zawodziła wniebogłosy, biegając po ulicy:

– Niech będzie przeklęty, przeklęty! – wrzeszczała. – Moje dziecko urodzi się martwe! Ja to wiem!

Kiedy Owoc usłyszał w gospodzie opowieść Promienia, a także wersję Sana i kilka innych krążących po wsi – w najlepszej z nich Otak wyrósł w górę na pięć łokci, piorunem spalił Promienia na popiół, a potem na usta wystąpiła mu piana, posiniał i runął na ziemię – ruszył do domu, by sprowadzić siostrę.

Dar pospieszyła do wioski, wprost na próg domu Sana, pochyliła się nad Otakiem i położyła na nim rękę. Wszyscy jęknęli, mamrocząc: „Niech się odwróci!”, jedynie najmłodsza córeczka Płowej coś źle zrozumiała i pisnęła: „Niech ci się wiedzie!”.

Znachor poruszył się i powoli dźwignął z ziemi. Ujrzeli, że wygląda dokładnie tak jak przedtem. Nie dostrzegli żadnych ogni ani cieni. Sprawiał wrażenie chorego.

Dar pomogła mu wstać. Wolno poszli razem ulicą.

Wieśniacy potrząsnęli głowami. Dar to odważna kobieta. Czasem jednak ludzie bywają zbyt odważni. Albo też – mówili do siebie, siedząc wokół stołu w gospodzie – odważni w niewłaściwy sposób, w niewłaściwym miejscu. Nikt nie powinien mieszać się do spraw czarowników, jeśli brakuje mu mocy. Ludzie o tym zapominają. Czarownicy wyglądają jak inni, ale nie są tacy. Wydaje się, że znachor nie robi nic złego, leczy choroby kopyt, zatkane wymiona. Nic groźnego, prawda? Wystarczy jednak go rozzłościć, i proszę. Ognie i cienie. Klątwy i drgawki. Dziwy niewidy. Ten nowy zawsze był podejrzany. Skąd się w ogóle wziął? Kto o nim słyszał?

***

Doprowadziła go do łóżka, zdjęła mu buty i zostawiła pogrążonego we śnie. Owoc wrócił późno, bardziej pijany niż zwykle. Upadł i rozciął sobie czoło o kozioł do drewna. Wściekły, zlany krwią, polecił siostrze, by wyrzuciła czarownika z domu, i to już. Potem zwymiotował w popioły i zasnął na palenisku. Zawlokła go na siennik. Poszła sprawdzić, co się dzieje z gościem. Chyba miał gorączkę. Przyłożyła mu dłoń do czoła, a on otworzył oczy, patrząc wprost na nią obcym wzrokiem.

– Emer – rzekł i przymknął powieki.

Cofnęła się przerażona.

Nocą, w swym łóżku, pogrążona w ciemności rozmyślała. Znał pewnie czarnoksiężnika, który nadał mi imię. Albo sama je wymówiłam. Może mówiłam we śnie. Albo ktoś mu powiedział. Ale

przecież nikt mojego imienia nie zna. Nikt nigdy go nie znał, tylko czarnoksiężnik i moja matka, a oni nie żyją. Od dawna nie żyją. Musiałam gadać we śnie...

Wiedziała jednak, że to nieprawda.

***

Stała obok z olejną lampką w dłoni. Światło przeświecało czerwonym blaskiem przez jej palce, ozłacało twarz. Wymówił jej imię. Ona dała mu sen.

***

Spał do późnego ranka i ocknął się niczym po długiej chorobie, potulny i osłabiony. Nie potrafiła się go bać. Odkryła, że w ogóle nie pamiętał, co stało się w wiosce. Na kołdrze znalazła sześć miedziaków. Zapewne cały czas ściskał je w dłoni.

– Bez wątpienia to zapłata Olchy – rzekła. – Skąpiradło!

– Powiedziałem, że zajmę się jego krowami... na pastwisku między rzekami, prawda? – Zaczynał się niepokoić. Podniósł się z ławy.

– Siadaj – poleciła.

Usiadł. Wiercił się jednak.

– Jak możesz leczyć, gdy sam jesteś chory? – spytała.

– A można inaczej?

Uspokoił się i zaczął głaskać kota. Wkrótce potem zjawił się Owoc.

– Wyjdź ze mną – polecił siostrze, ujrzawszy znachora drzemiącego na ławie.

Podreptała na dwór.

– Nie będę z nim mieszkać pod jednym dachem – oznajmił tonem pana domu. Na jego czole widniała czarna szrama. Oczy miał mętne jak ostrygi. Trzęsły mu się ręce.

– Dokąd pójdziesz? – spytała.

– Nie ja. On musi odejść.

– To mój dom. Dom Brena. On zostanie. Idź albo zostań. Wolna wola.

– Ja zdecyduję, czy on zostanie, czy sobie pójdzie. I pójdzie. To nie zależy tylko od ciebie. Wszyscy w wiosce mówią, że musi odejść. Jest dziwny.

– O tak, skoro uleczył już połowę stad i dostał za to sześć miedziaków, czas, żeby odszedł, jasne. Zatrzymam go tu, jak długo zechcę. Koniec rozmowy.

– Nie kupią od ciebie mleka ani sera – jęknął Owoc.

– Kto tak twierdzi?

– Żona Sana. Wszystkie kobiety.

– Zaniosę więc sery do miasta i tam sprzedam. Okaż trochę przyzwoitości. Przemyj ranę i zmień koszulę. Cuchniesz jak gorzelnia.

Wróciła do domu i wybuchnęła płaczem.

– Co się stało, Emer? – spytał znachor, zwracając ku niej szczupłą twarz i niezwykłe oczy.

– Nic już z niego nie będzie. Wiem o tym. Nic po nim. Z pijakiem nigdy nie dojdziesz do ładu. – Otarła oczy rąbkiem fartucha. – Czy to właśnie cię zniszczyło? Trunek?

– Nie – odparł bez cienia urazy. Może w ogóle nie zrozumiał, co miała na myśli.

– Oczywiście, że nie. Wybacz.

– Może pije po to, by stać się kimś innym, zmienić się, odmienić swe życie...

– Pije, bo pije – powiedziała. – Niektórym to wystarczy. Idę do mleczarni. Zamknę drzwi. Ostatnio kręcili się tu obcy. Ty odpoczywaj. Na dworze jest bardzo zimno.

Wolała mieć pewność, że Otak zostanie w domu, gdzie nic mu nie grozi. Później sama wybierze się do wioski i pomówi z co rozsądniejszymi ludźmi.

Zrobiła tak i sporo wieśniaków, w tym żona Olchy, Płowa, zgodziło się, iż sprzeczka między czarownikami dotycząca ich pracy to nic nowego i nie ma się czym przejmować. Lecz San, jego żona i goście z gospody wciąż o tym gadali – awantura była jedynym ciekawym wydarzeniem tej zimy oprócz choroby bydła.

– Poza tym – dodała Płowa – mój mąż nie ma nic przeciw temu, by płacić miedzią, gdy powinno się zapłacić kością.

– A krowy, których Otak dotknął? Wciąż są zdrowe?

– Tak. I następne już nie chorują.

– To prawdziwy czarownik, Płowa – powiedziała cicho Dar.

– W tym właśnie kłopot, moja droga, i dobrze o tym wiesz. To nie miejsce dla takiego człowieka. Nie powinno nas obchodzić, kim jest, musisz jednak spytać, po co tu przybył.

– Aby wyleczyć krowy – odparła Dar.

***

Niecałe trzy dni po odejściu Promienia w wiosce znów pojawił się ktoś nowy. Przyjechał drogą z południa na porządnym koniu i w gospodzie pytał o nocleg. Posłano go do domu Sana, lecz na wieść, iż u drzwi stoi jakiś obcy, żona gospodarza zaczęła wrzeszczeć, że jeżeli znowu wpuszczą za próg czarownika, dziecko po dwakroć urodzi się martwe. Jej krzyki słychać było na całej ulicy. Między gospodą i domem Sana zebrał się tłum, to znaczy z dziesięć, może kilkanaście osób.

– Za nic w świecie bym nie chciał – rzekł obcy miłym tonem – aby moja obecność miała przedwcześnie sprowadzić na świat dziecko. Może znajdzie się dla mnie pokój nad gospodą?

– Poślij go do mleczarni – mruknął jeden z pastuchów Olchy. – Dar przyjmie każdego.

Wśród zebranych rozległy się śmieszki i syki.

– Tamtędy – wskazał właściciel gospody.

– Dzięki – odparł podróżny i poprowadził konia drogą ku łąkom.

– Wszyscy cudzoziemcy w jednym koszyku – dodał właściciel gospody.

Tej nocy wiele razy powtarzano to powiedzonko w gospodzie i nieodmiennie budziło bezbrzeżny zachwyt. Ludzie nie śmiali się tak od czasu, kiedy nastała zaraza wśród bydła.

***

Dar była właśnie w mleczarni, skończyła wieczorny udój. Przelewała teraz mleko i szykowała garnki.

– Dobrodziejko – odezwał się ktoś w drzwiach.

Myśląc, że to znachor, powiedziała:

– Jeszcze chwileczka. Zaraz skończę.

Potem odwróciła się, ujrzała nieznajomego i o mało nie upuściła rondla.

– Zaskoczyłeś mnie. Czym mogę ci służyć?

– Szukam łóżka. Noclegu.

– Nie, bardzo mi przykro. Jest tu już mój lokator, brat i ja. Może w wiosce...

– Stamtąd mnie tu przysłali. Powiedzieli „wszyscy cudzoziemcy w jednym koszyku" – odparł nieznajomy.

Przekroczył już trzydziestkę. Miał szczerą twarz, miły uśmiech i ubierał się z prostotą, choć stojący za nim ogier był zacnym wierzchowcem.

– Wystarczy mi miejsce w oborze, dobrodziejko, ale mój koń potrzebuje dobrego noclegu. Jest zmęczony. Prześpię się w oborze, a rano ruszę w drogę. W zimne noce miło się śpi obok krów. Chętnie też zapłacę, jeśli wystarczą dwa miedziaki. Nazywam się Jastrząb.

– Ja jestem Dar – odparła z lekką rezerwą. Spodobał jej się jednak. – W porządku, mości Jastrzębiu. Odprowadź konia i zajmij się nim. Na podwórzu jest pompa, w oborze mnóstwo siana. Potem przyjdź do domu. Poczęstuję cię mleczną zupą, a za wszystko wystarczy jeden miedziak.

Nie miała ochoty nazywać go panem jak znachora. Nie było w nim nic pańskiego, nie dostrzegła w nim króla.

Gdy skończyła pracę w mleczarni i wróciła do domu, Jastrząb zręcznie rozpalał ogień w palenisku. Znachor spał w swym pokoju. Zajrzała do niego i zamknęła drzwi.

– Niezbyt dobrze się czuje – powiedziała, zniżając głos. – Leczył bydło daleko na wschodzie, na moczarach, w najgorszym zimnie. Był

tam wiele dni i jest wyczerpany.

Zabrała się do pracy w kuchni, a Jastrząb zaczął jej pomagać. Czynił to zupełnie naturalnie. Zastanawiała się, czy wszyscy cudzoziemcy tak świetnie sobie radzą w domu, znacznie lepiej niż mężczyźni stąd. Łatwo się z nim rozmawiało. Opowiedziała mu o znachorze. Jej nie przytrafiało się nic ciekawego.

– Wykorzystują czarownika, a potem obmawiają go za to, że im pomógł. To niesprawiedliwe.

– Ale jakoś ich nastraszył, prawda?

– Chyba tak. W wiosce zjawił się Promień, inny znachor. Bywał tu już przedtem. Według mnie niewiele z niego pożytku. Dwa lata temu nie pomógł krowie z zapaleniem wymienia i założę się, że jego maści to zwykły smalec. Powiedział Otakowi, że odbiera mu pracę. Pewnie Otak odrzekł mu coś niegrzecznie, od słowa do słowa stracili cierpliwość i może użyli czarnych zaklęć. Przynajmniej Otak. Wcale jednak nie skrzywdził Promienia. Sam upadł na ziemię. Teraz niczego nie pamięta, a Promień odszedł stąd bez szwanku. Ludzie mówią, że wszystkie dotknięte przez Otaka zwierzęta są silne i zdrowe. Spędził na pastwiskach dziesięć dni, na wietrze i deszczu uzdrawiając krowy. I wiesz, jaką dostał zapłatę? Sześć miedziaków. Czy to dziwne, że się rozzłościł? Nie twierdzę jednak... – Ugryzła się w język i podjęła spokojniej: – Nie twierdzę, że czasami nie bywa dziwny. Tak jak wiedźmy i czarownicy. Może tak być musi? W końcu mają do czynienia z różnymi mocami, ze złem. Lecz to uczciwy człowiek, uprzejmy.

– Dobrodziejko, czy mógłbym opowiedzieć ci pewną historię? – spytał Jastrząb.

– Jesteś bajarzem? Czemu od razu o tym nie wspomniałeś? Tym się zajmujesz? Zastanawiałam się, czemu podróżujesz w środku zimy. Sądząc po koniu, uznałam, że musisz być kupcem. Opowiesz coś? Ogromnie mnie tym uradujesz. Im dłuższa historia, tym lepiej. Najpierw jednak zjedz zupę i pozwól, że usiądę...

– Nie jestem prawdziwym bajarzem, dobrodziejko – odparł z miłym uśmiechem – ale mam dla ciebie historię.

Kiedy już zjadł zupę, a ona usiadła z robótką w ręku, zaczął opowiadać:

– Na Morzu Najgłębszym, na Wyspie Mędrców, Roke, gdzie naucza się wszelkiej magii, żyje Dziewięciu Mistrzów...

Dar z błogim uśmiechem zamknęła oczy, słuchając słów Jastrzębia.

Wymienił wszystkich Mistrzów: Sztuk i Ziół, Wzorów i Przywołań, Wiatrów i Pieśni, Imion i Przemian.

– Przemiany i przywołania to niebezpieczne sztuki. Przemianę bądź transformację może zdarzyło ci się oglądać, dobrodziejko. Nawet zwykły czarownik umie tworzyć iluzje, zmieniać jedną rzecz w inną i przyjmować z pozoru obcą postać. Widziałaś to?

– Tylko o tym słyszałam – szepnęła.

– A czasami wiedźmy i czarownicy mówią, że potrafią przywołać zmarłych. Może dziecko opłakiwane przez rodziców. W ciemności chaty wiedźmy słyszą jego płacz bądź śmiech....

Skinęła głową.

– To też jedynie zaklęcia iluzji, złudzenia. Istnieją jednak prawdziwe przemiany i prawdziwe przywołania. Pomyśl, co za pokusa dla czarnoksiężnika. Cudownie jest latać na skrzydłach sokoła, dobrodziejko, i oglądać ziemię w dole sokolimi oczami. A przywoływanie, nazywanie prawdziwym imieniem, to wielka moc. Poznać prawdziwe imię znaczy zdobyć władzę. Wiesz o tym, dobrodziejko. I sztuka przywołań sprowadza się właśnie do tego. Cudownie jest móc przywołać obrazy i duchy dawno zmarłych, ujrzeć urodę Elfarran w sadach Solei, taką jak widział ją Morred, gdy świat był jeszcze młody...

Jastrząb zniżył głos, mówił cicho, z powagą.

– Wracajmy do opowieści. Ponad czterdzieści lat temu na wyspie Ark, bogatej wyspie na Morzu Najgłębszym, na południowy wschód od Semel, urodził się chłopiec, syn służącego w domostwie władcy Ark. Nie należał do biedoty, lecz nikogo specjalnie nie obchodził. Jego rodzice zmarli młodo, toteż nikt nie zwracał uwagi na chłopca, póki nie objawił swych zdolności. Był niesamowity. Miał moc. Jednym słowem potrafił rozpalić bądź zgasić ogień, sprawić, że garnki i patelnie fruwały w powietrzu. Umiał zamienić mysz w gołębia i nakazać jej fruwać po wielkiej kuchni władcy Ark. A przerażony

bądź rozgniewany, krzywdził innych. Kucharza, który znęcał się nad nim, oblał wrzątkiem, odwracając kocioł.

– Litości! – szepnęła Dar. Odkąd rozpoczął opowieść, nawet nie sięgnęła po igłę.

– Był tylko dzieckiem, a czarnoksiężników władcy trudno nazwać mędrcami, bo wobec chłopca brakło im mądrości i wyrozumiałości. Może się go bali. Skrępowali mu ręce i zakneblowali usta, by nie mógł rzucać zaklęć. Zamknęli go w piwnicy, w kamiennej celi. W końcu uznali, że został poskromiony. Wówczas odesłali go do stajni wielkiego gospodarstwa, świetnie sobie bowiem radził ze zwierzętami i uspokajał się przy koniach. Chłopak jednak pokłócił się ze stajennym i zamienił biedaka w kupę gnoju. Czarnoksiężnicy zmienili ją z powrotem w stajennego, ponownie związali chłopca, zakneblowali i wsadzili na statek płynący na Roke. Uznali, że może tamtejsi mistrzowie zdołają go poskromić.

– Biedne dziecko – westchnęła.

– Istotnie, bo marynarze też się go bali i nie rozwiązywali całą drogę. Gdy chłopak stanął przed Wielkim Domem na Roke, Mistrz Odźwierny rozwiązał mu ręce i uwolnił język. Dzieciak zaś od razu wywrócił Długi Stół w jadalni do góry nogami, skwasił piwo, a ucznia, który próbował go powstrzymać, zamienił w świnię. W osobach mistrzów spotkał jednak godnych przeciwników.

Nie ukarali go, lecz spętali jego nieujarzmioną moc zaklęciami i przekonywali, by zaczął się uczyć. Wymagało to wiele czasu. Chłopak miał w sobie buntowniczego ducha, nakazującego mu traktować każdą moc, jakiej nie posiadał, każdą rzecz, której nie znał, jako groźbę, wyzwanie. Coś, z czym należy walczyć, póki się tego nie pokona. Znałem wielu podobnych chłopców. Sam byłem taki. Miałem jednak szczęście i wcześnie dostałem nauczkę.

W końcu chłopiec opanował swój gniew i zaczął władać mocą – a moc miał ogromną. Wszystko przychodziło mu bardzo łatwo, zbyt łatwo. Gardził więc iluzjami, zaklinaniem pogody, a nawet uzdrawianiem, bo nie stanowiły dla niego żadnego wyzwania. Nie krył się w nich lęk. Nie dostrzegł w nich niczego ciekawego. Gdy zatem Arcymag Nemmerle obdarzył go prawdziwym imieniem,

chłopiec zajął się wielką niebezpieczną sztuką przywołań. Długi czas pobierał nauki u jej mistrza.

Mieszkał na Roke, bo tam gromadzi się i przechowuje wszelką magiczną wiedzę. Nie pragnął wcale podróżować i poznawać ludzi, nie chciał oglądać świata. Twierdził, że może przywołać do siebie wszystko i obejrzeć. Rzeczywiście. I może w tym właśnie kryło się największe niebezpieczeństwo.

Jedno jest zabronione magom zajmującym się przywołaniami, wszelkim czarnoksiężnikom – wezwanie żywego ducha. Możemy posyłać innym ludziom swój głos lub obraz, iluzję. Nie wolno nam jednak ich przywoływać, ducha ani ciała. Tylko zmarłych. Tylko cienie. Rozumiesz, dobrodziejko, czemu tak musi być? Jeśli mag przywoła żywego człowieka, będzie miał nad nim absolutną władzę, nad ciałem i umysłem. Nikt, nieważne jak mądry czy potężny, nie może władać innymi i ich wykorzystywać.

W chłopcu jednak, gdy dorósł i stał się mężczyzną, wciąż tkwił duch rywalizacji. To częste na Roke. Być lepszym niż inni, zawsze pierwszym... Sztuka zamienia się w pojedynek, w grę. Cel staje się środkiem wiodącym do innego, mniej ważnego celu. Na Roke nie było nikogo o większych zdolnościach niż ów człowiek. Trudno jednak było mu znieść, jeśli ktokolwiek zrobił coś lepiej. Przerażało go to i złościło.

Nie było dla niego miejsca wśród mistrzów – wybrano właśnie nowego Mistrza Przywołań, młodego mężczyznę w pełni sił, który mógł żyć wiele lat. Człowiek, o którym opowiadam, wśród uczonych i nauczycieli cieszył się sławą, nie był jednak jednym z Dziewięciu Mistrzów. Pominięto go. Może nie powinien był zostawać na wyspie, stale przebywać wśród czarnoksiężników i magów, wśród chłopców studiujących magię, łaknących mocy, coraz więcej mocy, stale próbujących przewyższyć innych. Lata płynęły, a on coraz bardziej oddalał się od innych, zatopiony w studiach w komnacie na wieży. Przyjmował niewielu uczniów, rzadko się odzywał. Mistrz Przywołań przysyłał mu czasem uzdolnionych chłopców, lecz większość prawie nie wiedziała o jego istnieniu. W samotności zaczął praktykować sztuki, po które sięgać nie należy, bo nie przyjdzie z nich nic dobrego.

Mag zajmujący się przywołaniami przywyka do wzywania duchów, które zjawiają się na jego wezwanie i odchodzą, gdy je odprawi. Może ów człowiek zaczął myśleć: Kto mi zabroni uczynić to samo z żywymi ludźmi? Po co mi moc, jeśli nie mogę z niej skorzystać? Jął zatem wzywać do siebie żywych, ludzi z Roke, których się lękał, uważał za rywali, bo zazdrościł im mocy. Kiedy się zjawiali, przywłaszczał sobie ich moc i tak osłabionych zmuszał do milczenia. Nie mogli opowiedzieć, co ich spotkało. Sami nie wiedzieli.

W końcu przywołał swego mistrza, Mistrza Przywołań z Roke. Zaskoczył go kompletnie.

Lecz Mistrz Przywołań walczył, zarówno ciałem, jak i duchem. Wezwał mnie i przybyłem. Rozpoczęliśmy walkę przeciw woli, która pragnęła nas zniszczyć.

Zapadła noc. Lampa Dar zamigotała i zgasła. Tylko czerwony blask ognia oświetlał twarz Jastrzębia, która wyglądała już inaczej. Była znużona, twarda, z jednej strony pokryta bliznami. Oblicze prawdziwego jastrzębia, pomyślała Dar. Słuchała w milczeniu.

– Nie jest to opowieść bajarza, dobrodziejko. Nie usłyszysz jej od nikogo innego.

Działo się to wkrótce po tym, jak obrano mnie Arcymagiem. Byłem młodszy niż człowiek, z którym walczyliśmy. Może nie dość się go bałem. Wspólnie zdołaliśmy stawić mu opór w cichej celi na wieży. Nikt inny nie wiedział o naszej walce, a trwała bardzo długo. I nagle pokonaliśmy go. Pękł niczym patyk. Złamaliśmy go, ale uciekł. Mistrz Przywołań zużył część swojej mocy, pokonując ową ślepą wolę, a mnie zabrakło sił, by go powstrzymać, kiedy uciekał, i mądrości, żeby posłać kogoś za nim. Nie starczyło mi sił, bym sam podążył jego śladem. I tak zniknął z Roke.

Rzadko i niechętnie wspominaliśmy tę walkę. Wielu miejscowych poczuło ulgę na wieść o jego odejściu, bo zawsze był na wpół obłąkany, a pod koniec zupełnie oszalał.

Kiedy jednak wraz z Mistrzem Przywołań uleczyliśmy nasze dusze i otępienie umysłu następujące po takiej walce, zaczęliśmy myśleć, że nie można pozwolić, by człowiek o tak wielkiej mocy, mag, wędrował po Ziemiomorzu, oszalały, pełen złości, wstydu i złakniony zemsty.

Nie potrafiliśmy odkryć żadnego śladu. Bez wątpienia, opuszczając Roke, zamienił się w rybę bądź ptaka i dotarł na inną wyspę. Zresztą czarnoksiężnik potrafi ukryć się przed wszystkimi zaklęciami odnajdującymi. Rozesłaliśmy wici, prosząc o pomoc w sposób nam właściwy, jednak nie uzyskaliśmy żadnej odpowiedzi. Wyruszyliśmy zatem na poszukiwania, Mistrz Przywołań na wschodnie wyspy, a ja na zachodnie, kiedy bowiem myślałem o tym człowieku, oczami ducha widziałem wielką górę o kształcie stożka i rozległą zieloną równinę u jej podnóża. Przypomniałem sobie lekcje geografii z dzieciństwa, krajobraz wyspy Semel i wulkan Andanden. Przybyłem zatem na Górskie Moczary. Myślę, że dobrze trafiłem.

Zapadła cisza. Ogień szeptał bezgłośnie.

– Mam z nim pomówić? – zapytała spokojnie Dar.

– Nie trzeba – odparł mężczyzna podobny do sokoła. – Sam to zrobię. – Po czym rzekł: – Irioth.

Spojrzała na drzwi sypialni. Otwarły się i stanął w nich Otak, wychudzony i zmęczony. Ciemne oczy miał pełne snu, oszołomienia i bólu.

– Ged – powiedział. Skłonił głowę. Po chwili uniósł wzrok. – Odbierzesz mi imię?

– Czemu miałbym to zrobić?

– Kryje się w nim tylko cierpienie, nienawiść, duma, zachłanność.

– To ci odbiorę, Irioth, ale nie twoje imię.

– Nie rozumiałem – rzekł Irioth. – Nie wiedziałem, że chodzi o innych. Że powinni pozostać inni. Wszyscy jesteśmy inni. Musimy być. Źle postępowałem.

Człowiek nazwany Gedem podszedł do niego i ujął błagalnie wyciągnięte dłonie.

– Zbłądziłeś. Ale wróciłeś. Jesteś jednak zmęczony, Irioth, a samemu trudno pokonać przeszkody. Wróć ze mną do domu.

Iriothowi głowa opadła na piersi, jakby zmogło go znużenie. Z ciała zniknęło wszelkie napięcie. Gdy jednak uniósł wzrok, nie patrzył na Geda, lecz na Dar siedzącą cicho przy palenisku.

– Mam tu pracę – rzekł.

Ged także spojrzał na gospodynię.

– Owszem – przytaknęła. – Leczy krowy.

– Pokazują mi, co mam robić – ciągnął Irioth. – Kim jestem. Znają moje imię, ale nigdy go nie wymawiają.

Po dłuższej chwili Ged łagodnie przyciągnął go do siebie i objął. Powiedział coś cicho. Potem opuścił ręce. Irioth głęboko odetchnął.

– Tam na nic się nie przydam, Ged, rozumiesz? A tu jestem potrzebny. Jeśli pozwolą mi pracować. – Ponownie zerknął na Dar. Ged także. Patrzyła na nich obu.

– Co powiesz, Emer? – spytał człowiek podobny do jastrzębia.

– Powiem – odparła cichym piskliwym głosem, zwracając się do znachora – że jeśli krowy Olchy przetrwają zimę, gospodarze będą błagali, byś został. Choć zapewne nie będą cię kochać.

– Nikt nie kocha czarnoksiężnika – rzekł Arcymag. – I co, Irioth? Pokonałem długą drogę i będę musiał wrócić samotnie?

– Powiedz im... powiedz, że się myliłem – szepnął Irioth. – Że źle postępowałem. Powiedz Thorionowi... – urwał, wyraźnie zagubiony.

– Powiem mu, że zmiana dotykająca ludzkiego życia może wykraczać poza znaną nam sztukę i całą naszą mądrość – rzekł Arcymag. Ponownie spojrzał na Emer. – Czy on może tu zostać, dobrodziejko? Tego sobie życzysz?

– Dziesięciokrotnie bardziej pomaga mi i jest dziesięciokroć milszy niż mój brat – odparła. – To miły, uczciwy człowiek, jak już mówiłam, panie.

– Doskonale zatem. Irioth, mój drogi druhu, nauczycielu, przeciwniku, przyjacielu... żegnaj. Emer, dzielna kobieto, pozdrawiam cię i dziękuję. Oby twój duch i twój dom zaznały pokoju. – Uczynił nad paleniskiem gest, po którym na moment pozostała w powietrzu roziskrzona smuga. – Pójdę już do obory – dodał i odszedł.

Drzwi się zamknęły. Nastała cisza, jedynie ogień syczał i poszeptywał.

– Podejdź do paleniska – powiedziała Dar.

Irioth zbliżył się w milczeniu i usiadł na ławie.

– Czy to jest Arcymag? Naprawdę?

Skinął głową.

– Arcymag całego świata – westchnęła. – W mojej oborze! Powinien zająć moje łóżko...

– Nie zrobiłby tego – rzekł Irioth.

Wiedziała, że miał rację.

– Masz piękne imię, Irioth – szepnęła po chwili. – Nigdy nie znałam prawdziwego imienia mojego męża. Ani on mojego. Twojego nie wymówię ponownie. Cieszę się jednak, że je poznałam, bo ty znasz moje.

– Twoje imię jest piękne, Emer – odparł. – Wymówię je jeszcze nieraz, jeśli zechcesz.

5

Ważka

Iria

Do przodków Ważki należał wielki majątek ziemski na rozległej, bogatej wyspie Way i choć w czasach królów ród nie miał żadnych tytułów ni nadań, przez Mroczne Lata po upadku Mahariona majątek i ludzie pozostawali w ich rękach. Kolejni panowie inwestowali zyski, utrzymywali prawo na swych ziemiach i walczyli z kolejnymi, drobnymi tyranami. Kiedy zaś w Archipelagu zapanował pokój i porządek pod wodzą mędrców z Roke, jakiś czas ród i chłopi żyli w dostatku. Ów dostatek i uroda łąk i górskich pastwisk wśród wzgórz zwieńczonych dębowymi koronami sprawiły, że nazwa majątku stała się powszechnie znana. Ludzie mawiali „tłuste jak krowy w Irii" albo „szczęśliwy jak Irianin". Władcy i wielu spośród sług dodawali nazwę krainy do własnych imion, zowiąc się Irianami. Lecz o ile rolnicy i pasterze trwali niezmienni od jednej pory roku do drugiej, z pokolenia na pokolenie, niewzruszeni niczym dęby, ród, do którego należała ziemia, zmieniał się z upływem czasu, z woli przypadku.

Podzieliła go kłótnia dwóch braci. Jeden z chciwości źle zarządzał majętnością, drugi czynił to samo z głupoty; jeden miał córkę, wydał ją za kupca, a ona próbowała zarządzać swą częścią majętności

z miasta; drugiemu urodził się syn, jego synowie znów się pokłócili i kolejny raz podzielili już podzieloną ziemię. W czasach gdy na świat przyszła Ważka, cała Iria, choć wciąż szczycąca się najpiękniejszymi wzgórzami, polami i łąkami w Ziemiomorzu, stała się obiektem niekończących się sporów i oskarżeń. Gospodarstwa podupadały, domy stały w ruinie, stodoły świeciły pustką, a pasterze podążali za stadami za góry na lepsze pastwiska. Stary dwór wzniesiony pośrodku majątku niszczał na wzgórzu wśród dębów.

Należał do jednego z czterech mężczyzn roszczących sobie prawa do tytułu pana Irii. Pozostali trzej nazywali go panem Starej Irii. Całą młodość poświęcił walkom w sądach i korytarzach władców Way w Shelieth, próbując dowieść swych praw do majętności w granicach sprzed stu lat. W końcu powrócił do domu zgorzkniały, pokonany. Przez resztę życia zajmował się głównie piciem cierpkiego czerwonego wina z ostatniej winnicy i wędrówkami wokół posiadłości ze stadem zaniedbanych, niedożywionych psów, mających nie dopuszczać intruzów na jego ziemię.

Podczas pobytu w Shelieth ożenił się z kobietą, której nie znał nikt z Irii, pochodziła bowiem z innej wyspy, leżącej gdzieś na zachodzie – tak mówiono. Nie towarzyszyła mu, bo zmarła w połogu w mieście. Gdy powrócił, przywiózł ze sobą trzyletnią córkę. Oddał małą na wychowanie gospodyni i zupełnie o niej zapomniał. Czasami, gdy się upił, przypominał sobie o istnieniu dziewczynki i jeśli zdołał ją znaleźć, kazał jej stać obok swego krzesła albo brał ją na kolana. Musiała słuchać opowieści o wszystkich krzywdach, jakie wyrządzono tak jemu, jak i rodowi z Irii. Przeklinał wówczas, krzyczał i pił, zmuszając ją, by także piła i przysięgała czcić swe dziedzictwo i dochować wierności Irii. Mała Ważka posłusznie przełykała wino, nienawidziła jednak przekleństw, przysiąg, łez i następujących po nich obleśnych mokrych pocałunków. Gdy tylko mogła, uciekała do psów, koni i bydła. W ich obecności przysięgała, że dochowa wierności matce, której nikt nie znał ani nie czcił poza nią.

Gdy skończyła trzynaście lat, gospodyni i stary opiekun winnicy – jedyna służba pozostała jeszcze we dworze – przypomnieli panu, że czas już nadać córce imię. Spytali, czy mają posłać po czarodzieja

z Zachodniego Stawu, czy też wystarczy wioskowa czarownica. Pan Irii zawrzał gwałtownym gniewem.

– Wioskowa czarownica? Wiedźma miałaby nadać córce Irii prawdziwe imię? Czy może zdradziecki czarodziej, sługa samozwańców, którzy ukradli memu dziadowi Zachodni Staw? Jeżeli ten śmierdziel postawi stopę na mojej ziemi, poszczuję go psami, które wyrwą mu wątrobę! Powiedzcie mu to, jeśli chcecie.

I tak dalej. Stara Stokrotka wróciła do kuchni, stary Królik do swych winorośli, a trzynastoletnia Ważka wybiegła z domu i popędziła za wzgórze do wioski, obsypując ojcowskimi wyzwiskami psy, które oszalałe z podniecenia biegły za nią i ujadały donośnie.

– Wracajcie, wy niewdzięczne sucze syny! – wrzeszczała. – Do domu, podstępni zdrajcy!

Psy umilkły i ze spuszczonymi ogonami potruchtały z powrotem.

Ważka znalazła wioskową czarownicę, która zajmowała się właśnie wydłubywaniem robaków z zakażonej rany na zadzie owcy. Jej codzienne imię, podobnie jak wielu kobiet na Way i innych wyspach Archipelagu Hardyckiego, brzmiało Róża. Ludzie obdarzeni tajnymi imionami, kryjącymi w sobie ich moc tak jak diament skrywa światło, często wolą na co dzień nazywać się zwyczajnie.

Róża mamrotała pod nosem zaklęcie, lecz większość pracy wykonywały jej dłonie i krótki ostry nóż. Owca cierpliwie znosiła kolejne nacięcia. Jej półprzejrzyste bursztynowe oczy spoglądały w dal. Milczała, od czasu do czasu tupiąc tylko przednim kopytkiem i wzdychając. Ważka przyjrzała się uważnie pracy czarownicy. Róża wydobyła kolejnego robaka, rzuciła na ziemię, splunęła na niego i znów zaczęła drążyć ranę. Dziewczyna przytuliła się do owcy, a owca do dziewczyny; jedna pocieszała drugą. Róża wyciągnęła, upuściła i opluła ostatniego robaka.

– Podaj mi cebrzyk – poleciła. Przemyła ranę słoną wodą. Owca westchnęła głęboko i nagle ruszyła naprzód, zmierzając do zagrody. Miała już dosyć zabiegów leczniczych.

– Zając! – zawołała Róża.

Spod krzaka wynurzył się umorusany, zaspany chłopczyk i ruszył w ślad za zwierzęciem. Owca, którą miał się opiekować, była starsza, większa, lepiej odżywiona i prawdopodobnie mądrzejsza od niego.

– Mówią, że powinnaś nadać mi imię – powiedziała Ważka. – Ojciec wpadł we wściekłość. I tyle.

Czarownica milczała, myjąc nóż i ręce w słonej wodzie. Wiedziała, że dziewczyna ma rację. Gdy pan Irii raz już coś postanowił, nigdy nie zmieniał zdania. Szczycił się tym, twierdząc, że tylko słabi ludzie mówią jedno, a robią drugie.

– Czemu nie mogę sama nadać sobie prawdziwego imienia? – spytała Ważka.

– To niemożliwe.

– Czemu nie? Dlaczego to musi być wiedźma albo czarodziej? Co wy naprawdę robicie?

– No cóż... – Róża wylała wodę na piasek przed domem, który jak większość domów czarownic stał na uboczu. – Cóż... – powtórzyła, prostując się i rozglądając, jakby szukała odpowiedzi, owcy bądź ręcznika. – Widzisz, żeby nadać imię, trzeba znać się na mocy – odparła w końcu, jednym okiem patrząc na Ważkę. Jej drugie oko uciekało w bok. Czasami Ważce zdawało się, że Róży zezuje lewe oko, czasami miała wrażenie, że prawe, zawsze jednak jedno spoglądało prosto, a drugie obserwowało coś z boku, coś innego, ukrytego.

– Jakiej mocy?

– Jedynej – powiedziała krótko Róża.

Równie niespodziewanie jak wcześniej owca czarownica także wstała i odeszła do domu. Ważka ruszyła za nią, ale tylko do drzwi. Nikt nie wchodzi nieproszony do chaty wiedźmy.

– Mówiłaś, że ją mam – rzekła dziewczyna wprost w cuchnący mrok izby.

– Mówiłam, że masz w sobie siłę, wielką siłę – odparła z ciemności czarownica. – Ty także o tym wiesz. Nie mam pojęcia, co powinnaś zrobić. Ty też nie. Trzeba się tego dowiedzieć. Ale nie jest to moc pozwalająca ci nadać sobie imię.

– Czemu nie? Czy jest coś bardziej mojego niż moje prawdziwe imię?

Zapadła długa cisza.

Czarownica wynurzyła się z mroku, niosąc w dłoniach kołowrotek z kamiennym wrzecionem i kłąb tłustej wełny. Usiadła na ławce przy

drzwiach, puściła kołowrotek w ruch. Nim odpowiedziała, uprzędła spory kawałek szarobrązowej włóczki.

– Moje imię to ja, istotnie, ale czym właściwie jest imię? Tak nazywają mnie inni. Jeśli nie ma innych, tylko ja sama, to po co mi imię?

– Ale... – zaczęła Ważka i umilkła, schwytana w pułapkę argumentów. Po chwili dodała: – Zatem imię musi być darem?

Róża przytaknęła.

– Daj mi moje imię, Różo – poprosiła dziewczyna.

– Twój ojciec nie pozwala.

– Ale ja proszę.

– On jest tu panem.

– Może pozbawiać mnie majątku, nauk, wszelkich dóbr, ale nie imienia!

Czarownica westchnęła jak owca, niepewna, niespokojna.

– Dziś wieczorem – powiedziała Ważka – przy źródle, pod Wzgórzem Irii. Ojciec nic nie zrobi, bo nie będzie wiedział. – W jej głosie dawało się wyczuć błagalne napięcie.

– Powinnaś mieć uczciwy dzień nadania imienia, ucztę i tańce, jak każdy – zaprotestowała wiedźma. – Imię nadaje się o wschodzie słońca. A potem muzyka i zabawy, nie ukradkowe nocne spotkanie, o którym nikt nie wie...

– Ja będę wiedziała. Skąd wiesz, jakie imię nadać, Różo? Mówi ci o tym woda?

Wiedźma jeden jedyny raz pokręciła siwą głową.

– Nie mogę ci powiedzieć. – Jej „nie mogę” nie oznaczało „nie powiem”. Ważka czekała cierpliwie. – To moc, jak już mówiłam. Po prostu się zjawia. – Róża przestała prząść i uniosła wzrok. Jedno oko spoglądało na chmurę na zachodzie, drugie nieco dalej na północ. – Stoisz w wodzie wraz z dzieckiem, odbierasz mu dziecięce imię. Ludzie mogą korzystać z niego dalej na co dzień, ale nie jest to prawdziwe imię, nigdy nie było. Teraz dziecko nie jest już dzieckiem i nie ma imienia. Wtedy czekasz, otwierasz swój umysł, jakbyś otwierała drzwi domu, wpuszczając do środka wiatr, i nadchodzi. Twój język wymawia je, twój oddech je tworzy, nadajesz je dziecku. Oddech, imię. Nie myślisz; ono samo zjawia się w twojej głowie.

Przez ciebie trafia do dziecka, do niego należy. To właśnie moc, tak to działa. Wszystko wygląda podobnie, nie jest to coś, co robisz. Musisz wiedzieć, jak pozwalać, by to działo się samo. Oto cała sztuka.

– Magowie potrafią więcej – wtrąciła dziewczyna.

– Nikt nie potrafi zdziałać więcej – odparła Róża.

Ważka pokręciła głową, wyciągając szyję tak mocno, że zatrzeszczały kręgi. Niespokojnie wyprostowała długie ręce i nogi.

– Zrobisz to? – spytała.

Róża przytaknęła krótko.

Ciemną nocą, długo po zachodzie słońca, na długo przed świtem spotkały się na dróżce pod Wzgórzem Irii. Róża przywołała słabe magiczne światełko, tak by mogły przejść przez otaczające źródło moczary, nie zapadając się w bagno wśród trzcin. W zimnym mroku pod kilkoma gwiazdami, ukryte w czarnym cieniu wzgórza rozebrały się i weszły do płytkiej wody. Ich stopy zapadły się głęboko w aksamitny muł. Czarownica dotknęła dłoni dziewczynki.

– Odbieram ci twoje imię, dziecko – rzekła. – Nie jesteś już dzieckiem. Nie masz imienia.

Wokół panowała cisza.

Czarownica zniżyła głos do szeptu.

– Kobieto, bądź nazwana. Nazywasz się Irian.

Jeszcze przez chwilę milczały, a potem na nagich ramionach poczuły powiew nocnego wiatru. Dygocząc z zimna, wyszły na brzeg, wytarły się jak najdokładniej i bose, zmarznięte, ruszyły z powrotem, wśród ostrych trzcin i splątanych korzeni zmierzając ku dróżce. Tam Ważka odezwała się wściekłym, donośnym szeptem:

– Jak mogłaś tak mnie nazwać?!

Czarownica nie odpowiedziała.

– To nie tak. To nie jest moje prawdziwe imię. Myślałam, że imię sprawi, iż stanę się sobą, ale ono wszystko pogarsza. Pomyliłaś się, jesteś tylko zwykłą czarownicą. Popełniłaś błąd. To jego imię. Może je sobie zabrać. Jest z niego taki dumny. Głupi majątek, głupi przodkowie. Ja tego imienia nie chcę. Nie zgadzam się. To nie ja. Wciąż nie wiem, kim jestem, ale nie Irian. – Nagle umilkła.

Czarownica wciąż milczała. Szły razem w ciemności, ramię przy ramieniu. W końcu pojednawczym, pełnym przerażenia tonem Róża szepnęła:

– To właśnie usłyszałam.

– Jeśli komukolwiek je powtórzysz, zabiję cię – warknęła Ważka.

Na te słowa wiedźma przystanęła i syknęła jak kot.

– Miałabym powtórzyć?

Ważka także się zatrzymała.

– Przepraszam – powiedziała po chwili – ale czuję się, jakbyś... jakbyś mnie zdradziła.

– Wymówiłam twoje prawdziwe imię. Nie brzmiało tak, jak sądziłam, i nie czuję się z tym dobrze, zupełnie jakbym pozostawiła coś niedokończonego, ale to twoje imię. Jeśli cię zdradza, tak wygląda prawda o tobie. – Róża zawahała się, po czym z większym spokojem i chłodem dodała: – Pragniesz móc zdradzić mnie w odwecie, Irian? Proszę bardzo. Nazywam się Etaudis.

Znów powiał wiatr; obie drżały, szczękały zębami. Stały naprzeciw siebie na mrocznej drodze, ledwie widząc się nawzajem. Ważka wyciągnęła rękę i napotkała dłoń czarownicy. Objęły się mocno, gwałtownie. Długo stały bez ruchu. Potem pospieszyły naprzód – czarownica do swej chaty obok wioski, dziedziczka Irii na wzgórze do zrujnowanego domu. Psy, które wcześniej wypuściły ją bez kłopotów, przyjęły jej powrót ogłuszającym jazgotem. Obudziły wszystkich w promieniu pół mili, prócz pana domu, pijanego do nieprzytomności i śpiącego przy wygasłym palenisku.

Kość

Pan Irii z Zachodniego Stawu, Brzoza, nie był co prawda właścicielem starego dworu, zarządzał jednak najbogatszymi ziemiami całego majątku. Jego ojciec, którego bardziej interesowały sady i winnice niż spory z krewnymi, pozostawił mu w spadku kwitnącą majętność. Brzoza wynajmował ludzi zarządzających

gospodarstwami i winnicami, bednarzy i przewoźników, sam natomiast rozkoszował się swym bogactwem. Poślubił nieśmiałą córkę młodszego brata władcy Wayfirth i z niegasnącym zachwytem powtarzał sobie, że w żyłach jego córek płynie szlachetna krew. Ówczesna moda nakazywała szlachetnie urodzonym trzymać na służbie czarnoksiężnika, prawdziwego czarnoksiężnika z laską i szarym płaszczem, wyszkolonego na Wyspie Mędrców. Toteż władca Irii z Zachodniego Stawu sprowadził sobie maga z Roke. Zdumiało go, jak łatwo zdobyć podobnego człowieka, jeśli tylko zapłaci się stosowną cenę.

Młody Kość nie miał jeszcze laski i płaszcza, był czarodziejem. Wyjaśnił, że zostanie pasowany na czarnoksiężnika, gdy wróci na Roke. Mistrzowie wysłali go w świat, by zdobył doświadczenie, bo wszelkie nauki w szkole nie zapewnią czarodziejowi doświadczenia, jakiego potrzebuje mag. Brzoza słuchał tego z lekkim powątpiewaniem, Kość jednak zapewnił, że nauki na Roke pozwoliły mu poznać wszelkie czary niezbędne w Irii, w Zachodnim Stawie, na wyspie Way. Aby tego dowieść, sprawił, że przez jadalnię przebiegło stadko saren, za którymi frunął klucz łabędzi; białe ptaki wpadły do środka przez południowy mur i odleciały za mur północny. Pośrodku stołu stanęła srebrna misa, a gdy pan i jego rodzina ostrożnie napełniali z niej kubki, odkryli, że piją słodkie złote wino.

– Wino z Andradów – oznajmił młodzieniec ze skromnym pogodnym uśmiechem, całkowicie zdobywając sobie serca żony i córek. Brzoza zaś pomyślał, że chłopak wart jest swojej ceny, choć osobiście wolał wytrawny czerwony faniański trunek z własnych winnic. Jeśli człowiek pragnął się upić, nie było nic lepszego. Żółty napój przypominał wodę z miodem.

Jeżeli młody czarodziej rzeczywiście pragnął zdobyć doświadczenie, to w Zachodnim Stawie nie znalazł go zbyt wiele. Za każdym razem, gdy dom Brzozy odwiedzali goście z Ujścia Kemberu albo z sąsiednich majątków, w jadalni pojawiało się stadko saren, łabędzie i źródło złocistego wina. Kość potrafił też w ciepłe wiosenne wieczory wyczarować piękne fajerwerki. Kiedy jednak u pana zjawiali się zarządcy sadów i winnic z prośbą, by czarodziej

rzucił zaklęcie wzrostu na grusze albo ochronił faniańską winorośl na południowym wzgórzu przed czarną zarazą, Brzoza mówił:

– Czarodziej z Roke nie zniża się do takich drobiazgów. Niech wioskowy czarownik na coś się przyda.

A gdy najmłodsza córka zapadła na suchy kaszel, żona Brzozy nie śmiała nawet wspomnieć o tym młodemu magowi. Posłała niezwłocznie po Różę ze starej Irii, prosząc, by weszła tylnymi drzwiami i odśpiewała zaklęcie albo przygotowała okład, który przywróci dziewczynce zdrowie. Kość nie dostrzegł nawet choroby małej, nie widział też grusz ani winorośli. Trzymał się na uboczu, jak mądremu magowi przystało. Całymi dniami krążył po okolicy na pięknej karej klaczy, którą podarował mu pracodawca, gdy czarodziej dał mu jasno do zrozumienia, że nie po to przybył na Way z Roke, by taplać się w błocie na wiejskich drogach.

Podczas przejażdżek mijał czasami stary dwór na wzgórzu otoczony rosłymi dębami. Gdy skręcił z dróżki, zmierzając ku niemu, z domu wybiegła sfora wychudzonych zajadłych psów. Klacz bała się ich, mogła się spłoszyć, toteż nie zbliżał się bardziej. Lubił jednak piękne widoki i spodobał mu się stary dwór drzemiący w rozproszonym świetle letniego popołudnia.

Spytał o niego Brzozę.

– To Iria – usłyszał. – To znaczy Stara Iria. Prawnie dwór powinien należeć do mnie, ale po stu latach sporów mój dziad zrezygnował z niego, bo miał już dosyć kłótni. Tamtejszy pan wciąż walczyłby ze mną o ziemię, gdyby nie to, że za dużo pije. Nie widziałem go od lat. Zdaje się, że ma córkę.

– Nazywają ją Ważka – wtrąciła najmłodsza córka Brzozy, Róża. – Tak naprawdę to ona wszystkim rządzi. Widziałam ją raz w zeszłym roku, jest wysoka i piękna jak kwitnące drzewo. – Dziewczynka próbowała jak najwięcej dowiedzieć się o życiu w czternaście lat, jakie wyznaczył jej los. Nagle urwała, wstrząsana gwałtownym atakiem kaszlu. Matka posłała czarodziejowi zbolałe, błagalne spojrzenie. Z pewnością tym razem młody człowiek zauważy, co się dzieje. Uśmiechnął się do Róży i serce matki zabiło szybciej. Nie uśmiechałby się tak chyba, gdyby jej kaszel oznaczał coś poważnego?

– Ich sprawy nas nie dotyczą – uciął niechętnie Brzoza.

Taktowny Kość nie pytał już więcej, pragnął jednak zobaczyć dziewczynę piękną niczym kwitnące drzewo, zaczął więc regularnie przejeżdżać obok Starej Irii. Próbował odwiedzić wioskę u stóp wzgórza i wypytać mieszkańców, lecz nie miał się gdzie zatrzymać i nikt nie chciał odpowiadać na pytania. Czarownica o nieprzyjaznych oczach na jego widok umknęła do swej chaty. Gdyby udał się wprost do dworu, musiałby stawić czoło stadu rozwścieczonych psów i prawdopodobnie pijanemu właścicielowi. Warto jednak zaryzykować, pomyślał. Śmiertelnie nudziło go spokojne życie w Zachodnim Stawie, a niebezpieczeństwu nigdy nie dał się zniechęcić. Wjechał zatem na wzgórze i po chwili otoczyła go ujadająca sfora. Klacz wierzgnęła, odpędzając psy kopytami. Gdyby nie uspokajające zaklęcie i silna dłoń jeźdźca, z pewnością by się spłoszyła i poniosła. Psy skakały teraz ku jego nogom. Już miał zawrócić, gdy wśród sfory pojawił się człowiek wykrzykujący przekleństwa i wymierzający razy rzemieniem. W końcu Kość zdołał uspokoić spienioną, zdenerwowaną klaczkę. Uniósł wzrok i ujrzał dziewczynę piękną jak kwitnące drzewo. Była bardzo wysoka, zlana potem, miała wielkie dłonie i stopy, duże usta, wydatny nos i ogromne oczy, a na głowie czuprynę przykurzonych włosów.

– Spokój! – wrzeszczała. – Do domu, ścierwa, sucze syny!

Psy skomlały i kuliły się pokornie.

Kość przycisnął dłoń do łydki. Z rozdartej przez psie zęby nogawicy sączyła się strużka krwi.

– Zrobiły jej krzywdę? – spytała kobieta. – Zdradzieckie szczury. – Gładziła prawą przednią nogę klaczy. Uniosła mokrą od zakrwawionego potu dłoń. – Już dobrze, dobrze. Dzielna dziewczynka, dzielna mała.

Klacz pochyliła łeb i zarżała z ulgą.

– Czemu kazałeś stać jej tutaj pośród sfory psów? – spytała gniewnie kobieta. Klęczała obok końskiej nogi, spoglądając w górę na jeźdźca, który patrzył na nią z siodła. W jej obecności jednak czuł się niski, mały.

Nie czekała na odpowiedź.

– Poprowadzę ją – oznajmiła, wstając i sięgając do wodzów.

Kość zrozumiał, że powinien zsiąść.

– To coś poważnego? – spytał, zerkając na nogę klaczy. Dostrzegł jedynie jasną krwawą pianę.

– Chodź, kochanie – powiedziała młoda kobieta. Nie zwracała się do niego. Klacz podążyła za nią ufnie.

Szli razem, kierując się kamienną ścieżką na wzgórze do starej stajni z kamienia i cegły. Budynek stał pusty, gnieździły się w nim jaskółki śmigające wokół dachu i wymieniające piskliwe plotki.

– Spróbuj ją uspokoić – poleciła młoda kobieta, oddała mu wodze i wyszła. Po jakimś czasie wróciła, taszcząc ciężki cebrzyk. Zaczęła przemywać klaczy nogę. – Zdejmij jej siodło – rzuciła. Tonem jasno dawała do zrozumienia, że uważa go za głupca.

Kość posłuchał, na wpół zirytowany obcesowym zachowaniem olbrzymki, a na wpół zaintrygowany. Zupełnie mu się nie kojarzyła z kwitnącym drzewem, taka potężna i gwałtowna, rzeczywiście jednak była piękna na swój sposób. Klacz całkowicie poddała się jej dotykowi. Gdy kobieta poleciła: „Przesuń nogę", klacz posłuchała. Nieznajoma wytarła ją starannie, ponownie zarzuciła koniowi na grzbiet derkę i dopilnowała, by stanął w słońcu.

– Nic jej nie będzie – oznajmiła. – Jeśli cztery, pięć razy dziennie będziesz przemywał skaleczenie ciepłą słoną wodą, szybko się zagoi. Bardzo mi przykro.

Ostatnie słowa zabrzmiały szczerze, choć niechętnie, jakby wciąż zastanawiała się, czemu naraził swego konia na atak sfory psów. Po raz pierwszy spojrzała wprost na niego. Oczy miała pomarańczowobrązowe, niczym ciemny topaz bądź bursztyn. Dziwne oczy, dokładnie na wysokości jego własnych.

– Mnie także – odparł, próbując mówić lekkim, beztroskim tonem.

– To klacz z Irii Zachodniego Stawu. Jesteś tamtejszym czarodziejem?

Ukłonił się.

– Kość z Wielkiego Portu Havnor, do usług. Czy mógłbym...

– Sądziłam, że jesteś z Roke – wtrąciła.

– Istotnie – przytaknął, odzyskując panowanie nad sobą.

Obserwowała go swymi niezwykłymi oczami, równie nieprzeniknionymi jak oczy owcy. W końcu nie wytrzymała i zasypała

go pytaniami.

– Mieszkałeś tam? Studiowałeś? Znasz Arcymaga?

– Tak – odparł z uśmiechem. Potem skrzywił się i ścisnął dłonią łydkę.

– Jesteś ranny.

– To nic wielkiego – mruknął.

Rzeczywiście ku jego irytacji skaleczenie przestało krwawić. Wzrok kobiety powędrował z powrotem ku jego twarzy.

– Jak tam jest? Jak jest na Roke?

Kość, lekko kulejąc, podszedł do starego zydla i usiadł. Wyciągnął nogę, odsłaniając skaleczenie.

– Opowieść o Roke wymaga dużo czasu – rzekł. – Ale chętnie ci go poświęcę.

***

– Ten człowiek to czarnoksiężnik, albo prawie czarnoksiężnik – powiedziała czarownica Róża. – Czarnoksiężnik z Roke! Nie wolno ci o nic go pytać. – Była więcej niż oburzona, była przerażona.

– On nie ma nic przeciw temu – zapewniła ją Ważka – tyle że prawie w ogóle nie odpowiada.

– Oczywiście.

– Czemu oczywiście?

– Bo to czarnoksiężnik. A ty jesteś kobietą, pozbawioną talentu, wiedzy, zdolności.

– Mogłaś mnie uczyć, ale nie chciałaś.

Róża pstryknięciem palców zlekceważyła swoje nauki.

– Muszę zatem uczyć się od niego – dodała Ważka.

– Czarnoksiężnicy nie uczą kobiet. Zadurzyłaś się w nim.

– Ty wymieniasz się zaklęciami z Miotłą.

– Miotła to wioskowy czarownik. Ten jest kimś więcej. Poznał najwyższą sztukę w Wielkim Domu na Roke!

– Powiedział mi, jak tam jest – przerwała jej Ważka. – Najpierw przechodzi się przez miasto, Thwil. Z ulicy widać drzwi, ale

zamknięte. Wyglądają zupełnie zwyczajnie. – Czarownica słuchała, niezdolna oprzeć się pokusie poznawania sekretów, zarażona namiętnością dziewczyny. – Kiedy zapukasz, wychodzi z nich mężczyzna, zupełnie zwyczajny mężczyzna i poddaje cię próbie. Musisz wymówić pewne słowo, hasło. Dopiero wtedy cię wpuści. Jeśli tego słowa nie znasz, nigdy nie wejdziesz do środka, ale jeżeli przekroczysz próg, zobaczysz, że od wewnątrz drzwi wyglądają zupełnie inaczej. Zrobione są z rogu z wyrzeźbionym pośrodku drzewem, a framugę mają z jednego zęba smoka, który żył dawno temu, przed Erreth-Akbem, przed Morredem, zanim w Ziemiomorzu zjawili się ludzie. Na początku żyły tu tylko smoki. Ząb znaleziono na górze Onn w Havnorze, pośrodku świata, a liście wyrzeźbionego drzewa są tak cienkie, że prześwieca przez nie światło. Same drzwi jednak są mocne i jeśli Mistrz Odźwierny je zamknie, nikt nie zdoła ich otworzyć zaklęciem. Potem Mistrz Odźwierny prowadzi korytarzem przez kolejne sale; przybysz czuje się kompletnie zagubiony i oszołomiony i nagle znajduje się pod otwartym niebem na Podwórcu Fontanny, w sercu Wielkiego Domu. Tam właśnie czekałby Arcymag, gdyby wciąż tam był...

– Mów dalej – mruknęła czarownica.

– To wszystko, co mi opowiedział – odparła Ważka, powracając z krainy wspomnień na jakże znajomą dróżkę przed chatą Róży. Był ciepły, pochmurny wiosenny dzień. Jej siedem mlecznych owiec pasło się na Wzgórzu Irii. Brązowe gałęzie dębów kołysały się lekko. – Jest bardzo ostrożny, gdy opowiada o swych mistrzach.

Róża skinęła głową.

– Ale opowiedział mi o niektórych uczniach – ciągnęła Ważka.

– Nie ma w tym nic złego.

– No nie wiem. Historie o Wielkim Domu są cudowne, ale sądziłam, że ci ludzie będą... sama nie wiem. Oczywiście gdy tam przybywają, są zwykłymi chłopcami, ale myślałam... – Marszcząc brwi, spojrzała na pasące się na wzgórzu owce. – Niektórzy są naprawdę źli i głupi – powiedziała w końcu cicho. – Wstępują do szkoły, bo są bogaci, i studiują, by wzbogacić się jeszcze bardziej albo by zdobyć władzę.

– Ależ oczywiście – wtrąciła Róża. – Po to tam są.

– Lecz moc... przecież to nie to samo co zmuszanie ludzi, by spełniali twoje życzenia albo ci płacili...

– Czyżby?

– Sama tak mówiłaś.

– Skoro słowo potrafi leczyć, inne słowo potrafi ranić. Skoro ręką możesz zabijać, ręką możesz też uzdrawiać. Kiepski to wóz, który jeździ tylko w jedną stronę.

– Lecz na Roke uczą się właściwie wykorzystywać swą moc, tak by nie czynić szkody i nie dla zysku.

– Według mnie w sumie wszystko sprowadza się do zysku. Ludzie muszą jakoś żyć. Ale co ja mogę wiedzieć? Zarabiam na życie, robiąc to, co umiem, nie mieszam się jednak do sztuk wyższych, jak przywoływanie zmarłych. To niebezpieczne. – Róża uczyniła gest odwracający zły urok.

– Wszystko jest niebezpieczne – odparła Ważka, spoglądając ponad owcami, wzgórzem i drzewami w bezbarwną, rozległą pustkę, martwą niczym niebo przed wschodem słońca.

Róża obserwowała ją uważnie. Zdawała sobie sprawę, że nie wie, kim jest Irian, kim może się stać. Owszem, to rosła, silna, niezręczna, niewykształcona, niewinna, gniewna kobieta, ale jeszcze przed laty Róża dostrzegła w niej, w małej dziewczynce coś więcej, coś wykraczającego poza wiejską zwyczajność. A gdy Irian spoglądała w dal poza światem, zdawało się, że wkracza w miejsce bądź czas zupełnie oderwany od naszego.

– Uważaj – mruknęła ponuro czarownica. – Wszystko jest niebezpieczne. A najbardziej wtrącanie się w sprawy magów.

Miłość, szacunek i zaufanie nie pozwoliły Ważce zlekceważyć ostrzeżenia Róży, nie potrafiła jednak dostrzec w Kości nic niebezpiecznego. Nie rozumiała go, owszem, nie mogła jednak się go bać, jego jako człowieka. Próbowała traktować młodzieńca z szacunkiem; bez powodzenia. Uważała go za inteligentnego i przystojnego, ale niewiele ją obchodził poza tym, co mógł jej powiedzieć. Wiedział, co chciałaby usłyszeć, i powoli przekazywał swą wiedzę. Wówczas okazywało się, że tak naprawdę nie o to jej chodziło i pragnęła dowiedzieć się czegoś więcej. Był bardzo cierpliwy, a ona czuła wdzięczność, świadoma faktu, że chłopak myśli

znacznie szybciej od niej. Czasami uśmiechał się w obliczu jej ignorancji, nigdy jednak nie drwił z niej ani nie upominał. Podobnie jak czarownica lubił odpowiadać pytaniami na pytania, lecz odpowiedzi Róży zwykle okazywały się czymś, co Irian już wiedziała, natomiast jego odpowiedzi były czymś nowym, czego nie potrafiła sobie wyobrazić. Zdumiewały ją, sprawiały ból, zmuszając do odmiany wszystkiego, w co wierzyła.

Dzień po dniu, podczas kolejnych rozmów w starych stajniach Irii, gdzie zwykle się spotykali, zadawała mu pytania, a on opowiadał coraz więcej, choć z wahaniem i nigdy do końca. Osłania mistrzów, pomyślała; próbuje bronić wspaniałej wizji Roke. Lecz pewnego dnia ustąpił i w końcu zaczął mówić otwarcie.

– Można tam znaleźć dobrych ludzi – rzekł. – Arcymag był mądry i wspaniały, ale odszedł. A mistrzowie... niektórzy wynoszą się ponad innych, zgłębiając wiedzę tajemną, poszukując nowych wzorów, nowych imion; lecz wiedza ta do niczego im się nie przydaje. Inni pod szarym płaszczem mądrości skrywają własne ambicje. Roke nie włada już Ziemiomorzem. Sercem Ziemiomorza stał się dwór w Havnorze. Czasy świetności Roke minęły, lecz wciąż jeszcze tysiące zaklęć bronią jej przed dniem dzisiejszym. Cóż jednak pozostało poza murami zaklęć? Wybujałe ambicje, lęk przed wszystkim co nowe, strach przed młodymi, rzucającymi wyzwanie władzy starców. A pośrodku nic, pusty dziedziniec. Arcymag już nigdy nie wróci.

– Skąd wiesz? – szepnęła.

Spojrzał na nią surowo.

– Zabrał go smok.

– Widziałeś to? Widziałeś? – Zacisnęła dłonie, wyobrażając sobie lecącego smoka.

Po dłuższej chwili powróciła myślami do słońca i stajni, pytań i zagadek.

– Ale nawet jeśli go nie ma, z pewnością niektórzy z mistrzów są mądrymi ludźmi?

Gdy Kość uniósł wzrok, na jego wargach przemknął melancholijny uśmiech.

– W świetle dnia cała mądrość i tajemniczość mistrzów niewiele znaczy. To tylko sztuczki, cudowne złudzenia, lecz ludzie chcą w to

wierzyć. Pragną tajemnic, iluzji. Trudno ich winić; w życiu mają niewiele prawdy i piękna.

Podniósł z ziemi kawałek cegły i rzucił w powietrze. Mówił dalej, a cegła fruwała nad ich głowami, trzepocząc delikatnymi błękitnymi skrzydełkami motyla. Kość wyciągnął palec i motyl przysiadł nad nim. Czarodziej potrząsnął ręką i owad spadł na ziemię. Znów był odłamkiem cegły.

– W moim życiu nie ma piękna wcale – oznajmiła Ważka, wbijając wzrok w ziemię. – Umiem tylko kierować gospodarstwem. Próbuję nosić głowę wysoko i mówić prawdę. Gdybym jednak sądziła, że na Roke pozostały tylko kłamstwa i sztuczki, znienawidziłabym tych ludzi za to, że mnie oszukali, oszukali nas wszystkich. To nie mogą być kłamstwa, nie mogą! Arcymag naprawdę zszedł w głąb labiryntu pośród Mroźnych Ludzi i powrócił z Pierścieniem Pokoju. Zstąpił w krainę śmierci z młodym królem i pokonał pajęczego maga, po czym wrócił. Wiemy to od samego króla. Nawet tu harfiści śpiewają o tym pieśni. Słyszeliśmy je też od bajarza...

Kość przytaknął z powagą.

– Lecz Arcymag utracił swą moc w krainie śmierci. Może wówczas cała magia osłabła.

– Zaklęcia Róży działają tak samo jak przedtem – upierała się Ważka.

Kość się uśmiechnął. Nie odpowiedział, wiedziała jednak, że dla niego uroki wioskowej czarownicy to niewarta wzmianki drobnostka. On oglądał wielkie moce, wspaniałe czyny. Westchnęła z głębi serca.

– Gdybym tylko nie była kobietą!

Znów się uśmiechnął.

– Jesteś piękną kobietą – rzekł, jakby stwierdzał zwykły fakt; nie schlebiał jej, jak z początku, nim dała mu do zrozumienia, że tego nie znosi. – Czemu chciałabyś stać się mężczyzną?

– Aby móc popłynąć na Roke. Zobaczyć, uczyć się. Czemu przyjmują tam tylko mężczyzn?

– Tak zdecydował pierwszy Arcymag wiele wieków temu – odparł Kość. – Ale... zastanawiałem się nieraz...

– Naprawdę?

– I to często. Dzień po dniu w Wielkim Domu i wokół szkoły widywałem wyłącznie chłopców i mężczyzn, i wiedziałem, że zaklęcia bronią kobietom z miasta wstępu na pola wokół Pagórka Roke. Zapewne raz na kilka lat przybywająca z wizytą wielka dama odwiedza jedną z sal zewnętrznych. Ale czemu kobiety nie mogą się uczyć? Czy nie zdołałyby zrozumieć magii? A może mistrzowie się ich boją? Lękają się zepsucia? Nie, obawiają się, że jeśli wpuszczą kobiety do szkoły, będą musieli zmienić prawa, których desperacko się trzymają.

– Kobiety mogą żyć w czystości równie dobrze jak mężczyźni – odparła szorstko Ważka. Wiedziała, że jej brutalna otwartość razi subtelnego chłopaka, nie potrafiła jednak zachowywać się inaczej.

– Oczywiście – odparł, uśmiechając się szerzej – ale czarownice nie zawsze żyją w czystości, prawda? Może tego właśnie boją się mistrzowie. Może celibat nie jest wcale niezbędny, wbrew temu, co głosi reguła. Może dzięki niej nie utrzymują mocy w czystości, lecz zachowują ją dla siebie, wykluczając kobiety i wszystkich, którzy nie zgodzą się stać eunuchami, by ową moc zdobyć... Kto wie? Kobieta mag. To zmieniłoby wszystko, wszystkie zasady!

Widziała, jak myślami ją wyprzedza, bawi się, przekształca idee tak, jak wcześniej odmienił cegłę, nadając jej postać motyla. Nie mogła dotrzymać mu kroku, lecz patrzyła z zachwytem.

– Popłyń na Roke – rzekł. Jego oczy lśniły psotnym blaskiem. Wobec niemal błagalnego, pełnego niedowierzania milczenia dziewczyny dodał szybko: – Jesteś kobietą, ale istnieją sposoby odmienienia wyglądu. Masz serce, odwagę i wolę mężczyzny. Mogłabyś przekroczyć próg Wielkiego Domu. Ja to wiem.

– I co bym tam robiła?

– To co wszyscy uczniowie: mieszkała samotnie w kamiennej celi i uczyła się mądrości. Może byś odkryła, że nie o tym marzysz, ale przynajmniej zyskałabyś pewność.

– Nie mogę! Zorientowaliby się. Nie weszłabym nawet do środka. Mówiłeś o Mistrzu Odźwiernym. Nie znam słowa, które musiałabym mu powiedzieć.

– A, tak, hasło. Mógłbym cię go nauczyć.

– Mógłbyś? To dozwolone?

– Nie obchodzi mnie, co jest dozwolone. – Zmarszczył brwi. Nigdy nie widziała u niego podobnej miny. – Sam Arcymag powiedział kiedyś: „Reguły istnieją po to, by je łamać". Niesprawiedliwość tworzy prawa, odwaga je łamie. Mnie jej nie brak. A tobie?

Nie wiedziała, co powiedzieć. Po chwili wstała i wyszła ze stajni na wzgórze okrążającą szczyt ścieżką. Jeden z psów, jej ulubieniec, wielki, ciężki, paskudny ogar podreptał za nią. Przystanęła na zboczu nad błotnistym źródłem, w którym dziesięć lat wcześniej Róża nadała jej imię. Stała bez ruchu. Pies usiadł obok i spojrzał jej w twarz. W myślach miała mętlik, cały czas bezwiednie jednak powtarzała: „Mogłabym popłynąć na Roke i dowiedzieć się, kim jestem".

Spojrzała na zachód, poza sitowie, wierzby i odległe wzgórza. Niebo było jasne i puste. Stała tak, a jej dusza zdawała się unosić ku niebu i oddalać coraz bardziej.

Z dróżki dobiegł stukot kopyt karej klaczy. Wówczas Ważka otrząsnęła się nagle, zawołała Kość i pobiegła do niego.

– Pójdę z tobą – rzekła.

***

Nie planował podobnej przygody, lecz im dłużej zastanawiał się nad tym szaleństwem, coraz bardziej mu się podobało. Perspektywa długiej szarej zimy spędzonej w Zachodnim Stawie przygnębiała go, przygniatała niczym kamień. Nic go tu nie ciekawiło poza Ważką. Obraz dziewczyny wypełniał mu myśli. Jak dotąd nie potrafił pokonać jej niezwykłej siły biorącej się z niewinności, jeśli jednak postąpi wedle jej życzenia i ona uczyni to samo, gra okaże się warta świeczki. Jeżeli namówi dziewczynę do wyjazdu, to jakby już wygrał. A co do przemycenia jej do szkoły na Roke w przebraniu mężczyzny... zabawny pomysł, bez szans powodzenia, ale spodobał mu się jako oznaka absolutnego braku szacunku wobec skromności i nadęcia mistrzów i ich sługusów. Gdyby zaś się udało... Gdyby przeprowadził kobietę przez drzwi, nawet na chwilę, jakąż słodką byłoby to zemstą!

Problem stanowiły pieniądze. Dziewczyna rzecz jasna sądziła, że jako wielki czarnoksiężnik pstryknie palcami i popłyną łodzią przez morze gnani magicznym wiatrem. Kiedy jednak uprzedził, że będą musieli opłacić przejazd statkiem, powiedziała z prostotą:

– Mam pieniądze. Serowe.

Zachwycały go podobne wiejskie powiedzonka. Czasami ta dziewczyna go przerażała. Nigdy nie śnił, że Ważka mu się poddaje, lecz że on sam poddaje się gwałtownej, niszczycielskiej słodyczy, zapadając w miażdżące objęcia. W owych snach była niepojęta, a on budził się zawstydzony i wstrząśnięty. W dzień jednak, widząc jej wielkie, brudne ręce i słuchając prostych, wiejskich powiedzonek, odzyskiwał poczucie wyższości. Żałował tylko, że nie ma ich komu powtórzyć, jak kiedyś dawnym kolegom z Wielkiego Portu. Mogliby pośmiać się razem.

– Mam pieniądze, serowe – powtórzył do siebie, jadąc do Zachodniego Stawu. Roześmiał się głośno.

Kara klacz zastrzygła uszami.

Poinformował Brzozę, że otrzymał wezwanie od swego nauczyciela z Roke, Mistrza Sztuk, i musi wyruszać natychmiast, choć nie może rzec, w jakiej sprawie. Jego nieobecność nie potrwa długo – pół miesiąca podróży w jedną stronę, kolejne pół w drugą. Powinien wrócić jeszcze przed zbiorami. Musi prosić pana Brzozę o zaliczkę potrzebną na opłatę przejazdu statkiem i utrzymania. Czarodziej z Roke bowiem nie powinien wykorzystywać ludzi gotowych dać mu wszystko, czego zapragnie, lecz płacić jak zwykły podróżnik. Brzoza zgodził się z tym i wręczył Kości pełną sakiewkę. Były to pierwsze pieniądze, jakie od lat znalazły się w kieszeni chłopaka: dziesięć kawałków kości z podobizną Wydry z Shelieth po jednej stronie i z Runą Pokoju, na cześć króla Lebannena, na drugiej.

– Witajcie, mali imiennicy – rzekł do nich, gdy został sam. – Razem z pieniędzmi serowymi wystarczycie aż nadto.

Nie zdradzał Ważce swych planów głównie dlatego, że sam ich nie znał. Ufał losowi i własnej mądrości, rzadko go zawodziły. Dziewczyna niemal w ogóle nie zadawała pytań.

– Czy całą drogę będę podróżowała jako mężczyzna?

– Tak, w przebraniu. Nie rzucę na ciebie czaru iluzji, póki nie znajdziemy się na Roke.

– Sądziłam, że będzie to zaklęcie Przemiany – wtrąciła.

– To nie byłoby mądre – rzekł, całkiem nieźle naśladując uroczystą powagę Mistrza Przemian. – Rzecz jasna w razie potrzeby skorzystam z niego. Przekonasz się jednak, iż czarnoksiężnicy bardzo rzadko używają wielkich zaklęć. Mają ku temu powody.

– Wielka Równowaga – uzupełniła, jak zwykle przyjmując każde jego słowo w najprostszym, powierzchownym sensie.

– A także może dlatego, iż podobne sztuki nie mają już takiej mocy jak kiedyś – dodał.

Sam nie wiedział, czemu próbuje zachwiać jej wiarą w magię. Może każde osłabienie siły i spokoju dziewczyny dla niego stanowiły zysk. Zaczął od starań zaciągnięcia jej do łóżka. Uwielbiał tę grę, wkrótce jednak przerodziła się w pojedynek, którego nie oczekiwał, ale też nie potrafił zakończyć. Teraz zależało mu nie na tym, by ją zdobyć, lecz pokonać. Nie mógł pozwolić, aby pokonała jego; musi dowieść jej i sobie, że sny nigdy się nie spełnią.

Bardzo wcześnie, zniecierpliwiony całkowitą obojętnością dziewczyny, przygotował urok, zaklęcie miłosne, które od samego początku budziło w nim wzgardę, choć wiedział, że jest skuteczne. Rzucił je, gdy – jak to ona – była zajęta naprawą krowiego postronka. Jednakże rezultat nie przypominał namiętnego zapału, jaki wywoływał u dziewcząt w Havnorze i Thwil. Ważka stopniowo cichła, zamykała się w sobie. Przestała zasypywać go pytaniami o Roke, nie odpowiadała, gdy się odzywał. Kiedy zbliżył się nieśmiało i ujął jej dłoń, dostał po głowie, aż go zamroczyło. Jak przez mgłę ujrzał, że Ważka wstaje i wychodzi ze stajni. Paskudny ogar, jej ulubieniec, pobiegł w ślad za swą panią, ale jeszcze obejrzał się z wyraźną drwiną.

Ruszyła ścieżką do starego dworu. Gdy Kości przestało dzwonić w uszach, zakradł się za nią z nadzieją, że urok działa i że w ten brutalny sposób Ważka poprowadzi go w końcu do swego łoża. Zbliżywszy się do domu, usłyszał trzask pękających naczyń. Jej ojciec pijak wypadł chwiejnie za próg, oszołomiony i przerażony, ścigany szorstkim okrzykiem córki:

– Wynocha z domu, zdrajco! Tchórzu! Obrzydliwa pijawko!

– Zabrała mi kubek – powiedział pan Irii do nieznajomego tonem zbitego szczenięcia. Psy kłębiły się wokół. – Zbiła go.

Kość odjechał. Dwa dni trzymał się z dala od Starej Irii. Gdy trzeciego na próbę przejechał obok dworu, Ważka wyszła przed drzwi.

– Przepraszam cię, Kość – powiedziała, spoglądając na niego ogniście pomarańczowymi oczami. – Nie wiem, co mnie wtedy napadło. Byłam wściekła, ale nie na ciebie. Wybacz mi, proszę.

Wybaczył z chęcią. Nigdy już nie próbował rzucać na nią uroku.

Teraz pomyślał, że wkrótce nie będzie potrzebował czarów. Zyska nad nią prawdziwą władzę. W końcu wymyślił, jak ją zdobyć. Sama oddała się w jego ręce. Dysponowała niezwykłą siłą i wolą, lecz na szczęście była głupia.

Brzoza wysyłał do Ujścia Kemberu wóz z sześcioma beczkami dziesięcioletniego faniańskiego wina, zamówionymi przez tamtejszego kupca. Chętnie wyprawił z ładunkiem czarodzieja, wino bowiem było cenne, a choć młody król szybko zaprowadzał porządki w Ziemiomorzu, na drogach wciąż jeszcze grasowały bandy rabusiów. I tak Kość opuścił Zachodni Staw, siedząc na wielkim wozie ciągniętym przez cztery rosłe konie. Jechał naprzód powoli, podskakując na wybojach. Jego nogi dyndały w powietrzu. Przy Oślim Wzgórzu z przydrożnych krzaków wynurzyła się niezgrabna postać i poprosiła o podwiezienie.

– Nie znam cię – rzekł woźnica, ostrzegawczo unosząc bat, lecz Kość chwycił go za rękę.

– Podwieź chłopaka, dobry człowieku. Póki będę z tobą, nie zrobi nic złego.

– Miej zatem na niego oko, panie.

Kość mrugnął do Ważki. Ukryta pod warstwą brudu dziewczyna, odziana w starą chłopską tunikę i nogawice oraz zniszczony filcowy kapelusz, nie odmrugnęła. Odgrywała swą rolę, nawet gdy siedzieli obok siebie ze spuszczonymi nogami, oddzieleni sześcioma podskakującymi beczkami wina. Senny woźnica trzymał wodze, wóz toczył się drogą, pozostawiając za sobą drzemiące w upale wzgórza i pola. Kość próbował żartować z Ważki, ona jednak pokręciła tylko

głową. Może teraz, gdy podjęła wyzwanie, przeraziła się tego, co zrobiła? Trudno orzec. Siedziała bez ruchu, poważna, milcząca. Szybko mi się znudzi, pomyślał Kość, kiedy już znajdzie się pode mną. Ta myśl poruszyła go nieznośnie.

Przy drodze wiodącej przez ziemie należące niegdyś do majątku Irii nie stała żadna gospoda. Gdy słońce zbliżyło się do zachodnich równin, zatrzymali się na popas w gospodarstwie oferującym stajnie dla koni, szopę na wóz i słomę na stajennym stryszku dla ludzi. Strych był ciemny i duży, słoma wilgotna. Kość nie czuł nawet cienia pożądania, choć Ważka leżała o długość ramienia od niego. Tak dobrze odgrywała mężczyznę, że niemal go przekonała. Może jednak nabierze starców z Roke, pomyślał i uśmiechnął się na tę wizję. Wkrótce zasnął.

Następnego dnia dwukrotnie zmoczyły ich gwałtowne letnie deszcze. O zmierzchu dotarli do Ujścia Kemberu, bogatego miasta otoczonego murami. Pozostawili woźnicy interesy jego pana i ruszyli naprzód w poszukiwaniu gospody jak najbliżej portu. Ważka rozglądała się wokół w milczeniu, może wywołanym podziwem, może dezaprobatą, a może zwykłą obojętnością.

– Ładne miasteczko – zauważył Kość – lecz jedynym prawdziwym miastem na świecie jest Havnor.

Próby zaimponowania dziewczynie nie miały sensu, powiedziała bowiem tylko:

– Statki rzadko pływają na Roke, prawda? Trudno nam będzie jakiś znaleźć.

– Nie, jeśli będę miał przy sobie laskę – odparł.

Przestała się rozglądać i długą chwilę w milczeniu szła u jego boku. Poruszała się pięknie, wdzięcznie i śmiało, wysoko unosząc głowę.

– Chcesz powiedzieć, że zrobią przysługę czarnoksiężnikowi? Ale przecież nim nie jesteś.

– To tylko formalność. My, starsi czarodzieje, możemy nosić laski, jeśli podróżujemy w sprawach Roke, tak jak ja.

– Bo mnie tam zabierasz.

– Owszem, bo przywożę ucznia. Bardzo utalentowanego ucznia!

Nie zadawała więcej pytań. Nigdy się nie kłóciła, była to jedna z jej zalet.

Tego wieczoru przy kolacji w portowej tawernie spytała z niezwykłą nieśmiałością w głosie:

– Naprawdę mam wielki talent?

– Według mnie owszem.

Zastanawiała się chwilę – rozmowy z nią często przebiegały dość wolno.

– Róża zawsze twierdziła, że mam moc – powiedziała w końcu – ale nie wiedziała jaką. A ja... wiem, że ją mam, ale nie wiem, czym jest.

– Płyniesz na Roke po to, by się dowiedzieć. – Uniósł kieliszek. Po chwili ona podniosła swój i uśmiechnęła się tak promiennie i czule, że dodał, wiedziony nagłym impulsem: – Oby to, co znajdziesz, okazało się tym, czego szukasz!

– Będzie to tylko twoja zasługa – odparła.

W tym momencie kochał ją za jej szczere serce i porzucił wszelkie niecne plany. Była dla niego towarzyszką śmiałej przygody, wspaniałego żartu.

Musieli nocować w pokoju z dwojgiem obcych, lecz myśli Kości były zupełnie czyste, choć sam się temu dziwił.

Następnego ranka w kuchennym ogrodzie zerwał zieloną łodyżkę i zaklęciem upodobnił ją do pięknej, okutej miedzią laski o długości równej jego wzrostowi.

– Co to za drewno? – spytała Ważka.

– Rozmaryn – odpowiedział ze śmiechem. Także się roześmiała.

Ruszyli wzdłuż nabrzeża, wypytując o statek zmierzający na południe, który by zechciał wziąć na pokład czarnoksiężnika z uczniem i zawieść na Wyspę Mędrców. Wkrótce znaleźli solidny żaglowiec zmierzający do Wathort. Kapitan zgodził się zabrać czarnoksiężnika za dobre słowo, a ucznia za pół ceny. „Pół ceny” oznaczało połowę serowych pieniędzy. Mieli jednak podróżować luksusowo, we własnej kabinie, „Wydra Morska” była bowiem dużym, solidnym dwumasztowcem.

Właśnie rozmawiali z kapitanem, gdy w porcie zjawił się wóz i zaczęto z niego zdejmować sześć znajomych baryłek.

– To nasze wino – zauważył Kość.

– Płynie do Hortu – rzekł kapitan, a Ważka powiedziała cicho:

– Z Irii.

I wtedy obejrzała się za siebie. Nigdy więcej nie widział, by to robiła.

Tuż przed wypłynięciem na pokładzie zjawił się zaklinacz pogody. Nie był to czarnoksiężnik z Roke, lecz ogorzały mężczyzna w znoszonym morskim płaszczu. Witając go, Kość lekko uniósł laskę. Zaklinacz zmierzył go uważnym spojrzeniem.

– Na tym statku tylko jeden człowiek zaklina pogodę. Jeśli nie będę to ja, odchodzę.

– Jestem zwykłym pasażerem, mości workowy. Chętnie pozostawię wiatr w twoich rękach.

Zaklinacz spojrzał na Ważkę, prostą niczym trzcina.

– To dobrze – rzekł.

Więcej się nie odezwał. Przynajmniej do Kości. W czasie podróży kilka razy gawędził z Ważką i fakt ten zaniepokoił młodego czarodzieja. Jej ufność i ignorancja mogły okazać się niebezpieczne tak dla niej, jak i dla niego. Spytał, o czym rozmawiali z zaklinaczem.

– O tym, co się z nami stanie – odparła.

Spojrzał na nią pytająco.

– Z nami wszystkimi. Z Way, Falkway, Havnoru, Wathortu i Roke, wszystkimi ludźmi z wysp. Mówi, że zeszłej jesieni przed swą koronacją król Lebannen posłał na Gont po starego Arcymaga, by nałożył mu koronę. On jednak nie zgodził się przybyć i nie ma nowego Arcymaga. Zatem król sam się koronował. Niektórzy twierdzą, że źle się stało i że Lebannen nie ma prawa do tronu. Inni powiadają, że nowym Arcymagiem został król. Ale on nie jest magiem, tylko królem. Jeszcze inni mówią, że powrócą Mroczne Lata, gdy zapomniano o sprawiedliwości, a czarów używano do złych celów.

– I to mówi stary zaklinacz pogody? – spytał Kość po chwili milczenia.

– Myślę, że wielu o tym rozmawia – odparła Ważka z typową dla siebie powagą.

Zaklinacz przynajmniej znał się na swym fachu. „Wydra Morska” pędziła na południe przez wzburzone morze i letnie szkwały, nigdy jednak nie przeszkodził jej sztorm ani przeciwny wiatr. Zawijali do portów, dostarczając i odbierając towary, na północnym wybrzeżu O, na Ilien, Leng, Kamery, w Porcie O. Potem zboczyli z kursu, by zawieźć pasażerów zmierzających na Roke. Spoglądając ku zachodowi, Kość poczuł lekki strach, doskonale bowiem wiedział, jak mocne zaklęcia strzegą Wyspy Mędrców. Zdawał sobie sprawę, że wraz z zaklinaczem pogody nie zdołaliby odwrócić wiatru z Roke, gdyby powiał przeciw nim. W takim zaś przypadku Ważka z pewnością by spytała, dlaczego wiatr nie dopuszcza ich do brzegu.

Z radością odkrył, iż zaklinacz także się niepokoi. Stał obok sternika i wciąż patrzył na żagle, wyglądając śladów powiewu z zachodu. Wiatr jednak cały czas wiał z północy; przyniósł ze sobą kolejny deszcz i burzę. Kość zszedł do kabiny, lecz Ważka została na pokładzie. Wyznała mu, że boi się wody, nie umie pływać.

– Tonięcie musi być straszne. Nie móc oddychać powietrzem...

Na tę myśl zadrżała. Nigdy dotąd nie okazywała strachu. Nie lubiła jednak ciasnej, nieprzytulnej kabiny, toteż całe dnie spędzała na pokładzie i sypiała tam ciepłymi nocami. Kość nie próbował jej przekonywać. Wiedział, że nic to nie da. By ją zdobyć, musiał nią zawładnąć, a tego dokona, jeśli dotrą na Roke.

Znów wyszedł na pokład. Pogoda się poprawiła. O zachodzie słońca pokrywa chmur pękła, ukazując złociste niebo i wznoszącą się na horyzoncie czarną kopułę wzgórza.

Kość spojrzał na nie z tęsknotą i nienawiścią.

– To Pagórek Roke, chłopcze – oznajmił zaklinacz pogody, zwracając się do Ważki. – Niedługo zawiniemy do zatoki Thwil. Tam zawsze wieje taki wiatr, jakiego oni pragną.

Nim dotarli w głąb zatoki i rzucili kotwicę, zapadła ciemność.

– Rano zejdę na ląd – poinformował kapitana Kość.

Ważka czekała na niego w maleńkiej kabinie. Była poważna jak zwykle, lecz w jej oczach płonęło podniecenie.

– Rankiem zejdziemy na ląd – powtórzył, a ona przyjęła te słowa skinieniem głowy.

– Dobrze wyglądam? – spytała.

Usiadł na wąskiej koi. Ona siedziała na sąsiedniej. Nie mogli usiąść naprzeciw siebie, bo brakowało miejsca na kolana. W Porcie O za jego radą kupiła sobie porządną koszulę i spodnie, żeby bardziej przypominać kandydata pragnącego studiować w szkole. Twarz miała czystą i ogorzałą, włosy – podobnie jak on – splotła w harcap. Ręce także umyła; leżały teraz płasko na udach – długie silne dłonie. Jak u mężczyzny.

– Nie wyglądasz jak mężczyzna – rzekł. Jej oblicze spochmurniało. – Nie dla mnie. Dla mnie nigdy nie przypominasz mężczyzny. Ale nie martw się, oni to co innego.

Skinęła głową, patrząc na niego błagalnie.

– Pierwsza próba jest jednocześnie najważniejsza, Ważko – powiedział. Każdej nocy, leżąc samotnie w kabinie, planował tę rozmowę. – Aby znaleźć się w Wielkim Domu, musisz przejść przez drzwi.

– Zastanawiałam się nad tym. Czy nie mogłabym po prostu powiedzieć, kim jestem? Ty byś za mnie zaręczył, potwierdził, że choć jestem kobietą, mam dar. Przyrzekłabym złożyć przysięgę, zachować czystość i zamieszkać osobno, gdyby tego zażądali...

Kość cały czas kręcił głową.

– Nie, nie, nie. To beznadziejne. Na nic się nie zda. Wszystko zepsuje.

– Nawet jeśli ty ...

– Nawet jeśli poręczę za ciebie, nie posłuchają. Reguła Roke zabrania nauczania kobiet wyższych sztuk, słów w Mowie Tworzenia. Zawsze tak było. Nie posłuchają, musimy im zatem pokazać i pokażemy – ty i ja. Damy im nauczkę. Musisz być dzielna, Ważko. Nie możesz się ugiąć. Nie wolno ci myśleć, że jeśli tylko zaczniesz ich błagać, nie odmówią, bo odmówią, zrobią to, a gdy się odkryjesz, ukarzą ciebie i mnie. – Na ostatnie słowo położył szczególny nacisk, w głębi ducha zaklinając: „Niech się odwróci”.

Spojrzała na niego nieprzeniknionymi oczami.

– Co mam robić? – spytała w końcu.

– Ufasz mi, Ważko?

– Tak.

– Czy zaufasz mi do końca, ostatecznie, całkowicie, wiedząc, że ryzyko, które podejmuję, przerasta nawet twoje?

– Tak.

– Zatem musisz podać mi słowo, które wypowiesz przed Mistrzem Odźwiernym.

Popatrzyła na niego zdumiona.

– Ale... myślałam, że ty mi je podasz. Że to hasło.

– Hasło, o które cię poprosi, to twoje prawdziwe imię.

Pozwolił, by dotarło do niej znaczenie jego słów.

– A żeby rzucić na ciebie zaklęcie – dodał cicho – uczynić je tak pełnym i dokładnym, że nawet mistrzowie z Roke zobaczą cię jako mężczyznę, ja także muszę poznać twoje imię. – Ponownie zawiesił głos. Gdy to mówił, jemu samemu zdawało się, że mówi prawdę. Bardzo łagodnie dodał: – Mogłem je poznać już dawno, ale nie chciałem korzystać z tych sztuczek. Chciałem, byś mi zaufała i podała swoje imię.

Ważka wbijała wzrok w splecione na kolanach dłonie. W czerwonawym blasku lampy jej rzęsy rzucały długie, delikatne cienie na policzki. W końcu spojrzała wprost na niego.

– Nazywam się Irian – rzekła.

Uśmiechnął się. Ona nie.

Nie odpowiedział. Nie wiedział, co rzec. Gdyby sądził, że okaże się to takie łatwe, już dawno, wiele dni, tygodni temu wydobyłby z niej imię. Wystarczyło tylko nakreślić ten szalony plan. Nie musiał rezygnować z pracy, kłaść na szalę swej reputacji; nie musiał żeglować przez morze aż na Roke! Nagle bowiem pojął, iż cały plan to głupota. W żaden sposób nie zdołałby odmienić jej tak, by oszukać Mistrza Odźwiernego. Jak mógł sądzić, że zdoła poniżyć mistrzów, tak jak oni poniżyli jego? Przez swą obsesję na punkcie tej dziewczyny sam wpadł w zastawioną na nią pułapkę. Z goryczą uświadomił sobie, że wierzył we własne kłamstwa, schwytany w sieci, które utkał dla niej. Raz już zrobił z siebie głupca na Roke. Teraz powrócił i uczynił to ponownie. W jego sercu wezbrał ogromny, pełen rozpaczy gniew. Jest do niczego, do niczego się nie nadaje.

– Co się stało? – spytała. Łagodny ton jej głębokiego, zmysłowego głosu pozbawił go męskiej siły. Kość ukrył twarz w dłoniach, walcząc

z napływającymi do oczu łzami wstydu.

Położyła mu dłoń na kolanie. Po raz pierwszy go dotknęła. Z trudem zniósł dotyk tej ciepłej, ciężkiej ręki. Tak wiele czasu zmarnował, marząc o tym.

Pragnął ją skrzywdzić, wstrząsnąć nią, sprawić, by przestała być tak straszliwie, bezmyślnie łagodna. Kiedy jednak w końcu się odezwał, rzekł:

– Chciałem się tylko z tobą kochać.

– Naprawdę?

– Sądziłaś, że jestem jak oni eunuchem? Że wykastruję się zaklęciami, by zostać świętym? Jak myślisz, czemu nie mam laski? Czemu nie jestem w szkole? Wierzyłaś we wszystko, co mówiłem?

– Tak – odparła. – Przykro mi. – Jej dłoń wciąż spoczywała na kolanie Kości. – Możemy się kochać, jeśli zechcesz – dodała.

Wyprostował się i zamarł.

– Kim ty jesteś? – spytał w końcu.

– Nie wiem. Dlatego właśnie chciałam przybyć na Roke. Żeby się dowiedzieć.

Wstał pochylony. Żadne z nich nie mogło się wyprostować w niskiej kabinie. Zaciskając i prostując palce, jak najdalej odsunął się od dziewczyny, odwrócony do niej plecami.

– Nie dowiesz się. To wszystko kłamstwa, sztuczki, starcy igrający ze słowami. Ja nie chciałem bawić się z nimi, toteż odszedłem. Wiesz, co zrobiłem? – Odwrócił się, ukazując zęby w triumfalnym grymasie. – Namówiłem dziewczynę, dziewczynę z miasta, by przyszła do mojego pokoju, do mej celi, małej kamiennej celi z oknem wychodzącym na tylną uliczkę. Nie użyłem zaklęcia; przy tak silnej magii nie można rzucać zaklęć. Ona jednak pragnęła przyjść i przyszła, a ja wyrzuciłem za okno drabinkę i wspięła się do środka. Byliśmy ze sobą, gdy zjawili się starcy! Pokazałem im! I gdybym zdołał przemycić cię przez próg, znów bym im pokazał. Nauczyłbym ich czegoś.

– Spróbujmy zatem.

Popatrzył na nią pytająco.

– Chcę to zrobić z innego powodu niż ty – powiedziała – ale wciąż chcę. Dotarliśmy aż tutaj i znasz moje imię.

Rzeczywiście znał jej imię: Irian. Było niczym płonący węgiel, rozpalony żar w jego głowie. Jego myśli nie mogły go pochwycić, wiedza wykorzystać, język wymówić.

Popatrzyła na niego. Jej surowa, stanowcza twarz w migotliwym blasku latarni wydawała się łagodniejsza.

– Jeśli sprowadziłeś mnie tu tylko po to, by się ze mną kochać, możemy to zrobić. O ile wciąż tego chcesz.

Z początku nie mógł wykrztusić ni słowa, pokręcił tylko głową. Po chwili zdołał się zaśmiać.

– Myślę, że... zostawiliśmy już tę możliwość... za sobą.

Spojrzała na niego bez żalu, wyrzutu ani wstydu.

– Irian – dodał. Teraz przyszło mu to z łatwością. Jej imię było niczym słodka, zimna źródlana woda w zaschniętych ustach. – Irian, oto co musisz zrobić, by wejść do Wielkiego Domu.

Azver

Zostawił ją na rogu wąskiej, brudnej ulicy wiodącej pomiędzy nagimi ścianami wprost do osadzonych w murze drewnianych drzwi. Rzucił na nią zaklęcie i wyglądała jak mężczyzna, choć wcale się tak nie czuła. Na pożegnanie objęli się – byli przecież przyjaciółmi i towarzyszami. Wszystko, co zrobił, zrobił dla niej.

– Odwagi – rzekł i odepchnął ją lekko.

Poszła ulicą i stanęła przed drzwiami. Po chwili obejrzała się, jego już jednak nie było.

Zastukała.

Dobiegł ją szczęk zasuwy. Drzwi otwarły się, na progu stał mężczyzna w średnim wieku.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – spytał. Nie uśmiechał się, lecz głos miał miły.

– Wpuść mnie do Wielkiego Domu, panie.

– Znasz drogę do środka? – Jego migdałowe oczy patrzyły czujnie, zdawały się oddalone o wiele mil bądź lat.

– To jest droga do środka, panie.

– Wiesz, czyje imię musisz mi podać, bym cię wpuścił?

– Moje, panie. Oto ono: Irian.

– Naprawdę? – spytał.

To ją zaskoczyło. Przez chwilę milczała.

– Takie imię nadała mi czarownica Róża z wioski na Way w wodach źródła pod wzgórzem Irii – powiedziała w końcu.

Mistrz Odźwierny przyglądał jej się chwilę. Zdawało się, że trwa to wieki.

– Zatem to twoje imię – rzekł wreszcie. – Ale chyba nie całe. Myślę, że masz jeszcze inne.

– Nie znam go, panie.

Znowu nastała długa cisza.

– Może poznam je tutaj – dodała Ważka.

Mistrz Odźwierny lekko skłonił głowę. Jego usta wygięły się w uśmiechu. Odstąpił na bok.

– Wejdź, córko.

Przekroczyła próg Wielkiego Domu.

Zaklęcie Kości opadło z niej niczym pajęczyna. Była sobą, wyglądała tak jak zwykle.

Podążyła za Mistrzem Odźwiernym. Dopiero na końcu kamiennego korytarza przypomniała sobie, by się odwrócić. Ujrzała światło przenikające przez tysiące liści drzewa wyrzeźbionego w wysokich drzwiach osadzonych w białej jak kość framudze.

Spieszący gdzieś młodzieniec w szarym płaszczu zatrzymał się na jej widok jak wryty, potem szybko skinął głową i ruszył dalej. Obejrzała się – wciąż na nią patrzył.

W ślad za młodzieńcem podążała kula mglistego zielonkawego ognia, szybując wolno w powietrzu na wysokości oczu. Mistrz Odźwierny machnął ręką i kula go wyminęła. Irian schyliła się gwałtownie, poczuła jednak, jak zimny ogień muska jej włosy. Mistrz Odźwierny popatrzył na nią z szerokim uśmiechem. Choć nie odezwał się, poczuła, że pamięta o niej i martwi się o jej bezpieczeństwo.

Przystanął przed dębowymi drzwiami. Zamiast zapukać czubkiem laski – jasnej laski z szarego drewna – nakreślił na nich drobny znak

czy może runę. Drzwi się otwarły.

– Wejdź – odezwał się ktoś donośnie.

– Zaczekaj tutaj, Irian – poprosił Mistrz Odźwierny i wszedł do komnaty.

Pozostawił drzwi szeroko otwarte. Ujrzała za nimi półki pełne ksiąg, stół, na którym piętrzył się stos książek i zapisanych kartek, i stało wiele kałamarzy. Siedzieli przy nim trzej chłopcy oraz siwowłosy przysadzisty mężczyzna, z którym rozmawiał Mistrz Odźwierny. Widziała, jak wyraz twarzy nieznajomego się zmienia. Zerknął na nią ze zdumieniem. Cicho, z napięciem zadawał pytania Mistrzowi Odźwiernemu.

Obaj podeszli do niej.

– Mistrz Przemian z Roke, a to Irian z Way – przedstawił ich Mistrz Odźwierny.

Mistrz Przemian nie dorównywał Irian wzrostem. Patrzył na nią uważnie.

– Wybacz, że mówię to otwarcie, młoda kobieto, ale muszę – rzekł. – Mistrzu Odźwierny, wiesz, że nigdy nie kwestionuję twojego osądu, reguły jednak są jasne. Pytam więc, czemu je złamałeś i wpuściłeś ją za próg.

– Bo mnie poprosiła.

– Ale... – Mistrz Przemian urwał.

– Kiedy po raz ostatni kobieta prosiła o wstęp do szkoły?

– Wiedzą, że reguła na to nie zezwala.

– Wiedziałaś o tym, Irian? – spytał Mistrz Odźwierny.

– Tak, panie.

– Zatem co cię tu sprowadza? – wtrącił Mistrz Przemian surowo, lecz z wyraźnym zaciekawieniem.

– Pan Kość mówił, że mogłabym udawać mężczyznę. Myślałam jednak, że od początku powinnam wyjawić prawdę. Potrafię zachować czystość jak inni, panie.

Na policzkach Mistrza Odźwiernego pojawiły się dwie szerokie bruzdy zwiastujące uśmiech. Twarz Mistrza Przemian pozostała surowa.

– Z pewnością... Tak, szczerość to lepsze wyjście. O jakim panu mówiłaś?

– O Kości – wyjaśnił Mistrz Odźwierny. – To chłopak z Wielkiego Portu Havnor. Wpuściłem go do środka trzy lata temu i wypuściłem w zeszłym roku. Może pamiętasz.

– Kość? Ten, który pobierał nauki u Mistrza Sztuk? Wciąż jest tutaj? – spytał gniewnie Mistrz Przemian.

Irian uniosła głowę. Milczała.

– Nie w szkole – rzekł z uśmiechem Mistrz Odźwierny.

– On cię oszukał, młoda niewiasto. Zadrwił z ciebie, próbując zadrwić z nas.

– Wykorzystałam go, aby mnie tu sprowadził i powiedział, jakie hasło podać Mistrzowi Odźwiernemu – wyjaśniła Irian. – Nie przybywam, aby z kogokolwiek drwić, lecz dowiedzieć się tego, co wiedzieć muszę.

– Często zastanawiałem się, czemu wpuściłem tamtego chłopaka – mruknął Mistrz Odźwierny. – Teraz zaczynam rozumieć.

Mistrz Przemian się zamyślił.

– Mistrzu Odźwierny – powiedział w końcu – co chciałeś przez to rzec?

– Myślę, że Irian z Way przybyła tutaj, szukając nie tylko tego, co powinna wiedzieć, ale też tego, co my powinniśmy poznać. – Mistrz Odźwierny mówił z powagą, bez uśmiechu. – Musimy omówić to w gronie Dziewięciu.

Mistrz Przemian przyjął te słowa z prawdziwym zdumieniem. Nie próbował jednak Mistrza Odźwiernego przekonywać.

– Ale nie na oczach uczniów – rzekł jedynie. – A ona zamieszka w mieście – dodał z ulgą.

– I będziemy mówić o niej za jej plecami?

– Nie sprowadzisz jej chyba do Komnaty Rady? – W głosie Mistrza Przemian dźwięczało niedowierzanie.

– Arcymag przyprowadził tam młodego Arrena.

– Ale... Arren to król Lebannen.

– A kim jest Irian?

Mistrz Przemian milczał długą chwilę. W końcu odezwał się cicho, z szacunkiem:

– Przyjacielu, co według ciebie mamy począć? Czego się dowiedzieć? Kim ona jest, że prosisz o to w jej imieniu?

– A kimże my jesteśmy? – spytał Mistrz Odźwierny. – Jak możemy jej odmówić, nie wiedząc, kim jest?

***

– Kobieta – powiedział w Komnacie Rady Mistrz Przywołań.

Wcześniej Irian spędziła kilka godzin w pokoju Mistrza Odźwiernego, niskim, jasnym, niemal zupełnie pustym. Niewielkie oszklone okno wychodziło na ogrody kuchenne Wielkiego Domu – piękne, starannie utrzymane ogrody, długie grządki warzyw i ziół, za którymi rosły krzewy i drzewa owocowe. W pewnym momencie ujrzała krępego ciemnoskórego mężczyznę i dwóch chłopców. Wyszli na dwór i zaczęli plewić jedną z grządek. I gdy tak patrzyła, jak starannie pracują, ogarnął ją spokój. Pożałowała, że nie może im pomóc. Z trudem znosiła czekanie. Raz w pokoju zjawił się Mistrz Odźwierny. Przyniósł jej talerz zimnych mięs, chleba i cebulek. Zjadła, bo tak jej kazał, lecz nawet nie czuła smaku. Ogrodnicy odeszli i nie miała już co oglądać. Za oknem rosła kapusta, podskakiwały na grządkach wróble, od czasu do czasu jastrząb krążył wysoko na niebie i wiatr kołysał łagodnie czubkami wysokich drzew za murem ogrodu.

Wreszcie Mistrz Odźwierny wrócił.

– Chodź, Irian – rzekł. – Poznaj mistrzów z Roke.

Serce zaczęło galopować jej w piersi. Ruszyła w ślad za Mistrzem Odźwiernym przez labirynt korytarzy i wkrótce dotarła do komnaty o ciemnych murach, w których osadzono rząd wysokich łukowych okien. W pokoju stała grupa mężczyzn. Gdy Irian przekroczyła próg, wszyscy jak jeden mąż odwrócili się i spojrzeli na nią.

– Oto Irian z Way, panowie – oznajmił Mistrz Odźwierny. Gestem wezwał ją głębiej do komnaty. – Mistrza Przemian już poznałaś – dodał. Potem przedstawił jej wszystkich innych, nie potrafiła jednak zapamiętać ich specjalności z wyjątkiem Mistrza Ziół, mężczyzny, którego wcześniej wzięła za ogrodnika, i najmłodszego z nich, wysokiego człowieka o surowej, pięknej twarzy, która zdawała się

wyrzeźbiona z ciemnego kamienia, Mistrza Przywołań. Gdy Mistrz Odźwierny umilkł, właśnie on przemówił.

– Kobieta – powiedział. Głos Mistrza Przywołań także przywodził na myśl kamień, zimny i ciężki.

Mistrz Odźwierny z niezmąconym spokojem skinął głową.

– Po to zwołałeś Radę Dziewięciu? Tylko po to?

– Tylko po to – przytaknął Mistrz Odźwierny.

– Nad Morzem Najgłębszym widziano przelatujące smoki, Roke nie ma Arcymaga, a wyspy prawnie ukoronowanego króla. Czeka nas mnóstwo obowiązków. Kiedy się nimi zajmiemy?

W komnacie zapadła niezręczna cisza. Mistrz Odźwierny milczał. W końcu niewysoki mężczyzna o jasnych włosach, odziany w czerwoną tunikę pod szarym płaszczem maga, uniósł głowę.

– Czy wprowadzasz tę kobietę do Wielkiego Domu jako ucznia, Mistrzu Odźwierny?

– Żebym to uczynił, wszyscy musielibyście się zgodzić.

– Tak czy nie? – nalegał mężczyzna w czerwieni, uśmiechając się lekko.

– Mistrzu Sztuk, poprosiła, abym wpuścił ją jako ucznia. Nie dostrzegłem powodów, by odmówić.

– Jest ich wiele – wtrącił Mistrz Przywołań.

Nagle do rozmowy włączył się mężczyzna o głębokim, dźwięcznym głosie:

– Nie nasz osąd o tym decyduje, lecz reguła Roke, której przysięgliśmy strzec.

– Wątpię, by Mistrz Odźwierny złamał ją z lekkim sercem – wtrącił kolejny z mistrzów, którego Irian nie zauważyła, póki się nie odezwał, mimo że był wysoki, siwowłosy, mocno zbudowany i miał twarz o ostrych, surowych rysach. W odróżnieniu od innych patrzył wprost na nią. – Jestem Kurremkarmerruk – oznajmił. – Jako tutejszy Mistrz Imion swobodnie sobie z nimi poczynam, łącznie z mym własnym. Kto cię nazwał, Irian?

– Czarownica Róża z naszej wioski, panie – odparła, prostując plecy. Jej głos zabrzmiał ochryple i piskliwie.

– Czy nosi złe imię? – spytał Mistrza Imion Odźwierny.

Kurremkarmerruk pokręcił głową.

– Nie, ale...

Mistrz Przywołań, wpatrzony w puste palenisko, odwrócił się nagle.

– Imiona, które nadają sobie wiedźmy, nas nie obchodzą. Jeśli interesuje cię ta kobieta, Mistrzu Odźwierny, winieneś zająć się nią poza tymi murami, przed drzwiami, których przysięgłeś strzec. Nie ma tu dla niej miejsca i nigdy nie będzie. Może sprowadzić ze sobą jedynie zamieszanie, niezgodę i jeszcze bardziej nas osłabić. Więcej nie powiem ni słowa i nie odezwę się już w jej obecności. Jedyną odpowiedzią na ów z rozmysłem popełniony błąd jest milczenie.

– Milczenie nie wystarczy, mój panie – wtrącił człowiek, który wcześniej się nie odzywał. Irian wydał się bardzo dziwny. Miał bladą, czerwonawą skórę, długie jasne włosy i wąskie oczy barwy lodu. Mówił równie dziwnie: słowa brzmiały obco, osobliwie zniekształcone. – Milczenie to odpowiedź na wszystko i na nic – dodał.

Mistrz Przywołań uniósł szlachetną, ciemną twarz i spojrzał na bladego mężczyznę, nie odpowiedział jednak. Bez słowa ani gestu odwrócił się i wyszedł z komnaty. Gdy powoli mijał Irian, cofnęła się gwałtownie, zupełnie jakby obok niej otwarł się grób, grób zimny, mokry, mroczny. Oddech uwiązł jej w gardle, zachłysnęła się, chwytając powietrze. Kiedy doszła do siebie, dostrzegła, że Mistrz Przemian oraz blady mężczyzna obserwują ją czujnie.

Człowiek o głosie niskim niczym dźwięk dzwonu także na nią patrzył, mówiąc uprzejmie, lecz surowo:

– Młodzieniec, który cię tu sprowadził, miał złe zamiary, ale ty ich nie masz. A jednak sama twoja obecność szkodzi i nam, i tobie, Irian. Jeśli ktoś lub coś znajdzie się poza swoim miejscem, czyni szkodę. Jeden nawet najwspanialej odśpiewany dźwięk niszczy melodię, do której nie należy. Kobiety uczą kobiety, czarownice poznają swą sztukę od innych czarownic i od czarowników, nie magów. Nauczamy tu mowy niedostępnej językowi kobiety. Młode serce buntuje się przeciw podobnym prawom, nazywając je arbitralnymi, niesprawiedliwymi. To jednak słuszne prawa, stworzone nie z naszej chęci, lecz konieczności. Sprawiedliwi i niesprawiedliwi,

mądrzy i głupi – wszyscy muszą ich słuchać. W przeciwnym razie zmarnują życie i niczego nie osiągną.

Mistrz Przemian i chudy starszy mag o bystrej twarzy skinęli głowami na znak zgody. Mistrz Sztuk dodał:

– Bardzo mi przykro, Irian. Kość był moim uczniem. Źle go wykształciłem, a uczyniłem jeszcze gorzej, odsyłając go stąd. Uznałem, że jest nieszkodliwy. On jednak okłamał cię i oszukał. Nie wstydź się. To jego wina i moja.

– Nie wstydzę się – odparła Irian.

Czuła, że powinna podziękować im za uprzejmość, jednakże te słowa nie chciały przejść jej przez gardło. Ukłoniła się sztywno, odwróciła i wyszła z komnaty.

Mistrz Odźwierny doścignął ją, gdy dotarła do skrzyżowania korytarzy i zatrzymała się, nie wiedząc, w którą stronę pójść.

– Tędy – rzekł, zrównując się z nią; po chwili znów: – Tędy.

Wkrótce dotarli do drzwi nie z rogu i kości, lecz z gładkiej dębiny, czarnej i ciężkiej. Pośrodku osadzono rygiel, stary i wyrobiony.

– To tylne drzwi – oznajmił mag, odsuwając zasuwę. – Kiedyś nazywano je Bramą Mędry. Strzegę ich obu.

Otworzył wierzeje. Światło dnia oślepiło Irian. Dopiero po chwili ujrzała ścieżkę wiodącą przez ogród i pola za nimi. Dalej dostrzegła wysokie drzewa i na horyzoncie po prawej stronie kopułę Pagórka Roke. Tuż za progiem stał jasnowłosy mężczyzna o wąskich oczach, zupełnie jakby na nich czekał.

– Tak, Mistrzu Wzorów? – Odźwierny nie wydawał się zaskoczony.

– Dokąd odsyłasz tę panią? – spytał Mistrz Wzorów na swój dziwny sposób.

– Donikąd. Wypuszczam ją, tak jak wcześniej wpuściłem, zgodnie z jej życzeniem.

– Zechcesz pójść ze mną? – spytał Irian Mistrz Wzorów.

Spojrzała na niego, potem na Mistrza Odźwiernego. Milczała.

– Nie mieszkam w tym domu, w żadnym domu – dodał Mistrz Wzorów – tylko tam, w Gaju. Ach! – westchnął, odwracając się nagle. Kilka kroków dalej na ścieżce czekał wysoki, siwowłosy Mistrz Imion Kurremkarmerruk. Nie było go tam wcześniej. Irian oszołomiona wodziła wzrokiem od jednego mistrza do drugiego.

– To tylko złudzenie; moja postać – wyjaśnił starzec. – Ja także mieszkam nie tutaj, lecz daleko stąd. – Gestem wskazał na północ. – Kiedy załatwisz już swoje sprawy z Mistrzem Wzorów, możesz tam przybyć. Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o twoim imieniu.

Skinieniem głowy pozdrowił magów i zniknął. W miejscu, gdzie jeszcze przed momentem stał, przeleciał trzmiel, bzycząc głośno.

Irian wbiła wzrok w ziemię. Po długiej chwili odezwała się, nie unosząc wzroku.

– Czy to prawda, że moja obecność wam szkodzi?

– Nie wiem – odparł Mistrz Odźwierny.

– W Gaju nic nie może szkodzić – dodał Mistrz Wzorów. – Chodź. Jest tam stary dom, chata, zniszczona i zapuszczona, ale tobie to nie przeszkadza, prawda? Zostań jakiś czas. Sama zobaczysz.

Ruszył ścieżką pomiędzy grządkami pietruszki i fasoli. Irian spojrzała na Mistrza Odźwiernego, który uśmiechnął się lekko. Podążyła za jasnowłosym magiem.

Pokonali w milczeniu prawie pół mili. Pagórek wznosił się coraz wyżej na zachodnim horyzoncie. Za nimi na niższym wzgórzu stała szkoła, szary budynek o wielu dachach. Przed nimi wyrósł zagajnik drzew. Irian dostrzegła dęby i wierzby, kasztany i jesiony, a także wysokie świerki. Z mrocznej gęstwiny lasu wypływał strumień o zielonych brzegach. Wiele wydeptanych ścieżek zdradzało miejsca, w których krowy i owce schodziły do wodopoju lub by przejść na drugą stronę. Przebyli groblę, zostawiając za sobą pastwisko, na którym liczne stado owiec skubało krótką, soczystą trawę, i stanęli na brzegu strumienia.

– To ten dom – oznajmił mag, wskazując niski, porośnięty mchem dach chaty przycupniętej wśród cieni drzew. – Zostaniesz tu na noc?

Zapytał, nie kazał jej. W odpowiedzi jedynie skinęła głową.

– Przyniosę jedzenie. – Odszedł, przyspieszając kroku. Wkrótce zniknął w plątaninie świateł i cieni pod gałęziami drzew, choć nie tak nagle jak Mistrz Imion. Irian patrzyła za nim, póki ostatecznie nie straciła go z oczu, a potem, przedzierając się przez wysokie trawy i chaszcze, dotarła do niewielkiego domu.

Wydawał się bardzo stary. Odbudowywano go kilka razy, lecz ostatnio bardzo dawno temu. Od wielu lat nikt tu nie mieszkał.

Świadczyła o tym atmosfera domu, jednak była przyjemna, jakby ci, którzy tu sypiali, sypiali spokojne. Jeśli zaś chodzi o rozpadające się ściany, myszy, pajęczyny i nieliczne, nędzne sprzęty, dla Irian nie było to nic nowego. Znalazła wyłysiałą szczotkę i pozamiatała. Na drewnianym łóżku rozłożyła swój pled. W szafce o wypaczonych drzwiach znalazła nadtłuczony dzbanek i napełniła go wodą ze strumienia – cicha, czysta struga płynęła zaledwie dziesięć kroków od drzwi domu. Wszystko to Irian czyniła jakby w transie. Potem zaś usiadła na trawie i zasnęła oparta plecami o rozgrzaną od słońca ścianę.

Kiedy się ocknęła, nieopodal siedział Mistrz Wzorów, a na trawie między nimi stał duży koszyk.

– Głodna? Jedz – powiedział.

– Zjem później, dziękuję – odparła Irian.

– Ja jestem głodny teraz – oznajmił mag. Wyjął z kosza ugotowane na twardo jajko, nadtłukł je, obrał i zjadł. – Kiedyś nazywano tę chatę Domem Wydry. Jest bardzo stara, tak stara jak Wielki Dom. Wszystko tu jest stare. Także my, mistrzowie.

– Ty nie. – Oceniła go na trzydzieści, może czterdzieści lat, choć trudno było orzec. Cały czas zdawało jej się, że włosy ma siwe, bo nie były czarne.

– Ale przybywam z daleka. Mile są jak lata. Jestem Kargiem z Karego. Słyszałaś o nas?

– Mroźni Ludzie. – Irian ze zgrozą wspomniała ballady Stokrotki o Mroźnych Ludziach, którzy przypłynęli ze wschodu, aby splądrować ich świat i piec na włóczniach niewinne dzieci, a także historię o tym, jak Erreth-Akbe utracił Pierścień Pokoju, i nowe pieśni oraz *Opowieść królewską* o tym, jak Arcymag Krogulec zapuścił się pomiędzy Mroźnych Ludzi i powrócił z Pierścieniem...

– Mroźni? – powtórzył Mistrz Wzorów.

– Lodowaci. Biali – wyjaśniła zawstydzona. Uciekła spojrzeniem w bok.

– Ach tak. – Odczekał chwilę. – Mistrz Przywołań także nie jest stary. – Wąskie oczy barwy lodu zerknęły na nią czujnie.

Nie odpowiedziała.

– Mam wrażenie, że się go przelękłaś.

Skinęła głową, ale wciąż milczała.

– W cieniu tych drzew nie kryje się nic strasznego. Tylko prawda.

– Gdy mnie minął – rzekła cicho – ujrzałam grób.

– Ach! – westchnął Mistrz Wzorów.

Z kawałków skorupki jajka usypał stosik obok swego kolana. Rozsunął je, tworząc półokrąg, potem pełny krąg.

– Tak – powiedział, przyglądając się skorupkom. Lekko poruszając ziemię palcami, zagrzebał je starannie i otrzepał dłonie. Jego spojrzenie co chwila wędrowało ku Irian. – Byłaś czarownicą?

– Nie.

– Ale dysponujesz wiedzą?

– Nie. Róża nie chciała mnie uczyć. Mówiła, że brak jej odwagi, bo mam moc, lecz ona nie wie jaką.

– Twoja Róża to mądry kwiatuszek. – Na twarzy maga nie dostrzegła ni cienia uśmiechu.

– Ale wiem, że mam... mam coś do zrobienia. Kimś muszę się stać. Dlatego właśnie chciałam tu przybyć. Żeby się dowiedzieć. Na Wyspie Mędrców.

Powoli przywykała już do jego dziwnej twarzy i potrafiła odczytywać z niej emocje. Teraz posmutniał. Jego głos brzmiał ostro, sucho, spokojnie.

– Mężczyźni na wyspie nie zawsze są mądrzy, hę? Może z wyjątkiem Mistrza Odźwiernego. – Patrzył na nią nie ukradkiem, lecz wprost. Ich oczy się spotkały. – Ale tu, w lesie, pod drzewami, kryje się stara mądrość. Zawsze młoda. Nie mogę ci jej przekazać, mogę cię zabrać w głąb Gaju. – Po chwili wstał. – Tak?

– Tak – odparła niepewnie.

– Dom ci odpowiada?

– Tak...

– Jutro – powiedział i odszedł.

I tak przez pół miesiąca owego gorącego lata Irian sypiała w Domu Wydry, cichym i przytulnym, i jadała to, co przyniósł w koszu Mistrz Wzorów – jajka, ser, warzywa, owoce, wędzoną baraninę. A każdego popołudnia chodziła z nim po Gaju, gdzie ścieżki za każdym razem wyglądały inaczej i często wiodły znacznie dalej, niż, jak się zdawało, sięgała granica lasu. Wędrowali

w milczeniu, podczas postojów rzadko się odzywali. Mag był cichym człowiekiem, choć dostrzegała w nim skrywaną porywczość. Nigdy nie okazywał tej strony swego charakteru. Irian czuła się przy nim swobodnie, był elementem Gaju, tak jak drzewa, rzadko widywane ptaki i czworonogie istoty. Powiedział, że nie będzie jej uczył, i dotrzymał słowa. Gdy wypytywała go o Gaj, mówił, że wraz z Pagórkiem Roke trwa on w tym samym miejscu, odkąd Segoy stworzył wyspy świata, i że cała magia kryje się u korzeni tutejszych drzew, które – być może – łączą się z korzeniami wszystkich lasów z przeszłości i przyszłości.

– Czasami Gaj jest w tym miejscu, a czasami w innym. Ale zawsze gdzieś istnieje.

Nigdy nie widziała, gdzie mieszka Mistrz Wzorów. Wyobrażała sobie, że ciepłymi, letnimi nocami sypiał tam, gdzie zechce. Kiedyś spytała, skąd bierze jedzenie. Odparł, że to, czego nie dostarcza szkoła, przynoszą miejscowi rolnicy, uważając za wystarczające wynagrodzenie świadomość, że mistrzowie Roke strzegą czarami ich stad, pól i sadów. To ją przekonało. Na Way „czarnoksiężnik bez swej owsianki" oznaczał coś niezwykłego, wielki dziw. Ona jednak nie była czarnoksiężnikiem. Pragnąc zatem zarobić na swą owsiankę, postarała się jak najlepiej naprawić Dom Wydry. Narzędzia pożyczała od rolnika, gwoździe i gips kupowała w Thwil, bo wciąż pozostała jej połowa pieniędzy za sery.

Mistrz Wzorów nigdy nie przychodził do niej przed południem, miała zatem wolne poranki. Przywykła do samotności, nadal jednak tęskniła za Różą, Stokrotką i Królikiem, kurczakami i krowami, owcami i hałaśliwymi, niemądrymi psami, za pracą wykonywaną w domu, by utrzymać w całości starą Irię i zapewnić domownikom wikt. Każdego ranka pracowała niespiesznie, póki nie dostrzegła maga wyłaniającego się spośród drzew. Jego słoneczne włosy lśniły w słonecznych promieniach.

W samym Gaju nie myślała nawet o jedzeniu, pragnieniach czy nauce. Wystarczało jej, że jest w tym miejscu.

Gdy spytała go, czy do Gaju przychodzą uczniowie z Wielkiego Domu, odparł: „Czasami". Innym razem rzekł: „Moje słowa są niczym. Słuchaj liści".

Jedynie to można było nazwać nauką. Gdy tak szła, słuchała liści szeleszczących i szumiących w porywach wiatru, patrzyła na roztańczone cienie i myślała o korzeniach drzew, ukrytych głęboko w mroku ziemi. Była pogodzona ze sobą, zadowolona, że tu jest. A jednak stale czuła, że na coś czeka, choć w czekaniu tym nie było niepokoju czy niecierpliwości. Owo milczące oczekiwanie stawało się najwyraźniejsze, najgłębsze, kiedy opuszczała schronienie lasu i widziała nad głową otwarte niebo.

Pewnego dnia, gdy zapuścili się wyjątkowo daleko i drzewa, wysokie, wiecznie zielone, należące do nieznanego jej gatunku, wznosiły się bez ruchu wokół nich, usłyszała krzyk – odgłos rogu, płacz? – skądś z zachodu, z daleka, ledwie słyszalny. Zamarła. Mag szedł dalej i odwrócił się, dopiero gdy dostrzegł, że się zatrzymała.

– Słyszałam... – zaczęła, lecz nie potrafiła opisać co.

Począł nasłuchiwać. Kiedy w końcu ruszyli dalej, wędrowali w ciszy pogłębionej jeszcze i wzmocnionej przez ów odległy krzyk.

Nigdy nie wchodziła do Gaju bez niego. Minęło wiele dni, nim pierwszy raz pozostawił ją tam samą. Jednak pewnego gorącego popołudnia, kiedy dotarli na łąkę w kręgu dębów, rzekł:

– Wrócę tu, hę?

Odszedł szybkim, bezszelestnym krokiem, niemal natychmiast znikając w gąszczu świateł i cieni lasu.

Nie miała ochoty zapuszczać się samotnie dalej. Spokój tego miejsca zachęcał do bezruchu, obserwacji, nasłuchiwania. Wiedziała też, jak podstępne bywają tu ścieżki, i że Gaj jest, jak to ujął Mistrz Wzorów, „większy wewnątrz niż na zewnątrz". Usiadła w plamie słonecznego blasku, patrząc na cienie liści tańczące na ziemi. Zagajnik dębowy wydawał się dość rozległy. Chociaż nigdy nie widziała w lesie dzików, tutaj dostrzegła ich ślady. Przez moment poczuła w nozdrzach woń lisa. Jej myśli wędrowały daleko, lekkie niczym wietrzyk w ciepłym blasku słońca.

Często odnosiła wrażenie, że jej umysł zamiast myśli wypełnia Gaj. Tego dnia jednak powróciły do niej wspomnienia. Pomyślała o Kości, o tym, że nigdy już go nie zobaczy. Zastanawiała się, czy znalazł statek, który zabrałby go do Havnoru. Powiedział, że nie wróci do Zachodniego Stawu. Dla niego na całym świecie liczył się tylko

Wielki Port, królewskie miasto; wyspa Way mogła zatonąć w morzu głęboko jak Solea. Irian jednak wspominała z miłością drogi i pola Way, myślała o wiosce Stara Iria, o błotnistym źródle pod wzgórzem, starym dworze na szczycie; myślała o Stokrotce śpiewającej w kuchni zimowymi wieczorami ballady i wystukującej rytm drewniakami, o starym Króliku w winnicach, trzymającym w dłoni ostry jak brzytwa nóż – kiedyś pokazywał jej, jak przycinać winorośl „aż do miejsca, w którym zaczyna się życie" – i o Róży, Etaudis, szepczącej uroki łagodzące ból w złamanej ręce dziecka. Znałam mądrych ludzi, pomyślała. Gdy przypomniała sobie ojca, jej myśli rozbiegły się gwałtownie, później jednak ruchy liści i cieni zwabiły je z powrotem. Ujrzała go pijanego, wrzeszczącego; poczuła na sobie natrętne, drżące ręce. Widziała, jak ojciec płacze, chory, zawstydzony, zrozpaczony. Jak uczucia te wzbierają w jego ciele i znikają niczym ból zastałych mięśni. Znaczył dla niej mniej niż matka, której nigdy nie poznała.

Przeciągnęła się, rozleniwiona ciepłem słonecznym, a jej myśli powędrowały z powrotem do Kości. Nigdy w życiu nikogo nie pragnęła. Gdy pierwszy raz ujrzała młodego czarodzieja, szczupłego i aroganckiego, bardzo chciała móc go pragnąć. Nie pragnęła jednak, nie potrafiła. Uznała zatem, iż chronią go zaklęcia. Róża wyjaśniła jej, jak działają zaklęcia magów: „Ta myśl nigdy nie pojawia się w twojej głowie ani w ich głowach, bo mówią, że coś takiego osłabiłoby ich moc". Lecz Kość, biedny Kość nie miał żadnej ochrony. Jeśli na kogoś rzucono czar wstrzemięźliwości, to na nią, choć bowiem był uroczy i przystojny, nigdy nic do niego nie czuła, jedynie sympatię, a pożądała wyłącznie wiedzy, którą mógł jej przekazać.

Zastanowiła się nad sobą, siedząc w głębokiej ciszy Gaju. Nie śpiewał tu żaden ptak, wietrzyk ucichł, liście znieruchomiały. Czy jestem zaklęta? Czy jestem istotą o jałowym łonie, niecałą, niekobietą? – spytała samą siebie, patrząc na swe silne, nagie ręce, na niewielkie wzgórki piersi w cieniu pod koszulą.

Uniosła wzrok i zobaczyła Mroźnego Człowieka, który wynurzył się z cienistej ścieżki pomiędzy wielkimi dębami i ruszył ku niej przez polanę.

Stanął przed nią. Poczuła, że się rumieni. Twarz i gardło piekło ją, kręciło jej się w głowie, w uszach dzwoniło. Nie umiała znaleźć słów, nie wiedziała, co mogłaby powiedzieć, by odwrócić od siebie uwagę. Usiadł obok niej. Spuściła wzrok, udając, że ogląda zbutwiały liść leżący tuż przy jej dłoni.

Czego ja chcę? Nagle dostrzegła odpowiedź, nieujętą w słowach, lecz zamkniętą w jej ciele i duszy: ognia, większego ognia, lotu, ognistego lotu...

Nagle znów stała się sobą. Siedziała w ciszy pod drzewami, Mroźny Człowiek siedział obok ze spuszczoną głową i pomyślała, że wygląda krucho i niegroźnie, pogrążony w smutku i żałobie. Nie miała się czego bać. Nic się nie stanie.

Spojrzał na nią.

– Słyszysz liście?

Znów powiał lekki wietrzyk. Liście szeptały wśród dębów.

– Ledwo-ledwo – odparła.

– Słyszysz słowa?

– Nie.

Nie pytała o nic, a on nic nie mówił. Po chwili wstał i ruszyła za nim ścieżką, która zawsze wcześniej czy później wyprowadzała ich z lasu na łąkę nad potokiem Thwilburn, obok Domu Wydry. Gdy tam dotarli, zbliżał się już wieczór. W miejscu, w którym potok wypływał z lasu ponad brodem, mag zaczerpnął wody, Irian uczyniła podobnie. A potem, siedząc w wysokiej, zimnej trawie na brzegu, zaczął mówić.

– Mój lud, Kargowie, oddaje cześć bogom, bliźniaczym bogom, braciom. Tamtejszy król także jest bogiem, jednakże przed nimi i po nich istniały i istnieć będą strumienie, jaskinie, kamienie, wzgórza, drzewa, ziemia, mrok w głębi ziemi.

– Stare Moce – wtrąciła Irian.

Skinął głową.

– Tamtejsze kobiety znają Stare Moce, tutejsze czarownice także. To zła wiedza, hę?

Jego krótkie pytające „hę” na końcu zdania zawsze ją zaskakiwało. Nie odpowiedziała.

– Ciemność jest zła, hę?

Irian odetchnęła głęboko i spojrzała mu prosto w oczy.

– Tylko w ciemności światło – rzekła.

Westchnął. Odwrócił wzrok, toteż nie widziała wyrazu jego twarzy.

– Powinnam odejść – powiedziała. – Mogę wędrować po Gaju, ale nie mogę w nim żyć. To nie moje... moje miejsce, a Mistrz Pieśni twierdzi, że przebywając tutaj, czynię zło.

– Wszyscy w swym życiu czynimy zło – powiedział Mistrz Wzorów.

A potem zrobił coś, co często mu się zdarzało: ułożył wzór z tego, co miał pod ręką. Na piaszczystym brzegu rozłożył ogonek liścia, źdźbło trawy i kilka kamyków, przyjrzał się im uważnie, po czym zaczął je przesuwać.

– Teraz muszę opowiedzieć o złu – oznajmił.

Po długiej chwili ciszy znów zaczął mówić:

– Wiesz, że smok przyniósł tu z wybrzeży śmierci naszego pana Krogulca i młodego króla. Potem zabrał Krogulca do domu, bo jego moc odeszła. Nie był już magiem. Mistrzowie Roke spotkali się zatem, by wybrać nowego Arcymaga, tu, w Gaju. Jak zawsze. Ale nie jak zawsze.

Przed przybyciem smoka Mistrz Przywołań także powrócił z krainy śmierci, do której może go zabrać jego sztuka. I tam, w krainie po drugiej stronie kamiennego muru, widział naszego pana i młodego króla. Twierdził, że już nie wrócą. Mówił, że pan Krogulec polecił mu powrócić do nas, do życia, i przekazać tę wieść. Opłakiwaliśmy zatem naszego pana.

Potem jednak zjawił się smok Kalessin i przyniósł go żywego.

Mistrz Przywołań był z nami, gdy stanęliśmy na Pagórku Roke i ujrzeliśmy, jak Arcymag klęka przed królem Lebannenem. A potem, gdy smok uniósł naszego przyjaciela, Mistrz Przywołań runął na ziemię.

Leżał jak martwy, zimny, jego serce nie biło, lecz wciąż oddychał. Mistrz Ziół dokładał wszelkich starań, nie mógł go jednak ocucić.

Jest martwy, orzekł. Oddycha, ale jest martwy. Toteż go opłakiwaliśmy. Potem, ponieważ ogarnął nas niepokój, a moje wzory zwiastowały zmiany i niebezpieczeństwo, spotkaliśmy się, by wybrać nowego Strażnika Roke, Arcymaga, który by nas poprowadził.

Na miejscu Mistrza Przywołań posadziliśmy młodego króla. Wydawało się stosowne, by zasiadł pośród nas. Jedynie Mistrz Przemian był przeciw, jednak ustąpił.

Zatem spotkaliśmy się, zasiedliśmy razem i nie mogliśmy dokonać wyboru. Mówiliśmy o tym i o tamtym, nikt jednak wymienił żadnego imienia. Potem zaś ja... Nawiedziło mnie coś, co mój lud nazywa *eduevanu*, innym oddechem. Słowa przyszły same, a ja je wypowiedziałem. Rzekłem: *Hama Gondun!* Kurremkarmerruk wyjaśnił, że po hardycku znaczy to „kobieta na Goncie". Kiedy odzyskałem zmysły, nie potrafiłem rzec, co oznaczają te słowa. I tak rozstaliśmy się, nie wybrawszy Arcymaga.

Król odpłynął wkrótce potem, Mistrz Wiatrów pożeglował wraz z nim. Przed koronacją udali się na Gont, szukając naszego pana, by dowiedzieć się, co znaczą słowa „kobieta na Goncie". Lecz znaleźli jedynie moją rodaczkę Tenar od Pierścienia, ta zaś rzekła, że nie jest kobietą, której szukają. Wrócili z niczym, z pustymi rękami. Lebannen zatem uznał, iż proroctwo dopiero się wypełni, i w Havnorze sam włożył sobie koronę na głowę.

Mistrz Ziół i ja także uznaliśmy, że Mistrz Przywołań nie żyje. Sądziliśmy, że jego oddychanie to pozostałość zaklęcia jego własnej sztuki, której nie rozumiemy, tak jak zaklęcie znane wężom, sprawiające, iż ich serca biją jeszcze długo po śmierci. Choć pogrzebanie oddychającego ciała wydawało nam się straszne, był jednak zimny, krew nie krążyła mu w żyłach, nie miał w sobie duszy, i to było straszniejsze. Poczyniliśmy zatem przygotowania do pogrzebu. I wówczas nad grobem otworzył oczy, poruszył się i przemówił:

„Przywołałem się do krainy życia, aby uczynić to, co uczynić trzeba".

Głos Mistrza Wzorów brzmiał ochryple. Nagle mag roztrącił dłonią leżące na piasku kamyki.

– Kiedy Mistrz Wiatrów powrócił, znów było nas dziewięciu, ale podzielonych. Mistrz Przywołań twierdził, że musimy spotkać się raz jeszcze i wybrać Arcymaga. Król nie powinien zasiadać między nami, rzekł, a kobieta na Goncie, kimkolwiek jest, nie ma czego szukać pośród mężczyzn na Roke, hę. Mistrzowie Wiatrów, Pieśni, Przemian

i Sztuk twierdzą, że ma rację. Mówią też, że tak jak król Lebannen powrócił z krainy śmierci, wypełniając proroctwo, tak i Arcymag z niej powróci.

– Ale... – zaczęła Irian i urwała.

Po chwili Mistrz Wzorów podjął swą opowieść.

– Jego sztuka przywołania to... kunszt przerażający. Kryje się w nim niebezpieczeństwo. Tutaj nie ma przywołań. – Uniósł wzrok, spoglądając w zielonozłoty mrok między drzewami. – Nikt nie przekracza muru. Nie ma muru.

Jego twarz była twarzą wojownika, kiedy jednak spoglądał na drzewa, łagodniała, malowała się na niej tęsknota.

– A teraz – dodał – uczynił z ciebie powód naszego spotkania. Nie pójdę jednak do Wielkiego Domu. Nie dam się przywołać.

– On tu nie przyjdzie?

– Wątpię, by wszedł do Gaju czy na Pagórek Roke. Na Pagórku wszystko jest tym, czym jest naprawdę.

Nie wiedziała, co miał na myśli, nie pytała jednak, zajęta czymś innym.

– Mówisz, że to ja jestem powodem, dla którego macie się dziś spotkać?

– Owszem. Trzeba dziewięciu magów, by odesłać jedną kobietę. – Bardzo rzadko się uśmiechał, a gdy to czynił, był to uśmiech ostry, gwałtowny. – Mamy się spotkać, aby nie dopuścić do złamania reguły Roke i żeby wybrać Arcymaga.

– Gdybym odeszła... – Ujrzała, jak kręci głową. – Mogłabym iść do Mistrza Imion...

– Tu jesteś bezpieczniejsza.

Myśl o tym, że miałaby czynić zło, niepokoiła ją, ani razu jednak nie pomyślała, że mogłoby jej coś zagrażać. Nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

– Nic mi nie będzie. Czyli Mistrz Imion, ty i Mistrz Odźwierny...?

– Nie chcemy, by Thorion został Arcymagiem. Podobnie Mistrz Ziół, choć tylko kopie w ziemi i prawie się nie odzywa. – Dostrzegł, że Irian patrzy na niego ze zdumieniem. – Mistrz Przywołań Thorion używa prawdziwego imienia. W końcu umarł, hę?

Irian wiedziała, że król Lebannen otwarcie posługuje się swym prawdziwym imieniem. On także powrócił z krainy śmierci. Jednakże fakt, iż podobnie czyni Mistrz Przywołań, nadal ją niepokoił.

– A... uczniowie?

– Także są podzieleni.

Pomyślała o szkole, w której tak krótko przebywała. Stąd, z głębi Gaju ujrzała ją znowu: kamienne mury zamykające jeden gatunek istot i niedopuszczające innych niczym zagroda, klatka. Jak ktokolwiek w tej klatce mógł zachować równowagę?

Mistrz Wzorów przesunął cztery kamyki, układając na piasku półksiężyc.

– Żałuję, że Krogulec odszedł – powiedział. – Chciałbym umieć odczytać to, co kryje się wśród cieni. Słyszę jednak tylko liście powtarzające: „Zmiana, zmiana, zmiana". Wszystko się zmieni. Prócz nich.

Spojrzał tęsknie na drzewa. Słońce zachodziło. Mistrz Wzorów wstał, pożegnał ją cicho i odszedł, znikając wśród pni.

Dłuższą chwilę Irian siedziała na brzegu potoku. Czuła niepokój wywołany tym, co usłyszała i o czym myślała, czego doświadczyła w Gaju. Martwiła się też, że jakakolwiek myśl bądź uczucie mogło ją tam dotknąć. Wróciła do domu, przygotowała sobie kolację: wędzone mięso, chleb, sałatę. Zjadła, w ogóle nie czując smaku. Potem wyszła nad wodę. Był ciepły, cichy wieczór, tylko najjaśniejsze gwiazdy przyświecały przez biały woal mgły. Irian zsunęła sandały i weszła do strumienia. W zimnej wodzie wyczuwała cieplejsze prądy. Zdjęła ubranie, męskie nogawice i koszulę – tylko to miała – i naga zanurzyła się powoli, czując, jak prąd napiera na jej ciało. W Irii nigdy nie pływała w strumieniach, nienawidziła też morza, szarego, zimnego, rozkołysanego. A dziś cieszyła się tą bystrą wodą. Brodziła w niej i pływała, muskając dłońmi jedwabiste, gładkie kamienie i swoją jedwabistą skórę, nogi oplatały jej pędy wodnych roślin; strumień zmywał wszelkie troski i niepokój, toteż unosiła się w nim radośnie, spoglądając w górę, ku białym, rozmytym ognikom gwiazd.

Przeszedł ją dreszcz. Woda stała się nagle zimna. Irian, wciąż odprężona, rozleniwiona, uniosła wzrok i ujrzała na brzegu czarną

postać mężczyzny.

Zerwała się na równe nogi.

– Wynoś się! – krzyknęła. – Precz, ty zdrajco, parszywy łotrze! Wyrwę ci wątrobę!

Rzuciła się w stronę brzegu, chwytając garściami twardą, ostrą trawę, i wygramoliła się na górę. Nikogo tam nie było. Stała sama, rozpalona, trzęsąc się z wściekłości. Z powrotem zeskoczyła na dół, znalazła ubranie i naciągnęła je, wciąż klnąc pod nosem.

– Tchórz! Zdrajca! Suczy syn!

– Irian?

– On tu był! – krzyknęła. – Ten padalec o zgniłym sercu, Thorion. – Szybko ruszyła w stronę Mistrza Wzorów, który stał obok domu, skąpany w blasku gwiazd. – Pływałam w strumieniu, a on mnie podglądał!

– To tylko jego bezcielesna postać. Nie zrobiłaby ci krzywdy, Irian.

– Postać z oczami, postać, która widzi! Niechaj będzie... – urwała, bo nagle zabrakło jej słów. Czuła się zbrukana. Zadrżała.

Mistrz Wzorów podszedł bliżej i ujął jej dłonie. Ręce miał ciepłe, a ona była tak zmarznięta, że przytuliła się do niego, szukając ciepła. Stali tak chwilę, odwracając od siebie twarze, lecz ze złączonymi rękami. W końcu oderwała się od niego, wyprostowała i odrzuciła mokre włosy.

– Dziękuję – powiedziała. – Zmarzłam.

– Wiem.

– Ja nigdy nie marznę – dodała. – To przez niego.

– Powtarzam ci, Irian, on nie może tu przyjść. Nie może cię tu skrzywdzić.

– Nigdzie nie może mnie skrzywdzić. – W jej żyłach znów płynął ogień. – Jeżeli spróbuje, zniszczę go.

Mistrz Wzorów westchnął. Spojrzała na niego w blasku gwiazd.

– Podaj mi swoje imię. Nie to prawdziwe, ale jakieś, którym mogłabym cię nazywać, kiedy o tobie myślę.

Przez chwilę milczał, wreszcie rzekł:

– W Karego-At, gdy byłem barbarzyńcą, nazywano mnie Azver. Po hardycku oznacza to Proporzec Wojenny.

– Dziękuję – powiedziała.

***

Leżała bez ruchu w małym domku, oddychając dusznym, nieruchomym powietrzem. Czuła, że sufit na nią napiera. A potem nagle zasnęła głęboko. Obudziła się równie niespodziewanie, gdy niebo na wschodzie zaczęło dopiero jaśnieć. Podeszła do drzwi i ujrzała to, co lubiła najbardziej: niebo przed wchodem słońca. Odwróciła głowę i dostrzegła Mistrza Wzorów Azvera. Opatulony w szary płaszcz, spał smacznie na ziemi za progiem. Bezszelestnie cofnęła się do domu. Po jakimś czasie zobaczyła, że Azver wraca do swego lasu nieco sztywnym krokiem, drapiąc się po głowie jak ludzie, którzy jeszcze nie do końca się dobudzili.

Zabrała się do pracy, czyszcząc wewnętrzną ścianę domu, przygotowując ją do tynkowania. Nim słońce jasno zaświeciło w oknach, usłyszała pukanie do otwartych drzwi. Na zewnątrz stał człowiek, którego wzięła za ogrodnika, Mistrz Ziół, mocny, budzący zaufanie, a obok niego wychudzony, ponury, stary Mistrz Imion.

Podeszła do drzwi i wymamrotała słowa powitania. Onieśmielali ją owi mistrzowie z Roke. Ich wizyta oznaczała, że spokój dobiegł końca, że nie będzie już więcej milczących wędrówek po lesie u boku Mistrza Wzorów. Wszystko to skończyło się zeszłej nocy. Wiedziała o tym, ale nie dopuszczała do siebie tej wiedzy.

– Wezwał nas Mistrz Wzorów – oznajmił Mistrz Ziół. Sprawiał wrażenie zakłopotanego. Dostrzegając kępkę roślin pod oknem, dodał: – To aksamitnik. Zasadził go tu ktoś z Havnoru. Nie wiedziałem, że rośnie na wyspie. – Uważnie obejrzał roślinkę i schował do sakiewki kilka strączków.

Irian ukradkiem przyglądała się Mistrzowi Imion, próbując zgadnąć, czy jest tylko bezcielesną postacią, czy człowiekiem z krwi i kości. Nic w jego osobie nie sprawiało wrażenia niematerialnego, zdawało jej się jednak, że tak naprawdę go tu nie ma, a gdy stanął w ukośnych promieniach słońca, nie rzucił cienia; miała rację.

– Czy daleko stąd mieszkasz, panie? – spytała.

Skinął głową.

– Pozostawiłem siebie w połowie drogi.

Uniósł wzrok. Mistrz Wzorów zbliżał się ku nim, czujny, rozbudzony.

Powitał ich krótko.

– A Mistrz Odźwierny? Przyjdzie?

– Powiedział, że lepiej będzie, jeśli zostanie przy drzwiach – odparł Mistrz Ziół. Zamknął ostrożnie sakiewkę o wielu kieszeniach. – Nie wiem jednak, czy zdoła utrzymać pod korcem to mrowisko.

– Co się dzieje? – spytał Kurremkarmerruk. – Czytałem o smokach, nie zwracałem na nic uwagi. Lecz wszyscy chłopcy uczący się w Wieży odeszli.

– Zostali przywołani – powiedział sucho Mistrz Ziół.

– I co z tego? – rzucił Mistrz Imion równie oschłym tonem.

– Mówię tylko, co mi się zdaje. – Mistrz Ziół był wyraźnie zakłopotany.

– Nie krępuj się – zachęcił go stary mag.

Tamten wciąż się wahał.

– Ta pani nie należy do naszej Rady – mruknął w końcu.

– Ale do mojej, owszem – wtrącił Azver.

– Przybyła w tym czasie do tego miejsca – dodał Mistrz Imion – a do tego miejsca w tym czasie nikt nie przybywa przypadkiem. Wszyscy wiemy jedynie, co nam się zdaje. Poza imionami kryją się inne imiona, panie uzdrowicielu.

Ciemnooki mag skłonił głowę.

– Dobrze – rzekł, z wyraźną ulgą przyjmując ich osąd. – Thorion wiele rozmawiał z innymi mistrzami i z młodzieżą. Tajemne spotkania, wewnętrzne kręgi, plotki, szepty. Młodsi uczniowie się boją. Kilku spytało mnie bądź Mistrza Odźwiernego, czy mogą odejść. Pozwoliliśmy im, w porcie jednak nie ma ani jednego statku i żaden nie zawinął do Zatoki Thwil, odkąd tamten przywiózł cię, pani, i następnego dnia pożeglował na Wathort. Mistrz Wiatrów wzbudził wiatr z Roke. Nawet gdyby przybył tu sam król, nie wylądowałby na wyspie.

– Póki nie zmieni się wiatr, hę? – wtrącił Mistrz Wzorów.

– Thorion twierdzi, że Lebannen nie jest prawdziwym królem, bo nie ukoronował go Arcymag.

– To bzdura niezgodna z historią! – wykrzyknął stary Mistrz Imion. – Pierwszy Arcymag nastał całe wieki po odejściu ostatnich królów. Roke włada w imieniu króla.

– Och! – westchnął Mistrz Wzorów. – Dozorcy trudno oddać klucze, gdy do domu wróci właściciel.

– Pierścień Pokoju został uleczony – dodał Mistrz Ziół swym cierpliwym, znękanym głosem. – Proroctwo się wypełniło, syn Morreda przywdział koronę. A jednak brak nam pokoju. Gdzie popełniliśmy błąd? Czemu nie możemy odnaleźć równowagi?

– Co planuje Thorion? – spytał Mistrz Imion.

– Sprowadzić tu Lebannena – odparł Mistrz Ziół. – Chłopcy gadają o „prawdziwej koronie". Drugiej koronacji. Z ręki Arcymaga Thoriona.

– Niech się odwróci! – wykrzyknęła odruchowo Irian, czyniąc znak niepozwalający, by słowa stały się ciałem. Żaden z magów się nie uśmiechnął, a Mistrz Ziół po chwili powtórzył jej gest.

– Jak mu się udaje zawładnąć nimi wszystkimi? – zapytał Mistrz Imion. – Mistrzu Ziół, byłeś tam, gdy Irioth rzucił wyzwanie Krogulcowi i Thorionowi. Jego dar był równie wielki jak Thoriona. Wykorzystywał ludzi, całkowicie nad nimi panował. Czy to właśnie czyni Thorion?

– Nie wiem. Mogę tylko rzec, że kiedy jestem z nim w Wielkim Domu, czuję, że nie można zrobić niczego, co nie zostało już kiedyś zrobione, że nic się nie zmieni, nic nie urośnie. Nieważne, jakich leków użyję, choroba zakończy się śmiercią. – Powiódł po nich wzrokiem zranionego zwierzęcia. – I myślę, że to prawda. Nie da się odzyskać równowagi, jeśli będziemy nadal łamać zasady. Posunęliśmy się za daleko. Kiedy Arcymag i Lebannen wkroczyli do krainy śmierci i powrócili – to nie było właściwe. Złamali prawo, którego łamać nie wolno. Thorion powrócił, by to naprawić.

– To znaczy, że trzeba odesłać ich do krainy śmierci? – dokończył Mistrz Imion, a Mistrz Wzorów rzekł:

– Kto wie, jakie jest prawo?

– Istnieje mur – odparł Mistrz Ziół.

– Jego korzenie nie sięgają tak głęboko, jak korzenie moich drzew – powiedział Mistrz Wzorów.

– Masz jednak rację, nie odzyskaliśmy równowagi – wtrącił Kurremkarmerruk ostrym, twardym głosem. – Kiedy, gdzie posunęliśmy się za daleko? O czym zapomnieliśmy? Co przeoczyliśmy, do czego odwróciliśmy się plecami?

Irian patrzyła to na jednego, to na drugiego maga.

– Gdy równowaga zostaje zachwiana, trwanie w bezruchu nic nie da, tylko wszystko pogarsza – oznajmił cicho Mistrz Wzorów. – Póki... – Uczynił szybko gest odwrócenia, unosząc otwartą dłoń i znów ją opuszczając.

– Co jest gorsze niż przywołanie samego siebie z krainy śmierci? – spytał Mistrz Imion.

– Thorion był z nas najlepszy. Śmiałe serce, szlachetny umysł. – Mistrz Ziół mówił w gniewie. – Krogulec go kochał, podobnie jak my wszyscy.

– Dopadło go sumienie – dodał Mistrz Imion. – Sumienie podpowiedziało, że tylko on może wszystko naprawić. By to uczynić, odrzucił własną śmierć, i tym samym odrzucił życie.

– Ale kto stanie przeciw niemu? – spytał Mistrz Wzorów. – Ja mogę jedynie ukrywać się w mym lesie.

– A ja w mojej wieży – dokończył Mistrz Imion. – Ty zaś, Mistrzu Ziół, i Mistrz Odźwierny tkwicie w pułapce, w Wielkim Domu, wśród ścian, które wznieśliśmy, by nie dopuszczać do środka zła. Czy też, jak w tym przypadku, nie wypuszczać go na zewnątrz.

– Jest nas czterech przeciw jednemu – rzekł Mistrz Wzorów.

– Przeciw pięciu – poprawił Mistrz Ziół.

Mistrz Imion westchnął.

– Czyżby do tego przyszło, że stoimy na kraju lasu zasadzonego przez Segoya i rozważamy, jak się zniszczyć nawzajem?

– Tak – powiedział Mistrz Wzorów. – To, co zbyt długo trwa niezmienione, niszczy samo siebie. Las jest wieczny, bo wciąż umiera i umiera; dzięki temu żyje. Nie pozwolę, by dotknęła mnie martwa ręka Thoriona, by dotknęła króla, który przyniósł nam nadzieję. Moimi ustami złożono nam obietnicę. Ja wymówiłem te słowa: „kobieta na Goncie”. Nie pozwolę, by o nich zapomniano.

– Czy zatem powinniśmy wyruszyć na Gont? – spytał Mistrz Ziół, zarażając się pasją dźwięczącą w słowach Azvera. – Jest tam

Krogulec.

– I Tenar od Pierścienia – dodał Azver.

– Może też cała nasza nadzieja – dokończył Mistrz Imion.

Stali w ciszy, niepewni, pielęgnując skrywaną nadzieję.

Irian także milczała, lecz jej nadzieja zniknęła, zastąpiona poczuciem wstydu i świadomością własnej małości. Oto mężni, mądrzy ludzie próbujący ocalić to, co kochają, choć nie wiedzą, jak to uczynić. Nie była mądra jak oni. Nie uczestniczyła w ich decyzjach. Odeszła na bok, a oni niczego nie zauważyli. Ruszyła brzegiem Thwilburn. Tam gdzie potok wypływał spomiędzy drzew, pienił się na kamieniach. Woda lśniła w słońcu, bulgotała radośnie. Irian miała ochotę się rozpłakać, ale łzy nie przychodziły jej łatwo. Patrzyła w wodę; wstyd powoli przeradzał się w gniew.

Po chwili wróciła do trzech magów.

– Azverze – rzekła.

Odwrócił się do niej zaskoczony i postąpił krok naprzód.

– Czemu złamałeś dla mnie regułę? – zapytała. – Czy to sprawiedliwe, skoro nie mogę stać się taka jak wy?

Azver zmarszczył brwi.

– Mistrz Odźwierny cię wpuścił, bo o to poprosiłaś. Ja przyprowadziłem cię do Gaju, gdyż nim jeszcze w ogóle przybyłaś na Roke, liście drzew powtarzały mi twoje imię. Irian, mówiły, Irian. Nie wiem, czemu tu jesteś, ale nie przypadkiem. Mistrz Przywołań także to wie.

– Może przybywam, by go zniszczyć.

Patrzył na nią w milczeniu.

– Może przybywam, by zniszczyć Roke.

Na te słowa jego blade oczy rozbłysły.

– Spróbuj!

Przebiegł ją dreszcz. Nagle poczuła się większa niż Azver, większa niż ona sama, ogromna. Mogła wyciągnąć palec i zniszczyć maga. Stał przed nią samotny, mały, odważny, ulotny człowiek, zbrojny jedynie w śmiertelność i swe człowieczeństwo. Głęboko zaczerpnęła powietrza. Cofnęła się.

Poczucie olbrzymiej siły zaczęło ją opuszczać. Lekko odwróciła głowę i ze zdumieniem spojrzała na własną rękę, podwinięty rękaw,

stopy w sandałach pośród zimnej, zielonej trawy. Ponownie popatrzyła na Mistrza Wzorów; wciąż wydawał jej się słaby i kruchy. Żałowała go i szanowała. Chciała go ostrzec przed niebezpieczeństwem, jakie mu zagraża, nie mogła jednak znaleźć słów. Zawróciła na pięcie i poszła na brzeg strumienia. Tam przykucnęła, kryjąc twarz w dłoniach, nie dopuszczając go do siebie, nie dopuszczając całego świata.

Głosy pogrążonych w rozmowie magów były niczym szum rwącego strumienia. Strumień powtarzał własne słowa, oni także, lecz żadne z nich nie było tym właściwym.

Irian

Gdy Azver podszedł do magów, jego twarz miała dziwny wyraz.

– Co się stało? – spytał Mistrz Ziół.

– Nie wiem. Może nie powinniśmy opuszczać Roke.

– Zapewne i tak nie zdołamy – odparł tamten. – Jeśli Mistrz Wiatrów zwróci je przeciw nam...

– Wracam tam, gdzie jestem – oznajmił nagle Kurremkarmerruk. – Nie lubię pozostawiać siebie samego niczym starego buta. Spotkamy się wieczorem.

I zniknął.

– Chciałbym przejść się trochę wśród twoich drzew, Azverze. – Mistrz Ziół westchnął głęboko.

– Idź, Deyala. Ja zostanę tutaj.

Mistrz Ziół odszedł. Azver usiadł na szorstkiej ławie zrobionej przez Irian i oparł się o frontową ścianę domu. Spojrzał ku dziewczynie przycupniętej nieruchomo na brzegu strumienia. Owce pasące się na łąkach pomiędzy nimi a Wielkim Domem beczały cicho. Coraz bardziej grzało słońce.

Ojciec nazwał go Proporcem Wojennym. On sam przybył na zachód, porzucając wszystko, co znał, i otrzymał swe prawdziwe imię od drzew w Wewnętrznym Gaju, po czym stał się Mistrzem

Wzorów z Roke. Przez ostatni rok wzory wśród korzeni i cieni gałęzi, milcząca mowa lasu mówiła tylko o zniszczeniu, przejściu, zmianie. Teraz wiedział, że zmiana nadeszła wraz z Irian.

Gdy ją ujrzał, zrozumiał, że za nią odpowiada. Była pod jego opieką. I choćby przybyła, by zniszczyć Roke, on wciąż musi jej służyć. I czynił to chętnie. Wędrowała z nim po Gaju, wysoka, niezgrabna, nieulękła. Wielką dłonią odsuwała cierniste gałęzie jeżyn. Jej oczy, bursztynowobrązowe niczym woda potoku Thwilburn o zmierzchu, dostrzegały wszystko. Słuchała, milczała. Chciał jej bronić i wiedział, że nie może. Kiedy zmarzła, oddał jej trochę ciepła. Nie miał nic innego, co mógłby jej dać. Sama pójdzie tam, gdzie będzie musiała iść. Nie pojmowała niebezpieczeństwa. Nie dysponowała mądrością, jedynie swą niewinnością; jej zbroją był tylko gniew. Kim jesteś, Irian? – spytał w myślach, patrząc na przycupniętą na brzegu dziewczynę. Była niczym skrzywdzone nieme zwierzę.

Przyjaciel powrócił z lasu i usiadł obok niego. Chwilę trwali w milczeniu. W południe Mistrz Ziół odszedł do Wielkiego Domu, umawiając się, że rankiem przyprowadzi Mistrza Odźwiernego. Poproszą innych mistrzów, by spotkali się z nimi w Gaju.

– Ale on nie przyjdzie – rzekł Deyala i Azver skinął głową.

Cały dzień trzymał się w pobliżu Domu Wydry, obserwując Irian. Zmusił ją, by coś zjadła. Posłusznie przyszła do domu, po posiłku jednak wróciła na brzeg i usiadła tam w bezruchu. On także poczuł, że jego ciało zapada w letarg, podobnie umysł, że ogarnia go pragnienie, z którym walczył, lecz nie mógł się otrząsnąć. Pomyślał o oczach Mistrza Przywołań. Nagle poczuł zimno, przejmujące zimno, choć siedział na ławce w letnim słońcu. Władają nami umarli, pomyślał i myśl ta nie chciała go opuścić.

Ucieszył się na widok Kurremkarmerruka nadchodzącego wolno brzegiem strumienia. Starzec na bosaka brodził w wodzie, trzymając w jednej ręce buty, a w drugiej laskę. Gdy czasem się poślizgnął, prychał ze złością. Usiadł na drugim brzegu, wytarł stopy i naciągnął buty.

– Kiedy będę musiał wrócić do Wieży – mruknął – nie pójdę pieszo. Wynajmę wóz, kupię muła. Jestem stary, Azverze.

– Wejdź do domu – poprosił Mistrz Wzorów i podał Mistrzowi Imion wodę i jedzenie.

– Gdzie dziewczyna?

– Śpi. – Azver wskazał miejsce, w którym leżała skulona w trawie, nad maleńkim wodospadem.

Upał powoli zaczynał ustępować. Cienie Gaju stopniowo spowijały łąkę, choć Dom Wydry wciąż stał w blasku słońca. Kurremkarmerruk siedział na ławce, oparty plecami o ścianę. Azver przykucnął na progu.

– Dotarliśmy do kresu – rzekł w końcu starzec, przerywając milczenie.

Mistrz Wzorów przytaknął bez słowa.

– Co cię tu sprowadziło, Azverze? – spytał Mistrz Imion. – Często chciałem cię o to zapytać. To bardzo długa droga, a u was, w Kargadzie, chyba nie ma czarnoksiężników.

– Nie, mamy jednak to, z czego rodzą się czary: wodę, kamienie, drzewa, słowa...

– Lecz nie w Mowie Tworzenia.

– Nie. I nie mamy smoków.

– Nigdy nie mieliście?

– Tylko w bardzo, bardzo starych opowieściach, nim zjawili się bogowie i ludzie. Nim ludzie stali się ludźmi, istniały smoki.

– To bardzo interesujące. – Stary mag wyprostował się nagle. – Mówiłem ci, że czytałem o smokach. Krążą pogłoski, iż widywano je nad Morzem Najgłębszym, a nawet daleko na wschodzie, nad Gontem. Bez wątpienia częściowo źródłem tych pogłosek stał się Kalessin niosący Geda do domu. Jeden smok rozmnożył się w opowieściach żeglarzy. Lecz pewien chłopak przysięgał, że cała jego wioska widziała tej wiosny smoki lecące na zachód nad górą Onn. Sięgnąłem zatem po stare księgi, by się dowiedzieć, kiedy smoki przestały docierać na wschód poza Pendor. W jednej natknąłem się na twoją opowieść, czy coś bardzo do niej podobnego. Wedle niej smoki i ludzie byli kiedyś jednym ludem, lecz się pokłócili. Część poszła na zachód, część na wschód i stali się różnymi istotami, zapominając o swej wspólnej przeszłości.

– My podążyliśmy najdalej na wschód – dodał Azver. – Wiesz, jak w mojej mowie nazywa się wódz armii?

– Edran – odparł natychmiast Mistrz Imion i roześmiał się. – Jaszczur. Smok...

Po chwili zadumy rzekł:

– Mógłbym do końca świata zagłębiać się w etymologię... sądzę jednak, Azverze, że go nie pokonamy.

– Ma przewagę – przytaknął cierpko Azver.

– Istotnie. A zatem... przyznając, że to mało prawdopodobne, wręcz niemożliwe, lecz gdybyśmy go pokonali, gdyby wrócił do krainy śmierci i pozostawił nas tu żywych, co byśmy zrobili? Co dalej?

– Nie mam pojęcia – odparł po długim czasie Azver.

– Twoje liście i cienie nie mówią ci nic?

– Zmiana, zmiana – rzekł Mistrz Wzorów. – Transformacja.

Nagle uniósł wzrok. Owce, stłoczone w pobliżu grobli, uciekały. Ktoś zbliżał się ścieżką z Wielkiego Domu.

– Grupa młodych chłopców – wydyszał Mistrz Ziół, podchodząc do nich. – Armia Thoriona. Idą tutaj, żeby wypędzić dziewczynę, odesłać ją z wyspy. – Odetchnął głęboko. – Gdy odchodziłem, Mistrz Odźwierny rozmawiał z nimi. Myślę, że...

– Jest tutaj – przerwał mu Azver.

Obok nich stanął Mistrz Odźwierny. Jego gładka żółtobrązowa twarz miała jak zwykle pogodny wyraz.

– Powiedziałem chłopcom, że jeśli wyjdą dziś Bramą Medry, nie wrócą już do znanego im domu. Niektórzy chcieli zostać, lecz Mistrzowie Wiatrów i Pieśni nalegali. Wkrótce się tu zjawią.

Słyszeli męskie głosy na łąkach na wschód od Gaju.

Azver ruszył szybko nad strumień, gdzie spała Irian. Pozostali poszli w jego ślady. Dziewczyna dźwignęła się z ziemi, otępiała, oszołomiona. Otaczali ją niczym straż, gdy grupa trzydziestu mężczyzn minęła stary domek i zbliżyła się do nich. W większości byli to starsi uczniowie, kilku miało w dłoniach laski czarnoksiężników. Prowadził ich Mistrz Wiatrów. Jego chuda, bystra, stara twarz zdawała się spięta, znużona. Powitał jednak uprzejmie czterech

magów, pozdrawiając ich tytułami. Oni także go powitali. Azver przemówił pierwszy:

– Wejdź do Gaju, Mistrzu Wiatrów, i zaczekajmy na pozostałych z Dziewięciu.

– Najpierw musimy rozstrzygnąć kwestię, która nas dzieli.

– To poważna kwestia – wtrącił Mistrz Imion.

– Kobieta, która wam towarzyszy, narusza regułę Roke – oznajmił Mistrz Wiatrów. – Musi odejść. W porcie czeka na nią łódź. Mój wiatr zaniesie ją wprost na Way.

– Nie wątpię w to, panie – powiedział Azver – nie przypuszczam jednak, by odeszła.

– Mistrzu Wzorów, czy złamiesz regułę i prawa naszej wspólnoty, tak długo strzegące świat przed siłami chaosu? Czy właśnie ty ze wszystkich ludzi zniszczysz wzór?

– To nie szkło, nie można go zniszczyć – odparł Azver. – To oddech, ogień. – Z coraz większym trudem wypowiadał kolejne słowa. – On nie zna śmierci – dodał we własnym języku i nikt go nie zrozumiał.

Zbliżył się do Irian, poczuł ciepło jej ciała. Stała bez ruchu, milcząca niczym zwierzę, jakby nie pojmowała, co się dzieje.

– Thorion powrócił z krainy śmierci, by nas ocalić. – W głosie Mistrza Wiatrów zabrzmiała płomienna pasja. – Zostanie nowym Arcymagiem. Pod jego rządami Roke stanie się tym, czym była kiedyś. Z jego ręki król otrzyma prawdziwą koronę i będzie rządzić, kierując się jego radami, jak kiedyś Morred. Czarownice nie zbezczeszczą uświęconej ziemi, smoki nie zagrożą Morzu Najgłębszemu, zapanuje porządek, pokój!

Żaden z magów nie odpowiedział. W ciszy wśród młodych mężczyzn podniósł się szmer.

– Oddajcie nam wiedźmę! – krzyknął ktoś.

– Nie – rzucił Azver, nie zdołał jednak powiedzieć nic więcej. Trzymał w dłoni laskę z zielonej wierzbiny, była jednak tylko pozbawionym mocy kawałkiem drewna.

Z czwórki magów jedynie Mistrz Odźwierny wystąpił naprzód.

– Zaufaliście mi, podając swe prawdziwe imiona. Czy zaufacie mi i teraz?

– Ufamy ci, panie – powiedział młodzian o pięknej, ciemnej twarzy, trzymający w ręce dębową laskę czarnoksiężnika. – Prosimy zatem, byś pozwolił wiedźmie odejść i przywrócił spokój.

Nim Mistrz Odźwierny zdążył odpowiedzieć, Irian wystąpiła naprzód.

– Nie jestem wiedźmą. – Jej głos w odróżnieniu od niskich męskich tonów zabrzmiał wysoko, metalicznie. – Nie znam waszej sztuki. Brak mi wiedzy. Przybyłam, by się uczyć.

– Nie uczymy tu kobiet – odparł Mistrz Wiatrów. – Wiesz o tym.

– Niczego nie wiem. – Postąpiła krok naprzód, spoglądając wprost na maga. – Powiedz mi, kim jestem.

– Znaj swoje miejsce, kobieto – rzucił zimno.

– Moje miejsce – odparła powoli, przeciągając słowa – moje miejsce jest na wzgórzu, tam gdzie wszystko jest tym, czym jest naprawdę. Powiedz trupowi, że tam się z nim spotkam.

Mistrz Wiatrów milczał, lecz jego towarzysze zaczęli gorączkowo szeptać. Kilku ruszyło ku dziewczynie. Azver stanął przed nią. Jej słowa uwolniły go z paraliżu więżącego ciało i umysł.

– Powiedźcie Thorionowi, że spotkamy się z nim na Pagórku Roke – oznajmił. – Gdy się zjawi, już tam będziemy. A teraz chodź ze mną – rzekł do Irian.

Mistrzowie Imion i Ziół oraz Odźwierny też podążyli w głąb Gaju. Otwierała się przed nimi ścieżka, kiedy jednak kilku młodzieńców ruszyło ich śladem, ścieżka zniknęła.

– Wracajcie – polecił im Mistrz Wiatrów.

Zawrócili niepewni. Zniżające się słońce wciąż jeszcze oświetlało dachy Wielkiego Domu i pola, lecz wewnątrz Gaju władały cienie.

– Sztuczki – powtarzali uczniowie. – Bluźnierstwo. Świętokradztwo.

– Lepiej już chodźmy.

Twarz Mistrza Wiatrów była zacięta i ponura. W jego bystrych oczach krył się lęk. Stary mag ruszył w stronę szkoły, a uczniowie podążali za nim, spierając się i dyskutując gniewnie.

***

Nie dotarli daleko w głąb Gaju i wciąż szli brzegiem strumienia, gdy Irian przystanęła, odwróciła się i przykucnęła przy ogromnych, splątanych korzeniach nachylonej nad wodą wierzby. Czterej magowie zostali na ścieżce.

– Przemawiała innym oddechem – rzekł Azver.

Mistrz Imion przytaknął.

– Musimy zatem pójść za nią? – spytał Mistrz Ziół.

Tym razem Mistrz Odźwierny skinął głową. Uśmiechnął się słabo.

– Na to wygląda.

– Doskonale – rzekł Mistrz Ziół, nie tracąc cierpliwości. Odszedł kilka kroków i ukląkł, by obejrzeć małą roślinkę czy może grzyb wśród poszycia.

Czas jak zawsze w Gaju pozornie stał w miejscu, a jednak upływał. Wieczór nadszedł w kilku długich oddechach, drżeniu liści, dalekim śpiewie ptaka i głosie innego, odpowiadającego z jeszcze większej oddali. Irian powoli wstała. Nic nie mówiła, wróciła na ścieżkę i ruszyła naprzód. Czterech magów pospieszyło za nią.

Wiał rześki wietrzyk. Na zachodzie wciąż jeszcze płonęły słoneczne łuny, gdy przebyli strumień i ruszyli przez łąki na Pagórek Roke wznoszący się przed nimi niczym wysoka czarna kopuła na tle nieba.

– Nadchodzą – rzekł Mistrz Odźwierny.

Z ogrodów na ścieżkę wiodącą z Wielkiego Domu wysypywali się ludzie, wszyscy magowie, wielu uczniów. Prowadził ich Mistrz Przywołań, Thorion, wysoki, w szarym płaszczu, dzierżący w dłoni laskę z białego jak kość drewna, otoczoną słabym blaskiem magicznego światła.

W miejscu gdzie dwie ścieżki spotykały się ze sobą, by wspiąć się na zbocze Pagórka Roke, Thorion przystanął. Irian ruszyła ku niemu.

– Irian z Way – powiedział Mistrz Przywołań głębokim, czystym głosem. – Aby mógł zapanować pokój i porządek, dla dobra równowagi wszechrzeczy nakazuję ci opuścić tę wyspę. Nie możemy dać ci tego, o co prosisz. Wybacz nam. Jeśli jednak zechcesz zostać tutaj, zmusisz nas, byśmy ci pokazali, co oznacza złamanie prawa.

Wyprostowała się, niemal dorównywała mu wzrostem. Długą chwilę milczała.

– Chodź na szczyt, Thorionie – przemówiła wysokim, szorstkim głosem.

Pozostawiła go u zbiegu dróg i przeszła kilka kroków w górę zbocza. Odwróciła się i spojrzała na maga.

– Czemu tu nie wejdziesz? – spytała.

Powietrze wokół nich ciemniało. Na zachodzie jarzyła się jedynie ciemnoczerwona linia. Na wschodzie, nad morzem niebo zasnuły chmury.

Mistrz Przywołań powoli uniósł ręce i białą laskę w geście towarzyszącym zaklęciu, przemawiając w mowie znanej wszystkim czarnoksiężnikom i mistrzom z Roke, w języku ich sztuki, Mowie Tworzenia.

– Irian, twoim imieniem przyzywam cię i nakazuję, byś była mi posłuszna!

Dziewczyna się zawahała. Na moment zdawała się ustępować, podchodzić ku niemu, potem jednak wykrzyknęła:

– Nie jestem tylko Irian!

To słysząc, Mistrz Przywołań pobiegł z wyciągniętymi rękami, jakby chciał ją pochwycić. Oboje znaleźli się na wzgórzu. Górowała nad nim, wznosząc się coraz wyżej, niewiarygodnie wyżej. Między nimi zapłonął ogień, czerwony płomień rozbłysł w mroku. Zalśniły czerwonozłote łuski, załopotały skrzydła – a potem wszystko zniknęło. Pozostała jedynie kobieta na ścieżce i wysoki mężczyzna chylący się przed nią powoli, osuwający na ziemię i zamierający w bezruchu.

Mistrz Ziół, uzdrowiciel, poruszył się pierwszy. Podszedł ścieżką i ukląkł obok Thoriona.

– Panie, mój przyjacielu.

Odchylił gruby szary płaszcz. Kryły się pod nim tylko strzępki ubrania, suche kości i laska.

– Tak jest lepiej, Thorionie – rzekł, lecz z oczu płynęły mu łzy.

Stary Mistrz Imion wystąpił naprzód.

– Kim jesteś? – spytał kobietę na wzgórzu.

– Nie znam mojego drugiego imienia – odparła w Mowie Tworzenia. W języku smoków.

Ruszyła w górę.

– Irian! – zawołał Mistrz Wzorów Azver. – Wrócisz do nas?

Zatrzymała się i pozwoliła doścignąć.

– Wrócę, jeśli mnie wezwiesz.

Uniosła rękę i dotknęła jego dłoni. Gwałtownie wciągnął powietrze.

– Dokąd pójdziesz? – spytał.

– Do tych, którzy nadadzą mi imię. W ogniu, nie w wodzie. Do mego ludu.

– Na zachód.

– Poza zachód – odparła.

Zostawiła ich wszystkich i w gęstniejącej ciemności powędrowała na wzgórze. Gdy się oddalała, ujrzeli ją w pełnej krasie – potężne boki kryte złotą łuską, długi ogon z ostrymi kolcami, szpony, oślepiający ognisty oddech. Na szczycie przystanęła, odwracając głowę i rozglądając się powoli po wyspie Roke. Najdłużej spoglądała na Gaj, widoczny teraz tylko jako plama ciemności wśród mroku. A potem z łoskotem przypominającym odgłos pękających mosiężnych blach uniosły się szerokie błoniaste skrzydła. Smok wzleciał w powietrze, okrążył Pagórek Roke i odfrunął.

W mroku pozostał jęzor ognia, wąska smużka dymu.

Mistrz Wzorów Azver stał bez ruchu. Piekły go palce w miejscu, gdzie oparzył go jej dotyk. Spojrzał na milczących mężczyzn u stóp wzgórza, odprowadzających wzrokiem smoka.

– I cóż, przyjaciele? – zapytał. – Co teraz?

Odpowiedział mu tylko Mistrz Odźwierny.

– Myślę, że powinniśmy wrócić do domu i otworzyć drzwi.

Spis treści

Do moich polskich Czytelników
CZARNOKSIĘŻNIK Z ARCHIPELAGU
- Wojownicy we mgle
- „Cień”
- Szkoła czarnoksiężników
- Uwolniony cień
- Smok z wyspy Pendor
- Ścigany
- Lot sokoła
- Pościg
- Iffish
- Morze Otwarte

GROBOWCE ATUANU
- Prolog
- Pożarta
- Mur wokół Miejsca Grobowców
- Więźniowie
- Sny i opowieści
- Światło pod wzgórzem
- Pułapka
- Wielki Skarbiec
- Imiona
- Pierścien Erreth-Akbego
- Gniew ciemności
- Zachodnie góry

- Podróż
- NAJDALSZY BRZEG
  - Jarzębina
  - Mistrzowie Roke
  - Hort
  - Magiczne światło
  - Morskie sny
  - Lorbanery
  - Szaleniec
  - Dzieci Morza Otwartego
  - Orm Embar
  - Smoczy Szlak
  - Selidor
  - Sucha Kraina
  - Kamyk Cierpienia
- TEHANU
  - Coś niedobrego
  - Droga do Sokolego Gniazda
  - Ogion
  - Kalessin
  - Polepszenie
  - Pogorszenie
  - Myszy
  - Jastrzębie
  - Utracone słowa
  - „Delfin”
  - W domu

- Zima
- Gospodarz
- Tehanu

INNY WIATR

- Naprawa zielonego dzbanka
- Pałace
- Smocza Rada
- „Delfin”
- Połączenie

OPOWIEŚCI Z ZIEMIOMORZA

- Szukacz
  - W Mrocznych Czasach
  - Wydra
  - Rybołów
  - Medra
- Diament i Czarna Róża
- Kości ziemi
- Historia z Górskich Moczarów
- Ważka
  - Iria
  - Kość
  - Azver
  - Irian